

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 221.

---

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1896. — Tom I.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Nowo-Zielna Nr 49.

1896.

4620. 1896. 1

II



30.000,-

ДОЗВОЛНО ЦЕНЗУРОЮ.  
Варшава, 11 Января 1896 года.

X-14322
4620/ <u>II</u> 1.

1896

# Henryk Sybel.

Dziejopisarstwo niemieckie utraciło jednego z naczelnych swych przewodników w osobie Henryka Sybla <sup>1)</sup>).

Dziejopisarstwo Niemców, jak ich wojskowość, ich dyplomacya, przoduje dziś światu. Metody historycznej, jak strategii lub taktyki, oni dyktują prawa. Wystawiają najliczniejsze kadry najlepiej wyćwiczonych badaczy przeszłości. Dają im do ręki najdoskonalszą broń naukową. Produkują najcięższe folianty Pomników dawnych, najcenniejsze edycye nowszych dokumentów, najrozleglejsze opracowania całokształtu dziejów, najszczegółowsze monografie. Z kilku stanowisk górujących, z akademii i wszechnicy berlińskiej, jakby ze sztabu generalnego, z akademii i wszechnic prowincjonalnych, jakby ze sztabów korpusowych, utrzymują dyscyplinę i kierują postępami swojej wielkiej armii dziejopisarskiej. Odbywają baczne jej przeglądy na łamach mnóstwa czasopism specjalnych, w ogromnym Roczniku berlińskim sprawują zwierzchni nadzór nad ogółem sił obcych, nad powszechnością historyografii nowożytnej, której swoją narzucili hegemonię. Ta osobliwsza hegemonia jest owocem nieprzerwanych wysiłków kilku pokoleń. Jest skutkiem razem i objawieniem dwóch równoległych dążeń: politycznej porównano z naukową. Jest dziełem potężnej erudycyi, prowadzonej przez coraz potężniejszą tendencję. Już

<sup>1)</sup> † I sierpnia 1895.

w pierwszych zaczątkach, w impulsie Pertza i Niebuhra, w dobrej zgodzie tkwiły obiedwie. Potem przyszedł Ranke. Od nauki czystej zaczął i do niej przed śmiercią wrócił; pośrodku wdał się w kompromisy z polityką, lecz nie bez wewnętrznego z sobą zatargu, nie bez tajnego żalu za niewinnością utraconą. Przyszły nareszcie wolne od takich skrupułów ciasne głowy Preussów i Droysenów, nasiąkłe przyrodzoną czcią dla dynastyi; przyszły wolne od przesądów mocne głowy historyków-statystów, przeniknione racją stanu. Ci już zgoła bez pomieszania i wahań poprowadzili naukę dziejów po drodze jawnej politycznej tendencji, i zdobytą hegemonię naukową jawnie obrócili na dobro hegemonii politycznej. Jest to zwrot niepośledniej wagi. Zwrot godny pożałowania, gdyż zbłąkał naukę, godny potępienia, gdyż ją znieprawił. Tutaj, u rozstajnika, główny nadal przodownik, najwcześniejszej samowiedzy, najtrwalszego wpływu, stoi Henryk Sybel.

Sybel należał do słynnej generacji pierwszych wychowanców berlińskiego patriarchy. Szczególniejsze to było grono młodzieńców, jacy w czwartym dziesięcioleciu b. w. skupili się dokoła niewiele od nich starszego Rankego. Jeszcze natenczas niespokojną falą z Zachodu i Wschodu napływały do Niemiec ostatnie odgłosy minionych nawałnic. Lecz ów uczony odłam młodzieży niemieckiej trzymał się zdala od egzaltacji Młodych Niemiec, i przed rowolucyjnym podmuchem w życiu publicznem i piśmiennictwie chronił się, tyleż może z pogardy, co z obawy, do nieporuszonej atmosfery archiwów i bibliotek. Było tam sporo ludzi niepospolitych. Był Waitz, niemiecki Muratori, umysł dziwnie pracowity, ścisły i ostrożny; był nieszczęśliwy Jaffé, z uporem ascety zanykający się w najsuchszych, najzmudniejszych, a pierwszorzędnej wagi poszukiwaniach; był Giesebrecht, mniej pewny, rozmiłowany w romantycznych blaskach starogermańskiego imperyum; było wielu innych, rozmaitego temperamentu i upodobań, a bez wyjątku pilności niez mordowanej, przeważnie niezwyčajnych uzdolnień. Przeświadczeni przez krytykę mistrza, iż przed nimi pracowano niesystematycznie i niedbale, przeświadczeni o tem nieraz aż do zarozumienia, aż do pedantyzmu. — własną olbrzymią pracę, naogół użyteczną, owocną, lecz bynajmniej nie wszędzie niezbędną, rozpoczęli od podstaw. Zaczęli od epok odległych, tam się usadowili i oprędli cierpliwie. Jeszcze u nich punkt ciężkości spoczywał w erudycyi. — Odrazu od nich wyodrębnił się Sybel. Z nich wszystkich, mniemamy, on posiadał najwięcej wrodzonego talentu, najwięcej indywidualnego rozpędu. Posiadał przecie odmienną od nich naturę. Jemu studyum zbłąkłych rękopisów i sądziwych foliantów, korrekta dat podejrzanych i wątpliwych tekstów, nie wystarczały. Chciał być współpracownikiem historii nowej, nietylko zamierchłej pisarzem. W seminarzyście berlińskim sie-

dział instynkt szermierza politycznego. Zasada obosieczna, wygłoszona przez Rankego, iż „historja toruje drogę zdrowej polityce,” ze wszystkich uczniów nikomu snadniej od Sybla nie trafiła do duszy. Ten, jeśli nasamprzód zstępował, jak tamci, do rzeczy dawno pogrzebanych, nawet tędy wtargnął z tchnieniem chwili bieżącej; zaś wnet z tych kopalnianych głębin wznosił się do czasów nowożytnych i najnowszych, do górnych pokładów gleby dziejowej, świeżo przez ludzką ambicyę wzruszonych, zroszonych świeżem ludzkim cierpieniem, skąd bezpośrednio wyrasta społeczna doba. Tutaj dotknął spraw jeszcze drgających życiem, jeszcze niezastygłych zagadnień. Swojem przedstawieniem tak blizkiej, prawie dotykanej, prawie obecnej przeszłości niepomału wpłynął na terażniejszość, być może na przyszłość. Tak został jednym z pisarzy europejskich, którzy nas obchodzą najwięcej.

Zaraz w pierwszym występie publicznym (1838), w tezach inauguracyjnych, obranych przez początkującego historyka, — przypiętych do rozprawy doktorskiej o źródłach Jordanisa, bardzo problematycznej wartości naukowej, — ozwały się pewne hasła zasadnicze, które miały mu towarzyszyć do końca i są niezbędne dla zrozumienia jego dążeń wyuczonych i rodzaju wpływu.

„Nie od urzędzeń (*Einrichtungen*), lecz od jednostek zawisły losy narodów.“ Oczywiście, jaskrawa teza dwudziestoletniego doktoranta oddawna nie jest nowością. Któż wątpi, iż indywidualność Cezara, Karola albo Napoleona zdecydowała o losach świata? indywidualność Cromwella, Fryderyka albo Katarzyny — o losie ich państw i narodów? iż najmniejsze sprawy, dotyczące jednostek, — „ziarnko piasku“ Pascala, — bywają niesłychanej wagi dla ogółu? iż skutki byłyby nieobliczone, gdyby żył dłużej taki Henryk IV czy Batory, krócej Ludwik XV czy Poniatowski, gdyby Zygmunt-August lub Karol VI zostawili syna, August Mocny lub Marya-Teresa zeszedli bezpotomnie? Ale stąd jeszcze bardzo daleko do paradoksalnej tezy Sybla. Jest to właściwie ta sama teza „bohaterska,” jaką prawie społecznie ogłaszał Carlyle. Obydwe tak samo są fałszywe, jak przeciwne ostateczności w doktrynie przyrodniczej „praw dziejowych,” albo psychologicznej „środowiska.“ Odwieczne na ten temat rozprawy historyozofii równie są bezcelowe i nieużyteczne, jak nieśmiertelne zagadnienie fatalizmu i przypadku, skąd koniec końcem tamte biorą początek. Lecz ta okoliczność, iż w tej sprawie zasadniczej Sybel od pierwszej chwili przetrzymał się na stronę jednostki i przypadku i zlekceważył prawo bytu wielkich związków organicznych w dziejach, jest nadzwyczajnie znamienne. Była w tem predestynacja na historyka pruskiego. Było powołanie na historyka takiej potęgi politycznej, która, wbrew wszelkim prawom przyrodzonego rozwoju, wbrew wszelkiej dziejowej tra-

dycy, wystrzeliła, nie wyrosła, dzięki łasce losu i osobistej przemyślności kilku wyjątkowo uposażonych jednostek. To też teza doktorska Sybla doskonale przyjęła się w Prusach, gdzie została przewodnią skazówką dla całej legii jego następców. Cała historyografia pruska w dziedzinie nowożytnej zogniskowaną została dokoła kilku jednostek: Wielkiego elektora, Wielkiego Fryderyka, Wielkiego kanclerza.

„Historyk winien pisać z namietnością i osobistym udziałem.“ Tej drugiej tezy Sybla nigdy nie podpisał-by Ranke. On głosił w teorii wręcz przeciwną zasadę przedmiotowości bezwzględnej dziejopisa. Tak bezwzględnej, iż w wielu wypadkach do złudzenia zlewała się z opportunizmem. Historyk, według niego, nie rozprawia, jeno opisuje. Ograniczony do rozpoznawania czynów dokonanych, poprostu zaciąga je do księgi dziejów, akceptuje je wszystkie na równi, jako jedno ciągłe rozwinięcie pewnej formy wszechbytu. Sybel stanął i pozostał na przeciwnym krańcu. Kiedy znacznie później, w zaciętym sporze między nim a historykami austriackimi z powodu wojen rewolucyjnych, Ranke wystąpił w roli superarbitra, obu stronom przyznał rację, zaakceptował i politykę Fryderyka-Wilhelma, i politykę Leopolda, dał jedno wspólne rozgrzeszenie i Hardenbergom, i Thugutom, — Sybel stanowczo odmówił takiej komplunacyi, przy swoim zdaniu, swojej apologii i swoim akcie oskarżenia pozostał. — Co się nas tyczy, nie uznajemy doktryny Rankego, bo jest zwodniczą, jest hipokrycką, jest w najlepszym razie, przy najlepszych chęciach, niewykonalną. Pisarz „Okresu reformacyi,“ „Dwunastu ksiąg pruskich,“ biografii Fryderyków i Fryderyków-Wilhelmów, napewno nie został wiernym transcendentnej obojętności filozofa. Nawet umysł dużo świetniejszy, dużo czystszy charakter, pisarz „Początków Francyi współczesnej,“ nawet ten, założywszy sobie z góry podobne zadanie, nie dotrzymał, skrewił empirycznej obojętności naturalisty. Inaczej być nie może, ani nawet powinno. Historyk pisze o ludziach i rzeczach ludzkich, największych, najdonioślejszych; tedy może i powinien zabierać głos osobiście. Lecz ten głos niechaj będzie nie prokuratora albo adwokata, lecz głosem sędziego; niechaj wychodzi nie z „namietności“ i „udziału,“ lecz z sumienia. Z wielkiego i jasnego sumienia, oświeconego zupełną, niemylną, nielitościwą wiedzą rzeczywistości młunionej, a wraz dostatecznym pojęciem obecnej, niezbędnym przecuciem nadchodzącej. Zaś nadewszystko z sumienia, gdzie zrodzone z powszechnej ludzkiej kultury żyje niesmiertelne kryterium moralne, nie to samo kryterium, jakie wolno mieć rządzącym, stronnictwom, obywatelom, lecz nieskończenie wyższe, surowsze i mędrsze, żyje i orzeka wyraźnie, co jest obowiązkiem, co prawem ogółu uspołecznionej ludzkości, co słuszne, dozwolone, karygodne w odosobnionem życiu wewnętrznem i we wzajemnem

towarzyskiem poźyciu cywilizowanych państw i narodów. Takie sumienie historyka dziejów powszechnych będzie jakgdyby wielki czasomierz astronomicznego obserwatorium: nie zależy od pory, przypadku, ani od szerokości geograficznej, nie przyspiesza ani się spóźnia, niechybnie wskazuje godziny; i właśnie dlatego, że wysoko się wznosi ponad rozgwar i wstrząśnienia przemijającej doby, tutaj-to ostatecznie, rychlej czy później, sprawdzają się i prostują zegary prywatnego człowieka, gmachów rządu i prawodawstwa, nawet wieżyc kościelnych. — Tak przynajmniej powinien wyglądać ideał. Sybel nigdy do niego się nie wznosił, nie podążał; owszem, nieodwołalnie się go zaparł, i na drogę, ku niemu wiodącą, jak ogromny kamień obrazy, zwałił wszystek swój wpływ i wszystkie pisarski dorobek.

Pierwszą pracą samoistną, którą ściągwał na siebie uwagę docent uniwersytetu w Bonn, były „Dzieje pierwszej wyprawy krzyżowej.“ Sposób badania wzorowany był na Rankem. Z drobiazgowością analizy, jaką mistrz przykładał do pisarzy XV wieku, przystępuje uczeń do pisarzy XII. Daje wyczerpującą krytykę kronik Alberta z Akwizgranu i Wilhelma z Tyru, szeroko wykazuje ich łatwowierność i kłamliwość. Stąd wysnuwa samodzielny pogląd na początki i przebieg samej wyprawy. Więc Piotr Pustelnik nie jest jej kierownikiem i twórcą, jeno spółdziałaczem; jest żarliwcem, brutalnego wpływu na tłumy, nie cudownego wpływu prorokiem. Więc Gotfred Bouillon nie jest jej głową i bohaterem, jeno błędnym rycerzem; „nigdzie nie objawia cech natury wzniosłej ani nawet wyjątkowej,“ jest dość pospolitym, sfanatyzowanym „dynastą zamkowym.“ Natomiast w nowem oświeceniu zyskują i rosną zrozumialsze dla nowych czasów postacie: papieża Urbana, który całą rzecz wynalazł, aby umocnić swą wszechwładzę w chrześcijaństwie, Boemunda z Tarentu, Rajmunda z Tuluzy, Roberta z Flandryi, którzy nie żyją w samej pozaświatowej ekstazie, lecz jasne cele polityczne mają na oku. To wszystko bardzo jest zajmujące. Ale czy jest w tem prawda? Nie ta prawda formalna, dla której *quod non est in actis non est in mundo*, lecz głębsza prawda dziejowa, która wgląda w istotę, w ducha jak najodrębniejszej epoki i obyczajów? Zastrzeżmy zresztą, że sama strona formalna, czysto krytyczna, nie jest bynajmniej bez zarzutu w tej książce Sybla; że, jak się zdaje, przesadził podejrzliwość, starych kronikarzy ukrzywdził. Tak zdają się wskazywać ostatnie spokojniejsze badania <sup>1)</sup>. Lecz, pomijając już sporne szczegóły, trzymając się pytań ogólnego znaczenia: czyli od hyperkrytyki niechę-

<sup>1)</sup> ób. zwłaszcza polemikę Kuglera, Forsch. z. d. G. XXIII, H. Z. XLIV i in., w obronie Alberta, którego kronikę wyprowadza z wiarogodnych świadectw naocznych w kronice lotaryńskiej.

tnego badacza nie jest w tym wypadku prawdziwszą legendą od jego rozmyslnego sceptycyzmu prosta tradycja ludowa, co uwieńczyła króla Grobu Św., „mnicha w purpurze i zbroi” — jak Gotfreda nazywa Radulf, — i utrwaliła na wieczne czasy potężną postać Pustelnika? Czyliż w ogólności tego rodzaju akt historyczny, jak legendowe wyprawy, daje się wyrozumić i wyczuć bez wyrozumiałości i społeczenia dla świata i wyobrażeń legendy? Dość posłuchać, co mówi Sybel o „pobudkach” pierwszej wyprawy krzyżowej, aby się przekonać, jak obcym, dzikim, jak odpychającym jest dla niego ten świat i te wyobrażenia. Nie rozumie zgoła askezy średniowiecznej, nie rozumie onej dziwnej *compunctio*, szczególnego stanu podniecenia religijnego, o którym tyle jest mowy w kronikach współczesnych. Czyżby istotnie było niepodobieństwem dla ukształconego umysłu XIX stulecia zrozumieć ciemne umysły z przed siedmiu wieków, czyżby do tego koniecznie było potrzeba tej samej wiary? Nieprawda. Potrzeba jednej rzeczy: sympatii, cudownego eliksiru, który ciemność czyni przejrzystą, ożywia prochy. Nie wierzył Renan, a jednak jego dusza niewierząca potrafiła mocą sympatii odgadnąć Apostołów i Franciszka z Assyżu. Nieobecność sympatii, — oto powód, który olbrzymią uczoność Niemców, sprzężoną z racjonalizmem protestanckim, w znacznej części skazuje na bezpłodność i martwość w zakresie dziejów średniowiecznych, nierozzerwalnie sprzężonych z wyobraźnią katolicką. W wyższym stopniu, niż do kogokolwiek, stosuje się to do Sybla. Trzeba tu przypomnieć, iż jego „Wyprawa krzyżowa” ukazała się nazajutrz po wybuchu pierwszej w tym wieku walki kościelnej w Prusach, po bezprawnem uwięzieniu arcybiskupów Drosteego z Kolonii i Dunina z Poznania, a w chwili objęcia rządów przez Króla-romantyka, w którym ortodoksja luteraniska z przerażeniem dopatrywała się dążeń katolickich. Sybel w lot pochwycił „aktualność.” Piętnuje askezę Piotra z Amiens, a ma na myśli askezę Drosto-Vischeringa, zbyt podziwianą przez królewicza; zdejmuje aureolę z Gotfreda, a ma na myśli zdjąć bielmo z oczu Fryderyka-Wilhelma IV. Głosem brzuchomowcy z średniowiecznych podziemi odzywa się do bieżącej doby. — Dodajmy, iż z czasem jeszcze się udoskonalił w tej sztuce. W „Darowiznach Karolingów” wrócił aż do VIII wieku, ażeby stamtąd, w imieniu Pippina i Karola Wielkiego, uzasadnić pretensje Wiktora-Emanuela i Cavoura, i zarzutem fałszu, wytoczonym przeciw *Vita Hadriani*, obalić tytuły własności Piusa IX<sup>1)</sup>. W pamflocie o „Św. sukni trewirskiej i dwudziestu innych”

<sup>1)</sup> wiadomo, iż wbrew insynuacyom Sybla wiarygodność relacyi w *Liber pontificalis* stwierdzoną została przez najlepszych znawców (Ficker, Scheffer-Boichorst,



gwałtem ściągnął do historii przedmiot zgoła odmiennego rzędu i wrócił aż do czasów Chrystusowych, aby dostarczyć materiału uczynom „Gazety Kolońskiej.“ Taki spryt do „aktualności,“ rozwinięty tak wczesnie, jest istotnie w swoim rodzaju jedynym. Ranke przecież przed stroną „Reformacją“ dał spokojne „Historye romańskie“ i „Papieży.“ Sybel w najwcześniejszej rzeczy, jak odtąd stale w następnych, objawia się tendencyjnym politykiem, który minął się z powołaniem, i za błądziwszy do historii, świadomą i pewną ręką nawraca ją na tory polityki zawodowej.

Objawia się mianowicie, jak widzimy, nasamprzód *Culturträger*'em, w specyficznem znaczeniu słowa. Syn starej rodziny pastorskiej, osiadłej na wysuniętym posterunku śród rdzennie katolickiej ludności ziem nadreńskich, czuł się stworzonym na pogromcę „papizmu“. Zaszedł bardzo daleko w tym kierunku. Zaczął od upartej opozycji przeciw polityce kościelnej Fryderyka-Wilhelma IV, której nie pochwalamy w wielu szczegółach, nie pochwalamy w niektórych wytycznych zasadach, najmniej pochwalamy w ogólnym jej nastroju mistycznym i zocafanym, lecz która chyba była daleką od przypisywanych jej przez Sybla zamysłów wykorzenienia protestantyzmu, albo „karania herezyi śmiercią i więzieniem, jak w Hiszpanii i Rzymie“. Te superlatywy, wywołane przez takie okropne zamachy, jak np. zaprowadzenie departamentu do spraw katolickich w pruskim ministeryum wyznań, albo przywrócenie korespondencyi biskupów pruskich z Kuryą, wygłaszane były oczywiście pod znakiem tolerancji i liberalizmu. Niepomału więc strapił się fałszywy liberal, kiedy po wypadkach marcowych mężowie prawdziwie liberalni z parlamentu frankfurckiego w swoich prawach człowieka, obok wolności wyznania, uchwalili słynną zasadę „niezależności istniejących kościołów w zakresie zarządu zewnętrznego“. Była to sankcya sumienia narodowego, udzielona tym ulgom, jakie rząd Fryderyka-Wilhelma ważył się nadać kościołowi katolickiemu. Strapił się Sybel tem „zgubnem obłąkaniem“ demokracji niemieckiej, ale nie dał za wygraną. Miał szczęście przed upływem ćwierci wieku doczekać się tryumfu swoich zasad, wielkiego wymarzonego *Culturkampf*'u. Pośpieszył wziąć w nim czynny udział. Był jednym z kierowników osławionego „Związku niemieckiego“ przeciw katolikom prowincyi nadreńskiej, którego wszechstronna działalność na polu denun-

---

abbé Duchesne); co ciekawsze, iż niedawno (1893) za autentycznością obietnic, danych Szczepanowi w Kiersey i Hadryanowi u św. Piotra, oświadczył się Kehr na łamach samej H. Z., LXX, co ze strony Sybla, jako wydawcy, wywołało jedynie gotostowne zastrzeżenie.

cyacy i szpiegostwa zachowała się tam podziśdzień w trwałej a niekoniecznie błogosławionej pamięci. Wtedy też, w szeregu odczytów publicznych, wykonał gwałtowny atak frontowy na „Politykę klerykalną w XIX w.” Obok popularniejszych zwrotów o „obrzmiatych wargach i fistule na końcu nosa” Grzegorza XIV, znalazły się tutaj argumenty w takim guście, jak np. iż konkordat austriacki 1855 r. był zamachem na Prusy, iż wojnę 1866 r. spowodowało sprzysiężenie trzech potęg; redakcyi *Civiltà cattolica* w Rzymie, *Univers'a* w Paryżu i *Historisch-politische Blätter* w Monachium; iż podobnież dziełem zaciełkości klerykalnej była wojna 1870 r. Stąd jasny wniosek, że „nigdy żadne państwo nie miało więcej powodów, dla koniecznej obrony (*aus Nothwehr*) i z obowiązku samozachowawczego, oprzeć się nroszczeniom klerykalnym, jak nasze Prusy”. W dziesięć lat po zgnębieniu katolickiego wschodu, w siedm po porażce katolickiej Austrii, w trzy po rozbiciu katolickiej Francyi, po dokonanej sekularyzacyi Rzymu, z takich-to argumentów taki wyciągnął wniosek pruski dziejopis dla uzasadnienia Praw Majowych. Dodajmy, iż jak najsurowszego stosowania tych praw nie przestawał domagać się z mównicy parlamentarnej. Dodajmy wreszcie charakterystyczny szczegół, iż w chwili rozpoczęcia odwrotu do Canossy, w 1880 r., historyk-poseł i dygnitarz, nie spierając się z rządem, zatrzymując inne wysokie urzędy, spiesznie złożył mandat sejmowy i znikł jak kamfora z parlamentu, gdzie więcej już się nie pokazał.

Dotychczas, rozglądając się w działalności Sybla, mieliśmy do czynienia z wojującą tendencją protestancką. Jest w tem dopiero część mniejsza jego indywidualności, której treść i moc główna skupiła się w wojującej tendencji pruskiej.

Sybel, Nadreńczyk, jest okazowym, skondensowanym Prusakiem, jak Holsztyńczyk Dahlmann, Alzateczyk Häusser, Szlązak Freytag. Patriotyzm pruski w tych swoich przedstawicielach zdaje się nabywać własności siły odśrodkowej, wzrastającej na kresach. Może jest w tem tęższy wysiłek ambicyi, odsuniętej od stołecznego ogniska, może czujniejsza gorliwość forpocztów, może coś z zawziętości renegackiej, może wszystkiego razem potrochu: nad sekretem pobudek nie będziemy łamali głowy, stwierdzamy samo zjawisko. Bojownikiem interesów pruskich, podobnież jak protestanckich, bardzo wczesnie objawia się Sybel; i podobnież poczyna sobie tutaj bardzo gruntownie, bardzo zdaleka, bardzo „historycznie”. Podejmując nię, przerwana w badaniach starego Mösera i Eichhorna, idzie szukać najpierwszych „Początków królewskości niemieckiej”. Cofa się do opisów Cezara i Tacyta, do tekstów *Leges barbarorum*, dyplomatów i formularzy, lecz po drodze pilnie nasłuchuje odgłosów domowej polemiki gazeciarskiej; zapuszcza

się w mroki borów Germanii, lecz z głową odwróconą ku kłótniom w *Bundestagu*. Czy pierwotna germańska idea państwowa zawierała w sobie nasienie twórcze, zdolne do samoistnego rozwoju, czy to ona wydała z siebie świat rządzeń średniowiecznych, czy też przeciwnie, jałowa z natury, zamknięta w granicy prostych związków rodowych, obca pojęciu jedności plemienną, zapłodnioną została dopiero przez wpływ rzymskiego imperyumu? A w szczególności, czy instytucja królewska, obecna u wszystkich szczepów germanskich, w formie najczystszej u Franków, skąd wyszło Święte państwo rzymskie i wszelka wewnątrz niego udzielność, była naturalnem wcieleniem germańskiego ducha, czy też przeciwnie, sztuczną, przygodną kopią rzymskiego cezarizmu, lub nawet wprost wynikiem jakichś stosunków zawisłości, np. wojennych umów najmickich z Rzymem? Te są zasadnicze pytania, ku którym zbiega całe rozstrząsanie Sybla. Jego odpowiedź była do przewidzenia. Żywioty tradycyjne, narodowe, kategorycznie odsądza od wszelkiego udziału, ob staje za dominującym wpływem cudzoziemskich w ewolucyi politycznej pierwotnych Niemiec. Ob staje jeszcze po czterdziestu latach, kiedy Waitz, z Tacytem w rękę, ścisłą krytyką oddawna podważył jego dowolne kombinacje; i w nowem wydaniu swojej książki, zmuszony do zmiany wielu szczegółów kardynalnych, do porzucenia wielu argumentów niedających się bronić dłużej, — niemniej przecie, z osobliwszą pogodą ducha, osobliwszą metodą, którą nadal będzie stosował w innych swych pismach, zostawia nietknięte swoje wnioski naczelne.<sup>1)</sup> Dlaczego mu tak wiele na samych tych wnioskach, więcej niż na argumentach zależy, — jest dostatecznie jasnem. Jasnem jest, jakie z tych mianowicie wniosków nasuwają się inne, donioślejsze. Rozluźnia się odwieczna spójność głównych historycznych szczepów niemieckich. Rozluźnia się odwieczna łączność każdego z tych szczepów ze starodawną swoją dynastją. Tracą oparcie prastarzy Welfowie, tracą Wettynowie prowadzący ród od Witkinda, luźniej odtąd związani z Hanowerem i Saksonją. Tracą nade wszystko prawowici spadkobiercy wszechniemieckiej spuścizny, Habsburgowie austriaccy, luźniej odtąd związani z powszechnością Niemiec, Kto zyskuje? — łącno zgadnąć. Zyskuje państwo, które nie z pogańskim borem pragermaństwa, z cesarzami ani Tacytem, z domem Chłodowecha ani Karolingów, nigdy nie miało do czynienia, które wyło-

<sup>1)</sup> to wydanie (1881), co ciekawsza, przypisane Waitzowi. Wobec ostatnich prac Schrödera, Brunnera — jak niemniej Violleta, Glassona, Stubbsa i in (zwracamy uwagę na stwierdzoną powszechność władzy królewskiej u Celtów brytańskich, przy słabym, przejściowym tylko, wpływie rzymskim), — teorię Sybla należy uważać za ostatecznie usuniętą.

niło się późno, w XV wieku, poczęte, jak Perseusz ze złotego deszczu, z parukroć dukatów, sypniętych sprytną ręką oszczędnego protoplasty na nędzę niewypłacalnej Rzeszy; które przez dwa sprytne chrzty i tysiąc krętych negocyacji, za ledwie wysunęło się z szarego końca w XVI i XVII wieku, i dopiero w XVIII, przez demoniczny geniusz jednego człowieka, wparło się do pierwszego szeregu; które nareszcie za naszych czasów, bez żadnych historycznych ani narodowościowych tytułów, jedynie mocą faktycznej przewagi, skonfiskowało dla siebie koronę Karola Wielkiego i Ottonów. Na książce historyka pruskiego zyskują Prusy. Dzisiejsze Prusy, chociażby tam była mowa o sprawach przedhistorycznych. To jest w porządku rzeczy. Tak nakazuje nowa metoda dziejopisarska, która uczy pisać „*cum ira et studio*“ i „torować drogę zdrowej polityce“.

Lepszy polityk, niż dziejopis, lepszy Prusak, niż Niemiec, w „Początkach królestwa“ przyłożył siekiere do najgłębszych korzeni dziejów narodowych. W rozgłośnym odczycie akademickim o „Historykach okresu cesarskiego“, w słynnej rozprawie „Naród niemiecki a cesarstwo“, przyłożył topór do omszałego pnia całej średniowiecznej przeszłości Niemiec. Raptownie przebiegając wypadki od koronacji Karola, aż do pokoju westfalskiego, wszędzie srogo uderza na uposledzenie praktycznych interesów narodu dla romantycznej mrzonki przywództwa nad światem chrześcijańskim. Ze stanowiska p. Bennigsen'a i gotajskiego grona gorzko oplakuje nieogledną miękkość cesarzów saskich: z punktu widzenia Cavour'a piętnuje włoskie wyprawy Gibelinów. Niezdatność Hohenstaufów oświeśla zdrową polityką Hohenzollernów. Ottona III mierzy łokciem wielkiego kurfirsta, cesarza Fryderyka II łokciem króla Fryderyka II. Oczywiście, zamiast schodzić do równin lombardzkich i sycylijskich wąwozów, trzeba było zawczasu zabrać Szlezwig Duńczynom, Polakom Wielkopolskę, Litwę Litwinom. Trzeba było dbać nie o Rzym, lecz o Królewiec. Trzeba było założyć *Zollverein* za Barbarossy, za Hildebranda zaprowadzić małżeństwa cywilne i egzamin państwowy beneficjaryuszów kościelnych. Jeśli nie takie ze wszystkim były słowa, takim wszakże był sens, taką logiką wywodów Sybla. Jaką była istotna ich intencja, sam wyraźnie wyluszczył w zakończeniu. Tutaj, zamknąwszy na pokoju westfalskim dawniejsze rachunki, ogólnym deficytem tylu zmarnowanych stuleci obarcza ostatnich gospodarzy zaprzepaszczonej przeszłości, cesarzów domu habsburskiego. Nie poprzestaje na tem. Przychodzi nadto upomnieć się o późniejsze krzywdy. On ma rachunki z Maryą-Teresą. Ma rachunki z jej sukcesorami. Ich-to nielojalna, nienarodowa, włoska czy turecka polityka jeszcze u schyłku zeszłego wieku zgwałciła czysty patryotyzm berliński, zmusiła Prusy do pokoju bazylejskiego, do wy-

dania lewego brzegu Renu, a tem samem sprowadziła najazd Napoleoński, upadek cesarstwa, zgubę Niemiec. Za tyle grzechów, tyle przestępstw, surowo brzmiąc musi wyrok sprawiedliwości dziejowej. „Wolę małe Niemcy z narodem trzydziestu pięciu milionów, — tak jej kapłan w ostatecznej konkluzji formułuje ów wyrok, — anizeli wielki kraj niemiecko-węgiersko-słowiański z ludnością siedmdziesięciu... Austrya znajduje się zewnątrz Niemiec“.

Konkluzya tego rodzaju, wygłoszona nazajutrz po Magencie i Solferino, po preliminarzach w Villafranca, po pierwszym, od pół wieku upokorzeniu Austrii, chlubnie świadczyła o węchu politycznym byłego posła izby heskiej i parlamentów we Frankfurcie i Erfurcie, przyszłego członka pruskiej izby deputowanych i berlińskiego parlamentu zjednoczonych Niemiec. Wszakże dla zrozumienia historyka, ciekawsze od konkluzji są jej założenia, a w szczególności zachowane na koniec, dotyczące najważniejszego okresu dziejów nowożytnych, epoki rewolucyjnej i Napoleońskiej. Należy dobrze sobie uprzytomnić, jak obszerne i ciężkie zadanie tutaj właśnie czekało historyka pruskiego. Wyprawić Habsburgów „na zewnątrz Niemiec“, to dopiero jedna, negatywna połowa tego zadania; drugą, dużo trudniejszą, było „utorować“ margrabiom brandenburskim najkrótszy, gładki szlak dziejowy do posiadania Niemiec. Herkulesowa zaiste robota. Gdyż zgola inaczej, nie prosta ani równa, w zawilych skrętach pnąca się do góry, biegnąca przez ruiny i bagniska, przez zburzone prawo, zdeptaną dobrą wiarę: tak w istocie owa pruska droga *ad astra* przedstawia się historii powszechnej, która stąpa ze spokojnem światłem, odnawia zatarte ślady. A mianowicie jest tam jedno miejsce najgorsze, prawie nie do przebrnięcia, na skraju ubiegłego i obecnego stulecia, na pobojowisku walk rewolucyjnych. W tem miejscu zdradliwem dzieje polityki pruskiej ukazują jedno bezdenne trzęsawisko. Tędy suchą nogą przeprowić państwo wybrane, aż do apoteozy wojen o niepodległość; przez Warszawę, Reichenbach, Pillnitz, Bazyleę, doprowadzić je prosto do pół tryumfalnych pod Lipskiem i Waterloo, skąd dla zbawców narodu ubity już trakt otwiera się na Königgrätz i Sedan, — takiego przedsięwzięcia podjął się Sybel. Włożył w nie trzydzieści lat mozolnych poszukiwań, najlepszy talent dojrzałego wieku. Tak powstały „Dzieje epoki rewolucyjnej“. Rozpowszechnione w Niemczech w kilku wielkich edycjach, za granicą w przekładzie angielskim, francuskim, rosyjskim, dały pisarzowi rozgłos europejski, jego poglądom wpływ szeroki i trwały. Musimy, choćby dorywczo, zatrzymać się na tej książce. W najdłużej, najstaranniej obmyślanem dziele Sybla, głównem dziele jego życia, musi czerpać główne motywy ten wyrok pośmiertny, jaki o nim należy ferować.

Trzy wielkie zjawiska uderzają uwagę Sybla w wstępie do Okresu Rewolucyj: upadek monarchii francuskiej, polskiej Rzpltej, cesarstwa niemieckiego. Mimo całą różnorodność pozorną, wszystkie „objawiają głębokie pokrewieństwo wewnętrzne; w Paryżu i Warszawie, tak samo jak w Rzeszy, dokonywa się zanik średniowiecznych urzędów feudalnych, i wszędzie na rzecz nowożytnego państwa militarnego”. Że tego nie odkryto wcześniej, temu winna niezaradność niemiecka, która w tak doniosłej dziedzinie pozwoliła rozpanoszyć się wrogiej historiografii cudzoziemskiej, a więc najpierw francuskiej i polskiej. „Przewaga cudzoziemskiej tendencji objawiła się szczególnie w sprawach polskich, gdzie, bezprzykładowym sposobem, zwycięscy prawie całkowicie ustąpili głosu zwyciężonym. Stąd przeważna część publiczności niemieckiej w przedmiocie naszych krzywd, doświadczonych wtedy od Francyi, nie ma innego poglądu, jeno francuski; w przedmiocie naszych zdobyczy (*Eroberungen*) nad Wisłą, nie żywi innych uczuć, jeno polskie”. Tak pisał Sybel w pierwszym wydaniu, gdzie dopiero urywkami, w drodze łaski prywatnej, mógł korzystać ze źródeł pruskich, z wyjątków korespondencji ks. brunświckiego, Moellendorfa, Mansteina, Lucchesiniego, z niektórych drugorzędnych doniesień Haugwitza, Hardenberga, Buchholtza. Lecz ogłoszone dwa tomy starczyły, aby mu pozyskać pełne zaufanie rządu berlińskiego i otworzyć swobodny dostęp do zbiorów pruskiego Tajnego Archiwum. Tymczasem również ukazały się wydawnictwa rossyjskie Milutina, Bluma, Smitta. Teraz Sybel uznał za stosowne odkryć wszystkie karty, po francuskim i polskim odkryć główny swój atut austriacki. „Od wybuchu 1813 r.—oświadcza w przedmowie do drugiego wydania—wszędzie, nawet w Prusach, odzywa się jeden głos potępienia dla pokoju bazylejskiego i dokonanego wtedy odstępstwa Prus od Austrii, a tem samem, jak mogło się wydawać, od sprawy niemieckiej. Taki pogląd oczywiście wielce był użytecznym dla dobrej sławy Austrii. Owóż pominięto w zupełności tę okoliczność, iż właśnie nieprzyjaźń austriacka narzuciła królowi pruskiemu pokój w Bazylei”. Nowe, gruntowne badanie, oparte na autentycznych przyczynkach pruskich, ma nareszcie zaprowadzić porządek, wykorzenić zatwardziałe przesady francuskie, polskie, a zwłaszcza austriackie, wystąpić jako „*Schatzschrift*“ Prus, zrehabilitować je wobec świata i własnego narodu.—Zapisujemy to wyznanie.

Najlepszą osłoną jest atak, najlepszem odbiciem ciosu jest uderzenie, powiada stara reguła fechtunku. Rehabilitację rozpoczyna Sybel od napaści. Ujawnia „oderwanie Austrii od Niemiec,“ odbywające się od wieków <sup>1)</sup>. Swoim zwyczajem, daleko wstecz sięga. Nie jest

<sup>1)</sup> w czwartym wydaniu zamiast „Abtrennung“ wsunięte łagodniejsze „Abwendung Oesterreichs von Deutschland“.

kontent z Karola V. Nie był on Niemcem, był „Hiszpanem po matce, Burgundczykiem z wyobraźni i sposobu myślenia“; pozwolił w Rzeszy gospodarować Francuzowi Granvelli, Hiszpanowi Albie. Jest niekontent z Karola VI. Nie był on wiernym stróżem świętych ustaw cesarstwa, pogwałconych przez sankcję pragmatyczną i żeńskie następstwo w Czechach; Maryę-Teresę i Józefa pociągnął za sobą na drogę bezprawia. Ale jeden nadewszystko jest grzech śmiertelny panowania Habsburgów w ostatnich trzech stuleciach. Nie wywiązali się z najpierwszego swego obowiązku: nie stali na straży Niemiec od strony wschodniej. Z tej strony mianowicie, już po wyparciu Turka z Węgier i Szweda z Pomeranii, pozostał sąsiad, „na którego mieć ustawiczne baczenie było kwestyą życia dla narodu niemieckiego.“ Tym sąsiadem była — Polska. Owóż, „Polska przez cały okres wojen reformacyjnych była najgorętszym sojusznikiem Habsburgów, zaś później zawsze zachowywała się całkiem niegroźnie względem interesów austriackich.“ Jednak Rzplta, w dawniejszej potędze niebezpieczna dla dawnych potężnych Niemiec, dla rozdartych Niemiec zeszłego wieku była zgubnem, niemożliwem sąsiedztwem, sama oddana rozkładowi. „Przedstawiała ona najdobitniejszy przykład wadliwości ustroju feudalnego, albowiem feudalny rozwój ustawodawstwa polskiego na wewnątrz, oraz feudalny kierunek polityki polskiej na zewnątrz były wyłącznym powodem upadku tego niegdy wielkiego narodu. W XV wieku, kiedy w pozostałej Europie wszystkie bez wyjątku narody wcieliły swą jednolitość w mocnych monarchiach wojskowych, w tym samym czasie szlachta polska swawolę jednostki szlacheckiej uczyniła naczelnem prawem państwowem, zniósła z kolei dziedziczność tronu, powagę rady królewskiej, różnice klas szlacheckich, przywileje polityczne miast, wolność osobistą włościan... W XVI wieku Rzplta szlachecka, rozpalona odwagą, zuchwałstwem, żarliwością religijną, podjęła dla Wschodu Europy to samo zadanie, jakiego w tym samym czasie miał się na Zachodzie Filip II: w imię katolicyzmu sięgnęła po panowanie nad światem. Jak Filip Anglię, podobnież Zygmunt dla Kościoła chciał podbić Szwecyę; jak Filip liczył stronników we Francyi i przez chwilę myślał osadzić córkę na tronie francuskim, podobnież Zygmunt miał partyę w Moskwie i zdobył carat dla syna. Ale skutek był jednaki na Zachodzie i Wschodzie. Jak Francya dokoła Henryka IV, tak samo ostatecznie skupiła się Rossya dokoła Michała Romanowa, i jak przeciw Filipowi stanęła potęga morska Elżbiety, tak w wojnach polskich urósł bohater protestantyzmu, Gustaw Adolf.“ Co więcej, protestantyzm w samej Polsce wczesnego doświadczył męczeństwa. „Prusy Królewskie, gdzie szlachta i mieszczenie w przeważnej części przyjęli Interanństwo, zajęły bdtąd względem króla Zygmunta takie sta-

nowisko, jak Niderlandy względem Filipa II.“ Ale czuwała opatrność. Czuwał dom brandenburski. „Tutaj, na Wschodzie cesarstwa, w walce o narodowość niemiecką i wolność wyznania, w sprzeczności bezwarunkowej, wewnętrznej i zewnętrznej sprzeczności względem Polski, narodziło się państwo pruskie. Póki istniała Rzplta, póty koniecznie musiała dążyć do uczynienia Królewca polskim i Gdańska katolickim; póki Brandenburgia była niemiecką i protestancką, było jej najżywotniejszem powołaniem oswobodzić Prusy Królewskie.“ Tym to sposobem, obok opieszających cesarzów habsburskich, staje Wielki Elektor, jako pierwszy reprezentant „twórczych zasad narodowej jedności i poświęcenia,“ jako obrońca „wielkich interesów plemienia niemieckiego, zarówno w cesarstwie, jak w Europie.“ Nareszcie ukazuje się Fryderyk II. Wzornując się na „wielkim Orańczyku,“ wprowadzie nie bez „osobistej i pruskiej ambicji,“ ale napewno „tyleż (*ebensorniel*) ożywiony duchem i patryotyzmem niemieckim,“ szczęśliwie doprowadza do skutku „jedną z najważniejszych spraw narodowych: ostateczne oswobodzenie Prus Królewskich od panowania polskiego.“ Za jedną okazją przykłada dobroczynną rękę do emancypacji obcych sobie ludów. „Polska tak daleko sięgnęła, tylu sąsiadów nagięła pod swoje jarzmo, że połowę jej mieszkańców stanowili podbici Rosssyianie, jedną ósmą podbici Niemcy. Nie dziw, że jej poddani rossyjscy w Galicyi i na Podolu, tak samo jak niemiecocy w województwach pruskich, pozostali obcy panującemu narodowi, że posyłali tęskne spojrzenia do swoich spółrodaków po tamtej stronie granicy, że tam znów coraz potężniej musiała ożyć myśl upomnienia się u Polski o zwrot tych zdobyczy.“ Lecz zacięte spółzawodnictwo Austrii wszędzie wznosiło zapory szlachetnej inicjatywie Fryderyka. <sup>1)</sup> Przez całe życie musiał on stać pod bronią przeciw zamachom Maryi-Teresy i Józefa. To samo, wśród nieskończenie trudniejszych warunków, czeka jego następcę. Fryderyk-Wilhelm II, przeciw zdradzieckim knowaniom Leopolda i Franciszka, zazdrosnych suzerenów, niewiernych cesarzy, przeciw samolubnej polityce zaprzyjaźnionych z Polską Habsburgów, zmuszony jest bronić świętej misji, wziętej po przodkach, i wielkie dzieło, rozpoczęte przez poprzednika w pokoju a wbrew Austrii, wbrew niej uwieńczyć wśród rozpętanej burzy rewolucyjnej.

<sup>1)</sup> o pierwszym podziale wyraża się w pierwotnej redakcyi: Friedrich nahm Theil daran; wobec późniejszych rewelacyi, a zwłaszcza pracy p. Beera, zmuszony do ustępstw, tak zmienia ten frazes w ostatniem wydaniu: Friedrich erhielt den ersten Anlass, seine Eroberungspläne nach dieser Seite zu richten,—ale resztę wykładu zostawia bez zmiany. Por. lichą rozprawkę Erste Theil. Polens, w Kl. Schr., III.



Cóż powiedzieć na taki prolog? Rozbierać poszczególne wszystkie niedorzeczności i fałsze, jakie w sobie zawiera, nie ma sposobu, ani warto zachodu. Feudalizm *Voluminów legum*, niesłychane przewroty ustawodawcze w Polsce XV wieku, a więc zaraz za pierwszych Jagiellonów, udział Rzpltej w wojnach reformacyjnych, — to poprostu odkrycia. Są one zresztą uwiecznione we wszystkich dawniejszych wydaniach, nawet w starannie przejrzanem przez autora francuskim. Dopiero przed ostatnią edycją niemiecką, ktoś życzliwy dla znakomitego historyka widać go oświecił, gdyż tutaj już zostały wykresłone krzyżując brednie o polskim „feudalizmie“, i zamiast „XV wieku“, jako daty nadzwyczajnych przewrotów w Rzpltej, wydrukowano „XVI“. Jednak pozostała nietkniętą „Hiszpania“, „Filip“, „Alba“ i inne akcesorya, jednakowo udatne. Udały się zaiste te antytezy, na których można kark skrócić: katolicka Polska i Hiszpania z jednej strony, z drugiej prawosławna Rossya i Bourbon, — żeby przynajmniej kalwin, — nie, właśnie katolik. Udała się karkołomna analogia Prus Królewskich i Niderlandów. Udatną figurą retoryczną jest cień Alby, kilkakroć wywoływany z grobu, Alby, który ścina inowierców w Brukselli w tym samym czasie, kiedy w Warszawie My, Rady koronne, rycerstwo i stany insze, w niepokoju i żalu z powodu śmierci Egmonta i Hoorna, zabiegając gwałtom, „które po innych królestwach jaśnie widzimy, obiecujemy sobie spólnie, iż którzy jesteśmy *dissidentes de religione*, pokój między sobą zachować a dla różnej wiary i odmiany w kościelech krwi nie przelewać ani się penować będziemy powinni“. Ale te wszystkie akcesorya były niezbędne. Trzeba było pokumać Zygmunta-Augusta z Filipem, Zborowskich z Albą, ażeby w ostatecznej konkluzyi Leopolda zbratać ze Stanisławem-Augustem, Kaunitza i Thuguta z Piatolim i Kołłątajem. Tutaj tkwi tajny powód, dla którego starożytna, niezakłócona przyjaźń polsko-austryacka — zapewne z czasów kiedy obierano Walezego, albo kiedy Habsburg popierał starania Iwana o koronę imperatorską, albo kiedy Batory wysadzał cesarza, Zamoyski arcyksięcia brał do niewoli, albo zwłaszcza odkąd wpływ francuski zapanował w Rzpltej, — wystawioną zostaje jako zasadniczy aksyomat dziejów nowoczesnych. Zaś dopiero na tle tej występnej, zgubnej przyjaźni, jakże wzruszająco występuje księga rodzaju przysłego zbawiciela Niemiec, geneza państwa pruskiego, które narodziło się w śmiertelnej „sprzeczności“ do polskiego Heroda i w osobie wielkiego kurfirsta i wielkiego króla „poświęcało się“ bezustanku dla dobra ojczyzny niemieckiej. Cóż z tego, że w rzeczywistości narodziło się raczej ze ślepej łaski Rzpltej, z łaski polskiego króla dla brandenburskiego siostrzeńca, którego za przywłaszczenie ziemi zakonnej, za hołd z ziemi cesarskiej oddany obcemu mocarstwu, ogłosił wywołańcem, felo-

nem, nie kto inny jeno zły Niemiec, „Hiszpan“, „Burgundczyk“, Habsburg, Karol V; cóż z tego, że przeciw „niemieckiej“ ofiarności elektora świadczy zdawna cała jego akcyja domowa i zagraniczna, od kilku lat cała jego urzędowa kancelarya, a od wczora odkryta instrukcyja, — odkryta, niestety, we własnem „Czasopiśmie“ Sybla, — gdzie w trzy lata po traktacie welawskim objawia gotowość, dla korony polskiej, wrócić Rzpłtej Prusy Książęce, a tem samem wyrzec się zupełnie świętej „misy“ niemieckiej; cóż z tego wreszcie, że „patryotyzm“ Fryderyka, dobra bajka dla jego społeczesnych, dzisiaj jest lichą farsą dla czytelników „Korespondencyi politycznej“, — niestety, znowuż ujawnionej pod własnem kierownictwem Sybla? <sup>1)</sup> Cóż stąd? — skoro te wszystkie drwiny z oczywistej prawdy dziejowej są niezbędne dla apologii Fryderyka-Wilhelma II, Hertzberga, Lucchesiniego, Bischoffwerdera, Hangwitza, Hardenberga, dla osłonięcia ich sromotnych upokorzeń, sromotniejszych wygranych, dla wniesienia powagi, logiki i moralu do nędznej, rozzerwanej, żarłocznej polityki pruskiej „Okresu rewolucyi“. Taki cel uświęca takie środki.

Zatrzymaliśmy się rozmyślnie nad ekspozycyą, bo dosyć w nią wniknąć, aby wyrozumieć cały tok dalszej akcyi u Sybla. Jego książka posiada niezawodnie jedną niepospolitą, istotną zasługę: po raz pierwszy z pożądaną dobitnością stwierdziła ścisły związek spraw francuskich a polskich, rewolucyjnych a podziałowych. Ale prawie natychmiast tej zasługi się wyzbywa. Sprowadza gwałtem do jednego spólnego mianownika zjawiska z gruntu odmienne: wzięcie Bastylii, Moguncyi i Warszawy, zmianę formy rządu we Francyi, formy państwa w Niemczech i śmierć Rzpłtej. Tedy z gruntu fałszuje naturę onego związku, który te zjawiska łączy, lecz ich nie niweluje, nie spokrewnia, który ukula złą wolę, złe wyrachowanie ludzkie, nie równowarta historyczna konieczność. W jakim celu fałszuje, jasnem jest z ekspozycyi: bo chodzi tu bardzo o złą wolę, zły rachunek pruski. Z jaką fałszuje sztuką, konsekwencyą, z jaką, miękko rzekłszy, odważył, — pozostaje okazać na kilku wybitniejszych przykładach.

Co mówią, spytajmy przedewszystkiem, — odkładając na bok wszelką erudycyę, wszelkie uczone spory akademickie, wszelkie szczególne zawilsze niedość jasne, — co mówią najwybitniejsze, zupełnie proste, zupełnie jawne fakty Dziejów epoki rewolucyjnej o roli odegranej przez Prusy? Mówią podobno, że Prusy w styczniu 1790 r. zawierają

<sup>1)</sup> co mu zresztą nie przeszkodziło bynajmniej, właśnie z powodu tego wydawnictwa, apoteozować Fryderyka w przemówieniu przed Akademią berlińską, 25 stycznia 1894: über jede Zweifel hatte sich ihm das ewige Moralgesetz erhoben i. t. d.

w Stambule traktat obronny z Turcyą, w marcu w Warszawie z Polską, przeciw Rossyi i Austryi. Że jednocześnie ofiarują przyjaźń Francyi, podsycają w Paryżu płomień rewolucyjny, przyspieszają tam wybuch wojny austryackiej. Że w lipcu tegoż roku godzą się z Austryą na konwencyę reichenbachską. Że w lipcu następnego roku podpisują z Austryą konwencyę wiedeńską, w sierpniu deklaracyę w Pillnitz, przeciw Francyi. Że przez cały ten czas w oświadczeniach poselskich i ministeryalnych, w listownych wynurzeniach królewskich, akceptują nową ustawę polską. Że w lutym 1792 r. zawierają z Austryą traktat berliński, z umyślnem obejściem nowej ustawy polskiej. Że w sierpniu tegoż roku zawierają w Petersburgu traktat z Rosyją dla zwalenia tej ustawy, zaś w styczniu następnego roku, za plecami Austryi, drugi traktat podziałowy. Że od dwóch lat, w podwójnym charakterze członka Rzeszy i sprzymierzeńca Austryi, jak najopieszalej uczestnicząc w wojnie francuskiej, w kwietniu 1794 r. w potrójnym charakterze angielskiego najemnika zawierają w Hadze traktat subsydyowy z Anglią przeciw Francyi. Że tymczasem, biorąc pieniądze angielskie przeciw Francyi, od września 1793 r. potajemnie zbliżają się do Francyi, a od lipca 1794 r. wprost prowadzą układy z naczelnym wodzem armii francuskiej i paryskim Komitetem Ocalenia Publicznego. Że wreszcie, w kwietniu 1795 r., zawierają z Rzpłtą francuską traktat bazylejski, gdzie neutralną linią demarkacyjną obezwładniają strategicznie Austryę, przecinają na dwoje Rzeszę, kładą podwalinę dla Związku Północnego, i gdzie zarazem wydają Francuzom lewy brzeg Renu, zastrzegając dla siebie sekularyzację biskupstw prawego brzegu i objęcie w „depozyt” Hanoweru. Poczem w październiku przystępują do trzeciego podziału i zajmują Warszawę. Tyle mówią nagie fakty.

Posłuchajmy teraz, co mówi Sybel. Od pierwszego kroku potyka się na osławionym planie Hertzberga, polskiem przymierzu, niespodziance reichenbachskiej. Wychwala talenty ministra. Znajduje w nim „rozum przenikliwy, rzadkie połączenie zimnej krwi i niezmierniej żywości“. Pochwala jego plany. „System Hertzberga nie był awanturniczym ani pod względem celów, ani pod względem środków“. Niestety, Fryderyka-Wilhelma natura rycerska i drażliwość sumienia nie dała mu pójść do kresu za myślą wytrawnego doradcy. Był w królu „silny pociąg do oddania się, do czynienia ustępstw“. Tym sposobem „pozwolił sobie w końcu wydrzeć także alians z Polską, nie zobowiązawszy jej z góry do cessyi Torunia i Gdańska“. Po chytrej Rzpłtej, chytry cesarz wyzyskał dobroduszną łatwowierność króla. Zamiast przycisnąć Austryę, wycisnąć z niej zyski obmyślane przez geniusz Hertzberga, Prusy dały jej folgę w Reichenbachu, wyprowadzone w pole przez „bezinteresowność własnego monarchy“.

Trzeba dobrze sobie uświadomić właściwe znaczenie tych twierdzeń Sybla. Nowoczesna historyografia pruska posiada jeden powszechny specyfik, ilekroć w zakłopotaniu staje wobec najdrażliwszych momentów nowoczesnej historii Prus. A mianowicie, dzieli wtedy odpowiedzialność i dzieli chwałę. Dzieli między głowę państwa a jego pierwsze sługi, między monarchę a jego generałów i ministrów. Monarsze zostawia samą cnotę, nieopatrzność, lecz nieskazitelną rycerskość paladyna *sans peur et reproche*. Słudze oddaje sam rozum polityczny, twarde, ale konieczne, cyklopowe brzemień racyi stanu. Tej metody nie sposób było stosować względem Fryderyk II, który był swoim własnym generałem i ministrem. Natomiast z cudownym skutkiem bywa stosowaną względem wszystkich jego następców. Więc Fryderykowie-Wilhelmo wie Drugi, Trzeci, Czwarty i pierwszy Wilhelm, reprezentują cnotę; racyę stanu reprezentują Hertzberg i Moellendorf, Haugwitz i York, Brandenburg i Wrangel, Bismarck i Roon. Jak widzimy, ściśle wedle tej recepty poradził sobie Sybel.

Pomysł dowcipny, ani słowa. Na nieszczęście, ma jedną poważną niedogodność. Jeszcze wszystkich wymagań nie zadawałnia. Znajdują się albowiem jeszcze lojalniejsi Prusacy, którym niedość mieć cnotliwych królów, chcą także mądrych. Chcą zabrać na skarb wszelkiego gatunku wawrzyny, wszystkimi naraz wieńczyć same czoła monarsze. W honorach, oddawanych zbyt hojnie majordomom, upatrują afront dla tronu. Ze starcia dwóch lojalności dobywa się niespodziane światło: i ten dowcip mimowolny jest chyba najlepszym. Tak stało się i w niniejszym wypadku. Już Ranke starał się więcej naprzód wysunąć osobę Fryderyka-Wilhelma i w tym duchu czynił pewne zastrzeżenia przeciw wykładni Sybla; jednak jeszcze zgodnie z jego przedstawieniem rzeczy pisał z powodu Reichenbachu, iż „sprowadzenie tego momentu zapewnia Hertzbergowi nieśmiertelność w dziejach pruskich”. Tak nieprzystojnej pochwały dla dymisyonowanego ministra, takiej ujmny dla pamięci króla, u którego tamten popadł w najwyższą niełaskę, nie mógł ścierpieć najoficyalniejszy historyk z oficjalnych, ówczesny dyrektor pruskiego Tajnego Archiwum stanu. Max Duncker w Akademii berlińskiej uroczystie przywrócił przyzwoitą odległość pomiędzy panem a sługą, „Fryderykiem-Wilhelmem II a hrabią Hertzbergiem”. Król dobrze widział, nie Hertzberg. Król mądrze planował, nie Hertzberg. Król zrobił przymierze z Polską z pełną świadomością, a wbrew Hertzbergowi. Król w Reichenbachu, pomimo Hertzberga, odniósł wielki tryumf moralny. Że nie odniósł większego, politycznego tryumfu, to właśnie z winy Hertzberga, który króla splątał, wybuch wojny opóźnił. Na poparcie tych wszystkich orzeczeń, Duncker w ferworze wyciąga ze swego archiwum najautentyczniejsze, najtajniejsze doku-

menty, roztropnie przemilczane przez Sybla, a które wprawdzie nie potwierdzają bynajmniej apoteozy Fryderyka-Wilhelma, ale za to świadczą dowodnie: z jakim natręctwem i w jakich zamiarach dobijał się król przymierza polskiego, jak dalece niedowierzał Leopoldowi, jak mocno pragnął, już nie upokorzenia, lecz złamania Austrii. Oczywiście te wszystkie świadectwa kompromitują w zupełności misterną robotę Sybla. Ale Sybel nie dał się zbić z tropu. Wskazaliśmy już poprzednio, z powodu innej kontrowersyi, jak on sobie radził w podobnych wypadkach. W nowem wydaniu swojej książki doskonale strawił przykre odkrycia Dunckera, schował je w zmienionej redakcyi kilku frazesów tekstu, <sup>1)</sup> całość wykładu, wnioski główne, spokojnie zostawił bez zmiany.

Jest to zapewne niekoniecznie budujące. Ale nie nalegamy. Nie potrzeba dopiero konkurencyi dwóch akademików i dyrektorów berlińskich, ażeby zdemaskować fałszywe „Dziejów epoki rewolucyjnej“. Bez tego wiadomo doskonale, co sądzić o „rozumie“ Hertzberga, o jego planach zamiennych, które doprawdy „nie były awanturnicze“, były wprost niedorzeczne i po wszystkie czasy skazały na śmieszność wynalazcę. Nieborak, że długo terminował u wielkiego Fryderyka, wmówił sobie, że tak samo potrafi czarować; ale on nie umiał rozkazywać żywołom, umiał tylko sprowadzić rozgardyasz i sam topić się pierwszy. Wiadomo, co sądzić o rycerskich uczuciach Fryderyka-Wilhelma. Król istotnie miał „silny pociąg do oddania się“, lecz wyłącznie ładnym kobietom, nie swoim sprzymierzeńcom, ani dobru powszechnemu Europy. Wiadomo wreszcie, a raczej powinno być równie dobrze i powszechnie wiadomem, co sądzić o precedensach, okolicznościach i skutkach traktatu warszawskiego. Tutaj już musimy nalegać, i bardzo nalegać. Gdyż na tym-to ostatnim przedmiocie, który nas najbliżej obchodzi, najkompletniej też i najjaśniej daje się wypróbować tendencyjna sztuka Sybla.

Znamy już punkt wyjścia jego zapatrywań na przymierze marcowe. Było przez polityków polskich „wydarte“ królowi pruskiemu. Przecież polska przewrotność chybiła celu. „Wprawdzie doszło w 1790 r. do sojuszu obu mocarstw, lecz ani na chwilę do owej wewnętrznej harmonii interesów i umysłów, która sama tylko zapewnia trwałość umowom międzynarodowym“. Mógłby kto prostodusznie zarzucić, iż

---

<sup>1)</sup> podnosimy tylko dwa szczegóły: w poprzednich edycjach mówi o traktacie warszawskim, jak gdyby nagle spadł z nieba, wyłudzony z nienacka na królu pruskim, a rozwodzi się nad pismem Leopolda do Fryderyka-Wilhelma z 25 marca 1790, które jakoby rozczuliło króla i spowodowało do ustępstw; w czwartem wydaniu już wspomina o układach polsko-pruskich od 1789 r., a o piśmie rzeczonym przyznaje, iż „zrobiło na królu mało wrażenia“

właściwie „trwałość” umów zależy prawnie od warowanego w nich terminu trwania, faktycznie od uczciwości stron paktujących. Lecz znakomity historyk nie żywi podobnych przesądów. „W polityce — oświadcza sentencyjonalnie — niczego nie daje się ani otrzymuje zadarmo. To też nigdy nie popełniono fatalniejszego błędu politycznego, jak uparta odmowa rządu polskiego na projekty zamienne Hertzberga“. Trzeba było łącznie zawrzeć traktat obronny i celny. A zatem trzeba było zgodzić się na cessay terytoryalną. Wtedy zaplanowałaby szczęśliwa „harmonia interesów i umysłów”. Wtedy Prusy święcie dotrzymałyby przymierza. Nie uczyniła tego Rzplta. Przemędrkowała, i ukarała się sama. Zamiast dojść do istotnej obustronnej umowy, narzuciła Prusom fikcyę i sama zadowolniła się fikcyą. „Takie — dodaje Sybel, i tym nieoszacowanym autorytetem chyba wszelkie rozprasza wątpliwości, — jest nawet zdanie Ogińskiego”. Takie jest, potwierdzamy, również zdanie Haüssera, a nawet Herrmanna, zdanie prawie całej nowszej historyografii niemieckiej, bądź będącej w znowie z Syblem, bądź otumanionej przez jego dyalektykę. Powiemy więcej: podobne, choć oczywiście w zgoła innej intencji, jest zdanie najpowołanego sędziego, Kalinki. Kalinka, tak samo jak Sybel, potępia przymierze marcowe w ogólności. W szczególności, tak samo, potępia rozłączenie sprawy sojuszu i cła. Poczytuje za ciężką winę Ignacemu Potockiemu, że te dwie materye rozdzielił. Poczytuje za pierwszorzędną zasługę Stanisława-Augusta, że upierał się za ich złączeniem, i ubolewa, że król nie miał hartu wytrwać do końca w tej postawie. Baczmy, jakie stąd płyną konsekwencye. Przypuśćmy, iż pogląd Kalinki jest trafny. Przypomnijmy zarazem jego napomknienia, niewątpliwie zasadne, o stosunkach przywódców Deputacyi i sejmu z rządem berlińskim. Wynikałoby stąd, iż sprawcy przymierza są to poprostu winowajcy. Wszystko, co na ich obronę umie powiedzieć wyrozumiały Popiel, sprowadza się do tego, że „nienawykli do wielkiej polityki, nie odgadli... Wilhelma”. A więc są oni tylko głupcy. Nie ulżyło-by to zresztą w niczem ich odpowiedzialności. Odpowiedzialności depozytaryusza rzeczy prywatnej nasz kodeks cywilny nie ogranicza do owej pospolitej *diligentia in abstracto* przeciętnego człowieka, ani nawet dobrego ojca rodziny; czyni go poczytalnym za najłżejsze uchybienie przeciwko doskonałej *diligentia in concreto*, wymaga pieczy arcy-starannej, arcy-rozumnej. Nie mogą żadną miarą być mniejsze wymagania kodeksu moralności dziejowej względem depozytaryuszów Rzeczy Publicznej. Nierozum, niedomyślność, niedoświadczenie nie mogły-by w tym wypadku nikogo z niczego tłomaczyć. Ale ostatecznie, o to jeszcze mniejsza. Nie chodzi nam teraz o obronę ludzi, których nie mamy za wielkich statystów ani za niepokalanych, choć napewno nie byli ani

kretynami, ani przestępcami stanu. Chodzi o rzecz samą, o traktat. Czy rzeczywiście wtedy, kiedy był zawierany, i tak, jak był zawarty, traktat warszawski był tylko fikcją? czy był nią rzeczywiście w myśli zawierającego rządu pruskiego? Tak twierdzi Sybel, i swoje twierdzenie do tego stopnia uprawdopodobnił i upowszechnił, że nawet, jak widać, wprowadził w błąd niepospolitą przenikliwość pisarza „Sejmu czteroletniego”. Sens moralny Syblowskiej tezy jest jasny. Chodzi o wyslizgnięcie się odpowiedzialności pruskiej tą furtką, o zeskamotowanie zobowiązań sprzymierzeńczych w samym zarodku. Jeżeli od początku przymierze było fikcją, w takim razie nie złamano go, bo fikcyjnych, nieistotnych umów się nie łamie. Niechaj sobie przypisze winę strona lekkomyślna, która na tego rodzaju unowie budowała przyszłość. Prosimy zważyć dobrze doniosłość zagadnienia. Prosimy dla niego o całą uwagę czytelnika. Nie wolno zapominać, jakie zagadnienia dalsze i jeszcze donioślejsze, zagadnienia ratunku albo zguby, bytu albo niebytu, bezpośrednio z tem pierwszym są w związku i w bezpośredniej od niego zależności.

Postawmy sprawę jasno. Prusy ofiarują przymierze i umowę celną. Pierwsze dają darmo. Za drugą żądają z góry Torunia i Gdańska. Rzplta rozdziela materye, na sposobniejszą porę odkłada umowę, bez zwłoki przyjmuje przymierze. Co o tem myśleć? — Usunmy przedewszystkiem pretensye Sybla. Jemu, rzecz prosta, zależy wyłącznie na cessayi. Aleć żadnym sposobem niepodobna zrozumieć, jaką gwarancją od wiarołomstwa jest wypłacenie wiarołomcy z góry nagrody za wiarołomstwo, a raczej zadatku. Gdyż, jak wiemy dzisiaj z matematyczną pewnością, chciano „załatwić się odrazu z Gdańskiem i Toruniem, aby następnie za Galicyę zażądać czego nowego, a dużo więcej”; wiemy mianowicie napewno, że chciano co najjuńiej województw Kaliskiego i Poznańskiego. Zatem Rzplta postąpiła bardzo roztropnie, że rzekła się ulg handlowych i nie dała zgody na cessayę. — Kalinka, oczywiście, nie chce słyszeć o cessayi. Jećnak surowo gani odłożenie sprawy celnej, gorąco chwali króla, że ją podnosił, że nie chciał rzeczy uchwytnej poświęcić dla cienia. Aleć zawarcie umowy celnej było niemożliwe bez cessayi, było więc niemożliwe naogół. Król dobrze to widział, i właśnie dlatego, jedynie dlatego, póki mu starczyło odwagi, trzymał za złączeniem obu materyi: bynajmniej nie w tym celu, aby obydwie razem przeprowadzić, lecz w tej ukrytej myśli, aby obydwom zapobiedz, aby zapobiedz przymierzcu z Prusami przeciw Rossyi.—Pozostaje pytanie kardynalne: czy w rzeczy samej to przymierze było cieniem i fikcją? Owóz najprzód, co się tyczy Rzpltej,—mówiny to z pełną rozwagą, z całą dzisiaj dostępną wiedzą tych rzeczy: gdyby najteżsi dzisiejsi statyści w marcu 1790 r. siedzieli w Deputacyi zagranicznej i w sejmie, nie wahali-by się

wnieść i potwierdzić traktatu obronnego z Prusami, choćby z nieco odmienną redakcją; i nie żywimy najlżejszej wątpliwości, iż gdyby tam wtedy siedział Kalinka, tak samo-by wnosił i głosował. Niebezpieczeństwo, jakie w tej samej chwili wisało nad Rzpltą, zbyt było wielkie i naglące, aby wolno było się wahać. Wie o niem Kalinka, który znał część korespondencji Potemkina; ale zupełnie nie zdaje sobie sprawy ani z tego, jak było wielkie, ani jak dalece naglące. Co się teraz tyczy samych Prus, — i tutaj uderzamy w sam rdzeń Syblowskich wywodów, — sekret traktatu warszawskiego jest sekretem kolumbowego jajka. Od początku nie brano traktatu naseryo w Berlinie, przyznaje z perfidyą Sybel; trzeba było domyślić się tego w Warszawie, przyznaje z dobrą wiarą Kalinka. Nieprawda: sekret jest w tem, że Prusy do sojuszu polskiego przystąpiły najzupełniej naseryo. Ten sekret, najprostszy w świecie, rozmyślnie zasłonięty przez historyka pruskiego, odrazu rozwidnia sytuację. Należy tylko nie mieszać wypadków i ludzi, jak to czynią z rozmysłem „Dzieje epoki rewolucyjnej”. Należy pamiętać, że nie ma się tu do czynienia z jednolitą polityką jednego człowieka, jak za czasów Fryderyka II, lecz z konkurencyjną, jak w tym wypadku z potrójną, mieszanych doradców Fryderyka - Wilhelma II. A więc najpierw z Hertzberga pospolitą polityką wydrwigrosza. Hertzberg miał jedną *idée fixe*, jeden punkt honoru: nie zarobić, ale okpić i zarobić; próbował wprzód wielkiego targu z Wołoszem i Galicyą, potem, gdy ten plan chybił, nałęgo targu z Oczakowem, ale zawsze próbował samą sztuką, bez ryzyka, kręcąc bicz z piasku, nie dobywając szpady: ten wojny nie chciał, a więc istotnie nie chciał prawdziwego aliansu. Wszakże była, obok i wbrew ministeryalnej, druga polityka generalicyi, ks. Henryka i samego rycerskiego wielbiciela panny Denhof. Ta polityka chciała wojny za wszelką cenę, potrzebowała sojuszu z Rzpltą, zrobiła, i zupełnie naseryo zrobiła, traktat warszawski. Jej-to narzędziem, póki prym trzymała u króla, uczynił się Lucchesini. Poseł istotnie liczył na udział w wojnie Rzpltej i nadzwyczajnie przeceniał jej siły. Lucchesiniego można oskarżyć o dosyć rzeczy przed i po zawarciu traktatu; za samo zawarcie nie należy go winić. Margrabia był oszust, to prawda; lecz nie należy przeciw niemu piętrzyć znoszących się wzajem oskarżeń, bo wtedy oszustwo się ulatnia i oszust wychodzi obronną ręką. Owe dwie polityki kolejno zluźowały się w Reichenbachu. Wskazaliśmy wyżej, jak według arcy lojalnego Dunckera Reichenbach był moralną wygraną Prus, czemś w rodzaju Ołomuńca nawspak, jak według sprytniejszego Sybla był wprawdzie przegraną, lecz li tylko przez „bezzinteresowność” królewską. Prawdziwy stan rzeczy jest aż nadto wyraźny. Król z początku pozwolił targować się Hertzbergowi, gdyż



liczył, że tędy dojdzie do zerwania; widząc uległość Austryaków, nagle, ku przerażeniu ministra, rzucił im brutalnie warunek *status quo*, jak rękawicę. Było to co do joty powtórzenie prowokacyi z 1756 r. Nie ulega wątpliwości, że gdyby w miejscu Fryderyka Wilhelma był Fryderyk II, w miejscu Leopolda Marya-Teresa, wojna była nieuchronną. Leopold, Włoch, się uchylił. Po przyjęciu ultymatum pruskiego przez Austryę nie było pretekstu do wojny. Bez laurów wypadło wrócić do Berlina. Wtedy-to występuje z cienia dotychczasowy nieprzyjaciel panny Denhof, przyjaciel Alopeusa i amator koni kozackich, Lucchesiniego szwagier, mistyk, cudotwórca, Brat Farferus Phocus, *vulgo* Bischoffwerder, i rozczarowanemu królowi podsuwa nową, trzecią politykę świętego przymierza przeciw burzycielom francuskim, z której wprost wykluwała się najnowsza, podziałowa. Traktat warszawski wobec takich widoków stał się zbyt cennym, niedogodnym, kompromitującym. I wtedy, ale wtedy dopiero, uczyniono go fikcją, wyparto się polskiego przymierza, najświadomiej, najhaniebniej je złaowano <sup>1)</sup>.

Dotarliśmy w tem miejscu do wielkiego punktu zwrotnego dziejów nowożytnych: do wybuchu wojen rewolucyjnych. Tutaj godzi się znowu, choć na krótko, przystanąć z Syblem. Tutaj, trzeba wyznać, on sam siebie przewyższył. Już dotychczas nie przychodziło mu łatwo przywracać śnieżną czystość dyplomacyi pruskiej. Ale odtąd trudności mnożą się jeszcze i komplikują. Teraz niedość wytłómaczyć przejście Prus od traktatu warszawskiego do berlińskiego; trzeba zaraz z góry tłómaczyć przejście od berlińskiego do petersburskiego traktatu. Posłuchajmy cudnej bajki Sybla z tysiąca nocy i jednej. Cesarz Leopold, rodak Borgii i Machiawela, po pacyfikacyi reichenbachskiej uknuwa ku zgubie Prus plan piekielny. Narzędziem tego planu jest Rzplta polska. Z niej cesarz myśli zrobić potężną, zbrojną monarchię dziedziczną, i potem z nią do spółki zniweczyć Prusy, zgnębić Rosyję. Sprzymierzona katolicka potęga polsko-austriacka, „uderzając równocześnie na Rosyję i Prusy, miała zapanować wszechwładnie od Wittenberga i Drezna aż do Gdańska i Rygi“. Mając takie rzeczy na widoku, ce-

<sup>1)</sup> myli się Kalinka, gdy mniema, że z wiosną 1789 „odłożono pomstę“; myli się, gdy lekceważy wypadki ukraińskie z lata t. r. i sądzi, że dopiero pod ich wpływem Potemkina „wpadł na myśl“ w grudniu: znany teraz odpowiedni ukaz z lipca. Mylił się Liske, gdy przypuszczał, że prócz reskryptu kwietniowego miał cały materiały w ręku: znany teraz szereg reskryptów ze stycznia, lutego i marca 1790. Rzecz dojrzywała, gdy sojusz marcowy wpadł i przeszkodził.—Lucchesini w jednej relacyi podaje gotowe wojsko Rzpltej na przeszło 44 tys. ludzi. Zwracamy uwagę, że do Reichenbachu był wezwany z Warszawy nie na życzenie Hertzberga, jak mniema Kalinka, lecz bez wiedzy ministra. — Wogóle cała ta część „Sejmu czter.“ wymagała-by szczegółowej rewizyi.

sarz, oczywiście, w duchu nie życzy sobie wojny z Francją. Lecz z szatańską przewrotnością zaczyna od tego, że pod pozorem wojny francuskiej szuka zbliżenia do Prus, ażeby tym sposobem skompromitować je w opinii Polaków. Jednocześnie przez posła swego w Warszawie „czyni wszystko, aby partję patriotyczną skupić, podnieść, skłonić do radykalnej zmiany rządu”. „Pod tym tajnym a nieprzerwanym wpływem cesarza” dochodzi zamach stanu majowy, będący w gruncie rzeczy zamachem Austrii na Prusy. Odtąd, aż do ostatniego tchnienia, przez ostatnie dziewięć miesięcy panowania, Leopold wyteża wszystkie siły, aby utrzymać przy życiu to dzieło rąk swoich, drogą jego sercu ustawę majową. Wynikają stąd dwie konsekwencye. Jedna dotyczy stosunku Prus względem Rzpltej. „Okazuje się, że wypadki majowe same przez się, bez formalnego wypowiedzenia traktatu 1790 r., równały się wystąpieniu Polski z obozu pruskiego i przejściu do obozu austriackiego“. Nowa ustawa, w tajemnicy od Prus i przeciw nim zrobiona, czyniła z Rzpltej zgoła nowe państwo. Z tem nowem, wrogiem państwem nie łączyły Prus żadne zobowiązania; traktat przeszloroczny był zawarty z dawną Rzpltą, i względem tej, póki jej nie wywrócono, święcie był dochowany. Z tego stanowiska już żadnej nie może być mowy o jakiegokolwiek winie Prus względem Polski. Tem arcydziełem logiki godnie uwieńczył Sybel poprzednią swą argumentacyę o sojuszu marcowym; wytłómaczył się z gruntu, na wszystkie strony, słowo w słowo jak ów nieborak, pozwany o stłuczenie cudzego garnka: „po pierwsze, wcalem go nie brał; powtórę, gdym wziął, już był rozbity: potrzecie, jak oddałem, był zupełnie cały”. Po pierwsze, zgoła nie było przymerza, jeno fikcyja; powtórę, złamali je Polacy; potrzecie, dotrzymały go Prusy. A teraz druga konsekwencya, dotycząca stosunku Prus względem Austrii. „Można tutaj wyraźnie wskazać punkt, gdzie Leopold własną ręką zaszezepił czynnik rozkładowy stosunkom prusko-austriackim, a tem samem przygotował grunt dla przyjaźni prusko-rosyjskiej przeciw Austrii: uczynił to przez fatalny swój system dziedzicznej monarchii sasko-polskiej. Poparcie takiej monarchii przez Austryę pełnęło Prusy w objęcia Rosyi i spowodowało drugi podział“. Skoro cesarz w tym samym czasie, kiedy sprzymierzał się z królem pruskim, naostrzał przeciw niemu morderczą broń w Warszawie, nikt chyba nie będzie winił króla, że w tej samej chwili w Petersburgu zabezpieczał się, szukał tarczy, przeciw cesarzowi.

Tak brzmi, mniej więcej, zadziwiająca opowieść Sybla. Mniej więcej, — gdyż z niewyczerpanem bogactwem wyobraźni, z niewyczerpaną giętkością adwokackiego kunsztu, odmieniał tę opowieść, tę obronę, urozmaicał ją, upiększał, amplifikował albo ścieśniał, w każdym nowym wydaniu głównej książki, w każdej nowej monografii polemicznej o „Le-

opoldzie II“, o stosunku „Austrii a Niemiec“, „Austrii a Prus“, o „Upadku Polski“. Znaną jest długoletnia, zapalczywa polemika w tym przedmiocie między nim a uczonym, lecz za ciężkim na tak obrotnego przeciwnika, pisarzem „Dziejów Rossyi“. Spor daje się sprowadzić do dwóch głównych punktów: o polską i o francuską politykę Leopolda. Herrmann twierdzi, że cesarz nie przyczynił się bynajmniej do naprawy polskiej, nie wysiłał się dla jej utrzymania; że natomiast rwał się do wojny z Francją, nosił z jakąś wielką polityką konserwatywną, mającą zjednoczyć starą Europę monarchiczną, Austrię, Rosyę, Prusy, dla zwalczenia hydry rewolucyjnej. Druga teza jest mylną. Leopold wojny francuskiej jak mógł unikał, z braterską pomocą Maryi-Antoninie nie spieszył, bo nie wzniośle konserwatywną, lecz praktyczną i wyrachowaną była jego polityka, bo bynajmniej nie życzył sobie przywrócenia potężnej Francyi monarchicznej, bo przedewszystkiem ze słuszną podejrzliwością, z uzasadnioną obawą oglądał się na Prusy. Jak z tego jednego prawdziwego szczegółu, ze wstrzemięźliwości Leopolda wobec Rewolucyi, Sybel wysnuł całą swą bajkę tendencyjną, — to istotnie czyni zaszczyt jego zręczności. Albowiem pierwsza teza Herrmanna jest najzupełniej prawdziwą <sup>1)</sup>. Jest prawdziwą w daleko szerszym zakresie, aniżeli on sam przypuszczał. Z przykrością stwierdzamy, że omieszkało przyświadczyć tej prawdzie jak by się godziło; że w tej polskiej sprawie żaden głos polski nie odezwał się jakby należało. Stwierdzamy, że przeciwnie, najpoważniejsi przedstawiciele nauki polskiej po raz wtóry dali się uwieść bałamutnej sztuce Sybla. Nieświadom, iż zamiast wywdzięczyć się Austrii, wyrządza jej krzywdę, Kalinka, ściśle idąc za Syblem i Haüsserem, przyjmując od nich danajowy podarek spiskowej przyjaźni polsko-austriackiej, nie wątpi, „że ubezpieczenie Polski“ było gorącym „pragnieniem“ Leopolda, „tak czynnie zajętego nami życzliwego monarchy“. I jeszcze podług prof. Smolki, przewrót majowy u cesarza „zyskał sobie tyle sympatyj, że w chwili tak stanowczej wytknął nową drogę polityce wiedeńskiego dworu“. — Co się nas tyczy, przeciw całej wykładni Sybla w tym przedmiocie wyraźnie zakładamy zarzut świadomego fałszu. Przeciwstawiamy jej kategorycznie szereg twierdzeń całkiem innego brzmienia. Twierdzimy, że sojusz prusko-austriacki, sojusz dwóch śmiertelnych nieprzyjaciół, na którym Austria straciła więcej, aniżeli na wojnach szląskich, siedmioletniej i bawarskiej razem wziętych, dokonywa się pierwotnie, w myśl pośredniczącej Anglii, przeciwko Francyi i Rossyi zarazem. Twierdzimy, że Prusy

<sup>1)</sup> czynimy na wszelki wypadek jedno zastrzeżenie: nie wyłączamy możliwości, — choć dotychczas brak w tej mierze wszelkich skazówek, — iż np. Piatoli zetknął się z którymś Włochem z otoczenia Leopolda; lecz gdyby nawet co podobnego kiedyś się wydało, nie zmieniło-by w niczem naszego poglądu na istotną politykę cesarza.

wyzyskują tę okoliczność, aby najpierw zagnać Austryę w wojnę z Francją, aby potem oderwać ją od Rossyi, zerwać przyjaźń austro-rosyjską zawiązaną przez Józefa, zwrócić do przyjaźni prusko-rosyjskiej zbudowanej przed trzydziestu laty przez Fryderyka II. Twierdzimy, że w tym celu, jak to uczyniły w 1764 r.,—jak jeszcze uczynią w 1814, 1866, a nawet 1870,—skutecznie używają denuncyacyi i straszydła polskiego. Twierdzimy, że Sybel, który nie mógł nie znać w najdrobniejszych szczegółach korespondencyi Goltza, poprostu uprawnił stemplem naukowym i puścił w obieg publiczny fałszywą monetę insynuacyi pruskiego posta w Petersburgu. Twierdzimy wreszcie, że alians pruski z sierpnia 1792 r. jest niczem innym, jak wyczekiwaną, przygotowywaną oddawna, odpowiedzią na alians austriacki z maja 1781 r., zupełnie tak samo, jak alians pruski z 1764 był odpowiedzią na alians austriacki z 1746 r.

Ale musimy się powstrzymać. Nie piszemy nekrologu starej Europy, tylko jej niesumiennego nekrologisty. Nie możemy myśleć na tem miejscu o rozwinięciu orzeczonych twierdzeń. Nie możemy krok za krokiem postępować za Syblem. Wyrzekamy się tego z żalem. Chcieliśmy go pokazać przy warsztacie, jak jubilerską robotą pojedyncze fałszuje szczegóły<sup>1)</sup>. Chcielibyśmy go prezentować, jak przy wielkich okazjach naprzemiany przybiera pozyspotwarzanej cnoty, obrażonej dumy, głębokiego oburzenia, uroczystej powagi,—a nawet, i tu jest najlepszy, serdecznego, miłosiernego społecznia. Tak jest, on wołał by litościwie

<sup>1)</sup> por. jak w pierwszych ed. inicjatywę sojuszu berlińskiego przypisuje Austrii; w czwartym, gdzie wobec świadectw Herrmanna i Rankego zmuszony przyznać, że inicjatywa wyszła od Prus, jednak zostawia identyczne wnioski: *des war der Ursprung des Bundes i t. d.*—O machinacyach Leopolda w 1791 przywodzi jedyny dowód, depeszę Bucholtza—z 1793, którą zresztą naopak tłómaczy.—Gabinetowi berlińskiemu każe schon am 6 Mai potepić die neue polnische Verfassung, co jest oczywiście nonsensem ze względu na odległość.—Utrzymuje jeszcze w ed. francuskiej, że Leopold demandait aussi la garantie... de la constitution polonaise; powołuje na to wyłącznie depeszę Elgina do Grenville'a,—ktorej jednak nie wyszczególnia; i dobrze robi, gdyż nosi ona datę 9 maja, kiedy oczywiście o uchwałę warszawskiej nie wiadzianno we Florencyi, a zresztą nie zawiera ani słowa więcej, jak życzenia cesarza o to include Poland in the guaranty on the footing on which it is proposed that Turkey should be placed.—Sfałszowaną od początku do końca w pierwszych ed. treść instrukeyi Bischoffwerdera z maja, zmuszony poprawić po ogłoszeniu oryginału przez Herrmanna, zostawił jeszcze z gruntu spaczoną w ostatniej ed.—Por. też poprzednio i ostatnią ed o sprawach polskich w styczniu, drugiej misyji Bischoffwerdera w lutym, układach mogunckich Spielmanna i Haugwitza w lipcu 1792.—Ponieważ ogół rokowań Goltza fałszywie przedstawia, jakgdyby były prowadzone za wiedzą i zgodą Austrii, wnioskuje stąd, że po zakomunikowaniu nareszcie w marcu 1793 traktatu podziałowego dworowi wiedeńskiemu, ten ostatni erfuhr aus der Urkunde nichts neues: wiemy teraz z oryginalnej depeszy Razumowskiego, że Cobenzl, wysłuchawszy komunikatu, tak stracił głowę, że porwał jak szalony kartę Europy i „zaczął gadać słowa bez związku”.

zmlczeć: lecz „jakkolwiek ciężko jest odkrywać nagość umierającego narodu, sprawiedliwość dziejowa nakazuje odsłonić, jakim sposobem ten naród, niegdy znaczny, sam ściągnął zgubę na swą głowę“. I tutaj litościwy dziejopis zstępuje do kręgów polskiego piekła, — a jest mu Wergilim nikt inny, jeno kawaler Harris, ten sam Malmesbury, którego za jędrny opis Prus i Berlina był poprzednio ogłosił potwarczym Juwenalem. Nie było w Polsce wstydu i obyczajów, nie było ładu i prawa, było jedno wyuzdane barbarzyństwo; bezkarnie gwałcono kobiety, nie używano chustek do nosa, upijano się tokajem; straszliwie wzrosła stopa procentowa — i tu jest powołane świadectwo Pradta z 1812 r.; prawem godłem magnaterii i szlachty — trzeba ocenić to szczęśliwe *coq-à l'âne* Sybla, tłumaczącego słowa *bene nati bene possessionati*, — była uznana zasada, że dobrze urodzonym wszystko wolno: „*hochgeboren, hochvermögend*“. Wreszcie, „jakkolwiek niemiło mówić o takich rzeczach, ale one dopiero tłumaczą upadek Rzpltej polskiej“: kraj do szpiku kości był zarazony chorobami rozpusty, był w trzech piątych Łazarzem. Jasnym jest, iż na tego gatunku dolegliwość nie mogło być stosowniejszych lekarzy, jak Fryderyk i Fryderyk-Wilhelm, Józef i Leopold, by nie powiedzieć więcej. — Chcielibyśmy dobrze pokazać to wszystko, i jeszcze dosyć innych szczegółów. Bardzo także chcielibyśmy historyka, który fałszywie denuncjuje polską politykę cesarza Leopolda, zestawić z mową pruskiej izby poselskiej, który, jeszcze wtedy w opozycji, piętnuje wschodnią politykę pana v. Bismarcka w tej samej historycznej chwili, gdy minister wcielił w życie dosłownie tę samą metodę, jaką w swoim zakresie stosował uczony. „Wzywam rząd do odwrotu, jeśli jeszcze jest czas po temu, — przy oklasku powszechnym izby wołał „liberalny“ jej sprawozdawca, — gdyby zaś konwencya miała być nieodwołalną, w takim razie uroczyście protestuję i odrzekam się wszelkiego w niej udziału“. Chcielibyśmy historyka, dla którego polskie nabytki Prus są tem samem, „czem Delfinat dla Francji“, zestawić z miódopłynnym korespondentem *Revue des deux mondes*, który dla uspokojenia Francji, dla upewnienia o bezinteresowności pruskiej, prawie gotów jest wyrzec się owych nabytków <sup>1)</sup>. Chcielibyśmy do dna wyczerpać nasze zobowiązania względem Sybla. Z ubolewaniem rzekamy się tej satysfakcji. Ale już po tem wszyst-

<sup>1)</sup> mowa Sybla 26 lut. 1863, jako referenta komissji sejmowej do wniosku Ho-verbecka, w augsburskiej Allg. Ztg. Nr. 59; lecz czutego wtedy sumienia publicznego Niemiec, mimo liberalne wnioski mówcy, nie zaspokoili jeszcze jego hipokryckie założenia, surowo skarcone w artykule redakcyjnym tamże, Nr. 66, tak uczciwym, jakiego dziś próżno-by szukać w całej prasie europejskiej. — List otwarty Sybla do Forcade'a, 5 wrzes. 1866, w Rev. d. d. m., LXV: les territoires polonais qu'il (rząd pruski) a acquis pendant le dernier siècle lui paraissent un enrichissement fort douteux.

kiem, co zdążyliśmy powiedzieć, bez dalszych wyluszczeń łąco obej-  
dzie się czytelnik. Więcej—było-by zbytciem.

Jednakowoż, aby nas nie posądzono o zanadto jednostronną wra-  
żliwość, jeszcze gotowiśmy poruszyć w paru słowach jaką sprawę odle-  
głąszą i na niej okazać i sprawdzić ostatecznie metodę naukową Sy-  
blowskiego arcydzieła. Wybieramy w tym celu dwa epizody wybi-  
tne ze stosunku Prus do Francyi, a mianowicie najpierw do wybuchają-  
jącej, potem do zwycięskiej Rewolucyi francuskiej.

W dziele pruskiego historyka o „Europie w okresie rewolucyi“,  
przedewszystkiem chyba należało zupełnie wyczerpać stosunek rządu  
pruskiego względem pierwszych objawów wielkiego przewrotu we  
Francyi. Sybel uznał za stosowne o tem jednym zupełnie przemilczeć.  
W pierwszych wydaniach ani słowem nie pozwala się domyślić, jakie  
tajne węzły zaraz od początku łączyły dwór berliński z klubami pa-  
ryskimi. Ale Duncker niedyskretnie przerwał milczenie, wyznał ciem-  
ne knowania posła pruskiego w Paryżu z pierwszymi rewolucyonistami,  
z Pétionem, Barnavem, Lamethami, Brissotem, już w 1789 i 1790 r.; zaś  
Ranke wskazał dalszy ciąg tych konszachców w 1791 r. Wydała się  
w szczególności tajemnicza missya „radcy” Ephraima, żyda wiecznego  
tułacza dyplomacyi berlińskiej, jego działalność agenta prowokacyjnego  
w Paryżu. Po takich odkryciach musiał Sybel, chcąc nie chcąc, ode-  
zwać się o tych sprawach w nowem wydaniu swojej książki. Jego po-  
przednie milczenie już dawało miarę sumienności naukowej historyka;  
wymuszone odezwanie się skompromitowało ją do reszty. A więc,  
„oskarżenia, podniesione z powodu podróży Ephraima, są pozbawione  
wszelkiej podstawy“. Rzecz była całkiem niewinna. Poprostu, ku  
końcowi 1790 r., po zgodzie z Austryą, obawiano się w Berlinie wojny  
z Rossyą. Chciano na ten wypadek zabezpieczyć się od Francyi, aby  
znieścacka nie dostać się między dwa ognie. Poseł w Paryżu, osoba  
urzędowa, mógł rokować tylko z rządem, z ministrem Montmorinem.  
Ale wobec krytycznego położenia we Francyi, w każdej chwili mogły  
stanąć u steru żywioły czysto rewolucyjne. Trzeba było tedy na  
wszelki przypadek utrzymać również przywódców klubowych w poko-  
jowem usposobieniu dla Prus. W tej jedynie myśli, w interesie li tylko  
własnego bezpieczeństwa, a zupełnie niezależnie od Fryderyka-Wilhel-  
ma, który oczywiście całą duszą spółczuł i rad był pomódz swemu  
biednemu „bratu“ Ludwikowi, gabinet berliński wyprawił do Paryża  
owego poczciwego Ephraima. Tak opowiada Sybel. W tem istotnie  
nie było-by kryminału. Ale tu właśnie sęk, że kryminał był, bo było  
zgoła inaczej. Jak było,—wiemy dziś jak najdokładniej z najwiarogo-  
dniejszych źródeł urzędowych francuskich. Okazuje się stąd ni mniej,  
ni więcej, jak tylko: że Ephraim działał bezpośrednio za wiedzą i z upo-  
ważnienia Fryderyka-Wilhelma i Bischoffwerdera; że w klubach pa-

ryskich rozdawał znaczne sumy, podniecał nienawiść dla dworu, a zwłaszcza dla „Austryaczki“, Maryi-Antoniny, i podburzał do wojny z Austryją; że nie ograniczał się bynajmniej do stosunków z demagogią, lecz, jako poufny agent królewski, wprowadzony przez posła pruskiego do Montmorina, samemu ministrowi obiecywał przymierze pruskie, zachęcał do zerwania z cesarzem; że jednocześnie w Berlinie poseł francuski, Moustier,—niedopuszczany wtedy wcale do osoby królewskiej, umyślnie traktowany z ostentacyjną niechęcią, ze względu na Austryę, z którą wtedy układano się o sojusz,— w największym sekrecie przez samą panią Ephraimową wprowadzony został na audyencyę do króla; że na tej audyencyi Fryderyk-Wilhelm we własnej osobie ciągnął za język i prowokował francuskiego posła w tej samej chwili, kiedy w Paryżu akurat to samo robił Ephraim z francuskim ministrem; że cel tych machinacyi był podwójny, pod groźbą zbliżenia się Francyi wytargować lepsze warunki aliansu austriackiego, oraz obezwładnić Austryę przez wojnę francuską.—Nie dodajemy nic więcej; prosimy tylko ten kryminalny, wyszukany szantaż, porównać z sielanką, ofiarowaną przez Sybla, i wyciągnąć stąd morał.

Drugi epizod jest jeszcze dużo ciekawszy i rozleglejszy: nazywa się pokój w Bazylei. Jak mogło dojść do tego, że monarchiczne Prusy, sprzymierzone z Austryją i Rosyją w obronie granic niemieckich i starej Europy, naraz, w krytycznej chwili, zawierają pokój ze zwycięską, przekraczającą Ren, Rzpłtą krolobójców? Dla obrony polityki pruskiej Sybel i tym razem, ściśle tym samym podstępem szermierskim, jaki już kilkakrotnie wytknęliśmy, przerzuca się do gwałtownego natarcia na politykę austriacką. Oto, podług niego, przebieg wypadków. Po sojuszu prusko-rosyjskim i drugim podziale, obejmuje władzę w Wiedniu Thugut, wychowaniec Maryi-Teresy, nieniągany wróg Prus. Od tej chwili on wszystkiemu winien. „Temu człowiekowi zawdzięcza Francya swoje zwycięstwa, Austrya swoje położenie dzisiejsze“. Na nim skrupiają się wszystkie grzechy austriackie od dwóch wieków, on jest kozłem ofiarnym nietylko za Seckendorffa i Kaunitza, lecz oraz za Metternicha i Beusta. On przy pomocy posła w Petersburgu, Cobenzla, natychmiast podkopuje przyjaźń prusko-rosyjską, poszukuje za nią dyplomatycznego odwetu. On rozmyślnie, wbrew Lacy'emu i uczciwym doradcom wojskowym cesarza Franciszka, paraliżuje działania wojenne przeciw Francyi. Czyni to pod pozorem zupełnie bezzasadnych obaw, które jakoby żywi z powodu Prus. „Z Prusami, pierś przy piersi, stając naprzeciw Francyi, Thugut pragnie się zabezpieczyć od zdradzieckiego pchnięcia w plecy sztyletem przez sprzymierzeńca pruskiego. Taka myśl musiała sparaliżować śmiertelnie całą kampanię francuską. Ta zhora, to samobójcze a zupełnie bezpodstawne podejrzenie... było jedynie odblaskiem własnych

niecnych czynów: Thugut królowi pruskiemu przypisywał takie zamyśły, jakie sam urzeczywistniał nad Nawa. Prusacy uczynili wszystko, co do nich należało, a nawet wiele więcej. Z końcem 1793 r. zgromadzili potężne siły nad Renem, i przez Lucchesiniego, wtedy posła w Wiedniu, ofiarowali się w miejsce korpusu posiłkowego dwudziestu kilku tysięcy ludzi, do czego ich zobowiązywało przymierze berlińskie i ustawa Rzeszy, wystawić sto tysięczną armię przeciw Francuzom. Bezinteresownej ofiary nie przyjął podejrzliwy Thugut. Wtem spadły, jak grom, wypadki 1794 r. Lucchesini i najbliższy wówczas doradca królewski, Manstein, zaklinają Fryderyka-Wilhelma, aby z nad Renu, gdzie jest wzgardzony przez cesarza, przeniósł się nad Wisłę, dokąd go wzywają najżywotniejsze interesy własnego państwa. Król opiera się, z oburzeniem odpycha tę propozycję, „nareszcie, z westchnieniem (*sic*) ulega argumentom swego adjutanta“. Tymczasem Austriacy, zamiast osłaniać oddaną ich pieczy świętą ziemię Rzeszy, wiedzeni wyłącznie złą wolą względem Prus, zazdrosną chciwością na wschodnie, obcoplemienne, słowiańskie nabytki, już w maju „na wielkiej radzie wojennej wszystkich generałów, pod prezydencją cesarza“ postanawiają dobrowolnie wydać Francuzom Belgię i zbierają natomiast „znaczące siły wojskowe“ na granicy galicyjskiej. Zarazem, za pośrednictwem posła tokańskiego w Paryżu, Carlettego, już od listopada prowadzą pocichu układy pokojowe z Komitetem Ocalenia Publicznego. W takim położeniu, feldmarszałek pruski, Moellendorf, będąc z szczerym swoim korpusem posiłkowym nad Renem całkiem w rękę Austriaków, nie ma innego wyjścia, jak dla własnego bezpieczeństwa rozpocząć układy z Francuzami. Wreszcie, wiadomość o sojuszu austro-rossyjskim, zawartym w styczniu 1795 r. w Petersburgu, a zwróconym wprost przeciw Prusom, ostatecznie zmusza Fryderyka-Wilhelma pomyśleć o własnym ratunku i „stanowi rzeczywisty powód (*thatsächliche Veranlassung*) zawarcia pokoju bazylejskiego między Prusami a Francją“

Mieliśmy cierpliwość wiernie wyłożyć całą wersję Sybla. I znów musimy powtórzyć monotonne już oświadczenie, iż jest ona od początku do końca zbieraniną jawnych, świadomych fałszów. Nie możemy wejść w szczegóły niezwykle obszernej polemiki, jaka z tego znów powodu toczyła się między Syblem a obrońcami Austrii, — tembardziej, że przeciw niejednej opinii tych ostatnich mamy swoje zastrzeżenia. Dalecy jesteśmy od mniemania entuzjasty Vivenota, jakoby „lata od 1792 do 1809 r. stanowiły najzaszczytniejszą erę dziejów austriackich“; jak również nie sądzimy bynajmniej, aby Thugut był „filozofem“, „bohaterem starożytnej Grecji, borykającym się z nieubłaganem przeznaczeniem“. Nie mamy żadnych powodów rozczulać się nad Thugutem: ani nad dyrektorem generalnym spraw zagranicznych w Wiedniu, ani nad



wcześniejszym agentem w Stambule i Warszawie. To był człowiek dużej wytrwałości, sprytu i doświadczenia; lecz był sprzedajny, był w dawnym stylu smakosz dyplomacyi, całkowicie był zamknięty w zaczarowanym kole niskiej, zatrutej, dotkniętej zgorzelą starczą racyi stanu unierajającego stulecia. I wytrawny, imponujący, pewny siebie baron Thugut, i jego pomocnik, poseł Cobenzl, wyniszczony wymoczek, cały z dowcipu i nerwów, biały jak kreda arlekin, skurczą się i struchleją niebawem, kiedy odezwie się silny głos wielkiego człowieka, kiedy do tych epigonów zgrzybiałej Europy przemówi gromowładny pan nowej, młody generał Bonaparte. Ale w porównaniu z dyplomacyą pruską, z tamtą szarlatańską, zgłodniałą, tchórzliwą hałastrą Mansteinów, Haugwitzów, Lucchesinich, Thugut niezawodnie był i mądry, i dzielny, i uczciwy. Obok zupełnej aprobaty, jakiej tamtym udziela Sybel, wszystko, co mówi o ministrze austriackim, staje się oburzającą, niegodną potwarzą. Thugut naprawdę obawiał się Prus. Miał zupełną rację. Miał rację, że w miejsce umówionych posiłków nie przyjął zdrazieckiej ofiary stutysięcznej armii od Fryderyka-Wilhelma II, który ją myślał obrócić nie dla obrony Renu od Konwencji, lecz dla zajęcia biskupstw nadreńskich i dla podyktowania praw Franciszkowi II; zupełnie tak samo, jak przed sześćdziesięciu laty miał rację Ulfeld, że w miejsce umówionych posiłków nie przyjął zdrazieckiej ofiary stutysięcznej armii od Fryderyka-Wilhelma I, który ją myślał obrócić nie dla obrony Renu od Fleurego, lecz dla zajęcia Julia-ki i Bergu i dla podyktowania praw Karolowi VI. Zaiste, najbliższa przeszłość dość wymownie świadczyła, iż od pruskiego sprzymierzeńca należy oczekiwać wszystkiego, nawet „pchnięcia w plecy sztyletem“ w obliczu nieprzyjaciela. Czyliż brakło precedensów? Czyliż tak samo w obliczu nieprzyjaciela nie zdradziły Prusy, nie wydały na rzeź, innych swych sprzymierzeńców, Sasów w pierwszej wojnie szląskiej, Francuzów w pierwszej i drugiej? Czemuż Fryderyk-Wilhelm II miałby lepiej obejść się z Coburgiem, niż Fryderyk II obszedł się z Rutowskim i Belleisleem? Nie był to zresztą wyłącznie pogląd Thuguta, zaślepionego jakoby chorobliwą dla Prus nienawiścią. Sybel przeciw niemu przywodzi z drugiej ręki świadectwo Lacy'ego, bo wie, że feldmarszałek był osobistym wrogiem ministra: sfalszowane świadectwo, gdyż, jak wykazał p. Zeissberg z oryginalnych raportów Lacy'ego do cesarza, feldmarszałek, zupełnie niewtajemniczony w politykę ministra, tak samo przecieży, jak on, doradzał nie posyłać wszystkich wojsk nad Ren, nie ogałacać Czech i Moraw, wystrzegać się pruskiej napaści. Podobnie jest fałszem wszystko, co mówi Sybel o dobrowolnym wydaniu Belgii, gdyż dziś wyjaśnionem zostało niezbitcie, że wojska austriackie wycofały się nie dobrowolnie, lecz z musu, pod groźbą francuskiego

oręża. Fałszem są wszystkie szczegóły, podane o „wielkiej radzie wojennej“ 24 maja 1794 r., gdzie jakoby powzięto tak zbrodniczą i ważną uchwałę, gdyż cała ta wiadomość jest kaczką, zaczerpniętą przez historyka szkoły Rankowskiej z takiego źródła, jak wydany ćwierć wieku później kłamliwy pamflet kłamliwego księdza Pradta. Fałszem są te szczegóły już dla tej prostej przyczyny, że ostatnio z archiwów austriackich dowiedziono niewątpliwie, iż owa osławiona rada, „pod prezydencją cesarza“, nigdy i nigdzie nie miała miejsca. Fałszem jest, jakoby Austriacy, ogatając granice Renu, skupiali swoje siły na granicy galicyjskiej, gdyż wiemy obecnie dokładnie, że mieli tam wtedy ogółem niespełna dziesięć tysięcy ludzi. Fałszem jest, jakoby Austria rokowała w tym czasie sekretnie o pokój z Francją, gdyż z najnowszych źródeł francuskich okazuje się napewno, iż absolutnie żadnych tego rodzaju rokowań nie wszczyniała. Fałszem najzupełniejszym jest mniemana negocyacya Carlettego; nie ulega to dzisiaj tak samo wątpliwości, jak ten paradny szczegół,—wiadomy zresztą oddawna już z korespondencyi Merlina, którą mógł i musiał znać Sybel,—że autorem tego fałszu jest nikt inny, tylko autor pokoju bazylejskiego, Prusak Hardenberg, który zaraz podówczas, jak później Sybel, potwarczem oskarżeniem pragnął zdyskredytować Austrię i własne dzieło tłumaczyć.—A teraz druga strona medalu: po austriackiej zbrodni, cnota pruska. Jeszcze przed wielu laty, świadek naoczny, świadek pruski, oficer sztabowy pruskiej armii nadreńskiej, ujawnił niestetychane szczegóły o zbrodniczem postępowaniu Moellendorfa: „ja wiem wiele rzeczy,—tak zamykał niefortunny Massenbach swoje nieprawdopodobne rewelacye, które ciężkiem odpokutował więzieniem,—ale nie wszystko. Czas dopiero podniesie zasłonę z tego dzieła ciemności“. Czas to uczynił. Wiemy dzisiaj z całą pożądaną dokładnością, co robił w 1794 roku nad Renem ten austriacki „sprzymierzeniec“, feldmarszałek Moellendorf, stary żołdak brutalny i przebiegły, były paź i generał Fryderyka II, osiwały w zdradach, który pamiętał schnellendorfską konwencyę i odwrót z Moraw w 1742 r., a obecnie, od lipca, potajemnie porozumiewa się z dowódcą nieprzyjacielskiej armii francuskiej, generałem Michaud, zawiadamia go o planach, układanych w „sprzymierzonym“ sztabie, o każdym zamiarze, każdym ruchu Austriaków, sam ze swoim korpusem manewrując na ich szkodę, usuwając się w chwili akcyi od umówionych spólnych z nimi działań, uprzedzając otwierając drogę kolumnom nieprzyjaciela,—zaś pośrodku naraz zmienia niekiedy taktykę, zniemacka naciera na Francuzów. i tłumaczy się potem przed Michaudem, bądź że była to wina którego z nieomyślnych podkomendnych, bądź że nie było innej rady dla zachowania pozorów. Wszystkiego nie wiemy i dzisiaj jeszcze: to jest, jeśli wiemy dokładnie,

że i jak oszukiwano Austryaków, nie wiemy napewno, jak dalece oszukiwano Francuzów. Tyle wiemy w każdym razie, że ten sędziwy feldmarszałek był zdrajcą na placu boju. Ale Moellendorf nie był sam jeden. Obok tego Fryderykowego wychowanka, wyłaniają się w tej samej chwili inne, dobrze znane, staroświeckie figury Fryderykowej epoki, ks. Henryk, Hertzberg, starzy ludzie, którzy stoją już nad grobem, a którzy jeszcze po raz ostatni pragną koniecznie sami dotknąć się nowych czasów, wlać w nie ostatnie tchnienie swojego ducha i swoich tradycji, i swoim błogosławieństwem przedśmiertnem uświęcić arcydzieło podstępny i zdrady młodszego pokolenia, traktat pokoju bazylejskiego. Znowu trzeba wyrzec się z żalem bliższego rozbioru tak zajmujących szczegółów, na które w ostatnich czasach tyle jaskrawego światła rzuciły nowe źródła austriackie i francuskie. Jeden tylko w tej sprawie znakomity fałsz Sybla piętnujemy jeszcze na zamknięcie. O zawarciu przymierza austro-rossyjskiego najlżejszego pojęcia, aż do samego końca, nie miano w Berlinie; dowiedziano się tu o niem z największym przestachem i zdumieniem dopiero w sierpniu 1795 r. To jest obecnie pewnikiem. Z tego pewnika wynika inny: że fałszem jest tłómaczyć zbliżenie Prus do Francji—faktycznie rozpoczęte od września 1793 r., zamienione w zdradę namacalną od lipca 1794 r., ubite ostatecznie na traktacie pokojowym z kwietnia 1795 r.—przez wypadek, który zaszedł w styczniu, a doszedł wiadomości Prus w sierpniu 1795 r. Na tym fałszu kapitalnym żegnamy ostatecznie tę kopalnię fałszów, „Dzieje epoki rewolucyjnej“, gdzie już pewnie zatrzymaliśmy się za długo, gdzie już nam za ciemno i za duszno, skąd już radziłyśmy wy dostać się na powietrze i na światło.

Radziłyśmy zarazem pożegnać samego Sybla. Ograniczamy się prostem napomknieniem o dwóch pozostałych wielkich pomnikach jego działalności, nad którymi pracował aż do końca życia. Jednym jest jego „Czasopismo historyczne“. Kiedy je zakładał przed trzydziestu kilku laty, obrał hasłem nie czystą dążność do czystej i pełnej prawdy, jak brzmi piękne godło *Revue historique* francuskiej, lecz ustalenie „sądu politycznego“, walkę z „feudalizmem, radykalizmem, ultramontanizmem“. Odtąd uczynił swoje *Historische Zeitschrift* ogniskiem hiryografii niemieckiej, poniekąd nawet powszechnej, ale także narzędziem swoich osobistych poglądów politycznych; i w siedmdziesięciu pięciu tomach tego wydawnictwa, obok ogromu nieocenionych dla nauki przyczynków, zebrał również moc trującej śniedzi uprzedzenia i nienawiści.—Drugim, niedokończonym pomnikiem jest „Założenie cesarstwa niemieckiego“. Znane są początki i przygody tej książki. Przed piętnastu laty do napisania jej wezwał Sybla ks. Bismarck, i przed dyrektorem Tajnego Archiwum otworzył tajniejsze archiwa ministerjów.

Pisarz się odwdzieczył. Dotychczas ograniczał się w swych dziełach do apologii Prus. Obecnie zajął się apoteozą jednego Prusaka. Z upadkiem mecenasa, tajniki ministerjalne zamknęły się przed jego chwałcą. Dowód nieufności, wśród takich warunków dany pisarzowi rządowemu przez rząd własny, dostatecznym jest ostrzeżeniem dla czytelnika. Istotnie, i nie tylko z tego jednego względu, ostatnie wielkie dzieło Sybla jest jeszcze niebezpieczniejsze od poprzednich. Jest więcej podejrzane, bo mniej ulegające kontroli. Jest bardziej zwodnicze, bo pisane z większą pogodą przedstawiciela sprawy zupełnie zwycięskiej, większym wyrachowaniem kanclerskiego zausznika, większą wstrzemięźliwością późnego wieku. Jest łaskawsze dla Austrii, bo już uczestniczki trójprzymierza. Tem jest surowsze dla Francji, bo ciągle nieprzeblaganej a zbrojnej. Tego rodzaju pobudki ściśle polityczne, lepiej schowane niż dawniej, a tak samo zdradliwe, przeświecają bezustanku, aż do ostatniego wiersza tej ostatniej książki Sybla. Jeden przykład niechaj starczy za inne. W najpóźniejszym ułamku, pisanym przed samą śmiercią, Sybel najniespodzianie występuje w roli rycerza Napoleona III i Eugenii. Jednak w swoim czasie, za gościnność okazaną niegdyś w Paryżu drugiego cesarstwa badaczowi dziejów rewolucji, był odplacił się cesarzowi nielitościwym nekrologiem. Wtedy, krótko po pokoju frankfurckim, całą winę zwał na ideę Napoleońską, na imperyalizm, na parę cesarską, Teraz całkiem rozgrzesza oboje: oni nie chcieli wojny, chciał jej naród francuski. Skąd taka zmiana frontu? Owóż, chodzi dziś o to, ażeby wytłómaczyć, dla czego z taką zawziętością prowadzono dalej wojnę po upadku cesarstwa, dlaczego ostrzeliwano Paryż, dlaczego oprócz Strasburga zabrano i Metz, dopominano się Belfortu; chodzi o obwinienie Rzpltej, narodu, Francji; chodzi o przyszłą wojnę. To już całkiem przestaje być pisaniem historii, to jest po prostu robieniem najzwyczajszej, codziennej polityki. Do takiego końcowego akordu dostraja się całość tej epopei nowych pruskich Niemiec<sup>1)</sup>.

Ale doprawdy, mamy tego dosyć. Dosyć tego Syblowskiego dziejopisarstwa, po którym chodzi się jak po lesie, gdzie broni z ręki wy-

<sup>1)</sup> por. H. Z. prospekt, I, XXXVIII; LXXV, tamże z oświadczenia wydawcy wynika, że „Założenie cesarstwa” pozostanie fragmentem.— Biograficzne szczegóły dał p. Bailieu, D. Rundschau, XXII, z niewydanej korespondencji i zapisek pamiętnikarskich Sybla; stosunek Sybla do króla Maxa bawarskiego wyjaśnił p. Dove w pięknej mowie akademickiej w Monachium, 15 listop. 1895, gdzie dyskretnie, lecz wyraźnie zastrzegł się przeciw wyroczeniom historyka. — O wcześniejszym panegiryku p. Caro, w Nord u. Süd, LX, wspominamy z tego tylko względu, że następcą Roepella jak gdyby całkiem przepomniał, iż Sybel miał jednak jakąćś styczność z historią polską.

puścić niewolno, gdzie co krok grozą żelaza i wilcze doły, gdzie nie zbłąkać się prawie niepodobna. Dosyć naszej niewdzięcznej roboty ostrzegawczej, śledczej, oskarżycielskiej. Nie mamy żadnego obowiązku przeciągać jej dłużej. To jedno, cośmy okazali szczegółowiej z powodu „Dziejów Europy w okresie rewolucyjnym“, powinno w zupełności wystarczyć. Pomyśleć tylko: tamten przedmiot taki był wielki. Pomyśleć: tam tak koniecznie, tak łatwo było strząsnąć małosłowne względy i wstępy własnej sprawy, mizerne wyrachowania i widoki bieżącej doby, a wznieść się do najczystszych wyzyn wszechdziejowego poglądu, w obliczu tamtej grozy prześcigających się wielkich wypadków, ściśniętych, jak nigdy przedtem, w nikłej piędzi czasu, przepelniających krótkie chwile, wylewających się za krawędzie Okresu Rewolucyi. Najprzenikliwsze spojrzenie badacza, szukającego samej prawdy, najjaśniejsze światło pamiętek, zawierających samą prawdę, jeszcze starczyło-by zaledwie, aby przebić, rozświecić ten mroczny, skupiony chaos; najżywsza wyobraźnia, najwszechstronniejsza wrażliwość, jeszcze zaledwie była-by zdolną odczuć, odtworzyć ten krótkotrwały bezmiar porywów i zawodów, podniosłości i ohydy, zbrodni i odkupienia. Zaiście, odkąd zapadł się świat starożytny, nigdy ludzkość nie żyła tak szybko i tak wiele, ani tylu nie przechodziła agonii; nigdy nowa era, nowy porządek rzeczy nie przychodził z taką gwałtownością orkanu, zwiastowany naraz i zewsząd takim hukiem walących się urzędzeń, państw i narodów. Zaiście, za starym Langobardem mógłby tutaj wyrzec nowożytny dziejopis, iż tragika raczej, aniżeli historyka, wymagają te czasy: *temporis qualitas tragoedum potius quam historiographum quaereret, jwalque potius lugere quam scribere*. I oto tego wielkiego i straszliwego przedmiotu ima się pisarz dużej miary, niepowszedniego talentu; lecz nie z duchem historycznym ani tragicznym, — z popolitą intencją pieniacką, jak strona interesowana do grubego procesu, jak wierzyiciel upominający się o należność, jak dłużnik wypierający się długu, przystępuje, aby certować się, ukrywać, mącić, zmylić i wyjść z zyskiem. Nie, nie mamy obowiązku po-za tym jednym argumentem *a fortiori*, po-za tą jedną książką Sybla, która go dostatecznie potępia, jeszcze w pozostałych jego pismach, gdzie nie zatrzymaliśmy się dłużej, doszukiwać się szczegółowszych motywów dla pośmiertnego o nim sądu. Zresztą, nigdzie nie znaleźlibyśmy chociażby okoliczności łagodzących. W całej długiej działalności Sybla, jak ją zdążyliśmy przebiec z czytelnikiem, niema ani jednego momentu, gdzieby można wy-począć. Taki Ranke przynajmniej za młodu był trawiony niepokojem, szukał duszy ludzi i ludów; potem, gdy znalazł wysokie dygnitarstwa i zaszczyty, przestał szukać; lecz jeszcze później, na starość, nawrócił do punktu wyjścia, po Korespondencyi Fryderyka-Wilhelma IV, na-

wrócił do zarania Dziejów Powszechnych: on pełne koło okrążył. W Syblu jest od początku trzeźwa interesowność politycznego działacza, która, ciągle i wszędzie obecna, w prostej linii prowadzi u kresu do Założenia Niemiec dzisiejszych. Probowano tę właśnie okoliczność wyzyskać na jego obronę: on był nowoczesnym dziejopisem-politykiem, a więc nie można do niego przykładać tej samej miary, co do bezstronnego historyka-erudyta. Obrona nic warta. Wygnaniec Tucydides, pretor Tacyt, poseł Macchiavelli, mówca Macaulay, prezydent Thiers, byli politykami. Lecz niepodobna wyrządzić im tej krzywdy, aby postawić ich w jednym rzędzie z Syblem. Najprzód, oni, bądź co bądź, miłowali prawdę. A potem, jeśli kiedykolwiek mimowolnie od niej odbiegli, to dlatego, że bardzo miłowali inne rzeczy wspaniałe i piękne: Grecyę, Rzym, Włochy, wolność Anglii, sławę Francyi. Dorobek naukowy Sybla pełen jest fałszu, który dostał się tam świadomie i dostał przez nienawiść. Bo i cóż on miałby umiłować? Fryderyka, albo którego z Fryderyków-Wilhelmów, Haugwitza albo Hardenberga, Gerlacha albo ks. Bismarcka? pokój wrocławski czy bazylejski, podziały czy konwencyę w Tawrogach, konflikt budżetowy czy depezę emską? Gdyż to jest klątwą rzeczy, gwałcących moralność dziejową, że można z nich korzystać do syta, można ich bronić zapamiętałe, ale ukochać ich niema sposobu.—Z którejkolwiek strony rozważyć, sąd ostateczny o Syblu musi wypaść bardzo surowo. Nie trzeba chyba się zastrzegać, że dotyczy wyłącznie pisarza. Człowiek prywatny podobno był przykładnego życia, nauczyciel doskonały, urzędnik wzorowy i uczynny. Powiemy więcej, — i chętnie na tem miejscu spłacamy osobisty dług wdzięczności,—sami doświadczyliśmy względów dyrektora Archiwum. Ale tutaj nie chodzi o człowieka, ani o jego urzędy publiczne. Chodzi o znaczną siłę duchową, która była szkodliwą, tem szkodliwszą, że była znaczną; chodzi o „święty urząd dziejopisa“, który został poniżony. Sybel, niepospolity Niemiec, miał wszelkie dane po temu, aby zostać wielkim historykiem wielkiego narodu. Jest to godność, nad którą nie masz dostojniejszej. Spuścizna takiego historyka jest, jak sól ziemi, użyteczności niezbędnej a powszechnej, jest niezniszczalnym, nieoszacowanym nabytkiem w powszechnym skarbcu kultury ogółu narodów. Sybel wolał zostać małym historykiem Prus, jednego pruskiego stronnictwa. Jego dziejopisarska spuścizna, obszerna, obfita, różnorodna, jest bez istotnej wartości i pożytku, i nieinaczej jak sól zwietrzała, będzie wyrzucona i podeptana od ludzi.

SZYMON ASKENAZY.

---

# POD CZAREM.

---

Wracam z pogrzebu.—Sam jestem na świecie.—Znużony—nie-  
wymownie znużony na ciele i duchu, rzucam się na łóżko i usiłuję przy-  
wołać sen na obolałe powieki... Tak dawno go już nie zaznałem!.. Na-  
próżno! O śnie niema mowy.—Natrętne myśli cisną mi się do głowy;  
daleka przeszłość zmartwychwstaje; dawne rany się rozwierają, a rów-  
nocześnie jakiś głos szeptać mi się zdaje, że ode mnie zależy wskrze-  
szenie minionych chwil szczęścia, chwil upojenia takiego, że, na samo  
jego wspomnienie, serce mi w piersi zamiera...

Zrywam się na równe nogi; nieprzeparta siła zmusza mię do ru-  
chu i czynu, kroki moje kieruje do biurka, rękę moją do szuflady wkła-  
da i wrzuca w nią list... Biorę go po raz setny; po raz setny odczy-  
tuję... I staram się, i boję, i pragnę zarazem odgadnąć znaczenie wy-  
razów, w nim zawartych; staram się umysł i nerwy otrząsnąć z owego  
chaotycznego stanu, w jakim się znajduję. Chcę spokojnie w przy-  
szłość spojrzeć, powiedzieć sobie nareszcie stanowczo: „Drogę moją  
widzę przed sobą jasno; tą drogą pójdę, a nie inną.“

Napróżno! Drogę moją widział-bym jasno, poszedł-bym nią może  
bez wahania, gdyby nie ten list i nie te jego tajemnicze słowa:

„Kiedy człowiek raz sobie łańcuch do nogi przykuje, dźwigać go,  
chcąc nie chcąc, musi do końca dni swoich...“

Co to znaczy? Co on przez to chciał powiedzieć?

Mój Boże!..

Młody jestem. Liczę lat dwadzieścia za ledwie. Życie dla mnie się dopiero zaczyna, a ja nieraz,—często,—miewam uczucie, że już chyba jedno przeżyłem, ostatnie lata moje tyle mi w sercu zostawiły blizn i goryczy.

A jednak szczęśliwy byłem dotąd, i kochany, i pieszczony, i od dziecka otaczany tą ciepłą atmosferą troskliwej opieki, która na cały późniejszy bieg życia zwykła wpływ swój pozostawiać.

Czy może tu, na ten papier, rzucić w krótkości niektóre z moich wspomnień? Czemu nie? Papier jest niemym powiernikiem, a w braku innego, zwierzenie się i jemu ulgę mi przyniesie.

Rodziców moich nie pamiętam; straciłem ich oboje, kiedy jeszcze straty tej odczuć nie byłem w stanie; chowałem się u dziadka mego i babki.—Dziadek był niegdyś sławnym lekarzem w Warszawie; dłuższego zawód swój w sile wieku porzucił, aby się przenieść do Galicyi, długi czas wiadomem mi nie było.

Mieszkaliśmy w ładnym dworku, otoczonym niewielkim ogrodem, o dwa kilometry od Stanisławowa; ten dworek ze swoją dzikiem winem obrosniętą werendą, na której całemi dniami dziadek przesiadywał, ten ogród czysto wygracowany, pełen róż, rezedy, heliotropu i stu innych wonnych kwiatów, któremi się z zamiłowaniem trudniła babka moja—przeze mnie Bunią zwana—i jej córka, ciocia Kostusia,—oto obrazek, który w oczach i sercu zachowałem z pierwszej, najdalszej epoki mego dzieciństwa.

Żyłem pomiędzy temi trzema drogimi istotami w przeświadczeniu choć bezwiednem, że ich wszystkie myśli, starania, dążenia wkoło mojej osoby grawitują. I tak było rzeczywiście. Ja byłem ich pociechą za przeszłość—jedyną na przyszłość nadzieją.

Mówią ogólnie, że chłopiec, którego pierwszym wychowaniem zajmują się wyłącznie kobiety, jeżeli nie koniecznie zniewieścieje, to przynajmniej przejmuje się wielu kobiecemi uczuciami i poglądami, jakąś tkliwością, obcą naturze męskiej, nabiera w swem obejściu jakichś form łagodniejszych; ciągle zaś obcowanie ze starszymi przedwczesnie dojrzałym go czyni.

Prawdą się to okazało i w stosunku do mnie.

Wychowany przez babkę i ciotkę, zawsze w towarzystwie starszych przebywając, nie dziw też, że zawsze byłem dzieckiem, mało dziecinnem, a za to milczącym, w sobie zamkniętym i nad wiek swój rozwiniętym. Przez słowo „rozwiniętym“ nie chcę twierdzić, jakoby był jakieś wyjątkowe zdolności lub przymioty posiadał. Zaznaczam jedynie, że wcześniej, niż to zwykle się zdarza w sferach zamożniejszych, zrozumiałem życie, jego liczne bóle, trudności, zawody i rozczarowania. Zdaje mi się, że w latach, kiedy inne dzieci marzą tylko



o piłce lub o drewnianym koniu, ja już dobrze pojmowałem, że bawić się mogę, ale sam i cicho, bo Bunia zajęta, a Dziadzio niezdrowsi; że nikomu w drogę nie powinienem wchodzić, ani się nikomu naprzykrzać; wreszcie, że nad domem naszym, zwłaszcza nad najdroższą moją Bunią, wisi ciężki, wielki a tajemniczy smutek...

Podpadło mi to, pamiętam, po raz pierwszy podczas Świąt Bożego Narodzenia; właśnie co dopiero, przy rzęsiście oświetlonej sosence, dostałem był prześliczną gwiazdkę, składającą się z barankowej czapki od Dziadzia, ilustrowanej historyi świętej od Buni i różnych przysmaczków od cici Kostusi. Podano wilię. Dziadzio wziął opłatek do ręki i zbliżył się do babki. Spojrzeli na siebie; a Buni oczy od razu łzami się napełniły, usta jej poczęły drżeć, cała twarz przybrała wyraz bezmiernej boleści; po chwili, mimo wysiłków, aby się przewyciężyć, łkania nią głośne wstrząsły i głowę w dłonie ukryła. Na ten widok i ciocia Kostusia zmieszała się mocno; mnie zaś cała uciecha z podarków minęła; jeden tylko dziadek się nie rozczulił; przeciwnie, brwi zmarszczył i milejąc, usiadł przy stole.

Po wili, która nikomu bardzo nie smakowała, gdy dziadostwo, według przyjętego zwyczaju, do salonu przeszli i przed kominem zasiedli, zbliżyłem się nieśmiało do babki w zamiarze rozweselenia jej, według sił i możności.

— Buniu—szepnąłem jej do ucha—chcesz? Pokażę ci obrazki mojej historyi świętej i będę ci opowiadał, co który przedstawia...

Staruszka uśmiechnęła się dobrotliwie i przygarnęła mnie do siebie...

— Dobrze, kotku—opowiadaj... będziemy wszyscy słuchali.

Więc, rozłożywszy książkę na jej kolanach, począłem wykladać dzieje Adama i Ewy, i węża i jabłka, Abła i Kaina, a wykladałem tak jasno i poważnie, że się nawet chmurne oblicze dziadzia rozjaśniło.— odłożył na bok fajkę, przysunął swój fotel do nas, a chcąc mię na pomysł złapać, to ten, to ów obrazek na przemian wskazywał, żądając tłumaczenia.

— A! ten—rzekłem wreszcie—ten tutaj przedstawia syna marnotrawnego... Widzi dziadzio... powraca taki obdarty, chudy, biedny, do domu rodzicielskiego, że aż mu wstyd, a oto ojciec wybiega na jego spotkanie i ręce do niego wyciąga, tak się nim cieszy i winy mu wszystkie przebacza, i ucztę wyprawia.

Ciocia Kostusia lekko mego ramienia dotknęła—ale za późno! Już znowu Bunia trząść się cała i płakać poczęła, a Dziadzio wstał gniewnie, zamknął książkę, rzekł stłumionym głosem „Dosyć!“ i pokój opuścił.

Spojrzałem zdumiony wkoło siebie.

— Nie płacz, Buniu! Nie płacz!..—Zawołałem, rzucając się na jej szyję,—co Tobie jest? Co ja zrobiłem? Czemu się dziadzio pogniewał?

A Bunia mnie tylko tuliła do siebie, powtarzając:

— Nie martw się, kotku... Już nie płaczę... Tyś nic nie zrobił... nikt się na ciebie nie gniewa... Kiedys, później zrozumiesz.

I rzeczywiście, w kilka lat później dopiero rozumiałem.

Kiedy wracam myślą do tej tak już dalekiej przeszłości, wydaje mi się ona nieskończenie długą, skutkiem zapewne jednostajności naszego ówczesnego życia. Dnie płynęły jeden za drugim, spokojnie i monotonnie, niczem się jeden od drugiego nie wyróżniając, z wyjątkiem niedzieli. Epokę w naszych dziejach stanowiły takie wypadki, jak np. ciężka szkarlatyna, którą w dziewiątym roku przebyłem, pierwsza moja wyprawa do gimnazjum Stanisławowskiego i tym podobne zdarzenia.

Niedziela—jak to powiedziałem—odmienną była od reszty tygodnia; to też zawsze jej z żywą niecierpliwością wyczekiwałem.

Najpierw ważną czynnością dnia była południowa wycieczka do miasta na sumę; dziadostwo jechali zwykle jedнокonną karyolką; ja zaś, z ciotką, dla ruchu, a zarazem i braku miejsca w karyolce, szedłem piechotą. Nabożeństwo trwało długo, mimo to, lubiłem je bardzo i za nic w świecie nie był-bym go z własnej winy opuścił. Po południu, około godziny 5-ej latem, 4-ej zimą, przychodzili do nas goście, zawsze ci sami, lecz zawsze z równą przyjmowani radością. Byli nimi: muzyk utalentowany i razem nauczyciel śpiewu, profesor Hudelka, Czech rodem, a Polak sercem, i pułkownik Rydwan.

Pan Rydwan mienił się sam pułkownikiem, jakiej jednak armii, jakiej broni i z jakiego roku, tego nikt nie wiedział, ale też i nikt o autentyczności tego tytułu nie wątpił i w całym mieście pułkownik był osobistością znaną i znaczną. Mienił się on także przyjacielem domu naszego, a jeżeli specjalność mówienia każdemu bez najmniejszej potrzeby i ogródki najnieprzyjemniejszej prawdy może się przyczynić do zdobycia tego miana, to zasługiwał on na nie z pewnością.

Pułkownik był moją osobistą antypatją; przekupić mię nigdy nie zdołały ani jego dorywcze umizgi, ani podarki, któremi dwa razy do roku, na imieniny i gwiazdkę, darzył; antypatję tę, wobec samej siebie zresztą nie przyznając, dzieliła i ciocia Kostusia.

Wystarczało, aby jedno z nas czemkolwiek się ucieszyło, można było pójść o zakład, że pułkownik, z nadmiaru szczerości, radość popsuje.

Naprzykład.

Dziadzio, bibliofil zapalony, kupuje u antykwaryusza rzadkie jakie naukowe dzieło za bardzo przystępną cenę; z dumą pokazuje swą zdobycz pułkownikowi... Jak-bym słyszał jego uwagi:

— Za bezcen! Ty to nazywasz za bezcen?.. Stary przyjacielu, daruj... Szczerłość przede wszystkim! Ale orznęli cię niemiłosiernie!.. To samo dzieło—nie dalej jak przed miesiącem, ofiarowano mi we Lwowie za połowę—wyraźnie za po-ło-wę sumy, którą dałeś... Żebyś tak był wiedział, że go poszukujesz.. Nol Zresztą!.. Stało się!.. Niema co więcej o tem mówić!..

O! i cała radość dziadzia zimną wodą zlała.

Albo—przykład drugi:

Ciocia Kostusia przynosi własnej roboty i własnego wymysłu nalewkę na próbę; ja jeden, do pozakulisowych, a raczej kulinarnych tajemnic przypuszczony, wiem, ile czasu, trudu i zabiegów, wyrób ją ten kosztował. Dziadzio łyk po łyku ciągnie, oczy przymyka i mlaszcze ustami: Wyborna! Nektar, Kostusiu, istny nektar!..—Pułkownik natomiast głową kręci: Niezła!.. Niezła!.. Jednak—jeżeli mam być zupełnie szczerzy, to zeszłoroczna, panno Konstancyo, była niezaprzeczenie lepsza... Tutaj przebija jakiś smaczek, czy aromacik, że tak powiem... obcy... nutki..

I oto ciocia Kostusia do żywego dotknęta.

Cóż teraz powiedzieć o własnej osobie? Jeżeli co chłopca nudzi i gniewa, to z pewnością wieczne uwagi nad jego wyglądem? a tych mi pułkownik nie szczędził nigdy. Nie pamiętam, aby mnie kiedykolwiek innemi słowami przywitał, jak: „Dzień dobry, kawalerze! Cóż tam znowu wyglądasz, jak placek owsiany? Pewnie Bunia kochanego wnuczka samemi ciastkami karmi?.. Albo: Jak się masz, Henryczku? Cóż to, kaszlesz tak paskudnie? Tu niby nawiasem i głosem grobowym dodawał: Kubek w kubek jak nieboszczyk ojciec...

Nieraz mnie taka złość na niego porывała, że się z niej ciocia Kostusi, dla ulżenia sercu, zwierzałem. Ona go wprawdzie bronila, ale słabo:

— Widzisz, kotku, to stary przyjaciel dziadzia i całej rodziny.. Szczerzy, bo szczerzy! Czasem nawet zbyt... ale trzeba mieć wyrozumiałość...

Dziwiłem się nieraz w późniejszym już wieku przyczynie zażyłości, jaka między nim a moim tak dobrym, szlachetnym, nigdy o nikim źle nie mówiącym, dziadem panowała; doszedłem do przekonania, że owym tak silnym między nimi łącznikiem była wspólna passya do piklety i preferansa. Obaj w obu grach za mistrzów się uważali, a niedzielna partyjka stanowiła jedyną rozrywkę w smutnej egzystencji dziadka.

Przy zielonym stoliku rozgrywały się często pocieszne sceny; biedny profesor, dystrakt, jakich mało, padał zwykle ofiarą swych dystrakcyi i „leżał“ ku wielkiemu swemu przerażeniu, za co go dziad mój regularnie łajał, a pułkownik niemiłosiernie wydrwiwał. On sam biadał na swój „pech“ łamaną polszczyzną w tak zabawny sposób, przyczem raz po raz ze zmartwienia i irytacji zażywał takie olbrzymie porcje tabaki, że trudno było dla widza wstrzymać się od śmiechu;—litowała się nad nim i z nim współczuła jedynie ciocia Kostusia, której, mówiąc nawiasem, był on, kilkakrotnie odrzuconym, a zawsze wiernym, konkurentem.

O tym afekcie profesora, dziad mój, w chwilach dobrego humoru, wspominał nieraz żartobliwie, jak i żartobliwie namawiał córkę, aby stałość tak przykładną nagrodziła raz przecie wzajemnością.

Ciotka słowa ojca z uśmiechem przyjmowała, a na jego przycinki zwykła była odpowiadać, że ostateczną decyzję na później odkłada, bo gwałtu niema, oboje czas mają czekać, a że choć profesora szczerze lubi, to za niego obecnie nie wyjdzie, bo wie, żeby rodzice i Henryczek bez niej sobie rady nie dali.

W tej odpowiedzi leżało coś prawdy.

Ciocia Kostusia była nam wszystkim więcej, niż potrzebną, bo niezbędną, czuła to dobrze, więc zabiegi swego adoratora w żart obracała, nie wahając się z miłości dla nas własne szczęście poświęcić; czyniła to jednak w sposób tak prosty, tak jakiś cichy i pozbawiony wszelkiego „patosu“, że ani ja, co było z powodu mego wieku naturalnem, ani też dziadostwo tej jej ofiary nie byli świadomi.

Ona-to rzeczywiście całym domem zarządzała, od rana do wieczora dzwoniąc kluczykami, biegając szybkim drobnym kłusikiem po podwórzu i ogrodzie; zajęcia jej były tak liczne i różne, że trudno było pojąć, jak jej dzień na nie mógł starczyć, bo prócz gospodarstwa, trudniła się i głośnem czytaniem dziadostw, i prowadzeniem rachunków, i apteczką, i cerowaniem bielizny, i przerabianiem starych rzeczy na nowe, i wreszcie, zanim mnie do szkół posłano, udzielaniem mi początków nauki.

Miałem lat dziesięć, jedenaście najwyżej, kiedy po raz pierwszy zauważyłem, że ciocia i Bunia mają jakiś przed dziadziem wspólny ważny sekret; czasami—bardzo zresztą rzadko, zaledwie co kilka miesięcy, odbierała jedna z nich list, pokryty obcemi znaczkami (te znaczki pierwsze uwadze mojej podpadły, bo któż swego czasu z zapalem znaczków nie zbierał?) Gdy taki list przyszedł, odczytywały go zwykle razem, potajemnie, w pokoju cioci, zawsze się nad nim łzami zalewając, potem całemi dniami, a nawet tygodniami, chodziły obie jak struto,

a z poobiedniej drzemki dziadka korzystały, aby z sobą długie, ciche odbywać narady.

Tego samego roku, kiedy odkrycie to zrobiłem, Bunia poczęła niedomagać na oczy. Wzrok jej, zawsze słaby, od niejakiego czasu z każdym dniem słabszym się stawał, a gdy dziadek, zaniepokojony groźnemi objawami, coraz to nowych sprowadzał okulistów, ona tylko ramionami wzruszała, szepcząc do cioci Kostusi:

— Co mi tam oni pomogą? Co mi już po oczach? Do reszty je wnet wypłaczę...

Kiedy tę moją drogą, starą Bunię wspominam—tę Bunię moją o osłabionym wzroku, przytępionym słuchu, a tak gorącym, kochającym sercu, staje mi ona w pamięci, jak żywa—niemal dotykalna.. Widzę jej postać drobną w tym samym zawsze stroju, a więc w gładkiej ciemnej sukni, staroświeckim krojem sporządzonej, w czepeczku białym, liliowemi przystrojonym wstążkami, tak ładnie od jej srebrzystych loczków odbijającemi; później, widzę ją biedną z zielonym daszkiem na czole; później jeszcze, gdy już zupełnie „oczy wypłakała“, wolnym posuwającą się krokiem, z laską, której rączka głowę bociana przedstawiała, a którą przed sobą macała drogę...

Zanim jednak Bóg na nią—i na nas wszystkich—ten cios srogi zesłał, przebyła inny, dla niej samej może mniej dotkliwy, lecz za to w następstwa obfitszy.—Późną jesienią 18—r. wieczorem siedzieliśmy wszyscy razem w salonie; dziad, według zwyczaju, kładł pasyans z pomocą Buni. Ciotka jedną ze swych wiecznych robótek ręcznych była zajęta, ja zaś na uboczu kończyłem właśnie przysposabiać się do szkoły, gdy w tem hałas usłyszeliśmy na dworze i do pokoju wpadł zdyszany Pułkownik. Już sam sposób gwałtowny, w jaki szarpnął przed domem za dzwonek, sposób, w jaki drzwi otworzył, zapowiadał niezwykle jakieś zdarzenie.

Spojrzeliśmy na niego ciekawie. On, nie pozdrowiwszy nikogo, szybko do dziadka przystąpił, chwycił go za rękę i pośpiesznie wyrzekł: „Wiesz już?“

Dziadek szeroko rozwarł oczy i zbladł przeraźliwie:

— Co? nic nie wiem... Mów! Mów dla Boga!

Głos uwiązał mu w krtani. I Bunia też wylekła twarz do pułkownika zwróciła...

A pułkownik począł mówić z namaszczeniem:

— Złe wieści... złe wieści przynoszę, kochani, drodzy państwo... Może zresztą okażą się jeszcze fałszywemi. Z serca życzę... Jednak trzeba się przygotować, uzbroić zawczasu w siłę do zniesienia ciosu... trzeba mężnie stawić czoło...

Niel nigdy nie zapomnę słów jego i tonu... Słów wrzekomego współczucia, tonu uroczystego, w którym przebijało skryte zadowolenie... Jeżeli nie posądzam pułkownika wprost o radość z cudzego nieszczęścia, to jednak przekonany jestem, że możliwość oznajmienia złych wieści niepospolitą sprawiała mu przyjemność. W końcu urwał przedmowę, wyjął z kieszeni Gazetę lwowską i przeczytał nam ustęp o krachu i ucieczce bankiera, u którego biedny mój dziad znaczną część swego ciężko zapracowanego majątku był złożył.

Nastąpiła chwila milczenia. Dziadek odetchnął parę razy głęboko, przetaił ruchem sobie zwykłym czoło, oparł głowę na rękę i, bez jednego słowa skargi, popadł w zadumę. Bunia spojrzała na cicię Kostusią i—rzecz dziwna! Wszyscy troje zdawali się z cicha składać dziękczynienia. Czyż cios ten nie był dość straszny? Czyż spodziewano się, a raczej obawiano czegoś gorszego jeszcze?

Na mnie, choć nie rozumiałem dobrze doniosłości naszej straty, słowo „ruina“, wymówione i powtórzone kilkakrotnie przez pułkownika, zrobiło tak wielkie wrażenie, takim napełniło mię strachem, że mi się na płacz zebrało. Dziadek zwrócił się ku mnie i począł mnie gładzić po głowie...

— Płaczesz, Henrysiu?.. rzekł spokojnie... ha! zapewne! Myśmy już starzy... więc to raczej jego strata... Myślałem, że praca moja jemu byt zapewni... Trudno! Inaczej Pan Bóg zarządził...

Bunia wtrąciła: Niech się Jego wola staniel.. Może i tak lepiej. Słowa poddania snąć nie przypadły do smaku pułkownikowi.

— Może i tak lepiej!.. powtórzył.—To mi się podobał. Może i tak lepiej!.. Łatwo mówić!.. Chyba sobie państwo sprawy nie zdajecie ze skutków, które ta katastrofa za sobą pociągnie... Ubytek 50,000 fl., to dla Rothschilda fraszka, bagatelal.. Ale dla was, o ile mi są wasze stosunki znane, to zmiana trybu całego życia... to nie nędza, zapewne! ale granicząca z nią mierność...

— Damy sobie jakoś radę, damy! —rzekła cicia Kostusia z energią.

— Nie w bogactwie szczęście,—dodała Bunia,—ale w zgodzie rodzinnej, w spokoju sumienia.

Pułkownik przerwał jej bez ceremonii i z rosnącym gniewem pięścią w gazetę uderzył:

— Listy gończe wysłałem! Wielka mi sztuka! W czterdzieści ośm godzin po jego drapięciu! W sam czas! Dyabła tam go złapią! Zresztą, chociaż i złapią, to i co? Skradzionych pieniędzy nie odda. Skażą szelmę na kilka miesięcy więzienia i koniec... Pocięcha dla poszkodowanych!.. A jemu, hultajowi, z oczu patrzyło łajdactwo!..

Proroczym instynktem wiedziony, przestrzegałem was przed nim... tego mi nie zaprzeczyciel.. Przestrzegałem!

Długo jeszcze przyjacieli domu na tę nutę mówił, nie odbierając żadnej odpowiedzi; dziadek nie zdawał się go nawet słyszeć; Bunia mną się zajęła, ciocia zaś Kostusia poczęła natychmiast z ołówkiem w rękę przemyśliwać nad sposobami zmniejszenia wydatków i związała końca z końcem.

Jeżeli kto poniesioną stratę na razie dotkliwie odczuł, to pewno ona, biedactwo; na jej barki podwójny spadł teraz ciężar, jedną służącą bowiem oddalono; ona więc, by wszystkiemu podołać, nowych trudów się podjąć musiała; ze świtem już była na nogach—późną nocą się kładła; oszczędności zaprowadzała gorliwie; ze stołu naszego znikły zupełnie dawne przysmaki—wino, jeden dziadek dostawał; mnie częściej, niż dotąd, zalecała, abym rzeczy szanował, na kolanach się po ziemi nie czolgał, książek nie walał.

Zresztą, jak przed, tak i po naszej „ruinie“, niczego nie brak mi było na świecie, a żywot mój płynął spokojnie, żadną troską nie zamącony.

Pierwszej boleści, rzeczywistej i głębokiej, zaznałem dopiero w roku następnym. Miałem wówczas lat dwanaście.

Dziadek od owej pieniężnej katastrofy postarzał się znacznie; mało już się zajmował swemi drogiemi zbiorami; często wspominał o potrzebie pozbycia się swej cennej biblioteki; antykwaryuszów, znoszących mu białe kruki, odprawiał z niczem; całemi godzinami prześiadywał przy kominku lub w dnie pogodne na werendzie, z oczyma wlepionemi w przestwór.

Pewnego dnia, gdy bawiąc się w jego obecności w ogrodzie, raz po raz spotykałem wejrzenie jego, uporczywie na mnie spoczywające, zbliżyłem się do niego z zapytaniem:

— Czy dziadzio czego potrzebuje?

On wziął mnie za rękę z jakimś dziwnym wyrazem smutku na twarzy.

— Henrysiu—rzekł po chwili—masz dopiero lat dwanaście... Więc długo jeszcze musisz się uczyć, zanim będziesz skończonym mężczyzną... Ja pewno tej chwili już nie dożyję.—Nie przerywaj mi, mój pieścioszku... Przyszłość w rękę Boga... Nie nam ją zgłębiać, ani jej się lękać... Ja tylko chcę ci powiedzieć, zalecić, w pamięć twoją, w serduszko wpoić, że gorącym życzeniem twego starego dziadka, jego ustawiczną modlitwą jest, abyś całe życie twoje pozostał uczciwym człowiekiem.—A wiesz ty, mój chłopcze, co to jest uczciwość?..

Rozumiałem ja dobrze ogólne znaczenie tego słowa, jednak, zaskoczony pytaniem, określić go w pierwszej chwili nie mogłem jasno; więc zająknąłem się, a po namyśle, odrzekłem:

— Uczciwość, to... to nie kraść..

Dziadek poważnie skłonił głowę.

— Tak jest—nie kraść.. Nie przywłaszczać sobie nigdy cudzego mienia, ni żadnej własności; w niczem, ani na mieniu, ani na sławie bliźniego nie krzywdzić, we wszystkim postępować tak, aby się czyste miało sumienie i czyste nazwisko dzieciom swoim zostawiło.. Będziesz pamiętał?

— Będę.

Pogładził mnie parę razy po twarzy i rzekł:

— Idź się bawić teraz.

Tego samego dnia pod wieczór zaczął się uzalać na podagrę w nodze.—Nazajutrz—była to niedziela Palmowa, a dzień cudownie piękny—mimo przestrzeżeń Buni, pojechał on ze mną karyolką do miasta na nabożeństwo; w kościele tłum był wielki i skwar nieznośny; zauważyłem, siedząc obok niego, że surdut rozpiął i z trudnością oddychać się zdawał. Około godziny 4-ej po południu, gdy ciotka na nieszpory podążyła, Bunia zaś w swoim przyciemnionym pokoju spoczywała, ja znów z dziadkiem znalazłem się sam na sam, jak dnia poprzedniego, na werendzie; korzystając ze święta, zatopiłem się z najwyższym zajęciem w niedawno co przez ciotkę mi danych dziełach Coopera; on zaś na wpół drzemał, trzymając przed sobą rozwartą księgę spowiedzi Św. Augustyna, ulubione jego niedzielne czytanie. Nagle, śród ciszy, w koło nas panującej, rzadko kiedy turkotem wozu na drodze przerwanej, doleciały nas dalekie dźwięki dzwonów kościelnych. Mimowoli oderwałem oczy od książki i spojrzałem na niego. Jakaś zmiana w jego twarzy, niezwykle spokój, majestat, a zarazem i skamieniałość—sam nie wiem, jak wyraz ten nazwać—uderzyła mnie i zatrwożyła. Skoczyłem ku niemu,—szepnąłem „dziadziu!“ najpierw cicho, potem głośniej, coraz głośniej, aż wreszcie szept mój w przeraźliwy krzyk się zamienił.. Chwyciłem go za rękę, opadła bezwładnie.. był nieżywy!..

Oszczędził mu Pan Bóg w miłosierdziu swoim długich cierpień, trwogi konania, bólu rozstania, wysłał po sługę swego Anioła Śmierci, który go śród rozmyślań o wieczności do wieczności uniósł..

O te dnie straszne pierwszej żałoby! Te lzy, ta boleść Buni, ciotki Kostusi, ten smutek ogólny i ten dalszy bieg powszedniego życia, które się ludzką boleścią ani na sekundę powstrzymać nie da!

Daremnie nsiłował-bym wrażenia moje opisać;—wszystko się dziwnie w pamięci mojej, jeżeli nie zatarło, to pomieszało; jasno w niej



pozostał wyryty tylko jeden obraz: eksportacya. Widzę przedpokój zamieniony w rodzaj kaplicy; na wywyższeniu śród gorejących świateł stoi wielka dębowa trumna, zarzucona kwiatami; dokoła ciśnie się tłum ciekawy obcych ludzi, których poważnie u progu wita pułkownik, w czarną, odświętną przybrany czamare; urywki różnych przytłumionych rozmów dolatują uszu moich, po części zagłuszone pompatycznym głosem pułkownika: Cios straszny.. niespodziewany... Strata niepowetowana... Przestrzegałem nieraz... przestrzegałem...

Obok mnie rozlega się bez przerwy gwałtowne łkanie; wzrok mój pada na pochyloną postać profesora Hudełki, który z oczyma, wlepionemi w trumnę, zalewa się potokiem gorących łez i co chwila swą zatabaczoną kraciatą chustką po twarzy je rozmazuje...

Przez sekundę, mgnienie oka, widok ten budzi we mnie coś nakształt uśmiechu, na sekundę zapominam... a w tem głos basowy księży intonuje przejmujący psalm „Miserere mei Deus“; tłum się porusza, rozstępuje, zdejmują świece z katafalku, podnoszą trumnę, a ja pojmuję, że dziadzio mój najdroższy na zawsze dom nasz opuszcza i głośnym wybucham płaczem.

Wszystko przemija, a czas wszystko koi; ukoił niebawem i naszą pierwszą boleść. Powoli życie do dawnego wróciło ładu; dworek wywietrzono, uporządkowano; do pokoju mego dziadka przeniosła się Bunia, ja zaś jej sypialny, jako widniejszy i obszerniejszy od mojego dotychczasowego, zająłem; korzystając z cudownej pogody, spędzaliśmy wszystkie wolne godziny to na werendzie, to w ogrodzie, skąd co kilka dni wynosiliśmy snopy najpiękniejszych róż, by je składać na grobie dziada.

Bunia, choć przybita i smutna bardzo, znosiła jednak ból swój z tym spokojem, jaki daje wiek podeszły i wiara, przytem zdawała się mieć myśl wiecznie i wyłącznie jednym wypadkiem dnia zajętą: oczekiwała przybycia listonosza.

Nieraz, gdy koło godziny trzeciej krok jaki zabrzmiał na drodze, wzdłuż ogrodu naszego się ciągnącej, podnosiła swą białą głowę, nasuwała zielony daszek na oczy i chciwie ku sztachetom spoglądała. A biedne jej oczy próżno się natężyły—nic! zgoła nic dojrzeć już nie mogły.. Czasami przywoływała mnie do siebie:

— Henrysiu, skoczno do furtki! Wyjrzyj na drogę, czy tam listonosz nie idzie...

Dnie płynęły, listonosz dwa razy dziennie drogą przechodził, ale za każdym razem furtkę naszą mijał; a Bunia z westchnieniem znów swą białą głowę na piersi opuszczała.

Raz—było to może sześć tygodni po śmierci dziadka—zacieka-wiony spytałem:

— Od kogo też Bunia tak listu wyczekuje?

Ona drgnęła i z przestraciem obejrzała się na miejsce, gdzie za-wsze dawniej dziadek przesiadywał, potem dała mi ręką znak, abym się do niej zbliżył i przyciszonym głosem poczęła mówić:

— Czyś ty nigdy nie słyszał o twoim wuju Zyginuncie?

— Nigdy!—odrzekłem zdziwiony,—kto to jest, Buniu?

— To jest mój syn, kotku,—mój jedyny, ukochany syn.

Tu Buni łyż w oczach zabłyśły, ale ja z naturalną ciekawością dziecka nalegałem dalej:

— O, niech mi Bunia o nim opowie! Gdzie on jest? Czemu tu do nas nigdy nie przychodzi?

Bunia rzekła:—Widzisz, kotku, dawno już... ol tak, dawno temu, dziadzio się na Zygmunta pogniewał.

— Za co?—zagadnąłem.

— Zygmunt był chłopcem bardzo porywczym, a przytem i bar-dzo lekkomyślnym... miał złote serce, ale głowę szaloną... Jako dziec-ko jeszcze, broił bez liku, prawie bezwiednie, później żałował za swe przewinienia, przeproszał, obiecywał poprawę... A gdy chciał, umiał być tak pieśczośliwy, tak potulny, że nikt długo urazy do niego ży-wić nie był w stanie; wszyscy za nim, bez wyjątku, przepadalili.. I zdolności miał wielkie.. uczył się doskonale... kiedy chciał... Cóż, kiedy nie zawsze chciał! Twierdził, że go tam w szkołach podobno przesładowano... Dziadzio znów był nieraz zbyt surowy, wymagają-cy... powstawały starcia, przy których się obaj unosili... Szczegółów dowiesz się później... Dość, że kiedy dorósł, dziadzio mu raz, skutkiem jego postępowania, do domu przyjeżdżać przez jakiś czas zabronił.— On, nieborak, pewno więcej ze zmartwienia, niż na przekór, dał się wciągnąć do złego towarzystwa i coraz bardziej swem prowadzeniem dziadzia gryzł i gniewał... Coraz smutniejsze o nim dochodziły nas wieści, aż naraz, doszła... okropna!.. Inni zawinili, na niego padło po-dejrzenie!.. Nikt się nie znalazł, ktoby go wziął w obronę, nikt się za nim nie ujął.. Moje biedne, nieszczęśliwe chłopczysko, zamiast się wytłomaczyć, niewinność swoją wykazać, dowieść, bo niewinny był z pe-wnością!—stracił głowę, uląkł się gniewu ojca, hańby... i uciekł...

— Dąkał?—spytałem.

— Bóg raczy wiedzieć... długie lata spędził w Kalifornii, później w Meksyku, w Indyach, w Tonkinie... I złoto kopał, i bandlem się tru-dnił, i w wojsku służył, i różne, różne przechodził koleje, wszędzie z bie-dą walcząc... Czasem, bywało, pisywał do mnie lub do cioci Kostusi dosyć regularnie, dawał obszernie o sobie wiadomości, o wsparcie bła-

gał... Czasem mijały i lata bez słówka od niego!.. Oj ciężka, ciężka była jego dola!..

— Dziadzio nigdy nie przebaczył?

— Nigdy, kotku... zakazał imię jego przed sobą wymawiać... Ja ci całej sprawy wyjaśnić teraz nie mogę, Henrysiu, ale widzisz, wszystkie pozory przeciw niemu były... cały świat miał go za winnego, oprócz mnie jednej... Dla dziadzia wrzekome splamienie nazwiska było ciosem tak strasznym, że bez wahania porzucił stanowisko swoje przy głównym szpitalu, ze wszystkimi zerwał, Warszawę opuścił, przeniósł się do tego tu zakątka i tu się, wraz ze wstydem swoim, jak mawiał, zagrzebał... Do śmierci sądu nie zmienił...

Babka umilkła, ja się głęboko zamyśliłem...

— A teraz—spytałem po chwili—teraz... czy powróci?

— Bo ja wiem! Bo ja wiem!.. Tyle już listów moich bez odpowiedzi pozostało!.. Jego ostatni był z Chicago... wysłany w przeddzień wyjazdu do Baltimore. Nosił się z jakimiś nowymi projektami, pisał o zwrocie szczęścia, o jakimś swoim wynalazku, mającym mu majątek zapewnić... odtąd nic nie wiem... nic... wciąż czekam...

Rozmowa nasza przerwaną została skrzypnięciem furtki ogrodowej.

Bunia natychmiast podniosła głowę, pytając: Kto to?

Odrzekłem: Tylko profesor... I pobiegłem się z nim przywitać.

Pocziwy profesor, od śmierci dziadka częstszym stał się u nas gościem, niż dawniej; odwiedzał nas nawet śród tygodnia, starając się wszelkimi możliwymi sposobami samotność naszą rozerwać; czasem wieczorem przynosił swoje skrzypce i wygrywał na nich z natchnionym wzrokiem, w sufit wlepionym, własne utwory.

Tym razem, bez skrzypiec, ale za to z dziwnie uroczystą i zmienioną twarzą; zmianę tę spostrzegłem od razu, a że byłem u niego w łaskach, więc bez ogródki spytałem:

— Czemu to profesor dziś okulary binoklami zastąpił?

On zmieszał się mocno.

— O! zaraz zobaczył! doprawdy!..—zawołał z przymuszonym śmiechem—okulary się stłukły... przypadek! No! nie więcej!.. Co w tem dziwnego?

Sięgnął do kieszeni po tabakierkę, ale jej nie wy dobył, tylko ruchem nerwowym począł gładzić swe wiecznie rozczochrane włosy i o ciocię Kostusią zapytał.

— Pójdź jej oznajmić, że profesor przyszedł,—rzekła do mnie Bunia, a ja śpiesznie polecałem wykonać jej zlecenie, aby móżdżek potem we własnym pokoju się zainknać i dowoli zastanowić nad dopiero co usłyszaną tajemnicą.

Wielkie ona na mnie uczyniła wrażenie, ciekawość bezdenną we mnie rozbudziła.

Ów nieznanym wuj, który tyle lez Bunię kosztował, tyle lat po szerokim tułał się świecie, własnoręcznie złota szukał, w rzeczywistych waleczył bitwach, oblekł od razu w moich oczach postać bohatera. Krótko tylko i pobieżnie myśl moją zatrzymałem nad tym jego za młodu popełnionym czynem, który dziada tak srogo rozgniewał;—Bunia zresztą z takim przekonaniem powiedziała: On był z pewnością niewinny! że i ja na ślepo w niewinność jego uwierzyłem. Marzyłem teraz o jego możliwym powrocie i od razu gorąco tego powrotu zapragnąłem, już dla tego samego, aby na własne uszy usłyszeć opowieści jego rozlicznych prawdziwych przygód, które się równać musiały opowieściom z tysiąca i jednej nocy; wyobraźnia moja tak silnie była podniecona, że o niczem innem myśleć nie byłem w stanie. A jednak, stało napisaniem, że dzień ten miał nową przynieść mi niespodziankę.

Po mniej więcej półgodzinnym pobycie w pokoju, wziąłem ulubioną moją książkę Coopera i poszedłem usiąść na ławce, tuż pod tylnymi oknami saloniku stojącej. Wiedziałem, że tam mnie nikt nie odzyska i nie przerwie dalszego ciągu moich rozmyślań. Rozpuściłem im też ponownie wodze. Nagle zbudził mię i do rzeczywistości napowrót przywołał odgłos kroków w salonie i rozmowy w nim prowadzonej. Okna były rozwarte; każde słowo wyraźnie mię dochodziło.

Profesor mówił głosem wzruszonym:

— Pragnąłem rozmówić się z panią na osobności, droga panno Konstancyo, mam bowiem ważny, bardzo ważny interes...

Zaciął się, a ciocia odrzekła:

— Słucham.

— Pani wie, a raczej pani nie wie, jak ja ją wysoko cenię, poważam... jak na jej sądzie polegam... jak mi na jej radzie zależy... Otóż tu chodzi o los mój, o szczęście całego życia.

Na te słowa przyszło mi do głowy, że profesor po raz setny się cioci Kostusi oświadczać zamierza i ona tę samą myśl mieć musiała, bo słyszałem dokładnie, jak krzesło odsunęła, przerywając mu:

— Ależ, kochany profesorze, dajmy temu jeszcze pokój...

On ciągnął dalej:

— Ja wiem, że jestem już stary, lecz z drugiej strony i starsi ode mnie się żenią... Podobać się nie mogę, prawda! zwłaszcza takiej młodej, słodkiej istocie... Ale jak-bym jej byt zapewnił, życie według sił osłodził, otoczył ją najczulszą opieką, miłością; jakby widziała, że ja niczego, prócz jej szczęścia, nie pragnę, to możeby się z czasem i przywiązała... co pani myśli? Jakże?..

Nastała chwila milczenia.

Wreszcie ciocia Kostusia rzekła cicho, jakby z pewnem wysileniem:

— Ja nie rozumiem... ja nie wiem, o kim i o czem profesor mówi...

A on wybuchnął porywczo i gwałtownie, tak, że aż tchu złapać nie mógł i językiem piątał:

— Ot! zgłupiałem do reszty!.. Prawda! Ja panią o radę pytam, a pani nic jeszcze nie wie!.. Ja już dawno chciałem mówić, ale się bałem, wahałem... bo to przecie... małżeństwo, to nie żart! A ona taka młoda! Ja ją, pani, przed rokiem poznałem, daję jej lekcye śpiewu... ona ma głos... ach! co za głos! co za głos! Chce do teatru wstąpić... Ale mi strach... Jej do teatru szkoda... A teraz w dodatku umarła jej matka... Została sama na świecie, bez opieki, bez nikogo... w nędzy... Pani rozumie teraz, dla czego ja się z nią chcę żenić?..

Zrozumiałem i ja, choć nieco późno, że zwierzenia biednego profesora nie były dla moich uszu przeznaczone;—opuściłem więc po cichu moją ławkę i wyniosłem się w głąb ogrodu.

Kiedy nas godzina wieczery znów wszystkich na werendzie zgromadziła, wynik narady profesora z ciotką wyczytałem na jego rozpromienionej twarzy. Już i Bunia musiała być w całą sprawę wtajemniczona, bo kilka razy z jego roztargnienia zażartowała; jedna ciocia wydała mi się przygnębiona, choć widocznie usiłująca przygnębienie to ukryć. Przy rozstaniu rzekła jednak ze zwykłą sobie serdecznością:

— A więc, w niedzielę, profesorze, oczekujemy go z panną Alą—do widzenia!

A on ją w rękę pocałował,—przyczem mu po raz dziesiąty binokle z nosa spadły,—powtarzając z rozczuleniem:

— Do widzenia! Do widzenia! zobaczy pani, co to z niej za dobre, śliczne, kochane jest dzieckol..

Po jego odejściu, Bunia poczęła głową kiwać:

— Poczciwe człowieczyskol.. Jakie to do niego podobne, żenić się z ledwo sobie znaną panienką, dla wyratowania jej z nędzy... dla zapewnienia losu sierociel.. Niech im Bóg pobłogosławi!.. Swoją drogą, Kostusiu, odżatować nie mogę żeś... swego czasu...

Ale ciocia Kostusia przerwała głosem, w którym jakby lzy drgały:

— Niech mameczka niczego nie żałuje; czyż nam z sobą razem nie dobrze?

W niedzielę, jak było umówionem, przyprowadził nam po raz pierwszy swoją narzeczoną.—Po raz pierwszą ujrzałem Alę.

Chciał-bym—a! chciał-bym ją móżdż opisać, nie tak, jak na nią patrzałem później, ani jak patrzę, oczyma duszy, teraz, ale tak, jak ją wówczas memi dziecinnymi, a już oczarowanymi oczyma widziałem!..

We mnie, pamiętam, zapowiedziana wizyta nie budziła tyle ciekawości, ile jakiegoś rodzaju niechęci. Byłem z natury nieśmiały i dzi-ki; każde zbliżenie się do osoby obcej kosztowało mię walkę i przymus; cóż dopiero powiedzieć o przypuszczeniu takiej osoby do naszego najbliższego zażyłego kółka, wśród którego od dzieciństwa obracać się przywykłem?

Profesora szczerze kochałem; ale tak już egoizm stanowi częstkę natury ludzkiej, że niemal żal do niego czułem za to jego niespodziewane postanowienie, uważając je za coś nas wszystkich wprost krzywdzącego.

Kiedy od furtki ogrodowej ujrzałem jego chudą postać, kroczącą w stronę naszego dworku w towarzystwie drugiej, smukłej, czarno ubranej postaci, zemknąłem bez namysłu w najodleglejszy kąt ogrodu. Słyszałem nieco później, jak mię z werendy wołano; jednak ukrycie moje nie tak prędko opuściłem. W godzinę może potem dopiero odwaga mi powróciła. Wolnym krokiem zbliżyłem się ku domowi, pilnie nasłuchując, skąd mię głosy doleczą. Stentorowy śmiech profesora rozległ się niebawem w salonie, tam więc podążyłem; drzwi do pokoju były otwarte; cicho, niepostrzeżenie się przez nie wsunąłem i jednym rzutem oka ogarnąłem wszystkich obecnych. Bunia z uśmiechniętą twarzą siedziała na swem zwykłym miejscu przed kominem; profesor stał obok fortepianu i nuty z teki wyciągał; ciocia Kostusia wyłącznie zajęta się zdawała ową smukłą, czarno ubraną postacią, z daleka przeze mnie dojrzaną, a ona, Ala, w tej chwili ku niej zwracała swe ciemne, wpół zmruczone, oczy.

Jeżeli za mały byłem, aby dostrzedz, odrazu zauważyć poszczególne rysy obcej mi twarzy, to te jej ciemne, wpół zmruczone oczy zauważyłem odrazu. I zauważyłem zarazem, że była bardzo młoda, i bardzo piękna, i bardzo jakaś strwożona.

Ciocia Kostusia pierwsza mię ujrzała.

— A gdzieżeś ty siedział, Henrysiu, że tak późno przychodzisz? Wołałiśmy cię, wołali i dowołać się nie mogli... No, chodź ze tu... przywitaj się z panną Alą...

Ona ku mnie rękę wyciągnęła.

— Ja wiem—rzekła—że Henryś jest przyjacielem profesora; może i moim z czasem zostanie; co, Henrysiu?

Zaczerwieniłem się po uszy i, nisko spuszcżając głowę, mruknąłem coś, co mogło za „tak“ uchodzić. A równocześnie dwóch myśli byłem świadomy; najpierw: Jak ona dziwnie R wymawiała! Zupełnie

inaczej niż wszyscy!.. a po drugie: Czemu też moją rękę tak długo w swojej trzymał!.. Żeby ją też już raz puścił!..

Puściła niebawem, powtarzając z naciskiem:

— Jak się lepiej poznamy, to się z pewnością i polubimy—z pewnością!..

A ciocia, chcąc wytłómaczyć moje milczenie, dodała:

— Z niego dzikus okropny!

Dałem tego dowody, bo tego wieczoru nikt głosu mego nie usłyszał; ale jeżeli nie mówiłem, to patrzałem i słuchałem za to z całą siłą i każdy szczegół tych kilku godzin na zawsze się w pamięci mojej wyrył.

Profesor chciał się widocznie popisać wszelkimi talentami swej narzeczonej; w tym celu przyniósł z sobą skrzypce.

Gdy się ściemniło i rozmowa mniej ożywioną się stała, zbliżył się do niej i rzekł:

— Teraz, Ala, będziesz śpiewać... dobrze?

Wstała posłusznie i odpowiedziała:

— Dobrze;—co pan każe?

— Serenadę Bragi, na początek... umiesz ją na pamięć.

Począł, strojąc skrzypce, tłumaczyć nam, profanom, znaczenie słów tej serenady, a więc: pożegnanie konającego dziecka z matką, które już słyszy daleki śpiew aniołów; potem spojrzął na Alę, dał znak i —popłynęła pieśń...

Znacie wy Serenadę Bragi?..

Wrażenia, jakie na mnie, na mój umysł, na moje nerwy wywarła, upojenia, jakim serce moje wezbrało, ani nie spróbuję słowami określić. Słuchałem tej melodyi cudownej—do głębi wstrząsającego jęku skrzypiec, głosu Ali, w którym drżał ból i rozkosz naprzemian, wzrok wpoilem w zaledwie już dostrzegalną jej postać, w jej ciemne, w pół zmrużone oczy, i moje mi łzami zaszyły...

O mamma, buona notte, io seguo il suon... io segu il suon...

Wstydziłem się płakać, zagryzałem wargi, a łzy mi strumieniem po twarzy spływały...

Kiedy się ostatnie akorda fortepianu urwały, ostatnie przejmujące „Io seguo il suon“ w powietrzu rozwiało, zbudziłem się jakby ze snu. Ciocia Kostusia, drżąca cała ze wzruszenia, przystąpiła do Ali, chwyciła ją za głowę, a całując, powtarzała tylko, słowami profesora:

— Co to za głos! Dziecko moje! Co to za głos!..

A profesor tryumfował otwarcie, z odniesionego wrażenia wielce zadowolony:

— Nie mówiłem? prawda? Ładnie śpiewa... podoba się, co?

I sięgał raz po raz, ruchem mechanicznym, do kieszeni po tabakierkę, której jednak nie wydobywał.

Ale Ala takich tryumfów zwyczajną być musiała, bo pochwały chłodno przyjęła, a na jej usta zaledwie słaby uśmiezek wystąpił.

— Zmęczona dziś jestem—rzekła—zaśpiewam jeszcze... cóż takiego?.. Ot! Rubinsteina Liedchen... dobrze, panie profesorze? I jeżeli pan pozwoli, na tem zakończę...

— To lepiej wybierz jaką pieśń Gounoda... jedną z tych tutaj.

— Ach! jak ja Liedchen lubię!.. Liedchen takie śliczne!..

I swym ślicznym głosem, ze swemi ciemnymi, na wpół zmrużonemi oczyma, poczęła nucić:

Es war ein alter König,  
Sein Herz war schwer – sein Haupt war grau,  
Der arme alte König!..  
Er nahm eine junge Frau...

Ileż-to razy miałem ja później piosnkę tę usłyszeć!

Cioci Kostusi widocznie jednak do smaku nie bardzo przypadła, bo, wysłuchawszy jej, rzekła:

— Ja się tam na muzyce nie wiele rozumiem, ale wolę, gdy do ładnej melodyi i ładne słowa dołączone.

Profesor machnął ręką niedbale...

— Co tam słowa!.. To bardzo piękny kawałek!.. Ala ma rację... i śpiewa go po mistrzowsku...

— Teraz na profesora kolej!—zawołała Ala,—niech się pan tylko nie każe prosić...

— Nigdy!—odparł, patrząc na nią przez swoje binokle z nietajomnem uwielbieniem.—Rozkazu! Czego pragniesz? Ja zawsze będę twym życzeniom posłuszny!..

— Więc pragnę, aby pan nam zagrał ostatni swój utwór...

I profesor, posłuszny, wsparł brodę na skrzypcach, oczy przewrócił i począł grać.

Przyпускаm, że to, co grał, musiało być ładne, bo po każdym kawałku zbierał rześiste oklaski; ale co do mnie, nic już nie słyszałem. W uszach brzmiał mi chór aniołów, w sercu słowa pożegnalne: O Mamma, buona notte... io seguo il suon...

Już byłem pod czarem...

Owa pierwsza wizyta Ali była tylko zapowiedzią bardzo częstych późniejszych; swą urodą, obejściem i głosem, w krótkim czasie potrafiła podbić zupełnie Bunię i ciocię Kostusię. Ta ostatnia, ze zwykłą so-



bie dobrocią, wzięła ją niejako pod swoją opiekę, zajęła się jej interesami, sporządzeniem wyprawy i pokochała ją całym sercem.

Ślub odbył się w dwa miesiące później, nadwyzczaj skromnie i cicho, aby uniknąć komentarzy ludzkich, a przytem i dlatego, że Ala była jeszcze w żałobie. Po tej uroczystości, na której, z powodu szkoły, nie byłem obecny, całe grono weselne, składające się z sześciu osób, bo z nowożeńców, cici Kostusi, pułkownika, jakiejś koleżanki Ali i dalekiego krewnego profesora, przybyło do nas na śniadanie. I ten obrazek stoi mi dotąd przed oczyma. Mógł-bym z pamięci odrysować wyrazy twarzy wszystkich tych, którzy wówczas zasiedli do tego stołu, przystrojonego w najładniejsze kwiaty, na jakie się tylko nasz ogród mógł zdobyć. Jakiem szczęściem promieniał poczciwy profesor! A jak mu się też świeciła wypomadowana, wygładzona czupryna! Jak nieswojo zdawał się czuć w swym nowym, opiętym, a już poplamionym surducie! Ileż mu to razy binokle z nosa na talerz upadły!.. A i pułkownika pomnę doskonale, i ów drwiący jego uśmiech, z jakim śledził ruchy przyjaciela, i tę galanterię, z jaką się do ucha pani Ali pochylił!.. A ona!.. Ala! Jaka blada była... jaka zmieszana, a jak ślicza w swej popielatej sukience i mirtowym wianku!..

Gdy po śniadaniu całe towarzystwo do ogrodu wyszło, dosłyszałem pułkownika, mówiącego do Buni:

— Zwaryował, szanowna pani, zwaryował nieborak najzupełniej!.. Czy to ma sens? W jego wiekul!.. A przytem kocha się jak kot!.. Zamienił okulary na binokle, przestał zażywać tabaki i myśli, że się jej zdoła podobać!.. Czysta aberracya umysłowa!.. Słowo daję, że aż litość bierze!..

Potem zniżył głos i tylko urywane wyrazy mnie już doszły:

— Kwestya czasu... nic więcej... prosta kwestya czasu... gotów jestem się założyć!..

Nie rozumiałem wówczas słów pułkownika, ale to rozumiałem, że profesor był stary i brzydki, a Ala młoda i ładna, i że tworzyli wielce niedobraną parę.

Po ślubie rozpoczęła się nowa dla wszystkich era; dla profesora, najszczęśliwsza pewno w jego życiu, a i dla nas bardziej ożywiona od poprzednich.

Pani Ala odwiedzała nas zawsze raz w tygodniu, t. j. w niedzielę, według dawnej tradycyi, razem z mężem; śród tygodnia, w wolnych chwilach, a tych miała podostatkiem, przybiegała nieraz sama i te jej wizyty napełniały nasz zwykle cichy i raczej smutny dom jakby całym zasobem życia i wesołości. Na buni zamysłoną twarz, sam odgłos jej kroku, sam dźwięk srebrzysty jej śmiechu, wywoływał wyraz ożywienia; zdawała się ona przynosić z sobą jakby świeży, wonny powiew

wiosenny, zdawała się wkoło siebie rzucać jakby garść promieni słonecznych... I ciocię Kostusię coraz silniej za serce chwyciła swem wesołem szczebiotaniem, swą gotowością do przyłożenia ręki do wszelkich zajęć gospodarskich, całą siłą swej urody i swego uroku; mnie zaś z dniem każdym bardziej oswajała.

Chwilami—bywało—zapominałem zupełnie o mojej dzikości; jej swoboda i moją budziła, jej pustota i mnie się udzielała; goniliśmy się po ogrodzie lub bawili w piłkę, jak dwoje rówieśników; innym razem znów, bez powodu, dzikość porywała mię na nowo; stroniłem od niej, dopóki głos jej nie przywołał mię napowrót do jej boku, dopóki ręka jej pieścizotliwie nie spoczęła na mojej głowie...

— Uciekasz ode mnie... unikasz mnie?.. Czemu mnie unikasz, Riri?..

„Riri“, było to kiedyś żartem nadane mi przez nią przezwisko, li tylko przez nią używane, a wymawiała je w sobie właściwy sposób „Uiui“, jak nikt inny...

Z czasem nawet i te sporadyczne moje napady dzikości przemięły i ustały. Przywiązałem się do niej, jak brat do starszej siostry. Mówiłem z nią zawsze niewiele, bo małomówny byłem z najbliższymi, ale wygłębiałem jej przyjscia z upragnieniem, smuciłem się odejściem, a podczas pobytu jej u nas, nadewszystko lubiłem gdzieś w jej pobliżu się znajdować.

Ona posługiwała się moją osobą często, a że wszelkie jej zlecenia spełniałem chętnie, więc mnie swoim małym paziem zwała; mały paź zaś nigdy szczęśliwszym się nie czuł, jak kiedy wzrok swój mógł wpoić w jej ciemne, w pół zmurzone oczy i całą swą dziecinną duszą, całym sercem, jeszcze uspijonem, ale już, już jakiegoś przebudzenia świadomości, wsłuchiwać się w jej śpiew.

Minął rok, a z początkiem nowego zaszła we mnie zmiana, czy nagle, czy stopniowa, powiedzieć nie umiem, ale zmiana dosyć jednak znaczna, by i mnie samemu podpadła.

Owa nieśmiałość, której się już byłem oddawna w jej obecności pozbył, wróciła teraz, spotęgowana. Kochając panią Alę po dawnemu, inaczej z nią postępowałem. I tak, kiedy po długim a niecierpliwem jej wyczekiwaniu, nareszcie ją ujrzałem nadchodzącą, ogarniał mnie jakiś strach, sam nie wiem, czy przed nią, czy przed naszym przywitaniem, czy przed wejściem do salonu. Wydawałem się sam sobie śmieszny; mimo to, strach ten zapędzał mnie do mego pokoju, lub gdzieś w głąb ogrodu, w której się czułem bezpieczny i którą dopiero po długich namysłach opuszczałem. A wśród tych namysłów i wahań, powtarzałem sobie ciągle w duszy: „Muszą się dziwić mojej nieobecności... trzeba wrócić... już przeszło kwadrans jak tu jestem... będą mnie szu-

kać... chciał-bym wiedzieć, co tam robią... o czym mówią... gdzie siedzą... czy pani Ala jest przy Buni, czy może w pokoju ciotki Kostusi? Trzeba koniecznie wrócić...“

I mówiąc: trzeba koniecznie wrócić, pozostawałem w ukryciu.

Nieraz, spotkawszy z nienacka jej wejrzenie, czerwieniłem się bez przyczyny; lada jej słowo, lada pieszczota, mieszały mnie tak, że wprost przed nią uciekałem, a uciekając, gorąco pragnąłem zbliżenia. Kiedy do mnie, zwłaszcza przy drugich, zagadała, spuszczałem oczy i odpowiadałem pół słówkami, z wysileniem, jakby mnie konieczność odpowiedzi nudziła lub niecierpliwiła, a gdy, zrażona brakiem uprzejmości z mojej strony, urywała rozmowę, serce mi wzbierało żalem i urazą...

Wszystko, co tu opisuję, jest przejściem może bardzo naturalnem i pospolitem; dziś pojmuję je i tłómaczę sobie bez trudności, a jednak każde uczucie silne a bezwiedne, czyli siebie samo nieświadome, stanowi dla mnie, po dziś dzień, zagadkę, do najwyższego stopnia ciekawą. Dzieci, szczególnie, choć wrażeń swych nie analizują, czują zwykle prosto i jasno, wiedzą, co czują i dlaczego co czują. Pierwsze zatem uczucie niejasne, obce, zawikłane, które w nich się rodzi, rodzi zarazem niepokój i jakby trwogę.

Raz, kiedy pani Ala się u nas wraz z mężem znajdowała, on się zbliżył do niej i spytał:

— Coś ty dziś taka milcząca? Czyś chora?

— Nie chora—odrzekła—ale jakaś nieswoja... Głowa mnie boli i dreszcze mnie przechodzą. Musiałam się zaziębić.

Profesor objął ją wpół, przygarnął do siebie i bardzo tkliwie pocałował pieczęć, powtarzając z wyrazem wielkiej czułości:

— Moje biedactwo! Moje ty biedactwo kochane, drogie... niech Bóg uchwala, żebyś mi się nie rozchorowała...

I dotknął ustami jej ust.

Czemu mnie na ten widok serce się tak ścisnęło? Czemu uciekłem do swego pokoju, a rzuciwszy się na łóżko, począłem po ciemku płakać tak gwałtownie, namiętnie, że aż twarz w poduszkę skryłem, by mnie ciocia Kostusia nie usłyszała?..

Nie wiedziałem sam.

Dzisiaj pytam: Jak można cierpieć, a nie wiedzieć, dlaczego się cierpi?..

Jeżeli jednak nikt z mego otoczenia nie zauważył tej zmiany, zaślej w mojem usposobieniu, nie uszła ona uwadze pani Ali. Początkowo śledziła mię z nieokreślonym wyrazem zdziwienia, a razem i rozbawienia w swych ciemnych, wpół zmruczonych oczach; później, zdziwienie w zupełności ustąpiło rozbawieniu, i często, kiedy wzrok jej lub dotknięcie ręki wywołało ów gorący, dla mnie niewytłómaczony, a tak

przykry rumieniec na moje oblicze, ona widocznie lubowała się w powiększaniu jeszcze mego zmieszania, czy to jakim słowem, czy nawet tylko swym tajemniczym uśmiechem.

Całą wiosnę, całe lato trwał u mnie ten stan rozstroju nerwowego; z końcem lata i moich wakacyi, wzmógł się znacznie, skutkiem zaśłego w życiu naszym niespodziewanego zdarzenia.

Pewnego ranka wybiegłem, jak zawsze, do ogrodu z ulubioną książką, wdrapałem się na niewysokie drzewo, w pobliżu furtki rosnące, i usadowiwszy się wśród gałęzi w faworytalnej mojej pozycyi, zatopiłem się niebawem w czytaniu. Odgłos kroków na drodze, którą z wywyższenia mego dojrzeć doskonale mogłem, oderwał moją uwagę. Ujrzałem mężczyznę, zbliżającego się szybko ku naszemu dworkowi: był mi nieznany i wyglądał jakoś obco. Szedł kołyszącym krokiem, z pochyloną nieco naprzód postacią; twarz ocieniona kapeluszem, o szerokim rondzie, pokryta gęstym, ciemnym zarostem, wydała mi się już niemłoda, smagła i chmurna. Przy sztachetach zatrzymał się i wzrok w ogród zatopił, a wzrok musiał mieć przenikliwy, kiedy i mnie wśród moich gałęzi odrazu odkrył. Chmurne oblicze mu się rozjaśniło, białe zęby błysły wśród ciemnej brody i zawołał bez ceremonii, otwierając furtkę:

— A czy nie mógł-bys zlecieć na chwilę z twego gniazda, mój chłopcze, aby się ze mną rozmówić?

Serce mi na te słowa silniej, rodzajem przeczucia, uderzyło; w oka mgnieniu znalazłem się na ziemi; przybysz, z blizka wcale groźnie nie wyglądał, a nawet młodszym mi się wydał, niż z drzewa; ów wyraz surowy, który mi zrazu podpadł, nadawały mu zrosłe nad nosem brwi; coś w jego twarzy, sam zresztą nie wiem co, czy wzrok, czy może uśmiech, przypominał mi ciocię Kostusią. A podczas, gdy te spostrzeżenia w duchu robiłem, on się jeszcze bardziej ku mnie zbliżył i, kładąc mi poufale rękę na ramieniu, począł pytać nieco przytłumionym głosem:

— Kto mieszka w tym dworku?

— Moja babka, pani Łaniecka.

— Al.. Toś ty jest mały Kurt?.. Proszę!.. A babka mieszka sama?

— Z ciocią Kostusią.

Chwilę milczał, potem odwrócił głowę i spytał:

— Kiedy dziadek umarł?

— Półtora roku temu... nawet więcej...

— Babka zdrowa?

— Tak... dosyć, tylko nie widzi już nic.

— Nie widził.. powtórzył jakby z osłupieniem, mój Boże!..

I zamyslił się.

— Czy pan ma do Buni interes?.. wtrąciłem.—Ja pana zaprowadzę...

— Nie! Nie! odparł żywo.—Ja mam wpierv interes do Kostusi, do cioci Kostusi... Idź po nią, przyprowadź ją tu... rozumiesz?

Właśnie się do domu zwróciłem w zamiarze odszukania ciotki, gdy w tem z werendy głos babki nas doleciał:

— Henrysiu... z kim to rozmawiasz? Kto przyszedł?

I jej drobna, zgarbiona postać ukazała się na schodach. Postępowała wolno, ze swym zielonym daszkiem na czole, laską drogę ostrożnie przed sobą macając.

Zakłopotany, spojrzałem na nieznajomego, ale on zdawał się cały widokiem jej przejęty i do głębi wstrząśnięty; twarz mu pobladła, usta kurczowo zacisnęła.

— To... rzekłem po namyśle, to z interese... do cioci Kostusi...

— Kto taki? Kto?—powtórzyła.

Zamilkłem, a ona odrazu, jakby jej biedne wyplakane oczy były się naraz otworzyły, jakby rzeczywiście była w tej chwili przejrzała, wypuściła kij, drżące ręce przed siebie wyciągnęła i z dzikim, rozdzierającym krzykiem radości, zbiegła ze schodów i rzuciła się ku nam.

— To on! on! on!.. Nareszciel.. Zygmunt!.. Nareszciel.. O mój, jedyny!..

A nieznajomy podbiegł do niej i padł sobie w objęcia. .

. . . . .

Szczęście nie jest zdolne zabić, inaczej była-by Bunia nadmiaru jego nie przeżyła. Podobnego szału, ogromu radości, nigdy w życiu nie widziałem... Czem w porównaniu taka naprzykład parabola o Synu Marnotrawnym?..

Powrót wuja Zygmunta był zdarzeniem tak niespodziewanem, choć przez tyle długich lat wyczekiwaniem i upragnionem, że pióro moje niezdolne jest opisać wrażenia, które na nas wszystkich wywarł.

W pierwszych czasach podzielałem całą duszą upojenie Buni i radość cioci Kostusi, nie dziwiłem im się wcale; dziś, inaczej rzeczy sądząc, dziwię się i dość wydziwić nie mogę..

W oczach dziada i świata wuj był przed laty ciężko zawinił i okrył nazwisko swoje hańbą; że ciocia Kostusia zdanie ojca dzieliła, o tem jestem jak najmocniej przekonany: różnica między nimi zachodziła tylko ta, że w dykcyonarzu ciotki słowo „potępiać“ nie istniało wcale, a natomiast zastąpionem było słowem „przebaczać“; jedna Bunia w niewinność syna wierzyła, ale za to wierzyła tak silnie, że nigdy cienia wątpliwości w tej mierze nie uczuła.

W każdym razie, winny czy nie winny, wuj był przez całe swe dotychczasowe życie przyniósł swoim najbliższym tylko wstyd, zmartwienie i niepokój.

To pozostawało faktem. Przytem, od najmłodszych lat przywykły do cudzej pomocy, tak dalece na tę pomoc zawsze liczył, że nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko się bez niej obywał. Przed utratą kapitału dziadka, babka czerpała bez namysłu ni znacznego uszczerbku we wspólnej kasie, aby liczne, naglące żądania syna zaspokoić; po „ruinie“ naszej musiano się jednak z każdym groszem liczyć; wszystko to więc, co do jego rąk odtąd płynęło—i w nich się rozplýwało, były to oszczędności, z ujmą wygód Buni i ciotki, czasem nawet z ujmą ich potrzeb czynione...

On o tem nie zdawał się pamiętać. Matkę i siostrę kochał po swojemu, to znaczy, po sobie; ich ofiary dla niego uważał za zupełnie naturalne, niemal obowiązkowe; przez myśl mu chyba nigdy nie przeszło, żeby mógł i powinien, nietylko sam na swoje utrzymanie zarabiać, ale też i przyczynić się do utrzymania rodziny. Egoizm taki może być wstrętny, jednak wyznać muszę, nie na wuja spada cała za to odpowiedzialność; ślepa miłość Buni, zbytnia pobłażliwość cioci Kostusi, przyczyniały się niewątpliwie wiele do rozwinięcia i spotęgowania tego samolubstwa.

Gdyby wuj był ojca zastał przy życiu, nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakie-by uczucia powrót jego był obudził; w położeniu naszym obecnem wywołał bezmierną, najżywszą radość, nic więcej! żadnej z tych dwóch anielskich istot, które go z otwartemi ramionami przyjęły, ani się przyśniło wskrzesić jakim ostrem słowem dawno minioną bolesną przeszłość lub spytać go kiedy, co dalej robić zamierza?

Wrócił!.. To dla nich było wystarczającym!

I powrót ten jego uważały wprost za odebraną łaskę, i tylko mu w oczy patrzyły, aby w nich życzenia jego wyczytać, według sił i możliwości im dogodzić!..

Wuj mienił się chorym. Czy nim był rzeczywiście, nie wiem, ale to wiem, że ta jego wrzekoma choroba jedną więcej stała się przyczyną do usunięcia wszystkich i wszystkiego na plan drugi, do postawienia jego samego na plan pierwszy. Z rozkazu Buni, odstąpiłem mu więc mój pokój, a powróciłem znów do dawnej ciupki; wszystkie najwygodniejsze i najładniejsze meble, które dotąd bądź u Buni, bądź w salonie się znajdowały, zostały mu oddane do użytku; ciocia Kostusia co dzień głowę sobie łamała nad przyprawieniem mu jakichś pożywnych potraw lub wzmacniających napojów; słowem, myśli wszystkich, dążenia, czynności w koło niego, jego wygody lub rozrywki krążyły. On, większą część dnia przesiadywał u siebie; resztę czasu spędzał na we-

rendzie, po której się, z rękami w kieszeniach i wieczną cygareta w ustach, swym kołyszącym krokiem zwykł był przechadzać. Do pokoju swego nikogo nie wpuszczał, prócz mnie, i to rzadko, a że go napełnił najdziwaczniejszymi egzotycznymi przedmiotami, których aż dwie skrzynie z Indyi za nim przybyły, a które go uczyniły podobnym do składu rupieci, przybytek ten zaciekawiał mnie i zajmował niezmiernie. Zresztą stosunek, jaki nas łączył, dziwny był: czułem do niego naprzemian pociąg i odrazę; chwilami wywierał na mnie rodzaj uroku; chwilami znów bezczynność jego, sposób przeciągły mówienia, ustawiczna w słowach ironia, wyłączne zajęcie się swoją osobą, niecierpliwiły mnie do żywego. Niektóre punkta w usposobieniu mieliśmy też i wspólne: i tak wuj, podobnie jak ja, milczący był z natury i, równie jak ja, nieśmiały. Często bywało, kiedy mnie wpuścił do swego buen retiro, siedzieliśmy godzinami obok siebie w głębokiem milczeniu, ja, zajęty oglądaniem obcych broni, uprzęży, trofeów myśliwskich, minerałów—on, puszczeniem kłębow dymu z cygarety i swemimysłami; ale bywało niekiedy i inaczej. Czasem lada pytanie moje, lada pobieżna uwaga zdawała się budzić w nim odrazu dawne wspomnienia. Zgąste oczy jego ożywiały się, chmurne lica rozjaśniały, poczynął opowiadać swe różne przygody, a opowiadać tak, że słowo każde pożerałem, a serce mi jak młotem w piersi uderzało. Miał dar wymowy; dar, którym się ludzi podbija i porywał!

Wiść o jego powrocie rozniosła się szybko po mieście i musiała niemałe zaciekawienie wzbudzić, bo i pułkownik, teraz rzadki gość, niebawem nas odwiedził, i odwiedzili różni znajomi, z którymi bardzo dalekie i chłodne utrzymywaaliśmy stosunki. Ciekawość ogólna nie została zaspokojona. Wuj obcych unikał. Za każdą wizytą zamykał się pod pozorem niedomagania w swym pokoju i wcale się nie pokazywał. Dla pułkownika, profesora i jego żony zrobił tylko wyjątek; ale choć od nich nie stronił, jednak aż nadto widocznie zaznaczył, że obecność ich go krępuje i onieśmiela. Z pułkownikiem zaledwie parę słów obojętnych wymieniał; wobec pani Ali zachowywał się milcząco; jeden profesor w krótkim względnie czasie zdołał go ująć i rozruszać; za trzeciem już spotkaniem śmiał się z niego, żartował z jego łamanej polszczyzny, drwił z roztargnienia, a zwłaszcza z przymilań do żony. Rok z górą był upłynął od ich ślubu, a on, nieborak, zawsze równie zakochany, usiłował wszelkimi sposobami wzajemne uczucia w niej wzniecić. Miłość do niej walczyła z dawnymi nałogami, a nie zawsze zwycięsko. Tabaczka szczególnie stanowiła dla niego pokusę straszłą; jeżeli zarzucił tabakierkę, to pokryjomu tutkę papierową nosił w zanadrzu, a gdy pani Ala w jego stronę nie patrzyła, czerpał z niej i pochłaniał na zapas fenomenalne porcje.

Podpadło mi wówczas, że drwinki wuja, chociaż niezaprzeczenie dowcipne, nie zawsze połączone były z oględnością; często, budząc śmiech ogólny, profesora samego dotykać musiały wprost niemile; podpadło mi zarówno i to, że uwagi, których-by Bunia z niczyich ust nie była zniosła, gdy przez niego były czynione, nie wywoływały z jej strony żadnego wyrazu oburzenia. Jemu wszystko było wolno! Kochała go tak silnie, gorąco, namiętnie, że chyba podobnie żadna matka nie jest w stanie kochać dziecka, czynami swemi rzeczywiście na miłość zasługującego!

Bywało—przysuwała się do niego, bez pomocy łaski, jak gdyby sercem wiedziona, kładła mu lekko swe przezroczyście dłonie na twarz gładziła ją, i zwracając ku niemu wyplakane oczy, mówiła:

— Ja ciebie widzę!.. To dziwnie!.. wkoło mnie noc. Świat cały dla mnie zniknął. Wszystko jest już tylko wspomnieniem lub wyobraźnią... ale ciebie ja widzę!.. Tyś się nic nie zmienił! Tyś zawsze ten sam... te twoje oczy niebieskie, kochane, patrzę na mnie w tej chwili, z tym samym wyrazem, co dawniej... uśmiechasz się do mnie, jak dawniej... brodęnosisz dłuższą... nie więcej!.. A włosy? Włosy tak samo, jak dawniej, na czoło ci spadają... Ja ciebie widzę!..

I—jak gdyby na prawdę widziała, odgarniała mu z czoła jego gęste, niesforne kędziory, a on się do niej tulił, po rękach ją pieszczotliwie całował!..

To jego do matki przywiązanie, ta tkliwość, którą jej okazywał, chwytaly i mnie za serce; myślałem sobie: Przecie on dobry!.. I od razu moja ustępowała pociągowi.

Dziś, gdy tę chwiejność i zmienność moich względem niego uczuć wspominam, wydaje mi się, że ten pociąg, te sporadyczne moje porywy były raczej wynikiem, raczej rodzajem odbicia podziwu i uwielbienia Buni dla niego, niżli czemś wypływającym z mojej własnej inicyatywy.

Jej—biednej, nie było danem podziwiać go i uwielbiać długo; już w dwa miesiące po jego powrocie, stan jej wzniesił w nas obawy, które zdanie lekarza tylko potwierdziło; choroba nie trawiła jej żadna, ale organizm cały był wycieńczony długimi latami cierpień i troski; obecnie siły jej z dniem każdym ubywały, nikły... gasła po prostu, i aż nadto jasnym nam było, że godziny jej były policzone... Jeżeliśmy wszyscy świadomi byli niebezpieczeństwa tego stanu, i Buni nie było ono tajne.

Czuła się blizką końca i bezmiernie, bezdennie żał jej było życia, żał każdej chwili, która ją zbliżała do owego wielkiego, ponownego rozstania z dopiero co odzyskanym jedynakiem...

Lato mijalo.



Używaliśmy ostatnich dni skwarnych, ostatnich ślicznych wieczorów wrześnieowych z jakimś uczuciem, czy przecuciem, że podobne chwile nie wrócą już nigdy...

Pani Ala, jak wpierv, tak i teraz, odwiedzała nas często. I jej usposobienie zdawało się ulegać dziwnej zmianie; czasem—nieraz—bywała smutna i zamysłona; czasem znów miewała napady szalonej wesołości, w których-to napadach bardziej, niż kiedykolwiek, znęcała się nade mną i nad moją nieśmiałością.

Razu pewnego—jak dziś pamiętam, przyszła do nas przed samym wieczorem i, usiadłszy na niskim taborecie u stóp Buni, przysłuchiwała się w milczeniu urywanej naszej rozmowie. Na dworze, dnia tego, drobny deszcz padał i wiatr, pierwszy zwiastun jesienny, żałośnie świstał.

Bunia rzekła:

— Co tobie jest, moje dziecko? Czy masz jakie zmartwienie?

— Nie, pani,—odrzekła, opierając głowę o kolana staruszki,—nic mi nie jest, tylko mi tak jakoś smutno... tak okropnie smutno w duszy... Jak tak słucham tego wiatru, co swiszcze, tego deszczu, co dzwoni o szyby, mam uczucie, prawie złudzenie, że to ktoś tak żałośnie zawodzi... I ochota mnie bierze mu wtórować...

— To na to jest rada... idź, siądź do fortepianu i zagraj lub zanué nam coś .. odpowiedniego... I ciebie to ukoi, i nam sprawisz przyjemność.

Skoczyłem do fortepianu, chcąc świece zapalić, ale pani Ala rzekła:

— Daj pokój, Riri; będę grać na pamięć, a szara godzina, to ze wszystkich najmilsza. Chodź tu... blisko... Słuchaj...

I przechodząc koło mnie, przyciągnęła mnie ku sobie.

We mnie serce zabiło, stanąłem posłusznie przy niej.

Ona ręce na klawisze położyła i poczęła przygrywać...

— Co chcesz, abym śpiewała?—spytała po chwili.

— Liedchen—szepnąłem—to takie śliczne!..

— Podoba ci się Liedchen?

— Nad wszystko!

— Doprawdy?—Taki to z ciebie znawca? Taki lubownik muzyki!

A ja, ośmielony cichem pytaniem i ciemnością, panującą w pokoju, odrzekłem:

— Ja... o muzykę nie dbam... tylko tak lubię, tak lubię, jak pani śpiewa... o paziu...

Spojrzała na mnie i w zmroku błysły jej białe ząbki.

— Więc dobrzel.. Zaśpiewam ci o paziu... mój paziul..

I zaczęła: Es war ein alter König...

Po pierwszej smutnej zwrotce, zabrzmiała w powietrzu druga, ta druga, w której drga jakby porywający odgłos tryumfu i siły:

„Es war ein schöner Page,  
Blond war sein Haupt—leicht war sein Sinn,  
Er trug di seidne Schleppe  
Der jungen Königin!..

Słuchałem w upojeniu. Com ja wówczas myślał? Chyba to jedno, że mnie pani Ala swoim małym paziem zowie i że śpiewa, jak aniołowie w niebie śpiewają!

Jeszcze Liedchen nie była skończyła, kiedy jak cień wsunęła się do pokoju wysoka postać mego wuja. Milcząc, stanął na uboczu.

„Kennst du das alte Liedchen?  
Es klingt so süß, es klingt so trüb!  
Sie musste Beide sterben,  
Sie hatten sich viel zu lieb..

Buni czujne ucho poznało krok syna odrazu.

— I cóż ty, Zyguncie, na ten głos?—spytała po skończonej piosnce.

Odrzekł z zapalem:

— W piekło-by mnie zawiódł!

Pani Ala się roześmiała.

— Słyszysz, słyszysz, Ala, co on mówi?—rzekła Bunia.—Możesz być dumna, bo on się na tem rozumie! Dawniej nawet sam wcale ładnie grał i śpiewał.. A teraz—dodała nieśmiało—czy już nigdy nie śpiewasz? całkiem zapomniałeś?

— Całkiem.

— Ale wuj musi grywać na gitarze,—wtrąciłem,—bo przecie aż dwie ma w swoim pokoju.

Wuj chwycił mnie za ucho:

— Cicho! smarkaczul! Będiesz ty rozpowiadał, co ja mam w swoim pokoju! Już cię nigdy do niego nie wpuszczę!

Lecz tu pani Ala złożyła ręce i poczęła mówić:

— Gitary! Pan ma gitary? O proszę, proszę nam co na gitarze zagrać!

I prosiła tak ładnie, a tak uporczywie zarazem, że wuj wreszcie prośbie jej uległ i posłał mię po ów instrument, "przeze mnie gitarę nazwany, a który, jak nam wytłómaczył, był prostem, murzyńskim „bano.“ Podczas, kiedy o struny przedwstępnie potraçał, służąca wnio-

sła lampy. Wtedy wstał, o ścianę się oparł i zaczął śpiewać. Głos miał silny i dźwięczny, piosnka meksykańska, której nikt z nas oczywiście nie znał i nie rozumiał, robiła wrażenie jakiegoś dzikiego i przejmującego; patrząc na niego, na jego wyniosłą postać, twarz chmurną i piękną, słuchając tej dziwnej melodi, mimowoli pomyślałem, że w tej chwili, w tem oświeceniu, z tem swoim banjem w ręku, tworzy on obrazek oryginalny i niepozabawiony wdzięku.

Pani Ala musiała to samo odczuwać wrażenie, bo wzrok w niego utkwiała i zdawała się zarówno uszy, jak oczyma słuchać...

Piosnka była długa. Po każdej zwrotce powtarzała się ta sama przygrywka i te same jej towarzyszyły słowa, a on wtedy ku pani Ali się zwracał i składał jej z uśmiechem niskie ukłony.

Kiedy skończył, ona z niekłamany zachwytem w ręce klasnęła:

— Ależ to śliczne jest, śliczne! I pan śpiewa doskonale! O ja muszę się nauczyć grać na banjo! Pan mnie nauczy? Prawda?.. A co znaczą słowa?

— Al! nie powiem!.. To tajemnica!.. W tem właśnie urok! Mnie wolno mówić... Pani wolno się domyslać...

I powtórzył ostatnią zwrotkę, znów nisko przed nią głowę chyląc...

Od owego wieczoru improwizowane te koncerty weszły w stały zwyczaj. Banjo nie powróciło więcej do pokoju wuja Zygmunta, ale pozostało w salonie i za każdą wizytą pani Ala—a wizyty te stawały się coraz częstsze,—z największym zapalem uczyła się od niego gry nowej i pieśni meksykańskich; całymi godzinami oddawali się oboje muzyce; śpiewali sola, duety, z udziałem profesora, nawet chóry; profesor przyniósł skrzypce, rozkoszował się postępami swej żony; Bania brawo biła, ciocia Kostusia równie żywo zdawała się cieszyć powrotem do zdrowia brata; mnie tylko jednemu jakoś nieswojo było; czułem się opuszczony, zaniedbany, może dlatego jeno, że pani Ala tak pilną była uczennicą, że już nigdy dla swego pafia o paziu nie śpiewała.

Zabawy te przerwane zostały nagle śmiercią Buni. Byliśmy na cios ten poniekąd przygotowani, a jednak uderzył w nas, jak grom. Uczuła się pewnego ranka słabszą, niż zwykle, więc łózka nie opuściła; nazajutrz sama zażądała księdza, a dnia trzeciego, bez cierpień, niemal bez konania, z pełną przytomnością rozstała się z nami na wieki...

Przed śmiercią zęgnęła każdego z nas osobno, dla każdego miała słowo napomnienia i błogosławieństwa, ale co mnie uderzyło, to jej widoczne ciągłe i wyłączne zajęcie się wujem Zygmuntem. I ze mną także długo rozmawiała, prawda! I cici Kostusi kilkakrotnie dziękowała

za jej opiekę, miłość, za jej tyloletnie poświęcenie, ale myśl o wuju wciąż inne tłumila...

— Czuwaj nad nim!—powtarzała ciotce głosem błagalnym,—kochaj go! zastąp mnie przy nim! Osłódź mu życie... Zaklinam cię!..

Do niego, jakby mimowoli, zwracały się do ostatniej chwili jej biedne wypłakane oczy, jego ręki szukała jej stygnąca ręka, a ostatniem słowem, które jej sine usta zrozumiale wymówiły, było to miano, w które kładła całą swoją bezgraniczną do niego miłość: O mój jedyni!..

On—ten jedyny—zalewał się u łóża jej śmiertelnego łzami gorącymi, łkał, szlochał, rozpaczał, że aż litość brała... boć i on, na swój sposób, kochał matkę, a chyba musiał wtedy czuć, sam przed sobą wyznawać, że chociaż był jej miłością, nie był nigdy ni pociechą, ni podporą... Bóg tam zresztą wie, jaką w żalu jego grało rolę rzeczywiste uczucie, a jaką nerwy. W każdym razie, wydawał się boleścią tak złamany moralnie i fizycznie, że po pogrzebie drogiej naszej Buni, cała pieczołowitość, troskliwość ciotki Kostusi ku niemu się zwróciła. I ona pewno, równie, jak on, a może i więcej, cierpiała, ale swoim zwyczajem własne cierpienie przezwyciężała, aby tylko cudze osładzać i koić...

Dom nasz stał się wówczas ogromnie cichym i pustym. Nie rozlegał się w nim już ni śmiech, ni śpiew, ni dźwięk banja. Wuj, na zimno bardzo czuły, spędzał dnie całe w swoim pokoju, w którym panowała tropikalna temperatura; ciotka gospodarowała po dawnemu, rzadko kiedy w pracy ustając, by się smutnym myślom poddać; ja uczyłem się pilnie i z dziecka z każdym dniem wyrastałem. Śmierć Buni nie tylko nas samych, ale i profesora głęboko dotknęła; w nieszczęściu naszym okazał nam wiele serca; później zaś, po dawnemu nas pocztwie odwiedzał, lub w zastępstwie przysyłał żonę. Pani Ala jedna posiadała dar rozerwania wuja; dla niej jednej opuszczał on swoje buen retiro, schodził do salonu, i paląc cygaretkę po cygarecie, kiedy niekiedy raczył brać udział w rozmowie. Za to po jej odejściu i jego względne ożywienie nikło; wpadał w zadumę, z której go żadne wysilenia ciotki Kostusi otrząsnąć nie były w stanie; chmurna twarz jego przybierała swój zwykły wyraz znudzenia.

Ciotka czasem próbowała w nim obudzić chęć do jakiego zajęcia; zносиła mu książki, papier, pióra, nieśmiało prosiła o radę co do gospodarstwa, pomoc w rachunkach.

Jego odpowiedź brzmiała zawsze jednakowo:

— Daj mi pokój; chory jestem...

A ta jego bezczynność, ten smutek, czy znudzenie, bądź co bądź, odbijały się i na nas, gniotły nas swoim ciężarem, zdawały się wpływ swój wywierać nawet na panią Alę.

Przez całą tę zimę i ona była, może niekoniecznie smutna, ale jakaś zamyślona, jakby wyłącznie jedną myślą zajęta—w niej zatopiona.

Lecz z tem zamyśleniem, z tą sennością w ciemnych, nawpół zmrużonych oczach, było jej bardzo do twarzy. Czar, który na mnie wywierała, stawał się coraz potężniejszym. Jeżeli jeszcze nie była wybiła godzina, w której miałem sobie otwarcie wyznać: „Kocham!“—to nadeszła już ta, w której w głębi serca powtarzałem: „Ja-bym dla niej życie chciał oddać!..“

Zaznaczyłem na początku tych wspomnień, że kobiecy wpływ, któremu od dzieciństwa podlegałem, kobiecy kierunek mego wychowania, wycisnął na mnie swe piętno. Przejąłem się zawczasu głęboką wiarą moich dziadków; nauki cioci Kostusi, napomnienia Buni, ostatnia wreszcie rozmowa z dziadem, jego prośba: „Bądź zawsze uczciwym człowiekiem“, wryły się w moje sercu. Byłem „uczciwym“ w całym słowa znaczeniu; unikałem złych kolegów, usitowałem we wszystkim postępować tak, aby mieć czyste sumienie, brzydziłem się kłamstwem, obludą, każdym czynem podłym.

Wobec takich zasad, siła owego czaru, który mną owładnął, dziwiła mnie czasami samego—dziwiła i przerażała.

Pamiętną mi jest po dziś dzień przechadzka, którą raz, jeszcze za życia Buni, w towarzystwie pani Ali zrobiłem w ogrodzie. Zbliżyliśmy się przypadkiem do muru, graniczącego z ogrodem sąsiednim, a przez którego wyłom widać było drzewo brzoskwiniowe, pokryte owocem.

Pani Ala stanęła:

— Patrz! Patrz, co za śliczne brzoskwinie! Jaka ich masa! Jakie dojrzałe!..

Mnie nagle ogarnął niepokój.

— Śliczne!.. powtórzyłem—choźmy stąd!

Ona na mnie spojrzała ze zdumieniem:

— Chcesz uciec? Boisz się pokusy?

— O, nie! Nie pokusyl!.. Ale...

— Ale czego? Powiedz, Riri!.. jestem ciekawa...

— Ale rozkazu...

— Mojego?

— Tak jest...

Poczęła się śmiać swoim cichym, tajemniczym śmiechem.

— JAKO? Więc gdybym ci tak kazała te brzoskwinie urwać—powiedzmy wprost: ukraść, to cobyś ty zrobił?

Zmieszałem się okropnie.

— Ja nie wiem... nie wiem... ach! niech mi pani nie każe!.. Chodźmy stąd!..

Wiedziałem ja, chociaż wyznać nie śmiałem, co-bym był w danym razie uczynił!.. I ona także domyślić się musiała.

Podczas owej pierwszej zimy po śmierci Buni, zrodził się we mnie nowy, urojony, powód zgryzoty, nowy chorobliwy niepokój. Wyobraziłem sobie, że moja nieśmiałość czynić mnie musi nudnym, śmiesznym, nawet wstrętnym; że pani Ala mniej chętnie, niż dawniej, skutkiem tego, ze mną przebywa, mniej rozmawia, że mnie unika i lekceważy. Zapragnąłem gorąco napowrót odzyskać jej wrzekomo utraczone względy; robiłem różne plany, przemyślałem, jakby jej się przypodobać, jakim czynem bohaterskim zwrócić na siebie jej uwagę, jaką trafić odpowiedzią podbić ją i zająć.. Układałem w myśli całe rozmowy, w których dowcipem moim miałem ją olśnić; schodziłem nieraz na jej powitanie z silnym zamiarem okazania jej, że już nie jestem dzieckiem, ale „dorastającym“ chłopcem, zdolnym ją, zarówno jak wuj Zygmunt, zabawić.—Niestety! plany moje, przedsięwzięcia, zamiary, pełżyły na niczem. Sposobność umieszczenia moich naprzód mozolnie ułożonych zdań przychodziła i mijała, a mnie zdania w gardle więzły, obecność pani Ali przytomność mi odbierała.

Nieraz myślałem, że gdybym ją widział sam na sam, gdzie daleko od wuja, odwaga i przytomność-by mi powróciły. Aby więc dopiąć upragnionego celu, używałem najprzeróżniejszych podstępów. I tak np., raz, kiedy profesor był jakąś piosnkę do nas przyniósł, schowałem nuty umyślnie, aby je móżdż nazajutrz osobiście odnieść do jego mieszkania.

Zastałem panią Alę samą. Już mię na progu porwał żal i rodzaj wstydu za mój uczynek, więc, oddawszy jej pośpiesznie nuty i zaledwie z nią kilka słów wymieniwszy, uciec, według zwyczaju, chciałem. Ona mnie jednak zatrzymała::

— A gdzieś ty tę naszą zgubę znalazł?—spytała.—Gdzie te nuty były, żeśmy ich wczoraj tak długo napróżno szukali?

Nie spodziewałem się pytania, a nie umiejąc kłamać, spuściłem głowę, jak winowajca.

Ona mnie z uśmiechem poczęła lekko po twarzy uderzać...

— Oj, dzieciaku! ty, dzieciaku!..

Coś mię ubodło w jej głosie i słowach.

— Ja już nie jestem dzieciak—odrzekłem, podnosząc ku niej oczy—ja... ja bardzo...

Urwałem, bo nagle tchu mi zabrakło, uczułem chęć do płaczu.

A ona dalej patrzyła na mnie swemi ciemnymi, zmrużonemi oczyma, w których rozbawienie przebijało, jak gdyby w mojem wejrzeniu usiłowała czytać...

— Ja wiem rzekła w końcu—ja wszystko wiem, Riri... Wiem i to, że na ciebie liczyć mogę... wszak mogę? Nie prawda?

— Zawsze i we wszystkim!—zawołałem z ogniem i odtąd owo „zawsze i we wszystkim“ codziennie sobie powtarzałem niezliczone razy, jakby rotę jakiej przysięgi.

Miałem jej niebawem, z własnej duszy szkodą, złożyć dowody uległości.

Nadeszła wiosna.

W tym czasie zdechła stara Siwka, owa odwieczna nasza klacz, którą jeszcze Dziadostwo do Stanisławowa na mszę jeździli, a która teraz służyła do wożenia warzyw z ogrodu na targ i przywożenia drobnych sprawunków z miasta. Ciotka postanowiła kupić na jej miejsce konia. Udała się więc do znanego sobie faktora, Icka, z poleceniem, aby jej wyszukał coś odpowiedniego. Wymagania jej były niezwykłe i z pewnością żyda zdziwić musiały: pragnęła konia taniego, starego i nadewszystko, spokojnego; mógł nie być piękny, mógł być nawet jednooki, byle-by koniecznie był stary i spokojny. Zaraz nazajutrz przyprowadził nam Icek dwie szkapy, jak twierdził wuj, z rzeczalni miejscowej, do wyboru. Obie się na nogach chwiałały i obie ciotce do gustu zarówno przypadły. Nie wiem, na którą z nich byłby wreszcie padł jej wybór, gdyby nie wuj, który, je obejrzawszy, ku wielkiemu jej zmartwieniu, bez wahania odesłał. W kilka dni później właśnie profesor z żoną u nas się znajdowali, kiedy nam doniesiono o przybyciu Icka z nowym towarem.

Całe więc towarzystwo wyszło na werendę, aby mu się przyjrzeć i swoje zdanie wypowiedzieć.

Tym razem przyprowadzony koń był wysoki, kościsty i tak chudy, że wszystkie zebra mu przez skórę widniały. Stał ze spuszczoneym łbem, trochę zgiętymi przednimi nogami i z wielce niepokaźną miną; nawet kiedy Icek począł go klusem wkoło trawnika przeganiać, klaszcząc językiem i machając szpicrutą, fantazyi mu nie przybyło,

Wuj zeszedł ze schodów, przypatrzył się koniowi okiem znawcy na wszystkie strony, zajrzał mu w zęby, a wreszcie poklepał i rzekł:

— To szkapsko ma około trzydziestu lat—niezawodnie—ale dużo krwi.

Ciotka spojrzała na brata z niedowierzaniem:

— Żartujesz?

— Nie żartuję—odrzekł—ja wam pokażę, co krew znaczy...

Wprost z ziemi, bez najmniejszego wysilenia, skoczył na grzbiet konia, chwycił za trzęzlę i ścisnął go kolanami. Szlachetny zwierz, w chwili, gdy poczuł na sobie wprawnego jeźdźcę, odrazu dał olbrzymiego szczupaka, zmienił się w mgnieniu oka do niepoznania, kark zalamował, ogon odsadził, nozdrza rozdał i począł parskać z radości.

A wuj, jakby do grzbietu jego przykuty, objeżdżał ogród dokoła, to stępią, to klusem, to wreszcie wyciągniętym galopem. I on zmienił się do niepoznania. Gwałtowny ruch wywołał rumieńce na blade jego oblicze, wiatr rozwał mu brodę, zgaste oczy się ożywiły...

Patrzyliśmy wszyscy w podziwieniu, a on, raz po raz po przed ganek przejeżdżając, śmiał się w głos...

— Ja dziko jeźdźe!.. Nie prawda?.. O! patrzcie!..

I od razu, w pełnym galopie, spuścił się tak nagłym obrotem w bok, że tylko jedną nogą zawisł na koniu, a ciało jego z oczu naszych znikło zupełnie. Pani Ala krzyknęła, ciotka zbladła, profesor aż się za głowę chwycił, ale on się znów wyprostował, wołając:

— Tak się Indyanie za grzbiet koni przed nieprzyjacielem chowają!.. Potem do mnie: Henryku! Lasso! Dawaj, a prędko!..

Skoczyłem po lasso, które wisiało w jego pokoju, i có tehu powróciłem; a on je z rąk moich porwał w lot, poczem trzęzlę całkiem wypuścił i tylko kolanami wierzchowca swego kierując, począł nam pokazywać, jak się na lasso dzikie konie chwyta; w końcu, zarzucił je na Icka, pociągnął z nienacka ruchem tak gwałtownym, że się żyd aż na ziemię powalił, a wtedy dopiero spienione szkapsko na miejscu osadził i lekko z niego zeskoczył.

— A! niema, niema, jak czuć pod sobą dobrego konia, a wkoło siebie—tu poprowadził okiem, pełnem tęsknoty po ogrodzie—prze-stwór! szeroki, nieskończony przestwór!..

Westchnął—pochylił głowę i, nie słuchając nawet pochwał profesora, swym wolnym, kołyszącym krokiem wszedł napowrót do salonu; ciocia Kostusia tymczasem dobiła targu z Ickiem i stary „Hassan“ dnia tego jeszcze przeszedł na jej własność.

Jeśli powyższą scenę opowiedziałem, to dlatego, że na mnie—i nie tylko na mnie—wielkie wywarła wrażenie, przemówiła mi do nerwów i wyobraźni, a postać wuja znów w oczach moich urosła i nowym przyoblekła się urokiem; całą noc następną śniło mi się, że razem z nim uganiałem się po szerokich, nieskończonych preryach, to dzikie konie na lasso chwytając, to z Indyanami krwawe staczając boje, w celu odbicia uprowadzonej przez nich pani Ali.

Nazajutrz, kiedy wróciłem ze szkoły, zastałem ją już u nas, co mnie zdziwiło, bo rzadko kiedy tak wcześnie nas odwiedzała. Ujrza-



łem ją od furtki,—stała na werendzie, w towarzystwie wuja Zygmunta, który do niej z wielką, niezwykłą sobie żywością przemawiał.

Tegoż samego dnia, nieco później, kiedy wuj się, według zwyczaju, do swego pokoju na wypoczynek (!) udał, a ciotkę jakieś czynności gospodarskie do kuchni zawezwały, znalazłem się przez chwilę sam na sam w salonie z panią Alą. Siedziała na niskim taburecie przed kominem. Nagle, jakby obecności mojej wcale nie świadoma, wsparła ręce na kolanach, a głowę na rękach i poczęła płakać...

Na ten widok zmieszałem się ogromnie, nie wiedząc, co mi czyścić wypada: czy wprost ją zapytać o przyczynę smutku, czy też pokój opuścić. Wreszcie przewyciężyłem nieśmiałość.

— Pani Alo—spytałem cicho, do niej przystępując,—co pani jest?

Zrazu nie odpowiedziała nic, tylko coraz silniej, gwałtowniej zanosila się od płaczu. Wylękły, chciałem pójść ciotkę Kostusią zawołać, ale ręką dała mi znak, abym się nie oddalał. Po długiej chwili dopiero łkania jej ucichły, przemogła się, uspokoiła i oczy otarła.

— Lepiej mi—rzekła nareszcie—lżej mi teraz na sercu... Nie dziw się, Riri... każdy ma swoje zmartwienie... a moje jest ciężkie, o! ciężkie...

Jakiś hałas doleciał nas z przyległego pokoju, więc dodała pośpiesznie:

— Tylko pamiętaj... nie mów nikomu o tych głupich łzach moich... Nie powiesz? Pewno?

— Nie—odrzekłem—nikomu, nigdy...

I był-bym się raczej dał w kawałki porąbać, niżli-bym złamał daną obietnicę.

Że byłem pod jej czarem, że mnie w swych więzach trzymała, poczynałem już wówczas i coraz częściej o tem się przeświadczać... Przeświadczyłem się aż nadto jasno niebawem—owego dnia przekłętogo—kiedy, wchodząc znienacka do altany ogrodowej, zastałem ją—panią Alę—w objęciach wuja Zygmunta!.. O, Boże mój! Com ja wtedy uczuł? Com pomyślał? :

Miałem blisko lat czternaście. Wiele rzeczy złych obito się już było o moje uszy; wiedziałem, że wiarołomstwo na świecie istnieje: a jednak zło, grzech, brud, w połączeniu z panią Alą, to wydało mi się czemś tak niesłychanem, tak wprost niemożliwem, że samą myśl, samo podejrzenie odepchnąłem z odrazą... Jeśli wuj ją w swych ramionach trzymał, jeśli okrywał pocałunkami jej oczy cudne, lica, usta, to bez jej woli! To przemocął!.. On ją może kuśił, namawiał do złego, ale ona mu nie uległa! Nie ulegnie!..

I powtarzałem w głos to: Nie ulegnie! Chcąc sam siebie przekonać... A gdy mnie nagle ciocia Kostusia napadła z zapytaniem, skąd

wracam i czy gdzie wuja nie widziałem,—ja, który dotąd nigdy warg kłamstwem nie skaziłem, skłamałem bez wahania, jedynie, aby ją zasłonić.

— Nie... Wuja nie widziałem; byłem w ogrodzie, ale w ogrodzie nie spotkałem nikogo...

Wróciwszy do domu, uciekłem do swego pokoju z jakimś wrażeniem okropnem, że zawisło nad nami wielkie nieszczęście, że ja jeden o niem wiem, że przed niem przestrzedz-bym powinien, lecz nie mogłem nie mogłem..

Wieczorem, kiedy pani Ala oko w oko na mnie spojrzała, musiała z pewnością świadomość moją w niem wyczytać; odwróciłem bowiem głowę z takim poczuciem wstydu, za nią, jakbym ja był winowajcą. Tej nocy snu nie wiele zaznałem. Gorączka mnie trawiła, gorączka, wśród której, jak na jawie, powtarzałem: Nie ulegnie! a zarazem czułem, że pani Ala już dawną panią Alą być przestała..

Dnia następnego wstałem z ciężką głową i cięższem jeszcze sercem; poszedłem do szkoły, nie widziawszy się z wujem; kiedy z niej w południe wychodziłem, spotkałem na ulicy panią Alę, która się na mnie czekać zdawała.

— Wstąp do nas na chwilę, Henryku — rzekła — mam z tobą do pomówienia.

Poszedłem za nią powolnie.

Zaprowadziła mię wprost do swego saloniku, napelnionego, jak zwykle, kwiatami i tysiącem ładnych drobnostek, kazała mi usiąść na kozetce, tuż tuż przy sobie, i poczęła mówić zniżonym głosem:

— Tyś wczoraj wszedł do altany ogrodowej?

Skłoniłem głowę, gorącym oblewając się rumieńcem.

— Nie powiedziałeś nikomu, coś widział?

Podniosłem oczy ku niej w niemem oburzeniu; mówić nie byłem w stanie.

— I nie powiesz?—dodała—kładąc rękę na mojej głowie.

Dałem znak, że nie.

A ona ciągnęła dalej, pochylając się coraz bliżej ku mnie:

— Ja tobie wierzę... ja ci ufam... Ja wiem, że tybys mi z umysłu nie chciał zaszkodzić—nie prawda? —Tyś jeszcze mały, wiele rzeczy nie rozumiesz, ale kiedyś, kiedyś zrozumiesz i wybaczysz.. Teraz mię nie sądz... nie potępiaj... Żałuj raczej! bo jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa..

Umilkła; łzy błysły w jej ciemnych, w pół zmrużonych oczach, a ja, który przez cały przebieg tej rozmowy, jak na żarzących węglach siedziałem, powstałem teraz w nadziei, że mi wolno będzie odejść.

Lecz ona mi rękę w swej dłoni uwięziła.

— Chcesz mi dać dowód przywiązania?.. Pierwszy, którego żądam... oddaj ten list...

— Nie! nie! nie!—zawołałem porywczco, odpychając list i rękę,—niech pani tego ode mnie nie żąda! Nie oddam!.. Nie mogę! ,

Sumienie wołało, że taki czyn, taka przysługa, była-by rodzajem grzechu, upokorzenia, jakby współudziałem w ich winie...

Ale ona tylko swe oczy wpoila w moje i jęła mnie raz po raz gładzić po rozpalonej twarzy...

— Oddasz... — rzekła—oddasz!.. bo ty jesteś dobry... bo ja cię o to proszę... a ja ciebie kocham .. Riri ..

Chwilę jeszcze—sekundę—usiłowałem oprzeć się pokusie, ale na próżno! Czego wzrok nie dokonał, dokonały słowa i pieszczota...

Chwyciłem list i pędem ku domowi poleciałem!..

Każdy dobrowolny upadek pociąga niechybnie za sobą cały ich szereg; to jest dawno stwierdzonym faktem.

I ja, uległszy raz pokusie, miałem jej dalej ulegać.

Od owej rozmowy z panią Alą, stałem się jej niemal codziennym posłańcem! Co dzień, mówiłem sobie: Ostatni raz! I codzień czar jej działał, truł mi sumienie—łamał wolę. .

Że to, co robiłem, było złe, nieuczciwe, aż nadto dobrze wiedziałem; wiedziałem i to, że pani Ala grzesznie postępuje, pisując potajemnie do wuja Zygmunta, że przez to dopuszcza się winy względem swego męża, owego pocziwego, przeze mnie tak kochanego profesora, który od rana do nocy za lekcyami się ugania, aby jej tylko mózdz osłodzić życie; słowa dziadka: „Bądź zawsze uczciwym człowiekiem“—brzmiały mi w uszach bez przerwy—powtarzałem je sobie sto razy na dzień i dodawałem w duszy: Od jutra się poprawię, od jutra wypowiem posłuszeństwo; tymczasem płynęły dni, tygodnie, a ja dalej w oczy pani Ali patrzałem, na każde jej skinienie uległy.

A jednak—rzecz dziwna!—nawet grzech ma swój wstyd, ma swoje jakieś fałszywe wykręty, swoje zboczone pojęcie honoru! I tak, zanosząc listy pani Ali wujowi, nigdy żadnego od niego do niej nie przyjąłem! Próżno groził i prosił! W mojem rozumowaniu, co czyniłem, to czyniłem dla niej, z jej woli i rozkazu—byłem jej posłańcem, jej służką, jej paziem, ale nie jego! Jego nienawidziłem teraz otwarcie z całych sił i z każdym dniem więcej. Starania, któremi go otaczała ciocia Kostusia, oburzały mnie do żywego; nieraz walczyć z sobą musiałem, aby ukryć przed nią odrazę, którą we mnie budził;—że odrazę tę rodziła głównie zazdrość, to mi nawet przez głowę nie przeszło!

Chociaż żywot w dworku naszym wielkiśny bardzo odosobniony, to pogłoski o tem, co się u nas działo, musiały już jednak do wiadomości bliźnich naszych i sąsiadów docierać; wywnioskowałem to z faktu,

że pułkownik znów częściej się u nas pojawiał i przycinków swoich nie szczędził. Dla cioci Kostusi, która się niczego nie domyślała, były one zupełnie niezrozumiałemi; za to wuj zieleniał często ze złości. I mnie także napełniały wstrętem i wstydem, zwłaszcza, kiedy grając z profesorem w pikietę i niemiłosiernie go ogrywając, przyjaciel domu winszował mu nieszczęścia jego w karty.

— Wszystkiemu pani Ala winna,—zwykł był mawiać ze swym drwiącym złośliwym uśmiechem—ale dalibóg, profesorze, trudno cię żałować... masz, czegoś sam chciał...

A poczciwe profesorzyśko z rozkoszą i uwielbieniem na żonę spoglądał, ukradkiem ze swej papierowej tutki czerpiąc tabakę...

Jak się to wszystko skończy? I kiedy? myślałem nieraz i pytałem sam siebie, różne przypuszczenia w myśli czyniąc; nie przewidywałem jednak końca, który już był bardzo bliski...

W środku lata owe wieczne niedomaganie wuja odrazu się wzmoгло;—ogłosił się za chorego; przez trzy dni pokoju nie opuścił, najżywszą troską przejmując ciotkę, która napróżno pod drzwi jego zachodziła z propozycjami różnych leków i doktora. Odmawiał wszystkiego, żądając tylko spokoju.

Trzeciego dnia wpadła do nas wieczorem pani Ala, zabawiła niedługo i wydała mi się jakaś rozgorączkowana. Odchodząc, pożegnała się z cocią Kostusią bardzo czule, do mnie zaś rzekła:

— Noc taka pogodna... chodź ze mną... odprowadzisz mnie do furtki...

Myślałem, że ma mi list do oddania.

Ale nie—nie oddała mi nic, tylko się przy furcie zatrzymała i począła rozglądać w koło siebie. A ogród, dworek cały, werenda, skąpane w świetle księżycowem, tajemniczo i zarazem ślicznie wyglądały.

Potem rękę mi na głowie położyła i miękkim, jakby rozrzewnionym głosem szepnęła:

— Bądź zdrów, Riri, byłeś mi wiernym paziem... bądź zdrów... Kochasz mnie?

Czym ja ją kochał!.. Na to pytanie serce wezbrało mi nadmiarem uczucia; słów wydobyć nie byłem zdolny; więc chwyciwszy tylko jej rękę, namiętnie ją do ust przycisnąłem, a chociaż usta milczały, wszystko we mnie wołało: Kocham! Kocham! Kocham!..

— Zrobiłam ci wiele złego—mówiła dalej—tego złego żałuję...

— Mnie?—spytałem—w czym i kiedy, pani?

Zamyśliła się, nie odpowiadając wprost.

— Czas iść--rzekła wreszcie.—Nie wspominaj mnie nigdy z gniewem i pogardą... bądź zdrów!.. Bóg z tobą, Riri...

Zdziwiły mnie jej uroczyste słowa pożegnania, ale zanim zdołałem myśli zebrać, postawić jej jakie pytanie, uczułem na czole mojem pocałunek—pierwszy—jedyny—i pani Ala w nocnych cieniach znikła...

Nazajutrz rano służąca zastała pokój wuja Zygmunta próżny, a zdyszany, spocony, przerażony profesor przyleciał około godz. 9-ej oznajmić nam o ucieczce żony; parę słów z dworca kolei, nakreślonych przez wuja do ciotki Kostusi, donosiło jej krótko i zwięźle, że wyjeżdża z panią Alą w świat szukać szczęścia dla niej i dla siebie...

Uderzył grom!—burza przeszła.

A my, rozbitki, żyliśmy dalej—po dawnemu...

I po co, na co mówić o odniesionem z burzy wrażeniu! Silić się na określenie boleści i wstydu? Dość było spojrzeć na profesora i ciotkę Kostusią, aby się serce z litości krajało. Jego zwłaszcza cios ten moralnie z nóg zwałił i biedak nigdy się odtąd nie podniósł. Żył, lekcye dawał, odwiedzał nas, rozprawiał o tem i owem, lecz czuć było, że myśl jego wiecznie w jedną i tę samą zwrócona stronę... Z początku zwlierzal się ciotce, wylewał przed nią swój ból, swą bezmierną rozpacz,—pytał z rodzajem dziecinnej bezradności w wejrzaniu:

— Co jej była u mnie za krzywda? Czego jej brakowało? W czem ja zawiniłem? Czemu się do mnie przywiązać nie mogła?..

Później—przestał o niej mówić.

Dla mnie, przez długie lata, piekącym wyrzutem sumienia pozostała myśl, że do tego jego nieszczęścia, do tego upadku pani Ali, i ja się pośrednio przyczyniłem...

Ona, żegnając mnie, powiedziała: Wiele ci złego zrobiłam...

Pojałem niebawem znaczenie tych słów... Tak jest! Wiele mi złego zrobiła, brudząc mi, pierwsza, duszę, napełniając ją później nienawiścią, goryczą, żalem do życia, przedwczesną świadomością, że cnota w świecie nie popłaca i że hultaje w nim górą!. Com ja się przez nią nacierpiał!

Ciotkę Kostusią postępek wuja bolał podwójnie, bo jako nowy czyn haniebny, którym nazwisko dziada splamił,—powtóre, jako przykład dla mnie. Pod tym ostatnim względem usiłowałem ją zaspokoić. Przysięgłem jej i sobie, że z mojej przyczyny nigdy iza z jej drogich oczu nie padnie, przysięgłem, że wszelkiej pracy, wszelkich usiłowań dołożę, aby jej, choć w setnej części, bóle, ofiary, zawody całego życia wynagrodzić, pozostać zawsze, według życzenia dziada, „uczciwym człowiekiem...”

Dotrzymałem słowa.

Czas mijał. Ukończyłem szkoły,—począłem we Lwowie na kursa medycyny uczęszczać. Przez cztery pierwsze lata dochodziły mię do-

syć często wieści o wuju Zygmuncie i pani Ali, gazety bowiem rozpisywały się długo i szeroko o szalonych powodzeniach, jakie w Ameryce jej koncerta odnosiły. Po upływie tego czasu, nastąpiło milczenie.

Czy ciotce cokolwiek o losach ich było wiadomem, nie wiem; w domu naszym nie wspomniano o nich nigdy, a jednak, kiedy do Stanisławowa na krótkie wakacje zjeżdżałem, kiedy wraz z ciotką i profesorem zasiadałem, po dawnemu, na werendzie, ileż-to razy rozmowa nasza nagle się urywała, a myśli wszystkich trojga leciały w świat—za nimil..

Co do mnie—myślałem o niej, jak o osobie umarłej...

I oto teraz—przed miesiącem—powołany zostałem śród kursów do łóża tej mojej drugiej matki, tej ukochanej ciotki Kostusi... Długa choroba zakończyła się wreszcie śmiercią...

Ona, od początku, podobnie, jak Bunia, świadomą była swego stanu; jak Bunia, żegnała mnie z pełną przytomnością, ale ostatnią jej przestrogą była przestroga przed wujem.

— Unikaj go!—mawiała i nalegała.—Strzeż się jego skruchy i jego wpływu!.. Gdyby pomocy pieniężnej kiedy żądał, nie odmawiaj mu jej, ale stróż od niego! do domu swego go nie wpuszczaj!..

A ja odpowiadałem: Nigdy!.. obiecuję!..

Wtem—o ironio losu!—W trzy dni po śmierci ciotki przyszedł do niej list od wujal.. Ja go przeczytałem.

Donosił o swoim zrujnowanem zdrowiu, o swojej nędzy, spowodowanej utratą głosu pani Ali, o różnych kolejach, przez które w ciągu tych sześciu lat przechodził, wreszcie zawiadamiał ją o swym powrocie do kraju, prosił o przytułek i kończył owemi tajemniczemi słowami:

„Kiedy człowiek raz sobie łańcuch do nogi przykuje, dźwigać go chcąc nie chcąc, musi do końca dni swoich...

Od chwili przyjścia tego listu w istnej gorączce, w istnym szale żyję...

Wraca!.. Wuj wraca!.. czy sam?..

Ode mnie zależy go przyjąć, udzielić mu żadanego przytułku.

Pisze o łańcuchu...—Co przez ten wyraz chciał powiedzieć? Czyż łańcuch—to Ala? Jeśli tak, to ją kochać przestał... Jak ona cierpieć musil..

Obiecałem ciotce w godzinę śmierci stronić od niego, unikać go...

Prawda!—Lecz gdybym się tak raz—raz jeden — wyjątkowo, z nim spotkał—ujrzał-bym i ją!.. Nareszcie!.. Po tylu latach tęsknoty, ujrzał-bym tę jej postać ubóstwioną, i te jej ciemne, w pół zmrużone oczy, i jej uśmiech słodki, usłyszał-bym jej głos:

— Riri... czy ty mnie kochasz?..

— O, Boże mój! I to ode mnie zależy! To w mojej jest mocy!..

...Ale z drugiej strony—ja wiem, że gdy ją ujrzę, czarowi ulegnę... a ja nie chcę uleżeć! Nie chcę!.. W oddaleniu mój ratunek!..

Wszak dziad mi tak gorąco zalecił: „Bądź zawsze uczciwym człowiekiem...”

F. M. SZEMBEKOWA.

---

# Ź R Ó D Ł A

## DO DZIEJÓW LITERATURY I OŚWIATY POLSKIEJ.

---

IX <sup>1)</sup>.

### W I E R S Z E H I S T O R Y C Z N E .

---

1.

Dawno zauważono, że dzieje narodów słowiańskich nie odznaczają się zbyt dużą dramatycznością, że brak im silnych efektów scenicznych, że bohaterowie nie pozują przed widzami, nie zdobywają się na patetyczne frazesy, ani akcja ich nie przedstawia szeregu wstrząsających konfliktów; dzieje narodów słowiańskich, powtarzamy, najmniej są teatralne; rzadko w nich spotykamy wdzięczne role i wzruszające obrazy, a choćby tylko słowa „uskrzydłone“; niewymuszonosc, prostota, patryarchalność, stanowią ich cechę rodzimą, dodatnią w oczach słowianofilów, nie pojętą w oczach artysty.

Energiczne charaktery i naprężone sytuacje, niezbędny warunek kollisioni dramatycznej. wytwarzają się łatwiej na zachodzie, gdzie życie więcej i dawniej jest skupione, ścierają się silniej ludzie i idee, prądy i interesa, budzą się gwałtowniej instynkta i namiętności, a z ruchliwszych, różnorodniejszych tłumów wytwarzają się owe osobistości, har-

---

<sup>1)</sup> Por. „Bibl. Warsz.“ 1895, III, str. 377—414.



de ufnością w siłę własną lub w siłę zasad, nie cofające się przed nikim i niezem, chciwe wrażeń, walk i władzy. Między Słowianami, na owych niezmiernych obszarach, po owych krajach płaskich, szerokich, jednoczajnych, trudno o takie osobistości; a jeżeli w ciągu wieków spotykamy na tych polach, stepach i lasach bohaterów, to najzaciętszym ich wrogiem będzie żywioł najmniej dramatyczny: niema a uporna bezwładność mas nieporuszonych, martwych; bryły te dźwignąć z miejsca albo rozbić się o nie, to właśnie stanowi główny konflikt tych dziejów.

Bywają jednak i w nich okresy, pełne grozy tragicznej, przejść nagłych, napiętności wzburzonych a sił wyteżonych; okresy, przykuwające uwagę historyka, a jeszcze więcej artysty, dzięki silnym efektom, dziwnym zagadnieniom, barwnym obrazom i wyrazistym kształtom. Takim okresem, przed innemi, przedstawiają się nam czasy Iwana Groźnego: nie dziw też, że o odtworzenie historycznej i artystycznej ich prawdy kusiło się wielu oddawna. Okres ten sięga od połowy szesnastego wieku po-za rok 1584, rok zgonu Groźnego, dalej, do chwili, kiedy nareszcie opadło rozszalałe morze krwi, łez i płomieni, jakie Rossyę od lat tyłu zalewało, kiedy odparto wreszcie najazdy wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, kiedy reakcyja i najniższych warstw narodu na gruzach i zgliszczech przeszłości osadziła nową, narodową dynastyę. Wszystko, co przez lat trzydzieści po śmierci Groźnego się działo, to związane nierozzerwalną nicią z nim samym, to ludzie, charaktery i stosunki, jakie on wychował, wyrobił, czy przygotował, i zdaje się, że jeszcze z po-za grobu wynurza się owo ściągłe, napiętnościami wyniszczone oblicze, napiętnowane szatańską ironią, jaka je za życia tylekroć wykrzywiała; że te błędne oczy przyglądają się śmiałym awanturnikom, których wiatr pomyślny stawiał na szczyty, gdzie łatwiej się było wspiąć, niż się na nich utrzymać; że ten wzrok demoniczny śledzi przebiegłych obłudników, czyhających na chwilę, kiedy można będzie zgnieść przeciwnika, a uprzędzić zamach, grożący im samym; że przypatruje się rozszalałym tłumom, chyłącym się pod każdym podmuchem wiatru, rozdzierającym dziś tego, kogo wczoraj wielbiły.

Literatura rosyjska jest naturalnie najbogatsza w utwory, poświęcone tym dziejom i czasom; posiada nawet osobną, poświęconą im, monografię. Zaczyna szereg tych utworów osławiona tragedia Sumarokowa o Samozwańcu, z niefortunnym dwuwierszem na końcu, i pseudoklasyczna epopeja Cheraskowa (Rossyada) o zdobyciu Carstwa Kazanńskiego, w guście i stylu Jeruzolimy Wyzwolonej. Tragedye i epopee ośmnastego stulecia zastępują w dziewiętnastym kroniki dramatyczne i romanse historyczne: „Godunow“ Puszkina, trylogia Aleksiego Tołstoja, kroniki Ostrowskiego wyróżniają się między twórcami drama-

tycznemi Krjukowa, Kakolnika i innych; między romansami „Juryj Miłosławskij“ Zagoskina (1829 r.), tłumaczony na wiele obcych języków, wywołał swego czasu ogromne wrażenie, zachwycał się nim młodociany Turgeniew, którego niegdyś i Rossyada zajmowała; z następnych jedynie „Książę Srebrny“ Aleksego Tołstoja, dzieło pracy sumiennej, starannej, długoletniej, przetrwało próbę czasów; liczne inne, np. „Kudiejar“, historyka Kostomarowa, są już lub będą zapomniane. Lecz nie jest naszym zamiarem śledzić ściślej odtwarzanie tych typów i czasów, czy to w literaturze rosyjskiej, czy w innych, np. w „Dymitrze“ Szyllera lub w „Królu Duchu“ Słowackiego; inne mamy zadanie.

Dla barwnego a wyrazistego odtwarzania tej pamiętnej epoki zbierają artyści i historycy materiały zewsząd, ze źródeł rosyjskich, niemniej jak z obcych; każda współczesna relacya, a mianowicie relacya widza, dorzuca coś nowego, dodaje wyraziste rysy i barwy specjalne; otóż niżej wskazujemy taką, nieznaną dotąd, relacyę, obfitującą w liczne szczegóły życiowe i malującą świetne obrazki rodzajowe, pomimo ściśle określonej sfery, w jakiej się obraca; relacyę prawdziwą, pomimo uprzedzenia, jakiego się autor z powodu wychowania, zarówno jak z przyczyny misyi swej i jej przebiegu, pozbyć nie mógł; ciekawą ze względu na treść i formę, pomimo pewnej jednostajności, wynikającej z założenia; relacyę, słowem, wobec której sumienny artysta, jak Tołstoj, byłby niechybnie nieco zniżył ton „Księcia Srebrnego.“

## 2.

Autorem tej relacyi jest p. Elias Pielgrzymowski, pisarz W. Ks. Lit. za Zygmunta III, postać w literaturze mało znana; wiadomości o nim podają Trębicki, Wiszniewski, Encyklopedia, powtarzając, co Niesiecki w „Koronie“ zapisał, o usługach publicznych, o żonie Teodorze z Lackich, niezwykłej siły białogłowie; czego nie powtarzając, dodamy inne szczegóły. Zostawszy z sekretarza królewskiego dosyć wcześniej pisarzem litewskim, Pielgrzymowski wyżej się już nie posunął; Mikołaj Sapieha, kuchmistrz W. Ks. L., pisze do Lwa Sapiehy 6 stycznia 1604 r.: „słysząc sam (tu) u nas, iż pan Pielgrzymowski, pisarz, umarł, który miał królewsczyny coś we Zmoydzi i tam gdzieś pod Trabami i leśnictwo Iurborskie“; p. kuchmistrz zamierzał widocznie zapewnić sobie zawczasu którąś z wakujących intrat. Wcześniej pisze Lew Sapieha do Krzysztofa Radziwiła (29 października 1602), że p. pisarz córkę swą nie bardzo fortunnie wydaje („on się dobrze żeni, ale ona bardzo źle idzie, dosyć-by tak złemu opiekunowi si-

rotę ladajako wydać, nie ojcowi córkę“). Szczegóły i wzmianki, po innych drukonanych dotąd listach rozrzucone, pomijamy jako błahe.

Pielgrzymowski był, jak niegdyś i patron jego, Lew Sapieha, kalwinem; odmiennie jednak od patrona, pozostał kalwinem, zdaje się, do śmierci; przynajmniej wymienia go Gliczner Erazm między propagatorami wyznania jeszcze w przedmowie dedykacyjnej swej Apellacyi (Appellatia, którą się popiera y znowu wywodzi obrona dołożna i t. d., w Królewcu, 1598 r. Eliaszewi Pielgrzymowskiemu, pisarzowi króla Imi); przynajemy wszakże, że w relacyi, o której niżej mówimy, t. j. w ostatniem dziele Pielgrzymowskiego, stanowisko jego kalwińskie nigdzie nie jest zaznaczone; pewne pozory świadczyły-by nawet za tem, że pisał to katolik.

Co do usług publicznych, wyraża się on sam w przedmowie owej relacyi, prosząc Lwa Sapiechę o uwzględnienie i polecenie w następny sposób: „A dobrze wiedząc, zem IKrM. królowi Stefanowi ś. p. garlując na wojnach cnotliwie i wiernie zawsze służył i, by więcej nie było, jedno ono przedarcie się me od wojska do wojska, z pod Starzyce do Pskowa z oną nowiną, że Książ on Wielki z dziećmi przed nami z Starzyce uciekł, i z onymi zbiegami jego pokojowymi do króla IM., i zaś od Króla IM. tąż furą pode Rżów, Wołodimirzow nazad. Pomniąc też onę drogę moję do tegoż Kniazia Wielkiego od Króla IM. Stefana; niemniej tak roczną krotofilę, którąch miał w nabywaniu tam i sam, a potem morzem i lądem o chłodzie i głodzie prowadzeniu pod Wolmierz tak wiele set cetnarów prochu, petard i innych potrzeb wojennych, bez pomocy, bez ratunku, przemyśłem ubogim moim, czeladką, końmi memi (Bóg lepiej wie, z jakim niebezpieczeństwem), gdzieś też inter cetera majątnostki mej coś, toż i koni nieco, złomieniem na Mulgrabi stracił; czego mi nie tak żal, że to na mej chudobie zostało, gdy z łaski Bożej potrzeby wojenne cało przeszły. Pomniąc też na inne prace moje, legacye, komissye, choć niegdy nie po mej sile i nie według dowcipu mego; ono drabowanie z końca w koniec Iflant ku użytkowi Rzptej, ono przysięg przyjmowanie od wszęch stanów inflanskich, one wojsk zwodzenia z zamków; i Pruskie niedawne prace z strony nawigaczej nowej; służb dwornych i utrat nie wspominając, że też indzie <sup>1)</sup> „*jan te wiersze napisal inny odebrał zaszczyty*”, a sam *jałby w rzekę z dworu wpadszy, widzę wielkie przeciw sobie wstręty, małpa naczynie wywróciła i losy moje wysypała*: abyś WM. mój Miłościwy Pan IKrM. naszemu Miłościwemu Pann komendować mię, a już niemal

<sup>1)</sup> Ustępy, drukowane kursywem tu i dalej, w oryginale po łacinie.

ustawiającemu w zawodzie rękę mi podać raczył, abym do przystojnej nagrody za ucziwe służby swe przyjść mógł."

Najważniejszą służbę podjął p. pisarz, jako członek poselstwa. o czem w tej samej przedmowie (nieco wyżej) wpmiina: „gdychmy niedawno od Króla IM. pana naszego i od Rzptej z sejmu posłami wielkimi u dzisiejszego Kniazia Moskiewskiego Borysa Fiedorowicza byli dla doczesnego z nim, albo wiecznego zawarcia pokoju, o co on-że sam Króla IM. pana naszego przez posłaunika swego, Ilnata Piotrowicza Taciszczowa, podskarbiego i namiestnika swego Mieroinckiego, w Warszawie na sejmie prosił, jako z bojary swymi Dumnymi wielką i wdzięczną skłonnością, Króla IM. i Rzptej i kondycjami krześciańskimi, im samym więcej niemal niż nam potrzebnymi, pożytecznymi, nietylko pogardził był, przyjąc ich nie chciał, ale jeszcze Istant, Estoniej szablą groził i ogniem posieść, prawo jakieś przypisując sobie do nich, którego nigdy Kniaziowie Moskiewscy przodkowie jego niemieli, a pogotowiu i on sam nie ma, i mimo to, dalej jeszcze w ojczyznę naszą wtargnąć, Króla IM. pana naszego lekce ważąc, nas posłów wielkich, jako w więzieniu jednym w zaparciu przez pięć a dwadzieścia niedziel chował i dziwnymi sztukami, chcąc na nas wiele niesłusznych rzeczy wymusić, wystraszyć, niechęć, nieludzkosć wielką pokazał nam i przykrości nawyrządzał. Zgoła niemal odrzuciwszy wszelkie słuszne sposoby wiecznym i doczesnym pokojem pogardził był, tego nawet żałując, że pierwszego przymierza jeszcze dwadzieścia miesięcy zbywało i to chować nie chować w samowoli swej kładąc, nimeśmy wreszcie po wielkich sporzech z nimi to nowe do dwu i dwudziestu lat, kładąc w to ostatek pierwszego, przymierze zawarli... aez mię Pan Bóg przez wszystkie niemal czas tej tam legaciej w Moskwie niemocą wielką nawiedzić był raczył i jako choremu z ciężkością przychodziło mi być na każdej sessyi i przy wszystkich traktaciech, a zatym *cielesnymi i dusznymi cierpieniami strudzonemu* pracować. Jednakże to, co było ważniejszego, jako mogąc *skupiłem*, zebrałem, spisałem niemal od słowa dla pamięci *pro et contra*, wszystkie kontrowersye, spory, mowy, objekeye, repliki, exprobacye, maledykeje, *hańbienia*, ostentacye, denuncyacye, *łzenia i t. d. skorym piórem*."

Pierwotne te zapiski Pielgrzymowskiego miały się dostać do rózkańskiego archiwu Sapieżyńskiego; dziś zaginęły; cząstkę ich odnalazł Wandalin Pusłowski na licytacji w Warszawie, a wydał Wład. Trębicki (Poselstwo Lwa Sapielchy i t. d., Grodno, 1846, 44 str). Urywek ten zaczyna wyliczaniem żywności, ile jej postom w drodze ze Smoleńska do Moskwy dostarczano, a kończy opisaniem czwartej sessyi; luki uzupełniał Trębicki z Żywota Lwa Sapielchy u Kognowickiego; history-

cy rossyjscy, np. Sołowjew, tom VIII, str. 24—31, korzystali z relacji w tem streszczeniu.

Co się literackiej spuścizny po Pielgrzymowskim dotyczy, to i on torował sobie pierwsze kroki panegirykami, wedle mody szesnastego wieku, hołdującego w ten sposób maksymie „czcij starszych.” Zwrócił się najpierw ku Krzysztofowi Radziwiłłowi (Piorunowi), którego wielce obowiązanym sługą się oświadcza, wychwalając jego czyny wojenne (opisane w *Jeździe Kochanowskiego*) i wplatając wyznanie gorliwości protestanckiej rodu, „który pierwszy wynurzającej się napowrót ewangelii wrota otworzył“; w końcowych wierszach życzy mu pomyślności, długiego wieku i licznego potomstwa (*Panegyrica apostrophe ad Christophorum Radivilonem i t. d. Heliae Pilgrimovii S. R. M. Secretarii, Cracoviae, Petricovius, 1583, 10 kartek*). Również czczą deklamacyą odznacza się panegiryk, który w zbiorach petersburskich znaleźliśmy, *Heliae Pilgrimovii Secr. Reg. epistola ad... Theodorum Skuminum M. Lith. Duc. thesaurarium terrestrem i t. d. qua et novam ipsi dygnitatem gratulatur et de formis imperiorum disputat, Vilnae, Kartzanus Velicensis, 1586, str. 13, adresowany Datenovii 1 maja 1586 r.*

Ciekawszem, nawet wcale oryginalnem dziełkiem przedstawia się za to jego „*De Heroibus in Dei Ecclesia liber unus*“ (*O bohaterach w kościele Bożym, Kraków, Siebeneycher, 1585 r., kart 54*), poświęcone Batoremu „*ex proediolo meo Datnoviensi in Samagitia*“ 27 lutego 1585 r.; trzydzieści sześć zwięzłych biografii wodzów, sędziów i królów Starego Zakonu, żydowskich i pogańskich, takich, którzy Bogu lub kościołowi cześć oddawali. Jest to niby nowy Korneliusz Nepos, mający chrześcianom zastąpić pogańskiego autora, styl i sentencye przypominają to wyraźnie; kilkanaście drzeworytów ozdabia piękne, staranne wydanie, a fantastyczność ich godzi się nieraz dobrze z fantastycznością tekstu. Celem, jaki autor swej pracy nakreślił, miało niby być zebranie wzorów ze Starego Zakonu, by innym długiego szukania oszczędzić: lecz łączą się tam i cele uboczne. Zwraca się bowiem autor w sentencyach ciągle do króla; myśli zawsze o panujących; przestrzega i karci ich; błaga Boga o zesłanie takich, którzy-by dbali o prawdziwą chwałę Bożą i o prawdziwy kościół Boży: co zaś pod tem rozumie, wątpić nie możemy. Do katolika Batorego protestant się odzywa, prawda, że ostrożnie, dwuznacznie nieraz, mimo to, nie omylą słowa np. tego rodzaju: Bóg ma serca królów w ręce swej, którym, gdy chce, łatwo może wpoić prawdziwe poznanie i wyrwać ich z ciemności ludzkich tradycyi i ludzi pobożnych z zasadzek najgorszych sykofantów ocalić i t. p. Zaczyna od Adama, dalej idzie Kain i t. d.; kończy się na Sardanapalu, Cyrusie i Artakserksesie. Opowiada od siebie, tylko

Adam i Ewa zwracają się w prozie i wierszem, karząc i upominając, do nieszczęśliwych potomków. Całe dziełko, jako dla łaciownika Batoro- go, stylowo bardzo starannie opracowane. Po tych pierwocinach pióra, zamilkł na długo pan sekretarz i pisarz, zajęty gospodarką i urzędem, aż go Lew Sapieha do nowej pracy swem poselstwem pobudził.

## 3.

Opowiedzmy pokrótce, w jakich warunkach odbyło się owo poselstwo. Ruszał wtedy IMP. kanclerz po raz drugi do Moskwy i trafił niemal na tych samych ludzi, z Godunowem na czele, lecz stosunki obustronne zmieniły się zupełnie. W r. 1584 w Moskwie Groźnego i Fiedora przyjęto posła pod świeżem wrażeniem pochodów Batoro- go; ustępowano mu, traktowano go łagodnie i ostrożnie; inaczej w r. 1600, za Godunowa. Niebezpieczeństwo, grożące ze zjednoczenia potęgi polskiej i szwedzkiej, rozwinęło się; pokazało się niebawem, że zjednoczenie pozorne wyszło na jawną niezgodę; brakło tylko energii Godunowowi, by pomyślną konjunkturę należycie wyzyskać; on zadowalał się straszeniem Polski Szwecyą i naodwrot. Dziesięcioletnie przymierze z Polską upływało w 1602 r.; wstąpienie na tron (1598 r.) oznajmił był Godunow przez Tatyszczeva i wzywał do rokowań; wysłano więc r. 1600 poselstwo do niego; orszak posłów i dworzan królewskich powiększyła karawana kupiecka, korzystająca ze sposobności zbytu towarów w Moskwie.

Posłowie przybywali z wielkimi pełnomocnictwami i teraz przedstawiały artykuły, jakie podawali, warunki wieczystego pokoju, przymierza zaczepno-odpornego, związku handlowego, nawet monetar- nego, a w dalszej perspektywie zespolenia zupełnego obu państw. Bo- jarowie Dumy zbywali wybujałe nadto propozycye byle czem, zwali je nawet „bezdzielnem”; zamiast o pokoju wiecznym, mówili o doczesnem przymierzu, żądali Infant, a przedewszystkiem tytułu carskiego, dotąd upornie im bronionego; posłowie, t. j. Sapieha, — gdyż drudzy zachowy- wali się raczej biernie, — oświadczały się z przyznaniem tytułu tylko w razie zawarcia wieczystego pokoju; dla przymierza doczesnego na tytuł żadną miarą zezwolić nie mogli. Stąd kwasy i przemówki, zry- wania sessyi i kilkutygodniowe w nich przerwy, mające znużyć opor- nych posłów. Gdy ci się nie poddawali, a zwycięstwo, odniesione nad hospodarem multańskim, Michałem, szanse polskie poprawiło, przedłu- żono w końcu przymierze na lat dwadzieścia, nie zmieniając w niczem *statu quo*. Kilka mylnych dat, szczegółów i przypuszczeń co do prze- biegu tego poselstwa usuwa relacya Pielgrzymowskiego; na ciekawą

kwestya, czy za tego pobytu Sapielhy w Moskwie nie osnuto między nim a wrogami Godanowa pierwszych nici intrygi samozwańczej, czego się domyślano nieraz, relacya światła nie rzuca, chociaż w przedmowie i o śmierci carewicza Dymitra, i o możliwości rychłego przewrotu w Moskwie wspomniano. Niezręczną nieco przymówkę kancelarza, że podarki od posłów wynadgródzą za koszta ich przyjęcia, na którą odpowiedziano, zwracając posłom podarki, i przyjęcie „listu przymiernego“ dla Zygmunta bez tytułu króla szwedzkiego, nieco mało duszne ustępstwo, zaznacza relacya mniej wyraźnie, niż należało.

Otóż to poselstwo opisał Pielgrzymowski wierszem polskim wedle własnoręcznego dyaryuszu. W przedmowie do Sapielhy tak się wyraża: „a iżeśmi WM. mój miłościwy Pan, potym (t. j. odbytem poselstwie) niemal we dwie lecie, gdy już *Epimenidów sen naspałem i w rozproszeniu pamięci* z myszli mej wyszły, rozkazać raczył, abym od zaginięcia przywracał te rzeczy, żeby do uszu Rzptej, której to o sławę i bezpieczeństwo w tem idzie, przyszły, wziętem przedsię pierwszą onę pracą swą i WM. memu miłociwemu Panu gwoli, przełożyłem na prosty i bez misterstwa wiersz polski, dla krótkości i przyjemniejszego czytania, z zachowaniem zdań i słów na niektórych miejscach *subtelności lub raczej wielomówności Moskwy.*”

Przedmowa datowana jest „z chudego dziedzictwa mego z Miednik” bez wyrażenia roku, lecz należy postawić datę 1603 r., t. j. rok śmierci p. pisarza; przypuszczali-byśmy nawet, że śmierć przeszkodziła może ostatecznemu wykończeniu pracy i przesłaniu jej p. kancelarzowi. Rękopis jej przepisany już wprawdzie na czysto, bardzo wyraźnie, niemal kaligraficznie; inicyały wykonane ozdobniej; lecz na kilku miejscach pozostawione białe karty dla wpisywania tekstu przymierza i innych rzeczy, tudzież brak wskazówki lub wiadomości, by praca ta kiedykolwiek w archiwach sapieżyńskich się znajdowała, mogą przypuszczenie nasze usprawiedliwić.

Kopista, przepisując oryginał, pewnie pokreślony i niezawsze czytelny, popełniał liczne myłki, które sam p. pisarz poprawiał, w pisowni, szyku wyrazów i w kadencyach; raz, przez pomyłkę, zapisał kopista, na k. 35 i 36, urywek z owego prozaicznego dyaryuszu (ogłoszonego przez Trębickiego), co p. pisarz przekreślił. Własnoręcznie dodał p. pisarz kilka ustępów w prozie, spisy podarków dla i od Wielkiego Księcia i syna jego, odpowiedzi bojarów na „statje” (artykuły) posłów. Nie wszystko bowiem przełożył p. pisarz na wiersze; pozostał w prozie wszelkie spisy, np. potraw, trunków, podarków; nie tknął również brzmienia przemów poselskich do Wielkiego Książa i do Króla, artykułów poselskich i odpowiedzi bojarskich, „listów przymiernych” (traktatów pokojowych), własnej swej obszernej przemowy do

młodego kniazia, prosząc o przyspieszenie *odpusku* (na k. 70 i 71), tudzież relacyi kanclerza przed młodym kniazem o porażce. Nadmieniamy, że rękopis, oprawny w czerwoną tekturę, dostał się do zbiorów Załuskiego; wylicza go też Janocki, a wzmiankę jego powtarzają Wiszniewski i inni; znakomicie zachowany, znajduje się dziś w ces. bibliotece publicznej petersburskiej (sygnowany „rękopisy różnych języków”, XVII, folio nr. 68; kart liczonych 142; inne, wkładane później, pominięte).

Wracamy do „poezyi” p. pisarza; o jego estetyczne pojęcia, wyrażone w przedmowie, śpierać się nie myślimy, a wówczas dość ogólnie uznawano, że wiersze skracają i uprzyjemniają wykład; w wierszu do Zoila przypisuje sobie też zasługę nie ozdobnego, lecz za to dokładnego oddania rzeczy:

Ktośkolwiek czarnozęby, co to mózgiem robisz,  
I rzeczy rozmaite złotym wierszem zdobisz,  
Nie szacuj cudzych wierszów; patrz w nich raczej rzeczy;  
Alias zabawy twe nie będą do rzeczy.  
Możesz szarpnąć, nicować, wiersz nie uczonego,  
Ale co wiesz, nie ten li stanieć do żywego?  
Kwinty stroić głupiego; nie patrzę ozdoby,  
Dość na tym gdy wiesz, co się działo do tej doby.

Zapewnienia p. pisarza że „ozdób nie patrzy”, dosłownie brać nie trzeba; za ozdoby służą mu liczne reminiscencye, porównania, wskazówki na świat i dzieje klasyczne, rzadziej starozakonne. Więc przerywa ciągle swą powieść; mówiąc o wypowiedzeniu wojny lub o zawarciu przymierza, o dochodzeniu prawdy lub o obcej chępliwości, o kaźniach Godunowa lub o nieufności względem cudzoziemców, o traktowaniu posłów lub o obyczajach w narodzie, i t. d. i t. d., wszędzie wtrąca, liczne nieraz, paralele z antyku i biblii. Nazwał był ktoś Moskwę nowym cudem świata, korzysta z tego p. pisarz, by wsunąć zestawienie miasta Moskwy z siedmioma cudami świata (k. 13 i 14) i we stu wierszach opisuje mury babilońskie, kościół Dyany, piramidy egipskie i t. d. Albo charakteryzując różne narody, przylicza coraz inne, zapomniane szczyty starożytne, z nowszych wymieniając tylko:

Włoszy swoją zacnością wylatują górę,  
Sobie guli (narabiają), o drugich nie niedbają skórę;  
Francuzowie uporni, bez gomonu (łulasa) nigdy,  
Choć mają, choć niemają, żadnej czasem krzywdy.



Hiszpani chlubni, skąpi, umrzeć przy uporze,  
 Mniemają rzecz być piękną na królewskim dworze...  
 Tatarowie by wilcy, ze krza gdy wypadną  
 Do stada spokojnego, co porwać, niezgadną;

wreszcie mowa o Tarentynach, Ligurach, Ateńczykach i t. d. Szczyściem ograniczają się te niezbędne hołdy starożytności do takich całkiem zewnętrznych przymieszek i, nie sięgając głębiej, nie psują też właściwego układu, ani materji, jak to w innych poezjach tego wieku nie raz bywało.

Innemi kwiatkami stylowemi, jakimi p. pisarz pstrzy swoją relację wierszowaną, są owe stereotypowe omawiania wschodu i zachodu słońca, jako Tytana, wytaczającego z morza wóz złoty z kołmi, chłodzącemi się w falach; dalej porównania, nie obfite zresztą, ani obszerne, ani charakterystyczne. Oto jedno z lepszych:

My im zdrowe, braterskie podajemy drogi,  
 A oni, jako ze krza wilk na owce srogi  
 Ścisła się, niewie, z samym co pochwili będzie,  
 Ze sam skóry i zdrowia własnego pozbędzie.

Albo mówiąc o tej, co się do cudów świata liczyć pragnie:

Przeto też jako żaba, gdy konia kowano  
 ...chce mieć, aby ją także podkowano,  
 Nie widzi, że bez rogu hulnal idzie w żywe...  
 Bo chce mieć, by tym dziwom porównana była,  
 Kęsemu (psu) do zająca nie dostaje siła.

W niektórych porównaniach lubuje się p. pisarz, a może i p. kanclerz; nawo ując do zgody, twierdzi, „poszło-by to jako kwiat zielony z korzenia”, albo „pójdzie stąd i wszystko ogółem, jako wieniec, okrągły, nadobny, rumiany, kwieciem wonnym, różnymi kwiaty przyodzianny” i t. p.

Język Pielgrzymowskiego, wcale poprawny, niezem nie skażony, potoczny i jasny, jak we wszystkich lepszych poezjach szesnastego i siedemnastego wieku, wolny od obcych przymieszek, od jakichkolwiek archaizmów (chyba w słowie *ksiądz*, tyle co książę), od prowincjalizmów, zachował nieco starszych form lub zwrotów, wtedy ogólnie panujących. Ponieważ zmodernizowaliśmy pisownię, mało tykając brzmienia tekstu, nadmieniamy, dla lepszego wyrozumienia następują-

cych niżej wypisów, że *wtąż* znaczy *taksamo*; *nielza*—*niemożna*; z *jednego*—*zajedno*, *zarazen*; *niewinny*—*bez winy*, *bez przyczyny*; *takuchny* lub *takuczki*—*taki (sam)*; zamiast *wszystek*, *wszyscy*, częste *wszytek*, *wszytcy*, zamiast *bardzo*, *barzo*; a w drugich przypadkach, *burze* (burzy) i t. p.; a zachowane w *jachać* (*przyjachali* i t. p. ciągle), *cadzić* (cedzić); parę razy z litewska *rz* i *r* mylnie położone, np. *krzwi* (krwi), *skrzewnienie* (skrewnienie), *pierchać* (pierzchać), *sierzp* (starsze, w cudze żniwo swój sierzp zapuszczać nie będzie); Inflanty zowią się jeszcze Iflantami. Zrozumienie płynne utrudnia najwięcej mniej naturalny szyk wyrazów, błąd ogólny ówczesnej poezji.

W relacji p. pisarza występuje nieco obszerniej jeszcze jeden język, rosyjski, bo słowa bojarów i odpowiedzi kanclerza przytoczone są nieraz w brzmieniu oryginalnem, całkiem po rosyjsku; częściej w języku mieszanym, rosyjsko-polskim; zwykle po polsku z domieszką jakiego rosyjskiego wyrazu. Rosyjskie słowa wymawia i pisze Piętrzymowski z białoruska, a więc z *h*, zamiast *g* (Hodunow, *przyhożo*—wypada, ale *nie garazd*—nie dobrze), z *ci*, *dzi*, zamiast *ti*, *di* (np. Taci-szczow, *woiścinnno*—zaprawdę, *niewiedzieć so*—niewiedzie się i t. d.), z twardem *r*, np. mówi młody książę do posłów:

„lecz baćiuszko iściennym krześcijańskim carem (będąc)  
...wieleż Dumnym Bojarom znowu z wami mówić,  
I szto k dziełu pryhożo, z wami postanowić.  
Wy w odwietnu pałatu z bojary pojdzicie  
I szto) było k dobromu mież siebie najdzicie.“

Stefan Hodunow oświadcza:

„Hospodar ći pytajeć, inszoho nie iszczeć;  
Sztu pohrechom nie stało, niechaj to Boh ziszczec.  
I lubwi, nie pożytku, wtom jesmo smotreli...  
...Czaim (tuszyny), szto to korolu swojemu skażecie“ i t. d.  
*Soltylkon*: „Wiera taka wiedzieć so, posłowie mienując,  
A naszymu zawierszając, dzierżać obiecując.“

Obszerne przemówienie kanclerza do młodego księcia przerywa po kilkakroć Szczotkałow, mówiąc:

„Dość słowo, drugie rzekszy, przestać by nadobie (potrzeba),  
Car nasz szto Boh, inaczej ważyć by go sobie.  
Sztu wże raz wymowlieno, proszto wymowlajesz,  
Mudry jesi, da wiżu, szto dzieła nie znajesz.“

a młody książę zapewnia:

Pohrechom dobro dzieło, iż z wami nie stało,  
Ino wam odpusk budżiet, podożdżycie (poczekajcie) mało.

Nakoniec odzywa się „Posnik Agarow, przystaw starszy“ do posłów:

„Proszto wy Carom zwati Cara nie chocecie...  
Woisćienno nie garazd, nie mudro czynicie,  
O nieprędką odprawę nas próżno winicie“,

lecz usłyszał odprawę od kanclerza inną:

„A wiesz co? nie twoja rzecz, o tym z nami mówić,  
Albo o tym rozsądzać, albo co stanowić.  
Takuczkin bakałarzen chciał być drugi na to,  
Ali go obieszono; wziął zapłatę za to.“

Otóż tak wyglądają, co do zewnętrznej formy, ruszczyzna i polszczyzna p. pisarza. Jędrnym i charakterystycznym, dobitnym języka jego nie nazwiemy, ustępuje on w tej mierze językowi Twardowskiego lub Potockiego z późniejszych, Reja lub Klonowica z wcześniejszych. Silnych lub barwnych zwrotów, przysłowiowych lub wrażliwych się w pamięć, jak przysłowia, nie wiele; do lepszych miejsc należą np. słowa kanclerza:

„I płotem się stawicie, niechcąc z nami zgody...  
Łać krew ludzką kto szuka, pomsta nad nim Boża,  
Nie galki grać, nie śmiech to, nie z ogroda róża.  
Nie wołamyć na wojnę; bronić się będziemy;  
Nie ręczymy, i dalej jeśli nie pójdziemy.  
Znamy się już po sierści, starliśny się z wami,  
W swe rejestra spojrzycie, my też swoje mamy i t d.  
...Niesłusznie tym pniem drogę iż nam zarzucacie..  
...Dawno mówią, kto się mści, bywa bit dwa razy.  
...A milczkiem to porwali, uchodząc z tej burze,  
By wam mięsa pod rzepę nie dano po skórze.“

(por. wyrażenie *wrzepić komu*).

Więć jeśliście co z tego pod Szwedem urwali  
I niegdy wilczem prawem pod moc swą dostali,

O cudzą próżno skórę mieliście zabawę  
I frasunek niewinny, niepotrzebną sprawę...

Dosadnie wyraża się i Iwan Hodunow:

Usłyszycie nie długo, że ten chłop sobaka,  
Carolus z nich (zanków inflanckich) wyleci i w turmie zabaka  
[zakrzyczy].

Lecz, powtarzamy, ogółem trącą wyrażenia silnie prozą, a równocześnie bywają bardzo rozwlekłe. Winą tego forma wierszowana; technika p. pisarza nie tęga, on zadowolony, że w trzynastogłoskowym wierszu średniówkę zachował i rymy dobrał; rymy proste, zbyt często gramatyczne, na —ego,—emu, ali i t. p.; chętnie powtarza też to samo słowo w rymie, w nieco odmiennem znaczeniu lub złożeniu. Dobieranie rymów zmusza go właśnie do zbytńich omawiań, do tego, by cały wiersz dosztukować dla rymu; z więcej następujących po sobie par wierszowych można nieraz po całym wierszu opuszczać, bez jakiegokolwiek ujmę dla sensu.

Przystrojenie dyaryusza w formę wierszowaną odbiło się na rzeczy dwojako. Traciła ona przytem niejednen szczegół, ulegała ściąganiu, spajaniu, odstępowała od ścisłości, dokładności pierwotnych zapisek; natomiast zyskiwała to, że wiersz popchnął niemal autora do opisów kilku wybitnych momentów, do opisów tak obszernych i obfitych, na jakie-by w prozaicznym streszczaniu Pielgrzymowski nigdy się nie zdobył; odpowiadając wymaganiom epickiego stylu, roztoczył on choć kilka większych obrazów, ożywionych szczegółami codziennego trybu, jakich w dyaryuszu nawet nie notował. Równocześnie trzeba p. pisarzowi przyznać, że, choć arcydzieła bynajmniej nie stworzył, choć założenie i wykonanie tej „poezyi“ w gruncie jest arcyprozaicznym, czytają się te wiersze z zajęciem i przyjemnością, i wykład rzeczywiście urozmaicają.

Lecz ani poetyckie opracowanie nie stanowi właściwej wartości tej relacji, ani to, że przybywa nam w niej do historyi literatury pięknej okaz nieznaną, a obszerny, liczący od sześciu do siedmiu tysięcy wierszy; treść tej relacji, niepospolity materiał, jaki przynosi dla oceny kultury i typów, czasu i ludzi, zapewnia jej powodzenie. Wprawdzie nie wyjawia ta relacja żadnych nadzwyczajnych arkanów dyplomatycznych; wynadgradza nas za to trafny rzut oka i otwarta dykcja p. pisarza: słów on zbyt nie waży; zdobywa się nieraz na humorystyczne, albo raczej satyryczne zacięcie, szczególnie w opisie „bankietu podróznego”, który niżej przytaczamy; wyrzutów nie szczędzi,

na złą wolejąwnie się skarży. Choć nie nazwiemy go zupełnie nieuprzędnym, zawsze sąd jego o ludziach, o tym świecie obcym, niezwykłym, a ciekawym, wielce poucza. Zasługiwała-by też relacya p. pisarza na całkowite ogłoszenie drukiem; zanim to jednak nastąpi, warto z ciekawszemi ustępami zapoznać czytelnika, wprowadzić go do dworów ciasnych poselskich, niewygodnych i niezdrowych; do bogato zastawionych uczt carskich; do izby odwietnej, gdzie ludzie od spokojnego tonu w ostre spory i kłótnie wpadają; do sal audyencyonalnych w Moskwie i Wilnie; do namiotów podróжных; do kuchni i t. d.

Dyskussya między Sapielą a bojarami i djakami Dumy zapełnia najwięcej kart relacyi, lecz śledzenie argumentów nieskończonych replik i duplik, przytaczanych i usuwanych z równym uporem, zużyło-by czytelnika; parę próbek da pojęcie o tonie całości; nas więcej zajmowały obrazki życiowe, wplątane w owe spory. Zupełnie zaś pominięliśmy częste ogólne charakterystyki ludzi i ich nawyknień, skargi, wyrzekania i obelgi; ton ich ostry znany już jest i z innych utworów literackich, z Reja (w wierszach Zwierciadła), z Gwanina i t. d. Wielką część szczegółów i opisów dotyczy jadła i uczt, bo przy ścisłem odosobnieniu, w jakim posłów trzymano, były owe bankiety niemal jedyną okazyą do obserwowania ludzi i ich życia; mamy więc wyczerpujące spisy trunków i potraw, choć dla pory postnej nie bardzo urozmaiconych; niejedna z przytoczonych nazw już niejasna, zapomniana; razi nas nie wykwintne obejście stołowe; chociaż nie należy zapominać, że i w Polsce samej w XV wieku przy stole do półmisków palcami sięgano; jeśli p. pisarz supponuje, że z żywego jeszcze barana ćwiartkę odcięto, to w podobny sposób nietylko Tatarzy zawsze, ale i Francuzi czasem (np. w r. 1812) z bydłem się obchodzili. Że potrawy zimne, skrzepłe, na stół przychodziły, to słaba strona kuchni ówczesnej; jeszcze w XVIII wieku u Radziwiłłów hetman „rybeńko“ brakowi temu zaradzić nie umiał. Całego przepychu uczt carskiej przed posłami nie roztoczono, wobec choroby, prawdziwej i udanej, Godunowa; ale opis jednego bankietu przypomina żywo ową ucztę Groźnego, przy której księżę Serebrjany (Tołstoj) na śmierć przez ścięcie się naraził.

Ponieważ nie myślimy wyczerpać całego materiału, nie trzymamy się też ściśle porządku relacyi; przytoczywszy tytuł i początkowy rozdział (w znacznem skróceniu), opuszczamy paralele starozakonne o powinności króla, zabezpieczaniu pokoju i przechodzimy wnet do najobszerniejszego wypisku, o ostatniej sessyi poselskiej i połączonym z nią bankiecie dworskim; do tego nawiązujemy kilka innych ciekawszych wyjątków.

Przydługi tytuł pierwszej karty, w ozdobnej obwódce, brzmi w skróceniu: „Poselstwo i krótkie spisanie rozprawy z Moskwą i traktatów w r. 1601 przez ośm a dwadzieścia niedziel... między Najj. Królem etc. a między Wielkim Hospodarem etc. przez wielkie posły IKrM. etc. w Moskwie odprawowanego (!). Na drugiej karcie tenże tytuł krócej: „Diarium i krótkie spisanie i t. d.; następuje przedmowa dedykacyjna do kanclerza (k. 3—7), poczem na k. 8.

### Poselstwo do Wielkiego Kniazia Moskiewskiego.

Gdy tysiąc lat, sześćsetny rok spełna pisano,  
Sejm walny był w Warszawie, o tem radę miano,  
Aby wiele posłowie do Moskwy jachali,  
Wieczną przyjaźń i pokój z Moskwą udziałali;  
Czego Moskwa, Książ Wielki ich ten nowy, chcieli,  
Taciszczowa gdy świeżo z tem u króla mieli...  
Że gdy na tym przez posły Król Jego Mość siedzie,  
Czynić z Moskwą o pokój, pokój pewny będzie;  
Że nie długo z obu stron w jedno narodowie  
Pójdą z chęcią, radością, ojezyny synowie;  
Będą, mówiąc, w pokoju Rzeczypospolite  
I ty państwa z obu stron wielkie, znaniemite,  
Na żalność, smętek, wieczny upadek poganom,  
A na radość, pociechę wszystkim krześcijanom.  
Ta przyczyna przywiodła, pobożność do tego,  
Niemniej też dla pociechy krześcijaństwa wszego  
Króla pana naszego, że się skłonił k temu,  
Dla ludzi utrapionych i ku ich dobremu,  
Co są w rękę pogańskich i w ciężkiej niewoli,  
Aby ich ztamtąd niegdy ratować powoli;  
I państwa z obudwu stron przywieść do ugody,  
Do pokoju, miłości, jednukiej swobody...  
Posłani z tym Wiemożny kanclerz Xięstwa Litewskiego,  
Lew Sapiela, Słonimski, Pernawski, do tego  
Mohilewski starosta; wespół z nim z Korony  
Pan kasztelan warszawski, Warszzycki rzeczony,  
Co starostwa kobryńskie i osieckie jego,  
Którym Bóg dał i rozum i wiele dobrego;

A trzeci Litewskiego. Xięstwa pisarz z nimi,  
Pielgrzymowski, i taką dano moc za nimi,  
By pokój ten zawarli, stróżmi byli tego,  
Coby panu, ojczyźnie ich było zdrowego,  
Boga wzięwszy na pomoc, z poczty dostatnimi,  
Dla królewskiej, ojczyzny sławy, ozdobnymi.  
Do Iwoły, co dzieli kraj moskiewski z nami,  
Gdyśmy przyszli, przybiegli dwaj do nas posłami  
Od wojewód z Smoleńska, aby nas witali;  
Przystawami ciż zaraz naszymi zostali.  
Za granicą na Krasnem nocleg pierwszy dano;  
Drugi w Łubnie przy wiosce w polu ukazano.  
Przed Smoleńskiem w ćwierć mili z tysiąc konnych było  
Z wojewodą możajskim, co ku nam przybyło.  
Ci przez miasto Smoleńskie wzdłuż nas prowadzili  
Do Bogdańskiej okolni (okolicy) co za miastem w mili.  
Motłoch z miasta w ulicę naprzód zaganiano,  
Żeby coraz ogromną ich liczbę widziano.  
Rzecz uczynił Możajski od Kniazia Wielkiego,  
Wyliczając tytuły, państwa, carstwo jego,  
„Czy zdrowicie, mówiąc, tu do nas przyjechali,  
Car Hospodar chce wiedzieć, byście sprawę dali;  
Chce aby wam cześć wielką wszędy wyrządzano,  
I gospody, dostatki wszelakie dawano.“  
Za takową chęć ku nam Kniazia Moskiewskiego  
Rzekło się, co się miało powiedzieć takiego;  
Żywności nazajutrz kęs, rejestrzyk podali,  
Nierzkąc tysiąc, ledwie sto coby z nią przestali;  
Lecz, na śmiech iż tak trochę podawano,  
Przez dni kilka bynajmniej brać też jej niechciano.  
Kto w wozie miał co z sobą z domu podróznego,  
Tym się żywił z czeladzią, tym żywił drugiego.  
Koniom piskorz (nie, figa); dni kilka że owsu nie miały,  
Kupować go broniono, tak o głodzie stały;  
Bo i tego, co Nieprzem (Dniepren) wprzód z Orszy zasłano,  
Choć tuż było, dosięgać swego nam nie dano.  
W tym dworzaniu z Moskwy aż, od Kniazia Wielkiego  
Ofiaruje nam wielką chęć, wiele dobrego,  
Dziwując się, żywności czemu nie bierzemy,  
Jakowej, mówiąc, innym nie dawano, wiemy.  
„Weźcie tę żałowaniem; w wierch tego wam dadzą,  
Gdy się Kniazia Wielkiego i bojar poradzą.“

Przedsię o swym nazajutrz gdyśmy w Pniewsku stali,  
 Rejestr drugi przynieśli, toż nam obiecali,  
 Według niego że codzień wydawać nam mają  
 I nad to, gdy potrzebę tego być poznają.  
 W Drohobużu z Pniewskiego nocleg piąty dano;  
 Sobie przez dzień, czeladzi, odpocząć kazano.  
 Na Kołpiecie zaś dalej nocleg namieniono  
 A ztamtąd wciąż aż w Wiaźmie drugi naznaczono.  
 Tam lubow Kniazia swego w tym nam pokazali,  
 Że po kęsu powideł, gruszeczniku dali;  
 Niemniej i w tym, że wychnąć przez dzień pozwolili,  
 Żywności coś też więcej znowu przybawili.  
 W Zajezierzu za Wiaźmą, potym w Dobrej drugi  
 Mielichmy noclegi swe, przeciąg do nich długi.

Tak zapowiadała się droga, od 39 września do 11 października (daty, jak również i krótkie zaznaczenia treści, czasem i uwagi, dopisywane po brzegach rękopisu). D. 16 października odbyto wjazd do Moskwy (o nim niżej), a niebawem zaczęły się spory 25 października.

Parę beczek do kuchni zatym jabłek dano,  
 Miodu kęs szczawiowego i do nas wskazano,  
 Że ku pierwszym dwa domy kupieckie do czasu  
 Przydają nam dla gospod, dla lepszego wczasu.  
 Przystawowie z jednego, od Kniazia Wielkiego  
 Jednowładce Ruskiego i od syna jego,  
 Upominków, chcą wiedzieć, jaką liczbę damy,  
 I z dworzany, co przy nas, gdy ich przywitamy;  
 Pisma o tym prosili, żebyśmy im dali,  
 Żeby jutro do Kniazia rano z nim jachali.  
 Daliśmy im to pismo; szli do zamku; potym  
 Wróciwszy się zaś do nas, wszczęli mowę o tym,  
 Abychmy tytuł Carski Wsieja Rusi dali  
 Kniaziowi, syna jego Carem też nazwali.  
 Było sporu niemało, tym nas robić <sup>1)</sup> chcieli,  
 Żeby Cesarz i Hiszpan tym go pisać mieli,  
 Sułtan turski, szach perski i sam papież z nimi,  
 I drudzy monarchowie, królowie, za nimi.  
 Mychmy im wiele racyj przeciwnych podali  
 Z ichże pism, które królom niegdy naszym dali,

<sup>1)</sup> niewolić.



Że się sami kniaziowie Carmi nie pisali,  
Ile razów kontrakty swe z nimi miewali;  
Że nawet Wasilewicz, on okrutny tyran,  
Który zmarł, tym się nie zwał, gospodar ich Iwan;  
Dopiero gdy kęs szczęścia zażył nad Tatary,  
Carem się pisać począł, niewiem z jakiej miary...  
Daleko mniej synowi tytuł taki służy,  
Póki ojciec na państwie, póki na niem płuży;  
Temuśmy tu od króla poselstwo dać winni,  
O drugim Caru wiedzieć myśmy nie powinni.  
Obrażeni tym od nas rejestru nie brali,  
Żeśmy im po ich woli tak nie napisali...  
Znowu z zamku od bojar przystawowie przyszli,  
Mychmy też k nim do izby na rozmowy wyszli,  
Co z nami o tytule wczora carskim mieli,  
Twierdząc to, że bojarom wszystko powiedzieli.  
Którym dziw, dla dobrego cośiny tu przybyli,  
Że się na tym mniemaniu o nas omylili.  
„Owszem, co do niechęci drogę snadną ściele,  
O tymeście mówili wczora z nami wiele.  
Rozsądźcież się, dobrzeli ojca z synem—wiecie,  
Że jedno—Hospodarmi, Carmi nie zowiecie?  
Krom tego, upominków raczej nie dawajcie,  
Sobie nazad do domu one pochowajcie.  
Ty Lew jesteś Sapiehą, twój syn z tobą w rzędzie,  
Zaż za twego żywota Sapiehą nie będzie?  
Małą rzeczą tu więtsze rzeczy się targają,  
Wszak wielik dzień iż praźnik, i baby to znają.  
Dumajcież, co by radniej z chwałą Bożą było,  
Hospodarskiej, synowskiej czci równo służyło.  
Dajcie nan odwiet, dalej my to odniesiemy;  
Co z tego potym będzie, nazad przyniesiemy.“

Po takiej mowie onych rzekło się im na to:

Jam był nawet Sapieha posłem do Iwana,  
Drudzy przedtym i po mnie, od króla Stefana,  
Posłami w sprawach wielkich, wznianki tam nie było  
O tytule tym carskim ani się im śniło.  
Djacy w księgach waszych pisma o tym najdą,  
Gdy tego patrzeć będą i w tę pracę zajdą.

W mocy tego niemamy, nie z osoby naszej,  
Że dogodzić tej dumie nie możemy waszej.  
Czym się zwali Kniazowie i czym się pisali,  
Tymeśmy też waszego tu Kniazia nazwali.  
Upominków dla tego jeśli dać niemamy,  
Radzi wtem dobrej rady waszej posłuchamy.  
Przyszli zaś (31 października), Wsieja Rusi by syna pisano,  
I przy ojcu gdy siędzie, też go przywitano:  
O czym, acz spór był wielki, lecz że natym mało,  
Atoli się po długich mowach obiecało...

To była przygrywka do zaciętszych, dłuższych sporów, w których zapaśnicy wręcz na to liczyli, kto rychlej znużony odstąpi.

**A. Brückner.**

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# Kronika galicyjska.

---

*Lwów w grudniu, 1895 r.*

W ciągu sześciu miesięcy, które dzielą niniejszą kronikę od poprzedniej, pisanej jeszcze w czerwcu, zaszły w tutejszym kraju dwa ważne fakta, które wywrą znaczny wpływ na tok naszych spraw publicznych: ogólne wybory do sejmu krajowego, a następnie zmiana w osobach namiestnika i marszałka krajowego, spowodowana powołaniem hr. Kazimierza Badeniego na stanowisko prezydenta ministerium austriackiego.

Wybory do sejmu krajowego odbyły się tym razem pod wpływem zaciętej agitacji w grupie gmin wiejskich, mianowicie w zachodniej części kraju; agitacja ta, nieprzebierająca w środkach, a zreżnie prowadzona, wywołała wzburzenie umysłów, które nie prędko się uspokoi, a po-za sferą wyborów sejmowych oddziaływać będzie przez czas jakiś na lokalne sprawy publiczne tych okręgów, w których owa agitacja do szerszych wzrosła była rozmiarów. Nie mam bynajmniej zamiaru opisywać przebiegu walk wyborczych w składzie liczebnym partyi, czy też odcieni sejmowych, lecz chcę tutaj tylko wskazać głębsze znaczenie obecnych wyborów pod względem społecznym, znaczenie, które musi budzić interes po-za obrębem naszej prowincyi.

Praktyka życia publicznego od lat trzydziestu w radach gminnych i w radach powiatowych, a obok tego ciągle od lat przeszło dwu-

dziestu postępy oświaty elementarnej, rozwój piśmiennictwa ludowego, rozrost stowarzyszeń, jak: towarzystwa zaliczkowe i kółka rolnicze — wszystko to współdziałało w naszym kraju ku sprowadzeniu zmiany w usposobieniu i w poglądach ludności wiejskiej, ku obudzeniu w niej żywszego interesu dla spraw bieżących po-za sferą czysto prywatnych lub lokalnych jej interesów. Oczywiście ta zmiana w jednych okolicach była i jest jeszcze mało znacząca, w innych natomiast o wiele widoczniejsza, mianowicie gdzie trafiają się zarobki przemysłowe lub górnicze, gdzie część ludności przywykła zapuszczać się za zarobkiem czasowym w inne kraje, w szczególności zaś do Ameryki północnej, przywożąc stamtąd zwykle i zasoby pieniężne, i pewne obycie się ze światem, pewną poradność i energię. Objawem tej zmiany było już przed sześciu laty żywsze zainteresowanie się ludności wiejskiej sprawami publicznymi na zgromadzeniach wyborczych i przy sprawozdaniach poselskich, stawiane przy tej sposobności zapytania i wnioski. Nic dziwnego, że, wobec żywszego zainteresowania się sprawami publicznymi, wśród włościan występowało także tu i owdzie życzenie, aby, dla tem gorliwszej obrony specjalnych interesów włościańskich, posłami z gmin wiejskich obierano włościan, życzenie, przy którym miano więcej na oku chęć, niż możność skutecznej obrony owych interesów, jak się zresztą okazało w kadencyach sejmowych przez r. 1877, kiedy-to ilość posłów włościan była wcale znaczną. W ostatniej kadencji sejmowej posłowało sześciu włościan, z których jeden, poseł Kramarczyk, odznaczał się zdrowym zdaniem w obradach komisyjnych, oczywiście w sprawach, z którymi z życia mógł być obznajomiony.

Mimo niezaprzeczonego postępu ludności włościańskiej, zwłaszcza w zachodniej części kraju, pod względem oświaty i interesu dla spraw publicznych, nie są wyborcy włościańscy o tyle wykształceni, żeby mogli krytycznie ocenić to, co im w tych sprawach przedłożonem zostanie, odróżnić obietnice niemożliwe do spełnienia od słusznych żądań, mieć na oku w równej mierze interesu wszystkich warstw społecznych i nie wierzyć na słowo tym, którzy, schlebując ich próżności, a nieraz gorszym jeszcze instynktom, mieniają się być wyłącznymi ich przyjaciółmi i obrońcami. To też tutejsza partya socjalistyczna, która, w połączeniu ze zbliżonemi do niej radykalnemi żywiołami, podjęła w dwudziestu kilku okręgach gmin wiejskich agitację, popieraną przez jej dzienniki, plakaty i wędrujących agitatorów, trafiła na grunt, sposobny dla swoich usiłowań. Cele ostateczne, do których dąży po równi z niemiecką i międzynarodową demokracją socjalistyczną, partya rzeczona zręcznie zakrywała, bo dla wspólnej własności, dla przekonani przeciwnych religii i życiu rodzinnemu, nie można-by było włościan pozyskać. By lepiej zakryć owe ostateczne cele, niektórzy menerzy

partyi socjalistycznej wystąpili z niej i utworzyli inne, pozornie całkiem odrębne stowarzyszenie polityczne. Mieli też tę przezorność, że, nie wysuwając naprzód siebie lub swoich najbliższych, stawiali z reguły kandydatury włościańskie. W dziesięciu powiatach wyszli posłowie gmin wiejskich, popierani przez tę agitację, posługującą się nieraz terroryzmem. Sam fakt wyboru większej niż dotąd liczby włościan do sejmu nie jest ujemnym, chyba za taki uważać go będziemy pod tym względem, że zmniejsza ilość zdolnych pracowników, a tych też kilku ubyło skutkiem nowych wyborów. Nie można też wcale przypuszczać, że wszyscy włościanie, wybrani przy pomocy owej radykalnej agitacji, będą szli zawsze za jej wskazówkami i nie objawią samoistnego sądu w sprawach publicznych. Ujemnym natomiast stanowczo jest posiew nieufności i nienawiści, kłamstw i potwarzy, który owa agitacja zasiała w dość znacznej części kraju, aby, schlebiając złym instynktom, tem łatwiej wziąć górę. Łatwiej burzyć, niż budować, trzeba też będzie dłuższej, wytrwałej i pełnej poświęcenia pracy na miejscu, by o nieprawdzie przekonać, uprzedzenia rozwiązać, do krytycznego poglądu na obietnice agitatorów usposobić. Warstwa wykształcenijsza powsiach i miasteczkach ma tu do spełnienia niesłychanej wagi zadanie, w którym nikt jej wyręczyć nie może, a spełniać je winna nietylko słowem, ale jeszcze więcej całym postępowaniem swoim. Pomagać jej może duchowieństwo i ucziwa, a rozumnie prowadzona, prasa ludowa. Praca w tym kierunku ułatwioną jest przez to, że w sejmie objawia się nie od dziś gotowość uczynienia zadość specjalnym interesom stanu włościańskiego, czego dowodem zrównanie ciężarów szkolnych i zasadnicza uchwała co do przeprowadzenia reformy gminnej na podstawie równości ciężarów gminnych. Sejm poprzedni, można powiedzieć, był szczególnie drażliwym na zarzut jakiegokolwiek uposiedzenia ludności wiejskiej i starał się usunąć choćby pozór niedostatecznego uwzględnienia interesów włościańskich, tak, że wszelkie słuszne w tym względzie żądanie może liczyć na silne ze strony opinii publicznej poparcie i na powodzenie w sejmie samym.

Wybory w innych grupach wyborczych, t. j. w gminach miejskich, izbach handlowych i w okręgach większych posiadłości, wypadły, ze zmianami co do osób, tak samo, jak dawniej. Miastom, które od wielu lat domagają się, i to słusznie, powiększenia liczby posłów grupy miejskiej, można na podstawie ostatnich wyborów znowu zrobić zarzut, że żądania tego nie popierają w sposób najbardziej właśnie przekonywający, t. j. przez wybór jak najzdolniejszych i najpoważniejszych pracowników. Mianowicie zasłużyły na ten zarzut niektóre miasta prowincjonalne. Także okręgom większych posiadłości, w których wyborcy są nieliczni a wykształceni, należy zrobić zarzut, odno-

szący się szczęściem tylko do niektórych okręgów, że nie dosyć dbają o to, aby zasilić sejm jak najlepszymi pracownikami. Takich wielu wybrano, należało-by i potrzeba-by wybrać ich jeszcze więcej. Nie chodzi tu koniecznie o wybór ludzi, których specjalnym zawodem jest praca umysłowa, gdyż i z pośród siebie wyborcy większych posiadłości są w stanie wybrać posłów, którzy potrafią być zdolnymi referentami. Potrzeba tylko nieraz sięgnąć po za sferę stosunków sąsiedzkich i mieć w pamięci, że sam interes własnej klasy społecznej, nie mówiąc już o interesie ogólnym, wymaga, aby ta klasa jak najdzielniej była w sejmie zastąpioną.

Zmiana w osobach Namiestnika i Marszałka krajowego, z których pierwszym w miejsce hr. Kazimierza Badeniego został ksiązę Eustachy Sanguszko, dotychczasowy marszałek sejmu, drugim zaś, w miejsce ks. Sanguszki, Stanisław hr. Badeni, nie pozostanie również bez wpływu na tok spraw krajowych. Ksiązę Sanguszko, choć dłuższy czas już czynnym jest w życiu publicznym, w którym łatwo można nawet mimowoli zrobić sobie nieprzyjaciół, należy do tych wyjątkowych ludzi, którzy nietylko że nie mają nieprzyjaciół, lecz nie mają nawet nieprzychylnych i najogólniejszą cieszą się sympatją. Ułatwi to urzędowanie nowemu namiestnikowi, który jednak wie dobrze, że wysokie stanowisko w administracji publicznej wkłada obowiązek strzeżenia dobra powszechnego, choćby kosztem narażenia się niejednemu, i z pewnością przed tym obowiązkiem z obawy narażenia się nie cofnie. Stanisław hr. Badeni, znany jako gorliwy opiekun oświaty ludowej i w swoim powiecie, gdzie zwiedza zawsze wszystkie szkoły, i w całym kraju, któremu dał się poznać jako członek rady szkolnej krajowej, ma słuszną reputację wielkich zdolności administracyjnych i wytrwałej energii. Z temi przyniotami i z niezwykłą znajomością wszystkich spraw sejmowych, jest nowy marszałek jakby stworzony na to, aby na tej posadzie być więcej, niż przewodniczącym w gronie sześciu członków wydziału krajowego, wybranego z łona sejmu, aby maszynie administracji samorządnej, z natury ciał wychodzących z wyboru ociężałej, nadawać ruch szybszy i większą sprężystość, ściśle przytem przestrzegając koniecznej równomierności w wypełnianiu licznych zadań, powierzonych tej administracji, iłożonych na nie wydatków. Okazało to się już w tem, że obecnie, mimo wielkich trudności typograficznych i innych, wydział krajowy na dziewięć dni przed sejmem przygotował i rozesał wydrukowane wszystkie swoje wnioski, podczas gdy dawniej wnioski wydziału krajowego wpływały w znacznej części dopiero w ciągu sessyji i nieraz z tego powodu nie mogły być załatwione.

Z pomiędzy spraw, z którymi wydział krajowy występuje obecnie przed sejmem, jedną z najważniejszych jest sprawa podwyższenia płac

dla nauczycieli szkół ludowych. Już na poprzedniej sessyi sejmowej komissya szkolna uznała jednomyślnie potrzebę polepszenia bytu materialnego nauczycieli ludowych, jednakże większość komissyi, a za nią przeważna większość sejmu była zdania, że sprawy tej nie można załatwić dorywczo, lecz zbadać należy dokładnie, które kategorye płac wymagają przede wszystkim podwyższenia, i starać się zachować należyty stosunek pomiędzy płacami poszczególnych kategoryi, a zarazem obliczyć efekt finansowy każdej ze zmian projektowanych. Stało to się obecnie, gdyż rada szkolna krajowa zebrała obfity materiał statystyczny, który posłużył za podstawę dla projektu wydziału krajowego. Z tego materiału pozwolę sobie przytoczyć daty najbardziej charakterystyczne, które o istotnym stanie rzeczy, pod względem płac nauczycielskich w szkołach ludowych, dadzą wyobrażenie trafniejsze, niż ogólniki, jakimi przepelniona jest dyskusja w tej sprawie w pismach periodycznych.

Według obowiązującej dotąd ustawy z 15 czerwca 1892 r. stali nauczyciele (starsi) szkół ludowych pospolitych (w odróżnieniu od szkół t. zw. wydziałowych, które dają w kursie ośmioletnim wyższe wykształcenie) dzielą się pod względem płac na pięć kategoryi: I klasa we Lwowie i w Krakowie w połowie posad 900 złr., w połowie 800 złr.; II klasa w jedynastu większych miastach 700 złr.; III klasa w dziewiętnastu dalszych miastach 600 złr.; IV klasa w pozostałych miastach i miasteczkach dla połowy posad 500 złr., dla drugiej połowy 450 złr.; wreszcie V klasa dla 15% posad w powiecie 400 złr., dla 20% — 350 złr., dla 65% posad 300 złr. Płaca młodego nauczyciela w miejscowościach I i II klasy wynosi 60% płacy nauczyciela starszego, w III i IV klasie 300 złr., w V-tej 250 złr. Dla nauczycieli tymczasowych ustanawia wynagrodzenie rada szkolna krajowa, nie może ono jednak wynosić mniej jak 250 złr. Oprócz płac pobierają nauczyciele ludowi jeszcze wynagrodzenie za godziny nadobowiązkowe, mieszkanie w naturze lub dodatek na mieszkanie, wynoszący 10% płacy, dodatki za kierownictwo szkoły, dodatki pięcioletnie (za każde pięć lat służby dodatek, podwyższający roczną płacę), dodatki miejscowe (w miejscowościach z wyższymi cenami żywności) i w końcu dodatki osobiste. Z uwzględnieniem tych wszystkich emolumentów ogół poborów nauczycieli szkół ludowych pospolitych i wydziałowych, tak nauczycieli starszych, jak młodszych, tymczasowych i nadetatowych, przedstawia się obecnie następnie:

W I kl. (Lwów i Kraków)	112 naucz. z poborami od	1030 — 1650 złr.
	107       "       "       "	880 — 990   "
	178       "       "       "	520 — 594   "

w II klasie (11 miast)	41	nauczycieli z poborami od	1020	—	1240	złr.
	124	"	"	"	820 — 990	"
	246	"	"	"	420 — 770	"
	2	"	"	po	275	"
w III klasie (19 miast)	9	nauczycieli z poborami od	1010	—	1210	złr.
	76	"	"	"	800 — 970	"
	302	"	"	"	360 — 770	"
	13	"	"	po	275	"
w IV klasie (inne miasta i miasteczka)	1	nauczyciel z poborami od	1000	złr.		
	31	"	"	"	800 — 850	"
	429	"	"	"	500 — 800	"
	698	"	"	"	330 — 500	"
	118	"	"	"	275	"
w V kl. (gminy wiejskie)	4	nauczycieli z poborami od	890	—	995	złr.
	410	"	"	"	500 — 790	"
	674	"	"	"	400 — 490	"
	2318	"	"	"	300 — 400	"
	631	"	"	"	250 — 275	"

Przepraszam szanownych czytelników za tyle cyfr; pozwoliłem sobie podać je, ponieważ w ten sposób najlepiej można sobie zdać sprawę z istotnego położenia materialnego nauczycieli ludowych w Galicyi. Okazuje się z tych dat, że niektóre kategorye nauczycieli nie są znowu tak bardzo źle uposażone, jak to się nieraz słyszy i czyta. Dla należytego ocenienia tych cyfr trzeba jeszcze pamiętać o tem, że płace niżej 300 złr. i znaczna część płac w kwocie 300 złr., są to płace nauczycieli tymczasowych, nie posiadających jeszcze przepisanej kwalifikacyi, lub nauczycieli nadetatowych, którzy nie odbywają pełnej liczby godzin; dalej, że największa część nauczycieli wykształcenie w seminarjach i utrzymanie w ciągu tej nauki pobiera kosztem funduszy publicznych; wreszcie, że nauczyciel ludowy poczyna swą służbę wczesnie, bo około 20 roku życia, podczas gdy w innych zawodach pracy umysłowej przygotowanie trwa dłużej i służba płatna rozpoczyna się znacznie później. Z drugiej strony uznać trzeba, że płace w dwóch najniższych kategoryach, IV i V-tej, są zbyt niskie, aby nauczyciel kwalifikowany, mimo mieszkania, dodatku za kierownictwo i dodatków pięcioletnich, mógł na nich wyżyć z rodziną. Stąd te posady są nieraz nieobsadzone lub obsadzone ludźmi niekwalifikowanymi. Licząc się z finansową możliwością kraju, proponuje tedy wydział krajowy w dwóch



klasach dopiero co wymienionych podwyższenie samych płac (nie zmieniając innych poborów) następujące: dla IV klasy płaca wynosić ma odtąd przy 25% posad 600 złr., przy 35% posad 500 złr., przy 40% posad 450 złr., zaś w V klasie dla 25% posad każdego powiatu 400 złr., dla 75% posad 350 złr. Wskutek tego postanowienia płaca najniższa stałego nauczyciela wynosić będzie 350 złr. Równocześnie oznaczono najniższą płacę młodszego nauczyciela na 300 złr. Obok tego pozostają dotychczasowe dodatki za kierownictwo, dodatki pięcioletnie, dodatki na mieszkanie, lub mieszkanie w naturze.

Obecnie wszelkie pobory służbowe 6527 nauczycieli szkół ludowych publicznych w Galicyi wynoszą razem 2,926,964 złr. rocznie, z czego część ponoszą interesanci miejscowi (gmina, obszar dworski i ewentualne majątki szkolne), część powiaty, a część fundusz krajowy. Z tej sumy, wynoszącej blisko 3 milionów złr., 1,485,292 złr., czyli około połowy, stanowią pobory 4,037 nauczycieli w klasie V, t. j. gmin wiejskich. Projekt wydziału krajowego podwyższa ogólną sumę wydatku na pobory służbowe nauczycieli o kwotę 104,540 złr. w najbliższych latach. W miarę jednak obsadzania posad stałymi nauczycielami, nadwyżka ta wzrośnie do 200,000 złr. Projektowane podwyższenie płac odnosi się prawie wyłącznie do dwóch najniższych klas (w części także do młodszych nauczycieli klasy III), w których brak odpowiednich sił nauczycielskich najbardziej uczuć się dawał. Spodziewać się należy, że to polepszenie, choć w ogólnej sumie dość nieznaczne, zwiększy ilość nauczycieli i skłoni część ich do pozostania na posadach IV i V klasy, skoro będą mogli i tu uzyskać płace takie, jak w klasie III, a także zmniejszy ilość nauczycieli, przenoszących się do służby przy kolei, przy urzędach skarbowych i przy wojsku. Celem zwiększenia przyrostu sił nauczycielskich, założone nadto zostały dwa nowe seminaria nauczycielskie męskie, w Krośnie i Sokalu.

Postanowienia o poborach nauczycielskich odnoszą się w Galicyi zarówno do nauczycieli, jak do nauczycielek. Brak nauczycielek jednak nierównie mniej dawał się uczuć, niż brak nauczycieli, a to z powodu że mniejsza ilość innych zawodów stoi otworzona dla kobiet. Obecnie więcej niż jedna trzecia posad nauczycielskich w publicznych szkołach ludowych obsadzona jest kobietami. Zwiększenie znacznie-sze liczby nauczycielek w stosunku do liczby nauczycieli tylko do pewnego stopnia jest możliwe, ponieważ w wyższych klasach szkół ludowych męskich nauczycielki, według przepisu ustawy, nie mogą nauczać.

Drugą sprawą, która zajmować będzie sejm galicyjski, zaraz na początku jego obrad, sprawą bardzo przykrą i trudną zarazem, jest sprawa emigracyi ludności wiejskiej, a zwłaszcza emigracyi do Brazy-

lii. O sprawie tej pisałem już dawniej, jednakże jej aktualność i dalszy stopień jej rozwoju zmuszają mię powrócić do niej. Poprzedni sejm polecił wydziałowi krajowemu, aby w porozumieniu z rządem zebrał przede wszystkim ile możności dokładne informacje o powodach, rozmiarach, kierunku i organizacji wychodźstwa we wszystkich okolicach kraju, w których istnieje ruch emigracyjny; dalej, aby zbadał, jakimi środkami można-by skutecznie wpłynąć na powstrzymanie ruchu emigracyjnego, np. przez kolonizację wewnętrzną, następczenie ludności sposobności do zarobków i t. p. środkami. Jeżeli zarządzone dochodzenia wykażą nadużycia w urządzeniu ekspedycyi wychodźców, wydział krajowy, w porozumieniu z rządem, obmyśli odpowiednie środki, celem przeszkodzenia nadużyciom agentów emigracyjnych. Wreszcie polecił sejm wydziałowi krajowemu, aby starał się u rządu o zapewnienie wychodźcom galicyjskim w Brazylii odpowiedniej opieki konsularnej i aby zbadał, czy i w jakim kierunku mogły-by być nawiązane stosunki handlowe z koloniami polskimi w Ameryce, z korzyścią dla przemysłu krajowego. Spełniając te polecenia, wydział krajowy w swoim sprawozdaniu z czynności dał pogląd na czasową i stałą emigrację z Galicji, obiecując przedłożyć później obraz wyczerpujący całego ruchu emigracyjnego w publikacji osobnej biura statystycznego. Wydział krajowy rozróżnia w swoim poglądzie zupełnie słusznie ruch emigracyjny za czasowym zarobkiem, bez zamiaru wysiedlenia się z kraju, i właściwą emigrację. Wychodźstwo czasowe za zarobkiem trafia się we wszystkich niemal okolicach kraju oddawna, a od lat kilkunastu w większych rozmiarach. Ludność, jak na kraj rolniczy, bardzo gęsta, nie znajduje w swych siedzibach dostatecznego zarobku przez rok cały, idzie zatem do miast, do części kraju stosunkowo mniej zaludnionych, w okolice, w których rozwija się kopalnictwo naftowe i inne gałęzie przemysłu, a wreszcie wychodzi za zarobkiem do Szląska pruskiego i austriackiego, na Morawię, do pruskiej prowincyi Saskiej, do robót przy uprawie buraków, na Wołoszczyznę i Bessarabię, i zapuszcza się dalej jeszcze, a mianowicie do Stanów Zjednoczonych. Wychodźstwo z Galicji do tego ostatniego kraju jest również z reguły tylko czasowe i różni się od czasowego wychodźstwa do wspomnianych poprzednio obcych krajów tylko długością drogi i dłuższym czasem pobytu na obczyźnie. O wyzyskiwaniu wychodźców czasowych, udających się za zarobkiem, może być mowa tylko wyjątkowo, mianowicie przy wychodźctwie do Rumunii, o tyle, że warunki, pod któremi wychodzący za zarobkiem najęci zostali przez pośredników, nieraz nie zostają dotrzymane, przyczem wina leży w pośrednikach, którzy łudzą ludzi obietnicami. Innych skarg niema, a w szczególności nie następcza obecnie powodu do skarg emigracja czasowa do Ameryki półno-

nej, dzięki nadzorowi policyjnemu w Hamburgu i Bremie i dzięki doświadczeniu, jakie ludność okolic, skąd ta emigracja jest częstsza, posiada w odbywaniu tej drogi. Ma ta emigracja czasowa i ujemne strony, leżące w tem, że pewna część młodych ludzi, wychodzących za zarobkiem w bliższe strony, t. j. do krajów sąsiednich, zasmakuje we włości i zdemoralizuje się do pewnego stopnia. Przeważa jednak stanowczo, zwłaszcza przy emigracji czasowej do Stanów Zjednoczonych, korzyść znaczna z zarobku, który ci wychodzący przywożą i przysyłają do domu, a który po największej części użyty jest na zakupno lub powiększenie posiadłości gruntowej, a nadto jeszcze korzyści moralne, polegające na większej poradności i energii ludzi, którzy w obcym kraju musieli dawać sobie radę i przypatrzyli się, jak tam ludzie sobie poczynają przy pracy.

Wiedzieliśmy, że z owych zarobków w Ameryce znaczne sumy napływają do kraju i nieraz przytaczano znaczniejsze kwoty, jakie z tego tytułu przeszły w ciągu roku przez małe poczty w miasteczkach i wsiach zachodniej Galicyi. Jednak dopiero teraz dyrekcya poczt sporządziła wykaz przesyłek pieniężnych z Ameryki północnej w r. 1894, obejmujący całą Galicyę. Z wykazu tego, który wydział krajowy dołączył do swego sprawozdania, okazuje się, iż w ciągu tego roku nadesłano z Ameryki do Galicyi 2,656,983 złr., rozdzielonych na 43,365 przesyłek. Trzeba przypomnieć, że całą tę sumę stanowią jedynie oszczędności emigrantów, ponieważ niema bezpośredniego ruchu handlowego między Galicyą a Ameryką i ponieważ największe sumy przesyłek pieniężnych przypadają właśnie na powiaty, z których jest najliczniejsze czasowe wychodźstwo do Ameryki północnej, a w przeważnej części przeznaczone są dla poczt wiejskich. Z 74 powiatów galicyjskich wykazują najwyższe kwoty przesyłek z Ameryki powiaty zachodnie podgórskie, jak: Jasło 329,547 złr., Gorlice 288,873 złr., Krosno i 13,279 złr., Nowy Targ 136,825 złr.; na Powiślu: Mielec 140,531 złr., Pilzno 129,749 złr.; a ze wschodnich: Sanok 221,335 złr. i Rohatyn 178,730 złr. Inne powiaty otrzymały kwoty niżej tysiąca złr., jednakże niema żadnego powiatu, który-by nie miał przesyłek pieniężnych z Ameryki, a w trzech jedynie powiatach ilość tych przesyłek schodziła niżej dziesięciu. Suma poprzednio wymieniona którą wykazuje dyrekcya poczt, nie obejmuje bynajmniej całego ruchu pieniężnego z Ameryki za pośrednictwem banków, mianowicie banków w Pradze, Wiedniu i Budapeszcie, które posyłają przekazane im kwoty dalej, jako własne przesyłki. Zwyczaj używania pośrednictwa banków jest bardzo rozpowszechniony, należy tedy przypuszczać, że ogólna suma pieniędzy pocztowych z Ameryki do Galicyi jest znacznie większą. Na uwagę zasługuje przytem, że od kilku lat szanse wędrówki za zarobkiem do

Ameryki północnej są coraz gorsze, z powodu gęstszego zaludnienia, zwłaszcza wschodnich stanów, z powodu napływu robotników, z powodu panującego tam obecnie zastoju w przemyśle i licznych bankructw, a wreszcie z powodu utrudnień dla niezamożnych emigrantów. Wnosić zatem trzeba, iż suma przesyłek pieniężnych w r. 1894 jest mniejszą, niż w latach poprzednich.

Podczas gdy czasowe wychodźstwo za zarobkiem nie wymaga żadnych zarządzeń pod względem opieki nad wychodźcami, gdyż ci radzą sobie sami niezgorzej, a tem mniej zarządzeń w kierunku wstrzymywania od tych wędrówek, które dla wielu okolic kraju przynoszą stanowcze korzyści, to zupełnie inaczej mają się rzeczy z wychodźstwem dla stałego osiedlenia się w obcym kraju, które od roku wystąpiło na większe rozmiary w niektórych powiatach wschodnich, a którego celem jest Brazylia. Pisząc już w poprzednich kronikach o tej emigracji, wskazywałem, iż przesilenie rolnicze, trwające od szeregu lat, klęski elementarne, coraz dalej idące rozdrabnianie ziemi wśród własności włościańskiej, wzrost ciągłych ciężarów publicznych, a przytem niska płaca robotnika, wynosząca przeciętnie 25 — 50 centów dziennie w lecie, a w zimie 15 — 30 cent., oraz zupełny brak zarobku stałego w porze zimowej w wielu okolicach, sprawiły, że położenie chałupników i licznych gospodarzy kilkumorgowych w pewnej liczbie powiatów wschodnich stało się wprost nieznośnem. Nie mogą oni wyżywić swoich rodzin, nie znajdują kredytu, nie mogą dla braku inwentarza uprawić gruntów w czas i należyście. W takim położeniu człowiek chwytą się każdej nadziei polepszenia bytu i każda pogłoska, że gdzieś dają ziemię darmo lub tanio, a podatków nie pobierają, łatwo znajduje wiarę i wywołuje chęć wychodźstwa. Pisałem też o tem, że rząd brazylijski, chcąc przyspieszyć zaludnienie pownych części swego państwa i zwiększyć liczbę rąk pracujących nad uprawą ziemi, których brak daje się uczuwać po zniesieniu niewolnictwa, ułatwia emigrację z Europy w ten sposób, iż, w porozumieniu z towarzystwami żeglugi parowej, ponosi kosztą przewozu emigrantów okrętami i daje im utrzymanie aż do odstawienia ich na miejsce przeznaczenia. Agenci, dostarczający emigrantów za umówionem wynagrodzeniem, zwrócili swoją działalność głównie ku wschodnim powiatom Galicyi, w których panują wspomniane poprzednio stosunki, a w których niższe warstwy ludności wiejskiej, ciemne, nieporadne i mało przezorne, przedstawiają dogodny materiał emigracyjny, dający się bez przeszkody wyzyskiwać w najrozmaitszy sposób. Przy pomocy sieci agentów podrzędnych werbują pokryjomu emigrantów, tych przykład znowu zachęca innych i wkrótce znaczna część chałupników i pomniejszych gospodarzy po wsiach okolicznych gotuje się do wyjazdu i sprzedaje swe mienie. Wyzyskiwanie

emigrujących poczyna się przy sprzedaży gruntów i dobytku, które zbywają bardzo tanio, nieraz wprost za bezcen, zwłaszcza gdy wielu równocześnie chce sprzedać, a chcących kupić i mogących dać zaraz gotówkę na miejscu jest bardzo mało, a czasem jest tylko jeden, banier wioskowy, który kupuje, by potem o wiele drożej odprzedać. Dalszy wyzysk, wprost już oszukańczy, polega na tem, że agenci główni, operujący w Galicyi, nadesłane im do rozdzielienia bezpłatne karty okrętowe sprzedają za pieniądze, urządzając, wobec większej liczby zgłaszających się o karty a ograniczonej ilości kart, formalne licytacje, z których ciągną znaczne zyski, gdyż ci, którzy całe swoje mienie zamienili na gotówkę, dają się skłonić do zapłacenia co agent żąda, byle najrychlej wyjechać i nie uszczuplać funduszów wydatkami na życie aż do chwili wyjazdu. Na tem jednak nie kończy się wyzyskiwanie. Agenci nieraz urządzają ekspedycję emigrantów w ten sposób, że zatrzymują ich aż do dnia odjazdu okrętu przez kilka, a nawet kilkanaście dni w Udine, a następnie w Genui i nieznających języka wyyskują za żywność, za nocleg i t. p. Po przybyciu na miejsce, emigranci zmuszeni bywają nieraz do obrania miejsca pobytu i zajęcia innego, niżby chcieli. Zmuszają ich do przyjęcia roboty w plantacjach, w okolicach bliższych równika, gdzie klimat niezdrowy dla Europejczyka, a niema widoków gospodarowania na własnym kawałku ziemi, przytem obchodzenie się nieraz przypomina zbyt niewolę. Szczęśliwi są ci, którzy mają tyle jeszcze zasobów, że mogą w dalszych od równika, a przeto zdrowszych południowych prowincjach, nabyć kawał ziemi za kilkoletnią splatą, który trzeba karczować i po dwóch lub trzech latach mołoznej pracy doprowadzić do stanu uprawy.

Gorączka emigracyjna w znaczniejszej mierze objęła w r. 1895 powiaty: Lwowski, Kamionecki, Brodzki, Złoczowski, Przemyski, Bobrecki i Żółkiewski, a w dziewięciu dalszych powiatach wystąpiła w znacznie mniejszych rozmiarach. Z wyjątkiem pow. Kolbuszowskiego, są to same powiaty wschodnie. Ilość ogólną wychodźców do Brazylii w ciągu r. 1895 szacuje wydział krajowy na blisko 10,000 osób, zaokrąglając cyfrę podaną przez powiaty. Cyfra ta, wobec 7 milionów ludności galicyjskiej, nie jest zastraszającą, wszakże jest ona dość znaczną na to, aby jak najpoważniej zastanowić się nad tą emigracją, nad powodami, które ją wywołują, i sposobami uchylecia ich, tudzież nad ochroną ludności emigrującej od wyzysku. Co do tej ostatniej sprawy, to zupełnie niewłaściwem było-by twierdzić, że wszelka opieka nad emigrującymi będzie tylko podsycać emigrację, podczas gdy brak opieki utrudnia ją i od niej odstrasza. Nie jest to prawdą tak dalece, że ani listy, ani świadectwa kilku, co wrócili z Brazylii, nie były w stanie odwieść od emigracyi, tem bardziej, że agenci potrafili

wzbudzić podejrzenia co do wiarogodności tych piśmiennych i żywych świadectw. Następnie zapatrywanie się takie staje w sprzeczności z poczuciem sprawiedliwości, które domaga się śledzenia i karania wyzyskiwaczy, i z poczuciem ludzkości, które każe chronić tych, którzy choćby z własnej winy popadli w nieszczęście. Trzeba zatem przede wszystkim śledzić i karać agentów, namawiających do emigracji, ludzących ludność fałszywemi obietnicami i wyzyskujących ją w sposób poprzednio opisany; potrzeba aby osoby, posiadające zaufanie ludności, przedstawiły jej widoki emigracji we właściwem świetle, bez jakiegokolwiek przesady w barwach czarnych, która budzi podejrzenie i niewiarę, i żeby odwozili od pośpiesznej sprzedaży mienia, t. j. gruntu i dobytku; ci bowiem, którzy się wyprzedali, nie mają już co robić w domu. W pierwszym względzie, co do śledzenia agentów emigracyjnych, bardzo mało dotąd zrobiono. Agenci umieli dotąd ukryć się przed władzami i dopiero w ostatnich czasach wytoczono śledztwo karne jednemu z wybitniejszych agentów. Co do wpływu na ludność w kierunku odwodzenia jej od emigracji do Brazylii, to mężowie zaufania, uproszeni przez komitet lwowski towarzystwa św. Rafała, przede wszystkim w tym kierunku rozwinęli swoją działalność i w niejednym wypadku przyczynili się bądź do zaniechania, bądź przynajmniej do odroczenia zamiaru emigracji, a pisma ludowe i osobne książeczki p. t. „Kilka słów o kraju, Brazylią zwanym,“ starały się sprowadzić do właściwej miary wieści, rozszerzone o wielkiej pomyślności, jaka czeka wychodźców za morzem. Jednakże usiłowania te, może nie zawsze z należytem taktem i wytrwałością podejmowane, natrafiały na trudności nie tylko ze względu na ciężkie położenie materialne chcących emigrować, którzy, nie widząc możności utrzymania się w kraju, gotowi są przyjąć każdą zmianę tego położenia.

Wobec tych, którzy wyprzedawszy się zdecydowani są stanowczo emigrować, ma społeczeństwo obowiązek ochrony od wyzyskiwania, o ile ma ku temu możność i wpływ. Obowiązek ten starał się spełnić komitet lwowski towarzystwa św. Rafała w ten sposób, że, zbadawszy stosunki indywidualne każdej rodziny emigrującej, wydawał bezpłatne karty okrętowe przed odjazdem okrętu, bezpośrednio chroniąc przez to od wyzyskiwania przez agentów i opiekował się wychodźcami aż do ich wstąpienia na okręt, o ile mu to było możebnem przy szczupłych jego funduszach. Nie podniecał emigracji, owszem, od niej odwodził, uznając emigrację do Brazylii za stanowczo szkodliwą, a tylko chcących koniecznie emigrować otaczał całkiem bezinteresowną opieką, dyktowaną wyłącznie względami ludzkości. Mimo to, ów komitet spotkał się nieraz i u władz, i w sferach parlamentarnych, z ujemnym sądem co do swojej działalności; zarzucano mu bowiem niesłusznie, że

podsyca swoim działaniem ruch emigracyjny. Sprawozdanie obecne wydziału krajowego, z przyjemnością to zaznaczamy, sprawiedliwie ocenia czynność owego komitetu i usprawiedliwia potrzebę subwencji, udzielonej mu z funduszków krajowych na pokrycie części wydatków, których nierównie większą część opędzili członkowie komitetu z własnych funduszków.

Po-za samymże ruchem emigracyjnym, który trwa jeszcze ciągle, i opieką nad wychodźcami, stoi kwestya uchylenia głębszych przyczyn, wyradzających skłonność do emigracyi. Jest to po prostu kwestya poprawy bytu materyalnego biedniejszej warstwy ludności wiejskiej w dwudziestu kilku powiatach środkowej i wschodniej Galicyi, kwestya podniesienia przychodu z ziemi i wytworzenia znaczniejszych źródeł stałego zarobku dla tych, którzy z własności swojej mają dochodu zbyt mało. Sprawa ta nie da się załatwić jednym środkiem, ani też odrazu; cały szereg usiłowań, w rozmaitych kierunkach podejmowanych, musi tu współdziałać. Mamy bliską nadzieję zniżenia podatku gruntowego i domowego, zniżenia wysokich opłat spadkowych dla małych spadków, reformy ustawy o należytościach skarbowych. Za dwa lata wejdzie w wykonanie ogłoszona już dziś ustawa o postępowaniu sądowym cywilnem, która uprości i przyspieszy wymiar sprawiedliwości, dziś bardzo przewlekły i kosztowny z wielką szkodą ludności wiejskiej. Podniesienie chowu bydła i gospodarstwa rolnego jest ciągle przedmiotem starań i nakładów ze strony kraju, rządu i towarzystw rolniczych. Wytworzenie zarobku większego i stałego może jednak nastąpić jedynie przez rozwój przemysłu, gdyż ludność nasza jest zbyt gęstą, jak na kraj czysto rolniczy. Rozwój przemysłu nie może zaś być dziełem krótkiego czasu, zwłaszcza wśród trudnych warunków położenia geograficznego i politycznego, w jakich kraj nasz się znajduje.

Dla podniesienia przychodów w ziemi, w obrębie mniejszej własności ziemskiej, wielkiej wagi są dwie reformy, które obecnie się przygotowują i na następnej dopiero sessyi sejmowej będą zapewne utrwalone. Jedną z nich jest sprawa komunikacyi, która ułatwi gospodarstwo i podniesie wartość posiadłości ziemskich, mianowicie drobnych, rozrzuconych dziś w małych kawałeczkach; często bez przystępu, po drodze polowej. Drugą jest sprawa podziału, lub regulacyi użytku gruntów wspólnych, któremi są pastwiska i lasy, rzadziej łąki. W tej mierze ma być wydana ustawa, która dozwoli w wypadkach, kiedy to osobna komisya krajowa uzna za pożyteczne, przystąpić do podziału gruntów wspólnych między użytkujących z nich, albo, gdyby to uznano za nieodpowiedne, uregulować użytkowanie na przyszłość, zgodnie z interesem gospodarstwa krajowego, i przeprowadzić poprawę gruntów wspólnych przez osuszenie, ewentualnie nawodnienie, zasiew tra-

wami, zasadzenie przestrzeni leśnych i t. p. Sprawa to niezmiernej wagi dla podniesienia gospodarstwa na mniejszej własności ziemskiej; albowiem, według dat zebranych obecnie z 67 powiatów (na 74 w całej Galicyi), obszar guntów używanych wspólnie, bądź przez wszystkich członków gminy, bądź przez większe lub mniejsze spółki włościańskie, wynosi ogółem (w tych 67 powiatach) 617,028 morgów austryackich. W tej sumie mieści się pastwisk i hal 417,722 morgów, czyli 67%, lasów 124,694 morgów czyli 20%, nieużytków, z których część dała-by się uprawić, 10,108 czyli 6%, a wreszcie gruntów pod innymi rodzajami uprawy zapisanych w katastrze, jednak przeważnie używanych do pasania bydła, przeszło 34,000 morgów, w czem 7000 morgów moczarów, które mogły-by być osuszone stopniowo. Jakie korzyści można-by osiągnąć z lepszego zagospodarowania tych wielkich przestrzeni, dziś z małemi wyjątkami zostających na najniższym stopniu pożytków, okazuje przykład dziesięciu gmin powiatu Wielickiego. Gminy te, za namową wydziału powiatowego, wdzierżawiają zawsze część swoich pastwisk pod uprawę na trzy lata, wymawiając sobie, iż dzierżawca w trzecim roku dzierżawy obowiązany jest zasiać przestrzeń wdzierżawioną koniczyną lub trawami pastewnymi. Na następny okres trzechletni, dalsza część pastwiska idzie w dzierżawę jako rola, i tak dalej. Skutkiem tego pastwisko, niegdyś całkiem wyjałowione, wystarcza zupełnie na potrzeby gminy, a nadto, przychód z dzierżawy uchyla w znacznej części konieczność pobierania dodatków do podatków na potrzeby gminne. Czyż nie nasuwa się tu sama przez się myśl, że przez podniesienie uprawy gruntów wspólnych, a tu i owdzie przez ich podział, można będzie zwiększyć przychody najbiedniejszej części ludności włościańskiej i nieraz dać jej tu w kraju ziemię, której szuka za morzem.

Do rzędu środków wpływających na zmniejszenie wychodźstwa, należeć będzie także omawiana już w dawniejszych korespondencyach moich akcyja w kierunku częściowej parcelacyi większej własności. Tu podnoszę dziś jeszcze, że w tym przedmiocie wydział krajowy również przedłoży sejmowi sprawozdanie, odnoszące się do sposobów ułatwienia tej parcelacyi tam i o tyle, gdzie i o ile ona ze stanowiska społecznego okazuje się być pożądaną. Dalsze sprawozdanie będzie zajmować się sprawą kredytu dla drobnej własności ziemskiej, w którym-to celu dyrekcya banku krajowego proponuje utworzenie sieci powiatowych kas oszczędności.

Ze spraw, które znaczeniem swoim wychodzą po-za sferę interesów naszej prowincyi, zajmuje umysły u nas najbardziej sprawa odnowienia układu handlowego z krajami węgierskimi. Jest to najważniejsza ze spraw, jakie obecne ministeryum austryackie ma przeprowadzić w najbliższym czasie, a doniosłość jej ekonomiczna usprawiedliwia zu-



pełnie, że i w radzie państwa przy każdej sposobności jest o niej mowa, i we wszystkich krajach austriackich zgromadzenia rolnicze, korporacje przemysłowe i zebrania polityczne ciągle się nią zajmują. Ze strony austriackiej jednomyślnie wypowiedaniem bywa żądanie, aby stosunek dotychczasowy, w jakim oba państwa, t. j. Austria i Węgry, przyczyniają się do wydatków na sprawy wspólne, zatem na wojsko i dyplomację, zmienionym został przez podwyższenie udziału Węgier, w których w ciągu ostatnich lat dziesięciu rozwinął się znacznie przemysł fabryczny, dzięki usilnej protekcji rządu, w których wzrosły wszystkie inne gałęzie produkcyi, a w dalszym toku rzeczy, siła podatkowa i dochody skarbu publicznego. Obok tego żądania, uzasadnionego długimi szeregami dat statystycznych, którym trudno odmówić przekonywającej siły, występują ze strony austriackiej żądania dalsze, które znajdują poparcie także ze strony Galicyi, najbardziej interesowanej ze względu na sąsiedztwo z Węgrami na długiej granicy południowej. Dotyczą one przedewszystkiem uchylecia odmiennego w praktyce stosowania jednakich ustaw podatkowych, odnoszących się do przedmiotów spożywczych, przez co przedsiębiorstwa węgierskie, jak gorzelnie, browary i rafinerie nafty, mają ułatwioną konkurencyę z przedsiębiorstwami austriackimi. Następnie chodzi o nierówne warunki przewozu towarów na kolejach. Węgry mają niższe taryfy towarowe na kolejach państwowych, a nadto protegują za pomocą nadzwyczajnych ulg, które dają tylko swoim produktom, wywóz do Austrii i za granicę; dalej zaś utrudniają pod postacią dodatkowych należności przewozowych dowóz płodów obcych, a między niemi i austriackich, do Węgier. W szczególności cierpi na tem Galicya, gdyż mąka węgierska, dzięki owym ułatwieniom, dochodzi aż do środka Galicyi, rugując produkt krajowy na całym Podgórzu galicyjskiem, natomiast zaś piwo galicyjskie, drzewo galicyjskie, nafta galicyjska napotykają rozliczne trudności przy wstępie do Węgier. Wspólność handlowa jest tedy w praktyce na nierównych warunkach oparta, mimo równości w postanowieniach układu, i będzie rzeczą rządu i parlamentu austriackiego przeprowadzić nowy układ, taki, żeby i w wykonaniu zachowaną została równość w traktowaniu każdego z obu państw w drugim państwie.

---

## Z teki piosnek.

---

Odleciała w świat daleki,  
W świat daleki,  
Za trzy morza, za trzy rzeki,  
Za trzy rzeki,  
Gdzieś w nieznany świat...  
Wzięła z sobą serce moje,  
Serce moje,  
Roje snów i marzeń roje,  
Marzeń roje  
Moich młodych lat...

Poniosła je przez błękity,  
Przez błękity,  
Nad łąn zboża złotolity,  
Złotolity,  
Po nad zboża łąn...  
Poniosła je nad mórz tonie,  
Nad mórz tonie,  
A jam został z bólem w łonie,  
Z bólem w łonie  
Niezgojonych ran. .

Próżno pragnę gonić za nią,  
Gonić za nią,  
Wzniesić się w przestwór nad otchłanią,  
Nad otchłanią,  
W którą rozpacz pcha.  
Próżno wołam nieprzytomnie,  
Nieprzytomnie:  
„Luba moja, powróć do mnie,  
Powróć do mnie!  
Wróć, o luba ma!”

Zdała tylko echo słyszę,  
Echo słyszę,  
Co przerywa grobów ciszę,  
Grobów ciszę,  
Lecąc z ponad zbóż:  
„Próżne trudy, próżna praca,  
Próżna praca,  
Co stracone, nie powraca,  
Nie powraca  
Nigdy, nigdy już...”

SELIM.

---

# KOMEDYA NIEBOSKA

w świetle spólczesnej krytyki.

Jednym z grzechów naszej krytyki literackiej jest brak ciągłości w pracy, brak tradycji, nawiązującej zdobycze nowszych poglądów z dawniejszym dorobkiem. Jeżeli się nie chcemy ograniczyć pochwałami lub naganą autora, to, obok procesów powstania utworów, należą głosy krytyki spólczesnej w jej ewolucyjnym przebiegu do najważniejszych dokumentów literackich. Ta strona jednak naszych badań leży jeszcze odłogiem, zwłaszcza odnośnie do dzieł Zygmunta Krasińskiego, którego żywot i działalność tak po mistrzowsku przedstawił Stanisław Tarnowski.

W niniejszym artykule obejmujemy na razie sądy i krytyki pierwszego dzieła Krasińskiego, które zwróciło uwagę publiczności na młodego poetę, od ogłoszenia „Nieboskiej komedyi“, aż do ukazania się krótkiej i po niemiecku napisanej, ale głęboko wnikającej krytyki Halbana Blumenstocka w roczniku wiedeńskim „Dioskuren.“ Z obowiązku literackiego notujemy jeszcze pokrewny naszemu przedmiotowi feljeton Leszka M. Dziamy w „Kuryerze pozuańskim,“ z któregośmy poniekąd korzystali.

Do najwcześniejszych sądów o „Nieboskiej” należy zdanie Klementyny z Tańskich Hofmanowej, zapisane w jej „Dzienniku“:

„23 kwietnia (1835). Skończyłam w tej chwili nowe zjawisko literackie, imię autora dotąd nieznanе.

„Rozmaite są domysły, jednak mniejsza o to, *kto* napisał, ja-bym na teraz wolała wiedzieć, *co* napisał, bo wyznaję z pokorą, że niezupełnie to dziwo rozumiem: „Nieboska Komedia.” Zdaje się jednak, że autor chciał wyszydzić, zniweczyć poezję dzisiejszą, a tę poezję nie tyle widzi w pismach, co w czynach, raczej przesadę z egoizmem złączoną, albo jeszcze prędyj uniesienie na zimno (enthousiasme à froid) potępia i słusznie. Część tego poematu—bo choć pisany prozą, poematem nazywać się może,—wystawia podobnego fałszywego poetę w życiu i stosunkach domowych i w tej części są szczegóły prześliczne. Poeta (Mąż) robi nieszczęście (!) najlepszej żony, która w rozpacz, że zrównać mu nie może, szaleje i umiera. Gubi dziecię jedyne, które matka, błogosławiąc, przeklina, jeśli poetą nie będzie, i ojca pochwał nie zyska. Dziecię też jest trochę poetą, ale zawczesnym. Umysł jego zbyt pracuje w słabem ciele i ślepnie, a potem ginie. Lubo może nadto naturalności w niektórych szczegółach, ta część będzie zawsze należeć do celniejszych utworów naszych. Druga nie tyle mi się podoba, ile, że jej nie rozumiem. Jest to walka arystokracji z demokracją, ale tak wystawiona, jakby przez legitymistę we Francji. Słowem, ani z treści, ani z końca zgadnąć nie można, komu autor sprzyja, dla kogo pisał? Wystawiałam sobie, że on sam środek między dwiema okazył ale nie; wszystko na tem się kończy. Sądzę, że ta książeczka wogóle nic dobrego nie sprawi. (Klementyny z Tańskich Hofmanowej dzieła wyd. N. Zmichowskiej. Warszawa, tom VI, str. 543).

Podobnie wyraża się o „Irydyonie” 15 grudnia (1836).

„Jak tytuł, tak i całe dzieło tajemnicze. Czytałam je z uwagą i prawie niczemog się nie dowiedziała (!).

„Mówią niektórzy, że dwa razy przeczytać trzeba, żeby zrozumieć, mnie żal było czasu. Jest to dzieło autora „Nieboskiej Komedyi.” Obie te prace podobne do siebie, wolę jednak pierwszą, bo tam wcale sceny są piękne i parę osób prawie ukończonych; tu myśli wysokie i zrozumiałe zjawiają się tylko jak błyskawice, a nikogo niema odrysowanego wyraźnie.” (Dzieła Hofmanowej, 1875, str. 546).

Przedstawicielka sentymentalizmu w naszej literaturze nie mogła zrozumieć nowego kierunku w poezji, brała więc meteor, zjawiający się na widnokręgu romantyzmu, za błędny ognek.

W listach Z. Krasińskiego do K. Koźmiana o poemacie, „S. Czarniecki” (Poznań, 1859. List VIII), czytamy następującą odprawę tej krytyki: „O Hofmanowej przytyki, sądy i przesady dbać nie warto. Cieszę się, że jednego losu doznał z drogim Panem pod tym względem, bo i mnie srogo strofuje, ta zacna, kwaśna, zasłużona, ale nic się na poezji nie znająca nieboszczka. *Guarda e passa*, tak jak Wirgiliusz w piekle wyraził się do Danta.“

Opinia ta Hofmanowej i odpowiedź (pośrednia) Krasińskiego nie były ogłoszone jednocześnie. Pierwszą wzmiankę o „Nieboskiej” mieściło jedno z pism emigracyjnych w tych oto słowach:

„Nieboska Komedia” na przeciwieństwo tytułu:

*La Divina Comedia di Dante*, wyszła z druku przed niejakim czasem w Paryżu. Ma ona mieć znakomite zalety w obrazach politycznych. Autor niewiadomy i dzieło dotąd nie wystawione na sprzedaż publiczną”, (Tygodnik emigracji polskiej. Paryż, 6 maja 1835, N. 8, str. 64). W ośm miesięcy później czytamy następującą krytykę, prawdopodobnie J. Słowaczyńskiego. „Nieboska Komedia.“ Pod tym tytułem wyszło przed kilku miesiącami z pod jednej z pras polskich w Paryżu dzieło bezimiennego autora, które po dziś dzień wielka otacza tajemnica. Wiadomo tylko, że rękopism przysłano z Wiednia jednemu z księgarzy paryskich i że wkrótce po wydrukowaniu, nadeszło polecenie wstrzymania sprzedaży, tak, że tylko jeden egzemplarz, wychwycony szczęśliwym trafem, krąży po emigracji. Udzielamy czytelnikom naszym w jak można najkrótszych słowach treść Nieboskiej komedyi. Hrabia Henryk, poeta, dziedzic sławnego imienia i wielkich bogactw, żeni się z kobietą piękną i dobrą, ale, jak mówią, zwyczajną, t. j. niezdolną poetycznych uczuć jego ani pojąć, ani podzielać. Znudzony prędko jednostajnością powszedniego domowego pożycia, zaczyna stronić od żony, a gdy w tem usposobieniu umysłu ukazał się mu zły duch w postaci dziewicy pierwszych jego marzeń, opuszcza dom zupełnie. Był to cios bolesny dla najlepszej i najprzywiązanej żony. W czasie niebytności hrabiego, rodzi mu ona syna, któremu daje na chrzcie imię Jerzego Stanisława i grozi głowie jego przekleństwem matki, jeśli nie będzie poetą, gdyż tem jedynie może pozyskać miłość ojca. Hrabia, po błakliwej wędrówce, wraca i zastaje żonę konającą w domu waryatów. Życzenie matki okropnie się spełniło: biedna dziecina zostaje poetą. Każda jej modlitwa, każda prośba, każdy frazes—jest poetyczny—i ten stan nerwowy, magnetyczny, niepojęty, trwa przez cały ciąg krótkiego jej na ziemi pobytu. To jest połowa pierwsza życia hr. Henryka, W drugiej rzuca się on całą duszą w zaciętą odwieczną walkę złego z dobrem, materji z duchem, którą autor przed-

stawia w preradzaniu się naszej polskiej społeczności w walce polskiej arystokracji z polską demokracją.

„Tłumy ludu, kluby lokajów, szewców, rzeźników i t. d., opojone trunkiem materyalnego demokratyzmu, krzycząc dzikim i niezgodnym chórem: „chleba—zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie—hura, hura!.. Bóg, królowie, panowie nad nami nie mieli litości. My dziś Bogu, królom i panom za służbę dziękujęm, hura, hura!“ Obalają świątynie Boga, zaprowadzają nową *wiarę rozumu* i zwyciężają wszędzie arystokratów, których ostatnia garstka chroni się i zamyka w zamku Św. Trójcy. Hr. Henryk, na czele nielicznego oddziału swoich wassali, przychodzi zamkowi w pomoc i obrany jest jednomyślnie jego dowódcą. Najzapaleńszymi sprzymierzeńcami demokracji są obywatele przechrzty, którzy w następnym chórze malują swoje uczucia: „On (Jehowa) nami gdyby splotami niezmiernej gadziny oplótł świat czcicielów krzyża, panów naszych, głupich, niepiśmiennych. Po trzykroć pluńmy na zgubę im!—Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadźmy potęgę Izraela.“ Pankracy, wódz demokratów, przejęty szacunkiem dla hr. Henryka, żąda się z nim widzieć i ocalić mu życie. Tu następuje wyjątek z rozmowy, obejmującej zarzuty i obronę obu partyi. Rozmowa ta kończy się na niczem. Zastępy demokratów szturmują zamek Św. Trójcy. Hr. Henryk, pomimo, że jakiś książę i kilku hrabiów radzą układy i nikczemnie na klęczkach proszą o życie, broni się do ostatniego. Po zdobyciu zamku, ostatni najszlachetniejszy i najenergiczniejszy obrońca arystokracji i religii kończy życie, rzucając się ze skały w płynącą pod nią rzekę, a Pankracy, rażony widzeniem ukazującego się mu w powietrzu krzyża, upada i umiera, wymawiając „Galilee vicisti.“

„Nieboską komedię“ mieliśmy tylko parę godzin w ręku. Czas ten nie wystarcza nawet na przeczytanie jej z uwagą, nie będziem się więc wdawać w rozbiór dzieła, poruszającego kwestye wielkie, socyalne, całą ludzkość obejmujące. Sądźmy jednak, że autor nietrafnie i nieprawdźiwie umieścił na polskiej ziemi powtórzenie scen straszego dramatu, odegranego w czasie pierwszej rewolucyi francuskiej. Polska społeczność potrzebuje prerodzenia, ale to prerodzenie innne zapewne przebieży koleje. Wielu utrzymuje, że „Nieboską komedię“ napisał Mickiewicz, nie podzielamy jednak tego zdania. Mickiewicz za nadto wyraźnie objawił widzenie swoje rzeczy polskiej, aby potem, jak kapłani egipscy, słał Sfinksa w przysionku świątyni prawdy i nie rozwinął koniecznych następstw położonej zasady. Nieboska zaś komedia jest tylko pięknem, pełnem poezyi i uczucia marzeniem poety katolika, który widzi rozsuwającą się społeczność, zbudowaną przez

katolicyzm, widzi czczość i szkaradę wdzierających się na jego miejsce materialnych teorii i nie wie, jakie nowe słowo boże zstąpi pomiędzy ludzi, i natchnie ich nowem życiem, i stanie się ciałem, i będzie wiekować przysłym pokoleniom.“

W podaniu tej, jak i następnych krytyk „Nieboskiej“ wstrzymujemy się od własnego sądu. Nie są to bowiem krytyki naukowe, ale wrażenia osobiste recenzentów, albo, co najwyżej, wyrazy tej lub owej części opinii. Staratem się, wnikając w myśl omówienia, podać je wierne, o ile możności nawet dosłownie. Przy końcu dopiero wypadnie je zreasumować.

Pierwszej podobno i najciekawszej recenzji na „Nieboską,“ jak i na „Irydyona“, nie udało się nigdzie odszukać. Znamy je tylko z odpowiedzi Krasińskiego, w listach do Gaszyńskiego, i to nasuwa nam myśl, że wogóle żadna z nich nie była drukiem ogłoszona, lecz prywatnie udzielona za pośrednictwem Gaszyńskiego w formie uwag. Recenzentem w obu razach był Leon Ulrych, szkolny obu poetów kolega, być więc może, że się skończyło na tym poufnym sposobie komunikowania krytyki.

Jakkolwiek imię autora było z początku osłonięte tajemnicą, to przecież jedna myśl, przenikająca „Nieboską“ i „Irydyona“ biła odrazu w oczy.

Krytyka Leona Ulrycha, późniejszego tłumacza Szekspira, znamy nam tylko z odpowiedzi Krasińskiego. Ale jak z cienia wnioskować można o wielkości danego przedmiotu, znając położenie słońca, tak, przy znajomości ówczesnych stosunków, można z obrony autora odtworzyć zarysy tej krytyki. Ulrych zarzucał „Nieboskiej komedii,“ że jej do Francji zastosować nie można, że ona być może prawdziwą dla Niemiec i Włoch, ale nie dla Polaków. We Francji bowiem skończyła się dawno rok 1793, a wśród Polaków niema rozpasanego i krwiożerczego proletaryatu z „Nieboskiej.“ Że poeta przedstawiał niehistorycznie walkę arystokracji z demokracją, że wyobraża sobie mylnie działalność ostatniej pod postacią rozwalonych murów, połamanych ołtarzy i rozłożonych łupów, że uważa godło chrześcijaństwa za ostatni najwyższy cel ludzkości.

Przekonywają nas o tem dwa listy Krasińskiego do przyjaciela młodości, Konstantego Gaszyńskiego. W pierwszym, datowanym w Wiedniu 5 kwietnia 1834 roku, broni w tych słowach „Nieboskiej.“

„Leon zapomniał co jest poezya, kiedy recenzję tę napisał. Wiesz, że znam i kocham tego, którego on napada.

„Bronić go kilku słowami będę.



„1) Jeżeli kto stosuje dzieło sztuki do jednego tylko położenia, do jednego tylko kraju, ten pisze paszkwil, polityczno satyryczną analizę, a nie poema: a zatem zarzut, że nie do Francji zastosowane dzieło, jest niczem.

„2) Jeśli kto w poezji pojmuje tylko objawienie się cząstkowe czegoś, dziś, na tem miejscu i przy owych ludziach, a nie przyrodę wiekuiłą czegoś: ten głęboki nie jest, ten nie może zwać się poetą. Poeta nie bierze monarchizmu, arystokracji lub republikanizmu, tak, jak był lub będzie, tak jak się zdarzył, ale tak, jak jest wiekuiście w duchu ludzkości. Dopiero ten ideał ogólny w kształty zdarzeń zaszłych lub podobnych do zaszłych zbiera.

„3) Czemże jest republikanizm? Wiecznie jest siłą odporną, siłą niszczącą, siłą, usiłującą na gruzach coś wznieść, a zatem, czy tak burzy, czy tak, zawsze burzy; że zaś poetycznie burzenia wystawić inaczej niepodobna, jak przez mury rozwalone, połamane ołtarze, leżące łupy, a strzaskane bronie, stało się zadosyć temu we wzmiakowanym dziele.

„4) Ale w tej jednostce, w republikanizmie, nie zawarty, nie zakończony całkiem obręb ducha ludzkości. Nad burzą wznosi się coś nieprzemijającego, coś spokojnego, sama natura tego ducha (La nature de choses, ce maître sans entrailles, jak mówił Napoleon), czyli moralność, czyli porządek i harmonia, który jest celem ostatecznym. Na ten cel ostateczny, na tę moralność, jakież imię posiadamy dzisiaj? bo juźci coś wyrazić trzeba słowem, symbolem, znakiem i znakiem dziś używanym. Dziś takim znakiem jest chrześcijaństwo. Dotąd nie ludzkość wyższego nie zna, nie pojmuje, a zatem temu także stało się zadosyć tam.

„5) I w tem Leon się myli, że dzisiaj rok 93 skołał. Skołał, jako zjawisko, żyje jako systema. Wierzę, iż Leon jego powrotu nie pragnie, iż Leon zna się z takimi, którzy rzecz tę idealizowali, tem bardziej się pomylił, bo masa nie idealizuje, ale idzie naprzód i żelaźnie stąpa. Potem Leon przyznaje, że to prawda dla Niemiec, Włoch, a zatem i dla Polaków. A cóż u licha? czyż kto koniecznie winien dla Francji pisać, czyż przestrzeń od Bałtyku po Afrykę nie dostateczną posadą na jeden poemat? Skąd obowiązek święty, nałożony na człowieka, jak honor, by się wdawał z Francją i z Ameryką: co mu wspólnego z zamorskimi brzegi? Alboż Leon nie widział, że tam kształt najbardziej zbliżony do stosunków polskich. A jeśli mi rzeźników i lokajów nie uznaje wśród Polaków; jeśli mi twierdzi, że Polacy wybiegli bardzo daleko naprzód od tych teorii, to mu poprostu powiadam: „Tak myślisz? żałuję sercem całym, że tak nie jest.“

„Dalej, nie wiem, gdzie on ten ateizm widział w tem wszystkim: niema o ateizmie jednej wzmianki. Któżby był tak bezrozumny wpro-

wadzać ateizm w rzecz, w której duch ludzkości występuje? Ale dosyć o tem. Nie odpowiadaj mu nic, zostaw go przy własnym sądzie. Gdyby był przeczytał raz, drugi, może-by takiego nie był wydał. Sam zaś kiedy będziesz czytał, porównaj samą treść z uwagami, które ci tu czynię, a czynię je dla ciebie, nie dla innego kogokolwiek bądź. Kiedy sam przeczytasz, to co Leon gani, opisz mi wrażenie uczynione."

Drugi list Krasińskiego, pisany do Gaszyńskiego z Kissingen 6 czerwca 1837, odnoszą wydawcy do krytyki „Irydyona”, nie wiadomo na jakiej podstawie. Przytaczam go tutaj, jako ilustrację stosunku naszego poety do wspomnianego krytyka. „Ulrych się na krytyka urodził, ma naturę zaprzeczania; „nie“ jest jego wszytkiem, tak jak u Mefistofelesa w Fauscie. Jego rozumowanie, podobne do tego: „jeśli czarno to fałszywie, jeśli białe, to nieprawdziwie; jeśli zaś cudem jest zarazem białe i czarno, to niedorzecznie.“ Naprzód krytyk powinien ogarnąć myśl dzieła i jeśli jej nie pojmuje, niechaj się do krytyki nie bierze. Albowiem można tylko sądzić o tem, co się stało niejako gościem mózgu naszego.

„Lecz jeśli mówimy: „twarz tego zamaskowanego człowieka jest brzydka lub piękna“, to głupstwo, bo naprzód larwę, co go kryje, zedrzyć powinniśmy, a dopiero o rysach jego wydać zdanie. Jedyna prawda całej krytyki Ulrycha w tych mieści się wyrazach: „gdzie chciał być dowcipny, nieco ciężki,“ zresztą, nic a nic podług mnie nie trafił.“

Obaj krytycy, tak Ulrych, jak Słowaczyński, godzą się na nie stosowność tła „Nieboskiej.“ Że rzecz cała dzieje się w czasie wielkiej rewolucji francuskiej, wskazuje na to kilka szczegółów. Oto np. mąż, przeglądając w towarzystwie przechrzty obóz demokratów, przebrany jest w „czapkę czerwoną wolności“, tak zwaną „frygijską.“ Używanie jej datuje się od 1791 r. Po ulaskawieniu buntowniczego pułku Chateaufieux, przyjęli Jakobini (Brest), na cześć ulaskawionych, ich czapki, jako zwykłe pokrycie głowy, a zwyczaj ten rozpowszechnili Żyroudyści. Obrzędy nowej wiary, odprawiane przez Leonarda, mogą się odnosić do kultu rozumu, zaprowadzonego 1793 r. przez Hebertystów (Hebert, Chaumette, Cloutz, Vincent, Rousin, Mormoro i t. p.) Pierwsza taka uroczystość rozumu—miano ją święcić co dekada (10 dni)—odbyła się w kościele Notre-Dame, w Paryżu. Boginią rozumu przedstawiała żona Mormora, z frygijską czapką na głowie, jakaś aktorka przedstawiała boginią wolności i t. p. O kulię lubieżności, jak to opisuje Krasiński, nie było mowy. Owszem, przeciw niej uchwalono surowe kary; na wniosek Jana Bon-Saint-André, miano wypędzić prostytutki z Rzeczypospolitej. Owe zaś piękne kobiety—nie były ubóstwiane, lecz po prostu przedstawiały żywe obrazy. Przewodcy anty-

religijnego ruchu popełnili tu widoczny błąd, wprowadzając w miejsce „zniesionych“ obrzędów nowe, nie wywołane potrzebą, ani związane tradycją. Obrzęd zaś święcenia zbójckiego w „Nieboskiej“ jest tak niehistoryczny i nieprawdopodobny, jak tamten—lubieżności. W czasie rewolucyi francuskich (1789 i 1830) nie słyhać o żadnej organizacyi lokai, występującej na widowni „Nieboskiej“, jako klub z prezesem na czele.

Chór rzeźników wołający: „Nam jedno czy bydło, czy pana rznąć. Kto nas powoła, ten nas ma“, nie da się pomyśleć nawet w czasie największego rozpasania rewolucyi. Dzikie, krwawe chuci znanego w rewolucyi z 1789 r. rzeźnika, Jourdana, zwanego *Coupe-tête*, ścinacz głów, były wyjątkowe. Całej organizacyi takich rzeźników, rznących dla panów woły, a dla ludu panów, uważających rzeź ludzką za rzemiosło, nie było i być nie mogło. Natomiast trafnie pochwycił Krasieński z mów rewolucjonistów takie np. charakterystyczne słowa Pankracego: Pięć kul w twoich piersiach, za to, żeś śmiał głos podnieść o toa jeden wyżej w mojej przytomność.—Tacy rewolucyoniści, jak Robespierre, nie znosili żadnej opozycyi pod grozą gilotyny.

Zgoła niehistoryczną jest scena, w której wyliczają zabójcy królów swoje attentaty; gdzie kiedy słyszano na kuli ziemskiej o wymordowaniu na raz tylu głów koronowanych? Jeżeli więc Ulrych zarzucał Krasieńskiemu, że obrazy „Nieboskiej“ nie dadzą się zastosować ani do Francyi, ani do Polaków, i że wogóle grzeszą stronością w przedstawieniu dążeń rewolucyjnych, to miał do pewnego stopnia słuszość. Autorowi „Nieboskiej“ nie zależało jednak na przedstawieniu tej lub owej rewolucyi historycznej, on; jako poeta symboliczny, jako umysł syntetyczny, przedstawiał ideę rewolucyi w ogólności „w absolicie.“

Tę symboliczną cechę twórczości, wychodzącej z idei w przeciwieństwie do poezyi np. Mickiewiczowskiej, wyrastającej zawsze na gruncie rzeczywistości, podnosi kilkakrotnie sam Krasieński w korespondencyi, którą przytaczamy, jako świadectwo do obrony pierwszego punktu jego odpowiedzi Ulrychowi: „Pamiętaj—pisze do Gaszyńskiego—że poezya jest syntezą, analiza zawsze jej szkodzi. Uczucie poetyczne przecież jest nieopisanem, syntetycznem; kiedy się więc rozrabia na słowa, na myśli, trzeba o ile sposób zachować jego naturę, podnieść ramię i wskazać ludziom, a niech oni rozbierają, ile promieni w tej gwiazdzie, jak szybko światło jej bieży do ziemi.“ (Rzym 16 grudnia 1833).

„Co ty mnie chcesz stosować poezyę do ducha czasu. Alboż poezya jest nalożnicą marnych okoliczności?

„Literatura romansów, dzisiejsza francuska literatura, oto mi nalożnica za pieniądze, oto mi małpiarstwo niezrozumianego Bajrona.

„Ale poezya tyczy się rodu człowieczego, całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje, a i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi.”

(Z listu Z. Kraszińskiego do H. Gaszyńskiego 17 stycznia 1834).  
 Że obrazy „Nieboskiej“ odnoszą się do przyszłości, raczej niż do przeszłości jego, dowodzą następujące wyznania autora:

„Poezja jest niezawodnie prawdą ostateczną przyszłości—co ona marzy, to stanie się kiedyś. Poezja jest to konieczność nieśmiertelnych przeznaczeń naszych, już teraz będąca w nas, jest to ciągle proctwo tego, co kiedyś będzie, jest to pojęcie świata i bytu w boskiej formie, jest to ciągła wizja przyszłości” (Rzym 1839).

„Poezja, mojem zdaniem, jest to wieszce przewidzenie najwyższych form, jakie czy na ziemi, czy w niebie przybierze kiedyś realne życie. Gdyby nie była tem, była-by fikcją, że zaś tem jest, jest prawdą, a to co ty przeznaczasz poezyi, zowie się po ludzku: polityką, filozofią, prawodawstwem i t. d., ale nigdy poezją”. (Rzym, 1840).

W rubryce „Wiadomości rozmaite” pisma historyczno-literackiego p. t. „Wiadomości krajowe i emigracyjne” z 1837, str. 134, napotykamy list z Galicyi, z którego wyjątek przytaczam podług rozprawy Leszka Maryi Dziamy „Sądy współczesne Nieboskiej i Irydyona.” Poznań, 1893. „Nieboska Komedia” zrobiła wielkie wrażenie. Spotkał ją jednak rodzaj tryumfu, którego poeta nie życzył sobie wcale: kilku półgłówek, przeczytawszy ów dramat, uformowało klub lokai i na wyżynkach zaczęli kazać. Męczeństwo znalazło się tuż obok apostołstwa. Policya wsadziła w kożę, zanim mądrzy wyznawcy mogli zawiązać bratnie stosunki z podobnymi sobie rozsadzonymi po Europie. Działo się to w okręgu Tarnowskim.”

Przeczytawszy te słowa, trudno osądzić, czy korespondencya ta jest złośliwym tylko żartem z autora i jego dzieła, czy ma swoje źródło w rzeczywistym jakim zdarzeniu. W tym ostatnim wypadku trzeba by przypuścić, że w powiecie Tarnowskim znalazło się kilka słabszych głów, pragnących odegrać rolę osób Nieboskiej komedyi.

Książek polskich, drukowanych w Paryżu, nie wpuszczala do Galicyi cenzura. Egzemplarz, który rzekomo się dostał w Tarnowskie (jeżeli tam był), musiał-by być niewątpliwie przemyconym. Stan Tarnowski zapewnia, że „Irydyon” i „Nieboska Komedia”, mało były znane, a raczej prawie nieznanne, że ludzie, którzy, „Przedświt” i „Psalmy” umieli na pamięć, i do łez się nad nimi unosili, dowiadawali się o istnieniu „Irydyona” w wiele lat po wyjściu z druku tego dzieła, a „Nieboską” uważali za poemat niezrozumiały.

R(yszard) B(erwiński) w artykule, umieszczonym w „Przyjacielu ludu“ (Leszno) 15 września 1838, N. 11, str. 82), przytacza „Nieboską” jako przykład „zwrotu w literaturze” XIX wieku. Główną—zdaniam jego—cecha tego stulecia jest zajęcie się ludem, czyli masą, która, na widownię świata wyprowadzona, odegrała na niej rolę, burzącą zastarzały porządek XVIII wieku.

Wtedy uważano człowieka, jako jednostkę, stojącą w świecie odrębnie, przez siebie i dla siebie tylko. Człowiek taki, przeprowadzony przez koleje uczuć burzliwych, szlachetnych lub podłych, był bohaterem powieści i poematów, obracających się wiecznie w zakresie domowego pożycia. Jakże różni są bohaterowie dzisiejsi!

Granice ich działania wyszły za obręb rodziny. Porzuciwszy domowe zacisze, występują oni w tłumie ludu, który pobudza ich do czynu, albo, pociągnięty przez nich, rzuca się za nimi na ślepo. W „Nieboskiej Komedyi” i „Irydyonie”, bohaterowie potężni obejmują w łonie olbrzymiem ludzkość całą, pałają dla niej czystsza, silniejsza, gorętsza miłością, aniżeli cały wiek XVIII ku swoim pięknościom; ta miłość ludu, ojczyzny, prowadzi ich kroki, obudza w nich olbrzymie myśli, przedzie owe śmiałe plany, których pospolicie ludzie pojąć nie zdołają. Kochają i oni, ale miłość jednej istoty nie wystarcza ich sercu, i padają ofiarą swojej miłości, tylko nie tak, jak Werther, który z miłości ku jednej zwykłej kobiecie w łeb sobie strzelił. Oni giną, ale giną za sprawę ludu.

Berwiński, autor „Studyów nad literaturą ludową”, jeden z pierwszych „ludowców” naszych, patrzy na „Nieboską” z punktu ludowego, szkoda tylko, że dotyka jej tylko mimochodem.

W Poznańskim rozwinął się pod wpływem literatury niemieckiej alegoryczny sposób tłumaczenia poezyi, który i na przytoczonych poniżej krytykach „Nieboskiej” (w „Tygodniku literackim” Wojkowskiego, Poznań, 1838), wycisnął swoje piętno.

Tłumaczy tu Wolniewicz w artykule „Jak ja Nieboską rozumiem” nasamprzód: tytuł „Nieboskiej”, jako przeciwstawienie „Boskiej” komedyi Dantego. Jak tamta same idealne traktuje rzeczy, tak ta ziemskie; prócz tego. przedstawia ona nieboską, t. j. szatańską stronę każdego z wielkich stronnictw, na które ludzkość obecnie podzielona. We wstępie maluje poeta urok, którym poezya ludzkość z kału powszedniego życia unosi, lecz znów zwraca uwagę na to zwo-dnicze szczęście, którem ułudza w nadziemskie sfery, a potem zbłąkanych opuszcza. Na bohatera, który ożenił się z kobietą dobrą i skromną, nasyła chór złych duchów kochankę jego, t. j. poezyę, a potem sławę, w postaci orła wypchanego w piekle. Mąż poeta, oczarowany,

nie widzi istotnych żony przymiotów, tęskni więc do swego wymarzonego ideału. Utwór ten jego wyobraźni, kochanka, odciągająca go od własnej żony, to poezya. Po długim a bezcelowem błakaniu się za nią, wraca do żony, ale znajduje ją w domu waryatów. Żona—tłomaczy krytyk—jest to życie realne, ziemskie; kto je porzuci, a goni za innym, wyższem, idealnem, za poezją, tego życie rzeczywiste staje się nieładem, nierządem, szaleństwem. Po próznej pogoni za ideałem, po bezskutecznem wytężeniu sił, zostaje zgryzota i żal. Mąż po niewczazasie żałuje swej żony, to jest zmarnowanego życia. Z ojca poety, z matki obłąkanej, urodził się Orcio, syn światła i pieśni, pół jasnowidzący w sferach duchowych, a pół obłąkany. Orcio—jest to, zdaniem krytyka, affekcja ludzkości nie do uleczenia, jest to wrodzona dążność do wyższego duchowego życia, a jego lekarz, to mędrak materyalista, który na chorobę duszy zapisuje *cerasis laurei*, dwa grana.

W pierwszych dwóch częściach „Nieboskiej” człowiek, zgrzeszywszy tem, że rozwiódł się z rzeczywistością, jest karany na żonie i synu; w trzeciej i czwartej części, tak jak w ostatniej fazie rozwoju ludzkości, człowiek goni jedynie za rzeczywistością, aby żył w zbytkach i lenistwie. Gniewie więc słabszych, używa tysięcy do pracy jak bydła i dorabia się potem ich czoła majątku. Dla tego nie daje oświecenia uciemnionej klasie, ażeby, oświeciwszy się, nie strząsnęła z siebie jarzma niewoli, owszem, wszelkimi siłami utrzymuje ją w stanie bydłectwa, ale właśnie z tego powodu powstaje reakcja. I słabsi poczuli w sobie iskrę człowieczeństwa. Nie przynosi już uciemnionym ulgi obiecana w niebie nagroda za krzywdy, doznane na ziemi, i oni chcą dobrze jeść, dobrze pić, żyć w lenistwie, chcą równego podziału materialnego szczęścia. Tak powstaje rewolucya. Po wygłodzeniu następuje upojenie uciemnionego, skrzywdzonego; pociechą jest mu zemsta, przeto konwulsya, przez którą przechodzi schorzała ludzkość, jest krwawa, okropna, ale konieczna, złe złem się odpiera. W obrazie więc rewolucyi wyuzdanie bez granic i rozprzężenie powszechne. Egoiści, korzystający z okoliczności, raz stryczki, drugi raz ordery robiący, wystawieni są w osobach przechrztów. Leonard, zapaleniec rewolucyonista, widzący tylko krew arystokratów i gilotyńę, to uosobiony terrorizm. Pankracy zaś, to wyższy duch rewolucyi, dający jej popęd i kierunek. Zamek Św. Trójcy i w nim się broniący, to wierny obraz upadającej arystokracji. Z każdym niemal dniem jeden z szanów tej fortecy zdobywa demokracya, szlachta zaś opuszcza swe stanowiska i przechodzi do ludu; hrabia jeden zachowuje do końca rycerskiego ducha. Widzi on w arystokracji poetyczną tylko jej stronę, a w demokracji tylko ohydłą, nieboską, wprost przeciwnie, niż Pankracy. Zarzucają autorowi — powiada Wolniewicz—że arysto-

stokracyę w lepszym wystawił świetle i że dał jej moralne zwycięstwo nad demokracją, której słabo i tylko pozornie broni. Ja rozumiem przeciwnie; wprawdzie wystawił poprzednio demokrację w konwulsyjnej febrze, przetrwanej w rewolucyi francuskiej, ale bo też sobie zamierzył wystawić nieboską stronę każdego stronnictwa.

Zresztą biedak, ukrzywdzony na korzyść bogatego próżniaka, oddycha nie tylko najzaciętszą względem niego zemstą, ale także chucią zaspokojenia swoich namiętności, którym nigdy nie był w stanie dogodzić, chce użyć choćby długo wzbronionej rozkoszy życia. To jest najgłówniejsza obrona rewolucyjnych nadużyć chwili. Arystokracji nie daje autor żadnej żyjącej zasady: podstawą jej przeszłość. Chwali się więc arystokrata z łask, ludowi wyświadczonych, tak zupełnie, jakby się chwalił człowiek, który przywłaszczył sobie skarby, że zostawił właścicielowi cokolwiek pieniędzy do utrzymania życia. Arystokracja nadużywa maski religijnej do oszukiwania ludzi. Zupełne z jej serca wygluzowanie wiary było zgubą rewolucyi. Pankracy przeczuwa, równie jak Robespierre przeczuwał, potrzebę religii i, konając, woła: „Galilejczyku, t. j. Chrystusie, zwyciężyłeś.” (Słowa te miał powiedzieć na stosie palony kacerz Nihil w początkach kościoła rzymskiego). Duch rewolucyjny upadł, bo w nic nie wierzył, a więc i w doskonalenie się ludzkości, w jej postępek; wylał się na wszystkie bezprawia i padł chwilowo, by powstać nowym życiem, brzemieniem na przyszłość, i z wiarą w sercu dokonać zaczętego dzieła. Taka była, zdaniem Wolniewicza, myśl autora „Nieboskiej”, pokrewna poglądom Lamennais'go.

W całej krytyce—jakkolwiek przebijają w niej niektóre trafne myśli—nie widać jeszcze głębszego wnikięcia w intencję autora, a dojrzały pogląd społeczny na podjętą przez „Nieboską“ kwestyę, mąci stosowanie do niej allegoryi. I druga krytyka (w „Tygodniku literackim“) I. N. Sadowskiego, zaszczytnie znanego dziś archeologa, nie wyłamała się z więzów panującej podówczas filozofii niemieckiej. Autor porównywa pieśń pierwszą „Nieboskiej“ do zawieruchy w łonie rodziny; akt trzeci i czwarty — do burzy społecznej. „Gdzie się pora poprzedniej zawieruchy tęczą aktu drugiego od następnej burzy odkresła, tam znajdziesz spokój po pierwszej—zarazem przybory do drugiej. Zaród czynu ma lice mieniające.” Pod wpływem tego przyćmionego światła społeczno-rodzinnych stosunków miał dojrzeć pomysł Orcia. W nim, jak we wspólnym ognisku, zeszedł się promień poezyi hrabiego, jak się w żonie odbił, i miłość żony, jak się w nieczułym mężu gnieździła. Dla tego marzenia Orcia nie płyną z rzutkości silnej a burzliwej natury, jak w hrabim, ale „boli go w głowie”, podobnie jak się matce zdawało, że jej ktoś lampę w głowie zawiesił, a odwrot-

nie miłość dziecka nie jest pełną i namiętą, jak miłość matki, ale czczą i bezsilną — taką właśnie, jaka wypełznąć mogła z marzeń hrabiego.

Tak więc Orcio, „uprzedmiotowiając” osobą swoją stosunek, mający być jednością, mający nadać sobie byt rzeczywisty „uobecnia” jedność, która na świecie pomysłana, nigdy jednak rażno na świat wyjść nie mogła, która w ciemności niewyrozumianych dążeń, z boleści zdradzonego serca i zamglonej złudzeniem imaginacyi poczęta, darła się tylko do jasności dnia białego, ale, jakby na noc wieczną skazana, nigdy w świetle rzeczywistości wystąpić nie mogła. To zamiarem tylko i ciemnem dążeniem spłodzone przeznaczenie bytu, bez prawdziwego wypełnienia, nie może się wydać „poetycznie” w zdrowiu ciała o bystrości zmysłów, ale właśnie jak w Orciu, „w ciele do pajęczyny podobnem, które lada myśl wielka rozerwie w bycie niedopełnionym, bez namiętności, w walce z ciemnościami — w ślepotcie.” Dziecię i poeta zarazem, śpiewak bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębami ziemi, a ciałem przykuty do ziemi, stworzony dla „światła i pieśni”, a na ciemność i głuchą ciszę nocy skazany, jest równie przeciwieństwem w sobie samym, jak owa jedność małżeństwa Henryka i Maryi. Jak poeta Orcia jest skutkiem win ojca, które stały się przyczyną szału matki i wynikających zeń błogosławieństw i przekleństw na syna, tak też i głos jego wieszczcy musi być jakoby głosem sumienia hrabiego, głosem, objawiającym sądy Boskie. Smutnem powołaniem Orcia jest nasuwać mimowoli wyobraźni ojca skazy, na dnie duszy jego wybite, samą obecnością złej doli swego przelotnego życia podniecać ciągle cierpienia, skwarem pustyni przepalające pierś hrabiego. Pojmując Orcia w związku z ogólną myślą poematu, nie uważa go krytyk tylko za aniołka, jakim jest w niewinności swych chęci i uczuć, ale widzi w losie jego „groźny zamiar ducha, patrona znieważonego małżeństwa.”

Nie zapuszczam się dalej w subtelności tej transcendentalnej krytyki, dopatrującej się w żywych osobach przedstawicieli idei, suchych abstrakcyi, a przechodzę do przedstawienia poglądów Stanisława Ropelewskiego. Trudno pomyśleć coś bardziej nieokreślonego, jak jego charakterystyka Krasińskiego. Oto mała próbka:

„Nieboskiej Komedyi autor swoich uczuć i pojęć nie rzucił marnie w jednotonne elegie, ale, biorąc wolność za potrzebę i wielkie działanie ludzkości, ojczyznę za punkt interesujący owego działania, miłość za przypadłość, modyfikowaną nawzajem odmyśli gorującej w społeczeństwie, wprowadził je w grę na obmyślonych stosownie światach i tak mądrze, uczenie narysował okoliczności i podrzędne osoby dramatów, że swe oderwane pojęcia zdołał udać za rzeczywiste historyczne postacie. Jak niegdyś słowa starożytniej kapłańskiej mądrości,



„Irydyon” i „Nieboska Komedia”, mogły-by mieć dwa znaczenia: jedno dla ludu, dla wtajemniczonych drugie, gdyby głos samego poety, zastępujący chóry tragedyi greckiej, nie rozlegał się z wyniosłych punktów dramatu i nie prowadził myśli czytelnika na rozleglejsze widownie.”

„Hrabia Henryk, nieszczęśliwy rozbratem swojej poezyi z rzeczywistością, ta obok niego dziecina, ulana z blasków i harmonii, Pankracy, „pochlebca, a zatem przywódca tłumu”, wszystkie te dramatyczne postacie mają być ostatniem wyobrażeniem wielkiej myśli, górującej nad historią tylu wieków i ludów. To dziecię jest uosobieniem poezyi konającej razem z ideą swą rodzicielką, a ów syn mieszczański, to siła nowoczesna, która ma burzyć wszystko w imię praw osobistych (!), aż zwycięska przypomni, że i społeczeństwo ma swoje.”

„Irydyon” i „Nieboska Komedia” były-by—zdaniem Ropelewskiego—„zupełnemi dziełami sztuki, iskrzyły-by życiem, akcją, interesem, chociaż-by poeta nie był przeciągnął głównych ich rysów do sfery humanitarnej i nie powiązał ich w zależność z ruchem ogólnej fizyognomii świata.” Krytyk wita go jako nową gwiazdę na polskim widokręgu, jako człowieka dalszego spojrzenia i silniejszej twórczości, niż był ktokolwiek po dziś dzień w piśmienictwie polskim. „Jeżeli zaś—dodaje—każdemu sztukmistrzowi dobrze jest wiedzieć, co o nim gwarzą pomiędzy gminem, i mierzyć przez to wrażenie, jakie sprawił, badać, którą z sił swoich najgłębiej dusze swych czytelników wstrząsnął, donosimy autorowi, że jego styl brylantowy, pełen efektów, nie trafiał właśnie do publiczności. Lękano się, aby ten obyczaj wyrażania się zawsze w sposób nowy, uderzający, nie przeszedł w manierę. Dziwny zarzut, był przecie powszechny. Żądano naturalniejszego dyalogu, tem bardziej, że poeta, przemawiając osobiście w ciągu dramatu, ma gdzie wylać zbytek liryzmu, ma gdzie użyć tego nadmiaru farb, co mu pędzel przeciąża. Niech sam poeta śpiewa, tylko niech ludzie, przezeń stwarzani, rozmawiają w sposób więcej zbliżony do zwykłej śmiertelnych mowy.” W końcu wyraża krytyk zwykłą w owych czasach obawę, pochlebną zresztą dla poety: że „mnodzy naśladowcy wnet rzucą się tym szlakiem, na którym, aby nie błądzić, trzeba całej przytomności geniusza”; nie pomału go trapi, „widząc z góry, jak mnożą się poezye ciemnej osnowy, olbrzymich uroszczeń, nastrzępionego stylu, i będą się zuchwale przyznawać do pokrewieństwa z artystą, otwierającym nowe tory ojcystemu myśleniu.”

Podobnie ogólnikowe pochwały zawiera i „Dziennik narodowy” (rok 1811 t. I str. 30), naznaczający autorowi wysokie w literaturze miejsce, bo „rzadko wznioślejszy umysł, zupełniejsza organizacya zajął na widowni literackiej”. Po tem zdaniu następuje pogląd na twórczość bezimiennego poety i porównanie „Nieboskiej” z „Nocą letnią”.

Rozmiary pierwszej wspanialsze i śmielsze, a posągowe jej postacie mają więcej piękności artystycznej, niż życie, kiedy w „Nocy letniej” swobodniejsze snują się kształty, a w oczach ich i twarzach odbija się bardziej znajomy wyraz.

Ciekawe jest zestawienie w „Dzienniku domowym“ z dnia 16 lutego 1842 roku Kraszewskiego, Krasieńskiego i Czajkowskiego, przez W. A. Wolniewicza, który broni tu Krasieńskiego, jako „fantastycznego zwolennika szkoły Lamennais’go, filozofa-poetę“. Zarzucają — powiada tu — niektórzy, że „Nieboska Komedia“, podobnie jak „Irydion” będąc tragedjami, mają ten wielki błąd, że osoby w nich wprowadzone nie mają właściwego sobie języka, tylko wszystkie mówią jednym językiem autora; zarzut ten jest fałszywy, osoby tam wprowadzone nie przedstawiają indywidualnego charakteru, lecz całą klasę ludzi, nie jeden moment akcji, a cały okres czasu. Wystawia wprawdzie poeta także w nagiej formie znikomość zabiegów ludzkich, ale żyje wiarą pełną, niewzruszoną, w Opatrzność, w lepszą przyszłość ludzkości, i tą wiarą żywi i przejmuje czytelnika. W rozprawie „O dramacie w dzisiejszem piśmiennictwie polskim“ („Rok“ 1843. Poznań 1843 t. IV.) przedstawia — jeżeli się nie mylę — W. Cybulski, jak pojęcie dramatu, obudzone w Magnuszewskim, szło wyżej i wyżej w kierunku pojęć dzisiejszych, aż w Słowackim się „odbijając“ doszło do „szczytu“ w Krasieńskim.

Myśl społeczna „Nieboskiej”, objawia się w walce zasad, z której wyrabia się postęp społeczeństwa i myśl narodowa, dążąca naprzód. Tak w „Nieboskiej” jak w „Irydionie”, jest rozkład starego społeczeństwa punktem wyjścia autora. W „Irydionie” upadek starego Rzymu, w „Nieboskiej” zagłada do dzisiejszego schorzałego świata. Na tej niwie szaleją burze w postaciach z żywą krwią i ciałem. Z nich przegląda wszędzie idea główna poematów, idea walki społecznej, „wyrabiającej się i pryskającej z odmętu w postać ustaloną, pełną“. Charaktery „Nieboskiej” są samemi „żyjącymi ideami społecznymi“. Mają one w każdym ruchu, w każdym słówku jedną ze stron idei, a mimo to nie są to abstrakcje, allegerye, bo „wieszcz w nie tchnął całą siłę swego żywota, całą wszechstronność namiętności i dzielności, zapалу i tajni najgłębszej serca człowieczego“. O ten punkt główny wyższą jest „Nieboska” nad „Irydionem”; tam idea żyje we wszystkich odcieniach, tu przegląda tylko. Czas, okoliczności obranego przedmiotu, są także wyższe, bo tu wystawiony nie tylko jeden naród, ale cały świat dzisiejszy, a nawet przyszły. „Irydion”, jako poemat, wyższym jest znowu z tej strony nad „Nieboską”, że w niej olbrzymiość każdej z osób tak jest wielką, charakter każdej tak pełnym, iż niema i być nie może punktu wyższego, który-by był zestrzeleniem całej siły poematu w jedno ognisko. „Irydion” zaś, ów geniusz, co cały Rzym, cały świat chytyła w moc swoją, depce, skupia

całą akcyę dramatu. Wielkość „Nieboskiej”, rozprowadzona w równej mierze, uderza nas swym ogromem do tego stopnia, iż jesteśmy niejako ogłuszeni, a postacie, jakby z jednego odlewu, nie mają od czego odbić. Jest to morze światła, które trudniej pochwycić, niż mniej szeroki, a mocniej na łonie cieniów odkreślony potok światłości. „Nieboska komedia” jest odbiciem rzeczywistego i dla tego bardziej chłodem wionącego świata, a choć w niej co charakter, to geniusz, to tracimy skalę ocenienia tych postaci, gdy nie widzimy niższych ani wyższych nad nie, chyba, że porównamy własną małość z olbrzymością całych mas. Stąd tylko umysł filozoficzny pojąć może całą wielkość „Nieboskiej,” w której mamy historyzofię, pisaną głoskami żyjących postaci, i ideje zspolecznienń głoskami serc naszych.

Nieboska Komedia wystawia nam walkę dzisiejszego, głównie arystokratycznego społeczeństwa, z ludem. Wieszczy wybrał hrabiego Henryka na przedstawiciela idei arystokratycznej, w nim zestrzelona jest cała potęga żywotnej siły, mogącej jeszcze w starym znajdować się świecie, w przeciwieństwie do nowo zrodzonej formy społecznej w Pankracym. Śpiewa tu poeta jakby hymn grobowy staremu światu, który, nim skona jako płomień lampy gasnącej, zaświeci na chwilę jaśkrawszym płomykiem. Tym płomykiem jest hrabia Henryk. Pewien rys zwątpienia miga tu w wyobrazowaniu całej walki, a zwłaszcza nowego porządku społeczeństwa; rzewne spojrzenie za starym — stawia krytyk przeciw autorowi, jako zarzuty. Na życiu domowym hrabiego, owego-to ideału starego świata, ma zakończyć ten świat swój żywot społeczny. Ale i to domowe życie hrabiego zakłócone jest jego marzycielskiem usposobieniem. Świat urojonej złudy, świat chorobliwego podrażnienia wyobraźni, odziewający czczość i niedołężność w szatę ubarwioną tęczowemi uroki, odrywa Henryka od ogniska rodzinnego i rzuca go w dziedzinę społeczną, w której zaginać musi i on, i jego świat spróchniały. Zamiera zacisze domowe, jedyna dziedzina, w której może się ten stary świat ostać, nastaje powódź walki społecznej.

Już w dziecku doznaje Henryk okropnej kary za ściganie pozaziemskich urojeń, a zarzucenie rzeczywistości i postępu. Już w pierwszej części „Nieboskiej” grzmieć zaczyna burza społeczna nad głowami starego świata, zwalonego przez nowy. W domu waryatów, przy skonanu żony, słyszemy piewsze okrzyki młodego świata, niepoznanego, więc zamkniętego w domu obłąkanych, ale to już grzmot, za którym ma lada chwila uderzyć piorun. Poeta wykazuje, jakie żywioły dobiły świat starego uspołecznienia, czyniąc niepodobnem przejście pod nową postępową chorągiew. Bo oto niby poetyczne, a rzeczywiście pietystyczne żywioły, unoszą świat stary z łona życia domowego w dziedzinę szarów fantazyi, zabijają w nim myśl społeczną i jeszcze tylko

pycha skusza ostatniego bohatera do obrony zgniłych zasad przeszłości.

Wobec tego stanowiska, wyklucza Cybulski możliwość czynienia zarzutu autorowi „Nieboskiej Komedyi” o niesprzyjanie zasadom postępowym, zwłaszcza, że „Nieboska” kończy się — zdaniem jego — zwycięstwem zasad ludowych. „Bo jeśli wódz ludu, Pankracy, kona, spozierając na krzyż, to nie ginie jeszcze sprawa ludowa, tylko jej przewodźca, który nie był jeszcze ideałem ewangelicznego miłowania sprawy ludu. Skonał więc, a w jego miejsce wstąpi cały lud, w braterstwie i wolności żyjący. To jest znaczenie wyrazów ostatnich Pankraciego i „Nieboskiej”: „Galilee vicisti“, w nich pojęcie zupełnego zwycięstwa żywiołów ludowych.

Gdybyśmy nawet pominieli zbyt gwałtowne naciągnięcie komentarza w kierunku tendencji ludowej, paczące cały pogląd Cybulskiego na walkę obozów „Nieboskiej”, to i przez estetyczne pojęcia krytyka przebija tak silniejszych idei Heglowskich, że z całej krytyki z trudnością przychodzi wyluszczyć trochę zdrowego ziarna. Pierwszą krytyką, która zmierzyła głębie „Nieboskiej”, był wykład Adama Mickiewicza w kursach Literatury Słowiańskiej. (Poznań t. III 1865, wyd. trzecie). Mickiewicz rozpoczyna rozbiorem wstępu Nieboskiej: Krasinski odmalował tu — powiada Mickiewicz — wizerunek potęgi poetyckiej, co rzuciwszy się całkiem w rydwan swojej imaginacji, buja na tej tęczy po morzach i obłokach, ale gubi się przez to, że ten dar niebieski obraca na marną rozkosz. Autor każe nosić poezję, jak gwiazdę na czole, i nie rozdzielać się od niej przepaścią słowa. Grecy nawet nie inaczej pojmowali prawdziwą poezję, jak w czynie: poezya po grecku znaczy działanie. Czegóż chce nasz autor? Oto, żeby duchy najwznioślejsze, nie marnując sił w czecznych wyrazach, zachowały je całkiem na działanie, na czyny, zamiast bawić się garstką zwiędłych kwiatów. — Mysł tę podziela Mickiewicz, nie utrzymuje wszakże, że celem poezyi i literatury jest tylko działanie, że, jak powiada autor „Nieboskiej Komedyi,” słowo jest zawsze zdradą, marnotrawstwem ducha. Prawdła tego nie należy brać za powszechne.

Roztrząsając „Nieboską,” okazuje Mickiewicz, w czem autor poszedł za tradycją narodową, a w czem zbłądził, nadając geniuszowi słowiańskiemu charakter, nie mający w sobie nic słowiańskiego. Dramat odgrywa się w chwilach spodziewanych, niedalekich, ale jeszcze nie nadeszłych. Zdaniem Mickiewicza, pierwszy to dopiero autor, który odważył się pisać dramat proroczy, przedstawiać osoby i zdarzenia, mające nastąpić kiedyś. Scena jednak toczy się wśród Polaków, a czas jej nie bardzo oddalony od dni naszych, bo osoby mówią po naszemu, mają nasze przesady, nasze zwyczaje; możemy poznać, że należą do naszego

pokolenia, chociaż nie mają żadnej cechy krajowej, a scena, na której się odgrywa dramat, pozbawioną jest kolorytu miejscowego. Nie masz tu ni ubiorów, ni żadnych szczegółów, odróżniających zewnątrznie naród od narodu,—jest to niejako zbiór ludzi, w których poznajemy tylko Europejczyków, towarzystwo mężczyzn i kobiet dobrze wychowanych, europejskich. Że ci ludzie są Polakami, wydaje się to nadewszystko przez rażącą sprzeczność, jaka zachodzi między stanem społeczeństwa, które czujemy raczej niżeli widzimy, a charakterami osób. Osoby te w innym społeczeństwie, w innym czasie, składały-by towarzystwo uczciwe i miłe; ale w narodzie przygnięcionym całym ciężarem bolesnej swej przeszłości, w narodzie, z którego łona ma zabłysnąć przyszłość, wszyscy ci aktorowie dramatu ze swojemi przesądami, ze swoim ciasnym sposobem sądenia, wyglądają na karykatury.

Polacy, w „Komedyi Nieboskiej”, nie mają cechy historycznej ani geograficznej, ale żyją jedynie życiem obcym, europejskiem, ruszają się mocą uczuć i wyobrażeń wyrobionych w Europie. Łatwo pojąć, że w takich warunkach ludzie najdzielniejsi, nie mogąc w żaden sposób przeszłości swej związać z przyszłością, ujrzeni-by się zupełnie zbici z toru. Owóż bohater naszej komedyi znajduje się w takim położeniu. Z urodzenia jest on panem, potomkiem szlachty, która przewodniczyła losom, a na której ciąży rozwiązanie zadzierzgniętych przez nią węzłów społecznych i religijnych. Hrabia Henryk, zmęczony rozwiązywaniem zagadnień religijnych i społecznych, chce wrócić na drogę powszedniego życia, zając się rzeczywistością. W tym celu przedsięwzięje nawet wprzódz się w obowiązki, w karby prawa. Spostrzegamy go właśnie, kiedy zamyśla się ożenić. W nim upostaciowana przeszłość, obok osoby wyobrażającej przyszłość. Przeszłość ukazuje się tu z tem wszystkim, co ma najzimniejszego, najbardziej martwego w swoich formach. Mielśmy naprzód ślub, potem następują chrzciny.

Dom obłąkanych zajmuje w układzie dramatu miejsce znaczące. Społeczność stara, jednostajna, ostygła, ma się już rozchwiać; myśl nowego społeczeństwa, burząca się i zmacona, podobna do tych w górach wulkanicznych źródeł, które przed wybuchem stają się mgłnemi, krzyki i słowa zamkniętych przedzierają się jakby dymy ze szczelin skały przed wytryskiem płomienia. Cokolwiek społeczność przyszła może mieć w sobie gwałtownego, okropnego, szatańskiego, to wszystko, niby w zarodzie już będące, przedstawia tutaj dom waryatów. Głosy, które wśród tej sceny odzywają się ze strony prawej i lewej, wyobrażają partje polityczne; głosy z góry i z dołu oznaczają obecny porządek religijny i społeczny. Dziecko, przeznaczone na życie niedługie, trawione ogniem wybujałej wyobraźni, niszczącej jego siły fizyczne, latorośl chorowitej, blizkiej zgonu społeczności. W całym dramacie występuje

bolesć szumnie w okresach krasomówczych, nie rozwodzi się w tkliwych trenach, położenia osób i rzeczy są ledwo narysowane, cały smutny opis życia domowego nie zajmuje nad kilka kartek, ale każde słowo jest jakby kroplą, wyciśniętą z brzemienia cierpień i goryczy. Osoby przesuwają się przed nami jak cienie w latarni czarnoksięskiej, widzimy ich twarze tylko z boku, rzadko kiedy z przodu; przemawiają do nas, rzucając mimochodem kilka wyrazów, ale z wyrazów tych wysnujesz obraz zupełny, odgadniesz, czem osoba była dawniej i co ma dalej robić. Takimi są naprzykład goście, rodzice chrzestni i ksiądz. Wszystko to maluje przedziwnie społeczność rozsypującą się, spróchniałą.

Hrabia, osoba główna dramatu, człowiek zdolny do wzruszeń głębszych, stykający się ze światem wyższym, jako ostatni przedstawiciel przeszłości. Sięga już w przyszłość, ale nie może oderwać się od świata, który mu się z pod nóg usuwa, bo, jak sam o sobie powiedział, łaska Boża spadła mu na rozum nie na serce. Serce jego płonęło niegdys, ale rozum wziął nad niem przewagę i zgasił je, odtąd nie może on myśli i uczuć swych przywieść do równowagi. Człowiek ten skazany jest wystąpić jako szermierz do boju z przyszłością, za karę, że fantazyę wziął za ostatni kres zadań ludzkich. Mniemał on, iż, aby walczyć i odnieść zwycięstwo, dosyć jest stworzyć poetycznie bohatera i kazać mu figurować w książce, albo na scenie, kiedy myśl nasza, nakształt napiętego łuku, powinna być ciągle wytężona do działania. Bohater „Nieboskiej Komedyi”, straciwszy, zniszczywszy wszystko, co go przywiązywało do ziemi, rzuca się teraz w walkę, chce zdobyć dla siebie przyszłość.— Ale, zamiast się poprawić, odmienić wewnętrznie, puścił się znowu na ścieżki błędu. Wpada więc w sidła złego i daje się uwieść szatanowi pychy, który zjawia mu się w postaci orła czarnego. Orzeł jest tu symbolem potęgi politycznej. Wziąwszy go za wieszczbę swojej mocy i chwały, postanawia hrabia dobijać się władzy w panowaniu nad innymi, szukać w deptaniu ludzi pociechy. Poeta przenosi nas teraz w inny świat. Między drugim a trzecim aktem upłynęło nie mało czasu. Społeczność stara, ze swemi prawami i przesądami, już zniszczona. Pankracy, naczelnik nowo zawiązującego się społeczeństwa, ma niektóre rysy wybornie uchwycone. Poeta zlał w niego wszystkie cechy dążności negacyjnych w rewolucjach europejskich, w reformach, wylęgłych w mózgu filozofów. Niszczyciel ten nie posiada żadnych uczuć ludzkich. Bożyszczem jego jest rozum. Twarz jego nawet odpowiada temu charakterowi. Wzrok zimny i pewny, oblicze niedostępne żadnemu wzruszeniu, przypominają nam wizerunki przywódców w czasach terroryzmu. Wszystko to jest trafnie dobrane, aż do sumego imienia: Pankracy, co oznacza z greckiego, jakoby zbiór, ogół wszelkich sił materialnych — (páan-krate). Do najgłębiej pojętych ry-

sów w charakterze tego człowieka, działającego podług zasad fałszywych, należy brak nadziei i wiary w te idee, które narzuca innym.

Wkrótce dwaj przeciwnicy, przedstawiciele dwóch porządków rzeczy, dwóch światów: tego, co już przemija, i tego, jaki ma nastąpić, idealizmu i materyalizmu, spotkają się z sobą. Monolog ten jest — zdaniem Mickiewicza — może najpiękniejszy po monologu Hamleta, a nade wszystko pełen prawdy.

Każdy z tych ludzi, co spowodowali wielkie zmiany na świecie, pchnięci do tego koniecznością, pasował się zawsze z własnem zwątpieniem. Kromwel ciągle usiłował je zataić, Danton i Robespierre nie mogli stłumić wewnętrznego niepokoju. — Ludzie ci, użyci przez opatrność jedynie do niszczenia, mieli w sobie robaka zgryzoty, co im samym zapowiadał, przeczuwał dawał smutny koniec. Charakter Pankracego przywodzi na pamięć Kromwela, Dantona, Robespierra, a jest tylko przesadzonym i fałszywym z tego względu, że autor obdarzył go jedynie siłą rozumu; rozum bowiem sam jeden nie wystarcza do podbicia ludzi, nie zdoła porwać mas; to wszakże godne uwagi, że poeta polski człowiekowi nizecznemu i niezdołnemu nie postawił przysądził największy rozum.

Charakter bohatera przeszłości, hrabi Henryka, chociaż narysowany wysmienie, z wielką mocą, ma jednak także stronę słabą. Jest on Polakiem, a myśli, czuje, działa po cudzoziemsku. Jako szlachcic polski, występuje niby w sprawie katolicyzmu, ale sprawę tę pojmuje wedle tego, co wyczytał z ksiązek zagranicznych. Ciągłe snują mu się po głowie wieże gotyckie, katedry średniowieczne, zamki i dzieje rycerzy błędnych, a w tem wszystkim nie masz nic słowiańskiego, polskiego, nie nawet istotnie katolickiego. Duch chrześcijański w pochodzie swoim zostawiał za sobą te świetne utwory, niby drogoskazy dla pokoleń następnych, ale nie są to przytułki wiecznego spoczynku. Autor nasz pojmuje chrześcijaństwo podług Chateaubriand'a, który schwyił tylko stronę jego poetyczną, opiewał łysę głowę pustelników, różnobarwne światła ostrołukowych okien, mury katedr, zbroje rycerzy — chciał, kresząc malowniczy obraz religii, pociągnąć ku niej ludzkość. Nie tak pojmwali religię dawni Polacy, których hrabia wzywa często jako swoich przodków. Słowianie nie zbudowali jeszcze swoich katedr i nie odbyli swoich wojen krzyżowych, śmiesznie było-by narzucać im tę spuściznę wieków średnich. Świat nowy, jak go sobie poeta stworzył, świat powodujący się tylko chuciami, rozumem i przemocą, niezający innego hamulca prócz siły zewnętrznej, przedstawia Pankracy. Kresli on przed hrabią wspaniały obraz przyszłego szczęścia podług pojęć panteistycznych, znanych tym, co czytali pisma Furierystów, St. Simonistów i Owenistów. Błogi ten stan, o jakim marzy Pankracy, że cała

ziemia będzie jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęścia, jednym warsztatem bogactw i przemysłu, nie był nam zupełnie obcy. Panowie polscy często miewali podobne rozmowy.

Autor „Nieboskiej Komedyi”, należy do rodziny, mającej czynny udział w tem wszystkim, a boleść narodowa przebiła się przez niego i znalazła w nim wymowny organ.

Gdyby można było wiedzieć, co Sylla i Maryusz mówili z sobą, kiedy przypadek pod jeden dach ich sprowadził, może-by w ich rozmowie znalazła się niejedna myśl, powtórzona w rozmowie Pankracego z hrabią. Bo ten sam spór toczy się od początku społeczeństwa ludzkiego, tylko strony należące zmieniają kształt i godła. Hrabia chciałby nawet udawać Syllę, który, namiętnie przywiązany do dawnych zwyczajów Rzymian, widząc ze wszystkich stron podważoną budowę rzeczypospolitej, przedsięwziął ratować ją prawdziwie po rzymsku, morderstwami. Z drugiej strony Pankracy, ów Maryusz, czuje ułomność i niedostateczność swego systematu, i dla tego oddał-by wszystko za to, żeby mógł pociągnąć do siebie hrabię Henryka; bo wtedy tylko zaspokoił-by swoje sumienie. Postawić naprzeciw siebie dwa te systematy, wcielone w dwie osoby, jest to wielki i głębokiy pomysł.

W rzeczywistości dzieje się nie inaczej i pierwiej rozstrzyga się wszystko w teoryi, w duchu, nim się urzeczywistni w życiu.—Przeciwnicy, przed spotkaniem się na oręż, starli się tutaj, że tak powiemy, na duchy, i widać już na czem się skończy rozprawa w polu. Hrabia zawzięcie będzie bronił swego sztandaru, ale przy Pankracym jest siła, on weźmie górę. Prawdy wszakże nie masz w żadnym obozie, unosi się ona wyżej nad obydwoma i przeto też zwycięstwo nie wyjdzie żadnej stronie na korzyść. Zwyciężony pada, przeklinając siebie, zwycięzca zaś w pierwszej chwili tryumfu uczuwa, że był tylko narzędziem zniszczenia, pada trupem, powtarzając słowa cesarza rzymskiego, który, po daremnych usiłowaniach obalenia chrystyanizmu, skonał ze słowy: „Galilejczyku! zwyciężyłeś!” — autor dotknął tu wszystkich punktów Messyanizmu. Co do Izraelitów jednak zawinił (zdaniem Mickiewicza), wystawiając ich jako tylko czyhających na zgubę szlachty i chłopów, wogóle na zaturę chrześcijaństwa. Włożył w usta stworzonych przez się przedstawicieli Izraela słowa, tchnące samą nienawiścią, wzdardą i zdradą ku chrześcijanom. Bezwątpienia są sekty żydowskie, pogrążone w przesądach i ciemnocie; można napotkać zagorzalców, odzywających się nakształt chóru przechrztów, ale nie należy tak sądzić o całym ogóle żydowskim. Podobnież źle zrozumiał i skrzywdził Krasziński charakter włościan, charakter ludu słowiańskiego wogólności, dając mu za głos swoje chóry lokai i rzeźników. Wszyscy pisarze przyznają temu ludowi wysokie przymioty moralne. Co go mianowicie



od innych ludów odróżnia, to ten zapal ducha, który nazywamy miłością, a która przebija się w jego obyczajach, zwyczajach i upodobaniach, która sprawia, że tak jest serdecznie gościnnie, że tak lubi śpiew i muzykę. Nie w imię tedy teoryi morderczych, nie łakomstwem na krew i kawałki gruntu taki lud da się poruszyć i uzbroić. Wielka część prostego ludu w Słowiańszczyźnie ma byt zwierzęcy bardzo błogi; pod tym względem są nierównie szczęśliwsi od wyrobników na zachodzie. Gdyby autor lepiej zgłębił historję, albo raczej gdyby się podniósł wyżej, byłby się dowiedział, czego temu ludowi potrzeba. Potrzebuje on być rządzonym zgodnie z jego naturą, być rządzonym miłością.

Autor w tym względzie poszedł za wyobrażeniami niektórych publicystów polskich, między innymi hrabi Jana Potockiego, który lękał się o przyszłość Słowiańszczyzny, przewidując powstanie gminu przeciw klasom oświeconym.

Zdaniem Mickiewicza, jest też fałszywie pomyślany charakter żony hrabiego, kobiety wyobrażającej przeszłość, osoby dobrej, łagodnej, religijnej, która cierpi dla tego, że nie może wzbić się do wysokości myśli swego męża i pada ofiarą niestosownego dla siebie położenia. Takie zjawisko nie może, zdaniem Mickiewicza, zdarzyć się na świecie. Człowiek dobry, szczerzy, czujący swoją niższość, już tem samym wychodzi ze swego poziomu, ma moc podnieść się na szczebel wyższy. Nizkość zawsze jest dobrowolną; zatwardza się przeciw wyższości, wydaje jej wojnę, chce ją ściągnąć do swego poziomu, i to właśnie tłómaczy nam ten zacięty opór, jaki przeszłość stawia przyszłości.

Jakie wrażenie sprawiła krytyka Mickiewicza na autora *Nieboskiej*, nie wiadomo dokładnie. W listach Krasińskiego do Konst. Gąszyńskiego (Grenoble, 26 maja 1843), czytamy tylko następującą wzmiankę: „Jeśli ci przysłano co nowego z kursu Mickiewicza, to mi *sous bande* przyslij, a ja ci odeślę potem. Ostatni miałem ten, w którym mówi, że chciałby, by autor sam czytał „*Nieboską* Komedję”, a dekoracye przesuwają się naokoło. Jeśli co masz późniejszego, to przyslij mi.

Nie znam broszury „*Mickiewicz De la literature slave*” Paris 1845, pisanej po polsku mimo francuskiego tytułu. Podaje z niej te tylko miejsca, które przytacza dr. Hernal w swej rozprawie p. t. „Z powodu dzieła Tarnowskiego o Krasińskim, podług Dziennika narodowego z 1845”. Autor tej broszury, wspominając o rozbiorze „*Nieboskiej* Komedji” w trzecieletnim kursie Mickiewicza, powiada „że i prelegent nie mógł ożywić trupa, nie mógł wlać tam myśli, gdzie myśli nie było, ani sensu nawet”. Autor broszury jest widocznie demokratą, mówi bowiem, że bohaterem „*Nieboskiej*” jest człowiek z wielkiej fami-

lii, z zacnego domu, gdy tymczasem teraz w ludzie tylko, i jednym ludzie, jest pierwiastek życia, potęgi, przyszłości i nadziei.

O tym-to pamflecie zapewne wspomina Krasieński w liście do Gąszyńskiego d. 22 kwietnia 1845. „Pomyliłeś się, mój drogi Konstanty, kiedyś pomyślał, że mnie pamflet drukowany zmartwi, owszem rozweselił. Nic mnie więcej do wesela nie porusza, jak widzieć, że krzywo sądzą mnie ludzie; a potem w wieku, w którym żyjemy, trzeba być zawsze gotowym na potwarz i obmowę: *guarda e passa*. Jednak największą mi przyjemność sprawisz, gdy egzemplarz jeden zachowasz mi, a później ci wskażę, gdzie mi go przesłać“ (Koresp. I. 231—232).

Bezimienny krytyk w czasopiśmie: „Rok“. Poznań 1846 (str. 93—97) podnosi wysoko autora „Nieboskiej“. Dzieła jego—powiada—najważniejsze może z ostatnich faktów literatury naszej — tembardziej na gruntowny zasługują rozbiór, że mało są dotąd rozpowszechnione, mało czytane, wielom nawet nieznanie. Najogólniejszą cechą stanowiska autora „Nieboskiej“, jest — zdaniem krytyka—to, że nie należy do żadnej z wojujących dziś partyi. Stanowisko takie, odkryte zewsząd atakom, jest więc o tyle niebezpieczne dla autora i całkiem niepopularne; aby je zajmować, potrzeba odwagi, pewności siebie. Nienależenie do żadnej partyi powszechnie uważają za wadę i zarzut, a w starożytności nawet potępione było. Lecz może ono także i ze szlachetnych pochodzić pobudek. Są ludzie, którzy rozumieją i szanują partyę, a wszystkie razem wzięte nawet za swoje wyznanie mają; ale właśnie dla tego do żadnej już szczegółowo należeć nie mogą, bo je już przeszli i wyszli poza ich obręb — takim jest nasz autor. W tym razie nienależenie do żadnej partyi będzie cechą ducha wyrobionego i wyprzedzającego czas swój. Wielka liczba ludzi wprawdzie szydzi ze stanowisk takich, po nad partyę wyniesionych, i pojąć nie może, jak np. można nie być ani demokratą, ani arystokratą, i jednak jeszcze być czemsię, pod względem nawet politycznym niekoniecznie niedołącznym, i mieć charakter nieposzlakowany. Stąd-to mało kto przewiduje trzeci obóz, trzecią prawdę, i jak kto do tej prawdy wyżej zdołał się wznieść, ten zwyczajnie od różnych różnie pojmowany, każdej partyi za nieprzyjaciela uchodzi.—Też same okoliczności sprawiły, że i autor „Nieboskiej“, u demokratów uchodzi za arystokratę, a dla czego? bo z niepięknej strony odłonił dążenia Pankracego i jego zastępów. U arystokratów, przeciwnie, za demokratę okrzyczany; a dla czego? bo wystawił w temże dziele w przerażającym świetle wszystkie te stare, dziś przeżyte uczucia, które władaly dawnemi czasy feudalizmem, później arystokracją. Filozofowie ze swej strony zarzucają mu znów zacofanie, pochodzące z ultra-religijnego kierunku, nazywają go nieprzyjacielem wolności, będącej wszelkiej swobodnej a samodzielnej myśli niezbęd-

nym warunkiem. Widzi w tem wszystkim krytyk chaos wyobrażeń wprost sprzeciwiających się sobie. Każda partya odsyła go do drugiej, sobie przeciwnej, każda go się wypiera, podczas gdy on przyznać się może do nich wszystkich w połączeniu, oczyściwszy naturalnie każdą z tej pleśni, przez którą wyrzuca się na wierzch nurtująca wewnętrznie ich nienawiść. Krasiński wyrzekł się nienawiści pewnych żywiołów dla miłości innych i tem jednym już je z sobą złączył. Wtem jasnym spojrzeniu na całą prawdę, a nie na niektóre tylko jej strony, bo prawda jest jedna, choć ma na lewem i prawem skrzydło sprzeczności wielkie i rozliczne; w tem ujęciu wszystkich władz umysłu ludzkiego w jedną siłę twórczą, widzi krytyk ukrytą tajemnicę całej wysokości stanowiska autora „Nieboskiej”. Tem się on od innych poetów różni i tem ich prześciga. Jeżeli słusznie Mickiewicza liczą do rzędu poetów europejskich dla tego, że tak uczucia polskie potrafił wyśpiewać, iż je każdy naród rozumieć i pojąć może, to autor „Nieboskiej” tem słuszniej poetą całej ludzkości nazwany być powinien, bo wszystkich dzieł jego bohaterką jest cała ludzkość, a sceną świat cały.

Pod tytułem „Kilku ludzi i kilka dzieł, Kościół oficjalny i Mesyanizm przez A. Mickiewicza zamieszcza G. de Molènes następujące zdanie o „Nieboskiej:” Wielkie dzieło, o którym czytał A. Mickiewicz najciekawszą lekcję, jest rodzajem dramatu o rozmiarach olbrzymich, pisanego dla niemożliwej sceny: Komedia *pielkielnu*. Kapitan Roquaivol, Albano z Cesary i ta bohaterka, poświęcona śmierci, która patrzyła przez całe swe życie przez całun, w który miano zawinąć jej ciało, osoby Jean Paula, Lesage'a i Cerwantesa, żyją wśród bohaterów poety polskiego. Człowiek, przedstawiający świat stary, walczy tu z przedstawicielem świata nowego na ziemi, której nie znalazłbyś nawet na mapie autora Manfreda, lub II części Fausta. Jeden ginie, ulegając, drugi zwyciężając, obaj należeli do ludności tylko przez krew, strzelającą z ich ran; były to wcielenia dwóch myśli, na nieszczęście prawie tak nieokreślone, jak osłony, w które je poeta oblókł.

W każdym razie, ponieważ człowiekowi w żaden sposób nie może udać się—mimo starań—zatrzeć tego, że jest człowiekiem, więc w kilku miejscach „Komedyi”, kilka uczuć od serca przedstawionych, głęboko nas dotknęło. Zwłaszcza słowa, które poeta zwraca do dziecka chorego i marzącego, pełne melancholii niewyszukanej, uczuciowości delikatnej i zarazem potężnej, ideału, raz tylko niestety, uchwytne i zrozumiałego dla nas. Nie znam w żadnym utworze poetycznym wdzięczniejszej myśli, jak ta, którą wypowiada Orcio. Główka dziecięca, którą nam ukazał poeta słowiański, może być umieszczona obok główek Malgosi i Mignon.

O tej krytyce „Nieboskiej”, napisanej przez Molènes'a w telietonie dziennika *Journal de débats*, z 17 marca 1846, tak się wyraża Zygmunt

w liście do K. Gaszyńskiego. Nicea, 22 marca 1846. Pan Molènes w feuilletonie Debatów wyrznął krytykę na Messyanizm Mickiewicza i na „Infernalną komedję“. Nic nie wie, ni rozumie, bredzi jak ślepy o kolorach. Krytyka co do literatury, sztuki, poezyi i religijnych uczuć, zupełnie równa mowie profesorskiej (Guizot'a), niedawno mianej w izbie względem nas w sferze polityki. Taki sam brak zmysłu przyszłości i życia. Ale co mnie mocno w tem zraziło, to usiłowanie — (umieszczając po mowie ministra tę krytykę w Debatach) — wystawienia całego narodu, czy to w czynach jego politycznych, czy w uczuciach poetycznych, ten czyn poprzedzających, za zwaryowane plemię i tak fizycznie cierpiące, że mu ból rozum odjął. To szkaradna dążność Debatowa, przybývająca na odsiecz literackiem zdaniem dążności politycznej ministra, zewsząd napadniętej i obłożonej przez pogardę ludzką“. Natomiast wyraża się przychylnie o przekładzie francuskim, ogłoszonym prawie równocześnie w „Revue des deux mondes“ Paris 1846. Oto co pisze w liście do Gaszyńskiego z Heidelberga 11 października 1846. „W Przeglądzie Dwoch Światów“, „Nieboska“ cała wytłómaczona, dość nieźle stoi, przeczytaj.

Z powodu ogłoszenia „Psalmów“ podnosi „Przegląd poznański“ (1847 IV. 150, 1848 tom VII, A. 623—25 i 1851 XII), znaczenie autora „Nieboskiej“ w naszej literaturze. Jest on w chwili obecnej najbardziej narodowym, najgoręcej z obecnością spojonym, najjaśniej wskazującym przyszłość wieszczem. Nie zawsze przecież tak wysokie zajmował stanowisko, kiedy zaczynał zawód „Komedją Nieboską“. Podziwiać wprawdzie trzeba jasne widzenie młodego poety, potęgę jego myśli, która mu pozwoliła pod skorupą bezpiecznego materyalizmu i polityki odgadnąć, co się dzieje w głębinach społecznych ludzkości. Zajrzawszy w te otchłanie, zdało mu się, że przeszłość do krwi i upadku moralnego idzie i osłupiał z przerażenia. Zrobiło mu się czarno w oczach, tak czarno, że tylko instynktowo odgadł po-za chmurami znak zbawienia i zawołał: *Galilee vicisti*. Wszakże to zwycięstwo odbijało się tylko echem sądu — w jego myśli — ostatecznego. Gdyby był wówczas gorąco kochał i nie patrzył na świat oczyma wysokiego umysłu, ale oczyma miłującego serca, byłby zrozumiał, że między biegunami ostatecznymi niemocy i szaleństwa żyje wiele świętych, wzniosłych, wiecznie młodych rzeczy, które Bóg, zawsze przytomny w świecie, łaską swoją wspiera i przeznacza na ogniska przyszłych organizmów społecznych. Gdyby był czcił prawdziwie kraj swój, nie świat oderwany, albo jakąś postać w formach greckich, ale tę grzesznicę pokutującą, jak ją wystawia Zaleski, byłby dramatu swojego, czysto kosmopolitycznego, nie napełniał postaciami polskimi, a znalazł lzy i słowo pociechy wobec straszego dramatu, odgrywającego się

na ziemi rodzinnej. Mimo to, uważa krytyk „Nieboską” za dzieło artystycznie wspaniałe i pod tym względem nie się do niej z późniejszych utworów poety nie zbliża. W „Komedyi” autor przemierza okiem całą społeczność europejską, jak łamie się w stronnictwa, jak walczy, jaki gotuje sobie los na przyszłość. Ze stanowiska tego kosmopolitycznego nie schodzi jeszcze do potrzeb pojedynczych ziem i narodów; rozważając stosunki i sprawy ogólne, nie tyka szczegółów. Dla tego też „Komedia” sposobem chyba tylko uczucia i wysłowienia nosi na sobie larwę narodowości autora: co do treści, do żadnego narodu nie należy, ale do wszystkich. Jest to dramat ogólnie europejski. Inaczej rzecz się ma z „Irydionem”.

Z pism niemieckich, czerpiących zazwyczaj wiadomości o naszych poetach ze źródeł polskich, dostał się do nas w Galicyi następujący na poezję Kraszińskiego pogląd, z którego przytaczam zdanie o „Nieboskiej”: „Od poezyi uczucia (Agaj-Han) przeszedł Krasziński w *drugiem dziele* swoim „Nieboskiej” do poezyi refleksyjnej (rozwój twórczości poety w latach młodzieńczych był jeszcze w owym czasie nieznaną) i utworzył dramat polityczny, czyli właściwie obraz fantazyjny w formie dyałogowej. Postacie jego nie są ludźmi, lecz duchami, wyobrażającymi stosunki świata na wielkie rozmiary. Polska jest miejscem ich zgromadzenia, a społeczne życie narodu polskiego objawia się w nich z wszelkimi swemi odcieniami. Są to turnieje politycznych partyi i wyznań. Była to szczęśliwa myśl zsymbolizowania zaczętych z najpierwszym rozwojem ludu walk stronnictw narodowych, znaczniejszych u nas, niżli gdziekolwiek indziej. Żałować tylko potrzeba, że wtedy poeta nie myślał jeszcze tak jasno, i że do tyła nie mógł się wyswobodzić z uczuć osobistych, aby stworzyć postacie wszechświatowe, zrozumiałe dla wszystkich. Kraszińskiego spotykało to nieszczęście, że wielu nie mogło go zrozumieć. Właściwa zaś głębokość jego ducha objawia się dopiero w trzecim dziele jego p. t. „Irydion” (Z. Krasziński, poeta polski, i „Irydion” jego w „Rozmaitościach“, w piśmie dodatkowym do „Gazety Lwowskiej“ z dnia 5 maja 1848, Nr. 18 str. 140):

Zygmunt K(aczkowski) w rozprawie: „O przesadzie w pojęciach“, umieszczonej w „Pamiętniku Literackim“ (wydawanym przez J. Szlachetowskiego we Lwowie, 1850 I. 5689), porównywa Z. Kraszińskiego z J. Słowackim, właśnie pod względem jasności wyrażenia, biorąc „Nieboską Komedię”, jako przykład jasności. Dzieła Kraszińskiego, warunkom sztuki niezupełnie zadosyć czyniące, pod względem pojedynczych scen i obrazów nie zawsze z prawdą zgodne, może cokolwiek przesadne, może wyobrażeniami wieku napłynione, wszakże pod względem idei ogólnie przez wszystkich rozumiane i pojęte.

Lucyan Siemieński podnosi we „Wspomnieniu o Z. Krasińskim“ (Kraków 1859) jako zaletę Krasińskiego, że w „Nieboskiej” pochwycił intuicyjnie ten prąd pojęć burzących, jaki przeleciał Europę w lat kilkanaście później, w którym znalazły się wszystkie figury, a nawet frazesy, nakreślone nieśmiertelnym pędzlem w jego dramacie społecznym. Nie zgadza się Siemieński z naganą Mickiewicza, który, rozbierając na katedrze „Nieboską”, wyrzucał autorowi nieznamość ducha ludu słowiańskiego dla tego, że go usymbolizował w chórze lokai i rzeźników. Zdaniem Siemieńskiego, chciał tu poeta wydać wyrok potępienia na to, co się dzieje ludzkim wymysłem a nie po woli Bożej. Wymysły ludzkie, fałszywe doktryny, najłatwiej przecież przylegają do pewnych warstw ludu, który, liznąwszy tak zwanej ogłady miejskiej, pozbył się prostoty i wiary. Widziano przecież to w rzeczywistości, co profesor naganiał w poezji. Cała „Nieboska” niczem nie jest, tylko piorunem, gruchocącym tę doktrynę samolubstwa, pychy człowieczej, co wypowiedziała posłuszeństwo Bogu, — dla tego na ruinach zburzonego świata, zwątpiałemu w siebie bohaterowi ukazał poeta znak odkupienia — zwycięstwo Chrystusa. Jest to zatem pogrom za złe, ukazanie prawdy wiekuiestej. Utwór ten, powiada L. Siemieński w artykule „Prawdziwy wieszcz“ (dzieła 1881 II. 225), pojawiając się, jak wszelka wielkość, mająca prawo do długiego bytu, nie zrobił wrażenia, a przynajmniej jeśli jakowe zrobił, to niskie, łechcące tylko próżną ciekawość. Jedni bowiem rozpytywali: kto był ten Henryk, kto Orcio, kto Pankracy? i podsuwali różne nazwiska polityczne. Inni, niby uważniejsi, na rzecz samą wzruszali ramionami, jakby chcieli powiedzieć: Nie rozumiemy, do czego zmierza. Tylko rewolucyjni socjaliści wyraźnie potępił dzieło, jako paszkwil, napisany przez arystokratę. Tymczasem były to księgi Sybilińskie, ciężarne chmurą klęsk, było to zwierciadło bliższej przyszłości, ku której w zaślepieniu wszystko gnało, nie przebierając w środkach, które obróciły się przeciw samym działaczom. Tajemniczy ten dramat odgrywa się, zdaniem Siemieńskiego, cały w przyszłości, w ostatecznym tryumfie nowych wyobrażeń i doktryn, a spadku dawnych, mających za sobą powagę i świętość Odkupiciela rodu ludzkiego. To też straszny jest obraz wyjątych tłumów na zgliszczach popalonych i zburzonych świątyń, straszny obraz społeczeństwa, bo drugi raz zamordowało Boga, nie mogąc nic natomiast postawić. Widzenie wieszczca odsłoniło nam ostateczność następstw z taką prawdą, że gdyby nie nie wstrzymało ludzkości, wciągniętej na pochyłość, po której się toczy, rozwiązanie musiało-by takie być a nie inne. Reakcja po nieudanej rewolucji lipcowej występowała przeciw przewrotnym zasadom, a myśl przestraszona zwróciła się ku przeszłości i szukać zaczęła zbawienia w nadprzyrodzonych siłach. Potomkowi rodziny, która wydała marszałka Konfederacji

Barskiej, wydawało się, że prawniki powinni być równie pradziadom i że z tej samej krwi narodzą się nowi. A tymczasem naokoło niego świat szedł naprzód, nowe pojęcia, nowe idee obejmowały ziemię w swe panowanie. W nich była antyteza owej uwielbianej przez Krasińskiego przeszłości. — Poeta stanął z niemi do walki i namiętnie, gwałtownie sięgnął do dna, chwycił kał, błoto ich, i z przerażającą siłą odtworzył najgorszą, ohydną, ale na szczęście wyjątkową ich osłonę. Raz wzięwszy za oręż, w imię tradycyi, po rycersku, nie złożył go i pozostał wywieszonemu sztandarowi wierny do końca, ale bystre oko wieszca nie mogło nie dostrzedz wkrótce, że zgubionej broni sprawy. — Nie łudził się długo, ani krył; prędko spostrzegł, że potomkowie hetmańscy zdolni są raczej piławieckiej hańby, niż przegranej cecorskiej. Gdy tak z jednej strony czuł miłość tych właśnie, w których obronie walczył, a z drugiej odpychał ze wstrętem to, co powstać miało na gruzach dawnego porządku rzeczy, został się, jak hrabia Henryk, sam, na ruinach przeszłości, z zimną, na pozór spokojną rozpaczą, ze straszliwym uśmiechem pogardy dla wszystkiego, co terazniejsze, co bez nadziei, bez wyjścia innego, jak spokój grobu. Stąd szereg owych obrazów strasznych, przerażających swą wielkością, oświeconych krwawą łuną pożarów i mordów, lub leżących w mroku, którego żadne słońce tego świata rozpędzić nie ma... Wśród dźwięku tego języka, który brzmi jak jęk pogrzebowych dzwonów, lub huczy, jak śpiew żałobny nad gruzami świata, wobec tych zamglonych kreacyi, obluzganych krwią, z piętnem potępienia na czole, z wściekłością lub rozpaczą w oku, zsiniałemi boleścią ustami, dreszcz przejmuje słuchacza i zdaje mu się, że widzi straszny kataklizm moralny i fizyczny świata, że stoi wśród jego rozwalin, nad którymi ognistem piórem błyskawic wypisano Dantejskie: „tu niema nadziei“... A jednak i ten wieszcz zrozpaczony, zwątpiwszy o wszelkich środkach i drogach ludzkich, przekleństwo pogardy cisnąwszy na swój obóz, chwycił się mistycyzmu, jako ostatniej deski ratunku. Nie on jeden rzucił się w te obłoczne krainy... Był on tylko wyrazem, odzwierciedleniem tego kierunku, który był naturalnym wynikiem strasznych cierpień i nieszczęść.

A jednak, pod względem tendencji i formy, zostanie on i zostać powinien bez naśladowców. Sprawa, której taki mistrz nie obronił, która najszlachetniejszego, najgenialniejszego z rycerzy swoich zgniotła, zabiła, przywiodła do rozdarcia wewnętrznego i rzuciła w mistycyzm, jest nie do obronienia.

W słynnym artykule: „Poezya polska i poeta bezimienny w XIX wieku“, wykazał Julian Klaczko przedewsz stkiem społeczną tendencyę Nieboskiej“. Zdaniem krytyka występuje tu autor „Nieboskiej“ śmiało przeciw „mrzonkom humanitarnym i socyalistycznym“, znajdu-

jącym naonczas najlepsze w kraju wzięcie, jak później uzbroił się we wszelkie gromy poezyi swej, aby zwalczyć demokratyczną propagandę, która w tej epoce wszystkie owładnęła umysły. Trafiał on po ciski swemi nietylko przemijające polityczne uprzedzenia, ale nawet uczucia najgłębsze, najbardziej w narodzie zakorzenione. Dowodzi naprzykład rozpaczą trawionemu narodowi ujemnej tylko mocy, niewiści.

„Nieboska komedia“ zdawała się być rękawicą, rzuconą dążnościom ogólnym wieku. Rewolucya lipcowa właśnie co wprawiła była świat cały w ruch, który się jeszcze nie był uspokoił żadnym wynikiem dodatnim, przyczyniając się tylko do okropności obrazu. W samej rzeczy w tej „Nieboskiej komedii“ nic nie ostaje się na ziemi wzburzonej; widnokrąg ze wszystkich stron zaćmiony. Tylko przy końcu zjawia się krzyż krwawy i płomienisty, ale więcej jako symbol kary, aniżeli zbawienia, zdający się schodzić na ziemię tylko jako pomnik nad grobem niezmiernym, jak wszechświat. Jakkolwiek pokazało się to dzieło owej epoce przeciwnem, zrobiło jednak wielkie wrażenie przez rodzaj jakiegoś uroku wyzywającego. W jednej scenie dramatu pokazuje się przewódca demokracji, tajemną przyciągnięty siłą ku swemu wielkiemu przeciwnikowi, ciekawy poznać go, pragnący rozmowy z nim. Tę samą moc tajemną przyciągania zdawał się wtedy wywierać ten poemat arystokratyczny na publiczność, przesiąkniętą wskrósłymi ideami Pankracego, i zajmowano się wciąż tą dziwną figurą hrabiego Henryka z podejrzliwą uwagą, w której było na pół odrazy, na pół sympatyj. Zagadką wydawał się obrońca umierającego społeczeństwa, nieprzyjaciel demokracji, który zdawał się być do niej przywiązany nie jednym węzłem tajemnym, i przyjaciel szlachty, który ich tak mało szanował, a nawet nimi pogardzał, męczennik bez natchnienia i wyznawca bez wiary.

Ówczesną atmosferę, na której wystąpił ten bohater do walki, maluje Klaczko w tych słowach: „Młodzież marzyła prawie wszędzie o rzeczypospolitej; religijne umysły cytowały ewangelię, jako podporę demokracji; tajemnicze sekty zajęły się sprawą wyzutyh ze szczęścia, oskarżały wadliwą organizację społeczną i zażądały dla każdego człowieka prawa do nieznanego i pełnego pokus, prawa do szczęścia“. Wergilego „*novus rerum ordo*“ stał się hasłem prawie powszechnem, i cóż dziwnego, że hasło to szczególnie powtarzały: niedola i poezya. Przeczucie, pewność przekształcenia politycznego, społecznego i religijnego rodu ludzkiego, przebija ze wszystkich dzieł literatury emigracyjnej. I poeta bezimienny podniósł temat, tak ulubiony ówczas, walkę przeszłości z przyszłością, ale przedstawił go w nowem oświeceniu.



Widziano ostatniego obrońcę starego porządku rzeczy, którego już kresowa wybiła godzina, ulegającego bez sławy przed Pankracym, mścicielem uciśnionych i ze szczęścia wyzutych wieku naszego. Prawdę powiedziawszy, tryumfu dramat ten nie wygłasza żadnego: przeciwnik, na chwilę zwycięski, omdlewa nagle, przyznając się sam do klęski; walka kończy się dla braku walczących. Trzeba było doświadczeń roku 1848, aby pojąć myśl bezimiennego poety. To też można powiedzieć, że dopiero przy blaskach pożaru, który ogarnął Europę, pokazał się w całej prawdzie obrońca ginącego świata.

Klaczko zwraca uwagę na analogię w rozwoju bohatera poematu z całym ówczesnym pokoleniem. „Bo czyż nas wszystkich—powiada—nie kołysały niegdyś, jak hrabiego Henryka, czarowne marzenia o postępie nieskończonym, i czyż my nie łączyliśmy się czynami i życzeniami z tymi wszystkimi, co wzdychali i spiskowali, i którzy pracowali nad dziełem przyszłości? Potem nadszedł dzień, w którym wszystkie te duchy, przez długi czas wywoływane i głaskane, powstały nagle, rozkazująco, groźnie, wzywając nas do spełnienia obietnic i marzeń naszych, dzień, w którym masy rzuciły się na obiecany Eden, jakimśmy go nęcili,—a my comęliśmy się przerażeni. Wtedy dla ratunku zagrożonego społeczeństwa przywołaliśmy znowu tego Boga osobistego, o którym zapomnieliśmy już prawie; wtedy chwyciliśmy znowu za zardzewiałą od wieków broń i schroniliśmy się pod szczątki tronów i ołtarzy, które jeszcze pokrywały ziemię, Socjalizmowi przyszłości przeciwstawiliśmy cześć dla pamiątek, instytucyi, a nawet nadużyć feudalizmu, na wspomnienie postępu odpowiedzieliśmy śmiechem, a na okrzyk wolności—krzykiem przestradchu“.

Szczere, ale straszne wyznanie! Trafnie pochwyconą jest charakterystyka Henryka. Gonił on wiecznie za ideałem, a nie starał się stworzyć go w samym sobie; cierpiał ogromnie, ale i te cierpienia podniecały tylko miłość jego własną i powiększały jego zatwardziałość serca. Miał on zapał fałszywy i fałszywie uderzający w tony „harf niebieskich“, i wzruszenia chwilowe więcej mu przypadają do serca, niż prawdziwe uczucia. Zbywało mu zupełnie na prawdziwej prostocie i samodzielności ducha. Pycha ogarnęła mu serce. „Pokój ludzom dobrej woli“, woła anioł stróż, a temi słowy daje mu raczej przestrożkę, niż błogosławieństwo. Właśnie tej dobrej woli nie przyznaje poeta Henrykowi, a pod dobrą wolą rozumie się dobrą wiarę, zamysł szczery i prawy, siłę spokojną i miłującą, której piekło nigdy nie przemoże. Ze źródła zamąconego i zimnego fałszywej egzaltacyi trzeba wyprowadzić wszystkie nieszczęścia bohatera komedyi, nieszczęścia jego jako męża i jako obywatela, kollisione jego życia domowego i publicznego.

Obok Henryka wycieniowany jest delikatnie portret jego synka, uosobienie tej natury dziewiczej i rozmyślającej, jednej z tych, jakie się często napotyka w czasach burzliwych; tej duszy naiwnej i delikatnej, o wysokiej myśli i przenikliwym rozumie, ale bojaźliwej i zamkniętej w sobie, a ślepej na rzeczy ziemskie, pospolite. Orcio ma instynkt religijny, bardzo wydoskonalony, ale jest w nim więcej tęsknoty, aniżeli pewności. Pobożność dziecięca za bardzo jeszcze jest wpływem poezyi ojca.

Myli się Klaczko, twierdząc, że przejście z życia domowego Henryka do okropności rewolucyi społecznej jest nagłe i gwałtowne, że jest to niespodzianka w dramacie, tak, jak nią była w historii. Scena w domu obłąkanych stanowi właśnie to przejście. Hrabia, zużyty wiekiem i cierpieniami, wyleczony z marzeń o postępie rodu ludzkiego, staje w obronie zagrożonego społeczeństwa, ale i w tem nowem przekształceniu bohater zachowuje pierwotną wadę swej natury, swój grzech pierworodny, skutkiem czego goni wiecznie za wrażeniami, zamiast szukać prawdy, a zgłębia wyobraźnię, zamiast badać swe sumienie. Wojny domowej, walki z demokracją, nie uważa tylko za obowiązek konieczny, ale zachwyca się w duszy dziką jej poezją, przedstawiając sobie już naprzód pole bitwy i potoki krwi. Przytem duma jego, dotąd ukrywana, wybucha teraz złowrogim płomieniem; podoba mu się rola tyraana.

Klaczko nasuwa się tu pytanie: czy hrabia, a właściwie Krasiński, nie przesadza naumyślnie przewrotności natury ludzkiej, jak niegdyś przesadzał jej nieskończoną doskonałość. Rozprzężenie społeczne przedstawione jest straszniemi kolorami. Istne to piekło owa nowa „noc Walpurgi“, te saturnalia, wyprawiane przez tłum, łakący mordów rabunków, w których nasz bohater poznaje dawnych znajomych, starych współpracowników przy „wielkiem dziele przyszłości“. A co najbardziej zasmuca w tej „Nieboskiej komedyi“, to właśnie ten koniec bez rozwiązania, tryumf ogólny tego wielkiego „nic“, które pochłania wszystkich aktorów dramatu: hrabiego, żonę jego, Pankracego, a nawet biednego Orcia. Trzebaż więc rozpaczać nazawsze? Albo czy może między aktorami drugiego rzędu trzeba szukać cienia, do którego by się wiązał jakiś interes, jakaś nadzieja? Na drugim planie widzimy przedewszystkiem Leonarda, ucznia Pankracego, szczerego entuzyastę, który podzielił wszystkie nienawiści, wszystkie myśli nauczyciela swego, ale który nie splamił się krwią, i czy to przez wypadek, czy przez instynkt, nie ma sobie do wyrzucenia żadnych zbrodni. Czy rola pojedynawcy zostawioną może jest Leonardowi, który jest, zdaniem Klaczki, „typem pokolenia wzrastającego, które patrzyło się na walki starszych, widziało ich nieszczęścia, dzieliło nawet ich szczy, ale które

tylko nie splamiło się ich okropnościami?" Jedno jest pewnem dla Klaczki, że nie jesteśmy jeszcze bynajmniej przy końcu naszych doświadczeń i że „Nieboska komedia“ długo jeszcze będzie dramatem przyszłości. Zagadnienie bowiem, które rozwija Krasiński, nie jest bynajmniej objętem w granicach terażniejszości; przeszło ono już niejedną przemianę i wyrażonem zostało już w niejednym arcydziele. Zagadką tą jest walka ideału ze społeczeństwem, a tłem jej jest to położenie człowieka, który, nosząc w sumieniu swem marzony obraz sprawiedliwości i szczęścia, chciał-by go znaleźć w świecie, albo urzeczywistnić.

Zdaniem Klaczki stworzył Szekspir w Hamlecie typ wiecznie tragiczny takiego człowieka, stojącego między ideałem a społeczeństwem. Bohater „Nieboskiej komedy“ przypomina mu więc księcia Danii. Podobieństwa jednak, które przytacza, są naciągane. Hamlet i Henryk mają mieć tę samą uczuciowość i tę samą wyobraźnię, obaj lubią monologi prowadzić i układać dramat, ze szlachetnemi i wzniosłemi chęciami łączą słabość i niemoc, a sumienie ich, nadzwyczaj czułe, kończy oddaniem się największym okrucieństwom. Klaczko odkrywa nawet sprężynę, wspólną tym dwom postaciom: ma nią być sprawiedliwość poezji, która mści egzaltacyę, jakiej żąda hrabia Henryk, obłąkaniem żony. Ta rzekomo sprawiedliwość karze udaną grę Hamleta prawdziwem szaleństwem Ofelii. Uznając podobieństwo charakterów, widzi jednak i Klaczko odmienną sytuacyę. Zapewne jest to bolesnem wiedzieć i chcieć dobrze, ale uczuć się bezsilnym wobec złego; ksiązę Danii uczuł te straszne boleści. Ale dla człowieka naszego wieku zachowaną była daleko większa męka.—On chce dobrego, a potem nie tylko z konieczności musi znosić złe, lecz nawet bronić go — z bojaźni przed gorszem, przed przepaścią nicości! Hamlet, broniący nienawistnych mu dworaków, Poloniusów, Osryków, Hamlet piersią swą zasłaniający tron koronowanego zbrodniarza, łotra Klaudyusza, a wszystko to, aby uniknąć pijanej logiki grabarzy, którym się zdaje, że „najwyższe szlachectwo należy się grabarzom“, to obraz hrabiego Henryka. Wysoki polot autora „Nieboskiej“, który w 23 roku swego życia, już w początkach swojego zawodu, wznosi się na szczyty myśli i ogarnia jednem spojrzeniem całe społeczeństwo, nie zakreślając sobie coraz ciśniejszych kółek, wyjaśnia Klaczko okolicznościami czysto zewnętrznymi. Poeta bezimienny wcześniej rzucony był gwałtownie w świat idei i uprzedzeń Zachodu, żeby jednak dopiero przy wielkiem natężeniu, przy pracy myśli i woli, wrócił do uczuć i potrzeb ojczystych, wyjdaje mi się nieprawdopodobnem. I w tem się myli Klaczko, jeżeli sądzi, że „Nieboska“ była protestacyą przeciw „fatalnej illuzji wieku“, mniemającej, iż zdoła ludzkość całą odrodzić, nie odrodziwszy pierwej

człowieka, iż ustali prawa powszechne, nie wzmocniwszy pierwej każdego z osobna w pełnieniu swych obowiązków. Wiadomo bowiem, jak dalece rozwój jednostki zawarunkowany jest rozwojem społeczeństwa. Poeta bezimienny, wierny swemu na świat pogładowi, pojmował epokę teraźniejszą, jako poród bolesny nowej ery chrześcijańskiej, jako przygotowującą „nowy wybuch chrześcijaństwa“, mówiąc językiem hrabiego de Maistre'a.

Wincenty Pol w wykładach swoich o literaturze polskiej, mianych we Lwowie 1866 (Dzieła VIII 1877), widzi w autorze „Nieboskiej“ wyjątkowe zjawisko, nietylko wśród nas, ale w dziejach świata. Ma to być najoryginalniejsza mieszanina nowożytnego ducha z wszystkimi formami starożytnymi, nieznana dotąd zupełnie w objawieniu ducha. Wznosi on się do sfery, w której tylko orły szybują, i z tej wysokości patrzy na ziemię, nie dziw tedy, że więcej widzi, niż ci wszyscy, co po padole płaczu chodzą. Wszystko ukazuje mu się tutaj z tej powietrznej perspektywy: w oddaleniu ojczyznę i ludzkość i społeczne życie wszystkich narodów widzi on z tej wysokości. Nie jest to już znajomość serca, albo duszy; on bada ducha ludzkości, a dar jasnowidzenia sprawia to, że kiedy Mickiewicz o sobie powiedział: „Jam milion, czuję i cierpię za milion“, to można-by o Krasińskim powiedzieć: to nie milion, to wszystkie miliony, które czują, myślą i cierpią. Stąd też jest w sercu jego boleść tak ogromna, ogarnął bowiem duchem swoim wszystkie bolesti. Jak w Ogrójcu powiedziano jest, że Chrystus czuł bolesti rodzaju ludzkiego, tak można-by i o Krasińskim powiedzieć, że czuł boleść społeczną całego XIX wieku, wszystkie nieszcześcia polityczne i społeczne, które sprowadzono na ludzkość przez brak miłości chrześcijańskiej. On widzi we wszystkich warstwach społecznych boleść dzisiejszego pokolenia i z tej bolesti czerpie swoje natchnienie. Jest to największy moralny socjalista, jakiego w XIX wieku miała Europa; największy filozof, najbardziej natchniony poeta, którego jasnowidzenie rozszerza się nietylko na przeszłe, ale i na przyszłe wieki.

Profesor Wincenty Stroka w studjum pod tytułem „Krasińskiego Nieboska komedia i Niedokończony poemat“, Kołomya, 1878“, poddaje poemat nasz szczegółowej analizie, którą tu w streszczeniu przytaczamy. „Nieboska komedia“ nie jest utworem scenicznym. Pomimo to jest w niej wiele ruchu i siły dramatycznej. Utwór ten, napisany prześliczną prozą poetyczną, dzieli się na cztery dyalogowane części, z których każdą poprzedza krótki wstęp opisowy, mający przygotować nas do tego, co poeta w następującej po niej części przedstawia. Na pomysł całości takiej przed Krasińskim żaden poeta polski się nie zdobył. Bo jeżeli inni czerpią przedmioty

ze świata obecnego lub z przeszłości, to przedmiotem „Nieboskiej“ jest to, co według widzenia autora w przyszłości dopiero ma nastąpić. Jest to zatem dramat proroczy, malujący nam w dosadnych barwach przyszłe losy europejskiego społeczeństwa. Walczą tu z sobą dwa wrogie obozy: konserwatyzm i rewolucya. Pierwszy z nich odwołuje się do prawa historycznego, tradycyi rodowej, własności osobistej i religii naddziadów; druga, to jest rewolucya, występuje przeciw własności i religii, głosząc równość społeczną i majątkową. Takie żywioły, jak ogień z wodą pogodzić się nie dadzą—między nimi do walki strasznej, do walki na śmierć lub życie przyjść kiedyś musi. Trzeszczą tedy posady gmachu społeczeństwa europejskiego; a stan ten czuł Krasziński już przed laty 60 i widział w duchu te okropne, nieboskie sceny, które mają nastąpić. Przeniósł się tedy myślą w epokę owej przyszłej walki i przedstawił nam ją w całej grozie, ze wszystkimi jej okropnymi szczegółami, wydając zarazem sąd o obu zapaśnikach. I po czyjej-że stronie staje Zygmunt w tym boju? On, magnat, arystokrata z rodu, potomek hetmanów i senatorów polskich, nie staje tutaj w obronie konserwatyzmu. Zanadto wysoki to duch, ażeby powodować się miał pochodzeniem lub uprzedzeniami rodowemi; jemu chodzi tylko o prawdę i dlatego potępić musi obydwaj kierunki, bo oba są jednostronne. Nie przeczy on, że pierwszy z nich bliższy jest prawdy; ale wytyka mu brak miłości, który objawił się w ciągu wieków wobec niższych warstw społeczeństwa; upaść więc musi koniecznie tak, jak drugi kierunek, dlatego, że dla niej nie było nic świętego. Walkę tę wrogich żywiołów skryształizował nam poeta w dwu olbrzymich postaciach: hrabiego Henrynka i Pankracego. Chcąc jednak, ażeby sąd jego nie był jednostronny, obdarzył poeta pierwszego bohatera wszelkimi dobrami przymiotami, jakie się w stronnictwie jego znajdują; bo wtedy, jeżeli mimo tych wszystkich zalet osobistość jego, potężna i dzielna, nie ostoi się wobec prawdy wiekuiestej—tęsamem potępione jest i całe jego stronnictwo. Hrabia Henryk jest przeto pan szlachetny i dumny seciną przodków i ich zasługami; odważny, nieustraszony w boju, charakteru niezłomnego aż do uporu, pełen wiary w Boga i swoją szablę, lecz chciwy sławy i panowania; przytem człowiek wyższych popędów, który w młodości skłaniał się nawet ku zasadom liberalnym, ale stanowczo się ku nim nie umiał przechylić; nakoniec poeta, marzący o miłości, zamiast coby jej w sercu swem miał poszukać, coby sercem objąć miał świat i ludzi. I ten-to brak miłości, to ceniecie przedewszystkiem siebie i myśli swoich, jest główną winą Henrynka, główną winą jego rodu, który w nim autor potępia. Chcąc nam dać wszechstronny wizerunek bohatera, przedstawia go poeta naprzód w życiu prywatnem, ktemem zapełnia dwie pierwsze części swego utworu, potem w dwu na-

stępnych daje nam obraz jego działania na szerszej arenie dziejowej. We wstępie, poprzedzającym część pierwszą, wypowiedziany jest surowy sąd o poetach, którzy, wcielając w słowa pierwowzory piękności wiekuistej, przeczą jej nikczemnymi czynami. Słowa te uważać wypada za potępiający sąd, wyrzeczony na fałszywy kierunek poetyczny Henryka, który w tak jaskrawy sposób odsłania się nam zaraz w pierwszej części poematu. Właściwy dramat rozpoczyna się tem, czem zazwyczaj kończą się zwykłe dramaty i powieści, to jest ślubem Henryka z Maryą, dziewicą łagodną, pełną miłości, poświęcenia, ale usposobieniem swem nie przypadającą do miary poetycznego nastroju męża. Anioł Stroż, unosząc się nad kościołem, błogosławi nowemu związkowi i obiecuje nowożeńcowi szczęście i zbawienie, jeżeli dochwala przysięgi. Słowa jego dają nam zarazem poznać, że dotychczasowe życie Henryka nie musiało być wolne od winy, że pierwotny związek duszy jego z niebem musiał już być zerwany, że jednak teraz łączność tę przywrócić ma nowe ogniwo, byle go tylko z własnej winy nie zerwał. Scena w szpitalu obłąkanych szczególniejsze ma znaczenie w architektonice dramatu. Dotąd występował Henryk w prywatnem życiu; w dalszych częściach dramatu poeta dotknie nie już serca jednostki, ale zagadnień ogółu. Otóż zasady, które wstrząsają światem, wyprowadza już tutaj poeta przed oczy nasze, przyczem zdaje się poniekąd uważać je sam za szaleństwo wobec wiekuistej prawdy Bożej. Śmiercią żony w domu obłąkanych kończy się pierwsza część dramatu. Zerwane pierwsze ogniwo życia, podeptany pierwszy obowiązek, zerwana jedna struna szczęścia dla kochanki. Znaczenie tej ostatniej jest więcej symboliczne, jest ona niejako uosobieniem owych marzeń, owych urojeń czarownych, które sprowadzić nas nieraz usiłują z drogi obowiązku, a które, z blizka widziane, kiedyśmy, rzuciwszy ciche, rzeczywiste szczęście, ulegli pokusie, okazują się dopiero w całej swej potwornej, trupiej nagości. Prócz tego chciał poeta przez takie przedstawienie napiętnować zarazem stosunek tego rodzaju, jako bezbożny, nieboski, szatański. Henryk ginie, nie jak bohater walczący w imię wyższej, świętej idei, lecz jako duch demoniczny, zakochany w pięknych myślach, marzący tylko o ideach, lecz nie umiejący podnieść się sam w czynach swych do ideału. Zdawało-by się na pozór, że los Henryka jest za surowy, że może nie zasłużył na to, do czego doszedł na końcu życia. Wszakże na ustach jego brzmią ustawicznie wyrazy: Piękność, Prawda, Bóg, Ojczyzna; wszakże walczy na koniec w imię Boga; wszakże broni ostatniego szanca, na którym jeszcze brzmi cześć, żyje wiara Chrystusowa. A jednak ginie on z rozpaczą w sercu, usłyszawszy wprzód potępienie swe z ust duchów niewidzialnych; a stało się to dlatego, że w całym ciągu żywota szedł

tylko za popędem swego samolubnego serca i dumy własnej, nie zważając na kilkakrotne upomnienia anioła stróża, który mu za każdym upadkiem coraz to nowe, coraz cięższe wprawdzie i więcej zaparcia wymagające, ale za to skuteczne podawał środki ocalenia. Środki te po utracie pierwszej niewinności, wskazane mu przez anioła—jako wolne od samolubstwa: miłość żony, syna, miłość bliźnich, wreszcie ów sąd symboliczny, co noc odbywający się w podziemiach nad jego sobowtorem, sąd, którym go nieboszczka żona, za pośrednictwem Orcia, po raz ostatni przestrzega — nie odniosły pożądanego skutku; dlatego ginie na wieki. W śmierci jego widzimy oraz rozwiązanie jednej połowy zagadnienia społecznego. W śmierci tej przedstawiony jest upadek i ostateczne wyrzeczenie wyroku potępienia na całe jego stronnictwo. Po śmierci Henryka Pankracy widzi się nareszcie panem świata, który teraz urządzić, odbudować ma nanowo podług swej myśli i woli. W ten sposób demokracja zwyciężyła, ale zwycięstwo jej tylko pozorne. Ten bowiem, który ją przedstawia, w którego umyśle wcielały się idee i dążenia wszystkich, wkrótce stanie przed straszniejszym sędzią. Już w ciągu walki kilkakrotnie nasuwały mu się różne wątpliwości, co do ostatecznego celu jego działania postępu ludzkości; wątpliwości te usuwał on jednak, wmawiając w siebie, że myśl jego przecie jest wielką i świadomą celów swoich, a uszczęśliwienie ciał ludzkich godnym celem jego usiłowań. O potrzebach ducha nie pomyślał dotąd, bo był tylko niszczycielem, tylko narzędziem kary dla tamtego drugiego stronnictwa; sam zaś nie miał on nic zbudować, gdyż ujemny, destrukcyjny duch jego był bez wszelkiej głębszej podstawy, prócz zimnego, obszernego rozumu. Brak ten czuł też Pankracy, przeczuwając instynktowo pewną wyższość, nieznaną mu nową strunę w duszy Henryka, na której jemu samemu zbywało. Wyrzekłszy znane słowa Juliana Apostaty, cesarza rzymskiego i prześladowcy chrześcijaństwa, umiera Pankracy w objęciach Leonarda, nie mogąc znieść prawdy bezwzględnej, którą pomijał w swej pysze, przeciw której walczył do końca, a którą teraz zmuszony jest uznać po niewczasie. Z tą śmiercią drugiego bohatera doszliśmy zatem do rozwiązania zagadki: ludzkość zanurzy się w potokach łez i krwi, ale gdy nie będzie w jej sercu miłości Chrystusowej, nie będzie żadnego owocu z jej poświęceń.—Miłość jedna zdoła rozwiązać w sposób godny i trwałe wszelkie kwestye i uporządkować stosunki społeczne i historyczne ludzkości. Ażeby osiągnęła ona cel ostateczny, ku któremu zdąża w krwawym trudzie od tylu lat tysięcy, ażeby niebo zabłysło nam na ziemi, powiuna nauka Chrystusowa przenieknąć wszystkie stosunki prywatnego i publicznego życia ludzkości.

Tak przedstawia ideę zasadniczą „Nieboskiej“ prof. W. Stroka. Co do pytania, tyczącego się miejscowości, w której się odbywa działanie, będące przedmiotem tego utworu, to, idąc za zdaniem Małeckiego, wypowiedzianem w wykładach jego na uniwersytecie we Lwowie, „Nieboska komedia“ nie jest obrazem wyłącznie polskiego społeczeństwa, ale wizerunkiem społeczności europejskiej i walki społecznej, wstrząsającej posadami całej Europy. Dowodzą tego już same imiona niektórych broniących się w okopach Św. Trójcy arystokratów, np. Krysztof na Volsagunie i inne. Z tego zatem względu nie można Krasieńskiemu robić żadnych zarzutów, bo nie myślał on wcale kreślić postaci wyłącznie polskich. Miał jednak poniekąd i Mickiewicz słuszną, twierdząc, że „Nieboska“ odgrywa się wśród Polaków. Rzecz bowiem już właściwie tak się przedstawia, że rewolucya owa straszliwa przebiegła przez zachód Europy i zwyciężyła tam wszędzie, a teraz ostatni jej dramat rozgrywa się na ziemi polskiej, gdzie się schroniło wiele niedobitków arystokracji obcej i dokąd pociągnęli za nimi zwycięzcy demokraci, tak cudzoziemscy, jak i polscy. Że autor tak rzecz pojmował, dowodzi przedewszystkiem nazwa ostatniej niepokonanej warowni, w której się bronią arystokraci; znane są bowiem w historii Okopy Św. Trójcy na Podolu, niedaleko Kamieńca. Prócz tego przemawia za takim widzeniem rzeczy i ta okoliczność, że główni bohaterowie, to jest hrabia Henryk, Pankracy, równie jak sługa hrabiego, Jakób, niewątpliwie są Polakami. Za polskością Jakóba przemawia cały sposób jego występowania, jak cały jego patryarchalny stosunek do panów; trudniej byłoby to udowodnić z dramatu samego, ze względu na obu głównych bohaterów; zwłaszcza, że Henryk zdaje się być Polakiem, wychowanym za granicą poniekąd z cudzoziemska, a Pankracy przedstawia typ demokracji kosmopolity, któremu na narodowości niewiele zależy, bo u niego kwestya społeczna na pierwszym stoi miejscu. Że jednak, pomimo tej pozornej bezbarwności, obie te postaci przedstawić chciał Krasieński jako polskie, widać to z innego utworu, w ścisłym zostającym z „Nieboską“, z „Niedokończonego Poematu“.

W ewolucyi krytyki literackiej „Nieboskiej“ tworzy analiza St. Tarnowskiego, umieszczona pierwotnie w „Niwie“ z r. 1882, słup graniczny. Z małemi zmianami umieszczona w wiekopomnym dziele o Z. Krasieńskim, stanowi ona przejście do najnowszych studyów nad „Nieboską“.

DR HENRYK BIEGELEISEN.



---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Konstanty Górski. „Historia jazdy polskiej.“ 1895, wydanie drugie.*

W poprzednim dziele, *Historii piechoty polskiej* poświęconem, autor uczynił nam obietnicę napisania dziejów wszystkich gatunków broni w dawnym wojsku Rzeczypospolitej polskiej. Że zaś obietnica nie była czczem słowem i że zamieniła się już, w częściowy wprawdzie, ale zawsze bardzo poważny, czyn naukowy, dowodem tego drugie wydanie „*Historii jazdy polskiej.*”

Autor korzystał ze źródeł trojakiego rodzaju: 1) z aktów urzędowych, 2) z druków traktujących o sztuce wojennej polskiej, oraz o bitwach, przez Polaków stoczonych, 3) z wyciągów z rękopisów, znajdujących się w bibliotekach Ossolińskich, Czartoryskich i Krasińskich. Dodać przytem należy, że dokumenta urzędowe, które autor przejrzał, były bardzo obfite i ważne, a nadto zostały prawdopodobnie po raz pierwszy w pracy wojskowo-historycznej spożytkowane.

Pułkownik Górski oświadcza na początku swej pracy, że jazda była główną i zasadniczą bronią w wojsku polskim. Wypełniała ona nietylko z odznaczeniem zwykłe funkcye swej broni, ale oblegała twierdze, jak Psków w r. 1581, broniła je od oblężenia, jak to się działo pod

Chodkiewiczem w Inflantach, przyjmowała udział w szturmie obozów ufortyfikowanych, jak w roku 1673 pod Chocimem. Lecz jak wszystko na świecie przemija, tak przeminęła i zgasła świetność i sława jazdy polskiej. Oswobodzenie Wiednia było jej ostatnim bohaterskim czynem. Nie długo potem, bo na początku XVIII wieku, zmienia się ona nie do poznania, ucieka z pola bitwy pod Kliszowem i podczas całej wojny Karola XII w Polsce ponosi ciągle klęski od jazdy szwedzkiej. Ostateczny jednak upadek i zanik tej jazdy nastąpił po sejmie 1717 roku, który, wyznaczwszy dla wojska stały komput, oraz stałą lokacyę i placę, wymagał tylko, aby żołnierz zachował się spokojnie i nie był ciężarem dla obywateli, nie troszcząc się wcale o to, aby był zdolnym do boju.

Bitwa pod Grünwaldem była szczytem rozwoju pospolitego ruszenia i najwyższym rozkwitem ducha bohaterskiego w całej massie polskiego szlachectwa. Za Jagiełły wszakże były już na służbie królewskiej znaczniejsze hufce wojska zaciężnego. W roku np. 1424 posyłał król do Ołomuńca na pomoc cesarzowi Zygmunтови przeciwko husytom 5000 wyborowych jeźdźców. Z kwitów i obligacyi okazuje się, że jazda, podobnie jak i piechota, najmowała się na służbę partjami, większej lub mniejszej siły, od 20 - 300 koni, że partye te miały za wodzów rotmistrzów, którzy pojedynczo lub w kilku, za zgodą swych towarzyszków, wchodzili w układy z królami co do żołdu, terminu jego wypłaty, wynagrodzenia szkód i innych warunków służby.

Czy rotmistrze zbierali roty na wezwanie królów, czy też ofiarowali im swe usługi, dowiedziawszy się o wojnie i potrzebie żołnierzy, o tem niema pewnej wiadomości. W każdym razie rotmistrze byli inicjatorami w gromadzeniu rot i oni wchodzili w układy ze znanymi sobie żołnierzami, którzy brali na siebie obowiązki wystawienia poczów o mniejszej lub większej liczbie koni. Rotmistrz nie mógł przepisywać towarzyszkowi ani wielkości pocztu, ani rodzaju uzbrojenia, każdy towarzysz stosował się pod tym względem do swej możności i panującego obyczaju. W rocie jezdnej XV wieku spotykamy kilka kategorii jeźdźców. Oprócz towarzyszy, znajdują się w niej ludzie, składający poczty towarzyskie, którzy nazywali się czeladzią lub pachółkami. Zachodziły też w pocztach towarzyszy różnice pod względem rodzaju koni i uzbrojenia. Istniały bowiem dwa rodzaje koni: „kopijnicze”, po łacinie equi hastarii, i „strzelcze”, equi sagittarii.

Roty jezdne w XV wieku, pomimo, że się nazywały kopijniczymi lub strzelczymi, składały się zazwyczaj z kopijników i strzelców, a różnica zachodziła tylko w stosunku jednych do drugich. W rotach kopijnicznych było więcej kopijników, niżeli w rotach strzeleckich, ale prawdopodobnie i w tych ostatnich rotach kopijnicy musieli stawać

w pierwszym szeregu i stanowili osłonę dla strzelców. Małe roty, z 20—50 jeźdźców, musiały się łączyć ze sobą, dla utworzenia samodzielnej jednostki bojowej, siłą od stu do dwustu koni. Nigdzie jednak autor nie spotkał w rejestrach jednostki wyższej nad rotę. Podobnież niema organów, czyniących zadość potrzebom bojowym, administracyjnym i gospodarskim rot jezdnych, czyli, że niema ani poruczników, ani chorążych, chociaż chorągwie być musiały, ani dziesiętników, ani kwatermistrzów, ani profosów. Przy towarzyskiej organizacji rot, używano prawdopodobnie do zastępstwa rotmistrzów, noszenia chorągwi, zapisywania kwater, towarzyszy, którzy też obowiązani byli odpowiadać za porządek we swych pocztach.

Samostrzałów używała jazda do rażenia nieprzyjaciela z daleka, do boju zazwyczaj używano kopii i miecza. Walki jazdy z XV wieku ciągnęły się całemi godzinami i czyniono nawet pauzy, jakby za zobowiązującą zgodą dla wytchnienia, i brano się na nowo do oręża, dopóki jedna strona drugiej nie pokonała. Wstępując na służbę, rotmistrze jezdni otrzymywali od królów tak zwane: *Litterae inscriptionis stipendii*, w których oznaczała się kwartalna płaca na konia, suma ogólna, która miała być wypłaconą w części pieniędzmi, a w części towarami, oraz oznaczał się termin wypłaty. Szkody za utracone na służbie konie i uzbrojenie wynagradzały się osobno podług pewnej taksy, a prócz tego, królowie wynagradzali za niewolę, jakby za rzeczywistą służbę.

Rok 1500 był rokiem narodzenia się u nas usarzy. Sam wyraz „usar” „gusar”, ma oznaczać po serbsku—rozbójnik, latro. Znajdują się też istotnie *racovie v. serbowie* w rejestrze z roku 1500. Podstawę jazdy Batorego stanowili już usarze, których tenże monarcha zaopatrzył w broń palną krótką, czyli w pistolety. Od roku 1546 zaczynają się ukazywać w rotach strzelczych: *sahajdak*, t. j. łuk i rohatyna; z początku sporadycznie, potem całemi pocztami. Tak sformowane rotę były kozakami, a pierwszą o nich wzmiankę spotykamy w rachunkach sejmowych z r. 1563. Dopiero w r. 1598 rotę kozackie, podobnie jak usarskie, występują jako jednolite. Odtąd już nie mieszają się jedne z drugimi, ale istnieją z osobną obok siebie, jako *equites usarii* i *equites cosaci*, aż do r. 1770, w którym oba te rodzaje jazdy toną w kawaleryi narodowej. Kozacy znowu około r. 1676 przybierają nazwę pancernych.

Oprócz usarzy i kozaków, służyli w jeździe polskiej w latach 1589—90 arkebuzerowie, częścią w charakterze osobnych niewielkich komend, przy rotach usarskich, częścią jako osobne rotę. Była to jazda, utworzona co do uzbrojenia na sposób niemiecki i różniła się od usarzy tylko tem, że zamiast drzewa, opatrzona była w trzy strzelby,

z których jedna długa, a dwie krótkie. W XVI wieku istniał jeszcze w Polsce rodzaj jazdy, zwany czeremisami. Zdaje się, że byli obcymi najemnikami, a że byli lichy płatni, przeto można wnosić, że mieli liche konie i lichą zbroję; wogóle czeremisowie pozostają zagadką dla pułkownika Górskiego.

W XVI wieku istnieje ślad połączenia rot jezdnych w jednostki taktyczne wyższego rzędu. W bitwie pod Orszą rotami pańskimi dowodził Tarnowski, nadwornemi Sempoliński, a służebnemi Swierczowski. Podobnie w r. 1579 po ukończeniu wyprawy pod Połock, Mielecki z rozkazu króla rozdzielił jazdę na trzy pułki. Dla szyku bojowego znaczniejszych mas jazdy mamy tylko jeden przykład historyczny, a mianowicie szyk wojska polskiego pod Łopuszną w r. 1512. Jazda uszykowana tam była w trzy linie, z których trzecia była jakby odwodem.

Zdaniem autora, wyższość szyku jazdy polskiej wieku XVI nad europejską nie ulega żadnej wątpliwości. Jazda europejska formowała się w kilka mas ciężkich i nieobrotnych, nie mogących ani wspierać się, ani współdziałać wzajemnie, gdy tymczasem szykowi polskiemu tych zarzutów uczynić nie było podobna i taktyka jazdy polskiej stała w XVI wieku na tej wysokości, jakiej jazda europejska dosięgła dopiero w XVIII wieku.

Jakimi sposobami utrzymywała się dyscyplina w wojsku w wieku XV, o tem wiadomości nie mamy. Pierwsze, zasługujące na tę nazwę artykuły wojskowe, spotykamy w „Consilium rationis bellicae” Tarnowskiego. Kary w nich za występki były czworakie: na gardle, na czei, odcięciu ręki i podług woli hetmana, a oprócz tego, w obozie zazwyczaj specjalnego sędziego król albo hetman mianował. O życie i zdrowie żołnierzy w wojsku polskiem wcale nie dbano. Cyrulicy zdarzają się w rotach jezdnych tylko wyjątkowo. Jeden tylko Batory okazywał troskliwość o zdrowie żołnierzy. Takież sam nieład panował pod względem żywienia wojska. Zwykle za wojskiem polskiem ciągnęły długim pasmem obozy z żywnością; gdy zaś się ta wyczerpała, żołnierz, który obowiązany był żyć z żołdu, musiał kupować żywność na majdanie u bazarowników.

Jakim sposobem rozkładano jazdę dla strzeżenia granic, o tem dokładnych wiadomości nie mamy. Wiemy tylko, że w r. 1529 utrzymywano nad granicą posterunki. Przeznaczeniem ich, gdy reszta jazdy stała opodal od granicy, mogło być tylko wywiadywanie się o zamiarach i poruszeniach Tatarów i podawanie wojsku oraz najbliższym starostom wiadomości o grożącym ze strony nieprzyjaciela najeździe. W roku 1569 Zygmunt August ofiarował czwartą część z dochodów

dóbr królewskich na utrzymanie stałego wojska dla obrony granic od Tatarów; wojsko to, nazwane kwarcianem, składało się przeważnie z jazdy i przy niem znajdował się zwykle hetman polny. W roku 1648 było w wojsku kwarcianem usarzy 1040, kozaków 1170, dragonów 900, po klęskach jednak pod Korsuniem i Żółtymi Wodami wojsko kwarciane istnieć przestało, Rzplta bowiem, skutkiem długich wojen, zmuszoną była utrzymywać znaczną liczbę zaciężnych żołnierzy i na ich utrzymanie obracała kwarciane pieniądze razem z poborami.

Chorągwie husarskie były prawie zarzucone podczas wojen z kozakami i Tatarami, bo nie nadawały się do wojen z nieprzyjacielem, nieznającym należytej sztuki wojowniczej. Dopiero gdy się zaczęła wojna ze Szwedami i Moskwą, powróciły one znowu do dawnego znaczenia. Sebastyan Cefali daje taki opis husarza z 1665 r. „Husarze zasługują na szczególniejszą uwagę, tak dla nie zrównanego męstwa, jako dla osobistej godności. Mają oni coś podobnego do dawnej jazdy włoskiej, chociaż w karności i uzbrojeniu różnią się od niej. Oprócz szabli, bronią ich jest lanca, zwana kopia, którą to jeździec, pędząc na koniu, przebić może na wylot zbroję i t. d.“ Tenże sam Cefali o kozakach pisze: że jest to także jazda szlachecka, tylko lekko uzbrojona. Może uderzać używaniem przez kozaków łuku, broni tatarskiej, oddawna zarzuconej w Europie, ale kusze i łuki lepiej się godziły z szykiem jazdy, aniżeli broń palna, gdyż można z nich było razić nieprzyjaciela z tylnych szeregów, co przy broni palnej było niepodobieństwem.

W wieku XVII organizacja chorągwi polskich znacznie się pogorszyła, nie doczekawszy się żadnych ulepszeń, które w jeździe zachodniej już w końcu XVI wieku zaprowadzone zostały. Przy organizacji towarzyskiej obchodzono się i nadal bez pisarzy, kwatermistrzów, wachmistrzów, konowałów, siedlarzy. Nie zaprowadzono też podziału chorągwi na drobniejsze części, ani też wyższych jednostek administracyjnych w rodzaju pułków, które, jako przedtem, tworzyły się tylko w czasie wojny. Taktyka jazdy polskiej w XVII wieku zależała na silnem uderzeniu czołowym zwartemi szeregami, w całym pędzie koni, z kopia w rękę, z jednoczesnem oskrzydleniem nieprzyjaciela przez hufce posiłkowe, złożone z kozaków. Dla zaprowadzenia porządku i karności w jeździe niezbędnymi były: zmiana systematu żywienia żołnierzy, a przedewszystkiem regularna płaca żołdu. Tymczasem szerzyła się coraz większa anarchia, która w wojsku przejawiała się w formie buntowniczych związków, szkodliwych dla całego państwa.

Rajtarowie ukazali się po raz pierwszy za Batorego. Uzbrojenie ich składało się: z przyłbicy, zbroi lub pancerza, obojczyka i zarękawia, a bronią ich były trzy strzelby, z których dwie krótkie, a jedna długa, oraz czekan, szabla, albo granat. Regiment rajtarów, liczący

1200 koni, dzielił się na 4 roty po 300 koni. Liczba rajtarów w Polsce bywała różną. W roku 1661 było ich 3000, a następnymi laty mniej, od czasu Sobieskiego rajtarzy przybierają nazwę arkebuzyerów, a w r. 1717 zupełnie ich skasowano.

W XVIII wieku jazda polska najlepiej biła się z sobą. Wół, krowa, baran, to był u nich Szwed; więcej bydlęcej krwi niż nieprzyjacielskiej rozlewali. Pewien ruch i życie w tej jeździe podtrzymała wojna z Sasami. Zebrano jej wówczas 22, 830 koni, ale i wtedy znaczniejszych tryumfów nie odniosła. Unikała uporczywie bitwy z Sasami w otwartem polu, a wieszła się tylko i urywała nieprzyjaciela, działając po partyzancku. Nareszcie w r. 1717 nastąpił pokój z Sasami, a z nim redukcya wojska. Nowy komplet wojska objął w 16 chorągwiach husarskich, 92 pancernych i 18 lekkich—6000 głów. Dla tej jazdy wyznaczono stałą lokacyę, ale nie urządzono przy niej sztabów wcale.

Jedyna zasługa sejmu 1717 r. polegała na tem, że wyznaczwszy stałą płacę, niezależną od kaprysów sejmu, ustanowił tym sposobem stałą siłę zbrojną. Płaca ta nie była jednak punktualną, gdyż co rok wyższa część żołdu pozostawała na delacie u kontrybuentów. Przytem sejm uczynił żołnierzy poborcami, co się nie zgadzało z ich przeznaczeniem. Z regulaminu ówczesnego dla jazdy widać, że cała troskliwość sejmu zmierzała jedynie ku temu, aby żołnierz żył z grosza i nie krzywdził ubogich ludzi, ale o tem, aby go uczynić zdolnym do obrony ojczyzny żadnej wzmianki niema. Szczęśliwsi byli jedynie dragoni, którzy, jako wojsko cudzoziemskie, znajdujące się pod komendą oficerów obcych, trzymali się stale na wysokości jazdy europejskiej. Jazda zaś autoramentu polskiego, pozostawiona sama sobie, zaniedbana, zarzucona, zapomniana, spadała coraz to niżej i dążyła do zupełnej ruiny.

W okres panowania Stanisława Augusta wstąpiła jazda autoramentu polskiego w stanie zupełnej dezorganizacyi. Chorągwie służyły dla starych i niedołężnych towarzyszy jakby za przytułek dożywotni, albo też towarzysze byli dziećmi, niekiedy i pięcioletniemi. W roku 1765 powstała komissya wojskowa, która podzieliła jazdę autoramentu polskiego na partye: wielkopolską, małopolską, podolską i ukraińską, na czele których postawiła regimentarzy. Na sejmie 1776 r. zapadła uchwała o sformowaniu z istniejących chorągwi husarskich i pancernych 4 brygad kawaleryi narodowej, a z chorągwi lekkich—pułków straży przedniej. Skutkiem tej uchwały, husarze i pancerni utonęli w kawaleryi narodowej bez żalu i szkody. W tymże samym czasie jazda autoramentu polskiego doczekała się organizacyi, która uczyniła zadość potrzebom bojowym, administracyjnym, gospodarskim i dyscy-

plinarnym. Ale szkoda, że przyszła zbyt późno i zastała jazdę już w zupełnym upadku.

Sejm czteroletni, uchwalwszy 2 października 1788 r. stotysięczne wojsko zamierzył podnieść liczbę jazdy do 21,862 głów, t. j. pomnożyć ją prawie w czwórnasób. Zaslepienie swe posunął sejm czteroletni tak daleko, że i dragonów, których organizacya, jako gruntująca się na żywiole ludowym, była najodpowiedniejszą na owe czasy, przekształcił na wzór jazdy narodowej, w której mogła służyć tylko szlachta. Nadzieje sejmu czteroletniego, pokładane w jeździe narodowej, okazały się płonnymi. Organizacya jej okazała się do samego końca wysoce wadliwą i dla tego też nie odpowiedziała należycie wymaganiom bojowym.

Na tem zakończę bardzo ogólne sprawozdanie z dzieła pułkownika Górskiego, historii polskiej jazdy poświęconego. I w tej pracy uderzyć musi każdego nieustrudzona pracowitość i zamiłowanie przedmiotu, jakie ożywiało autora. Owocem też tak cennych przymiotów było nie tylko prawdziwe bogactwo szczegółów ważnych i ciekawych, ale odtworzenie oraz krytyczne ocenienie dziejów jazdy, poczynwszy od 1717 roku. Działalność prawodawczą sejmu 1717 roku, oraz sejmu czteroletniego, przedstawił autor w pełnym i krytycznym obrazie, tłumaczącym wyraźnie i jasno, dla czego usiłowania prawodawcy w pierwszym i drugim razie chybiły zupełnie celu.

W historii jazdy polskiej jest też daleko mniej wycieczek czysto politycznej natury i jedynie ośmielił-bym się zaznaczyć, że czasami sz. autor wcielał do historii jazdy materiały, który mógł-by śmiało odłożyć do historii zarządu, czyli administracyi wojskowej. Wiadomości np. o służbie sanitarnej, o zaprowiantowaniu wojska i o urządzaniu obozów, choć są interesującemi, nie przyczyniają się do jasności obrazu, dzieje jazdy polskiej przedstawiającego. Z tem wszystkiem ostatnie dzieło szanownego pułkownika Górskiego przynosi nam wiele materiału, dotąd niespożytkowanego, poucza nas należycie o doniosłości jazdy i skłania do wyrażenia szczerzego życzenia, aby autorowi starczyło sił i zdrowia do urzeczywistnienia całej obietnicy, jaką nas dawniej obdarzył.

*Antoni Prochaska. O prawdziwości listów Gedymina. Kraków, 1895 (str. 34).*

Autentyczność listów Gedymina, jak nas autor poucza, podlega dotąd jeszcze rozmaitym wątpliwościom. Po większej części historycy wprost zaprzeczają ich prawdziwości, lub też z wielkiem powątpiewaniem odzywają się zarówno o ich treści, jak i o pochodzeniu. Pięć znanych było listów Gedymina, pisanych w sprawie chrztu, tudzież zawarcia pokoju z chrześcijańskim światem, o których autentyczności powątpiewano. Dwa z nich adresowane były do Papieża, dwa inne do Minorytów i do Dominikanów w Saksonii, ostatni zaś do miast hanzetyckich, a mianowicie do wendyjskich, tudzież do kupców. Później, wraz z innemi pismami, odnoszącemi się do tej sprawy, odkryto jeszcze jeden list Gedymina, pisany do miast nadmorskich, a wydawca, Napier-ski, napiętnował to pismo nazwą fałszerstwa, wskazując zarazem, że autorem jego mógł być tylko zakonnik.

Pierwszym listem jest niezawodnie niedatowany list do Papieża Jana XXII, w którym Gedymin uprasza o ratunek od ucisku Krzyżaków, przedstawiając, iż z powodu tego ucisku, nietylko poprzednicy jego Mindowe i Witenes, umarli w pogaństwie, ale nadto sam arcybiskup ryski został przez nich wypędzony z kraju. Donosząc o danej przez siebie na Litwie wolności głoszenia słowa Bożego Franciszkanom i Dominikanom, ofiarowuje Gedymin papieżowi posłuszeństwo i oświadcza chęć przyjęcia wiary, byle w niczem od mistrza Zakonu nie zależeć. W tej formie list jest bez daty; przechował się w kopii, na pergaminie pisanej, niemającej widocznie zakończenia. W odpowiedzi jednak, którą Papież udzielił Gedyminowi na to pismo, przytoczona jest jego treść z brakującym końcem. Prosi w nim Litwin Papieża o przysłanie legatów dla zawarcia pokoju z chrześcijańskimi narodami, tudzież celem regulacji granic. Zdaje się, że list powyższy pisany był w roku 1322.

Drugi list, datowany z Wilna 25 stycznia 1323 r., pisany był do miast: Lubeki, Zundu Bremy, Magdeburga, Kolonii i do innych, aż do Rzymu, z prośbą o przyspieszenie podróży legatów papieskich, gdyby przez terytorya ich zdążyli. Gedymin otwiera przed temi miastami granice swego państwa bez opłaty cła, zwalnia je od płacenia podatków, obiecuje wolności i swobody wszystkim stanom: rycerstwu, mieszczanom i rolnikom, zapraszając ich do osiedlania się na Litwie, a przede wszystkim zaprasza kapłanów i zakonników, dla których wybudował dwa kościoły, w Wilnie i Nowogródku.

Nadto, istnieje jeszcze drugi list do Papieża, o którym na pewno przypuścić można, że w początkach roku 1323 podążył do Awinionu, oraz trzy listy, które mają jedną i tę samą datę: w Wilnie 26 maja



1323 r., a poniekąd i treść zgodną. Dwa listy z ostatniej kategorii adresowane były do Dominikanów i Franciszkanów saksońskich, trzeci zaś do miast nadmorskich, a mianowicie do Lubeki, Rostoku, Zundu, Gryfii, Szczecina i do Gotlandyi. Jakkolwiek tyle tylko listów Gedymina poznano dotychczas, niewypływa stąd jednak, żeby taką liczbę ich w świat rozesłano, — było ich nierównie więcej i rozsyłano podobne pisma do biskupów i do wasalów inflanckich, do miast Infant i Estonii, a nadto do książąt i królów sąsiednich.

Nieautentyczność tych listów opierają historycy na dwóch głównie jej znamionach: naprzód, że zewnętrzna strona listów budzi wielkie wątpliwości co do prawdziwości pism; powtóre, że zaprzeczają jej nie tylko współczesni i późniejsi kronikarze Zakonu, ale takie powagi, jak biskupi, kapituły i zakony pruskie. Nadto istnieje zeznanie samego Gedymina, podane przez kronikarza Zakonu, że ani listów do Papieża i do miast nadmorskich nie pisał, ani też pisać polecał, i że wogóle nigdy nie objawiał chęci przyjęcia chrześcijaństwa.

Niezależnie jednak od tego zeznania istnieją dwa wyraźne świadectwa Gedymina, stwierdzające, że on-to polecił napisać listy do Papieża i do miast. — Nawet wtedy, gdy odwołał, jakoby żądał chrztu, przyznał nawet, komu polecił pisać listy, wymieniając Bertolda i Henryka, Franciszkanów wileńskich, jako pisarzy, użytych przy koncepcowaniu pism. Wyjaśnienie powyższe nie wyklucza jednak współautorstwa Ryżan lub arcybiskupa, o które podejrzewają ich przeciwnicy autentyczności Gedyminowych listów, sądząc, że Gedymin lub Franciszkanie działali w porozumieniu z nimi. Istniejące dwa listy w archiwum miasta Rygi usuwają wszelkie podejrzenia co do współudziału Ryżan, lub arcybiskupa, przy układaniu Gedyminowych listów. Zresztą wobec posłów legackich, przyznają się znani już Franciszkanie do autorstwa listów. I tak ojciec Henryk przyznał, że on-to napisał ów pierwszy list, do Papieża wysłany, podczas gdy ojciec Bertold mówi, że pisał owe drugie listy, przez posła miasta Rygi wysłane.

Sprawozdanie posłów legackich rozstrzyga zarazem i drugie ważne pytanie, dotyczące fałszerstwa ze strony samych-że zakonników. Niema tu mowy o zmyśleniu całej ich treści, ale tylko o częściowej ich mystyfikacyi, gdyż Gedymin obwiniał tych pisarzy na publicznej audyencyi o przekroczenie danej im instrukcyi, przecząc stanowczo, jakoby dawał jakie polecenia co do przyjęcia chrztu i swego nawrócenia... Gedymin objaśnił, że wyznał przed pisarzami, iż chce być synem posłuszeństwa, filius oboedientiae wobec papieża, którego starszeństwo uznaje podobnie, jak i wyższość nad sobą arcybiskupa uznać musi. Wyrazy uszanowania i grzeczności przenieśli zakonnicy niewłaściwie na pole religii. Minoryci jednak, Henryk i Bertold, zeznali, że już od ro-

ku nie byli wołani przed oblicze króla, i że bywał do wielkiej rady powoływany jedynie dominikan Mikołaj; ten zaś stanowczo utrzymywał, że Gedymin myślał naprawdę o chrzcie, i że zapytywany przezeń o radę Mikołaj, podsuwał mu myśl wybrania króla Czech lub Węgier na ojca chrzestnego. Hipotezy też o fałszerstwie listów Gedymina przez zakonników, których stylowi nawet przyganiano, nie wytrzymują poważnej krytyki.

Główne źródło podejrzeń współczesnych, skierowanych przeciw autentyczności listów Gedymina, płynęło z zakonu Krzyżaków. Ale Krzyżacy w sprawie chrztu Gedymina uciekali się do wybiegów i kłamstwa, a nawet do oszczerstwa. Pod koniec roku 1323 rozpoznał już Krzyżacy wieść, że listy Gedymina sfalszowali Ryżanie, że Gedymin nic nie wie o tych pismach. Potwierdził wieść tę sam biskup warmiński, idący w tej mierze zapewne za wolą innych. W postępowaniu Gedymina, publicznie przeczącego temu, co był przed dwoma laty ogłosił światu, niektórzy historycy chcą widzieć dowód jego chwiejności i przენiewierstwa, jego charakter bez czei i sumienia. Tymczasem obaj legaci przed odjazdem, a po publicznem zaprzeczeniu Gedymina, zalecają pobłażliwe względem niego postępowanie, a arcybiskup Fryderyk, rzucając kłatwę na Krzyżaków, obwiniał ich między innymi i o to, że przeszkodzili zamiarom Gedymina.

Gedymin musiał zaniechać zamiarów chrztu, gdyż zamiary po wyższe groziły mu utratą tronu. Rusini zagrozili odstąpieniem od króla i powstaniem przeciwko niemu i jego rodzinie, skoroby zamiar swój spełnił. Żmudzinów zaś pobudzali Krzyżacy, rozdaniem między nich szat i innych prezentów, do powstania przeciwko Gedyminowi. Skutek tego rodzaju zabiegów nie był płonny i Żmudzińi również kilkakrotnie zagrozili królowi powstaniem i zniszczeniem jego rodziny. Ważne fakta i świadectwa społeczne wiarogodnych osób stanowczo dowodzą złej woli Zakonu... Nie mówcie takich pochwał o chrześcianach, wyrzekł Gedymin, zgorzszony postępowaniem Zakonu, a gdzież to większych szukać niegodziwości, krzywd, zbrodni, zdrady i chciwości, jak nie pośród Krzyżaków.

Dr Prochaska konstatuje też, że o Gedymina złej woli i zamiarach nie mamy wyraźnych historycznych świadectw. Nie posiadamy wskazówek wiarogodnych, które-by stwierdzały to, co Krzyżacy rozsiali o nim po świecie, że oszukał papieża i cały świat chrześciański. Autor nie chce przeczyć, że, zamierzając przyjąć chrzest, miał on na widoku korzyści polityczne, nie mniej jednak z postępowania jego nie można wnosić, jakoby pozorami przyjęcia chrztu łudził i oszukiwał głowę chrześciańskiego świata. Chrzest Litwy był przedewszystkiem podwójną klęską dla Zakonu Krzyżaków, a poniekąd tryumfem arcy-

biskupa ryskiego. Przez sprzeczne więc i fałszywe wiadomości o chrzcie, przez zadawanie kłamu, jakoby stawał na przeszkodzie szlachebnemu dziełu, nie tylko bronił się Zakon od zarzutów, lecz zarazem i przeszkadzał w dziele chrztu. Można też przyjąć za prawdę historyczną, że Zakon krzyżacki przeszkodził Gedyminowi spełnić zamiar przyjęcia chrztu i trzeba zgodzić się z wyrokiem bannicy arcybiskupa ryskiego, orzekającym o krzyżakach: regem Litthovie cum suis a fide Christi callide et subdole retraxerunt.

Studyum dra Prochaski, prawdziwości listów Gedymina poświęcone, opracowane zostało z gruntownością i sumiennością. Autor przedstawił dawny spór polemiczny między Narbutem i pruskimi historykami, a wyczerpawszy źródła dziejowe, przekonał czytelnika, że zarzut fałszyfikatów pochodził od interesowanej strony i podyktowany był względami politycznej natury, które przez niektórych historyków XIX stulecia powtórzonemi zostały.

---

*Prochaska*: „Podole lennem korony 1352 1430.“ Kraków, 1895, (Stron. 24).

Czy podole było w XIV w lennem, jest pytaniem, równie nie rozwiązaniem, jak i to, do kogo właściwie ziemia ta należała i pod czym wpływem nastąpiło wyzwolenie jej z pod jarzma tatarskiego. Wszyscy też prawie bez wyjątku historycy, zdaniem autora, piszący w tej kwestyi, uznają mętność i niewiarogodność źródła, z którego pochodzą wątpliwości i zagadki, dotyczące głównie ziemi wołyńskiej i podolskiej, nie mniej jednak wszyscy opierają się na niem, bodaj częściowo. Mowa tu o wiadomości, zawartej w latopisie litewskim, która przypisuje zajęcie Podola Olgierdowi i pobiciu przez niego na Sinej Wodzie trzech braci Tatarów. Jest to wiadomość nieprawdziwa, tendencyjna, a co do Olgierda, wprost śmieszna, a jednak niektóre szczegóły z ustępu „o Podolu” powtarzają i najnowsi badacze.

Na wiadomości, podanej w Latopisie litewskim, tem mniej budować można, że powstała ona w kilkadziesiąt lat po wypadkach, z wyraźną tendencją dowiedzenia, że Podole było lennem litewskim. Tymczasem świadek współczesny, i to tak ważny, jak Janko z Czarnkowa, wie, że na Podolu był księciem Aleksander Koryatowicz, a stosunek tego księcia, równie jak i brata jego, Jerzego, do Kazimierza Wielkiego określa lenną służebnością. Taż sama wiadomość znajduje poparcie w drugim świadectwie współczesnem, dokumentalnem. Jest niem mianowicie traktat książąt litewskich z Kazimierzem Wielkim, w którym po stronie Kazimierza stoją Koryatowicze. Istnieje wresz-

cie świadectwo tego lennictwa i w nadaniu Kazimierza z r. 1368, w którym Alexander Coriathi występuje, jako zasiadający w radzie królewskiej w pośród świadków, panów koronnych, stwierdzających pewną czynność królewską.

Mało pozostało świadectw o stosunku Koryatowicza do następcy Kazimierza Wielkiego na tronie polskim, Ludwika Węgierskiego. Lenniczy jednak związek, zachodzący pomiędzy Koryatowiczami a królem Ludwikiem, wskazuje zapiska współczesnego kronikarza zakonu, Hermana Wartberga, opowiadającego pod 1377 r., że zarówno syn Olgierda, Koryat, jak i Lubart, złożyli hołd i przysięgę królowi w obozie pod Bełzem. Na lenną zawisłość Podola wprost od korony polskiej, nie zaś od węgierskiej, wskazuje wyraźnie jeden ustęp z późniejszej nieco donacji Podola dla Spytka z Melsztyna, pochodzący z 1395 r. Równie istnieją niezbite dowody, że Podole było lennem Króla Kazimierza i następcy jego Ludwika, oraz że żadne węzły nie łączyły Koryatowiczów z Litwą.

Powszechnie uważa się za prawdziwą wiadomość, że w r. 1393 Witold zwyciężył ostatniego Koryatowicza, wyrzucił go z dzielnicy, należącej do Litwy, i sam począł rządzić Podolem. Należy jednakowoż stwierdzić, że jedyny dokument, do którego się zazwyczaj odwołują dla stwierdzenia powyższej wiadomości, jest fałszyfikatem. Nawet data zajęcia Podola, o ile jest kombinacją, polegającą na wiadomości latopisca, nie jest ścisłą. Istnieją bowiem świadectwa w nadaniu Jagiełły dla Dobka z Olewina, dowodzące, że król polski już w roku 1391 zachodnie Podole napowrót przywrócił do Polski, a o współdziale Witolda lub Litwy niema wcale mowy. Nareszcie i brzmienie nadania Spytkowego uległo fałszywemu tłumaczeniu, albowiem o prawach zwierzchnich Litwy względem Spytka nie było wcale mowy w dokumencie. W aryndze dokumentu dobitnie uzasadniono darowiznę zasługami Spytka wobec królów i korony polskiej, i nie może być żadnej wątpliwości, że to nadanie było imieniem korony uczynione, oraz że Spytka z nadanej części Podola stawał się lennikiem korony, której wzamian za obietnicę obrony obowiązany był dotrzymywać wierności.

Po bohaterkim zgonie Spytka pod Worską, źródła spóczesne nie wiedzą o wykupnie Podola z rąk Spytkowej i jej dzieci przez Witolda, a natomiast wykazują, że Jagiełło wykupił tę ziemię, tudzież, że po śmierci Spytka, otrzymał Podole na prawie lennem Świdrygiełło. Z Podola chciał Świdrygiełło uczynić ognisko agitacji przeciwko Witoldowi, na co mamy dowód w związku jego, zawartym w d. 27 lutego 1401 r. z Ziemowitem mazowieckim przeciwko każdemu, z wyjątkiem króla Polski. Po ucieczce Świdrygiełły do Prus, wybuchło na Podolu powstanie. W roku jednak 1402 obległ król Kamieniec i począł go

dobywać, a wówczas dowódzca załogi, starosta miejscowy, poddał się królowi, otrzymawszy od króla wprzód zatwierdzony warunek, że król zamków i ziem podolskich nie odda w dzierżawę żadnemu z książąt, tylko rycerzowi, Polakowi.

Losy Podola po uspokojeniu zaburzeń, wznieconych przez Świdrygiellę w r. 1402, nie są dokładnie znane. To jest jednakowoż pewnikiem, że hipoteza niektórych historyków o powtórnem nadaniu lenna podolskiego Świdrygielle, pod koniec 1403 r., nie da się żadną miarą utrzymać. Prawdą jest, że pod koniec tego roku odwołał Jagiełło księcia z Prus i pogodził się z nim; żeby atoli miał go restytuować na lennie, utraconem skutkiem felonii, na to niema pozytywnych świadectw. W Kamieńcu rezydował starosta z ramienia królewskiego i rządził Podolem, co nie przeszkadzało temu, że Świdrygiello, po utracie lenna, miał na kilku włościach wyznaczone sobie dochody.

W r. roku 1409 zamierzył Jagiełło ustąpić Witoldowi Podole, ale skutecznił swój zamiar dopiero w r. 1411 na zjeździe toruńskim, złożwszy przedtem Piotra Włodkowica Sulimę z godności generalnego starosty. Ale i wówczas ziemianie podolscy przyznali królowi najwyższe zwierzchnictwo nad Podolem, i gdy Witold zażądał od nich złożenia przysięgi, oni wręcz odmówili. Stosunek Podola do Korony objaśnia w końcu i ten ważny szczegół, że ziemianie tameczni otrzymali w r. 1430 sławny przywilej Jędleński, zabezpieczający im swobody szlachty polskiej, z wyjątkiem daniny owsianej.

Ostatecznie więc, zdaniem autora, stosunek Podola do korony od czasów Kazimierza Wielkiego był lennym, polegającym na hołdzie wierności. Korona jednak za pośrednictwem prawa ziemskiego ścięrała z prawa słuźskiego, któremu podlegały wschodnie jej ziemie, piętno niewolnicze, poddańcze, charakteryzujące lenna wschodnie. Nie o zyski z lenników szło koronie; przeciwnie, korona, prócz chleba, t. j. ziemi, nadawanej wasalowi w lenno, daje nadto jeszcze i sól, aby go zachęcić do wierności i do obrony chrześcijaństwa od barbarzyństwa.

Jak widzimy, stosunek Podola do korony został przez autora przedstawiony wyczerpująco. Dr Prochaska przejrzał starannie i krytycznie źródła społeczne, usunął z opowieści bałamactwa poprzednich historyków i obdarzył nas studym, wyświelającym ważny szczegół z przeszłości państwa polskiego.

*Adolf Pleszczyński: „Bojarzy międzyrzeccy.“ Studium etnograficzne. Biblioteka Wisły. Tom XI Warszawa. 1893. Str. 226*

Cała górna część powiatu Radzyńskiego na znacznej przestrzeni nazywa się Międzyrzeczną. W dobie uwłaszczenia w ro-

ku 1864 do dóbr międzyrzeckich należało między innymi i 11-ie wsi bojarских. Mieszkańcy tych wsi do r. 1864 nazywani we wszystkich urzędowych dokumentach bojarami, dotychczas sami i przez sąsiadów tak się tytułujący, stanowią pewną całość etnograficzną, której rozpoznanie stało się przedmiotem studyów autora.

Bojarzy międzyrzeccy, zdaniem p. Pleszczyńskiego, środkują między drobną szlachtą a włościanami. Do szlachty należą oni pochodzeniem i prawem dziedzictwa ziemi, do włościan należą również pochodzeniem, gdyż większość nosi włościańskie nazwiska, ale bardziej poziomem wykształcenia, strojem, obyczajem i mową, wspólnymi z ludem mazowieckim. Z przechowanych na miejscu dokumentów pokazuje się, że w XIV wieku cała przestrzeń, stanowiąca dobra międzyrzeckie, jak wskazuje nadanie z r. 1390 Władysława Jagiełły Abrahamowi Chamcowi, była prawie pustą. Pustki te, niewątpliwie powstałe po ostatecznem wyparciu stąd w r. 1264 przez Bolesława Wstydliwego Jadzwingów, trzeba było na nowo zaludnić. Zajął się tem około r. 1442 trzeci ze znanych dziedziców Międzyrzeczyzny, Jan Nasutowicz, starosta Brzeski. Do zamierzonego celu kroczył on dwojaką drogą: przymusowej i wolnej kolonizacji.

Do pierwszej użyci zostali niewolni włościanie z dóbr litewskich starosty, do drugiej służyła mu wolna szlachta i kmiecie, napływający z sąsiedniego Mazowsza. Niewolni osadnicy mieli uprawiać rolę pańską, czyli robić pańszczyznę, wolni zaś, zwani bojarami, mieli obowiązek w czasie potrzeby stawać zbrojno obok dziedzica. Tego rodzaju urządzenia były u nas na pograniczach powszechnymi. Na podobnem prawie, sąsiedni dziedzice Biały, Illiniecze, osadzili drobną szlachtę we wsi Sokule; tam wszakże nazwa bojarów była nieznaną, a przywilej, nadający ziemię za obowiązek stawania zbrojno na koniu, nazwano prawem pokoniarskiem. Bojar obowiązany był stawić się na własnym koniu, z kuszą (cum balistą) na każdą wyprawę wojenną, gdy sam pan w osobie swej na nią wyjedzie. Za to wzamian dziedzictwo swe posiadać będzie spokojnie, jak równie jego sukcesorowie, i może takowe zamieniać, darować, lub sprzedawać wedle swej korzyści. Również bojar ma osadzać ludzi, t. j. kmieci, o ile to będzie mógł zrobić, dając im prawo niemieckie, które magdeburskiem się zowie. Sam zaś rzeczony szlachcic nie będzie przed nikim odpowiadał (sądownie), tylko przed swoim panem, i to wtedy, kiedy przez pismo osobiście pozwany będzie, a pan go nie inaczej, tylko prawem polskiem sądzić powinien.

Z biegiem czasu stosunek lenny bojarów do swych panów zmienił się musiał. Z nastaniem wojsk regularnych, zamiast dorywczej służby wojskowej, bojarzy zobowiązani zostali do rozmaitych posług dworskich. Tak np., wieś Rzeczyca miała powinność dostarczania po-

słańców konnych do rozwożenia listów dworskich. Inne wsie robiły peryodyczne dostawy zboża dworskiego do spławu na Bugu i na Wiśle. Stosunkowo małe ciężary ściągały na grunta bojarские mnogość wszelkiego rodzaju wolnych ludzi, tak, że wkrótce ziemia, erekcją objęta, nie wystarczała, i każda wieś coraz bardziej wrzynała się w otaczające ją grunta dworskie. Taki stan trwał do r. 1782. W tym czasie ówczesny dziedzic, ks. Adam Czartoryski, polecił, aby każda wieś bojarская płaciła pewne czynsze z gruntów, przewyższających normę 10 włók, erekcją nadanych. Bojarzy energicznie zaopponowali; wyniknął długi rujnujący bojarów proces, ostatecznie zakończony w r. 1824 przyznaniem słuszności dworowi. Wszyscy bojarzy objęci zostali Najwyższym Ukazem z 9 marca 1864 r. i, jak inni włościanie, uwłaszczeni zostali na prawach ogólnych tak, że obecnie z żadnych szczególnych przywilejów nie korzystają.

Tyle się znajduje szczegółów odnośnie do przeszłości prawnej stosunków bojarских w Międzyrzeczyźnie. Ze względu, że autor zamierzył obdarzyć nas studjum etnograficznem, a nie historyczno-prawnem, winniśmy mu być wdzięczni i za tę wiadomość, zwłaszcza, że wskazał nam archiwum międzyrzeckie, w którym uzupełnienie prawnych wiadomości okaże się prawdopodobnie możliwem. Zresztą część etnograficzna została przez autora opracowaną ze szczególną starannością i sumiennością. Autor wniknął we wszystkie tajniki rodzinnego i gospodarskiego życia bojarów. Podał nam ich gwara, zabobony, gusła, kłatwy, medycynę ludową, literaturę ustną ludu, a nawet melodye do pieśni. Bardzo też słusznie postąpiła redakcja „Wisły“, włączając interesujące ze wszech miar studjum o bojarach międzyrzeckich do publikowanej przez siebie Biblioteki.

A. R.

---

„Opowiadania“ pani *Stefanii Żeromskiej*, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. Warszawa, 1895.

Mimo, że nie tylko krytyka, ale i majestat czytającej publiczności odwróciły się pono od nowelli, co, mówiąc nawiasem, w miejsce nieudolnych powiastek nieudolnych namnożyło powieści, — ośmielam się jednak nowel zbiór polecić tym razem i to polecić gorąco czytelnikom „Biblioteki“. A polecenia potrzebują tem bardziej, iż wydane pod skromnym, nie rzucającym się w oczy tytułem „Opowiadań,“ podpisane

nazwiskiem w literaturze naszej nowem, Stefana Żelomskiego, nie jednej ująć-by mogły uwadze.

„Opowiadań“ tych aż 11 w jednym mieści się tomie, z których to i owo kilka zaledwie zajmuje stronic, a przecie, ktoby chciał modnym dziś rzucić na nie kamieniem, temu chyba po przeczytaniu takiego „Zmierzechu,“ lub „Zapomnienia,“ takiego „Cokolwiek się zdarzy...“ lub „Doktora Piotra,“ kamień ten na chleb zmieknie w dłoni; temu bodaj czy trafił do przekonania twierdzenie, jako w sztuce niema rodzajów „mniejszych“ lub „większych“ a jedynie są „złe“ lub „dobre“ utwory, są dzieła „talentu“ i „niendolności“, która to ostatnia wszelaki rodzaj wstrętnym uczynić zdolna.

Ale za to pierwszy zbawia, zawsze i wszędzie, a talentu niepodobna odmówić Żeromskiemu.

Oczywiście nie wszystkie w „Opowiadaniach“ utwory jednakiej są wartości, a nawet w wymienionych przednich czuć pewną „surowiznę“ młodej, zbyt bezwzględnie zrywającej się do lotu, a niedostatecznie na drogę w doświadczenie życiowe i odczucie głębin bytu wyposażonej siły; bije od prac młodego autora pewien zgrzyt zgryźliwej ironii, czysto podmiotowej natury; pewna, że się tak wyrażę, propaganda na rzecz jednostronnego ideału, szkodliwie oddziaływają na artystyczno-literacką stronę utworów pewne niepotrzebne na to i owo tu i owdzie naciski i jakby z umysłu ciężka, miejscami brutalna w rysunku ręka; ale wszystko to niedomagania czasowe, już dziś nawet okupione stokrotnie, widocznem na każdym kroku, poprzez sztuczne chwilami, pesymizm i zgryźliwość, przebijającym się szczerem, serdecznem ukochaniem „swojego,“ głęboko, przepaściście odczuciem.

Usprawiedliwieniem zupełnem a jaskrawem czynionych powyżej zarzutów i przyznawanych autorowi zalet pierwsza zaraz z brzegu nowela: „Zapomnienie“.

Wicek Obala, wybrał się ze świtaniem do lasu dworskiego kraść deski, i gdy cichaczem na wóz ukryty w krzakach czterocalówki znosił, natknął się na dziedzica, co z autorem szkicu i gajowym Lalewiczem, w drodze na kaczki, zaczęli się na złodzieja. Rzekłbyś, temat do rodzajowego obrazka, jak wiele innych, ale oto czeka cię zawód, bo Obala, nie mając ich za co kupić, kradnie deski — *na trumnę* dla zmarłego syna.—I masz propagandę: trumna usprawiedliwieniem kradzieży, pomysł zgoła nie literacki, a co gorzej — banalny; dwie plamy, które w oczach czytelnika zrównoważyć nawet gotowe niepoślednie zalety wykonania.

Bo oto z jaką pewnością ręki i odczuciem położenia, eksponuje sprawę Żeromski: Do chłopa wyskakuje z krzaków Lalewicz:

— Bon dziur Obala...



„Chłop cisnął deski na ziemię, splunął nieznacznie i stoi... Podnieśliśmy się z ziemi — wtedy nas dopiero Obala dojrzał. Ściągnął z głowy magierę, odgarnął garścią włosy z czoła, i kłaniając się nam, palnął w ziemię magierą.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powiada.

— A na wieki, na wieki, mój bracie! — rzekł pan Alfred (dziecie) — Chwalisz ładnie Pana Boga...

„Chłop nic. Patrzy na nas od niechcenia. Czeka“.

I scena jak żywa rysuje nam się w oczach błyskawicznie, dosadnie, kilkunastu zaledwie wyrazami, a z tła swego postać i gajowego, i chłopca uwypukla się jak rzeźba.

Tylko, że krok dalej „psuje” nam wrażenie „propaganda:” Lalewiczowi nie wystarczają morały, jakie dziedzic prawi złodziejowi, on go od siebie „za czuprynę” chwyta i okładać zaczyna; podczas gdy „chłop od czasu do czasu odgarniał go ręką, jak komara, mówiąc spokojnie:

— Odydź Lalewiczu, odydź...”

Ba! rozgrzany widokiem tego „bicia w mordę” jak się autor *wdzięcznie* wyraża, i pan Alfred dorzuca komendę „między oczy”, i nawet sam częstuje Obalę kułakiem, aby następnie sądem jeszcze zagrozić mu w dodatku — sądem, który przecie (a każdy chłop wie o tem) i kułakom „durch” pana Alfreda miałyby coś do zarzucenia, zwłaszcza, że obecny niesmacznej scenie autor nie za dziedzicem-by chyba świadczył.

Mniejsza zresztą o myśl przewodnią „Zapomnienia”, a nawet o dalszy przebieg bajki, rozwijającej się w następstwie niefortunną w pomysłcie wycieczką do zagrody Obali, w celu sprawdzenia na gruncie wymówki z trumną, a zakończonej pesymistycznymi refleksjami autora na widok chłopaków, wykrecających gniazda wronie z pisklętami, ani myśl tu bowiem przewodnia, ani bajka, wartość jaką mają dla literackiego sprawozdawcy, o ile literackiej wartości dzieła nie szkodzą, czem zaś w danym wypadku zaszkodziły — wskazałem. Powiastka ta jednak mieni się czysto artystycznej natury zaletami. Już z przytoczonego urywku oko dostrzeże wprawne, jak tego na nogach stawia autor figury swoje, jak się „brać do rzeczy” umie, a oto krótki opis równie „tęgi” ekwipażu, którym Obala zajechał kraść deski:

„Wóz był mały, z niezmiernie wyschniętymi szprychami w kołach. „Przewodek” z „poślądkiem” połączony był tylko „rozworą”, a na osiach leżały „ryczmany” z wysokimi kłonicami. Po prawej stronie dyszla stała kobyлина, przywiązana do orczyków odwiecznymi postronkami. Były one prawdopodobnie w równym z nią wieku. Chomąto bez „podkładu” wytarło jej szyję z sierści, „obladry” drewniane wytarły boki, stare wędzidło wygryzło wargi. Chomąto zsunęło się jej

z kłębu na uszy, gdyż spuściła łeb i przekrzywiając, a przymrużając z wyrazem nieopisanego pesymizmu oczy, szczypała trawę. Muchy i baki siadały na jej szyi, gryzły ostry, jak piła, grzbiet, ssały pod brzuchem, wlażyły w oczy — nie raczyła ich zegnać; i jeżeli machnęła ogonem, to tak sobie odruchowo, dla zwyczajności.

„Marna skóra wisiała na niej, jak sakpalto na skielecie; zerwane nogi ledwo podtrzymywały ciężar kości; nie zwróciła na nas najmniejszej, nawet przelotnej uwagi, pomimo, że Lalewicz „penetrował“ już koło naszelnika, oglądał postronek, okręcony o kłonicę i pełniący obowiązki lejców. Kazali jej tu stać — to stoi; zdejmą skórę — niech zdejmują...

— Bogaty, psia-kość, moderunek! — mruknął gajowy. — Żeby choć trochę rzemienia... Powrózek na powrózku — dodał z zaiem.

Kto w ten sposób takie opisuje ekwipaże, ten nie tylko patrzeć umie, ale temu przez oczy, które go obserwowały, wyglądało serce.

Co wszakże dominujący ton talentu Żeromskiego stanowi, o czem wie, i czego bodajby nie nadużywał, to niesłychane poczucie natury. Nie pamiętam, aby mnie czyje pejzaże przejmowały kiedy w równym stopniu, tak były we mnie z książki nastrojem, tak doraźne, pełne, wykończone, stawiały przed duszą krajobrazy. Tej poprawności literackiej robotę, tego odczucia prostoty i szczerości, jak młode pręty sokami na wiosnę, talentem przejętą, czemże dokładniej, jeżeli nie cytata oceniał. Na jedną więc oto pozwolę sobie jeszcze:

„Idziemy tedy z panem Alfredem... idziemy twardą ścieżką między zbożami. Zgięte już ku ziemi kłosa okwitłego żyta do twarzy nam niemal dostają, — na każdym z nich wiszą ogromne krople rosy. Z rokoszą przesuwasz rękę po mokrych kłosach i pozwalasz, by cię biły po twarzy. Pachnie zboże...

... „Błado-niebieskie niebo zaczyna wreszcie przeświecać między gałęziami sosen. Zdaje się, że eter przejrzysty napelnia las. Nieruchomo, bezwładnie, jakby pogrążone w znużeniu, leżą w powietrzu zwieszane ku ziemi gałęzie sosen. Kontury ich i kontury grubych, w burych sukmanach pni sosnowych odkreślają się już, a jednak toną w niebieskości, jak ryby w wodzie, plamami są w jednym wielkim kolorze, rozplywają się w tym żywiole, w szarym przedświcie. Dostrzedz już można mgły nad łąkami i pod niezmiernie ostrym kątem padający na nie cień lasu. I odbywa się w oczach zawzięta walka, bój nad boje, cienia ze światłem, odbywa się szybko, niepostrzeżenie, jak uciekanie czasu. Przesuwają się wszystkie fazy napaści, osłabienia, pogromu... Każda ma miarę czasu, ma trwanie, żyje, wysila się, walczy, umiera, a tem straszliwiej, że bez wrzasku, bez odgłosu. Aż wreszcie cień poczyna ustępować. Jest taka minuta przed wschodem słońca, gdy zła-

tuje w głąb krzaków jałowcu i rokicin, przypada na twarz w trawy, chyłkiem idzie między badyłami, rowami i brózdami, zbliża się do lasu, wreszcie na łeb, na szyję doń ucieka, aby tam usiąść pod osłoną sosen, oddychać nocą i patrzeć z wściekłością na bielejące pola. Od tej minuty głośniej krzyczą derkacze, zaczynają wołać przeciągle swoje „kukwyk“ czajki, i, jak chłop pracowity, wstaje śpiewać hymn pracy serdeczny brat roli — skowronek“...

Nie wiem, ile w czasie onej z panem Alfredem wycieczki ubił autor kaczek, świadczyć się jednak powyżej przytoczonymi ustępami, że gdyby nawet ani jednej, trudno o obfitsze w łupy — polowanie!

Rozszerzyłem się tu nad rozbiorem „Zapomnienia”, najpodatniejsze bowiem przedstawiało pole do scharakteryzowania autora w pełni: z wadami jego i zaletami, choć pierwszych daleko mniej w „Zmierzchu” np. lub „Cokolwiek się zdarzy...” — wszędzie zaś, po-za wyłączeniem za nawias zbyt namacalnego niekiedy *parti pris* autorskiego, czy to w treści, czy robocie, spotka się czytelnik z dużym talentem, bo nawet w to z głowy na zimno dobytej „Pokusie”, po „studencku” banalny i niesmaczny dającej nam kontrast modlącego się w kaplicy kłeryka, w zestawieniu z unizgajającym się do dziewuchy parobkiem, pod adresem natury, kilkanaście ślicznych mieści się wierszy.

Cztery stronicze jeno, na których się pomieściło „Po Sedanie”, gdyby odemnie zależało, wyrzuciłbym ze zbioru, bo nic, nic na tych czterech stronicach nie znalazłem.

Na 295 jednak cztery—to niewiele, bodaj mi się więc jak najprędzej z dalszym ciągiem „Opowiadań” spotkać.

W. KARCEWSKI.

---

Zofia Kowerska. „Illuzya“. Nakładem Gebethnera i Wolfa. Warszawa, 1896.

„Tak, pani, jestem ofiarą illuzyi”; — temi słowy rozpoczyna swe opowiadanie bohater p. Kowerskiej, mając na myśli przejrzysty kawałek gazy, który w pamiętną w życiu noc bałową rozłączył go na zawsze z przedmiotem jego uczuć. Ta powiewna tkanina, co, otulając biust kochanego przezeń dziewczęcia, zrodziła w nim podejrzenie, że w młodziutkiem sercu mieszka doświadczenie starej kokietki, stała się w życiu pana Władysława Rownickiego rzeczywiście żalobną krepą po szczęściu, ku któremu nie zdecydował się ręk wyciągnąć. Bądź co bądź, czuł-by się on zapewne szczęśliwym, gdyby mógł wierzyć wła-

snym swym wyrazom, gdyby mógł się ludzić, że szczęście to przesłoniła mu tylko illuzya, — okoliczność wypadkowa, jedna z tych, które tak często kierują biegiem ludzkiego życia. Pan Władysław nie ludzi się wszakże, bo ludzi się nie potrafi, zdaje on sobie dokładnie sprawę, że epizod, który tak zaważył na jego losach, był właściwie tylko ostatniem ogniwem łańcucha, krępującego swobodę i siłę jego ruchów, czuje on dobrze, że jest ofiarą nie illuzyi, lecz raczej braku illuzyi innych, — tych, które ludzie z jego pokolenia znają nieraz zaledwie z nazwiska, a tracą tak często wraz z mlecznemi zębami.

Bohater opowiadania p. Kowerskiej jest przecywilizowanem dzieckiem swego wieku, okazem, który wypadło-by postawić w szeregu typów chorobliwych, gdyby nie zacierała się dzisiaj tak często granica między chorobą a zdrowiem. Sceptycyzm, podejrzliwość, obawa życia, nieubłagana mania krytyki i drobiazgowej analizy, wybitna przewaga sfery wrażeń nad sferą uczuć i czynu, wszystko to wsparte sporym zasobem umiejętności eksploatowanego doświadczenia — oto główne kontury fizyognomii moralnej p. Rownickiego. Nie jest to charakter opracowany wszechstronnie i dokładnie; nie, bo autorka rzuciła jakby od niechcenia zaledwie parę rysów, z których nie trudno wszakże odtworzyć całość. Jest jakiś spokojny tragizm w tej postaci, w tej walce zaciętej między pragnieniem szczęścia, a brakiem wiary w jego istnienie. Ofiarą pada, jak zwykle, szczęście samo. Biedne szczęście — pocięto je na kawałki drobne, drobnutkie, by mógł się dokładnie przyjrzeć kosztem całości każdemu jego skrawkowi; probowano je następnie złożyć, złączyć w kształt jaki taki, jednolity i spójny, i probowano nadaremnie, czy to dla tego, że któryś ze skrawków nie dał się dopasować, czy dla tego, że z całości uleciała dusza.

W taki mniej więcej sposób obszedł się ze swem szczęściem pan Władysław Rownicki; młodości jego nie znamy, a przynajmniej znamy ją niedokładnie, autorka bowiem ukazuje czytelnikom swego bohatera jako mężczyznę już trzydziestoletniego; należy jednak wnioskować, iż młodości swej na darmo on nie strawił; ścieżkę swego życia przebywał z namysłem, uważnie, badając dokładnie i szczegółowo każdą rozpadlinę gruntu, każdy ostry kamień, o który można okaleczyć nogę. Poznał wreszcie tę drogę tak dokładnie, że zbrakło mu odwagi do posuwania się dalej; na szlak, który przed nim jeszcze leżał i ginął w mgłę przyszłości, patrzył z nienfrością, niechęcią, niedowierzaniem, z głębokiem przeświadczeniem, że nawet kwiaty przydrożne, te piękne kwiaty, kąpią się korzeniami w bagnie; zna je przecież tak dobrze. Zna również i legendy krążące po świecie, że na tej samej drodze, którą on kroczy się boi, odkrywano gdzieś, kiedyś mniej lub więcej zaczarowane krainy, lecz od czegoż trzeźwość, która legendzie i rzeczywistości właści-

we granice wyznaczyć potrafi, trzeźwość, oparta na subtelnej analizie, obfitych wynikach doświadczenia. A jednak, gdyby mógł, oddał-by ten pan Rownicki całą swą z takim trudem zdobytą skarbnicę za jeden strzyp illuzyi, coby mu pozwolił przyćmić choć na chwilę ten blask, jak zimowe słońce rażący, zimny i jaskrawy, który mu tak niemiłosiernie rozwidnia i rozświeca widnokraż jego egzystencji.

Spotykamy się tu ze zjawiskiem, które mogło-by się wydać niezwykłym, gdyby nas z niem nie otrzaskała obserwacya: mamy przed sobą człowieka, lękającego się żyć, bo zanadto jest do życia przygotowany, za bardzo je rozumie. Teoretycznie rzecz biorąc, każde pojedyncze rozumowanie bohatera „Illuzyi”, piętrzące przeszkody na drodze urzeczywistnienia jego zamiarów, może być uzasadnione logicznie; logicznem jest tu życie samo, potrzebujące złudzeń do podniecenia odwagi. Żołnierz, który-by skrupulatnie obliczył szanse każdej kuli, nie poszedł-by napewno w ogień. Czy pan Rownicki tego nie rozumie? Przeciwnie, nie byłby synem swej epoki, gdyby nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze wszystkiego, co się dzieje w nim i dokoła niego, jak nie byłby również synem swej epoki, gdyby potrafił zwalczyć stan, nad którym cierpi dotkliwie.

W życiu ubiegłym Rownickiego autorka ukazuje właściwie jeden tylko moment, który wpłynął na chorobliwe ugrupowanie pierwiastków jego *ja* — jakaś szczęśliwa czy nieszczęśliwa miłość, która go zdusiła, zniweczyła, zjadła i nauczyła zdaje się wiele, zbyt wiele. Moment ten wszakże odegrał tu zepewne rolę epizodyczną tylko, cierpienie bohatera zdaje się sięgać głębiej, gdzieś aż do wspólnego źródła powszechnego zwątpienia, do pesymizmu, zmęczonych nerwów i bezsilnych wlotów. Bądź co bądź, w życiu jego zaszła widocznie jakaś chwila przełomowa, pod której wpływem bezwładnie opadły jego wyciągnięte jeszcze naprzód ręce. Doszedł on do wniosku, że bilans życia należy wreszcie podkreślić i zamknąć ożenieniem, że czas już stworzyć sobie atmosferę zaciszną i spokojną, spokojną przede wszystkim; w tym celu począł szukać kobiety, która-by mu była sprzętem raczej dogodnym i miłym, niż źródłem wrażeń. Poszukiwania te pozostały oczywiście bezowocne, przy wprawie bowiem, jaką posiadał pan Rownicki, nie trudno mu było w każdej z przypuszczalnych kandydatek dopatrzeć jakiejś skazy, domyślić się jej wreszcie, lub przewidzieć na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa; i gdyby nie opatrnościowa ciotka Ludwika, która, zręcznym manewrem kobiecej dyplomacyi, podsuwa nieznacznie dziewczynę, co go chwyciła za serce...

Ale mniejsza o szczegóły tej miłosnej historii; romans to, zwyczajnie, jak romans, bezpretensjonalny przytem, prosty, uczciwy i sympatyczny; niewiele w nim treści, — trochę poezyi, trochę uczucia, oto

wszystko, jeżeli nie brać pod uwagę jego tła psychologicznego. W szeregu luźnych, niepowiązanych z sobą ściśle scen, autorka akcentuje tylko wydatne punkta akcji, szkicując je zgrabnie, z pewnym jakby niedbałym wdziękiem; sytuacje nie naciągnięte ani przeciągnięte, wypływają łatwo i swobodnie jedna z drugiej, a w całości dużo jest lekkości, sporo siły i artystycznego opracowania szczegółów. Przeprowadzeniu nastroju głównego bohatera dała-by się może tu i owdzie zarzucić pewna monotonność, która mieści się wprawdzie w granicach rzeczywistości, *à la longue* jednak nuży cokolwiek czytelnika; poza tem wszakże postać to pomyślana głęboko, a wykonana z subtelną precyzją, przenikającą umiejętnie do zawiłych kryjówek tej skomplikowanej duszy. Inne postacie, a zwłaszcza ciotka Ludwika i jej protegowana, rysują się również żywo i plastycznie; ciotka posiada sporo charakterystycznego zacięcia, a od panny Zosi rzeczywiście wieje świeżość i wdzięk. Czasem, czasem chciało-by się spierać z autorką o skalę naiwności tego ośmnastoletniego dziewczęcia, która pobudza niekiedy czytelnika do solidaryzowania się z podejrzliwością p. Władysława; może to wszakże jest tylko dowodem, jak szeroko rozlała się po świecie fala sceptycyzmu, którem u p. Kowerska poświęciła ostatni swój utwór.

Słówek jeszcze o kulminacyjnej scenie opowiadania, nadającej tytuł książce, scena ta bowiem zanadto uwydatnia głównego bohatera, by można było pominąć ją milczeniem. Ciotka Ludwika wydawała bal, na którym pan Rownicki postanowił wreszcie oświadczyć się o rękę istoty, mącej mu sen i spokój; ujrzał ją wchodzącą do salonu, prześliczną, uroczą, w wyciętej sukience, z obłokiem illuzji, narzuconym na szyję i ramiona. Oczy jego zatrzymały się przedewszystkiem na tych zwojach tiulu, dostarczających obfitość żeru jego manii podejrzliwej krytyki. Abecadło kokieteryi znał przecież o tyle, by umieć wytlómaczyć sobie zarówno obecność obsłony, jak i jej przejrzystość; panna była kokietką, bo inaczej „po co ten stanik, któremu brakowało dwa cale wkóło, i te zwoje illuzji, udające, że braki zastąpić są w stanie”? Po co? Odpowiada na to sama pani Zofia, w lat kilka po ślubie z innym, który, odważniejszy od współzawodnika, nie zapuszczając się w krytyczny rozbiór roli illuzji, wziął to, co kryło się pod nią. — pojętą powłokę i dobre, zacne serce — no i nie zawiódł się na tem. „Wie pan jak to było? Wszystkie pieniądze, jakie mi matka dała na strój balowy, wydane zostały na suknię. Podejrzewam nawet, że pani Ludwika coś dodać musiała. Potem, gdy przyjechała matka, kupiła mi te parę łokci illuzji przez oszczędność. To była najtańsza z okrywek. Odrazu mi się nie podobała i prosiłam o inną, ale na inną nie było pieniędzy. Stanik zbyt wycięty był pomysłem pani Ludwiki. Po-

nieważ przy przymierzaniu nakazałam surowo szwaczce, by stanik dobrze zakrywał ramiona, więc pani Ludwika w sekrecie wyciąć go kazała na godzinę przed balem. Ten stanik to była moja rozpacz przez cały czas balu". Jakie to proste — zbyt proste widocznie, by mogło przyjść do głowy przedstawicielowi tego pokolenia, które tak starannie uczono myśleć, analizować swe myśli i sprawdzać analizy, że zapomniało prawie czuć, a przynajmniej czuć swobodnie, słonecznie, jak dawniej podobno bywało.

Na wyróżnienie zasługuje również i zewnętrzna szata „Illuzji”, wydanej z widoczną starannością i dbałością o estetyczny wygląd książki. Zdobią ją ładne rysunekki p. E. Lindemanna, które byłyby zapewne jeszcze ładniejsze, gdyby autor ich chciał wniknąć głębiej w treść i ducha utworu.

---

M. P.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Koniec roku 1895 zamąciły dwa poważne zatargi międzynarodowe, jeden: między Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej i Anglią, drugi między Niemcami i Anglią.

Do pierwszego dały powód spory graniczne Anglii z Venezuelą, która przylega do Guyany angielskiej. Na pograniczu są terytorya, które Anglia zgadza się uważać za sporne; ale są i takie, które ze sporu wyłącza i za bezwarunkową własność swoją uznaje, pomimo pretensyi Wenezuelanów. Ci ostatni udawali się do rządu Unii z prośbą o pośrednictwo, i prezydent Stanów Zjednoczonych proponował Anglii sąd polubowny; na to jednak ona przystać nie chciała. Wówczas p. Cleveland wystosował do kongresu orędzie, w którem, opierając się na doktrynie Monroego, ogłasza rząd Stanów za naturalnego sędziego w tej sprawie, zapowiada utworzenie specjalnej komisji amerykańskiej, która zjedzie na miejsce sporu i rozstrzygnie go, zaś, gdyby Anglia nie poddała się wyrokowi, Stany Zjednoczone nie cofną się przed wojną.

Ta niespodziewana groźba wojny Stanów Zjednoczonych z Anglią, o szmat piasków na pograniczu Guyany i Wenezueli, sprawiła ogromne wrażenie na obu półkulach ziemi. Stara Europa zwłaszcza, która boi się wojny i tak jej starannie unika, nie mogła się dość nadziwić orędziu prezydenta Clevelanda. Niebawem wszakże spostrzeżono, że te pogróżki amerykańskie nie były poważne. Amerykanie wojny nie chcieli, ani Cleveland nie miał zamiaru rozbudzać w nich tego pragnie-



nia. Cleveland prosto zamierzył skorzystać z kłopotów Anglii na Wschodzie. Po niepowodzeniach w sprawie chińsko-japońskiej i w sprawie reform Armeńskich, Anglia całą swą uwagę musi skupiać na tych dwóch scenach działania i czuwać, aby jej tam nowe i dotkliwsze jeszcze nie spotkały porażki. Cleveland osądził, że chwila jest stosowną do wystąpienia z wygórowanymi pretensjami, co do stanowiska politycznego Unii, bo Anglia nie będzie miała sił do energicznego przeciwdziałania tym pretensjom. I nie zawiódł się w tem. Przerachował się jednak w czem innym. W danym razie, Anglia nie potrzebowała występować zaczepnie, żeby zaszachować Clevelanda. Wystarczył do tego opór bierny. Rząd angielski, pomimo awanturczego orędzia, nie zgadza się, ani na zawarty w niem wykład doktryny Monroego, ani na komisyję amerykańską do sprostowania granicy. Stany Zjednoczone, chcąc działać konsekwentnie, powinny-by wprowadzić ową komisyję na grunt *manu militari*, czyli rozpocząć wojnę. Ale co innego jest pogrozić wojną, a rozpocząć ją naprawdę. Do tego nikt w Ameryce nie miał ochoty, nawet sam autor zaczepnego orędzia. To też, chociaż kongres uchwalił pieniądze na uzbrojenia i zamianował komisyję graniczną, stało się to dla formy raczej, niż z potrzeby. Ani te pieniądze, ani komisyja, nie znajdują właściwego przeznaczenia. Pierwsze będą leżały w kasie, albo mogą być użyte na uzbrojenia, co, jak wiadomo, nie stwarza bynajmniej niebezpieczeństwa wojny; druga ma być wysłana nie do Guyany angielskiej, ale do Madrytu, dla badania po archiwach starych dokumentów, dotyczących sporu Anglii z Venezuellą.

Tym sposobem, obawa wojny znikła; ale zostało jednak w Europie wrażenie, iż Anglię potraktowano bardzo grubiańsko, ona zaś zniosła to bardzo pokornie. Zaczęły się po dziennikach rozprawy o upadku potęgi angielskiej, które bolały i martwiły Anglików, tem mocniej, im lepiej rozumieli, że na tak wyzywającą zaczepkę mocarstwo, pewne swej siły, odpowiedzieć powinno inaczej, niż obojętnem wzruszeniem ramion. Jeśli Anglia poprzestała na obojętności, to chyba dla tego, że istotnie ma do rozwiązywania więcej zadań, niż sił po tem. Jak to odkrycie odbije się na przyszłych wypadkach, czy nie będzie miało dla Anglii złych następstw, i czy nie wywoła w innych państwach chęci naśladowania prezydenta Clevelanda w użyciu względem Anglii szorstkiego, lub lekceważącego tonu?

Tak rozmyślając, Anglicy, nie długo czekali na odpowiedź. Dał im ją cesarz Wilhelm. Z okazji zaburzeń rewolucyjnych w Transwaalu, wystosował on do prezydenta rzeczypospolitej transwaalskiej depeszę, którą Anglicy zrozumieli w ten sposób, że cesarz zagraża prawom naczelniczemu Anglii do Transwaalu, określonym przez konwencyę

londyńską z roku 1884. Oburzenie było tem większe, że nieprzyjemny zatarg z Ameryką przygotował do niego grunt. Urażona duma angielska zbudziła się. Cała Anglia zawrzała nienawiścią do Niemiec i pogroźkami pod ich adresem, a jednocześnie rząd jak najpoważniej zaczął myśleć o obronie praw państwa, choćby z orężem w ręku. Znowu zaczęto mówić o wojnie, na szczęście i tym razem nie na długo. Niemcy nie chcą wojny z Anglią: nie chcą nawet obalenia konwencji londyńskiej, która nadaje Anglii prawo kontrolowania stosunków zagranicznych Transwaalu. Co innego miały one na myśli, mianowicie, politykę ogólną Anglii. Oddawna rząd rzeszy starał się wciągnąć Anglię do bliższego porozumienia z trójprzymierzem, i pomimo wielkich wysiłków, nie udawało mu się to. Ponieważ niepomagały żadne argumenta, rząd niemiecki, który zapewne nie wyrzekł się starego zamiaru, postanowił dać Anglii lekcję praktyczną poglądową niebezpieczeństwa dla niej samej tej polityki, jaką prowadzi. Wobec Japonii przyłączyły się Niemcy do Francji i Rosji, przeciwko Anglii; w Konstantynopolu stały również Niemcy po stronie zasady wspólnego działania które miało paraliżować osobną politykę Anglii. Teraz w Transwaalu, znowu opinia publiczna w Rosji i we Francji przyjęła z uznaniem postępek Niemiec, i Anglia ujrzała się nietylko odosobnioną, — była nią mniej więcej zawsze z własnej woli — ale zagrożoną przez wszystkie naraz te państwa, których antagonizmy pragnęła wyzyskiwać. Dwa wielkie obozy europejskie miały się wzajemnie paraliżować, zaś Anglia, przechylaniem się bądź na jedną, bądź na drugą stronę, miała zapewniać przewagę i osiągać za to różne korzyści, oprócz tej stałej korzyści, że była-by niejako rozjemczynią dwóch ścierających się potęg i ostatecznym arbitrem w sporach między nimi, o którego poparcie ubiegali-by się i jedni, i drudzy.

Od tak pięknego marzenia przejście do rzeczywistości było smutne. Ci, których Anglia chciała wodzić na pasku, potrafili się połączyć zgodnie przeciwko niej. Sławiona przebiegłość angielska, tym razem, zawiodła. Wynikało to tak jasno z zaczepki niemieckiej o Transwaal, że pierwszą myślą Anglików po depeszy cesarskiej do Krügera było, że należy jednak wzmocnić swoją słabość przez jakieś związki przymierzowe. Pod wrażeniem gniewu na Niemcy, zdawało się Anglikom, że powinni szukać przymierzy przeciwko Niemcom, i w obozie wrogim Niemcom. Ale to, zdaniem naszym, jest szczegół bez znaczenia. Doniosłość posiada jedynie fakt, że Anglików jednak opanowało uczucie niemocy w odosobnieniu, po którym spodziewali się zupełnie czego innego. Z tego punktu widzenia, jeśli Niemcy chciały dać Anglii lekcję o wyższości polityki stałych związków przymierzowych nad polityką handlowania wpływami w odosobnieniu, to im się najzupełniej

powiodło. Jest wątpliwem, czy się Anglicy będą odtąd upierali nadal przy polityce odosonienia, którą dotychczas uważali za fundament swej mądrości. Ten fundament zawiódł i trzeba się postarać o inny pod groźbą coraz większych niepowodzeń i coraz większego upadku międzynarodowego znaczenia Anglii.

Do kogo się Anglia zbliży, wszedłszy raz na tę nową drogę, to już jest kwestya osobna. Nic tu dziś jeszcze pewnego powiedzieć nie można, chyba to jedno, że rząd angielski, jeśli zacznie szukać sprzymierzeńców, nie będzie się przytem powodował ani przelotnymi urazami, ani wspomnieniem chwilowych zatargów, ale zasadniczem pojęciem zgodności lub przeciwieństwa interesów politycznych. Po niejakiem czasie i namiętności ludowe uspokoją się do tego stopnia, że znowu Niemcy będą mogły przypomnieć się ze swoją ofertą stałej przyjaźni. Czy ją Anglia jeszcze raz odrzuci, jeśli ją odbierze?

Zanim-by to uczyniła, musi się bardzo poważnie zastanowić nad następstwami takiego postanowienia.

---

Na przełomie każdej setnej cząstki wieku, mimowoli przychodzi na myśl rachunek doroczny życia duchowego i materyalnego. Grzebiemy się z mozołem w szpargałach naszych trosk codziennych, w całych szeregach niedomagań stałych i ciężkich, wreszcie w kronikach i kroniczkach czynu. Doroczny potok naszego życia przepłynął dość wązkim łożyskiem, uniósł trochę żółci, westchnień, pobożnych życzeń, wielkich i małych nadziei, nieco kamyków obrazy, używanych pospolicie w szermierce jałowej, — trochę żwiru, skrzypiącego przechwałką, reklamą i wreszcie całą ławicę piasku, w postaci projektów, w których najcięższa stopa grzęźnie, a nigdy nie wycisnie śladu. Łóżysko pozostało suche dla nowego potoku; tylko tu i owdzie, po brzegach, uczepliły się drobne czyny, które, albo się rozrosną w pnie szerokie i konary, albo pozostaną wiecznie skarłate. Uczepliło się także trochę projektów, zatwierdzonych, uchwalonych, albo uświęconych przez pewne grupy społeczeństwa.

Do najważniejszych zaliczyć trzeba opracowaną już ustawę Towarzystwa chmielarskiego, mającego wszelkie widoki urzeczywistnienia. Jak wiadomo, nasze chmielarstwo nietylko chroma, ale, poprostu, ślania się, osłabione brakiem odpowiedniej organizacji ekonomicznej i uderzeniami współzawodnictwa zagranicznego. Wytwórcy, przyciśnięci niepowodzeniem stałem, zdecydowali się nareszcie na zbiorowe przeciwdziałanie; stworzyli własną delegację (zwykły po

część każdego dzieła u nas), która, trzeba przyznać, zajęła się sprawą energicznie. Przedewszystkiem zawiązała stosunki bezpośrednie z głównym rynkiem, Norymbergą, wysłała tam swego przedstawiciela i osiągnęła na początek niezłe wyniki; sprzedano bowiem sporą ilość towaru po dobrych cenach i wreszcie stwierdzono ten niezbity pewnik, który bez doświadczenia można było przyjąć na wiarę: że produkt, starannie przyrządzony, w przednim gatunku, zawsze znajdzie powodzenie na rynkach obcych. Należy wszakże pamiętać jeszcze o jednym, niezmiernie ważnym warunku: że każde poważne ognisko handlu wymaga, ażeby towar danej dobroci był stale dostarczany w oznaczonych ilościach, bo jeżeli np. chmielarze nasi dowiozą jednego roku do Norymbergi 90 wańtuchów, a drugiego tylko 20, to chociażby ten towar był cudownie piękny, nie będzie już nadal poszukiwany, gdyż przedsiębiorca zagraniczny musi liczyć zawsze na pewną ilość. Jeżeli jej nie dostanie np. od nas — zawiąże stałe stosunki z kim innym.

Rzecz prosta, że w warunkach obecnych nie możemy dać dużo towaru „cudownie pięknego”, bo brak nam odpowiedniej organizacji wytwórczo-handlowej, brak urządzeń technicznych, suszarni, składów i t. d. Nie zwrócono jednak na to uwagi, lecz przedewszystkiem dostreżono wysokie cło, pobierane na granicy niemieckiej i jego siłę dziesięcioletnią, podtrzymaną traktatem handlowym. Rajcowie nasi przyszli więc do przekonania, że jedynym środkiem zbawiennym może być wyjednanie zwrotu cła i — syndykat. Pierwszy wszakże pomysł był niemożliwym do urzeczywistnienia, drugi w swych podstawach nie ogarniał wszystkich potrzeb i nie odpowiadał warunkom istotnym. Syndykaty wprawdzie są formą ekonomiczną, która w przyszłości może mieć wielką siłę, gdy się rozleje po wszystkich kulturalnych obszarach świata. Dziś one także w wyjątkowych warunkach skupiają kapitał i moc wytwórczą. Chmielarze nasi jednak do takiej organizacji szerokiej są jeszcze za słabi; mieli więc na myśli nie syndykat, lecz właściwie syndykatik, takie sobie domowe podanie rąk, które łatwo mogło-by rozerwać pierwsze lepsze uderzenie „konjunktur“ wymiany. Bardzo zatem szczęśliwie się stało, że użyli oni pośrednictwa Towarzystwa przemysłowo-handlowego, które zażądało przysłania rzeczoznawcy z wyższych sfer administracyjnych, dla wyłuszczenia przed nim najpilniejszych spraw i przedsięwzięcia tym sposobem skutecznych zabiegów. Delegat przybył, wysłuchał — i pozostawił, zamiast czynu, jedną tylko myśl, którą rozsnuli pp.: Adolf Suligowski i Julian Wieniawski, pod postacią szczegółowo opracowanej ustawy Towarzystwa akcyjnego chmielarzy w Królestwie Polskiem.

Nie mamy zamiaru streszczać tych przepisów, lecz tylko zaznaczyć kilka punktów, które mogą wpłynąć na zmianę warunków ekonomicznych. Celem nowej organizacji jest podniesienie kultury chmielu, uprawa, kupno i sprzedaż, pośrednictwo w handlu, tudzież udzielanie kredytu wytwórcom i nabywcom. Dla uskutecznienia tego, Towarzystwo będzie rozpowszechniać najcenniejsze gatunki produktów, wpływać na udoskonalenie uprawy, zbiorów, suszenia i t. d. Będzie się starało osiągnąć to przez urządzenie wzorowych chmielniczków, szerzenie danych o uprawie, cenach, tworzenie wystaw wszelkich przedmiotów, dotyczących chmielarstwa. Uczestniczy samo w wystawach Cesarstwa i zagranicą, wszystkim eksponentom ułatwia udział, daje nagrody, zakłada szkoły, kursy, kupuje na własny rachunek i bierze w komis chmiel produkcji miejscowej, sortuje towar przyjęty, miesza go, t. j. zaciera indywidualność hodowli, przysposabia, gatunkuje partjami, stosownie do potrzeb browarów; zbywa w Cesarstwie i za granicą, pośredniczy w wyjednywaniu pożyczek z banku państwa, w kupnie i dostawie maszyn, narzędzi, nawozów sztucznych, ubezpieczaniu chmielu od gradobicia, na towar, przyjęty w komis, daje zaliczki. Po-za tem, ma prawo we wszystkich miejscowościach państwa nabywać, dzierżawić, urządzać różne zakłady przemysłowe, budowle i t. d.

Taka jest zasadnicza działalność przyszłego Towarzystwa. Od warunków i sposobów organizacji również zależy jego powodzenie, więc i tu parę słów dorzucić trzeba. Kapitał zakładowy wyniesie 150,000 rs., rozdzielonych na 300 akcji po 500 rs. Członkowie mogą wносить tylko część, t. j. po 300 rs., resztę zaś spłacić sanym towarem. Przy takim ułatwieniu — organizacja przyjdzie prędzej do skutku.

Uważny spozrzegacz zjawisk społecznych i ekonomicznych może z góry obliczyć wyniki działalności towarzystwa z powyższym programem. Chmielarstwo zdobędzie przedewszystkiem to, bez czego nie może się rozwijać i wzmacniać: uświadomienie. Wytwórcy nasi, dzięki istnieniu ogniska spraw swoich, będą mogli w każdej chwili wiedzieć o stanie rynków wszechświatowych i produkcji, o wszelkich najmniejszych wahaniach: będą zawczasu przewidywać potrzeby i żądania odbiorców, wreszcie w każdej chwili wiedzieć o stanie produkcji krajowej i stron sąsiednich — i stosownie do tego, postarają się własną wytwórczość normować. Ale dla osiągnięcia możliwie najlepszych rezultatów, przyszła instytucja powinna być *żywą*, t. j. nie ślepa wykonawczynią paragrafów swojej ustawy, lecz wyrazicielką wszelkich potrzeb, jedyną pośredniczką między wytwórcą a rynkiem. Słowem — w każdej chwili powinna odczuwać najłżejsze tętno tej gałęzi

przemysłu, być reprezentantką i poręczycielką jego w całym znaczeniu. Tą tylko drogą wyrobi sobie uznanie i tak zwaną solidność.

Rynki obce chętnie zawiążą z nią stałe stosunki, bo będą wiedziały, że tu mają do czynienia nie z jakąś przygodną garstką plantatorów, którzy jednego roku mogą dostarczyć, drugiego nie dostarczyć żądanej ilości chmielu, jednego roku dać dobry towar, drugiego — pomimo najszczerzej chęci i usiłowań — lichotę. Gdy tymczasem Towarzystwo, znosząc imiennosc towaru, jednocześnie nada mu stałe, jednolite cechy, bo zakupując lub biorąc w komis chmiel z różnych stron kraju, rozporządzając odpowiednią sortownią i suszarnią, potrafi pewnym partyom nadać stałe cechy, z góry zapewnić swych odbiorców, że otrzymają tyle a tyle towaru, tego lub innego gatunku. Należy jeszcze i o tem pamiętać, że obcy współzawodnicy nie wahają się dawać browarom produktu na kredyt, nawet kilkomiesięczny i, dzięki takim warunkom, wciskają się wszędzie. Otóż nasze Towarzystwo powinno także rozszerzyć operacje kredytowe różnorodne, t. j. nie tylko w razie potrzeby poczekać parę miesięcy na uiszczenie należności, lecz dla samego rozwoju produkcji i podniesienia jej sprawności wyjednywać hodowcom zasiłki z banku państwa. Niech jeszcze uwzględni stronę teoretyczną i doświadczalną, niech dopomaga naszym plantatorom do natychmiastowego pochwytywania wszelkich udoskonaleń, zdobytych gdzieindziej doświadczeniem lub techniką, a wtedy to ognisko chmielarstwa będzie istotnie pożytecznem, bo da produkcji silne podstawy.

Zdawało się, według powszechnego mniemania, że na mocnym gruncie stoi cukrownictwo; tymczasem jego własny rozrost nadmierny osłabił olbrzyma i na schyłku roku wywołał wielce znamienity fakt reglamentacji państwowej. Przyspieszył tę ostateczność nadzwyczajny spadek cen na rynku najważniejszym — w Londynie, do czego również przyczyniło się wytwarzanie nad potrzebę w innych państwach. Szczegółowe dane, nagromadzone drogą prywatną i przez ministerium, wykazały, że wywóz za granicę w obecnej chwili przynosi stratę, która wielu wytwórców powstrzymała od eksportu. Jeżeli zaś on ustanie całkowicie, to zapchanie rynków wewnętrznych, pozornie pożądane dla spożywców, może wywołać groźne przesilenie, co, oczywiście, odbiło-by się fatalnie nie tylko na interesach tej gałęzi przemysłu, ale także rolnictwa, a wreszcie tych samych spożywców, gdyż masowe zamknięcie wielu fabryk przyczyniło-by się do znacznego zmniejszenia plantacji buraków, tudzież, przy nadzwyczajnem ograniczeniu produkcji, podskoczyły-by ceny cukru. Wreszcie skarb państwa, czerpiący dziś z poboru akcyzowego od cukrownictwa 40 milionów rubli, również odczuł-by stratę.

Z tych wszystkich względów, ministeryum skarbu postanowiło wziąć we własne ręce uregulowanie spraw tej ważnej gałęzi przemysłu. Jakoż w grudniu zatwierdzono uchwałę, która już podczas tegorocznej kampanii wchodzi w życie. Wszelkie czasowe i stałe cła, zwrotne i bezzwrotne, uznano za niewłaściwe, gdyż środki takie nie zwalczą współzawodników obcych, podtrzymają nie podstawy produkcji, lecz jedynie nieuormalny jej rozwój, przy tem skorzystali by spożywcy zagraniczni, gdy wewnątrz państwa musieli by płacić drożej. Otóż ministeryum postanowiło uregulować wytwórczość w stosunku do rynków wewnętrznych. Mianowicie: rząd stanie w obronie rynków krajowych przed nadmiernym napływem towaru i w ogóle będzie przeciwdziałał nadprodukcji. Jednocześnie zaś ma czuwać nad tem, aby spożywcy nie doznali braku cukru i nie byli zmuszeni płacić drogo. Praktyka dowiodła, że nawet przy nadmiernej wytwórczości, brak taki jest możliwy. W r. 1892/3, z powodu niepomyślnego urodzaju buraków i zbyt wielkiego przedtem wywozu cukru, ceny urosły do tego stopnia, że rząd musiał sprowadzić z zagranicy pewną ilość mączki.

Środki zaradcze, już zatwierdzone, dadzą się streścić w trzech punktach: 1) coroczne określanie ilości cukru dla rynków wewnętrznych; 2) opodatkowanie produktu, wytworzonego nad ustanowioną normę, niezależnie od istniejącej już akcyzy; 3) utworzenie w składach fabrycznych „zapasu nietykalnego“, dla wypuszczenia go na rynki wewnętrzne tylko w razie wzrostu cen ponad skalę ustanowioną. Poza tem, państwo ma na względzie także i wywóz za granicę, w przewidywaniu polepszenia się z czasem cen na rynku londyńskim, a więc i dążności wielkich cukrowni do rozszerzenia produkcji. Wszystkie partye, idące za granicę, mogą być wolne od akcyzy i poboru dodatkowego, aby tym sposobem znowu cukrownie nie były narażone na straty przy konkurencyi obcokrajowców i drogiej dostawie. Ale trzeba przytem przewidywać nagłe niżki cen. Gdyby rząd, bez względu na to, w powyższy sposób popierał wywóz, rozpedzona produkcya nie dała-by się wstrzymać w biegu i musiała-by się ostatecznie rozbić, z gorszemi następstwami, niż przyniosło obecne przesilenie. Dla zapobieżenia temu, ministrowi skarbu dano prawo, przy porozumieniu z komitetem, uwalniać cukier wywożony od podatku tylko w części, a nawet cofnąć zupełnie wszelkie ulgi, w razie, jeżeli na rynku międzynarodowym zapanują ceny, mogące wywołać wzrost nadprodukcji.

Reglamentacya państwowa wchodzi w czyn na okres trzyletni—sposobem próby. Sam fakt zastosowania tych środków jest nadzwyczaj charakterystyczny i doniosły, a owa ostrożność, zastrzegająca tylko próbę, świadczy wymownie o przeczności ekonomii—że tak powiem—

administracyjnej. starającej się wejrzeć w to, co dał rozpęd życia wytwórczego w praktyce. Logicznie i teoretycznie plan przyszłych warunków łatwo, mniej więcej w wiernym przybliżeniu, z góry nakreślić. Ale mogą zajść pewne omyłki w wymiarach, powstać zupełnie nowe czynniki. Ekonomia teoretyczna jeszcze nie zapanowała nad praktyką o tyle, ażeby była zdolną odlewać w swych formach dokładnie kształty stosunków materialnych, przez życie wytworzonych, i dawać je społeczeństwu gotowe, jak towar, przystosowany do gustu i potrzeb odbiorców.

Taki jest dorobek roku ubiegłego w dziedzinie ekonomicznej. W związku z nią pozostaje jeszcze jeden, bardzo piękny: szkoła mechaniczno-techniczna, o której pisaliśmy w kronice grudniowej. Oby to był początek pomyślny! Ileż nam brak jeszcze szkół zawodowych! Mówiono o młynarskiej, gorzelniczej... Utonęły w projektach, a niedostatek specjalistów coraz dotkliwiej daje się odczuwać. Kandydaci zaś na nich—czekają długie lata, jak kobiety na prawa obywatelstwa w państwie wiedzy wyższej. Tyle już o nie kopii skruszono, tyle wypowiedziano komunałów, że, doprawdy, chęci niema zapisywać się do szeregu rycerzy o prawa niewieście. Poruszam ową kwestyę jedynie dla tego, że w kronice ustępstw na rzecz kobiet zaszedł fakt niezwykły w parlamencie austriackim. Oto na posiedzeniu komisyyi budżetowej, dr. Beer streścił potrzeby naglące w trzech punktach: 1) państwo powinno zająć się organizacją wyższych szkół dla dziewcząt; 2) tym, które otrzymały gimnazyalne świadectwo dojrzałości, przyznać prawo uczęszczania na wykłady filozofii i medycyny, w charakterze słuchaczek zwyczajnych; 3) tym, które otrzymały dyplom lekarski na uniwersytetach zagranicznych, umożliwić, po złożeniu przez nie odpowiedniego egzaminu, uzyskanie stopnia doktora, oraz prawa praktyki w całej monarchii.

Pomimo pewnych *ale* dra Gautscha, ministra oświaty, wszystkie punkty za pośrednictwem głosowania zaaprobowano. Tak więc kobiety mogą święcić tryumf, dotychczas przynajmniej, pod względem ustępstw teoretycznych, tak zwanych: „w zasadzie“. Uchwały te mają jeszcze przejść przez parę szczebli formalistyki, a potem kołatać o fundusze na oświatę. Najbliższem urzeczywistnienia może być prawo przyjęcia do uniwersytetów, tem bardziej, że, pomimo utrudnionych warunków zdobycia *matury*, coraz więcej kobiet zdaje chlubnie egzaminy dojrzałości i szuka przytułku we wszechnicach po różnych kątach świata. Między innemi, samych Polek-tulaczek można naliczyć przeszło setkę. Drugiem ustępstwem, także bliższem urzeczywistnienia, jest zgoda ministra oświaty na zatwierdzenie dyplomów lekar-



skich kobiet, które ukończyły medycynę w uniwersytetach zagranicznych.

Dziś we wszystkich państwach zaznacza się jaskrawo wzrastająca bezustannie liczba starych pańien, głównie w warstwach inteligentnych; jednocześnie z tem wzrasta wśród płci niewieściej zapal do wiedzy, dążność do zdobycia pracy samodzielnej. Tylko w warstwach zamożnych i robotniczych, tudzież wśród włościan, panują odrębne stosunki. Stara panna u bogatych—to chyba furyatka, lub ślepo-głuchoniema, a u ludu — kretynka, albo pozbawiona nóg i rąk. Bo u pierwszych kojarzy się pieniądź, u drugich—praca. Dla chłopca lub rzemieślnika towarzyska dożgonna ma przedewszystkiem znaczenie siły roboczej i reproduktorki także sił roboczych. Podobne warunki (z pominięciem ostatniego) pod względem czysto ekonomicznym wytworzyły się również w warstwach oświeconych średnich. Małżeństwa wśród ludzi z obu stron ubogich łatwiej dochodzą do skutku, jeżeli kobieta posiada jakikolwiek fach, pozwalający zdobyć pracę. Dla tego też sprawa przysposobienia pańien do takiej pracy jest palącą. Jej przeciwnicy zwykle takie żądania starają się odbić frazesem społeczno-ekonomicznym: trud niewieści, jako tańszy, zniży w ogóle cenę pracy zarobkowej. Tego samego zdania jest również i dr. Gautsch, więc skłaniając się do żądań na rzecz kobiet, zaznaczył, że dobrze było-by dać im takie szkoły, które przysposobiły-by szeregi niewieście do pracy na polu zupełnie odrębnem, nie zawadzającym mężczyznom. Jakie ono ma być i gdzie go szukać należy, nie wskazał; pozostawił tę zagadkę do rozwiązania tym, którzy szczerze się interesują sprawami bytu.

Z końcem roku ubyło nam trzech pracowników na niwie naukowej. W listopadzie zmarł Stanisław Budziński, b. profesor Szkoły Głównej i uniwersytetu warszawskiego, członek Izby sądowej. Niezależnie od pracy w tych zakresach, nieboszczyk tłumaczył i pisał dzieła z dziedziny prawa, z których szczególnie są cenione dotyczące kryminalistyki, pomiędzy innemi: „O zbiegu przestępstw i przestępstwach ciągłych“ (1864); „Myśli do ułożenia nowego prawa karnego“ (1865); „Wykład porównawczy prawa karnego“ (1868); „O powtarzaniu przestępstw“ (1875); „O kradzieży i pokrewnych jej przestępstwach“ (1876). Prócz tego, pod pseudonimem Bolesława Wiktora, przetłumaczył sporo utworów poetyckich, jak: Kalderona, Oelenschlägera, Lermontowa i t. d.: wreszcie sam pisywał poezye i krytyki literackie. Jako autor prac naukowych, pozostawił on ślad w naszym piśmiennictwie, wzbogacał je cennymi dziełami; jako pisarz z dziedziny belletrystyki, zmieszał się z szeregiem wielu innych średnich zdolności; w końcu — jako człowiek, posiadał powszechną sympatyę.

W ostatnich latach, będąc już emerytem, pędził życie spokojniejsze, lecz zawsze pracowite. Liczył lat 71.

Imię Feliksa Berdauna, wśród tak zwanej inteligencji, prawie wcale nie było znane. Może obito się ono o wzrok i prześliznęło się przez pamięć wielu czytelników dopiero w nekrologach prasy. A jednak był to człowiek, któremu należy się wielkie uznanie za pracę pedagogiczną i naukową — przyrodniczą. Urodzony w Krakowie w r. 1826, skończył tam gimnazjum św. Anny, poczem wstąpił na wydział filologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego i już zróst się z nim na dłużej, bo w r. 1847 został adjunktem przy katedrze botaniki i jednocześnie kierownikiem naukowym ogrodu botanicznego. W r. 1860 był powołany do Warszawy na nauczyciela historii naturalnej w gimnazjum realnem, a w r. 1862, po otwarciu Instytutu politechniczno-rolniczo-leśnego w Nowej-Aleksandryi, powierzono mu tam katedrę botaniki i zoologii, oraz założenie ogrodu botanicznego. Po zwinięciu zaś tego zakładu, wrócił do Krakowa, gdzie, po obronie rozprawy p. t. „Karpaty w ogóle, a w szczególności o Tatrach pod względem geograficznym, geologicznym i botanicznym“ — otrzymał stopień doktora filozofii. W r. 1869 znowu objął stanowisko profesora w Nowej-Aleksandryi, po wskrzeszeniu Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa, gdzie pracował do r. 1886. Usunął się skutkiem wyczerpania sił i zamieszkał w Warszawie. Z licznych dzieł jego, do wybitniejszych należą: „Botanika ogólna“ (Warszawa, 1867; wyd. drugie r. 1871); „Flora Tatr, Pienin i Beskidu“; „Porosty Królestwa Polskiego pod względem morfologicznym i fizyologicznym“ (Warszawa, 1876); „Botanika leśna“ (Warszawa, 1890).

W d. 24 listopada r. z. w Krakowie zmarł Ludwik Teichman, sławny anatom, profesor Akademii Jagiellońskiej. Urodzony r. 1823 w Lublinie, wykształcenie gimnazyalne otrzymał w Radomiu r. 1846, poczem uczył się na wydziale teologicznym uniwersytetu dorpackiego (do r. 1849), wreszcie medycynę studiował w Heidelbergu, otrzymał posadę asystenta przy zakładzie anatomii opisowej w Getyndze. Od tego czasu medycyna pochłonęła go całkowicie. Po otrzymaniu doktoratu w r. 1855, powołany był do Monachium na prosektora, a później na także stanowisko do Getyngi, gdzie po paru latach (r. 1859) został prywatnym docentem anatomii i fizjologii. Lecz tam niedługo pracował; po dwu latach powołano go na profesora anatomii patologicznej do Krakowa, a w r. 1868 mianowano zwyczajnym profesorem anatomii opisowej. Tutaj sława jego dosięgła szczytu. Do Krakowa przyjeżdżali uczeni z różnych stron Europy, dla obejrzenia gabinetu anatomicznego Teichmana. Bo też na podziw zasługują bogate zbiory i preparaty, mistrzowsko wykonane przez samego profesora i umie-

szczone w kilku salach gmachu, który wzniesiono dzięki zabiegom nieboszczyka. Tam spędził znaczną część swego życia, całkowicie oddany nauce. Wszystkie te zbiory, o jakie niewątpliwie ubiegały-by się najznakomitsze uniwersytety europejskie, ofiarował wydziałowi lekarskiemu Akademii Jagiellońskiej. Teichman poświęcił jej 25 lat pracy profesorskiej, nadto był rektorem r. 1878. Nie opuścił-by zapewne katedry do samej śmierci, gdyby nie ustawa, zmuszająca go w r. 1894 do ustąpienia, jako człowieka, który skończył prawem przepisaną liczbę lat: 70. Dzieła zmarłego profesora z dziedziny anatomii wychodziły w języku polskim i niemieckim.

Z. P.

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Dn. 11 listopada na posiedzeniu wydziału filologicznego prof. dr L. Malinowski, podał treść pracy d-ra Wł. Nehringa, p. t. „Kazania gnieźnieńskie, tekst i głosy z rękopisu wydał, uwagami i słownikiem opatrzył...“ Pierwsze wydanie wyszło r. 1857 p. t. „Zabytek dawnej mowy polskiej“, staraniem hr. Tytusa Działyńskiego. Wyczerpało się ono zupełnie, a przytem posiadało błędy. Dla tego wydanie ponowne było pożądane. Do prac ważniejszych o tej rzeczy należą: Hanusza— „Materyały do hist. form deklinacyjnych“ 1880 i „Ślady odcieni dialektycznych w Kazaniach Gnieźnieńskich“ (Rozprawy VII, r. 1880); Semenowicza „Bemerkungen zu alt polnischen Texten“ Arch. f. slav. Phil VII; Dr. Erzepkiego rozprawa doktorska „Der Text der Gnesener Predigten“ 1885; wreszcie obszerne uwagi Nehringa w „Altpoln. Sprachdenk.“ 76 n. Wydanie nowe obejmuje trzy części: przedmowę, teksty i słownik. Do tekstów należą także głosy polskie w kazaniach łacińskich i początek kazania na czterech ćwiartkach z XV wieku, wszyty w Kodeks Gnieźnieński. Autor dokładnie opisuje rękopis gnieźnieński, w którym wyróżnia trzy części: pierwsza obejmuje 14 kart (cztery kazania polskie i dwa łacińskie); druga, środkowa—około 100 kazań łacińskich, trzecia—część kazań polskich. Ten, kto pisał kazania polskie I i III-ej części (A), wpisywał także głosy polskie w kazania łacińskie, których tekst niejednokrotnie poprawiał. Jemu zapewne przypisać należy złożenie całego zbioru kazań w jedno, do

czego wziął dawny zbiór kazań łacińskich. Prawdopodobnie zbiór ten powstał w Gnieźnie. Łacińskie były przepisywane przy końcu XIV wieku. Autor je charakteryzuje, jako uczone, i mówi o ich układzie. Nie ulega wątpliwości, że były one wygłaszane po polsku; dowodzą tego liczne głosy polskie i takie przypuszczenia potwierdzają ogólne wiadomości o średniowiecznym kaznodziejstwie w Polsce. Kazania polskie były spisane wkrótce po łacińskich. Autor nie daje stanowczej odpowiedzi, czy polskie Kazania Gnieźnieńskie są oryginalne, czy układane według łacińskich. Zwraca wszakże uwagę na to, że kilka kazań jest ułożonych podług łacińskich, w tym samym manuskrypcie. W ortografii kazań polskich autor wyróżnia dwa systemy: starszy, widoczny w dokładnem przepisywaniu, i późniejszy. Dokładne przedstawienie ortografii było konieczne dla tego, że w niej przechowuje się jeszcze praktyka starożytna i że w tej zewnętrznej obsłonie widoczne są świadectwa stanu głosowni i wogóle formalnej strony języka z dawnej epoki, którym autor poświęca wiele uwag. Przy końcu przedmowy porównywa Kazania Świętokrzyskie, wydane przez prof. Brücknera w Pracach filol. III, z Kazaniami Gnieźnieńskimi. Pierwszym przyznaje bezwarunkowo starszeństwo. W dwóch wyosabnia nie wiele znamion, które również świadczą o wielkiej starożytności. Tekst kazań i głos polskich podano z jak największą dokładnością podług manuskryptu. W słowniku umieszczono tylko wyrazy, które zasługują na uwagę przedewszystkiem pod względem słownikarskim, a także pod względem fonetycznym i etymologicznym. Autor zwraca uwagę na niezwykle użycie wyrazu *ize* (*izci*, *iści*) po słowach mówienia, na przytoczenie (*oratio recta*), np. „arzekąc tako, *ize* wiesielcie się; rzekąc tako *izci* (*iści*?) *pitrze* przydze do nas miły Kryst” i t. d.; również po słowach, oznaczających wyrozumienie: „wy to macie rozumieć, *ize* któryć jest początek miłosierdzia.“ Zasługuje na uwagę wyraz *wieliki* (raz tylko znajduje się—*wielki*); przysłówek *więće*, odpowiadający starość. *veste*. Godne są uwagi jeszcze inne wyrazy, których, ze względu na brak miejsca, nie możemy tu przytaczać.

Prof. dr Malinowski zdał sprawę z pracy p. W. Lutosławskiego p. t. „O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona.” Autor, dokonawszy przeglądu dotychczasowych prac nad chronologią i autentycznością dzieł Platona wogóle, usiłuje zastosować nową metodę do rozwiązania tego zadania dla pierwszych trzech tetralogii. Metoda ta polega na porównaniu treści logicznej dyalogów, przyczem jednak p. L. uwzględnia także rezultaty wszystkich innych metod, dotychczas używanych dla określenia daty napisania każdego dyalogu. Autor po raz pierwszy tutaj wykazuje zgodność rezultatów badań Campbella, rozpoczętych w r. 1876. Dalej stoi od nich późniejsza niemiecka sta-

tystyka stylu Platona. Obie te metody, niezależnie od siebie, a zgodnie z metodą logicznych porównań autora, prowadzą do rezultatów, stojących w sprzeczności z zapatrywaniami Zellera i wielu innych znawców Platona. To też p. Lutosławski, przez wzgląd na wyjątkową powagę Zellera, bardzo szczegółowo zbija wywody, gdy się one nie zgadzają z wynikami badań nad logiką Platona. Porównanie teorii logicznych każdego dyalogu w połączeniu z uwzględnieniem, możliwie wyczerpującem, całej literatury przedmiotu, doprowadziło autora do wniosku, że w pierwszych trzech tetralogiach jedynie Eutyfron, Apologia, Kryton i Kratylos, są wcześniejsze, niż Biesiada. Z tych dyalogów trzy pierwsze autor uważa za napisane jeszcze za życia Sokratesa, lub też nie wiele później przed trzydziestym rokiem życia Platona. Kratylos, jakkolwiek znacznie późniejszy, poprzedził Biesiadę, napisaną, według dziś powszechnie przyjętego poglądu, w r. 385 przed Nar. Chr., czyli w 42 roku życia Platona. Dopiero po Biesiadzie mógł być napisany Fedon, według dowodzenia autora. Ta sama metoda logiczna prowadzi go do wniosku, że Fedr, zarówno jak i Teetet, były napisane później, niż Fedon. Po Teecie następuje Parmenides, a dopiero potem w późnym wieku Platon mógł napisać Sofistę i Polityka. Między 60 a 70 rokiem życia, prócz tych dwu dyalogów, napisał Fileba; Tymusz zaś i Krytyas przypadają-by razem z Prawami na ostatnie dziesięciolecie (8-e) życia tego pisarza. Wypadki powyższe autor uzasadnia za pomocą licznych cytat z dzieł Platona i krytyki tego, co inni pisarze dotychczas powiedzieli w tym zakresie. Pracę swą p. L. ograniczył do pierwszych trzech tetralogii dlatego, że są one pod względem logicznym najważniejsze i że dla opracowania pozostałych sześciu autor pragnął-by skorzystać z umiejętnych wskazówek krytyków jego pracy niniejszej. Przedstawia ona pewną nową metodę badania.

Na posiedzeniu ściślejszem wydział odesłał dwie prace powyższe do komitetu wydawniczego.

-- Na posiedzeniu wydziału Historyczuo-filozoficznego (18 listopada) prof. dr. Franciszek Piekosiński odczytał rzecz p. t. „Słowo o statutach króla Kazimierza Wielkiego.” Autor przedstawił projekt rozkładu owych statutów na pięć osobnych: cztery małopolskie i jeden wielkopolski, wreszcie podał szczegółowo historię ustawodawczej działalności króla. Sekretarz zdał sprawę z pracy d-ra Antoniego Prochaski p. t. „Przyczynki krytyczne do dziejów Unii Horodelskiej.“ (I. Wewnętrzne stosunki na Litwie przed Unią. II. Jeszcze o autentyczności styczniowego zapisu Witolda z r. 1384. III. O odstępstwie Witolda od Wiary. IV. O Jagiellowych zamiarach chrztu przed r. 1386. V. Czy Skirgiello był wielkim Księciem Litwy i o roku śmier-

ci jego. VI. Witold wielkim księciem Litwy w r. 1401. VII. Przywilej dla Rusinów. VIII. O zjazdach na Litwie, zwoływanych przez Jagiełłę w r. 1405 i 1406. IX. Kto dowodził pod Grunwaldem. X. Podejrzenia o zdradę Witolda po bitwie pod Grunwaldem, tudzież o kno- waniach z Zygmuntem w r. 1412. XI. O prawie sukcesyjnem Jagiel- lonów na podstawie aktu horodelskiego).

— „Skarbiec strzechy naszej.” Zebrał G... Muzykę harmonizo- wał M... (Wydanie drugie). Kraków (8-ka, str. 356). Jest to nadzwyc- zaj bogaty, mozolnie nagromadzony zbiór pieśni ludowych, zagadek, powieści, bajek i t. d., odpowiedniami grupami ułożonych. Na czele znajdujemy wysnuty prozą, ale pełen poezji, obraz idealny wioski na- szej: „Pod strzechą wieczny panuje spokój i pogoda myśli. Choć każ- dy czem innem jest zajęty, ale jednym duchem tchną wszyscy. Gdy przestąpiłeś próg ich domu, to zdaje ci się, że wszedłeś niby do jakiej świątyni. Młodzi słuchają i usługują starszym. Razem wszyscy przy pracy dobranemi głosy pieśni nucą, razem dopełniają każdą ciężką ro- botę, razem po wieczery odmawiają wieczorny pacierz, razem idą w święto do kościoła i na każdą rozrywkę.” Ulica wiejska wybruko- wana, z porządnymi ściekami po bokach; w sadach jabłonie, grusze, śliwy, uginają się pod ciężarem dorodnego owocu. Nikt go nie tknie, pomimo, że można dostać ręką za płotem. Przypisać to należy temu, że dziatwa uczy się w szkołach wiejskich ogrodnictwa i pielęgnuje własne drzewka; że wreszcie wpojono w młode pokolenie poszanowa- nie darów Bożych w cudzym sadzie i wszelakich zapasów w cudzych zagrodach. Straż ogniowa doskonała. W szopie stoją beczki, napeł- nione zawsze wodą, i sikawki, których gotowość do dobrego działania co- dziennie jest sprawdzana. Przywódca straży obchodzi często domo- stwa we wsi, aby zobaczyć, czy znajdują się w pogotowiu na wypadek pożaru kubelki, bosaki, drabiny i sikawki ręczne. A chata?—Jak sta- roświecki mały dworek szlachecki. Na środku niewielkiego dziedziń- ca trawnik kolisty z kompasem słonecznym, w ganku duże ławy sze- rokokie, pod oknami malwy i gwoździki, w szczytcie domu lipa z kamie- niami i stolikiem, do siedzenia w chłodzie, w ogródku grządy agrestu, malin i porzeczek. Wogóle domostwa nie stoją blisko siebie, ale po- przedzielane sadami i ogrodami warzywnymi, a nawet kawałkami po- la; wieś bowiem zaniechała dawnego gospodarstwa trzypolowego i urzą- dziła się kolonialnie. Nawet jeden z gospodarzy kieruje swego syna na lekarza, pragnąc, żeby po skończeniu nauk osiadł stale w rodzinnej wiosce, a mając własny wózek i konia, objeżdżał choćby co dzień całą parafę. Budynek szkolny ma ściany wyższe i okna większe, niż inne domostwa. Nad gankiem duży zegar wskazuje dziatwie i mieszkań-

com godziny ich pracy, do ściany przybita skrzynka na listy. Dokoła szczepy owocowe z nazwiskami na tablicach, grzędy rozmaitego warzywa i różne rodzaje ulów z pszczołami.

Druga część książki zawiera zwyczaje i pieśni doroczne: Boże Narodzenie, Nowy Rok, Zapusty, Wielkanoc, śpiewy wiosenne, (Wiosnianki), Zielone Świątki, Wianki, Sobótka, dożynki-okrężne. Inna grupa piosnek poświęcona godom weselnym. Następnie idą pieśni i piosenki: pasterskie, kołysanki, dumy i dumki, krakowiaki i mazurki myśliwskie. Piątą grupę stanowią baśnie i powieści, dalej przypowiadki żartobliwe, przysłowia, przestrogi i wyrażenia, zagadki, gry i zabawy. Całość jest wielce bogata i urozmaicona, przedstawiająca nie tylko cenny skarbiec strzechy, ale i owoc wielkiej pracy autora G. Sporo jej poświęcił także muzyk M. Dodajmy, że książka jest stosunkowo niedroga, bo kosztuje tylko 65 kop.

Na schyłku roku literatura dziecięca bądź wzbogaciła się nowymi książkami, bądź wydaniem dawnych. Jedne zaznajamiają z przyrodą, zjawiskami życia codziennego w formie opowiadania przez jakiegoś nauczyciela; inne podają wzory dobrych dzieci, kochających braci, wzorowe i czułe siostry. Wreszcie spotykamy przygody, rozpalaające dziecięcą lub młodzieńczą fantazję. Nie wszystkie odznaczają się barwnością, tudzież wzorowym, nieskazitelnym językiem, nie wszystkie noszą znamiona talentu swego rodzaju. Większość trzyma się rutyny, odwiecznego szablonu, który nie zawsze zdoła rozbudzić leniwe umysły i wywołać w nich rozmyślanie. Do lepszych zaliczyć możemy „Pogadanki z dziećmi” p. Jadwigi Chrzaszczewskiej (Warszawa, Gebethner i Wolff, 8-ka, str. 347). Są tam pogadanki moralno-obyczajowe, dalej—geometryczne, o własnościach ciał, o zmysłach. Poczem: zoologia, botanika, mineralogia, technologia, wreszcie ćwiczenia mowy. Jakkolwiek wykład jest przystępny, nie może to być podręcznik dla samouków. Tu i owdzie potrzebne jest wyjaśnienie zdolnego i cierpliwego pedagoga. Do tematów swojskich należy dość żywa powieść p. Stefana Gębarskiego p. t. „Zaginiony w grotach Ojcowa” (z 15 rysunkami Ilinicza. Warszawa, Paprocki, 8-ka, str. 250). P. Władysław Umiński wyrobił już sobie sławę naszego Verne’a. Posiada on dar niepospolity w bardzo zajmujące opowiadania powieściowe wplatać naukę i wszelkie hipotezy, zawsze ze ścisłą dążnością logiczną. Obecnie dał dla młodzieży nową książkę, pełną zalet p. t. „W pustyniach Australii” (opisy i przygody w podróży; z 8-iu rycinami. Warszawa, Arct, 8-ka, str. 269). Z innych nadesłanych nam książek wymieniamy: Zofii Morawskiej: „Wielkie zdolności i Przygody Zygmunta” (z 6-iu rycinami H. Piątkowskiego, Warszawa, Gebethner i Wolff,



8 ka, str. 221). Teresy Jadwigi: „Z obcych dziejów; dwie opowieści historyczne” (z 6-iu rysunkami Szpądrowskiego. Warsz. Gebethner i Wolff, 8-ka, str. 249). Z prawdziwym talentem i nadzwyczaj barwnie są wysnute z tematów ludowych przez Adolfa Dygasińskiego „Cudowne bajki”, wydane ozdobnie z 21 ilustracyami J. Pankiewicza, Warszawa, Paprocki, 4-ka, str. 152).

— Lwowskiego „Przeglądu sądowego i administracyjnego” zeszyt styczniowy roku 1896 wyszedł z druku i zawiera: „O postępowaniu odwoławczem według nowej procedury cywilnej” przez d-ra Aleksandra Mniszka Tchórznickiego. „O spisaniu procesu cywilnego”, przez d-ra Franciszka Ksawerego Fiericha; „O przymusowym ubezpieczeniu budynków od ognia”, przez Tadeusza Bresiewicza; „Ś. p. Bohdan Józef Oczapowski”, przez d-ra Józefa Kleczyńskiego.

— „Dziejów powszechnych illustrowanych”, wydawanych w Wiedniu przez Franciszka Bondego, wyszło dalszych siedm zeszytów tomu drugiego (od 53 do 59 włącznie).

---

## Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

---

— *E. Zoryan*. „Chrzest Mieczysława”, powieść historyczna z X wieku. Kijów i Odesa. 1896.

— *Dr Zygmunt Uranowicz*. „Przywileje miasta Złoczowa.” Złoczów. 1895,

— *Feliks Jasiński*. „Badania nad sztywnością prętów ściskanych.” Warszawa. Nakład redakcyi „Przeglądu Technicznego.” 1895.

— *Arwor*. „365 obiadów” (historya o kilku osobach i jednej książce). Warszawa. 1896.

— *Stanisław Piotrowski*. „Podatek czy monopol?” Stanowisko producenta cukru w systemie opodatkowania (odbitka z „Gazety cukrowniczej”). Warszawa. 1895.

— *Z. Morawska*. „Wielkie zdolności” i „Przygody Zygmunia”. Dwie powiastki dla dzieci (z 6-ciu rycinami Henryka Piątkowskiego. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolfa, 1896, 8-ka, str. 221).

— *Cecylia Niewiadomska*. „Odrodzona”, powieść dla młodzieży (z ryciną El Niewiadomskiego). Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, (8-ka, str. 293).

— *Dr M. Flaum.* „O wódce, piwie i winie“. Odczyt. Warszawa, Paprocki S-ka, 1896 (8-ka, str. 19). Rzecz ta, wygłoszona w seryi odczytów popularnych urządzonych przez komitet damski, jest również i w broszurze obliczona za popularność, zarówno pod względem formy wykładu, jak i ceny (tylko 8 kop.).

— *Wiktor Doleżal.* „Wpływ moralności na śmiertelność“. Według odczytu dra med. Höffela. Kraków, 1895 (8-ka, str. 12).

— *Stacya oceny nasion w Warszawie.* Sprawozdanie z czynności od 1-go lipca 1893 do 1-go lipca 1894 roku. (Odbitki z *Gazety Rolniczej*). Warszawa, 1895 (8-ka, str. 24 i tablica).

— *Bolesław Prus.* „Pierwsze opowiadania“. Warszawa, 1896. Nakład Gebethnera i Wolffa (wyd. drugie).

— *Jadwiga Chrzęszciewska.* „Pogadanki z dziećmi“. Warszawa, 1896. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— *U. Colomb.* „Dla szczęścia rodziny“, powieść dla młodzieży, przełożyła z francuskiego Marya B. Warszawa, 1896. Nakład T. Paprockiego i S-ki.

— *E. Zorian.* „Chrzest Mieczysława“, powieść historyczna z X wieku. Kijów i Odessa, 1896 (wydanie drugie).

— *Teodor Jeske-Choiński.* „Gasnące słońce“, powieść z czasów Marka Aureliusza. Warszawa, 1896. Nakład S. Lewentala.

— *Adolf Dygasieński.* „Cudowne bajki“. Warszawa, 1896. Nakład T. Paprockiego i S-ki.

— *Ignacy Matuszewski.* „Czanoksięstwo i medyumizm“, studjum historyczno-porównawcze. Warszawa, 1896. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— *M. Lauenstein.* „Podręcznik mechaniki“ dla średnich szkół technicznych i samouków, przekład Józefa Hofmana. Warszawa, 1896.

— *Stefan Gębarski.* „Zaginiony w grotach Ojcowa“. Warszawa, 1896. Nakład T. Paprockiego i S-ki.

— *Teresa Jadwiga.* „Z obcych dziejów“, dwie powieści historyczne dla starszych dzieci“. Warszawa, 1896. Nakład Gebethnera i Wolffa.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**

---

# Transwaal i kwestya południowo-afrykańska.

---

Piszę w pierwszych dniach stycznia, więc należy się spodziewać, że, zanim niniejsza praca ujrzy światło dnia, ułożą się, lub zostaną pokojowo rozstrzygnięte istniejące w tej chwili—a tak dla Anglii przykre i doniosłe—niepewności i zagadnienia w powyższej kwestyi. Świat dowie się zapewne, co spowodowało brytańskiego administratora do podjęcia nagłej, zbrojnej wyprawy przeciw rządowi ościennej rzeczypospolitej: czy inicjatywa własna, czy podszept z Kapu, lub tajny rozkaz od londyńskich dyrektorów południowo-afrykańskiej kompanii? Wyjaśni się może kwestya: po której stronie było prawdziwe, pierwsze wyzwanie: czy po stronie Boerów, których nagła wyprawa Jamesona znalazła zupełnie przygotowanych i... zupełnie upewnionych, iż ludność brytańska w najbliższem sąsiedztwie, w Johannesburgu, nie wesprze garstki, śpieszącej przecież z pomocą, dawno i niecierpliwie upragnioną; czy też doprawdy po stronie dyrektorów i administratora angielskiej kompanii? Może się wytłómaczy, dlaczego przed dni pięć—od 31 grudnia do 4 stycznia—komunikacya telegraficzna między środkami kolonii brytańskich w południowej Afryce a Londynem stała się zupełnie niemożliwą? Jakież przypadek zrzucił zerwanie się podmorskiej linii telegraficznej *między Zanzybarem i Adenem*... w ten sposób ograniczając gabinet londyński, dyrekcye kompanii i prasę brytańską do wiadomości telegraficznych, otrzymywanych skąpo przez Berlin? Jakim sprężynom przypisać ów co najmniej śmiały telegram cesarza Wilhelma do prezydenta Krügera—telegram, odmawiający Wielkiej Brytanii

praw zwierzchnictwa nad Transwaalem i wyraźnie napomykający, iż Boerowie liczyć mogli i mogą na czynną pomoc „mocarstw przyjaznych“? Ileż jest nakoniec prawdy w pogłoskach o cesarzu Wilhelmie, zdecydowanym żądać od gabinetu królowej Wiktorji zrzeczenia się przez Wielką Brytanię wszelkich pretensji do zwierzchnictwa nad Transwaalem, a przynajmniej zniesienia kompanii połudn.-afrykańskiej, pozbawienia jej wszystkich w Afryce koncessyi? Nie wspomnę już o rzekomo tworzącym się antybrytańskim sojuszu trzech wielkich mocarstw europejskich, bo, jeżeli rozwój wypadków ogólny miałby za kilka tygodni w ten sposób się ujawnić, to kwestyą południowo-afrykańską zajmowalibyśmy się dziś całkiem zbytecznie! I omyliłbym się w mojej z przed lat 9-ciu przepowiedni. .<sup>1)</sup>

Tymczasem jest moim zamiarem skreślić pokrótce dzieje polityczne tych krajów południowo-afrykańskich, których bogactwa i zasoby niezmierne oddają Europie tę przynajmniej usługę, że dziesiątkują jej przeludnione kraje. Być może, iż ją pozbawiają zarazem ludzi z wyjątkowo silnym charakterem, z wyjątkowemi zdolnościami; lecz nie nam sądzić i orzekać, czy lepiej-by działo się dziś na świecie, gdyby Mirabeau był wyszedł do Madagaskaru, gdyby Cecil Rhodes był pozostał w Anglii.

Przed laty z górą 400, w dzień Bożego Narodzenia, roku 1496 Portugalczyk, Bartłomiej Diaz, przybył z dwoma okrętami do południowo-wschodniego wybrzeża Afryki, ponad 30 stopniem szerokości. Śpieszył ku Indyom—tu więc dla wypoczynku tylko wylądował i dla nabożeństwa. Opuszczając brzegi nieznanych sobie krain, dał im nazwę: *Terra de Natal*—„Ziemia Bożego Narodzenia“—i nazwa, choć skrócona, przetrwała do dni naszych. Zatokę, do której zawinęły te pierwsze statki europejskie, nazwano nieco później, niewiadomo czemu, „zatoką Urbana“, *d'Urban*, a od niej przejęło swoją nazwę dzisiejsze miasto portowe Natalu, Durban. Po wyprawie Diaza, zawijały do tej samej zatoki angielskie, portugalskie okręty, lecz pierwsze stano-

<sup>1)</sup> „Sprawa afrykańska staje się atoli z każdym niemal rokiem więcej—kwestyą europejską, która rychlej lub później, a prawdopodobnie po załatwieniu ważniejszych spraw w samej Europie, wystąpi na miejsce kwestyi wschodniej i rozgrywać się będzie między kilku mocarstwami europejskiemi“. (*Biblioteka Warszawska*, marzec, 1880—w moim artykule o „Kongo“.)

wisko kolonialne urządzili tam sobie Holendrzy dopiero w r. 1599. W dwadzieścia lat później, dwaj admirałowie angielscy, Shillinge i Fitz-Herbert (protoplasta hrabiów Carnarvon), stanawszy w zatoce Algoa, na 34 stopniu szerokości południowej, wylądowali i, według późniejszych historyków angielskich <sup>1)</sup>, „wzięli w posiadanie, w imieniu króla Jakóba I, całe wybrzeże i cały afrykański ląd stały“. Jednakże ani król Jakób, ani parlament nie ratyfikowali tego aktu, o wzięciu w posiadanie Afryki nie uwiadomili rzeczypospolitej батаwskiej. Niewielu też musiało być osadników angielskich przy tej pierwszej próbie kolonizacyjnej, gdyż kompania holendersko-indyjska z żadnym się nie spotkała oporem, kiedy w 33 lata później (1652) ustanowiła sobie nad zatoką Table pierwszą oficjalną stację okrętową—na drodze morskiej między oceanem Niemieckim a Indyami—i założyła tamże początki Kapu, dzisiejszej stolicy Przylądka Dobrej Nadziei.

Od tego roku 1652 poczyna się naprawdę europejska kolonizacja południowej Afryki. Osadnikami byli prawie wyłącznie Holendrzy-awanturnicy, zbiegi z okrętów i przekupnie. Przypatrzmy się więc ówczesnej ludności tubylczej, pierwotnej, której plemiona po części istnieją i dziś jeszcze między oceanami Indyjskim i Atlantyckim, po części wyrugowane zostały do głębi środkowej Afryki.

Etnologia i filologia porównawcza rozdzielają wszystką ludność pierwotną południowej Afryki na dwie wielkie rodziny: *Gariepinów* i *Bantów*. Pierwsza odznacza się zewnątrznie cerą żółtą i skośnemi oczyma, składa się ze szczepów: Hottentotów, Koranna i Namakwa, posiada wszystkie cechy znamienne rasy mongolskiej. Gariepinowie byli i są ludem pasterskim. Bantowie, podzieleni na bardzo liczne plemiona (Kafrów, Zulu, Basuto, Beczuana, Matabele, Maszona i t. d.), są murzynami, wojownikami; mówią językami pochodzenia polinezyjskiego i stanowią niewątpliwie rdzenną ludność Afryki, od południa aż po Równik. Jak te obie wielkie rodziny ludów żyły z sobą i obok siebie przed tłumniejszym napływem Europejczyków, domyślać się możemy: łagodniejsi Hottentoci ustępowali z urodzajnych płasko-wzgórzy przed bojowniczymi Zulami i osiedlali się przeważnie wzdłuż południowo-zachodniego wybrzeża, więc w dzisiejszych krajach Damara, Namakwa i w lasach, i na polanach zachodniej i środkowej części Przylądka. Cała zaś reszta południowego lądu (między 20 i 34 stop. długości, a 22 i 34 szerokości) była w posiadaniu Bantów, z pomiędzy których Zulowie wyróżniali się zawsze siłą fizyczną, odwagą i wa-

<sup>1)</sup> Wilmot i Chase: *History of Cape Colony*, Lond. 1896.

lecznością. Oni to byli aż do roku 1879 panami prawie wszystkich krain wschodniego wybrzeża—od ujść rzeki Zambezy do zatoki Algoa.

Holenderscy osadnicy w XVII i XVIII wieku opierali wymianę handlową z tubylcami przedewszystkiem na bydło. Zarówno Hoŧtentoci, jak Zulowie hodowali na bezgranicznych stepach niezliczone tabuny bydła rogatego, które wymieniali za błyskotki, płótna, proste narzędzia rolnicze, gospodarskie i domowe; później dopiero za gorące napoje, broń zużytą i rzekome leki. Osadnicy, posiadłszy ziemię i bydło, zapotrzebowali robotnika; niewolnictwo więc stało się wcześniej drugą podstawą wymiany handlowej: Zulowie sprzedawali kolonistom Hottentotów.

Po odwołaniu edyktu Nantejskiego, żywioł europejski na Przylądku wzmocnił się przybyciem około stu rodzin Hugonotów. Zwały się one niebawem z ludnością holenderską—i temu przypisuje się dzisiaj wybitny rys charakteru Boerów: ich religijna żarliwość, granicząca z fanatyzmem purytańskiej zaciekłości. Hugonoci przyczynili się najwięcej do zaprowadzenia gospodarstwa i handlu przez zakładanie folwarków strusiovych, winnic, rozległych sadów, owczarni i uprawę tytoniu. Każdy okręt holenderskiej kompanii, śpieszący do Indyi, zostawiał w Kapie nowych kolonistów, a każdy statek, wracający do Europy, zabierał produkta. Lecz już w końcu XVII wieku wszczęły się nieporozumienia między osadnikami i kompanią, usiłującą zachować dla siebie zwierzchnią władzę polityczną nad Przylądkiem, a nadto chcącą kierować handlem kolonii, decydować o jej stosunkach z plemionami sąsiednich krain. Kiedy odwoływania się kolonistów do rządu holenderskiego okazały się daremnymi, stanęli do otwartego rokoszu przeciw kompanii. Lecz rewolucya francuska i jej następstwa zmieniły do gruntu to położenie. Po zdobyciu Holandyi przez wojska francuskie, książę Orański schronił się do Anglii i z rządem jej zawarł traktakt odporno-zaczepny przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Skutkiem tego układu, Anglia wyprawiła natychmiast flotę, mającą zająć Przylądek Dobrej Nadziei i ewentualnie bronić portowej stacyi w Kapie, w interesie mocarstw sprzymierzonych. Było to w r. 1795; dowodzący w Kapie namiestnik kompanii holendersko-indyjskiej opierał się zrazu admirałom angielskim, nie otrzymawszy żadnych zgoła instrukcyi od dyrektorów, <sup>1)</sup> a wahaając się usłuchać rozkazu księcia, który był uszedł z Hagi i układ z Anglią zawarł samowolnie. Lecz admirałowie, Elphinstone i Craig, położyli koniec wszelkim wahaniom

<sup>1)</sup> *History of South Africa*, by G. Theale, 1888.

się namiestnika blokadą portu i wycelowaniem dział na miasto... Rząd angielski trzymał Przylądek lat sześć; dopiero po traktacie pokojowym w Amiens (1801), Holandya — nie już holendersko-indyjska kompania — weszła w posiadanie afrykańskiej kolonii i posiadała ją lat niespełna pięć.

Bo natychmiast po rozpoczęciu przez Napoleona kampanii r. 1806, Anglia, zawsze dbała o bezpieczeństwo drogi morskiej do swoich Indyi, wyprawiła do Kapu sir Dawida Bairda z siłą 4,000 wojska, rzekomo dla wzmocnienia sił osadników holenderskich. Baird zmuszony był <sup>1)</sup> atoli wydać bitwę kolonialnym „kmięciom i mieszczanom“ (*boers and burghers* <sup>2)</sup>), którzy zdołali przeciwstawić mu armię 3,000 strzelców, pod dowództwem generała Janssena. Zacięta walka trwała całą dobę, zakończyła się zwycięstwem angielskich marynarzy. Jednakże, ze zwykłą sobie ostrożnością dyplomatyczną, jak dzisiaj wyrzekł się rząd brytyjski wszelkiej solidarności z odważnym i walecznym administratorem kompanii połudn.-afrykańskiej, tak i wtedy pozostawił Bairda bez wyraźnych instrukcyi, nie zadeklarował ani aneksyi Przylądka, ani niezależności kolonii od korony brytyjskiej. „Przez lat kilka — pisze John Mackenzie — <sup>3)</sup> rząd brytyjski *zdawał się uważać Przylądek za terytoryum, pozostające technicznie w posiadaniu Anglii, jako terytoryum zdobyte*“. Dopiero w roku 1814, gabinety europejskie, bynajmniej się nie troszcząc o wolę i zdanie holenderskich w Afryce kmięci i mieszczan, przyznały Anglii prawa zdobywcze „do Przylądka Dobrej Nadziei i krain pogranicznych“ za które to prawa jako też za ustępstwo zwierzchności nad niektórymi innymi koloniami, gabinet londyński wypłacił rządowi holenderskiemu w Hadze sumę sześciu milionów funtów sterlingów.

Pierwszym namiestnikiem Królestwa Zjednoczonego był na Przylądku hr. Caledon, mąż światły, administrator energiczny. Działalność swoją rozpoczął od zaprowadzenia komunikacyi pocztowej i angielskiego systematu sądownictwa; on również przedsięwziął pierwszy zniesienie handlu niewolnikami, prowadzonego przez Boerów, mimo ich zasad religijnych, od samego założenia kolonii. Lord Caledon za-

<sup>1)</sup> *Austral Africa*, by John Mackenzie, M. A., 1887.

<sup>2)</sup> Te wyrazy holenderskie stały się po r. 1814 użnaną nazwą polityczną pierwszych kolonistów.

<sup>3)</sup> Mackenzie, *loco cit.*

stał, przybywszy do Kapu, przeszło 26 niewolników, obarczonych pracą bydłą i traktowanych gorzej od bydła w farmach boerskich — i, znosząc handel na przyszłość, nie pozbawił właścicieli prawa posiadania niewolników, do owego czasu nabytych, by nie wywołać gwałtownego oporu i nie spowodować zastoju w pracy i klęski ekonomicznej. Z innych, przezeń wprowadzonych reform, ważną była i niezmiernie potrzebną zmiana warunków posiadania i sprzedaży gruntów. Parlament angielski, zdając sobie dobrze sprawę z korzyści, jakie państwu przypaść mogły z kolonizowania nowonabytych krajów, wyznaczył w r. 1819-ym 50,000 fst. na cel ten, a już w roku następnym 4,000 kolonistów angielskich wylądowało w zatoce Algoa.

Jeżeli dziś jeszcze Boerowie przewyższają liczebnie Anglików w całej Afryce południowej; jeżeli i dziś jeszcze potomkowie pierwszych na Przylądku Kmieci i mieszczuchów holenderskich są właścicielami i prawie wyłącznymi uprawiaczami rolniczych obszarów ziemskich, nie tylko w krajach, niedawno odebranych plemionom tubylczym, ale nawet w samejże pierwotnej kolonii Przylądka; jeżeli dziś jeszcze, w r. 1896-ym, Boerowie ci, którzy nie poszli za przykładem swoich współziomków, nie opuścili swych wsi i zagrod w zangielszczonej kolonii koronnej, tak są liczni, iż w parlamencie Kapu, z ogólnej liczby 76-ciu reprezentantów, mają swoich własnych 32: to łatwo pojąć, jaka oględność kierowała rządem pierwszych angielskich namiestników, jaka łagodność i roztropność! Przedewszystkiem zostawiono Boerom całą i wszelką swobodę, jaką posiadali za rządów holenderskiej kompanii, a zniesiono owej kompanii monopole, nadmierne podatki i prawa, ograniczające rozlewanie się kolonistów na dalsze lądu przestrzenie. Zastawszy Boerów rolnikami, Anglicy chętnie ich zostawili przy pługu, a sami zajęli się urządzeniem przywozowego i wywozowego handlu, rozwinięciem przemysłu, wyszukiwaniem nowych zasobów i bogactw krajowych — a zarazem coraz dalszem rozszerzaniem „sfery interesów brytańskich,“ układami i zdobywaniem koncessyi od naczelników plemion hottentockich i murzyńskich. Że, pomimo ogromnej przewagi liczebnej Boerów nad Anglikami, nie przyszło między nimi do nieporozumień bez wyjścia i do otwartej wojny już w pierwszym 10-cioleciu rządów brytańskich, zwłaszcza w kwestyi niewolnictwa, przypisać to należy znamiennym cechom charakteru tych i tamtych: Boer, o ile jest zaciekłym fanatykiem w swoich przekonaniach religijnych, o tyle jest dziwnie łagodnego i pokojowego usposobienia w życiu codziennem i w stosunkach z sąsiadami, .. byle nie murzynami. Przysłowiowo doskonały jeździec konny i strzelec, Boer każdy, jak nasz własny kmieć gospodarny, jest namiętnie przywiązany do ziemi, którą posiadał i którą uprawia, jedno tylko ceniąc wyżej: najzupełniej-



szą swobodę osobistą. W obyczajach celuje szczerą prostotą i trzeźwością. Nakoniec — jest już z wielu pokoleń *tubylcem* <sup>1)</sup>, obcemi mu są i dziwnymi się wydają wszelkie poglądy społeczne, niektóre polityczne i ekonomiczne, wyrosłe z tradycyi europejskich; tyle ma jednakże i prostoty, i wiary w siebie, że, byle szanowano jego własne prawa, gotów jest i pragnie szczerze żyć spokojnie z innymi ludźmi, patrzeć na ich wszelakie dokoła niego zdobycze, bez zawiści. Typ ludzkości idealny!... gdyby nie brutalne obchodzenie się z czeladzią murzyńską i gdyby nie owa fanatyczna ciasnota religijnych zasad i pojęć.

Charakterystyczne cechy brytańskich kolonistów w tej części świata są tak liczne i z sobą niezgodne, jak rozmaite i wzajem od siebie różne są kategorie wychodzących do Afryki Anglików, Szkotów i różnej narodowości ludzi, stawających pod sztandarem i puklerzem W. Brytanii. Widzimy we wszystkich posiadłościach Anglii pozaeuropejskich dwa naczelne rodzaje przybyszów: rodowitych poddanych brytańskich i obcokrajowców, legalnie i stale, lub tymczasowo zasłaniających się flagą Zjednoczonego królestwa. Pierwszy rodzaj składa się z najliczniejszych najprzód awanturników, później z przekupniów, handlarzy i przemysłowców, w końcu z członków brytańskiej szlachty i arystokracji, szukających sportu i.. „szansy zrobienia majątku.“ Awanturnikami — w najszerszem, więc niekoniecznie złem znaczeniu tego wyrazu — są ludzie młodszy i dojrzewających lat, wychodzący z przeludnionych miast i hrabstw angielskich, z nadzieją znalezienia w koloniach, zwłaszcza nowych, swobodniejszego pola do pracy i zarobku. Wogóle atoli są to ludzie, albo żadnego zgoła nie posiadający fachu, rzemiosła, zawodu, albo obezuanijako tako z niejednym fachem, czy rzemiosłem: probowali ich daremnie w kraju rodzinnym, spodziewają się lepszego rezultatu w młodych koloniach, gdzie każda dłoń umiętna i pracowita ma wartość stokrotnie większą. Pomnijmy dalej, że wyspy brytańskie są kolebką Robinsonów Crusoe, że oblewające W. Brytanię zewsząd morza przyciągają i wabią do szukania przygód młodzież, fizycznie dzielną, odważną, lubującą się w ćwiczeniu i umęczeniu ciała, młodzież, umysłowo karmioną piśmiennictwem specjalnem, bezustannie zapatrzoną w najodleglejsze strony kuli ziemskiej, gdzie brytańska przedsiębiorczość i zuchwała śmiałość stworzyła cesarstwa, gdzie się odznaczyli przodkowie i gdzie się wiedzie świetnie krewnym i znajomym... A obok awanturników tego rzędu uwzględnić wypada ludzi wykolejonych, moralnie lub materyalnie zrujnowa-

<sup>1)</sup> Po wojnie z Anglią i odniesionem nad jej siłami zwycięstwie (na wzgórzu Madzuba) w r. 1881, Boerowie przyjęli dla siebie nazwę *Afrikanders*, a wszystkich kolonistów europejskich i amerykańskich nazwali „obcokrajowcami“ — *Uitlanders*

nych — wyrzutek rozmaitego stanowiska rodowego, różnego stopnia inteligencji, przeróżnego doświadczenia. Co tylko jest dzielniejszego w tej kategorii awanturników, to stanowi w koloniach — zwłaszcza w południowej Afryce — zastęp pionierów brytańskiej cywilizacji i przedsiębiorczości, otwierający drogę przekupniom, handlarzom i organizatorom kolonialnej wymiany towarowo-produkcyjnej.

Lecz żywiołem najważniejszym w młodszych koloniach brytańskich jest angielska i szkocka młodzież uniwersytecka, wojskowa i obywatelska. Opuszcza ona kollegia na to, by do nich wrócić — z rozszerzonym umysłem; porzuca kluby wojskowe i jednostajną rutynę kozarowej służby w Anglii, by... przymusowo odwyknąć od kart i wyścigowych zakładów, zapoznać się ze sportem myśliwskim i ze zwierzyną w koloniach i po-za ich granicami, wreszcie, by znaleźć sposobność do chwycenia się za szablę. Kładę nacisk na tym fakcie niezaprzeczoym, że między rysami charakteru angielskiej i szkockiej młodzieży arystokratycznej i obywatelskiej żaden nie jest wyraźniejszy od tego, który tu zowią: *the fighting instinct* — instynktem... niewojowniczym, lecz *zapaśniczym*. Młodzież, od wieków tak nawykła do poglądania ze wzgardą na mężczyznę, niezdolnego do fizycznej samo-obrony i nieumiejącego chodzić samowtór i samotrzeć w zapasy bez innej broni, prócz tej, jaką Bóg dał — pięści, nóg i ramion; młodzież, tak przyzwyczajona do uważania cudzoziemskich swych rówieśników za ledwie za pół-mężów — a nadto młodzież ta Anglii i Szkocji, która jest „młodzieżą“ w swojej i swego kraju świadomości do roku 40-go życia i później jeszcze, stanowić musi i stanowi najprzedniejszy kwiat rycerstwa europejskiego w nowych krajach. Jakież inny naród dorównywa Anglii pod tym względem? Żywioł niemiecki w koloniach zamorskich wzmacnia się z warstw najniższego proletaryatu sklepikowego, a kieruje nim syndykat handlowych firm Bremy i Hamburga; po-za tą kategorią są dezertery z armii i marynarki, są zbiegi przed prawem kryminalnem, są nieuczciwi bankruci. O Portugalczykach to samo powiedzieć należy, a dodać można, iż oni-to uniemożliwiają wytępienie handlu niewolnikami. Francuzi, trzymając się militarnego systematu kolonizacyjnego, najniechętniej spotykają się na tem samem terytoryum z Anglikami; a obywatele amerykańskich Stanów Zjednoczonych, mając u siebie olbrzymie obszary niewyzyskane, do kolonii afrykańskich i australijskich nie kwapią się zbyt.

Młodzież angielska, gruntownie wykształcona, a od lat chłopięcych przyzwyczajona do karności — w klubach i związkach sportowych, do porządku, doświadczona w organizowaniu i bezgranicznie ambitna, napływając do krajów południowej Afryki, obejmuje całkiem naturalnie, że się tak wyrażę, naczelne dowództwo nad kupami swoich

współziomków, które się im oddają z nieograniczonym zaufaniem. W ten sposób zyskuje cała kolonialna gmina angielska na znaczeniu i potęgę: posiada na miejscu to, co jest u niej rasowo *najlepszym* i *najsilniejszym*—posiada swoją „arystokrację“, która z nią idzie ręką w rękę, solidarnie, która ją kształci i uszlachetnia codziennym przykładem życia. Już te czynniki, same przez się, dają kolonistom i pionierom brytańskim pewną wyższość nad Boerami. A gdy się doda, że ci oficerowie, ci awanturnicy z Oxfordu i z Cambridge, ci wytworni salonowcy, młodszy synowie najpierwszych rodów, i ci dobrze znani londyńscy i edynburscy klubowcy są poniekąd zakładnikami sfer, przodujących w życiu politycznym i społecznym W. Brytanii; gdy się doda nakoniec, iż za tymi awanturnikami i w ciągłej z nimi, choć nieoficjalnej, spójni stoi cała dyplomatyczna, handlowa i zbrojna potęga Anglii: czyż dziwić się można, iż urok w taki sposób kolonizującego się brytanizmu onieśmielał prostackich Boerów, nie wywoływał zapалу w ciągu długich lat kamiennego wprawdzie, lecz i bardzo ociążałego, oporu? Trzeba było krzywd dotkliwych, by zapal ten wzbudzić — i głupota, najwyraźniejsza głupota pewnych osobistości w Londynie i na Przylądku, krzywdy te zadala.

Raczej mi czytelnik wybaczyć, iż zatrzymałem się dłużej nad skreśleniem tych rysów wybitnych, które odróżniają tak znamienne pastersko-rolnicze *życie* kolonialne Boerów od energicznie przedsiębierczego, politycznego i spekulacyjnego *postępu* angielskich i szkockich kolonistów. Łatwiej mi teraz będzie opowiedzieć dalsze dzieje rozwoju Afryki południowej.

Nieprzychylnie i odporne usposobienie Boerów względem Anglików spotęgowała ustawa parlamentu brytańskiego w r. 1834-tym, wyzwalająca wszystkich niewolników w krajach kolonialnych. Parlament zażegnał niebezpieczeństwo, indemnizując utracone prawa Boerów sumą 4,200,000 fst. Oprócz tego, parlament zezwolił, by pracą niewolniczą, dozgonną, zastąpiła bezpłatna praca trzyletnia: Hottentot lub Kafr, wysłużwszy trzy lata i wyuczywszy się rzemiosła, czy roboty gospodarskiej, mógł swobodnie obierać — albo dalszą służbę kontraktową i płatną, lub też służbę „na dorobek“, która, zamiast płacy pieniężnej, nadawała mu z czasem prawa własności do pewnych pól i zagród na obszarach niezajętych. W ten sposób, posługując się szczęśliwie i mądrze wręczą w Anglii agitacją antyniewolniczą, zamierzał rząd kolonialny wyprzeć z Przylądka europejskich tubylców za pomocą pierwowotnych: Boerowie stanowili żywioł współzawodniczący, niebezpie-

czny, a plemiona półdzikie i dzikie miały zmienić służbę. Skorzystali Anglicy z dawno zakorzenionej nienawiści plemion ku Boerom—nienawiści, uzasadnionej okrucieństwami i systematycznym a brutalnym tępieniem szczepów afrykańskich przez pierwszych kolonistów. Angielscy misjonarze jęli nawracać Hottentotów do wiary chrześcijańskiej; w powstających miastach i osadach dawano byłym niewolnikom służbę dobrze płatną, z pominięciem statutowego trzylecia—nie zaprzęmano ich do wozów i plugów w miejsce wołów i koni, obchodzono się z nimi rozmyslnie jak najlepiej, urządzono dla nich szkoły, dano im nawet broń do ręki... a gdy się przekonano o ich wdzięczności i lojalności, potworzono z pomiędzy nich kadry wojskowe. Niechby Zulowie wojowali tymczasem z Boerami; swego czasu Hottentoci wzmocnią wojska kolonialne przeciw Zulom!

Boerowie, nie mogąc pogodzić się z nowymi warunkami bytu, zaczęli opuszczać tłumnie granice pierwotnej kolonii Przylądka. W wędrówkach swych (*treks, trekking*) kierowali się najliczniej na północ-wschód, a w r. 1836 znaleźli się w liczbie około 70,000 poza rzeką Orańską i tam zajęli terytorjum, mierzące 41.500 kwadr. mil angielskich. Kraj ten nie był obrany szczęśliwie, gdyż jest otoczony na południu, wschodzie i zachodzie krajami potężnych ludów murzyńskich, z którymi spokoju i bezpieczeństwa być nie mogło; lecz koloniści wyboru nie mieli. Tu osiedli — między rz. Orańską na południu, a rz. Vaal na północy, bez przystępu do morza — i nową ojczyznę nazwali „Wolnem Państwem Orańskim.“ Powstała wkrótce stolica kraju, Bloemfontein — wyrosły prędko liczne miasta. Kraj obfituje w płodyrolnicze, w złoto, dyamenty; Boerowie rozwinęli na olbrzymią skalę hodowlę bydła, owiec i strusi. Ale bezustannie i krwawe boje z ościennymi Zulami niszczyły owoce pracy i zabiegów około ustalenia rządu. Ponieważ zaś plemiona murzyńskie nie ograniczyły swoich wycieczek łupieżkich do Oranii, lecz wkraczały do angielskiego Przylądka, ponieważ nadto Boerowie rozognili wśród dzicy murzyńskiej przeciw sobie i wogóle przeciw białej rasie mściwą nienawiść plemion, skutkiem zaprowadzenia w nowej ojczyźnie niewolnictwa i handlu niewolnikami; przeto rząd Przylądka wysłał najprzód (1845) do Bloemfontein swojego reprezentanta, a w trzy lata potem wojska kolonialne zajęły Oranię. Boerowie opierali się czas jakiś zbrojnie, lecz daremnie, a w końcu większa ich liczba rozpoczęła ponowny „trek.“ przeszła rz. Vaal i w kraj, odtąd zwanym Transwaalem, ukonstytuowała się społecznie po raz trzeci, pod nazwą „Rzeczypospolitej Południowo-afrykańskiej.“ Aby skończyć z epizodem wędrówek boerskich, nadmienię, że, w r. 1854 rząd angielski wycofał się całkowicie z Wolnego Państwa Orańskiego, oświadczając, iż „ludność tamtejsza boer-

ska jest pod każdym względem (*to all intents and purposes*) wolną i niezależną, rząd jej uważany ma być odtąd za rząd wolny i niezależny“<sup>1)</sup>. Boerowie W. P. Orańskiego—zwracam na to szczególną uwagę—nie zjednoczyli się jednakże *politycznie* ze swymi braćmi i sąsiadami na północy, przeciwnie: ukonstytuowali się w rzeczpospolitą osobną. Obecnie prezydentem rzpltej W. P. Orańskiego jest F. W. Reitz, rządzący z deputatami (*Folksraad*). Sądząc z nazwisk tych boerów orańskich, możnaby wnosić, że po południowej stronie rz. Vaalu pozostali francuscy (po hugonotach potomkowie pierwszych na Przylądku kolonistów), spotykamy tam bowiem nazwiska, jak: Blignaut, de Villiers, Pierrefonds i t. d. Lecz między dwiema temi republikami zgoda i pewna solidarność istnieją stale.

Boerowie w Transwaalu obrali pierwszym swoim prezydentem Pretoryusza Wesselsa, który po objęciu rządów używał tylko swojego imienia—niby dynasta—i stolicę nowozbudowaną nazwali „Pretoryą“. Usiłowali przedewszystkiem otrzymać przystęp do wybrzeża morskiego, i w tym celu posunęli granicę wschodnią Transwaalu ku zatoce Delagoa; powstały stąd spór z Portugalią rozstrzygnął wyrokiem rozjemczym, na korzyść Portugalii, marszałek Mac Mahon—w r. 1865-ym. Pretoryusz, straciwszy w r. 1870-ym zaufanie większości swych wyborców, skutkiem nieopatrznej dyplomacyi z Anglikami, przyznającej im najszersze prawa do kopalni dyamentów w Kimberley (na granicy zachodniej Transwaalu), ustąpił z prezydentury na rzecz pastora Burgera, ten zaś pospieszył do Europy, z zamiarem uzyskania pożyczki na budowę kolei żelaznej z Pretoryi do zatoki Delagoa. W czasie jego nieobecności, Boerowie urządzili wyprawę przeciw murzynom sąsiedniego kraju Suazi, rzekomo w celu odbicia zabranych przez nich trzód bydła—a istotnie w nadziei podbicia tego kraju i zbliżenia granic republiki do oceanu Indyjskiego. Wyprawa nie udała się, Boerowie ponieśli znaczną klęskę i wypadek ten rozzuchwalił plemiona do tego stopnia, że „trwoga padła na wszystkie kolonie europejskie“<sup>2)</sup>. Możemy sobie pozwolić rzucić wyraźniejsze światło na ów „wypadek“: najbliższymi koloniami europejskimi były wówczas (1872) tylko obie republiki holenderskie i kolonia portugalska, a przecież Anglia nie była ich zwierzchniczką, ani protektorką. Kolonia angielska, Przylądkowa, nie mogła mieć żadnego powodu trwogi przed rozzuchwaleniem plemionami, gdyż dzieliły ją od nich ogromne przestrzenie, kraje przyjaznych jej wtedy szczepów Basuto, Grika i Zulów Natalu. Czy nie można przypuszczać, iż Suazowie otrzymali zachętę do łupieskich wy-

<sup>1)</sup> Deklaracya lorda Aberdeene, pierwszego ministra, 4-go czerwca, 1854 r.

<sup>2)</sup> *Official Correspondence*, Transvaal, 1872, Nr. 116.

cieczech w granice Transwaalu... a odwetową wyprawę Boerów odparli z pomocą współplemieńców z Natalu? Bo jakież były następstwa?

Gabinet londyński wysłał do Pretoryi sir Teofila Shepstone'a, z żądaniem, by transwaalski *Volksraad* zaprowadził w kraju pewne reformy, albo—by Rzplta południowo-afrykańska stała się federacyjną częścią brytańskiego imperyum! Narady trwały kilkanaście miesięcy, a tymczasem obecność angielskiego agenta w Transwaalu <sup>1)</sup> zachęciła i ośmieliła tłumy za tłumami przybyszów angielskich do osiedlania się w kraju o granicach wschodnich i północnych niezakreślonych, w kraju przedziwnie zasobnym, a pogrążonym administracyjnie i finansowo w bezład niemal anarchiczny. Transwaal zaludnił się wtedy więcej niż w połowie awanturnikami brytańskimi, zjawiać się poczęli przybysze niemieccy i francuscy, a na północnych granicach kolonii Przylądkowej wojskowa policja brytańska musztrowała kupy Hottentotów. Nakoniec 12 kwietnia 1877, kiedy transwaalski *Volksraad oświadczył się z gotowością do przyjęcia alternatywnej reformy*, Shepstone wydał proklamacyę z Pretoryi, oznajmującą, iż Rzplta południowo-afrykańska została wcieloną bezwarunkowo do imperyum brytańskiego! Ogołoceni ze środków materyalnych, zagrożeni finansową upadłością i ówczesnie niezgodni między sobą, Boerowie skłaniali się już do przyjęcia poddaństwa brytańskiego, ale domagali się równouprawnienia politycznego, równych przywilejów obywatelskich i reprezentacyjnych z kolonistami angielskimi. Gdyby Shepstone był zadośćuczynił tak skromnemu i słusznemu żądaniu, nie można wątpić ani na chwilę, że miała-by dziś Anglia w Boerach obywateli najlojalniejszych. Lecz agent brytański, a z nim generał wojsk przyładkowych i imperyalnych, smutnej pamięci sir Bartle Frere, oparł się stanowczo naleganiom i prośbom, usprawiedliwiając rzekomą konieczność zaprowadzenia rządu, poniekąd wojennego, groźną postawą plemion i niebezpieczeństwem wojny z Zulami w Transwaalu, w Wolnem Państwie Orańskiem i w Natalu.

Nastąpiła w usposobieniu Boerów, dotąd cierpliwych i Anglii przychylnych, gwałtowna reakcja: w ośm miesięcy po proklamacyi Shepstone'a, odbyli oni walną naradę w Doornfontein, i wysłali do Londynu dwóch członków ostatniego *Volksraadu*, Kruegera i Jorissenę—z memoriałem, przedstawiającym stan rzeczy i proszącym o odwołanie zaborczej proklamacyi. Missya ta okazała się bezskuteczną... Tymczasem, sir Bartle Frere, najwięcej odpowiedzialny za organizacyę wyjątkowej konstytucyi Transwaalu, sprowadził przez swoją, iście barbarzyńską względem murzynów, bezwzględność, długi szereg

<sup>1)</sup> Towarzyszył mu w charakterze prywatnego sekretarza słynny od owych czasów powieściopisarz, Rider Haggard.

krwawych zatargów między kolonistami i plemionami. Przypomnę tu tylko smutną wojnę Anglików z Zulami, fatalną klęskę armii brytańskiej pod Izandulą (22 stycznia 1879), gdzie zginął młody książę Ludwik Napoleon, uciążliwą następnie wojnę z Boerami i ich zwycięstwa. Boerowie obudwóch republik, przekonani o dwulicowości gabinetu londyńskiego, który, jak mu chwilowa konieczność dyktowała, albo popierał działania swoich kolonistów w Afryce, lub się ich wypierał, postanowili wspierać się wzajemnie. W Transwaalu ustanowił się rząd narodowy, którego członkami byli: Krueger, Pretoryusz i generał Joubert, jako tryumwirat wykonawczy, oraz Jorissen, prokurator Rzpłtej; naczelne dowództwo nad rokoszanami oddano Joubertowi, powołano do broni wszystkich mężczyzn w wieku od lat 16-tu do 60-u. Wiadomo, że na pagórku Madżuba Boerowie odnieśli decydujące zwycięstwo (21 lutego 1881), choć słusność każe przyznać Anglikom zdobyte wtedy wawrzyny bohaterstwa. Podobnie, jak Jameson, na czele garstki 550 żołnierza, walczył dwa dni, 1 i 2 bieżącego miesiąca, przeciw armii sześć razy silniejszej, tak przy Madżubie, 648 wojska kolonialnego stawilo opór korpusowi Boerów, liczącemu z górą 4,000 ludzi—i nieustąpiło dopóty, dopóki nie zabrakło amunicyi. Poległ tam dowódzca angielski, sir G. Colley.

Gabinet Gladstone'a, w obawie, by ten pógrom wojsk kolonialnych nie pociągnął za sobą gorszych następstw, postanowił wysłać do Afryki generała Roberta, z armią 12-totysięczną. Lecz—z jednej strony, ówczesne wypadki w Irlandyi i w Egipcie, a z drugiej strony akcyja angielskiej „partyi pokojowej“ sprawiły, że wyprawy zaniechano. Odwołano natomiast z Afryki sir Bartle Frere'a, a zastąpiono go żołnierzem dyplomatą, generałem sir Evelynem Woodem. Ten zawarł z Boerami traktat pokojowy (1881), którego warunki, choć następnie nieco zmienione, stanowią dzisiejszą konstytucyę polityczną Transwaalu w obec Anglii i innych mocarstw. Anglia zrzekła się wszelkich i wszystkich pretensyi do Transwaalu—natomiast rząd boerski zobowiązał się szanować ogólnopństwowe wymagania i względy W. Brytanii o tyle, iż *bez wiedzy i sankcyi rządu angielskiego nie miał utrzymywać stosunków dyplomatycznych z żadnem mocarstwem, zawierać układów politycznych z żadnym ludem afrykańskim*. Boerowie odzyskiwali całkowitą niezależność w Transwaalu—Paweł Krueger został obrany prezydentem Rzpłtej.

Traktat ten zadowolil stronnictwo pokojowe w parlamencie londyńskim i w gabinecie Gladstone'a; zadowolil Boerów, pragnących żyć w zgodzie i pokoju z brytańskimi współkolonistami; lecz nie zadowolil Anglików na Przylądku i w krajach otaczających boerskie posiadłości. Przypominam, iż jak w wolnem Państwie Orańskim, tak i w granicach

Rzpltej południowo-afrykańskiej— a ściślej mówiąc, między rz. Zambazy i rz. Orańską—liczba kolonistów angielskich wzrosła i wzrastała bezustannie i całkiem bezproporcjonalnie do liczebego stanu ludności boerskiej. Obok zaś Anglików, istotnie, z nimi równocześnie—bo w ich służbie— osiedlały się całe gminy Hottentotów i Kafrów, żywiących tradycyjną nienawiść do Boerów i zawsze gotowych do konszachtowania z bojowniczymi szczepami ościennymi. Z postępem lat i wypadków zmienił się też charakter brytańskiego do Afryki wychodźstwa: zwiększyła się w niem liczba doświadczonych inżynierów, górników, mineralogów; a gdy odbierane od nich wiadomości o nieprzebranych skarbach kruszcowych Transwaalu i dalszych na północy krain przeszły do najszerszej publiczności w Anglii i na stałym lądzie Europy, ruszyły z Europy i z Ameryki tłumy najmniejbezpieczniejszego dla młodych społeczeństw żywiołu—spekulantów najniższego rodzaju, zastawiających się nabytem czempredziej obywatelstwem brytańskim. Fakt to niezmiernie ważny, daje on nam klucz do zrozumienia ostatnich wypadków w Transwaalu wogóle, a szczególnie w Johannesburgu. Stwierdzam i ten fakt, ogólnie znany i niezaprzeczony, że do Transwaalu i W. P. Orańskiego śpieszyli i śpieszą najliczniej po Anglikach—żydzi niemieccy, węgierscy i inni. Południowa Afryka jest jedyną stroną świata, w której żydzi, nietylko nabywają rolę, nietylko na niej się osiedlają, lecz ją i uprawiają—a uprawiają pracowicie i pomyślnie. Pracowitość jest bezwątpienia przymusową: któżby, wśród Boerów, Anglików i Amerykanów, zaciągał się do ręcznej pracy u żyda, mając otwarte przed sobą obszary niezmierzone? Z murzynami... stosunek jest zapewne trudniejszy. Pomyślność tłómaczy się nazwiskami firm, importujących do południowej Afryki, i pojedynczych kupców, sprzedających w Afryce wyroby alkoholiczne Hamburga i Lubeki. A wreszcie, mając przy swej zagrodzie wszelakie sposobności do handlowania wódką, wymieniania jej na ogromne płaty ziemi— jest żyd, kolonista początkujący, karczmarzem, oberżystą i przekupniem, jest także... spekulantem: spekuluje na możliwe w swojej ziemi skarby złota, lub srebra, węgla, lub dyamentów; spekuluje na przechodzących górników, na ich przysłówiowe pijaństwo, na luty cennego kruszcu, jakie mają przy sobie...

Traktat r. 1881 nie zadowolił kolonistów angielskich i „brytańskich“. Dla tego, nie tracąc czasu, postarali się, by w Kapie (stolicy Przylądka) i w Londynie nie ustawały skargi na Boerów. Skarżyli się, że choć uzyskali od Krnegera te i owe koncessye i monopole, to korzystać z nich nie mogli, bo rząd boerski uniemożliwił im prowadzenie handlu z krajami po-za Transwaalem. Boerowie podzegli między plemionami nienawiść i bunt przeciwko wszystkiemu, co brytańskie.



Rząd Pretoryi nie potrafił żyć w spokoju z plemionami na północy — w kraju Maszona i Matabele — na zachodzie, w kraju Beczuana — i na wschodzie z Zulami i Suazami. Boerowie zaczęli dwukrotnie plemiona Mampoczów i Mampurów, zostali haniebnie pobici, zachęcili murzynów do urządzania rozbójniczych najazdów na osady brytańskie, i t. d. Skargi te rozjątrzyły w Kapie umysły kierowników kolonizacyjnej polityki angielskiej, a w Londynie, gdzie i egipska, i irlandzka kwestya przestały być palącemi, poczęto żałować zaniechania wojennej wyprawy gen. Roberta.

Przezorny, chłodny, choć podobno dziwnie prostaczy rozum Kruegera, potrafił znaleźć wyjście z niebezpiecznego położenia. „Wujaszek Paweł“, jak go zowią powszechnie swoi i obcy, przybył do Londynu. Rezultatem jego konferencji z ministrami była ta konwencya z r. 1884, która jest w tej chwili przedmiotem najrozmaitszych komentarzy międzydyplomatycznych i prasowych. Przez tę konwencyę, ażeby położyć koniec zatargom Boerów z plemionami północy i zachodu, gabinet londyński *zezwoił* na wysunięcie granic północnych Transwaalu o kilkaset mil dalej, aż po terytorya Matatelów. Natomiast, kraje zachodnie Transwaalu — od rz. Limpopo na północy i rz. Orańskiej na południu, aż do krajów zachodniego wybrzeża Afryki, czyli do granic krajów Damara i Namakwa — przeszły, pod nazwą „Brytańskiej Beczuanii“, pod polityczną jurysdykcyę W. Brytanii, a administracyjną władzę kolonii Przylądka. Tu miejsce zapisać, że tego samego roku <sup>1)</sup> częściowo, a w r. 1891, całkowicie, oba kraje wybrzeża przy-atlantyckiego, Damara i Namakwa, otrzymały protektorat Niemiec, że atoli Anglia zachowała sobie i dzierży niepodzielnie zatokę Walfisch (na północnem wybrzeżu Damary) z odpowiednią smugą lądu. Beczuania, mająca obszaru 170,000 ang. mil kwadr., zamieszкана licznie przez szczerze przyjazne Anglii plemiona, rozdzieliła więc zachodnie posiadłości niemieckie od wschodnich boerskich. Kraje niemieckie są zaledwie w niemowlęctwie administracyjnego rozwoju.

Czy konwencya londyńska z r. 1884 zniosła owe warunki w traktacie z r. 1881, które nie pozwalały Boerom wchodzić *bezpośrednio* w stosunki dyplomatyczne z mocarstwami? Odpowiedź na to pytanie daje nam Artykuł II konwencyjnego aktu; czytamy: „Rząd i lud Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej jest i ma być odtąd rządem i ludem wolnym i niezależnym *w granicach tego terytoryum, jakie się określa poniżej*“. W Berlinie i w Hamburgu, a zapewne dziś i w Pre-

<sup>1)</sup> Prezydent Krueger udał się z Londynu do Berlina, gdzie był gościem cesarza Wilhelma I.

toryi, artykuł ten tłómaczą w ten sposób: W zamian za odstąpienie Beczuanii, prezydent Krueger otrzymał od gabinetu Gladstone'a uznanie bezwarunkowej swobody i niezależności rządu Rzpltej, czego dowodzi fakt, iż w akcie konwencyjnym z r. 1884 nie powtórzono klauzuli restrykcyjnej traktatu Ewelyna Wooda. Tymczasem w Londynie i w Kapie twierdzi się z wszelką stanowczością, że konwencya londyńska z Kruegerem zmodyfikowała wprawdzie ową klauzulę *tacite*, gdyż ani jej nie powtórzyła, ani o niej nie napomknęła; że jednakże wystarczy przeczytać uważnie akt z r. 1884, by się przekonać, iż ani rząd angielski nie zrzekł się praw i obowiązków „dyplomatycznej władzy najwyższej i wyłącznej“ w Transwaalu (*Paramount diplomatic Power*), ani takiego zrzeczenia się nie żądał rząd i prezydent Rzpltej. Przeciwnie: potwierdzenie polityczno-dyplomatycznego zwierzchnictwa (*Suzerainty*) W. Brytanii nad Rzpltą przebija się wyraźnie ze słowa „zezwoił“ w akcie z r. 1884, gdzie mowa o przyzwoleniu Anglii na wysunięcie północnych granic Transwaalu, oraz ze słów Art. II, świadczących, iż rząd i lud Rzpltej jest wolnym i niezależnym „w granicach terytoryum“ transwaalskiego, lecz nie po-za niemi. Że w ten tylko sposób rozumieć należy akt konwencyi londyńskiej, i że nie inaczej rozumiał rząd Rzpltej stosunek swój do W. Brytanii, udawadnia się i tem, że do ostatnich czasów, rząd i *Volksraad* Transwaalu prowadził urzędowe negocyacye z mocarstwami tylko z wiadomością i za pośrednictwem angielskich ministrów dla spraw kolonialnych i zagranicznych. Oni-to, a nie rząd Pretoryi, podpisali układ W. Brytanii z Portugalią (1885), mocą którego, gdyby Portugalia skłaniała się kiedykolwiek do sprzedania zatoki Delagoa, Anglia mieć będzie najpierwsze przed wszystkimi innymi mocarstwami prawo do nabycia tego stanowiska morskiego, które przecież dla rozwoju i ustalenia handlu rzpltej transwaalskiej jest potrzebne. Co więcej, gdyby polityczne nad Transwaalem zwierzchnictwo W. Brytanii nie było i po r. 1884 faktem niezaprzeczonym, to nie była-by Anglia zezwoiła i aktem parlamentarnym nie była-by zatwierdziła układu kompanii finansowej angielskiej z rządem portugalskim (1887), skutkiem którego kompania otrzymała koncesyę i monopol na lat 90 na budowę i administracyę kolei żelaznej od zatoki Delagoa do rzeki Komati — w granicach Transwaalu. Gdyby Transwaal był republiką, bezwarunkowo od Anglii niezawisłą, to wszelkie porozumiewania się z rządem Pretoryi odbywały-by się wprost przez londyńskie ministeryum spraw kolonialnych; tymczasem rząd Pretoryi ani nie zamarzył o komunikacyach innych, jak za pośrednictwem rządu Przylądkowego i namiestnika królowej w Kapie. Nakoniec, agent imperyalny angielski w Pretoryi nie jest zwany „konsulem“ — lecz „rezydentem.“

Są jeszcze dwie inne uwagi (o których poniżej), mające udowodnić Boerom i mocarstwu, że Anglia, nie roszcząc pretensyi do zachowania sobie protektoratu nad Transwaalem, zachowała w całej pełni zwierzchnictwo dyplomatyczne i tego się zrzec nie myśli, nie może. I doprawdy nie łatwym będzie zadanie tych, którzy zechcą wywody powyższe obalić. Dla tego nie dziw, iż w Berlinie, Hamburgu i w Pretoryi mowa jest obecnie o... zmuszeniu Anglii do odwołania poprzedniej konwencyi i do uznania obu republik boerskich w Afryce — państwami, równie od korony brytańskiej niezależnymi, jak niezależną jest od niej Francya, lub przynajmniej Szwajcarya. Jednakże, ciąg niniejszej pracy wymaga stwierdzenia, iż prezydent Krueger konwencyę r. 1884 podpisał i że z rządem swoim działał zgodnie z jej treścią i duchem, ani razu nie zaprzeczywszy Anglii praw, którym po raz pierwszy zaprzeczono w Berlinie.

Pokrótkie tylko zaznaczę główne wypadki późniejsze w postępie angielskiej polityki kolonialnej w Afryce, bo świeże są zapewne jeszcze w pamięci czytelnika dzienników.

Kiedy bohaterskiej pamięci generał Gordon, podjąwszy się obrony Chartumu w Sudanie, wybierał przed wyjazdem z Londynu oficerów swego sztabu i urzędników (1884), chciał, by sekretarzem jego był Cecil Rhodes. Lecz ten, będąc od lat paru członkiem przyładowanego parlamentu, przyjął był właśnie w Kapie tekę ministeryalną, więc Gordonowi towarzyszyć nie mógł. Cecil Rhodes jest typem kolonialnego awanturnika angielskiego, tej kategorii, jaką nieco wyżej starałem się dać poznać — awanturnika w najlepszem znaczeniu wyrazu: jednego, i to nienajpośledniejszego, z tych pionierów cywilizacyi, handlu i potęgi W. Brytanii, którym korona angielska zawdzięcza najpyszniejsze swoje klejnoty, a naród — najdalszy i najkorzystniejszy rozlew swej zbiorowej energii i przedsiębiorczości. Urodził się jako czwarty syn pastora anglikańskiego, 5 lipca 1853, w miasteczku Bishop-Stortford, w niedalekiem od Londynu hrabstwie Hertford. Pierwsze nauki pobierał w miejscowej szkole wyższej, a po ich ukończeniu — ponieważ zdrowia był słabego — wyprawił go ojciec do Natalu, gdzie jeden z braci Cecila (dzisiaj więziony w Pretoryi pułkownik Rhodes) był plantatorem. Naprawiwszy zdrowie, Cecil wrócił do Anglii i zapisał się na studia uniwersyteckie w Oxfordzkim kolegium Oriel. Celował więcej w sporcie wioślarskim i piłkowym (*criquet*), aniżeli w klasykach i filozofii, ale w końcu czwartego roku zdobył sto-

pień bakałarza *artium*. Natychmiast potem pożegłował do Kapu, a w r. 1882 widzimy go już reprezentantem miasta i okręgu Barkly, w ciele prawodawczem kolonii. Jako minister rolnictwa i publicznych robót, korzystał niestrudzenie z wszelkich a ciągłych okazji, by się zapoznać z najdalszemi krajami po-za łańcuchem kolonialnych posiadłości. Charakter jego ujawnia się w całej jego dotychczasowej działalności: dowiódł Rhodes odwagi i śmiałości, tak moralnej jak fizycznej, jakiej się w nim, człowieku wątlęgo zawsze zdrowia, nikt nie domyślał; dowiódł i dowodzi patryotyzmu bezinteresownego, biorąc na się całą odpowiedzialność za rządy polityczne i za administrację krajów, większych od największych państw europejskich, a nie przyjmując żadnych, kilkakrotnie sobie ofiarowanych, zaszczytów. Zarazem dał wyraz niedwuznaczny siły i niezawisłości swych zasad, kiedy, ministrem będąc, wysłał z własnej szkatuły 10,000 funtów szt. Karolowi Parnellowi, jako zasitek dla funduszu postów irlandzkich w Londynie... Cecil Rhodes dowiódł też wielokrotnie, że, w razie potrzeby (a nierzadko bez potrzeby), przestają dla niego istnieć jakieniebądź względy: przeczyć niepodobna, że jest — po prostu brutalem. Rozmaite względy uniemożliwiają mi bardziej szczegółowe wykazanie tego właśnie rysu w człowieku, który, objawszy w r. 1890 ster rządów kolonialnego angielskiego w południowej Afryce, jako pierwszy minister, rozwinął zdumiewającą świat cały działalność, stał się duchem i sprężyną kolonialnej polityki W. Brytanii, zasłużył na miano „niekoronowanego monarchy Afryki“ i założył podwaliny najogromniejszego w dziejach ludzkości zaboru. A zaboru na rzecz państwa, które jest w Europie „zachodniem“, któremu życzy się, może powszechnie, w tej chwili *upokorzenia*; lecz którego *zagłady* nie chce widzieć, ani przewidywać ludzkość ucywilizowana...

W najdalszych od Kapu krajach, w stronach stosunkowo bezludnych i we władztwach plemion, etnograficznie Europie nieznanych, od północnych granic Transwaalu i Beczuanii, aż do północnego brzegu jeziora Tanganiki, aż po sąsiedztwo sudańskiego Chartumu, więc aż ku południowym sferom idealnej hegemonii Egiptu, miał i ma Cecil Rhodes swoich i swojej polityki pomocników: ludzi związanych z pierwszym ministrem Przylądka koleżeństwem oxfordzkim, najzażyłszą przyjaźnią, zaufaniem, bezgraniczną wzajemną wiarą w siły wzajemne. Taki np. Rider Haggard, zamożny w Anglii obywatel ziemski, szukając przygód myśliwskich i zasobów dla swej publicystycznej i powieściopisarskiej wyobraźni, umiał nawiązać dla przyjaciela ministra mnóstwo stosunków z naczelnikami odległych szczepów, a te stosunki wydały niebawem najszcześniejsze rezultaty. Taki — pono w całym świecie najślymiejszy, nowożytny Nemrod — J. Selous, bląkając się

sam jeden, lub tylko samowtór z młodym Kafrem, po stepach, lasach i bagnistych okolicach Afryki środkowo-wschodniej, w pościgach za słońcem, lwem, bawołem i nosorożcem, docierał do koczowisk, w których znajdował królików murzyńskich, sfederowanych z potężnymi swojej rasy możnowładcami — umiał z nimi żyć i obcować całe miesiące, poznać ich życie i obyczaje, zjednać sobie ich życzliwość. On-to, Selous, był zaufanym powiernikiem Lobenguli, jednego z najpotężniejszych w Afryce mocarzów, króla Matabelów; on, w zachodnio-północnej Bezuanii, ku posiadłościom niemieckim, wynalazł dzielnych Bamangwatów, których król, Khama, przyjął następnie chrześcijaństwo i z całym swym ludem stanął pod flagą brytańską, na wschodnich kresach angielskich kolonii. Henryk Johnston, również kolega Rhodesa w Oxfordzie, traktował równocześnie z ludami Najazy i Ugandy.

Wymieniłem trzech najznakomitszych przyjaciół i popleczników Rhodesa, najwybitniejszych pionierów kolonizacyjnej polityki i przedsiębiorczości brytańskiej. Lecz takich było i jest mnóstwo! Wszakże synowie najpierwszych rodzin angielskich, zwłaszcza młodszy synowie, przenoszący życie przygodne nad karierę prawniczą, lub duchowną, wszakże młodszy oficerowie pułków gwardyi królewskiej, znużeni jednostajnością w klubach i koszarach, wszakże dziedzice olbrzymich fortun bankierskich i handlowych, pragnących wyjść przebojem ponad swą sferę towarzyską, wszakże ci wszyscy i ludzie zawodowi, rwący się niecierpliwie do użycia swych zdolności na polu szerokiem a dziewiczym, składali swoje siły, ambicje, stosunki, talenty mężowi na Przylądku wszechpotężnemu, który umiał je spożytkować najodpowiedniej. Wielu wracało do Anglii, lecz najczęściej po to jedynie, by zebrać przyjaciół na nowe, dalsze i niebezpieczniejsze po Afryce wyprawy. Przypomnę, że zgryziony intrygami westminsterskiemi, zaciekawiony pogłoskami o bogactwach Maszony i Matabelii, a nadto zapalony do afrykańskiego myślistwa, pośpieszył tam z licznym towarzystwem zmarły przed rokiem lord Randolf Churchill. Niepotrzebnie wskazywał-bym wpływ przykładu z góry; parokrotnie już zaznaczyłem charakter tłumów, śpieszących z całej Europy do południowej Afryki, tu więc raz jeszcze przypomnę z naciskiem, że jeżeli czoło wychodźstwa stanowią patrycyusze rasy i inteligencji, to po-za tem czołem i po-za tułowiem zdrowym dzisiejszego pokolenia kolonialnego, wślizguje się (*sit venia verbo!*) ogon kosmopolitycznych szumowin, w Europie zabłocony i europejskie wlokący do Afryki błoto...

Dnia 29 października 1889 królowa zatwierdziła statuta zapoczątkowanej przez Rhodesa „Brytańskiej kompanii południowo-afrykańskiej“. Jak niegdyś holendersko-indyjska, później angielska, wschodnio-indyjska, tak w naszych czasach ta kompania otrzymała od

swego rządu pełną władzę polityczną, administracyjną i ekonomiczną nad pewnemi dość ściśle zakreślonymi obszarami, władzę, zależną od sankcyi parlamentu ogólnopństwowego, ilekroć miała obejmować dalsze regiony, lub wymagać porozumienia się z ludami i rządami obcemi. Prezesem kompanii jest książę Abercorn, wiceprezesem — zięć księcia Walii, książę Fife; dyrektorami są: lord Gifford, Alfred Beit, Albert Grey, Cecil Rhodes, Jerzy Cawston i szwagier ks. Fife, sir H. Farnquhar; szefem sekretaryatu jest Herbert Canning, administratorem kompanii w krajach: Maszonie, Matabelii i Beczuanii, tak dziś głośny Dr. L. S. Jameson, a komisarzem w dalekiej Najazie (*Nyasaland*), H. H. Johnston. Jurydykcyja kompanii sięga od mniej więcej 28 stop. szerokości południowej do 2 stop. nad Równikiem, z wyłączeniem atoli: Namakwy, Damary i terytoryum wschodnio-afrykańskiego, naprzeciw Zanzubaru (krajów niemieckich), wolnego państwa Kongo i posiadłości portugalskich — Angoli, na zachodnim Mozambiku, na wschodnim wybrzeżu. Muszę tu zaznaczyć, iż mapy angielskie zabarwiają jurydykcyę brytyjską w ten sposób, że wychodząc z Kapu, może Anglik, nie opuszczając tej jurydykcyi, dojść aż do Aleksandryi w Egipcie <sup>1)</sup>.

Zawarte z gabinetami lisbońskim i berlińskim traktaty dały kompanii południowo-afrykańskiej terytoryum, zajmujące 750,000 kw. mil angielskich, a przeto krainę, blisko 9 razy większą od Anglii, Szkocyi i Walii. Od nazwiska największej tego regionu rzeki nazwano rozmaite kraje kompanii ogólnem mianem — Zambezyi. Lecz dzisiaj i w potocznej mowie, i w parlamentarnych rozprawach, w czasopiśmie i nawet w komunikacyach rządowych, wszystkie okolice Afryki południowej, między rz. Orańską i źródłami Nilu, zowią się najpowszechniej — „Rodezyą“ (*Rhodesia*). Po zwycięskiej wojnie kompanii z Matabelami (1894), po ostatecznych układach z królem Kamą, po-

<sup>1)</sup> Oto droga: z Przylądka do Beczuanii, Matabelii, Maszony, Barotse, do Najazy. Stamtąd, wzdłuż wschodniego brzożu Tanganiki, przesłizgnie się Anglik kresami wschodniemi państwa Kongo do jezior Alberta Edwarda i Alberta, należących do brytyjskiej Ugandy. Dalej po-przez olbrzymie posiadłości „Brytyjskiej kompanii wschodnio-afrykańskiej“, między granicami Abisynii i wschodniego Sudanu, idzie Anglik do Berberu i do Suakinu, a już stąd, wybrzeżem morza Czerwonego i brzożem kanału Sueskiego, dochodzi do Port Said i do Aleksandryi. Dodajmy przy tej sposobności resztę afrykańskich posiadłości Anglii; Sierra Leone, na wschodnim wybrzeżu, kraj Złotego Wybrzeża (Aszanti), brytyjską Gwineję i zatokę Walfisch. Nadto, na wyspach Wniebowstąpienia i św. Heleny ma brytyjska marynarka załogi i magazyny dla floty zachodnio-afrykańskiej, podczas gdy flota wschodnio-afrykańska, prócz Suez i morza Czerwonego, ma swoje własne stacye w Adenie, na wyspach Sokotrze, Sejszelskich i Maurycyego.

wstały w krajach poszczególnych osady i miasta brytańskie, stanowiąca obronne. W Beczuanii, tuż przy granicy Transwaalu, widzimy Mafeking — miasto forteczne, mające stałą załogę około tysiąca oficerów i żołnierzy w służbie kompanii. Nieco dalej na północ, we Wryburgu, rezyduje becuański administrator kompanii. W Maszonie, była stolica króla Lobenguli; Buluwajo jest siedliskiem sub-administradora, a środkiem wojennej kraju obrony jest nowozałożone miasto Salisbury. O klimacie Rodezyi piszą i opowiadają cuda — a tylko nad rzeką Zambezy mają srożyć się w pewnych porach roku zaraźliwe febrzy. Pora deszczów trwa przeciętnie od listopada do lutego, z deszczospadem 40-sto-calowym. Ziemie nadają się wybornie pod uprawę zboża, lecz daleko lepiej do hodowli bydła. Dotychczas atoli, mineralne bogactwa Rodezyi zajmują uwagę i pracę kolonistów niemal wyłącznie. Faktem jest nadto niezaprzeczonem, że od ukończenia wojny kompanii przeciw Lobenguli zaczyna się dopiero fenomenalny rozwój i rozkwit ekonomiczny samegoż Transwaalu: angielscy i przeróżni „brytańscy“ koloniści, napływający swobodnie do kraju republiki boerskiej, znaleźli tam — złoto. A pożądany kruszec znajduje się tam w takiej ilości, że w porównaniu z nią niczem są wszystkie razem wzięte dotychczasowe eksploatacye Kalifornii i Australii. Transwaalskie złoto, dobywane, skutkiem dawnych koncesyji gruntowych, przez kolonistów brytańskich, zubożyciło Boerów i skarb rządu rzplitej, lecz równocześnie sprowadziło do kraju wędrowkę najgorszego żywiołu europejskiego — a w samej Europie wytworzyło gorączkę spekulacyjną, jakiej nie było jeszcze równej, ani nawet podobnej!

*Aurea nunc vere sunt saecula; plurimus auro*

*Venit honos; auro conciliatur Amor.*

Czasy są nasze, zaprawdę, czasami złota — jednakże niezłotemi — i, jak za dni Owidyusza, „złoto wszelkie przynosi zaszczyty, złotem kupuje się miłość.“

Lat temu dziewięć, ta południowa okolica Transwaalu, z której, równocześnie z niemowłęcym Nowym Rokiem 1896-ym, wstało przed całym światem widmo wojny — była stepem, prawie bezludnym. Step miał nazwę boerską: Witwatersrand, lub w skróceniu: Rand. Część tego Randu nabyła gromada przybyszów z Przylądka, z Natalu i z Beczuanii; koloniści przybyli z tabunami bydła — osada miała być pasterką. Lecz Rand odsłonił swoje skarby. Lat temu dwa powstało na Randzie miasto — Johannesburg; przy założeniu liczyło 20,000 mieszkańców. Dziś liczy ich 100,000. A w całym Transwaalu, obok 3,278,000 Boerów, jest dziś Anglików i „brytańskich“ kolonistów — 2,800,000! Wszystkie kopalnie złota zachodniej i zach.-południowej Australii wydały w ciągu r. 1895-go 237,600 łutów kruszcu; Rand wydał w tym sa-

mym roku 395,600 łutów! <sup>1)</sup>). Rząd Pretoryi zarejestrował 31-go grudnia 1894, 140 kompanii, eksploatujących kopalnie Randu, z kapitałem zbiorowym 24,702,815 funtów st.

Kilka tych szczegółów o Johannesburgu i Randzie wystarczy może czytelnikowi do zrozumienia doniosłej kwestyi: Cudzoziemców (*Uitlanders*) i Boerów w Transwaalu. Cudzoziemcy osiedlili się w granicach Rzpłtej i zajęli się eksploatacją jej bogactw, z rezultatami dla siebie najświetniejszymi. *Lecz poddaństwa i obywatelstwa W. Brytanii nie zrzekli się i zrzec się nie chcą.* Choć więc stanowią prawie połowę całej ludności kraju, choć wzniesli więcej niż połowę miast transwaalskich i o porzuceniu kraju nie myślą; jednakże upierają się przy zachowaniu sobie charakteru politycznego odrębnego i opieki państwa zagranicznego. Cudzoziemcy, powołując się na zwierzchnictwo W. Brytanii nad Transwaalem, na swoją liczbę, na wysokość regaliów, jakie opłacają rządowi Pretoryi, stawiają od lat sześciu następujące żądania: I. Transwaal ma się ukonstytuować republiką *de facto*, nie tylko nominalnie, z konstytucją, zatwierdzoną przez *całą* ludność; II. wszystkim mieszkańcom kraju mają służyć równe przywileje wyborcze do parlamentu i do administracji obwodowych i municypalnych; III. język angielski ma być, narówni z holenderskim, językiem państwowym; IV. szefowie wydziałów rządowych mają być odpowiedzialnymi przed ciałem prawodawczym; V. zniesione mają być ustawy przeciw innowiercom; VI. ustanowione być mają trybunały niezawisłe, sędziowie mają być płatni; VII. liczba szkół ma być znacznie powiększona; VIII. ulepszona ma być służba rządowa, z wyższą płacą dla urzędników — i IX. wprowadzona ma być wolna wymiana handlowa produktami afrykańskimi. Silne organizacje (*Uitlanders' Union* i *National Reform Committee*, mające swe siedziska w Johannesburgu i na Randzie, prowadzą bezustanną agitację w myśl tych żądań.

Mielizby Boerowie przychylić się do nich? Nie potrzeba chyba wskazywać, że takie ich ustępstwa równały-by się oddaniu Transwaalu w ręce kompanii południowo-afrykańskiej — w ręce Anglii. Przyznają sami Anglicy, że Boerowie okazują chęć utrzymywania pokojowych i przychylnych stosunków z kolonistami brytańskimi we własnym kraju. Są znaki, że prezydent Krueger skłania się do zaprowadzenia pewnych reform na korzyść cudzoziemców. Ale... polityczne zlanie się Boerów z brytańskimi cudzoziemcami byłoby niewątpliwem samobójstwem żywiołu holenderskiego, kiedy przecież napływ tych cudzoziem-

<sup>1)</sup> Lord Dummole w artykule „Nowe Eldorado“ w *Pal Mall Magazine*, stycznia, 1896. Przeciętna cenna łuta złota jest 50 rubli sr, przy kopalni.



ców staje się z każdym rokiem ogromniejszy, kiedy Anglia ma prawo kupna zatoki Delagoa i kiedy niema już gdzie Boerom wędrować dalej

Wypadki ostatnie, od 28-go grudnia, znane są czytelnikowi. Ry-  
sami ich najwybitniejszymi są: niemal otwarty rokosz w Johannesburgu  
i na Randzie, jako też po całym Transwaalu — rokosz cudzoziemców,  
przygotowany przez obie, wymienione powyżej, organizacje. Rozdano  
26,000 karabinów, wysłano z Johannesburga (miasta prawie całkowi-  
cie angielskiego) kobiety i dzieci. Utrzymywano zapal wojenny pogło-  
skami, niewiadomo jeszcze, do jakiego stopnia zmyślonemi, o solidar-  
nem przeciw Boerom usposobieniu administratora i wojsk kompanii,  
całej ludności (nawet boerskiej) <sup>1)</sup> Przylądka, a nadewszystko pierw-  
szego ministra, Rhodesa. Zażądano zbrojnej pomocy wojsk kompanii,  
konsystujących w pogranicznym Mafekingu — i żądanie to umotywowano  
rzekomą trwogą kobiet i dzieci przed zbliżającem się wojskiem  
boerskiem, grożącym głodzeniem miasta przez blokadę, której celem  
miało być zmuszenie agitujących organizacji do rozwiązania się, wy-  
muszenie złożenia broni i odstąpienia od żądań. Administratora kom-  
panii, Dra Jamesona <sup>2)</sup>, upewniono, że parotysięczny korpus zbrojnych  
mieszczan wyjdzie z Johannesburga, by pomoc spotkać w pół drogi  
i otworzyć jej miasto. Szczególniej naglące musiały być prośby — *jeżeli  
innych osobliwych nie było powodów* — którym uległ człowiek tak rozu-  
mny, zajmujący tak odpowiedzialne stanowisko, używający tak szcze-  
rego szacunku u samych Boerów, lubiony przez Kruegera, człowiek  
wreszcie tak spokojnego i chłodnego usposobienia, jakim się odzna-  
cza Jameson. Podobno na wiadomość o trwodze kobiet i dzieci, dosiadł  
konia i z siodła zawołał do majora Willoughby: „Zbierz ochotnika, co  
możesz — w Johannesburgu rewolucya — trzeba pędzić naszym na po-  
moc!“ Major zebrał około 600 ludzi — w znacznej części oficerów armii

<sup>1)</sup> Okazało się niejednokrotnie, że potomkowie tych Boerów, którzy po r. 1814  
woleli pozostać w pierwotnej kolonii, na Przylądku, są — przynajmniej w połowie —  
szczerymi zwolennikami panbrytanizmu w Afryce. Bo też uwzględnić trzeba, iż uży-  
wają równych z Anglikami praw i przywilejów obywatelskich, mają dostateczną re-  
prezentacyę w parlamencie Kapu.

<sup>2)</sup> Syn zamożnej rodziny szkockiej, urodził się w r. 1855, studia lekarskie  
ukończył w Edynburgu i miał tam następnie doskonałą praktykę, którą porzucił w r.  
1882, i zaproszony przez Rhodesa, udał się do Kapu. Dr. Jameson dowiódł w Afryce  
niezwykłych zdolności administracyjnych. Sztuki lekarskiej nie zaniedbał całkowi-  
cie; on-to wyleczył z ran króla Lobengulę i — z niebezpiecznej choroby samegoż  
prezydenta Kruegera.

angielskiej na dłuższym urlopie, a tymczasowo ochotników w służbie kompanii. Garstka ta, licząc na żywność i amunicję w Johannesburgu, puściła się wyciągniętym kłusem z granic brytańskich w granice boerskie. Zamiast posiłków rokoszau, o 5 mil ang. od Johannesburga spotkali armię boerską, złożoną z swych słynnych strzelców, a zajmującą doskonale obronne stanowiska na wzgórzach. Armia to była, bo liczyła do 5,000 żołnierza. Jeszcze licząc na pomoc, choć strudzeni trzydniową jazdą, choć z małym zapasem amunicyi, oficerowie, na rozkaz Jamesona, uderzyli na Boerów. Lecz pomoc nie nadeszła! Sienkiewiczowskie epizody przypomina ta walka garstki przeciw 8 razy liczniejszej armii. Wiadomo, że bój trwał godzin jedenaście i że wtedy dopiero ustał, kiedy konie i ludzie padali z unęczenia i ostatnie wyszły naboje. Zwycięzcy uprowadzili Jamesona i jego towarzyszy do Pretoryi—130 żołnierzy angielskich poległo, a tylko 15 boerskich.

Na całym Przylądku, w całej Rodezyi i nawet między Boerami Transwaalu i Oranii jednogłośnie ozwał się okrzyk: „Cudzoziemcy (*Uitlanders*) w Johannesburgu są zdrajcami, tchórzami!“ Niewątpliwie—stehórzyli w ostatniej godzinie. Daremnie członkowie rewolucyjnego komitetu (a między nimi pułkownik Rhodes, brat Cecila) nawoływali uzbrojone kupy mieszczau do wyjścia: żywił, z pewnością niebrytański—lecz ten, który dał światu braci Barnato, oparł się stanowczo rozkazom komitetu, kiedy uszu doszedł huk kartaczownic boerskich. Co innego walczyć w otwartem polu, a co innego... mordować z poza murów ulicznych! Nie dziw, że korespondent londyńskiaj *Westminster Gazette* musiał telegrafować zKapu (3-go stycz.): „Tutaj opinia publiczna nie myśli już nalegać na Boerów, by równouprawnili z sobą samych tylko przekupniów i handlarzy, niemających odwagi jednej wyszyl“

Niewiadomo, jakie sprzężyny dały pochoł Jamesonowi do nie-szczęśnej z tylu względów wycieczki. Dowiemy się, gdy i on, i Cecil Rhodes, i dyrektorowie kompanii południowo-afrykańskiej staną przed trybunałem kryminalnym w Anglii. Gdyby nie przykładnie energiczna akcyja ministra spraw kolonialnych, Chamberlaina, gdyby nie jego rozkazy, wysłane dla Jamesona, a polecające odwrót natychmiastowy, gdyby nie deposesze gabinetu londyńskiego, zapewniające rząd Pretoryi, że wycieczka uważaną jest za zbrodnię... Jameson i jego towarzysze zostali-by rozstrzelani w Pretoryi za wyrokiem tamtejszego sądu wojennego.

Wypadkiem atoli najmniej spodziewanym w ciągu pierwszego tygodnia roku był znany telegram cesarza Wilhelma do prezydenta Kruegera. Daremnie było-by pytać dzisiaj o bliższe i dalsze powody kroku, który—gdyby był pozostał bez urzędowego „wyjaśnienia“<sup>1)</sup>—mógł był spowodować następstwa „najpoważniejsze.“ Sam fakt wysłania depeszy był wykroczeniem przeciwko dyplomatycznej obyczajności—lub też był protestem przeciwko stanowisku, jakie W. Brytania zajmuje wobec rządu transwaalskiego. Dopóki bowiem W. Brytania przyznaje sobie prawa zwierzchnie nad Transwaalem i dopóki—co dużo więcej znaczyć powinno w Berlinie—sam prezydent republiki transwaalskiej, ani prawom tym nie przeczy, ani żadnej nie pomija formy, która z uznawania tych praw wynika, dopóty też wszelkie porozumiewanie się mocarstw i rządów trzecich z rządem transwaalskim jest niewłaściwym i Anglii ubliżającym, jeżeli się nie odbywa drogą jedynie właściwą—za pośrednictwem angielskiego ministra spraw kolonialnych. Telegram królowej Wiktorji, dziękujący Kruegerowi za ludzkie obejście się jego rządu z Jamesonem i towarzyszanami, wysłano z Londynu z formalnościami, które stanowiły *per se* naukę dla Berlina, dla Pretoryi przestrogę: minister spraw kolonialnych polecił gubernatorowi Przylądka zakomunikować prezydentowi Kruegerowi wyrazy królewskich podziękowań. Nawzajem, swoją znow odpowiedź przesłał Krueger—nie do Windsoru wprost, lub do Osborne, ani nawet nie do lorda Salisburego, lub do p. Chamberlaina, tylko do sir H. Robinsona, namiestnika królowej w południowej Afryce. Niepodobna przypuścić ani na chwilę, by cesarz Wilhelm nie był doskonale obeznany z rutyną polityczno-dyplomatyczną, z niezmiernie ścisłą i ściśle przestrzeganą etykietą, jaka ma być zachowywana w stosunkach wszelkich między monarchami i szefami rządów. Jeżeli więc depeszę z 3-go stycznia wysłał bezpośrednio do prez. Kruegera, to tem samem zaznaczył najdobitniej, że nie uznawał zwierzchnictwa Anglii nad Transwaalem.. i że gotów był, w razie potrzeby, poprzeć deklarację absolutnej niezależności rządu Pretoryi.

W ten sposób tylko i jedynie zrozumiano tutaj depeszę i całą jej doniosłość. To też wrażenie było odpowiednie—i 3-go stycznia zaczęła się między prasą angielską i niemiecką trwająca do tej pory wymiana

<sup>1)</sup> Hr. Hatzfeld, tutejszy ambasador niemiecki, wręczył dnia 12-go stycznia notę lordowi Salisburemu, głoszącą, iż „nie zaszło między rządem Niemiec i W. Brytanii, co by mogło naruszyć ich przyjazne stosunki, a depesza cesarza do prez. Kruegera była rezultatem chwilowej irrytacji.“ Treść tej noty podały wszystkie dzienniki londyńskie z dnia 13-go stycznia.

pogrózek, porównywan sił zbrojnych i terytoryalnych nabytków, i handlowych niebezpieczeństw... jednym słowem, wojna dziennikarska, prowadzona z osobliwą zaciętością przez strony obie — i wojna, mająca swe wielkie niebezpieczeństwa. Nie mogę nie przypomnieć tu że, mimo rasowego pokrewieństwa z Niemcami, Anglicy (oczywiście poza sferami dworskimi) są od dość dawna usposobieni względem nich najniechętniej: nie lubią ich obyczajów, sarkają głośno na ich coraz tłumniejszy napływ do Anglii <sup>1)</sup>, na ich współzawodnictwo rękodzielnicze, nie tylko w całej Europie, lecz nawet w samej Anglii i w jej własnych koloniach. Niepotrzeba lat pobytu w Anglii, by się przekonać, że naród cały, (włączam i Szkotów) jest przejęty najszczerzszymi uczuciami przyjaźni i życzliwości dla Francji i Francuzów.. choć konieczności polityczne i ekonomiczne tego są między sąsiadami rodzaju, iż o więcej jak chwilowem między nimi porozumieniu mowy niema. Przeciwnie—interesa polityczne Anglii i Niemiec wymagają dziś, wymagać może będą nadługi czas, spójni, więcej niż platonicznej, obu rządów ogólnie państwowych, gdy spójni niema żadnej między obu ludami, takiej choćby, jakaby można przypisać ich szczepowej jedнопlemienności. Faktu tego dowodzą wszystkie bez wyjątku prądy w Anglii — umysłowe i obyczajowe.

Mówią o cesarzu Wilhelmie, iż jest on w gruncie rzeczy więcej Anglikiem, niż Niemcem, a *Standard*, szukając powodu depeszy cesarskiej, zapytał ironicznie: czy nie chodziło przypadkiem wnukowi królowej Wiktoryi o uspokojenie tych, którzy w jego angłomanii upatrywali pewne niebezpieczeństwa? Lecz powody depeszy mogły być liczne: doskonale zaznaczył ich charakter autor „Kroniki miesięcznej“ w styczniowym zeszyte tego pisma — i zbyt czem było-by z mej strony szczegółowe rozpatrywanie ich dzisiaj. W świetle najnowszych „wyпадków“ dyplomatycznych i domysłów, akcyja gabinetu londyńskiego o ile jest następstwem cesarskiej depeszy do prezydenta Kruegera, jest akcyją w dwóch kierunkach naczelnych: ustępstw bardzo znacznych i przyspieszenia ogólnopaństwowego związku kolonii z krajem macierzystym. Z tem ostatniem łączy się ściśle projekt powiększenia sił morskich w ten sposób, aby marynarka wojenna Anglii sprostać mogła — nie dwóm tylko, lecz przynajmniej trzem złączonym marynarkom mocarstw najpotężniejszych. Co więcej, jest mowa o zaprowadzeniu przymusowej służby wojskowej... lecz myśl ta niewiele znajdzie poleczników.

<sup>1)</sup> Ostatni spis ludności Londynu z przedmieściami (1890) podaje Niemców 492,517.

Zanim praca moja dojdzie czytelnika, rozpocznie się w Londynie proces państwowo-kryminalny przeciw drowi Jamesonowi i jego głównym towarzyszom. Przed kratkami trybunału staną zarazem dyrektorowie brytańskiej kompanii południowo-afrykańskiej, zwłaszcza najwięcej z nich odpowiedzialny — Cecil Rhodes. Dowiemy się z czasem, czy wycieczka Jamesona wyszła z jego własnej inicjatywy, popobudzonej lamentami i błaganiami *Uitlanderów* w Johannesburgu czy też, co jest daleko prawdopodobniejszem, epizod ten był nieudanym zamachem na byt i rząd Boerów w Transwaalu, ukartowanym przez pewnych członków i jednego z dyrektorów kompanii. Od przebiegu tego procesu i jego rezultatu zależy będzie, czy rząd transwaalski nada pewne prawa obywatelskie ludności obcokrajowej, płacącej blisko 80% krajowych podatków, czy prezydent Krueger zażąda wyraźnego zrzeczenia się przez Anglię wszelkich praw zwierzchnictwa, wreszcie, czy Boerowie (a z nimi i część Europy) zezwolą na dalsze istnienie i działalność kompanii angielskiej?

EDMUND S. NAGANOWSKI.

---

# A G N U S.

---

## I.

Miało się ku końcowi jesieni. Dzień był ponury.

Przedmieściem Pragi, za prostą trumną na ubogim karawanie, który ciągnęła na emętarz chuda szkapa, a którego nie poprzedał krzyż żaden, szło kilku młodych ludzi, kolegów biedaka, którego grzebano, i dwie czy trzy kobiety z ludu.

Orszak włókł się leniwo, z trudnością przestępując po sterczących z błota kamieniach szerokie kałuże, z których przejeżdżający wóz żalobny rozbryzgiwał gęste strugi. Wśród przedmieścia tu i ówdzie przechodnie stawali, szukając wzrokiem pośród idących najbliższych krewnych zmarłego, — boleść ludzka bywa widowiskiem ciekawem! — ale pogrzeb nie obudzał szczególnego zajęcia; w twarzach patrzących przebijała się obojętność.

Czasem szkapa utknęła w błocie o kamień, czasem potrząsana trumna uderzyła głośniej o deski, a orszak szedł dalej między dwoma rzędami kramów, torując drogę zmarłemu przez ruchliwy tłok żyjących, aż znikł wreszcie na przedmieściach w dżdżystej pomroce dnia jesiennego....

. . . . .

— Wojtek! jeszcześ nie widział, jak ludzi chowają? dam ci ja, kundlu, poczekaj... — ozwał się majster siodlarski do Wojciecha Piechórskiego.

Wojtek, sierota z zakładu Dobroczyńności, przy ulicy Freta, od dwóch lat terminował na Pradze. Z okien pierwszego piętra, gdzie się mieścił warsztat siodlarski, widać było dobrze aż do zakrętu ulicy, którą właśnie pogrzeb przechodził. Nieraz czeladź spoglądała ciekawie w tę stronę, a majster wtedy nie przebierał w słowach.

Wzrok chłopca oderwany od szyby zwrócił się wnet ku robocie. Ale choć strużek trzymany w ręku zaczął szarfować skórę z podwojonym na chwilę zapalem, — to, co Wojtek był dostrzegł, zajęło całkiem jego uwagę.

Wśród mężczyzn idących za trumną poznał wyraźnie dawno niewidzianego kolegę. Był nim starszy o lat dziesięć towarzysz zabaw zakładu, Walenty Strumło, poczciwy chłopak, znany z tego, że miękkie miał serce i żadnej nie odmawiał przysługi. Dawniej Strumło w kościelnych chórach pierwszy głos trzymał, w palanta nie miał równego i do gry z młodszymi łatwo dawał się zapraszać.—Pewnikiem—mówił sobie Wojtek w duchu—nasz starszy niedawno wrócił do miasta, nikt go do-  
tąd nie zwęszył w Warszawie... zjechał widać na pogrzeb krewnego... uradują się tamci, że to ha!

I już tylko myślał o tem, kiedy to on sam przywita kolegę.

Nazajutrz, w Sobotę, około ósmej wieczorem, po skończonej tygodniowej pracy, odnosząc zbrukaną bieliznę do zakładu na Freta, w świetle sklepiku poznał go znowu.

Wojtek zaraz przypląszczył do szyby swój ciekawy nos i patrzył.

— Racyał to pan Strumło! ojl ojl

Rosły mu teraz wąsy porządne: wyglądał jak majster, zarost miał błąd... zdawał się trochę otylszy niż dawniej... Szkoda, że nosił spencerek zapięty! nie można było widzieć, czy miał jeszcze tę samą przy zegarku dewizkę... Ładną dawniej miał dewizkę pan Strumło: korał różowy, długi, wykręcony, jak wielki robak.

W tej chwili pan Strumło rozmawiał z jakimś znajomym i żałował bardzo Wojtek, że nie mógł dosłyszeć z ulicy, co z sobą mówili. Postanowił zaczekać i coraz bardziej naciskał nosem szybę. Zobaczył nakoniec, że Strumło, dopiwszy kieliszka, sięgał długo do kieszeni i z pewnem zakłopotaniem płacił za siebie i za towarzysza.

— Fundował!—pomyślał chłopak—nie w smak mu, że go ów „naciągnął...”

Wstał wreszcie pan Strumło, otarłszy usta odlewem ręki; jeszcze zamienił słów parę z handlującą przy bufecie i wyszedł z kramiku.

Na twarzy Strumły malowało się niezadowolenie. Wyludzano mu co chwila, co kto chciał, on oprzeć się nie umiał... Czasem robił to z dobrej woli, ale czasem to go gniewało... To trudno! pożyczysz dziś innym, jutro jemu pożyczą. .

Znalazł się w tej chwili naprzeciw Wojtka, który mu rzekł:

— Panie Strumło! poznaje mnie pan?

— Ktoś ty?— spytał czeladnik.

— A Piechórski Wojciech z zakładu Freta. — I usta chłopaka rozśmiały się szeroko, odkrywając zęby białe.

Oblicze Strumły rozjaśniło się. Łagodne, niebieskie oczy popatrzały na wyrostka przyjaźnie.

— A jakże tam — spytał — wszyscy zdrowi?

— Zdrowi — odpowiedział chłopak i dodał: — Dawno pana u nas nie widzieli...

— A tak, dość dawno... — odparł Strumło obojętniej. — Cóż z tobą, chodzisz już do rzemiosła na miasto? Krawiec z ciebie?

— Ja u Szatkowskiego siodlarza — rzekł Wojtek i spytał: — A pan gdzie?

— Jeszcze nigdzie... niedawno w Warszawie, o robotę nie tak łatwo.

Nastała chwila milczenia, którą znowu przerwał Wojtek.

— Poznałem pana wczoraj zdaleka — rzekł.

— Gdzieś mnie widział? — zapytał Strumło.

— A za tym pogrzebem... nawet, żem się zagapił przez okno, to mnie majster pogroził dobrze pocięglem!...

— No, no, bywaj zdrów, w inną idziemy stronę.

Ale Wojtek zapytał jeszcze z błyszczącym od zapału wzrokiem:

— A nie przyjdzie pan zaśpiewać kiedy?... ja teraz śpiewam na chórze.

— A bo ja mam czas — odrzekł Strumło i dodał: — Dawno straciłem głos.

Rozeszli się: Wojtek całkiem zadowolony ze spotkania, czeladnik jakby zamysłony.

Teraz szedł z głową spuszczoną i dawnym wspomnieniom oddany cały. Widok nagły tego wyrostka tyle ich mu nasunął przed oczy.

Inne to były czasy w zakładzie i dobra siostra co tam matczyła! Oddany do introligatora na miasto, w początkach wracał do Patronatu i lubił wielu z kolegów,.. Dopiero potem życie mu się zmieniło... Wyjechał z Warszawy, poznał innych towarzyszy, z którymi przestawał teraz.

— Ot, mogłem go się zapytać, jak się miewa siostra Anastazyja? — pomyślał. — Ja tam najwięcej lubilem, to ona mnie do rzemiosła oddała. Darowała mi nawet różaniec, kiedyś odchodził.

Uśmiechnął się.

— Nie jej to wina; dawała, co miała kobieta.



Już od dłuższego czasu Strumło w praktyki religijne nie wierzył. Jakby to nie można było żyć bez tego?..

Zatrzymała go w tej chwili kałuza, rozlana szeroko w poprzek nlicy. Oświecała ją lampka z okna zegarmistrza.

— Ot—rzekł—dobrze, że tu coś świeci, bo byłbym wlaźł..

Ale znów wrócił myślą do przeszłości.

— O chórach wspominał ten smyk! Prawda, że szło to dobrze... ja byłem pierwszym tenorem, a barytonem był Antek — jak kiedy w wielkie święto zaśpiewaliśmy na chórze, to się głowy po ławkach, het precz odwracały..

— Ciekawym, co się z Antkiem dzieje?

Strumło w tej chwili odczuwał nieokreślony żal za przeszłością. Westchnął nawet; po chwili ocknął się z zadumy i machnął ręką.

— Co mi teraz do nich!..—rzekł.

. . . . .

Wojtek dobiegał do patronatu mocno zadyszany. Przywitał się z siostrą Anastazyą tyle tylko, że ją szturchnął w łokieć krótko ostrzyżonym łbem i wnet zaczął prawić:

— Spotkałem pana Strumłę dopiero co.

— Co ty mówisz, Piechórski?—wykrzyknęła zadziwiona siostra— Gdzieżeś go spotkał?

— A na Pradze przed Kubalskim.

— Cóż? dobrze wygląda, zmężniał, urosł?

— A no tak—rzekł chłopak.

— Rozmawiałeś z nim?

Siostra uradowana wypytywała:

— Co ci powiedział?

— Ano nic...—mówił, że stracił głos.

— Nie mówił ci, co teraz robi, gdzie pracuje.

— Ano mówił... nie ma roboty..

— Dowiedziałeś się, gdzie mieszka?

— Ano nie!.. nie spytałem—i widząc, że się niedokładnie spisał, znalazł wybieg:—Spieszyłem się do Patronatu...—rzekł.

Po chwili jednak jął opowiadać szczegóły spotkania i jak wczoraj już poznał Strumłę idącego za pogrzebem. Szczegół pogrzebu ważnym był dla siostry, zamysliła się na razie. Nie wiedziała, co prawda, żeby Strumło miał blizkich krewnych w Warszawie, ale po nici łatwo dojść do kłębka, a skoro Walek do Patronatu sam nie zaglądał, należało go tu sprowadzić. — Kryjąc się, dowodził jasno, że nie miał czystego sumienia.

Poleciwszy Piechórskiemu, aby się o adresie Strumły wywiedział, jeszcze tego dnia wieczorem Siostra Anastazyja poszła do Siostry Starszej na rozmowę i obie ze sobą długo radziły...

Upłynęło dni kilka. Jesienne, wilgotne chmury, rozpędził wiatr od zachodu. Ukośne promienie słońca bladego zaświeciły na pochyłościach dachów, odbijając się w kałużach i rynsztokach ulic, i w smutne zaułki przedmieścia wlały nagle życie nowe.

Ruch był niezwykły na Pradze.

W oparkanieniach drewnianych leżały, zmęczone drogą, wielkie partye wołów siwych o kręconych rogach, cisnęły się owce niespokojne i przestraszone, trochę dalej, zbita kupą spoczywała trzoda chlewna. Od mrowia ludzkiego, wozów drabiniastych, zielonych straganów pstrzył się plac cały. Na tle niskich kamienic, na cynober malowanych, odbijały się stoły powroźników i siodlarzy; wielkie stosy koszów z łoziny zielonej i białej piętrzyły się wysoko nad tłumem, w świetle błyszczwały miski i garnki mazerowane w kolorowe kwiaty, i jaskrawe perkale, któremi wiatr ruszał. Przechodnie krzyczeli, popychali się nawzajem, nawet stojąco na wozach dobijano targu; przy wodociągu najczęściej tłoczyło się ludzi, a wśród zgietku i nawoływań przekupniów odzywały się głośniejszy poryki bydła i klaskanie biczów pastuszych.

Z trudnością w poprzek zbitej masy ludzi przesuwały się w tej chwili dwa kornety białe.

Siostry nie przyszły za sprawunkami. Zdążyły do „Kubalskiego“, owego handelku, w którym Wojtek Strumłę widział. Wracając z kolonii, wstąpiły do Brudna, gdzie się o nazwisko zmarłego pytały, ale nawet sam kapelan nie wiele mógł im wskazówek udzielić. Miały jeszcze nadzieję, że tam, gdzie Strumło jadał i pijał, o adresie jego się dowiedzą.

— Pan Strumło—tłómaczyła Siostra—jest niski i średniej tuszy, musi mieć teraz zarost jasno-błęd, liczy lat dwadzieścia sześć, jest przystojny, bardzo przystojny...

Bufeciarka nie mogła go sobie przypomnieć.

— W sobotę wieczór był w sklepie u państwa z innym jakimś towarzyszem...

Kubalska przywołała córkę.

— Franiu! a nie wiesz ty, o kim dobrodziki mówią?

Frانيا odrzekła żywo:

— Już ja wiem... To musi być jeden z tych, co tam taką kupą mieszkają...—i wskazała ręką w tył po-za siebie.

— Gdzie? tam nad rzeką?..—spytała matka.

— Ano tak, w tym żółtym domu...

Był to początek wiadomości. Siostry podziękowały i wyszły...

Jeżeli Strumły nie zastaną w domu, dowiedzą się przynajmniej, że mieszka tam a nie indziej. Miały właśnie dla niego robotę... niechby się choć zgłosił do Patronatu... Piechórski obiecał Strumłę odnaleźć i przyprowadzić, ale widocznie nie mógł opuścić warsztatu!

Siostry Marcela i Anastazyja przyspieszyły kroku.

Gdy weszły do domu, o którym im wspomniano, stróżka, kobieta prosta i gadatliwa, zapytała wchodzące:

— A kogo tu komu potrzeba?

— Czy tu mieszka — odrzekły — introligator, czeladnik, pan Strumło?

— Czy to ten, co go Walentym tamci nazywają?

— Tak, tak! — wykrzyknęły obie.

— Wyszedł — odpowiedziała stróżka, ale cofnęła się z bramy w podwórko, wygięła się w tył, patrząc w okno najwyższego piętra, i zawołała krzykliwym głosem:

— Panno Zebio... pan Walenty nie powrócił?

Osoba, której siostry stojące pod bramą widzieć nie mogły, zapewne panna Eluzebia, odpowiedziała z okna poddasza:

— Nie jeszcze.

— Nie jeszcze — powtórzyła stróżka. — Pewno, że wróci dopiero na wieczór za robotą poszedł na miasto...

Siostry popatrzały na siebie.

— Interes mamy pilny — zdecydowała starsza — zaczekamy jeszcze chwilę, może nadejdzie.

Odźwierna zapytała:

— Czy to wedle roboty interes?.,

A gdy siostry potwierdziły, rzekła:

— To się pewno uraduje, bo już wedle komornego „rzonca“ pytał aż dwa razy, a jak tu zapłacić kiej roboty niskąd?.. Choć nie wiele to na każdego wypadnie wedle rozdziału, bo ich tam w tych dwóch pokojach aż siedmiu mieszkał.. Ale — dodała — ot co! jeden im umarł zeszłego tygodnia... na suchoty powiadają, to się wydali wszyscy na pogrzeb...

Z dalszej rozmowy ze stróżką dowiedziały się zakonnice, że Strumło już od kwartału bawił w Warszawie, że dosyć hulaszczce wiódł życie, że lokatorowie, z którymi dla tanioci zamieszkał w jednym pokoju, wszyscy niemal używali nie osobiwej opinii, zwłaszcza ten jakiś Żerbiec, jego przyjaciel...

— Biedny Walek — powtarzała siostra Anastazya — że też mu odrazu nie przyszło na myśl odwiedzić zakładul'. Było-by się coś przecie obmyśliło na razie.

Czas mijał. Strumło nie wracał.

Siostry dały stróżce adres na Freta, polecając aby go uprzedziła, iż miały dla niego pilną i korzystną robotę...

Strumło powrócił dopiero pod wieczór. Obstalunku nie mógł znaleźć...

\* \* \*

Kiedy mu stróżka o odwiedzinach i poleceniu sióstr doniosła, Walenty Strumło zaniepokoił się nieco.

Od tylu lat zerwał był z niemi!

W jednym z fabrycznych miast na prowincyi spotkał był rozumnych ludzi, inaczej niż on dawniej patrzących na życie. Oświeceńsi od niego odkryli mu wiele nowych rzeczy; z ich łaski patrzył dzisiaj na świat inaczej. W drukowanych książkach, które mu się do rąk dostały, mógł sprawdzić, jak go dawniej systematycznie łudzono. Wiedział teraz, że religię wymyślili księża, aby tylko mamieć naiwne baby i dzieci.. Warto było posłuchać, jak Żerbiec o tem wszystkiem rozprawił. Lubił Żerbeca za dzielną jego wymowę, zwłaszcza przy kieliszku.. Łobuz z niego, co prawda, ale werwę ma... ciekawe wie historye o tych wszystkich zabobonach!!.

Zastanowił się.

— To najpewniej Piechórski wygadał się niepotrzebnie, że mnie spotkał...

I na myśl, że chciano go znowu wciągnąć do tego świata obłudy, z którymi przecież raz już zerwał, postanowił w duchu: Niechże sobie czekają na mnie, nie głupim! nie pójdę do kornetów!—Jednak wkrótce zmienił zdanie:

O robotę na razie rzeczywiście było trudno, od miesiąca brał na kredyt, z komornem zalegał. Ostatnie pieniądze pożyczyl od niego Żerbiec, a ten, gdy brał, to nie oddawał.. Więc kiepsko było, co prawda..

Dwa dni minęło na niczem. Widocznie jakiś pech go prześladował. Obiecana w składzie księgarskim robota, na którą oddawna liczył, dostała się komu innemu. Około nowego roku dopiero miało wakować miejsce czeladnika u znajomego introligatora. Byle mu tylko ten miesiąc przeżyć..

Zdecydował go nareszcie Wojtek Piechórski, którego znowu przed Kubalskim spotkał. „Smyk“ mu powtórzył wezwanie zakonnice, mówiąc, że jest pilna w zakładzie robota i że go wydelegowała umyślnie w tej sprawie sama siostra Anastazyja.

Na to imię zmiękł Strumło...—Gdyby to która z tamtych—pomyślał—wiedział-bym, co odpowiedzieć... lecz skoro to Anastazyja...

Przyczem zaraz wziął na rozum: -- Czegóż także mam się bać?... albo one mnie zjedzą?

Postanowił pójść nazajutrz, ale zamiar swój zataił przed Żerbcem chociaż tego dnia wieczorem rozprawiali, jak zwykle, na ulubiony temat ciasnoty pojęć ludzkich.

Na drugi dzień, około jedenastej rano, Strumło puścił się na Freta...

Nie zupełnie był pewien siebie. Czegóż się wstydził, a czegóż lękał, nie zdając sobie wyraźnie sprawy z uczuć, których doznawał. Opóźniał się przytem w drodze; przestępując z kamienia na kamień, w błyszczących lustrach rozlanych po ziemi obserwował chmurki rozwiwane węgłą po niebie i gałęzie drzew przydrożnych... Czasem przystawał i wodził wzrokiem przed siebie. Patrzył teraz, opuszczając Pragę, na wielkie miasto z przeciwnego brzegu, na poważne wieże kościołów, odcinające się w modrych zarysach na zamglonem niebie, na liczne różnobarwne, różnokształtne dachy kamienne, piętrzące się od wybrzeży ku górze i Stare Miasto z dachówką czerwoną, nad którem przeciągały mgły i ciężyły leniwie dymy kominów. W miękkim, szerokim zagięciu, tam dalej, Wisła zawracała na prawo, kiedy tu bliżej, na lewo, drgający jakby łuską srebrną blask wielki bił słupem światła od wody. Odczuwał to wszystko czeladnik ze skrytem zadowoleniem, z rozbudzoną nagle tęsknotą, — lecz ciężkie, ładowne wozy, od których żelazny pomost drgał, udzielały i jemu jakiegoś wewnętrznego drżenia, w miarę jak zdawał sobie sprawę, dokąd teraz idzie. Od mostu, przez Plac Zamkowy, skręcił na Święto-Jańską ku Staremu Rynekowi.

Odkąd z powrotem bawił w Warszawie, Strumło po raz pierwszy odwiedzał tak dobrze mu znaną z lat młodszych dzielnicę miasta. Zaczynało nim owładać niewyraźne i silne uczucie; spostrzegł się, że lubił jeszcze te znajome sobie zaułki. Rozglądał się wokoło, szukał wzrokiem znajomych szyldów i sklepów, uśmiechał się mimowoli, odnajdując je na miejscu, badał teraz z zajęciem uliczne typy i twarze przechodniów. Jakaś baba, usługująca przy kościele Po-Paulińskim, zamykała żelazną kratę kościelną; poznał ją i chciał odgadnąć z jej spojrzenia, czy go nawzajem poznaje. Nic się nie zmieniło przez długie lata, i gdy wzdłuż łuków gotyckich Po-Dominikańskiego klasztoru, odartych

z tynku, czerwonych cegłą skruszałą, ujrzał nad sobą rozwiane brody skrzydlatych geniuszów, uśmiechnął się do dziwacznych maskaronów staroświeckiej budowy, jak do starych przyjaciół.

Wszedł na podwórko, prowadzące do zakładu.

Cała wielka, boczna ściana budynku patrzyła nań licznemi oknami. Na drzewach, sadzonych za jego czasów, i na wysokich orzechach wisiały jeszcze w pół zielone liście, zwinięte w trąbki, któremi powiew z Wisły poruszał. Czerwone, siedmio i pięcio-palczaste gałązki kasztanów, sterczały łodygami do góry na wilgotnych grzędach ogródka, jak tyleż rąk, wskazujących ziemię, zdawały się mówić: „myśmy, jak ty, wzrosły tutaj“. — „Bukiet“, naszczekujący na wszystkich, stary pies stróża, nie narobił alarmu za jego przybyciem. — Czyż-by go poznał w istocie?.. Oto już stąpieniem Strumły odzywały się sklepienia długich korytarzy i dudniła wydeptana, sękowata podłoga, po której tyle tu razy przechodził.

Wtem, na końcu galeryi, ujrzał pierwszy kornet biały... Jedna z siostr prowadziła dzieci z ochronki. — Stanął, popatrzał, uczył że mu zabraknie odwagi, że nie zrobi kroku dalej. Z wysiłkiem przemógł nieśmiałość i odrazu z korytarza skręcił schodami na prawo, prosto do Patronatu.

Strumło miał projekt gotowy i zamierzał go wypełnić do joty. Obiecywał sobie, że będzie przyzwoity, lecz chłodny. Jest mężczyzną nie dzieckiem, i dziś wiedział nieco więcej, niż to, czego tu go uczono. Rad był tę wiedzę swoją dać siostrze odgadnąć, przygotował w głowie kilka frazesów, które miały zaznaczyć odrazu przyszły ich stosunek.

Ale już odgłos dzwonka przy wejściu do Patronatu zmieszał go trochę. Ten dzwonek przeraźliwie hałasował.

Zaledwie drzwi uchylił od sali, nie wiedząc jeszcze, kogo tu spotka, ujrzał nagle siostrę Anastazyę.

Była to zawsze ta dobra kobieta, która mu dawniej matczyła... dziwnie zawsze ładna i młoda w kornecie białym, który jej tyle wdzięku i jasności twarzy dodawał. Tylko owal jej oblicza przedłużył się nieco, a usta przybrały wyraz większej jeszcze stodyczy.

Stała nad dużą misą, obierając kartofle dzieciom na obiad, który kucharka już sporządzała. W pokoju rozchodził się zapach surowizny od obieranych ziemniaków i jakiegoś smacznego mięsiwa, prażonego z jarzynami w saganie.

Siostra Strumłę zaraz poznała. Wielka czułość odbiła się na jej twarzy. Z oczami błyszczącemi z radości zawołała:—Walek!!

Strumło poblądł, potem poczerwieniał... Na to imię, Walek, coś go odrazu ścisnęło za gardło. Stał w milczeniu, nie wiedząc sam, co ma począć.

— O! moje dziecko! jakże to dobrze—mówiła siostra, tak jak ona wzruszona... — Katarzyno! — zawołała na kucharkę.—patrz, to Walek Strumło, nasz wychowaniec!. A skąd ci takie wąsy wyrosły?..—pytała czeladnika.

Pierwsze lody przełamano; lżej było teraz Strumle na duszy.

Pomału opowiedział swą przeszłość; nie taił, że mu się jakoś nie wiedzie...

— Słuchaj Walek—rzekła siostra—robotą dla ciebie jest, ale ci nie dam wracać z nią na miasto. Koledzy, których tyś sobie obrał, korzystają z ciebie tylko. Przy nich 75-iu rubli długu nie spłacisz. Furmanka siostr powraca jutro z kolonii, zabierze po drodze to, co tam twoje... Zamieszkasz tu!

Ale Strumło zaprotestował. Czuł się związany z towarzyszami, którzy znowuż nie są tacy, jak siostra mówiła.

— Już ja dobrze wiem, jacy oni są—odparła zakonnica.—Rad ci pobożnych pewno nie dadzą, owszem, wpływ ich źle oddziaływa na ciebie... I zapytała patrząc mu w oczy: — Jakżeś dawno był u spowiedzi?

Strumło wytrzymał wzrok siostry i odpowiedział z odwagą:

— Czy ja wiem? sam nie pamiętam... będzie lat siedm na Wielkanoc...

Spodziewał się, że zakonnica podniesie wielki krzyk i że usłyszy, co się nazywa, kazanie... Siostra jednak popatrzyła na niego bardzo łagodnie, żal widoczny rozlał się tylko na jej twarzy, i rzekła:

— Biedny Walek!

Ale czeladnik nie chciał, by nad nim płakano.

— Eel.. proszę siostry—rzekł—czy to siostra myśli, że się wszyscy spowiadają co rok? Są tacy, którzy całkiem nie wierzą... Te wszystkie nabożeństwa to dobre tylko dla bab...

— Mądryś! A dla mężczyzn nie?—zapytała zakonnica.

Dalszej rozmowie przeszkodził rumor na korytarzu chłopców, wybiegających z warsztatów i dudnienie kilkudziesięciu pięt, zlatujących cwałem po schodach, z głośniejszym i równym w połowie piętra skokiem nóg na zakręcie. Młodzież leciała szturmem na podwórze do pompy, aby przed jedzeniem ręce umyć. Słychać było jednocześnie głos majstra:—„Powoli tam chłopcy, powoli! nie hałasować“.

Grzmot się oddalał i już teraz od okien z podwórza zalaatywał krzyk dzieci.

— Chodź Walek, pomożesz mi—rzekła spiesźnie siostra Anastazy.—Warsztatowi przychodzą na obiad... Zjesz z nimi, a potem pogadamy o robocie...

— Dziękuję siostrze—rzekł Strumło—pomódz, to mogę... ale za obiad dziękuję.

— Znajdzie się i dla ciebie. . Gdzie jada dwudziestu, rozumiesz... jeden więcej, jeden mniej... przytem dziś czwartek, jest mięso, musisz dobrze zjeść, bo jutro post...

To mówiąc, siostra Anastazyja ujęła długi chleb i wetknęła go czeladnikowi do ręki: — Kraj — rzekła—na równe porceye, tylko sprawiedliwie!..

Strumło nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Słuchał machinalnie i zaczynał co chwila jakieś zdania, których nie kończył; krajał jednak chleb, a siostra, odebrawszy od kucharki wielki sagan, pełen zupy, nalewała ją do talerzy.

— Bardzo nie w porę przyszedłem—zaczął znów Strumło.—Nie opatrzyłem się, że już południe... ja bardzo przepraszam...

— Co znowul—rzekła.—To wasz przecie dom.

Słychać już było nadchodzących chłopaków. Sami szewcy i krawcy, bo zakład liczył tylko dwa warsztaty... tegie, czupurne miny, ożywione powietrzem i ruchem.

Nalana zupa buchała kłębami pary z talerzy i zapach smacznej grochówki, w której pływały płatki słoniny, rozchodził się po pokoju.

Chłopcy stanęli rzędem za ławkami, patrząc jedni na gościa, drudzy na zupę.

— Posuńcie się nieco—odezwała się siostra—zróbcie miejsce dla starszego kolegi.—I Strumłę, który się dla formy tylko już bronił, usadowiła na pierwszym miejscu.

Rad nie rad, Strumło wysłuchać musiał przedobiedniej modlitwy, a potem, podczas obiadu, duchownego czytania. Gniewał się teraz na siebie, że słuchać musi. Czuł w sobie bunt. — Tom się zasypał pocem został?—mówił w duchu. — Cóż mnie obchodzi życie św. Bernarda? — Nagle wspomniał przyjaciela — „Coby to Żerbiec powiedział, gdyby mnie teraz widział?.. Za boki by się brał..“

Ale i obiad się skończył. Strumło musiał jeszcze czekać, aby siostry wyszły z kaplicy, w której krótki, po jedzeniu, odmawiały pacierz. Przyszła i siostra starsza, nieco surowsza od siostry Anastazyi, której Walek najwięcej bał się niegdyś. Przystąpiono do interesu.

W Patronacie odnawiano czytelnię. Około stu książek było nieoprawnych. Wymagano prędkiej roboty.

Zabierać tyle tomów ze sobą, było rzeczywiście za trudno. Doszło więc do zobopólnej zgody i, mimo pierwszego oporu, Strumło, który, koniec końców, silniejszej woli ulegał, przyjął wszystkie siostr warunki.



— Oprawiać im książki tutaj czy na mieście—myślał—wszystko mi jedno!.. Wygodniej dla mnie tu mieć robotę.., mądra!.. ma rację, że mnie wyzyskują tamci...

— Ale ja się wziąć jej nie dam!.. Już chciała-by mnie przerobić po swojemu!.. Nie zna mnie!..

I dodał z pewnością zaciętością:

— Lepiej niechaj nie próbuje!

## II.

Sam jeden w bielutkim pokoju o jasnym suficie, odcięty od ściany paskiem błękitnym, z oknem przybranem doniczkami kwiatów, do którego zazierały ciekawie z ogrodu gałęzie drzew starych, a po przeciwnych dachach służyło słońce z południa, przedłużając godziny użytecznej i spokojnej pracy, Walenty Strumło oswajał się z nowym losem.

O Żerbecu i kolegach dawnych coraz mniej myślał. Bliższe teraz wpływy działały na niego: te dochodzące do jego ścian odgłosy domu całego, śpiew dziatwy w ochronach, dzwony sąsiedniego kościoła. Odnalazł wśród starszych swych towarzyszy zakładu, z którymi przyjacielskie na nowo zawiązał stosunki, Antka, z którym niegdyś śpiewał, pracującego teraz w jednej z fabryk za rogatkami. Niezatarłe dziecięcinne wspomnienia zamieniały się znowu w czynniki życia, w ukajającą harmonię przyzwyczajęń dawnych i miłych.

Cieszyło Strumłę to także, że go tu nikt nie „przerabia“. Przepuszczał z początku, że go siostra weźmie w obroty.

Ale oprócz zawieszenia mu nad łóżkiem pobożnej jakiejś ryciny, Dzieciątka z barankiem, ze strony siostry nie doznawał żadnej zaczepki. Mijały tygodnie, on robił swoje, do kościoła nie zaglądał—„Anastazy“ nic nie mówiła.

— Mądra — osądził — mądra!

Siostra tymczasem, aczkolwiek nie mówiła nic, nie była wcale zadowolona...

Strumło, odkąd znajdował się w zakładzie, ani razu do kościoła nie zajrzał. Zauważyli nawet chłopcy, że na mszę nie chodził, co gorza, przed jednym z nich głośno wypowiedział zdanie, że można być porządnym człowiekiem bez tych wszystkich ceregieli. Bytność jego na Freta mogła źle oddziaływać na młodych.

Pewnego dnia siostra starsza powiedziała siostrze Anastazy: — Moja siostrzo, wypadnie Strumłę wyprosić stąd. Zgorszeniem jest tylko dla naszych dzieci. Podobno zeszłej niedzieli wygadywał znowu na księży... Słyszał to Giemski i Lutek Dobrzański i inni.. Opętał go prawdziwie duch bezbożności.

Siostra Anastazyza wzięła bardzo słowa te do serca, odrzekła jednak z pokorą:

— Zrobi się, jak siostra każe. Ale myślałam przeciwnie, że dobry przykład koleżeński wpłynie powoli na niego. Liczyłam także na Antka Domaniewskiego..

— Cóż tam Antek pomoże?—odparła starsza.—Złego już się nie naprawi, a złe jest. Przytem Strumło życia nie zmienia, późno wieczory za domem spędza, wcale się nie troszcząc o regulamin zakładu.

Miała słuszość siostra Starsza. Strumło ani dbał o regulamin zakładu. Wracał z wieczornych wycieczek czasem o jedenastej, kiedy już wszyscy spali na Freta, skandalicznie pięścią szturmował do drzwi, a wtedy sklepiona pustka wielkiej budowli olbrzymiem odpowiadała echem, roznosząc grznot przeciągły i groźny po najdalszych korytarzach. Siostry budziły się nagle na ten wielki hałas, zaniepokojone, a siostra Anastazyza jęczała z cicha, długo potem zasnąć nie mogąc i wstydząc się nazajutrz za Strumłę, którego wolności skąd inąd bała się kępować.

Wygadywał także Walek rzeczy niesłychane.

Stróżowi nocnemu, który raz zwrócił jego uwagę na to, że wszystkie „dobrodziki“ pobudzi, odpowiedział lekceważąco:

— Nawarzyły sobie ze mną piwa, niechaj mnie piją; trudno! ja się nie odmienię. — Poczem z werwą jał perorować: — Czemu też tak wczesnie chodzą spać?.. dla nich samych było-by zdrowo trochę się pobawić..

O tem wszystkiem wiedziała siostra Anastazyza i bardzo się martwiła. Cóż jednak miała począć? należało czekać cierpliwie, nie więcej.

W usposobieniu Waleka zaszła po pewnym czasie odmiana. Sprawował się trochę lepiej. Antek, z którym raz dłużej rozmawiał, zapewniał, że Strumło jest w gruncie jak najlepszy chłopak... tylko tak powiadał czasem co mu ślina przyniosła na język.

W siostrę Anastazyzę wstąpiła otucha. Pobiegła do siostry starszej, aby się podzielić wiadomościami. Antek rzeczy, że Strumło zły w gruncie nie jest. Widocznem też było, że się z nowem życiem coraz więcej oswaja. Jest przy tem wesoły, nie przykrzy mu się w zakładzie..

— Że się jemu nie przykrzy, temu wierzę! — Zauważyła oziębłe starsza.

Dla siostry Anastazyi był to jednak objaw szczęśliwy. Bała się, aby za przeszłością nie tęsknił, a tymczasem o swoich dawnych towarzyszach ani już wspominał.

— Skoro tak — proponowała starsza Siostra — może-by dobrze było, aby go ksiądz Białski odwiedził. Miał-by na chłopaka wpływ!

— Oj! siostról! — powątpiewała siostra Anastazyja — pomyślał-by, że to my go przysyłamy... Popsuło-by to sprawę odrazu...

— Co znowu! — mówiła starsza. — Trzeba jednak aby ktoś wreszcie przemówił... Samo się nie zrobi... Właśnie z dobrego usposobienia kożystać należy...

Zamilkła siostra Anastazyja. Jej się zdawało, że nieraz milczenie przemawia głośniejsz od najgłośniejszych napomnień. Że powolność i słodycz działa ją więcej od bezwzględności za surowej... Przytem Pan Bóg tak jest cierpliwy! — Rzekła w końcu:

— Skoro siostra tak sądzi. . postaram się do Walka przemówić sama.

Zaraz nazajutrz zdarzył się jednak wypadek, który jej wszystkie odrazu pomieszał szyki.

Idąc wielkim środkowym korytarzem, na który wychodziły drzwi z pracowni Strumły, w świetle głównych schodów spotkała się z nieznaną osobą.

Była to panna, dość jeszcze młoda, której ruchy śmiałe, ciemno podmalowane brwi i powieki uderzały od pierwszego rzutu oka. Od silnie mąką ubielonej twarzy odbijały jaskrawo karminowe usta. Z pod letniego kapelusza, upstrzonego piórami rozmaitej barwy, upiętego na tyle głowy, wyzierały krótkie, fryzowane strzępki poplątanych rudych włosów.

Młoda osoba uczyniła na siostrze bardzo niemile wrażenie.

Tymczasem nieznaną, krokiem pewnym, bez zawahania zastukawszy do drzwi pracowni, zanim głos z wnętrza odpowiedział, otworzyła je na oścież i weszła swobodnie do mieszkania Strumły.

Siostra usłyszała tylko wykrzyknik: „Zebia!“ a jednocześnie śmiech głośny, niepowściągliwy, dziewczyny.

Zakonnica stanęła jak wryta.

— Co to jest? co to się stało?

Tysiąc myśli naraz przeszło jej przez głowę. Skąd ta wiedziała o Walku? skąd tu się wzięła? Ukryto go tak dobrze przed dawnymi przyjaciółmi, a ci tu znowu szturmują do niego! Zebia, ta sama Zebia, której raz już słyszała imię, wywoływane przez stróżkę na Pradze...

Zaniepokojona do najwyższego stopnia, siostra pobiegła do odźwiernego.

Istotnie! on-to był wszystkiego przyczyną. Przychodzącej tu po raz pierwszy wskazał wyraźnie pracownię: „Pokój wprost wielkich schodów“.

Ot i nieszczęście się stało!.. zdawało się, że wszystko idzie ku lepszemu... a tymczasem otl.. otl..

Co teraz począć? co teraz począć? — przemyśliwała zakonnica. Chciała koniecznie działać, zaraz, póki czas, aby Walka uratować. — Ale jak? — spuściła głowę mocno zafrasowana i zaczęła chodzić po sieni wobec odźwiernego, to w tę, to w tamtą stronę, zatrzymując się, to znowu spiesznym krokiem zdążając, sama nie wiedziała dokąd.

Stróż, chłop ze wsi niedawno wzięty, wpatrywał się w zakonnice: —Zadali jej blekotu, czy co? — dziwił się w duchu.

Nagle siostra Anastazyja, jakby pchnięta jakąś siłą, wróciła schodami na piętro, zdecydowana wypędzić przybyłą.. Mogłyż takie bezwstydne kobiety nawiedzać te mury? — Tak! wejdę tam! — myślała — wejdę i powiem jej!..

Ale z chwilą, gdy się znalazła przed drzwiami pracowni, cofnęła się... Teraz poprostu uciekała, nie chcąc słyszeć jednego słowa z tego, co się tam mówiło.

Uciekała siostra wyżej, na ostanie piętro, do swojej celki, jak najdalej od tej niewdzięcznej i grzesznej ludzkości, bliżej szczytów, bliżej Nieba, jak ptak ucieka do gniazda przed burzą lub przed jastrzębiem, z sercem, co mu się głośno w piersiach łopoce...

Dopiero u siebie na górze swobodniej rozmyślać zaczęła.

— Mój Boże! mój Boże! oby tylko to wszystko pozostało w tajemnicy... oby się młodzi nie dowiedzieli... a toż wypadało uprzedzić i starszą siostrę! Zło przybierało niezwykle rozmiary... — I znowu wracując myślą do swojego Walka... Czowała instynktownie, że ta nieznana, sztucznie jeszcze młoda i fałszywie piękna, to jego przeszłość, która i tu sięgała, aby go raz jeszcze odebrać.

Ciężkie przeżyła chwile siostra Anastazyja. Dwa razy jej okulary zaszyły łzami. Wycierała je wstydliwie, ukradkiem, nie chcąc dać poznać po sobie, uśmiechnięta na pozór jak zwykle, ale mocno pogrzebiona w duszy... Do jej wielkiego zmartwienia przyłączyły się teraz ciężkie skrupuły i wyrzuty! Czy roztropnie uczyniła, przyprowadzając tu Strumkę? Czy po tem, co się tu dzieje, wolno jej zatrzymać czeladnika choćby o dzień jeden dłużej? Musiała mieć z Walkiem kategorię rozprawę.

Tegoż samego dnia zakonnica wyznała wszystko przed Starszą. Obu siostrom wydalenie Strumki wydało się niezbędne.

- Pod jednym tylko warunkiem—mówiła starsza—zgodziłabym się aby został... niechaj się wypowiedzi, niechaj zły przykład na-

prawi.. ale to już siostry rzecz... Inaczej go zatrzymywać tu nie możemy...

Wobec tak stanowczych słów, pozostawał jeden tylko środek: natychmiast rozmówić się z Walkiem.

Chłopak niezły, może go ujmie słodyczą; ale zwlekała jeszcze dwa dni siostra Anastazyja, gotując się do tej ważnej rozprawy, co prawda, nie z wielką wiarą w jej pomyślny skutek.

Od pewnego czasu dziwiła i Strumłę pobłażliwość sióstr.

Sumienie mu nie jeden wymawiało grzeszek. Nie miały siostry powodu radować się wielce z jego tu pobytu. Heretyk z niego był co się zowie... Czemu nic mu nie mówiono? Chętnie-by się z niemi wyklócił... Lecz siostra zachodziła do niego jedynie w sprawach pieniężnych, przynosiła mu kwity opłaconych na Pradze długów, o czem innem mowy nie było.

Właśnie myślał o tem, gdy zakonnica znowu w interesie przyszła do niego.

Po zamianie pierwszych wyrazów, obojętnej, czysto rachunkowej treści, i złożeniu mu sprawy z czynności swojej na Pradze, siostra zamierzała przystąpić do najważniejszego dla siebie przedmiotu, gdy czeladnik sam pierwszy rzekł:

— Ja, który siostrę tak dobrze znam, porządkiem się na jej conto oszukał.

— No? w czem?—zapytała zakonnica.

— Jak mnie tu siostra siłą mocą zamknęła, to słowo daję, myślałem, że to na to, aby mnie nawracać.. a to, aby tylko moje długi spłacić..

Siostra bacznie popatrzała na Strumłę.

— Nie ja ciebie nawrócę! — odpowiedziała.

— Więc kto? — spytał czeladnik z zadowoleniem.

Siostra podniosła oczy na ścianę, w stronę obrazka...

— Pan Bóg ciebie sam nawróci! Jam do tego nie potrzebna!.

Strumło uśmiechnął się znowu.

— Niech-by się Pan Bóg pośpieszył.. bo widzi siostra, wkrótce już skończę robotę, a inna czeka mnie na mieście.

Siostra westchnęła tylko.

— Widzisz—rzekła — jak oddziałali na ciebie twoi nowi przyjaciele. Nietylko w Pana Boga nie wierzysz, ale, co gorsza, sztydzisz z Niego.

Czeladnika skruszyły nieco te słowa, zawstydził się, bo nawet zmartwił tę dobrą kobietę... On przecież wiedział, że Pan Bóg jest... tylko tak, wątpił, aby komukolwiek zależało na tem w niebie, dokąd on, Strumło, dziś pójdzie i co dzisiaj zrobi...

Ale ot! źle zrobiła siostra, że mu wspomniała towarzyszy? Alboż ich ona zna? — Brzozik Alfons, który razem z nim przyjechał z Łodzi, mechanik co się zowie, był porządnym rzemieślnikiem i nie lada ktol jak mu pryncypał nawymyślał to porzucił wszystko, a teraz probuje na własną rękę w Warszawie.—Szczepański ze swą siostrą, Zebią, także porządni ludzie—a że Żerbiec czasem sobie podchmieli, to co komu do tego? zato głowę ma otwartą, słyszy jak trawa rośnie sam sobie byt wywalcza w życiu. Nie popełnili nic nieuczciwego, chociaż żaden z nich nie uczęszcza do kościoła.

Chciał mieć sposobność, aby się wyklucić — miał ją. Teraz potokiem płynęły mu słowa. Bronił gorliwie dawnych towarzyszy.

Zakonnica, założywszy ręce w długie rękawy, stała spokojnie, słuchając. Kiedy Strumło skończył dowodzić, siostra rzekła:

— Uczciwość bez Boga kruchą jest.

Poczem, przystępując już wprost do rzeczy, zapytała:

— A co to za panna odwiedzała cię onegdaj w pracowni?

Strumło nie spodziewał się ataku.

— Siostra już wie? — spytał zdziwiony. — Ano, Zebcia Szczepańska.

— Któż to taki?—badała dalej zakonnica.

— Ot, tak... facetka, siostra mechanika, który mieszkał ze mną na Pradze. Przychodziła do mnie...

Ale urwał opowiadanie.

— Zapewne przypomnieć ci czasy—dokończyła zakonnica—kiedyście się po knajpach włóczyli? może zachęcić cię do powrotu? a może tylko zapytać, czybys im pieniędzy nie pożyczył?

Nie posądzał czeladnik siostry o tyle domysłności... Dalibóg musiała chyba podsłuchać pode drzwiami.

— Skoro siostra tak dobrze wie, to po co mówić—rzekł.

Zakonnicy lżej się zrobiło na sercu.

— Zatem szło jej o pieniądze?.. — spytała.

— Skąd miałem dać — rozgniewał się nagle Strumło—u nich ani grdynia, a u mnie co?

— Jakże to dobrze! — ozwała się siostra Anastazy... ale wnet myśli swojej dała inny zwrot:

— ...żem pozostała twoją kasyerką... Mam nadzieję, żeś tej próżniaczkę dał należytą odprawę... i że tu już nie powróci... prawda Walku? pomyśl sam! czy to się godzi, ażeby osoba, która ci nie jest krewną, przychodziła za tobą aż tu, do zakładu...

Strumło nie odpowiedział nic, uśmiech ironiczny błąkał się po jego twarzy.

Siostra, zbliżywszy się do niego, oparła mu rękę na ramieniu z wielką dobrocią, i rzekła:

— To twoja nie dobra przeszłość odwiedzała cię... ale cóż jej dzisiaj do ciebie? — i dodała:

— Mój Walku, ja wiem, że w gruncie z ciebie dobry chłopak... bardzo dobry chłopak...

Strumle zabarwiła się twarz lekkim rumieńcem, pochlebiła mu dobra opinia siostry.

— Czy wiesz — ciągnęła zakonnica—że poczciwy ksiądz Biański odwiedzi tu chłopców pojutrze, bo niektórzy ze starszych gotują się do spowiedzi...

Czeladnik podniósł głowę i wnet się najeżył.

— A mnie do nich co?—zapytał.

— Owszem—odparła—jeśli masz jeszcze wątpliwości co do wiary, przełożysz je księdzu, rozmówicie się.

— Ja mu się tam spowiadać nie będę—rzekł Walek.

Siostra zamilkła, ale po chwili wtrąciła:

— Antos Domaniewski spowiadać się będzie także.

— Ja mu nie bronię—rzekł Strumło.

— Więc nigdy pogodzić się z Bogiem nie myślisz?

Czeladnik nie odpowiedział, zmarszczył tylko brwi i patrzył na własne obuwie, którem nerwowo uderzał w podłogę; poczem ruchem głowy odrzucił spadające mu na czoło włosy i rzekł obojętnie:

— Niel. Już ja nawet zapomniałem, jak się to człowiek spowiada... A zresztą, czy ja mogę spamiętać, jakie grzechy popełniłem od siedmiu lat...

— Jabym ci dopomogła—nieśmiało wtrąciła zakonnica—pójdzie ci łatwiej, niż myślisz...

Ale czeladnik odrzucił pomoc.—Rzekł opryskliwie:

— Nie czuję żadnego żalu za grzechy... Dobrze mi jest, jak jest... niech siostra mi nie zawracał..

Nastało długie milczenie — wiatr tylko uderzał o szyby płatkami śniegu.

Zakonnica skierowała się ku wyjściu.

— Przynajmniej—rzekła smutnie — innym nie dawaj zgorszenia. Ciężką wzięłbyś na siebie odpowiedzialność.

W tej chwili za progiem dwa obcasy uderzyły o podłogę, drzwi się otwały z impetem i wszedł Piechórski.

Strunię często odwiedzała młodzież w pracowni.

— A tyś tu po co?—spytała siostra.

Wojtek zasapany rzekł:

— Majster posyłał na miasto.

— Zamiast wracać do roboty, odwiedzasz znajomych—przyganiła zakonnica.

Piechórski nie stracił rezonu.

— Ee, będzie czas! ja tak tylko... — tłumaczył się — ja do pana Strumły.

Zakonnica już wychodziła i rzekła:

— Wracaj mi w tej chwili do roboty, Wojtek, słyszysz? inaczej sama cię oskarżę przed majstrem. — Uśmiechnięte zazwyczaj jej usta wyrażały teraz surowość.

— Ale, ale!..—dodała od progu — przyjdź-że w niedzielę, organista wyzdrowiał.. będą znowu lekcye śpiewu.

Skoro siostra odeszła, Piechórski prędko rzekł:

— Paniel paniel! pan wie? Kubalskiego okradli tej nocy.

I klasnął rękoma po udach.

Strumło się odwrócił:

— Jakto? Kubalskiego?.. handel spożywczy?

— Taak — potwierdził terminator... Zabrali mu siedemset rubli z szuflady.

— No! no! I nie wykryto złoczyńców?

— A no!.. jest podejrzenie.

— Na kogóż to?

— Mówią, czeladnik jakiś... nazywa się Żerbiec.

Strumło rzucił szarfmesser i na równe wstał nogi.

— Żerbiec? Skąd wiesz?—spytał.

— A opowiadali w warsztacie...

— Fałsz! — krzyknął. Już zrzucał fartuch, porwał za czapkę i paltot.

— Pan idzie tam?—zdziwił się Wojtek.

— Zmykaj! — rzekł krótko Strumło i, obróciwszy klucz we drzwiach, nie zważając na Wojtka, śpieszył co prędzej na Pragę.

\* \* \*

Siostra Anastazyja kołatała ponownie do litości siostry starszej.

— Ta panienska—mówiła o Euzebiei Szczepańskiej—jest rodzoną siostrą kolegi Walka... popobno, skąd inąd, są to dość porządni ludzie... Przychodziła w imieniu brata pożyczyć pieniędzy... Ale Walek nie dać nie mógł, bo fundusze jego są u mnie. O! po takiej odprawie, z pewnością już tu nie wróci.

— Mniejsza o nią — odpowiedziała starsza — ale co siostra używała od Walka?



— Sądzę — odrzekła siostra Anastazyja — że jest teraz lepszych chęci... tak, o wiele lepszych... postęp jest, z pewnością,

— Czy nakłania się do spowiedzi?..

Zakonnica westchnęła.

— Nie umiałam być dostatecznie wymowną... kto inny lepiej potrafi... gdyby jeszcze pewien czas poczekać.

Starsza milczała, namyśliwała się widocznie; pod uderzeniem krwi do głowy, kornet jej biały zlekka drżał.

— Odprawi się nowenna — rzekła — aby się ten hardy chłopak skruszył wreszcie... Zaczekamy — dodała — skoro postęp jest...

Rzeczy brały obrót szczęśliwy i znowu siostra Anastazyja miała kilka dni spokojnych...

Strumło siedział przy pracy, w oknie, na którego poręczy zewnętrznej układał się wysoko śnieg biały. Na szybach, wewnątrz pokoju, osiadała lekka para, po której zbiegały po chwili wielkie krople dżdżu. Gałęzie drzew ogrodu zasłaniała powłoka wilgotna i mglista.

Szczegóły kradzieży, o których się na miejscu dowiedział, jeszcze w straszniejszym przedstawiały ją świetle. Kubalski, obudzony w nocy, wyszedłszy z alkierza do sklepu, uderzony został nożem w bok dość niebezpiecznie. Widocznie złodzieje, tylko na podniesiony krzyk przez kobiety, zaniechali morderstwa.

Ale co do tego, aby Żerbiec był winien, pokazało się, że to plotka. Także mądrze wymyślił! Odrazu wytłómaczył się przed policją — posadzono go dlatego, że chodził często do Kubalskiego. Sam o tem wszystkim jemu opowiadał. Albo to on jeden u Kubalskiego bywał? I Zebki brata zapytywano także. Obaj się dziś śmieją z tego.

I na wspomnienie Zebki sam zaczął się śmiać.

— Zabawna ta Zebka... — myślał — że dla niej pieniędzy zawsze za mało, to prawda, ale za to zuch dziewczyna... Oto gdyby ją byli pociągęli na świadka.. potrafiła-by miżdzić się do sędziów, ha, ha.

Śmiał się głośno na takie przypuszczenie.

— Komedya! — rzekł.

Do pracowni w tej chwili doleciał stłumiony, przez mury, daleki śpiew. W Patronacie uczono się chórów, bo święta były za pasem.

Czeladnik słuchał i sam począł nucić.

Właśnie naklejone świeżo książki miał umieścić pod prasę, więc wstał i, tak stojąc, zaintonował na próbę śpiewany dawniej ustęp chóralny. Wysoki pokój odbił nutę dobrze, uwydatnił nawet śpiew, tak, że się Strumło zadziwił sam, jak dalece był przy głosie. — Odwracano-by się po ławkach, gdybym chciał... — pomyślał.

Piechórski, co prawda, ciągle mu dokuczał, namawiając go do chórów... Ale na co się to zdało? przecież do kościoła z zasady nie chodził.

Odbywały się lekcyje trzy razy na tydzień.

Na górze, w sali Patronatu, do rozstrojonego nieco pianina zasiadał syn organisty, uczeń z konserwatorium, który młodym lekcyje dawał. Zapalano wiszącą od sufitu lampę, cisnęła się młodzież do fortepianu i śpiewano mszę Müllera.

Msza była zbyt dobrze znana i spowszedniała. Nauczyciel przyniósł inną, znalezionej w nutach kościelnych, z którą chciał wystąpić na święta, a której chłopcy nie znali. Ale od pierwszych akordów poznał ją Strumło. Była to msza z jego czasów, którą niegdyś z Antkiem śpiewał.

Zaraz przy niedzielnej lekcyi, widząc jak niezręcznie szło chórom, sam się przyłączył do śpiewających. Porwał za batutę, a raczej zwój nut, którym nauczyciel taktę wybijał, i odśpiewał całą partycję. Winszowali mu koledzy, a najwięcej uradowany Wojtek, zacierający ręce aż mu palce w stawach trzeszczały, bo silny, tenorowy głos Strumły sprawiał niezwykle wrażenie. Strumło, w którym werwa artystyczna drzemała tylko, ledwo uspijona, zaliczył ten wieczór niedzielny do najmilszych ze spędzonych w zakładzie.

Ułożyło mu się życie teraz spokojnie. O nic się nie troszczył, robił ile chciał, bez niepokoju o jutro. Stosunek na kilka lat zerwany z tym domem rodzinnym, w którym wzrósł, zacieśniał się znowu, nawet szczerzej i serdeczniej. Mimo wiedzy jego odczute znowu wrażenia, powoli, jedno po drugim, łagodziły myśli jego, przytłumiały jego przeszłość—jak owe warstwy śniegu, ścieląc się jedno na drugie, przykrywały teraz świat cały szatą nową i białą.

Cóż, kiedy to życie miało mu się popsuć nazajutrz!

Jeżeli Zebka, prawdopodobnie czasu nie mając, nie ponawiała odwiedzin w zakładzie, zato nawiedził Strumłę inny gość.

Był nim czeladnik introligatorski, którego miejsce, obiecano Strumle, miało zawakować zaraz po świętach. Przychodził do swego przyszłego zastępcy uprzedzić go, z jakim-to kutwą psiawiarą będzie się miało do czynienia...—Nie daj Boże takich wielu! — bądź, co bądź, skoro Strumło miał go zastąpić u majstra, to jemu, odprawionemu, należało się od Strumły choćby małe wynagrodzenie.

Walek, który dawno nie fundował, uczył głęboko sprawiedliwość koleżeńskich wymagań, a ponieważ już się ciemno robiło na dworze, wyszedł z gościem na miasto, aby go uczęstować.

Nieszczęście chciało, że kiedy powrócił późnym wieczorem, miał sam w czubie, co się zowie.

U Strumły zbytek napoju podniecał czułość.

Stróżowi, który mu otworzył bramę, oświadczył wielki szacunek i miłość, potem wszedł na schody, krokiem trochę chwiejnym, śpiewając

tak głośno, że na ten śpiew niezwykle otworzyły się drzwi kaplicy i kilka sióstr zgorszonych ukazało się na progu. Strumło skierował kroki wprost do Zakonnice.

Wysunęła się tym razem naprzód sama siostra starsza. Spoglądała bardzo surowo i zaczęła mówić:

— Co znaczy ten nieprzystojny śpiew po nocy?— spiłeś się, czy co?

Walek zbliżył się do siostry, ujął obie jej ręce i zaczął je całować.

— Ja przepraszam, ja przepraszam — mówił— jam nie taki zły.. i Żerbiec był dobry, i ja dobry... ja się poprawię.. I z wielką serdecznością przechodził od jednej do drugiej z sióstr, każdej całując ręce z kolei.

— Aleś ty pijany, ty pijany!—mówiła starsza.—Ładny przykład dajesz tu z siebie... pamiętaj, że cię stąd wypędzę!

Strumle wracała przytomność. Czulość ustąpiła miejsca zwykłej hardości.

— A kto tu siostrę o łaskę prosi... chcieliście mnie, macie mnie... nie chcecie mnie—mówił—pójdę sobie.

Lecz siostra Anastazyja, dotąd biernie stojąca na boku i mocno zalterowana tą nową przygodą, wmieszała się do rozmowy:

— Cicho, Waleku, cicho... późno już... odejdz sobie... — i zwróciła czeladnika ku jego pracowni.—Walek jednak wykrzykiwał długo i deklamował w późną noc.

Strumło nie był sobie podchmielił do tyła, aby nie przypomnieć nazajutrz rozmowy swojej z siostrą.

Był mocno podniecony.

— Łaskę mi robi—myślał—czy co? Koledze fundować nie miałbym prawa... To także!

W południe miał zejść w podwórze, gdy go zatrzymał na schodach jeden z młodych wychowañców. Wyrostek miał figlarne oczy, nos silnie zadarty do góry, i na jasnej głowinie, ostrzyżonej krótko, nosił dwie białe szramy, ślad bijatyki, czy uderzenia.

— Paniel paniel!—zapytał—czy to my się za pana modlimy?

Strumło odrazu pojął rzecz i poczerwieniał, podniósł nawet rękę na chłopca.

— Karaluchul!—rzekł.

Ale się chłopak ulotnił w mig. W jednej chwili był już na dole, stanął drwiący na zakręcie schodów i podniesionym głosem jął wrzeszczeć.

— Oto żyd, oto żyd, który do kościoła nie chodzi.—Poczem wpadł na dziedziniec i dokazując w najlepsze, krzyczał dalej:—Patrzcie gol.. żyd, żyd!—tak, że Strumło, bardzo nie kontent, zamiast wyjść w pod-

wórze, skrzył na lewo w stronę kuchen, byle nie przedłużyć tej smutnej sceny.

Teraz już stanowczo był zły.

Dokuczały mu te kornety i wyśmiewały bębny. Stawał się pośmiewiskiem zakładu. Więc chciano go wstydem przymusić, aby się nawrócił.

Któż to powiedział wychowańcom, że nie chodził do kościoła. Siostry wygadywały zapewne!.. no, no! dobrze, że się przekonał, jakie są te siostry! nie mądrą miały politykę.. na kiel, to na kiel! on swoje także pokaże...

Chciał teraz wszystko wiedzieć! Kto miał tę mądrą myśl, aby się za niego modlono?.. Jak tu Piechórski zajdzie na śpiewy, wyśle go zaraz na zwiady.

— Słuchaj Wojtek—rzekł mu nazajutrz—ty masz nos.

— A bo co?—spytał terminator zaciekawiony.

— Łebski z ciebie frant... ja to wiem...—ciągnął Strumło, patrząc na „smyka“, któremu wstęp do przemowy widocznie pochlebiał. — A może i tak o wszystkim wiesz?

— A no, niech pan mówi—rzekł Wojtek.

— Czy kazano ci się modlić za jakiego tu grzesznika?

Wojtek roztworzył usta; nie nie rozumiał.

— Nie,—odrzekł.

— A młodzi z zakładu, modlą się?

— A bo ja wiem...

— To mi się dowiedz—rozkazał czeladnik.—Spisz mi się gracko, bo ty umiesz... Kto się tu modli i kiedy? za kogo zwłaszcza modlą się?..

Wojtek natychmiast popędził na piętro do Patronatu i jął węszyć po swojemu.

W godzinę potem Strumło wiedział różne rzeczy, wiele więcej, niżli się spodziewał.

Najprzód, że od tygodnia, co wieczór, wszystkie siostry z ulicy Freta odprawiały nowennę przed ołtarzem Matki Bolesnej. Potem, że w przyszłą świąteczną niedzielę, bo dni kilka tylko brakowało do Bożego Narodzenia, terminatorzy z dwóch miejscowych rzemiosł mieli na intencję nawrócenia grzesznika przystąpić do Stołu Pańskiego; że się najmłodsze sieroty codzień modliły, że Katarzyna kucharka należała podobno do sekretu, ale nazwiska nie wyjawiała; że starszym terminatorom zalecano także modlitwy...

— Więc za kogo, myślisz, — spytał Strumło, patrząc bacznie na Wojtkę—modlą się?

Wojtek zastanowił się...

— Abo ja wiem!.. może za pana...

— Głupiś — rzekł czeladnik. — Dlaczego-by za mnie? Czy to ja już taki najgorszy czy co?

O tem, że się cały zakład modlił w sekrecie za niego, sam jednak miał się przekonać.

Zbliżyła się ze świętami pora wielkiej, ogólnej spowiedzi. Wskutek ustawiania choiny w bawialni sierot, zakład cały zgromadzonym był teraz w przestronnej, korytarzowej sali, przytykającej do jego pokoju, i tu głośno odmawiano pacierze.

Siedząc nad swemi książkami, z których mu kilka już tylko zostało do oprawy, Strumło rozpoznawał głos jednej z zakonnicy, czysty, wyraźny, trochę nosowy. Każde słowo, odmawiane miarowo przez dzieci, wciskało się do pracowni, odnajdując w niej echo. Pusty ten jego pokój chłonał dziwnie odgłosy z zewnątrz.

Tegoż wieczoru, nachylony nad swoją płytą, Strumło począł nasłuchiwać. Jeżeli kiedy, to się z wieczora musiały dzieci modlić za niego, — rano pacierz był krótszy. Z początku odmówiła zakonnica zwykle, codzienne modlitwy. Czelaadnik zwalniał robotę, śledząc uważnie dolatujące doń dźwięki, zaniechał nawet dotykać prasy, aby nie zagłuszać wyrazów. Nadeszła chwila wypowiedzania intencji... Chłopcy modlili się teraz za nieżyjących rodziców. Po skończonym pacierzu Strumło usłyszał znowu głos siostry, która mówiła — „za dobrodziejów i opiekunów zakładu“ — i znowu miarowo pacierz wzbił się pod sklepienia sali i przebrzmiał. Strumło pomyślał: — teraz będzie za mnie z pewnością — miał jednak trochę nadziei, że o nim zapomną. Omylił się. Po chwili milczenia, siostra wyraźnie wypowiedziała: — za jednego z wychowañców zakładu, aby mu Pan Bóg wrócił swoją łaskę, trzy Zdrowaś. — To o nim była mowa!

Zrazu czeladnik skamieniał, mimowoli dech w sobie zaparł, czekając, co będzie dalej... Cienkie, miarowe głosiki, zaczęły odmawiać pierwszą Zdrowaś Marya... — Więc stało się — wiedział, co chciał wiedzieć. Co mówiono, było prawdą! — Stał zamyślony, ostro patrząc przed siebie. Zżymał się na dobre! cisnął książkami, które miał pod ręką, prasę poruszył gwałtownie aż okna brzękły, nożyce i kostki zadzwoniły na ławie, stółek na którym siadał odsunął z hałasem w kąt...

— Psiaakrew! — mówił — pocem tu wlazł.

Gniew zwykle popycha do gwałtownych czynów.

— No, no — myślał — odpłacę im!.. ten damski-ksiądz potrafi ludziom dokuczyć, ale niedoczekanie je!.. Już dawno mnie swoim sposobem obchodzi... dała mi do oprawy same książki nabożne, a nuż którą

przeczytałem.. Czytałem tytuły, nie więcej! Zawiesiła mi świętości nad łóżkiem, a ja dlatego dobrze śpię!.. Mądra, ale trafiła na mądrego!

I zaraz nazajutrz wyruszył na miasto.

Wrócił bardzo zadowolony. Miejsce, które niedawno libacyami okupił, było wolne, choćby zaraz. Mógł w tej chwili zakład opuścić. Dam ja im „łaskę“—głupiec-by o nią prosił... jeszcze dwa dni przebie-  
dować... niech mnie potem gonią, jeżeli chcą... I jął ostatnie książki oprawiać z wielkim ferworem.

Od tej chwili zauważono w Strumle stanowczą zmianę na gorsze.

Widocznie „brał na kiel“—po nocach rozbijał się znowu, jak dawniej. Wyśmiewał „Jasełka“, do których czyniono przygotowania w zakładzie. Zapowiadał z góry, że jeżeli kiedy, to się upije na święta, że wie dobrze, gdzie i z kim spędzić wesołe dni! — Co gorsza, doszły te przechwałki Strumły do uszu starszej siostry, nie zupełnie prześlą-ganej po niedawnym zajściu nocnem! Przebrała się znowu miara. Od-  
dalenie czeladnika zawyroковано nieodwołalnie zaraz po świętach.

I „damski-ksiądz“ uznał tym razem, że zgorzenie ponawiało się zbyt często... że Walka należało wydalić, ale ta myśl zgnębiła siostrę do reszty.

Nadeszły wreszcie święta Bożego Narodzenia.

W całym zakładzie panował ruch niezwykły. Siostry po koryta-  
rzach przyspieszały kroku, zatrzymywały się i szeptały. Służące od opiekunów przynosiły kosze pierników. Doniczki kwiatów, stojące przed ołtarzem Matki Boskiej, obmywano z pleśni; odświeżano wszystkie kąty, a na wielkiej sali ustawiano teatr, mający służyć do przedsta-  
wienia Jasełek.

Zamiast lekcyi po południu, chłopcy przygotowywali się do spo-  
wiedzi. Kilku ze starszych kolegów Strumły, których ksiądz Białski miał jeszcze dnia tego wypowiadać w kościele, odczytywało z siostrą rachunek sumienia. Wcześniej wyzwoleni terminatorzy przybiegali do Patronatu, a w sali wielkiej na górze miała się odbyć ostatnia próba mszy nowej.

Strumło z oprawionemi książkami, które odnosił, odszukawszy siostrę Anastazyę, stanął przed nią i hardo rzekł:

— Książki oprawiłem wszystkie... przyszedłem siostrę pożegnać.

— Co znowu? —wykrzyknęła siostra zdziwiona.

— Co znowu? nie. Co-by miało być? — rzekł czeladnik wyzy-  
wająco.

— Jakto? chcesz odchodzić dzisiaj, w dzień Wigilii, w przeddzień samych świąt.

Strumło podniósł ramiona lekceważąco.

— A cóż mnie mogą święta obchodzić... Czy je spędzę tu, czy na mieście.

— Jakto? nie przełamiesz się z kolegami oplatkiem? — spytała zakonnica zmartwiona.— Umyślnie dla ciebie upiekłam taki strucel jak lubisz... Któż to widział opuszczać w święta swój rodzinny dom?

Czeladnik odpowiedział z ironią:

— Łaski mi nie trza nijakiej; chce siostra, mniejsza o to! pożegnaj się jutro. Ale ja tu niepotrzebnie miejsce zajmuję. Zakonnice chcą ludzi siłą-mocą nawracać, niech-by sobie nawracały innego... mnie już siostry nie przerobią!..

Poco jej to powtarzał raz jeszcze? Jeżeli Strumło chciał zmartwić siostrę Anastazyę, to dopiął celu. Wcisnął głębiej cierń tkwiący w jej sercu. Kochała przecież Walka, jak syna. Uczuła teraz wyraźnie, że łaska nie działała na niego! że gorące jej modlitwy wysłuchane nie będą.

— My ludzie śmiertelni—mówiła w duchu z pokorą — chcielibyśmy zawsze, aby się prędko skuteczniały nasze pragnienia!.. Ale Pan Bóg ma całą wieczność przed sobą, Pan Bóg się nie spieszy!..—Strumło tym razem umykał jej całkiem i niepowrotnie.

Kilka godzin jeszcze, jedna noc tylko — i już miała pożegnać Walka, może nazawsze!..

.....

Robiło się ciemno na dworze. Strumło chciał lampę zapalić, gdy zastukano do jego pokoju.

Jeden z chórzystów, wysłany przez nauczyciela, prosił aby poszedł na górę pomagać. Nie szło wszystko tak, jak trzeba.

Strumło już nie miał co robić w pracowni.

— Dobrze, powiedz, że idę— rzekł.

Zrzucił wnet z siebie fartuch, zmienił kołnierzyk u koszuli, naciągnął na siebie lepsze ubranie i szedł już na górę, gdy usłyszał nagle hałas wychodzących z przeciwka chłopaków.

Szli parami, każdy z książką w ręku, do kościoła na dół, a za nimi siostra Anastazyja.

Przypomniało mu się na razie, że spowiedź i Komunię ofiarować chłopcy mieli za niego.

Musiał czekać, aż wszyscy przejdą, i wytrzymać patrzących wejrzem. Ale wzroku siostry nie spotkał... Gniewała się pewno na niego... A co?—pomyślał—widzi już chyba teraz, że ze mną sobie nie da rady... niech sobie się modlą za mnie i spowiadają... owszem, owszem, bardzo proszę! co mi to szkodzi!..

Pobiegł zadowolony na górę... umiał wytrzymać próby!.. żadna nie miała wpływu na niego. Co to mówiono o nim, że się tak łatwo dawał powodować? Właśnie, że nie... kiedy dobrze chciał, to chciał, umiał się pokazać... tak, kontent był z siebie.

Na górze, syn organisty, długi, chudy chłopak z ogromnymi nogami i kolanami, które pod fortepianem nie wiedział jak zmieścić, z długimi, fryzowanymi włosami, które mu ciągle opadały na oczy, siedział zgarbiony, wyczytując w cieniu, który sam głową na papier rzucał, zartę już nieco nuty staroświeckiej partytury.

Odwrócony od lampy, ze zwojem nut w rękę, Piechórski tuż za nim po raz już piąty rozpoczynał niefortunny ustęp, w którym się mylił co chwila. Cień jego ręki na murze wybijał takt, to w prawo, to w lewo, jakby perpendykuł wielkiego zegara. Śpiewający otaczali go kołem, znacząc końcami stóp i ruchem głowy miarowy takt melodyi, podczas gdy nauczyciel podtrzymywał rozchodzące się głosy silnymi uderzeniami w klawisze.

Ale znowu coś się popsło.

— Cisł cisł panowie opuszczacie drugie cis... przytem głos B zaczyna przed głosem C. Jeszcze raz proszę — mówił trochę zniecierpliwiony syn organisty.

Na widok Strumły, rzekł:

— Nie wiem, jak to jutro będzie, mylą się ciągle — musisz nam pan dopomódz! Bądź pan tyle grzeczny... zadyryguj pan głosy C, tamtemi ja pokieruję.

Rozpoczęto więc mszę na nowo, a Strumło, ująwszy batutę i ustawiwszy chłopców bliżej lampy, po swojemu rzecz prowadził.

Z wyjątkiem małych ustępów, całość wypadła wcale przyzwoicie. Chóry młodocianych głosów zlewały się harmonijnie i wdzięcznie. *Gloria* i *Sanctus* były bez zarzutu, *Agnus* tylko, w minorowych tonach, wykonano mniej dobrze. Inaczej jednak miało wypaść przy organach, niż przy takim lichem pianinie, w dodatku na pół rozstrojonym.

— Jakoś to pójdzie—rzekł organista.

— Pójdzie,— rzekł Strumło — czemu nie ma pójść?

Wysoki nauczyciel podniósł się od fortepianu.

— Zmęczył się pan, panie Piechórski—rzekł do Wojtka—powtarzaliśmy trochę za wiele.

— To nic — rzekł terminator. — Lepiej się zmęczyć, aby nie zmalować.

Nauczyciel nieokielznane pukle włosów przygniół ręką, ściągnął kamizelkę w dół, nuty swoje złożył i począł się żegnać.

— Dziękuję panu—rzekł do Strumły.—A nie przyjdzie pan jutro do nas na chór, aby nam dopomódz?



— Ee! dobrze wam idzie — rzekł Strumło.

— To do widzenia panom, — rzekł drągał, którego wybujała postać zgarbiła się teraz w otworze drzwi. — Wesołych świąt panom życzę!

— Nawzajem, dziękujemy—odpowiadały głosy chłopaków.

Ale w tej chwili siódma wybiła. Znowu na korytarzu robił się rumor wielki, warsztatowi wracali z kościoła.

Podczas gdy wychowawcy składali książki na bok i wchodzili do jadalni, gdyż miano zasiąść do kolacyi, nieco spóźnionej z powodu wieczornej spowiedzi, zanim Strumło zdążył się pożegnać ze starszą czeladzią, ujrzał siostrę, idącą z opłatkiem ku niemu.

— Zacznę od ciebie, mój Walku—rzekła z łagodnym uśmiechem—wiesz, że ci dobrze życzę...

Spojrzał na siostrę, usta jej się śmiały, w oczach drgały wielkie łzy.

W tej chwili przykro mu się zrobiło, że płakała siostra. Spuścił oczy. Wiedział dobrze, dlaczego płacze.

Kończył się wreszcie dla Strumły ostatni dzień, który miał spędzić w zakładzie.

Gdy zeszedł do siebie, znalazł jeszcze Piechórskiego, który oczekiwał na niego.

Terminator miał zawsze jakieś nowiny.

— A pan nie słyszał?—spytał.

— Co znowu wiesz?

— Ano, w sprawie Kubalskiego... aresztowano ich. Tym razem przyznali się. Mechanik dorobił klucz, ale to Żerbiec chciał zabić tamtego...

— Przyznali się?—wykrzyknął Strumło.

— Ano jużci, stoi wszystko wypisane w gazetach.

Czeladnik pobladł—nie odpowiadał nic.

— Panie -- prosił Wojtek -- nie mów pan siostrze, że ja powiedziałem...

— A bo co?—spytał Strumło pochmurnie.

— Siostra skrytał.. mówiła tak, że nie trzeba pana martwić na święta.

\* \* \*

Długo tej nocy Strumło własnymi kłopotał się myślami.

Czuł, że się zupełnie omylił.

— Umiał zwozić ludzi ten łajdak!.. no, no! A to gałgan, a to łotr! miał się noża nawet... I drugiego podbuntował do złego... miał on gębę złodziej, umiał przedstawić rzecz...

Z założeniami w tył rękoma, pochylony naprzód, chodził wzdłuż i wszerz pokoju.

— Kto-by się był spodziewał? — powtarzał z wielkiem wzburzeniem.— Wyklamać się to potrafił.. Mnie samego zwiódł!..

Zastanowił się.

— Bóg wie, jak już dawno mnie zwodził? Jak kiedy dawniej miał pieniądze, to chyba także kradzione.

Pokiwał głową:

— To dopiero frant?

Strumło wcale się nie rozbierał, chodził i chodził po pracowni. Wtem stanął w środku pokoju.

— Miałem nos - - pomyślał — zem się od nich odkaraskał, był-by mnie huncwot także do kozy wpakował... Krucho było ze mną...

Na myśl omińniętego niebezpieczeństwa, odetchnął pełną piersią.

— Bezpieczniej tu—osądził.

— Poczciwa to kobieta ta Anastazyja. Gdyby nie ona! Zatrzymała mnie tu siłą-mocą... A wczoraj to aż łyzy miała w oczach, kiedy się ze mną żegnała. I opłatkiem się podzieliła, i strucel upiekła... Prawdziwie jak matka!

Przysiadł na łóżku. Ale znowu jęło go trapić natrętne wspomnienie.

— Ten Żerbiec! Ten Żerbiec!

Źle spał i wstał bardzo późno, jak struty.

Dzwoniono już na mszę, gdy się porwał z pościeli. To ten Żerbiec był przyczyną, że tak długo nie mógł zasnąć.

Wielki dzień świąteczny nastawał... wesoły dzień dla ludzi, co nie siedzą w kozie... Przez zwilgocone szyby spojrzął na dziedziniec i ogród.

Spokój otaczał go do koła. Od ulicy panowała cisza, jak zwykle w świąteczne dni. Nie było dziś słyhać wjeżdżających na plac bazarowy tych wozów ciężkich, od których tak dudnił zwykle most rzucony na rynsztoku. Jakże tu ludziom dobrze i spokojnie... Ot, głupstwo może zrobił, że się pośpieszył z robotą i rzuca, Bóg wie dlaczego, ten znany kąs.. Lekki mróz na dworze czynił powietrze bardzo przejrzystem... Tuż nad kasztanami ogrodu wycierał się błękit i w szarej powłoce dalekiego nieba otwierało się jakby okno.

Kończył się ubierać, gdy usłyszał na korytarzu stąpanie licznych nóg po sękowatej podłodze. Zakład chłopców i warsztatowi schodzili na mszę w milczeniu.

Przypomniał sobie nagle zapowiedzianą mszę i Komunię. Wszystko to już go nie drażniło dzisiaj...

— Siostra chce — rzekł — bym się spowiadał, jakże-bym sobie przypomniał, com przez tyle lat nabroił?..

Wtem, usłyszawszy na korytarzu jakiś prędko chód, zwrócił się ku drzwiom niespokojnie.

Wbiegli do niego razem, blade, tragicznie wyglądający Piechórski, i drągał, syn organisty.

— Panie, musisz nas pan ratować—rzekł ten ostatni.

— Cóż znowu się stało?

— Cała msza na nic.

— Abo co?

Organista wskazał na towarzysza:

— Wczoraj jak wyszedł stąd zgrzany, zachrypl najfatalniej.

— Co pan mówisz? — zawołał Strumło—a toć pierwszy głos! — i spytał Piechórskiego:

— Nie możesz śpiewać?

— Nie mogę!—zapiał Piechórski jak kogut.

— Masz babo kaftan!—zaśmiał się Strumło.

Ale Piechórski nie śmiał się wcale. W jego oczach okrągłych malowała się cała groza wypadku.

— Panie Strumło, panie kochany,—zaczął organista, biorąc czeladnika pod ramię, z wielką czułością — nie gub pan nas... musisz pan teraz śpiewać! koniecznie.

Broniącemu się od napaści nie dał drągał przyjść do słowa.

— Ale koniecznie, panie, koniecznie! taki piękny masz pan głos!.. Mszę umiesz pan na pamięć!.. nie zrobi pan zawodu. Siostra Anastazyja w rozpaczyl mój panie łaskawy, nie odmawiaj pan!!!.

Strumło, wypychany za ramiona z własnego pokoju, dał się przekonać nareszcie.

— Zrobię to dla niej—rzekł. — Ona dała mi strudel, dla niej zaśpiewam!

Jednocześnie przyznawał w duchu, że lubił śpiew.

I Strumło, który od siedmiu lat nie bywał w kościele i usunięcie się tak długie od obrządków religijnych uważał za siłę woli, na razie znów uległ, ale wnet rozróżnił myślą, że co chór, to jeszcze nie kościół.

Znalazł się wreszcie na wysokościach dobrze mu niegdyś znanych, tuż przy organach.

Zbliżone, zniżające się łuki sklepień, wiązały się w majestatycznym zarysie nad jego głową. Opierał się, jak dawniej, na tej starej, dębowej, wytartej już balustradzie, z po-za której tak często wyzierał na kościół. Po bokach nawy strzelały do góry potężne pilastry, ozdobne

w złote i szafirowe ołtarze. W regularnych odstępach cechowe kolorowe chorągwie znaczyły jasnemi plamami jednolite tło świątyni.—Wracało mu teraz to wszystko przed oczy tak, jak to w dzieciennych latach utkwiło w jego pamięci. W przedłużonej nawie św. Jacka, tam od wielkiego ołtarza, gdzie już wszystkie świece zapalono, klęczał pobożnie zakład sierocy.

Na dole pobożni napełniali świątynię. Od ulicy ruch nie ustawał; po spadzistych schodach, prowadzących do kościoła, wtłaczali się co chwila nowo-przybyli.

— Co tu ludu, co tu ludu!—mówił sobie Strumło w duchu.

Tuż od okien, na wschód wystawionych, zaczynały spływać do wnętrza w białawych, przezroczystych smugach i strunach, promienie srebrzystego światła.

Na głowach pobożnych spoczywały tęcze kolorowych okien, zdołując nawet w różnobarwne gwiazdy i kwiaty. Kobierzec, malowany słońcem w zielone i czerwone astry, wydłużał się aż do krated. Bliżej ołtarza dwa rzędy jasnych kornetów okalały przybytek Pański, jakby wieńcem lilii białych.

Zapatrzony na kościół, Strumło doznawał przyjemnego uczucia. A toż przecie od lat dwudziestu dwóch znał te łuki i sklepienia... toż zaraz po śmierci matki wszedł do zakładu jako sierota... Pamiętał to wszystko: kiedy był mały klęczał na prawo, w prezbiterium, tam, przy stalach... potem, jako starszy, stawał już w środku kościoła. W tem miejscu nazbierało się i dziś sporo czeladzi. Spostrzegł wśród nich oto Antka, wyższego o głowę od innych... Zdziwi się, gdy go usłyszy!..

— Czy mnie się tylko uda?—zapytywał siebie z pewnym niepokojem. — Odwykłem trochę, niema gadania.

Tym ciągle w dole napływał, wlewając się teraz w boczne nawy kościoła. Strumło patrzył:

— Że święto, to święto; jaka masa głów, szpilki-byś nie wcisnął...—I wnet osądził:—Dobrze, że pełno! lepiej wyda się głos!

Tymczasem przy nim chór się ustawiał. Chuda, nerwowa ręka organisty, wyciągała z suchem klaskaniem drówniane głosy: flet, major-flet, kwintę, oktawę. Chłopcy podawali sobie nuty, jeden drugiemu. Znać było gorączkowy pośpiech w przygotowaniach. Czekało tylko, aby księża wyszli z zakrystyi, bo już ołtarz luną światła gorzał cały.

— Uwaga, panowie! zaczynamy—dał hasło organista.

W tej chwili w prezbiterium dzwonek ozwał się po trzykroć, a jednocześnie rozległ się śpiew na chórze, tworząc potężnie organom.

Od pierwszego dźwięku Strumło wzniosł oczy na organ, który drgnął, zaczął żyć, huczał cały. Na jego niższe ołowiane rury, pa-

dały ukosem promienie słońca i odbite od metalu rozstrzeliwały się na wszystkie strony.

Pięknym wydał się Strumle w tej chwale światła ten kościelny, stary miech.

Już w koło niego rozbrzmiewał chór. Strumło, zapatrzony w nuty, kierował teraz śpiewem.

W miejscach trudniejszych podkreślał tony energicznym ruchem ręki, uprzedzał wzrokiem kto i kiedy miał zaczynać lub się wybijać głosem nad innych. W *Kyrie* dopiero miał krótkie solo, dwa małe frazesy muzyczne. Jak dawniej, wyleciały mu z ust nuty czyste i dźwięczne; pewniejszy więc teraz siebie, górował już silnym głosem nad ogólną harmonią.

— Idzie dobrze—mówił organista—słowo panu dają.

— O, tak.—Sam wiedział, że mu idzie dobrze...

Przy ołtarzu sub-dyakon czytał ewangelię, a potem dyakon. Nastąpiło okadzanie ołtarza. Odpowiadały organy celebrującemu, podtrzymując głos jego trzęsący się i odległy. Poczem znowu organista zastukał. Obejrzał się w koło, przekonał, że wszyscy gotowi i rozpoczęto *Credo*.

W tym kawałku partytury Strumło miał wziąć większy udział. Wysunął się trochę naprzód, na czoło głosów B, którym przywodził. Swobodnie mu nuty płynęły wprost tej długiej nawy. Chłopcom także szło jakoś lepiej pod jego wodzą. *Credo*, a zaraz potem *Sanctus*, może najmniej umiany przez wychowanców, dzięki zapalowi, który wszystkich teraz ogarniał, przebrzmiał bez błędów, zwycięsko.

Ale zaraz po *Podpiesieniu* i krótko odśpiewanym *Pater*, zmieniono nuty na pulpicie. Dochodzono z kolei do najtrudniejszego ustępu, w którym się wczoraj jeszcze Piechórski tak mylił. Gotowano się do *Agnus*.

Strumło obawiał się tego kawałka, całego w minorowych tonach napisanego dla najlepszych tenorów, w którym od początku do końca prym trzymał, a w którym dawniej celował. Przyszła nareszcie chwila popisu.

Organista odchrząknął, spojrział w tył i uderzył z góry w klawisze wszystkimi palcami. Pryncypał, flety, mixtura zabrzmiały naraz silne, zmieszane. Jak odrębne chóry jakichś potęg niewidzialnych, jak hufce wojsk dążące w szyku do boju, szły teraz przez całą szerokość świątyni akordy wielkie, spokojne. Rozwijały się powoli wzdłuż sklepień i łuków, płynąc przez słoneczne smugi światła i błękitne cienie filarów. Z masy pomieszanych tonów wydobywał się wyraźniej śpiew fletu lub dulcii, słodki jak głos kobiety, jak modlitwa dziecka, to jak rzewne, ciche westchnienie. A wtem chór głosów męskich, niespodziana-

nie wichrem zrywał się znowu, chwycił pieśń w siebie, zagłuszał, chłonał jęki i wcielał je w ogólne i silniejsze tony.

Przejęty chwilą, Strumło, intonował już pierwsze nuty.

Przysunąwszy się do balustrady, z rumieńcem gorączkowym na twarzy, ze zwojem nut, które mu drżały w ręku, w miarę jak śpiewał, upajał się własnym głosem i muzyką. Odkąd żył, nie doznał jeszcze takiego wrażenia. Obudzone dzisiaj wspomnienia moralne, wstrząśnienia z dnia poprzedniego, majestat wielki i nastrój uroczysty świątyni, odziaływały razem na niego. Ogarniało go wzruszenie jakiegoś błogie i nieznane. Śpiewał nie widząc nut, które mu bladły, to znowu ciemniały w oczach; nie widząc, jak pobożni wstrzymywali dech w piersi, jak z dołu głowy odwracały się ku niemu; tony same z ust jego płynęły; szedł pamięcią za tą pieśnią mu drogą, w której się odnajdował cały, jakim był dawniej przed laty... Śpiewał tak, jak w nim rozrzewniona dusza śpiewała. Zdawało mu się, że za powiewem melodyi on sam uleci ku filarom, ku tym światłom i ołtarzom! Wydobywał z pod serca dźwięki tak rzewne, tony tak szczere, tak czyste, powtarzał słowa pieśni:

„Qui tollis, qui tollis peccata mundi, miserere nobis!“ z takim żalem pokornym i łzami w głosie, że teraz samego siebie już wzruszał do głębi, na równi z całym tym ludem, tam klęczącym wśród kościoła.

Jeszcze ostatnie słowa pieśni drgały w powietrzu, gdy nagle organ urwał akordy. Daleko, cieniutki dzwonek odzywał się przy ołtarzu, a głowy pochylały się ku ziemi.

Wolno, para za parą, z rękami równo złożonymi przed siebie, sieroty zakładu przystępowały pobożnie do Stołu Pańskiego!

Z wielką pokorą szły dzieci, z wielkiem skupieniem ducha kroczyły za nimi siostry. Szła siostra starsza, siostra Marcela... dobra siostra Anastazyja... Teraz z kolei czeladź się ruszyła: Bolek, Kadłubski, Antek...

Strumło spostrzegł, że w koło niego chłopcy klękają. Długa postać organisty wysunęła się z za stołka obok organów; on także na odgłos dzwonka uchylił czoła.

Strumłę, który stał już sam jeden, zdjął wstyd. Pochylił się i zniżył głowę, opierając się o balustradę.

W tej chwili od ołtarza powtórnie odezwał się dzwonek. Ksiądz się odwrócił, trzymając Hostyę:—Oto baranek Boży, który gładzi grzechy świata! — Lud z głośnym westchnieniem, twarzą niemal uderzał o ziemię.

Nagle jak błyskawica przemknęło Strumle przez myśl, iż wielki akt religijny miał się teraz spełnić za niego...

Zmieszał się.

Kapłan, trzymając Przenajświętszy Sakrament, dochodził do krateg.

Strumło zobaczył, jak ręka księdza podnosiła się lekko do góry, kreśląc w powietrzu znak krzyża; wśród powszechnej ciszy słyhać było wyrazy: Corpus Domini nostri Jesu Christi... Już pierwszą Hostyę ksiądz wkładał w usta sieroty.

Strumło patrzył z natężoną uwagą. Nagle w zaciśniętem od wzruszenia gardle uczuł, że go coś dławi. W nabiegających łzami źrenicach liczne światła ołtarza, zaczęły mu się dwoić i troić...

— To za mnie—pomyślał—to za mnie!

Jasne głowiny zniżały się kolejno. Po pierwszym rzędzie następował drugi i trzeci. W Strumle rosło rozrzewnienie... Teraz siostry przystąpiły do Komunii, schyliła się u krateg pobożna postać siostry Anastazyi... Strumło dłużej nie mógł wytrzymać.

Ryknął płaczem wielkim i głośnym, padł na podłogę chóru, gorące łzy spływały mu po twarzy, gwałtowne, obfite. Jakiś głos powtarzał mu w duszy: „Qui tollis, qui tollis, miserere nobis! qui tollis, dona nobis pacem!”

Cała jego przeszłość stanęła mu przed oczyma. Żałował, gorzko żałował zmarnowanych dni i lat—czuł wyraźnie, ile zgrzeszył... podnosiły mu pierś łkania, których już nie chciał uśmierzyć.

Ostatnie „Hosanna“ rozbrzmiewało nawskróś świątyni, jakby chciało przebić kamienne łuki, aby się złączyć z wielkim „Hosanna“ na niebie.

„Chwała na wysokości Bogu, pokój ludziom dobrej woli...”

Kościół się już opróżniał. Tylko białawe obręcze i smugi dymów z kadzielnic łączyły się teraz w górze ze smugami światła...

Z dołu prosta podnosiła się pieśń:

W biednym żłobku legł młodzianek,

Cichuteńki jak baranek,

Zbawi świat!

Strumło klęczał ciągle i płakał.

. . . . .

Prócz Strumły płakał dnia tego kto inny, ale z radości — szczęśliwa nad wyraz siostra Anastazyja.

— O Walku, Waleczku—mówiła—ja wiedziałam, żeś ty dobry!

MICHAŁ RADZIWIŁŁ.

---

# ŹRÓDŁA

## DO DZIEJÓW LITERATURY I OŚWIATY POLSKIEJ.

---

IX <sup>1)</sup>.

### WIERSZE HISTORYCZNE.

---

(*Ciąg dalezy*)

1.

Spór toczył się i o tytuł, i o Inflanty; by osiągnąć jakiegokolwiek ustępstwa, przedstawiali bojarowie posłom jak najniekorzystniej położenie polityki polskiej, straszili licznymi „niedruhami“; w tym sensie przemawiał od nich djak Ofonas temi słowy:

„Niedawno u Cesarza byłem posłem w Pradze,  
Od Xiędza Moskiewskiego i w niemałej wadze,  
I wiem ztamtąd inaczej, pilniem to notował,  
Że się Michał multański do was nagotował.  
Wziął Wołochy; Mogiłę ztamtąd wyrugował;  
Dziesięć tysięcy was pobił, tam się ufundował.  
Z pomocą rakuskiego domu do was idzie;  
Wie Pan Bóg, do czego Król i Korona przydzie.

---

<sup>1)</sup> Por. „Bibl. Warsz.“ 1895, III, str. 377—414.



Królewskiemu tam widział posła w wielkiej wzgardzie,  
Jako mu się stawili Rakuszanie hardzie,  
Że na oczy cesarskie puścić go niechciano;  
Z żalem wielkim odjechać gdy chciał, niekazano.  
Gdzie tymczasem mnie wielką uczciwość czyniono,  
Dostatki opatrzone, do ręki puszczone.  
Bo iżecie za króla arcyksiężę wzięli  
A potym, gdy przyjechał do was, nieprzyjęli,  
Owszem, żeście go z wojskiem jego obelżyli,  
Przyjaciół z nich nie macie; i dotąd nie byli.  
Sam Cesarz i brat jego jawnie powiadali,  
Myślą o tym, żeby wam wet za wet oddali.  
Nam to pewnie wiadomo, Michał z ich naprawy  
Teraźniejsze przeciw wam przyjął te zabawy.  
Ratują go pieniądze i ludźmi do tego,  
Nie życząc wam pokoju, zgoła nic dobrego.  
A z Carem naszym Cesarz taką przyjaźń wiedzie,  
Że go bratem swym starszym nazwał przy obiedzie.  
Michał w chłopiech Multański jest u Hospodara  
Rossiejskiego naszego i Wielkiego Cara.  
Z którym jeśli król polski przyjaźni mieć pragnie,  
Pewnie Cesarz i Michał do tego przypadnie.  
Gdy Książ Wielki rozkaże, pewnie to być musi,  
Że się więcej z tych żaden o was nie pokusi.  
Więc przekopski car także upominków pragnie,  
Ten wam wrychle nowego pewnie co zagadnie.  
Hercyk Karol bezczęście, już dwie lecie temu,  
I co przed tym uczynił królowi waszemu.  
Jako mu pobił wojsko, okręty wziął jego,  
I skarby w nich; Król ledwie sam uciekł od niego.  
Wiemy i to, że się Król chciał-by zemścić tego,  
A wy przecie mówicie, że przyjaciół z niego,  
Choć wam posłał odpowiedź. Wiemy też do tego,  
Że do niego o pokój Król słał posła swego,  
Prosząc go oł potrzykroć, aby na dwie lecie,  
I Duńskiego w przyczynie; wždy nic z tego przecie.  
Chce sam posieść i trzymać sam na sie Hlanty  
I za nimi za Dźwiną będaące Kurlanty.  
Ba i Polska przed nim się z Litwą nie osiedzi;  
Wiemy, że o tym myślą i tak się z tym biedzi.  
Wiemy, że też angielska królowna uczyni,  
Że na Króla waszego pójdzie wespół z nimi.

A wy przecie tych Inflant puścić nam niechcecie,  
 O niebezpieczeństwie tym chociaż dobrze wiecie.  
 Aza lepiej, że Karol to od was pobierze,  
 Że to wam do żywego ladachto dopierze?  
 Co zwłaszcza Wielicestwu Cara przesławnego  
 Bił czołem, by za chłopą był przyjęt od niego.  
 I Litwę i Polaki, ojczyznę ich, ztrzęśnie,  
 Że od niego to wszystko ladajako klęśnie.  
 A cóż jeszcze, gdy Carskie Wielicestwo wstanie,  
 I swe siły poruszy i weźmie się za nie?  
 Was rozerwą, że sami nie zwziecie, któredy  
 Przed nim jako umykać albo pierchać kędy.  
 Pruskie Xięstwo też pewnie, jedno Hanspak znidzie,  
 W dom Kurfierstów zaś nazad Brandeburskich przydzie:  
 Maksymilianowe duchy też tam idą;  
 Sami kiedy nie zwziecie, na wasze zle przydą.“

Lecz posłowie, czyli raczej Sapięha, nie dawali się tak lekko nachylić; powoływali się na traktaty, powątpiewali o wiarogodność nowin, uzasadniali w historycznych wywodach (przyczem z obu stron chwiejność, niepewność co do dat najpospolitszych, dzisiejszego czytelnika uderza) prawa do Inflant. Spory się zaostrzały; próbkę tonu, w jakim się ścierano, powtarzamy za Sołowjewem (historja VIII, 27), z sessyi piątej; na wywody Sapięhy, że Groźny, nie wypowiedziawszy wojny, gdy Stefan Gdańskiem był zatrudniony, Inflanty zabrał i t. d., „Taciszczow“ zawołał:

„Sztó ty Low! mołod jesi; nieprawdu to mówisz,  
 Co o królu powiadasz i to, co tu sławisz.  
 Ja wiem, Inflant królowie nigdy nie miewali,  
 I na zancech służebni od nich nie bywali.  
*Kanclerz:* „Sam ty łżesz, chłopie głupi, jam zwykł prawdęmówić;  
 Nie umiem tak jako ty fortelem co łwić.  
 Ale ty co techniesz, to łgniesz; już by się udawił,  
 Gdybyś kiedy cnotliwie prawdę się zabawił.  
 W stajnić by, chłopie głupi, takie mowy miewać  
 A nie tu wszetecznych słów takowych rozsiewać.“  
*Taciszczow:* „Sztó wopisz (krzyczysz); zaniemiejże, ninie tojeż  
 [każu,  
 „Sztó nieprawdu goworisz, a dalej nie rażu.“

*Kanclerz:* „Niecnotliwy psie, krzywdę wielką mi w tym czynisz,  
Że mi to tak zadajesz i tak mię tu winisz.

Bym nie czcil Króla swego i Kniazia waszego

I tych bojar tak zacnych i siebie samego,

Uniałbym ci tu smrodzie na tym placu oddać;

Lecz wolę pod rozsądek starszego to poddać.

Ja tu więcej być niechcę, gdy czas ten nastanie,

Prosić będę, że mi się sprawiedliwość stanie.“

Zatym iż się zamówki z Taciszczem szerzyły,

Na ten czas gadki z nimi niepotrzebne były.

Szóstym razem do zamku nas znowu zwołano;

Gdy od Kniazia młodego w odwiet iść kazano,

Żalobę swą pan Kanclerz na Taciszcza wtrącił,

By do ojca to odniósł Książ młody, natrącił.

*Książ młody:* „Wiedzieć to i rozsądzić baćko umieć będzie,

Co z tym czynić i jako, gdy na tym zasiędzie.

Ja do niego, com słyszał, zarazem odniosę

I wszystko podostatku to przedem przyniosę.“

*Stefan Hodunow:* „Prośbę waszą do ojca książ młody odnosił;

Że tu więcej Taciszczow nie będzie, uprosił;

Włożył nań swą opałę (niełaskę) Książ Wielki; a potem

Myśmy też bojarowie nie milczeli o tym.“

Ale wnet wybuchały ponowne spory; bojarowie grozili nieraz wojną, szczególnież Iwan Hodunow i Michajło Sołtykow, odznaczali się wojowniczym animuszem, pierwszy odezwał się dumnie:

„Bywalichmy wszak w Litwie; krew prolic się może;

Wy na koń, my na druhoj, komuż Boh pomoże.

Myb radzi, sztol i zawtrze pieremire wyszło,

Sztoł znowu wojewaci Litwu borzdo (rychło) przyszło.

Dawno-hyście po drodze doma hodowali (świątkowali),

Gdybyście wsieja Rusi Cara Carom zwali.“

*IM. p. Kanclerz:* „Panie Iwan Hodunow, odpuść mi plecieecie;

Pragniecie wojny, sami co to jest niewiecie i t. d.

a Sałtykow na 10 sessyi, 28 grudnia, gdzie się już na zupełnie zerwanie układów zanosiło, zawołał:

„Pójdźmy precz, szkoda z nimi wdawać się w rozmowy,

I więcej darmo o tym tu kłopotać głowy.

Panie Low, nie nowina już nam bywać w Litwie  
 I czynić to, co mężom przynależy w bitwie.  
 Nie nowina mnie z szabłą być w twej majątności  
 I rychło tam mię ujrzysz, dosyć zemną gości.  
 Oglądasz niezadługo, że się zawiniemy;  
 Nie tylko tam, i dalej do Litwy będziemy.“

*Imc. p. Kanclerz:* „Chwalko nim się nachwali, budźko  
 [się nabędzie <sup>1)</sup>

Chlubą waszą bynajmniej wam tu nie przybędzie.  
 Być może, będziesz gościem, gdy cię tam przywiodą,  
 I z twoim towarzystwem w powrozie zawiodą...”

Gdy z tym w gniewie odeszli, nas tak zaniechali,  
 Do niedziel dwu żechmy nic od nic nie słychali.  
 Przystawowie też nawet zakaz o tym mając,  
 Mijali nas, jakoby nigdy nas nie znając.  
 Straż potężniej wkoło nas w dzień i w noc chowano;  
 Futur w zimno czeladzi kupować nie dano.  
 Stało nam za więzienie, gdy tak gardząc nami  
 Odbiegli nas w zawarcu, myśmy byli sami;  
 Gdy na upór na zamku kazawszy nam w drogę  
 Zawarli nas i nową zadali nam trwożę...  
 Gdy niektórzy z czeladzi przystawa prosili,  
 By dla woźnic kożuchów przedawać nosili;  
 Z urąganiem gdy mówiąc, że odpusk wam dano,  
 I w drogę odjachać ztąd dawno rozkazano,  
 Do wrot drogę ukazał, mówiąc: „czego żdżecie (czekacie)?  
 „Wściągając tu was nie będą; już to sami wiecie;  
 Z dobrą wolą możecie wybornie już w drogę;  
 By zaś was nie wygnano, ja ręczyć nie mogę.“  
 Do Wasila Szczelkała wskazaliśmy o tym,  
 Czego dalej czekamy, co tu czynić po tym?..  
 Radziliśmy u ręki Hospodarskiej byli,  
 Pożegnać go, i prace tej naszej pozhyli...  
 Prze złe zdrowie jeśliby Kniazia żegnać trudno,  
 Nam bez tego odjachać nie będzie też nudno.  
 W tym od bojar przyszedłszy Ofonas nazwany  
 I drugi z nim bojarzyn do niego przydany,

<sup>1)</sup> Sapięha używa tu o samochwale przysłowia ruskiego, które np. w zbiorze Dala zapisane na str. 816 (Chwalko nachwalitsja, bud'ko nabudetsja, da koli to sbudetsja?).

Powiedział tymi słowy: „Coście nakazali,  
 Do bojar, by odprawę wam prędką wydali...  
 Dziwują się bojarze, skąd te harde słowa,  
 Tak skwapliwe wskazanie, popędliwa mowa?..  
 Ty Lew tylko, Sapieho, tak hardzie wskazujesz,  
 Żeś tu posłem a w rękę, do siebie nie czujesz.  
 Będzieszli chciał być hardym, a to się tak stanie;  
 Rzadki ten was, któremu co się nie dostanie.  
 Czyliś zabył, co niegdyż z Krotoszyną było;  
 Co się z nim, z towarzystwem onego toczyło?  
 Niemasz tego od braci, byś się miał tak stawić,  
 Króla, bracią i siebie tym sposobem sławić.  
 Drugąś też wskazał o tym, jeśli o chleb idzie,  
 I o strawę, co jej tu na każdy dzień wyjdzie,  
 A Książ Wielki nasz za to zechceci nagrody  
 Podarki od was wzięte niech ma za swe szkody:  
 To słowo nie przyhożo; dosyć skarbów mamy;  
 Gospodar nasz i my z nim na swym przestawamy.  
 O wasze upominki jeśli wam tak idzie,  
 Do każdego, co kto dał, nazad wszystko przydzie.  
 Mieru poznać nadobie, a wiedzieć co mówić  
 O monarsze takowym i co o nim sławić.  
 Jak można, żebyście ztąd siłą jachać mieli?  
 Albo byście zarazem szwanku nie podjęli?  
 Szkoda grozić tak durno...  
 Wojewoda Podlaski też tu posłem bywał,  
 Skromności swej z kolegą we wszystkim używał;  
 Choć w ten dzień, gdy zachorzał, czas mu naznaczono  
 Przed Książem stanąć Wielkim, a wždy mu rzecono,  
 By chorobie dogodził, czas mu inny dano,  
 By powoli od niego poselstwa słuchano.  
 Jeżeli to Car uczynił dla króla polskiego,  
 Że dogodził chorobie poddanego jego,  
 Pogotowiu wam więcej Cara uczeić było,  
 Dokąd mu się w chorobie jego nie ulżyło...“

Z obszernej odpowiedzi Kanclerza przytaczamy tylko kilka zdań:

Już nam nie dotargu tu, już nam pilniej w drogę,  
 Byśmy nazad co rychlej ztąd wynieśli nogę.

Czekalichmy dni kilka, gdy nam żuragano,  
 Byśmy w drogę jachali, by nam wodzów dano;  
 Wezwalichmy Nieluba, by nas opowiedział,  
 Żeśmy w drogę gotowi, by Książ o tym wiedział,  
 Aby nas do rubieża nazad prowadzono,  
 Ponieważ już czterykroć odpusk namieniono...  
 Lecz jeśliby po drodze nam kto stał o zdrowie,  
 Sam rozum ukazuje, że mu odpór dany  
 I tym mu się odganiać będziemy, czym mamy.  
 A coś rzekł, że tu lepszy bywali posłowie,  
 Przy twej tu nieprawdziwej niech zostanie mowie.“

Ofonas odpowiada między innymi:

„Gdy tak pilno odpusku i do domu chcecie,  
 Niezadługo odprawę, ten odpusk, weźmiecie;  
 Będziecie bez niego durować co chcieli,  
 Bić będą; co gorszego byście ztąd nie wzięli.  
 Rękawy pospółstwo tu wykole wam oczy,  
 Głdy się to do ich uszu i przed nie wytoczy.  
 Podarki wasze nazad wam się wrócić przyjdzie;  
 Car Wielki Gospodar nasz bez nich się obyjdzie.“  
 ...Więcej tydnia gdy zatym tak nas opuścili,  
 Żeśmy tylko sami trzej bez przystawów byli.  
 W kilku miejscach widziano zasadkę nad nami,  
 Jeślibych odjachać chcieli bez nich sami.

Po wymianie kilku „ceduł” wezwano posłów wreszcie do nowej (11) sessyi na zamku, 17 stycznia, w obecności młodego W. Księcia, lecz w odwietnej pałacie poczęły się znowu spory o tytuł; bojarowie niby zdziwieni, że za posłami „niema dzieła“, że nie chcą tytułu przyzwolić, a Iwan Hodunow pyta:

Był-li tu Chryzstof Radziwił, gdy tu was posłano?

Albo więc jeśli wiedzieć jemu o tym dano?“

*Imć. P. Kanclerz:* „Pewnie był, nietylko on, i Zamoyski drugi,  
 Gdy nas z sejmu wysłano tu do tej posługi...“

*Soltykow:* „Dziwno nam, że tak wielcy ludzie na tym byli,  
 Wždy z bezdziałem takowym was tu wyprawili...“

Z tym powstawszy odeszli od Kniazia Wielkiego,  
 Będzieli chciał dotrzymać przymierza starego.  
 Nam do gospod kazano; tak nas porzucili,  
 Źechmy więcej trzech niedziel sami tylko byli.  
 Ani przystaw był który, coby nas nawiedzał,  
 Albo nam co o drodze naszej opowiedział.  
 Zamknęli nas w gospodzie, straży coś przydano;  
 Źe z nami dzieła nietu, tak nam powiadano.  
 Nie był z nich, co-by słowo śmiał przerzec do kogo;  
 Tak to im zabroniono, zakazano srogo.  
 Żywnością jakową nas w tym opatrowali,  
 Śmierdzące miasto świeżych gdy ryby dawali,  
 Wpół zdechłe miasto zdrowych gęsi, kury, bydło,  
 Wylizać to aż przykro, aż nam barzo zbrzydło.  
 Napój jakiś za piwo z otrębów dawano,  
 Kłótnią jakąś, by drożdże, gdy we śćkło nalano.  
 Miasto miodu coś złego, co go kwasem zwali,  
 Za napój naprzędniejszy do stołu dawali.  
 Dalej potrzeb kuchennych by najmniej do tego,  
 Nierzkąc zwierzu lub ptactwa albo co innego.  
 A nawetby co z rynku za pieniądze dostać,  
 I tego nam broniono; tak nam przyszło zostać.  
 Z swej wrodzonej niechęci i tego zażrżeli,  
 Bychmy gdzie patrzeć z okien najmniej w miasto mieli.

Utyskiwań na tego rodzaju traktowanie posłów u Pielgrzymow-  
 skiego pełno; przedtym już był zapisał:

Uciekło w tym woźnic dwa z dworu poselskiego,  
 Kochanowski za nimi, do Kniazia Wielkiego.  
 O tymesmy przystawom winę słusznie dali;  
 Jednego z nich do bojar Dumnych z tym posłali,  
 By nam czeladź wrócono, Moskwie zakazano,  
 By nam chodząc po noey sług nie odmawiano.  
 Prosiłiśmy, by kupcom targ wolny wydali,  
 Którzy po to do Moskwy z nami przyjachali;  
 A nam czasu nie tracąc wždy co powiedzieli,  
 Czegobyśmy tu dalej spodziewać się mieli.  
 W niwecz prośba. Czeladzi wrócić nam nie chciano,  
 Źe się w państwie szerokim ich nie dopytano;  
 Kupcom rzkomo targ wolny wydać obiecali,  
 Lecz nie przyszło do tego, dzień po dzień kłamali.

A nam zwłokę z umysłu iż wielką czynili,  
 Bojar Dumnych wtymieśmy przed nimi winili.  
 Bo iżeśmy na zamku w uszy swe słyszeli...  
 Że nam odpusk do domu sami oznajmili...  
 A wždy przecie do kilku niedziel wlekli nami,  
 Ni nas puścić ni w zamku chcąc traktować z nami...  
 I pracąśmy daremnie by przez pień toczyli  
 I zgoła rzec, myśl wszytkę iż na tym sadzili,  
 By do wyjścia przymierza tam nas osadzili,  
 A tymczasem... wojsko swe zgotować mogli...  
 Widząc tę ich niecnotę, że nas tak ścisnęli,  
 I szyderstwo, żeśmy się w drogę hurdać (ładować) jęli,  
 Rzekło się przed przystawem: próżno nas tym straszą,  
 I chcą mieć po nas, coby z hańbą było naszą...  
 Gotowiśmy z tym umrzeć...

Później każe się kanclerzowi w tę skargę do młodego W. Księcia odezwać:

„Już tu niedziel ośmnaście niewinnie trawimy;  
 Więźniamiśmy czyli tu posłami, nie wiemy.  
 Nie widzimy, krom nieba, kęs w opłotkach, ziemie.  
 Zawarcieśmy by owo gdzie zwierzęta nieme.  
 Ani z nami traktują, ani o nas wiedzą.  
 My w zawarciu a waszy na swobodzie siedzą i t. d.“

Mimo to, nie ustępowali posłowie; Infant bojarowie się niebawem zrzekli sami; co do tytułu, powoływali się na odwieczny zwyczaj, choć odpowiadał Iwan Godunow:

„A co przedtym tytułu tego nie pisano...  
 Działo się to pohrechom; dziś Car nie ten u nas;  
 Pan to chrabry, pan mądry, jak Stefan był u was.  
 Nie dopuści, by na nim kolów ciosać miano,  
 Tytułu powinnego gdzieby mu nie dano.“

Straszili bojarowie posłów znowu Karolem szwedzkim, djak Ofonasiej oznajmia im:

Za kilka dni od Karła że posłów czekają,  
 W powieleniu u Cara chce być, chłopem jego,  
 I Infant mu ustąpić, do nich prawa swego...



Że się z Karłem złączymy, środek ten przyjmijmy,  
 I co zatym uroście, łatwie rozumiemy...  
 Powiadam wam i drugą nowinę do tego,  
 Zamoyski zbit, hetman wasz, i rycerstwo jego  
 Od Michała w tych czasiech, że go nie ratował  
 Wojewoda Kijowski, tamtemu folgował;  
 Ocz się hetman z nim zawiódł, nań obrócił siły;  
 Jeśli z sobą nie ztarli, dziwy-by to były.  
 Wiemy to, że i wam Król pakt nie strzymał wiele,  
 Niemniej to wam do złego drogę prędką ściele...

Przeciw paktowaniu z Karolem posłowie próżno protestowali;  
 18 lutego posłów szwedzkich do Moskwy wprowadzono.

I gospodą od naszej blisko postawiono,  
 Że im do nas, nam do nich trochę widać było,  
 Z nimi podwód z pięćdziesiąt Igoni (?) przybyło;  
 Dwa samych; każdemu z nich koniem jednym dano  
 Saneczki, co od Kniazia przeciw nim wysłano;  
 Moskwy jazdy nikczemnej ze dwieście przed nimi,  
 Co do miasta prowadząc przyjachali z nimi.

Postępy Karola w Inflantach, wieść że mu się szesnaście zamków przez zdradę poddało, wymusiły na posłach ustępstwo. Nie chcieli oni dotąd, wobec słabości Borysa, przed młodym Książęciem nowego poselstwa sprawować, jakie ich od Króla było doszło:

„Do samego od Króla iż poselstwo mamy,  
 Drugiemu okrom niego zdać go nie żądamy.  
 Toż posłowie u Króla i waszy czynili,  
 Z Taciszczowem w Warszawie gdy niedawno byli:  
 Jedno kęs niesposobne nastąpiło zdrowie,  
 Król w senacie być niemógł, niech Taciszczow powie,  
 Niechciał zgoła bez Króla zdać poselstwo radzie;  
 Co nam tu dziś, to mu tam było na zawadzie...“

protestował kanclerz, lecz w końcu ustąpił. Nowe orędzie królewskie tyczyło głównie Michała; jeszcze dawniej, jakby przecuciem wiedziony, zawołał był kanclerz, gdy mu Sołtykow Michałem groził:

„Bodaj tak niedruh każdy pod nogami leżał  
 Królewskimi, jak Michał przed nim się wybieżał.“

I rzeczywiście, „gdy się stary rok z nowym w towarzystwo złączył“, t. j. 11 lutego (czyli 2 lutego starego stylu, w dzień Gromnic, Sretnia, spotkania, gdzie według ludowego przysłowia, „zima z latem spotkała się), przybył goniec, p. Jan Poradowski, z nowinami od Króla, że Pan Bóg

Dał w ręce jego pańskie Multana pysznego,  
 Że zginał, wojsko stracił, państwo swe do tego;  
 Multański, Wołoski kraj, póki Dunaj bieży,  
 Pod nogami dziś wszytek królewskimi leży;  
 Siedmigródzkie też państwo pod też skrzydła idzie,  
 I lada w dzień za nimi do Korony przydzie.  
 Nazajutrz gdy po górach zaświeciła zorza,  
 A Tytan swój wóz złoty był wytoczył z morza,  
 Wszyszechemy co nas było, Bogu chwałę dali  
 I w gromadę zszedłszy się, Laudamus śpiewali.  
 Tym tryumfem tak wielkim ten dzień poświęcili,  
 Z czego myśmy weseli, Moskwa smętni byli.

Rozpisuje się też p. pisarz szeroko o tem zwycięstwie, nie może dosyć wysławić owych Ulissów i Hektorów, godnych i wiecznych piramidów, i złotych tronów tryumfalnych:

Jeśli co wiersze mogą, One Rycerstwo, moje,  
 Niech będą poświęcone sławie wasze boje i t. d.,

bodaj tak (i każdy inny) nieprzyjaciel swem się szczęściem sparzył i t. d. Nie mógł więc Sapięha „poczytać sobie za ważną usługę, że porwał związki Godunowa z Michałem“ (Sołowjew VIII, 28) lub jak źródło jego, Kognowicki, pisze, że „szkodliwe ojczyźnie potargał związki i Michała od korony (polskiej) pretendowanej, Godunowa od przywłaszczenia całej Rusi polskiej oddalił“ (43); tylko orężowi Zamoyjskiego zasługę przypisać należy.

D. 20 lutego miał na zamku przed młodym Kniaziem kanclerz odpowiedne przemówienie i oddał list o tem królewski;

Kniaź młody wstawszy z miejsca, szyk swój zjawszy z głowy,  
 O Królu jął się pytać, jeśliby był zdrowy?  
 Odpowiedź wziął, że z łaski Boga wszechmocnego,  
 Dobrze zdrów, bodaj był zdrów do czasu długiego.  
 Kazawszy przynieść zedel, rzekł, siądźcie postowie!  
 I ledwośmy usiedli, ale znowu powie:

„Sztó jeście goworili od Zygmunta króla,  
 Abyśmy to wysłyszeli, o czom jehó wola,  
 Samodzierżcy wsiej Rusi, Caru, baćku memu,  
 I opowiem i zaraz odniosę to jemu.  
 A wy wtóm do odwiećniej pałaty idzicie  
 I dobrego z bojary co społem najdzicie.“

Odtąd poszły układy gładziej; przestano wtrącać uboczne rzeczy, bo i polscy posłowie nie zostawali w tej mierze dłużnymi, domagali się np. w nagrodę za Smoleńsk i siewierskie grody dziesięciu zamków przy Czerkasiech, Kaniewie, w Połockiej i w Witebskiej ziemi, co Iwan Godunow jako „rzeczy zastarzałe“, któremi się wszystko sporci (popsuje), odrzucał. Jeszcze raz próbował Godunow przez djaka Ofanasa posłów do przyznania tytułu nakłonić; Ofanas powoływał się na spólną krew słowiańską:

Jednegośmy narodu, języka jednego;  
 Radziłyśmy co z wami zamknęli dobrego;

wyrażał obawę, czy nie jacyś zdrajcy posłom w uszy czego nie nakładli:

„Czajuć Dumni Bojarze, nisztó zworowali  
 Zmienniki, wory nisztó, wam sztoś pokazali;  
 Wamże było iznieny nie słuhać takóje,  
 Myślić było, prawda li? jeszcze to na dwoje.“

Gdy posłowie nie ustąpili, odłożono rzecz o tytule wedle Stefana Godunowa:

„Nie czasom, nie naczałom, toje sie poczało  
 Proto sie nie dzidziało i nie się nie stało.“

Borys zezwolił na przymierze i zostawił na woli posłów, na jak długo-by je zawrzeć.

Jeszcze ominięto dwa szkopuły: żądanie Borysa, by król w ciągu roku nowych wielkich posłów o tytuł i inne różnice wyprawić się zobowiązał, o co taki spór wszczęto, „że co się zbudowało, ledwo wspanak nie wyszło; i niedanie tytułu króla szwedzkiego Zygmunтови, w czem Sapięha ustąpił, bojąc się,

Że z nami się rozerwać umyślili byli  
 A z Szwedę praktyk na nas zaczynać kusili,

i zdając to na wolę króla, jak z tem postąpić zamyśli. Załatwiwszy te i inne mniejsze trudności o Wieliż, o zbiegi i t. d., otwarto ostatnią sessyę uroczystą, na której Godunow przymierze poprzysiągł i posłów pożegnał.

## 5.

**Sessya dwudziesta na zamku 11 (marca).**

Gdy skopu słońce skore poczęło zagrzewać,  
 Nam się też już odprawy kazano spodziewać.  
 Książ Wielki na swym stołku usiadł w majestacie  
 W koronie swej, w pałacu, w drogiej świetnej szacie.  
 Syn jego z lewej strony, kamiećmi upstrzony;  
 Stołek pod nim od ziemi trochę podniesiony.  
 Tam gdyśmy kniennu przyszli, po takowej sprawie,  
 Spytawszy nas o zdrowiu, kazał się na ławie  
 I zarazem nam odejść do odwietu kazał,  
 Bojarom że coś z nami rozmówić rozkazał.  
 Do odwietu przyszedzszy Dumni Bojarowie  
 Przyszli, ciż co i zawsze; z nimi Hodunowie,  
 I z nich jeden Hodunow powiedział te słowa:  
 „Dowiedział się Hospodar, była o tem mowa,  
 Że od Króla do Cara w poruczeniu macie,  
 O córkę mówić jego, a wy nie nie dbacie,  
 Żeby była w małżeństwo wydana za niego;  
 Hospodar się, słysząc to, obradował z tego.“  
 Drugi zaś Hodunow<sup>1</sup> rzekł: „Hospodar się zsyłał  
 Z Patriarchą i tę rzecz szczerze przedem wylał;  
 Ojciec święty izwolił na tuju rzecz, sztohy  
 Tak było; wsiemu światu k dobromu przyszłohy.  
 Wszak też była za królem Aleksandrem druga,  
 Córka Książa Iwana, rzecz o tym jest długa.  
 Dziś się toż pewnie z królem zastanowić może;  
 Jeśli Pan Bóg obiecał, do tego pomoże.  
 Było-by to z radością wszego chrześciaństwa,  
 I z postrachem niemałym wszytkiego pogaństwa.  
 Książ Iwan miał synów sześć, córek było cztery,  
 Z Aleksandrem skrewnienia gdy tak padły biery (kostki).  
 Więc i państwo Moskiewskie nie tak wielkie było,  
 A wždy miło skrewnić się królowi z niem było.

Nasz Gospodar jednego syna tylko spłodził  
 I córką jedynaczką Pan Bóg mu dogodził;  
 Po dwakroć mu stotysiąc Tatarów przybyło,  
 Których przedtym w moskiewskim szafunku nie było:  
 Możecie ztąd rozumieć, na cohy to wyszło,  
 Gdyby z Carem Królowi tak się skrewnić przyszło.  
 I wy te mowy nasze do Króla niesiecie;  
 Dobrob tak było; sami lepiej rozumiecie.“

Na te słowa Pan Kanelerz chciał im to był zadać,  
 Że o tym nie mieli tu wspominać i gadać.  
 Król Jegomośe nie myślił o tym; wyznawamy,  
 Że się dać w to, zlecenia żadnego nie mamy.  
 Lecz aby zajątrzenia to nam nie przyniosło,  
 Rozerwanie pokoju z nimi nie urosło,  
 Niechcąc im dumy takiej, fantazyjej, psować,  
 Iż się nam w drogę jachać przychodzi gotować,  
 Do króla, rzekliśmy im, to cochmy słyszeli,  
 Odniesiemy, co teraz w pamięcieśmy wzięli.“  
*Iwan Hodunow:* „Ninie Car Nasz przymierze poprzysięgać będzie;  
 Zatym mówić o wiecznym pokoju przybędzie;  
 A gdy jeszcze skrewnienie do tego przystąpi,  
 Dopiroż wszystko dobre tą rzeczą nastąpi.“

Odeszli Bojarowie z tym do Kniazia swego;  
 Nam poczekać kazali do nauki jego.  
 Po dwu godzin do kniazia nas też zawołało.  
 Głdychmy przyszli, na ławie usieść rozkazano.  
 Uczynił do nas przed nim rzecz Wasil Szczokołkow,  
 Więcej z pisma niż z głowy, słów było nie mało,  
 Wyliczając, poselstwo jakośmy prawili  
 I w odwiecie na czym się tak długo bawili;  
 Gdzie iż długo o tytuł carski spory były,  
 Przyczyny się do wojny wielkie dały były.  
 Lecz Gospodar iścinnny, iż jest Carem takim,  
 Obyczajem że niechce krwi ludzkiej nijakim,  
 Zezwolił na przymierze, będąc tej nadzieje,  
 Że w tych leciech przemirnych król chęć swą wyleje  
 O wieczny mir stanowiąc i tytule razem,  
 Żeby się porównało to wszystko zarazem.

Potym Kniaź na Bojary zawołał, by kniemu  
 Przystąpili, na nas też, mieniać po jednemu.  
 Powiedział nam te słowa: „Wyście tu od króla,  
 Brata mego posłani, którego jest wola

Abyście lubow, przyjaźni, między nami sprzęgli;  
 Mir doczesny lub wieczny z nami poprzysięgli.  
 Wielelichmo Bojarom Dumnym z wami mówić,  
 Dobrego co w tych dzielech z wami postanowić.  
 I Bojare o tytuł nasz mówili z wami,  
 Niżliście wy pozwolić nań niechcieli sami.  
 A widzicież nieprawość Hospodara swego;  
 Tytułem, co od Boga mamy, nie od niego,  
 Pisaci nas niechoczeć; przyczynęśmy mieli,  
 Byśmy o to nań wojnę słuszną przedsięwzięli,  
 Gdy nas nie czei; teżeśmy byli za to chcieli  
 Królem go też nie pisać i ten umysł mieli,  
 Niżli mię czołombiciem Syn mój i do tego  
 Bojarowie z nim Dumni odwiedli od tego.  
 To jeśm na storonu wżo ninie odstawił;  
 Dohoworem przymierza was jeśm zabawił;  
 Kdobromu chrześciaństwa celowaci budu  
 Chrest na nim i derżaci. szto w nim, nie zabudu.“

*Jego Mość Pan Kanclerz.* „Miłościwy Spodaru, życzylichmy tego

By mir wieczny był przyszedł do kresu swojego,  
 Między Tobą i Królem, głową, panem naszym,  
 A między państwem jego i tym państwem waszym.  
 Przy którym i o tytuł mielichmy z jednego  
 W zleceniu gdybym przyszli do czego dobrego.  
 Lecz wieczne iż nie doszło dokończenie z Tobą,  
 Łatwie możesz rozsądzić, gdy zechcesz, sam z sobą,  
 Że nam nielza mimo wskaz królewski uczynić.  
 Za coby nas napotym słuszenie miano winić,  
 Jeśli to Pan Bóg przejrzał, i wprzód nie uciecze,  
 Że się to skutkiem stanie, choć się kęs przewlecze.  
 Nam posłom nie miej za złe, o to Cię prosimy,  
 Że przestąpić królewskiej woli nie możemy.“

*Kniaz Wielki.* Zatym się udobruchał, do Pana Kanclerza  
 Rzekł: „Człowiek wielkiś, siła w tobie się zawiera;  
 Mogłeś być wszystko skończyć i tam perswadować  
 Królowi, żehy mu się mogło to podobać.  
 Bym nie był bolem, wszystko mogło być inaczej;  
 Teraz to czasom innym, Bogu zlecić raczej.  
 Dawnoby się już wam ztąd odjachać dostało;  
 Dla choroby mej opak pohrechom się stało.  
 Choć to wiem, że wam nuzno; w to się pogadzało,  
 Żehy się cześć Królowi i wam się toż stało,

Którego mimo wszystkie króle miłujemy  
 I z nim tylko przyjaźni samym wiecznej chcemy.  
 Cesarz, inni królowie, do nas przysyłałi,  
 Byśmy przeciw Królowi współ z nimi stali.  
 Hercok Karol wtaż, byśmy z nim ligę przyjęli,  
 Lecześmy nań, na przyjaźń onego, planęli.  
 Żeście tu długo byli, wy nie podziwicie;  
 Dobrą wolą, chęć moję, za dobre przyjmicie.  
 Choroba mię niech sama wymówi przed wami;  
 Żem chor, z własnej twarzy mej widzicie to sami.“

Zatym gdy o hramoty przymierne się pytał,  
 Ofonaszej swe pierwej przed nim w głos wyczytał.  
 Pan Pisarz też zarazem czytał nasze drugie,  
 Książ Wielki skromnie słuchoł, choć były dość długie.  
 Gdy się to już przećciło, rzekł pan kanclerz kniemu:  
 „Co w odwiecie, to Tobie tu mówię samemu,  
 Iż się włość w Twoję stronę Wielińska pisała,  
 Która stronie królewskiej zawsze należała,  
 Którą w pierwsze przymierze omyłką wpisano  
 Na Twą stronę; podobno o tym nie wiedziano.  
 Oświadczamy, jako król tę włość zawsze trzymał,  
 Że jako z własną potym tak będzie poczynał.  
 Komisarze gdy zjadą, niech to rozeznaną,  
 Jeżeli Ty masz co do niej, czyli naszy mają.“  
 Książ Wielki odpowiedział: „Dobro, niech tak budzieć;  
 „Komu tyje przysudzić, tomu niechaj budzieć.“  
 Iż ktoś zamek niedawno Jezierzyski spalił,  
 Głos ludzki na Newliany o to się obalił.  
 Chcąc by uszedł z mninania, Newelski starosta  
 Napisał do Jezierzyszcz, dając wiedzieć zprosta,  
 Że do niego z Jezierzyszcz drabik przybiegł w nocy  
 I powiedział, że zamek spalił o północy.  
 Prosilichmy, by łotra z Newła nam wydano;  
 Książ Wielki przyobiecał, wydać go kazano.  
 Tu się w tym ozwał mile panu Kanclerzowi,  
 Jako družbie dawnemu i przyjacielowi,  
 Powiadając: „Czy pomnisz, gdym był prawicielem,  
 „U szurzyna (cara Fiedora), zem ci był, swego, przyjacielem  
 I całym, iście wszystką lubilem cię duszą;  
 I teraz po staremu te rzeczy stać muszą.“

Przyniesiono krucyfiks na patynie złoty,  
 Osadzony drogimi nadobnie klejnoty,

Pod który na też misę złotą położono  
 Listy oba przemirne, krzyż na nie włożono.  
 Wstał z miejsca Car, koronę dał sobie zjąc z głowy;  
 Włożywszy nań palce dwa, mówił temi słowy:  
 „I na to ja na wsiem tom, szto tut napisano,  
 Chrest cełuju; od mienie mająć być zdzierzano.  
 Do wrocnych dwadecé dwóch let krom wsiakoj izmieniu  
 I bez wsiakoj chytróści, bez wsiakoj odmieny.“  
 Wziąwszy krzyż pocałował, włożył na swą głowę,  
 Nam go też dał całować, uczynił przemowę,  
 Byśmy chleb z synem jego tamże w Zamku jedli  
 I z chęcią po godzinie miejsca swe zasiedli;  
 „Radbym was sam częstował, lecz dla mej choroby  
 Być niemogę, która mię trapi do tej doby.“  
 Myśmy mu dziękowali, chcąc od syna jego  
 Tak tej uczty wdzięczni być, jako od samego;  
 Sam się aby szanował, zdrowie miał na pieczy,  
 A my już tak bez niego odprawim te rzeczy.  
 Z majestatu powstawszy, ledwo o swej mocy,  
 Jednakże asystentów sięgając pomocy:  
 „Low, Stanisław, Heliasz“, rzekł „wy bratu memu  
 Zygmuntowi królowi pokłońcie się swemu  
 Imieniem mym, a sami w drogę zdrowi jedźcie  
 Z dobrym dziełom zaś do nas (śmiechem rzekł) przyjeździe.“  
 Zatymeśmy żegnali. Nas poprowadzono  
 Do pałacu, gdzie bankiet dla nas naznaczono.  
 Przed pałacem dość zewsząd srebra w sieni stało,  
 Beczek srebrnych, czar, kubków, dość wielkich niemało,  
 Przy którym był Hodunow, iż Dworeckim, siedział,  
 Powstał knam, gdy się o nas idących dowiedział.  
 Weszlichmy do pałacu, ali na podrębie  
 Stół przeciw drzwiam, za którym widać było wszędzie  
 Kniazia za nim młodego, siedział jeden tylo,  
 Za drugim stołem Dumnych dosyć Bojar było,  
 Co w bielinyh kożuszkach na urząd siedzieli,  
 By owo doma kędy gospodarze w bieli.  
 Czapeczkę miał czerwonej magierce podobną  
 I na nasz strój z kamieni zaponkę ozdobną;  
 Sam w czerwieni, aksamit kitlem powleczone,  
 Co go złotem, kamieniem drogim osadzono.  
 W drugim rzędzie od Dumnych stoły rzędem poszły,  
 Ledwo co do drzwi samych, do kąta, nie doszły,



Siedziało w złotogłowiech do dwóch set za nimi  
 Inaszych też po części dawnych zbiegów z nimi.  
 Po prawej do młodego Kniazia, idąc z sieni,  
 Nam kazano sieść za stół niżej kęs ku ziemi.  
 Przeciwno nam przystawom usieść rozkazano;  
 Wzdłuż dworzanom z obu stron siedzieć miejsce dano;  
 Sługom dalej aż precz w kąć i po czwartej stronie,  
 By zasiedli, do sieni aż, chodzono po nie.  
 W pośrodku na przyprawach, około filara,  
 Srebrnych rzędem, złocistych, kredenców niemiara.  
 W koło tego plac wolny wszytek zostawiono,  
 Przed stołem ni jednemu stać nie pozwolono.

Gdychmy już tym sposobem wszyscy za stół siedli,  
 Najpierwej nim co dano, nimeśmy co jedli,  
 Dworecki sam Hodunow przyszedł naprzód z sieni;  
 Ukłonił się zdaleka Kniaziewi ku ziemi;  
 Szłyk na głowie; przy srebrze stanął u filara,  
 Wnet za nim na przód weszła złotogłównych para;  
 Dalej co raz po parze w złotogłowiech idą;  
 Do półwieri godziny, nim zaś drudzy przyjdą,  
 Ośmdziesiąt par takowych, on filar obesli.  
 A gdy już tak do izby wszyscy rzędem weszli,  
 Bez ukłonu, ni czapek nie zejmując z głowy,  
 Wyszli zaś tymże rzędem po obiad gotowy.  
 Czaśników dwa do stołu Kniaziewi służyło;  
 Okrom tych dwu przed stołem, więcej ich nie było.  
 Każdemu co jeden z nich podał skórkę chleba,  
 Żałując was Carewicz, głosem opowiada;  
 Wtąż też różne potrawy, tym sposobem czasie;  
 Iż nie w smak, wszytko zimne, nie stało za nasze.  
 Mróz ciężki; sklep był zimny; jęło do żywego;  
 Nie żalby, by wždy na stół dali co ciepłego.  
 Bez korzenia, bez przypraw, przasne, tylko z wody,  
 Więcej z nich co niewinnej, niż pożytku, szkody.  
 Drugim niżej, ile co od Kniazia podano,  
 Carewicz was żałując, także powindano.

*Potrawy co przedniejsze:* Kołomka ciesto; hałady bolszyje; ucha z safranom; ucha z mindałom; tieło rybie w patoce; tieło rybie z derewienym masłom; tieło rybie z orzechowym masłom; podzielnoj piroh; korowaj bity; hałady menszyje w patoce, szczuka tuszonaja pod zwarom; szczuka z patokoju; korowaj stawlieny; łobuny wielikije; łukowni-

ki pirohy; दौरаńczuch, po naszymu drapanina; korowaj stawlieny; aucion z makom; kisiel z makom; carskaja ludzina; łosoś korelsky; łosoś astrachański; kapusta z gawiedzinoju; horoch z wietczynoju; ucha szczucia; szczuka pod czosnokom; repa paronaja na szczuce, lewoszniki; hałusniki pod sacharom; chruzok z rybiego mięsa, na kształt węża; Michniny pirohy; worost, pirog na kształt żółwia żywego; kołaczy bolszyje; orzechy w patoce; masło derewenoje z cebuleju pieczonoju; jelcy smażonyje;

Ryby też rozmaite na stole, wierziny,  
 Biełuhi i przyprawą dziwną jesietrzyny  
 W sztukach wielkich na urząd, co przed nas dawano,  
 Do gospody co dla nas odnieść roskazano,  
 Jednakże Trojanowych zbytków nie zażyli,  
 Ale dość, gdy nam i tak trochę radzi byli.  
 Nie dbany, że nam mózgów bażancich nie dali,  
 Podobno też i sami tego nie widali.  
 Za wieczerzą od Kniazia dawano nam czasie  
 Przez jego urzędniki, stołowe podczasze.  
 Potrzykroć też do Kniazia nas przywoływano  
 I do stołu do niego przystąpić kazano.  
 Po jednym Książ młody pił do nas z swej ręki,  
 Chcąc widzieć, abyśmy mu spełnili bez dzięki.  
 I hojność przy dostatkach by większą widziano,  
 Po stolech potraw, picia, dość narozlewano.

*Picie, które do stołu dawano:* Kwasiec Carsky; Kwasiec Carewiczów; kwasiec Bojar Dumnych; mied obarny; mied patoczny; mied wiśniowy; mied malinowy, mied bruszniczny; mied podzielny; wino rianskoje; romania; bostert; wino ziemskoje; gorzelka goraczaja; marmazja; muszkietuła; gorzelka tuszonaja.

Po obiedzie, który trwał niemal do północy,  
 Bo się zaczął, gdy się już chinęło ku nocy,  
 Książ młody tym, co nieśli jeść i pić do stołu,  
 Każdemu z nich z osobna i wszystkim pospołu,  
 Że miał dać upominki, nam opowiedzieli  
 Przystawowie, co z nami u stołu siedzieli.  
 Ali wnet dał każdemu książ po słonej śliwoe,  
 Mychmy to rozumieli, żeby po oliwoe,

Nie dlatego, by w śliwce co korzystać mieli,  
Lecz bezpieczeńność by większą tym do niego wzięli,  
A on zaś w osobę ich poznawał każdego,  
Gdy tak różno do ręki przystępują jego.

Wyliczając podobne, acz bogatsze oznaki wdzięczności u starożytnych, dodaje Pielgrzymowski:

Z śliwek prostych nie widzę, by się równać miały  
Tym rzeczam, co się przedtym za monarchów działy.  
Śliwka śliwką; kto ją wziął, nie wiele wskórałi  
I szczodrość za posługę nie wielką poznali.  
Wolałbym ja mym zdaniem słyszeć dobre słowo;  
Śliwką się kontentować nie każdemu zdrowo.  
Za ostatnią wtym czasą na nas zawołano  
I po kęsu podarków każdemu z nas dano.  
Mychmy zatym młodego Kniazia pożegnali,  
Za obiad mu, za dobrą chęć, podziękowali;  
Który wstawszy Królowi dał uderzyć czołem;  
Zatymesmy od niego wszyscy poszli społem.  
Chcąc abyśmy lanych świec swych palić nie dali,  
Swemi z zamku do gospod nam świecić kazali.  
Gromnic przez sto niesiono po parze przed nami,  
By owo przed umarłym idą przed trunami.  
Nazajutrz Ofanasiej od Kniazia przyjechał;  
Do nas posłów wszystkich trzech z tym na plac wyjechał:  
„Iżście z strony kupców prośbę uczynili,  
By się tu im zyscili, co im winni byli,  
Za towary co od nich po różnu pobrano,  
Aby im tu zapłatę teraz przy was dano,  
Przysłał Car ośnaset rublów, aby tym rozdano,  
Którym kiedy towary jakowe pobrauo;  
Drudzy też swą zapłatę wezmą za istotę,  
Którzy na to pokażą pismem jaką notę.“  
Zatym już, w noc godzina, od Kniazia Wielkiego  
Bułharyn Fiedorowicz, kaznoczeja jego,  
Z podarkami przyjechał, oddał to każdemu,  
Co Kniaź Wielki naznaczył z nas oddać któremu,  
I nad stary moskiewski tytuł przyniósł nowy,  
Który w sobie tak się ma i brzmi tymi słowy:

Bożju Miłościu Wieliki, Miłościwy, miłosierny, preswieszczajuszczy, proswietny, Hospodar wostoczny, Sijaciel, Wieliki Car i Wieliki Hospodar, Skiptrderżaczy, Wsim Carom i Korolom ustrasztyiel, jedyny podłonoczny Weliki Hospodar Chrześcijanski, Mnohich Carow i carstw Weliki Obładatiel i Samodierżec i innych Powielicziel, Kniaź Borys Fiedorowicz Wsieja Rusi i syn Jego Carskocho Wieliczestwa Carewicz Kniaź Fiedor Borysowicz тебе великим i carskim żałowaniem swoim i miłosierdziem żałując, dając tobie etc. etc. Wieleł tobie wsie twoje, czym Jesi Jeho Carskomu Wieliczeztwu bił czołom, nazad wiernuci i weleł howority: Pomozi Boh.

*Podarki* od Kniazia Wielkiego do dworu poselskiego przyniesione i nam posłom rozdane, wróciwszy nam pirwej wszytki podarki nasze. IM. P. Kanclerzowi: kreczot, soboli soroków sześć, kun soroków 10, lisów czarnych 3, biełek 10,000, gronostajów 1000. IMP. Warszawskiemu: kreczot, soboli soroków 3, kun soroków 3, lis czarny, biełek 1000. Dworzanom Króla IM. P. Janowi Sapiezie wojewodzcicowi witebskiemu: soboli soroków 2, kun sorok 1, biełek 1000. Kniaziu Jarosławowi Sokolińskiemu, staroście uświackiemu: soboli soroków 2, kun sorok 1, biełek 1000. P. Mikołajowi Frąckowiczowi: soboli soroków 2, kun soroki 2, biełek 1000. P. Piotrowi Duninowi: soboli sorok 1, kun sorok 1, biełek 1000. P. Janowi Boruckiemu: to samo. P. Janowi Passkowi także.

Nazajutrz różne ryby w podarki przysłano,  
Porządkiem panom posłom także je rozdano.  
Starszemu wyza całkiem, co ledwo dość było  
Dwu sań podeń, a bodaj jeszcze go coś zbyło.

*Podarki* od Kniazia młodego przed żegnaniem, nimeśmy od stołu wstali, nam posłom dane przez Taciszczowa podskarbięgo: IMP. Kanclerzowi szubę złotogłowową sobolmi podszytą, do tego sorok soboli, kredens cudny i czarę szczyrą złotą. IMP. Warszawskiemu złotogłowu na szatę, sorok soboli i dwoisty kubek. Pisarzowi kubek, kredens pozłocisty i sorok soboli.

Jednakże Afrykana, ani też Trajana  
Hojnością swą nie doszedł ani Wespazjana,  
Którzy to za grzech mieli, żal im było tego,  
Gdy kiedy nie czynili komu co dobrego,  
Albo posłów co lepiej umieli cześć, ważyć,  
I ludzkości nie takiej swej nad nimi zażyć.

Nie zasłuchał podobno, co Pitagor radzi,  
Że ludzkości prawa strzec, chować nie zawadzi.  
Albo więc co Sokrates jednako to chwali;  
Tej tu że było mało, myśmy to poznali.  
Awa jako drzewo złe kwiat piękny wydaje,  
Takie ich przeciw nam były obyczaje.  
Przyjaźń z nimi takowa: mała jako dłabi  
Kocię młode z miłości, dokąd nie zadłabi.  
Zatym też nas nazajutrz w drogę wypuszczono  
I z miasta mimo zamek tłumem prowadzono.

A. Brückner.

(Dokończenie nastąpi.)

---

# KRONIKA PARYSKA.

---

W końcu ubiegłego roku, jak zwykle o tej porze, odbyło się ogłoszenie nagród konkursowych, na uroczystem posiedzeniu Akademii Francuskiej;—publiczność, zamiłowana w tego rodzaju ucztach duchowych, z tem większą skwapliwością garnęła się w progi pałacu Mazarzyniego, że niedawno zamianowany stały sekretarz Akademii wystąpił po raz pierwszy z ocenieniem prac nagrodzonych. Na tem wysokim stanowisku, uczony Gaston Boissier, dyrektor Kollegium francuskiego, zajął miejsce Kamilla Doucet'a. Przez lat dziewiętnaście słuchaliśmy z zajęciem sprawozdań zmarłego akademika, który, mimo późnego wieku, wywiązywał się z nich z ogólnem zadowoleniem. Jako dawny autor dramatyczny, umiał on przemawiać do publiczności i zdobywać żywe oklaski. Ciekawi też byliśmy, jak się z zadania wywiąże znakomity profesor, zagrzebany oddawna w świecie rzymskim, lepiej zapewne obznajomiony z Cyceronem, Tacytem i innymi koryfeuszami z epoki Cezarów, niż z biegiem dzisiejszej literatury francuskiej; umiał jednak p. Boissier zadowolić ogół słuchaczy, z wyjątkiem chyba większej części laureatów, których pominął w mowie swojej, aby zbytecznie jej nie przedłużać, gdy tymczasem uprzejmy poprzednik każdemu poświęcał słowo uznania lub zachęty. Pominięcie to zastąpiono wręczoną obecnym drukowaną listą sześćdziesięciu siedmiu dzieł nagrodzonych, wraz z imionami autorów.

Druga nowość, wprowadzona przez Boissiera, polega na tem, że rozpoczyna od dzieł mniejszej wagi, a idąc *crescendo*, kończy na pracach wysokiej wartości na polu historii i literatury; tym sposobem utrzymuje do końca wyteżoną uwagę słuchaczy, gdy tymczasem poprzednik rozpoczynał zwykle od pierwszorzędnych prac i najwyższych nagród.

P. Boissier zatrzymuje się naprzód na konkursie, ustanowionym przez Monthiona. Wiadomo, że konkurs ten, wynoszący do 20,000 franków rozdawanych corocznie, przyjmuje wszystkie gałęzie literatury, z warunkiem aby działały dodatnio na społeczeństwo. Z pomiędzy nadesłanych stu ośmdziesięciu prac sąd akademicki nagrodił dwadzieścia cztery. Sprawozdawca wybrał z nich do ocenienia jedyną tylko drukowaną pracę historyczną p. Crousle, profesora w fakultecie sorbońskim, p. t. *Fenelon i Bossuet*, inne pomija całkiem. Określa zato znaczenie konkursu Monthiona; słowa te zasługują na uwagę.

„Obowiązkiem naszym, mówi p. Boissier, nagradzać dzieła pożyteczne dla obyczajów, (*utiles aux moeurs*), ale w rozmaity sposób dochodzi się do celu. Można odnieść pożytek, nie szukając go wcale, nie nauczając zasad moralnych, ilekroć dzieło, natchnione myślą szlachetną, podnosi ludzką duszę, stawia jej piękny przykład, budzi w niej dobre uczucia. Alboż to nie przynosi pożytku dostarczenie umysłom uczciwej zabawy, odrywającej od szukania lekkomyślnych i niezdrowych wrażeń. Zrozumiał to Monthion, gdy, ustanawiając konkurs, wyraził się w liście do akademii: „żaden rodzaj wyłączony nie będzie”. Przyjmujemy też wszystko. — W liczbie uwieńczonych książek znajdują się rozprawy krytyczne, podróże, życiorysy znakomitych autorów, dziełnych generałów i żołnierzy. Są tam zarówno i romanse—nadesłano ich do stu na ten konkurs, pióra kobiet i panien. Ta statystyka dowodzi, jakiej wziętości używa dziś ów dział literatury; bo też, jak nieraz powiedziano, jeżeli trudno zdobyć się na dobry romans, nie łatwiejszego, jak napisać mierność. Książka naukowa lub historyczna wymaga przygotowanych studyów, co zaś do romansu, myślał-by kto, że dość spojrzeć w głąb własnej piersi i nakreślić swój obraz. Życie najprostsze ma różne przygody; autor podnosi ich znaczenie. Zdaje nam się, że to, co nas osobiście dotyka, musi zająć świat; chwytny za pióro, aby wyrwać z serca ukryte w niem uczucia, jakie nie są dla innych tajemnicą.

„Wyznać muszę, ciągnie dalej sprawozdawca, że romanse, nadesłane na ten konkurs, wszystkie uczciwe, pełne najlepszych pobudek, stąd autorowie ich sądzą, że powinny przynieść pożytek obyczajom. Tak przecie nie jest: cnota sama wystarczyć tu nie może; niekiedy nawet szkodzi sobie przesada. W każdym razie, jeśli książka ma poprawiać

drugich, trzeba naprzód aby ją czytano. Nie też dziwnego, że z tego nawału romansów, pełnych najlepszej intencji, siedm zaledwie otrzymało wieniec konkursowy Monthiona”.

Surowy ten sąd o dzisiejszem powieściopisarstwie wytrąci może pióro z niejednej słabej ręki, i zmniejszy może liczbę tylu nieudolnych romansów, jakimi dziś Paryż zasypano. Już to rzecz widoczna, że historyk Tacyta i Cycerona nie jest zwolennikiem powieści, nie rozumie nawet rzeczywistego jej znaczenia. Z pomiędzy laureatek na tem polu wymienia ze szczególnem uznaniem panią Feuillet, wdowę po akademiku, podnosi wartość jej dzieła p. t. *Kilka lat z życia mego*. W roku zeszłym zdawaliśmy sprawę z tej książki, nie będziemy też zatrzymywać się nad nią; ale to wspomnienie o zmarłym mężu, lecz bynajmniej nie romans w znaczeniu tego słowa.

Przechodzi potem p. Boissier do fundacyi imienia *Vitet*, którą akademia ma prawo rozporządzić dowolnie za całość prac dokonanych. Połowę nagrody (2000 fr.) otrzymał Augustyn Filon, zasłużony publicysta. Rzucił on nowe światło na literaturę angielską—tak z dawnych, jak teraźniejszych czasów: dał poznać historyków, dramaturgów i poetów angielskich. Zajmuje się również literaturą kraju swego. Studium nad Prosperem Merimée znalazło tu nie mały rozgłos.

Drugą połowę premium przyznano p. Cherville, który od dwudziestu pięciu lat zasila dziennik *Temps* sprawozdaniaми z życia wiejskiego. Przedstawił go do nagrody nestor akademii, Ernest Legouvé, i w zajmujący sposób określił jego prace: „Cherville, mowi on, ogarnął cały zawód rolniczy, z miłością opisuje pola i ogrody, lasy i łąki, zniwa i winobrania, lud wiejski i zwierzęta domowe. Zna gruntownie to, o czem mówi; żył się najściślej z tem wszystkim. Nie głosi suchych teoryi, ale z opisów jego tryska prawda, życie i jakaś woń miejscowa. Uważałem nieraz, dodaje Legouvé, że ciągła styczność z przyrodą działa dodatnio na pisarzy, przynosi im szczęście. Badanie zwierząt zaostrza im dowcip, sam widok kwiatów rozbudza poezję, prace Cherville'a roztańczają żywotny aromat. Ilekroć przeczytam parę stronik przez niego nakreślonych, to jakbym spędził na wsi kilka godzin”.

Inną znów nagrodę za całość prac otrzymał jeden z koryfeuszów prasy, Emil Bergerat, znany pod pseudonimem Calibana. Akademia, wynagradzając go, chciała dać pożyteczną naukę dziennikarzom, którzy, pisząc dorywczo z dnia na dzień, zaniedbują język, a tem samem psują smak publiczności. Wśród tej ciągłej włóczędzy literackiej, tego przorzucania się z jednego przedmiotu na drugi, mowi p. Boissier, Bergerat zachował styl i poszanowanie języka, dał dowód, że dziennikarz może być starannym pisarzem. Dobry to przykład, a im rzadszy, tem bardziej godzien uznania i zachęty”.



Dodajmy tu, że Akademia, obowiązana czuwać nad językiem, słusznie nagrodziła stylistę—nie była-by jednak śmiała udzielić Bergera-towi nagrody z konkursu Monthiona, za prace pożyteczne dla obyczajów.

Rzecz godna zastanowienia, że wielka część nagród tegorocznych przypadła autorom piszącym o Anglii; sprawozdawca czyni uwagę, że inne kraje, czy to przyjazne, czy wrogie Francji, pozostały dzisiaj na boku, a cała bacność skierowana instynktowo na społeczeństwo oddzielone ramieniem oceanu.

Najważniejszą z tych prac uwiecznionych jest dzieło p. Jusserand'a p. t. *Historja literacka ludu Angielskiego*; wyszedł dopiero z druku pierwszy tom, dociągnięty do epoki odrodzenia. W roku zeszłym mówiliśmy obszernie o tej pomnikowej pracy, nie możemy jednak pominąć uwag tak uczzonego historyka, jakim jest p. Boissier. „Badania, mówi on, nad dawną i dzisiejszą Anglią dowiodły panu Jusserand, jak ścisły związek łączy w tym kraju literaturę ze społeczeństwem, jak się dopełniają nawzajem. Węzeł ten istnieje również w innych krajach, ale nigdzie nie jest tak widocznym. Mało powiedzieć, że literatura jest w Anglii narodową, jest ona samą treścią narodu, objawia się w oratorach, w kronikarzach, w poetach. Czytając ich utwory, idziemy krok w krok za rozwojem dziejowym; widzimy, jak naród zrodził się i urastał; obraz ten stawia nam autor przed oczy. Do początków odrodzenia historia tam grubym otoczona pomrokiem—Anglia przechodzi różnego rodzaju przewroty, jest kolejno, a niekiedy i razem, celtycką, rzymską, saksońską; przez wieki te ludy walczą z sobą, żyją obok siebie, lecz nie zlewają się razem, istny chaos! Kiedy nastąpił wielki najazd Normandów, rzekłbyś wszystko przepadło, zamęt przyszedł jakoby do ostateczności, a tymczasem inaczej się stało: co miało dzielić, łączy. Wkoło nowego żywiołu dawne jednoczą się i skupiają. Dzięki wzajemnym ustępstwom, z tych różnorodnych i wrogich sobie ludów tworzy się naród, samostny, cudownie jednolity, mimo, że połączony z odrębnych szczepów, niezapominających pierwotnego rodu, a jednak przeistoczonych. Tę ewolucję widzi Jusserand w literaturze angielskiej, zaznacza ją od Beowulfa do Chancera.

To stanowi oryginalność dzieła.

Inna znów nagrodzona praca o Anglii, p. t. *Dyplomata w Londynie*, odnosi się do czasów obecnych. Są to ustępy z listów i notaty zmarłego niedawno Karola Gavard'a, sekretarza ambasady, 1871—1877, wydane bezimiennie. Ciekawe te ustępy dają poznać uczucia Anglii dla Francji; w tych smutnych czasach uznano Francję za zgubioną, bliską śmierci. Ambasador, książe de Broglie, wyglądał w Londynie, jakby widmo grobowe; oczy zwracały się nań z ciekawością

i politowaniem. Wysławiano tam zwycięzcę, żałowano także zwyciężonego, ale z tem tajemnem zadowoleniem, jakie sprawia niekiedy cudze nieszczęście. W umysłach panował zamęt, przyszłość budziła trwogę. Wszystkie te sprzeczności pochwylił dyplomata. Odwiedziny królowej w Windsorze i lordów w ich arystokratycznych rezydencyach, gdzie przyjmowano go z dworską uprzejmością, odmalował żywo autor. Ciekawy to obraz społeczeństwa angielskiego z przed dwudziestu kilku lat.

Inny laureat, nagrodzony pod pseudonimem Brada, z innej strony opisuje wielkie domy angielskie, w książce p. t. *Notaty o Anglii*. Z podziwem patrzy on na przeistaczające się tam społeczeństwo; widzi, jak umysły rozprzegają się z ciężkich, ale wiekami uświęconych przesądów, jak nowa generacya toruje sobie nieznanę dotąd drogi. Popęd ten przeraża rodziny angielskie, przywiązane do dawnych tradycji.

W dodatkiem zato świetle przedstawia rzecz inny, uwieńczony autor, Max Leclerc, w dziele p. t. *Professye i społeczeństwo w Anglii*. Obraz to życia ekonomicznego po miastach i wsiach angielskich, przedstawiony jako wzór godny naśladowania dla Francuzów. Mówiliśmy o tem dziele w poprzedniej korespondencji naszej.

Do prac w tym kierunku dodajmy tu jeszcze studyum p. Cheveillon p. t. *Sydney Smith i odrodzenie w Anglii idei liberalnych*. Wiadomo, że Sydney Smith przyczynił się najdzielniej do reformy elektoralfnej i emancypacyi Katolików angielskich.

W dziale historycznym nie zaniedbano także stosunków Francyi z Anglią: p. Lafleur wziął za przedmiot pracy poselstwo hr. de Beaumont do Anglii za Henryka IV, (1602—1605). Hrabia La Ferrière, w pięciotomowym dziele p. t. *Dwa dwory, Francuski i Angielski*, podjął miłosne przygody Anny de Boleyn i królowej Elżbiety, oraz korespondencye Katarzyny Medyceuszki.

To niezwykle zajęcie się Anglią, czy to współczesną, czy dawniejszą, zwróciło powszechną uwagę. Anglia ze swej strony wywyżmia się Francyi, wydaje o niej niezliczone dzieła, tak historycznej, jak literackiej treści.

Pierwszorzedną nagrodę Gobert sąd akademicki przyznał biegłemu erudytowi, Gustawowi Faguiet, za historyczną pracę w dwóch tomach p. t. *Ojciec Józef i Richelieu*. Wiele już pisano o tym zakonniku ze zgromadzenia Oo. Kapucynów, w którym słynny kardynał zupełną pokładał ufność. Michelet widzi w nim naczelnika tajnej policyi; nowe badania pokazują, że był w błędzie. Inne światło rzuca p. Faguiet na tę postać tajemniczą i mało dotąd znaną. W osobie ojca Józefa odróżnia on dwa całkiem odrębne charaktery: Mnicha i polityka. Jako żarliwy zakonnik, ustanawia zgromadzenie Sióstr, *Filles de Calvaire*, urządza

missye francuskie na Wschodzie; ożywiony duchem Krucyat, marzy o wyzwoleniu grobu Chrystusa z rąk niewiernych; jako polityk, prowadzi sprawy ziemskie. W układach ze Szwecyą i Hiszpanią pokazuje wysokie dyplomatyczne zdolności. Jeżeli, jako mnich, radby wstępować do szczytu herezyę, to jako polityk łączy się z protestantami na szkodę arcykatolickiego domu Rakuskiego. Dnie całe spędza w gabinecie kardynała, nocą w klasztorze sypia na garści słomy; podczas gdy w Rzymie spełnia obowiązki francuskiego ambasadora, działa najgorliwiej w interesie Francyi; po skończonem poselstwie z kijem pielgrzymim w ręku wraca piechotą do Paryża; w ciągu drogi tworzy epopeję, podniecającą nienawiść przeciw Turkom. Umiera nakoniec świątobliwie w tymże samym dniu, kiedy książę Sasko-Wejmuarski, Bernard, oddał Francyi w posiadanie Alzacyę.— Taką-to osobistość wydobyl z pomroku p. Faguier i odmalował w swej pomnikowej pracy.

Do historycznych, które zwróciły uwagę Akademii, dodajmy jeszcze dwutomowe dzieło pana Gorce: *Historja drugiego cesarstwa*. Współczesne dzieje zazwyczaj niedokładnie znane; zaciemniają w nich pracę stronnice wywody autorów. To, co jedni podnoszą do apoteozy, drudzy zwykli obluźgiwać potwarzają. Inaczej p. Gorce pojmuje zadanie historyka. Opowiada on fakta spokojnie, bez uprzedzenia, a do tego stylem pełnym życia i blasku.

Nagrodę Fundacyi Thiersa przyznano p. Germanowi Babst za historyczne dzieło o teatrze, *Essaye sur l'histoire de Théâtre*. Autor nie wchodzi w duchowy rozwój sztuki dramatycznej, ale pokazuje materialny jej postęp w architekturze, dekoracyach, kostiumach, słowem, w tem wszystkim, co olśniewa oczy i działa na wyobraźnię. Od pełnych naiwnej prostoty przedstawień średniowiecznych przechodzi stopniowo przez epokę renesansu i dwa następne wieki (Rasyna i Kornela), dochodzi do czasów dzisiejszych, kiedy wystawa teatralna we Francyi „stanęła—jak mówi—na szczycie, a tem samem stała się dla świata przedmiotem podziwu i wzorem”. P. Boissier najszlachetniejszą czyni tu uwagę: „Bodajby, mówi, na tych scenach, tak cudnie dekorowanych, wśród tej fantasmagoryi, dane nam było posłyszeć takie arcydzieła, jakimi zachwycali się praojcowie nasi w prostej szopie, przedzielonej skrzydłami parawanów, oświeconej rzędem łojowych świeczek!”

To rzeczywiście ubóstwo sztuki dramatycznej, tembardziej rażące przy zewnętrznym blasku wystawy, dało pobudkę do nowo ufundowanych nagród za najcelniejsze utwory współczesne na tem polu. Wśród tych, pani Augier, wdowa po słynnym dramaturgu, chcąc uczcić pamięć męża, ustanowiła trzyletnią nagrodę w ilości 5000 franków, za najlepszą sztukę, odegraną w tym czasie w Teatrze francuskim lub Odeonie.

Od tego konkursu nie wyłączono członków Akademii, jak się rzecz ma z innymi konkursami; nagrodę przysądzono Franciskowi Coppée, autorowi dramatu „*Dla korony*“. W tym wyborze widzi p. Boissier pożyteczną naukę dla nowatorów; przytaczamy tu jego słowa: „Od lat kilku powtarzają nam, że stare formy dramatyczne zużyte już do szczytu, że ogół domaga się nowych, że, bądź co bądź, potrzeba je utworzyć. Otóż właśnie, sztuka przedstawiona przeszło sto razy, z najżywszym zadowoleniem publiczności, utworzoną była według dawniejszych wzorów. *Teatr przyszłości*, którego przedsmak dają nam od czasu do czasu chciwi nowych wrażeń dyrektorowie, pełen jest najdziwniejszych sytuacji, ciemnych zakłamań, wyjątkowych charakterów; gdy tymczasem sztuka Cooppée'go, prosta, jasna, naturalna, wolna od symbolów i zagadek. Osoby działające w niej żyją powszechnem życiem; walka sprzecznych namiętności stanowi tu główny węzeł, tak samo, jak w starych klasycznych tragediach. Wyrażone w niej uczucia przenikają nam duszę do głębi, co podobną nie odpowiada nowej poetyce. Pisana wierszem, bardzo pięknym wierszem, nieraz godnym Kornela, — wiersz w dramacie nie modny — a jednak publiczność gorąco jej przyklaskuje, słucha jej z tem uczuciem, jakiego doznajemy, powracając z dalekiej wędrowki w nasze progi domowe. Jakże nam miło ucześć utwór takiej doniosłości, tak prawdziwie francuski, nagrodą Emila Augier

Przejdźmy nakoniec do poezyi. Na konkurs fundacyi Archon Desperouse'a kilkudziesięciu poetów nadesłało zbiory swoje. Gdyby forma była wszystkim w poezyi, każdy ze współzawodników mógłby śmiało kołatać o nagrodę. Ale, niestety, wytworna forma nie zastąpi ubóstwa treści; brak tu całkiem poetycznego technienia. To też z pomiędzy mnóstwa utworów, świetnych kolorytem i wyrafinowanym artyzmem, sąd wybrał pieśni Franciszka Fabie, pełne prostoty i szczerego uczucia; autor nadesłał je z rodzinnej wioski. Zmuszony opuścić własne gniazdo, utyskuje rzewnie na konieczność tego rozstania:

Smutnoż to, kiedy swojskie porzucimy płoty,  
Wciąż rozwijać i składać wędrowne namioty!

Pociesza go tylko myśl, że kiedyś stare kości ogrzeje przy domowym ognisku, nim je złoży obok ojców na wieczysty odpoczynek. Zaczem to nastąpi, syn rolnika opiewa swoją „pocziwą ziemię“, wdzięczny za wszystko, co mu dała. W zwrotkach swoich nie szuka nowych orzeczeń, ale każda drga życiem, snąc głęboko odczuta. „Poeci, których prowincya nasyła do Paryża — szlusznie rzekł sprawozdawca z konkursu — zatracają tu świeżą woń pól i lasów rodzinnych; ten aromat zachował w pełni p. Fabie, dlatego jego pieśń tak nam wnika do serca.“

Przypadł jeszcze w tym roku inny konkurs poetyczny, ustanowiony dwa wieki temu, na temat zadany przez Akademię. Szło tu zwykle o apoteozę jakiejś wielkiej osobistości, lub ważnego w dziejach wypadku. Utwór nie miał liczyć więcej nad dwieście wierszy. Te więzy kępowały zanadto poetów; zrozumiała to Akademia i dziś podsuwa tylko myśl ogólną, zostawiając zupełną swobodę powołanym. Na tegoroczny konkurs zalecono tylko przedmiot z epoki renesansu. Ośmdziesięciu współzawodników odpowiedziało na wezwanie. Dwa poemata zwróciły szczególną uwagę sędziów, rozdzielno zatem nagrody. Jedną połowę otrzymał p. Boretty; przedstawił on Benvenuto Celliniego w chwili, kiedy odlewa słynny posąg Perseusza, chlubę loggii florenckiej.

Wytworny poemat, przypomina poniekąd Dzwon Szyllerowski. Szczegóły giserskiego kunsztu może tu zbyt realistycznie przedstawione. Dramat polega na przerażeniu Celliniego, gdy spostrzegł, że spiż do reszty wyczerpany. W niwecz praca, przepadło dzieło, zgasła aureola, co miała uwieńczyć na wieki czoło mistrza. Drżący, bez tchu, rzuca do kotła wszystko srebro i złoto, mistrzowskie nawet dzieła sztuki. Ocalił arcydzieło; od rozpaczki przechodzi do największej radości, woła z uniesieniem: „Ofiara tylko prowadzi do tryumfu! ofiara daje nieśmiertelność!”

Drugą połowę nagrody otrzymał Andrzej Bellesort, za poemacik pełen życia, tryskający dowcipem p. t. *Gospoda*. Ronsard i Du Bellay, dwie poetyczne gwiazdy renesansu, przypadkiem spotykają się w domu zajezdny, na gościńcu z Tours do Blois; przy czarze wina, po pierwszym poznaniu, następuje wymiana myśli. Du Bellay, po twardej przejściach, obrał zawód prawnika; Ronsard trawi życie nad księgą, nie ęci go toga adwokacka, ani nawet kardynalski kapelusz, wyżej on sięga myślą, pragnie laurów Wergilego. Du Bellay, zachęcony szczeremi słowy Ronsard'a, przyznaje się też do poetycznej żyłki, której nie przygłuszyła praca nad kodeksem Justyniana.

— „I ja, rzecze, chciałbym, zacy Ronsardzie, aby wiek dzisiejszy zwrócił się do Greków i do Rzymian. Nazbyt już długo mdła Ballada, nucona przy kołowrotku, sprowadza nam sen na powieki. Nazbyt długo kulawa piosenka obiegu targowiska nasze, pobudzając przebrzmiałą nutą osła trawionego suchotami“.

Tu pan Bellesort przebrał miarę w szyderstwach na to, co przecież godne poszanowania. Owa *kulawa piosenka*, to głos wyrwany z serca ludu, to szczery kruszec, który prędzej czy później geniusz wieszczą przetopi na drogocenne klejnoty. Epoka renesansu wprowadziła do literatury estetyczną formę starożytnych poetów, ale ślepe i zbyt długie naśladownictwo odebrało samoistność poezji i całkiem

ją wynarodowiło. Z tego jarzma wyrwała ją dopiero epoka romantyzmu. I dziś pieśń ludu, owa arka przymierza między dawnymi a nowymi laty, ocali poezję od zachcianek nowatorów, sprowadzających ją na bezdroża.

Pan Bellesort nie poznał dokładnie Du Bellaya; inaczej nie kładłby mu w usta ironicznych pocisków na płosenki ludowe. Du Bellay przesiąkł do głębi serca duchem narodowym; świadczy o tem jego sonet, który tu przytaczamy w przekładzie.

Szczęśliwy, kto jak Odys przebiegł ziemię całą,  
Kto jak Jazon w Kolchidzie wywalczył skarb złoty,  
I zwrócił ku ojczyźnie wzrok pełen tęsknoty,  
Gdy na dalsze wędrówki już sił mu nie stało.

Zaliż powitam jeszcze moją wioskę małą,  
Dym własnego komina, me ubogie płoty!  
Znajdę tam za ciekami domku mego wroty  
Wszystko, co niegdyś serce rzewnie ukochało.

Dom rodzinny ma dla mnie stokroć więcej czarów,  
Niż gmachy ręką pysznych wzniesione Cezarów,  
Zdała marmurowemi błyszczące krużganki!

Wolę Galską Loarę nad Tyber szeroki,  
Me pola nad Palatyn sterczący w obłoki,  
Nad aromat ziół obcych woń swej macierzanki!

W końcu roku, scena paryska podniosła się dwoma utworami niepospolitej wartości: W teatrze *Porte Saint Martin* odegrano dramat Deroulède'a, *Messire Duguesclin*; wkrótce potem, na deskach teatru francuskiego, akademik Bornier wystąpił z *Synem Aretina*. Kiedy Akademia przystąpi do uwieńczenia najznakomitszej sztuki z ubiegłego roku, zdania sędziów wahać się będą w wyborze laureata. To pewna, że, prędzej czy później, zasłużony wieniec żadnego z nich nie minie.

Zaczynamy od Duguesclin'a, gdyż ten pierwszy ukazał się na scenie. Deroulède wysnuł wątek sztuki z burzliwych dziejów czternaściego wieku.

Nad Francją zawisła czarna chmura. Anglia grozi jej uszczupleniem granic, wewnętrzne zatargi grożą obaleniem monarchii. Etienne Marcel, przewodnik cechów miejskich, ściga zawzięcie następcę tronu, późniejszego Karola V. Młody książę chroni się przed pogonią do warownego zamku Vincennes. Wówczas-to w pełni chwały, występ-

puje na widownię dzielny Bretończyk, Duguesclin. Rozmówany w rodzinnem gnieździe, kocha niemniej całą Francję. „Pomyślność każdej prowincyi nierozdzielna od szczęścia kraju!” to hasło rycerskiego męża. Oblicze jego śniade, oczy zielonej barwy, nos płaski, barki krzepkie, ruchy niezgrabne—tak się przedstawia ta bohaterka postać. Brak urody zastępuje mu nadludzka niemal siła. Był jeszcze małą dzieciną, a już nad kołyską jego brzmiały wróżby najświetniejszej przyszłości. „Nikt mu nie zrówna pod sklepieniem niebieskiem—rzekła o nim pobożna mniszka — kwiaty lili obsypią go wielkimi zaszczyty, sława jego dosięgnie Jeruzalem“.

Rok 1358 rozpoczyna akcję dramatu. Następca tronu przebywa za murami twierdzy Vincennes. Etienne Marcel rządzi wszechwładnie w Paryżu. Wskutek uwięzienia króla Jana przez Anglików, syn jego, młody Karol, mianowany regentem; jedyna otucha dlań w dzielnym Duguesclinie, powołuje go do Vincennes.

Mężny wódz przebywał wtedy w rodzinnem gnieździe, domowemi zajęty sprawami. O rękę siostry jego, Julianny, ubiegają się dwaj rycerze: Raul de Caours, rodem z Nawary, i Oliwier de Mauny, nieodrodny Bretończyk. Dziewica upodobana sobie Raula, waleczny to szermierz, na polu bitwy nie ustąpi przed nikim, ale człowiek bez idei i wiary. Poznał się na nim Duguesclin, on nie pozwoli na związek jego z siostrą, skłoni ją raczej na stronę szlachetnego Oliwiera.

Podstępne matactwa Nawarczyka coraz to wyraźniej się objawiają. Rzuca mu je w oczy Duguesclin..

— „Ja tobie tylko służę, wodzu, odpowiada cynicznie Raul; mnie sprawa Francyi nie obchodzi. Przejdź i ty na stronę buntu, a uczynim cię królem“.

— „Precz mi z oczu!“—zawoła uniesiony gniewem Duguesclin!

Raul oznajmuje, że służyć będzie nadal sprawie regenta, jeśli tylko otrzyma rękę Julianny. Urażony odmową, przerzuca się na stronę Anglików. Oczywistym dowodem zdrady list, przejęty przez szpiega. Duguesclin rzuca nieczemnikowi ten list, wobec Julianny, Oliwiera i rycerskiej drużyny. Czoło zdrajcy napiętnowane sromem, on nie przeżyje takiej hańby,—przebija się sam w pojedynku z Oliwierem. Julianna chroni się do klasztoru.

Duguesclin na wezwanie regenta pośpiesza do Vincennes. Tu dramat dziejowy rozwija się żywo. Wodzowie oddziałów radzą nad losami Francyi. Anglicy zajęli Normandyę—ciągną na Paryż, rycerstwo rwie się naprzeciw wroga, ale Duguesclin ostrożnem słowem odwodzi ich od tego: pierwszą dziś powinnością—stać w obronie stolicy, wykorzenić w niej zarody buntu. Podczas gdy radzą, wchodzi obcy, nieznanu człowiek. On-to zgładził ze świata Marcela Etienne, ohyd-

nego zdrajcę, w chwili, gdy ten miał otworzyć bramy Paryża Anglikom i Hiszpanom. Ten człowiek, to Jan Maillard, przyjaciel Marcela; zabił go, by nie dopuścić zdradzy.

Duguesclin zbiera na gwałt wojska, znosi Anglików pod Cockelrel, okryty chwałą powraca do stolicy.

Tu nadchodzi wieść o zgonie króla Jana w więzieniu angielskiem. Karol V podejmuje berło. Dramat kończy się wspaniałym obrazem koronacyi w Reims. Francya odetchnęła chwilowo w ciągu stuletniej wojny.

Dramat *Deroulède* a głęboko poruszył Francuzów. Wkrótce potem na deskach Teatru Francuskiego ukazał się *Syn Aretina*, znakomity utwór Henryka Bornier.

Aretin, to pisarz włoski szesnastego wieku, żywy przedstawiciel zepsutej do gruntu epoki; pióro w ręku jego stało się przedmiotem handlu; nikczemnik, bez czci ni wiary, szermierzył niem dla zysku, sypał bezczelne pochwały wielkim świata, królów i książęta opłacali je złotem.

Piotr d'Arezzo, przezwany Aretinem, potomek szlachetnej ale zrujnowanej rodziny, rozpoczął zawód w Rzymie. Wygnany z miasta papieżów za skandaliczne sonety, znalazł przytułek na dworze Jana Medyceusza; po śmierci jego opuścił Florencję, — osiadł w Wenecyi, stolicy artystów i uczonych, a zarazem gnieździe zepsucia, zbiegowisku wygnańców i wyrzutków społecznych. Tu Aretin rozliczne przebiegał koleje. Wielki pan polski rozkazał go ochłostać za zniewagę sobie wyrządzoną; takąż karę wymierzył mu ambasador angielski. Słynny mistrz pędzla, Tintoretto, przyłożył mu do piersi pistolet; ośmieszony w złośliwej komedyi, Strozzi, poprzysiął mu zemstę niechlebną.

Aretin, istny jeleń, ścigany przez gończą sforę, nie śmiał wychylić głowy z domu.

Taką-to postać przedstawia Henryk Bornier w nowym dramacie. Przed laty dwudziestu podniósł *Córkę Rolandową* przygnębione kłęską umysły, pokazując, że naród może dźwignąć się z upadku, jeśli zachował poczucie swej godności. Obecnie spostrzegł, że Francya na większe jeszcze narażona niebezpieczeństwo: duch jej bowiem zatruty, myśl wykolejona. Karą dla Aretina jest przewrotny syn, nawskróś przesiąkły zarazą, czerpaną z jego książek.

Aretin ma syna, wypędził go z domu małym dzieckiem, wraz z matką jego, wyuzdaną Kamillą. Chłopiec, imieniem Orfinio, włóczy się po ulicach Parmy. Podjęła go Angela, szlachetna wdowa, którą Aretin pragnął niegdyś poślubić, obudził w niej nawet tajemne uczucie, lecz nie pozyskał ręki.



Dramat rozpoczyna się w domu Aretina; przybywa tu wysłaniec Franciszka I, króla Francyi wręcza mu list królewski i wspaniały dar, łańcuch złoty. W chwilę po nim wchodzi sławny Bayard; na polu bitwy pasował Franciszka na rycerza, podał mu oręż w rękę. Obowiązkiem dlań czuwać nad honorem wychowanka, który pod bokiem jego przyjął wtedy chrzest krwawy.

Aretin woła, kipiący gniewem:—„Zapominasz się rycerzu!“

Imieniem Aretina szczyci się lud cały!

BAYARD

Jeśli ten lud żyć pragnie, a chce ująć zakąły,  
Niech cię jak nikczemnego wygna przeniewiercę.

ARETIN

Jam go przecie nie zdradził...

BAYARD

Lecz trujesz mu serce!

Słuszna otaczać bluszczem nieśmiertelnej sławy  
Pisarza, co nie zboczył nigdy z drogi prawej,  
Co stojąc na wyłomie, nie puści oręża,  
W zapasach przeciw złemu wciąż siły wyteża;  
Temu pomnik za życia słusznie przynależy  
I czoło mu przystoi w bluszcz oplatać świeży.  
Lecz sprawiedliwość każe zielska pełne jadu  
Wytepić do korzenia, spalić w proch... bez śladu.  
Niechaj gromy z niebiosów padną tym na głowy,  
Co sięją zgubne ziarno i zmysł mącą zdrowy.  
Ich wpływ, niestety, wielkich nasamprzód się czepi,  
Ulegają mu snadno bezmyślni i ślepi.  
Od przewodców zuchwale stacza się do spodu,  
Aż śmiertelną gangrenę wszczepi w rdzeń narodu.  
A im niżej dosięgnie, tom zjadliwiej rani,  
I całe masy ludzi—wpycha w głąb oteblani!

Ja żołnierz, wiem coś o tem: ów powiew piekielny  
Zniża umysł i sercom odbiera hart dzielny;  
Kto źle żyje, źle myśli, tego śmierć przestrasza,  
Ale śmierć, ta pocziwa towarzyszka nasza,  
Komu stanie przed oczy, chce by ją przyjęto  
Z czystem sercem i z mocą duszy nieugiętą!

Za twe pisma, za czyny, hańba ci i wzgarda!  
 Słusznie spadły na ciebie pociski Bayarda,  
 Już go więcej nie ujrzysz, kto wie... jutro może  
 Na tej ziemi lombardzkiej mą głowę położę,  
 Jam Bogu i królowi posłużył w tej dobie,  
 Wiem żem dobrze uczynił... ba! może i tobie!

Aretin, uniesiony gniewem, domaga się zemsty wystawną królewskiego. Ten oświadcza wręcz, że przykład Bayarda godny naśladowania. Aretin rzuca na ziemię łańcuch królewski, a potem, wściekły z gniewu, zwraca się do Bayarda:

Widzisz-li moje pióro i tę kartę białą?  
 Jam silny, przeciw tobie wywrę pomstę całą.  
 Mój ty sławny Bayardzie, kara cię nie minie,  
 Jeśli napiszę słowa...

BAYARD (*odchodząc*)

Ha! pisz, Arcytnie!

Widzimy w tym prologu, do czego zmierza Bornier. Potępia on bezczelne książki, chłoszcze surowo ich autorów, przeklina szkołę wszeteczną: przedajność, zepsucie i chciwość literacką. Zbawienna to przestroga. Zrozumiała ją publiczność i rzęsiwym obsypała poklaskiem.

Aretin pozostaje sam, cały drżący rzuca się na papier.—Ha! przypłacisz mi to szaleńcze!—woła z gniewem, ale słowa Bayarda nie pozostały bez oddźwięku: po raz pierwszy może posłyszał głos sumienia.

Tu ukazuje się Angela, wdowa, którą upodobał sobie, kiedy była młodą dziewczką; prosi go, aby z dzieł przygotowanych do druku wyrzucił sonety, niegdyś jej poświęcone. Aretin stawia opór. Aby go zjednać, Angela oznajmia, że wychowała jego dziecię, porzucone przez matkę. Ukazuje mu chłopca, który czekał w pobliżu; na widok dziecka, trwoga przejmuje Aretina, patrzy mu pilnie w oczy.

— Jak on do mnie podobny! — zawoła z poruszeniem.

Na tem kończy się prolog; między nim a pierwszym aktem upłynęło lat dziesięć. Aretin nawrócony i widzimy go w otoczeniu Orfinia, Angeli i wychowanki jej, Stelliny. Młodzieńcza dziewczka kocha Orfinia, Angela marzy o przysłym ich małżeństwie.

Orfinio zaciąga się do wojska, wkrótce zostanie oficerem. Młodzian to ponury, smutny, milczący. Złe myśli mącą mu głowę, broni się jednak od nich. Towarzysze chcieli-by wciągnąć go do zabawy; odmawia wręcz, usuwa się od ludzi. Ale otóż Franko, dawniejszy sekretarz

Aretina, wypędzony z domu, staje jako kusiciel i pragnie się pomścić. Z pomiędzy zniszczonych ksiąg pana swego wynalazł jedną, najzjadliwszą ze wszystkich, p. t. „Sny Aretina”; przynosi ją synowi; Orfinio czyta bezecną książkę, złe popędy, ukryte w jego duszy, buchają straszliwym pożarem.

Stało się: jak niegdyś ojciec, syn traci wiarę we wszystko, co święte i szlachetne. Niczem mu honor, niczem cnota, niczem miłość i domowe ognisko. Nie chce już zaślubić Stelliny, zanurza się w odmęt zepsucia.

W przerażającej scenie, rzuca przed oczy ojcu, z dziwnym cynizmem, wszystko, co mu na myśli ciąży. Przytacza całe ustępy z książki, potępionej przez autora; ze wszystkiego szydzi, wszystkim pomiata, wszystko szarpie. Ojciec zasłania twarz oburącz. On zniszczył wszystkie księgi swoje, a oto jedna, najzjadliwsza z nich, staje przed nim, wcielona w postać własnego syna i grozi mu najstraszliwszą karą. Naprózno błaga Orfinia, próżno korzy się przed nim, wyznaje własne winy, zrzeka się dawnych obłądów i zbrodni. Młody szaleniec nie słucha go wcale. I on także pragnie użyć życia, i on rzuci się w szal rozpusty, zdepcze to, co dotąd szanował. Ojciec podnosi głowę, poprzysięga, że, bądź co bądź, musi ocalić syna, ucieka z oburzeniem od straszego potwora.

W następnym akcie, Orfinio występuje jako tryumfator. Pokonał Turków, ocalił republikę wenecką. Awanturnik, chciwy wrażeń, gardzący życiem, zapragnął sławy i zdobył ją orężem. Wdzięczna Wenecya, na znak hołdu, rehabilituje matkę jego, nikczemną Kamillę. Poważna Angela z niewinną Stelliną kładą jej na głowę biały welon, jaki uczciwej tylko niewieście nosić było wolno w Wenecyi.

Po czynie bohaterskim, Orfinio stacza się znowu w przepaść. Zanurzony w długach, ścigany przez lichwiarzy, on nie ujdzie haniebnego więzienia. Kusiciel Franko, zjawia się znowu, wskazuje mu sposób ratunku. Turcy ofiarują mu cztery miliony liwrów za tajemnicze hasło, które otworzy im bramy Wenecyi. Orfinio waha się; w energicznym monologu usprawiedliwia zdradę, przytacza imiona słynnych w historii zdrajców, gotów iść za ich śladem. Tu staje przed nim Aretin: on wszystko wie; błaga syna w imieniu Wenecyi, zaklina go, by nie popułił najczarniejszej zbrodni.

Nikczemnik odpowiada szyderczym uśmiechem. Odtrąca matkę Angelę, gdy te usiłują roztląć iskierkę w tem obumarłym sercu.

— Ja siebie kocham tylko—odpowiada im bezczelnie—idę tam, gdzie mnie własny wiedzie pożytek.—Wydziera się gwałtem. Tu ojciec zastępuje mu drogę.

— Stój!—zawoła—nie stąpisz dalej ani kroku.

— A więc zabij mnie, ojcze!—odpowie syn.—Ty tego nie uczynisz, tyś nie Brutusem, ale Aretinem! Tyś mnie uczynił, jakim jestem. No, śpiesz się, zabij mnie, stary nizezemniku!

I ojciec topi sztylet w piersi syna, a potem zalewa się łzami. W chwili skonu, głos sumienia obudził się w zbrodniarzu. Konając, szepce chrapliwym głosem: „Ojcze, tyś mnie ocalił“.

Dramat ten przypadł w samą porę. Literatura kończącego się wieku przyszła do takiego rozprzężenia, że zaczęła zacierać poczucie prawdy w sumieniu Francuzów i prowadziła umysły na bezdroża. Piękny styl, żywo nakreślony obraz i psychiczne spostrzeżenie, oto wszystko, czego zbyt pobłażliwy umysł wymaga od autorów tak powieści, jak i sztuk teatralnych. Nikt nie pyta, czy wśród błyskotliwych kwiatów, zaprawnych drażniącym aromatem, nie pełza gad, szczepiący wolną lecz śmiertelną zarazę. Krytycy dziennikarscy w tem większy obłęd wprowadzają umysły, że zachwalają książki, godne raczej najsurowszej chłosty. Zalecone przez nich utwory znane im tylko z tytułów: widzimy to z treści fałszywie przytoczonej, napisanej dowolnie. Chęć zobowiązania autorów, a szczególnie chciwych zysku wydawców, kieruje rzuconym na wiatr sądem. Dziwimy się, że Akademia francuska, rozporządzając tak wielkimi środkami, nie ogłosiła dotąd konkursowej nagrody za sumienną i dobrze wyrozumianą krytykę.

Szczery zapał, z jakim publiczność przyjęła dramat pana Bornier, świadczy, że ogół, zatrwożony wiejącym prądem, odczuł niebezpieczeństwo i gotów zatrzymać się na pochyłości, zaczem dyplomatyizm dzisiejszy zniży do reszty poziom literatury, ze szkodą dla porządku społecznego.

---

Instytut Francuski obchodził parę miesięcy temu stuletni swój jubileusz. Uroczystość powtarzała się przez dni kilka, a co zasługuje na uwagę, że się rozpoczęła od Mszy św. i „Te deum” w kaplicy Sorbońskiej. Nie myślano o tem przed stu laty, podczas inauguracji poważnego ciała naukowego za czasów Dyrektoryatu, w lat parę po gwałtach Konwencji Narodowej, kiedy zaledwie ociekły strugi krwi, wytoczonej pod gilotyną.

Biskup z Autun, członek akademii, dzisiejszy kardynał, piękną mową zagaił uroczystość.

Później, w obszernej auli akademickiej w Sorbonie, Julian Simon skreślił w ogólnych zarysach stuletnią historję Instytucyi. Pięć składających ją wydziałów istniało już od połowy siedemnastego wieku; wypadło je tylko scentralizować i utworzyć z nich jedno ciało. Simon pokazuje dokładnie tę ewolucję.

Nasamprzód powstała Akademia Francuska. Myśl jej utworzenia powziął pierwszy Conrart, miłośnik literatury, ale człowiek bez osobistego talentu. Gromadził on w około siebie zawodowych pisarzy, skromnych pracowników na polu, które długo jeszcze leżeć miało odłogiem. Później dopiero wystąpił Corneille a po nim Racine, dwaj świetni koryfeusze klasycznej poezji francuskiej.

Kardynał Richelieu nadał charakter urzędowy tym zebraniom literackim Conrart'a; król potwierdzał wybory członków. Ale dopiero pod berłem Ludwika XIV rozwinęła się poważna instytucja. Pyszny ten król, zwany przez pochlebów *Roi Soleil*, przypisywał sobie myśi wydawania słownika akademickiego. Zrozumiał on, o ile nauki i sztuki piękne przyczynić się mogą do oświetnienia państwa, otoczył je zatem opieką, chlubił się ich rozkwitem; „Czcigodny ojciec nasz—mówi król—nakazał fundacyę Akademii Francuskiej, w celu doprowadzenia języka, wymowy i poezji, do tej doskonałości, jakiej dosięgły dopiero pod panowaniem naszym”.

Obok Akademii Francuskiej, postawionej na straży języka, powstała, za staraniem ministra Colbert'a, Akademia napisów, poświęcona pracom archeologicznym. Inne trzy akademie: nauk ścisłych, nauk politycznych i sztuk pięknych, odnoszą się również do tej epoki.

Rewolucya 1789 roku, wroga wszelkim przywilejom, wszelkim odrębnościom kastowym, zamknęła te ciała naukowe. Wznowiono je w r. 1795, pod nazwą Instytutu Francuskiego. Do czterech akademii, z wyjątkiem samej Francuskiej, rząd pozwolił wprowadzać członków cudzoziemskich, pod tytułem korespondentów. Tym sposobem Newton, Leibniz, Rossini, Meyerbeer, a w końcu nasz Matejko, że pominiemy wielu innych, weszli w skład uczonego grona.

Od początku istnienia swego, Akademia Francuska, złożona z czterdziestu członków, o ile była z jednej strony celem gorącego upragnienia dla pracowników na niwie literatury, o tyle z drugiej strony znosić musiała zawistne pociski odrzuconych kandydatów. Nie przebaczano jej, że w gronie swem nie pomieściła Kartezjusza ani Molière'a. Wiadomo jednak, że Kartezjusz pisał większość dzieł swoich po łacinie, a imię słynnego filozofa znalazło rozgłos dopiero po jego śmierci. Molière'owi zawód aktora i tytuł pokojowca królewskiego, odziedziczony po ojeu, a bardziej może walki ze społeczeństwem, ośmieszanem w jego komedjach, zamknęły drzwi akademii.

Nieraz złośliwy Voltaire, jakkolwiek zajmował miejsce wśród czterdziestu, chlostał sarkazmem poważną instytucyę. Wyśmiewał zwyczaj przyjmowania nowych członków mową pochwalną: „Wrodzona Francuzom gadatliwość, mówi on, chęć popisywania się z dowcipem, dodajmy tu kłopot oratora, gdy chce prawić, a nie ma o czem, azaliż to

nie wystarcza do okrycia śmiesznością człowieka największej nawet zasługi”.

Tradycja przemogła, mowy akademickie przy wprowadzaniu członków nie wyszły wcale z użycia, zdobyły nawet tak wielką popularność, że, aby je posłyszeć, cały wytworny świat paryski tłoczy się pod kopułę pałacu Mazaryniego. Z postępem wieku, tę jedynie akademicy wprowadzili nowość, że pochwały, sypane niegdyś z obowiązku wstępującemu do grona, dziś częstokroć ironicznym przeplatają sarkazmem. Ta sól attycka, a raczej pieprzyk galski, zabawia słuchaczy, ale ubliża powadze naukowego ciała.

Mówiąc o Akademii, wspomnijmy tu o śmierci Aleksandra Dumasa. Tyle już mówiono w naszych czasopismach, tak o nim, jak i o zmarłym niedawno wielkim fizyologu Pasteurze, iż wstrzymujemy się od powtarzania znanych rzeczy. Przyjdzie na to właściwa pora przy wprowadzeniu następców, którzy głębiej sięgną w życie poprzedników swoich i właściwiej ocenią ich działalność, niż to uczynili dziennikarze w dorywczych nekrologach. Co do Pasteura, żadne pochwały nie okazały się zbyt cenne wobec wielkich jego pomysłów i zasług położonych dla nauki. Co zaś do Aleksandra Dumasa, niezaprzeczony talent na polu dramatycznym, styl jasny, śmiałość w rzucaniu nowych idei, werwa tryskająca z jego pióra, tak dalece olśniły poważniejsze nawet umysły, że nie zważano, ile paradoksalnych zagadnień mieści się pod tym zewnętrznym blaskiem.

Do spraw akademickich należy wreszcie uroczyste przyjęcie w grudniu Henryka Haussaye, w miejsce zmarłego poety Leconte de Lisle. Witął go w imieniu Akademii Brunetiére, niedawno przypuszczony do grona. Obie mowy były apoteozą poprzednika, apoteozą niewątpliwie przesadzoną, gdyż niezrównana wytworność wiersza i dykcji, do jakiej doszedł Leconte de Lisle, nie wynagradza zatrutego miazmatu, wiejącego z tych cudnie pięknych rymów: Dość tu przypomnieć, że ów poeta, pieśnią jak lód zimną, a błyszczącą jak kryształ, posiał w umysły Francuzów ziarna buddyjskiej nirwany, że pociągnął w swe ślady cały zastęp skłóconych z życiem pessimistów!

Mówiliśmy już o tym poecie w roku zeszłym, zaraz po jego skonięciu, powtarzać tu nie będziemy pochwał, sypanych mu przez dwóch nowych akademików, którzy, w myśl instytucji, czują się obowiązani czuwać przedewszystkiem nad pięknością języka.

P. Brunetiére podniósł również prace Henryka Houssaye, a mianowicie, dwa historyczne dzieła: *Rok 1814* i *Rok 1815*, od których to dzieł datuje się głównie dzisiejszy zwrot umysłów do Legendy Napoleońskiej.

Z pomiędzy wielkich autorów niemieckich żaden nie był we Francji przedmiotem tylu rozpraw i komentarzy, jak genialny Goethe. Akademię Mirière poświęcił mu obszerne, dwutomowe dzieło; profesor Caro napisał studjum o filozofii Goethego i stosunku jego do Spinozy, że pominiemy wielu innych krytyków. Nie zraziło to przecież zdolnego publicysty, Edwarda Rode, do rzucenia w świat nowej rozprawy, pełnej oryginalnych spostrzeżeń.

Zdaniem młodego krytyka, sąd o pisarzach i dziełach zmienia się z biegiem pokoleń. Zachwyty dla ulubionych poetów stygnąć pomalutką zaczyna, wtedy mniej wykształcony ogół przestaje ich czytać i samodzielnie cenić; ustalona o nich opinia staje się niemal artykułem wiary, głos powszechny wysławia ich geniusz, ich twórczość, ich wszechstronną wiedzę i poprzestaje na tem. Słynne dzieła idą na pastwę erudyty.

Zdanie krytyka zakrawa trochę na paradoks. Dość tu przypomnieć genialnych poetów współczesnych Goethemu, których utwory nie przestały „z biegiem pokoleń” ogrzewać serce i zachwycać umysłów przeciętnego nawet ogółu, a co więcej, w miarę dojrzewających mas, coraz to szerszą zdobywają popularność.

„Dziwne są skutki, uważa Rode, tej krystalizacji płodów ludzkiego umysłu. Poeta myśliciel wtedy dopiero wielki uzyskuje rozgłos, kiedy słabnąc poczyną jego bezpośredni wpływ na ogół. Tak było z Goethem. Utwory jego poetyczne żyją pełnem życiem na deskach teatralnych. Muzycy snują z nich wątek do coraz nowych oper: Schuman, Berlioz, Gounod, Boito, tworzą melodye do Fausta, Wilhelm Meister—żyje w pieśniach Ambrożego Thomasa.

Mistrze pędzła zarówno ukazują postać Goethego, otoczoną blaskiem aureoli. W obrazie Kaulbacha widzimy go ślizgającego się na łyżwach we Frankfurcie. Inni ukazują go w Auerbaskiej pieczarze, w chwili, gdy obmyśla Fausta, lub kiedy z młodzieńczym zapałem stawia czoło Napoleonowi.

Trafnie określa Rode Olimpianizm Goethego. Chciał on utworzyć z życia harmonijną całość, pragnął zespolić myśl, uczucie, charakter w działaniu rozsądnem, bez nagłych wyskoków i sprzeczności. Wpływy Szekspira i Herdera zwróciły go z obranego toru, pociągnęły na drogę romantyczną. Wówczas-to utworzył „Wertera,” wystąpił z dramatem „Goetz von Berlichingen” „Egmontem” i t. d.

Nadeszły wreszcie *wesołe lata*, jak je nazywa poeta w pamiętniku. Przepędza je Goethe na dworze wejmarskim, wśród gwaru, uciech, zabaw i teatru. Burza odrodziła umysł, przetopila serce poety, wyszedł z niej „człowiek, co unikawszy powodzi, suszy odzież na dobroczynnych promieniach słońca”. Wtedy czyni ostateczny rozbrat z melancholią z barbaryzmem średnich wieków. Z klasycznych form greckiej poezji

odlewa *Ifigenię*. Sentymentalny twórca „Wertera” przeradza się w zimnego, wszechświatowego, lecz zawsze genialnego poetę.

Dziwny chłód powiewa w opisach jego miłosnych stosunków. I szczerze, głębokie przywiązanie Maksymilianny odplaca poeta suchą o niej wzmianką w liście do przyjaciela.

„Pięknie, mówi on, rodzi się nowe uczucie, gdy dawne w sercu płonąć nie przestało. Podobnie, na przeciwległym krańcu niebios, księżyc podwaja pięknie blask zachodzącego słońca”.

„Nie omieszkałem odwiedzić Fryderyki, mówi o innej kochance, śmiertelną dotkniętej chorobą. — Dnie to przykre dla mnie: *w pamięci ich nie zachowałem*. Ze łzami w oczach podała mi rękę; siadłem na konia, cierpiałem bardzo”. Systematycznie usuwa on z życia nawet wspomnienie żalu, wszelki smutek i wszelką gorycz.

Na lata młodości swojej patrzy Goethe oczyma sześćdziesięcioletniego starca. Opowiada, jak, pobierając nauki w Strassburgu, nakreślił obraz kultury francuskiej, co przechodziło jego siły. Pełen uwielbienia dla idei francuskiej, przejął się zasadami słynnego w te czasy Boileau, pokładał w nim zupełną ufność. Widzimy to z listu, pisanego wtedy do siostry, gdy ostro gani *Jerozolimę wyzwoloną*.

„Nie chcę, mówi on, sądzić osoby, ani zasług poety”. Boileau wyrzekł niegdyś o nim: „*Pusty dźwięk Tassu*”.

„Czytaj lepiej Boileau, szczególnie ję poemat jego *Pulpit* (*Le lutrin*). Jedyne Boileau wyrobić może smak estetyczny, czego po Tassie nigdy się nie spodziewam”.

„Ten poeta, mówi gdzieindziej, połączyć chciał bohaterstwo Homera z czarami Amadysa. Poemat czysto gotycki, czytać trzeba ostrożnie, kierując się zdrowym sądem o rzeczy, oceniać piękno, lecz strzedz się podziwu dla błędów”.

Ani słowa o tem w pamiętnikach. Co do śpiewaka *Jerozolimy wyzwolonej*, zmienił zupełnie pogląd. W podróży po Włoszech zbierał o nim wspomnienia i tradycje; osnuł na nich pięcioaktowy dramat p. t. *Torquato Tasso*.

W Wejmarze począł pisać pamiętnik. Dał mu tytuł *Prawda i poezya*.

Tytuł nie zupełnie odpowiada treści. Goethe według woli ukrywa uczucia, przekształca myśli własne. Prawda znika tu pod osłoną poezyi.

Śmierć Szyllera wydarła mu jedynego przyjaciela, prawdziwego współzawodnika na polu literackim. Wokoło niego wzrastało nowe pokolenie. Cała przepaść pojęć oddzieliła młodzież od mistrza: Goethe był zwolennikiem francuskiej filozofii encyklopedystów, acz się do tego nie przyznawał; oni zaś, szczególnie Stolberg i Fryderyk Schlegel, wracali do Chrystyanizmu, z pyłu niepamięci otrząsali dzieła Kalde-



rona, za Uwielbienie Krzyża stawiali go przed Szekspirem... Sześćdziesięcioletni Goethe dziwił się takim zwrotom. Pomimo wyrozumiałości dla młodych, pojąć nie mógł nowego prądu literatury.

Po przedstawieniu „*Wandy*“ Jakobiego, pisze Goethe do autora: „Ze zdziwieniem widzę Krzyż, zatknięty na moim własnym gruncie. Słyszę słowa uwielbienia dla ran Chrystusa. Nie powiem, aby mnie to choć trochę nie przypadło do myśli“.

Dzieło Goethego, „*prawda i poezja*“, różni się od pokrewnych mu płodów literackich. Sam przedmiot dozwolił poecie rozwijać szeroko osobiste poglądy. Wyznania Jana Jak. Rousseau posłużyły mu za wzór, ogromna przecież różnica dzieli te dwa utwory. W dziele filozofa genewskiego uderza szczególnie charakter patologiczny, jest to raczej ciekawy opis moralnych cierpień; autobiografia Goethego ma tymczasem obiektywną historyczną doniosłość. Rousseau pisze według pojęć swego wieku, zamyka się w zbyt szczupłych ramach indywidualnego życia. Goethe przeciwnie, podjął za cel różnostronnych obserwacji siebie, świat i wszystko, co go otaczało.

Nie można porównywać germańskiego wieszczka z autorami *poufnych pamiętników*: Stendhalem, Benjaminem Constant i innymi. W ich dziełach, obok pragnienia szczerości, odzywa się poryw duszy burzliwej. Rozłam pomiędzy słowem a czynem zmusza człowieka do usprawiedliwienia się wobec potomności. Jednych, chciwych sławy, jak Stendhal, zaledwie że znali współcześni. Drudzy, jak Benjamin Constant, zeszedli z wyżyny wskutek zmiennych kolei losu, dali sami za wygraną; życie ich stało się bezbarwnem do końca.

Jeden tylko utwór przypomina nieco autobiografię Goethego: są to „*Zagrobowe pamiętniki*“ (Memoires d'Outretombe) Chateaubrianda. Nie szukajmy zbliżenia w charakterze dwóch autorów. Azaliż grecki, niemal posagowy spokój twórcy Fausta licuje z sentymentalnym nastrojem ducha francuskiego poety.

„Łaknąłem uczuć, wszystko we mnie drgało namiętnością, mówi Chateaubriand. Szmer fali, szum wichrów, samotność, kształcą ducha lepiej niż studia; im-to zawdzięczam nieznaną przedtem zalety. Porywy serca mego przybrały samodzielną postać“.

Geniusz Chateaubrianda nie ma w sobie nic obiektywnego; nie śledzi rozwoju swego *ja*. wykwita bezwiednie, jako kwiat jedyny, szczególnie i piękny.

Oddzieleni cechą geniuszu i narodowości, obaj poeci zdają się być mocarzami dwóch sąsiednich państw, różnych klimatem, etnografią, obyczajami i prawem. Te dwie wielkie prstacie wznoszą się wysoko ponad głowy współczesnych im literatów. W późnej starości krytyka i głos powszechny otaczają ich wysokiem uznaniem. Obaj dochodzą

szczytu sławy, wiedzą że pamięć o nich nie skończy się wraz z życiem. Każdy z nich pragnie w odpowiedny dla siebie sposób utrwalić swój obraz w pamięci potomnych. Chateaubriand nie ukrywa się z chęcią nadania sobie wdzięcznej postawy; Goethe zaś mniej jest szczerym. Skromniejszy na pozór, ukradkiem tylko ubarwia obraz życia swego. Oba dzieła charakteryzuje śmiały rzut pędzla znakomitych artystów; oba niezbędne są do zrozumienia całości ich utworów literackich.

Opuścił prasę pod firmą *Plon* nowy tom dziennika marszałka Castellane; mówiliśmy już o poprzednim z czasów pierwszego cesarstwa. Werwa, cechująca wspomnienia młodego oficera, nie opuściła go i w latach dojrzałych. Na dwór Ludwika XVIII arystokrata patrzy bez zapału, maluje go w dość szarych barwach. Król upada już na siłach, ukrywa to, lecz nikogo nie zwiedzie. Powtarza nieraz na pół żartem: „Król może umrzeć—tylko chorować mu nie wolno!“ Nie wstając już z fotelu, z głową prawie do kolan pochyloną, przewodniczy na zebraniach dworskich, przyjmuje hołdy pań, odplaca je uprzejmem słówkiem.

Mniej uprzejma od stryja Delfinowa, córka Maryi Antoniny, dumna, zimna, milcząca, gardzi narodem francuskim, nie może mu przebaczyć gilotyny spadłej na głowy królewskie. Obecność jej rozsiewa chłód na dworskie zgromadzenia.

Jeszcze przed śmiercią króla, generał Castellane wysłany był do Hiszpanii z armią okupacyjną, w celu utrzymania porządku w kraju wewnątrznie zawichrzonym. Przebywał trzy lata, napród w Barcelonie, następnie w Andaluzji. Całą pensję obracał na bale i świetne zebrań; tym sposobem jedną umysł dla Francji.

Nie spuszczał z oka generał życia paryskiego, listy od żony i przyjaciół przynoszą mu raz po raz wiadomości, dostarczające do dziennika nieprzerwanego wątku. Ojciec pisuje z Włoch; poznał we Florencji Lamartine'a, sekretarza legacji francuskiej: „Człowiek to pełen prostoty, mówi o nim, przyjemny w obejściu, nie ma zarozumiałości literackiej, a przynajmniej umie ją pokryć. Jedyna wada jego w oczach moich, że zawsze pisze Ody!“

Wkrótce dochodzi wieść o śmierci Ludwika XVIII i koronacji Karola X w Reims. Lud sarka przeciw nowemu monarsze, niechętni głoszą, że jest księdzem, że otrzymał święcenie na biskupa, że codziennie odprawia mszę w kaplicy pałacowej. Wszystko to proste wymysły, ale budzą nieufność i niechęć, która miała w lat kilka doprowadzić do rewolucji.

Odwolany z Hiszpanii, generał powraca do Paryża, tu miesza się w wir życia towarzyskiego. Arystokrata patrzy z pogardą na plutokrację, podnosząc głowę w Paryżu. Złośliwie żartuje z Rotszylda. Opowiada, jak, odwiedzwszy księcia Orleanu z tylko co zaślubioną małżonką, zamiast przedstawić ją księciu, rzekł do niej: „pani Rotszyld, prezentuje ci księcia Orleanu.

Rotszyld, ufny w swoje miliony, pozwalał sobie z wielkimi panami zbyt poufałego obejścia, nazywał ich po imieniu. Do hrabiego Potockiego nie mówił inaczej, jak „panie Stanisławie“. Znudziło to w końcu polskiego magnata; „panie Rotszyld—zagadnął—powiedz mi, jakie imię otrzymałeś *na chrzcie świętym*, żebym cię mógł także po imieniu nazywać“.

Mimo to, w salonach James'a Rotszylda gromadziła się arystokracja paryska i zagraniczna; goście sztychli z niego, lecz zjadali jego wytworne obiady; Castellane nie gardził też niemi. Wspomina ucztę wyprawioną dla Rossiniego. „Człowiek to gruby, mały, mówi o nim, nie byłbym odgadł z postawy genialnego mistrza, gdybym o tem nie wiedział“.

Bankier Lafitte jest celem niemniej złośliwych pocisków. Castellane tak opisuje ślub jego córki z Neyem, synem głośnego marszałka: „Śpiewak Berenzer ułożył to małżeństwo. Ślub odbył się w kościele św. Rocha, wobec tysięcy osób i dwustu żandarmów. Ojciec przeznaczył dla córki dwadzieścia pięć milionów posagu. Rozmiłowany w niej, kazał postawić w kościele cztery piece, aby ją uchronić od zaziębienia. Wyprawił obiad na dwieście osób, na koncert zaprosił cały świat paryski. Gdy wracano z kościoła, dwóch żandarmów konnych poprzedało karete panny młodej. Wszyscy sztychą z pychy dorobkowicza i z ekscentrycznych fantazy córki. Między innymi żądała, aby wysypano miątkim cukrem ulice i ścieżki w ogrodzie. Stało się zadosyć jej woli.

Podczas dni lipcowych, Castellane był z rodziną u wód, w górach Owernii. Za powrotem zastał już na tronie Ludwika Filipa; nie zachwyca się wcale nowym królem, nagania jego chwiejność i brak energii. Opisuje niezliczone zamachy, szczególnie od połowy 1831 roku, które były-by może do groźnych doprowadziły następstw, gdyby silna epidemia cholery nie odwróciła umysłów w inną stronę. Na tem kończy się tom drugi dziennika, trzeci obejmuje dalszy bieg lipcowej monarchii i powrót do cesarstwa.

Pod tytułem *La France chretienne dans l'Histoire*, wydawca Firmin Didot ogłosił drukiem ozdobnie ilustrowany wolumin. Pobudkę do pomnikowej pracy daje uroczystość, którą ma wkrótce obchodzić Francya w Reims; w tym roku bowiem dobiega czternastu wieków od chrztu Klodoweusza i przyjęcia przez Franków religii Katolickiej.

Wstęp do dzieła nakreślił kardynał Langenieu, arcybiskup z Reims, który ma prezydować uroczystości. Wielki wolumin dzieli się na dziesięć ksiąg, obejmujących rozmaite epoki w pasmie wieków. Na całość pracy składa się trzydziestu sześciu autorów, ożywionych jedną myślą, owianych jednym duchem. Księga pierwsza sięga początków chrześcijaństwa we Francyi. Książdz Duchesnes, dyrektor szkoły sztuk pięknych w Rzymie, podjął stronę archeologiczną. Ukazuje odwieczne tradycje, zachowane w starożytnych hymnach, zarówno jak na szybach odwiecznych katedr i kościołów. Historyk Gotfryd Kurth, profesor uniwersytetu w Liège, autor świeżo wydanego dzieła p. t. *Klodoweusz i Frankowie*, opisuje chrzest Klodoweusza, z poglądem na wielkie następstwa, jakie stąd wypłynęły. Ojciec Smidt, członek Instytutu Francuskiego, zaznacza zasługi pierwszych zakonników, którzy z głębi niedostępnych gór i lasów roznosili światło po kraju.

W drugiej księdze określony stosunek Franków z Kościołem do czasów Karola Wielkiego.—Profesor fakultetu literatury w Bordeaux, Ibar de la Tour, opisał walki Franków z Islamem, zakończone zwycięstwem Karola Martela pod Poitiers i stanowczym pogromem Maurów. Wspaniały obraz Karola Wielkiego i jego epoki przedstawił erudyt Roy, profesor szkoły dyplomów konstytucyjnych (*école des chartes*).

Księga trzecia obejmuje początki właściwej Francyi. Księga czwarta—epokę feodalną i pierwszą krucyatę. Leon Gautier nakreślił świetną rozprawę o Rycerstwie (*La Chevalerie*); akademik Vogüé podjął wielką wyprawę Krzyżową na wezwanie św. Bernarda, opata z Clairvaux.

Przedmiotem księgi piątej—cywilizacya Chrześcijaństwa we Francyi w epoce średnich wieków. Mamy tu rozprawę księdza Klein, profesora uniwersytetu, o pieśniach historycznych (*Chansons de Geste*); badania nad *Mysteryami*, to jest nad pierwszym zawiązkiem teatru, pana Petit de Julleville; rozprawy o sztuce chrześcijańskiej w średnich wiekach, uczonego archeologa Andrzeja Preroté.

Księga szósta, nadzwyczaj ważna, obejmuje wiek trzynasty i czternasty. Członek Instytutu, Wallon, historyk Ludwika świętego, skreślił wspaniały obraz wielkiego króla Krzyżowca; hrabia Beauvoir, wydawca „Przeglądu Historycznego,” dał piękny obraz Dziewicy Orleańskiej.

W księdze siódmej rozpoczynają się czasy nowożytne. Walkę katolików z protestantyzmem i nawrócenie Henryka IV opisał książdz Baudrillard; życie św. Wincentego a Paulo i niezliczone jego instytucje — ojciec Largent, profesor Instytutu Katolickiego w Paryżu.

Siedemnasty wiek zapełnia ósmą księgę. Ważne tu miejsce zajmuje rozprawa profesora Sorbony, Doumic: o idei chrześcijańskiej w filozofii i literaturze tegoż wieku, i niemniej ważne studjum profesora Rebeliau, o słynnych oratorach katolickich; książkę de Broglie, akademik, wykazuje wielkie zasługi, jakie Oo. Benedyktyni oddali podówczas badaniom historycznym.

Dwie ciekawe rozprawy zapełniają tom dziewiąty. Jedna księdza Sicard, p. t. *Kościół i Francya* w czasach wielkiej rewolucyi, druga *Konkordat w r. 1801*, przez hr. Boulay de la Meute.

Dziesiąta księga obejmuje najważniejsze zagadnienia dziewiętnastego wieku: *Protelktorat Francyi nad katolikami państwa ottomańskiego*, przez profesora Sorbony, Goyau; *Kardynał Lavigerie*, przez kardynała Perraut; *Stosunek Francyi ze stolicą apostolską* pod Piusem IX i Leonem XIII.

Nie miejsce w kronice naszej na rozbiór tak ogromnego dzieła; pragnęliśmy tylko wyliczyć szereg okresów historycznych i wymienić imiona najsłynniejszych erudytów, którzy wzięli udział w pomnikowej pracy, a tem samem dają rekojmię jej wielkiej doniosłości.

---

Do licznych już tygodników, dwutygodników i miesięczników literackich, przybyło z nowym rokiem pismo „*Cosmopolis*”, wydawane w trzech językach: francuskim, angielskim i niemieckim. Są to broszury niezależne od siebie, odmienne nawet treścią, — połączone tylko wspólnym tytułem, który stanowi dla pisma reklamę pozornej nowości. Trzy działy: literatury pięknej, krytyki i polityki zagranicznej, obejmują wszechświatowy ruch umysłów. W zeszycie francuskim, współpracownictwo Juliusza Lemaitra, Bourget'a, Edwarda Rode'a, wróżą publikacji niechybne powodzenie. Zamieszczono tu również studjum Duńskiego krytyka, Brandesa, nad Szekspirowskim Otellem. Z ukazaniem się nowych zeszytów, powiemy obszerniej o tem wydawnictwie.

Siódmy rok istnienia rozpoczął obecnie „*Przegląd przeglądów*” (Revue des Revues), wychodzący dwa razy na miesiąc. Nie wdając się w oryginalne rozprawy naukowe, pożyteczny ten przegląd, umiejętnie prowadzony, chwytą przedmioty na czasie, popularyzuje zdobycze wiedzy i opinie znakomitych publicystów, tak z dziedziny literatury pięknej, jak i nauk społecznych.

---

W chwili, kiedy kończymy kronikę naszą, otrzymujemy, wydany pod firmą *Quantin*, przepyszny wolumin illustrowany: „*Historię złotnictwa francuskiego*. Autorem dzieła znakomity erudyty-estetyk p. Harvard, inspektor generalny sztuk pięknych, wielokrotnie już uwieńczony przez akademię. Sprawozdanie z wielkiego dzieła musimy zostawić do przyszłej kroniki. Praca to nietylko pełna erudycyi, lecz, o ile sędzić możemy z pierwszego rzutu oka, nadwyzczaj zajmująca. Rozpoczyna rzecz autor od czasów przedhistorycznych, to jest od odkrycia metalów i wynalazku metalurgii. Bada nasamprzód pomniki sztuki złotniczej w Egipcie, Turcyi, Assyrii i Persyi, potem przechodzi do Greków i Rzymian, a nakoniec do Gallów. Odtąd ciągnie się właściwa historia sztuki francuskiej, obejmująca wszystkie fazy dziejowe: średnie wieki, epokę odrodzenia, aż do czasów dzisiejszych. Obraz sztuki, rozwijającej się na tle dziejów, obyczajów i ducha panującego w danym czasie, przedstawiony z życiem, sprawia, że dzieło, pełne erudycyi, pociąga zarówno i ogół czytelników.

---

## Z cyklu „Madonna.“

---

### *Botticelli.*<sup>1)</sup>

Z zawitą siadłą głową,  
Jest matką, nie królową,  
To dziecię,—syn nie król..  
Za cały ród niewieści,  
Piastrunką jest boleści,  
Piastruje własny ból.

Jej ręka opuszczona,  
Schyliły się ramiona,  
Nad łonem tem wszechłon...  
Za całą dźwiga ziemię  
Poczęcia swego brzemię,  
Zrodzenia swego plon.

Anioły, co jej służą,  
Nie zowią jej dziś różą,  
Ni złotą lilją nieb...  
Kłós ona w polu czarnem,  
Nabrany gorzkim ziarnem,  
Na gorzki życia chleb.

---

<sup>1)</sup> Florencyja—Uffizi.

W blask siny rozgwieżdżona,  
Tknąć nie śmie jej korona,  
Anielskich kwiecie pół...  
Na czole bo jej leży  
Ów stygmat pramacierzy,  
Ów stary świata ból.

Wraziły się w jej lice  
Żywota tajemnice,  
I jego z śmiercią mir...  
I dziwny lęk ją bierze  
Na stare to przymierze,  
Co w słońce rzuca kir.

Ogrójec gdzieś szeleści  
Oliwnych drzew powieści,  
Drżą liście pełne ros...  
Z głębokiej praotchłani,  
Dolata słuchu Pani  
Bolesnej Ewy głos:

...O męka to nad męki,  
Roztulać do jutrzeńki  
Kwiat śmierci, w czarny plon...  
O męka, nad męczarnie,  
Mogilne kwiecieć darnie  
Posiewem własnych łon.

...O męka to nad męki  
Rozmnażać świata jęki  
O jeden jeszcze głos...  
O wina to nad winy,  
Mogłom rodzić syny,  
Pod kosę rodzić kłos.

...O kara to nad kary,  
Głód życia sycić stary,  
Oddając mu swą krew...  
Na śmierci stos olbrzymi,  
Co wiecznym żarem dymi,  
Dorzucać we łzach drew.



...O przyjdą te godziny,  
Gdy wstanie ból matczyny,  
Naprzeciw życia win,  
I sądnym głosem spyta:  
— Jam ziemia zrodzeń syta,  
Gdzie owoc mój? Gdzie syn?

...O przyjdzie ta godzina,  
Co w zmierzchach bić poczyna,  
W stuleci rdzenny spiż,  
Gdzy zamkną się te łoża,  
Jak niwa wytrzebiona,  
Co rodzą dziś swój krzyż!

---

# Odkrycie Röntgena.

---

Jesteśmy świadkami niezmiernie doniosłego tryumfu badania naukowego w dziedzinie fizyki. Znajdujemy się wobec odkrycia, którego znaczenie teoretyczne wcale nie daje się jeszcze ocenić w obecnej chwili, praktyczna zaś wartość o wiele jeszcze przewyższyć może te nadzieje, jakie już dzisiaj do niego przywiązujemy. W sposób zdumiewająco prosty, jasny, profesor wüzburgski Röntgen odkrył nieznanе dotychczas własności pewnego rodzaju promieni światła, których ostnienia niewiele lat temu nikt jeszcze nie podejrzewał, a które obecnie, poznane już w pewnym stopniu, otwierają przed nami nowy świat zjawisk, tajemniczy na pozór, a jednak rzeczywisty, prawdziwy, niedopuszczający żadnych złudzeń i błędów. Doświadczenia Röntgena, natychmiast po ogłoszeniu przezeń krótkiego sprawozdania ze swych prac, powtarzane były i udoskonalane przez najrozmaitszych fizyków. Niemniej i zastosowania praktyczne, jakie z doświadczeń tych dają się wyciągnąć, już obecnie wielokrotnie dały najlepsze świadectwo istotnej doniosłości odkrycia.

Najlepiej pojmimy istotę nowego odkrycia, jeżeli przypomnimy sobie kilka ważnych zasad z zakresu optyki fizycznej.

Promienie światła, jak wiadomo, są widocznym dla oka naszego objawem osobliwego ruchu, zachodzącego w eterze wszechświatowym, czyli w ośrodku ciągłym, który wypełnia sobą wszelką przestrzeń. Wszystkie własności światła: odbijanie się jego promieni, załamywa-

nie, interferencya, polaryzacya i t. d. najdoskonalej dają się pogodzić z teorią, która wymaga, ażeby drgania eteru zachodziły w kierunku poprzecznym, prostopadłym do kierunku samego promienia. Drgania zaś te udzielają się cząsteczkom eteru w sposób podobny do tego, jak cząstki wody, wprawione w drganie przez padający na nie przedmiot, udzielają ruchu swego cząstkom sąsiednim, te dalszym i t. d. Powstają tu fale, rozchodzące się w eterze, które, dobiegłszy do siatkówki oka, wzniciają w niej wrażenie świetlne. Szybkość drgań, a co za tem idzie i długość fal nader może być rozmaitą, a różnice te przejawia nasz organ wzroku, doznając rozmaitych wrażeń barwnych. Fale, stosunkowo długie, przy stosunkowo powolnych drganiach eteru, dają wrażenia barwy czerwonej; fale krótsze, przy szybszych drganiach, sprawiają wrażenie barwy pomarańczowej, dalej żółtej, zielonej, niebieskiej, indygowej, aż wreszcie najkrótsze fale, o najszybszych drganiach eteru, jakie działają na oko nasze, dają nam obraz światła fioletowego. Fizycy potrafili najdokładniej wymierzyć długość fal i szybkość drgań eteru dla każdego odcienia barwnego z nieprzerwanej skali widma słonecznego. Mamy tu do czynienia z drganiem wykonywanem z częstotliwością setek trylionów razy na sekundę. Fale zaś, odpowiadające tym drganiom, mają wymiary tysięcznych części millimetra.

Drgania eteru, zachodzące w przyrodzie, nie zamykają się wszakże w tych tylko granicach, które zdolni jesteśmy wzrokiem naszym objąć. Fale dłuższe od tych, które dostrzegamy jako promienie światła czerwonego, a wywołane również poprzecznymi drganiem eteru, to fale działające na nerwy skóry i wywołujące w nas wrażenie ciepła. Promienie ciepła zajmują w skali widma słonecznego miejsce przed barwą czerwoną i noszą przeto nazwę promieni pozaczzerwonych. Fale, krótsze od tych, które dostrzegamy jako promienie światła fioletowego, to fale niedostrzegalne wprawdzie dla oka, lecz zdradzające swe istnienie pewnymi działaniami chemicznymi, np. wpływem rozkładającym na sole srebra. Dzięki tym głównie promieniom zachodzą znane ogólnie zmiany na płycie fotograficznej. Te promienie pozafioletowe albo chemiczne, podobnie jak i pozaczzerwone, czyli ciepłikowe, również jak i dostrzegalne dla oka właściwe promienie świetlne, powstają zawsze przez poprzeczne drgania eteru. Obiektywnie cała różnica pomiędzy nimi jest tylko ilościowa, zależna od szybkości drgań. Subiektywnie, w odniesieniu do działania na narządy zmysłowe nasze, różnica ta występuje tylko skutkiem tego, że organ naszego wzroku przystosowany jest do przejmowania promieni jedynie w pewnych granicach. Nie znaczy to wszakże bynajmniej, abyśmy w zmysłach naszych posiadali doskonałe narzędzia, mogące służyć do dokładnego wyodrębniania rozmaitego rodzaju promieni. Bo i promienie światła

ogrzewają. Ta sama fala eteru, która w oku sprawia wrażenie światła czerwonego, działa także i na zmysł ciepła.

Dzięki genialnie pomyślanym doświadczeniom przedwcześnie zmarłego fizyka niemieckiego, Hertza, przed laty kilku nauka poznała inne jeszcze fale, poprzeczne drgania eteru, prócz ciepłikowych, świetlnych i chemicznych. Hertzowi udało się dowieść, że i działania elektryczne rozchodzą się w przestrzeni ruchem falistym w tym samym wszechświatowym środku, w eterze; a fale elektryczne znów tylko ilościowo się różnią od poprzednio poznanych, bo są znacznie dłuższe od ciepłikowych. Drgania eteru są tu znacznie powolniejsze, wynoszą bowiem tylko setki milionów, nie zaś setki trylionów razy na sekundę.

Wszystkie zasadnicze prawa, dotyczące promieniowania: prawa odbicia, załamывania i t. d., obejmują wszelkie dotychczas znane promienie, i elektryczne, i ciepłikowe, i świetlne, i chemiczne, bo prawa te wynikają jako konieczne konsekwencye z obejmującej wszystkie te zjawiska wspólnej zasady, z tego faktu, że wszystkie one istotnie są drganiami falowymi eteru, drganiami poprzecznymi do kierunku promieni.

Lecz oto w odkryciu Röntgena spotykamy się ze zjawiskiem nowem zupełnie, niedającym się pogodzić z dotychczasowymi naszymi wiadomościami o falach eteru. Mamy tu do czynienia z promieniami, które wyłamują się z pod znanych nam praw, mamy przed sobą promienie, których faktyczne istnienie nie może wzbudzać żadnej wątpliwości, których istota wszelako nie została jeszcze należycie poznana.

Ażeby poznać źródło tych promieni, przypomnijmy sobie znane powszechnie zjawiska świetlne, występujące w tak zwanych rurkach Geisslera. Rurki te, to naczynia szklane rozmaitego kształtu, wypełnione rozrzedzonymi gazami i zaopatrzone w druciki platynowe, wtopione u dwu przeciwległych końców w szkło. Gdy dwa te druciki połączymy z biegunami elektrodami cewki indukcyjnej Ruhmkorffa i elektryczność pocnie wyładowywać się we wnętrzu rurek, wówczas, przy dostatecznym stopniu rozrzedzenia gazu w rurce, nie dostrzeżemy iskier, przebiegających od bieguna do bieguna, jak się to dzieje w zwykłym powietrzu, lecz całe wnętrze rurki wypełni się jednostajnym, matowym blaskiem, którego barwa zależy od natury gazu. W rurkach, zawierających rozrzedzone powietrze atmosferyczne, światło jest fioletowe, przy zawartości wodoru jest czerwone, a w dwutlenku węgla zielone. Przeszło ćwierć wieku już znane jest to zjawisko, a prawie równie dawno znany jest inny osobliwszy objaw świetlny, występujący w podobnych rurkach wówczas, kiedy gaz w nich zawarty rozrzedzony jest do możliwie najwyższego stopnia. Przy tych najmniejszych ciśnieniach, panujących we wnętrzu rurek Geisslera (a raczej Hittorfa, albo

Crookesa, jak je później z większą słusnością nazwano),— przy ciśnieniach tak nieznacznych, że słabszych nie umiemy otrzymać za pomocą obecnych pomp służących do rozrzedzania gazów — światło słabe występuje tylko u bieguna odjemnego, u katodu. Promienie tego światła, tak zwane promienie katodalne, rozchodzą się w kierunku prostych linii i nie dążą ku biegunowi dodatniemu, jeżeli ten ostatni nie znajduje się w prostej linii naprzeciw katodu. Promienie te, padając na najbliższe cząstki szkła rurki, wznecają w nich osobliwe świecenie, tak zwaną fluorescencję. Wywierają one pewne działania cieplikowe i mechaniczne, przenikają przez rozmaite ciała, nieprzezroczyste dla promieni zwykłego światła.

Promienie katodalne badane były dokładnie przez fizyków niemieckich (Hittorfa, Goldsteina, Wiedemanna, Hertza), i rozgłośniejszego nabrały znaczenia, kiedy znany uczonej angielski, Crookes, pragnąc objaśnić niezwykle własności światła katodalnego, wygłosił swą teorię o czwartym stanie materji, tak zwanym stanie ultragazowym, czyli materji promienistej. Crookes sądził mianowicie, że owe działania, występujące u katodu w rurkach przy bardzo znacznych rozrzedzeniach gazu, spowodowane są przez samą materję gazową, doprowadzoną do najwyższego, ultragazowego stanu rozrzedzenia. W tym czwartym stanie skupienia materja posiadać ma, według badacza angielskiego, osobliwszą własność drgania cząsteczkowego w kierunku promienistym. Teoria Crookesa wszakże musiała ustąpić, gdy dokładniejsze studia nad promieniami katodalnymi, dokonane zwłaszcza w ostatnich czasach przez Hertza i fizyka węgierskiego Lenarda, zniewoliły do przeświadczenia, że i tutaj mamy do czynienia z drganiem eteru, a więc z prawdziwym światłem, które znów tylko ilościowo różne jest od promieni dawniej znanych. Wymienieni dwaj badacze odkryli jeszcze dużo innych własności promieni katodalnych, wykazali nadto, że samo to światło nie pozostaje w żadnym bliższym związku z kierunkiem sił elektrycznych, wyładowujących się w rurce. Stwierdzono między innymi wielokrotnie fakt przezroczystości dla tych promieni wielu ciał, które dla zwykłych, widzialnych promieni światła nie są przenikliwe, a również interesujące wielce zjawisko, że magnes odchyła kierunek tych promieni katodalnych.

Röntgen, który również doskonale znał własności promieni katodalnych, natknął się w toku swych prac na nowe zjawiska.

Badając w ciemnym pokoju wyładowania elektryczne w rurce Crookesa, która doskonale była owinięta w czarną osłonę, spostrzegł Röntgen, że wpływ tych wyładowań wzneciał fluorescencję na ekranie, pociągniętym z jednej strony związkami chemicznymi, tak zwanym podwójnym cyankiem platyny i barytu. Z katodu rurki Crookesa poprzez

czarną zasłonę i ekran przenikały niewidzialne dla oka promienie, które wywierały owo osobliwe działanie, pobudzając powyższy związek chemiczny do świecenia. Wobec niezwykłego tego zjawiska, począł profesor wüzburgski badać, czy i inne przedmioty przepuszczają ów nowy rodzaj promieni. I oto okazało się, że wszystkie ciała w stopniu mniejszym lub większym są przenikliwe dla promieni Röntgenowskich. Papier, drzewo, cienkie płytki metalów nie stają na przeszkodzie w rozchodzeniu się tych promieni w kierunku prostoliniowym w przestrzeni. Stopień przenikliwości zależy jest wszakże przede wszystkim od gęstości, od spoistości ciał. Gdy więc cienkie płytki metalu promieni owych nie powstrzymują, natomiast grubsze warstwy tamują ich bieg, tak, że na ekranie fluoryzującym, ustawionym za takimi grubymi płytami metalowemi, w miejscach odpowiednich, zamiast świecenia, ujrzymy ciemne cienie. Im wogóle ciało jakie bardziej jest spoiste, więcej zbite w swem utkaniu cząsteczkowem, gęstsze, tem staje się dla promieni Röntgena mniej przenikliwe.

Pobudzanie odpowiednich substancji do fluorescencji nie jest wszelako jedynem działaniem nowoodkrytych promieni. Istnienie ich, ukryte dla naszego organu wzroku, zdradza się niemniej wyraźnie działaniem na klisze fotograficzne. Innemi słowy, promienie te podobne są do ultrafioletowych czyli chemicznych, które mają własność rozkładania soli srebra na kliszy fotografa. Gdy zaś na drodze pomiędzy źródłem, promienie wysyłającym, czyli rurką Crookesa, a kliszą fotograficzną ustawimy przedmiot w części tylko przenikliwy dla promieni, otrzymamy oczywiście na kliszy miejsce ciemne (od rozkładu soli srebra) tam, gdzie promienie doszły bez przeszkody, jaśniejsze natomiast, gdzie w mniejszym lub większym stopniu zostały w drodze zatrzymane. Klisza może być przytem zachowana w kasetce drewnianej, albowiem drzewo przepuszcza promienie w zupełności. Na płycie fotograficznej otrzymujemy w ten sposób właściwie odbicia cieniów tych przedmiotów, które, umieszczone pomiędzy rurką Crookesa a płytą, zatrzymują w części nowoodkryte promienie.

Jest to, jak łatwo pojmiemy, fotografia zupełnie różna od tej, jaką znamy dotychczas. Przedmiot, fotografowany sposobami zwykłemi, odbija od siebie światło, którego promienie, odpowiednio załamane w soczewce, dają na kliszy zmniejszony obraz przedmiotu. Tutaj natomiast, w nowem odkryciu, o którym mowa, przedmiot fotografowany umieszczamy pomiędzy źródłem wysyłającym światło, a płytą fotograficzną, a na tej ostatniej zarysowują się cienie tych miejsc przedmiotu, które promieni nie przepuszczają, lub raczej przepuszczają je w stopniu nieznacznym. Nadto nie może tu być mowy o użyciu soczewek, zbierających światło przez załamywanie się promieni w szkle.

Röntgen bowiem dowiódł w swych doświadczeniach, że odkryte przezeń zagadkowe promienie nie załamują się przy przejściu z jednego ośrodka do drugiego. A więc i obrazy przedmiotów zarysowują się na kliszy w swej naturalnej wielkości, gdyż nie można ich zmniejszać przez użycie szkieł wypukłych, soczewek.

Brak łamliwości tych nowych promieni stawia nas wobec zagadki trudnej na razie do zrozumienia. Wszystkie objawy drgań eteru, dotychczas znane i ujawniające się w przestrzeni w postaci promieni: objawy świetlne, cieplikowe i elektryczne, podlegają dobrze poznanym prawom, które wynagają załamowania się promieni, ich odbijania się od powierzchni nieprzenikliwych, polaryzacyi i t. d. Tymczasem świeżo odkryte promienie Röntgena nie załamują się, ani odbijają, ani polaryzują, jak tego dowiodły liczne doświadczenia, troskliwie dokonane przez uczonego wüzburgskiego. Czyżby więc ta nowa sfera zjawisk zupełnie miała być odrębną od tych, które fizyka współczesna już poznała, a które najwyraźniejsze wykazują pokrewieństwo z tem, co się obecnie przed umysłem badacza roztacza? Czy może przypuszczać wypada, że doskonalsze metody poszukiwań naukowych pozwolą jednakże i promienie Röntgena umieścić w ramach poznanych zjawisk, charakteryzujących się obiektywnie poprzecznymi drganiami eteru? Na razie na pytania te Röntgen odpowiada śmiało i, przyznać trzeba, naukowo nader pojętnem przypuszczeniem. Hypoteza jego brzmi tak: nowe promienie wywołane są przez drgania eteru nie poprzeczne, lecz podłużne. Podobnie jak fale głosowe przenoszą się w powietrzu dzięki temu, że zachodzi naprzemian zagęszczanie się i rozrzedzanie atmosfery, tak i przypuścić można, że eter wszechświatowy również tego rodzaju drgania przewodzi i że one właśnie stanowią owo nieznanne dotąd zjawisko. owe, jak je sam odkrywca nazwał, promienie  $\alpha$ , które, niewidzialne dla oka, sprawiają wszakże działanie na płycie fotograficznej i na substancjach zdolnych do fluorescencyi.

Hypoteza Röntgena należy do najśmielszych, na jakie zdobywała się nauka w ostatnich czasach. Może uczynią ją zbytęcną badania dalsze, a może istotnie zachować ją wypadnie w nauce. Bądź co bądź wszakże, odkrycie to samo w sobie w nieoczekiwany sposób rozszerza zakres naszych wiadomości o świecie zjawisk fizycznych i wyłoni niewątpliwie inne jeszcze zdobycze dla wiedzy ludzkiej.

W odkryciu tem wszakże inna jeszcze strona do najwyższego stopnia pobudza nasz umysł. Ciała nieprzenikliwe lub mało przenikliwe dla promieni Röntgena, umieszczone w najszczelniejszym zamknięciu—którego oko przejrzeć nie zdoła, które wszakże dla tych nowych promieni jest przezroczyste—mogą być doskonale uchwycone w obrazie fotograficznym. Metale, zamknięte w szkatułkach z drzewa, rzucają

czeniu. jeżeli szkatułki zostaną umieszczone na drodze pomiędzy promieniami a płytą fotograficzną. Miękkie części naszego ciała przepuszczają przez się promienie Röntgena, kości natomiast są dla nich w bardzo słabym stopniu przenikliwe. Wyobraźmy więc sobie rękę pomieszczoną pomiędzy rurką Crookesa a płytą fotograficzną, a pojmiemy łatwo, że na ciemnym stosunkowo tle cienia miękkich części ręki (naskórka, tkanki łącznej, mięśni) wystąpi wyraźny jasny cień kości wnętrza ręki. Jak wiadomo, z najdoskonalszym rezultatem otrzymane są już takie fotografie we wszystkich pracowniach fizycznych. Fotografowano również z powodzeniem ciężarki metalowe, zamknięte w szkatułce drewnianej, łańcuszki metalowe i zegarki pomieszczone w kasetkach, monety i klucze w sakiewkach skórzanych. Powiodło się otrzymać fotografie szkietetu żywej żaby i innych drobnych zwierząt, skrzydeł ptaka z wyraźnie występującym rysunkiem wewnętrznych kostnych części i t. p. Gorączkowa praca fizyków przynosi coraz poważniejsze udoskonalenia w samej technicznej stronie zdejmowania obrazów fotograficznych. Czas ekspozycji, t. j. wystawienia przedmiotu na działanie promieni dla otrzymania należytej fotografii, udało się znakomicie skrócić. Wiadomo również o rozmaitych już zastosowaniach nowego odkrycia w zakresie praktycznej medycyny, zwłaszcza chirurgii. Obce ciała, tkwiące we wnętrzu ręki lub nogi, występowały doskonale na jaw na kliszy, gdyż stopień przezroczystości ich dla nowych promieni różnił się od stopnia przezroczystości miękkich części i kości. Trudno w tej chwili dokładnie przewidzieć, jak daleko sięgać mogą czysto praktyczne korzyści tego odkrycia. Zapewne i przemysł, i technika znajdą w niem nowe źródło niejednego ulepszenia w swym zakresie. W tej chwili tylko orzec można, że, nie znając nawet należyście istoty samego zjawiska, z jakim mamy tu do czynienia, znajdujemy się wobec odkrycia naukowego potężnej doniosłości.

F.



---

Listy nieznanne

# JULIUSZA SŁOWACKIEGO

---

Ogłaszając w zeszycie lutowym „Biblioteki Warszawskiej“ za rok 1893 listy francuskie Juliusza Słowackiego, pisane z Frankfurtu do Leonarda Niedźwieckiego, wspomniałem na wstępie o listach tegoż poety, pisanych do przyjaciół i różnych osób, których-by poszukać i ogłosić należało.—Jakoż w ostatnich czasach więcej niż kiedykolwiek zajmować się poczęto życiem i twórczością autora „Balladyny,“ a przy ożywionem na polu tem ruchu, wydobyto też z ukrycia wiązkę listów dotąd nieznanych.

W czasopismach galicyjskich ogłoszono w roku zeszłym listy z epoki Towianizmu i ostatnich lat życia, pisane do Leonarda Chodźki, Seweryna Goszczyńskiego i Józefa Reitzenheima, za największą zaś w okresie tym zdobycz poczytać należy, pomieszczone w zeszycie listopadowym „Biblioteki Warszawskiej“ za r. 1895, listy do pani Joanny Bobrowej.

W tej skarbnicy przezyczonej poezji znajdujemy wyjaśnienie jednego z ważnych epizodów w życiu wielkiego poety, a nadto listy te rzucają całe potoki światła na postać Słowackiego i pozwalają jego duszy poetyckiej przyjrzeć się z nowej, ciekawej i równie pięknej strony.

W tej spuściznie literackiej znalazły się też, będące obecnie w posiadaniu mojem, listy francuskie do Karola Petinaud Dubos, Fran-

cuza, przyjaciela serdecznego poety i wykonawcy ostatniej jego woli, a nadto brulion listów do Ernesta Rutkowskiego i Seweryna Goszczyńskiego. Te ostatnie, pisane na półarkuszu listowego papieru urywkami w różnych miejscach, z trudnością zaledwie odczytać się dały w tym porządku logicznym, jak je niżej podaję. Stanowią one przyczynek do udziału Słowackiego w Towianizmie i są niejako uzupełnieniem do dziejów stosunku Juliusza z Goszczyńskim, które w pięknym studyum opisał p. Zygmunt Wasilewski w zeszycie marcowym „Biblioteki Warszawskiej“ za r. 1895.

Listy te mają związek z wyjazdem Mickiewicza do Rzymu, źle przez Towiańskiego widzianym. Wówczas-to Goszczyński, bawiąc chwilowo w Strasburgu, postanowił łącznie z Michałem Szweycerem założyć protest przeciw temu czynowi wieszcza i obaj w sam dzień wyjazdu Mickiewicza z Paryża, d. 19 stycznia 1848 r., posłali mu list na ręce brata Ernesta Rutkowskiego. A potem, ciągle na własną rękę działając, kopię tego protestu posłali innym braciom do podpisu.<sup>1)</sup>

„...We dwóch najprzód—donosi Słowackiemu Goszczyński — napisaliśmy to pismo, później wielu innych braci połączyło się z nami i położyło swoje podpisy. Czuliśmy za powinność, aby ten akt był wiadomy wszystkim braciom, stosownie do tego napisaliśmy osobno kilka słów do braci i do siostry Celiny (Mickiewiczowej). Pisma te są w rękę brata Rutkowskiego, który był proszony, aby się zajął ich przesłaniem, gdzie są przeznaczone. Żle jakieś natchnienie przeszkadza mu dotychczas spełnić tę naszą prośbę; może być, że się całkiem uchyli od tej posługi, w takim razie zechcesz, Kochany Juliuszu, przyjść w pomoc i nam, i innym braciom, a to w sposób następujący: Brat Rutkowski złoży Tobie dwa pisma: jedno do Mickiewiczowej, a drugie do braci, a ty je prześlesz w jedno i drugie miejsce. Pismo do braci zaadresować można do Wrotnowskiego lub Łąckiego. Do tego pisma trzeba koniecznie przyłączyć kopię naszego pisma do Mickiewicza“<sup>2)</sup>.

Słowacki niezupełnie, wbrew przypuszczeniu p. Wasilewskiego, uczynił zadosyć życzeniu temu, a jak to posłannictwo zrozumiał i jak się z niego wywiązał, znajdujemy właśnie odpowiedź w listach do Rutkowskiego i Goszczyńskiego.

Oto pierwszy z nich:

„Brat Seweryn Goszczyński w imię miłości Braterskiej wezwał mnie, abym Ci ten list załączony odesłał. Temu jedynie Duchowi posłu-

<sup>1)</sup> Piotr Chmielowski: „Adam Mickiewicz“ t. II str. 414 i następn. — Władysław Mickiewicz. „Żywoł Adama Mickiewicza“ t. III str. 488 i nast.

<sup>2)</sup> „Biblioteka Warszawska“ tom I r. 1895. Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim. str. 407 i 408.

szny, spełniam jego żądanie, oświadczając, iż mam polecenie, ażebym pisma, o których jest rzecz, jeśli będą u mnie złożone, podług adresu porozsyłał. Racz więc w tym razie sam osądzić, jak Ci w tem duch sprawy postąpić rozkazuje — i wierz, żem Ci jest zawsze życzliwym sługą i w Duchu Chrystusowym Bratem“.

Obszerniejszym znacznie i innym w treści jest list do Goszczyńskiego.

„Jużem był napisał list do brata Rutkowskiego, przesyłając mu pismo twoje, gdy po głębszej rozwadze Duch Chrystusa zabronił mi udziału wszelkiego w sprawie, do której w Duchu miłości i prawdy nie zostawszy użyty, teraz powołany do niej nie w Imię Boże. musiałbym jej jako narzędzie cielesne służyć, przez Ducha rozszczepienia powiększyć rozdział, którego winien nie jestem. Przez zatrzymanie pism Waszych uważam rzecz za spełnioną, — z wyjazdem zaś brata Adama, oddanie tych pism, już nie mogących go zatrzymać, stałoby się nie w Duchu prawdy, ale w duchu legalności, któremu ja służyć nie mogę, albowiem jest marą i oszukaństwem człowieka, którego zwodzi z drogi, zaspakajając i uwalniając go od prawdziwego czynu.

„Do Mistrza należy powiedzieć otwarcie, jeżeli krok Adama jest lub nie zgodny z natchnieniem Ducha Świętego, pod którym on koło swoje postawił — i w najwyższym duchu utrzymać obiecał. Wy bracia na braci cząstkowo sądu (zwoływać nie możecie <sup>1)</sup>), a jeżeli mnie za brata prawdziwego nie uważacie, to mnie jako instrumentu używać wam nie wolno, <sup>2)</sup> zwłaszcza, używając mnie za narzędzie w oddaniu aktu, na którym podpisu Mistrza nie widzę, tak, że mnie od odpowiedzialności żaden urząd nie zasłania. Do takiego czynu mógłby mnie wezwać którykolwiek z braci w upadku będący, a wtenczas samibyście mnie potępili <sup>3)</sup>. Azali brat Adam jest przez Mistrza za swój czyn potępion?

„Cierpię ja mocno za wszystkie rzeczy, które się przeciwko Sprawie dzieją, a jeszcze straszniejsze jej męczeństwo przewiduję. Wszakże nie wewnątrzną i ciągle żywioną kłótnią w kole, która żar fałszywy rozżarza i ducha w zamknięciu trawi, — ale publiczną i otwartą Ducha Sprawę twórczością, Czynem, zasiewaniem Ducha prawdy, zaradzić

<sup>1)</sup> Wyrazy w nawias ujęte wstawiłem dla powiązania zdań ze sobą. Te zapewne słowa, których nie napisał z powodu braku miejsca na ostatniej linii strony, miał na myśli Słowacki.

<sup>2)</sup> Przekreślono słowa: „ale w ducha mnie pytać z miłością“ a zapomniano w dalszym ciągu przekreślić: „i tej miłości dać mi dowody macie“.

<sup>3)</sup> Nie przekreślono słów bez znaczenia: „Wiem, że ją ...“

złemu usiłuję, spodziewając się, że tem najlepiej przeświadczę braci o mojej miłości, jeżeli ze mnie tylko pożytek a nigdy zgorszenia mieć nie będą.

„Teraz czyn, którego po mnie Kochany Bracie Sewerynie żądasz, choćby w duchu usprawiedliwiony, wyszedłby na publiczne zgorszenie—tak, jak uchylenie się moje dawniejsze z koła przez was samych zamienione było w akt złości i zazdrości—i utracił-by tę niewinność wewnętrzną i zewnętrzną,<sup>1)</sup> za którą ty sam brata Adama napominasz, mówiąc: „że go w duchu o złe zamiary nie posądzasz, ale o to tylko <sup>2)</sup> winujesz, że stan, w jakim się on znajduje, obróci czyn jego przeciwko sprawie“.

„Dlaczegożes względem mnie nie miał tej braterskiej miłości, a nie rozsądził równie, czyli położenie moje względem paryskiego koła pozwala mi być skarg roznocicielem... i podżegaczem sporów, choćbym w duchu swoim żadnej nie miał winy?

„Oddaję to, bracie Sewerynie, pod twoją braterską rozważę, prosząc, abys w miłości twojej dla mnie usprawiedliwił mnie,<sup>3)</sup> a jeśli mnie winnym w sprawie sądzisz, modlił się za mnie i dla mnie o światło. Teraz światło właśnie przeciwko ziemi, radzi mi polecenia twego nie spełnić, a nie obalając wiary w koło, która jest w Adamie,— a rozsądzenie ostateczne czynu, — duchowi, który wszystko wyświeca na końcu pozostawić. W oświecenie to mocno wierzę, i w oczekiwaniu tej godziny strawię w boleści ducha mego boleścią dobrowolną nad światem, ile razy upadnie<sup>4)</sup>.

„Wzywam Was nareszcie z najwyższą żalnością, nie przez spory ludzkie, ale przez naukę i czyn postawcie otwarcie i wysoko ten sztandar, którego już nie widać, do którego już ja nawet w pracy mojej z ludźmi powoływać nie ważę się, bo części jego widzę rozdarte i po wszystkich wiatrach latające. Mowy brata Adama od roku w kole miewane...“

Na tem list urywa się, tylko na początku tej kartki znajdują się dwa ustępy, z których jeden zamieszczony wprowadzie w tekście listu, lecz podajemy je dla całości:

„Ponieważ Brat Adam wyjechał, oddanie pism już nie mogących go zatrzymać stałoby się nie w Duchu prawdy, ale w duchu legalności,

<sup>1)</sup> W autografie jeden wyraz przekreślono.

<sup>2)</sup> Przekreślono: „winy i w in jego“.

<sup>3)</sup> Między wierszami przekreślono: „i litość nade mną połączył—znalazł moje usprawiedliwienie“

<sup>4)</sup> Między wierszami napisano: „trwam w pracy, podnosząc ducha“.

któremu ja służyć nie mogę, albowiem jest marą prawdy nie zaś rzeczywistością Duchową.

„Jedno tylko teraz pozostało--protestować publicznie, że poddanie Ducha Sprawy Duchowi teraźniejszemu Kościoła <sup>1)</sup> nie jest ogólnem poczuciem prawdziwego koła, <sup>2)</sup> które trwa w natchnieniu <sup>3)</sup>“.

Datę listów powyższych można oznaczyć na koniec stycznia 1848 roku, a na kilka miesięcy później przypadają listy francuskie do Karola Petiniaud, które w urywkach tylko i wyłącznie w przekładzie polskim ogłosił był p. Henryk Biegeleisen w Nr. 43 „Prawdy“ za rok 1893.

Arkusze listowego papieru in 4-o zawiera właściwie tylko bruliony dwóch listów, z których pierwszy, sporządzony starannie i urwany nagle, pewno nigdy wysłany nie był. Po odstępie zaś znajduje się brulion listu drugiego, pisanego pośpiesznie i z licznymi poprawkami, którego treść dotyczy pieniężnych spraw poety. Pisane one były prawdopodobnie z Wrocławia, po wyjeździe Słowackiego w Poznańskie, i należą do epoki w życiu jego pamiętnej, epoki niezwykłych i wstrząsających wrażeń 1848 roku.

### Cher ami,

„Depuis, que je suis parti de Paris il m'était impossible de vous écrire; je suis resté presque un mois dans une position, qui ne me laissait que la moitié de mon libre arbitre. Grâce à Dieu, mon esprit ne s'est pas soumis à la position, et il a obtenu de Dieu que ses vœux ne sont pas restés stériles. Me voici maintenant dans une ville Allemande, mais noble et républicaine, où je suis plus tranquille, sans cependant être sûr de n'en être pas chassé par la police. Tandis que toute l'émigration se laissait transporter comme un ballot de marchandises à Berlin et de là à Cracovie, d'où elle a été de nouveau emballée et envoyée en Prusse, je préférerais suivre un chemin solitaire et je suis resté tout ce temps passé dans les endroits, qui sont maintenant le théâtre de la guerre la plus sublime, et qui rappellent les Thermopyles. Une population de 700,000 âmes combat contre tout un royaume, malgré la noblesse, qui veut la paix à tout prix et qui neutralise

<sup>1)</sup> Przekreślono: „będzie zdradą idei Bożej“.

<sup>2)</sup> Przekreślono: „Odrodzonych przez Chrystusa“.

<sup>3)</sup> Przekreślono również: „Ducha Świętego, ale tylko poczuciem prywatnem brata Adama“.

autant, qu'elle peut, les forces volcaniques du Peuple. Oh! mon ami, quel peuple! Je n'ai jamais rêvé un pareil. Il renferme en lui le germe de la nouvelle époque. Son éducation est un don Divin,—son élévation présente un miracle. Il y a deux ans le même peuple était réputé en Pologne pour un être le plus pourri et le plus matérialiste. Aujourd'hui, je vous dis, qu'il surpasse les compagnons de Léonidas—et qu'il fait honte aux blanc-becs de gentilshommes, qui veulent le commander. Nos frères, seuls, mon ami, ont trouvé la clé, qui ouvre ces âmes d'une sainteté primitive, c'est avec eux seulement qu'ont fraternisé ces hommes rudes, qui par leur extérieur grave et par leur courage héroïque, rappellent les anciens soldats de la garde de Napoléon. Aussi les franc-tireurs sont devenus déjà la terreur de l'armée ennemie...“

Brulion listu drugiego jest następujący:

**C h e r a m i,**

„Me voici d'un mois en Pologne, et dans une position,<sup>1)</sup> qui m'empêchait de vous donner de mes nouvelles. Il y a 4 jours<sup>2)</sup> seulement j'ai quitté Posen<sup>3)</sup> et je me suis permis de respirer<sup>4)</sup> un peu plus librement. Je ne suis pas cependant trop sûr<sup>5)</sup> si demain on ne m'obligera de nouveau à recommencer mes pérégrinations. A toutes les grandes inquiétudes, qui remplissent maintenant mon coeur, il en vient de joindre une particulière dont vous seul pourrez peut être me tirer<sup>6)</sup>).

„En partant de Paris, j'ai laissé à titre de dépôt à Mr. Loman, demeurant aux Batignolles, rue des Carrières, Nr. 7, toute ma petite fortune, se composant:

1. D'un Billet Caisse Laf(itte).
2. D'un autre billet...
3. De trente actions au porteur de Ch(emin) de fer<sup>7)</sup>.

<sup>1)</sup> W autografie przekreślono: sans que je puisse.

<sup>2)</sup> Przekreślono: qui m'obligeait de ne pas donner de mes nouvelles à mes amis.

<sup>3)</sup> Przekreślono: une ville.

<sup>4)</sup> Przekreślono: ce n'est que depuis hier.

<sup>5)</sup> Przekreślono: sans être sur.

<sup>6)</sup> Przekreślono: nouveau ne manquera à ma position. Tout est triste et tout s'élabore péniblement. La province de Posen avec son peuple... ressemble aux Thermopyles.

<sup>7)</sup> Celem objaśnienia stanu majątkowego, o którym tu poeta niewyraźnie wspomina, p. Biegeleisen podał z autografu, zachowanego w zakładzie Ossolińskich, kilka cyfr następujących:

„Mr. Loman m'en a donné un reçu, que vous êtes allé vous même, (si vous vous en souvenez) enregistrer<sup>1)</sup> au bureau du timbre. Maintenant à ce que j'apprends Loman est mort et je crains, que ma petite fortune ne se trouve embarrassée dans la succession, avant que j'ai le temps de la réclamer<sup>2)</sup> Je vous prie donc, cher ami, courez tandis qu'il est temps encore<sup>3)</sup> au domicile du défunt. Informez-vous, s'il a laissé un testament, et quels sont les exécuteurs testamentaires. Si vous ne trouvez<sup>4)</sup> la maison du défunt et s'il ne se trouve personne, qui veuille vous donner leur adresse,<sup>5)</sup> allez, cher ami, chez Mr. Eustache Januskiewicz, rue de Moscou, Nr. 1, et dites lui de ma part de quoi il s'agit<sup>6)</sup>. Comme ami du Mr. Loman<sup>7)</sup> il pourra peut-être vous donner à lui tout seul tous les renseignements qui me sont nécessaires<sup>8)</sup>. Les billets de la caisse Goin<sup>9)</sup> ne peuvent pas être perdus, vu qu'ils sont à mon nom et qu'étant embarrassés dans la liquidation de la maison en question, ils ne peuvent pas être aliénés si facilement; mais les actions du Chem-de-fer de Lyon étant au porteur, pourraient déjà être vendues, s'ils ne sont

## Na rok 1848 w kasie:

U. G. Lafitte w biletach . . . . .	7000 fr.
30 akc dr. Lyon podł. kur. . . . .	4500 fr.
Bilet bankowy . . . . .	1000 fr.
Bilet na Kotszylda . . . . .	829 fr.
Gotówką . . . . .	550 fr.
Razem	13872 fr.
Od matki . . . . .	fr. 3600
Straty na akcyach . . . . .	fr. 3500
Różnica 1847/8 2688 . . . . .	fr. 2688
Wydatek . . . . .	fr. 2788

<sup>1)</sup> Przekreślono: Le depositeur de ces effets à ce que j'apprends est peut-être subitement, et me voilà peut-être.

<sup>2)</sup> Przekreślono: Cher ami, représentoz vous mon... et ma petite fortune se trouve peut-être.

<sup>3)</sup> Przekreślono: allez le plus vite que vous pourrez.

<sup>4)</sup> Przekreślono: personne dans la maison qui veuille vous donner.

<sup>5)</sup> Przekreślono: personne dans la maison, qui veuille vous donner.

<sup>6)</sup> Przekreślono: en le priant de vous informer, comme ami de Loman il saura et peut être, qu'il pourra vous renseigner lui même, comme ayant...

<sup>7)</sup> Przekreślono: de tout ce qu'il nous importe de sav...

<sup>8)</sup> Przekreślono: sur la succession et sur dépôt qui a du s'y trouver.

<sup>9)</sup> Bank ten nazywano: *Caisse Gouin* (a nie jak Słowacki mylnie pisze: *Goin*)—*Caisse générale du Commerce et de l'industrie*, 19, rue Laffitte. Aleksander Gouin, deputowany od 1831 do 1848 r., był ministrem handlu i rolnictwa w gabinecie Thiersa z d. 1 marca 1840 r. Po śmierci Laffitte'a został dyrektorem rzeczonego banku, który z powodu rewolucyi 1848 r. zmuszony był zarządzić likwidacyę interesów swoich. Okazała się ona dla wierzycieli banku fatalną i Słowacki stracił prawdopodobnie dwie trzecie z kapitałów swoich (7,000 fr.), kasie tej powierzonych.

notés sur les papiers du défunt. Veuillez donc, cher ami, prendre à coeur l'affaire <sup>1)</sup> qui intéresse en quelque sorte mon avenir et tâchez de me faire savoir au plus vite le résultat des informations qu'on vous aura données. Je vous avoue, cher ami, que cette mort subite d'un homme, sur lequel je me suis appuyé avec confiance, cette mort, que j'ai appris par le hasard le plus extraordinaire, a été pour moi, ce que doit être pour le général la nouvelle de la perte de ses bagages, tandis qu'il se voit engagé dans une entreprise difficile et désespérée <sup>2)</sup>. Je ne sais vraiment comment considérer cet événement, qui me vient de la part de Dieu, tandis, que je le sers avec tout le zèle, dont mon âme est capable.

„Pardonnez, cher ami, que cette lettre, la première, que je vous écris, se trouve toute remplie d'affaires <sup>3)</sup> et si peu en harmonie avec les sentiments, qui doivent maintenant nous agiter tous les deux. Mais depuis un mois je suis dans une agitation continue et il me faut quelque résultat à mes travaux, pour que je puisse...”

W kilka miesięcy później, na oddzielnym arkuszu, wysłany pocztą, pisany był list z Ostendy.

*Ostende, 14 Juillet, 1848.*

**C h e r a m i,**

„Me voici à Ostende; douze heures de chemin me séparent seulement de vous, elles seront bientôt écoulées, et la distance franchie, j'espère lundi vous serrer entre mes bras et vous remercier de la bonne amitié, que vous m'avez montrée.

„Tout va bien. Je ne pourrais pas cependant après les longues fatigues de mes voyages aller directement à Paris, qui doit ressembler à une fournaise—et dont le mouvement m'aurait été pénible. Il m'a fallu un bain dans l'Océan, ou plutôt un baptême élémentaire, qui me redonnât des forces.

„Je vous prie, cher ami, si vous avez quelque temps à perdre, allez voir notre ami, Feliński, <sup>4)</sup> (informez vous rue des Francs Bourgeois

<sup>1)</sup> Przekreślono: vous informer de toute...

<sup>2)</sup> Przekreślono: au milieu des douleurs et des craintes plus graves.

<sup>3)</sup> Przekreślono: Je dirai plus—cette mort si inattendue pour moi. Je cherche la main de Dieu et je me demande pour quoi il vent? Que vent Dieu? Et pourquoi? Comme signe divin cette mort m'effraye.

<sup>4)</sup> Przekreślono: „une”.

<sup>5)</sup> Zygmunt Szczyński Feliński, późniejszy arcybiskup warszawski, zmarł w Krakowie, d. 17 września 1895 r.



S. Michel, Nr. 8, auprès de Mr. Charles Rogawski de sa demeure, et je sais, qu'ils logent dans le voisinage l'un de l'autre) et quand vous l'aurez trouvé, Feliński, demandez-lui, s'il n'a pas besoin d'une centaine de francs, et offrez les lui de ma part, comme un acompte — vu qu'on m'a chargé de quelque argent pour lui — et je ne voudrais pas, que le petit retard, occasionné par mon séjour à Ostende, le fasse souffrir. Ce bon Feliński, qui en partant avait distribué tout son argent entre ses amis, et qui se trouve peut être dans le besoin. — Oui, faites le, mon ami... Deux jours d'attente c'est beaucoup pour celui, qui est comme lui distributeur de son bien, et qui a cependant besoin de dîner tous les jours.

„Vous voyez, cher ami, avec quelle confiance dans votre bonté, je dispose de votre temps et je vous fais trotter par les rues de Paris. J'en suis presque honteux. Pardonnez-moi — et aimez-moi — car en retournant à Paris, c'est sur vous principalement que j'ai compté, pour m'en rendre le séjour moins vide et presque rempli et comme plein de fraternité. Au revoir donc dans deux ou trois jours.

Tout à vous

*Jules Słowacki.*

„Je joins un petit billet pour Feliński“.

Na ostatniej stronicy tegoż arkusza adres:

à Monsier

Monsieur C. Pettiniaud Dubos

à Paris

rue de Londres 29.

Stempel pocztowy: Belgique, 15 Juillet, 48. Lille.—Paris 16 Juillet.

Oprócz tych pamiątek rękopiśmiennych, w zbiorze autografów p. Mathiasa Bersohna w Warszawie znajduje się od niedawna jeszcze jeden nieznan list Słowackiego. List ten, bez daty i adresu, pisał poeta któregoś „piątku“, na bardzo krótko przed zgonem swoim, gdy natura poczyniała budzić się do życia, gdy po raz ostatni, niestety! „widział jeszcze pąki otwierające się na drzewach“.

Oto treść dosłowna jednego z tych klejnotów stylu i uczucia, których znajdujemy tyle w listach Słowackiego:

„ Piątek.

P a n i,

„Bardzo i bardzo źle z mojem zdrowiem. Jeżeli wyszedłem kilka razy, to w istocie tak jak upiór, zdolny tylko szklane rzucać wejrzenia na to słońce, które wkrótce przestanie świecić memu snowi.

„Przechodząc koło progów pani, jakaś niemoc i zarazem smutek nieprzewyciężony odwrócił w inną stronę kroki moje. Wejść nie mogłem, — na serce się moje klnę, że nie mogłem. A jednak niech mi Pani wierzy, że z prawdziwym rozrzewnieniem myślę o tej dobroci, która i teraz tak troskliwie dopomina się o tę część smutku, którą wiem, iżby wzięła na siebie, gdyby mi tem ulżyć mogła.

„Ale wszystko próżno, Pani droga! przynajmniej w tych dniach takie jest przeświadczenie moje. Gorączki mię trawią, bicie serca powiększa się ciągle, a wewnętrzne uczucie osłabienia już mi bardzo mało nadziei zostawia. Proszę więc Pani o modlitwę i myśl dobrą, któraby wspólnie łącząc się z moją myślą, pomogła mi w tem weselu ostatecznem ducha, który półseuny widzi pąki otwierające się na drzewach i coraz głębiej zasypia — aż do nowej wiosny i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoło i rozjaśni się nową radością.

„Żegnam Panią i obiecuję przyjść, jeżeli Bóg jeszcze pozwoli.

Wierny sługa

*Juliusz Słowacki*“.

List ten, wedle przywiązanej do niego tradycyi, miał być pisanym do pani Dunin-Wąsowiczowej, chociaż prawdziwszem było-by przypuszczenie, że do pani Sobańskiej, o której kilkakrotne wzmianki znajdują się w listach z tej doby.—Ów „piątek“, na czele listu położony, przypadać może na 16 lub 23 marca 1849 r., a d. 3 kwietnia Słowacki już nie żył; niewielki więc ten dokument obchodzić nas winien z wielu względów. W sposób przejmujący i rzewny maluje w nim poeta swój stan ówczesny, a gdy zważymy, że ostatni list do rodziny nosi datę 4-go marca 1849 roku, to wypadnie, że ten list z piątku jest może *ostatniem* pismem, jakie wyszło z pod tego genialnego pióra...

LEOPOLD MEYER.

---

# ZWROT DO METAFIZYKI.

---

Dr. Wojciech Dzierżuszycki. „O wiedzy ludzkiej“. — We Lwowie, 1895 roku.

## I.

Autor niedawnych „Roztrząsań filozoficznych” ma właściwy swój pogląd na filozofię. Jeżeli inni widzieć w niej chcą dzisiaj wyrabiającą się dopiero syntezę nauk, prowadzonych na krytycznym pasku doświadczenia, dla p. Dzierżuszyckiego „filozofia jest nauką o zjawiskach naszej najwewnętrzniejszej istoty, tego, co ludzie zawsze nazywali naszym duchem, czyli naszą duszą; jest, w przeciwstawieniu do nauk przyrodniczych, nauką o istotach i zjawiskach duchowych”. Z taką definicyą trudno dojść do ładu: co to jest istota nasza *najwewnętrzniejsza* (więc co do wnętrza stopniowana)? co to są, oprócz zjawisk, *istoty* duchowe? Trudniej zdać sobie z tego sprawę, tembardziej, że określenia, bezpośrednio po tem następujące, zamiast rozjaśnić, jeszcze więcej definicyę tę zaciemniają. Zaraz bowiem autor rozdziela nauki na więcej i mniej ściśle filozoficzne. Do ściśle filozoficznych zalicza: naukę poznania, tyczącą się zjawisk rozumu (czyby nie właściwiej było powiedzieć: umysłu?), którą później nazywa *noetyką*; na *estetykę*, tyczącą się zjawisk uczucia<sup>1)</sup>; i *etykę*, tyczącą się zjawisk woli. Gdyby się zatrzy-

---

<sup>1)</sup> Źródłostłowo może tu być użytym wyraz *estetyka*; ale ponieważ w ustalonem użyciu powszechnem ma on inne znaczenie, które zyskało już w nauce prawo obywatelstwa, przeto dowolne zastosowanie go do innego porządku faktów obalamuca czytelnika. Herbert Spencer na oznaczenie zjawisk czucia używa swojego pomysłu terminu greckiego *estofizyologia*.

mał na tej klasyfikacji, jakkolwiek, względnie do filozofii ułomnej, można by na niej poprzestać. Ale autor bierze sobie za zadanie znowu ją zaciemnić, wprowadzając klasyfikację nową, i do nauk mniej ściśle filozoficznych zalicza naprzód *psychologię*, jako naukę prowadzoną metodą przyrodniczą, za pomocą zmysłowej, zewnętrznej obserwacji. Jeżeli zważymy, że to, co poprzednio podciągnął pod filozofię ścisłą, nie jest niczem innym, tylko psychologią (nauka o poznaniu, uczuciach i woli), będą tedy w rozumieniu autora dwie psychologię, z których pierwsza wyczerpuje, według niego, całą filozofię ścisłą; druga, należy do umiejętności doświadczalnych. Do tej samej kategorii zalicza też autor *filozofię historii*, mieszając ją z dzisiejszą socjologią, oraz *historię filozofii*. Metafizyce przeznaczona osobne stanowisko, wobec poprzedniego rozkładu dość niewyraźne, żądając od niej, aby była zupełnym systematem filozoficznym, w pogodzeniu z wynikami nauk przyrodniczych, stawiając ją tem samem ponad „filozofią“, w znaczeniu ścisłem.

Możebyśmy łatwiej zrozumieli, czego autor chce od swych określeń, gdyby był, idąc trybem fachowych filozofów, zgóry zapowiedział, co rozumie pod terminem nauk ściśle i mniej ściśle filozoficznych. Jeśli nam domyślać się wolno, odnosi on to określenie do metody, która w tym drugim wypadku używa „zewnętrznej, zmysłowej obserwacji“. Gdyby tak było, to dla nauk ściśle filozoficznych pozostanie obserwacja wewnętrzna, umysłowa, jako przeciwstawienie tamtej. Tylko w tym razie, w imię nauki musielibyśmy zaprotestować. Im większa kontrola, tem większa ścisłość, i taką też cieszy się metoda doświadczalna, która wyniki obserwacji zmysłowej poddaje pod ścisłą kontrolę umysłu, i nawzajem, konkluzye umysłowe sprawdza za pomocą faktów i przyrządów zmysłowych. Obserwacja umysłowa, wewnętrzna, technicznie zwana wnętrzpoglądem (intuspectio), kontroluje tylko sama siebie. Wyobraźmy sobie wobec sądu kogoś, oskarżonego o przestępstwo, przeciw któremu są poszlaki, ale nie sprawdzone. Prokurator podtrzymuje oskarżenie, adwokat broni. Za kim pójdzie sąd? Za tym, który w danym razie ukaże się lepszym dyalektykiem. I zdarzyć się może, jako się i zdarza, iż niewinny zostanie potępionym, dopóki nie nadejdzie dowód innej sfery, dowód zewnętrzny, materialny, który potać rzeczy zmieni. Tak samo rzecz się ma z faktami, poddawaniem obserwacji wewnętrznej, która stawia sobie postulat, rozumuje i sama sobie czyni zarzuty; twierdzi coś na podstawie dyalektyki własnej, głosi swój tryumf światu, aż przyjdzie eksperyment, który wszystko to zachwieje lub zwali. Cóż naprzykład pozostało z realiów Platona, z monad Leibniza, z substancji Spinozy, prócz wspaniałych i cudownych dyalektyk przeprowadzonych pomysłów, rzuconych dla wytłumaczenia budowy wszechświata? Któraż więc z tych metod, w zastosowaniu

do filozofii, ściślejszą będzie: ta, która daje się kontrolować pierwiastkiem obcym, czy ta, co poprzestaje na kontroli własnej?

Od pierwszych stronic książki widać, że autor zabezpiecza autonomię filozofii swojej w ognisku wewnętrznym, lubo rad powoływać się na nauki doświadczalne, w sposób jednak z metodą doświadczalną nie mający żadnego organicznego związku; właściwa metoda jego jest, albo czysto opisowa, albo dyalektyczna. W tytule książki zapowiada traktat „O wiedzy ludzkiej;” w przedmowie znowu głosi, iż przystępuje „w niniejszej książce do bliższego rozpatrzenia natury naszego rozumu”. Po rozejrzeniu się w książce, widzimy w niej trzy osobne traktaty: jeden psychologiczny pod nazwą Noetyki, opiewający o zjawiskach umysłowych; drugi, który pod nazwą Logiki potrąca o metody kierujące myśleniem ludzkim; trzeci nosi nazwę Ontologii, czyli rozumowań o bycie. Porównyując te traktaty z zapowiedziami, dostrzegamy, że pierwsze dwa istotnie odnoszą się do narzędzi i sposobów nabywania wiedzy; ostatni wyobraża pewien użycia tych środków i narzędzi rezultat specjalny, czyli przechodzi granice zapowiedziane wyrażeniem „rozpatrywania natury naszego rozumu”.

Ponieważ autor z założenia swego miał wkroczyć w dziedzinę logiki, musiał zatem poprzedzić ją wiadomościami z psychologii, przynajmniej w zakresie władz umysłowych, stanowiących przyrządy do osiągnięcia wiedzy, i Noetykę swą rozpoczyna od wytłumaczenia sposobu „nabywania wyobrażeń”. Pomimo dobrego rozumienia przedmiotu, jakiego po takim umyśle, jak autor „Roztrząsań”, spodziewać się należy, trudno o ciemniejszy wykład rzeczy, bardzo ważnej, bo stanowiącej podstawę psychologii. Całemu traktatowi daje tytuł Noetyka (od greckiego *noos*, umysł), i nie zaczyna od orzeczenia, co to jest umysł, jak go rozumie: czy jako substancję osobną, w ślad za spirytualistami, czy jako jedność pewnych władz, w pojmowaniu realistów; rozdziela wyobrażenia i wrażenia na zmysłowe i duchowe, nie określiwszy natury tych mianowicie drugich; o świadomości, jako jedynej substancji umysłu, na której odbywa się gra naszego poznawania zewnętrznego i wewnętrznego, nie wspomina ani słowa; o tem, co odrazu postawione być winno, jako przeciwieństwo dla łatwiejszego oryentowania się, czyli o różnicy przedmiotu od podmiotu, odzywa się ledwie w końcu rozdziału, i to zgoła inne, niż nauka doświadczalna, nadając tym przeciwstawieniom znaczenie: ciała i ducha; tak, że trzeba samemu wprzód doskonale znać przedmiot, ażeby zgodzić się z konkluzją autora, że „wyobrażenia naszego ducha i zjawiska umysłowe, choćby najbardziej przedmiotowe, są tylko wyobrażeniami ducha;” oraz, ażeby poprawić autora, iż zmiana fizyczna, towarzysząca każdemu zjawisku umysłowemu, jest twierdzeniem nie tylko „prawie pewnem”, lecz zupełnie pewnem.

Poprzestając na zwróceniu uwagi, i nie mogąc stawiać własnego programu, ażeby wytykać od niego zboczenia, zaświadczyć musimy, choćby tylko co do jednego szczegółu, że czy to przez pomieszanie pojęć, czy przez pomieszanie wyrazów: duch, dusza, umysł, rozum, — trudno dojść, co autor rozumie przez „wyobrażenia duchowe” (ze wszystkimi wariantami) w rozróżnieniu od wrażeń, czy wyobrażeń zmysłowych, lub jak się podoba—zewnętrznych. Zwracamy na to uwagę dlatego mianowicie, że niejasność ta brózdzić ma przez całą książkę, tembardziej, iż autor wyrazu: świadomość, w znaczeniu przejmowania i przechowywania faktów, nigdy nie używa, a do czego my, w pojmowaniu zjawisk psychicznych, przywykli jesteśmy.

Co się tyczy poznawania, o które wyłącznie w tym rozdziale chodzi, znamy dwa tylko jego rodzaje: przedmiotowe i podmiotowe. Przedmiotowem nazywamy to, które następuje skutkiem obserwacji zjawisk zewnętrznych, jakich pełno na świecie; podmiotowem to, które postrzegamy w sobie samych, jako to: uczucia nasze, przyjemność lub przykreść, kolejność, wartość i różnicę wyobrażeń nabytych z zewnątrz; a owoce takiego podwójnego poznawania, to i wszystkie wiedzy naszej żywioły, z tą różnicą, iż niektórzy mają więcej wiadomości przedmiotowych, inni podmiotowych. Filarami wreszcie nabywania wyobrażeń, właściwie poznawania, są różnice i podobieństwa, które umysł nasz ma zdolność postrzegać, i bez czego żadnego-by postępu w wiedzy nie uczynił, i dlatego brak, lub choćby osłabienie jednego zmysłu, tamuje normalny rozwój wiedzy, tak samo w uczuciach, jak w pojęciach. Gdyby nas ciągle trzymano w temperaturze 15° R., nie mielibyśmy wyobrażenia śniegu ani upału, ani mrozu; zmiana jedynie temperatury w uczuciu ciała, którą umysł ocenić jest zdolny, służy za szczebel dalszego poznania. Gdybyśmy ciągle chodzili po płaszczyźnie, moglibyśmy sądzić, że cała powierzchnia ziemi okryta jest płaszczyznami. Naraz występuje góra, i zmiana budzi pojęcie nowe. — Przy takich-to zmianach zachodzą istotnie i zmiany wewnętrzne w naszej istocie, tylko nie takie, o jakich autor wspomina tyle, że są „prawie pewne”. Zmiany te zachodzą w stanach naszej świadomości, i te są nader pewne. Jednostajność wrażeń stany te doprowadza do pewnego układu harmonijnego, który gotuje się być stałym: zmiana, najmniejsza, tembardziej znaczna, zrywa tę harmonię, tę stagnację, i czas jakiś uplynie, nim układ nowy nastąpi, póki go nowa zmiana nie zerwie; i na tem polega właśnie ruch umysłowy istoty ludzkiej. Podobnież z faktem tożsamości. Gdyby umysł nie był zdolnym ocenić faktu podobieństwa, to zjawiska też same, powtarzające się w odstępach czasu, brałby za coraz nowo: tymczasem tak nie jest; umysł, raz poznawszy górę i utraciwszy ją z widoku, wie mimo to, że to jest góra, i w nowym wypadku

zdaje sobie sprawę. Otóż o tych podstawach poznawania autor zamilcza, jakby nie istniały, i przeto też wykład jego nie opiera się na niczem, wisi w powietrzu, jak wiązka zdań, które niewiadomo do jakiej odnieść zasady, początku.

W traktowaniu władz umysłowych p. Dzieduszycki stoi na stanowisku botanika starej szkoły, który opisuje rośliny, ale ich nie bada; zna je od korony do korzenia, tylko nie pyta go, na mocy jakich praw i jakich związków chemicznych rośliny te występują z gruntu, żyją. Po wyluszczeniu warunków poznawania, słusznie przystępuje do „pamięci”, jako do naczelnej władzy, skuteczniającej utrwalenie się wyobrażeń, aż do zamienienia ich w automatyzm. Któż nie wie, co to jest pamięć, choćby skutkiem ciągłego w niej się ćwiczenia? Wszak to prosta reprezentacya w umyśle przedmiotów, uczuć, myśli, wszelkich słowem zjawisk, od których umysł otrzymał wrażenie. Lecz jest to dopiero jej strona formalna, jak powierzchowność rośliny; i można nad nią przydłużej nawet zabawić, ażeby przejść po różnych szczegółach; lecz to nam natury jej nie wytłómaczy, możności powstania nie wyjaśni. Będziemy wiedzieli coś o „Cezarze,” jak autor słusznie odróżnia przykładowo, między wiadomością i poznaniem (str. 2), ale nie będziemy *znali* Cezara. W tym właśnie wypadku znajdują się jego podania o władzach umysłowych. Ażeby nabyć istotnego poznania, trzeba-by z powierzchni zstąpić do suteran, zagłębić się w fakta natury fizyologicznej, metodą, którą autor nazwał *mniej ściśle* filozoficzną. Jaką miałaby doniosłość ta, ściśle filozoficzna, której snadź sam się trzymał, niech nam za przykład posłuży choćby wynik namysłu nad określeniem pamięci: — „...Zjawisko podmiotowe wyobrażania sobie, czyli dostrzeżenia pewnej rzeczy, powtarza się po pierwszym jej dostrzeżeniu i nazywa się wtedy już nie dostrzeganiem i poznaniem, tylko wspomnieniem, czyli pamiętaniem, a własność naszego umysłu, za pomocą której pamiętamy, czyli wspominamy, nazywa się pamięcią”. — Święta prawda! Naturalnie,  $A=A$ . Tylko pytanie, czego nas ten paralogizm nauczył? Wynikła-by nauka bliższa istotnego poznania, gdyby nam usiłowano wytłómaczyć właśnie: jakim jest prawo, mocą którego podmiotowe wyobrażenie przedmiotu może się, nawet bez przedmiotu, powtórzyć, a następnie i raz na zawsze utrwalić.

W takiż sam sposób, czysto opisowy, stokrotnie powtarzany w elementarnych podręcznikach psychologicznych, przechodzi autor i inne władze umysłowe, jak assocyacya, abstrakcyja, wyobrażnia (o uwa-dze wspomina tylko przelotnie), zatrzymując się na myśli i rozumie. Niech nikt nie sądzi, że znajdzie tu uzasadnienie, co jest myśl, jako myślenie (rozumie się, nie jako pojęcie transcendentalne), pod względem materji i formy. Niech nikt nie sądzi, że znajdzie tu objaśnienie, co jest rozum,

jako wyższy stopień instynktu, stopień, powiadamy, niedorzecznością dziś już bowiem było-by między dwoma temi pojęciami ustanawiać różnicę gatunkową. Ale znajdzie tam rozsądne i popularne uwagi, stanowiące przejście od władz umysłowych do tej umiejętności, która czyni z nich użytek: do logiki.

Uwagi te wkraczają we właściwy wstęp, objaśniający zadanie tej nauki, o której dotąd różnią się zdania, czy jest praktyczną, czy tylko teoretyczną. W każdym razie, jest to nauka wielka, dla ludzi myślących niezmiernie ciekawa, wykładająca cały mechanizm myślenia, a której zapoczątkowanie stanowi nieśmiertelną sławę Arystotelesa. Jest to nauka, na szczęście, nie potrzebująca się dla sprawdzeń odwoływać do żadnej innej, i dlatego też autor nasz stoi, w tej części swej pracy, na pewniejszym gruncie. Nie powiadam, żeby nam dał przeto gruntowny i skończony traktat Logiki, ale wyrażam się tylko o tych częściach, które dla siebie wybrał, nie tłumacząc się zgoła, dlaczego jedno wybrał, drugie pominął. Nie wprawdzie nie powiedział takiego, czego-by przed nim nie powiedziano, metodyczniej nawet i obszerniej; ale w tem, co powiedział, szkicowo i popularnie, znać dobre przetrwanie przedmiotu i dobre wzory. Na korzyść autora przytoczyć można, że pominął dawniejsze systematy, a poszedł raczej za metodą myślicieli pozytywnych, jak Stuart Mill i Al. Bain (choć, jak mi się z jego Ontologii wydaje, nie podziela wszystkich ich zapatrywań i konkluzji). Tego tylko nie mogę dojść, dlaczego w wykładzie swym pominął wszystkie niemal elementarne czynności umysłowe, pozostając jedynie przy tych, które służą do ustanawiania metod naukowych, jak: analogia, klasyfikacya, i t. p., i co jest już niejako wykwittem logicznego myślenia. Opisów tych dopełnia wprawdzie bardzo pobieżnie, ale z zachowaniem treści głównej i wcale pożytecznych udziela informacji; lubo i tu nie postępuje tak, aby w zupełności uniknąć zarzutu. Jeżeli chciał poprzestać na wskazówkach metod, dlaczego opuścił czynność tak ważną, a przy klasyfikacyi nieodzowną, jaką jest uogólnianie? Dlaczego takiej wielkiej a płodnej w następstwa czynności, jaką jest analiza, dał tylko jakby okolicznościowo miejsce w rozdziale wstępnym, zamiast wystawić ją na czoło i porównać z syntezą, lubo i sam tego ostatniego terminu, w innych okazyach, używa tak, jakby był objaśnionym?

Oprócz tych zapytań, na które odpowiedź była-by kłopotliwą, zmuszeni jesteśmy z naszego punktu widzenia zaznaczyć, że autor podziela, modną dzisiaj wśród logistów pozytywnych, niechęć do dedukcyi, jako do metody, która wrzekomo niczego nowego (po indukcyi) nie naucza; niechęć, której jednak słuszności wywód jego nie usprawiedliwia. Wiadomo, że skieletem typowym dedukcyi jest syllogizm we



wszystkich swych formach, przedstawiający rozumowanie, wniosujące o stosunku szczegółowego zjawiska do prawa ogólnego. Wnioski te autor, za innymi logistami, dzieląc na syntetyczne (a posteriori) i analityczne (a priori), pierwszym odejmuje pewność absolutną, zezwalając tylko na prawdopodobieństwo. Ażeby twierdzenie to sprawdzić, musimy użyć przykładu; pozwoli jednak autor, że jego przykład (hexandria monogynia), jako zbyt specjalnie botaniczny, mniej dla naszego zadania sprawozdawczego przydatny, zamienimy na inny, zupełnie mu równoważny.

„Kaźda materya jest ciężka; Gazy są materyą; więc Gazy są ciężkie“.

Autor, z góry do sceptycyzmu dedukcyjnego przygotowany, gotów zarzucić, iż może się przypadkowo znaleźć jakiś gaz, który, pozornie mając wszystkie cechy materyi, nie okaże się ciężkim (jak w dalszym przykładzie oświadcza, iż Piotr może wynaleźć filtr życia i zostanie nieśmiertelnym, wbrew śmiertelności wszystkich), — i w takim razie syllogizm okaże się mylnym. Ażeby go więc uczynić prawidłowym, autor radził-by dla ostrożności poprawić samą konkluzję rozumowania: „więc Gazy są *prawdopodobnie* ciężkie,“ i modyfikację taką stosuje do wszystkich wniosków syntetycznych. Bez względu na jaskrawość wypadków przywiedzionych w przykładach, nie można lekko tego zarzutu puszczać. Ale zarzut ten, słuszny formalnie, — bo kto może przewidywać wszystkie wypadki przyszłości, — w treści nie znaczy nic: każdy bowiem domyśla się, że wszelki tego rodzaju wniosek, oparty na doświadczeniu długoletniem, tysiąckrotnie sprawdzonem, a w premissie większej zawarty, odnosi się do *obecnego* stanu wiedzy i nią pewność swą ogranicza. Ile też syllogizmów podobnych upadło, z postępem nauki, doświadczenia, ewolucyi dziejowej. Wszak za czasów Ptolemeusza dowodzono-by: — „Ponieważ słońce obraca się koło ziemi, jako środka świata, więc... i t. d.“ Przyszedł Kopernik, zmienił premissę większą i do góry nogami wywrócił wszystkie dedukcye. W starożytnych Atenach można-by śmiało było ułożyć taki syllogizm dysjunktywny: — „Kaźdy mieszkaniec Attyki, jest albo — wolnym obywatelem, albo niewolnikiem; Dyagoras jest mieszkańcem Afryki, więc jest albo jednym, albo drugim“. W Atenach nowożytnych syllogizm taki jużby nie uszedł. Rozumowanie syllogistyczne tworzy się na podstawie ufności w pewność premissy większej, która jest robotą indukcyi; ta zaś właśnie dlatego, że nie ma innego kryterium nad doświadczenie, wnioski swe, często zwane hipotezami, stawia nieśmiało, poddaje sprawdzeniom dedukcyjnym. Jeżeli więc we wniosku dedukcyjnym zajdzie niedokładność, to wina pierwszej zasady, nie zaś metody, która konkluzję swą, środkiem sobie właściwym, wprowadziła z *całą* pewnością. Wszelka

zaś niepewność, wyrażająca się postulatem prawdopodobieństwa, należy już do sfery moralnej, nie zaś logistycznej; inaczej osłabła-by nasza wiara we wszystkie wyniki, wyprowadzone w sposób najściślejszy.

Ależ, skoro wszelka pewność wyniku dedukcyjnego zależy od pewności pierwszej zasady, utworzonej przez doświadczenie, czyli indukcję (taka jest myśl autora w konkluzji, str. 94), przeto dedukcja, czyli rozumowanie, nie może nas nauczyć niczego nowego, niczego, o czembymy już przedtem nie wiedzieli, za pomocą doświadczeń zmysłowych lub umysłowych. Jaktło! Czemżeż jest więc cała matematyka i mechanika, jeśli nie łańcuchem wniosków dedukcyjnych? czy nie im zawdzięcza dzisiejsza astronomia swe niesłychane tryumfy? czy nie od nich oczekuje swego rozwiązania i zastosowania dzisiejsze prawo o zachowaniu siły? Dziwna konkluzja, jak na pisarza tej miary, co p. Dzeduszycki, który choćby to przypomnieć sobie powinien, że nie „z doświadczenia zmysłowego lub umysłowego” dowiedział się, iż w prostokącie kwadrat z przeciwprostokątnej równa się sumie kwadratów z ramion kąta prostego; i że dobrze znany mu Sycylianin tylko metodzie dedukcyjnej zawdzięcza swą, dziś jeszcze cenioną przez mechaników „śrubę”.

Do tautologii wreszcie redukując syllogizm, w końcu sprzecza się z tem, co sam powiedział na początku rozdziału (str. 86:) — „Wnioski syntentyczne orzekają *coś* o istocie, należącej do pewnego rodzaju, co *nie jest* objęte określeniem tego rodzaju”. Widocznie zatem wykrywają, zdaniem jego, to, czego przedtem nie było, i to prawdą jest, którą wykazuje bliższe wpatwienie się w premissę mniejszą syllogizmu. Jakoż wróćmy do naszego przykładu. Indukcja stwierdziła, „że każda materia jest ciężką”. Ten wyraz „każda” odnosi się oczywiście do tych tylko ciał, które indukcja sprawdziła, a dokonawszy sprawdzeń jaknajliczniejszych, czuła się uprawnioną do wyrzeczenia tej własności o wszystkich; inaczej, powiedziałaby skromniej: niektóre ciała są ciężkie. Wyrzekłszy tę zasadę ogólną, indukcja cofa się i przekazuje ją dedukcji, która w czynnościach swych zasadę ową stosuje do różnych szczególnych przypadków: z powodzeniem co do ciał zsiadłych i cieczy. Natrafia jednak na gazy, i nie będąc co do nich pewną, azali ma je traktować jak ciała ciężkie, sprawdza czy mają też one swoistą własność materji, to jest bezwładność. Znajduje, a wtedy dopiero, po takim nowem sprawdzeniu, upewnia, że „gazy, jako bezwładne, a więc będące materją, są także ciężkie;” i odtąd już według tego na nie oblicza. Przez takie postępowanie, którego odbiciem jest właśnie przesłanka mniejsza (w syllogizmie zaznaczająca samodzielną pracę dedukcyjną), przybywa istotnie owo *coś* naszego autora, „co *nie było* objęte” w określeniu rodzaju. Głupim byłby syllogizm: — „Wszystkie ryby pływają; żółw pływa; więc żółw jest rybą”. A głupim byłby dlatego, że deduk-

cy nie zastanowiła się, iż zdolność pływania nie jest cechą ryb ani wyłączną, ani główną, tylko jedną z cech, wspólną wreszcie wielu organizmom; że zatem zasada pierwsza, wniosek indukcyjny, źle był postawiony. Tak samo i my, nie sprawdzwszy dostatecznie końcowego wyrzeczenia p. Dzieduszyckiego, mogliśmy ułożyć syllogizm dedukcyjny:—Metody, niczego nowego nie uczące, jako bezużyteczne, należy odrzucić; *metoda dedukcyjna niczego nowego nie ucza*: więc metodę dedukcyjną należy odrzucić. I bylibyśmy w błędzie, dlatego, żeśmy nie sprawdzili przesłanki mniejszej, t. j. opinii p. Dzieduszyckiego.

Opisawszy w ten, czy ów sposób, w Noetyce scenę, na której odbywa się przyswajanie wiedzy, w Logice—różne drogi jej nabywania, autor, zdaje się, wyczerpał przedmiot, jeśli nie zamierzał samejże wiedzy poddać klasyfikacji naukowej, w związku jednej umiejętności z drugą. Spojrzawszy w całości na tę tak ograniczoną pracę, nie możemy wszelako usprawiedliwić sobie rozległości nadanego jej tytułu. Gdyby wyszło na widok publiczny razem to, cośmy dotąd przejrzeni, powiedzielibyśmy, że jest to część psychologii i część logiki, zatem propedeutyka tylko do tego, co się właściwą wiedzą nazywa. Następujący tuż bezpośrednio, zaraz po logice, dział obejmuje Ontologię.

## II.

Ontologia nie jest to wyraz nauce obcy. Jeżeli mnie pamięć nie myli, pierwszy użył go Wolff na oznaczenie tego, co u Arystotelesa nazywa się „*Philosophia prima*,” co w wiekach średnich przezwano Metafizyką, tak, iż odtąd obie nazwy mieszają się i znaczą jedno prawie, z tą różnicą, że Ontologia etymologicznie wyobraża naukę o istotach,—rozciąglej o wszechistotach, więc o wszechistnieniu, czyli o Bycie; kiedy Metafizyka puszcza się na zwiady po-za doświadczalne sfery przyrody i poszukuje transcendentalnych pierwiastków rzeczy: zawsze to na jedno wyniesie.

P. Dzieduszycki przeciwnym jest wszelkiemu systematom, wyprowadzającym a priori wszechświat z pojęcia Bytu, ograniczając się pod tym względem do danych, poczerpanych z doświadczenia. Są jednak poważne opinie przeczące, aby to słowo, czy pojęcie, *Byt*, miało wartość rzeczową, zatem wogóle doświadczalności podległą. Podług zdania realistów nieprzejednanych, wartość tę mają tylko pojęcia, chodzące parami, jako przeciwieństwa, gdzie jedno świadczy o bycie drugiego: przedmiot i podmiot, myśl i materya, ciepło i zimno, i t. p. Wszystko to, przecząc sobie, dowodzi właśnie wzajemnego swego istnienia, wzajem siebie objaśnia, i stanowi też granice naszej „wiedzy” doświad-

czalnej. Tymczasem, cóż przeciwstawimy pojęciu bytu w samym sobie. Język może mu przeciwstawić *nicość*, nic. Ale cóż to jest nic? To nie rzecz żadna, to matematyczne zero; a gdzież jest od zera przejście do jakiejś ilości? Gdyby była najmniejsza, będzie już rzeczą i podlegnie doświadczeniu; ale z zerem jakież doświadczenie jest możliwe? Zupełnie tak samo dzieje się z bytem, oderwanym od rzeczy. Można go sobie przedłużać w nieskończoność, ale doświadczać go nie można.

Próżno więc autor odwołuje się w tym razie do doświadczenia. Ontologia, która nie miała-by swej racyi bytu, gdyby nie zmierzała do bytu absolutnego, nie może być nauką doświadczalną, ale tylko traktatem spekulatywnym na dany temat, tak, jak prowadzi go matematyka na temat: jeden a jeden jest dwa, chociaż ani jedności, ani dwójki z doświadczenia nie wzięła, bo ich w naturze niema. Byt i niebyt, równie jak liczba, jak czas i przestrzeń, to tylko formy naszej myśli, do których zaraz płącze się transcendentalizm.

Chwiejujami też są bardzo wymagania, jakie autor Ontologii swej stawia. Do pojęcia istoty bytującej nie dopuszcza on zrazu „nie innego nad to, co nasze doświadczenie w to włożyło” (str. 96). Niebawem wszakże (str. 100) ontologia nietylko powinna mu „stwierdzić, iż byt jest *najwyższym* rodzajem, obejmującym wszystko co istnieje” ale musi ona jeszcze wyliczyć najwyższe rodzaje rzeczy, z których żaden już wszystkich istot nie obejmuje, ale których przecie żadna poszczególne nauka nie opisuje, ani określa”. *Excusez du peu!* Przyznaje tedy autor, że go sama treść przedsięwziętego przedmiotu wypycha poza szranki doświadczenia, i bardzo naturalnie. Jeszcze też żadnemu z systematyków ontologicznych nie przyszło do głowy, ażeby, mając wyprowadzać „rodzaj najwyższy, obejmujący wszystko co istnieje,” zatem absolut, targował się z doświadczeniem. Tacy, przeciwnie, popelniali te „absurda”, które autor potępił z góry, iż bytu absolutnego wyprowadzali wszechświat: Demokryt z atomu, Leibniz z monady, Spinoza z substancyi, Hegel z idei. Ci o doświadczeniu w odniesieniu do istot, „czyli rzeczy mających byt,” wspominać się strzegli.

Ontologia prócz tego, — „orzeka o tem, co bywa, a co po części (?) musi być własnością wszystkiego, co istnieje, lub istnieć może”. Możliwość tę zaś wyprowadza autor, drogą wnioskowania doświadczalnego, z bytu zjawisk obecnych, aktualnych, tak, że jego pojęcie bytu obejmuje nietylko rzeczy nam znane, ale także i nieznanne, nierównie liczniejsze, nieskończenie rozmaite, przeszłe i przyszłe. Różnica zatem pomiędzy stanowiskiem naszego autora a powyższymi systematami, *si quidem componere licet*, jest ta, że one pojęciem bytu absolutnego tłumaczą zjawiska aktualne; on z rozpoznawania tychże zjawisk drogą wstępną dochodzić zamierza do określenia bytu absolutnego.

Każdy byt, właściwie mówiąc, każde jestestwo, uważanem i rozpoznawanem być może tylko w pewnych warunkach istnienia, czyli w swoich własnościach, zwanych w szkole filozoficznej *kategoriami*: od nich też traktat swój rozpoczyna autor, i bodaj czy nie na nich kończy, zaokrąglając je pewnemi wynikami. Śledząc ruch filozoficzny obecny, dawnośmy się nie spotykali z rozdziałem kategorii, a odnowienie znajomości zawdzięczając niniejszej książce, doznaliśmy zaciekawienia, jaki co do nich system przyjął nasz autor: zapożyczony, czy własny; bo tych systematów, począwszy od Gotamy do Kanta, jest sporo. Na wszelki wypadek, otwieramy początek Organonu, i porównawszy ustęp z przed „Hermonei” z listą autora, przekonywamy się, że przyswoił sobie kategorie Arystotelesa. Przyswojenie to dokonaniem jest atoli z dobrodziejstwem inwentarza, w sposób posiadający pewną samodzielność. Nasamprzód, autor zmienia porządek, i nie stawia na czele, jak Arystoteles, *substancji* (ὄντα), lecz jakość, która wydaje mu się snadź pojęciem najogólniejszem. Następnie, wybrawszy sobie kilka tylko kategorii mistrza greckiego za główne (właściwie cztery z dziesięciu), inne pod nie podporządkowywa. Nareszcie, ostatnie dwie arystotelowskie, ποιόν i πάσχειν, które nazwać-by można czynnością i biernością, zupełnie ze swego szeregu wyłącza.

Na czoło kategorii p. Dziejuszyckiego występują: podmiot i przedmiot (wchodzące w kategorię Jakości): pierwszy, jako istota poznająca; drugi, jako całość zjawisk poznawalnych, do których i własne ja należy: rzecz, która właściwie powinna była znaleźć miejsce w psychologii, lecz była tam pominięta. Ale cóż to się poznaje? Nasamprzód, wszystko, co wchodzi w zakres zmysłów, i to rzecz najprostsza. Lecz jest jeszcze inna sfera zjawisk. Podmiot poznaje własnego ducha, czyli zjawiska leżące po-za obrębem zmysłów. Nle dosyć na tem, Władza, którą autor raz nazywa wiarą, koniecznością psychologiczną, drugi raz *intuicyą*, upewnia, że prócz nas istnieją jeszcze inne przedmioty, *alias* duchy (sic), zupełnie do nas podobne, których więc zjawiska duchowe równie obserwować możemy, a tym sposobem stosują się doświadczenia nasze do dwóch rzędów zjawisk: zmysłowych i duchowych.—Zastrzegamy się, iż terminu *duch*, z całą jego rodziną, używamy nie z własnego autoramentu, ale za autorem, który termin ten sobie tak upodobał, że go stawia nietylko na oznaczenie różnych określeń psychicznych, w całości i częściowo, przez co staje się niekiedy niezrozumiałym, ale nawet na oznaczenie „intelligencyi *niewcielonych*, a objawiających się czasem ludzimi za pomocą *zmysłowych* zjawisk”—o czem my nie mamy żadnego wyobrażenia, i czego wyjaśnienie pozostawiamy spirytystom.

W każdym razie autor, doświadczając za pomocą zmysłów, umysłu i dodatkowo jeszcze za pomocą intuicyi, którą nazywa „trzeciem źródłem

doświadczenia," zdaje się do przedmiotów postrzeganych przywiązywać znaczenie bytu realnego, tak, jak to czynią wszyscy badacze pozytywni, — chociaż może niejeden mówi sobie w duchu: a licho tam wiel Milczy jednak o tem, bo cóżby to była za wartość nauki na dobrem doświadczeniu opartej, gdyby sama, na innej drodze, zachwiewała pewność swych rezultatów? I nasz autor dotąd nie wskazywał niczem żadnego powątpiewania o rzeczywistości zjawisk, ujętych w sieć tej obserwacyi, aż z trzech wynikającej źródeł. Rzecz ta przybiera inną postać, odkąd zastanawia się nad tem, co jest Substancya; i odtąd też teorya rozpoczyna kroki rozwodowe z doświadczeniem.

I według etymologii, i według tego, jak się zapatruje kierunek doświadczalny, pojęcie substancyi oznacza stałe, zasadnicze własności przedmiotu, należące do jego definicyi, stanowiące przeciwieństwo własności zmiennych, niestałych. W mowie popularnej zwykliśmy nazywać substancyami jakies rzeczy, do których, jak do podścieliska, przyczepione są pewne własności. Unysł filozoficzny tak tego uważać nie może, albowiem doszedł-by do jakiegoś pierwiastku bezwłasnościowego i dałby widowisko niepojęte: rzecz istniejącą, bez wszelkich odznaczających ją cech, czyli własności. Substrat więc taki jest tylko urojeniem. Substancję zatem, aby nie wyjść z granic świata rzeczywistego, uważać należy jedynie jako zbiór własności, po oderwaniu których zjawisko ginie. Blizkim zdaje mi się być p. Dzieduszycki zrazu tej definicyi (powiadam, *zdaje mi się*, i nieraz mógłbym to powtórzyć, gdyż autor nie bardzo dba o jasność wykładu); ale, po swej przykładowej „lampie,” (str. 104), którą, zamiast rzecz objaśnić, bardziej jeszcze zaciemnił, cofa się o krok stanowczy, mówiąc (str. 105):— „Substancye są rzeczami złożonemi, własności oderwanemi...” i wyrażenie to, jako punkt kulminacyjny definicyi, podkreśla. Wyrażeniem tem oddziela on własności od substancyi, jako rzeczy różne. Lecz jeżeli substancye są rzeczami złożonemi, to pytanie z czego? Na to autor nie opowiada. Odpowiadamy za niego. Substancye złożone są albo z własności, albo z czegoś innego. Jeżeli z własności samych, to po ich rozkładzie, czyli po oderwaniu, nie pozostanie nic, czyli zniknie ta rzekoma „podstawa” zjawisk, za jaką autor uważa substancję na początku swej definicyi. Teraz, jeżeli substancye składają się nie z własności podlegających oderwaniu, ale z czegoś innego, — to czemże jest to coś? Weźmy dla przykładu jakie ciało materialne, choćby to samo złoto, jakiego w końcu następnego rozdziału używa autor; odejmujemy mu powoli jego własności: połysk, barwę żółtą, ciężar, kształt, spoiłość, i t. p.; zostanie jeszcze ostatnia i niezredukowana własność wszelkiej materyi — opór, czyli bezwładność; po odjęciu tego, kiedy przedmiot, wszystko inne utraciwszy, nawet oporu nie stawia, zostaje próżnia, nic, albo też

coś takiego, czego umysł ludzki nie zna i poznać drogą doświadczenia nie jest zdolny. I toż to ma być podstawą zjawiska, jego substancją? Na to wszelako wychodzi, jeżeli przedmioty podzielimy na substancje i ich własności, zamiast w skupieniu tych własności szukać ich substancji. Odmiana też tych własności materji na tle jedynej wspólnej, jaką jest bezwładność, fakt od materji nieodłączny, mogący więc uważanym być za substancjalny, wytwarza w naturze rodzaje, gatunki i inne grupy pomniejsze: lecz jest to tylko fakt, własność tak dobra, jak inna, nie zaś substrat,

Przyjawszy substancję, jako nieznaną a niezależny substrat własności i przypadłości w zjawiskach zmysłowych (pod przypadłościami rozumiejąc zapewne rodzaje i gatunki), tę samą zasadę stosuje autor i do zjawisk umysłowych, za substancję ich uważając naszą istotę „najwewnętrzniejszą,” duszę, czy ducha, której to istoty objawy są tylko przypadłościami, wynikającymi z trojakich własności: uczucia, rozumu i woli; co również przeciwi się konkluzjom nauki doświadczalnej, która na tej samej zasadzie, jak co do ciał, osobnej substancji, po-za ześrodkowaniem władz, na tle jakiejś domniemanej jaźni (bez względu na nazwę), nie uznaje, i powiada, przypuszczam, przez usta Herberta Spencera (Psych. § 58):—„Jeżeli przez wyrażenie „substancja umysłowa” rozumiemy umysł, jako dający się różniczkować jakościowo w każdej ze swych części, mogących się oddzielać przez analizę wewnętrzną (introspectio), a przecież wydaje się jednorodnym i nierozkładalnym, wtedy wiemy coś o substancji umysłowej i nawet możemy dowiedzieć się więcej. Ale jeżeli wyrażeniem tem określamy coś, co służy za substrat i z czego powstają te oddzielające się części, lub czego one modyfikację stanowią, wtedy o umyśle nie wiemy i wiedzieć nie możemy nic zgoła. Niedosć jest powiedzieć, że poznanie tego rodzaju stoi po-za obrębem myśli ludzkiej w jej formie obecnej; owszem, żadna summa tego, co nazywamy inteligencją, choćby ta była najbardziej transcendentalną, poznania takiego nie dostąpi”. — Oto jest głos nauki doświadczalnej. nie już pojedynczy, ale powszechny.

Odstąpiwszy w tym punkcie od jej zapatrywań, p. Dzeduszycki nowym zawrotem, o którym zaraz powiemy, znowu zbliża się do nich w pewnym szczególe, mówiąc: — „Rozpatrzywszy się w naturze tego, co nazywamy zjawiskiem zmysłowym, nie możemy w niem dostrzedz nic ponad zbiór jego własności, które rzecz składają, a własności te są tylko oderwaną możliwością rozmaitych zdarzeń, tak, że zjawisko wewnętrzne przedstawia nam się jako ciąg zdarzeń skojarzonych z sobą, nie mających żadnej istotnej podstawy”. Ale jest to tylko zbliżenie się pozorne. Autor, dla konsokwencyi, powinienby też samą negację zastosować i do substratu zjawisk umysłowych. Nietylko tego nie

czyni, ale owszem, przeciwieństwo swoje wzmaga. Odejmując substancję zjawiskom zewnętrznym, przyznaje ją wyłącznie podmiotom (umysłom poznającym, czynnym), a to z tej racji, że zjawiska zewnętrzne wartości realnej dlań nie przedstawiają, i są tylko wyobrażeniami, kojarzącymi się w „dostrzegających je duchach” (podmiotach); w czym może mieć słuszość, ale czem przyczynia nowej obrazie nauce doświadczałnej, która, jeśli nie absolutnie, to przynajmniej względnie do siebie i swoich zadań, musi zjawiska zmysłowe uważać za rzeczywiste, Na ten raz rozbrat autora z doświadczeniem zdaje się być stanowczym.

Niekoniecznie; i tu następuje szereg korowodów naprzód i wstecz, wskazujących, że autor ukrywa jakiś cel, z którym się jeszcze nie wypowiada, a nie jest dość pewnym gruntu, po którym do wytknięcia go zmierza. Dopiero zjawiskom zmysłowemu odjął substancję, pod pozorem, że są to tylko nasze podmiotowe wyobrażenia, że istnieć nie mogą „bez istotnych substancji, bez podmiotów, które-by je dostrzegały,” aliści, dzięki nie rozumowaniu, lecz bezpośredniej, niczem nie zbitej intuicji (str. 114), ani na chwilę nie wątpi, że zjawiska te istnieją, „nawet wtedy, kiedy ich nikt nie widzi... niezawisłe od naszego podmiotu...” słowem, że istnieją realnie i substancjalnie, tylko na mocy substancji różnej od duchów ludzkich, ale zawsze duchowej. Tu już wychyla się koniuszczkiem cel zamierzony. Intuicya znosi wszelkie wątpliwości co do istnienia świata zewnętrznego i praw nim rządzących, a że przedmioty nie mają substancji własnego bytu, bo ta jest tylko przywilejem podmiotów, więc tym podmiotem wszechświata może być tylko istota wszystko przenikająca, wszechobecna: Bóg, byt absolutny.

Jest to, od czasów S. Anzelma, jedno jeszcze nowe usiłowanie wyprowadzenia Boga drogą dyalektyki z rozważania zjawisk świata, tylko bardziej zawikłane. Bo uważajmy. Trzeba naprzód drogą poznawania doświadczalnego poświadczyć istnienie zjawisk zewnętrznych; potem, drogą rozumowania zamienić je na proste wyobrażenia podmiotu i odmówić im podstawy bytu; następnie, za pomocą intuicji, w połączeniu z wiarą powszechną, czyli opinią, wrócić im rzeczywistość niewątpliwą, a nie mogąc dla niej znaleźć podstawy w nich samych, odwołać się do podstawy powszechnej, do substancji najwyższej, do podmiotu nieograniczonego, ogarniającego wszystkie przedmioty, jak również podmioty ograniczone, duchy ludzkie. Jeżeli ten sposób wywodu nie przekona wszystkich, autor może się pocieszyć tem, że nie przekonały i inne, z bardzo subtelnej przedzy metafizycznej utkane.

Za narzędzie decydujące w tych kontrowersjach autor używa intuicji, t. j. własności umysłu, dostarczającej mu pojęć apriorystycznych, przychodzących przed wszelkiem doświadczeniem, a współistniejącej



z władzami zwyczajnego poznawania. Przeciwno tej własności chorem występują wszyscy empirycy, dowodząc, że wszystkiemu, cokolwiek niektórzy filozofowie składają na wiadomości intuicyjne, wystarcza dobrze prowadzone doświadczenie. Jeden z nich wszelako, zkadinał nader pozytywny, Aleksander Bain (Log. I, str. 12. przek. polski), łącząc się ze współwyznawcami w proteście przeciw innym pojęciom intuicyjnym, czyni ustępstwo co do pojęcia Przyczyny: nie zbija go przynajmniej. — „Doświadczenie uczy nas wprawdzie — powiada — iż pojedyncze skutki ulegają prawu przyczynowości, czyli jednostajności; ale za pomocą doświadczenia nie możemy wiedzieć, iż każdy skutek ma i powinien mieć przyczynę”.

Nie śmiem, wobec powag, wysuwać się z własnem zdaniem; lecz zdaje mi się, iż byłbym poparty przez ogromną większość umysłów nieuprzedzonych, gdybym oświadczył, iż tak jest istotnie, jak oziębłe powiada Bain, a nadto, że pewien rodzaj intuicyi istnieje stale w umyśle; na jakiej podstawie—jest to tajemnica mózgu. Wyłącznie zwolennicy doświadczenia mogą łatwo przytoczyć tysiąc dowodów, że ono wszędzie poprzedza jakąś wiadomość, ale tego przecież nie zechcą utrzymywać, aby każdy wielki pomysł wjeżdżał do głowy tylko na doświadczeniu, i do każdej głowy. Najlepszym tego dowodem Newton ze swem prawem bezwładności. Prości śmiertelnicy doświadczenia, mozoła się i nie dochodzą do niczego: geniusz doznaje nagłego olśnienia i więcej odgaduje, niż dochodzi (intuetur). Taka intuicya byłaby wyjątkowym przywilejem geniuszów, albo stanem *sui generis* anormalności mózgowej, jak chce mieć Lombroso: niech się nad tem zastanawia psychofizjologia, czy psychiatrya; zaznaczamy jednak fakt, którego empirya ani ignorować, ani swoim sposobem wytłómaczyć dotąd nie może. My zwłaszcza, którzyśmy nawykli rozglądać się głębiej w dziełach literacko-artystycznych, możemy śmiało w autorach zaświadczyć ten instynkt odgadywania, który — biorąc nawet w rachubę pewien szereg obserwacyi doświadczalnych — pozwala autorom bardzo głęboko wnikać w sytuacye i charaktery wielce rozmaite i różnostronne: męczyzn czy kobiet, dzieci, naiwnych dziewczątek, młodzieży, lub starców, rozmaitych kondycyi, rozmaitego stopnia inteligencyi, ukształcenia i moralności; myśleć ich kategorjami nietylko w treści ogólnej, ale w znakach, ruchach duszy, wysłowieniach, w całym kolorycie obyczajowym. Pomijam tych autorów, którzy ciągle siedzą w jednej atmosferze i w jednym towarzystwie; tym snadno nietylko obserwować, ale nawet fotografować: ale mam na myśli takich wielkich, uniwersalnych powieściopisarzy, ludzkościowych historyków serc i umysłów, jak Dickens, którym życia-by nie wystarczyło na chodzenie dla obserwacyi za każdą ze swych tysięcznych a przeróżnaitych postaci, z których żadna do

drugiej nie jest podobną. Od każdej jednak olśniewająca bije prawda życiowa; dzieła ich (Dickens, Balzac, Thackeray, Bret-Harte, Sienkiewicz w nowellach), to istna synteza życia. Skąd ona się wzięła? Powiadają: talent. Ale cóż to jest talent, jeśli nie siła odgadywania, wglądania w sfery nawet niedostępne doświadczeniu, bo w najtajniejsze głębie istoty ludzkiej, po znakach bardzo niewystarczających.

Jeżeli zdolność ta wydatnieje w tylu różnych kierunkach i płącze się po tylu mózgach, czyż, zamiast ją czynić wyjątkiem, nie racjonalniej jest przyznać, iż ona integralnie trzyma się umysłu ludzkiego, dopełniając skojarzeń wytwarzanych przez doświadczenie, chociaż w jednych, jak np. pamięć, zaznacza się mocniej, w drugich słabiej. Przyznanie to nie może nastąpić inaczej, tylko według funkcji. Ponieważ zaś nie wszystkie pojęcia przychodzą z wnioskowania indukcyjnego lub dedukcyjnego, jak i powyżej wspomniany empiryk przyznaje, trzeba przypuścić, że przychodzą one doraźnie, czyli intuicyjnie, a z taką jasnością (*evidentia*), że dowodu nie potrzebują, jak ten, iż całość równa się swoim częściom, jak intuicyja liczby, którą gdy ktoś, niewiadomo kto, gdzie i kiedy, nawiedzonym został, i gdy powiedział, że jeden a jeden to dwa, tak postawił w zarysie całą matematykę.

Wywód ten, podjęty na własną rękę, przytoczyłem dlatego, ażeby, wobec wielu sądów przeciwnych a poważnych, podać rękę naszemu autorowi, opierającemu proces ontologiczny, między innymi, na intuicyi, którą on wystawia tak, bez zastrzeżeń, jakby to była własność umysłu powszechnie uznana. Tymczasem tak nie jest: to wszakże pewna, że bez powołania się na intuicyę, żadna ontologia, żadna metafizyka jest niepodobną, mowy nawet o niej być nie może. I próżno też autor zaciekał się tak mozolnie w dane doświadczalne i skończył na oddzieleniu w prawach i przywilejach ludzi od reszty świata, z czego-by się rozśmieli tylko doświadczenicy, dla których człowiek jest takim samym zjawiskiem, jak każde inne jestestwo; kiedy ten cel ontologiczny, do którego autor zmierzał, ma bardzo proste i wcale nieliczne przesłanki intuicyjne, a pojęcie przyczyny absolutnej, której, jak widzieliśmy, nie sprzeciwia się nawet Bain, wielce tu dopomaga. Raz stanąwszy na tym gruncie, bez pretensyi do podszywania się pod naukę doświadczalną, metafizyk wyrabia sobie pole własne, na którym rozważa zjawiska względne i od nich drogą intuicyi przechodzi do bezwzględności. Długość linii nie przeszkadza w myśli przedłużać jej w obie strony coraz dalej, aż wyobraźnia już na tę długość nie starczy; i tak z każdym przedmiotem fizycznym czy umysłowym. Podobnież przyczyna względna, drugo lub trzeciorzędna, tą samą drogą naprowadza pojęcie przyczyny pierwszej, bezwzględnej. Któż w stanie jest temu zaprzeczyć,

pomimo, iż nauka z bezwzględnościami, nie pojawiającymi się w świecie doświadczalnym, nie ma i nie może mieć nic do czynienia? Przedstawiają się też one umysłowi nie jako fakta, lecz jako symbole, ale przedstawiają się uparcie i powszechnie. Na to nic nie poradzi, i myśl ludzka od czasu do czasu chwyta się na ich tle wniosku. Nie znam świetniejszego wywodu ontologicznego nad ten, jaki w swym „Monologium” podał, siedemset lat temu, wspomniany S. Anzelm (rozd. I—IV), na który, po kilku jeszcze wiekach, powołują się, lub rachują się z nim tacy ontologowie, jak Kartezjusz, Leibniz i Hegel. W celniejszym ustępie brzmi on tak:

— „Ogromna różnaitość dobra (bonorum), jakie upatrujemy w mnóstwie istot według miary różnej, istnieć może tylko w moc pierwiastku dobroci, jedyne go i powszechnego, w którego treści (essentia) uczestniczą te istoty mniej albo więcej. Lubo dobro to ukazuje się pod postaciami rozlicznymi, w miarę czego i nazwy otrzymuje rozliczne,—czyli, mówiąc ściślej, lubo przymiot dobroci powszechny może się ujawniać pod postacią cnót drugorzędnych, jak: dobroczynności w człowieku, rączości w koniu, zawszeż cnoty te, jakkolwiek była-by ich liczba, rozwiązują się w pięknie i pożytku, które do dokładnej oceny przedstawiają dwie powszechne strony bezwzględnego pierwiastku — dobra. Pierwiastek ten z konieczności jest tem, czem jest sam przez się, i żadne z jestestw natury, którym przymiot ten przysługuje w pewnym stopniu, nie jest takim, jak on. Jest on więc dobrem najwyższem; a ponieważ pojęcie najwyższego dobra z konieczności pociąga za sobą pojęcie najwyższej doskonałości, pierwiastek ten nie może być bezwzględnie dobrym, nie będąc bezwzględnie doskonałym... Jeżeli z dobra tkwiącego w każdej rzeczy wychodząc, z konieczności przychodzimy do pierwiastku dobra bezwzględnego, z którego, niby tożsamość, wynika bezwzględna wielkość; nawzajem, od wielkości właściwej każdemu jestestwu, mierzonej nie przestrzenią, ale czemś lepszem, np. mądrością, przychodzimy koniecznie do pierwiastku wielkości, a tem samym i dobroci bezwzględnej... Taką samą indukcją wychodzić może z przymiotu bytu, należącego do wszystkich jestestw jakichbądź, a rozwiązującego się niezaprzeczenie, na podobnychże podstawach, w bezwzględnym pierwiastku Bytu, dzięki któremu bytują i one.. Jestestwa, znajdujące tym sposobem rację swą w bycie absolutnym, są zaiste natury rozmaitej, a nadto różnią się stopniem i godnością. Nikt przecież nie powątpiewa, że koń wyższym jest od drewna, a człowiek od konia; lecz ta różność godności nie może wytworzyć hierarchii natur bez kresu, i koniecznie wymaga natury w godności wyższej nad wszystkie inne; albowiem, w przypuszczeniu nawet kilku natur zupełnie w godności równych, już sam warunek ów, kto-

remu-by one (zapewne biskup ma tu na myśli dogmat Trójcy św.) zawdzięczały tę równość, byłby właśnie tą jednością najwyższą i najgodniejszą, — treścią, która, nie mogąc inaczej bytować, jak bytem własnym, utożsamia się z bezwzględnydm pierwiastkiem bytu, dobra i wielkości”.

Ten prosty, a w stylu naiwny nawet wywód, streszczający główne zasady traktatu „Monologium,” a dążący do uzasadnienia bytu Boga, poparty sławnym u metafizyków argumentem, mieszczącym się w „Proslogium” (rozdz. II i III), daje się ująć w następujący syllogizm, który pozwolimy sobie przedstawić, pomimo, iż p. Dzieduszycki do syllogizmów nie przywiązuje wartości dowodowej:

— Każdy umysł, drogą wnioskowania intuicyjnego, przychodzi do pojęcia istności pod każdym względem najdoskonalszej;

W pojęciu doskonałości mieści się także pojęcie bytu, gdyż inaczej istność żadna nie była-by możliwą: zatem, Istność bezwzględnie najdoskonalsza zawiera w sobie i byt bezwzględny, czyli bezwzględnie istnieje...

I oto jest argumentowanie przeważnej części ontologów, którzy tylko metodę Anzelmowską rozszerzyli i po swojemu urządzali.

Rozumie się całe to rusztowanie upada, jeśli umysłowi odejmiemy własność postrzeżeń intuicyjnych, czyli, jeżeli tu usuniemy premisę większą; ale wtedy ograniczyć się musimy doświadczeniem, które żadnych konkluzji bezwzględnych nie dopuszcza.

Autor nasz usiłował dojść do takiego samego wyniku przez przyznanie substancji własnej samym tylko podmiotom, duchom, ze wskazaniem ich źródła w substancji bezwzględnej, czyli w duchu najwyższym. Nie będziemy się powtarzać w ocenieniu, jak mu się to powiodło: dosyć, że stanął na gruncie, już teraz czysto spirytualistycznym. Odtąd też wszystkie jego kategorie bytu ostatecznie w Bogu rozwiązywać się będą, co nie przeszkadza autorowi rozbierać ich szczegółowo. Zgóry oświadczyć musimy, że rozbiór ten niczego nowego nie przedstawia. Kategorie Arystotelesa, pomimo, że Stuart Mill w swej „Logice” suchej nitki na nich nie zostawił, pozostały jednak w dzisiejszej wiedzy, tylko pod innym określeniem, gdyż istotnie wyminąć ich nie można. Zużyte i skarykaturowane przez Scholastykę średniowieczną, która z nich poczyniła czeze i płoche formułki (quid, cui, quomodo, quando...), przy tegoczesnej odrazie do ontologii, przeszły to do psychologii, to do logiki. I kiedy nauka empiryczna trzyma je tylko w granicach doświadczenia, p. Dzieduszycki, od zerwania z doświadczeniem konsekwentny sam z sobą, patrzy na nie oczyma intuicyi.

I tak: w nauce doświadczalnej rodzaje i gatunki (termina pozostałe po filozofii greckiej) oznaczają tylko pewien stopień klasyfikacyi,

ułatwiającej gruppowanie zjawisk zmysłowych, czy umysłowych, bez żadnych konsekwencji dalszych. Dla p. Dzieduszyckiego są to jeszcze owe *universalia*, nie substancje wprawdzie, ale wyobrażenia powszechne, narzucające się podmiotom, a których istnienia pojąć nie możemy inaczej, „jak uznając istnienie Boga, mającego wyobrażenia rodzajów“: i takie-to wyobrażenie nazywa się u niego idea. Choćby w tym jednym szczególe, widzimy, jaka bezdenna przepaść dzieli pojęcie ontologiczne rodzajów od ewolucyi, która w utworzeniu się ich widzi jedynie grupy jednostek, kształtujących się kolejno w moc jednakowych warunków i jednej cechy wspólnej. Podobnie rzecz się ma z czasem i przestrzenią. Nie są to, jak w tegoczesnej nauce, pojęcia abstrakcyjne bez rzeczywistego bytu, tylko przez rozważanie kolejności i jednoczesności nabyte, które psychologia empiryczna tłumaczy zmianami wrażeń, wywołujących zmiany w stanach świadomości, następnie się utrwalające; ale tu są to pojęcia apryoryczne i intuicyjne, stanowiące w podmiotach odbicie się wieczności, a odnośnie, bezmiaru istności Bożej. Czas zatem jest, według tej teoryi, możliwością powstawania wrażeń; przestrzeń—możliwością istnienia ciał i ruchów; zaprzeczenie *rzeczywistości* czasu i przestrzeni—zaprzeczeniem rzeczywistości wszystkiego, co wiemy: ale istnienie ich, ponieważ nie są substancjalnymi i własnego podmiotu nie mają, wtedy tylko zrozumieć możemy, „gdy uznamy, że Bóg, źródło wszelkiej rzeczywistości, pomyślał świat jawu w czasie i w przestrzeni, i świat ten nam w czasie i przestrzeni okazuje“. Wprawdzie wynik ten niedaleko wkracza za granicę katechizmu, ale przechodzi etap charakterystyczny, mający cechę, zdaje mi się, oryginalnego pomysłu autora, który odróżnia przestrzeń od bezmiaru, a czas od wieczności, i na tem nawet polega jego odróżnienie zdarzeń (rozumie zapewne to, co dawna metafizyka zwała *contingens* w przeciwstawieniu do *aeternum*) od idei. Czas (respective przestrzeń) jest u niego dla zdarzeń, dla ciał, dla podmiotów substancjalnych wprawdzie, lecz ograniczonych bytem ziemskim, czyli *duchów* połączonych z ciałem. Ale „mogła być chwila, w której nie było żadnych zdarzeń, ani umysłowych, ani zmysłowych, jeśli były wtedy same duchy poznające jedynie idee: gdy powstał duch poznający w formach czasu (któżby inny, jeśli nie człowiek?) zaczęła się kolej zdarzeń i z nią zaczął się czas; a jeśli kiedy wszystkie duchy będą poznawać (zapewne po wymarciu wszechistot), a raczej znać same tylko idee, nie będzie znów czasu, a wszystkie duchy będą wieczne“. — Słowem, czas wyszedł z łona wieczności—tak to sobie musimy tłumaczyć,—jak przestrzeń z łona bezmiaru, razem ze światem. Do tego i my nasze krytyczne spostrzeżenia ograniczyć musimy, ponieważ do podań autora o tem, co było przed stworzeniem świata i będzie po końcu świata, ze

swej strony nic dodać nie możemy, pomimo, iż ludzie „mawiali i mawiają dotychczas o początku i końcu czasu,“ a słowa te, jak utrzymuje autor (str. 137), nie są niedorzecznością. Do tej kwestyi powrócimy jeszcze.

Na takim tle autor przechodzi wszystkie postacie, w jakich ujawnia się to, co transcendentalnie nazywamy Bytem, czyli wszystkie kategorie, które częścią przejął, częścią sam poustanawiał. Dzisiaj, jak wspomnieliśmy, nauka, o ile które przydatne są dla jej celów, podciągnęła je pod psychologię albo logikę; i nie dziwnego: bytem, jako bytem samym, wziętym w oderwaniu od czegoś bytującego, ona się nie zajmuje, gdy ten właśnie dla ontologii jest wszystkim, i dla czego p. Dzieduszycki studjuje go szczegółowo pod wszystkimi względami i we wszystkich szczegółach, przy każdym względzie i szczególe, od doczesności i przypadkowości przechodząc do wieczności i absolutu, właściwie zaś mówiąc, te dwa ostatnie względy głównie go zajmują. Na kilku przykładach wykazawszy jego zasady i sposób postępowania, sądzę, że nie potrzebujemy odbywać przeglądu wszystkich jego kategorii bytu, których lista wynosi około dwudziestu, dla wykazania różnicy, jaką w poglądzie na też same zjawiska wyłobliła dzisiejsza filozofia realistyczna. W rozbiórce swych kategorii trzyma się autor ściśle wytkniętej linii, polemizując niekiedy z kierunkami materialistycznymi, niepotrzebnie tylko zbaczając tu i owdzie w stronę, nie mającą bezpośredniego związku z bytem, np. w stronę wolnej woli pod kategorią przyczyny; zboczenia takie bowiem, odwołując czytelnika od treści głównej, obalamucają, nasuwając związki pojęć niewłaściwe, jak ów, który kwestyę psychologiczną miesza z ontologiczną.

Ale to pilne rozpoznawanie bytu cząstkowego i zależnego w warunkach doczesności stanowi tylko przygotowanie do wejścia na wielką drogę, wśród której byt ma się ukazać „sub specie aeternitatis“.

### III.

Już pod kategorią „rodzajów i jednostek,“ zaznaczając, że umysł, grupujący zjawiska według pewnych cech głównych, przychodzi do coraz ogólniejszych wyobrażeń bytu, oświadczył autor (str. 122), że „takie wyobrażenie uniwersalne nazywa się Ideą“. Była to zapowiedź jakiegoś zbliżenia się do platonizmu, na tej podstawie, że jednostki giną, a przecież gatunek nie ginie, idea jego czuwa nad nim i ujawnia się wciąż. I oto byłby prawdziwy byt (nawiasem mówiąc, jest to podstawa wszystkich doktryn i systematów idealistycznych, począwszy od Platona).

Myśl tę, rzuconą przelotnie, omawia następnie jako wynik wszystkich rozważań dotychczasowych, i tu właśnie najjaskrawiej występuje przeciwieństwo jego punktu zapatrywania z realizmem filozoficznym. Dla tego ostatniego twórczynią zjawisk jakiegokolwiek natury może być tylko natura, kształcąca się według praw własnych i rządzących nią sił, w twory, w organizmy, w zjawiska wszelakie, których zgrupowanie i uporządkowanie jest prostem następstwem klasyfikacji naukowej, tak, że wyobrażenia, czyli ideje (lubo materializm nazwy tej unika) o zjawiskach, uogólnionych według jednostajnych praw i objawów, przychodzą a posteriori, jako strona ich czysto formalna. U p. Dzieduszyckiego odwrotnie: ideje, to nie forma umysłu, odpowiadająca grupie lub jednostce uwarunkowanej jednostajnością prawa,—one-to właśnie stanowią *rzeczywiście* istniejącą „możliwość“ wszystkich zjawisk, znamionujących istoty należące do pewnego naturalnego, a nie sztucznie tylko istniejącego, rodzaju“. To znaczy, że gdyby nie istniała rzeczywistość, t. j. realnie, idea jakiejś grupy, wyobrażająca możność powstawania zjawisk, zdolnych mieścić się w grupie naturalnej, zatem, gdyby nie wytwarzała ich ujawniająca się przez nie idea, to-by nie istniała i grupa, ponieważ nie istniały-by same zjawiska.

Czy czasem p. Dzieduszycki, milczeniem ruch pokrywając, a w stosownem miejscu (str. 120) rozjemczo występując w sporze między nominalistami i realistami, nie zwraca się obecnie ku realiom Platona? Jakżeż nie, skoro twierdzi w dalszym ciągu, że nasze pojęcie o jednostce lub grupie jest tylko „podobną idei bytującej po-za czasem i przestrzenią, ale (bytującej) rzeczywistość, jako *universale* myślane wiecznie przez Boga?“ Naturalnie, skoro Bóg, stwarzając, myśli a zatem stwarza idejami, mającemi pewną różnorodność, więc i jednostki układają się według tego programu, tak, iż każda, zmysłowa czy moralna, podpada pod swoją ideję, i stąd wytwarza się ów łańcuch naturalny rodzaj zjawisk, do którego poznania, w następstwie dopiero badań ad hoc przeprowadzanych, przychodzi nauka, by go w swej sztucznej klasyfikacji zamieścić. Znane nam ujawnienia idei (zatem fenomeny)—utrzymuje dalej autor—nie wyczerpują wszystkich ich możliwości, które istnieją i zawsze istniały w pojęciu wiecznem i Bożem, choćby się nigdy nie ujawniły; i nasz też duch ludzki dąży ustawicznie do poznania całej treści idei Boga, jako ideału naszego ducha, a kontemplacja Bóstwa była-by źródłem jego rozkoszy najwyższej (str. 199). Ależ to *Plato redi-vivus!* Nie chcemy zarzucać wyjątkami, lecz całą poglądów tych treści z największą łatwością znajdziemy rozrzuconą w Filebie, w Biesiadzie, Fedonie, Republice, w tych, z niezem pod względem kolorytu nieporównanych dyalogach, z których przekonywamy się, że ideje Pla-

tona to nie proste pojęcia umysłu, oderwane od rzeczy, lubo stanowiące istotne podstawy nauki i wiedzy, ale są to właściwe treści rzeczy, obejmujące to właśnie, co w zjawiskach jest rzeczywiście, wiecznym, powszechnem; i dla tego-to, jak za Platonem powtarza p. Dzeduszycki, ponieważ są wieczne i bezwzględne, mogą ujawniać się w rzeczach cząstkowo tylko, w sposób do zrozumienia trudny, ale nie wyczerpują się całkowicie. Istnieją oddzielnie od rzeczy, same w sobie, połączone pewnymi stosunkami, uporządkowane według stopni swych doskonałości, tworzą świat osobny, lecz nie różnią się od siebie substancjalnie: substancją ich wspólną, nadającą treść wszystkim, jest idea Dobra, a dobro, to Bóg. — Dobry więc wzór wziął przed się p. Dzeduszycki, tylko, jako inicjator, nic nam uowego w przedmocie idei nie przedstawił.

Po samem określeniu idei, oraz jej stosunku z jednej strony do zjawisk doczesnych, z drugiej do Boga, małe już na nas czyni wrażenie dość długi wykład autora o odwrotności stosunku, w jakim zostają idee o mniejszym lub większym składzie. Rzecz to już czysto logiki, i każdemu wiadomo, choćby z „Port-Royal“, że im grupa większa, tem więcej obejmuje, a za to mniej posiada żywej treści. Grupa ptak ma większą rozciągłość, niż grupa ptak drapieżny; ta większą, niż grupa orzeł; ale też idąc odwrotnie, grupa najmniej rozległa ma najwięcej znamion charakterystycznych; i to samo prawidło stosuje się do zjawisk umysłowych. O tyle to ma z ontologią związek, że występując od zjawiska pojedynczego, przechodząc przez coraz liczniejsze uogólnienia, zatracające część znamion indywidualnych, dochodzimy do pojęcia samej już tylko Idei wszechzjawisk, pozornie głuchej, a w gruncie obejmującej Byt absolutny.

Za ideą idzie ideał, którego ujawnienie jest celem, treścią i racją wszystkich na świecie istot, za wskazówką daną stworzeniom przez Stwórcę. Dążą one do tego celu, ale dla braku w doczesności odpowiednich warunków, zupełnego ujawnienia ideału wiecznego osiągnąć nie mogą, tak dobrze jestestwa zmysłowe, kształcające formy swe i siły organiczne, jak duchy ograniczone, doskonalące swój umysł, uczucia i wolę. I ten, nie inny, ukazuje autor cel wszechświata.

Po zamknięciu książki otrzymaliśmy od niej wrażenia echa wielu przeczytanych rozpraw moralistów francuskich — ze szkoły spirytualistycznej, w rodzaju Janeta i Caro, którzy usiłowali przeciwdziałać rozszerzającym się wpływom doktryn materialistycznych na myśl społeczną. Tamci polemizowali; nasz autor przeciwnie. Ogólnikowo zaledwie gdzieś dotknie widoków z jego poglądami sprzecznych, ale żadnej teorii wrogiej spirytualizmowi śmiało w oczy nie zagląda, za bary się z nią nie bierze; rzecz swą, owszem, prowadzi tak, jakby



o niej nie wiedział, nie słyszał, lub jakby go nic nie obchodziło, że przed nim, obok niego, doktryny przeciwne zawodzą szalony taniec i w wir swój porywają tysiące. Nie przygotował w swym wykładzie odpowiedzi na żaden tysiąców tych zarzut, i książka też jego stoi tak odosobnioną, że ktoby chciał nawet ująć z pod wpływu rozumowań wdrażanych przez głosy odmienne, daremnie kołatał-by do niej: zamiast broni w toczącej się walce, znajdzie tylko jednostronny komentarz sprawy, od wieków znanej a nigdy zupełnie zwycięskiej.

Nie potrzebujemy dowodów, iż książka p. Dzieduszyckiego z nauką w znaczeniu ścisłym nie ma żadnego związku. To jednakże nie ubliża jej wcale. Nauka, ze swymi metodami ścisłymi, jest także jednostronną. Silna, niezwalczona, niedostępna w swej twierdzy strzeżonej szaniami doświadczenia, nie zważa na rozległe po-za doświadczeniem pola aspiracji i oczekiwań wielkich mas ludzkich, żadnych rozwiązania zagadki świata, i śmieje się z nich, przez co budzi nieufność, sprawia to, że spragniony wzrok tęskniących zwraca się w inną stronę, odwrotną. Ale myśl szeroka tem się właśnie odznacza, iż unika krańcowych ostateczności, wyszukuje sposobów pogodzenia. Pomimo wszelkich wstrętów nauki ścisłej, ludzie dla własnego orientowania się, co większa, dla własnego szczęścia, szukać będą rozwiązań, jakich im nauka odmawia; nie znajdując drogi wiodącej szlakiem ubitym i nieprzerwanym, będą przeskakiwać przeszkody, zbaczać, ale od tego zadania nankowego nie odstąpią, po-za metodami doświadczalnymi wytwarzając dyalektyczne.

Jest zatem zawsze miejsce dla tego rodzaju książki, jak ta, z której zdaliśmy sprawę i której treść wdziera się po-za granice metod doświadczalnych. Ale i taka musi zachować w wywodach swojego rodzaju ścisłość, której ta nie zawsze przestrzega. Bez wielkiego zapewne nacisku przyznał-by się autor, że, przystępując do rozpoznania istoty bytu, nie miał się pracy jako badacz niezależny od wszelkich opinii uprzednich, jako myśliciel bezstronny, gotowy iść za wynikami krytycznie prowadzonych poszukiwań i wniosków; ale przystąpił do niej z zamiarem powziętym z góry, z gotową konkluzją, do której można tylko dorabiać przesłanki. Nie dziw też, że nie w jednym razie, bez należytego przeprowadzenia dowodów, przechodzi do wyników, do których mu pilno; sprowadza na grunt swój zastępy duchów, nie wylegitymowawszy się dostatecznie z ich pochodzenia. aby po tych szczeblach czempredzej dostać się do ducha najwyższego. Wywołuje go narazie mocą fantazyi raczej niż argumentów i sądzi, że dokonał wszystkiego. Ale wykazaliśmy już poprzednio, że nic łatwiejszego, jak sposobem intuicyjnym od bytów względnych przejść do słownego pojęcia

cia bytu bezwzględnego, czyli Istności, która, według świadectwa Biblii, wyrzekła o sobie: Ja jestem, który *jestem*.

Inaczej słowny wynik ten przedstawia się w zwierciadle analizy. Powstanie bytu, czyli świata, tłumaczyć można trzema przypuszczeniami: świat *istnieje* sam przez się; świat *stwarza się* sam przez się; świat *powstaje* mocą potęgi zewnętrznej. Chodzi o to, czy umysł ludzki, w stanie swoim dzisiejszym, tak łatwo pojąć jest zdolny każde z tych trzech przypuszczeń. Co do pierwszego: Istnienie samo przez się znaczy to byt niezależny od jakiegokolwiek innego przez inny nie wywołane; czyli mieści ono pośrednio zaprzeczenie stworzenia. Wyłączając więc z takiego istnienia pojęcie przyczyny uprzedniej, nie dopuszczamy zarazem pojęcia początku, jak to właśnie czynią ateusze, gdyż pojęcie początku, nasuwające myśl, że był czas, w którym byt jeszcze się nie począł, pociągało-by za sobą przypuszczenie, iż początek bytu był czemś spowodowany, miał jakąś przyczynę istniejącą przed nim, co w tym razie krzyżowało-by się logicznie. Byt sam przez się istniał tedy bez początku, i pojęcie bytu samego przez się jest pojęciem bytu bezpoczątkowego. Pytamy teraz wszystkie umysły, odwołujemy się do najtranscendentalniejszych: czy jest wysiłek myśli, który-by do takiego pojęcia przyjąć mógł. Można to wyrazić słowami; ostatecznie oznaczyć formułą matematyczną, znakiem; ale ani myśl, ani wyobraźnia, na realne pojęcie takiego bytu bezpoczątkowego nie starczy. Nie dosyć na tem; przypuśćmy, żeby starczyła: to i tak ów byt sam przez się pod żadnym względem nie jest zdolny wytłumaczyć świata. Istnienie jakiegoś przedmiotu w chwili danej staje się zrozumiałem w następstwie odkrycia, że przedmiot ten istniał godzinę temu, dzień, miesiąc? Bynajmniej. Skoro mi więc istnienia jego obecnego nie tłumaczy istnienie przeszłe przez czas określony, to próżno-bym istnienie to przeciągał wstecz w okresy nieskończone: zagadki ku rozwiązaniu nie posunę ani na grubość włosa. Hypoteza więc ateistyczna nie tylko jest niezrozumiałą, ale choćby i nie przechodziła granic naszego pojmowania, jako tłumaczenie świata jest do niczego.

Nie lepiej wygląda i przypuszczenie samostwarzania, czyli pan-teizm. Można wprawdzie zrozumieć kolej okresów (ewolucję), przez które przechodził świat, nim doszedł do formy dzisiejszej, mocą warunków już sobie przyswojonych; ale samostwarzanie znaczy to istnienie możliwe (in potentia), które skutkiem parcia wewnętrznego staje się istnieniem rzeczywistym: niechże więc znajdzie się kto, co-by sobie wyobraził *był możliwy*. Pomimo największego wysiłku abstrakcji, może go sobie tylko wyobrazić, jako coś, a to coś będzie już bytem rzeczywistym, choćby w postaci najskromniejszej. Z drugiej strony choćbyśmy i zmusili umysł do wyobrażenia sobie bytu możliwego, w przeciwstawieniu do bytu istotnego, kwestya, zamiast postąpić, cofnie się jesz-

eze, bo zajdzie pytanie: skąd się ten byt możliwy wziął, ażeby stawać się bytem istotnym, czyli pytanie początku, które się ukazało zaraz przy pierwszej hipotezie o rozwiązaniu niemożliwym, i popychało-by do trudności coraz większych.

Stworzenie za pomocą mocy zewnętrznej, wprowadzając przyczynę i początek faktu, daje umysłowi zadowolenie logiczne: proces taki zrozumie i dziecko. Dlatego też przyjęły go wszystkie religie kosmologiczne i teistyczne; dlatego na nim opierają się wszystkie systematy filozoficzne, z wyjątkiem materialistycznych, a miliony fakt ten popierają racją, w której wiara służy za argument; i gdyby *consensus gentium* wystarczało za wszystkie dowody, rzecz nie potrzebowałaby dalszego dochodzenia. Potrzebuje, niestety, po-za obrębem wiary, skoro od wieków zapisano o tem biblioteki całe: i oto nowe świadectwo w książce, którą mamy przed sobą. Rzeczywiście, to pojęcie stworzenia, pozostawione samej psychologii ludzkiej, nie mniej przedstawia dla umysłu trudności od poprzednich przypuszczeń, przypuszczeń, z którymi i nasz autor wcale się nie obliczył. Ułożyć, jak powiedziałem, syllogizm, rzecz nader snadna, ze strony logicznej zadawalająca. Ale gdy po tem zadowoleniu spojrzysz się w oczy samej kwestyi, niebawem czoło się zachmurzy. Z niechęcią kreślę te słowa, które, po czterdziestu latach pilnego wglądania w przedmiot, występują z pod pióra, jako dowód trudności napotykanych w umysłowym rozwiązaniu sprawy, którą serce ukochało; trudności, o które rozbiły się poglądy najbystrzejsze. Sprawa na zimno przedstawia się tak: Przed stworzeniem istnieje stwórca: w moc czego? Wszak nie możemy być niekonsekwentnymi, i wobec kwestyi samoistnienia, wykazawszy jej nieudolność brakiem wylegitymowania się z początku istnienia, nie mamy prawa i tu trudności tej pomijać; a więc musimy znowu odsyłać początek w dal nieskończoną, której pojęcie przechodzi umysł, zatem rozwiązania mu nie daje. Przechodzimy przez tę trudność, występuje inna. Istnieje potęga twórcza: zatem tworzy. Ale kiedy? Jeżeli razem z chwilą swego jawu, to w tym właśnie początku dla nas niepojętym. Jeżeli w granicach czasu określonego, to przedtem była tylko *możliwie* twórczą, nie aktualną, czyli wchodzimy w nierozplątalność hipotezy poprzedniej. Nadto, musimy uznać przyczynę tworzenia, która zjawiała się w czasie. Naturalnie, musi to być przyczyna pierwsza, absolutna. I tu natrafiamy na sęk nie do rozbicia, nawet dla logiki samej. Przyczyna pierwsza, jako pierwsza, powinna nietylko mieć formę bytu niezestosunkowaną koniecznie z formą bytu inną, ale i wewnątrz siebie żadnego stosunku koniecznego mieć nie może; musi być absolutną. Gdyby bowiem istniało w niej coś takiego, coby jej nakładało te konieczności i ścieśnienia, byłoby ono wyższem od przyczyny pierwszej, co jest nie-

doręcznością. Akt tworzenia w czasie określonym rujnuje te warunki i przyczynę pierwszą sprowadza na stanowisko przyczyny drugiej. Popularniej mówiąc: Bóg, który istniał sam dla siebie, został *spowodowany* czemś do tworzenia; a choćby to nastąpiło z dobrej woli, uznał, że lepiej będzie stwarzać, czyli, że przedtem nie był doskonałym, nie był Absolutem.— Nie dosyć na tem. Bóg stwarza świat: z jakich materiałów? Znowu umysł okrywa się mrokiem. Materya, istniejąca przed stworzeniem dowodziła-by czegoś istniejącego na równi z Bogiem. Materya, wyprowadzona z niczego, zagwaźdza umysł tajemnicą; wysnuta z łona samego twórcy, przenosi nas do panteizmu. Trudności występują dotkliwiej jeszcze, gdy od materji przejdziem do przestrzeni. Istniał przed światem ta bezmierna próżnia?... to skąd się wzięła? Ażeby teoria stworzenia była zupełną, odpowiedzieć powinna, że i przestrzeń powstała w taki sam sposób, jak materya; ale niepodobieństwo takiego sposobu powstania przestrzeni tak widocznem jest, że nikt nie podejmie się twierdzić. Jakoż, jeśli przestrzeń dopiero została stworzoną, to przedtem nie istniała, a czy jest kto zdolnym pojąć *nieistnienie* przestrzeni? Pomyślmy!... Całe doświadczenie umysłowe życia przekonywa, że przestrzeń, obejmująca nas ze wszystkich stron, na sekundę nie może być z umysłu wyrugowaną; zmuszeni jesteśmy myśleć kategorią przestrzeni, jako wszechobecnej, a ani w obecności ani w przeszłości lub w przyszłości pomyśleć jej niebytu niezdolni; zatem jak niebyt przestrzeni, tak i stworzenie jej jest dla nas niepojętem.

W dalszym ciągu teorii tej, choćby się nawet udało trudności te przełamać i przyczynę pierwszą, absolut, byt bezwzględny, słowem Boga, jasno wykazać umysłowi, jako stwórcę świata—pozostaje określić ów nader subtelny stosunek dalszy stworzenia do stwórcy; i tutaj to dopiero jeżą się trudności, na których kark złamał nawet tak genialnie pomyślany system metafizyczny, jak Kartezjusza.

Wiara wszystkie tet rudności trzeciej naszej hipotezy pomija, albo je obchodzi. Odkąd ludzkość otrzymała objawienie zbiorowe, że stwórcą świata jest Istota wszechmądra, wszechpotężna i osobowa; odkąd zwłaszcza, dla zaświadczenia tej prawdy, popłynęły ciężkie i wielkie ofiary, podejmowane z niesłychanym i nadludzkiem zapałem; strona formalna kwestyi dla mas społecznych zesła na plan bardzo daleki. I czyż w tem *consensus gentium*, w tej powszechnej wśród najcywilizowanych narodów sympaty do teorii *nieznanego* Boga-Stwórcy, tak świetnie jeszcze przez Płatoną za Sokratesem zapoczątkowanej, nie ma być ani cząstki prawdy? Jeżeli my, w obecnym stanie naszego umysłu, nie możemy jej sobie dowieść metodą racjonalną, albo jeżeli umysł nasz z natury swej nie jest zdolnym do natrafienia na metodę odpowiednią; to

jeszcze nie racya. Ta wszakże powszechność sympatyj ku idei Boga-Stwórcy nie może być odrzuconą, jako rzecz nie mająca, nie powiadam już dla stosunków moralnych, ale wprost dla myśli ludzkiej, żadnego znaczenia. — Już długie a mozolne zastanawianie się nad tą sprawą wykazało, że istnienie świata, samo przez się, lub samostwarzanie, są teoryami niedopuszczalnymi (zob. H. Spencera „First principles“ roz. II. § 9). Pozostaje teoria trzecia, wprawdzie również dla umysłu przedstawiająca trudności, ale popierana instynktownem czy intuicyjnym zdaniem milionowej falangi ludzkiej. Zastanawianie się to wykazało nadto już nawet prawdę niezbitą, że u kresu jego stoi.. tajemnica. Gdyby nam ją odkryto, dla wiary nie zostało-by nic.

I już w ostatnich czasach powiedziano sobie: dajmy pokój tajemnicy! Doba rozwiązań teologicznych i metafizycznych minęła, nastąpiła doba poszukiwań naukowych, pozytywnych. Powstał w tym kierunku ruch nowy, płodny w następstwa dla umysłu; niebawem jednak spostrzeżono się, że umysł nie wyczerpuje całego człowieka, że on, mimo zadowoleń z postępów wiedzy, nie przestał sobie zadawać pytań: kto ja jestem? po co tu jestem? dlaczego nie mogę poprzestać na prostem poświadczeniu, że jestem? nie pytając o resztę. Odpowiedzi pokazały się nie bardzo zaspakajające. Niktóre poszły w kierunku pesymistycznym, szepczącym o nirwanie i sposobach zatamowania biegu życia (Meinländer, Hartmann). Inne wypadły gorzej jeszcze, bo w kierunku gwałtownej demoralizacji, której echa rozbijają się wzdłuż i wszerz całej Europy, wbrew zapewnieniom, że usunięcie rozwiązań teologicznych i metafizycznych, pozbycie się przesądów, powagi, tradycji, sumienia, a wprowadzenie czystego racjonalizmu, oświeci, oczyści, udoskonali i podniesie indywidualność ludzką. Dla zmiany, zamiast czci Boga, wprowadzono na próbę cześć Szatana...

Doznawszy zawodu z tej strony, nic dziwnego, że człowiek, którego natura w gruncie się nie zmieniła, powoli wykonywa ruch zwrotny ku dawnym ideałom, których korzyści zaprzeczyć nie może, o ile znane mu są dzieje umysłu ludzkiego i cywilizacji. Tajemnica?.. a więc tem lepiej. Nic bardziej nie nęci umysłu, jak tajemnica. Nie trzeba się zniechęcać.

Zapewne, i nie my to będziemy odstręczać, spychać z tej drogi, uczęszczanej przez tyle umysłów szlachetnych, a tak szczerze miłujących ludzkość i prawdę. Rozmyślenia metafizyczne, dobrze prowadzone, zdolne są zawsze do wysokiego stopnia zainteresować umysł, a nawet przynieść mu rozkosz; a mają tę dobrą stronę, że choćby nie zadowolniły, nigdy go nie skrzywią. Z przyjemnością też powitamy każdą książkę, jaka się w tym kierunku ukaże, w naszym zwłaszcza piśmien-

nietwie, mało obfitującym w prace oryginalne, wśród których nie obezszło się i bez bredni metafizycznych.

I książce p. Dzeduszyckiego zawdzięczamy przyjemną chwilę zwrotu do niegdyś umiłowanych studyów. Dziwi nas niemniej, iż pisarz tak wyprobowany, do rzeczy tak skomplikowanej, jak Ontologia, przystąpił w tak szczupłym ryszunku. Założył sobie rozwiązać problemat bytu i zdobyć ideę Boga, zamkniętą w jego twierdzy, a doszedł tylko do przekopów, i fantazyi kazał przenieść się we wnętrze. Czyż naprawdę autor „Rozmyślań“ o pewności ludzkiego poznawania sądził, że podstawienie zjawiskom zmysłowym substancji Bożej odsłoni tajemnicę stworzenia, a więc i bytu świata? Jeżeli tak jest, rad będę, gdy bliższem określeniem tej tajemnicy dla naszego umysłu poznawalnego, jakie uczyniłem, zdołam go wyprowadzić z błędu. O trudnościach jeżących się około tej tajemnicy autor powinien był wiedzieć i stosownie do tego zaopatrzyć się w ryszunek, bynajmniej jednak nie ze sfery doświadczalnej, bo narzędzia z tamtej strony raczej kaleczą rękę, niż ją uzbrajają: te trzeba mieć tylko dla siebie, ażeby wiedzieć, jak je zobojętnić. Kwestye empiryczne i ontologiczne nie po jednej, ale po drogach idą równoległych, które, niby w geometryi, spotkać się mogą, lecz tylko w punkcie nieskończenie odległym. I spotykają się, a tym punktem zetknięcia się obojga jest właśnie owa tajemnica bytu.

Jeżeli za okoliczność łagodzącą dla p. Dzeduszyckiego przytoczyć można, iż nie on pierwszy, i nie ostatni zapewne, nie osiąga w zupełności celu, do którego przystąpił, to pozostać winno uznanie nie tylko za zaopiekowanie się sprawą obchodzącą ogół, ale i za treść samą, której szczegóły pomnażają wiadomości czytelnika nieobytego z przedmiotem, a obytemu nastroczają myśli niepoślednie.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

---

---

## Ja tobie dałam pieśni czar...

---

— „Ja tobie dałam pieśni czar, i słowa  
Brzące podźwiękiem srebrzystym, jak dzwony,  
Rozpłomienione, jak jutrznia różowa  
I tak skrzydlate, jak ptak rozciągniony  
Lotnemi pióry w podniebnym błękanie —  
A ty się skarżysz na swe smutne życie?!

Ja tobie dałam wszystko, co dać mogę  
Tym, co miłują mnie i we mnie wierzą:  
Mój ból ci w serce włożyłam na drogę,  
Iż krwi twojej tętna ilekroć uderzą,  
Tyle w nich razy moje serce bije —  
A ty się pytasz: dla kogo ja żyję?!

Szczyścia własnego chcesz i własnej sławy?  
Ręce wyciągasz, choć sam nie wiesz—za czem,  
I w przyszłość własną wzrok wyteżasz łzawy?  
A dusza twoja, wzbierająca płaczem  
I rozżalona, jak słaba dziecina,  
O swe wiośniane sny się upomina!

Zagon twój czeka i dzień jeszcze duży,  
A tobie ręce już mdleją przy sierpce? —  
Kto mnie chce służyć, niech mnie tylko służy,  
Niech nie ustawa cierpiąc, jak ja cierpię. —  
Wstań, otrzyj czoło z ogrojcowych potów,  
Wstań i czynź swoje milcząc...“

— „Otom gotów!“

LUCYAN RYDEL.



# Z P Ó L.

---

Patrzę i patrzę na ogromne łany,  
W ciszę słoneczną, gdzie nad morzem kłosów  
Stoi rozwarły błękit nieba szklany —  
Gdzieś po-za krawędź tych białych niebiosów  
I pól, podobnych rozlanemu złotu,  
Chciałbym tak odejść precz — i bez powrotu;

Bo tu gdy jestem, coś mi w sercu rwie się,  
Tak smutnie ku mnie szumią kłosne żyta,  
Wiatr białe puchy polnych ostów niesie  
I każda wierzba przydrożna mnie pyta:  
— „Pamiętasz? Dawniej byłeś tu szczęśliwszy!“ —  
I muszę płakać, twarz w dłoniach ukrywszy.

Bławatki na mnie patrzą z pośród zboża  
Okiem z szafiru — i maki czerwone,  
Jakby mówiły: „Choćbyś szedł za morza,  
Gdziekolwiek pójdziesz, w każdą świata stronę  
Zabierzesz serce krwawiące i chore!“  
— Prawda — zabiorę, krwawiące zabiorę.

LUCYAN RYDEL.

---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

Prace filologiczne wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom IV i V, zesz. . .

Pokażna to książka ten tom IV, z 1000 blisko stronic złożona, a wypełniona od początku do końca rzeczami, które nietylko specjalistę, ale każdego miłośnika języka zająć mogą. Zaraz pierwsza rozprawa p. *Michała, Rowińskiego* zatytułowana skromnie: „Uwagi o wersyfikacji polskiej“, dotyka sprawy u nas zupełnie prawio odłogiem leżącej, a wnikającej głęboko nietylko we właściwości formalne naszej poezyi, ale nawet w język prozaiczny, i to więcej, niż kto na razie przypuścić potrafi. Po przedstawieniu motywów, jakie autora skłoniły do podjęcia pracy w tym kierunku, mamy „Pogląd na prace dotychczasowe“, w którym ugrupowawszy prace Nowaczyńskiego, Elsnera, Królikowskiego, Ostrowskiego, Jenikego, Mateckiego, Cegielskiego, Bruchnalskiego i Kawczyńskiego, nazywa pierwszych pięciu grupą reformatorską, dwu dalszych szkolną, ostatnich dwu historyczną, i pierwszej i drugiej grupie odmawia niemal zupełnie wszelkiej wartości, trzeciej wykazuje braki, ale zaznacza wielki postęp. Potem następuje cz. I ogólna, w której zastanawia się autor nad „mową wiązaną i niewiązaną“, i nad „sposobem objawiania się rytmu w poezyi“; w cz. II „porównawczej“.

charakteryzuje metrykę grecką, rzymską, z nowszych: romańską, germańską, słowiańską, poświęcając w tej ostatniej specjalne miejsce metryce wielkoruskiej, małoruskiej, a w końcu czeskiej i madjarskiej (?). Część III dopiero obejmuje rzecz właściwą o „wersyfikacji polskiej”. Tu autor zaznacza najpierw, że zasady ogólne nie zmieniły się u nas od zawiązków piśmiennictwa aż do dni dzisiejszych, zastanawia się nad materiałem rytmicznym w polszczyźnie, t. j. nad akcentem i jego prawami, nad zgłoskami i ich liczbą, i dochodzi do wykazania zasady, że poeci nasi dla wytworzenia mowy związanej „liczą zgłoski w pojedynczych wierszach, w każdym wierszu wyznaczają stałe miejsce przynajmniej dla jednego akcentu, w dłuższych zaś wierszach używają ściśle określonych średniówek, przez co się i liczba stałych akcentów powiększa”; dla urozmaicenia zaś rytmu, „oprócz pewnych ściśle umieszczonej akcentów, inne akcenty rozstawione są z większą lub mniejszą swobodą, średniówka zaś a z nią i stałe akcenty mogą być posuwane to ku przodowi, to ku końcowi wiersza, a sama ilość średniówek nie jest ściśle przywiązana do takiej lub owakiej długości wiersza”. Po wykazaniu tych zasad, przegląda autor różne formy wiersza polskiego, zastanawia się nad kwestyą swojskości wierszowania polskiego (i dochodzi do wniosku, że ono jest swojskie), w końcu nad wierszami miarowemi, „które stanowią przedmiot najgorętszych pragnień ze strony ich zwolenników, a stoją w najwyraźniejszym przeciwieństwie z pospolitemi formami wersyfikacji polskiej”. O heksametrze, jakiego próby tylko mamy tak w oryginalnych utworach, jak przedewszystkiem w przekładach, twierdzi, że „żaden nie jest w stanie zadowolić zupełnie ani bezwiednego uczucia rytmicznego, ani wymagań teorii”; w innych rodzajach, t. zw. miarowych wierszy, widzi więcej sztucznego uprzedzenia, niż rzeczywistej miarowości, i kończy zdaniem, że miarowość jest bardzo dobrą i chwalebłą, ale „obok niej powinniśmy uwzględnić i te prawa, których się trzymał już Rej i Kochanowski”, (a oni heksametrów nie kuli!) — a więc „w wierszach dłuższych nad ósmiozgłoskowe przestrzegać stałej średniówki, lub przynajmniej dwu stałych, wyraźnych akcentów” — i unikać monotoności.

Piękna ta rozprawa, która powinna odtąd tworzyć punkt wyjścia dla wszystkich prac dalszych w tym przedmiocie, nie jest wolna przecież nawet od błędów zasadniczych, które jej przy innych wielkich zaletach przecież ujmę czynią. Pierwszą wadą jest zupełne pominięcie stosunku rytmiki w ogólności, a w szczególności polskiej, do rytmiki muzycznej, a naszym zdaniem tylko oparcie pierwszej na drugiej wyjaśnić zdoła wiele wątpliwości i pozwoli wykryć prawa rzeczywiste i pewne. Za drugą wadę poczytujemy autorowi małe uwzględnienie

rytmiki ludowej i jej stosunku tak do rytmiki Reja, jak Kochanowskiego i jego następców, obok wpływu metryki klasycznej; nie ulega bowiem wątpliwości, że jeżeli nasza wersyfikacja, pomimo wpływów klasycznych, ma przecież charakter swojski, to zawdzięcza to tym rodzimym, od wieku XVI niezmiennym, pierwiastkom rytmicznym, jakie ma w sobie muzyka i rytmika ludowa. Z drobniejszych usterek wytknąć musimy postawienie w jednym szeregu z wersyfikacją słowiańską wersyfikacji madjarskiej i to obok i razem z czeską! To, co autor na usprawiedliwienie się podaje, że posiadają wspólne właściwości fonetyczne, bo „zarówno Czesi jak i Madjarzy kładą akcent zawsze na pierwszej zgłosce słowa, lub nawet całego wyrażenia, a prócz tego u obu tych narodowości utrzymuje się jeszcze iloczias”, — to mogło upoważnić autora chyba tylko do nawiasowego lub dodatkowego, osobnego wspomnienia o metryce madjarskiej, — jeżeli już bez tego obejść się nie można było, — ale nie do łączenia tych rzeczy razem, bo w takim razie przekracza się granice jednolitości i pokrewności przedmiotu. Że autor posługuje się przy omawianiu metryki nowożytnej jeszcze schematami metryki klasycznej (v —), temu się mniej dziwimy, ale może był-by czas wyzwolić się z pęt przyzwyczajenia i bez trudu zresztą zastosować schemat akcentowanych i nieakcentowanych zgłosek (∟/).

Drugą pracą bardzo doniosłej wartości jest rozprawa p. *Gabryjela Korbuta*: „Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym”. Wiadomo, że każdy język ulega w mniejszym lub większym stopniu wpływom języków postronnych, i to o tyle znaczniejszym, im stosunki wzajemne dwu narodów różnojęzycznych są dłuższe i ściślejsze. Stosunki polsko-niemieckie należą właśnie do tych, które sięgają odległej, nawet zamierzcłej przeszłości, pierwszych związków państwowych i brząsków chrześcijaństwa, stąd to nie dziwne, że śladów kultury zachodniej u nas szukać należy nie gdzieindziej, jak tylko w słownictwie wyrazów przyswojonych z języków: niemieckiego, włoskiego i francuskiego. Co do pierwszego z tych języków, więcej dotychczas domyślaliśmy się, aniżeli na pewno orzec mogliśmy; dzięki pracy p. Korbuta wyłaniamy się z dziedziny przypuszczeń i wchodzimy na realny grunt prawdy naukowej. Rzecz całkiem zrozumiała, że wyczerpanie materiału, do tej kwestyi się odnoszącego, jest choćby z tego względu niepodobne, iż wpływ ten działa i dzisiaj, a zatem, że się ma do czynienia z faktem żyjącym, a nie historycznie skończonym; nie można też i tego pominąć, że na wyzyskanie wszystkich źródeł jednostka nawet porwać się nie może, choćby całe swe życie tej jednej poświęciła sprawie. Ale i to, co p. K. podaje, zdumiewa ogromem i daje o młodym pracowniku nader chlubne świadectwo.



zależne od innej redakcyi czeskiej, złe zrozumienie tekstu łac. u Zabł. lub w szarospat. biblii. Szan. autor wyraża przekonanie, że między biblią szarospatacką a biblią Zabłockiego niema bliższego związku genetycznego, ale że za wzór przekładu polskiego służyła jakaś inna redakcyja staroczeska biblii. Do bliższego badania i nagromadzenia przykładów porównawczych ma ta rozprawka zachęcić.

Tego samego zabytku w. XV dotyczy rzecz p. *T. Wierzbowskiego*, p. t. „Nieznany fragment Biblii Królowej Zofii”. Jest to urywek pro-roctw Jeremiasza, zawarty na jednej karcie pergaminowej, znajdującej się w bibliotece miejskiej we Wrocławiu. Autor opisuje tę kartę, podaje ścisły jej przedruk i podobiznę litograficzną. Na podstawie swego odkrycia wnosi, że dadzą się może i inne karty tego zabytku odszukać, jeżeli się będzie zwracało baczną uwagę na pergaminowe okładki dzieł z drugiej połowy w. XVI i pierwszej XVII.

A skoro już o zabytkach mowa, to lepiej może będzie zarazem nadmienić, że zasłużony w dziedzinie zabytków językowych, profesor *Brückner*, podaje z rękopisów petersburskich opis jednego z najciekawszych zabytków z pierwszej połowy w. XV: „Kazania husyty polskiego”. Nie są to właściwie kazania, ale postylle czyli wykłady ewangelii św. Autorem ich był jakiś pleban miasteczkowy, który posiadał znajomość czeszczyzny, a może i kształcił się w Pradze i stąd owe naleciałości husyckie. Na polszczyznę tego zbioru składają się całkowite teksty, (jak dekalog rymowany, *Salve regina*, dziesięścioro przykazania prozą, *Ojcze nasz*, *Zdrowaś*, *Wierzę* i drobniejsze wiersze) nadto glossy nad wyrazami łacińskimi, lub w tekście zamiast słów łacińskich. Teksty te i glossy wydawca podaje w przedruku wiernym, z zachowaniem nawet błędów (o których ostrzega), poczem następują uwagi nad językiem zabytku, zupełnie wystarczające i umiętnie ugrupowane.

Z tego samego źródła i innych, podaje prof. B. w zesz. I t. V, przyczynki do średniowiecznego słownictwa polskiego. Złożyły się na nie t. zw. *rosarii* albo *granarii*, t. j. małe podręczne słowniczki, następnie zbiorki treści mieszanej, przygodne, zapisywane często na okładkach rękopisów, zbiorki nazw roślin i wyrażenia prawne. W ostatnim ustępie ocenia autor zestawiony materiał i podaje właściwości fonetyczne i morfologiczne, wartość leksykalną i wyszczególnienie wyrazów obcego pochodzenia.

Udalo się i p. *Rafałowi Lubiczowi* (*Łopacińskiemu*) zebrać dosyć sporą wiązkę zabytków języka staropolskiego: 1) Pieśń o Zwiastowaniu (96 wierszy) z melodyą; 2) Pieśń: „Zdrowa bądź Królowno” i glosy polskie; 3) Ułamek pieśni o W. W. Świętych (wierszy 12); wreszcie 4) Wstęp do Spowiedzi powszechnej i 5) Spis miejscowości w powiecie rypińskim w r. 1431. Wszystkie pochodzą mniej więcej

z połowy w. XV, ostatni tylko ma wyraźną datę 1431. Wydawca podaje bardzo szczegółowy opis rękopisów, sledzi za ich autorami i miejscem, gdzie powstały, podaje potem teksty w wiernym przedruku, zaostrzając je w uwagi językowe i rzeczowe bardzo skrupulatnie.

Ten sam wydawca znalazł za pośrednictwem ks. Prałata St. Chodyńskiego we Włocławku oprawiony razem z drukiem łacińskim z r. 1501 rękopis, pochodzący z końca w. XV, a zawierający „Regulę trzeciego zakonu św. Franciszka” na 17 kartkach, przełożoną z łacińskiego, prawdopodobnie w krakowskim klasztorze Franciszkanów. Zabytek to dosyć obszerny, starannie wydany i objaśniony.

Z włocławskiej biblioteki pochodzi również kilka innych muiej-szych zabytków, jak „Epistola manu Dei scripta” z r. 1521, Dekalog rymowany, obfite glossy, wokabularz łacińsko-polski z początku w. XV i nazwy botaniczne. Ze wszystkich tych zabytków wybrane osobliwsze wyrazy, zestawia wydawca w alfabetyczny słowniczek, objaśniając je porównawczo. Między ciekawymi wyrazami zaznaczamy *wiepił* (ego) przymiotnik, dotąd u górali podhalskich i bieskidowych w użyciu powszechnem; *olciennik* = rzemieślnik robiący okna; *ostroźnik* = robiący ostrogi; *pergamiennik* = wyrabiający pergamin; *rozporzysły* = mający rozporki; *welniarz*, *zębr* = tygrys i t. p.

W zeszycie 1 tomu V, zamieścił p. Lubicz jeszcze głosy polskie z rękopisu łacińskiego z żywotami Świętych, t. j. św. Wojciecha, św. Stanisława, św. Jadwigi i pięciu braci Polaków; dalej z kazań łacińskich z roku 1431, i z kilku innych rękopisów kazań łacińskich, z objaśnień kanonu, z tekstu ewangelii; dalej z 3 słowników łacińskich, i ze statutów synodalnych gnieźnieńskich. W zakończeniu podano złożony z tego słowniczek godniejszych uwagi wyrazów.

Do nowszych zabytków należy „Pieśń o św. Annie” (wiek XV), podana w zesz. 1 t. V, przez p. Teodora Wierzbowskiego, przedrukowana z okładki starego druku z r. 1488 i współcześnie napisana. Obejmuje ona zwrotek 4-wierszowych 24, czyli wierszy 96, a pod względem formy należy do udatniejszych.

Ten sam wydawca i w tym samym zeszycie podaje jeszcze z rękopisów Andrzeja Trzycieskiego przekład psalmu 67, bardzo wierny i poważny (wierszy 12); wiersz o śmierci Kacpra Bekiesza (wierszy 36), wreszcie bardzo ciekawą „skargę niewiasty na niestałość kochanka” (również wierszy 36), utwór wieku XVI, wpisany współczesną ręką w broszurę Goślickiego: „Witanie rad i stanów koronnych polskich” (Kraków, 1587).

Obok zabytków sporo spotykamy w tym tomie przyczynków do dyalektologii polskiej. I tak *Dr Bystroń* podaje dopełnienie słownika mowy szląskiej, opracowanej przed 10 laty, p. t.: „O mowie polskiej

w dorzeczni Stonawki i Łuczyny w ks. Cieszyńskim"; dołączając uwagi o słowotworze (tworzeniu wyrazów) w języku Lachów śląskich. Prof. *Malinowski* zestawia przykłady z gwar ludowych Galicji zachodniej, w których grupy spółgłoskowe: *trz*, *strz*, *drz* przechodzą na *cz*, *szcz*, *dź* (lub *dź*), np.: *trzeba* — *czeba*, *strzał* — *szczal*; *drzwi* — *dźwi* (lub *dźwi*). Ciekawa rzecz, że pomimo mazurzenia zwykłego *cz*, *dź*, te grupy spółgłoskowe pochodne wymawia, lub językowo-podniebienne, t. j. bez mazurzenia. P. *Błażej Pawłowicz* podał „Wyrazy gwarowe z okolic Tarnowa”. Z niezrozumienia wyrazów niektórych i ich pochodzenia autor podaje formy: *motowąż* zam. *matowąż*; *oflуска* lub *ochlуска* zam. *łoftuska*, (*łoktusa*); *patrák* (*śmieć*) zam. *patrok* lub *patroch*; *potwa* zam. *płatwa*; *skubel* zam. *skóbel*; *śniad* (*pień*) zam. *śniat* (u Reja); *zotelnik*, *zowojna*, zam. *zátelnik*, *zawojna*. Bardzo obfity „Słownik gwary ludowej w Tykocińskim” podał p. *Zygmunt Gloger*; o ile te wyrazy są wiernie fonetycznie zapisane, są bardzo ciekawe, bo dają nowy dowód, że lud polski, nawet na dwu przeciwnych granicach, ma podobne właściwości fonetyczne i wiele wspólnego zasobu w słownictwie.

Zeszyt 1 t. V przynosi w tym dziale „Słowniczek wyrazów ludowych ze wsi Jaksice“ w Pińczowskim przez p. *Zygmunta Wasilewskiego* zebrany; i „Przyczynek do słownictwa ludowego z okolic Krakowa p. W. Prackiego, zebrany w 20 miejscowościach zachodnio-północnej części W. Ks. Krakowskiego, a mieszczący wiele bardzo ciekawych wyrazów.

P. *Majewski* zebrał skrupulatnie „Nazwy ludowe kartofla” i stara się o wytlómaczenie „ich słoworodu”. Co do nazw, to pozwolilibyśmy sobie tu dodać nazwę *nacionka* u ludności polskiej w komitacie trenczyńskim na Węgrzech.

Poniekąd w zakres dyalektologii wchodzi p. *Łopacińskiego* „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego”, o ile są zbiorem „prowincjonalizmów”. Jako źle fonetycznie zapisane, a autorowi tak dostarczone notujemy: *bája* zam. *baja* (*a* otwarte), również jak *baldachin* nie *báldachin*, natomiast *chúby* (odzież, bielizna) nie *haby*; *zúducha*, *zúwitka* i *zúbrać sie*. Obfity ten zbiór jest istotnie cennym przyczynkiem i bogatym do nowego słownika.

„Uwzględnieniem narzeczy ludowych w gramatykach“ zajmuje się artykuł p. *Karłowicza*, podany w zes. 1\* tomu V, a wygłoszony na Zjeździe liter. we Lwowie w r. 1894. Rzeczywiście, uczyniono to już dawno w innych językach; u nas panuje niewzruszone przekonanie o niższości zepsutego (?) języka ludu, który nietylko jest kluczem do poznania wielu zjawisk języka staropolskiego, ale ułatwia poznanie języków słowiańskich. Czy jednak dało-by się spełnić życzenie szan. autora, aby uwzględnić gwary w książce szkolnej i wypisach, a nie



tylko w gramatyce umiejętniej — o tem nie tu miejsce dyskutować, ale wiele względów przemawia przeciw temu, a za pozostawieniem sprawy ustnemu stosownemu wykładowi nauczyciela.

Pisownią zajmuje się niezmordowanie prof. A. A. Kryński, a więc i ten tom zawiera jego „Wyjaśnienie kilku pytań z zakresu pisowni”. Chodzi między innymi o niepochylenie *e* (nie *ê*), o pisownię *móc*, *biec* nie *biedz*, o imiesłowy na *szy* bez *t* (szed<sup>szy</sup>), o przyswojone *historja*, *religja* nie *historja*, *religia*; *blizki*, *męstwo* nie *bliski*, *męstwo*, o *ym* — *im* w narzędniku l. poj. bez różnicy rodzaju a — *emi* w l. mn. również bez różnicy; o *ę* w bierniku l. poj. rzecz. żeńskich (*historję*, *poezję*, *lutnię*...), a zaimków *tę*, *owę*, *moję*, *naszę*... Wszystkie te z równą ścisłością i siłą przekonywującą zestawione dowody, mają jednak obecnie akademickie znaczenie; jakkolwiek tę sprawę załatwiła lub nie załatwiła Akademia, należy w myśl oświadczenia uprzedniego przyjąć rezultaty w praktyce, aby nie czynić zamieszania; oświadczenie autora na końcu rozprawki, że te zasady stają się obowiązującymi dla „Prac filologicznych”, daje nam znowu nową ortografię.

Pięciu poważnych autorów (pp. Baudouin de Courtenay, Brückner, Kalina, Karłowicz i A. Kryński) zaprotestowało na zjeździe literackim we Lwowie i w V tomie zesz. I „Prac” przeciw tamiemu załatwieniu „Sprawy jednolitej pisowni,” jak to uczyniła Akademia Umiejętności. Protest ten bardzo stanowczy, z nieubłaganą konsekwencyą wykazujący niedostatki tak uchwał Akademii, jak zwłaszcza „Projektu pisowni” Rady szkolnej, domaga się w końcu od Akademii ponownego i niezwłocznego przejrzenia uchwał przez językoznawców specjalistów, wysłuchania wniosków ich, a po dyskusyi zatwierdzenia i ogłoszenia. Daj Boże, aby się to stało i doprowadziło do ogólnej zgody a nie partyjnego „veto...” Tymczasem bez szkody literatury, piszmy, jak piszemy.

P. Kryński zestawił w artykule p. t.: „Z historii wyrazów“ (t. V zesz. I) przemiany głosowe niektórych wyrazów w toku wieków i poniekąd zmianę ich znaczenia, jak: *sporcić* na *spurcić*, *wszylek* na *wszystek*, *obertać się* zam. *owurtać się* i t. p.

Wypada jeszcze wspomnieć o „Drobniagach językowych” profesora Malinowskiego, umieszczonych tak w tomie IV, jak i w zeszycie I tomu V. „Drobniagi” te są podwójnie interesujące, bo z jednej strony, oparte na historycznym rozwoju, dają bardzo wierny obraz przemiany znaczeń, z drugiej — chwytają na uczynku faktu obecnie się dokonywające i wyjaśnianiem przyczyn t. zw. etymologii ludowej rzucają światło na wiele faktów z przeszłości, dziś niejasnych. I tak np. zestawieniem wyrazów gwarowych *kárpać*, *pokárpać* (łatać, zeszywać) z góraliskim *kyrpecem* wyjaśnia się etymologię ostatniego; z *obsess* (łać)

zrobiono *obces*, *obcesem*, dziś nawet *obcas* (napaść *obcasem*); używany w l. mn. wyraz *biodra* (l. poj. *biodro*) poczuwają jako l. poj. żeń., mówiąc *pod biodrą*; *łączyć się* miało pierwotnie znaczenie przeciwne *rozdzielać*, podobnie jak ludowe *pośrútać się* znaczy przywitać i pożegnać.

Do pomników języka i kultury należy przez tego samego autora podany „Spis rzeczy z w. XV”, objaśniony rzeczowo i językowo.

Oprócz rozpraw mieści ten tom kilkanaście recenzji pióra Dra Bystronia, Łosia, p. Gajslera, Kryńskiego i prof. Kaliny; zeszyt zaś 1 tomu V pp. Ciszewskiego, Łopacińskiego, Rozwadowskiego, Baudouina de Cortenay i Kryńskiego.

Całość zamyka dokładny wykaz przedmiotów, wyrazów i nazwisk autorów.

ROMAN ZAWILIŃSKI.

*Aleksander Kraushar* „Frank i Frankiści polscy“ (1726—1816). Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych. Dwa tomy. Kraków 1895.

Od pewnego czasu Kraushar, dla swych pracowitych i interesujących studyów, zwykł obierać formę biografii. Zachęcony uznaniem, jakiego doznały poprzednie jego prace: „Sprawa Zygmunta Unruğa“ i „Żywoť Arciszewskiego z Arciszewa,“ wystąpił z nową rozprawą historyczną w szacie biograficznej, pod tytułem: „Frank i Frankiści Polscy“. — Tenże sam temat, któremu Kraushar poświęcił dwutomowe dzieło, zwrócił uwagę niejednego pisarza polskiego. Autor zastanowił się szczegółowo nad pracami poprzedników i przedstawił sumiennie zarówno zdobycze, jak i braki znajdujące się w dawniejszych studyach nad Frankiem i frankistami. Krausharowi udało się jednak dotrzeć do źródeł archiwalnych i rękopiśmiennych, a przede wszystkim do manuskryptów, obejmujących wszystkie zasady teozoficzne, etyczne i społeczne, inicjatora ruchu między żydami polskimi w drugiej połowie XVIII wieku.

W zbiorach hr. K. Przeździeckiego znalazła się mylnie zwana „Biblia bałamutna“, obejmująca w szeregu fragmentów całokształt nauki Franka, w przypowieściach, parabolach, onomatopeach i metaforach, spisana i ułożona przez niewiedomego nazwiska, przybocznego sekretarza Franka. Wędrówka po owym rękopisie obejmuje blisko trzydziestoletni okres działalności Franka. Znajduje się w nim dziwna mieszanina prawdy z kłamstwem, powagi z zartobliwością, poezyi

z najrealniejszą niemal prozą, etyki z niemoralnością, praktycznych celów i zachcianek z najwznioślejszymi aspiracyami.

Odnalezienie rękopisu frankistowskiego w księgozbiornie hr. Przeździeckiego stało się dla Kraushara bodźcem do dalszych poszukiwań. Otrzymał też od innego miłośnika archaicznych zabytków cenne rękopisy, uzupełniające ów bezdziedziczny po Franku spadek.— Ważną się okazała szczególnie „Kronika“, obejmująca zbiór faktów i anegdot z życia Franka, w stu kilkunastu fragmentach. Prócz tego, autor przejrzał cenny rękopis, w posiadaniu Wł. Korotyńskiego będący, a obejmujący protokolarne własne zeznania Franka, w sądzie duchownym warszawskim w r. 1760, po przyaresztowaniu pseudo-Mesyasza złożone.

Nie mniej bogaty plon dla monografii o Franku przyniosły autorowi wypisy z archiwów kościelnych i publicznych różnych miast, w których się działalność Franka, bezpośrednio lub pośrednio, w następstwach swoich rozwijała. Autor dotarł do tajnego archiwum wiedeńskiego i stamtąd otrzymał odpis ciekawej korespondencji, przeprowadzonej w r. 1776 między księciem Kaunitzem a baronem Revitzkym, w sprawie nadania Frankowi godności hrabiowskiej. Z zarządu dominium książęco-izenburskiego w Birstein otrzymał autor wiele ciekawych szczegółów, dowodzących zaufania bez granic, jakie mieszkańcy Offenbachu, Frankfurtu i Moguncyi, okazywali do zagadkowej rodziny „baronostwa Frank“. Odpisy z ksiąg kościelnych archikatedry lwowskiej, Kościoła Katolickiego w Kamieńcu Podolskim i Św. Krzyża w Warszawie, dostarczyły autorowi wiadomości o liczbie neofitów-frankistów, a broszury z XVIII wieku, zajmujące się frankistami polskimi i wszelakiego rodzaju dokumenta drukowane, bądź rękopiśmienne, odszukane z zabiegliwością i skrzętnością wzorową, dały autorowi możność skreślenia tak wyczerpującego i ciekawego obrazu, że wobec niego prace poprzedników tracą zupełnie wszelkie naukowe znaczenie.

Dzieje żywota i działalności Franka, jego rodziny i adeptów, opowiedział Kraushar z drobiazgowością i wykończeniem w najmniejszych szczegółach. Zdaje się, że autor wtajemniczył nas we wszystkie myśli i zamiary Franka, i że odkrył przed nami najskrytsze obrządki jego z „siostrami i braćmi“. Ponieważ Frank nie był postacią polityczną, przeto i monografia jemu poświęcona mało może zawierać pierwiastku polityczno-dziejowego, a więcej posiada znaczenia dla historii cywilizacyi w dawnej Polsce. W tym kierunku dzieło Kraushara będzie cennym przyczynkiem naukowym, wyświetlającym stosunki nasze społeczne w drugiej połowie XVIII stulecia.

Zaznaczyć jednak należy, że w ciągu interesującej i pouczającej opowieści o Franku, autor podniósł i wyświecił niejedną kwestyę pu-

blicznego charakteru. Do rzędu takich należy np. zagarnięcie przez sąd biskupi spraw przeciw talmudystom, przywłaszczanie sobie nazwisk i przywilejów szlacheckich przez neofitów i t. p. W ocenianiu zasad Franka autor okazał spokojną bezstronność, wolną od wszelkiej podmiotowej drażliwości. Zdaniem Kraushara, Frankizm, jako system teozoficzny, osnuty w głowie prostaka, bez należytego podkładu teozoficznego, musiał z konieczności wyrodzić się w jakąś nieokreśloną wartości naukę, skojarzoną bezładnie ze strzępami dogmatów chrześcijańskich i pojęciami Zoharu, z naleciałościami okkultystycznych zasad i wytworzyć chaos dźwięków bez wartości, oszałamiających umysł słuchacza potokiem słów hebrajskich, greckich, chaldejskich i zapożyczonych z białej magii, by pod urokiem takiej mieszanki, jego wola stała się bezwładną i poddawała się ślepo rozkazom i zaleceniom wykładaczy.

Dzieło Kraushara, Frankowi i frankistom polskim poświęcone, napisane zostało językiem poprawnym i barwnym. Autor wydrukował również ważniejsze dokumenta rękopiśmienne, czyli że nie zaniedbał niczego, aby nas obdarzyć naukowym przyczynkiem, rozświetlającym dzieje naszej cywilizacji w drugiej połowie XVIII stulecia.

---

*Dr Kazimierz Krotoski:—Walka o tron krakowski w r. 1228. (Kraków 1895).*

Walka o tron krakowski, której Dr Krotoski poświęcił uwagę, była już przedmiotem studyów trzech badaczy (Drowie Szkaradek, Semkiewicz i Perlbach). Autor powyższej rozprawy, przedstawivszy w krytycznym oświetleniu poglądy swoich poprzedników, na podstawie pracowicie zebranego dowodu historycznego, przyszedł do następującego przekonania: Po śmierci Leszka Białego, możnowładztwo krakowskie, rozporządzające faktycznie tronem wielkksiążęcym, uznało opiekunem małoletniego Leszkowica i panem Krakowa, nie Konrada Mazowieckiego, najwięcej do tego uprawnionego, lecz, w interesie księżnej Grzymisławy i jej dzieci, mających ze strony najbliższego krewnego najwięcej powodów do obawy, dalszego ich krewnego, księcia Władysława Starego, wyznaczonego przez zamordowanego księcia na opiekuna.

Władysław przyjął na ziemi Wielkopolskiej, w Cieni około Kalisza, przed marcem r. 1228, deputację możnowładztwa małopolskiego i, godząc się na przedłożone mu warunki, potwierdził je dwoma przywilejami: ogólnym dla całego możnowładztwa i specjalnym dla ko-

ściola krakowskiego; Leszkowica zaś przyjął w opiekę, robiąc go zarazem w myśl traktatu spadkowego spadkobiercą dzielnicy wielkopolskiej. Ponieważ zaś sam nie mógł opuścić zagrożonej Wielkopolski, przeto pozostawił rządy Grzymisławie i mianował zastępcą swym w Małopolsce Kazimierza Opolskiego, który dobrami książęcemi obdarzał ród Gryfitów, nienawidzący Konrada.

Dowiedziawszy się o wspieraniu swoich nieprzyjaciół, przybył Konrad z licznym poczetem duchownych i świeckich dostojników do Małopolski, gdzie w Skarzeszewie daremnie starał się Grzymisławę i Małopolan przeciągnąć na swą stronę, a nie mogąc sprostać przeciwnikom, udał się do dawnych swych przyjaciół, książąt Romanowiczów, na Wołyń, prosząc ich o pokojową interwencyę, a w razie jej bezskuteczności, o zbrojną pomoc. Gdy z obietnicą pomocy ruskiej powracał Konrad do Małopolski, na granicy krakowskiej zabiegli mu drogę posłowie mistrza krzyżackiego i w Bejscach, około Opatowca, wydał im Konrad pierwszy akt darowizny Ziemi Chełmińskiej.

Więść o sojuszu Konrada z Romanowiczami spowodowała dostojników wszystkich ziem Leszkowych do Krakowa, gdzie w pierwszych dniach maja 1228 r., wobec Grzymisławy i pełnomocników mazowieckich, toczyły się obrady nad kwestyą opieki. Niezwłocznie potem z krakowskimi i sandomierskimi panami udała się Grzymisława do Skarzeszewa, gdzie około 11 maja (1228), odbył się zjazd z pełnomocnikami Konrada. Sprawa nie dała się w pokojowy sposób załatwić. Interwencya jednak Romanowicza sprawiła tyle, iż większa część Leszkowych poddanych gotową była przystać do nowego pana. Mimo to, większość Krakowian wraz z Grzymisławą wołała całość dziedzictwa Leszkowego na szwank narazić, niż poddać się Konrowi.

Tymczasem Konrad, zabezpieczywszy się od napadu Prusaków fundacyą zakonu Dobrzyńców, dnia 4 lipca (1228 r.) złączył swe siły z ruskimi w sandomierskiej ziemi, ubiegł Starygród wielkopolski i Milicz, gród szląski, a gród kaliski zmusił do złożenia okupu. Rusini z wielkim łupem i mnóstwem jeńców powrócili do domu, a Konrad zajął Małopolskę, w której tylko Kraków stawiał mu wytrwały opór. Henryk Brodaty przybył dopiero we wrześniu do ziemi Krakowskiej, ale dla zabezpieczenia stolicy, zbudował naprędce kilka grodów. W oszańcowanym obozie pod Skalą odparł najpierw Konrada, dążącego do Krakowa; a gdy Konrad, odparty od północy, usiłował na Kraków uderzyć od wschodu, koło Pińczowa zupełnego doznał od Szlązaków pogromu. Z końcem więc 1228 roku Konrad musiał opuścić Małopolskę, a Henryk, czując się w niej zupełnie bezpiecznym, wojsko szląskie pod wodzą syna odesłał do domu, sam zaś zajął się urządzeniem nowonabytej dzielnicy.

Taką jest w najogólniejszych zasysach opowieść walki o tron krakowski w r. 1228. Autor, dla wyświetlenia najdrobniejszych okoliczności, towarzyszących powyższej walce, musiał przedsięwziąć staranne badania i był zniewolony do pilnego rozważenia poglądów swych poprzedników. Rozumowanie Dra Krotowskiego oparte też jest na gruntownych studyach, a praca jego przyczyniła się nie tylko do rozjaśnienia przebiegu walki o tron krakowski w r. 1228, ale prócz tego obdarzyła nas ważnemi szczegółami, wykazującemi doniosłe stanowisko możnowładztwa krakowskiego i jego wpływ na obsadzenie tronu wielkksiążęcego.

---

*Dr. Max Gumplowicz. Bischof Balduin Gallus von Kruszwica, Polens erster lateinischer Kronist. (Wiedeń 1895).*

Początki średniowiecznego dziejopisarstwa polskiego, zdaniem autora, oryginalny przedstawiają widok. Gdy bowiem zazwyczaj pojawiają się wszędzie skąpe w wiadomości Annale, i powoli dopiero rozrastają się w większe i bogatsze kroniki, w Polsce, w samym zaraniu dziejopisarstwa, ukazuje się większa kronika, która była wzorem jasnego i pragmatycznego wykładu dla wszystkich polskich kronikarzy przed Długoszem. Autorem powyższej kroniki był Gallus, wyborny znawca pisarzy klasycznych i na ich dziełach gruntownie wykształcony, a kronika jego zawarła w trzech księgach wykład dziejów polskich w XI stuleciu, chociaż głównym celem kronikarza było opisanie i uświetnienie swym opisem panowania Bolesława III.

Pomimo, że kronika Galla dochowała się do naszych czasów w całości, o osobie samego autora wiadano bardzo mało. Przypuszczać tylko było można, że był obcym mnichem, gdyż się sam nazywał „*exul et apud vos peregrinus*,” i tęsknił za swą piękniejszą i cieplejszą ojczyzną, względem której Polska była północnym krajem. Prócz tego Gallowi nie chodziło bynajmniej o to, aby nazwisko jego stało się ujawnionem; pragnął on raczej, aby jego, na swój czas bardzo krytyczna, kronika, uchodziła raczej za dzieło polskich biskupów, do których grona, jak się później pokazało, należał.

Pytanie też, który kraj stanowił ojczyznę Gallusa, było dotąd nierozstrzygniętem, a pojawiały się nawet zdania, upatrujące w nim Polaka, z tej zasady, że w kronice jego znajdowały się wyrażenia „*nostra patria, nostra terra*,” odnoszące się do Polski. Zresztą, nie brakło na uzasadnianych z dużym zasobem erudycyi poglądach, upatrujących w Gallu Francuza, Niemca, Włocha, a wreszcie odkrywających w nim mnicha pierwotnego benedyktyńskiego klasztoru w st. Gilles z Prowancyi.

Kiedy poszukiwania ojczyzny Gallusa wyczerpywały uwagę polskich badaczy, zapomniano zupełnie o sprawdzeniu ważnej okoliczności: która mianowicie okolica Polski stała się nową ojczyzną Galla i w której miejscowości mógł on swą kronikę napisać? Pierwszą księgę swej kroniki poświęcił autor arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i biskupom: płockiemu, kruszwickiemu, krakowskiemu i wrocławskiemu, oraz kanclerzowi kapituły kruszwickiej, Michałowi. Drugą księgę poświęcił Gallus wyłącznie biskupowi kruszwickiemu i kanclerzowi kapituły, Michałowi, a trzecią kapelanowi Bolesława III.

Dr. Gumplowicz przychodzi więc do wniosku, rozumując trafnie, że dedykacja drugiej księgi wskazuje wyraźnie, że autor kroniki należeć musiał do duchowienstwa kruszwickiego. Niepodobna bowiem przypuścić, ażeby obcy mnich poświęcał swe dzieło innemu biskupowi, a nie temu, w którego dyecezyi znalazł przytułek i napisał swą kronikę. Prócz tego Gall wzmiankuje o tem, że kanclerz kapituły kruszwickiej, Michał, był współpracownikiem i niejako duchownym inicjatorem jego kroniki. Stąd więc przypuszczać można, że kanclerz dostarczał Gallowi niezbędnego materiału dziejowego, bądź to ustnego, bądź piśmiennego. Zresztą dokładne powiadomienie o dziejach dyecezyi kruszwickiej i współdziałanie, jaki Gall bierze w losach samego miasta Kruszwicy, zdają się dowodzić, że autor kroniki przebywał często w Kruszwicy.

Prócz tego, dzięki bardzo szczegółowym poszukiwaniom, oraz subtelnyim kombinacyom różnych okoliczności dziejowych, przychodzi dr. Gumplowicz do przekonania, że Gallus był nie tylko kapelanem Bolesława III, ale i opatem klasztoru benedyktynów w Żubinie. Co się zaś tyczy czasu, w którym Gall swoją kronikę napisał, to dr. Gumplowicz zauważył przedewszystkiem, że wszystkie trzy księgi kroniki Galla musiały być napisane bez przerwy, gdyż niema w nich wcale sprzeczności, a następnie ożywione są jednym duchem, który wskazuje, że autor nie miał czasu ulegać innym wrażeniom. Na mocy również skrupulatnych poszukiwań, dr. Gumplowicz utrzymuje, że opat Gallus napisał swą kronikę po odwiedzeniu grobu ś-go Wojciecha przez Bolesława III, ale przed otrzymaniem wiadomości o śmierci króla Kolomana węgierskiego, a więc mniej więcej przed jesienią roku 1113.

Wreszcie dr. Gumplowicz zaznacza, iż zadziwiającym jest fakt, że następcą biskupa Pawła z Kruszwicy został Balduin Gallus, i podejmuje kwestyę: czy ów Balduin nie jest opatem w Żubinie, kronikarzem Gallem? Starannie zebrany i skombinowany dowód dziejowy przekonywa, że ów Balduin z Kruszwicy, zdrańczający flandryjskie pochodzenie, jest tymże samym Gallem, kronikarzem i opatem z Żubina. Nadto, dr. Gumplowicz wykazuje, że już poprzednio dyecezya krakowska pozyskała biskupa Balduina, również pochodzenia flandryjskiego, który był

prawdopodobnie stryjem Galla, ale do karyery kronikarza mało się mógł przyczynić, gdyż wcześniej umarł. Nie mniej jednak odtworzenie działalności krakowskiego Balduina uważa dr. Gumpłowicz za ważne i konieczne dla wyjaśnienia stanowiska opata Balduina, czyli kronikarza Galla. Zadanie powyższe ma się stać przedmiotem jego osobnego studium.

Rozprawa d-ra Gumpłowicza odznacza się dużą erudycją i rozumowaniem subtelnem w swych logicznych wywodach, a jednak pozbawionem zupełnie wszelkiej paradoksalności. Autor trzyma na wodzy swą fantazyę, nie pozwala jej bujać w niezmiernych przestworach prawdopodobieństw i możliwości, a gruntowność badania i wyczerpanie należyte źródeł dziejowych uważał za najkardynalniejszą podstawę historycznej pracy. Rozprawa też d-ra Gumpłowicza, kronikarzowi Gallowi poświęcona, jest cennym przyczynkiem, uzupełniającym literaturę naszego dziejopisarstwa.

A. REMBOWSKI.

---

*Teodor Jeske-Choiński. Gasnące słońce. Powieść z czasów Marka Aureliusza.*

„Nie należy pisać powieści historycznych, gdyż celem literatury jest prawda, do której dotrzeć można tylko drogą bezpośredniej obserwacji“ — takie hasło głosiła do niedawna szkoła naszych modernistów, biorąc za dobrą monetę jednostronne wywody Taine'a i parodoksy Brandesa. Tej „nowej estetyki“ wyznawcy jęli gorliwie stawiać rogatki między przeszłością a terażniejszością, których nadal geniusz poezyi już nigdy nie miał przekroczyć. Twórczość artystyczną usiłowano zastąpić metodą doświadczalną, przeprowadzającą urojone eksperymenty nad urojonymi osobnikami. Zamiast piękna postawiono fotografię. Oczywiście, że nikt, kto jasno zdawał sobie sprawę z zadania i celów sztuki, hasła tych nie brał na seryo, trudno jednak było przypuszczać, aby idea modernizmu tak prędko u nas zbankrutowała. A najpierwsi do odwrotu zatrabili ci właśnie, którzy najgłośniej zalecali współczesność. Czystej krwi moderniści poczęli płodzić powieści rzymskie i egipskie, a kto wie, czy nie zabiorą się wkrótce do assyryjskich, babilońskich i chaldejskich. Zapowiedzi noworoczne czasopism są w tym względzie bardzo niepokojące. Dla dobra literatury należało-by może powrócić do owej formułki estetycznej, nieco inaczej tylko wyrażonej: niechaj nikt nie bierze się do motywów dziejowych, kto nie posiada artystycznej fantazyi.

Bo powieść historyczną nie pisać, ale tworzyć potrzeba, nie opowiedzieć, ale wysławiać. Pisarz historyczny musi mieć jasnowidzenie



przeszłości, postaci, jakie wskrzeszać zamierza, muszą go otoczyć „cizbą gwarzącą,“ obcować z nim i duszę przed nim otworzyć. Tylko dar intuicji i lotna wyobraźnia oświecają autorowi drogę przez cmentarze i pobożowiska.

Takie uwagi nastęrczały nam się podczas czytania dwutomowej powieści p. Jeske-Choińskiego p. t: „Gasnące słońce.“ Autor wybrał czasy Marka Aureliusza za tło do akcji. *Gasnące Słońce* to Rzym pogański, walący się w gruzy pod tchnieniem chrześcijańskiej etyki i pod nawałą barbarzyńców. Germanin Serwiusz i patrycyuszka Mucya, chrześcianka, uosabiają w powieści dwie siły wrogie państwu rzymskiemu, przeciw którym występują z całą świadomością położenia: cesarz filozof, Marek Aureliusz, i patrycyusz dawnego autoramentu, wódz i obywatel, Publiusz Kwintyliusz Warus. Po za temi czterema dodatniemi postaciami autor pokazuje nam czeredę nikczemników i łotrów, cały ohydny tłum „panów świata,“ od imperatora Lucjusza Werusa począwszy, a skończywszy na zubożonym wyzwoleniu, Fabiuszu.

Zrujnowani rozpustnicy i spanoszeni wyzwolenicy, senatorowie bez czci i sumienia i do szpiku kości zepsute kobiety, histryony, błazny, tancerki i niewolnice, wreszcie spodłona tłuszcza „wolnych obywateli i próżniaczych „klientów“ z szalonym Lucyuszem Werusem u szczytu, z obojętnością spoglądają na gasnące słońce światowładnej Romy i cynicznie przyspieszają jego zachód. Dwoje tylko ludzi kocha Rzym i ideę rzymskiego państwa: to Mucya i Publiusz. Wzajemny stosunek do siebie tych dwojga nie jest pozbawiony dramatyczności. Oboje instynktownie lgną do siebie i mają się zaślubić. Ale kiedy Publiusz, surowy czciciel starego, drewnianego Rzymu, jest z sobą w zgodzie i chrześcian nienawidzi, jako wrogów państwa, Mucya, olśniona prawdą nowej wiary, której nie może pogodzić z wyniosłym, twardym, rzymskim poganizmem, szarpana sprzecznemi uczuciami, w błędne koło wtłoczona, nad samą sobą odnosi zwycięstwo tylko kosztem życia i szczęścia. Zrazu dumna patrycyuszka, pochodząca ze sławnego rodu Korneliów, broni się przed nauką miłości i pokory i retorowi Feliksowi, który na chrystyanizm usiłuje ją nawrócić, odpowiada w te słowa: „Kornelia nie może się oddać zupełnie Bogu, który lekceważy wielkość Rzymu i zlorzeczy naszej przeszłości. Kornelia bez uczuć obywatelskich, bez duszy rzymskiej, nie była-by godną nazwiska, które jej szereg obywateli i rycerzów przekazał. Nie mam już dla twojego Boga wstrętu patrycyuszki, urodzonej do rozkazywania, uznając jego dobroć i miłosierdzie, ale nie rozumiem jeszcze jego pokory i obojętności na sprawy państwa. Czem byłby świat bez Rzymu, a Rzym bez panowania nad światem?“ Lecz gorąca wymowa retora, upodlenie pogańskiego Rzymu, widoczna wyższość moralna chrześcian,

w końcu śmierć męczeńska niewolnicy Minut, wydanej w cyrku lwu na pożarcie, rzucają dumną Rzymiankę do stóp krzyża, i Mucya, schwytana podczas nabożeństwa w katakumbach, staje pod ciężkim zarzutem praktykowania „przesądu wschodniego“ przed pretorem Rzymu, narzeczonym swoim, Publiuszem, który ją na śmierć hańbiącą skazuje.

Porywa ją z rąk oprawców prefekt legionów, Serwiusz, Germanin, na służbie rzymskiej pozostający, i uprowadza na północ aż w teutońskie lasy, wraz z narzeczoną swą, księżniczką Tusneldą, także chrześcianką i także skazaną. Serwiusz, to jeden z tych germańskich wodzów, którzy, zbrzydziwszy sobie służbę u śmiertelnego wroga wolnych Germanów, wrzymskiej sztuce wojennej wywiczeni, chętnie zdradzali Rzym i cezara i prowadzili na stolicę świata roje barbarzyńców. Bój, jaki skrzywdzony i obrażony Serwiusz wszczyna z Markiem Aureliuszem, kończy się wprawdzie samobójstwem Germanina, ale robi jeden wyłom więcej w chwiejącej się już budowie rzymskiego państwa. W boju tym ginie także Mucya. Na pobojuwisku, usłanem trupami rozgromionych Markomanów i Kwadów, zwycięski Publiusz zamyka powieki swej niegdyś narzeczonej, która w męskim przebraniu, jako lekarz Mucyusz, opatrywała rany żołnierzom.

Osnowa *Gasnącego Słońca*, sama w sobie interesująca, świadczy o pomysłowości autora. Straszny rozdźwięk, jaki w dobie powstawania nowej wiary napępiał szlachetniejsze serca rzymskie, w logicznym rozwoju akcji musiał prowadzić do scen istotnie dramatycznych. Napór barbarzyńców z północy i barwne życie ówczesnego Rzymu nadawały się do wspaniałych obrazów. Chodziło tylko o to, aby dać owe sceny i obrazy izaludnić je żywymi ludźmi, rzetelnymi Rzymianami, wskrzeszonymi siłą wyobraźni.

Jakże sobie postąpił p. Choiński? Uczynił wszystko, co pisarz, jedynie refleksją kierowany, uczynić może. Całą powieść od początku do końca *opowiedział*, niekiedy żywo i zajmująco, ale ani na chwilę nie wziął pędzla lub ryłka do ręki. Bogatego materiału dekoracyjnego ówczesnego Rzymu dostatecznie nie zużytkował, co gorsza, własnych dobrych pomysłów nie wyzyskał. Najzupełniej nie odczuł ducha epoki, nie pojął wypadków, niezrozumiał ludzi. Dał robotę literacką, lecz nie dzieło sztuki.

Nie trudno udowodnić słuszność tych zarzutów. Naprzód, co do niewyzyskania przez autora własnych pomysłów. Stosunek Mucyi do Publiusza, jak już zaznaczyliśmy, musiał doprowadzić do tragicznego rozwiązania. Autor daje nam scenę w więzieniu, gdzie pretor Publiusz odwiedza Mucyę Kornelię. Rozmowa, jaką prowadzą między sobą narzeczeni, bynajmniej nie odpowiada isticie dramatycznej sytuacji. Brak w ich słowach akcentów prawdy. Rozpacz nie unosi się nad głową Pu-

bliusza. Mucya rozumuje, jak retor, na zimno. Scena mija bez wrażenia. Potem bezpośrednio ma nastąpić kapitalna scena sądu. Publiusz Kwintyliusz Warus, jako świeżo mianowany pretor Rzymu, sądzić będzie własną narzeczoną. Sprawiedliwość ma stoczyć walkę z miłością. Autor sam rzuca pytanie: kto zwycięży? I właśnie, gdy czytelnik pewny jest, że będzie świadkiem prawdziwej tragedii w rzymskim stylu, autor kwituje go takim oto ustępem:

Z powstrzymanym oddechem wyteżał tłum wzrok w stronę bramy pałacu. Sąd odbywał się już od godziny. Powinien się niebawem skończyć, tylko bowiem dwie sprawy zapisano na tablicy.

Na najwyższym stopniu wschodów marmurowych ukazało się dwóch woźnych rządowych. Podnieśli do góry topory, wzywając lud do ustąpienia. Jeden z nich nachylił się i szepnął słów kilka.

Szept ten popłynął nad morzem głów, jak lekki powiew, zapełniając rynek szumem stłumionym.

— Skazał ją na śmierć! — szło z`ust do ust.

Przestрах był pierwszym skutkiem tej wiadomości. Tłum spoglądał po sobie, przerażony bohaterstwem patrycyusza, który deptał własne serce dla dobra państwa.“

Nie nad to. Scena, dla której właściwie cały pierwszy tom powieści został napisany, odbywa się za kulisami. Autor widocznie uląkł się zadania, przechodzącego jego siły, cofnął się przed konsekwencją własnego pomysłu. Przezornie sobie postąpił, boć zawsze lepiej ominąć zawadę, niż się o nią potknąć, tylko że zadanie pisarza polega właśnie na umiejętnem wywiązaniu się z tego rodzaju trudności. Talent ujawnia się jedynie w doskonałem wykonaniu pomysłów. Podobne zbywanie nieczem momentów kulminacyjnych utworu pozbawia go wartości literackiej. Mógł lud rzymski podziwiać „bohaterstwo patrycyusza,“ ale zawiedziony czytelnik, czując bezsilność autora, doznaje uczucia niesmaku i rozczarowania.

Błądo, a co gorsza, banalnie, wychodzą z pod pióra p. Choinińskiego opisy igrzysk rzymskich. O wiele barwniejsze i bardziej plastyczne obrazy z życia publicznego Rzymian można napotkać w pierwszym lepszym podręczniku szkolnym. Materiał, jaki zawierają kroniki, oraz dzieła historyczne naukowe i popularne, co do strony obyczajowej Rzymu, jest tak obfity, że całe zadanie pisarza polega na umiejętnem ugrupowaniu szczegółów w jeden żywy obraz. Ale przez ciąg dwóch tomów autor nie może zdobyć się na jeden choćby artystycznie wykonany obraz. Autor dość szeroko opowiada o walkach gladiatorów, ale nie ukazują czytelnikowi ani areny, ani walczących, ani widzów. Nawet wtedy, gdy na arenę wychodzi Egipcjanka Mimut, ulubiona niewolnica Mucyi, gdy bezbronną, słabą chrześciankę ma roz-

szarpać lew „tresowany do polowania ludzi,“ p. Choiński nie korzysta ze sposobności, jakiejby nie przepuścił żaden pisarz-artysta, nie daje obrazu śmierci indywidualnej, nawet się nie stara wywrzeć wrażenia grozy, lecz przeciwnie, z całym opisem męczeństwa załatwia się w kilku wierszach, zwięźle, sucho, po kronikarsku. Przytaczamy ten „opis,“ gdyż nie wiele zajmie nam miejsca. a wymownie zaświadczy o nieudolności autora w obrazowaniu:

„Zwierzę położyło się na brzuchu i zaczęło się czolgać, jak kot, w stronę Minut.

Powstała chwila oczekiwania...

W tej wielkiej, złowrogiej ciszy, rozległ się głos Egipcjanki:

— Za Chrystusa Pana!

Mucya widziała przez mgłę, która zasnuwała się na jej oczy, że się Minut podniosła i wpadła sama w objęcia lwa, oszczędzając mu skoku.“

Ma to być kulminacyjny moment widowiska, na który publiczność rzymska z niecierpliwością oczekiwała.

Plastykiem ani kolorystą nie jest p. Choiński, nie posiada także daru odtwarzania żywych ludzi danej epoki. Jego Rzymianie, jak Marek Kwintyliusz, rozpustnik i hulaka, jak przewrotny wyzwoleniec Fabiusz, lub współrzędca Marka Aureliusza, imperator Lucyusz, oraz cała gromada „klientów,“ nie posiadają w sobie nic zgoła rzymskiego. Dziwaczne te figury nie należą ani do świata starożytnego, ani do średniowiecznego, ani do nowożytnego w znaczeniu ogólnoeuropejskim. To ludzie specyficznie warszawscy, żywcem do powieści przeniesieni z *Naszyc zięciów* i *Mechesów*. Nie usiłują nawet udawać rzymian, ani drapują się w togę, z pod której najwyraźniej widać tużurek. Otacza ich atmosfera naszych klubów i salonów, atmosfera banalna i filisterska. Ci wielkoświatowcy rzymscy są zblazowani jak nasi panicze, mówią ich językiem, myślą pojęciami warszawskiego szykowca. A przecież to jednak mają być Rzymianie, których nerwy znosiły widok rzeczy przerażających, którzy sobie ze stoicyzmem otwierali żyły i rozpustę nawet uprawiali na wielką stopę. Autor najwidoczniej jest tego zdania, iż upadek moralny u wszystkich ludów i po wszystkie czasy jednakowo się objawia. Tak nie jest. Treść, składowe pierwiastki mogą być te same, lecz forma nie tylko w dwu odległych, całym szeregiem wieków przedzielonych, epokach, lecz nawet w następujących po sobie pokoleniach jednego narodu z tej samej epoki jest zawsze inna, a inna. Wszak u nas znajdziemy tego przykłady. Sceptyk z doby Stanisława Augusta, cygan romantyk i współczesny dekadent, jakież to typy odmienne. A koniec ośmnastego wieku jakże różny jest od schyłku naszego stulecia? Że dusza Rzymianina znamiennie różniła się od duszy średniowie-

cznego i współczesnego człowieka, nietylko co do formy przejawów, lecz, co do swej treści i o tem świadczą zarówno dokumenty literackie pomniki sztuki rzymskiej, oraz całe dzieje, całe życie prawne i obyczajowe światowładnego państwa. Jakże mógł wobec tego p. Choiński bez wahania poprzehodzić figury z warszawskiego bruku na forum romanum?

Uczył to autor *Gasnącego Słońca*, zwłaszcza we wszystkich epizodach i scenach, gdzie występuje imperator Lucyusz, Marek Kwintytiliusz, Tulia Kornelia, Fabiusz, Liwia i Faustyna, a nawet motłoch rzymski, niczem nie różniący się od naszego. Cytatami nie trudno było-by wykazać, w jak niezgrabny sposób usiłował autor Rzym starożytny *par force* zmodernizować, gdyby cały pierwszy tom powieści, poczynwszy zaraz od pierwszego rozdziału, i część drugiego tomu aż do przeniesienia akcji nad Dunaj nie stanowiły jednej długiej cytaty, stwierdzającej u p. Choińskiego zupełny brak intuicji.

Język powieści, poprawny i gładki, jest jednocześnie suchy i dziwnie bezbarwny. Język ten niczem nie przypomina artystycznej prozy, jaką posługują się utalentowani powieściopisarze historyczni, prozy głębokich akcentów i rytmicznych spadków w ustępach patetycznych. Wszak pamiętać o tem należy, że dzisiejsza powieść historyczna zajęła miejsce dawnego eposu i nie znosi popospolitej, choćby nawet bardzo poprawnej, dziennikarskiej gwary.

Dyalogi, prowadzone w sposób nie dość naturalny, autor stale wiąże czasownikiem „mruknął“, „odmruknął“ lub „zamruczał.“ Jest to ulubiony wyraz p. Choińskiego. Znaleźć go można na każdej niemal stronie. Więc mruczą w powieści senatorzy i obaj imperatorowie, trybuni, prefekci, gladyatorzy, patrycyuszki i kobiety z ludu, motłoch i „klienci,“ a mruczą wtedy właśnie, gdy powinni szeptać, krzyczeć, wyć lub szlochać. Szczegół tak podrzędny wskutek nienwagi autora nieraz odbiera dyalogom wszelką cechę prawdy.

Gdyby powieść, jako dzieło sztuki, stać mogła pomysłem tylko, *Gasnące Słońce* można-by zaliczyć do utworów udatnych. Skoro jednak nie pomysł, ale wykonanie stanowi o wartości dzieła sztuki, skoro talent pisarski znamionują plastyka i barwność obrazowania, prawda psychologiczna scen, zręczny dyalog, umiejętna charakterystyka figur, to stwierdzić należy, iż p. Choiński w pierwszej swej próbie powieści historycznej podjął zadanie nad siły, które mogłyby zdobyć się na obrazek rodzajowy, lecz nie na wielkie malowidło dziejowe.

STANISŁAW KOZŁOWSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

Książę Ferdynand Koburgski dał sejmowi bułgarskiemu w roku zeszłym przyrzeczenie, że najstarszego syna swego, ks. Borysa, przyłączy do obrządku cerkwi prawosławnej. Książę zastrzegął sobie tylko wybór stosownej chwili. Rodzina księcia była temu zamiarowi przeciwną, rodzina jego żony również. Trafiając na opór najbliższych, ks. Ferdynand powziął myśl zwrócenia się do Papieża, aby mu pozwolił odłączyć syna od Kościoła katolickiego, a tem pozwoleniem uniewinnił go wobec rodziny i zapobiegł rozterce domowej. Papież, naturalnie, odmówił. Wówczas książę Ferdynand sam zdobył się na decyzję ostateczną i wydał manifest, w którym zapowiada zmianę obrządku księcia Borysa.

Zmiana obrządku odbyła się już w Sofii, a rezultatem jej bezpośrednim było przywrócenie stosunków między Rosyją i Bułgaryą, i uznanie księcia Ferdynanda przez mocarstwa za panującego księcia Bułgarii. Dotychczas ks. Ferdynand faktycznie stał na czele rządu, i niektóre mocarstwa utrzymywały z nim przyjazne stosunki. Ale np. Niemcy akredytowały swojego przedstawiciela dyplomatycznego w Sofii nie przy księciu bułgarskim, lecz przy rządzie bułgarskim, i tenże agent niemiecki nie był wcale ks. Ferdynandowi prezentowany. Wszystko to było następstwem postawy, jaką zajmowała Rosyja. Rząd sultański, który naprzód powinien księcia bułgarskiego zatwierdzić, nie uczynił te-

go, rozumiejąc, że byłby to akt jałowy wobec braku zgody jednego z mocarstw, podpisanych na traktacie berlińskim. Kiedy jednak książę Ferdynand zanotyfikował w Petersburgu swoje postanowienie co do zmiany obrządku syna, rząd rossyjski uznał, że fakt ten pozwala na zmianę dotychczasowego stosunku Rossyi do ks. Ferdynanda i do Bulgaryi. Na uroczystość zmiany obrządku księcia Borysa, został wysłany delegat Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, hr. Goleniszczew-Kutuzow, któremu towarzyszył p. Carykow, nowy agent dyplomatyczny. Sułtan, widząc gotowość uznania ks. Ferdynanda ze strony Rossyi, sam dał mu swoje zwierzchnicze potwierdzenie i wystąpił do mocarstw, aby księcia uznały. Jakoż uczyniły to skwapliwie wszystkie, z wyjątkiem jednej Anglii, której odpowiedź dotąd nie nadeszła. Ale niezawodnie jest to tylko zwłoka w odpowiedzi, która, choć się spóźni, nie można wątpić, że będzie przychylną.

Pod względem prawnym zmienia się odtąd sytuacja ks. Ferdynanda, który z tolerowanego władcy, stał się uznanym monarchą i głową dynastyi. Pod względem faktycznym zmiana polega na wejściu na widownię bulgarską Rossyi, która od rewolucyi fillipolskiej była na niej nieobecna. Nareszcie ze strony dyplomatycznej, cały ten epizod uwydatnił doskonale stosunki, zachodzące w tej chwili między Rossyą i Turcyą, która na pierwszy znak z Petersburga sama uznała i zaproponowała mocarstwom uznanie ks. Ferdynanda. Wszystko razem jest nowym na widowni wschodniej sukcessem Rossyi, która przemogła w Konstantynopolu wpływy angielskie, do niedawna tak potężne, a w Bulgaryi odzyskała silną placówkę swej polityki. Czy książę Ferdynand, jako uznany już władca, będzie umiał utrzymać to zaufanie gabinetu petersburskiego, które zjednał sobie, jako starający się o uznanie, to przyszłość pokaże. Dziś wszystkie strony, zainteresowane politycznie na półwyspie bałkańskim, ograniczają się do wyrażania nadziei, że zmiana nie wyjdzie na szkodę pokojowi. W każdym razie gra wpływów politycznych ożywi się, bo zarówno Anglia, jak Austria, choć przyjęły fakt dokonany z przykładowym spokojem, rozumieją to jednak, jak widać z głosów prassy, że się znalazły raptem wobec sytuacji zupełnie nowej, która im się wydaje mniej dogodną i pożądaną od tej, jaką miały do 14 stycznia.

W dwóch naraz parlamentach złożone zostały zbiory dokumentów dyplomatycznych, dotyczące Transwaalu. Anglikom dał rząd księgę żółtą, Niemcom dano błękitną. Obie księgi zawierają pełny zbiór faktów do historii zatargu niemiecko-angielskiego, który w pierwszej chwili wzbudził obawę wojny, obecnie o wojnie mowy już nie ma, choć Anglia zamierza wydać znaczne summy na uzbrojenia. Od początku by-

ło widoczne, że jest to spór, można-by powiedzieć, między przyjaciółmi, lub co najmniej, między stronami, które czują się przeznaczone do zawarcia przyjaźni i tylko nie mogą się porozumieć o jej warunki. Łatwo przychodziło dziennikom angielskim mówić w chwili pierwszego rozdrażnienia o „zerwaniu z trójprzymierzem“ i o przejściu do obozu przeciwnego; trudniej znacznie było-by to rządowi wykonać. Bo stosunek Anglii z Rosyją i Francją nie jest wcale lepszy od stosunku z Niemcami, Włochami i Austryją, przeciwnie, jest może nawet gorszy. Jeśli Anglia czuje się zagrożoną w Chinach i w Indyach, jeśli nie święci tryumfów w Stambule, zawdzięcza to przeciwieństwu swoich interesów politycznych z interesami tych państw, do których zalecano jej zbliżyć się na złość Niemcom i ich sprzymierzeńcom. Lecz w takich warunkach zbliżyć się znaczyło-by to zaniechać obrony, wydać przeciwnikom pozycyę, osłabić się. Anglia rywalizuje z Francją i z Rosyją daleko bardziej, niż z innemi państwami. I okoliczność ta nie może być bez wpływu, kiedy chodzi o związki przymierzowe.

To też z każdym dniem bardziej uspakaja się rozdrażnienie Anglików pod wpływem takich refleksyi. Księgi żółta i błękitna stwierdzają, że prassa obu krajów trochę przesadziła doniosłość zatargu, a przynajmniej ową złą wolę Niemiec wobec Anglii, o której tyle było mowy po dziennikach. Przy rozprawach w parlamencie berlińskim z okazji złożenia tych dokumentów, minister przemawiał z wielkiem umiarkowaniem, a deputowani różnych odcieni z naciskiem zalecali rządowi, aby dążył do zbliżenia z Anglią i starał się utrzymywać z nią stosunek jak najprzyjaźniejszy. Czy wszystko to nie jest zapowiedzią pogody po burzy? Wobec ostatnich wypadków w Turcyi, wobec zamieszek na Korei, Anglia będzie znajdowała coraz nowe pobudki do zastanowienia się nad skutkiem swego odosobnienia, które ją naraża, oprócz nieprzyjaźni państw, mających naprawdę odmienne interesa, także i na zatargi z państwami, z któremi Anglia ma lub sądzi, że mogła-by mieć, interesa wspólne. Czy z tych zastanowień wynikną układy przymierzowe, nie można być pewnym, w każdym razie będzie z nich wynikało raczej powolne zbliżanie się Anglii do Niemiec, niż oddalanie od nich.

We Francyi, gabinet radykalny, na którego czele stoi p. Bourgeois, przyczynił się do wytworzenia poważnego zatargu konstytucyjnego. Według art. 6 konstytucyi z roku 1875, gabinet składa się z ministrów, solidarnie odpowiedzialnych „przed Izbanl.“ Wynika stąd, że zarówno senat, jak izba deputowanych, mają prawo do takich gabinetów, jakie im się podobają, a inne mogą uchwałami swemi obalać. Tymczasem ministrowie obecni przyjęli inną jursprudencyę i po



naganie senatu udali się po votum zaufania do izby posłów, a dostawszy je, pozostali na swych urządach. Omylili się tylko w jednym, a mianowicie w tem, że izba deputowanych zechce ich stale podtrzymywać w walce z senatem. Izba raz dała się pociągnąć do poparcia gabinetu przeciw senatowi, do tego jednak trzeba ją było w błąd wprowadzić przez kłamliwe oświadczenia, co spełnił minister sprawiedliwości. Po wyjaśnieniach jednak, jakie następnie uczynione były w senacie, i po powtórnej jego dla gabinetu naganie, izba jest lepiej oświeconą zarówno o intencjach senatu, jak o wartości ministeryum. Teraz już izba wie, że senat naprawdę stanął w obronie niezależności sędziów, która jest żrenicą wolności obywateli, a której właśnie minister sprawiedliwości nie umiał uszanować. Wie także izba, że choć minister Ricard przeczył z trybuny parlamentu, żeby sędzia śledczy Rempler pisał list z żądaniem nowych instrukcyi, zanim mu odebrano śledztwo; w senacie dowiedziono temuż p. Ricardowi, że sędzia list ów rzeczywiście pisał. Otoż kiedy minister nie szanuje przepisów prawa w rzeczy tak ważnej, jak śledztwo kryminalne, i kiedy prócz tego wypowiada z trybuny twierdzenia, które przeczą faktom, każda z izb ma dostateczną zasadę do żądania, aby taki minister, względnie taki gabinet podał się do dymissyi. To właśnie uczynił senat, a izba posłów, acz w pierwszej chwili stanęła po stronie ministeryum przeciw senatowi, gdy ją lepiej poinformowano, nie upiera się przy zatargu z senatem. Ministrowie chcieli w starciu dwóch izb znaleźć dla siebie tarczę i ochronę. To im się niezupełnie udało, i dotychczas ma Francya właściwie starcie gabinetu z senatem, nie zaś obu izb między sobą. Że gabinet przegra tę partyę, o tem nie wątpią nawet najwięksi optymiści w obozie jego przyjaciół. Politycznie już on się zużył, a każdy dalszy dzień istnienia wbrew woli jednej z izb, zamiast podnosić urok gabinetu, dobija go moralnie. Swoją drogą, położenie ogólne nie należy do łatwych i przyjemnych. Gabinet dogorywa, a nie widać, ktoby po nim miał ochotę objąć dziedzictwo.

W Abissynii gromadzi się wojsko zarówno abissyńskie, jak włoskie, ale Menelik kunktuje, unikając stanowczego starcia. Generał Baratieri, zebrawszy wszystkie posiłki, jakich się spodziewa, będzie się starał zmusić przeciwnika do przyjęcia bitwy. W planie polityki włoskiej leży pokonanie i zgnębienie Menelika do tego stopnia, żeby się stał nieszkodliwym.

W Austryackiej radzie państwa złożył prezes gabinetu, hr. Bardeni, projekt reformy wyborczej, który dobrze został przez opinię publiczną przyjęty i ma widoki urzeczywistnienia. Zasadę główną proje-

ktu tego przytaczaliśmy już dawniej: jest nią utrzymanie całego systemu obecnego wyborów i dodanie do czterech istniejących kuryi, piątej, opartej na głosowaniu powszechnem.

Dawno przeszła epoka zaczarowanych skrzypiec i fletni, ale czar muzyki tanecznej działa silnie i działać zapewne będzie jeszcze przez długi szereg lat. Nogi, wprawione raz w ruch rytmiczny, nie mogą spocząć i tak będą podrygiwały do samego Popieleca. Wszystko pod hasłem miłosierdzia.

Jest jeszcze jedna droga, prowadząca do uczeń ludzkich: żołądek. Ileż razy skupił on i zsolidaryzował gromadki kolegów, rozproszonych po świecie, obcych nawzajem dla siebie przekonaniem, stanowiskiem, dążnością, temperamentem. Ile pięknych, gorących mówek wyszło przez gardło zwilżone szampanem na obchodach jubileuszowych. Ile szczerych ofiar posypało się przy stole biesiadnym na cele dobroczynne! I tutaj fakta stwierdzają tę dziwną wędrówkę mózgu, serca i duszy, wbrew zasadom fizjologii, ale zgodnie z logiką psychologiczną. W Odessie obchodzono niedawno jubileusz zasłużonego doktora, A. Korza. Koledzy lekarze postanowili dać obiad na 150 osób, przyczem ogólna suma wydatków przekroczyła-by 1,000 rs. Jubilat jednak odrzucił tę formę uznania, a natomiast zaproponował, żeby pieniądze, przeznaczone na ucztę, ofiarowano na opłatę wpisów studentów niezamożnych. I oto ze 150 niedoszłych uczestników biesiady tylko 17 zgodziło się na taką zamianę i wniosło 90 rs. Fakt tak dalece wymowny, że chyba zbyt czczeniem było-by oświetlać go jeszcze. Nie narzekajmy więc na powódź balów, rautów, majówek, kolacyi, obiadów i śniadań jubileuszowych, lub koleżeńskich, bo to przecież są formy, w których objawia się miłosierdzie i miłość bliźniego. Z pianki szampana, z półmisków i talerzy unoszą się opary przesycające powietrze sal biesiadnych, zamieniające się w chyże obłoki, na których ku wyżynom podniebnym wznoszą się uczucia zjednoczone, pojednane i wyidealizowane poglądy najsprecyzniejsze.

Pocieszajmy się zresztą tem, że są jeszcze poważniejsze i szlachetniejsze sposoby kolatania do ogółu różno-barwnego o pomoc dla wydziedziczonych, że są chwile wstrząsające, jak klęski żywiołowe, katastrofy, rozpaczliwy jęk rzesz głodnych i nagich, rozrzewniających lepszą część społeczeństwa, która pod wpływem tych wstrząsających wrażeń niesie hojne ofiary.

Chętnie także zsypuje nasz ogół drobne kwoty do skarbca dobroczynności za pośrednictwem odczytów publicznych. Dawno nie pamiętamy takiego ich powodzenia, jak w sezonie bieżącym. Nie wiem, czy sala Muzeum przemysłu i rolnictwa, mniejsza niż ratuszowa, czy dobór treści wykładów, czynią to, że prawie zawsze audytorium jest pełne. Dotychczas mamy dwie serye prelekcji: na rzecz dobroczynności warszawskiej i Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Już kilku prelegentów złożyło swoje ofiary, charakterystycznym zaś szczegółem jest to, że treść wykładów tegorocznych przeważnie poświęconą zjawiskom przyrody, zbadanym lub niezbadanym, spoczywającym w wielkich mroczkach tajemniczości. Dr Maksymilian Flaum przedstawił na tle przyrody obraz zharmonizowania życia ze śmiercią, za pomocą ciągłego przeobrażania się materji. Bronisław Znatowicz z właściwym sobie talentem wykrajał część chemii, ilustrowanej doświadczeniami; na tle teorii atomistycznej scharakteryzował prawo stałości i wielokrotności stosunków. Edmund Jankowski, z zapalem człowieka rozmiłowanego w świecie roślinnym, nawracał słuchaczów, zachęcał ich do otrząśnienia się z oschłości życia i wejścia w bliższe stosunki z przyrodą, uszlachetniającą duszę ludzką, zanadto przesiąkniętą najgorszymi pierwiastkami urządzeń dzisiejszych. Dr Zofia Joteyko opowiedziała rzeczy wielce ciekawe dla ogółu nieobeznanego nawet z elementarnymi podstawami nauk przyrodniczych, o życiu komórki. Władysław Umiński przedstawił na tle socyologicznem obraz wpływu zwierząt na rozwój cywilizacyjny człowieka, roztoczył przed słuchaczem trzy fazy kulturalne: stan myśliwski, pasterski i rolniczy. Ignacy Matuszewski ładnie opracował rzecz p. t. „Ideal bohaterstwa w dramacie staroindyjskim, wybornie przeprowadził porównanie bohaterów, oraz pierwiastków i czynników literatury dramatycznej europejskiej z indyjską. Walery Gostomski zaznaczył wszechwładztwo powieści, zapanowanie jej nad poezją, wystąpił przeciw temu wpływowi i między innymi potępiał powieść psychologiczną. Poezja tedy znalazła gorącego orędownika

Dr Julian Ochorowicz zdołał najbardziej zainteresować ogół, bo mówił o przedmiocie, który najsilniej rozgorączkował tłumy: o medyumizmie. Prelegent na katedrze przedstawił się zupełnie inaczej, niż w swych polemikach, w walce sztuką krzyżową z licznymi przeciwnikami. Zaznaczył wyraźnie swoje stanowisko, wziął rozbrat ze spirytyzmem, a nawet wystąpił przeciw niemu dość ostro, jako czynnikowi, hamującemu poniekąd rozwój badań medyumicznych. Nowej nieznaney sile mówca przypisuje doniosłe znaczenie w przyszłości, a tymczasem ratuje się aktem wiary, sformułowanej w hipotezie „rozszerzenia się“. Z ręki lub nogi medyum, a nawet z całej jego postaci, wychodzi

druga dynamiczna ręka, noga albo postać, przyczem od ręki materyjalnej mają się oddzielić nawet pewne atomy i zmateryalizować kończyny ręki dynamicznej, czem się tłumaczy uczucie dotknięcia palców, doznawane przez badaczyw podczas seansów.

Wiara wyznawców medyumizmu wzmacnia się tem, co ze strony przeciwników jest najcięższym zarzutem: skłonnością medyów do oszustwa. Istnieje ona zawsze, gdyż medyum ucieka się do postępu bezwiednie: usiłuje w sposób zwykły podnieść dany przedmiot. Wtedy trzeba mocno przytrzymać rękę lub nogę, które stygną, sztywnieją i następuje chwila oddzielenia się siły dynamicznej, podnoszącej owe przedmioty bez mięśniowego udziału medyum. Taką hipotezą ratują się badacze zjawisk tajemniczych, podstawiają formułę tymczasową, rusztowanie, które ochrania ich umysł przed nadmiernym ciężarem Niewiadomego. Może to daje im spokój i cierpliwość, pozwala pracować długo nad wykryciem nowej siły.

Myśl ludzka skłonna jest do wysnuwania rojeń, do marzeń o zdobyciu nowej energii duchowej i fizycznej. Można brać ostrożnie lub wcale nawet nie brać hipotezy medyunistów, ale niepodobna poprzestać na tych zdobyczach, jakie dziś posiadamy i wierzyć, że energia przyrody przez ludzkość zużytkowywana jest jedyną i po-za tem nic się już nie kryje. Nie wnিকamy w to, jaką drogą badawczy umysł ludzki potrafi poznać nieznanne, tajemnicze dziedziny, ale to tylko pewna, że będzie on bezustannie pracować, że pomimo przeszkód i trudności, nie spocznie przez długi szereg lat, że przez widma hyhotez i halucynacyi będzie się przedzierał ku światłu rzeczywistemu.

Odczyty, jak wiadomo, są przeznaczone dla słuchaczyw o różnych poziomach umysłowych, różnych stopniach inteligencyi. Otóż nieraz daje się słyszeć narzekanie na „brak popularności“, szczególnie w wykładach z zakresu przyrody. Utyskiwania te wszakże pochodzą częściej z ust sprawozdawców, niż publiczności, tak, że zmierzając do wniosków, można byłoby je sformułować bardzo niekorzystnie dla pierwszych. Prelegent nie może egzaminować swych słuchaczyw, a gdyby nawet potrafił to uczynić, musiał-by podzielić ich przynajmniej na kilka maści grup i stosownie do tego w kilkunastu formach spopularyzować przedmiot. Niepodobna również wymagać, żeby w ciągu jednej godziny zdążył wyłożyć cały kurs chemii, fizyki, botaniki, albo fizyologii. Do tego należało-by chyba stworzyć rodzaj szkoły w sali publicznej. Zapewne, wśród prelegentów są mniej i więcej zdolni, są tacy, którzy, sami posiadając gruntowną wiedzę w danym zakresie, nie są w stanie plastycznie jej przedstawić innym, i tym sposobem zmuszają

mózg do większego napięcia, często bez pożytku. Trzeba jednak i z tem się pogodzić, że wśród publiczności, uczęszczającej na odczyty, znaczny procent jest takich, którzy z najprzystępniejszych i najciekawszych wykładów nie potrafią nic zatrzymać w swych głowach. Pomimo to nie wychodzą jednak bez pożytku, bo ich leniwe, jałowe mózgi, rozpraszające się w poziomych drobnostkach życia, próbują chociaż przez godzinę myśleć. Jest to więc pewnego rodzaju gimnastyka, którą należało-by jak najczęściej powtarzać. Ten, kto ma wstręt nawet do czytania, a zainteresuje się prelekcją, czy to ze względu na niknące obrazy, czy pociągnięty przez towarzyszy, czy w inny jaki sposób, przedstawia już jaki taki materiał, podatny do ćwiczeń.

Odczyty, przygodne i sezonowe, nie mogą mieć ciągłości kursowej, t. j. takiej organizacji wykładów, jakiej projekt poruszono na zjeździe rolników w Moskwie przed kilku tygodniami. Wogóle roztrąsano tam sprawę szkolnictwa agronomicznego i w sumie wniosków, zaleconych do przedstawienia władzy wyższej, podano plan ulepszeń, rozszerzenia programu, zbliżenie zakresu innych szkół ogólnych w taki sposób, ażeby młodzież mogła przechodzić do specjalnych bez żadnych luk w swoim przygotowaniu. Dziś daje się dotkliwie odczuwać brak takich ognisk nauki, słusznie więc położono nacisk na potrzebę średnich szkół rolniczych w każdej gubernii. Nadto niezbędne jest podniesienie techniki i kultury gospodarstw włościańskich, również za pomocą tego środka, a więc między innymi potrzebna jest „niższa szkoła gospodarstwa“, która, nie odrywając młodzieży od warunków życia codziennego, pozwalała-by jej się kształcić. Co do nauki wyższej, pożądane jest nie tylko zwiększenie liczby miejsc w zakładach istniejących, ale także utworzenie wydziałów agronomicznych przy uniwersytetach, z prawem wstępu dla wychowañców szkół realnych i średnich rolniczych.

Pomostem, po którym młodzież przejść może z teorii do praktyki, będą gospodarstwa z polami doświadczalnemi i szeregiem środków innych, gdzie, oprócz uczniów, mogli-by przysposabiać się odpowiednio ludzie, dla których losy i warunki zamknęły-by podwoje szkolne. Z takiej organizacji szkolnej i praktyki pod kontrolą naukową wyszły-by z czasem liczne rzesze oficyalistów, dobrze przygotowanych do pracy fachowej, a więc wzrosła-by i produktywność ich pracy. Godnym jest zaznaczenia jeszcze ten szczegół, że zjazd zażądał uprzywilejowania szkół ogrodniczych i rolniczych wszystkich trzech szczebli dla kobiet. Wniosek ten wypływa z istotnych potrzeb życia, gdyż w dziedzinie ziemiańskiej można naliczyć sporo kobiet, prowadzących gospodarstwo

samodzielnie, lecz niedoświadczonych, nieobeznanych dostatecznie ani z teorią, ani z praktyką gospodarczą. Nadto wiele gałęzi gospodarki, jak młeczarstwo, wyrób serów, masła, hodowla drobiu, trzody, przetwory owocowe, warzywnictwo, pszczelnictwo, pozostają w rękach niewieścich i przy nieumiejętnem traktowaniu dają liche owoce. Jeżeli więc do tej pracy specjalnej wezną się fachowo uzdolnione z pewną sumą wiedzy, z wprowadzeniem nauki i wszelkich ulepszeń technicznych, to owe działy podniosą się i dadzą większą sumę zysków. Wreszcie dobra, pozostające pod kierunkiem ogólnym kobiet, lub pozostawione na łaskę niesumiennych pomocników, łatwiej dadzą się ochronić od bankructwa, gdy właścicielki będą posiadały dostateczną znajomość rzeczy.

Co do gospodarstwa mlecznego, zażądano na zjeździe, a raczej przez zjazd, wogóle organizacyi nauki fachowej—stworzenia niezbędnej liczby szkół różnych typów, wprowadzenia do programu wyższych zakładów kursu gospodarstwa mlecznego, w zakresie teoretycznym i praktycznym. Następnie potrzebne są: wzorowe maślarnie, zwiększenie liczby instruktorów dla różnych działów młeczarstwa, kursa dla wszystkich, uprawiających tę gałąź, osobne wykłady dla instruktorów, oraz specjalistów, wyrabiających masło i sery tam, gdzie gospodarstwo w tym zakresie może się zogniskować i wytworzyć osobne gałęzie przemysłu.

Musimy jeszcze zaznaczyć, że zjazd wogóle położył silny nacisk na badania i doświadczenia naukowe w zakresie wszelkich gałęzi gospodarki rolnej. Między innymi należą do nich okręgowe stacye doświadczałne z polami i fermami. Wszystkie tego rodzaju instytucye, rozrzucone na obszarach całego państwa, powinny mieć, jako ognisko, centralny instytut agronomiczny, doświadczałny. Jak największa liczba towarzystw rolniczych, nietylko gubernialnych, ale nawet powiatowych (oczywiście nie w granicach administracyjnych), związków dla ułatwiania sprzedaży produktów i samego nabywania przedmiotów, niezbędnych w gospodarstwie—to są najgwałtowniejsze żądania zjazdu, które po odpowiednem sformułowaniu przysły do ministerjum rolnictwa. Wogóle ten wielki wiec wszechpaństwowy wziął za główne zadanie—wynalezienie takich środków najskuteczniejszych, które podniosły-by dochodowość przemysłu rolnego. Wszedł tedy na porządek dzienny i kredyt, i wiele środków administracyjnych, któremi mają być lezone ciężkie zbroczenia ekonomiczne, i cła i taryfy. Żądania, wypowiedziane przez przedstawicieli różnych prowincyi, częstokroć były sprzeczne, wykazały brak gruntownej znajomości potrzeb głębszych,

rozpostartych na podścielisku ogólnych zjawisk ekonomicznych. Traktowano ważne potrzeby bądź pobieżnie, bądź opacznie, i gdyby je w całej rozciągłości wprowadzono, przyniosły-by one nawet znaczne szkody. Do takich kwestyi należą taryfy różniczkowe, zastosowane do przewozu zboża i produktów zbożowych. Transporty, idące up. ze wschodu ku granicom zachodnim, korzystają ze znacznych ulg. Pomimo to, niektórzy uczestnicy zjazdu zażądali jeszcze większych zniżek i zyskali uznanie, a nawet poparcie innych. Fakt ten zasługuje na większe podkreślenie jeszcze z tego względu, że nie było na zjeździe nikogo z wytrawnych specjalistów, gruntownych znawców tak zawilej i poważnej dziedziny ekonomicznej, jak taryfy. Z Królestwa Polskiego był zdaje się *jeden* uczestnik — niemy świadek i słuchacz. Sprawę taryfową mógłby postawić na właściwym gruncie Adolf Suligowski, jak to uczynił w roku przeszłym na posiedzeniu głównego Towarzystwa przemysłu i handlu w Petersburgu; tym razem przeszkodziła mu choroba. Jest to szkoda prawie niepowetowana, gdyż wnioski naszego ekonomisty zawsze cieszyły się uznaniem, zarówno w Towarzystwie wolno-ekonomicznem, jak i innych instytucjach tego rodzaju.

Naszym rajcom w sekcji rolnej lub handlowej nie przyszło na myśl, że zjazd rolniczy wszechpaństwowy, to nie zabawka, nie pogawędka pusta, lecz sformułowanie potrzeb ogólnych, które chociaż w części muszą być wysłuchane i załatwione. Uczestnicy zjazdu, lekceważąc szerokie podłoże ekonomiczne, zażądali takich reform, które nie przyniosą korzyści interesowanym, a jednocześnie mogą być zgubne dla niektórych prowincyi państwa, jeżeli nie będą uwzględnione równomiernie potrzeby ogółu i wprowadzony system prawdziwie wywozowy, t. j. taki, który nie pozwolił-by nagromadzać wielkich zapasów zboża i jego produktów w pobliżu granicy, a nawet wracać z za granicy.

Dopiero *post factum* zaczęto na naszych posiedzeniach mówić o taryfach zbożowych, a po za murami sali obrad ukazała się broszurka p. Wretowskiego. Z powodu zapowiedzianej rewizyi taryf w r. b., autor, dla zapewnienia poparcia tutejszemu rolnictwu i młynarstwu, radzi mieć na względzie następujące wnioski: 1) Ustanowienie oddzielnych taryf dla przewozu transportów zbożowych w ruchu wewnętrznym i wywozowym. 2) Zastosowanie do transportów w komunikacji wewnętrznej schematu różniczkowego stopniowego, równomiernego i mniej szybkiego. 3) Podwyższenie taryf mącznych ponad taryfę dla zboża w ziarnie. 4) Zniżenie taryf wywozowych zbożowych i mącznych dla wszystkich stacyi Królestwa Polskiego. 5) Ustanowienie świadectwa pochodzenia dla zboża, wwożonego z za granicy do Rosyi.

Mniej więcej te same wnioski, tylko traktowane na szerokiej podstawie ekonomicznej, wypowiedział wcześniej Suligowski w najnowszej wybornej swej pracy, która się ukazała na schyłku roku zeszłego p. t. „Produkcya rolna i taryfy kolejowe“. Skoro przeoczyliśmy jedną chwilę, warto dopilnować drugiej i drogą silnej, umiejętnej argumentacji poprzeć potrzeby wielotyśięcznej ludności.

W miesiącu ubiegłym padł na stanowisku jeden z najwybitniejszych chirurgów i najdzielniejszych ludzi, dr Franciszek Jawdyński. Ratując kolegę, skaleczył palec i zakaził sobie krew. Opuścił świat i rodzinę w rozkwicie sił i energii, przejęty bólem moralnym i całą świadomością przebiegu zakażenia zabójczego. Urodzony d. 2 grudnia 1857 roku w Warszawie, skończył w mieście rodzinnem gimnazyum r. 1871, a wydział lekarski r. 1876. Jako niepospolicie zdolny, natychmiast po skończeniu został asystentem profesora Kosińskiego i na tem stanowisku pracował lat sześć. Przez cały ten czas gorliwie prowadził praktyczne zajęcia ze studentami. Roku 1886, już jako wyborny chirurg, stanął do konkursu i otrzymał posadę ordynatora w szpitalu praskim, w którym pracował do r. 1892, wreszcie objął pod swoją opiekę salę 16-tą w szpitalu Dzieciątka Jezus, po Matlakowskim. Oprócz ciężkiej pracy na polu praktyki lekarskiej, uprawiał literaturę specyjalną, brał udział w redakcyi „Gazety Lekarskiej“, przez lat sześć był redaktorem „Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego warszawskiego“. Wszystkich prac jego, drukiem ogłoszonych, jest 28.

Z. P.



---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

Ignacy Matuszewski. „Czarnoksięstwo i medyumizm“, studyum porównawcze z 21 ilustracyami. Warszawa, Gebethner i Wolff. (8-ka, 267). Autor z właściwą sobie werwą, zacięciem polemicznem i obrazowością, kreśli reakcyę współczesną, rzekome bankructwo wiedzy, stanowisko młodszego pokolenia względem starszego, ścieranie się poglądów i dążeń. Reakcyja dzisiejsza—powiada autor—naturalnie reakcyja poważna i uczciwa, nie wstępuje bynajmniej w ślady Ludwika XVIII, nietylko bowiem nie ignoruje zdobyczy swego poprzednika, ale stara się je wchłonąć, przyswoić i rozwijać dalej. O ile więc z tej drogi nie zboczy, powinna być uważana za reakcyę, idącą „torem anormalnym“. Myśl ludzka robi teraz zwykły zwrot na swojej spiralnej ścieżce, ale mimo to, nie cofa się wcale, ale dąży ciągle ku szczytowi góry, Excelsior!—Dalej autor dowodzi, że wzrastające z każdym rokiem zajęcie się medyumizmem, nietylko nie ma nic wspólnego ze wsteczniczctwem, ale może, a nawet powinno być uważane za wyraz postępu, zwłaszcza od chwili, kiedy poważni uczeni zajęli się tą kwestya, traktując ją w sposób najzupełniej przedmiotowy, *sine ira et studio*, i mając na celu nie tryumf tej lub owej doktryny, lecz poznanie prawdy. Na początek zajęto się przedewszystkiem stwierdzeniem realności samych objawów. Gdy tę już, po wielu próbach, uznano za rzecz nie podlegającą najmniejszej wątpliwości, trzeba będzie teraz zwrócić się do badania natury tych zjawisk, oraz wykrycia związku, łączącego je ze znanymi

nam faktami naukowemi. Wogóle, p. Matuszewski w swem studyum porównawczem starał się nie schodzić ani na chwilę z gruntu czysto rzeczowego i nie naciągać opisywanych faktów do żadnej z istniejących teorii i doktryn. Chciał dowieść, że medyumizm, jako rzecz związana ściśle z naturą i organizmem ludzkim, istniał zawsze i wszędzie, gdzie istnieli ludzie; kwestyę atoli *czem może być* medyumizm, zostawił na uboczu. Dla autora osobiście kwestya medyumizmu przedstawia się tak: Ze stanowiska filozoficzno-naukowego zawsze uważał zjawiska medyumiczne za najzupełniej *możliwe i prawdopodobne*. Własna obserwacya potwierdziła mu *realność* wielu z tych zjawisk. Badania historyczne i etnograficzne dowodzą, że medyumizm znany był we wszystkich czasach i u wszystkich ludów. O wewnętrznej istocie tych fenomenów, można dziś wyrażać się tylko hypotetycznie, zamało bowiem zrobiono dotąd poważnych doświadczeń i obserwacyi, żeby dojść do bezwzględnie pewnej teorii. *Niewątpliwie* stwierdzono tylko *realność* zjawisk, oraz pewną prawidłowość w ich występowaniu. W każdym razie medyumizm odegra z czasem w nauce bardzo wielką rolę

— Pod redakcyą p. Kazimierza Bartoszewicza, zaczęło w Krakowie wychodzić pismo miesięczne „Przegląd literacki“, którego wydano już dwa numera. Kontrola krytyczna nad ruchem w piśmiennictwie polskiem jest głównem zadaniem nowego miesięcznika, rozpoczętem starannie i skrętnie. Artykuły pisane zwięźle, treściwie, w tonie spokojnym i obiektywnie dają pojęcie o każdej książce, omawianej zwykle przez specjalnie z przedmiotem obeznanego sprawozdawcę. Utrwalają się w ten sposób w krytyce pojedyncze momenta twórczości literackiej, z której po pewnym, dłuższym przeciągu czasu, wytworzy się bardzo porządny całokształt tej twórczości. „Przegląd“ prowadzi również dział bibliograficzny.

Zeszyty IX i X wydawnictwa p. t. „Obraz Literatury Powszechnej w streszczeniu i przekładach“, prowadzonego przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego, wyszły z druku i zawierają: Czasy nowożytne: Francya (dokończenie), Rumunia i Stany Zjednoczone.

„Dziejów powszechnych ilustrowanych“, wydawanych w Wiedniu przez Franciszka Bondego, wyszło dalszych cztery zeszyty tomu drugiego, od 60 do 63 włącznie.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**

# Juliusz Lemaître.

Skreślić charakterystykę Lemaître'a—zadanie to trudniejsze, niżby można przypuszczać. Pomijam już to, że tym razem trzeba mówić przede wszystkim o krytyku, zatem o autorze, który nie tworzy wprost, lecz pisze książki o książkach. Główna trudność jest jednak w tem, iż Lemaître mógł-by na każdym tomie swego największego dzieła: „Portretów współczesnych“, dać jako motto zdanie Montaigne'a, że „ludzki umysł nie jest zdolny wyrobić sobie stałych i pewnych pojęć, gdyż na świecie wszystko jest zmienne: zarówno same przedmioty, jak i nasze umysły“.

Lemaître, jako krytyk, zmienia się też ustawicznie, jak Proteusz; wchłaniając w siebie kolejno dzieła rozmaitych autorów, upodabnia się do nich, przybiera ich kształty i barwy z dziwną podatnością umysłu i skutkiem tego wydaje się prawie nieuchwytnym.

Oczywiście jednak przy całej tej zmienności muszą w nim być, i są pewne cechy stałe, pewne zasadnicze i niezmiennne rysy, które wśród wszystkich metamorfoz należało wynaleźć, schwycić i ugrupować tak, aby dały wizerunek człowieka i pisarza.

A rzeczywiście warto zająć się bliżej postacią literacką świeżo powołanego członka Akademii, który od lat kilkunastu ma europejską, dobrze zasłużoną sławę: wszak prace jego krytyczne, choć na pozór tak lekkie, że wydają się nieraz jakby od niechcenia i na pół żartem pisane—stanowią nietylko we Francyi o powodzeniu książek, a oryginalne jego utwory, szczególnie sceniczne, mają stałe powodzenie

w Paryżu i obiegają cały świat cywilizowany. W tej tak obszernej działalności Lemaître występuje zawsze jako pisarz nawskróś nowożytny, odczuwający głęboko wszelkie prądy naszej epoki, a równocześnie jako umysł niezwykle kulturalny, rozumiejący doskonale wszystkie objawy duchowe epok minionych.

\* \* \*

Z góry można powiedzieć, że Lemaître, jak zresztą każdy naprawdę umysłowo żyjący człowiek, musi mieć jakiś mniej lub więcej wyrobiony ogólny pogląd na świat. Musiały się jemu także, jak wszystkim, nasuwać wielkie, odwieczne zagadnienia. Że zaś ostatecznej, ani nawet na razie dostatecznej, wyrozumowanej odpowiedzi na te pytania ludzkość nie dała sobie dotychczas i prawdopodobnie nigdy jej sobie nie da, przeto każdy myślący umysł musi z konieczności rozwiązywać je sobie na własną rękę, o ile nie chce, lub nie jest zdolny przyjąć bez zastrzeżeń tych odpowiedzi, jakie daje wiara.

W każdej epoce zdarzają się umysły bardziej od innych usposobione i lepiej wyposażone do takich filozoficznych dociekań i one właśnie zdobywają, dla siebie i dla innych, im pokrewnych umysłów, odpowiedzi na owe dręczące zagadnienia.

Mając określić umysłowość Lemaître'a, trzeba więc przedewszystkiem oznaczyć, pod czyjemi wpływami wytworzył on sobie swój ogólny pogląd filozoficzny. Jest to rzecz wcale nie obojętna nawet ze względu na jego działalność pisarską: wszystkie prądy literackie, historyczne, a nawet artystyczne w danej epoce stoją zawsze w związku, i to ścisłym, z odpowiednim prądem filozoficznym. Wszak wiadomo, że np. naturalizm w literaturze i sztuce, a doktryna Taine'owska w historii i w krytyce, były wprost objawem tego samego kierunku, który w dziedzinie filozofii wydał pozytywistyczne szkoły Comte'a i Littrégo. Nasuwało-by się zatem pytanie: jakim prądom filozoficznym odpowiada krytyka Lemaître'a?

W związku z tem pierwszym pytaniem zostaje drugie. Jeśli rzeczywiście Lemaître reprezentuje w krytyce pewien odrębny kierunek, to trzeba będzie wykazać, na czem ta jego odrębność polega, innemi słowy, czem Lemaître różni się od innych krytyków? Nie dość na tem; oznaczywszy stosunek do tych „innych krytyków“, z kolei wypadnie powiedzieć, jakie stanowisko zajął wobec tak licznych a różnorodnych prądów nowszej literatury francuskiej.

To Lemaître — autor „Portretów współczesnych“. Jakim jest krytykiem i pisarzem teatralnym? Wprawdzie jego działalność na

tem polu jest bez porównania mniej obfita, ale jej pominąć nie można, gdyż i ona także posłuży do ostatecznej charakterystyki Lemaître'a.

## I.

Przybywszy do Paryża z prowincyi, gdzie był profesorem szkół średnich, Lemaître miał za sobą dwa tomiki poezyi: „*Les Médailleurs*“ i „*Les Petites Orientales*“ Bardzo wykształcony, bardzo w literaturze odczytany, gruntownie obznajomiony ze starożytnością, a przytem z natury już niezmiernie bystry i wrażliwy—miał bardziej niż ktokolwiek prawo śmiało spoglądać w przyszłość. A jednak z początku nie czuł się swojo na bruku paryskim. Po cichej Grenobli, w której się przygotowywał do życia i zawodu literackiego, wpadł w sam wir i gwar tego życia i tego zawodu. W sprzecznych prądach i kierunkach trzeba się było dopiero rozejrzeć. Sam o sobie powiada we wstępie do portretu Renana, że miał „*l'ignorance et la naïveté d'un provincial fraîchement débarqué de sa province, qui est curieux de voir des hommes illustrés et qui va faisant des découvertes...*“ Jedną z pierwszych wielkości, którą starał się poznać, był Renan. Znał wprawdzie jego dzieła, bo jakżeż mógł-by ich nie znać? Wszak „żaden inny pisarz do tego stopnia nie zajmował, nie wzruszał i nie porywał współczesnego pokolenia. Umysł musi się nim zaprzętać bez względu na to, czy się kto broni jego wpływem, czy się mu poddaje“.

Lemaître należał do tych, którzy się przed wpływem Renana bronić chcieli i do czasu bronili — ale w końcu uległ, jak tylu innych, jak wszyscy, którzy się Renanem zaprzęтали. W portrecie, który jest jedną z najświetniejszych prac młodego Lemaître'a, Renan wychodzi bardzo wyraźnie. Sąd o nim jest trzeźwy, niemal nawet surowy. Szczególnie ustęp, w którym Lemaître mówi o skutkach, jakie wywarły dzieła Renana, jest pełen szlachetnego oburzenia i goryczy; w stylu, języku i w całym tonie są tam rzeczy, które w tłumaczeniu musiałby stracić ciętość i werwę. Wolę zatem wprost przytoczyć te parę zdań: „*M. Renan, vingt fois, cent fois dans chacun de ses livres, a tué la joie, a tué l'action, a tué la paix de l'âme et la sécurité de la vie morale. Pratiquer la vertu avec cette arrière-pensée, que l'homme vertueux est peut-être un sot; se faire „une sagesse à deux tranchants“; se dire que nous devons la vertu à l'Eternel, mais que nous avons droit d'y*

*joindre, comme reprise personnelle, l'ironie; que „nous rendons par là à qui de droit plaisanterie“, etc., cela est joli, très joli; c'est un raisonnement délicieux et absurde, et ce „bon Dieu“ conçu comme un grec émèrite qui pipe les dés, est une invention tout à fait réjouissante. Mais ne jamais faire le bien bonnement, ne le faire que par élégance et apporter toujours à la pratique de la vertu la méfiance et la sagacité d'un monsieur qu'on ne prend pas sans vert, et qui n'est dupe que parce qu'il le veut bien,—est-ce que cela ne vous paraît pas lamentable“?*

Już samo rozdrażnienie, z jakim Lemaître mówi o rozkładowych i rozstrajających skutkach renanizmu, świadczy, że sam w sobie czuł rozkład ów i rozstrój. W nim, w Lemaître, zabił Renan swemi książkami pogodę ducha, zdolność czynu, spokój wewnętrzny i równowagę moralną. To też nic dziwnego, że kiedy po raz pierwszy ujrzał na katedrze w Collège de France tego wielkiego truciciela dusz w całym pokoleniu współczesnem—wówczas uczuł przeciw niemu ten głęboki żal, który bije z każdego słowa w tym ustępie. Ale renanizm, gdy raz wszczepił się w umysł, już się nie łatwo wykorzenia. Autor „*Początków Chryścjanizmu*“ nietylko tem, co mówił, ale samym sposobem, jak mówił, niesłychanym urokiem formy, subtelnością i wytwornością stylu, oddziaływa na czytelników jak magnetyzer, narzuca im swoje myśli, czaruje i przykuwa, olśniewa i zdumiewa „po dziesięćkroć i po stokroć“ w każdym swoim dziele; a jeśli jeszcze czasem w duszy podniesie się oburzenie, to wnet rozbroi je ta dobroduszna, na pozór, pogoda i swoboda i ten pocziwy uśmiech starego wiejskiego proboszcza, z jakim Renan podkopuje wszelkie prawdy religijne i moralne.

Już w tym samym portrecie znać pod koniec zmianę tonu. Lemaître ulega osobistemu urokowi Renana, nie może się oprzeć jego głosowi, nie może zaprzeczyć, że go wpływ Renana coraz bardziej ogarnia. W parę lat później pisząc o „*Kapłanie z Nemi*“, Lemaître zupełnie inaczej wyraża się o Renanie: „Odczytajcie kilka opowiadań Voltaire'a lub Diderota — pisze w zakończeniu—potem odczytajcie „*Kalibana*“ „*Źródło młodości*“ i „*Kapłana z Nemi*“, a przekonacie się ilu pojęciami i uczuciami wzbogacił się duch ludzki przez te sto lat; wówczas serce wzbierze wam wdzięcznością i miłością, *pour le plus suggestif et le plus ensorcelant de nos grands écrivains!*“ — Ja przeczytałem portret Renana w I tomie „*Contemporains'*ów“, a potem recenzję o „*Kapłanie z Nemi*“ w tomie IV i przekonałem się, o ile przez te kilka lat Renan zdołał podbić umysł Lemaître'a. O żadnym z autorów,—a pisze o wszystkich niemal, — nie odzywa się Lemaître tak gorąco, jak o Renanie; cytuje go ustawicznie, powołuje się na niego prawie na każdej stronicy; widzi to sam i w końcu przy jednej takiej wzmiance dodaje w nawiasie: „*Ah vraiment il me hante M. Renan*“.

Rzecz prosta, że przybywszy do Paryża z zarodkami renanizmu, obracając się potem ciągle wśród społeczeństwa, na które „żaden inny pisarz nie wywierał takiego wpływu, jak Renan“, żyjąc nadto w osobistych stosunkach i w bezpośredniej styczności z mistrzem, przejął Lemaître jego poglądy i myśli. Zdaje mi się jednak, że już z natury był umysłem do Renana podobnym i uposażonym w te same właściwości, tylko w mniejszym stopniu. Ustępuję słowa Lemaître'owi—niech kolejno mówi, jakie rysy charakterystyczne uderzyły go w Renanie i w jego filozofii. Ja zaś będę kolejno dobierał z dzieł Lemaître'a ustępy, które pisze sam o sobie i swojej krytyce. Pokaże się, że prawie temi samymi słowami mówi Lemaître o sobie i o Renanie, o swojej krytyce i o jego filozofii.

Przedewszystkiem uderzyła Lemaître'a zmienność i niestałość sądów i pojęć u Renana:

„Było-by rzeczą ciekawą — choć przy tem dość bezużyteczną — zrobić spis wszystkich jego sprzeczności. Jego Bóg raz istnieje, drugi raz nie istnieje, raz jest osobisty, drugi raz nie osobisty. Nieśmiertelność jest u niego to indywidualna, to znowu zbiorowa. Wierzy i nie wierzy w postęp ludzkości. Myśli jego są smutne—umysł żartobliwy. Lubi on nauki historyczne i pogardza niemi. Jest nabożnym bezbożnikiem. Bywa naprzemian mistykiem i uszczypliwym szydercą. Przeczy równocześnie i twierdzi tę samą rzecz. Tak bardzo mu chodzi o to, żeby go nie oszukały jego własne myśli, że, odezawszy się poważnie, zaczyna zaraz potem śmiać się i szydzić. Wypowiada czasem twierdzenia, którym po chwili sam przestaje wierzyć, albo przeciwnie, sypie ironicznemi paradoksami i zdawało-by się, że sam bierze je w końcu na seryo“.

To bardzo trafne ze względu na Renana. W zupełnie innem miejscu, bo w portrecie Anatola France, mówi wogóle o swoim stanowisku krytyka, i o tem, jak swój zawód pojmuje: „Zmieniając się ciągle sami, obserwujemy świat, który się także ustawicznie zmienia. Nawet i wtedy, gdy przedmiot obserwowany ma formy stałe i raz na zawsze zakreślone, odbija się on w umyśle zmiennym, to też w sądach naszych nie możemy ręczyć za nic, chyba jedynie za nasze osobiste, chwilowe wrażenie. Jakże więc krytyka literacka mogła-by się zamykać w granicach jakich niezmiennych pewników? Dzieła rozmaite przesuwają się przed zwierciadłem naszego umysłu, orszak to długi, zwierciadło zmienia się tymczasem i jeśli przypadkiem to samo dzieło powraca powtórnie, to już nie daje takiego samego odbicia...“

I znowu krótkie dwa ustępy, jeden o Renanie, drugi o sobie:

„Jeśli Renan wydaje się nam tak zawiłym umysłem, to dlatego że pierwiastki, z których się jego umysłowość składa, są nader liczne

rozmaite, a częstokroć nawet sprzeczne, on zaś pozwala im objawiać się, i w tem właśnie jego szczerłość“.

Między tem zdaniem o Renanie, a ustępem, który wyłowilem w jednym z dalszych tomów, zachodzi — według mojego zapatrywania — ścisły związek: „Umiał-bym być stałym w moich sądach — pisze Lemaitre — gdybym tego chciał koniecznie, i mógł-bym wyrokować o książkach, zamiast uświadamiać sobie wrażenia, jakie z nich odnoszę... Tylko wówczas nie byłbym szczery sam z sobą. Mówił-bym rzeczy, których nie jestem zupełnie pewny, tak, jak jestem pewny moich wrażeń“.

Bez końca można-by przytaczać i zestawiać stronicę całe z dzieł Renana i z dzieł Lemaitre'a, co do zasadniczych punktów najzupełniej zgodne i przepelnione nawet temi samemi wyrażeniami. Myśli główne, które Renan rzucił na kilkunastu kartkach swego „*Examen de la Conscience Philosophique*“ — odnaleźć można niemal wszystkie u Lemaitre'a, np. w portrecie Pawła Verlaine'a (*Contemp. IV*), w owym długim wywodzie renanistycznym o miłości Boga.

Zbyteczne było-by chyba dalsze dowodzenie ścisłego związku, jaki zachodzi pomiędzy filozofią Renana, a poglądami Lemaitre'a. Są wszelako między nimi i ważne różnice.

Mimo pewnych księżych pozorów, jakie do końca życia zachował Renan w swoim obejściu się i tonie, jest on Kościoła wrogiem nieprzejednanym i odzywa się o katolicyzmie rzadko w sposób przyzwoity, najczęściej nawet brutalny i cyniczny. Lemaitre przeciwnie: ilekroć wypadnie mu wspomnieć o wierze katolickiej i o Kościele, tylekroć uchyla czoła i mówi, albo z głęboką czcią, albo nawet z pewnem rozrzewnieniem, które ma wszelkie cechy najzupełniejszej szczerości. Tak w portrecie Verlaine'a jest Katolicyzm wspomniany, jako religia najwyższa ze wszystkich, gdyż w niej „rozum nie zastrzega sobie półgębkiem jakichś praw, jak w innych religiach, ale poddaje się bezwarunkowo miłości“.

Jak szlachetnie umie się czasem ten sceptyk oburzyć na bluźniercze poniewieranie religii, jak ten elegancki dyletant porywa się i głosem dobytym z wnętrzości serca piętnuje świętokradzkie obelgi takiego np. Richepin'a! „Jakim sposobem mógł on nie czuć, że jego negacye pełne są grubiaństw, płaskości i niedowarzenia? Niema Boga, niema praw moralnych, niema nawet praw fizycznych!... wszystkim rządzi ślepy traf. Stąd wniosek jedyny: jedźmy, pijmy i nie myślmj o niczem. I takie pomysły rozwija on radośnie i dumnie. Niema się z czego cieszyć, niema się czem szczycić!.. Ładne mi odkrycia! Czy mu się zdaje, że, przecząc wszystkiemu, tem samem wszystko wyjaśnia? Jakże wstrętne są te jego przeczenia! Z ilu najlepszych uczuć odziera nas ten poeta. Precz z wiarą, precz z nadzieją, precz z miłością, precz z ma-



rzeniami i złudzeniami! Smutnie wygląda ten świat p. Richepin'a. Jego negacye zaś są o wiele niedorzeczniejsze od najgłośniejszych twierdzeń. Wstyd mnie, kiedy widzę, że jest poeta, który myśli zupełnie jakby jaki szynkowniany ateusz z Batignolles.—Komu nie wystarcza ta obrona poniewieranego Chrześcijaństwa, tego odsyłam do portretów Baudelaire'a i Barbey'a d'Aureville. Dwukrotnie podnosi tam Lemaitre z naciskiem, że go razi ich wrzekomy, sensualistyczny Katolicyzm. Dość ostro gani im, iż „byli katolikami przez wyobraźnię i przez chęć wyróżnienia się w epoce materyalistycznej, a z Katolicyzmu nie czerpali podstawowych zasad życia; o ile zaś wypełniali zewnętrznie, formalne przepisy Kościoła, to raczej dla zabawki i dla zaostrenia wrażeń, niż z przekonania i na seryo“.

Lemaitre myśli i postępuje wprost przeciwnie. Katolikiem, ani nawet chrześcianinem nie jest: z pomiędzy wierzących wygnał go sceptycyzm. Ale wiarę ten sceptyk czi naprawdę, tęskni za nią szczerze, a gorąco uznaje i wyznaje bez zastrzeżeń całą moralność katolicką i w tem przekonaniu broni jej na każdym kroku wobec pisarzy, którzy ją lekceważą lub osłabiają. Pod tym względem Lemaitre nie ma pobłażania nawet dla Renana, i ostro wymawia mu jego ironię, z jaką w dziełach swoich traktował moralność chrześcijańską. Nie wierzyć w Boga—zdaniem Lemaitre'a, to niezawodnie wielkie nieszczęście, ale nie wierzyć w moralność chrześcijańską, podawać ją w wątpliwość, osłabiać ją w sobie i w innych, to wielka zbrodnia. On chciał-by tę moralność wyjąć z pod zakresu wszelkich rozumowań, chciał-by ją osłonić przed wszelką napaścią i zniewagą, chciał-by ją postawić na ołtarzu wszystkich tych dusz, z których uleciała wiara. Przyjmując ją jako pewnik niewzruszony i wyjęty z pod wszelkiej dyskusyi, Lemaitre wybitnie różni się w tem samem od Renana, który jeśli nie napada jej wprost, to przynajmniej traktuje ją z drwiącym uśmiechem, tak, że w ostatecznych skutkach zaciera zupełnie różnicę między złem a dobrem. W słynnym artykule o „*Dzienniku*“ Amiela, Renan sam to przyznaje; „Amiel mówi ciągle o grzechu, o zbawieniu, odkupieniu, nawróceniu, jak gdyby te rzeczy istniały naprawdę. Szczególnie kwestya grzechu zajmuje go bardzo... Zarzuca mi, że jej nie biorę dostatecznie w rachubę i że trzy razy zapytuje: „Co właściwie Renan myśli o grzechu?“ — *Je crois, qu'en effet je le suppose supprimé (le péché)*. Tego nie byłby nigdy napisał Lemaitre, dla niego złe jest zawsze złem, a dobre dobrem, powątpiewać o różnicy między jednym a drugim nie wolno, różnica ta zaś ma swoją podstawę w sumieniu i lekceważyć jej, a tem mniej zacierać, nie ma się prawa.

Lemaitre'a razi też głęboko, że Renan o tej sprawie, jak o wszystkim, wyraża się z lekceważącą ironią. Wogóle uważa Le-

maître słusznie ironię za główny charakterystyczny rys umysłowy u Renana. W jego portrecie wprowadza ustęp, jakby z baśni jakiej zapożyczony, opowiadając, jak do kołycki Renana przychodziły kolejno wszystkie wróżki i „dawały mu talent, wyobraźnię, subtelność, wytrwałość, wesołość, dobroć. W końcu przystąpiła wieszczka Ironia i rzekła: Przynoszę ci dar wspaniały, ale ci go daję w takiej ilości, że opanuje on i zagłuszy w tobie wszystkie inne. Będziesz drwił ze wszystkiego, ze świata i Boga, będziesz drwił z samego siebie wreszcie stracisz poczucie prawdy, rozeznanie między złem a dobrem. Będziesz mieszał ironię do najpoważniejszych myśli, do czynów najprostszych i najlepszych; ironia da twoim pismom urok, ale sprawi, że będą niepochwytnie i krucho. Za to nikt nie będzie się tak cieszył światem, jak ty“.

Lemaitre'owi także nie brak ironii, równie wykwintnej, jak ironia Renana, ale u niego nie opanowała ona i nie zagłuszyła wszystkiego, trzyma się w należnych granicach i cofa się przed rzeczami świętymi i wielkimi. W „Portretach współczesnych“ spotkać się z nią można na każdej kartce. Spogląda ona z trochę drwiącym uśmiechem na rozmaite kwestye literackie i estetyczne, o które inni gotowi skakać sobie do oczu, przechodzi lekko i zabawnie około wad i błędów rozmaitych pisarzy i obraca je w dowcipny żart, w którym jednak zawsze czuć sympatyę i życzliwość osobistą krytyka. Zjadliwości ani sarkazmu nie bywa w niej prawie nigdy. Prawie nigdy—czasem, rzadko bardzo, zdarzy się szczypta gorzkich drwin, ciężty dowcip, albo zlosliwa alluzya: Lemaitre bowiem, mimo poczciwego usposobienia, miewa także swoje nieprzeparte antypatyę, z którymi się bynajmniej nie tai. Do antypaty Lemaitre'a należy niezawodnie Brunetière. Obaj powiedzieli sobie już nawzajem niejedno gorzkie słowo i rzucili niejedną ostrą przyciekę w swoich pracach krytycznych. Krzywdził-by ich jednak, ktoby tę niechęć tłumaczyć chciał przez niską *jalousie de métier*. Ma ona o wiele głębsze podstawy w sprzeczności umysłowej, w różnicach zdań literackich i w całym pojęciu obu tych pisarzy o zadaniach i obowiązkach krytyki. Z kolei postaram się tedy o wykazanie, jakie nowe pierwiastki wniósł Lemaitre w dziedzinę krytyki literackiej, jak ją pojmuje i wykonywa i dla czego przez to musiała się pomiędzy nim a Brunetière'em wywiązać tak zacięta walka.

## II.

Dotychczas doszliśmy do tego, że filozoficzną podstawę poglądów i działalności Lemaitre'a stanowi złagodzony renanizm. W każdym razie chyba Lemaitre jest umysłem Renanowi pokrewnym, a ży-

jąc w dodatku w atmosferze renanizmem przesiąkłej, wyrabiając się w epoce „gdy filozofia Renana najbardziej nad umysłami panowała“, uledz jej musiał mimowolnie i coraz bardziej się nią przejmował.

Rzecz prosta, że ten umysł, pod tym wpływem pozostający, nie mógł pójść w swoich pracach krytycznych żadnym z owych dwu gotowych utartych szlaków, jakie wówczas miał do wyboru każdy początkujący na tem polu pisarz. Lemaître musiał wytworzyć sobie jakąś nową, zupełnie odrębną drogę: zbyt bowiem był drażliwy, zbyt wiele miał osobistego, a nader wytwornego, estetycznego poczucia, żeby go mogła zadowolić nieosobista, zimna i na pozytywistycznym determiniźmie oparta metoda Taine'a; z drugiej strony nie mogła go pociągać krytyka taka, jaką uprawiał Brunetière, krytyka, przykładająca dzieła literackie do jakiegoś Prokrustowego łoża, najeżonego całym aparatem ukutych z góry, bezwzględnych reguł, formuł i przepisów, które Brunetière nazywał pięknie „*idées fondamentales*“.

Że istotnie Lemaître nie czuł pociągu do żadnego z tych dwu typów krytyki, na to dostarczają dowodów jego „*Portrety współczesne*“.

Taine'owi nie szczędzi on wprawdzie gorących pochwał: „Jest to pisarz wielki — tak rozpoczyna Lemaître sylwetkę Taine'a (*Contemp. VI.*) — i bodaj że nie było w naszym wieku badacza, który-by zgromadził i ogarnął tak olbrzymi zasób faktów i uporządkował je z taką zdumiewającą ścisłością... Dzieła jego są jak gdyby jakieś potężne i wybornie skonstruowane budowle. Wnioski wyrastają tam jedne na drugich, fakta grupują się i piętrzą w ordynku, jakby warstwy, czy piętra wspinałego gmachu. Taine jest mistrzowskim budownikiem takich piramid. Ale też nikt nie stosował tak bezwzględnie ciasnych doktryn pozytywizmu i to do najróżnorodniejszych przedmiotów...“ — Dalszy wywód dałby się mniej więcej tak streścić: cóż z tego, że Taine chciał się zupełnie ukryć po-za swemi budowlami i wystrzegał się, by zgoła nie zabarwić zgromadzonych faktów swoją własną indywidualnością? Sama ta okoliczność, że je porządkował w ten, a nie w inny sposób, dzięki czemu te, a nie inne wynikają z nich wnioski — sama ta okoliczność wyciska na dziełach Taine'a osobiste jego piętno, wbrew jego woli i wbrew jego doktrynie. W doktrynie tej tkwi z założenia *contradictio in adjecto*. Wszak według niej każdy utwór literacki jest koniecznym wynikiem warunków, pośród których powstał, i pierwiastków, jakie się nań złożyły, musi zatem nosić na sobie wszelkie cechy swego pochodzenia. Jakimże więc sposobem dzieła Taine'a, które wyszły z głowy Taine'a, mogły-by nie mieć wszelkich cech umysłowi Taine'a właściwych? „I dla tego — mówi dalej Lemaître — Taine robi najczęściej to, czego wcale nie miał zamiaru robić: odtwarza w wyobraźni on przeszłość, odczuwa ją intuicyjnie na podstawie zbada-

nych materyałów, a tymczasem chciał jedynie badać, zestawiać, wnioskować, obliczać i rozumować... Historya literatury angielskiej jest dziełem wspaniałem, wszystko jednak, co stanowi jej rzeczywistą wartość, powstało nie dzięki Taine'owskiej teorii, lecz wbrew tej teorii...“

Lemaître oczywiście nie mógł uprawiać krytyki na podstawie doktryny, którą tak ostro, ale tak trafnie potępił.

Drugi typ krytyki reprezentował, znany już naówczas, Ferdinand Brunetière. Między nim a Lemaître'em zachodzi od początku, z założenia, sprzeczność tak jaskrawa, jaka się nie często zdarzać może. W „Portretach współczesnych“ zaczepia Lemaître nie rzadko swego przeciwnika, w I tomie kreśli zaś jego wizerunek. Nic nie charakteryzuje bardziej Lemaître'a samego i nie wyjaśnia lepiej głębokiej sprzeczności umysłu pomiędzy nim a Brunetière'em, nad ten portret i nad owe tu i owdzie rozrzucone ustępy.

Wysnuwszy swoje prawidła z ulubionych swych pisarzy XVI i XVII wieku, „Brunetière zatracił w sobie zdolność rozpatrywania jakiegokolwiek dzieła bez względu na całą grupę dzieł innych; stosunek znowu tej grupy do grup innych staje mu zaraz wyraźnie przed oczyma i tak bez końca. W każdą z jego najmniejszych ocen wciska się cała filozofia i historya literatury, cała estetyka i cała etyka. Ma on dar przedziwny: kiedy czyta jedną książkę, to myśli — tak-by się przynajmniej zdawało—o wszystkich książkach, jakie napisano od początku świata. Wszystko, czego tknie, musi zaraz sklasyfikować i to już na wieki“. (*Contemp. VI. Préface*).—„Ponieważ ma tę skłonność do klasyfikowania i wynajdowania związków między jednymi autorami a drugimi, do sporządzania genealogii książek i do roztrząsania kwestyi ogólnych—więc tem wszystkiem zaprzątnięty, nie wnika, jak-by mógł w treść i nastrój dzieła. Pierwszą jego myślą jest zawsze porównać daną książkę z „wzorami“ klasycznymi; chcąc osądzić ją co-prędzej, nie ma czasu na rozkoszowanie się nią, ani śledzenie, czy w niej tkwi jaka odrębna, indywidualna piękność, i czy może autor, pomimo pewnych błędów, nie ma jakiej samoistnej oryginalności, jakich nowych wrażeń, jakiego własnego poglądu, który-by go od innych oddzielał i wyróżniał“. (*Contemp. I. Brunetière*). Brunetière o to wcale nie pyta. „Gdzie tylko jego dogmaty literackie nie są wprost przestrzegane, tam uderza, nie jak ślepy, ale jak głuchy. Gdy tylko „poetyka“ jakiego dzieła wyda mu się fałszywą, to umie, jak nikt może drugi, zamknąć oczy na strony wyborne i ciekawe“. Poetyka zaś Brunetière'a, jego „*Idées fondamentales*“—zdaniami Lemaître'a — są prosto „tylko poczuciami osobistemi, które on namaścił na godność zasad i prawideł“. Chwali albo gani książki, według tego, czy książki te pasują, lub nie pasują do reguł, jakie wysnuł ze swoich ulubionych, wzorowych auto-

rów. Tak więc, w gruncie rzeczy, pięknem jest to, co się jemu podoba... Nie mam nic przeciw temu, byle tylko stwierdzić, że owe „zasady“ są nie czem innym, jak osobistemi upodobaniami...—Jakież to przymioty powinna mieć książka, jeśli ma odpowiadać „aux idées fondamentales“ Brunetièrè'a? „Przedewszystkiem wyrazistość rysunku, jednolitość planu, poprawność formy, przyzwoitość—a nadto, pewien optymizm, wyraźnie objawiona sympatya dla bohatera, obserwacya „du milieu interieur“, wreszcie—wysnuwająca się z tła danej epoki, wieczysta, ogólnoludzka prawda. Szkoda, że niektóre dzieła nie posiadają tych wszystkich przymiotów, ale ośmielę się zauważyć, że łatwiej było-by może wyposażyć te dzieła w te zalety, niż w inne, w które je autor rzeczywiście wyposażył, a powtóre, że książka, w której te przymioty znajdują się razem, może jeszcze, mimo to, być bardzo słaba, a przeciwnie, książka, w której ich niema, może być mimo to bardzo ciekawa, nawet zachwycająca; z tego wyprowadzam wniosek, że jeśli są zarzuty, które wolno i godzi się robić, to warto-by je przynajmniej robić skromnie“.

Niema bodaj w całych „Portretach współczesnych“ ani jednego pisarza, o którym Lemaître mówił-by tonem tak ostrym i sarkastycznym. Są wprawdzie i w portrecie Brunetièrè'a ustępy pochwalne, które dowodzą z jednej strony, że Brunetièrè, mimo wszystkie wady, ma i niepospolite zalety, skoro tak zacięty przeciwnik był zniewolony przyznać mu ich wiele; z drugiej strony widać, że Lemaître nie zaślepił się bezwzględnie w stronnicznych niechęciach, skoro umiał zdobyć się na oddanie mu sprawiedliwości. Wszelako przyznać trzeba, że portret Brunetièrè'a, przy całym rzeczywistem podobieństwie, jest w rysunku cokolwiek przeciągnięty i zakrawa potrosze na karykaturę. Tłumaczyć Lemaître'a może w części to, że i Brunetièrè nie skąpił mu ze swej strony twardych, zjadliwych, często nawet brutalnych uwag.

Lemaître, z właściwą sobie subtelnością, odcina się zwinnie i zgrabnie i nieraz błysnie w tej walce klingą ostrego, jak włos, dowcipu. Brunetièrè sieje—według niego—paradoksami. „Powiadają, że paradoks, to prawda, tylko zbyt nowa lub zbyt stara. Łatwo się domyślić, że paradoksy Brunetièrè'a należą do tego drugiego gatunku...“ „Il disait un jour à un confrère suspecte d'indolence, d'ingénuité et d'épicurécisme litteraire: „Vous louez toujours, ce qui vous plaît. Moi—jamais!“ I Lemaître dodaje od siebie z ironicznem współczuciem: „Dun renoncement apparent!“

Jeśli przytoczyłem tu tak obszernie zdanie jego o Brunetierze, (jedno z niewielu zdań, których Lemaître nie zmienia) — to nie szło mi oczywiście o Brunetièrè'a, lecz o samego Lemaître'a. Charakteryzując swego przeciwnika, tem samem, *a contrario*, scharakteryzował najlepiej siebie i swoje poglądy.

Wszystkie zarzuty, wymierzone przeciw Brunetièrè'owi, dały-by się krótko ująć tem jednym słowem: ideolog. Odwróćmy tylko, przełożmy na sens wprost przeciwny wszystko, co robi Brunetièrè, a czego dobry krytyk, zdaniem Lemaitre'a, nie powinien robić, a będziemy mieli krytyka, jak go pojmuje Lemaitre. Zamiast szablonowych i ciasnych „*idées fondamentales*“ Brunetièrè'a—bezpośrednie wrażenie powinno kierować krytyką. Piękno nie jest jakąś rzeczą bezwzględną, istniejącą gdzieś, w abstrakcyi, ponad światem, po-za dziełami sztuki i literatury, bez względu na epoki i prądy. Nie można więc piękna ująć w żaden kodeks estetyczny, nie można na podstawie choćby najlepszych utworów dawniejszych ułożyć formularza, który-by raz nazawsze obowiązywał teraźniejszych i przyszłych pisarzy, i który-by mógł służyć za nieomylną podstawę krytyki. Krytyk powinien mieć przede-wszystkiem smak artystyczny, równie wszechstronny, jak czuły, powinien mieć wrażliwość literacką, szczerą i wolną od wszelkich uprzedzeń, powinien mieć wreszcie zdolność uświadamiania sobie odebranych wrażeń i wnikania w indywidualności rozmaitych autorów. Co czuje, to niech pisze, nie oglądając się ani na utarte tradycyjne sądy o dawnych, ani na *vox populi* o nowych pisarzach. Lemaitre istotnie w ten sposób rozumie obowiązki krytyka. „Kiedy się staram o zupełną szczerość, gdy chcę wypowiedzieć to, czego doznałem rzeczywiście, przeraża mnie niezgodność moich wrażeń, jakie odniosłem z czytania wielkich pisarzy — z tradycyjnymi sądami i waham się z wyrażeniem swoich myśli“.

„Bo też tradycya jest nieszczerą i sztuczną. Mamy ciągle w pamięci to, co może kiedyś czuły dawniejsze pokolenia, a raczej to, co nam nasi czcigodni nauczyciele zalecali, iż należy czuć. Jedyne skutkiem takiej powolności i zgodności zdań, mógł się wytworzyć i może trwać nadal pewien ogół raz przyjętych sądów...“ Jeśli się chce być naprawdę szczerym, to „uznaje się za piękne to, co się lubi (nie mówię tu o tych, którym się zdaje, że uznają za piękne to, co im powiedziano, że jest piękne); tylko, że jedni starają się lubić zawsze to samo i są przekonani, że wszyscy to lubić powinni—drudzy mają usposobienie zmienniejsze i opierają się otwarcie na tej podstawie. Ale krytyk dogmatyczny, czy nie dogmatyczny — jakiegokolwiek są jego zamiary, nie może zrobić ostatecznie nic innego, jak określić własne wrażenie, jakiego doznał w danej chwili wobec dzieła sztuki. W dziele tem znów autor sam dał wyraz swoim wrażeniom, doznany w danej chwili“.

„Jeśli tak, to cenimy książki, które nam się doprawdy podobają, nie pytajmy o żadne klasyfikacye, ani doktryny, ale zgódźmy się na to, że nasze dzisiejsze wrażenie nie będzie przesądzało o jutrzejszem. Jeśli to, lub owo arcydzieło uznane razi mię i nuży, a co gorsza nie przemawia do mnie wcale — jeśli przeciwnie, ta lub owa książka dzi-

siejsza, czy wczorajsza, która może nie jest „nieśmiertelnie piękna“, wzrusza mnie aż do szpiku kości, sprawia mi wrażenie, jak gdyby odpowiadała całej mojej treści duchowej i rozświecała mi wewnętrzne moje światy—czy wrażenie takie poczytywać mam za błędne i niepokoić się niem?“ (*Contemp. II. Anatolj France*).

Zgoda. Tu jednak wrócić muszę do paru zdań Lemaitre'a, które przytaczałem już poprzednio: „Dzieła rozmaite przesuwają się przed zwierciadłem naszego umysłu, orszak to długi, zwierciadło zmienia się więc tymczasem, i jeśli przypadkiem to samo dzieło powraca powtórnie, to już nie daje takiego samego odbicia“ Jeśli to „odbicie“ — czyli wrażenie indywidualne krytyka, przyjmie się za jedyłą podstawę zdania o utworach literackich, a zwierciadło, czyli wrażliwość, zmienia się tymczasem ustawicznie, to zmieniać będzie się ustawicznie i sąd krytyka. Im wrażliwość większa, tem krytyk lepszy, ale też im wrażliwość większa, tem zmienniejsza, doszło-by się więc na tej drodze do tego, że dobry krytyk nie może, i nawet nie powinien, mieć stałego zdania.

Przed taką konsekwencyą wielu cofnęło-by się z trwogą. Lemaitre nie cofa się jednak bynajmniej. Wszak zaraz na wstępie do swego zawodu w portrecie Renana, przytacza taki ustęp z jego wykładu: „Najlepiej było-by niczego nie twierdzić albo zmieniać zdanie od czasu do czasu, w ten bowiem sposób ma się jeszcze jaką taką rękomię, iż się przynajmniej raz kiedyś utrafiło w jakąś prawdę.

Otrzymawszy od Renana taką generalną dyspensę na zmienianie zdania, Lemaitre korzysta z niej stosunkowo dość umiarkowanie. Rozumie się, że nie mam tu na myśli zmian, które u niego dokonywały się w przeciągu całych lat, na to nie trzeba być impresyonistycznym krytykiem. „Każdy tego doświadczał na sobie — powiada Lemaitre.—Ja uwielbiałem niegdyś Corneille'a, bez mała zaś poniewierałem Racinem; teraz uwielbiam Racine'a, Corneille jest mi za to niemal obojętny. Nie odnajduję już w sobie tych zachwytów, w jakie wprawiały mnie niegdyś poezye Musset'a. O ile dawniej miałem duszę i uszy ciągle pełne melodyi i przepychów Wiktora Hugo, o tyle dziś duch jego stał mi się prawie obcy. Książek, które mnie porywały, gdy miałem lat piętnaście, nie śmiem obecnie otworzyć“.

Krytyk w rodzaju Brunetiere'a, wydający wyroki pod godłem: „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą“ — nie przyznałby się nigdy nawet do tak naturalnych zmian w pojęciach i gustach. Lemaitre zaś ma zupełną słuszność, że się do nich przyznaje, ma również słuszność, kiedy twierdzi, że „każdy tego doświadczał“.

Nie u każdego jednak przeistaczały się pojęcia tak szybkim tempem, jak czasem u Lemaitre'a — a szczególnie wtedy, gdy się do tego

nie zupełnie przyznaje i mimowolnie wpada w sprzeczność między tem, co powiedział w jednym tomie „*Portretów*“, a tem, co mówi zaraz w następnym.

Takim szczytem kameleonowej zmienności jest ustęp o krytyce, w portrecie J. J. Weissa. W ustępie tym sprzeciwia się Lemaître wszystkiemu, co dotychczas mówił w tomie poprzednim, kreśląc sylwetkę Brunetière'a. „Krytyk powinien reprezentować wrażenia większości zwykłych ludzi, oraz literatów, czasami nawet wrażenia tłumu—w tych wypadkach, gdy tłum bywa kompetentnym sędzią. W ten sposób miara i gust indywidualny krytyka będą miały znaczenie powszechne. Jeśli rzeczywiście niemożliwym jest zdobyć sobie przedmiotowe zdanie, wszelki bowiem sąd musi być podmiotowy, to niechże ten sąd będzie przynajmniej stały. Dobry krytyk nie powinien mieć swoich widzi mi się, wystrzegać musi on się kapryśków i wrażeń chwilowych. Oceniając utwór literacki, przypominać sobie powinien wszystkie te utwory, które przedtem oceniał, i powinien przykładać do wszystkich jedną miarę (A cóż robił Brunetière?) — wszeszcie powinien być zawsze jednakowy wobec najróżnorodniejszych dzieł, jakie ma kolejno przed sobą: to właśnie sprawia, że sądy jego są jasne i zrozumiałe i składają się, razem wzięte, w jeden system estetyczny“. Najzabawniejsze ze wszystkiego jest to, że Lemaître w portrecie Anatola France z najniewinniejszą miną pyta sam siebie: „Czyżby to było możliwe, że o mało nie zarzucałem J. J. Weissowi, iż jest krytykiem zmiennym i kapryśnym i nie nosi w kieszeni metra, którym-by mierzył utwory literackie?!“

Przyznać trzeba, że drugiej, równie grubej sprzeczności, nie znajdzie się w całych dziełach Lemaître'a. Stosownie do chwilowego usposobienia zmienia się jego ton o tyle, że ten sam autor będzie brany czasem z nieco innego punktu widzenia, niż za pierwszym razem, jednak to nietylko nie psuje jego charakterystyki ogólnej, lecz owszem, nadaje jej tem większą wszechstronność i wypukłość.

Lemaître wie o tem doskonale, i nieraz używa tego środka zupełnie świadomie. I tak, oceniając ostatnie trzy sztuki Maeterlincka, dał umyślnie dwie krytyki, jakby dwie zapiski z prywatnych swoich notat. W jednej, pod pierwszym wrażeniem, podnosi zalety, w drugiej, po ponownem odczytaniu i głębszem rozejrzeniu się w tych utworach, wytyka wiele słabych stron. Przeczytawszy obie te oceny, nie tyle sprzeczne ile odmienne, widzi się dopiero, co rzecz naprawdę warta.

Wiemy już teraz w przybliżeniu, jak Lemaître pojmuje krytykę. W portrecie Brunetière'a znajdziemy jednak dobitnie a krótko zebrane te główne pojęcia zasadnicze. Kilkunastu wierszami Lemaître określa tam doskonale swój ideał nowożytnego krytyka.



## III.

„Krytykę trzeba rozpocząć od czytania dzieła, i o ile można, od czytania bez jakichbądź z góry powziętych uprzedzeń. W ten sposób tylko można sobie uświadomić, o ile dana książka ma rysy oryginalne, samemu autorowi właściwe. A rzecz to niezbyt łatwa — rysy te pochwycić. Rzecz jasna, że zanim się natrafiło na jedną książkę, którą warto tak roztrząsać, trzeba poprzednio wybrakować inne dzieła, widocznie poronione i na bliższy rozbiór nie zasługujące.

Czytając, należy ciągle zdawać sobie sprawę z wrażeń, jakich się doznaje, następnie starać się o scharakteryzowanie autora, określenie formy jakiej użył, i ocenienie, o ile tą formą zdołał owładnąć. Zatem trzeba oznaczyć jego temperament literacki, jego poglądy i zamiłowania, jego zdolność odczuwania świata zewnętrznego, wogóle jego wrażliwość, a wreszcie głębie, zasoby i rozmiary jego umysłu. Krótko mówiąc, krytyk, zbadawszy, jakie wrażenie robi autor, będzie usiłował odgadnąć, jakie wrażenia i w jaki sposób ten autor odbiera. W końcu krytyk wchodzi zupełnie w skórę krytykowanego pisarza i do tego stopnia identyfikuje się z nim, że jeśli w utworze znajdzie grube braki, to mu to sprawia przykrość, i nie małą przykrość. Ale właśnie przez taką identyfikację zaczyna się dopiero pojmować, dlaczego autor te błędy popełnił i o ile one wynikają z samej natury jego talentu i jego indywidualności. *Ce qu'il y a d'interessant, en dernière analyse d'une oeuvre d'art* — kończy Lemaître — *c'est la transformation et même la deformation du réel par un esprit: c'est cet esprit même, pourvu qu'il soit hors de pair*. (Contempor. I. Brunetière).

Ostatnie to zdanie tłumaczy odrazu dlaczego Lemaître obrał do swoich prac krytycznych formę portretu literackiego. Nadawała się ona ze wszechmiar do rodzaju jego talentu. Zresztą umiał on przerobić i wyrobić ją sobie tak, iż pod jego ręką stała się tem właśnie, czego potrzebował. Wyrzucił z niej zupełnie balast biograficzny, za tło swoim postaciom dał szerokie poglądy na literackie kierunki i na kwestye psychologii twórczej, wprowadził ton lekki, osobisty, często żartobliwy, czasem z odcieniem lirycznym połączony. I odtąd co lat parę wychodziły i wychodzą nowe tomy „*Portretów współczesnych*“, które obejmują wszystkie niemal wybitniejsze postaci literatury francuskiej z drugiej połowy XIX stulecia, począwszy od Lamartine'a, Victora Hugo i George Sand — skończywszy na Maupassancie, Verlaine'ie i Huysmans'io.

Warto przypatrzeć się, jak Lemaitre w praktyce stosuje swoje poglądy na cel i zadania krytyki, innemi słowy, jak na podstawie swoich wrażeń osobistych ocenia autorów. Rzecz prosta, że nie będę się wdawał w streszczanie „*Portretów*“, poprzestaną na kilku charakterystycznych ocenach, które określają do pewnego stopnia smak i zamiłowania Lemaitre'a.

Aczkolwiek zawsze drażliwy na punkcie moralności dzieł literackich, nie wymaga on jednak oczywiście od poetów i powieściopisarzy, by podejmowali tezy etyczne „*des cas de conscience*“, jak Dumas syn w swoim teatrze, lub Edward Rod w swoich powieściach; wymaga jedynie od autorów, żeby się liczyli z moralnością, a przynajmniej nie podkopywali jej dobrowolnie i świadomie. Jak na sceptyka i ucznia Renana, to już bardzo dużo. Widzieliśmy, jak ostro potraktował Richopin'a za jego „*Blasphèmes*“. W dalszym ciągu już wprost ze stanowiska estetycznego zarzuca Richopin'owi, że u niego „*cynizm i pociąg do brudu w wyrazach i obrazach przechodzi wszelką miarę. I gdyby jeszcze te obrazy, i tak już stokroć za częste, były rzeczywiście ponętne! Tymczasem w miarę, jak je określa coraz nowszemi szczegółami, stają się coraz grubsze, coraz obrzydliwsze. „Ce poète voit obscène. Je ne dirai pas où et dans quoi le coeur lui est descendu“.* (Contempor III).

Z podobnych, choć nie zupełnie tych samych powodów, ma Lemaitre wiele do zarzucenia Zoli; nie odmawiając mu ogromnego talentu i daru tworzenia postaci żywych, częstokroć nawet potężnych, ale zawsze jednostronnych. Jest on jakby Herkules jaki, cały oblepiony błotem, zgarniający stopy nieczystości i obrzydliwości w wielkiej stajni Augiasza. I wmawia jeszcze sam w siebie, iż świat rzeczywiście tak wygląda, jak on go maluje i jak go widzi w swej zbrukanej wyobraźni. Eugeniusz Delacroix mówił, że każdą twarz ludzką, przez niejakie uproszczenie rysów, przez złagodzenie pewnych linii, a przesadzenie innych, można upodobnić do głowy tego lub innego zwierzęcia. Zupełnie w ten sposób Zola postępuje z ludzkimi duszami. A jeśli, na przekór swojemu usposobieniu, próbuje kreslić postaci jaśniejsze, nie tak zwierzęce, jeśli zapuszcza się w świat idealny, wtedy bywa już najgorzej. Taką baśń jak „*Le Rêve*“ była-by lepiej od niego opowiedziała każda dziesięcioletnia dziewczynka. Zola nie powinien tykać tego rodzaju przedmiotów swemi grubemi palcami. *Ce monsieur qui a écrit de si vilaines choses fait peur aux vierges innocentes du portail de Ste-Agnès* (katedra gotycka w „*Le Rêve*“) *Qu'il laisse les vierges tranquilles! Nous le renvoyons aux Touilles...*“

Główne jego dzieło—historję Rougon Macquartów—określa Lemaitre jako „*une épopée pessimiste de l'animalité humaine*“. Zola pi-

sał ją na podstawie naturalistycznej doktryny, którą streścił osobno w „*Roman Experimental*“ i której trzyma się oburącz. Sporządził ją sobie właśnie na obraz i podobieństwo swojego talentu, to też w niej leżą wszystkie dzieł jego zalety i wady. Żebyż choć nie twierdził, że to jest jedyna prawdziwa, jedyna dobra, jedyna nowożytna estetyka powieści. Wszelki inny kierunek jest, zdaniem Zoli, objawem zacofania i staroświecczożny.

„Niewymownie się cieszę—odpowiada na to Lemaître z uprzejmą ironią—że naturalizm rozwinął się w naszej literaturze, przyda on się, może jest i koniecznie potrzebny, ale jakież-by to było okropne i jakie nudne, gdyby już na świecie nie było nic, prócz powieściopisarzy realistycznych. Co się zaś tyczy samego Zoli, to w nim nie jego naturalizm jest potężny, ale jego talent...“

Na wprost przeciwnym biegunie stała powieść Feuillet'a. Zarzuca mu Lemaître przedewszystkiem ubóstwo motywów: zawsze w jego powieściach ta sama historia—mężczyzna opętany przez kobietę; czasem dla różnaitości jest jeszcze, obok tej demonicznej, druga kobieta anielska. Oto wszystko, dokoła czego obraca się zwykle Feuillet. Świat jego postaci jest ciasny i malowany równie jednostronnie, jak świat Zoli, tylko w odwrotnym kierunku. Żeby też raz pokazał „heroinę“, która-by nie była zdumiewająco piękna i niesłychanie inteligentna; gdyby też raz ten kochanek nie był człowiekiem „wyższym“, żeby choć nie jeździł konno tak cudownie! *Ce sont des „hommes du monde“ nous voulrions des hommes dessous!* Przytem w powieściach Feuillet'a jest zawsze jakiś salonowy, elegancki katolicyzm, nie ten, który wynika z głębokiej, szczerzej i prostej wiary, a staje się sterem życia, ale ten katolicyzm płytki i bezmyślny, będący warunkiem dobrego wychowania i dobrego tonu, który nie przeszkadza bohaterom w oszukiwaniu żon, a bohaterkom w zdradzaniu mężów. „Że Feuillet jest chrześcianinem, o tem nie wątpię, ale przedewszystkiem jest człowiekiem „dobrze myślącym“, co czasem bywa formą zupełnego niemyślenia“.

Lemaître lubi i ceni J. i E. Goncourt'ów: esteci, artyści czystej krwi, lubują się oni w obserwowaniu i odtwarzaniu świata i ludzi. Ich dyletantyzm, ich wytworność i wrażliwość, ich świadomy subiektywizm i zamiłowanie „modernizmu“ czyni z nich umysły, Lemaître'owi pokrewne. To też kreśli portrety ich, a raczej ich portret, po mistrzowsku. Przedewszystkiem uderzała ich strona malownicza świata, pragnęli ją zatem odtworzyć z niesłychaną dokładnością, do czego służyła im prawdziwie malarska zdolność patrzenia i obserwowania, oraz język i styl, często sztuczny i wyszukany, ale oddający przedziwnie wszelkie wrażenia zmysłowe. Z tej charakterystycznej cechy ich talentu wyprowadza Lemaître wszystkie inne. Dzieła ich mają wążek powieścio-

wy nader prosty, częstokroć nawet aż nazbyt ubogi i chudy, zatrzymując się bowiem bez końca nad opisywaniem szczegółów świata zewnętrznego i nad najdrobniejszymi odcieniami wrażeń swoich bohaterów, Goncourt'owie musieli się co do bajki jak najbardziej ograniczać. Na tej malarskiej, opisowej stronie ich dzieł, cierpiała po części nawet psychologia figur: Goncourt'owie unikają bowiem opowiadania, lub raczej tych opowiadań bardziej ogólnikowych, jakimi zazwyczaj powieściopisarze łączą główne, szczegółowo przedstawione, momenta psychologiczne. Ci „Syamscy bracia“, jak ich Lemaître nazywa, dają czytelnikowi tylko te ważniejsze momenta psychiczne, wykończone i wymodelowane do ostatecznych granic, i kreślą je na tle malarskich opisów zewnętrznego świata, skutkiem czego zatracą się ciągłość psychologicznego rozwoju postaci. Każda ich powieść jest jakby mozaiką przepysznych, subtelnie obserwowanych i zdumiewająco malowanych epizodów, które często rozsadzają całość i uniemożliwiają dobrą, jasną budowę dzieła. Oto zdaniem Lemaître'a zalety, a zarazem i wady Goncourt'ów.

Pokrewny im talentem jest Flaubert, który należy do ulubionych autorów Lemaître'a. Ceni on w jego dziełach przedewszystkiem rzadką artystyczną szczerłość i brak wszelkiej naprzód ukutej doktryny, jaka naprzykład — w oczach Lemaître'a — jest głównym defektem Zoli. Pisarz naturalistyczny, przez sam rodzaj i przyrodzony kierunek swego talentu, Flaubert nie zakładał sobie z góry, że stworzy naturalistyczną estetykę, że jego dzieła staną się kamieniem węgielnym jakiejś nowej formuły literackiej. Pisał jak czuł i widział. Z przekonania głęboki pessimista i sceptyk, a dzięki wyrobionej po mistrzowsku obserwacyi, bajeczny kolorysta, posiadał w najwyższym stopniu dar odtwarzania słowem swych rozpaczliwie czarnych myśli i uczuć i swych stubarwnych wizyi świata zewnętrznego. Nikt może inny w tym stopniu jak Flaubert nie dbał o nieskalaną doskonałość i piękność stylu, nikt nad nim nie pracował tak zażarcie i tak cierpliwie. Lemaître poczytuje mu to za jedną z największych zalet.

Z większych, zostaje jeszcze trójca najnowszych, Maupassant, Bourget i Loti.

Pierwszy z nich jest oczywiście największy, wogóle jeden z największych w naszym wieku, to też Lemaître stawia go bardzo wysoko. Jest to talent silny i zdrowy, natura prosta i zmysłowa, przynajmniej z początku; klasyk francuski z XVII wieku, zabłąkany w drugą połowę XIX, jak go Lemaître określa. Ze szkoły naturalistycznej wyniósł on wyostrzony dar obserwacyi i plastykę pióra — na szczęście nic więcej. W doktryny i programy estetyczne nie wdawał się wcale, co Lemaître'owi tak się w nim podobało — stworzył z prostej potrzeby tworze-

nia. Nie bawił się w przesadne subtelności psychologiczne, charakteryzował swoje figury po prostu, za pomocą czynów, ruchów, słów i całego zachowania się; obcą mu była analiza à la Bourget. „która umyślnie wszystko gmatwa, aby mieć potem przyjemność i zasługę rozgmatywania. Ale duch czasu, niespokojny, smutny i bolesny, oddziałał w dalszym ciągu na Maupassant'a. Zwolna ogarniały jego duszę wątpienia, niepokoje, cały nerwowy mistycyzm i idealizm naszej epoki, jej tęsknoty za nieskończonością i przeczucia śmierci. Trzeźwą i chłodną obserwacją Maupassant'a, przenika nieznacznie liryczne współczucie dla obserwowanych ludzi. *Et à mesure que son coeur s'anollit et que s'y ouvre la divine fontaine des larmes il apprend aussi la pudeur.*

Z rzucanej nawiasowo uwagi o analizie à la Bourget, można-by przypuszczać, że Lemaître nie ma szczególnych sympatyj do autora „*Crime d'amour*“. I rzeczywiście, uznając cały jego wielki talent, Lemaître nie może sobie o nim jeszcze wyrobić jasnego zdania. Prawda, że „Portret“ Bourgeta był pisany dość dawno przed „*Cosmopolis*“, nawet jeszcze przed „*Disciple'em*“. Lemaîtreowi nie podobało się u niego nadużywanie analizy psychologicznej, „owo popisywanie się niesłychanym zbytkiem anatomii, która służy mu do badania dość zwykłych i znanych stanów duszy... ostatecznie więc tyle zachodów i dociekań nie doprowadza do żadnego, szczególnie ciekawego, ani nowego odkrycia“. Nie podobało się również Lemaître'owi to, że przyszedł autor „*Cosmopolis*“ obraca się ustawicznie w ciasnym kole wyższych warstw społecznych, zawsze tylko wśród świata eleganckiego i kosmopolitycznego, i pragnął-by może, aby Bourget z Przedmieścia St. Germain zajrzał czasem dla odmiany na Przedmieście Św. Antoniego. Ale już wtedy wiedziony trafną intuicją odgadwał, że „Bourget jest prawie chrześcianinem, że w skórze tego anatomia dusz i fizyologa serc, ze szkoły Stendhala, siedzi pisarz nowożytny, niepokojący się zagadnieniami moralnemi, który niebawem w „*Disciple'u*“ pokaże, do czego prowadzi zmysł obserwacji i dyssekcji psychologicznej, rozwinięty kosztem zmysłu moralnego“.

O Lotim, naonczas jeszcze zupełnie młodym, nie umiał sobie Lemaître wyrobić zdania. Portret ten dałby się streścić tem jednym zdaniem, którem się kończy, że Loti jest „*la plus délicate machine à sensations, que j'ave jamais rencontrée.* Czy go lubi i ceni? — Na to pytanie odpowiada Lemaître, iż Loti sprawia mu zbyt wiele przyjemności i zbyt mu działa na wyobraźnię i na zmysły, aby na sąd o nim mógł się zdobyć.

Pomijam innych powieściopisarzy, choćby tak wybitnych, jak Daudet. Wybrałem wizerunki najważniejszych autorów, reprezentujących najwybitniejsze prądy—to wystarczy, aby sobie wyrobić wyobrażenie, co w powieści najbardziej odpowiada gustom Lemaître'a, co

zaś razi go i drażni. Przedewszystkiem widać z tego, że nie lubi on dzieł, tworzonych według ukutej z góry formuły i doktryny, którą się sam powieściopisarz krępuje i do której nagina pomysły. Dalej razi Lemaître'a wszelka jednostronność, zarówno w wyborze tła powieściowego, jak w traktowaniu rzeczy: jednostronność Zoli w brutalnem i grubiańskiem odtwarzaniu wszelkich brudów—i jednostronności Feuillet'a z całym jego wylizanym, słodkawym i eleganckim idealizmem. Zbyteczna rozwódzić się nad tem, co powiedziałem dopiero, że nie jest bynajmniej zwolennikiem przesadnej dyssekcji psychologicznej i drobiazgowego szperania w mózgach bohaterów powieściowych. Zdaje mi się, że uważa on to trochę za szukanie *midi à quatorze heures*. Poprawnej budowy powieści nie przecenia, ani też nie lekceważy. Wolał-by, żeby była; jeśli jej niema, przebacza łatwo brak ten autorowi, byle w zamian były prawdziwe, wielkie piękności w książce, jak np. u Goncourt'ów. Za to żąda koniecznie, aby postaci powieściowe żyły i ruszały się naprawdę, nie według szablonowych, literackich wzorów, ale ożywione intuicyjną potęgą talentu. W jaki sposób autor życie w nie wleje, jakich środków użyje ku temu, to Lemaître'owi zupełnie obojętne. Ceni też bardzo plastykę i barwność opisów, żąda żeby świat zewnętrzny, zmysłowy, przesunął się przed czytelnikiem, odczuty samostannie przez autora, odtworzony szczerze i głęboko. Przemawia doń jednak zarówno plastyczny i szczegółowy opis natury np. u Goncourt'ów, jak mglisty i senny u Lotiego. Sam bardzo subtelny umysłowo i wrażliwy, lubi Lemaître te przymloty w pisarzach, i kto wie, czy nie najbardziej ma do zarzucenia Zoli jego „grube palce“ i grubą skórę. W niektórych szczegółach Goncourt'owie idą w naturalizm, w śmiałości i drastyczności przedmiotu i wyrazu, dalej jeszcze, niż Zola, Lemaître jednak nie wymawia im tego zupełnie, zresztą słusznie, gdyż u nich drastyczności te nie zajmują więcej miejsca, niż powinny, a potwóre czuć w Goncourt'ach zawsze delikatne i wytworne, artystyczne natury, które wobec najbrudniejszych stron zachowują zawsze swój wykwintny artyzm. Zdaje mi się, iż Lemaître chciałby, aby umysł pisarza oświecał rzeczywistość, jak światło słoneczne, które pada równomiernie na rzeczy najpiękniejsze i najbrzydsze, najgorsze i najlepsze, wszystko uwydatnia, lecz niezem nie brudzi się i nie kała, a na wszystkim kładzie właściwe sobie blaski. Silna, szlachetna i wytworna indywidualność artystyczna—oto czego, jak mi się zdaje, szuka w pisarzach, i co w ich dziełach najwyżej ceni. Powtarza on przy rozmaitych sposobnościach, że człowiek jest zwierciadłem, w którym się odbija świat, a w każdym zwierciadle coraz inaczej; od książek żąda zatem, aby mu dawały nie powykrzywiane i potworne, ale odmienne i nowe odbicia które-by się znowu w jego własnem, w Lemaître'a, zwierciadle odbijały

odtworząc w jego umyśle i w jego wrażliwości coraz nowe, coraz odmienne koncepcje świata. Środkiem i materiałem do tego jest dla pisarza język. Lemaître domaga się, aby język ten i styl miały cechę artystyczną, czyli, co niemal na jedno wychodzi, u każdego autora indywidualną i osobistą. Piękności, poprawności i czystości nie powinno stylowi ni językowi brakować nigdy i pod tym względem Lemaître jest nader wymagający. Ale przymioty te, będące, jego zdaniem, niezbędnym warunkiem, nie stanowią jeszcze artysty-pisarza: poprawnie i czysto powinien pisać każdy człowiek—prawdziwy artysta powinien nadto jeszcze pisać po swojemu, gdyż po swojemu patrzy, po swojemu świat sobie odtwarza.

Zatrzymałem się aż nazbyt długo nad powieścią i powieściopisarzami: raz dlatego, że ten rodzaj najbardziej się rozwinął w naszym wieku w literaturze francuskiej, a tem samem najwięcej miejsca zajmuje w „*Portretach*,” powtore zaś dlatego, że zasadnicze linie zostaną te same, kiedy będzie mowa o poezji. I tu Lemaître ceni najwięcej indywidualność umysłu i indywidualność pióra. Rzecz prosta, iż na piękność formy poetyckiej kładzie on jeszcze większy nacisk, niż na piękność prozy powieściowej, pod warunkiem wszakże, aby cyzelowanie strof i dobieranie dźwięcznych sylab nie zabijało wewnętrznej, uczuciowej i myślowej strony.

Lemaître, jak łatwo przewidzieć, nie jest zwolennikiem jakiegokolwiek szkoły, szukając indywidualności, nie może zamykać swych upodobań w ciasnych predylekcyach dla tego lub owego kółka poetów. Sceptyk i renanista, zachował on w duszy jakiś odcień idealizmu, objawiający się u niego, jako głęboka i szczerza tęsknota *vers l'au de là*. W pojęciach, rozumowaniach i poglądach jego na świat jest sceptycyzm nowożytny, zabarwiony pesymizmem, a w sercu równocześnie chowa się u niego żal, wielki żal i łzy za utraconym rajem. Stąd pochodzą w „*Portretach*” i innych pismach Lemaître'a owe ustępy, pełne osobistego smutku, rozrzewnienia i liryzmu, o których już raz nawiasowo wspomniałem. Tego też najbardziej szuka Lemaître w poezji, to najbardziej do niego przemawia.

W ten też sposób tłómaczę sobie, dlaczego ulubionym poetą Lemaître'a jest Lamartine. W tym stopniu żaden inny mu nie odpowiada, bo żaden tak nie wyraża najgłębszej treści jego serca. Wobec romantyzmu Wiktora Hugo, wobec jego wszystkich dekoracyjnych i zewnętrznych przepychów, wobec jego „orlich polotów,” budzi się w Lemaître sceptycyzm, którego nie zagłuszą wspaniałe deklamacyjne wybuchy; szkoła Parnasu, odtwarzająca świat zmysłowy z misternym, ale trzeźwym artyzmem, nie może rozrzewnić Lemaître'a, jej kunsztownie rzeźbione strofy przemawiają do jego wytwornych gustów, lecz nie do serca; talent

Baudelaire'a, który jest mieszańcem, zrodzonym ze sztucznego mistycyzmu i chorobliwej zmysłowości, musi się Lemaître'owi wydawać trochę dziwnym, a często nieszczerym. Z dawniejszej poezji XIX w. zostaje tedy jeden Lamartine, refleksyjny, spokojny, melancholiczny i rzewny. Tamy innych umie Lemaître ocenić, umie uznać ich artystyczne zalety, mówi o nich trafnie, obserwuje ich bystro, oddaje im sprawiedliwość po literacku—Lamartine'em wzrusza się po ludzku, oddaje mu się sercem i zapomina przy nim o literaturze i o sceptycyzmie.

A wobec najnowszych prądów poetyckich? „Chcę być jak Paweł Bourget, który uważa sobie za obowiązek honoru poznać i zrozumieć każdy objaw literacki.“ Zapoznaje się więc z obowiązkiem z „symbolistami“ i „dekadentami,“ chce ich zrozumieć, ale zrozumieć nie może, i w końcu wyrzuca sobie, że dopatrywał się sensu tam, gdzie go wcale niema. „Jeśli te wiersze są również bezmyślne— a przyznaję, że są równie melodyjne — jak szelest liści, albo szmer wody, to nie mam nic przeciw tej poezji, ale stanowczo wolę słuchać szelestu liści i szmeru wody.“ Tym tonem delikatnej a ciężkiej ironii mówi Lemaître *de tous ces symbolards* i dowodzi, że cała ich słynna „teoria instrumentacji“ jest nie czem innym, jak sztucznie i jednostronnie rozwiniętem zamiłowaniem naśladowczej harmonii wyrazów i dźwięków, czego dawniejsi poeci używali z artystyczną miarą. Ich symbolizm, tak szumny i głęboko wyglądający w teorii, polega w praktyce na umyślnych niedomówieniach, lub sztucznem zestawianiu dziwnych i rzadkich wyrazów, bez względu na ich zwykłe znaczenie, byle niczego nie powiedzieć, jak Bóg przykazał po prostu, „*en bon français*.“ Podobne łamańce wyprawiały w XVII wieku „*les précieuses*,“ a przedtem jeszcze „*les grotesques*“ za Ludwika XIII. Chorobliwa ta poezja wydaje zatem *des grimoires parfaitement inintelligibles, je ne dis pas à la foule, mais aux lettrés les plus perspicaces...*“

Lemaître jest jednak znawcą literatury zbyt wytrawnym i bystrym, żeby mógł przeoczyć jakikolwiek prawdziwy talent. Jeśli dla szkół i doktryn wogóle nie ma on sympatii, jako dla szranków zaciśniętych i krępujących indywidualną twórczość, to przecież umie poznać się na wszystkim, co rzeczywiście piękne, i uznać talent bez względu na jego kierunek. Dlatego też, o ile lekceważy dekadentyzm, jako doktrynę, a dekadentów, jako tej doktryny niewolników, o tyle rozumie doskonale i podziwia Verlaine'a, on jeden bowiem idzie szczerze za naturą swego umysłu i popędem swej przyrodzonej twórczości. Jest on i powinien być, wskutek swej dziwnej, chorobliwej organizacji poetyckiej, wyjątkowym zjawiskiem, i jako taki wyjątkowy fenomen, posiada wiele uroku i prawdziwej piękności. Powinien jednak być i zostać unikatem i wyjątkiem. Wszyscy ci, którzy gwałtem chcą



go naśladować a z wyjątków robić pragną regułę i nowy zakon poetycki, którzy z chorobliwej indywidualności jednego wielkiego talentu chcą wysnuć całą estetykę poetycką, wszyscy ci naśladowcy i przedrzeźniacze zadają gwałt przedewszystkiem samej poezyi, a dalej swoim własnym talentom, o ile je mają. Nie streszczam naturalnie wszystkiego, co Lemaître pisze o Verlaine'ie, wystarczy, jeśli powiem, że go rozumie bardzo jasno, tłómaczy bardzo trafnie i ceni bardzo wysoko. Szczegóły pomijam, szło mi tu bowiem nie o Verlaine'a, ani wogóle o żadnego z portretowanych pisarzy, ale jedynie o Lemaître'a, o jego zamiłowania i zapatrywania, o jego poglądy i sądy, jednym słowem, o jego stanowisko wobec rozmaitych kierunków literatury współczesnej we Francyi.

## IV.

Zostaje do zbadania krytyka teatralna Lemaître'a. Uprawia on ją od lat wielu w jednym z wielkich dzienników paryskich, a od czasu do czasu wydaje w tomach, których obecnie uzbierało się sporo.

Jak na polu krytyki literackiej szedł w kierunku wprost przeciwnym Brunetière'owi, tak tu idzie w kierunku wprost odwrotnym, niż Franciszek Sarcey. Różnice między nimi nie zaostryły się nigdy tak dalece dlatego, że Lemaître przyznaje sam, iż teatr z natury rzeczy ma pewne swoje nieodmienne, stałe wymagania i konwencyonalności, które pisarz sceniczny musi uwzględnić i do nich się zastosować. Sarcey od całych dziesiątków lat stoi na straży tych konwencyonalnych, ale koniecznych formuł, i każdy utwór dramatyczny, który je przekracza, choćby miał największe zalety literackie, piętnuje swoim wiekiustem: „*ça — ce n'est pas du théâtre.*“ Lemaître w zasadzie przyznaje mu wiele słuszności i uważa tylko, że między regułami Sarcey'a są niektóre nieistotne, wysnute jedynie z utworów przestarzałych i bez rzeczywistej artystycznej wartości, a krępujące niepotrzebnie dalszy zdrowy rozwój literatury dramatycznej. W portrecie Sarcey'a mówi Lemaître obszernie o tem wszystkim. Z łatwością można zatem stamtąd wy dobyć te formuły i przepisy sceniczne, które Lemaître uznaje za niezbędne, ze względu na sceniczne powodzenie sztuki.

Pisarz dramatyczny musi przedewszystkiem uprościć akcyę swej sztuki, prawie każde słowo, niemal każdy epizod musi być z nią ściśle związany, do niej się przyczyniać i na nią wpływać. Powieściopisarz pod tym względem, jak pod innemi, jest o wiele swobodniejszy, może bowiem czerpać z życia wszelkie szczegóły i wdawać się w ich drobiazgowie malowanie, o ile mu to do przeprowadzenia głównej myśli przydatne;

natomiast może pomiędzy rozdziałami zostawiać inne szczegóły obojętne, wolno mu w każdej chwili urwać i w każdej chwili opowiadanie zacząć na nowo. Dramaturg, czy komedyopisarz, ma jedynie przerwy między aktami, a w obrębie aktu zmuszony jest pomieścić pewną liczbę momentów i sytuacji, przejścia zaś między nimi wypełnić sztucznie, nie zawsze zgodnie z rzeczywistością. Opisy i opowiadania obciążają rozwój akcji scenicznej i nużą widza, pozostaje więc wyłącznie dyalog, w którym zwykle nie dają się zamknąć subtelne rysy psychologiczne, w którym nigdy prawie nie można odsłonić najtajniejszych głębi ducha. Stąd uciekanie się do nienaturalnych monologów, lub do zwierzeń wobec kogoś drugiego. Teatr z góry musi zrzec się raz na zawsze takich drobiazgowych analiz psychologicznych, do jakich nadaje się powieść. W dodatku przedstawienie ograniczone jest bezwarunkowo co do czasu, skutkiem czego to, co powieściopisarz może rozwijać stopniowo w całym szeregu objawów, na scenie musi się skryzalizować w jednym jedynym. W teatrze są tedy niemożliwe półtony i półcienie, albo możliwe tylko w bardzo małej mierze. Cała literatura sceniczna gruntuje się więc jakby na jakiejś cichej unowie między autorem a widzami, którzy z góry muszą być i są przygotowani na wszystkie te nieprawdopodobieństwa i niedokładności, na ten konieczny i nieunikniony szablon kulisyowy.

Pisarz sceniczny jest zatem bardziej na łasce i niełasce publiczności, niż powieściopisarz. Oprócz tego — czytelnik sam jeden, a setki czy tysiące publiczności w teatrze, to wielka różnica. Książka przemawia do subtelniejszej wrażliwości jednego czytelnika — teatr musi liczyć się z bez porównania grubszą wrażliwością i psychologią tłumu. Nie znaczy to, żeby o powodzeniu sztuki na scenie rozstrzygać miała sama gawiedź z paradyżu, tylko, że ci sami ludzie, z których każdy, osobno wzięty, przedstawia stosunkowo wyższy stopień wykształcenia literackiego — wzięci razem, tworzą tłum o wiele w poczuciach estetycznych pierwotniejszy i grubszy.

Dzieło sceniczne, zatem utwór przeznaczony do gry teatralnej musi się z tem wszystkim liczyć, jeśli ma zadanie swoje spełnić. Sarccey, zdaniem Lemaître'a, rozumiał to wybornie i powiedział sobie, że teatr nie jest dla kilkunastu wytwornych estetów, ale dla „szerszej publiczności.“ Dotąd zgoda między obydwoma krytykami. Ale niebawem występuje na jaw różnica, nie zasadnicza może, ale też i nie mała.

„Sarccey stanął w swoich krytykach na stanowisku tłumu — *il s'y est mis de si bon coeur qu'il s'y est peut-être trop mis.* Śmieje się, płacze, wzdryga i wrzusza razem z całym parterem. Nie — trochę za dużo tych jego uniesień nad zręcznością wszelkich teatralnych sposobów i sposobików, które są niezbędne, a nawet nie łatwe do wyuczenia,

ale które same przez się nie mogą chyba stanowić wielkiej uczyt duchowej. Czasem na przedstawieniu sztuki po prostu głupiej, napisanej bez obserwacji, bez stylu, wpada Sarcey w zachwyt, jeśli tylko przypadkiem odkrył jaki zręczny figiel kulisowy, albo jaki efekt sceniczny „*qui sent l'homme de théâtre.*“

Na poparcie swoich zarzutów przeciw Sarceyowi Lemaître przytacza ustępy z jego krytyk. „Scena ta jest pyszna — pisze Sarcey w recenzji z *La Tour de Nesle* — zgodzę się na to, że jest zupełnie głupia (*absurde*), są w niej również potworne nieprawdopodobieństwa — ale jest przepyszna! — „Otoż właśnie — dodaje od siebie Lemaître — mam Sarcey'owi to do zarzucenia, że się zanadto rozkoszuje takimi „*Tour de Nesle.*“

Z tego, co wyżej powiedziałem, dadzą się już mniej więcej oznaczyć zapatrywania Lemaître'a na teatr i na krytykę teatralną. Ze wszystkich gałęzi literatury, sceniczna najmniej ma warunków do przekształcania się w duchu prądów nowoczesnych. Podlega bowiem niewzruszonym i koniecznym, a bardzo krępującym, szablonom i formułom; powtórę dlatego, że, przemawiając do tłumu, musi się z nim liczyć, a jeśli nawet uczyni zadość wszystkim owym konwencyonalnym warunkom, to dzieła jej, „dobrze zrobione,“ mogą mimo to jeszcze nie mieć najmniejszej artystycznej i literackiej wartości. W teatrze tkwi wreszcie zasadnicza wewnętrzna sprzeczność: z jednej strony stawia on rzeczywistość przed oczyma widzów, tak bezpośrednio, jak żadna inna sztuka, z drugiej zaś strony, skutkiem swych przyrodzonych, koniecznych form, domaga się fałszowania i przekręcania tej rzeczywistości na każdym kroku.

Z tych zapatrywań Lemaître'a wynika, iż, jako krytyk, będzie on żądał od autorów, aby z konwencyonalnych formuł scenicznych zachowywali jedynie tylko te, które są najkonieczniej potrzebne i bez których utwory dramatyczne nie mogły-by istnieć na scenie. Gotów on nawet niejedno uchybienie pod tym względem wybaczyć. Ale za to z życia, z rzeczywistości niech czerpią jak najwięcej, ile tylko da się włączyć do ciasne i banalne szablony sceniczne.

Że Lemaître tak pojmuje i tak w praktyce wykonywa krytykę, na to dowodów nie brak na każdej stronicy jego sprawozdań teatralnych, a dzieła jego sceniczne, jak „*Le Pardon,*“ „*Filipote*“ i inne, dowodzą, że sam z niemałym powodzeniem stosował w literaturze scenicznej to wszystko, czego domagał się zawsze od innych autorów, jako krytyk.

Zbierając w jeden zarys wszystko, co dotychczas powiedziało się o Lemaître, widzimy, że należy on do grupy umysłów, które, przejąwszy się renanizmem, stosują tę filozofię zwątpienia do poszczególnych

nauk i umiejętności. Lemaître zastosował ją właśnie do krytyki literackiej: sceptycyzm Renana, podający w wątpliwość, lub nawet podkopujący wprost wielkie dogmaty religijne, moralne i życiowe,—u niego obrócił się przeciwko wszelkim dogmatom estetycznym i literackim. Stąd poszła głęboka różnica zdań między Lemaître'em z jednej strony, a Brunetièr'em, najdogmatyczniejszym z francuskich krytyków—z drugiej. Tem tłumaczy się również widoczna w „*Portretach współczesnych*“ niechęć Lemaître'a do jakichbądź literackich haseł i programów, czy je wywieszają naturaliści z Zolą na czele, czy powieściopisarze psychologiczni, którym przoduje dzisiaj Rouget, czy je wreszcie szerzą i do nich gwałtem swą twórczość naginają symboliści i dekadenci. Jednym słowem, wszystko, co w dziedzinie literatury można nazwać szkołą, stronnictwem, obozem, bez względu na kierunek, spotyka się u Lemaître'a z mniej lub więcej nieżyczliwym przyjęciem, jako doktryna, krępująca samodzielny, swobodny rozwój talentów.

Sceptycznie usposobiony dla wszelkich z góry ukutych programów, Lemaître życzliwie wita każdy utwór literacki z osobna i pragnie odgadnąć, odczuć i wyrozumieć indywidualny talent autora. Służy mu do tego wrodzony, ale też wielkiem wykształceniem i pracą wyrobiony smak artystyczny, niezwykle trafna intuicja i zdolność analizowania psychologii twórczej najrozmaitszych umysłów.

Ale zarówno smak literacki, jak intuicja i zdolność chwytania i charakteryzowania innych pisarzy, muszą być, i są istotnie, własnościami indywidualnymi krytyka, tem samem zaś muszą być omylne, względne, zależne od chwilowego nastroju, nietrwałe i niestałe. Zapatrywania i oceny krytyczne, na tak zmiennej i nieuchwytej podstawie ugruntowane, ulegać muszą przeobrażeniom, krytyk zaś, który je wypowiada, nie może sam ręczyć ani za ich trwałość, ani za ich słuszność.

Na miejscu Lemaître'a niejedyn wygłaszał-by mimo to kategorię sady bez żadnych zastrzeżeń. Lemaître postępuje przeciwnie. Ma on za wiele sceptycyzmu, żeby go nie stosować do siebie samego i swoich prac krytycznych, to też na każdej niemal stronicy, czasem wprost, czasem pomiędzy wierszami, powtarza, iż zdania jego nie są niczem więcej, jak sformułowanemi wrażeniami chwili, że jutro mogą się zmienić, że ich nie narzuca nikomu. W obawie, żeby się nie stać dogmatycznym doktrynerem, zrzeka się więc dobrowolnie szukania wszelkiej subiektywnej prawdy i zadawalnia się jedynie wyrażeniem swoich obiektywnych zapatrywań. Krótko mówiąc, można-by to w ten sposób określić — że metoda krytyczna Lemaître'a polega na braku wszelkiej metody.

Jakaż jest wartość tak pojętej krytyki? Pod ręką Lemaître'a taka „impressyonistyczna“ krytyka nabiera wartości niepospolitej, dzięki

właśnie jego niepospolitej organizacyi umysłowej, dzięki jego wyjątkowo trafnemu i wytrawnemu smakowi. Pomyślny jednak innego krytyka, który-by nie miał tak wyjątkowych osobistych warunków, ani tego gustu, ani tej wszechstronnej wrażliwości na wszystko, co piękne; dla takiego krytyka metoda Lemaître'a będzie nader niebezpieczna i zaprowadzi go wprost na manowce. Weźmy na przykład Brunetière'a, któremu Lemaître odmawia—zresztą zupełnie słusznie—wszystkich tych zalet, jakie właśnie w najwyższym stopniu znajdujemy u samego Lemaître'a. A jednak ten Brunetière, przy swej metodzie tak doktrynerskiej i ciasnej, dzięki tylko głębokiej wiedzy i niezmordowanej pracy, położył rzeczywiste zasługi na polu krytyki literackiej. Cóżby się z nim było stało, gdyby tak był przyjął metodę Lemaître'a?

Jest to więc metoda obosieczna, dla krytyka z natury mniej niż Lemaître uposażonego może nawet zgubna, przynajmniej zgubniejsza, niż trochę ciasne i sztywne formuły estetyczne. Za to umysłem wyjątkowym, tak wyjątkowym, jak Lemaître, daje ona szerokie pole do rozwinięcia wszelkich zdolności, i wydaje pod ich piórem dzieła wprost niezwykłe. I tu jeszcze zauważyć należy, że prace krytyczne tego rodzaju i tej wartości, jak „Portrety współczesne,“ mogą przemawiać wyłącznie do umysłów pod względem literackim wykształconych; szersza publiczność, która w krytyku widzi zawsze wyrokującego Arystarcha, zgubi się w subtelnych wywodach Lemaître'a, który, odrzuciwszy wszelkie kodeksy estetyczne, i złożonywszy togę sędziego, prowadzi raczej z czytelnikiem bardzo inteligentne, bardzo wytworne i bardzo dowcipne rozmowy o nowożytnej literaturze.

LUCYAN RYDEL.

---

# ŹRÓDŁA

## DO DZIEJÓW LITERATURY I OŚWIATY POLSKIEJ.

---

X <sup>1)</sup>.

### WIERSZE HISTORYCZNE.

---

(Dokończenie)

1.

Z obszernym opisem uczty pożegnalnej, porównamy kilka krótszych; najpierw, obiadu postnego, przyrządzonego „na zamku” dla samego pana pisarza. Było to na osiemnastej sesyi (8 marca), gdy bojarowie w „hramocie przymiernej” Zygmunta królem szwedzkim pisać nie chcieli.

Powiadając, że o tym nie wiemy od niego,  
Aby kiedy miał zostać ukoronowanym  
Królem szwedzkim i takim nazwiskiem nazwanym...  
Na czym gdyśmy cały dzień, swarząc się, strawili...  
Przyszło do słów tak sprośnych, za wszeteczne mowy,  
Jakowych Ofonaszej używał, gdy słowy

---

<sup>1)</sup> Por. „Bibl. Warsz.” 1895, III, str. 377—414.

Mienił, by Król przed Karłem miał biegać przez morze  
 I dziecię swe odbieżeć gdzieś martwe na górze;  
 Za co nam ledwie nie wręcz w izbie z nimi przyszło,  
 Ledwo o tym nie do krwi rozmawiając wyszło,  
 Że to rzecz nie jest jego, pomazańca tego  
 Tak szczypać i odsądzać od królestwa jego,  
 Gotów z nas każdy o to dać tu raczej garło,  
 Złe nieszczęście bodaj go na wieki pożarło i t. d.  
 Zatem gdyśmy starszy dwaj z zamku pojachali,  
 Trzeciegośmy kolegę w zamku odjachali,  
 Dodawszy mu do tego potrzebnej pomocy;  
 Tam hramotę pisali niemal do północy;  
 Bojarowie tamże też swój skrypt gotowali,  
 Których na to obrano i tamże zostali.  
 Przyniesiono potrawy od Kniazia Wielkiego,  
 Dla kolegi co został trzeciego naszego.  
 Kazano sięść; trucezaszy na stół je stawili,  
 Szczołkałów z Ofonaszem od Kniazia go czcili,  
 Powiadając „gdzie orzeł, tam się ptactwo żywi;  
 „Używajcież tedy też łaski Carskiej i wy.  
 „Mybychmy wam pomogli, lecz post wielki mamy,  
 „Którego się do tydnia, nie jedząc, trzymamy“,

**Potrawy dla P. Pisarza:** sudak cierty w cieście; oladki z czosno-  
 kom; żyły wiezinnye astrachańskie; czeczuga czosnokom nadziejena;  
 pirohi bitoho czosnoku z cebuleju; bieluha pieczonaja z Donu; szczuka  
 sołonaja czosnokom polita; bieluha prosołnaja; bieluha z czosnokom  
 smażonaja; osiotr wiały (suszony) z czosnokom i z riećkoju; jezyk bie-  
 łuzyn prosołny; jucha gozdzikowaja z szafranom; ciesto z riećkoju  
 z szafranom; wierz; korowaj; spina bieluchy astarachańskoje; słabina  
 bieluzyna; łosoś wiały pieczony; bieluha prosołnaja z cebuleju syroju;  
 ciesto z riećkoju z korzeniem; ohurki z piercom; piroh z chrenom; ikra  
 sołonaja; ikra wiałaja; kisiel z patokoju.

Co wszystko do gospody przed nim zaniesiono,  
 Hojnie go tym na zamku rzkomo nadarżono.  
 Co prawdzie, kondynenta ani więc anfony  
 Nie były, jakie Sulli, i dostatek spory;  
 Teodozuszowych ledwo nie skromności  
 Dali znać, że umieją używać dla gości.  
 Przy obiedzie za jeden cud wielki sławili,  
 Że na takich jeziorach Carskich sami byli,

W których rosta bielugi, ośmi sążeń wielkie,  
 By w morzu, gdzie największe ryby rosta wszelkie;  
 Sielawa piaci piędzi nie nowina bywa  
 A drugdy dłużyny jej jeszcze więcej zbywa,

Bez tak szczegółowego *menu* opisany obiad, 26 listopada posłom, po pierwszej audyencji u Wielkiego Kniazia podany; nie zawadzi przytoczyć i podać opis samej audyencji:

Bylim w zamku, wszystkiego koni trzysta z nami,  
 I pachołków nie mniejsza gromada za nami.  
 Od gospody począwszy, ulicą przez zamek  
 Aż do cerkwie Błahwiestnej, aż pod carski ganek,  
 Strzelców w barwie Moskiewskich przez trzy tysiąc stało,  
 Z rusznicami szwedzkimi pospólstwa niemało,  
 Co z obu stron na ehlubę w rząd je szykowano;  
 Rzadki ten był, co przez noc komu wytechnąć dano.  
 Przystawowie koło nas w złotogłowie jada,  
 Prosto łątki (lalki) by owo kiedy za biesiadą,  
 Nad zwyczaj blizu wschodu gdyśmy z koni siedli,  
 Mimo cerkiew wschodem nas na górę powiedli,  
 Kruczgankiem ku pałacu, gdzieśmy witać mieli;  
 Stanęlichmy kąsęczek, po nas to mieć chcieli.  
 Ciżba synów bojarskich, mieszczan, kupców stała,  
 Jako kto mógł ubranych gromada niemała,  
 Na wschodziech i w kruczganku; każdy miejsca swego  
 Strzegł, o to by nie był bit, nie przypłacił tego.  
 Niemców z nimi niemało, cośmy je widali,  
 Lat w Iflancech niedawnych, gdyśmy tam bywali.  
 Polskiej szlachty, litewskiej, którzy za Stefana  
 Na służbę się udali do Kniazia Iwana;  
 Zbiegów także niemało, którycheśmy znali,  
 W tymże rzedzie widziano; wespół z nimi stali;  
 Jednoż rozmów z naszymi mieć im zakazano;  
 Zakrzewskiego, że ją miał, garłem pokarano.  
 Drugich który kto z naszych dotknąć chciał rozmową,  
 Okiem kinał tam i sam; mileząc kiwnął głową,  
 Tymże strojem wschód drugi ludźmi wystrychnęli;  
 Naszych wszędy na czoło, co ich jedno mieli.  
 W pół ulicy z gospody na widoku stali,  
 Erikow syn i którzy z nim tam zajachali,



Co w tym że monasterzu za zaparciem leży,  
 W małym widzę dostatku; i sam też nie świeży.  
 W tym Wasilej Rostowski samowtór w kruczganku  
 Przyjęli nas; drudzy w taż, w pośród tego ganku.  
 I weszliśmy w ten pałac, gdzie Książ Wielki siedział  
 W majestacie, w koronie, syn na drugim siedział.  
 By krzcielnicę, majestat z drzewa urobiony;  
 Jabłko, sceptrum miał w rękę, sam wszytek upstrzony  
 W aksamicie, kamieniami, perły haftowany;  
 Syn takimże na drugim stołku przyodziany.  
 Przed obiema po parze giermków w bieli stało,  
 Co miał każdy z osobna siekierkę nie małą,  
 Jako przed Romlusem liciores bywali,  
 Z siekierami, powrozmi, znać ludziom dawali,  
 Że ty herby majestat, zwierchność wykładają,  
 Że tu jest sprawiedliwość i groza, znać dają.  
 Po prawym, lewym hoku, opodal od niego,  
 Bojarowie siedzieli, dumna rada jego;  
 Niżej trochę, by w szkole u Platona dzieci,  
 Bojar mnóstwo po ławach; złotogłów się świeci.  
 Chłopiąt kupa w pół izby, w złotogłowiech ktemu,  
 By panięciu uczciwość wyrządzali swemu,  
 Kortynami pawiment różnymi usłano,  
 Mury gołe, tylko co kęs pomalowano.  
 Sztuka przed nim misterna, nalewka w niej stała.  
 I miednica do tego z tawalnią nie mała <sup>1)</sup>,  
 Z której coraz zwykł ręce scierać od witania,  
 By co k niemu nie przyszło, według jego zdania.

W tym Wasil Jakowlewicz wystąpiwszy z rzędu  
 Z powinności kanclerskiej i swego urzędu,  
 Wyliczywszy zupełny tytuł Moskiewskiego,  
 Rzecz: „Caru proświetny, od Króla Polskiego  
 „Posłowie wieley oto k Tobie przyjechali  
 „Od Zygmunta trzeciego, by Cię przywitani.  
 „I poselstwo chcąc oddać stanęli przed Tobą  
 „Mając rzeczy do Ciebie od Króla za sobą“.

---

<sup>1)</sup> Było to stałym zwyczajem Wielkich Książów; o to ucieranie rąk podczas audyencyi, jakby ucałowanie ręki od posłów kulało, gniewali się i Possewin, i Zygmunt Stary, który w końcu zamiast posłów, trębaczy posyłać chciał, „bo ci pospolicie gęby krostawe mają“—opowiada M. Paszkowski w polskiej przeróbce Kroniki Gwagnina z roku 1611.

Kniaź to słysząc imieniem z nas mienił każdego,  
 I powstawszy pytał nas: „Zygmunta trzeciego  
 „Posłowie wielcy, król wasz Zygmunt zdrów-li dobrze?“  
 Rzekliśmy mu, że go Bóg z łaski swojej szcudrze  
 W dobrym zdrowiu zachować raczył do tej doby  
 Z panowaniem fortunnym i z jego osoby.  
 Oddawając królewski list do niego zatym,  
 A gdy dalej kazano, i rzecz była na tym,  
 Abyśmy przelożyli poselstwo do niego,  
 Jakie mamy od króla i od pana swego.

### Następuje oddanie listu i przemowy trzech posłów.

Tym porządkiem wszyscy trzej gdychmy odprawili,  
 Z czymechmy tam do niego w poselstwie przybyli,  
 Przypuszczeni do ręki Kniazia Moskiewskiego  
 Witalichmy samego i z nim syna jego.  
 Kazał nam sieść przed sobą opodal na ławie.  
 Zatym po tej rozmowie, po takowej sprawie,  
 Dworzan także królewskich gdy opowiedziano,  
 Przystąpić im do ręki zaraz też kazano.  
 Sołtykow w tym podarki jał wyliczać słowy,  
 Swym porządkiem z rejestrem, który miał gotowy,  
 Kniaź Wielki z synem od nas wiedzieć o tym chcieli,  
 Jakochmy się po drodze jadąc kniemu mieli.  
 To gdy wszystko porządnie tak się odprawiło,  
 Jakowlewicz Wasilej, iż nie rano było,  
 Opowiedział od Kniazia, byśmy odjachali,  
 I w gospodzie obiadu od Kniazia czekali,

### Obiad od Kniazia Wielkiego we dworze poselskim.

....Gdy już Tytan do morza skrył swą złotą głowę,  
 Kniaź Michał Oboliński uczynił tę mowę:  
 „Car proświetny, Gospodar, Kniaź Wielki, jedyny  
 „Samodzierzec, władziciel wsiej Ruskiej krainy,  
 „Kniaź Borys Fiedorowicz i współ syn jego  
 „Posłali wam chleb, czaszę, obiadu swojego,  
 „Co Włodimir i Moskwa i Nowogród jogo,  
 „Kazański, Astrachański, Car wielki do tego,

„I Pskowem i Smoleńskim, Twieri, Permem włada  
 „I Wiazy i Bulhary gdzie słońce zapada,  
 „I Udora, Obdora, wtaż Kondyńskiej ziemi,  
 „Gdzie Sibiry Tatarskie przemieszkiwa plemie,  
 „Car i Książ Wielki nowo ord przybyłych ktemu,  
 „Któremu się podały jako Panu swemu,  
 „Żałowaniem swym wielkim, ludzkością wzruszony,  
 „A to wam posłał przez mię obiad pomieniony  
 „Żeście Króla wielkiego, Zygmunta trzeciego,  
 „Posłowie tak Koronni, Księstwa Litewskiego.  
 „A to w srebrnych kredencach napój drogi macie,  
 „Z chęcią jeno skosztujcie, sami to poznacie.  
 „Piję do was za zdrowie Carskie, syna jego  
 „I za zdrowie Monarchy Zygmunta trzeciego,  
 „Bodaj zdrowi spokojną przyjaźń z sobą sprzęgli  
 „I wiele ku czci Bogu lat szczęśnych dosięgli!“  
 Obarne miody, zatym malinowe, dano,  
 Drugim różne, i wina angielskie nalano,  
 Obrus modny po stole jedni rozciągnęli,  
 Drudzy niemal pół sieni napojem zajęli.  
 Z potrawami po parze procesyją idą;  
 Chwila minie, nim jedni za drugimi przyjdą.  
 Dwa naprzód obertuchy na stół położono,  
 Potrawy nim na misy z kotłów wyłożono;  
 Misy jedne ze srebra, pozłociste drugie,  
 Srebrne, w kwater, okrągłe i naczynie długie.  
 Kraczy llnat Trzeciaków na stół misy stawi,  
 Za każdą przy nim drugi oracyją prawi;  
 Talerza by jednego i łyżek nie dano,  
 Szczypiąc garścią z mis jedli, nam także kazano.  
 Nawęcej zimnych pasztet, co w których smażono,  
 Porządkiem mianowicie wszystko wyliczone.  
 Dziwnymi przyprawami ciasta różne były,  
 Które więcej im samym niżli nam służyły.  
 Przaśne wszystko, bez soli, olejem polane,  
 Wtaż ryby przypiekane, bez przypraw, nadziane;  
 Torty co się dwaj chłopci pod niemi zagrzałi,  
 Nim je z zamku przynieśli, nim je na stół dali.  
 Wątrobami z nich jeden z miętusów nadziano;  
 Z drugimi korowaje wielkie na stół dano.  
 Więc ikry jakimś dziwnym smakiem narządzone,  
 Drugie na kształt powideł w sztukach przyprawione.

Białych wielkich, jesiotrów, woziny po temu  
 W sztukach, dźwigać co było dosyć po jednym.  
 Mają za dziw Persowie, Acezin gdzie wpada,  
 Do Indy rzeki, w której są dziwy nie lada,  
 Że kouchy wzrostem takie po brzegach nachodzą,  
 Co wielkością nawalne okręty przechodzą.  
 U mnie dziw, tu jesiotrów skąd tę liczbę mają,  
 Że nam takim dostatkim onych dogadzają,  
 Kazany, Astrachany, Sybiry mianują,  
 Że tego i nad zamiar co rok nagotują;  
 Z Wołhy rzeki i z Donu, skąd zawsze bywają  
 Przy którym Achillów być pogrzeb powiadają.  
 Powiódł za tym wiśniowych, malinowych, dano  
 I z poziemków; każde z nich imieniem nazwano.  
 Więc miody rozmaite w kubki nalewano;  
 Że tak co dzień u Kniazia, tak to udawano.  
 Trzymam z tym, dosyć potraw i tu przed nas dano,  
 Cóż po tym, gdy narządzić w smak ich nie umiano.  
 Dobrze mówią, że wszego mnogo w Ziemi mają,  
 Lecz jako czego zażyć, rozumu nie mają.  
 Gdy tak obiad skończono, myśmy też za zdrowie  
 Królewskie do nich pili. Po takowej mowie  
 Oboliński do Kniazia zaś się nazad wrócił;  
 Każdy się z nas do swego pokoju obrócił.

Z temi obiadami sprzeczały się dziwnie delicye, jakich zażyto  
 przy pierwszym „bankiecie albo traktacji“, tak drastycznie opisanym  
 na początku dyaryuszu. Było to 11 października.

....gdy z **Dobrej w Możajskie** pola wjechać przyszło,  
 Od przystawów wszystkich trzech pisno do nas wyszło,  
 Abychmy my posłowie i dworzanie z nami,  
 Do nich zsiadli na frysztuk, ktoby chciał za nami.  
 Prosi starszy, pożałuj, z nas posłów każdego  
 I dworzan, byśmy jedli co będzie takiego.

### Bankiet podróżny (pod namiotem).

Do namiotu gdy na wstęp tak pilnie prosił,  
 W namiocie wskok napierwiej stół pstry postawili.

Rozumielim, że przesiądź Kleopatrze miano;  
 Ali naprzód pięć jabłek kwaśnych na stół dano,  
 Na misie, co już pięć lat jako ją plókano,  
 Nie inaczej by owo węglem pomazano.  
 Na to prostej gorzałki po pituszcze dali;  
 Chwaląc, tej aby więcej przynieśli, kazali.  
 Po chwili miasto tortu kura na stół dano,  
 Co go ciastem odziano, klejstrem pomazano.  
 Już tydzień jako w sunkach to ciasto chowali,  
 Nim je taraz na obiad dla gości wydali.  
 Wnet za tym miód obarny na stół postawili,  
 Prosząc, byśmy im kwoli dobrej myśli byli.  
 Sarkania, kosztując go z czarek, dosyć było;  
 Przypominać aż brzydko, widzieć gorzej było.  
 W tym zając dali na stół tak rok sna(dź) pieczony,  
 Spleśniały, w tychże sunkach podobno najdziony.  
 Nożysko też z rosołu kozie przyniesiono  
 I na stół, byśmy jedli garścią położono.  
 Ni obrusa, talerzów ni noża nie dali;  
 Jako to ich obyczaj, palcami szarpali.  
 Okrzyknęli w tym bojar, że czosnku nie dali,  
 Czymby kozie po wierzchu saporu dodali,  
 Prosząc, byśmy za głupstwo to im nie przyczaili;  
 Że się stało omyłką, że się omylili.  
 Przy gromadzie w tym czasie naszych ludzi było,  
 Gdy więcej gotowano, w kuchni się toczyło:  
 Bojarski syn ubrany sprawując gęś w kuchni,  
 Trzewa włókł z niej zęboma; a drugi takuchny  
 Barana łupiąc z skóry, jako który umiał,  
 Sztuki swe wyprawował; nie jeden się zdumiał.  
 Trzeci czwinkę baranią uciął, baran w skórze  
 Ledwo jeszcze co nie żyw gdzieś chodzi po górze.  
 Czwarty trochę podlewy chustą brudną cadzi:  
 Owa zgoła ochotni i wszyscy nam radzi.  
 Jeść gotowo, mięso to skopowinę dano,  
 Łojem kęs ciepłym z wierzchu co ją pomazano.  
 Przystaw krajczym każdemu częśćkę jego kraje,  
 Ile trzeba z ochotą, w pół surową daje.  
 Sam sztukę naprzód sporą zjadł, co ze krwią wpoły;  
 Człek patrząc na to ledwie nie zemdlał na poły.  
 Drugich prosi, by także chętnie godowali,  
 Nie czekając krajczego, sami sobie brali.

Car by zdrów, że tak wielkim żałowaniem jego  
 Kormu mnogo i picia tak wiele dobrego.  
 Kaczkę dano z rosółu, surową też wpoły;  
 Przystawowie roją się by owo gdzie pszczoły.  
 Sznat temu, sznat owemu, garścią jeden daje.  
 Pożalujcie dworzanie, jedzcie, póki staje.  
 Kur Morawskiej w tym barwy polewką polano,  
 Beż korzenia, bez przypraw na stół, goły dano.  
 Imbier w sztuce cholewy na stół położono;  
 Ktoby chciał jeść z imbierem, aby w nim moczoно.  
 Kur pieczony część nożem, część garścią stargano;  
 Po kawałku między nas porządkiem rozdano,  
 Choć niektóre pod stołem rozbiegły się były;  
 Gdy nad nimi pan krajczy pokazał siły,  
 Owa z chęcią nas ćcili, że służąc do stołu  
 Asz spotnieli obadwaj przystawowie społu  
 I nie mieli z to (tyle) czasu, żeby z nami siedli;  
 Surowiznę, wzięwszy w garść, posługując jedli.  
 Zda mi się za pokutę wszystkim to nam stało,  
 Którym się potraw takich i tej ćci dostało.  
 Trzeźwo nas odprawili: od Kretensów wzięli  
 Od Kartagów, co niegdy ten obyczaj mieli,  
 Że win, drogich napojów, gościom nie dawano;  
 Dziw wielki, komu flaszę miodu kiedy dano.  
 Dziękujem im za trzeźwość, że nas tak chowali,  
 Z Kretencyki że na nas w tym się porównali.  
 Ja mnieman, takie prawa nie rychło nas dojdą:  
 Prędzej zwierz po powietrzu, ryby lądem pójdą  
 Prędzej wspanak Niemen pójdzie, morskie wody znikną.  
 Takie prawa nim kiedy tu u nas zakwitną.  
 Zlecamy Ateńczykom; Moskwie, się to znidzie  
 Ladaco pić, a wino gdy choroba przydzie.

## 2.

Dorzucamy wiązanekę ciekawszych szczegółów; naprzód o wjeździe do Moskwy (16 października):

W niedzielę (15 października) w Mamonowie na  
 [noclegu rano  
 Z miasta Moskwy od bojar do nas nakazano,

Że gdy jutro godzin pięć na zegarze będzie,  
Dwór Moskiewski potkać was na koń strojno wsiedzie;  
Abychmy Moskwę rzekę za czasu przebyli,  
Gdzie witać z Moskwy będą nas po małej chwili.

Gdychmy się po noclegu ku miastu ruszyli,  
Naszy hufem porządnie rozrządzeni byli,  
Blizu konnych sześci set wprzód w drogę puszczoneo,  
Wozów skarbnych przez dwieście za nimi ruszoneo,  
Prócz karet, kocznych, kupców, których też dość było.  
Zjachawszy się, ku miastu drogę nam puścili;  
Sami to z tę, to z owę stronę nam służyli.  
Kniaź Jelecki z konia zsiadł; czapkę zdjął; w te słowa  
Powiedział, że „Car Wielki, Pan i nasza głowa,  
„Wdzięczność wam pokazując was o zdrowie pyta  
„I przez nas na tym placu was wszystkich trzech wita“.  
Myśmy też z koni zsiadli; za to dziękowali,  
Żechmy dotąd i teraz tę wdzięczność poznali,  
Boga chwaląc, po drodze że nas chować raczył  
I tu stanąć we zdrowiu nam wszystkim naznaczył.  
W pierwszą bramę w tym poczty porządnie wjechały;  
Gwałt zewsząd mężczyzn, niewiast, co na to patrzyły.  
Po stronach bojarowie końmi postępują;  
Drudzy plac czynią; drudzy przed nami rumują,  
Na widoku dział parę naschwał (umyślnie) postawiono;  
Co w okrąg dwa, trzy na wzdłuż, sążeń ich zmierzono;  
Jednako w gniaździe, w końcu, formą jedną lane;  
Jedno z nich Niedźwiedź, drugie Borysem nazwane;  
Chłop w każdym snadź sieść może; ciężar nie użyty,  
Pro forma tylko stoi w miejscu, by uryty.  
W Kitajhorod przez bronę jachaliśmy potem,  
Mimo zamek, gdzie cerkiew stoi z wierzchem złotym.  
Kniaź Wielki sam i żona, dzieci gdzieś patrzyły,  
Nieznacznie, gdzieś też zeszyłych Książów wdowy stały.  
W dwór poselski dość ciasny gdyśmy się weisnęli,  
Moskwa się, przystawowie, od nas rozwinęli.  
Każdemu z nas posłów dóm osobny dano,  
Lecz izdeb dla sług, stajen, mało zbudowano;  
Dwór ze wszech stron sztokietem mocnym ogrodzono;  
Straż w dzień i w noc nad nami wkoło położono;  
Od ognia byśmy w ciżbie tej bezpieczni byli,  
Straż kolejną bez braku nasięśmy włożyli.

Pocieszny przytrafił się *casus*, gdy p. Kanclerz 20 października miał u siebie przystawów na obiedzie, jeden z nich, pośnik djak, zaczął, wychwaliwszy męstwo i urodę W. Księcia i jego rodziny, przechwalać bogactwa, potęgę i dziwy miasta i kraju:

„Powiadał o strumieniu, rubinowych brzegach,  
 „O skałach rubinowych, w nich takich zabiegach,  
 „Że kto nie wie, niewiadał te tak wielkie dziwy,  
 „Zmartwieć wpoły musiałby, ledwo zostać żywy.  
 „Że też wojska pogańskie przeciw Moskwie przyszły,  
 „Moskiewskie przeciw nim też także w pole wyszły;  
 „Gdzie gdy obraz Mikoły Możajskiego mieli,  
 „Co go z sobą na pomoc przeciwko nim wzięli,  
 „Sprawiła moc obrazu, że w słupy kamienne  
 „Wojska się obróciły, twarde, nieodmienne;  
 „Że i dziś słupem stoją, jezda i piechota,  
 „Do Złotej Baby kędy sławne carskie wrota...  
 „Ani Rzym, ni Carygród, ni Kraków za nimi  
 „Niemają szerokości i skarbów takowych,  
 „Jakowych owdzie dosyć z krajów świata nowych.  
 „...Nawet nigdy w Sydonie... ryb tak wielkich nie było,  
 „Jakich w tym tu carstwie jest, tak rośłych do tego,  
 „Że siedm wozów nie dźwignie jesiotra jednego;  
 „...Cóż zaś ludu, którego zawsze tu dość było,  
 „Teraz dwakroć stotysiąc Tatarów przyhyło,  
 „Do których, gdy poczkolwiek ztąd z Moskwy jedziemy,  
 „Rok minie, w jedną stronę nim tam dojedziemy,  
 „Drugi rok, nim kto nazad podwodą przybieży;  
 „Tak to państwo szYROKO w granicach swych leży.  
 „Że trzemasty kozaków było dosyć biedy,  
 „Nim te ordy Carowi poddały się kiedy.  
 „Gdzie lasy dzikie były, dziś bogate żniwa,  
 „Do trzydziestu na Kniazia ćwiertek żyta hywa.  
 „Moskwę być złotodenną, mdlił tak ludziom oczy,  
 „Że z Paktolem lidyjskim złoty piasek toczy,  
 „Gdzie Faeton z obłoków, mninając by w błoto,  
 „Ali wpadł w nieprzebrane, drogie, piękne złoto“.  
 — Ja mninam, że to niedźwiedź musiał tam utonąć,  
 Gdy z botorem chciał od swych skomorochów (niedźwied-  
 [ników) wionąć. —  
 „Swe kałuże mianował być lepsze we troje,  
 „Niż w Parnasie co mieniają Kastalijskie zdroje.



„Na błotach, trzęsawicach, gdzie lada jedlina,  
 „Powiadał, że to cedrus, co u was nowina.  
 „Gdzie oset lada roście, izopem być mienił;  
 Ledwo jedno nad cyprys pokrzywy nie cenil.  
 Lampartów, tygrysów dość, lwów mnóstwo do tego,  
 I tak co raz w Moskwie być powiadał nowego.  
 Moskwę miasto, domy w niem, jako idą z góry,  
 Powiadał, że to drugie Babilońskie mury.  
 Z prostoty między siedmią dziwów Moskwę kładąc  
 I tak w tym przedsięwzięciu coraz dalej jadąc.  
 „I gdy tak niesłychane napowiadał rzeczy  
 Drugi pośnik rzecze mu: „Bracie, to nie grzeczy,  
 „Powiedasz to, co nie jest; aza niewiesz tego,  
 „Że z tych każdy wie dobrze, gdzie co jest takiego.  
 „Poprzestań płutaniny; nieuczciwość nasza,  
 „Gdy o tym mówisz, czego nie ma ziemia nasza“.  
 Rozgniewał się tą mową, co się długo chwalił;  
 Opiwszy się gorzałki, za drzwi się wywalił.  
 Do bojar skargę odniósł, wytknął brata swego;  
 Że mu dano knutami za to do żywego.  
 On też to nań powiedział, czym się Moskwa lżyła,  
 Gdy na tym to obiedzie u Kancelerza była.  
 Za co sam też knutami wziął czyście po skórze,  
 Że go z tydzień nie było na poselskiej górze.  
 Potym zaś chromonogi gdy się do nas wrócił,  
 Powiadał, że się z sanek przygodnie wywrócił.  
 Właśnie tak *Tubularum leges* w sobie miały;  
 Takowe się poczestki ludziom zacnym działy;  
 Właśnie takiej powagi Apulejskie prawa;  
 A wždy się im podoba, to to dziwna sprawa.

Inny śmieszny traf zapisany pod dniem 13 listopada:

Z przygody się z Nielubem o myszach mówiło,  
 Że ich wszędy we dworze poselskim dość było.  
 Żartem tylko rzeczono, by gdzie kota dostać,  
 Coby temu robactwu wydołać mógł, sprostać.  
 Nielub za tym, coby miał o witanii prawić,  
 Ali on nas wnet kotem umyślił zabawić.  
 Z wiadomością Wielkiego *Hoŝpodara* swego,  
 Każdemu z nas dał kota, z zaleceniem jego,

Na urząd z Astrachani że je tu przysłano  
I za jedną pociechę Kniaziowi oddano.

Traf był tem śmieszniejszy, że ten co kota w worze przyniósł  
brzydota Wulkana celował.

Z poźycia zimowego notujemy jeszcze jeden szczegół:

Iż śnieg spadł, aby z dachu czym go sprzątnąć było,  
Z łopatami coś bojar od Kniazia przybyło,  
Których śród dworu rzędem ośmdziesiąt złożono;  
Każdemu posłowi część jego odłożono;  
Ochędóstwo jeśli bym u siebie mieć chcieli,  
Żeby się sami naszy tej roboty jęli,  
Dali znać przystawowie, że to są dworzanie  
Z tym podarkiem od Kniazia. Skoro dzień nastanie,  
Jutro ztąd, z poselskiego dworu, wozić będą  
Gnój w pole, przywitać ich godzi się, niech siędą.  
Niebył ten, któryby z nas patrząc na to z góry,  
Takim zacnym dworzanom zajrzeć miał tej fury.  
Zaczym drogich konfektów gdy im na stół dano,  
Sąli takie u bojar? gdy żartem pytano,  
Powiedzieli, za jeden wielki się cud kładzie,  
Szto i ninie jest mnogo toho w carskim gradzie.  
Są tam cukry przyprawne, kosztowne morszele,  
I soków i konfektów rozmaitych wiele:  
Dobrowolnie w ogrodach, czasem na pomoście,  
By owo trzcina kędy w polu gęsto roście;  
Barwierzowie są, którzy tego doglądają  
I od Cara nagrodę za to wielką mają.

Ciekawe *pendant* do cudownej mocy leczniczej, jaką królom francuskim, od pierwszego Chlodwiga jeszcze, przypisywano (*le roi te touche, Dieu te guérisse*), znajdujemy w dyaryuszu pod czwartym lutego, gdy na obiedzie u Kanclerza pośnik przystaw

Dzielność chwali, wynosi Hospodara swego;  
Że przezeń na dziś Moskwa tak wiele dobrego;  
Że między święte idzie i pewna to o nim;  
Że cuda niesłychane, dziwy wielkie po nim.  
Gdy go kto, także innych grobów Kniaziów dotknie,  
Byłby chrom, skacząc pójdzie; najmniej się nie potknie;

Kto ślepy albo z matki głuchem się urodzi,  
 Gdy kniaź zechce, ów zaraz do wzroku przychodzi,  
 I niemi i garbaci zdrowie swe miewają;  
 Za to mu też i pokłon i chwałę wzdawają,  
 Grób nawet ojca swego udał być tej mocy:  
 Kto się go tknie, że wolen od wszelkiej niemocy;  
 I kto ma niedostatek, jeśli go co trapi,  
 Stanie mu się powoli, skoro ji obłapi.  
 Ledwie co ma Mikuła Możajski przed nimi;  
 Tak wielka sława, dziwy tak wielkie za nimi.  
 Oprócz tylko gdy wojnę z kim prowadzić mamy,  
 To na ten czas Mikole cześć, chwałę wzdawamy.  
 Nie chybi, gdy kto kniemu wędrówkę zagadnie,  
 Że mu kostka po woli i szczęśliwie padnie.  
 Raz tylko pobłądził był Kniaź z jego porady,  
 Gdy go zbity pod Kiesią; wzięto mu narady (ozdoby),  
 Gdy opałę narzucił nań był wielką za to,  
 Że mu dzwonić nie kazał na hańbę przez lato.  
 O żenie swej powiadał, choć pisma nie umie,  
 Że ni prorok wszystko wie; zgadnąć wszystko umie.

**Jak Godunow miłość poddanych zjednywał, zanotowano pod dniem gromnicznym; gdy po kazaniu oznajmiono posłom, że Car wyzdrowiał i w niedzielę ich przyjąć raczy,**

Ni ztąd drugi ni zowąd nowinę powiedział,  
 Że mu się syn urodził, z domu się dowiedział;  
 Kolega że też córkę dostał tymi czasy;  
 Mówiąc to, że, znak dobry przyszły nam te czasy,  
 Że chabrością, rozumem nie wypowiedzianym,  
 I staraniem i mężstwem od Boga nadanym,  
 Car gospodar z synem swym są przyczyną tego,  
 Że się dziś dzieje z nimi tak wiele dobrego.  
 Kto może wypowiedzieć, jaką miłością  
 Przeciwno nam stawia się, pokorą, ludzkością;  
 A nawet ku małżonkom, córkom, synom naszym;  
 Z podziwieniem przyszłoby o tem słuchać, waszym.  
 Ich fortuną, staraniem tak się mnoży państwo,  
 Że i radość, pociechę, ma ztąd chrześcijaństwo;  
 Nie pierwszych lat tyranów przykłady z nich mamy;  
 Inakszą dziś chęć, miłość, po nich doznawamy.

Inna jednak nuta przebrzmiewa w dedykacyi do Sapiiehy: „Kniaź Wielki dzisiejszy dopadłszy stolicy, do której prawo innym służyło (w których wytruł jednych, wygubił, wymordował, drugie więzieniem zamorzył, a potomek pierwszego Kniazia wie Pan Bóg od kogo i z czyich rękę poszedł), cesarze, króle, monarchy lekce waży... więc i bojary Dumnymi osadził się *nullius consilii*, co wszytkin porządzają, *pleniventres ignari*, co *ex re et utilitate publica* rzeczy słabo widzą; włazszy w ornat Kniaziowi pobłażają, monarchy, króle, świat wszytek nie ważą nizacz; wszędy zwycięstwo, wszędy górę kniaziowi obiecują. Poddanych ma jeszcze niezycyliwych wiele; skąd srogości przeciw nim niemiara, a niemal co dzień to więtsze. Zaczym nieufność taka, że nie-stąpi Moskwicin, nad którymby dwu, trzech szpiegów nie było. A cóż owi zbiegowie albo i cudzoziemcy, co tam mniemając by na rozkosz jako do piekła zaszli, jaką tam pociechę mają? Dobrze im tak. Nie trzeba wątpić, w lada dzień *mutatio* tam być musi. Wilk jeden, co go w nogę trapi, nabawi tych wilków, co go pobiedzą. Czarów pełen, bez czarownic nie pocznie by najmniej; tych radą, nauką żywie, tych słuha; mniemam, że już tu Cyrces, co czary wynalazła i ona Medea, królowna z Kolchów, zgasły i t. d.

Na próbkę takichto rządów Borysa przytoczymy, co p. pisarz pod 1 listopada opowiada: Posłowie byli już gotowi, by Kniazia Wielkiego witać, wtem nakazano im z zamku, znouu „rozburdać się“, gdyż Kniaź nagle zachorzał i przyjąć ich nie może:

Trwogi dość w mieście było, choć wrzkomo taili,  
 Że o zdrowiu zwątpili jego wszyscy byli.  
 Straży więcej nad nami zaraz przyczyniono,  
 Bab do Kniazia, czarownic, zewsząd przybawiono,..  
 Tym czasem Mikiticzów i Szujskiego z nimi,  
 Co Kniaziowi bronili wnieść na państwo w swymi,  
 Gwałtem jednych na zamku do turny porwano;  
 Drugich ogniem i strzelbą z gospod dobywano;  
 Szujskich przedtym też kilku, co im we krwi byli,  
 Z tejsze miary trucizną i mieczem zgubili..  
 Rozruch w zamku, interim o Kniaziu zwątpili,  
 Rada o tym co czynić, i tak namówili,  
 Że się Kniaź chor do cerkwi dlatego nieść kazał,  
 By się ludziom, choć był chor, żywym być ukazał.  
 A iż mieli nadzieję, żebyśmy do niego  
 W dziewosłbstwie mieli być tu od króla swego,  
 Dałci co państwa za nię, gdy różni w tym byli,  
 Mikiticzy rozmów tych dobrze przypłacili.

Byli jedni, Korelę ziemię dać chcieli;  
 Druzdy zgoła przeciwną sprawę przedsięwzięli,  
 Niechcąc, aby Książ z Królem pokrewnić się mieli,  
 Rozumiejąc, że państwo tymby stracić mieli...

Obok strasznej, choć niebezprzyczynnej nieufności, charakteryzuje Godunowa tkliwa miłość córki i syna; dla swojej Kseni myślał on o Zygmuncie; dla niej sprowadził najpierw Eryka (o którym wyżej Pielgrzymowski wspominał), syna Gustawa szwedzkiego, z Włoch do Moskwy, a gdy i ta kombinacja się nie powiodła, Jana Duńskiego; zaś syna, Fiedora, wysuwał zawsze naprzód, więc i posłowie przed nim sprawują peselstwo, powołują się na jego słowa, niby jego wstawieniu się u ojca zawdzięczają i obietnicę rychłego odpusku i inne ustępstwa; jak się ojciec o popularność syna u swoich starał, widać z owego epizodu ze sliwką przy uczie. Schlebiają też posłowie tej słabości Borysa, wzywając ciągle interwencyi syna; tem więcej naturalnie bojarowie sami; i tak na sessyi 3 marca, po przemowie Kniazia młodego do posłów od ojca, w odwietnej pałacie bojarzy potem,

...chwaląc rzecz młodego Kniazia pytali się u nas,  
 Jakoli się w rozumie nam podobał, w mowie,  
 Ich radość, ich pociecha, ich jedyne zdrowie?  
 W którym mądrość tak wielka nie według lat kwitnie;  
 Jest się czemu przysłuchać, podziwować zbytnie,  
 Że ni anioł, a słowa anielskie, gdy mówi;  
 Bodaj byli z ojcem swym długo szczęśli, zdrowi.  
 Rzekło się im, że nie dziw, emphatice na to,  
 Dumie ich dogadzając, że często bywa to,  
 Że wielkich Gospodarów potomstwo się rodzi  
 Z rozumem; zatym mądrość snadniej im przychodzi.

Wiadomo, że ani starania ojca, ani zdolności syna nie uchyliły od całego narodu rychłej, a okrutnej klęski. Innych, prawdziwie ludzkich rysów w charakterystyce Borysa, np. owego udobruchania się i przypomnienia dawnej poufałości z Sapiehą, szerzej nie przywodziśmy; nie kreśliśmy również typu kilku bojarów i odwietnej pałaty, z których taki Sołtykow np., teraz gardlujący za Borysem, wnet zdradzić go miał.

Nie kusimy się też o charakterystykę głównej osoby po stronie przeciwnej, Kanclerza; odbijając zręcznie a wytrwale wszelkie argumenta, nie waha się on sięgać do dalekiej przeszłości i w niej czerpać dowody, że na tytuł lub na Inflanty Wielcy Książęta praw wywieść nie mogą; przypomina też czasy, gdzie nie oni, ale im rozkazywali Tatarzy:

„Wszak nie masz spełna dwóchset lat, co przeszły temu,  
 „Gdy u carów zawołńskich waszy po jednemu  
 „W hołdzie będąc, w trybucie i w ciężkiej niewoli,  
 „Słuchać onych musieli prawie poniewoli;  
 „Gdy posłom ich a nawet gońcom wyrządzali  
 „Takim kształtem pokorę, że się onych bali:  
 „Gdy wjeżdżali do Moskwy w jakiejkolwiek sprawie,  
 „Kniaź Wielki powinien był, przy takiej zabawie,  
 „Sam pieszo przeciw niemu z radą swą wychodzić,  
 „I kubkiem kobylego mleka mu dogodzić,  
 „Z ukłoną, czołom biciem, każdemu takiemu;  
 „Jeszcze ktemu na szkapie podać siedzącemu.  
 „Gdzie gdy kropla na grzywę końską z wąsa spada,  
 „Kniaź Wielki lizać musiał, gdziekolwiek upadła.  
 „Tłumaczowi gdy czytał listy jakie carskie,  
 „Na moskiewskie tłumaczył, przekładał tatarskie,  
 „Przewybornych soboli szatę podeń słano;  
 „Kniaziowi z radą jego stać przed nim kazano,  
 „Gdzie czołem bijąc słuchać, przed nim na kolana  
 „Upadać musiał, klęcząc, słuchać jako pana.

Lecz umie pan kanclerz poruszać i inne struny; i on wie o jedno-  
 ści słowiańskiej i apelluje do tego uczucia:

„Myśmy z wami Słowacy, narodu jednego,  
 „Boga z wami chwalimy w Trójcy jedynego  
 „I jednaką cześć, chwałę, jemu oddajemy;  
 „Kęs wadzi, że się mało co nie rozumiemy“ i t. d.;

na innym miejscu schlebia bojarom i ich znaczeniu:

„Kniaziowie, Bojarowie, Bracia naszy mili!  
 „Na czymieście wy teraz, drudzy przedtym byli.  
 „Z woli Bożej siedzicie przy boku Wielkiego  
 „Hospodara, żebyście wiedli go do tego,  
 „Aby dumą, staraniem waszym ktemu przyszło,  
 „Żeby wszystko co dobre krześcijańskie wyszło.  
 „Macie przykład z koronnej i litewskiej rady,  
 „O dobrym jako myślą krom wszelkiej zawady,  
 „Jako króla do zgody i przyjaźni z wami  
 „Przywodząc dali o tym naukę za nami“ i t. d.

Kasztalen Warszycki to figura niema, również jak i pan pisarz litewski, którego dosadnie charakteryzuje, nie to co mówił, lecz to co napisał; parę słów o tem powiemy jeszcze niżej.

## 3.

Wiersza swego Pielgrzymowski nie kończy wyjazdem poselstwa; na karcie 110 do 142 dodał on opis „Poselstwa do... Króla Zygmunta III i t. d. od Wielkiego Hospodara... Borysa Fiedorowicza i t. d. z strony zawarcia przymierza do lat dwudziestu dwu i t. d., i t. d. czyli opis przybycia poselstwa ruskiego w celu odebrania przysięgi od króla; nowych bezowocnych sporów o tytuły; wreszcie pożegnalnej audyencji posłów u króla i uczyty dworskiej. Tym razem nie należał już sam p. pisarz do obrad i notował tylko to, co od innych słyszał (np. na K. 117 przerywa przemówienie Sołtykowa wierszami „zaniósłem się był dalej oracyją pisać, ali póty na ten czas; więcej nic nie słyhać“); o wielu też okolicznościach, np. jak długo posłowie przybycia króla z Infantem się doczekiwali, nie chcąc gdzie indziej, tylko w Wilnie, poselstwo sprawować, jak się i oni na nieogłędne obchodzenie uskarżali i i., p. pisarz ani wspomniał. Ta część wiersza jego mniej też ciekawa; lecz i z niej wypada wynotować niejednen szczegół, pouczający o ludziach i czasach.

Zewnętrznie przedstawia się ona jako dokładny dalszy ciąg poprzedniej części, więc ten sam wiersz nie wytworny, szerokie omawiania dla rymu, przymieszka słów ruskich; ci sami ludzie, i te same zapatrywania, prócz, że ze strony litewskiej kilku Panów Rad, świeckich i duchownych, przemawia, a widownia z Moskwy do Wilna przeniesiona; tak samo nawet zostawione białe karty dla wpisania listów przymierza. Lecz nie zabiera więcej głosu p. pisarz; niema już owych ocenian, skarg i wyrzutów, jakienmi pierwszą część ciągle przeplatał; ledwo, że w epilogu z przestroga do czytelnika się zwrócił. Część więc druga dodana dla zaokrąglenia, dla niezbędnego uzupełnienia całości, lecz traktowana jako dodatek, tak jak samo poselstwo r. 1602 było tylko uzupełnieniem owego z r. 1601, formalnością, choć i nieodzowną. Wystarczy też wypisać początek i zakończenie; z reszty wybieramy tylko kilka szczegółów.

Wodnik przykry gdy z wiatrem już poczynął wchodzić,  
Lew od nas do podziemnych zwykł krajin odchodzić;  
Licencyją przystojną gdy na to dostali,  
Posłowie Moskiewskiego do Wilna wjachali.

Z nimi konnych wszystkiego do czterechset było,  
 Okrom podwód, drobiazgu, co z nimi przybyło.  
 Rok tysiąc sześćset wtóry na ten czas pisano,  
 Dzień w liczbie piąty stycznia. Dworowi kazano  
 Królewskiemu wyjechać ku nim na półmille;  
 Tam się z nimi witając zabawili chwile.  
 Było naszych przez pięć set usarzów ozdobnych;  
 Krom piechoty węgierskiej, pachołków osobnych.  
 Z dworu starszym nad nimi Talwosza wysłano;  
 Piaseckiego starostę ku niemu przydano.  
 Gdy z posły Moskiewskimi w gromadzie stanęli,  
 Moskiewscy okrom targu kołpaki wprzód zjęli.  
 I dobrze wprzód niż naszy z bachmatów swych siedli;  
 Dopiero naszy do nich oracyją wiedli,  
 Witając ich dość pięknie królewskim imieniem,  
 I od króla przyjmując z wdzięcznym pozdrowieniem.  
 Potym z nimi przez miasto, przez rynek jachali,  
 Ulic trzy domów grzecznych dla gospod im dali,  
 Gdzie więcej siedmidziesiąt kamienie zliczono.  
 Zatym ich odjachano, wezas im uczyniono.  
 W dzień ósmy stycznia w zamku być im rozkazano;  
 By poselstwo prawili, znać im o tem dano.  
 Prowadził ich królewski dwór znowu do zamku,  
 A gdy z nimi wpół wschodu stanęli u ganku,  
 Potkali ich od króla panowie pisarze  
 I tak z nimi, wzięwszy się za ręce po parze,  
 Szli dalej ku pałacom wierzechnym, gdzie dwaj stali  
 Z senatorów od króla, co ich przywitani.  
 Dalej z nimi gdy wchodzić do pałacu przyszło,  
 Jego Mość pan Marszałek, panów kilku wyszło;  
 Przyjąwszy ich szli z nimi, przed królem stanęli:  
 Szyki z głów i jałmurki posłowie gdy zdjęli,  
 I laską uczyniono porządne milczenie,  
 Posłowie nizki ukłon królowi do ziemie.  
*IM. P. Marszałek Wielki:* „Najjaśniejszy Królu nasz,  
 [Panie Miłościwy  
 „Za zwróceniem twym pańskim pod ten czas szczęśliwy,  
 „Posłowie Wielcy z Moskwy a toć wszyscy społem,  
 „Nizki ukłon oddają, nizkoć biją czołem“.  
 Zatym wyrzekł Sołtykow Michajło ty słowa  
 I to była do Króla pierwsza jego mowa...



Takowe pozdrowienie, pokłon usłyszawszy,  
 Król Jegomość do posłów rzekł z miejsca powstawszy:  
 „Hospodara Wielkiego Moskiewskiego zdrowie  
 Jako idzie na ten czas? pytam was, posłowie“.  
*Sołtykow*: „I sam Car miłowaniem Bożym i syn Jego  
 „Wieliczestwa dotąd są zdrowia sposobnego“.  
 Zatem poszli do ręki, rękę całowali;  
 Za nimi bojarowie, co koło nich stali.  
 List wierzący podnieśli od Kniazia Wielkiego,  
 Wziął go od nich pan Kanclerz Xięstwa Litewskiego,  
 Od którego pytani, jeśliby co mieli  
 Ustnego co za sobą, aby powiedzieli.

Odprawiają teraz poselstwo, bojarzyn Michajło Hlebowicz Sołty-  
 kow Morozow, okolniczy i namiesntik suzdalski, poseł starszy; Wasiliej  
 Timofiejewicz Płoszczewa dworzaniu, namiesnik rosski, poseł drugi;  
 Ofonas Iwanowa syn Własieja, djak dumny.

Po skończeniu oracyj nastąpiły dary;  
 Nawęcej z nich sajdaków, strzał, łuków bez miary,  
 Rysiów pięknych, soboli soroków do tego,  
 I szabel coś, marmorków, srebra złocistego;  
 Co wszystko swym porządkiem od nich odbierano,  
 Które zaś przy odprawie im nazad oddano.  
*IM. P. Kanclerz*: „Król Jegomość o zdrowiu Xiędza  
 |Moskiewskiego  
 „Rad słysząc życzyć raczej i dalej mu tego,  
 „By go (Bóg) w dobrym zdrowiu dalej raczył chować  
 „I dać mu szczęśliwie tam nad swymi panować.  
 „Rzecz, którą mówiliście, jest już zrozumiana  
 „I odpowiedź na wszystko będzie potym dana.  
 „Król Jegomość z senatem o tym się naradzą  
 „A potym czasu swego wam odprawę dadzą.  
 „Na ten czas już do gospod swych nazad odjedźcie  
 „A potem, gdy wam każą, na zamek przyjedźcie“,  
 (10 stycznia) Tymże ich zaś sposobem, gdy im naznaczono,  
 Przed majestat królewski w zamek wprowadzono.  
*Jego M. p. Marszałek*: „Najjaśniejszy królu nasz, patrząc  
 |na twe zdrowie,  
 „Bijąc czołem wszyscy trzej moskiewscy posłowie“.  
*Król JM.* „Posłowie siądźcie!“ Zatem pan Kanclerz wystąpił  
 I dalej ku nim mówiąc w ty słowy postąpił:

„Wyprawując do Króla sens poselstwa swego,  
 „Od swego Hospodara, Księdza Moskiewskiego,  
 „Rzekliście, że was z tym tu od niego posłano,  
 „By wam pismem warunek na przynierze dano,  
 „I ono przysięgą swą aby Król potwierdził,  
 „Jako je też z swej strony wasz Hospodar stwierdził.  
 „Że też inne za sobą rzeczy powiadacie,  
 „O których tu namawiać sna(dź) zlecenie macie,  
 „Król jegomość chce to mieć, rozkazować raczy,  
 „I pewne senatory do tego wyznaczy  
 „Aby z wami zasiadzy o tem namawiali,  
 „A potym sprawę o tym dostateczną zdali.  
 „Przeto pódźcie w przeciwną pałatę, tam mówcie,  
 „I co jest takowego dobrego, stanówcie“.  
 Gdy tak z sobą pospołu do traktatów siedli  
 I co było aż potąd na pamięć przywiedli,  
 Pan Kanclerz począł naprzód i t. d. i t. d.

Tak zagajono sessyę pierwszą; tak odprawiono też drugą (11 stycznia), trzecią (12) i czwartą, poczem przyszło do odprawy, uczty i żegnania. Ze strony litewskiej przemawiali na sessyach, prócz kanclerza, wojewoda wileński i trocki (Krzysztof Radziwiłł i książę Sierotka) i biskup wileński; z posłów głównie Sołtykow, rzadziej Ofanas. Z ciągłych sporów o tytuły wyróżnia się jeden epizod; by dowieść, że Wielkich Książąt postronni monarchowie Carami tytułowali,

Ukazali pargamin złotym pismem lany,  
 Od Maksymiliana cesarza nadany  
 Pod rokiem tysiąc pięćset czteremastym z Głandawy  
 Augusti dnia czwartego do takowej sprawy:  
 Że się z Kniaziem Moskiewskim pobratał i związał,  
 Dopomóc mu pod Królem mocą obowiązał,  
 Posieść ruskie krainy, litewskie narody,  
 Ahy je opanował mocą od tej doby.  
 Tak jako też mu wzajem Moskiewski ślubował,  
 Dopomóc też, Koronę aby opanował.  
 Pismo fraktę niemiecką wykonterfowano,  
 Lat temu ośmdziesiąt sześć, jako je wydano;  
 Zowiąc go Kniaziem Ruskim, cesarzem i głową,  
 Bratem, družbą i panem, i szeroką mową  
 Obiecując powolność i pomocy wszelkie,  
 Przeciw naszym narodom, i oferty wielkie.

Innych też coś zaszytych listów pokazali,  
 Na których mu cesarze tytuł Carski dali;  
 A francuscy królowie że go tak pisali,  
 Słowy o tym gołymi siłą powiadali.  
 Wtym skoro jeden z naszych ligę wyrozumiał,  
 Dostał mu się list w ręce, po niemiecku umiał,  
 I na stronę odszedszy jął go przepisować,  
 Chcąc od słowa do słowa egzemplarz zgotować;  
 Postrzegł tego Ofonas; przybiegłszy do niego  
 List odjął „nie miałeś nam, mówiąc, czynić tego;  
 „Dzieło piszesz, które wam wiedać nie przyhożo,  
 „Nielzie tomu tak byci, poidziże inożo“.  
 Co prawda, wczas się postrzegł, gdy już wyczerpniono  
 I już sumę do Króla ligi poniesiono.  
 Im szło tylko o tytuł aby go dowiedli  
 I dla tego ten na plac pergamin przywiedli;  
 Lecz co w nim aby naszym wiadomo być miało,  
 W myśli ich jako żywo nigdy nie powstało.  
 Boję się, aby za to łaciny nie wzięli,  
 Że się tak oszukali, z rozumem minęli.

Innym razem:

Obruszył się Michajło (Sołtykow), że spytał u niego  
 Pan Podskarbi nadworny, zdrówli Xiążę jego?  
 Mieniać to być za despekt, komu nic do tego,  
 Że się pyta o zdrowiu Hospodara jego.  
 By nie tu, chcąc odważyć i gardło swe na to,  
 Żeby się krzywdy takiej nad nim pomścił za to.  
 I tak było z głupimi gomonu (hałas, swaru) przez chwilę,  
 Żeby w tym kto przynajmniej mógł ujachać miłą.

Litewscy panowie wyrzucali traktowanie posłów w Moskwie; dalej, że przeciw duchowi przymierza Karolowi dodawano z Moskwy „chleb i karm, wszelakie zapasy“, że „z Inflanctwem zdradziec nie mało do Moskwy odeszło“; zaprzeczał temu Sołtykow:

„Dosiamiest nasz Hospodar pomocy nie dawał  
 „I żywności niktórej Szwedom nie dodawał.  
 „Wiedajem dusza jeho, kak w susiedztwie żywieć,  
 „Kak jeho słowo krzepko na uwies swiet słynieć.

„O zmiennikach liwońskich Hospodar nie dbając,  
 „Ratnych ludziej, poddanych swoich, nazbyt mając.  
 „Prawo jesmo niczoho o tom nie słyehali  
 „A teżesiny już dawno z Moskwi wyjachali.  
 „Że posłów naszych długo u was zadzierzano,  
 „Przyczynę od was samych do tego podano.  
 „Takeście posłów długo i naszych trzymali,  
 „Nineście im odprawę przystojną oddali.  
 „Posłom waszyn nie było u nas żadnej krzywdy;  
 „Niewiedzieć so to u nas, nie było to nigdy.  
 „Jeśli byli za strażą zamknięci w gospodzie,  
 „Zabiegano tym dla nich wszelakiej przygodzie,  
 „Durnocho sztoś nad nimi szto się nie działo,  
 „Czoho w carstwie wielikim mohłob być nie mało,  
 „Sztoś bezczescia jakocho nie było nad nimi,  
 „Sami byli w pokoju i pany ich z nimi.  
 „Tiesnoty nie było im, nuży nikakoję,  
 „Ni przykrości namienszroj i ni woli złoje.  
 „Nie tak się tu nad nami rzeczy takie dzieją;  
 „Paganie, Turcy, posłom czynić to nie śnieją  
 „Co tu z nami po drodze tam i sam czynili,  
 „Prosto tak, jakobyśmy posłami nie byli,  
 „Dlaczego bezpečności w tym potrzebujemy,  
 „Gdy się tak z nami rządzą, jako to widziny“.

Tytułu króla szwedzkiego Zygmuntovi posłowie Borysa nie przyznali, powołując się na ustępstwo Sapielhy, na zaszłą przysięgę Carską, której się odmieniać nie godzi, mówi np. djak Ofonas:

„Będąc posłem od Cara wielkim, wielkie słowo  
 „Mówię do was, nie zmyślam, nie znajduję nowo;  
 „Lew Sapielha poseł wasz mocą sobie daną  
 „Dobrowolnie ustąpił tę gadkę zadaną...  
 „Jeśli mówię nieprawdę, rzekł do Wileńskiego  
 Biskupa, z nimi w radzie tamże siedzącego,  
 „Władyno, proklini mie, niechaj żyw nie będę,  
 „Święty Boże, na koń swój niechaj zdrów nie wsiędę“.

Podobnie Sołtykow, zwałając wszelką winę na kanclerza:

„Upuścił to Sapielha; na nimże smotrycie;  
 „Na nim tego dochodźcie i na nim iszczycie.

- „Hospodarska przysięga na to zakroczyła;  
 „Nie można, żeby się w czym tera odmieniła.  
 „Swarzył się z Taciszczewem Lew Sapieha, mało  
 „Że mu się od Taciszcza coś słyszeć dostało.  
 „A sztoż pak pro tytuły Hospodarskie mówić  
 „Musimy, przeciwnego nielza co stanowić.  
 „By był Lew namniej wyrzekł, kiedy był u Cारा;  
 „Byłby tam respons na to, temu słuszna miara.  
 „A nynie wże zakrzepił, duszę swą położył,  
 „Kniaź Wielki na to słowo chrest święty założył;  
 „Waszy także posłowie gdy tego dosięgli,  
 „Odmienić tego nielza, na czym poprzysięgli.  
 „Jeśli Lew Iwanowicz krzywdę być rozumiał,  
 „Że ten tytuł odzierzeć i dojsć go nie umiał,  
 „Czemu się nie oświadczył z tym przed Hospodarem,  
 „Jak się z strony Wieliża oświadczył przed Carem?

Kanclerz, który przedtem ze strony litewskiej jako główny mówca występował, bo

- „Iż nie wszyscy języka ruskiego umieją  
 „A drudzy go poprostu i nie rozumieją,  
 „Kazali mi ahyam wam tak na to powiedział“ i t. d,

teraz, w drażliwej dla swej powagi sytuacji, upornie milczał; ledwie raz przeciw Sołtykowi, gdy ten twierdził: „tak waszy w Moskwie będąc posłowie mieć chcieli“, wybuchnął:

- „Howory, kak tam było; nie zmyślaj nowiny;  
 „Żleby, gdyby ladakto powiedział to inny!“

Posłowie Borysa oparli się statecznie! każdej zmianie; mówi Sołtykow:

- „Kak piered Spasom świętym, Właduko, toboju  
 „Kak piered Bohom zdesia, pred którym tu stoju,  
 „Że to słowo odmienić zlecenia nie mamy;  
 „Ani się w tym zaciągnąć, ktemu przywieść damy“.

Tak samo Ofonas:

- „Kakże to nam czynici, szto nam nie wielono,  
 „Ani pismem ni słowem o tem nie zlecono?

„Bodaj nam nie dojachać i nazad do domu,  
 „Jeśli z nas o tym mówić poruczono komu.

Wreszcie ustąpili Zygmunt i panowie rada litewska, tytułu szwedzkiego w „liście przymiernym“ nie wyrazili, zastrzegając sobie jednak wszelkie prawa. Oświadcza więc posłom kanclerz na sessyi ostatniej:

„Król Jegomość przysięże zaraz na przymierze,  
 „Niech się już sprawa zamknie i koniec swój bierze.  
 „Przystąpcie się do krzyża; przysięgi słuchajcie,  
 „A potym Kniaziu swemu o tym sprawę dajcie“.

Wtym na misie krzyż wielki złoty przyniesiono;  
 Podeń listy przymiernie oba położono.  
 Zatym, gdy się milczenie i cichość sprawiła,  
 Przysięga tym sposokem, tymi słowy była:

„Ja Sigmundus król polski, xięstwa litewskiego  
 „Xiążę ruskie i pruskie i żmódzkie do tego,  
 „Mazowieckie, iflańskie, szwedzki, gocki, ktemu  
 „Wandalski dziedziczny król, Panu Bogu swemu  
 „Przyrzekam i przysięgam w Trójcy Jedynemu:  
 „Wszystko to strzymać, chować wiernie po jednemu,  
 „Co w przymiernych hramotach tych tu dołożono,  
 „Do czasu, kresu swego, co w nich założono,  
 „Nie wzruszając niczego, nie łamiąc z swej strony,  
 „Sposobem, który w nich jest spółnie pomieniony.  
 „Tylko prawo sobie swe zachowuję wcale,  
 „O które gadki były i spory nienałe,  
 „Do królestwa szwedzkiego i tytułu jego,  
 „Do wszystkiej Estoniej, do własnego swego“.

Po przysiędze królewskiej, gdy list oddawano  
 Posłom wielkim moskiewskim, spory przypomniano  
 Z strony listu przymierza, co od naszych wzięli  
 Posłów w Moskwi, gdy z nini przymierze przyjęli,  
 Że go tu nie oddano, nazad nie wrócono,  
 Że już nie onym po nim, choć to im mówiono...

*IM. P. Marszałek Wielki:* „Król Jegomość was posłów od  
 [Kniazia Wielkiego]

„Żałuje, będzicie jesć tu u stołu jego“.

Nie zadługo wtym obiad: Król u swego stołu,  
 Posłowie u drugiego wszyscy trzej pospołu;

Dworzanie Moskiewskiego Hospodara z nimi,  
 I drudzy co celniejszy bojarze za nimi.  
 Lecz nim za stół usiedli, trochę wystąpili,  
 Że tymczasem ornaty, złotogłów zrzucili.  
 Na to miejsce kożuszki bielinne włożyli,  
 Prosto jakby dopiro kędy w łaźni byli.  
 Senatorowie Ichmość trzeci stół zasiedli;  
 I z nimi co celniejszy tak pospołu jedli.  
 Dali obiad, jakiego Moskwa nie widali,  
 I, co jedli, nakoniec poprostu nie znali;  
 Nawet jako za którą strawę wziąć się mieli,  
 By łątki (lalki) owo siedząc zgola nie wiedzieli.  
 Radziby widełkami z półmisków sięgali;  
 Lecz zwyczaj trudno łamać, palcami szczypali.  
 Co z talerzem, z serwetą, rzeo i począć mieli,  
 To była najtrudniejsza; tego nie wiedzieli.  
 Owi drudzy bojarze, co napośród sali  
 Miedzy dworem królewskim i przed izbą stali,  
 I co owo w przeciwnym pałacu siedzieli,  
 Że takowych jak żywo win dobrych nie mieli,  
 Z łaską, mówiąc, z ochotą, tak je kosztowali,  
 Że do gospód, Bóg to wie, jako się dostali.

Po obiedzie gdy wetów zatym dokończono,

Królewicza do Króla strojno przywiedziono.

Ukłon oddał Królowi ucieszny, nadobny,

Potym usiadł poblizu na stołek osobny,

Któremu tam posłowie, licencyją wzięwszy,

I od stołu powstawszy, przed Królem stanąwszy,

Imieniem Hospodara Kniazia pana swego

I imieniem osobno także syna jego,

Ukłon nizki oddali, życząc mu lat wiele,

Z panowaniem fortunnym, zdrowia, pociech wiele.

Do ręki przystąpili, rękę całowali.

A potym nim odeszli, nim Króla żegnali,

*IM. P. Kanclerz:* „Byliście tu posłami wielkimi dla tego...

„Żeby się dokończenie, schodzicielstwo stało...

„Lecz iż to tu natenczas skończenia nie wzięło,

„Atoli na przymierzu doczesnym stanęło...;

„Chwalimy zatym Boga, iż między narody

„I do tego pokoju przyszło, do ugody,

„Dla radości, pociechy waszego Krześcijaństwa,

„Na smutek przekłętogo, lichego poganstwa;

„Życząc tego aby dał Pan Bóg wszechmogący,  
 „Królem naszym i waszym Kniazem władający,  
 „Żeby ten między nimi stał się mir na potym,  
 „Wiecznym, wdzięcznym, z obu stron pożądanym, złotym.  
 „Na ten czas już z tym w drogę do Kniazia waszego  
 „Odpuszcza was Król pan nasz; odnieście do niego,  
 „Żeście ztąd z dziełem dobrym odprawę swą wzięli,  
 „Chęć królewską poznali, ucztę wszelką mieli“.

Zatym poszli do ręki, rękę całowali,  
 Potym się uklonili i dobrą noc dali.  
 Z tydzień w Wilnie zmieszkać im jeszcze pozwolono,  
 A zatym w drogę z Wilna nazad prowadzono.

Z opisanych przejść, czy wyniósł Pielgrzymowski jakie wnioski, rady, przestrogi? Po dyaryuszu pierwszego poselstwa wylicza on wszelkie przykrości i „mierziączki“, jakie posłowie wytrzymać musieli;

Nie wierzę, by kamienne serce które było,  
 Któremuby to słyszeć, nie żałośno było;

ciesz się dalej z zawartego pokoju:

Pokój gdy jest uczciwy, tryumfy przechodzi;  
 Ojczyźnie i każdemu w niej snadnie dogodzi.  
 Ten a to dał Bóg w ręce, a na wieczną zgodę  
 I nawet do skrewnienia dwu monarchów drogę;  
 Vota o tym będąli, Bóg to sam zamierzy,  
 Że i to kresu dójdzie, do celu uderzy...  
 ...bez krwie i krom zbroje co się może sprawić,  
 Tego się lepiej trzymać niż wojną zabawić...

kończy podziękowaniem panom posłom:

Zwykłość to cnoty, im gdzie więcej złego czuje,  
 Że więcej kwitnie, w cnotach więcej postępuje.  
 Nie darmo.: pod niebo... wynosi... Rzym swe Decyusze,  
 I Solony Grekowie, ja prosto rzec muszę;  
 Niebył, coby który z nich miał górę nad wami;  
 Zostaliście na placu wy dziś tylko sami,  
 Iżeście prace takie i ten stos wytrwali...  
 Mieścież dank zacni ludzie, enotliwi posłowie



Od tego panegirycznego hołdu, oddanego i sobie samemu, odbija „przestroga“, kończąca relację drugiego poselstwa (k. 141 i 142):

Trzy rzeczy godzi się mieć mądrym na pamięci,  
 Na które którzy pomni, niemal to są święci:  
 Jedne przeszłe niekiedy, jakowe bywały,  
 Drugie, jakie po nich zaś gdzie kiedy nastaly,  
 A trzecie, jakie potym mogą być pochwili,  
 Chcieli więc od kłopotu żeby wolni byli.  
 Już nie wczas, kiedy harap od godziny minie,  
 Że się wtenczas do niego myśliwiec zawinie;  
 Mądry, nim co nastąpi złego, o tym radzi,  
 Żeby mu wczas zabezpieć i tym rzeczy gładzi...  
 Sparzywszy się na mleku może dmuchać w wodę,  
 Kto niechce prze niedbałość potym podjąć szkodę.  
 Fide sed vide cui (ufaaj lecz patrz komu) napisał tak jeden,  
 A kto tego nie słuchał przyplacił nie jeden.

Otóż wiemy, jak nam się przedtem wiodło:

Daj Boże, byśmy rychło braterstwo przyjęli,  
 Z tym narodem moskiewskim przyjaźń wieczną wzięli.  
 Bodaj w szczęsną godzinę zgodę zawierano  
 I traktatów zaczętych koniec udziałano.  
 Lecz że jeszcze są trudne zawady do tego,  
 Słuchałby przypowieści: patrzaj każdy swego.  
 Szczęśliwy to, za czasu kto o wojnie radzi;  
 Gotowym być, sposobnym, nikomu nie wadzi.

Wezwanie to o radzeniu wczas o wojnie, nieco chłodne, plato-  
 niczne, nie przekonywające, nie wpływa też bynajmniej z jakiego  
 wojowniczego usposobienia p. pisarza, przeciwnie, miękkość jego razi,  
 owo ciągle zdawanie się tylko na opatrność i sprawiedliwość, owo li-  
 czenie na to, że nadętość, chępliwość i nieszczerłość karę same poniosą  
 bez przyczynienia się naszego. Lecz takie usposobienie, dosyć ogólne  
 u ludzi ówczesnych, ceniących nadewszystko złoty pokój i jego pożytki,  
 mierne użycie czy ciągle przysparzanie funduszków. Również trafiała do  
 ogólnego przekonania inna nuta, przebrzmiewająca najsilniej przez  
 wszystkie argumenta za przymierzem, powtarzana przez p. pisarza zbyt  
 często, byśmy o szczerości jego powątpiewać mogli: wezwanie do po-  
 łączenia sił chrześcijaństwa, do wypowiedzenia wojny brzydkiemu po-  
 gaństwu, Turkom i Tatarom; wojują niem i bojarowie, i posłowie, pol-

scy i rosyjscy, chociaż się ani razu nad głośne zalecenia nie wznoszą. Jeszcze innych ocen, uogólnień, spostrzeżeń p. pisarza nie myślimy tu ani możemy rozstrząsać; nie szło nam, powtarzamy, o wyczerpanie materiału; chcieliśmy tylko z zupełnie zapomnianej relacji wydobyć pewne ciekawe, a najjużniej drażliwe szczegóły.

Literacka sylwetka p. pisarza zwyczajna bynajmniej nie jest. Jak tytu innych Litwinów szesnastego wieku, nie zerwał i on, choć już do innej wiary i ogłady należy, z prastarą tradycją; umie po rosyjsku, nie pogardzi rosyjskiem przysłowiem, ani zataił w sobie ludowych wierzeń. Lecz wpatrzył się ten Litwin w świat inny, świat pogański i zamarły, ale takim jaśniejący blaskiem, że olśniony nim Pielgrzymowski, ideał cnoty, normy życia, nauki i przestrogi, w tradycjach klasycznych odnajduje. Władza tych tradycji tak jest potężna, że tłumi i gasi narodowe porywy i cechy; w Pielgrzymowskim, jak w innych pisarzach szesnastego wieku, żywioł narodowy o wiele jest słabszym, niż w jakimkolwiek pisarzu siedemnastego wieku. Ale stąd płynie też głęboki szacunek dla wiedzy i ogłady, dla pisma i książki, a pogarda nieuctwa, co go tak w ludziach Borysa raziło, w których „Tatareczynny, pogaństwa bez miary,“

Nie zabawią nauką; czytać, pisać mało,  
 Samym trochę władcykom ledwo się dostało,  
 Teofrastes, tak pisać, napisał ksiąg trzysta;  
 Drudzy ksiąg do tysiąca pisali do czysta.  
 Dość mądry, dość uczony, dość to biegły będzie,  
 Gdy obiedną zapoje (mszę zaśpiewa), z popy stojąc w rzędzie.  
 Nauczony Homerus, nauczony Plato,  
 Których mądrość na świecie kwitnie jako lato,  
 I sławni doktorowie, w takiej u nich wadze,  
 Że źleby tak nędznemu krawczykowi w Prudze.  
 Demokritus egipskie, chaldejskie krajny  
 Przez morze aż czerwone, i nie jeden inny,  
 Sięgać biegał mądrości od uczonych ludzi,  
 Co i dziś też nie w jednym sztucHECKA krew budzi,  
 Że nauk wyzwolonych z dzieciństwa pragniemy,  
 Bez których, że nie nie jest człowiek, wszyscy wiemy.  
 Co królów i monarchów przedniejsza ozdoba?  
 Gdy się im rozum, dowcip, nauka poloba.  
 A wy co, mili Moskwa? gdzie swój rozum macie,  
 Żeście to zarzucili i oto niedbacie?

Tatarskie obyczaje, ich pogańskie sprawy:  
 To wasz rozum i mądrość i wasze zabawy.  
 Gdy o szkołach mawiają i o nich słychacie,  
 Ledwo nie za trucizną, za powietrze, macie.  
 Podobno w libraryjach, nim świat wszytek zajdzie,  
 Nie rychło tysiącami ksiąg mózgów waszych najdzie.  
 Zda mi się, nie znajdziecie pisaniem ich w głowę;  
 Macie słuszne racyje, i słuszną obnowę:  
 Że to ludzie szczęśliwi i błogosławieni,  
 Co zwierzęciu głupiemu podobni na ziemi;  
 Bo jeśli między gwiazdy na niebo nie pójdą,  
 Tedy wždy między osły głupie w poczet ujdą.  
 W prostocie już tak swojej zostaniecie sami,  
 Z Teofrastem, zda mi się, nigdy nie zrównamy..

Jest to coś jakby wyznanie wiary człowieka z doby odrodzenia;  
 lecz Pielgrzymowski, nie tak jak nauczyciel i wódz jego, Kochanowski,  
 jest nadto synem reformacyi, stąd u niego zwroty np.

*To poganie, co w błędach byli zatonełi  
 I Boga prawdziwego daleko mineli,  
 A wždy oto wiarę swą, komu ją raz dali,  
 Jako ludzie rycerscy statecznie chowali;*

Stąd ciągle odwoływanie się do ksiąg starego testamentu, np.

Rzucił się był Faraon na Izraelity,  
 Niemając sprawiedliwej; obóz znamienity  
 Morzem puścił czerwonym w pogonią za nimi,  
 Ali zginał i z wojskiem, a Pan Bóg za swymi!  
 Wojnę bowiem bez Boga zaczynać swawolnie,  
 Co jest? jedno uprzejmie (wprost) zginać dobrowolnie.  
 Znajdzie Bóg jadowite lwy na te ich złości,  
 A sam będzie za swymi, z swej Boskiej lutości;  
 Zeszle i dziś Mojżesza, którego pręt stanie  
 Kością w gardle i t. d., i t. d.

Kalwińskie zapędy moderuje i wiek, i wzgląd na katolika, Sapięgę, znajdziemy więc i takie ustępstwo, którego minister zboru prawowiernego, Gliczner, zapewnie-by nie pochwalił:

Prawdziwie Egipczanom mądrość przypisano,  
 Tatarom niedostatek zbóż nazwisko дано,

Wonnych rzeczy Arabom, chytróść Hiszpanowi,  
 Sauromatom potężność a *Rzymianinowi*  
*Stulę słusznie nabożną przyćciono, pacierze.*

Do obojgu, do nauki odrodzenia i do wiary reformacyi, utorowały Pielgrzymowskiemu drogę polska szkoła i książka, dwór i zbór polski; stąd owo przejęcie się duchem języka polskiego i znakomite nim władanie, cechujące p. pisarza, podobnie jak Radziwiłów, Chodkiewiczów, Sapiełę, Dorohostajskiego i tylu innych Litwinów. W prozie, folgując nałogowi zastarzałemu, miesza łącinę z polszczyzną, wiersz za to wolny jest od tej skazy zupełnie; pstrzą go chyba — nieliczne zresztą — wyrazy złożone. np.

Lecz sowy nie urodzą *złotopióre* ptaki...  
 I jeleń *wiatronogi*, choć się zda być skory,  
 Gdy mu orzeł na głowę padnie *prędłcipióry*,  
 I strząśnie z skrzydeł piasek, zasypie mu oczy,  
 Ladagdzie ginać bieży, ladakędy skoczy...  
 Nieszczęsne, *krwawobitne*, oplakane wojny i t. p.

A. Brückner.

---

# FERMENTY.

Powieść.

---

## I.

— Depesza od doktora; przyjedzie towarowym o pierwszej; pan naczelnik go wcześniej widocznie zamówił?

— Co to pana obchodzi!—mruknął zawiadowca drogi, odbierając depeszę.

Telegrafista cofnął się, zmieszany nieco, do telegrafu, usiadł przy aparacie, zatopił długie, chude, nerwowe palce w jasnych jak len włosach i zapatrzył się przez okno w zamglony, jesienny dzień. Cisza się rozlała i zdawała się zatapiać całą stacyą w nudzie, zimnie i wilgoci. Deszcz płukał szyby z jednostajnym, usypiającym brzękiem i jakby związywał niebo i ziemię miliardami szarych, skośnych włókien, a zegar umieszczony w wysokiej szafce i mający cyferblat na zewnątrz stacyi, cykał z okropną monotonią.

Telegrafista nie mógł usiedzieć na miejscu, wstał i chodził na palcach, spoglądając co chwila, z pewną obawą, na drzwi otwarte do pokoju zawiadowcy, patrzył na peron przemiękły, szklący się wodą, to z czołem na szybie drzwi spartem, słuchał dźwięków fortepianu, płynących niby słaby szmer z piętra stacyi — ale odchodził zaraz, bo te równe, jednostajne rytmy, wybijane ciągle w kółko, denerwowały go jeszcze bardziej. Usiadł znowu przy aparacie i zaczął pisać list.

„Mamusiul! Tak się nudzę, droga mamó, że aż mi się w tej chwili płakać zechciało. Jest tak mokro, tak zimno, tak brzydko, że mię ogarnia rozpacz. Mamó, czy ja długo będę musiał siedzieć w tym Bukowcu? Bo przy tem wszystkim, czuję się bardzo niezdrowym. Wczoraj zaczęło mi strzykać pod lewą łopatką, roztarłem kamforą i przeszło — ale dzisiaj język nieco obłożony i nic a nie mam apetytu, chociaż ta kaczka, którą mi mama przysłała, a szczególnie nadzienie było pyszne. Koszyczek odsyłam i sześć par mankietów brudnych i kamazki do podzelowania. Może mi mamusia kupi i przysle rękawiczki, lapis z czarnem wyszyciem. Wie mamusia, że dzisiaj rano tak się zgryzłem, że bałem się, aby mi to nie zaszkodziło, bo ta Andrzejowa zabiła te zielone żabki, co to wuj przywiózł mi z Wiednia, pamięta mamó? A były takie śliczne i ogromnie się wszystkim podobały. Mamusiul a flanelowy kaftanik, to już-by warto mieć, bo lada dzień mogą być przymrozki — myślę, że nie potrzeba kupować nowego, bo tamten...“

Ukrył list pod papiery, aparat zaczął przywoływać gwałtownie, a później wybijał znaki na wązkim pasku papieru, który się odwijał z krążka. Telegrafista czytał uważnie, gdy od peronu wszedł dozorca drogowy, Świerkoski, brunet, wysoki, chudy, z rzadkim zarostem i niespokojnemi czarnemi oczyma, nieco pochylony, w krótkim jasnym kuszku, w długich butach i kapuzie nieprzemakalnej na głowie.

— Amiś! no pójdz piesku! Amiś! no złotko, chodź do pana, chodź — wołał pieszczotliwie na psa, który stanął przed drzwiami, bojąc się wejść, usiadł na stopniach, niespokojnie patrzył na pana i kręcił ogonem.

— Zamykaj pan drzwi, bo zimno!

— Amiś, psie jeden! — krzyknął Świerkoski; pies zaskowyczał żałośnie, przypląszczył się i wolno zaczął się czołgać do jego nóg. Świerkoski schwycił go za grzbiet i wrzucił do telegrafu. Pies tylko zapiszczał i z niesłychanym pośpiechem weisnął się pod ceratową kanapkę, na której usiadł Świerkoski zły i pochmurny, jak odbicie tego październikowego dnia. Świerkoski zламаł się prawie we dwoje, zupełnie jak scyzoryk się zamknął, bo położył twarz na pięściach wspartych na kolanach i siedział czas jakiś w milczeniu, oczy mu niespokojnie biegały bo podłódze, zarzuconej mundsztukami papierosów, kilka razy uderzyły o brązową skrzynkę, na której bielili się napis „środkie opatrunkowe. Stacya Bukowiec“, i znowu gonily, to jakieś ostatnie muchy leniwo wlokące się po podłódze, to za butami telegrafisty, które co chwila zmieniały pozycję, to patrzyły w zwichrzoną górę papierowej wstążki, która wciąż splywała z krążka na ziemię, wreszcie cmochnął cicho na psa. Amiś wysuwał popielaty łeb trwożnie, ale jakby zbierając całą odwagę, skoczył na kanapkę i zaczął go lizać po twarzy.

— Precz! tam!..—sykną Swierkoski, wskazując drzwi. Pies poszedł wolno, usiadł przy drzwiach i żałośnie, prawie błagalnie patrzył się piwnemi oczyma. Swierkoski nieznacznie wyjął z zanadruza kawał skręconego rzemienia, spoglądał pieszczotliwie na psa, uśmiechał się łagodnie i szeptał:

— Amiś! chodź synku, chodź! — Pies przybiegł w radosnych susach. Swierkoski schwycił go za kark i zaczął bić rzemieniem. — Będziesz złotko słuchać pana, co? Synek będzie słuchał, co? Amiś będzie posłuszny, co? — Pies szarpał się i skomlał rozpaczliwie, po jego skórze, pokrytej krótkim, popielatym włosem, lśniącym jak jedwab, przebiegały dreszcze, niby fale, wyginał się, lizał buty pana, prosił się oczyma, ale Swierkoski wpadł w pasyę i bił go coraz zacieklej. — A będziesz cicho synku, co? a zmilkniesz przyjacielu, co?

— Co pan robisz? Przysięgam Bogu, że chwili spokoju niema, — zawołał zawiadowca, wybiegając ze swego pokoju. Popatrzył groźnie i cofnął się, zatraskując ze złością drzwi za sobą.

— Idyota! — mruknął Swierkoski, puścił psa, schował rzemień i rozprostował się. Pies lizał sobie skórę i spoglądał chwilami wylęknionym wzrokiem z kąta, w którym leżał. Swierkoski zapalił papierosa, skubał rzadką brodę, uśmiechał się przyjacielsko i z jakąś dziką miłością do psa i spoglądał w okno, na plant, gdzie kilkunastu robotników, z głowami pozawijanemi w worki, z których porobili sobie kapuzy, podbijało podkłady.

Długie milczenie przerwał telegrafista, bo aparat zamilkł.

— Co? porządny deszcz.

— A porządny.

— Błoto duże?

— A duże.

— Okropny październik!..

— Okropny październik, — odpowiedział jak echo Swierkoski.

— A co to będzie w zimie?

— Zima.

— Ja teraz już wytrzymać nie mogę, nudy takie, że chyba się wścieknę.

— Tylko pan później nie pogryź mojego Amisia, — szepnął drwiąco Swierkoski.

Pies na dźwięk swojego nazwiska podniósł się i przyszedł położyć u nóg swego pana.

— Psia służba. Ani gdzie wyjść, ani ludzi, ani rozrywek.

— Przecież pan bywasz u tego... Grzesikiewicza — powiedział z przyciskiem.

— Tak, ale... młody Grzesikiwicz, pan Andrzej, no to, chociaż nie z mojej sfery, ale wyjątkowo porządny człowiek, to znowu rzadko go można zastać w domu, a wpaść w ręce jego ojca, tego prostego chłopca—dziękuję. Prowadzi zaraz do karczmy, częstuje wódką i kiełbasą, sprasza całą wieś, funduje wszystkim, a jak się upije, zaraz całuje—otrząsnął się nerwowo i splunął z obrzydzenia.—Myslałem ostatnią razą, że zemdleję, tylko że noszę z sobą zawsze eter, więc się orzeźwiłem i uciekłem spiesznie.

— Pan jesteś bardzo delikatny — powiedział cicho i błysnął urągliwie oczyma Swierkoski.

— To jest bardzo naturalne, nie wychowywałem się przecież w chałupie, ani nad rynsztokiem.

— Wiemy tu wszyscy o tem, a jakże, że w salonach, w atlasach, w złożonych kołyskach, przy mamie, przy wujaszku, z niańką, z boną, z doktorem, Felusiem, jak mój Amis—drwił z jakąś złością Świerkoski i patrzył na niego nienawistnie.

— O tak, tak—odpowiedział z pewną dumą telegrafista— ale nie wiem doprawdy co jest w tem śmiesznego, że pan kpisz, bo przecież, że pan się tak nie chowałeś, to cóż ja temu winien, zresztą taka nierówność jest konieczna, bo...

— Tak, konieczna — przerwał mu spiesznie—bo później się wszystko wyrównywa, bo później taki atlasowy Stasio, jak pan, panie Bobiński, musi służyć, musi robić, po nocach nie sypiać, oczki wytężać i pobierać taką malutką pensyjkę, i zasmucać mamę, że się nudzi, i że mu się buciki podarły! hił hił hił — Zakończył śmiechem przykrym, jękliwym, ostrym jak zgrzyt stali po szkłe.

Stasio się zarumienił jak dziewczyna, oczy mu się zaszklily łzami jakiejś żalności, blade-różowe, wypukłe usta drżały nerwowo, ale nie odpowiedział, rozpiął tylko kołnierz munduru, powąchał eter, który nosił przy sobie, i zagadnął łagodnie:

— Może pan masz jakie książki do czytania?

— Niel nie mam pieniędzy na głupstwa—rzekł szorstko

Stasio popatrzył na niego z dobrotliwym politowaniem i znowu zmienił przedmiot rozmowy.

— Przyszedł dzisiaj w nocy bagaż dla pana z Warszawy.

-- Przyszedł—zawołał radośnie Swierkoski, podnosząc się.—Nie uważałeś pan, czy aby w rogóżach?

— Tak, doskonale zapakowany. Kupiłeś pan co?

— I... nie... nie... skądbym wziął pieniędzy, dostałem od rodziny, słowo daję dostałem—mówił spiesznie, rzucając niespokojnie oczyma—jakis stary grat, którego przewóz kosztuje mnie tyle, że jestem zły, iż go wziąłem.



Aparat zaczął stukać, Stasio znowu czytał z pasków, potem wstał, wyszedł na peron, uderzył w dzwonek stacyjny i cofnął się natychmiast.

— Sygnały od Kielec, pociąg wyszedł. — Powiedział robotnikowi, który się zjawił na dzwonek.

— Chodź pan na wódkę! — szepnął miękko jakoś Swierkoski.

— Po pociągu to i owszem, chociaż, co prawda, wódka mi szkodzi.

— Co tam, mama przyśle lekarstwo! — Zaśmiał się Swierkoski i poklepał go przyjacielsko po żołądku, bo pomimo ustawicznych drwin, żyli w zgodzie ze Stasiem.

— Słyszysz pan! zawiadowca rozmawia z sobą.

Zaczęli słuchać. Z pokoju Orłowskiego dochodziły wyraźne głosy sprzeczki, czasem jakiś dosadny frazes, kłątwa; to znowu przyciszony, pokorny i błagający głos.

— Idyota! Musiał się pomylić i sam sobie wymyśla i usprawiedliwia się przed sobą. Jeżeli jego nie zamkną u Bonifratrów, to ja, Swierkoski, będę miał miliony. Pan go nie znasz jeszcze dobrze, ale my...—Nie skończył mówić, bo Orłowski wyszedł do nich ze swego pokoju; był ogromnie wzburzony, wielkie, czarne oczy, o krwawym odbłasku, pałały mu wzruszeniem, twarz o rysach regularnych, jeszcze bardzo piękna, jakby wycięta z dawnych portretów senatorów weneckich, malowanych przez Tintoretta, otoczona gęstemi, szpakowatemi włosami i zakończona wspaniałą, spływającą do pól piersi brodą, dumna i zacięta, z brwiami prawie zrosniętymi, była aż sina z jakiejś irytacji. Przeszedł obok nich bez słowa i wyszedł na korytarz.

Szedł wolno na piętro kamiennymi schodami, zaciskał rękę, mruzczał niewyraźnie, to znowu pobłażająco i wyniośle uśmiechał się.

Wszedł do kuchni, obrzucił badawczo wszystkie sprzęty, zajrzał do ognia pod blachę i przytłumionym głosem zapytał starej służącej, obierającej kartofle pod oknem:

— Panna Janina śpi?

— Nie wiem, ale to *chybikiem* obaczę.

— Nie trzeba — powiedział spieszuie i wszedł do sąsiedniego pokoju, który służył za jadalnię, i stamtąd, przez zapuszczone kotary, zajrzał do sypialni córki. W ciemnościach, w jakich był pogrążony pokój, zaledwie słabo rozrzedzonych pasmami brudnego dnia, przeciekającymi przez zapuszczone story, po chwili patrzenia dostrzegł łóżko i blade, niepewne zarysy Janki leżącej. Musiała usłyszeć szelest jego kroków, bo się poruszyła na pościeli. Poczul jej wzrok na sobie i natychmiast się cofnął zmieszany. Stał jeszcze chwilę, podniósł koniec brody do ust, przyciął ją zębami i powrócił kancelaryi. Zastał

tam Karasia, maszynistę rezerwowego, który stale mieszkał w Bukowcu, bo tam była rezerwowa maszyna, gotowa w każdej chwili wyruszyć z pomocą, gdyby było tego potrzeba, skinął mu głową i wszedł do swojego pokoju, zamykając za sobą.

— Swierki! wiesz! — zaczął Karas siadając na skrzynce ze środkami opatrunkowymi—jesteś codziennie podobniejszy do swojego psa, nawet już płowiejesz. Panie Bobiński, pan jesteś grubo uczony, skończyłeś podobno całe trzy klasy; czy Darwin wywodzi ludzi od małp, czy od psów?

— W każdym razie nie od Karasiów.

— Nie jestem godzien takiego zaszczytu, nie jestem godzien! — śmiał się Karas, zacierał ręce i zaczął drobnymi kroczkami chodzić. Jego drobna, chuda i niska postać, szpiczasta bródka, cienki i długi nos, małe i kłujące oczki, wypukłe bardzo czoło, rzadkie, rudawe włosy, wystające kości policzkowe, sine z odmarznięcia uszy, jego cienkie nogi—wszystko to się trzęsło, skakało i poruszało ustawicznie, zdawało się, że wszystkie jego członki, obciążone w grubych kożuchach, pokrytych wyksatyną błyszczącą, zasmarowaną oliwą i smarowidłami, skaczą ustawicznie i grożą rozsypaniem.

— Nie masz pan jakiej nowej książki?—spytał go Staś.

— Mam, wczoraj dostałem, ale jeszcze czytam. Bon! pożyczę panu, kapitalna historia i z takim pieprzykiem jak to my lubimy, panie Stanisławie.—Zaśmiał się, zatarł ręce, zaczął błyskać oczyma, wyszczerzył zęby i znowu biegł po pokoju.

— Uważasz pan, jest tam schadzka miłosna, cudissimo pisana, aż się krew gotuje przy czytaniu, musisz się pan rzeźwić eterem, albo lepiej pan zrób, przyłóż sobie przed zaczęciem książki synapizmy z chrzanu...

— Dziękuję, takich książek nie czytam—odpowiedział Staś, rumieniąc się.

— Bon! dziewczątka anielskie, gołąbku niewinny, bardzo słusznie robisz, napij się lepiej mleczka, wysmaruj kamforą, połóż do łóżka i czytaj panią z Tańskich Hofmanową, to dobrze robi, i na sen, i na trawienie. Żarty na stronę — dodał poważniej. — Zaleska musi mieć książki jakie, przecież to kobieta i piękna, i wykształcona, jak zapewnia jej mąż.

— Ślicznie gra na fortepianie — wtrącił Staś i znowu się zarumienił.

— Nie rumień się pan tak dziewiczo, afekty umieścisz pan go-dnie; to mi się podoba.

— Jak na marnego Karasia, jest to za duża ryba, wielki szczupak zgryzł-by cię.

— Nie bój się Swierkoski! nie bój się! nie takie wieloryby ogryzałem, i było bon.—Zaczął zacierać ręce i śmiał się tak cicho, głęboko i wstrętanie, że Staś odwrócił się od niego, nie mógł patrzeć na jego oczki przysłonione białawą mgłą, i na rzadkie, żółte i ostre zęby, które wyszczerzał w tym śmiechu. Trząśnięty się cały i rzucał na wszystkie strony.

— Wiecie — zaczął znowu, uspokoiwszy się — byłem wczoraj w Kielcach, miałem przygodę taką, że... *cudissimo*, opowiem wam, bon?

— Nie ciekawiśmy, schowaj dla swojej Karasicy, będzie wdzięczna—przerwał mu Swierkoski.

— Pociąg dochodził—zawołał robotnik, nychylając drzwi z peronu.

Orłowski w czerwonej czapce wyszedł, naciągnął niepokalanie białe rękawiczki i poszedł na peron.

Karas stanął na stopniach przed dworcem, Swierkoski znowu się złożył we dwoje, a Bobiński stukał w aparat, notował, dawał sygnały elektryczne.

Pociąg z głuchym szumem i sapaniem wtoczył się na szyny i stanął; masa żelastwa szczęknęła ciężko, pusty peron ożywił się nieco, bo kilku smarowników i brekowych zeszło ze swoich odkrytych kozłów na wagonach, i rozprostowywało na ziemi pogięte ciała.

Orłowski, chmurny, pod parasolem, spacerował wzdłuż pociągu; chwilami, kiedy przechodził pod oknami, z których nieskończonym potokiem płynęły gamy chromatyczne, ścigał nerwowo brwi, zaciskał silniej parasol, przyspieszał kroku i spoglądał na ostatnie, narożne okna, nad kancelaryą stacyjną, przysłonione szczelnie. Wzdychał, zawracał i chodził dotąd, aż pociąg znowu zaczął sapać, dyszeć, trzeszczeć, szczękać, gwizdać — i powłókł się dalej, pozostawiając za sobą obłoki rudego, duszącego dymu, który darł się na strzepy o na pół nagie drzewa ogródka stacyjnego, i rozwłóczył rudawym pasem po równo obciętej ścianie lasu, stojącego tuż nad plantem.

Orłowski powrócił do kancelaryi, i skoro się tylko zamknął, Swierkoski się podniósł.

— Chodźcie na wódkę.

— Ja zaraz przyjdę do was; spytam się tylko, gdzie jest osobowy? — powiedział Staś stukając aparatem.

Karas ze Swierkoskim poszli do bufetu. Paru przemokłych żydów drzemało na ławkach, oczekując na osobowy pociąg, a za bufetem, wciśnięty pomiędzy szafę i piec, przysłoniony gazetą, chrapał głośno bufetowy. W drugim rogu wielkiej, brudnej sali, kilku dróżników i robotników grało załuszczone karty.

Przeszli do drugiej klasy pustej zupełnie.

— Bon! Twoje zdrowie Swierk, i twojego konia, i twojego psa, i twoich szwindlów.

— Zaczekaj, zaraz przyjdzie Bobiński, to wypijemy razem.

— Bon, ale powiedz-no, podobno się żenisz z panną Zofią? czy tam coś takiego?

Swierkoski się skrzywił, poskubał bródkę, pobiegał oczyma po sali, wsunął ręce w rękawy i mówił:

— I... co ja dałbym jeść żonie? żwir i podkłady chyba?

— No i mech, jak swojemu koniowi!

— Śmiej się... przecież jesteś żonaty i wiesz, co kosztuje żona, chociaż twoja to jeszcze anioł.

-- Bon, kwadratowy anioł, powiedz.

— A te wszystkie panny, co to jest? gdzie znajdziesz zdrową? gdzie jest mądra, ładna, gospodarna i oszczędna? Jak się znajdzie jaka podobna, to nie ma grosza; jak znowu je ma, to nos do góry i myśli że królowa, a jakie wymagania!

— O tak, chcą jadać, muszą chodzić w bucikach, mieć suknię, potrzebują czasami jakiej przyjemności, chcą żyć po ludzku, szelmy te panny, czego im się zachciewał.. a przytem nie lubią aby je bić, jak psa albo chłopów... — zaśmiał się Karaś.

— Gadanie, żebym miał na to, to i ja żyłbym po ludzku, a jeśli oszczędzam, jeśli chcę znaleźć taką samą żonę oszczędną, to tylko dla tego, żeby później żyć po ludzku. O, ja jeszcze będę inaczej żył, będę.. Wiesz, znam tutaj tylko jedną pannę, z którąbym się choćby jutro ożenił, chociaż wielka pani..

— Czy też Grzesikiewicz ożeni się z zawiadowcy córką?

Swierkoski rzucił szybkie spojrzenie na niego, zgiął się, ręce głębiej wsunął w rękawy i nie odpowiedział, bo to przypomnienie Grzesikiewicza przejęło go złością i niechęcią.

Przybiegł Stasio i zaczęli pić wódkę.

— Muszę się śpieszyć, bo trzeba korespondencye ekspedyować na osobowy.

— Bon, ale jest jeszcze jedno źródło książek, panna Orłowska.

-- A, ta, co się trula; nie znam jej zupełnie i widziałem tylko wtedy, kiedy ją przenoszono z wagonu do mieszkania.

— To pan nie znasz całej historii? bon, opowiem.

— Bardzo mało, wiem tylko, że się pogniwała z ojcem, wyjechała do teatru, później się trula, sam nawet o tem czytałem w piśmie. Byłem już w Bukowcu, jak zawiadowca jeździł po nią do Warszawy. Co to za panna?

— Waryatka, jak i jej ojciec — szepnął Swierkoski.

— Ale piękna i wykształcona, bon, bardzo piękna, majestatyczna kobieta, kształty cudowne, wzrok wspaniały, oczy ogromne i ogniste, cudissimo, że tylko całować.

Zaczął się trząść i śmiać cicho i zacierał ręce.

— Warto-by tak jeszcze coś tego chlapnąć. Panie bufet, sześć mocnych.

— Czemuż odrazu sześć.

— Będzie bon, panie Stasiu, na zapas.

— Słuchajcie no—zabrał głos Swierkoski, podnosząc głowę z kolan.—Chcę wam coś zaproponować, niezły interes, na którym możemy dobrze zarobić.

— Bon, Swierk, mów.

— Jest do kupienia poręba, niewielka, za tysiąc pięćset rubli, blisko kolei, oglądałem ją niedawno. Śmiało można zarobić na niej tysiąc rubli, mam nawet już zbyt na drzewo do Radomia. Weźmy ją do spółki, interes złoty.

— I... to już weź sam, nie mam pieniędzy, a zresztą orznąłeś mnie zimną węgla bon.. daj spokój, ja wiem, nie tłumacz się, bo ci powiem, czem jesteś...

— O, powiedz, ja się nie pogniewam, z pewnością się nie pogniewam...

— Bon! otóż wyszedłeś ze mną, jak świnia, tak... bufet! sześć mocnych! — krzyknął.

— Tylko tyle, to nie wiele—i Swierkoski zaczął się śmiać, ściągał na lewą stronę usta, skubał brodę, latał oczyma po twarzach i dalej ciągnął: — tak, to nie wiele, bo mogłem cię urządzić lepiej, a nie zrobiłem tego, to handel, mój kochany.

— Łajdactwo powiedź! handel ładny, przez trzy miesiące straciłem trzysta rubli, które przeszły do twojej kieszeni, któreś mi wyciągnął.

— Kupmy porębę, to będziesz się mógł odbić, jeśli potrafisz...

— Gdzież ta poręba, bon, przystępuję do spółki! — zawołał po chwili namysłu Karaś.

— W Karczmisskach u Grzesikiewicza—szepnął śpiesznie Swierkoski, oczy mu zamigotały radością, pogładził psa.

— Hi! hi! tydzień temu Szczygielski kupił i już tnie... hi!.. hi!.. — śmiał się Karaś, porwał się z krzesła, zaczął biegać po sali, trzęsąc się cały, zadowolenie malowało się w jego oczkach. — Bufet! sześć mocnych!—rzucił we drzwi.—Powiem ci, Swierk, że chcesz robić interesa, a głupi jesteś; chcesz okpiwać ludzi, a głupi jesteś, bo się prędko zmiarkują, robisz łajdactwa, ale małe, marne, głupie, które pachną kratką, bon...—Wypił wszystkie sześć kieliszków jeden po drugim, za-

tań ręce, poklepał drwiąco Swierkoskiego po plecach i wyszedł razem ze Stasiem.

— Zobaczymy... zobaczymy. — szepnął Swierkoski. — Łajdactwa, co za łajdactwa? chcę zarobić, chcę mieć pieniądze, więc niech się głupi strzegą. Amiś! chodź synku! Podły ten Szczygielski, taka pyszna poręba. — Kopnął psa z gniewu, bo straszny żal nim zatargał, że stracił ten przewidywany na pewno zarobek.

Odebrał z magazynu swój bagaż i naładował na plecy robotnikowi, za którym szedł krok w krok. Staś z okna kancelaryi widział, że co chwila Swierkoski obmacuje rogoże i głaszcze. Widział go długo, jak szedł tym swoim krętym, wilczym chodem, rzucając dookoła nieufne spojrzenia.

— Chodź pan, podyktuję panu raport — zawołał Orłowski.

Staś przyszedł do pokoju zawiadowcy i czekał, bo Orłowski chodził wdłuż pokoju, spoglądał w dwa okna peronu, to przez okienko kasowe, wychodzące na korytarz, wychylał głowę i nasłuchiwał.

— Siądź pan przy moim stoliku.

— Przecież...

— Nie przecież, bo tamten, to stół ekspedytora.

Orłowski był zawiadowcą stacyi i załatwiał czynności ekspedytora.

— Wszystko jedno chyba, skoro pan pełni obie służby.

— Przysięgam Bogu, że mnie pan irytujesz. Nie wszystko jedno, no wiedz pan, że napiszemy raport na ekspedytora stacyi Bukowiec — mówił zupełnie poważnie. Bobiński ze zdumieniem spoglądał na niego.

— Panie, sam na siebie raport, co w dyrekeyi powiedzą?..

— To są głupcy. Porządek, przede wszystkim porządek i systematyczność, słyszysz pan? Gdybyś się pan trzymał tych zasad, nie zwracałbyś uwagi swojej zwierzchności.

Staś opuścił głowę i wyrzucił sobie, że go zadrasnął; tyle razy postanawiał o nic nie pytać, ślepo tylko wykonywać rozkazy, i znowu nie wytrzymał.

... Pisz pan!

„Tak, jak pełniący obowiązki ekspedytora st. Bukowiec, swoim nietaktownem, a można powiedzieć, że i brutalnem postępowaniem przy sprzedaży biletów, spowodował to, że pasażerowie zanieśli skargę do księgi zażaleń, którą przy niniejszem załączam, upraszam Wysoką Dyrekeyę o ukaranie według uznania, a to w celu uniknięcia na przyszłość podobnych zajść. Jako jedyne usprawiedliwienie ekspedytora, tenże objaśnia, że zajścia owe miały miejsce podczas niebezpiecznej choroby jego córki, która go jakoby miała zdenorwować. Są-

dzę jednak, że tego rodzaju usprawiedliwienia pod uwagę brać nie można, bo nikogo, ani Dyrekcyi, ani pasażerów, nie obchodzi domowe sprawy urzędników, które nie powinny mieć żadnego wpływu na ich czynności służbowe.“

— Ależ panie... — protestował Staś.

— Cicho pan bądź! Przysięgam Bogu, bez uwag panie Bobiński. Zapomniałeś pan, że się milczy wtedy, kiedy zwierzchność mówi — zawołał Orłowski.

Bobiński zamilkł, przygryzając usta, znowu był zły na siebie.

— Dochodził — krzyknął posługacz przez drzwi.

## II.

Staś pobiegł do aparatu, a Orłowski na peron. Przypatrując się dosyć licznej dzisiaj publiczności, witał się z jakimiś paniami, za którymi w przyzwrotnym oddaleniu chodził uliberyowany lokaj, ale spostrzegłszy doktora, zwrócił się do niego i przywitał w milczeniu; raportem skinął, dzwonek zadzwieczał, rozległa się gwizdawka prowadzącego, a później maszyny, i pociąg ruszył dalej.

— Czekałem na ciebie niecierpliwie, przysięgam Bogu, dobrze żeś przyjechał. Jance jest lepiej, ale zobaczysz to i powiesz mi, bo ja przypuszczam tylko, że lepiej, a nie wiem. Pójdiesz zaraz do niej?

Doktor skinął głową potakująco, bo na ustach miał respirator, który mu bladą, długą i chudą twarz przecinał na dwoje czarną wstęgą; obrzymie, głębokie kalosze ledwie ciągnął z nogami, uginał się pod futrem, na które miał narzucony płaszcz gumowy, i pod grubym kra-ciastym płedem, przykrywającym mu ramiona. Szedł wolno po schodach, odpoczywał i odpinał co stopień jeden guzik u płaszcza i jeden u futra. Nie rozebrał się w przedpokoju, tylko wszedł do saloniku, i zaczął oglądać i próbować okien, drzwi i lufcików, czy są dobrze pozamykane.

Orłowski już z przed kotary, zasłaniającej drzwi pokoju, w którym leżała Janka, zawrócił i poszedł do służącej.

— Niech Janowa powie panie Janinie, że doktor przyjechał. Czy przyjąć może?... Zaczekaj chwilę, służąca ci zaraz powie—zwrócił się do doktora, który z pomocą Rocha, stacyjnego popychadła, rozbie-rał się z niezliczonych okrywek. — Pójdę na chwilę do kancelaryi. Przyslij po mnie, jak skończysz.

Okręcił się kilka razy po pokoju, popatrzył na doktora, szybko podniósł koniec brody do ust, strzepnął ją, wzruszył ramionami i wyszedł.

— Panie Bobiński, napiszemy raport. Niech teraz sam od siebie broni się ekspedytor.

Zaczął dyktować Stasiowi, ale co chwila przerywał, stawał na środku pokoju, przygryzał brodę i wsłuchiwał się cicho, w słabo, za ledwie dosłyszalne, odgłosy kroków na górze, bo pokój chorej był właśnie nad jego kancelaryą. Słyszał, a raczej czuł, że doktor usiadł przy łóżku, bo jakieś słabe drgnienie przebiegło sufit; zmąciły mu to wyczuwanie dźwięki fortepianu, które się rozległy bardzo głośno.

— Cicho tam! — krzyknął z gniewem, tupiąc nogą.

Staś uśmiechał się, — przecież grająca przez sufity usłyszeć nie mogła; ale pochylił głowę nad papierem, bo Orłowski znowu zaczął dyktować i, nieskończywszy, pobiegł do mieszkania, słuchał chwilę pode drzwiami i szedł znowu na peron, spacerował po nim, nieznacznie spoglądając na okna.

Doktor skończył rozbieranie się, przyczesał siwawe włosy i zapukał do chorej.

— Proszę! — ozwał się dźwięczny, silny głos.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy wchodził do pokoju. Podniósł stopy do połowy, opatrzył znowu, czy okna i lufki domknięte, i dopiero usiadł przy łóżku.

— Jakże się pani czuje? — pytał cicho, odjąwszy respirator.

— Dobrze, chciała-bym wstać—odpowiedziała, zadrżawszy, gdy dotknął chłodną dłońią jej ręki. — Tak koniecznie chciałam widzieć doktora, że miałam już pisać dzisiaj—mówiła jakimś dziwnym, prawie altowym głosem, który się jej chwilami przerywał i chrypiał niemile; wtedy przestawała mówić, oddychała głęboko i głos powracał, ale w wielkich czarnych oczach migotał ból wysiłku. Uniósła się nieco, skreśliła w grecki węzeł całą masę przepysznych rudawo-blond włosów, rozsypanych niby snop dojrzałej pszenicznej słomy po pościeli, i mówiła: — Czuję się zupełnie zdrową, w gardle tylko i w piersiach doznaję jeszcze chwilami piekącego bólu, no i głosu mi często brakuje, ale czuję, że się to coraz rzadziej zjawia. Tak, jestem zdrowa, ale się nudzę straszliwie. Doktor zostanie na obiedzie? Mam prośbę do pana... — szepnęła ciszej i fala krwi przyciemniła na mgnienie jej kredowo-białą twarz.

— Zostanę, zaraz pani służę. — Wstał i poszedł do kuchni; oczy Janki biegły dotąd za nim, aż zniknął za drzwiami, i gdy po chwili wrócił, zawisły mu badawczo na twarzy.

— Kazałem dawać obiad wcześniej, żeby zdążyć na pociąg, — usprawiedliwiał się, siadając. — Jeszcze raz zbadam panią dokładnie, ale jednocześnie mogę słuchać...



Janka spojrzała na niego z wdzięcznością, bo nie miała-by odwagi powiedzieć mu swojej prośby, gdyby czuła jego przenikliwy wzrok na sobie.

Doktor opukiwał ją, oglądał, pytał o niektóre szczegóły, takie, że Janka odwracała mimowolnie twarz do ściany, przycinała usta i odpowiadała tak cicho, że ledwie dosłyszał. Konsultacya trwała długo, bo badał chorą sumiennie.

— Czy ojciec wie wszystko?.. wszystko?.. — powtórzyła cicho.

— Zdaje mi się, że nie. — Wyprostował się, żeby odetchnąć i obrzucił ją spojrzeniem, pod którym oczy jej pociemniały i pochyliła głowę niżej.

— Czy powinien wiedzieć? — pytała wolno, z trudem hamując wzruszenie. — Pana się radzę, jako naszego najdawniejszego i najlepszego przyjaciela, który mnie zna od dziecka, a zrobię tak, jak mi pan poradzi. — Milczała dosyć długo, kąty ust zaczęły drgać w jakimś bolesnem ściągnięciu. — Nie chciała-bym kłamać, co bądź-by później nastąpiło, powiedziała-bym, ale... boję się... On mnie nienawidził i nie miał racyi, ale gdyby, gdyby wiedział teraz o wszystkim, to... — zaciśnęła kurezowo palce, głos się jej przerwał; przycisnęła ręką pierś, bo ten zwykły, piekący ból rozgorzał w niej niby zarzewie i palił straszliwie: dyszała ciężko, ale po chwili eichym, choć prawie szorstkim z powstrzymanego wzruszenia głosem, ciągnęła dalej: — mnie ojca żal, bardzo mi żal.

— To dobrze; on panią kocha, po waryacku może, ale ogromnie. Olsniła ją nagle myśl jakaś gnębiąca.

— Czy ojciec zupełnie jest zdrow? — zapytała prędko i wpiła się oczyma w doktora.

— Nie... i dlatego trzeba go oszczędzać, nie wzburzać, bo...

— Co? powiedz pan otwarcie; jestem dosyć silna na usłyszenie zupełnej prawdy, a nie tylko pragnę jej, ale potrzebuję ją usłyszeć koniecznie. Tyle przypuszczam, tyle symptomatów dziwnych, prawie przerażających widzę, że boję się o niego.

— Tak, dobrze nie jest, bo jego despotyzm, zaciekłość, i ta pewna dwoistość, na którą rozłamuje go powoli ta dwoista służba, jaką pełni... Mówili mi w wydziale o jego raportach...

— Czem się to wszystko może skończyć? — zapytała przerażona, bo doktor umilkł i odwrócił od niej twarz.

— Nie wiem, wiem tylko, że nie trzeba mu nic mówić, nic — powiedział krótko

— A jeśli będzie chciał wiedzieć? — zapytała twardo, jakby już chciała rzucić całą prawdę w oczy.

— To i wtedy powinna pani nie mówić nic. Prawda jest czasami zbrodnią, bo tak samo zabija. A jeśli ojciec nie obchodzi pani nic, to trzeba powiedzieć, zabije go to odrazu, i będzie pani miała później spokój i rozwiązane ręce.—Mówił prędko i gniewnie, nałożył zaraz respirator na usta i rzucił się na krzeselko.

Janka patrzyła długo na niego, po jej pięknej, wychudzonej i zmierzowanej twarzy przewijały się wyraźnie najrozmaitsze uczucia; to ból, to gorycz przypominań, to niepokój i trwoga, to głęboka, ciężka apatya powlekała jej twarz, a oczy zaczynały świecić posepnie pod ciemnymi brwiami, jakimś ogniem rezygnacyi.

— Co pan myśli o mnie? — zapytała wreszcie. Zapra gnęła usłyszeć ciepłe słowo pociechy i przebaczenia, i współczucia; była gotową otworzyć serce, dać ujście dręczącym ją uczuciom, bólowi i skargom; pragnęła teraz, w tej chwili, rzucić się na piersi czyje i na nich wypłakać wszystkie nędze całego życia, cały nagromadzony żal. Czowała się tak słabą w tej chwili, bezbronną, a skrzywdzoną, że płacz byłby sprawił jej radość i ulgę; ale doktor długo milczał, pociągał się za nos, przyglądał włosy, patrzył w okno, wreszcie odjął respirator, ścisnął jej dłoń i powiedział:

— Że jesteś nieszczęśliwa, że mi cię pani tak żal, jak córki własnej.

— O!.. doktorze... o!.. doktorze... — Nie mogła nic więcej powiedzieć, oczy zaszyły jej łzami, przycisnęła jego rękę do ust i opadła na poduszki bezwładnie, tylko łzy, jak jasne, drogie, wyhodowane przez cierpienia perły, posypały się z oczu — i taki nagły a wielki rozlew żalu poczuła w sobie, że nie widziała wychodzącego doktora, że nie słyszała nic, i nie nie pamiętała. Leżała bez ruchu i prawie bez przytomności; w każdym swoim atomie czuła łzy, i niewypowiedziany ból, co przepalał ją całą.

Ocknęła się wtedy dopiero, gdy służąca na małym stoliczku, przy łóżku, postawiła obiad.

— Niech Janowa zabiorze z powrotem, nie chce mi się jeść.

— Adyć ode wczoraj ani krzynki panienska nie zjadła jeszcze. A kto to słyszał tak się morzyć głodem. Adyć i ja, panienko, nie zdrowa, o nie!.. w dołku mnie cosik tak ścisną, że jaże mnie mroczy.—Spuszczyła story, odniosła obiad i znowu zaczęła narzekać bolejącym głosem.—I na to bolenie żadnego leku niema, a może-by się to lekarstwo zdało, co panienska używa?

— Niech się Janowa wódki napije, to zaraz przejdzie choroba.

— Wódki!.. a prawda panienko. Wódki! a widzieliście moi ludzie! wódki! a to ja się przed dobrodziejem odrzekłam, bo to i moja pani córka tego chciała, ale że panienka rzekła pomoże na ściskanie, to jużci być prawdą musi.

— Niech-że Janowa idzie sobie — zawołała zniecierpliwiona.

— Idę! idę.. tak samo nieraz mówi moja pani córka. Idę! idę.. wódki! aby ino *kusztyczek* niewielki i na lekarstwo, to grzych być nie musi.— Wyszła, i zaraz rozległ się skrzyp otwieranego kredensu i szcęk szkla.

Janka nasłuchiwała słabo brzmiących odgłosów rozmowy w saloniku, prowadzonej przez ojca.

Doktor zjadł obiad, nie czekając na Orłowskiego, który przyszedł pod koniec dopiero, i rozpytywał się o Jankę.

— Zupełnie dobrze, może wstać, zresztą, wszystko, co potrzeba robić i używać, tutaj napisałem, masz kartkę.— Orłowski chciwie przebiegał oczyma przepisy.

— Dobrze jest, ale nie krzycz na nią, nie waryuj, bo recydywa dla niej, to śmierć — mówił doktor, a widząc, że twarz Orłowskiego czerwienieje, że zaraz wybuchnie gwałtownym tonem sprzeczki, założył respirator na usta i usiadł przy stole.

— Ja ją zabijam, to przeze mnie chora? krzyczę na nią, co?

— Daj spokój, bo w wielkiej części winienesz wszystkiemu — napisał doktor na kartce olówkiem.

— Więc i ty mówisz, że ja winienem, że ja! — zakrzyczał Orłowski, i zmiąwszy kartkę, rzucił ją na ziemię, rozdeptał, kopnął i stanął na środku pokoju z rozłożonymi rękoma, jakby chciał głośno zaprzeczać, ale usiadł gwałtownie przy oknie, zaczął bębnić po szybach, otworzył lufcik i krzyknął do robotnika stojącego na peronie:

— Sygnał od Strzemieszyc, nie słyszałeś, bałwanie, że osobowy wyszedł — zamknął z trzaskiem lufcik, powrócił na dawne miejsce, zapalił papierosa i natychmiast ze złością go rzucił w piec i zaczął chodzić; po twarzy przelatywały mu jakieś płomienie, targał brodę, poruszał ramionami, zataczał oczyma niespokojnie, ale nie omijał twarzy doktora.

— Nie prawda! Co tylko robiłem, jak postępowałem z nią, wszystko miało na celu jedynie jej dobro. Nie prawda, a tak!—wołał podniesionym głosem, uderzając w stół pięścią.

— Dla jej dobra wypędziłeś ją z domu? — napisał doktor.

— Wypędziłem?.. tak, prawda... — jęknął Orłowski, rzuciwszy okiem na kartkę, i jakby go te słowa uderzyły i oślniły, cofnął się, spojrzął mętnie i usiadł cichy i zgnębiony.

— Prawda! — dodał ciszej nieco, i tak żywo przypomniał sobie tę scenę nieszczęsną, która tutaj, w tym samym saloniku, rozegrała się parę miesięcy temu, że przygastem spojrzeniem powiódł dokoła i pochylił głowę, nie mogąc znieść surowego spojrzenia doktora.

— Ty jej nie znasz! — mówił znowu, wstając i chodząc wolno, i przystając mgnieniowo przy drzwiach. — Opowiem ci krótko. Na wiosnę oświadczył się jej Grzesikiewicz, znasz go, człowiek zupełnie porządny i bogaty.

— I cham zupełnie, chociaż zewnątrz oglądzony wykształceniem — napisał doktor.

— Mniejsza. Nie chciała iść za niego, tak się uparła, że nie mogły prośby moje, powiedziała że nie, i postawiła na swoim.

— Miała rację, bo go nie kochała.

— Miłość, co to takiego? głupstwo! — machnął pogardliwie ręką — nie dla tego: tylko chciała mi zrobić na złość, chciała postawić na swoim, i postawiła.

— A tyś także chciał postawić na swoim, i zmusić! — pisał szybko doktor, i podsunął mu kartkę.

— Tylko jej nie zmusisz! Być może, uniosłem się, no, może w rozdrażnieniu sprawiłem jej przykrość, ale czy powinna była zaraz, natychmiast uciekać z domu, powinna była, pomimo wszystkiego, co zaszło pomiędzy nami, porzucać mnie, ojca dom? I po co? aby wstąpić do teatru.. słyszysz, córka porządnego domu, moja córka, do teatru, do teatru! — powtórzył z przyciskiem.

— Wypędziłeś ją, musiała coś zrobić z sobą.

Orłowski aż skoczył, przeczytawszy te słowa. Oczy mu latały w orbitach, broda i usta trzęsły się od gwałtownego wzruszenia. Zaczął przygryzać brodę i biegać po pokoju w kółko, jak zwierzę w klatce, potem usiadł z powrotem na fotelu, aż sprężyny zatrzeszczały. Zapanowało chwilowe milczenie, przez okna przedzierał się ostry brzęk przekładanych na stacyi szyn, w szyby pluskał deszcz z dawną monotonią, a głuche, jednostajne dźwięki fortepianu sączyły się przez ścianę i rozpylały w powietrzu. Doktor spokojnie siedział i śledził muchy, marne, ostatnie, jesienne muchy, łączące leniwie po białym obrusie.

— Wypędziłem... ale ona poszła, ani się obejrzała, poszła, i ani mi słowa jednego nie powiedziała na pożegnanie, poszła do teatru, na komedyantkę, pomiędzy bandę łobuzów i ładacznic, rzuciła mnie, ojca, dla nich... A niegodziwa, niegodziwa, niegodziwa! — syczał i targał so-

bie mundur na piersiach i dygotał cały. — Wypędziłem... a ona przez cały czas nie napisała do mnie nawet słowa jednego! Cztery miesiące! Dobrze, że jesteś kawalerem, dobrze, że nie masz dzieci, nie znasz więc tych cierpień, jakie sprawiają dzieci ojcom... Cztery miesiące sam, bez niej, w trwodze ciągłej o nią, otoczony upokorzeniami, al. al. — Gniew zatkał mu gardło, że słowa przemówić nie mógł.

— Trzeba było jechać po nią, przebaczyć i zabrać do siebie — napisał doktor.

— Ja miałem jechać, prosić, upokarzać się przed nią, ja! — krzyczał, uderzając raz po raz zaciśniętą pięścią w piersi, aż dudniło. — Ja? nigdy, niech-by mnie raczej dyabli wzięli!

— Ciebie nie wzięli, ale ją przez to wzięli.

Orłowski przeczytał, milczał długo, ukrywając twarz w dłoniach.

— Ja czekałem, że przecież odczwie się w niej córka i powróci — mówił przejętym łzami głosem; — czekałem choćby listu, myślałem, że napisze o pieniądze, bo ona tam nędzę cierpiała, byłbym rzucił wszystko, i na pierwsze jej słowa pojechał, i przebaczył, bo przecież to dziecko jedyne moje, a ja nie mam nikogo prócz niej, i jestem stary, bardzo stary, a starość samotna jest gorzką, o jak gorzką, tego ci opowiedzieć nawet nie mogę; zresztą, pocóżbym żył, gdybym nie mógł żyć dla niej? Dwa tygodnie temu dostaję z Warszawy telegram, patrz, noszę go przy sobie: „Panna Orłowska chora. Szpital Dzieciątka Jezus. Prosi o przyjazd. Głogowski.“ Pojechałem. Zastałem ją nieprzytomną. Otrula się, wiesz o tem, boś ją później ratował i uratował, ale dlaczego to zrobiła, nie wiem do dzisiaj.

Doktor spojrział na niego z pod czoła.

— Odzyskałem ją i traciłem. Byłbym sobie palnął w łeb, gdybyś jej nie uratował. Na złość mi to zrobiła, tak, na złość, żeby mnie zabić, a łajdaczka, łajdaczka! — krzyczał prawie i gryzł ręce, szarpał mundur i rzucał się, jakby w paroksyźmie obłądła. Uspokoił się po chwili, pozapinał mundur na wszystkie guziki i naciągał machinalnie białe rękawiczki.

— Musisz wiedzieć, dlaczego się trula, przez kogo — mówił spokojnie, ale głos mu drżał i oczy świeciły ponuro. — Powiedz otwarcie, wszystko... tak, wszystko przebaczę jej, ale jeśli tam jest winien człowiek jaki, zabiję, tak mi dopomóż Boże i wszyscy świeć! — wymawiał wolno przez błyskające zęby.

— Nie, nic nie wiem, — powiedział śpiesznie doktor, zdjawszy respirator — wiem tylko, że się bała powrócić do ciebie. Co chcesz, to twoja córka i tak samo gotowa jest raczej złamać się, niżli zgnać. Pogódźcie

się, to wam obojgu na dobre wyjdzie. Ona cię kocha, ale jeśli chcesz to usłyszeć sam z jej ust, musisz i ty ją kochać. Po co wy się męczycie, po co?

— Po co? prawda! tyle lat, tyle cierpień...

— Pociąg dochodził — zawołał posługacz, wsadzając we drzwi głowę.

— Po co! — powtórzył Orłowski cicho, ucałował doktora i wybiegł spiesźnie.

Doktor poszedł do Janki, ale ze nie spostrzegła go natychmiast, cofnął się i zaraz odjechał. A Janka zapadła w stan dziwnego odrętwienia, w którym się czuje, słyszy, widzi nawet, tylko się nie wie. Pod czaszką czuła jakąś wielką próżnię, w której rozbrzmiewały echemi odgłosy życia zewnętrznego, niezrozumiałe i niepojęte. Patrzyła w głąb nieokreśloną i kilkakrotnie odruchowo powtórzyła słowa doktora:

— Prawda czasami jest zbrodnią, bo zabija tak samo.

I wolno zaczynała później snuć konsekwencye takiego wyznania aż do końca, i cofnęła się, blednąc, opuściła się bezwładnie w sobie, i ostry, przejmujący ból gryzł ją w serce. Nie można — myślała — musi się kryć z przeszłością, musi strzedz słów własnych, pilnować się, ukrywać, grać rolę wstrętną obłudnicy. — Ona musi ukrywać coś przed ludźmi, wstydzić się! ona! co niedawno była-by wyzywała do walki świat cały, ona, co tak dumnie i pogardliwie traktowała błąd wszelki i słabość wszelką, która prawie nie rozumiała, że ona może coś zrobić takiego, z czemby musiała się kryć. bo wszystko robiła świadomie, jak człowiek, który wie, co robi — i teraz, teraz! kryć się musi, udawać, grać komedję, — i musi tak robić, a nie inaczej. — Oczy jej pociemniały łzami złości bezsilnej, buntem przeciwko wszystkiemu, przeciwko temu jarzmu, w którym żyć musiała teraz; jej gwałtowna natura zrywała się w energicznym proteście, przeciwko własnej obłudzie, jaką odtąd żyć musiała.

— Tuby ojca zabiło... Tak, tak... — powtarzała ciężko, coraz wolniej, i głęboka litość pełna bolesnego współczucia, budziła się w jej sercu, ale równocześnie dziwiło ją to uczucie, dziwiło ją, że we własnem sercu znajduje coś jakby miłość do tego, którego, jak się jej zdawało, nienawidziła, do ojca, który ją tyranizował i męczył lata całe, który ją wygnał z domu. O, jeszcze dzisiaj, teraz, poczuła ból tamtej, przeszłej chwili; odnowiła się rana, którą kiedyś wpłynęło całe morze nienawiści. Zapatrzona w mrok pokoju, powtarzała: Precz! precz!.. i czuła, że ją taki sam kurecz trwogi i bólu ścisną, jak wtedy, kiedy ją temi słowami wyganiał na zawsze z domu. — Jestem w tym samym pokoju, pomimo wszystkiego — myślała, rozglądając się i jakby budząc

z przykrego uczucia. — Mam go oszczędzać po to, ażeby mnie znowu wypędził, gdy mu się w czem sprzeciwię... Nie miała w sobie odpowiedzi innej, tylko powtarzała ją, krzepiąc się w pół świadomie do odebrania przyszłego ciosu. — To pójdę, pójdę w świat! — powtarzała bezmyślnie i, przez jakieś skojarzenie dziwne, zaczęła się w niej budzić przeszłość niedawna, wiązała bezwiednie dzisiaj z dniem onegdajszym, bo wczoraj tkwiło w niej szarą, niewyraźną plamą. Zadrżała, bo się jej wydało, że leży w tym samym hotelu, w którym się otrula, że to teraz, mgnienie temu, wypita trucizną i czeka śmierci, że się przeważa całą duszą w tył i leci z jakimś niemym, okropnym krzykiem trwogi, w głąb, w noc, w nicosć — przyknęła oczy, wir myśli rozprzężonej zakłębił się w jej mózgu, czuła, że się stacza i nie ma ani sił, ani woli do zatrzymania się 'na pochyłej drodze, że ta pamięć bólów przeszłych, wszystkich, jakie kiedykolwiek przecierpiała, przesyca męką niewysłowioną; zaciskała zęby, mocowała się z sobą, żeby nie krzyzczeć i żeby nie oszaleć, żeby to słabe tętno świadomości, jakie czuła jeszcze, nie przerwało się. Otworzyła oczy po długiej chwili tak ciężko i tak zdziwiona, jak hipnotycy, i ostre światło myśli i zupełnej przytomności orzeźwiło ją natychmiast.

— Jestem w Bukowcu, u ojca tak samo jak dawniej, jak przed czterema miesiącami, i jak dawniej, życie ma być bez celu, z dnia na dzień? Nie powiedziała: nie, ale głębokim, prawie nieświadomym ruchem myśli przeczyła i czuła, że jużby tak samo żyć nie mogła, że jej życie ma teraz nowy etap, że pierwszy skończył się w dniu wyjścia z domu i wstąpienia do teatru. Całą przeszłość dwudziesto-dwuletnią, czasy dzieciństwa, czasy szkolne, kilka lat ostatnich przepędzonych razem z ojcem, te marzenia, wyczekiwania przyszłości innej i niepodobnej, szalone żądze duszy, szamocącej się w szarym bycie córki zawiadowcy, walki indywidualności szarpiącej się w jarzmie wegetacji prowincjonalnej, zwykłego bytowania—walki z ojcem, wstrętne, marne, a okropne przez swoją tragiczną ciągłość — wszystko to staczało się w przeszłość, w noc, w której zaledwie kontury doniosłych niegdyś zdarzeń widziała teraz. To ostatnie cztero-miesięczne życie w teatrze zaczęła rozsnuwać we wspomnieniu Patrzyła zimno w tę przeszłość niedawną, przypominała sobie teatr i ludzi, w najdrobniejszych szczegółach, i jego nędza z farsami tragicznymi, i twarz jakaś piękna i cyniczna, zaczęła się wyłaniać coraz natarczywiej z pamięci i przysłaniać wszystko. Wzdrygała się, jakby pod dotknięciem płazu zimnego i oślizgłego—i w gwałtownem uczuciu złości, nienawiści szalonej, zacisnęła kureczowo dłonie, oczy strzeliły płomieniami, uniosła się jakby chcąc wstać, iść i mścić się za krzywdy swoje... ale roześmiała się sucho.

— Głupia! głupia! głupia!.. — szeptała z nienawiścią do samej siebie, przypominając tego kochanka, marną kreaturę, wędznika, do którego czuła większą pogardę, niż żal.

— Jak ja mogłam! jak ja mogłam!—myślała z palącym wstydem i uprzytomniała go sobie w całej jego nikczemności i głupocie, tak dokładnie, że gryzła poduszkę, żeby przytłumić gniew na samą siebie, że chciało się jej krzyżeć na cały głos, aby ulżyć sobie, żeby wyrzucić ten ogrom nienawiści i wstrętu, jaki się zebrał w jej mózgu i sercu.

Zadzwoniła na Janową. Nie mogła wyleżeć dłużej. Poczuli się zdrową, zapragnęła pod wpływem tych przejść wewnętrznych, ruchu gwałtownego, powietrza, ludzi i przestrzeni. Dusza jej rozbłysła oślepiającym ją samą płomieniem energii, który ją podrywał, przepalał i unosił.

— Zimno dzisiaj?—zapytała Janowej, pomagającej jej ubierać się.

— A zimno, adyć kiej pies tak gryzie. Panienko! a panienska wie, że dzisiaj był pan z Krosnowy? Szlam, a on mię pyta: Janowa! Grzecznie się ukloniłam i słucham. A on, wąsiki se podkręca i rzeknie: A panna Janina już wstała? powiadam, juści że nie, a on chlasnął baciakiem konia i powiada: A niech się Janowa kłania paniencie ode mnie. Grzeczny pan...

— To Janowa zna pana Grzesikiewicza?

— Za pozwoleniem panienki, ale my z jego matką... panienska się gniewać nie będzie, co?

— Nie nudźcież, mówcie prędzej.

— A tośmy z jego matką, za pańszczyzny, razem chodzili do roboty, do dworu.

— Janowa z jego matką? — zapytała dotknięta nieprzyjemnie.

— A juści. Ony są teraz wielkie państwo, pan Bóg im poszczęścił i zostały szlachta, a ja sługuję, jak sługiwałam. A niechta moja panienko! a niechta pan Jezus da wszyćkiemu narodowi dobra po zęby, to i biedny się pożywi prędzej. A Grzesikiewiczze dobre ludzie; że tam stary lubi się kiejś niekiejś napić krzynkę, toć nie grzech, bo majątek robi, a ona taka dobra kobieta, że i szukać lepszy, a pewnikiem się nie znajdzie. Przecież ja, no cóż, ja... prosta kobieta jestem, na wyrobku, a jak tam pójde, to mie ugości, kiej równą, a przecież ony ziemi mają z tysięc włók, i taka szlachta wielka! Druga toby nie chciała i patrzeć na mnie, a ta i gada ze mną, to o swoim Jędrusiu, to o Józil! Ja i powiadam o swoi pani córce, to znowu ugotować każe wódki z tłuszczią i częstuje... dobra kobieta.

— Janowa ma córkę?

— Mam panienko! Oho! moja pani córka jest teraz panil! Wzieny ją te warsiawskie państwo, co to do Zwolenia przyjeżdżają co lato, do



siebie. Dzieci nie mają, i jak zobaczyły moją Anusie, tak się im spodobała, że nie mogłam się oprzeć i dać ją dałam, bo jakże... miałam dziecku los zagrozić?.. Teraz je we klasach i na takich wielgich, jak dobrodziej, księgach se czyta, a uczona taka, że po zagranicznemu już gada. — Mówiła z dumą naiwna.

— Często ją widuje Janowa?

Janowa nie odpowiedziała zaraz, otarła nos i oczy zapaską, pokręciła się bez celu po pokoju i dopiero rozczesując włosy Jance, mówiła:

— Nie można często, bo zimą je we Warszawie, a latem, jak są w Zwoleniu, to Anusia mówi, że się państwo gniewają, jak przychodzić często, i że się przeszkadza w uczeniu. Ciężko mi nieraz, bo chciało-by się człowiekowi pogłaskać ją, przytulić, popłakać z uciechy, ale kiej nie można, bo to i dla niej nie honor, i sama nie śmiem, bo gdzie mnie się dotykać brudnymi rękami takiej pannicy w szlachetnym ubiorze, co wygląda jak jaka grafinia. Ale moja Anusia dobra, o dobra, łoni dała mi całego rubla, i chustkę, i materyi na całe obleczenie. Splakałam się, i aż zaniesłam dobrodziejowi na msze, i krzyżem leżałam na jej intencye, za te dobroć. — Mówiła cicho i lży głębokiej radości szklily się w jej wyblakłych oczach.

Janka przyglądała się jej uważnie, bo nie tyle zajęło ją opowiadanie o córce, ile to, że razem z matką niedoszłego jej męża chodziła do roboty.

Kazała później poodstaniać zupełnie okna i wyjrzała na świat.

Zmrok mętny, zielonawy, rozpościerał się nad lasami, deszcz ustał, ale wiatr się zrywał i trząsł drzewami, i prześwistywał po drutach telegraficznych z jękiem żalonym; zielone światła na stacyjnych wekslach migotały w szarości, niby kwiaty promieniejące.

Janka wpatrzona w żółtące się nad lasami, nagie szczyty wzgórz, przypomniała sobie te dawne wycieczki w lasy, o takiej porze, i zapragnęła iść zaraz, ale przeszedłszy przez pokój, osłabła, nogi gięły się pod nią, i czuła się tak wyczerpaną, że poszła do jadalni i usiadła. Janowa zapaliła lampę, i przyniosła jej cały stos gazet, ale Janka nie mogła czytać, odsunęła płachty zadrukowanego papieru, wpatrzyła się w lampę i długo tak siedziała bez ruchu, słowa i myśli. Wyczuwała tylko przyjemność, że jest, że żyje, że zaraz, jak tylko zechce, może wstać i iść.

Orłowski, po zdaniu służby pomocnikowi, przyszedł, przebrał się w jakiś stary bez guzików mundur i siadł z drugiej strony stołu, na wprost córki. Janowa szykowała do herbaty.

— Niech się Janowa zapyta, może panienka zje befsztyk, doktor

zalecał — rzucił cicho z za gazety, prześlizgując się tylko spojrzeniem po twarzy Janki, która na to zapytanie podniosła oczy na niego.

— Dobrze, niech Janowa usmaży — odpowiedziała Janowej, która jej to powtórzyła dosłownie.

Orłowski błysnął zadowoleniem, położył pismo i sam zaczął z kredensu wystawiać na stół koniak, owoce, kieliszek, ciastka, konfitury, wina. Nie mówili z sobą, chwilami tylko łapali się oczyma i odwracali zmieszane twarze, lub powlekali je udaną obojętnością.

— Janowa!., nalewać herbatę! — zawołał, zobaczywszy, że Janka się podniosła i idzie do samowaru.

Usiadła z powrotem, ale uśmiech jakiś przemknął po jej ustach.

— Niech Janowa poprosi panienci, żeby się przed befsztykiem napiła koniaku; tak doktor zalecił.

Janowa już teraz nie mogła wykrztusić tego polecenia, tylko wytrzeszczyła oczy i patrzyła kolejno na nich ze zdumieniem.

— Jeszcze jeden kieliszek niech Janowa wyjmie z kredensu — powiedziała.

— Nie trzeba! — zawołał prędko. — Wypiję z tego samego, niech Janowa powie.

Janka naląła i podsunęła do niego. Zmarszczył się gniewnie, i aby pokryć wzruszenie, zaczął chwycić brodę zębami, ale wypił w końcu, i odsuwając kieliszek, rzekł:

— Niech Janowa podziękuje paniencie.

Janka, żeby zakryć twarz drgającą już śmiechem, tak się jej koniecznym wydało w tonie to podziękowanie, podniosła szklankę, i przyglądała się herbacie pod światło.

— Mętna herbata, co? — zapytał się jej prosto, zerwał się i wyciągnął rękę po szklankę, ale usiadł natychmiast i przygryzł brodę. — Niech Janowa naleje świeżej herbaty! — powiedział surowo i zaczął gwałtownie mieszać swoją.

Milczenie zapanowało. Janka wolno jadła, a czując wzrok ojca na swojej głowie, podnosiła chwilami na niego oczy; wtedy on zatapiał swoje w szklance, albo nerwowym ruchem chwycił gazetę i zasłaniał się nią, jak tarczą, aby znowu po chwili, gdy jadła w dalszym ciągu, śledzić każde jej poruszenie głowy i ust i całować ją oczyma.

— Niech Janowa naleje paniencie wina. Stare wino, doktor zalecił — odezwał się, gdy Janka przestała jeść befsztyk.

Po kolacyi, Janka nie wiedziała, co zrobić z sobą, czuła się zmęczoną i ociężałą, a nie śmiała iść do swojego pokoju, żeby ojcu nie sprawić przykrości; wzięła jakieś pismo i czytała, ale męczyło ją schylanie się i ugniatał w plecy drewniany tył krzesła — spostrzegł to Orłowski, i przyniósł swój głęboki, wybity skórą fotel.

— Niech Janowa poprosi panienki, żeby usiadła w fotelu, będzie wygodniej.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, zakrył się śpiesznie gazetą, marszcząc brwi.

Za oknami wył wiatr, aż firanki drżały, a księżyc ukazywał się i znikał za szybko przebiegającymi chmurami. Cisza w pokoju panowała zupełna. Lampa płonęła jasno, i rzucała smugi światła na ich głowy pochylone nieco: czasem zagrała trąbka dróżnicza na linii, lub pociąg z hukiem i szumem przebiegał, nie zatrzymując się na stacyi, i tak ciężko, że dom cały drżał i szklanki szczękały w kredensie; wtedy Orłowski podnosił się, patrzył przez okno na czerwone światła zakończające pociąg, i po jego zniknięciu siadał znowu do czytania.

Janka odłożyła gazetę, bo było jej niewygodnie czytać, położyła się prawie w fotelu i patrzyła na Janową, siedzącą w kuchni, zaraz przy drzwiach otwartych do jadalni, z pończochą w ręku. Stary Roch, posługacz stacyjny, klęczał przed kominem i kawałem sukna szorował rondle. Ten spokój, jakiś senny i ciepły, zaczął na nią oddziaływać kojąco. Czuliła się dobrze w tem kole dobrobytu i życzliwości — i bezwiednie porównywała to z ostatnimi tygodniami w teatrze, pełnemi głodu, nędzy najstraszliwszej i cierpień. Przetarła ręką czoło, jakby chcąc odegnać przykre mary. Spostrzegł ten ruch Orłowski.

— Jeżeli panienkę głowa boli, to są proszki, niech się Janowa spytał

— Nie, dziękuję, nic mi nie jest, czuję się zupełnie zdrową.

Rozrzewniła ją ta troskliwość i zdumiewała zarazem, bo po raz pierwszy jej doświadczała.

Orłowski zaczął czytać gazetę pół głosem z początku, a upewniwszy się, że ona słucha, czytał dalej już pełnym głosem, wybierając umyślnie najciekawsze rzeczy.

Była zdumiona i wdzięczna głęboko. Czulił to, bo się przysłonił gazetą, i w akcentach głosu drgało rozradowanie, modulował go, śpieszczał, z usilnością wygładzał jego szorstkie brzmienia, żeby tylko jej nie razić, żeby tylko zechciała słuchać czytania, jak najdłużej, bo sprawiało mu to nieznaną dotychczas radość.

Wieczór się ciągnął długo, a Janka rozmarzona winem, ukołysana tą atmosferą spokoju, ciepła, łagodnych brzmień ojcowskiego głosu, usnęła. Spostrzegł to, i natychmiast po cichu wyniósł się do swojego pokoju, pozostawiając drzwi otwarte, żeby mózdz patrzeć na nią choćby z daleka. Nie czytał, chociaż gazetę podnosił co chwila do oczu, bo litery mu się zmieszały i nie rozumiał, widział tylko ją. Wstrzymywał prawie oddech, bał się poruszyć na krześle, nie zapalał papierosa, żeby trzask zapałki, lub dym, nie zbudziły śpiącej. Siedział i patrzył na nią

z głęboką czułością, i miał szaloną chęć iść, i ująć w dłonie tę drogą głowę, i ucałować; o, teraz czuł w całej potędze, jak mu jest bardzo drogą, jak kocha. Serce mu biło wielką, ojcowską miłością. Już nie pamiętał nic z przeszłości. Czuł, że on ją i dawniej musiał kochać, chociaż zdawało mu się, że nienawidził. Z jakimś uśmiechem głębokim myślał, że teraz jego życie będzie jednym pasmem szczęścia, i zaczynała się w mózgu formułować idea wyniesienia się z kolei, zamieszkania gdzieś w mieście z nią razem, i już się widział tam, już w myśli prowadził Jankę wspartą na jego ramieniu, dumną i piękną, pomiędzy roje ludzi—i podnosił głowę coraz wyżej, i miał ochotę wołać: Patrzenie, to moja córka, moja! Z drogi wszyscy, z drogi!—rozmarzał się w szczęściu coraz głębiej.

W okna uderzał wiatr i głęboki szum lasów płynął smutną pieśnią, czasem pociąg z hukiem przebiegał, aż wszystko drgało i przyciszało się, senniło znowu. Z sąsiedniego mieszkania Zaleskich zaczęły przenikać ciche, przytłumione murami i odległością, dźwięki fortepianu, i lały się nieskończoną, monotonną strugą gam, to buchały wrzawą zgiełkliwą rapsodyi, albo śpiewały księżycowe hymny rozmarzeń, dreszczów nocy wiosennej, łkań, lub nuciły rzewną, prostą, a głęboką jak wieczność, piosnkę miłości.

Orłowski słuchał tej muzyki w coraz większem zniecierpliwieniu, i już się zerwał, aby iść i prosić o zaprzestanie, kiedy zobaczył, że Janka się przebudziła i szukała go oczyma. Podszedł prędko, ale podniosła się, nie zauważywszy go, i poszła do swojego pokoju.

— Janowa! niech Janowa powie dobranoc panience ode mnie—powiedział cicho do służącej i poszedł spać.

WŁADYSŁAW A. RAYMUND.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

---

# ZBYTEK.

## I.

„Przeciw zbytkowi deklamowano od dwóch tysięcy lat wierszami i prozą, a mimo to zawsze go lubiono.“ Do tych słów Voltaire'a trzeba dodać, że także od dwóch tysięcy lat wierszami i prozą pisano apologie zbytku, a mimo to uznawano stwierdzony w historii tyłu przykładami fakt, że zbytek, przekraczający wszelką miarę, odgrywał ważną rolę nie tylko w okresach stopniowego zwyrodnienia społeczeństwa, lecz także wśród gwałtownych katastrof dziejowych, jak np.: żeby poprzestać na najbliższym nam, a zarazem i najwybitniejszym przykładzie dziejów nowożytnych — w wielkiej rewolucji francuskiej. Sam Voltaire zresztą, jak to obecnie słusznie zarzuca Paweł Leroy-Beaulieu, „chwalił zbytek w wierszach, a ganił w prozie.“ Ponieważ przytem Voltaire należał niezawodnie do najświetniejszych amatorów zbytku, więc sam, jako pisarz i jako człowiek używający rozkoszy światowych, mógłby uchodzić za znakomitą ilustrację historyczną do zawitości tematu o dobrych i złych stronach zbytku.

Czy po upływie dalszych wieków jaki drugi Voltaire będzie mógł znowu powiedzieć, że ludzkość dalej deklamowała przeciw zbytkowi, a mimo to przepadała za nim? Bez wahania można na pytanie to dać odpowiedź twierdzącą, z tem tylko zastrzeżeniem, że liczebny stosunek deklamatorów przeciw zbytkowi do jego obrońców może być

chwiejny w różnych okresach czasu i wśród różnorodnych prądów, ale samo zamięszanie w zbytku nigdy nie przestanie być jednym z rysów charakterystycznych życia ucywilizowanej ludzkości. Może na hipotezycznej, a raczej fantastycznej Lemuryi, bajeczny protoplasta rodu ludzkiego nie tylko nie znał zbytku, lecz wogóle nie miał nawet żadnej skłonności do zbytku. Dokąd jednak tylko badacze historii cywilizacji dotrzeć mogli po śladach i resztkach przebytych okresów kultury, wszędzie spotkali się z widomiami wskazówkami zbytku, oczywiście zbytku we względnej, do danych stosunków zastosowaniem, znaczeniu.

Jaki świetnie wykończony obraz nierozdzielnej i historycznie stwierdzonej łączności zbytku z cywilizacją daje nam wielkie, klasyczne dzieło francuskiego profesora, Henryka Baudrillart'a (*Histoire du luxe privé et public depuis l'antiquité jusqu'à nos jours*). Sama przedmowa do tego dzieła, w której uczony autor objaśnia genezę, plan pierwotny i sposób opracowania zakreszonego sobie tematu, zawiera już wielce charakterystyczne wskazówki pod tym względem. Dzieło to miało według pierwotnego planu obejmować jeden tom, i już w tych ramach wyczerpywać cały materiał naukowy. W miarę jednak, jak autor postępował za śladami zbytku po mało jeszcze pod tym względem uutorowanym szlaku historycznym, materiał wzrastał stopniowo tak, że owoc dwunastoletniej pracy zaledwie dał się pomieścić w czterech niezwykle grubych tomach, zawierających jednak ostatecznie nie całkowitą historję zbytku ludzkości, lecz tylko szkice, przedstawiające koleje zbytku w historii społeczeństw wybitniejszych, i to z ograniczeniem do ważniejszych okresów. W ostatecznych wynikach badań i z opartych na zebranych materiale refleksji filozoficznych doszedł Baudrillart do tego przekonania, że trzeba przyjąć za pewnik formalną skłonność do zbytku (*penchant au luxe*), wrodzoną ludzkiej naturze, a opartą na takich niezmiennych jej własnościach, jak próżność, zmysłowość i instynkt dekoracyjny, z których dwie pierwsze wiodą najczęściej do nadużytych zdrojnych, a trzecia, jeżeli jest w karbach utrzymana i sprowadzona na promienną drogę ideałów piękna, stać się może znaczną siłą dla rozwoju sztuk pięknych, a tem samem i dla cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa wogóle.

Jeżeli więc, według tej analizy historycznej i psychologicznej, zbytek z jednej strony posiada w niezmiennych przymiotach natury ludzkiej tak niewzruszoną podstawę, i jeżeli z drugiej strony podstawa ta jest tak szeroka, to nie dziwnego, że opinie o zbytku, jak były zawsze, tak są obecnie, i nadal będą chwiejne i sprzeczne. Ktoby te chwiejności opinii różnorodnych i zachodzące między niemi sprzeczności chciał dokładnie przedstawić za czasy ubiegłe w jednym obrazie, musiał by ramy jego tak rozszerzyć, aby się tam pomieścić

mogło, obok zarysu historycznego, także streszczenie rozmaitych poglądów moralnych. Byłby to jednak zawsze obraz nieskończony, gdyż nowy materiał przybywa nieustannie, a z nim także i nowe poglądy.

Ogólną charakterystykę tej chwiejności, zmienności, więc i sprzeczności w poglądach na istotę zbytku, można-by zamknąć w zdaniu, że jest to wieczna, nawet chwilowym rozejmem nie przzerwana, walka rygoryzmu moralnego, posuwającego się w swojej najdalszej konsekwencji do bezwarunkowego potępiania wszelkiego zbytku, z liberalizmem ekonomiczno-moralnym, który w zbytku widzi jedną z najgłówniejszych dźwigni ciągłego postępu cywilizacyjnego i w najdalszej konsekwencji posuwa się nawet do identyfikowania cywilizacji ze zbytkiem. Walka ta toczyła się dotąd i dalej toczyć będzie ze zmiennem powodzeniem jednej i drugiej strony wobec zmieniających się prądów opinii i, jeżeli w prococtwa zapuszczać się wolno, nie może skończyć się stanowczym pogromem lub kapitulacją jednej tylko strony, lecz chyba pokojem, zawartym na podstawie wzajemnych ustępstw w idealnym okresie uszlachetnienia się społeczeństwa.

Schyłek XVIII stulecia stanowi w historii zbytku okres nadzwyczajnej doniosłości. Przed wielką katastrofą rewolucyjną we Francji, zbytek długi czas ośniewał i upajał tam społeczeństwo, mając punkt oparcia w paradoksach filozoficznych, które formalnie schlebiali wadom moralnym człowieka i wyrafinowany epikureizm wynosiły niejako na wyżynę dzielnego bodźca w postępie cywilizacyjnym. Pierwszy tom wielkiego dzieła H. Taine'a o Francji rewolucyjnej (*Les origines de la France contemporaine*) zawiera cały szereg przykładów takiego zbytku wyrafinowanego, które w rzędzie przyczyn wielkiego kataklizmu społecznego musiały nie małą odegrać rolę. Oto kilka takich przykładów dla objaśnienia ostatniej uwagi: Hrabia Artois, wyprawiając bal dla królowej, kazał najpierw rozebrać swój zamek Bagatelle, wystawić go na nowo według odmiennego planu, i umeblować go na nowo od *a* do *z*. Pracowało nad tem 900 robotników dzień i noc. Marszałek Soubise wydał na jedno przyjęcie króla w swoim zamku myśliwskim (obiad i nocleg dla świty), 200,000 franków. Pani Matignon wydawała na samą fryzurę rocznie 24,000 franków. Pewna dama ze świata eleganckiego wyraziła raz wobec ks. Conti życzenie posiadania miniatury kanarka w pierścionku. Książę ofiarował się z tą usługą, która przyjęta została pod warunkiem, że miniatura będzie skromna i bez oprawy dyamentowej. Książę zastosował się do tego życzenia, ale miniatura osłoniąca była nie szkłem, lecz splaszczonym dyamentem. Kiedy owa dama zwróciła dyament, ks. Conti kazał go zmiażdżyć i, zamiast piaskiem, pyłem

dyamentowym posypał list, bardzo uprzejmie napisany do owej damy z usprawiedliwieniem swojego postępowania. Ta szczypta pyłu dyamentowego kosztowała co najmniej 5,000 franków itd. itd.. Ile to razy trzeba-by dodać „itd.“, żeby dać czytelnikowi trafne wyobrażenie o prawdziwych orgiach zbytku przedrewolucyjnego we Francyi! A wtedy właśnie Voltaire dodawał społeczeństwu francuskiemu otuchy, tłumacząc mu, że „ze zbytku osób prywatnych, z wielkiej liczby wspaniałych domów w Paryżu i na prowincyi, z mnóstwa ekwipażów i z pysznego komfortu można wnosić, iż dobrobyt jest w tej chwili dwadzieścia razy większy, aniżeli dawniej.“ Nagle odwraca się karta i przed tem samym społeczeństwem staje inny sędzia zbytku (Rousseau), z wprost przeciwnem zdaniem, ujętem w te słowa: „Zbytek żywi sto osób biednych w naszych miastach, a skazuje na zagładę 100,000 po wsiach. Jednemu braknie odzieży dla tego, że drudzy potrzebują galonów; potrzebne są rozmaite przyprawy w naszej kuchni, i dla tego tylu chorych nie ma bulionu; potrzebne są likiery na naszych stołach, i dla tego wieśniak pije tylko wodę; potrzeba pudru dla naszych peruk, i dla tego tylu ludziom brak chleba... Zbytek jest taką podporą państw, jak Karyatydy zdobiące pałace, albo raczej jak belki, które podpierają mają budynki, zawaleniem się grożące, a często tylko przyspieszają ich ruinę... Gdyby nie było zbytku, nie było-by wcale i biednych.“ Od tego paradoksu już krok tylko jeden do późniejszych słów St. Justa, nazywających bogactwo infamią (*l'opulence est une infamie*), więc krok jeden także i do gilotyny, tej pod względem grozy jedynej w dziejach próby krwawego zniwelowania całego społeczeństwa.

Po upływie stu lat, po przekształceniu zasadniczem ustroju społecznego, po części za sprawą przewrotów gwałtownych, a w większej części drogą normalnej ewolucyi, w sprawie zbytku sytuacja pod względem naukowym i w zakresie stosunków aktualnych dziś tak wygląda na pierwszy rzut oka, jak gdyby nad ludzkością nie przeszła była taka burza, jaka przed wiekiem szalała. W sferze naukowej toczy się dalej odwieczna walka między rygorystami, potępiającymi zbytek bezwarunkowo, lub z pewnemi tylko zastrzeżeniami, a jego obrońcami, występującymi pod hasłem cywilizacyjnem. W bieżącym, tak ożywionym, a nawet rozgorączkowanym sporze powszechnym nad znamionami i przyczynami przesilenia w stosunkach gospodarczo-społecznych, coraz częściej słyszy się z ust apostołów dążności rewolucyjnych pogroźkę, że schyłek XIX wieku przypomina schyłek swojego poprzednika, i w konsekwencji zapowiada też podobny wybuch rewolucyjny. Jest to świeży a wybitny rys ilustracyjny do wypowiedzianych na wstępie uwag o wieczystem panowaniu zbytku i nie kończącej się



nigdy niezgodności zdań co do jego istoty i znaczenia. Dopóki istnieje ludzkość, *penchant au luxe*, oczywiście w złym kierunku, tak samo nie zniknie, jak *penchant au crime*, jeżeli ten ostatni termin kryminalistyczny weźmiemy nie w znaczeniu wrzekomej anormalności fizyczno-psychicznej przestępcy z urodzenia, czyli fatalizmu zbrodniczego, lecz jako ogólne określenie namiętności i popędów, krótko mówiąc, tych niezmiennych właściwości natury ludzkiej, które w danym razie popychają człowieka na pochyłą drogę przestępstwa. Jeszcze i pod tym względem zachodzi analogia między złem wiecznym i również wiecznym złym kierunkiem zbytku, że w jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z Proteusem, umięjącym zmieniać oblicze swoje nieustannie, w miarę, jak się stosunki wogóle zmieniają.

## II.

Po wstępnych uwagach czytelnik w tym szkicu nie może oczekiwać nawet zarysu literatury zbytku. Chodzi nam bowiem głównie o aktualną stronę sprawy w danej chwili, a zarys taki, chociażby najpobieżniejszy, zepchnął-by ten cel na drugi plan, i w dodatku narażał-by na przerachowanie się z rozmiarami, z góry pracy zakreślonymi. Kilka głosów, które tutaj podniesiemy, ma na celu tylko ilustrację tak uwag wstępnych, jak i drogi, po której zdążać będziemy do uwag końcowych.

W opinii rygorystów, potępiających zbytek bezwarunkowo, powyżej zaznaczona analogia nie kończyła-by się na wiecznym trwaniu i wspólności źródła złego wogóle i zbytku przesadnego w naturze ludzkiej. W opinii tej wszelki zbytek, w najszerszem tego słowa znaczeniu, więc nie tylko przesadny, jest jednym z codziennych i powszechnych objawów złego, więc zdrożnością bezwarunkowo szkodliwą, nie podpadającą wprawdzie pod kryterye prawno-karne, jak zdrożności przybierające formę zdeklarowanego przestępstwa, ale, tak samo jak one, napiętnowaną kondemnata społeczo-moralną. Jednym z najwybitniejszych, jeżeli nie najwybitniejszym, współczesnym przedstawicielem takiego skrajnego rygoryzmu w sprawie zbytku jest niedawno zmarły ekonomista Emil de Laveleye, którego monografia o zbytku, w założeniu swoim i całym przeprowadzeniu myśli przewodniej, przypomina powyżej naszkicowaną argumentację Rousseau. Ponieważ w tem wysunięciu rozprawy Laveleye'a na pierwszy plan chodzi nam głównie o wykazanie, że sporność zdań o zbytku jest zawsze jednakowa, taka sama na schyłku naszego, jak przy końcu poprzedniego stulecia, przeto z góry oznaczyć to wypada, że nie poprze-

staniemy, a ze względu na skrajność opinii, poprzestać nie możemy na tym jednym tylko głosie, lecz przedstawimy także wyznawców innych zdań o zbytku.

Laveleye jest niemal tak stanowczym w ośądzeniu zbytku, jak stoicy starożytni, i później, w pierwszych czasach chrześcijaństwa, Ojcowie Kościoła, do których zdania zaraz na wstępie się przyłącza. Dążność rozprawy całej charakteryzuje sam autor zaraz w naczelnym wstępie temi słowy: „Wyczytałem gdzieś zdanie, które trafia zupełnie w samą rdzeń rzeczy. Pewien finansista i pewien ekonomista z poprzedniego wieku wypowiedzieli swoje całkiem sprzeczne zapatrywania, w taki sposób: Mniemam, rzekł pierwszy, że zbytek podtrzymuje państwa. Tak jest,—odpowiedział drugi,—ale w taki sam sposób, jak stryżek podtrzymuje wisielca.“ Podzielał całkiem to zdanie, dodaje autor od siebie bez zastrzeżeń.

Co to jest zbytek? Od tego pytania zaczyna Laveleye rozprawę swoją, a szczególnie ten w pracy uczonego z europejskim rozgłosem także doskonale charakteryzuje rzecz samą. Jak sprzeczniemi były zawsze i są dotąd zdania o zbytku, tak samo sprzeczne, a już co najmniej chwiejne były i być muszą definicje. Przedmiotami zbytku mieni Laveleye wszystkie artykuły, które „nie odpowiadają niezbędnej potrzebie i tylko przez mniejszość mogą być osiągnięte dla tego, że potrzeba na to dużo pieniędzy, a tem samem i wiele pracy. Kto zużywa produkt długiej pracy bez celu rozsądnego, oddaje się zbytkowi. Królowa balu w wirze tańców zdiera suknię koronkową wartości 10,000 franków, i tem niszczy w jednej chwili owoc wyteżającej oko pracy 50,000 godzin. Czy płynie stąd jaka korzyść?

Oba kryteria w tej definicji są chwiejne. Najpierw bowiem nie samo tylko zużycie znacznego nakładu pracy w danym artykule stanowi znamioną cechę zbytku, skoro przecież objawia się on nawet w mniej rygorystycznym traktowaniu rzeczy, nie tylko w zużywaniu takich przedmiotów, nad których wytworzeniem, jak w powyższym przykładzie nad suknią balową, długo pracowała ręka ludzka, lecz także w nadmiernem zużywaniu przedmiotów, które dostały się komu lekkim trudem, głównie dzięki wydatności samych sił przyrody, lub dzięki zbiegowi sprzyjających okoliczności. Powtórę, granice niezbędności potrzeby, w których obrębie, według powyższego określenia istoty zbytku, jeszcze i obfite zużywanie przedmiotów nie stanowiłoby zbytku, są zawsze chwiejne. W XVI stuleciu, w Anglii kominy stanowiły jeszcze nowość, za zbytek poczytywaną, tak samo jak naczynia gliniane, które wówczas drewniane z użytku rugować zaczęły. W średnich wiekach bardzo skromny na dzisiejsze czasy, nawet w klasach niższych, zasób bielizny uchodził za książęcy zbytek,

tak samo, jak wiele innych przedmiotów dzisiejszego codziennego użytku i domowego urządzenia. Nawet ubogi robotnik dziś obejść się nie może w domowym gospodarstwie i wogóle w życiu bez takich przedmiotów, które przed wiekami dostępne były chyba dla najbogatszych ludzi. Gdybyśmy się cofnęli jeszcze dalej wstecz, to znaleźlibyśmy w starożytności daleko więcej uderzające przykłady w powyższym rodzaju. Ciekawych szczegółów dostarcza np. historia stopniowego osławiania zwierząt, z pomiędzy których nie jedno, dziś już w chatach włościańskich uchodzące za drobiazg niezbędny, stanowiło niegdyś artykuł wielko-pański, używany na cenne podarunki. W Grecyi i w Rzymie gęś i kaczka stanowiły taki artykuł, ofiarowywany w darze kochanym dzieciom i kobietom. Przytaczając ten szczegół, jeden z pisarzy francuskich dodaje, że w Bretanii, za czasów Cezara, nawet kury uchodziły za artykuł zbytku. Indyk jeszcze w XVI stuleciu przechadzał się dumnie po wielkopańskich parkach europejskich, i nie potrzebował lękać się kucharza, gdyż stanowił tylko zbytkową dekorację tych parków.

Laveleye musiał oczywiście liczyć się z tą wielką historycznie ewolucją potrzeb ludzkich w kierunku prostym od zbytkowej rzadkości ku powszedniej niezbędności; przytoczył nawet niektóre z powyższych przykładów, ale dodaje przytem, że mimo to nie zmienia swojego zdania, iż „wszystko, co jest drogie i bez czego obejść się można, stanowi przedmiot zbytku.“ Zatrzymał chaotyczną definicyę, która daje się wprawdzie skureczyć dla jego rygoryzmu, w której jednak wygodnie pomieścić się zdoła także i amatorstwo zbytku, zwłaszcza w takim razie, jeżeli oba chwiejne kryteria, niezbędność i drogosc, zatrzymane zostaną bez ściślejszego określenia. W dalszych szczegółowych wywodach swoich Laveleye sam skureczyć zdołał swoją elastyczną definicyę tak dalece, że, chociaż w rozprawie swojej, zresztą na każdym kroku, powołuje się na Baudrillart'a i przyjmuje bez zastrzeżeń określone przezeń, a w naturze ludzkiej i w jej żądach i popędach niezmiennie tkwiące źródło zbytku, to jednak w odpowiedzi na postawione sobie pytanie, czy zbytek może być usprawiedliwionym, zajmuje stanowisko dyamentralnie sprzeczne z tem, jakie Baudrillart w swojej historii zbytku zajął. Kiedy bowiem ten ostatni pisarz, potępiając zbytek nadmierny i bezmyślny w swoich wyrafinowanych kaprysach, nie tylko uznaje uprawnienie godziwego zbytku w rozumnie zakreślonych granicach, lecz nawet widzi w takim zbytku ważny czynnik rozwoju cywilizacji, Laveleye mówi wprost, że „nie uznaje takiej różnicy i przyłącza się do surowej szkoły.“ Żeby to oświadczenie nie było brane tylko w pojęciu względnym, Laveleye jeszcze raz podnosi, że bezwarunkowe potępienie zbytku w pismach starożytych filo-

zofów i Ojców Kościoła powinno być utrzymane nawet i w dzisiejszym stanie nauki, gdyż „w owych czasach nie znano jeszcze ekonomii jako nauki osobnej, lecz przejmowano się miłością dobra i sprawiedliwością, lub w duchu ewangelii miłosierdziem i miłością bliźniego.“ Tak samo więc, jak owi starożytni filozofowie i Ojcowie Kościoła, nawet dobitniej od nich, gdyż nie pod samym hasłem powyższych uczuć, lecz z powagą uczonego, orzeka Laveleye wprost, że „każdy właściwy, prawdziwy zbytek jest nie moralny, nie sprawiedliwy, i niegodny ludzkości.“ Znowu tedy ów demon definicyjny, który w nauce płata tyle figlów nawet najściślejszym i najostroźniejszym autorom, i tutaj także podszedł Laveleye'a, gdyż podyktował w stanowczem wyznaniu wiary o zbytku takie dalsze chwiejne kryteria, jak owe wyrazy „właściwy“ i „prawdziwy,“ którym mógłby przyklasnąć nawet i — Voltairer!

Ale, co prawda, Laveleye przykładami szczegółowemi zakreśla tym kryteriom granice tak ciasne, że, o ile chodzi o intencje rzeczywiste autora, a nie o ich mniej lub więcej szczęśliwy wyraz, nie może być posądzony ani o dwuznaczność, ani nawet o chwiejność w rygoryzmie. I tak np., chociaż wydobywanie i szlifowanie dyamentów zatrudnia wielu robotników, dając im utrzymanie, a nawet bogacąc całe rodziny, Laveleye uważa to za marnotrawstwo pracy, która mogła-by być użytą na produkcję innych, dla życia niezbędnych, artykułów, stawia nawet bogactwa tą drogą zdobywane na równi z zyskami Anglików na sprzedaży opium w Chinach, i woła w końcu: „Czyż nie było-by lepiej, gdyby robotnicy (używani do wydobywania i szlifowania dyamentów) sporządzali obuwie, pończochy i koszule dla tych, którzy tego nie mają. Przyjemniejszy jest dla mnie widok 50 kobiet, z których każda ma na sobie suknię za 20 franków, aniżeli widok damy w stroju balowym, za 1000 franków kupionym. Radość uczuwaną na samą myśl o kraju, gdzie, jak w Norwegii lub w kantonach szwajcarskich, nikt wprawdzie dyamentów nie kupuje, ale za to każdy jest w stanie sprawić sobie to, czego potrzebuje.“ Radość ta jest szczera, gdyż po niej padają dalsze gromy na zbytek, aż w końcu uznany on został w pojęciu za identyczny z nadużyciem.

Nawet wśród rzucania takich gromów nie braknie zboczeń od głównego przedmiotu, w których Laveleye liczy się z chwiejnością definicyi zbytku wogóle. Nie może być inaczej, gdyż w przeciwnym razie musiał-by być popaść w jednostronność i zaślepienie uprzedzenie, niegodne uczonego tak wysokiej miary. Ale żadna z tych dygressyi, nawet otwarte uznanie faktu, że wobec ciągłego doskonalenia środków produkcji i postępu w technice, przedmiot, uchodzący dziś za artykuł zbytku, już jutro stać się może dostępnym dla ogółu bez wielkiego

kosztu, nie powstrzymuje autora od ciągłego powracania do skrajnego rygoryzmu. W takich razach nawet posuwa się jeszcze dalej w tym kierunku, jak gdyby chciał natychmiast z lichwą odebrać to, co zbytkowi chwilowo przyznał. W jednym z takich zwrotów zaostrza kryterya zbytku w postawieniu pytania: „Czy wartość jakiego przedmiotu stoi we właściwym stosunku do trudu i czasu, który konsument miałby poświęcić na to, aby przedmiot ten sam wytworzył? Jeżeli odpowiedź na to pytanie jest twierdząca, to niema zbytku i można taki przedmiot nabywać. Jeżeli jednak dla nabycia jakiego przedmiotu odrywam pracę od pożyteczniejszego przeznaczenia, to postępuję niesłusznie, poświęcając rzecz pożyteczną dla zbytecznej, i robiąc zły użytek z sił własnych, lub z siły moich bliźnich.“ Gdyby to dalsze kryterium miało stać się dla ogółu ścisłą regułą postępowania, to skrupulatniejsi ludzie musieli-by zostać wprost ascetami już z tego powodu, że, nabywając jakikolwiek przedmiot dla niewinnej wygody, lub najskromniejszego komfortu, nie mogli-by absolutnie zmierzyć wartości według powyższej wskazówki. Któż bowiem dojdzie, ile trudu i czasu użyć-by musiał na wytworzenie takiego przedmiotu? Jeżeli-by nawet było możliwem takie obliczenie, to zachodziła-by dla ludzi skrupulatnych kwestya, czy mimo to, ostatecznie, ten trud i czas nie mógł-by być użyty na rzeczy niezbędniejsze dla innych potrzebujących? Rozejrzyjmy się tylko dokoła we własnym domu, weźmy każdy przedmiot takiego domowego urządzenia, które-by z czystem sumieniem można nazwać skromnem, zróbmy rachunek według reguły Laveleye'a, a pewnie jego rygoryzm wyda się nam zamachem już nie na wygodne tylko, lecz nawet na przyzwoite życie w rygorytycznem tego słowa znaczeniu.

Czy mógł jednak uczony tej miary, co Laveleye, mieć dziś na myśli człowieka zrzekającego się wszystkich tych przedmiotów, któremi postęp cywilizacyjny uszlachetnił i upiększył jego tryb i formy życia, czy mógł pomyśleć o powrocie ludzkości do pierwotnego stanu? Nie można oczywiście podsuwać Laveleye'owi takiej myśli dziwacznej, a i on sam zapobiega takiej insynuacji szyderezą uwagą, że dziś człowiek nie mógłby poprzestać na zołędzi, jako na jedynem pożywieniu, a na skórze zwierzęcej, jako jedynej odzieży. Chodzi mu o to tylko, aby wydoskonalenie produkcji ułatwiało jedynie człowiekowi zaspokajanie potrzeb rozumnych, i aby wobec tego celu nie myślano o ciągłem stopniowaniu potrzeb według nieskończonej skali żądz ludzkich, lecz raczej o użyciu wolnego czasu na zaspokajanie potrzeb duchowych. Brzmi to idealnie, i było-by możliwem do urzeczywistnienia — w społeczeństwie idealnem. Jeżeli jednak zstąpimy z tych obłoków idealnych na realny grunt dzisiejszego społeczeństwa i dzisiejsze-

go życia, to przedewszystkiem trzeba-by zapytać uczonego belgijskiego, gdzie jest ta linia demarkacyjna, która w sposób dla każdego widoczny miała-by oddzielać potrzeby rozumne i niezbędne od nierozumnych i zbytecznych? Laveleye mniema, że i owo pojęcie potrzeby „rozumnej“ określił jasno i dokładnie, a tymczasem określenie to każdy, nawet wybredny amator zbytku, może tak samo, jak inne, poprzednio już podniesione, chwiejne kryteria, przyjąć i rozszerzyć tak, aby obejmowało jego aspiracye. „Na co rozum pozwala i co nauka o pielęgnowaniu zdrowia wskazuje“ — tak opiewa to nowe kryterium we wrzekomem objaśnieniu. Czegóżby nie można pomieścić w ramach sankcyi rozumu połączonego z troskliwością o zdrowie? Wszystko na nieskończonej skali życia, począwszy od ascetycznej skromności, a skończywszy na zbytku wyrafinowanym. Laveleye mniema, że dla każdego klimatu i dla każdej pory roku można zakreślić istotnie czy rozumnie potrzebną miarę pożywienia, ubioru i urządzania w pomieszkaniu, jak gdyby pod temi wrzekomemi ograniczeniami już dziś nie umiały się usadowić całkiem wygodnie komfort i moda, więc niewyczerpane źródła pomysłów zbytkowych. Mimo to pewny siebie, mówi dalej Laveleye: „Granica między rozsądną konsumpcją a jej przeciwieństwem nie jest trudną do zakreślenia. Czy zaspokojenie, jakie zapewnia pewien przedmiot, równa się użytemu na jego wytworzenie nakładowi trudu i czasu? Pytanie to trzeba sobie postawić przy osądzeniu każdego poszczególnego wypadku.“ Czyż nie stawialiśmy go już przedtem, gdy jako kryterium zbytkumiało służyć porównanie wartości przedmiotu z trudem i czasem na produkcję potrzebnym? Ale weźmy i to „zaspokojenie,“ jako nową miarę, czy kryterium zbytku, i dajmy na to, że każdy postępował-by według powyższej rady. Pewnie nieby się nie zmieniło, bo po tem wszystkim, cośmy już dotąd o elastyczności takich kryterarów powiedzieli, niema wątpliwości, że nawet sybaryta potrafił-by się rozgrzeszyć w ich obrębie, a więc i w obrębie powyższego, niby rozstrzygającego rzecz, pytania o stosunku „zaspokojenia“ do nakładu czasu i trudu. Chyba sam Laveleye nie rozgrzeszył-by nikogo, ale nie z mocy swych kryterarów zasadniczych, lecz wobec później wypowiedzianego zdania, że raz, rozprawiając o zbytku, wyraził w rozmowie żal z tego powodu, iż ludziom nie zostały dane zamiast nóg, wymagających osłony przed kamieniami i cierniami, wilgocią i t. d. — kopyta końskie, dla których nie potrzeba ani szkarpetek, ani nawet butów! Takie zapatrywanie się indywidualne prędzej można-by nazwać rozstrzygającym, aniżeli poprzednio podane kryteria, ale rozstrzygającym tylko dla tego, kto je wypowiedział i wierzy w możliwość jego zastosowania w życiu.

Tak samo, jak w stosunku do jednostki, ocenia Laveleye zbytek w całym systemie gospodarczym. Zdaniem jego, podobnie jak jednostka, poskramiając zachęcenia do zbytku wiedzące, mogła-by więcej pracować nad udoskonaleniem duchowem, tak i w społeczeństwie wszystkie wydatki, obecnie na zbytkowe rzeczy roztrwaniane, zjednoczyły-by się w pożytecznej dla ogółu produkcji. Dopóki Laveleye mówił o jednostce, można było rygoryzm jego uważać za praktycznie usprawiedliwiony o tyle, że gdyby charaktery wyjątkowej miary moralnej przejmowały się podobnymi zasadami, społeczeństwo miało-by w swoim łonie wiele zachęcających przykładów wyższej abnegacyi, wobec których przynajmniej rażące objawy samowolnego zbytku, jeżeli-by nie ustały całkiem, to przynajmniej nie występowały-by wyzywająco, a w konsekwencji były-by ukrywane i stopniowo może-by znacznie się zmniejszały. Przeniesiony na szeroką widownięć produkcji i obrotu wogóle, rygoryzm ten staje się już prostą utopią, gdyż w takim razie punktem wyjścia musiało-by być chyba przypuszczenie, że człowiek przestanie być takim, jakim był dotąd, a społeczeństwo będzie złożone z samych ludzi takiej miary moralnej, jaka była, jak i będzie zawsze, wyjątkowej. Utopia ta uwydatnia się najlepiej w przykładzie, który Laveleye przytacza w dobrej wierze, na poparcie swoich poglądów rygorystycznych. Weźmy bankiera—mówi—który rocznie wydaje milion na obiady, bale i różne przyjęcia, zniewalając tem gości proszonych do ponoszenia wydatków razem dwa lub trzy razy więcej wynoszących. Magazyny modne, krawcy, fryzjerzy, cukiernicy, sklepy z rozmaitemi artykułami robią w takim razie wyborne interesa, publiczność jest tem zachwycona i mówi sobie: handel idzie świetnie! Nagle zjawia się kaznodzieja, przejęty niezwątlonemi zasadami dzisiejszego kościoła, lecz z gorącym rygoryzmem, który w dawnych wiekach chrześcijaństwa panował, i występuje silnie przeciw zbytkowi. Świat, słysząc go, jest jego słowami poruszony i zmienia się. Niema już balów i przyjęć rozmaitych, a chęć błyszczenia znikła, jakby w społeczeństwie kwaków. Na czem polegać będzie rezultat takiej zmiany? Bankier i jego goście nie zechcą pewnie pieniędzy za okno wyrzucić, lecz będą z nich dalej wydobywać korzyści. A w jaki sposób? Jeden zajmie się gospodarstwem wiejskiem oddawna zaniedbanem, zacznie ulepszać zasiewy, odwadniać grunta, zakładać drogi i odnawiać budynki; drugi rozszerzy swoją fabrykę, a trzeci kupi akcye kolejowe i tem niejako stworzy pewną ilość metrów nowej drogi żelaznej. W ten sposób dla wydobywania odsetków z kapitału rozpocznie się wszędzie praca, zyski przynosząca. Wydawana dędzie i wtedy równa ilość milionów, gdyż nikt ich przecież w ziemi nie zakopie. Pozostanie również i taka sama praca nadal do spełniania, więc rzesza robotni-

ków, szukających w niej środków życia, nie zmniejszy się. Ludzie ci jednak teraz pracować będą już na polach, gdzie ich nie widać, a nie w pracowniach fryzjerskich, cukierniczych i modniarskich, gdzie ich się dziś ciągle widzi. Praca zatem—kończy Laveleye—nie została zaniechana, lecz tylko w inne miejsce przeniesiona. Piękne to marzenie, ale chwila refleksyi wystarczy, aby uznać, że utopią jest cały ten obraz ludzi majątnych, porzucających zabawy, aby wyłącznie na wsi grunta odwadniać, i robotników zdejmujących fartuchy cukiernicze, aby chwycić za kosy i sierpy i t. d.

Wszedłszy na tory utopii, musiał Laveleye iść dalej tą drogą także we wskazywaniu środków zaradczych przeciw zgubnemu zbytkowi. Ale pobożne życzenia, chociażby najskrajniejsze w rygoryzmie wobec rozrzutności marnotrawców, wogóle wobec jednostek, nie są niebezpieczne dla ogółu. Natomiast utopia we wskazywaniu podobnych źródeł zaradczych, na ogólne przekształcenie życia obliczonych, jest z pewnością niebezpieczna, o ile z konieczności obejmować musi przytem ogólne stosunki własności i posiadania, zwłaszcza dziś, gdy utopie i paradoksy różnego rodzaju, i dawne, i nowe, na ten temat osnute, głośną wprost negacyę obecnego ustroju gospodarczo-społecznego, już nie w niewinny książkowy sposób, lecz przez głośną i pożądaną armię proletaryatu. Laveleye wyświadczył rygoryzmowi w traktowaniu zbytku najgorszą przysługę przez to, że zawiódł czytelnika podając wniośki co do takich środków zaradczych, jakie w chwili obecnej musiały-by wzbudzać większą obawę o losy postępu i rozwoju cywilizacyjnego społeczeństwa, aniżeli formalna epidemia zbytku. Zdaniem Laveleye'a bowiem, taki dobry środek zaradczy wskazany został, „może tylko nie dość konsekwentnie,“ przezrewolucyę francuską i twórców francuskiego prawa cywilnego. Polega on na tem, aby własność rozdzielona została pomiędzy jak największą liczbę obywateli. Każdy powinien posiadać kawałek ziemi, jakąś akcyę, jakiś obług przemysłowy, krótko mówiąc, mały kapitał. Własność powinna być zdemokratyzowana, a jeżeli każdy otrzyma zupełny wydatek swojej pracy, to ustanie ten widoczny zbytek, który ekonomia społeczna i chrystyanizm zgodnie potępiają, i który jest nieuniknionem następstwem najskrajniejszej nierówności. Jeżeli potem mechanika naprzód postępująca umożliwi pomnożenie i udoskonalenie produkcji, to jej wyniki będą przynajmniej dla ogółu dostępne.“ Jest to znowu utopia, jeżeli chodzić miało o poskromienie zdołanego i zgubnego zbytku na tej drodze, jako wrzekomo jedynie do celu wiodącej. W tej utopii mamy jedną z tych wielkich idei, o których Taine, opierając się na historycznym przykładzie Francyi, powiedział, że wywołają wielkie nieszczęście, jeżeli wcisną się do głów małych.



A wciska się ona coraz więcej w głowy małe, ale pełne planów wywrotowych.

Teraz znowu powtórzyć wypada to, cośmy już poprzednio raz zaznaczyli. Dochodząc drogą przez siebie obraną do wyniesienia utopii o zrównaniu ludzi w zakresie stosunków posiadania, Laveleye więcej zaszkodził dziś rygoryzmowi moralnemu w ocenianiu zbytku, aniżeli pomógł mu zdołał poprzedniami bystreimi wywodami swojemi. Dziś bowiem nawet zwolennika tego rygoryzmu myśl o przepisaniu społeczeństwu tak heroicznego lekarstwa musiała-by tak zatrwożyć, że, mając przed sobą mniejsze lub większe zło, t. j. wyrafinowany zbytek i niebezpieczeństwo dla ustroju społecznego, który wieki przetrwał, wiedząc ludzkość na coraz wyższy szczebel cywilizacji, musiał-by wybierać pierwsze i patrzeć z rezygnacją na wzrost zbytku po-nad miarę, zakreśloną mu względami moralnymi i gospodarczemi. Było-by to fatalne wyjście w chwili obecnej, gdyż, jak to później zaznaczymy, umiarkowana propaganda rygoryzmu moralnego w traktowaniu zbytku jest nie tylko, jak zawsze, pożądana, lecz staje się koniecznością wobec anormalnej sytuacji gospodarczo-społecznej.

### III.

Że w niezamkniętej nigdy dyskusji naukowej nad istotą zbytku, jego względnem uprawnieniem i rolą w historii cywilizacji w drugiej połowie XIX stulecia, głos mógł zabrać bez narażenia się na zarzut paradoksalności taki krańcowy, stoików rzymskich i Ojców Kościoła do sojuszu przywołujący, rygoryzm moralny, jakiego przedstawicielem jest Laveleye, to stanowi w każdym razie jeden z charakterystycznych rysów dzisiejszych czasów. Są one zbyt poważne, żeby równie śmiało mógł głos zabrać i znaleźć chętnych słuchaczy jeden z takich swawolnych wielbicieli zbytku, jakich wielu wydał wiek poprzedni, za sprawą kwitającego wówczas w Anglii i Francji sensualizmu, który posuwał się czasem aż do rehabilitacji, czy nawet apoteozy, niektórych wad i ułomności moralnych człowieka, jako czynników cywilizacyjnego rozwoju i postępu ludzkości (np. Mandeville). Kto dziś chce bronić zbytku umiarkowanego, jako jednego z takich czynników, i uniknąć przytem otwartej kollizji z panującymi prądami opinii, musi ostatecznie mniej lub więcej oprzeć się o rygoryzm moralny, a dążność skierować tylko do rozszerzenia ram definicyjnych i stępienia zbyt ostrych kryteriów. Jest to zadanie absolutnie nie trudne, gdyż na rozprawie Laveleye'a pokazało się, jak elastyczne są owe ramy i kryteria. Jak na tej samej scenie przez nieznaczne przesunięcie

kulis można stworzyć widoki odmienne, tak na gruncie owych elastycznych definicji i kryteriów zbytku, które skrajny rygoryzm stawia, można przez rozszerzenie ich obwodu wytworzyć dla zbytku tyle miejsca wygodnego, ile go obrońca chce znaleźć.

Tak właśnie postąpił w ostatnich czasach Paweł Leroy-Beaulieu w rozprawie (*de luxe, la fonction de la richesse*—w *Revue des deux mondes* z r. 1894), która już w samym wstępie ujawnia przychylnę, lub, co najmniej, pobłażliwe usposobienie autora dla zbytku. Stwierdziwszy bowiem wielką sporność zdań w sprawie, o którą chodzi, i zaznaczywszy z pewną złośliwą tendencją, że nadaje się ona wybornie do deklamacji moralnych, Leroy-Beaulieu odrazu niemal odmawia moralistom głosu rozstrzygającego. Dla ekonomistów reklamuje autor w sprawie zbytku co najmniej głos równej wagi, gdyż chodzi tutaj także o kierunek, jaki nadać należy, jeżeli nie produkcji wogóle, to przynajmniej jej znacznej części, o wpływ pewnej kategorii potrzeb na rozdział dóbr i na sytuację różnych klas społeczeństwa.

Leroy-Beaulieu zaczyna również rzecz swoją, co stanowi cechę znamioną naukowej strony sprawy, od stwierdzenia chwiejności różnych definicji zbytku. Chociaż jednak autor otwarcie uznaje niepodobieństwo znalezienia absolutnej formuły dla rzeczy tak względnej, chwiejnej i zmiennej, mimo to nie waha się pomnożyć liczby już istniejących określeń swoim własnym, które tak opiewa: „Zbytek polega na części dostatku przewyższającej to, co ogół mieszkańców pewnego kraju, w pewnym określonym czasie, uważa za treść nie tylko samych potrzeb bytu, lecz i przyzwoitego i przyjemnego życia.“ Mamy tedy znowu definicję z tylu niemal chaotycznymi sprawdzianami, ile w niej słów się znajduje. Z chwiejnością zasadniczych kryteriów łączy się w tem określeniu jeszcze brak stałości, tak, że niema rękojmi, czy to, co autor miał na myśli w chwili pisania rozprawy, zgodne jest z tem, co dziś o tem myśli. To, co ma być „treścią przyzwoitego i przyjemnego życia,“ jest tak zmienne, jak moda, więc może być ściśle określone chyba w granicach jednego sezonu. A do tego jeszcze sam autor mówi z góry „o pewnym“ ściśle określonym czasie i o „pewnym kraju,“ więc w ten sposób niejako każdemu czytelnikowi z osobna pozostawia sąd i miarę. Któż bowiem zdoła sprawdzić, jaką jest opinia przez ogół w tej mierze przyjęta? Stawiając taką definicję jako stałą, Leroy-Beaulieu byłby zachwiał swoją opinię uczonego, gdyby zaraz nie był dodał zastrzeżenia, że ostatecznie nie podobna ująć w stałe ramy określenia rzeczy, tak z natury swojej nadzwyczajnie zmiennej, jak zbytek, którego granice przesuwają się nieustannie, w miarę, jak społeczeństwo wzbogaca się i staje coraz wykwintniejszem w swoich potrzebach i sposobach zaspokajania tych potrzeb, wogóle w trybie i w formach życia.

To też nie poprzestając na ogólnem określeniu istoty zbytku, Leroy-Beaulieu więcej na przykładach objaśniać usiłuje swoje poglądy na tę sprawę. W oczach barbarzyńców, którzy zaleli imperyum rzymskie, zbytkiem niesłychanym było-by już samo skromne urządzenie domu rodziny, dziś za ubogą uchodzącej. Chustka, krawatka i t. d. stanowiły-by w ich wyobrażeniu rzecz zupełnie zbędną, nie tylko w stosunku do potrzeb normalnych, lecz nawet ze stanowiska ówczesnego pojmowania wygody, przyjemności i wogóle komfortu. Różnica taka zachodzi także w jednym i tym samym okresie czasu, i to w społeczeństwie zresztą jednolicie zorganizowanym. Sprowadźmy dziś np. człowieka z niższej klasy, który nie wychylał nosa po-za widnokrąg rodzinnej wioski, do pomieszkania mieszczucha, żyjącego z renty. Wszystko, co tam zobaczy, musi wydać się mu zbytkiem niesłychanym, nawet to, co w wyższej klasie od dawna już weszło w sferę potrzeb wygody i przyjemności, tak, iż nważane jest za rzecz niezbędną w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Droga takich refleksyi dojść musiał autor do rozluźnienia wątplych już z założenia swojego karbów naczelnej definicyi, zaznaczając, że w chwiejnych opiniach o zbytku na to wszyscy zgodzić się muszą, iż zbytek pewnej lub jednej klasy staje się z mocy prawideł normalnego rozwoju w innej epoce, lub dla klasy niższej, jeżeli nie rzeczą potrzeby, to przynajmniej przyzwoitości. Jest to bowiem właśnie jedno ze znamion cywilizacyjnego postępu, że pewne przedmioty konsumpcyi z upływem czasu przenoszone są ze sfery zbytku w zakres potrzeb uznanych i już łatwych do zaspokojenia, dzięki udoskonaleniu i ułatwieniu produkcji.

Na zarzuty moralistów, że zbytek podnieca żądze i chęć używania, a tem samem staje się przeszkodą w udoskonaleniu moralnem, odpowiada Leroy-Beaulieu, że można to utrzymywać co do jednostek, ale nie do ogółu. Czyż bowiem w razie przyjęcia się tej ogólnej moralnej kondemnacyi zbytku cywilizacya mogła-by się była tak wysoko rozwiniąć, a tem samem tak ułatwić i uprzyjemnić życie, jak w naszych czasach? Ludzkość rozwijała się nie pod hasłem skrajnego ascetyzmu od pierwszych brząsków kultury. Sam Plato każe prosić bogów o bogactwa, i przez to wcale nie podpada w sprzeczność ze swojemi ideałami. Mówiąc o źródłach zbytku, Leroy-Beaulieu podnosi przedewszystkiem zamiłowanie w ideałach i uważa ten motyw za tak silny, a przytem dobry, że powinien nawet u tak surowych sędziów, jak Laveleye, zjednać przyznanie okoliczności łagodzących dla wpływu innych, za zdrożne uchodzących, źródeł jak np. próżność itd. Ogólne polityczno-społeczne zarzuty, podnoszone przeciw zbytkowi, także nie wydają się francuskiemu ekonomście zupełnie uzasadnionemi, szczególnie w tem uogólnieniu stron ujemnych, jakie się u rygorystów zazwyczaj spotyka.

Nie sam zbytek, lecz życie zbytkowe i rozwiązłe doprowadza społeczeństwo do zniewieściałości i zwyrodnienia. Widzimy przecież w społeczeństwach zdrowych, np. w Anglii dzisiejszej, ludzi młodych z rodów arystokratycznych, wychowanych w tradycjach wielkiego zbytku, a jednak przytem fizycznie i umysłowo zupełnie dzielnych, nawet wyżej rozwiniętych, aniżeli ich rówieśnicy kontynentalni. Zdaniem ekonomisty francuskiego, zbytek dziś nawet nie zaostrza nierówności między klasami i stanami w takim stopniu, jak jego przeciwnicy bezwzględni utrzymują. W tej wielkiej fluktuacji cywilizacyjnej, która zniosła dawno ściśle odgraniczenia społeczne, odgrywa wpływową rolę niezawodnie także i zbytek, w godziwej mierze dla ogółu otwarty i dostępny.

Głównemu zarzutowi Laveleye'a, że czas, użyty na produkcję artykułów zbytku, mógłby posłużyć do wytwarzania rzeczy zaspokajających potrzeby niezbędne, przeciwstawia Leroy-Beaulieu pytanie: czy zdolności produkcyjne człowieka, jego siła inwencyjna i energia w pracy, czy dalej postęp sztuki i wiedzy nie były dotąd i nie są dalej krzepione ciąglem dążeniem ludzi do życia w formach coraz piękniejszych i do urozmaicenia potrzeb; czy nadto społeczeństwo, które nie zlorzezy zbytkowi i nie rzuca na niego potępienia, nie posiada także i w produkcji przedmiotów ogólnej potrzeby nieskończenie większej siły, aniżeli społeczeństwo przeciwnie postępujące? Odpowiedź na to pytanie dają postępy techniki przemysłowej, które nie tylko zmieniły dawne artykuły zbytku na przedmioty powszechnej konsumpcji, lecz nadto niezmiernie ułatwiły i powiększyły produkcję przedmiotów, służących do zaspokojenia pierwszych potrzeb codziennego życia. „Granice zbytku — mówi Leroy-Beaulieu, zamykając ten dział argumentów — usuwają się nieprzerwanie w głąb, co jest wielkiem szczęściem.“ Zaraz potem dodaje autor kryterjum, niezawodnie trafiające do przekonania, ale chwiejne, a raczej wprost nieuchwytno, jak wszystkie poprzednie, że „zdrowym jest zbytek dla ludzi moralnie zdrowych, a niezdrowym dla ludzi z umysłem chorobliwym i skłonny do ekstrawagancji“. Tem zdaniem autor, niby wata, dobrze zatkał sobie uszy wobec wszelkich protestów rygoryzmu moralnego, i już teraz swobodnie wynosi „zdrowy zbytek,“ nie tylko jako upiększenie i uprzyjemnienie życia, lecz nawet jako środek, zapobiegający zgubnemu przeludnieniu, a o ile objawia się w nabywaniu przedmiotów drogich z trwałą wartością, jako środek przygotowania rezerwy majątkowej na złe czasy, więc jako akt przezorności gospodarczej. „Zbytek sądzić należy — mówi wreszcie autor — nie według ekscentryczności, rzadkich zresztą w nowoczesnem społeczeństwie. Co do nas, nie możemy zlorzezyć zbytkowi. Stanowi on, biorąc rzecz ogólnie z pominięciem nadużyć, jeden

z głównych bodźców postępu ludzkiego. Wdzięczna powinna mu być ludzkość za wszystko, co jej dziś ustraja i upiększa życie, nawet za większą część tych ulepszeń, które warunki życia uczyniły zdrowszemi. Zbytek jest rodzicielem sztuki: ani rzeźba, ani malarstwo, ani muzyka, ani spopularyzowane działy sztuki, jak rytownictwo i litografia, nie mogły-by były tak się rozwinąć i rozpowszechnić w społeczeństwie, które-by wypowiadało wojnę zbytkowi.

Po tem otwartem już rozgrzeszeniu się ze skrupułów rygoryzmu moralnego, Leroy-Beaulieu, jak tego po słowach powyższych oczekiwać należało, przechodzi na pole czysto-ekonomiczne, a na niem nie rozprawia się już właściwie ze zbytkiem, lecz ze „społecznymi funkcjami majątku.“ Na pierwszym miejscu stawia autor pod tym względem konserwację majątku łącznie z wytwarzaniem pewnej rezerwy z oszczędności. Nie tylko zbytek, naruszający całość majątku, lecz wogóle wszelkie inne jego uszczuplenia, chociażby na to składać się miały tylko akta nieroztropnej szczodrośliwości, stanowią wykroczenie przeciw powyższemu obowiązkowi, który wkładają na każdego nie tylko względy osobiste i rodzinne, lecz także wyższe interesa społeczne, posiadające w nieuszczupionej całości majątków niejako swój fundusz żelazny. Dalsze funkcje majątku polegają na dostarczaniu środków na takie dzieła filantropii i użyteczności publicznej, które, jako połączone z ryzykiem bez kompensaty w widokach zysku, nie mogą przynęcić do siebie kapitałów spekulacyjnych, wreszcie na bezinteresownych świadczeniach na cele publiczne, dobroczynne i t. d.

Wszystkie funkcje społeczne majątku są w rozprawie francuskiego ekonomisty dokładnie i w sposób przekonujący omówione, ale czytelnik tej drugiej części rozprawy odnieść musi wrażenie, że autor zręcznie skręcił z nim na tory innych kwestyi, a zbytek sam właściwie pozostawił na boku. Jeżeli więc po tem wszystkiem czytelnik, czekający na stanowcze rozwiązanie kwestyi, na wstępie podniesionych, ocknie się wśród tych zboczeń od przedmiotu i przypomni sobie zbytek, jakby zgubiony wśród czytania, to nie będzie wdzięczny autorowi za całe to zboczenie. Ostatecznie bowiem odnieść musi to wrażenie, że wyprowadzony został wprawdzie nie w pole, ale zawsze — na pole z zupełnie zatartemi granicami, do których posunąć się może zbytek, bez obawy o kollizyę już nie tylko ze skrupułami moralnemi, lecz nawet ze ściśle sformułowanemi obowiązkami ekonomicznemi. Najpierw bowiem pominięte są tutaj klasy, które, chociaż nie posiadają majątku, a tem samem nie potrzebują liczyć się skrupulatnie z jego funkcjami społecznemi, faktycznie dopuszczają się zbytku na każdym kroku, i to zbytku najgorszego, bo połączonego z lekkomyślnem zapomnieniem o najbliższej przyszłości i jej nieobliczonych zwrotach,

a powtóre, owe funkcje społeczne majątku, zdane w zastosowaniu z natury rzeczy *à discretion* używających, zawierają, przynajmniej co do wielkich fortun, już nie luki, lecz wrota formalne, przez które wkroczyć może swobodnie i wygodnie zbytek wyrafinowany ze wszystkimi akcesoryjami swojemi.

#### IV.

A gdybyśmy, sprowadzeni już raz przez Leroy-Beaulieu na pole ekonomiczne, posunęli się z czytelnikiem jeszcze dalej w tym kierunku, aby z pozytywnych norm ekonomicznych zaczerpnąć pewne kryteria zbytku, o które, jak widzieliśmy, tak trudno w monografiach, wysuwających względy moralne na pierwszy plan, lub podnoszących wprawdzie względy te razem z gospodarczemi, ale z widoczną predykcją dla pierwszych? Weźmy np. wyborne źródło informacyjne tego rodzaju, dzieło dr. Leona Bilińskiego p. t. *System ekonomii społecznej* (w najświeższym trzecim wydaniu) i szukajmy tam, nie klucza do rozwiązania zagadnień, które stanowią właściwy temat niniejszej pracy, i o ile w nich chodzi o charakter i moralną rolę zbytku w danym stadium rozwoju stosunków ekonomiczno-społecznych, w jednej, stałej na zawsze formule nigdy rozwiązać się nie dadzą, lecz wskazówek dla dyagnozy pozytywnej, nie przesądzającej o samej moralnej ocenie wpływów zbytku w danej chwili.

Już z góry i tutaj nie można sobie wiele obiecywać, skoro sam wstęp, całkiem zresztą trafny, a po tem, cośmy wyżej powiedzieli, łatwy do przewidzenia, tak opiewa: „Pojęcie zbytku zmienia się stosownie do epoki, którą się traktuje, do warstwy społecznej, o którą chodzi, a nawet stosownie do stanowiska oceniającej go osoby. Po-nad to wszystko musi się ze względu na doniosłość gospodarstwa społecznego wyróżnić trzy formy zbytku, t. j. marnotrawstwo, zbytek artystyczny i komfort.“ Marnotrawstwo może być, według wziętego tutaj za podstawę katechizmu ekonomicznego, bezwzględne i względne. Pierwsze zachodzi wtedy, „gdy się spożywa kapitał, czy majątek, lub znaczną część jego, na zaspokojenie potrzeb osobistych, materialnych lub idealnych, bez niemiarknionej konieczności, wywołanej potrzebami niezbędnymi;“ drugie wtedy, „gdy się zaspakaja z dochodów potrzeby materialne z krzywdą dla potrzeb idealnych, lub jedną potrzebę materialną z krzywdą dla drugiej, lub wreszcie, gdy się potrzeby zaspokaja bezrzędnie.“ Do tej ostatniej kategorii należy życie nad stan, nie zużywające wprawdzie kapitałów na marne, gdyż one tutaj wogóle w grę nie wchodzi, lecz mimo to zgubne pod względem społecznym

dlatego, że wywołana w ten sposób „przesadna konsumpcya zbytkowa rozszerza przepaść między warstwami społecznymi, wzbudza zazdrość u warstw niższych i pobudza je do naśladownictwa zgubnego; dalej kieruje kapitały w nadto silnym stosunku ku produkcji wytworów zbytkowych, ze szkodą produkcji wytworów niezbędnych, które przez to wznoszą się w cenie i stają się mniej przystępnymi dla warstw roboczych; a w końcu prowadzi zbyt łatwo do marnotrawstwa bezwzględniego tam, gdzie spożywcza ma wogóle kapitały do przetrwonienia.“

Więc zbiegają się z sobą oba rodzaje marnotrawstwa bezwzględniego, a jego drugi rodzaj znowu niejako podaje rękę dalszej formie zbytku, zbytkowi artystycznemu, który „obejmuje niezwykle zaspokojenie idealnej potrzeby sztuki i nauki,“ i „mógłby się stać marnotrawstwem względnem, gdyby miał w przesadnym stopniu ogarnąć warstwy mniej zamożne,“ a nawet „u ludzi bogatych zbliża się czasem formą, acz nie treścią, do marnotrawstwa względnego.“

Dopiero trzecia forma zbytku, komfort, „objawiający się w dążności do wygody i przyjemności przy zaspokojeniu wszelkich potrzeb materialnych w granicach dochodu,“ oddziela się od poprzednich form zbytku linią graniczną czysto-gospodarczego kryterium, jakie stanowić ma przestrzeganie granicy dochodu, bez względu na jego wysokość, to granica, która jednak dla moralnej oceny zbytku wcale nie może być tak obojętna, jak dla ekonomicznej klasyfikacji. Tylko z ograniczeniem się na tej jednej, gospodarczej stronie kryterium, można uznać z p. dr. Bilińskim, że komfort „stoi sam przez się już na granicy między zbytkiem właściwym, a zaspokojeniem potrzeb tak zwanych zbędnych, a nawet traci zupełnie charakter zbytku w miarę, jak przestaje stanowić konsumpcję niezwykłą, rozpowszechniając się coraz bardziej w narodzie.“

Jeśli by ostatnie zastrzeżenie przewyciężyć mogło skrupuły, które wzbudzać musi chwila cięższego przesilenia ekonomiczno-społecznego, jak np. obecna, to można-by przyłączyć się do dalszej uwagi dr. Bilińskiego, że komfort, tracący, według powyższego zdania i pod powyższem zastrzeżeniem, „zupełnie“ charakter zbytku, staje się „pożytecznym wszechstronnie i pod względem gospodarczym, bo wspiera rozwój tysiąca gałęzi produkcji, mianowicie z dziedziny tak zwanego przemysłu artystycznego; pod względem społecznym, bo, rozpowszechniając konsumpcję przedmiotów o wartości wyzwolonej (wytworów zamiennych, które materialne potrzeby człowieka zaspakajają mają w sposób wyższy, t. j. z uwzględnieniem drzemającego w człowieku pragnienia piękna, elegancji, wygody i t. p.), między warstwami niższymi, zbliża je do warstw wyższych; pod względem obyczajowym, bo wygoda umiarkowana i takąż elegancja uszlachetniają ducha

ludzkiego i rozwijają w ludności uczucie piękna, a chroniąc ją od rozkoszy prostych i szkodliwych, stają tam nawet na straży czystości życia rodzinnego.“ Ostatnia uwaga tyczy się głównie komfortu w pomieszkaniu, uprzyjemniającego pobyt w domu.

Cały ten umiejętny podział zbytku na kategorie nie uchyla oczywiście chwiejności, jaka panuje w opiniach o moralnym charakterze sprawy, ale ma zawsze tę dobrą stronę, że, oddzielając bezwarunkowo potępienia godne marnotrawstwo od zbytku artystycznego i komfortu wyrazistemi liniami demarkacyjnymi, tem samem ściśnia i rozjaśnia teren walki dla ścierających się z sobą opinii. Tylko o dwie ostatnie kategorie zbytku spór może się dalej toczyć, bo co do marnotrawstwa, nawet ścisły rygorizm moralny liczyć może na sojusz poglądów ekonomicznych. Pokazuje się teraz, że sprzeczność opinii o zbytek wogóle musi rozrastać się i zaostrzać w miarę, jak polemizujący autorowie, popadając w jednostronność, tracą chwilowo z oczu owe linie demarkacyjne. W takim razie bowiem często się zdarza, że rygorysty moralni, posuwający się w potępieniu zbytku do skrajnych granic, mają na myśli głównie marnotrawstwo, a przynajmniej przeważnie na tem tle kreślą obrazy i przykłady ilustracyjne dla swoich argumentów potępiających; a obrońcy zbytku, posuwający znowu swój liberalizm do skrajnej miary, mają na myśli głównie szlachetniejsze objawy zbytku artystycznego i komfortu, lub przynajmniej na tem tle kreślą własne piękne obrazy cywilizacyjnych dzieł zbytku. Tem może najlepiej tłumaczy się tak uderzająca czasem sprzeczność opinii i fakt, że temu, kto nie myśli i nie rozbiera rzeczy samodzielnie, każda na pierwszy rzut oka wydaje się nietylko logicznie uzasadnioną i rozwiniętą z raz obranego punktu widzenia, lecz nadto nawet zgodną z objawami, w codziennem życiu spostrzeganemi. Uwaga ta, o ile mieści w sobie zarzut bezmyślnej jednostronności w traktowaniu rzeczy, nie tyczy się bez zastrzeżeń rozpraw uczonych takiej miary, jak poprzednio omówione traktaty Laveleye'a i Leroy-Beaulieu, ale częściowo, mianowicie o ile chodzi o *parti pris* w wyższem, naukowem tego słowa znaczeniu, więc o tendencję naukową, także i tutaj może posłużyć przynajmniej za wskazówkę orientacyjną dla czytelnika.

DR. BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

(Dokończenie nastąpi).



---

# Konfederacya Generalna

## I POSPOLITE RUSZENIE

w roku 1812.

---

Księstwo Warszawskie, utworzone z części pruskiej, nie było wskrzeszeniem dawnego państwa Polskiego, a statut tegoż Księstwa nie stanowił bynajmniej dalszego ciągu „Ustawy Rządowej“ z d. 3 maja 1791 r. Pamiętnikarze i pisarze polscy, zarzucający Napoleonowi niewypełnienie uroczystej obietnicy odbudowania w dawnej wielkości upadłego państwa, opierali swe wywody na dość wątpliwej i nieujętej podstawie <sup>1)</sup>. Po rozbiu Prus (1806 r.), władca Francuzów, wstępując na ziemie niegdys do rzeczypospolitej polskiej należące, mógł istotnie dać niektórym wybitniejszym osobistościom polskim nieokreślone ściślej przyrzeczenie, którego wykonanie zależnem być musiało od okoliczności, jakie się przy układach pokojowych wytworzyły. Nie można też było przypisywać szczególnej wagi zwołaniu pospolitego ruszenia za pośrednictwem uniwersału, podpisanego przez wojewodę Radziwińskiego <sup>2)</sup>; odwołanie się bowiem w tym wypadku do dawnego prawa polskiego było raczej fortelem wojennym, mającym na celu zorganizowanie wojska w kraju nieprzyjacielskim i to z matoryału, należącego do wroga, aniżeli zamiarem odbudowania zburzonego w 1794 r. gmachu państwowego.

---

<sup>1)</sup> Pamiętniki Józefa Wybickiego (wyd. Raczyńskiego) T. 3. str. 6.

<sup>2)</sup> Pamiętniki Wybickiego. T. 3. str. 65.

Dopóki wojna trwała, wspomnienie dawnej Polski nie było dla Napoleona niedogodnem, a nawet, jako środek zatrważania nieprzyjaciół zapowiedzią zniweczenia ich spokoju domowego, okazywało się owo wspomnienie na razie skutecznem. Tymczasowo ustanowiona w ziemiach polskich król. Pruskiego, „Komissya rządowa“ (14 stycz. 1807) stwierdziła wiadomość, że zamieszczone w dekreście cesarskim wyrażenie: „la Pologne prussienne“ ma być zastąpione odpowiedniejszem: „la Pologne conquise sur le Roi de Prusse“. Maret zaś z polecenia Napoleona objaśnił, że pierwotne wyrażenie było prostą pomyłką druku, i drugie wyrażenie tem jest właściwsze, że dla Francyi nie istniała nigdy Polska-pruska, albowiem nie uznała nigdy podziału tego kraju. <sup>1)</sup>

Po zakończonej zwycięstwem Friedladzkiem wojnie, wśród obrad pokojowych, utworzenie drobnego Księstwa Warszawskiego natrafiło na niezwykle trudności. Nawet ukryte pod warszawskiego auctoramentu szatą ziemie pruskiej części stanowiły dla Rossyi, zarówno jak dla Austrii, widmo dawnego państwa polskiego. <sup>2)</sup> Austriya odrzuciła wszelkie propozycye odstąpienia Galicji, w celu zjednoczenia jej w jedno państwo z częścią pruską <sup>3)</sup>, a tymczasem najżywo-tniejsze interesa Napoleona i Francyi domagały się zawarcia pokoju i wyzyskania wawrzynów, w niezwykle krwawych bojach zdobytych <sup>4)</sup>.

Napoleon uprzedzony został przez Prusy w wymyśleniu politycznego conceptu, który ziemiom polskim pruskiej części przeznaczal względnie samoistne stanowisko. Państwo, które się wysilało najbar-

<sup>1)</sup> Protokół czynności Komissyi rządowej z woli Najjaśniejszego Cesarza Francuzów y Króla Włoskiego Napoleona Wielkiego wyznaczoney. Sessyja I. d. 15 stycznia 1807 (Archiwum po byłej Radzie Stanu w Warszawie).

<sup>2)</sup> *Mazade Mémoires du Prince Adam Czartoryski et correspondance avec l'Empereur Alexandre I.* T. 2 str. 90 „La Pologne touchant et à la Prusse et à la Turquie deviendra pour la politique entreprenante et habile de Bonaparte une mine à enflammer, un brandon de discorde et d'anarchie, un moyen de menaces et d'esperance.“ Słowa powyższe zakomunikowane zostały w roku 1806 cesarzowi Alexandrowi — porównac. Bignon „Histoire de France“. str. 620—21. twierdzi, że Księstwo było „un point d'appui formidable contre la Russie et même contre l'Autriche. L'idée d'affranchir un seul hameau de la Pologne suffit pour donner de l'inquietude à la cour de Vienne“

<sup>3)</sup> *Ernouf*—Maret duc de Bassano str. 237. „dans la tentative faite par Napoleon, dès le mois de novembre 1806, pour obtenir l'assentiment de l'Autriche au rétablissement d'une grande partie de la Pologne, en proposant au cabinet de Vienne l'échange de la Gallicie contre la Silésie prussienne“.

<sup>4)</sup> *Ernouf*. Maret duc de Bassano — str. 242—43 „jeszcze w grudniu 1806 roku, zamierzał Napoleon stworzyć obszerniejsze państwo polskie, ale w liście do Józefiny usprawiedliwia się poniekąd: „Plus on est grand, moins on doit avoir de volonté; l'on dépend des évènements et des circonstances... Moi je me déclare le plus esclave des hommes; mon maitre n'a pas d'entrailles, et ce maitre, c'est la nature des choses“.

dziej aby wprowadzić w czyn: „le dessein premedité d'anéantir le genie national Polonais“ <sup>1)</sup> i które w przededniu wybuchającej wojny w 1806 roku zarzuciło w archiwalnym pyle projekt księcia Radziwiłła, domagający się utworzenia osobnego korpusu polskiego <sup>2)</sup>, w chwili zawiązywania się rokowań pokojowych w Tylży, stojąc nad brzegiem przepaści nie wahało się wystąpić z projektami, które Napoleonowi wydały się niemożliwemi do urzeczywistnienia.

Hardenberg przygotował już w Taurogach, dnia 23 czerwca 1807 r., projekt, który brzmi następująco: „1-o Rétablissement d'un Royaume de Pologne, moyennant la rétrocession des provinces ôtées à la Pologne par le dernière partage, excepté le département de Posen et Dantzig, et Thorn qui resteraient à la Prusse, et pour la Russie, ce qu'il lui faut pour les communications nécessaires. Translation du roi de Saxe en Pologne“.

Prusy podług tego ciekawego pomysłu chciały wprawdzie odstąpić Francyi całą Westfalię; „le bas pays de Boireuth“, ale wzamian pragnęły pozyskać, ni mniej, ni więcej, tylko: „la Saxo électorale et la Luzace, la partie des pays de Bamberg et de Würzbourg i t. d. Następnie: „la Prusse devant obtenir la souveraineté de l'Elbe aura Lübeck et Hambourg. Elle acquiert de plus une souveraineté limitée sur les Etats suivans, qui également séparés de l'Allemagne, formeront un système fédératif, sous sa direction: savoir les ducs de Mecklembourg les princes d'Anhalt, Schwarzbourg, Reuss, Stolberg et les maisons ducales de Saxe“ <sup>3)</sup>.

W tydzień później już Hardenberg uważał za stosowne w Pictu-pohnen skreślić nieco skromniejszy projekt. Obejmuje on trzy alternatywy. „Trois alternatives relativement à la Pologne. 1-o Royaume de Pologne ou état séparé sous telle autre denomination laissé au Roi (zdaje się, że Saski). 2-o Réserve du département de Posen à la Prusse. 3-o Réserve du département de Posen au Prince d'Orange, contre Fulda en réservant la souveraineté a la Prusse“. I w tym projekcie

<sup>1)</sup> De l'administration prusienne dans les ci-devant provinces polonaises. Essai pour servir au développement des causes qui ont amené leur séparation de la métropole. Avis aux nouvelles autorités établies sur ces provinces 1808 r. str. 6.

<sup>2)</sup> Denkwürdigkeiten des Staatskanzlers Fürsten von Hardenberg, herausgegeben v. J. v. Ranke. T. 3. Eigenhändige Memoiren Fürsten von Hardenberg. T. 2. 200. „Man hatte einen Augenblick die Absicht besondere polnische Corps zu errichten. Der Prinz Radziwill, Schwiegersonn des Prinzen Ferdinand von Preussen, ein Mann von Talent, den man ueberhaupt besser hätte benutzen sollen, uebergab schon früh im August (1806) ein Memoir, um diese Maasregel wirklich nutzbar zu machen. Es wurde hingelegt und es geschah gar nichts, um sich dor ehemaligen Polen zu versichern.“

<sup>3)</sup> Eigenhändige Memoiren Fürsten von Hardenberg. T. 2. str. 461.

jest mowa o wynagrodzeniu Prus w Saksonii, ale opuszczono przynajmniej myśl postawienia Prus na czele federacyi, wymienionych w pierwszym projekcie państw niemieckich <sup>1)</sup>.

Hardenberg świadom był olbrzymiej klęski, jaką Prusy poniosły w r. 1806 i, przekonany był w duszy, że skołatanej ojezycznio jego nie pozostawiono innego wyboru, prócz płynięcia z biegiem wielkiego strumienia politycznych wypadków. Jako mąż stanu, wzorujący się na Fryderyku II, nie stracił Hardenberg ani na chwilę nadziei, że uda mu się monarchię pruską ocalić od pogromu. Spodziewał się nawet, że może ją zdoła skrzepić, i niezawodnie z tym ukrytym zamiarem skreślił oba projekta <sup>2)</sup>

Rozważywszy pomysły Hardenberga, łatwo dostrzedz wyraźne a niepowściągliwe pragnienie zatrzymania znaczniejszej części ziem ongi polskich, a w końcu choćby tylko departamentu poznańskiego. Zdumieć jednak może ów pomysł wytworzenia Królestwa Polskiego, które dla Cesarza Alexandra stać się musiało źródłem najpoważniejszych niepokojów; zdumieć zaś może tembardziej, że pomysł ów był niejako wywdzięceniem się monarsze Rossyi za to, że kraj ten starał się podźwignąć z ostatecznego upadku. Cesarzowi Alexandrowi I, podsuwał w roku 1804 książę Adam Czartoryski myśl stworzenia Królestwa Polskiego z polskich ziem podwładnych Rossyi, z tym naturalnie warunkiem, ażeby cesarzowie Rossyi byli królami polskimi i aby Królestwo złączonem zostało na zawsze unią personalną z Cesarstwem. Cesarz Alexander I żywił pewne skłonności do powyższego planu, a jeżeli nie zdobył się we właściwym czasie na krok stanowczy, to przeważnie dlatego, aby nie narazić swego stosunku do Austrii i Prus, które-by w tem jego postąpieniu mogły upatrywać przysze zaborecze zamysły <sup>3)</sup>. Niewątpliwie ks. Czartoryski projektami swemi pragnął uprzędzić Napoleona i wykazując niebezpieczeństwo, grożące ruskiemu

<sup>1)</sup> *Eigenhändige Memoiren Fürsten von Hardenberg*. T. 2. str. 495.

<sup>2)</sup> *Eigenhändige Memoiren* i t. d. T. 2. str. 458. (W Szawlach napisane słowa Hardenberga). „Für Preussen war keine Wahl, es musste dem Strome folgen. Hier kam es offenbar darauf an, nach den Umständen, die Existenz der Monarchie, ihre Macht und Selbständigkeit möglichst zu erhalten, *womöglich* zu verstärken.

<sup>3)</sup> *Mazade Mémoires du prince Adam Czartoryski* i t. d. T. 2. str. 63. „L'Empereur de Russie, prenant le titre de roi de Pologne i t. d. str. 158—59. Znajduje się niezwykle ciekawy memoriał księcia, przedstawiony w r. 1806 Cesarzowi Alexandrowi I, sur la nécessité de rétablir la Pologne pour prévenir Bonaparte. Dowodząc, że: c'est dans la Pologne que Bonaparte trouve son point d'appui pour combattre la Russie et pénétrer jusque dans ses anciennes frontières“. Jedynym sposobem usunięcia złego jest ogłoszenie Król. Pol. przez Cesarza Alexandra, wtedy, „en prévenant Bonaparte, tous les avantages de l'initiative seraient pour nous i t. d.

Cesarstwu, w razie gdyby się władcy Francuzów udało wytworzyć na granicy Rosyi niezależne państwo, dowodził, że w mocy Cesarza Alexandra leży zażegnanie nadciągającej burzy, a to za pośrednictwem urzęczywistnienia przedstawionego mu planu.

Zachowawszy względem Prus i Austrii rycerską na wskrós lojalność, mógł się Cesarz Alexander pomysłami Hardenberga uczuć niemile dotkniętym, zwłaszcza, że co do wpływu przyszłego Królestwa na usposobienie sąsiednich ziem, pozostających pod berłem Rosyi, niepodobna było łudzić się ani chwili. Gdy Budberg po bitwie Friedlandzkiej nastawał na dalsze prowadzenie wojny, powołując się przytem na lojalne usposobienie ziem polskich podwładnych Rosyi, ks. Czartoryski oświadczył mu z całą otwartością w przytomności Cesarza, że się oddaje fałszywym iluzjom, albowiem wkroczenie wojsk francuskich na terytoryum Rosyi, wywoła objawy sympatii dla cesarza Francuzów <sup>1)</sup>. Propozycje więc Hardenberga musiały być uważane przez Cesarza Alexandra i jego dyplomacyę, jako chęć ratowania się Prus kosztem wiernego sprzymierzeńca, i to chęć, na którą, z różnych wprawdzie względów, ani Cesarz Alexander, ani Napoleon zgodzić się nie mogli.

Wobec przeświadczenia Cesarza Alexandra I o tem, czem się stać mogło, a nawet musiało odrębne państwo, wytworzone na granicy Rosyi, zamiary Napoleona natrafiały na niezwykle twardą opokę. Geniusz jego dyplomatyczny zdołał wszakże pokonać wszystkie trudności, co tem bardziej podziwiać należy, że mu chodziło przedewszystkiem o pozyskanie w Cesarzu Alexandrze sprzymierzeńca, z którym łącznie wyobrażał pragnął najwyższą potęgę rozjemczą Europy <sup>2)</sup>. Strategię dyplomatyczną rozpoczął Napoleon od zaofiarowania Rosyi nowej linii granicznej w postaci Wisły <sup>3)</sup>, a to w tem przewidywaniu, że rycerski charakter Cesarza Alexandra I nie pozwoli mu przyjąć łupów ze swego sprzymierzeńca. Gdy przewidywania nie zawiody Napoleona, rozpoczęły się nowe zapewnienia, że mu właściwie nigdy o wskrzeszenie

<sup>1)</sup> *Tatitscheff*. Alexandre I et Napoléon. str. 116—117.

<sup>2)</sup> *Tatitscheff*. Alexandre I et Napoléon. str. 231—32. Zachęcając dyplomacyę rosyjską, aby skłaniała Cesarza Alexandra I do zajęcia Moldawii i Wołoszczyzny, Napoleon wyrzekł: „L'Europe n'ou dira rien. Qu'est-ce que l'Europe? Ou est-elle, si c'est n'est entre vous et nous“.

<sup>3)</sup> *Tatitscheff*. Alexandro I et Napoleon, str. 175 porównać. *Eigenhändige Memoiren Fürsten von Hardenberg*. T. 2 str. 472. „Il lui (Benningssenowi) échappa également des propos qui prouvent que les Français, fidèles à leur ancien système de perfidie, ont lâché quelques insinuations, comme quoi la frontière naturelle de la Russie était la Vistule, et qu'ils pourraient bien se résoudre à consentir à un agrandissement à nos dépens.“

dawnego państwa polskiego nie chodziło, że nie pragnął Księstwa Warszawskiego ani dla brata Hieronima, ani dla kogokolwiek innego ze swej rodziny, aby tym sposobem, choćby nawet pośrednio nie graniczył z Rossyą <sup>1)</sup>). Dalej zapewniał Napoleon, że konstytucya Księstwa Warszawskiego nie będzie naruszać spokoju sąsiadów wspomnieniami dawnego porządku i nalegał usilnie aby Rossya dla zaokrąglenia granic wzięła obwód Białostocki z 200,000 ludności, gdyż tem najskuteczniej zapobieży wszelkim podejrzeniom przypuszczającym, że Księstwo przeistoczy się w przyszłości w dawne państwo polskie. W końcu zaś, co najciekawsze, dał do zrozumienia dyplomacyi ruskiej, że ewentualność zjednoczenia Księstwa Warszawskiego z Rossyą nie jest w przyszłości wykluczoną <sup>2)</sup>).

Dla zapewnienia zaś głębszego Cesarza Alexandra o szczerości zamiarów swych, nie omieszczał Napoleon wyrażać się przed monarchą Rossyi z lekceważeniem i obojętnością o Polakach <sup>3)</sup>), przyrzekając prawdopodobnie już wówczas, że Księstwo Warszawskie nie będzie pod żadnym, choćby najdrobniejszym pozorem, służyć do wywoływania widma polskiego, i że nawet w urzędowych aktach nazwa „Polak, polski“ starannie omijaną zostanie. Zapewnienia powyższe zdobyły nareszcie zgodę Cesarza Aleksandra I i w wykonaniu artykułu V traktatu Tylżyckiego, stworzone zostało Księstwo Warszawskie, któremu nadał Napoleon konstytucyę: „propre à remplir nos engagements envers les peuples de Varsovie et de la grande Pologne“ <sup>4)</sup>). Przy Prusach pozostały nie tylko ziemie z pierwszego podziału, ale i z terytoryów zabranych w następnych podziałach, Gdańska np. nie wcielono do obszarów Księstwa, a w dodatku obwód Białostocki przypadł istotnie w udziale Rossyi.

Nowe więc Księstwo zerwało formalnie wszelką spójnię z wiekiem XVIII, a charakter polski przeistoczyło we wszystkich publicznych stosunkach na warszawski i to do tego stopnia, że w końcu roku 1807, minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego musiał przeprowadzać przez radę stanu, aby wolno było powiedzieć „Polak“

<sup>1)</sup> *Tatitscheff*. Alexandre I et Napoléon, str. 176.

<sup>2)</sup> *Tatitscheff*. Alexandre I. et Napoléon, str. 176.

<sup>3)</sup> *Mazado*. Mémoires du prince Adam Czartoryski i t. d. str. 222. Sam cesarz Alexander I opowiadał to księciu „qu'a Tilsit Napoléon s'était exprimé avec beaucoup de légèreté sur tout ce qui tenait à la Pologne et aux Polonais“.

<sup>4)</sup> Statut constitutionnel du Duché de Varsovie, w samym końcu. Dziennik praw Ks. Warszawskiego T. 1.

z Księstwa Warszawskiego, a to opierając się na akcie konstytucyjnym, w którym Napoleon użył wyrażenia „Grande Pologne“<sup>1)</sup>).

W roku 1809 zjawiała się nowa trudność przekonania Cesarza Alexandra o tem, że powiększone częścią po-austrijacką Księstwo nie jest bynajmniej widmem dawnego państwa polskiego. Cesarz Alexander I był w r. 1809 sprzymierzeńcem Napoleona i wojska rosyjskie wkroczyły do Galicyi śladem sprzymierzonych z Francją wojsk Księstwa; nieuniknione względy nakazywały zatem Napoleonowi nie drażnić potężnego alianta i starać się o jego zgodę. I tym razem użyła dyplomacya francuska najmisterniejszych sidła wyrobu Machiavella. Napoleon zapewniał znowu Cesarza Alexandra, że Księstwo zachowa najwierniej swój warszawski charakter, że nazwa Polak, polski, wykreślona zostanie doszczętnie z publicznych dokumentów<sup>2)</sup> i że nareszcie tylko część Galicyi przyłączoną zostanie do Księstwa, wzamian za co Rossya, dla zaokrąglenia granic, zajęć powinna ziemię z ludnością ruską<sup>3)</sup>. Z początku była mowa o Lwowie, ostatecznie jednak pozyskano zgodę na powiększone Księstwo Warszawskie, ustępując Rossyi obwód Tarnopolski z 400,000 ludności<sup>4)</sup>.

Drobne Księstwo Warszawskie z 1807 r. zawiodło oczekiwania tych, co towarzysząc orłom Napoleona na licznych pobojuwiskach, mieli nadzieję, że genialny zdobywca stworzonemu przez siebie państwu powróci pierwiastkowy charakter. Zniczczenie musiało się tembardziej objawić, że tajemniczego a nietrwalego przedziwa dyplomatycznej roboty ogół społeczeństwa odgadnąć i wyrozumieć nigdy nie

<sup>1)</sup> Dziennik czynności rady ministrów i Rady Stanu, zgromadzonej stosownie do woli J. Królewskiej Mości przez JW. hrabię de Schönfeld na sesyi komisji rządzącej d. 5 października 1807 r. S. 42.

<sup>2)</sup> *Vandal. Napoléon et Alexandre I. T. 2. str. 124.* „la dénomination de Pologne et de Polonais serait soigneusement écartée“ na str. 121 czytamy znowu, że Napoleon przez powien czas: „songea d'abord à ériger la Galicie en Etat distinct, en royaume séparé, et à lui donner pour souverain le grand-duc de Wurtemberg. Quant aux varsoviens, ils n'eussent obtenu en ce cas qu'un district, une parcelle insignifiante de la Galicie, prime décernée à leur courage, et leur principale récompense aurait été d'avoir libéré leurs frères. — Porównać *Tatistscheff*. Alexandre et Napoléon 5:4—15 (książkę Wicenyi zawarł nawet z hrabią Rumiancowem koawencyę, której I artykuł brzmiał: „le royaume de Pologne ne sera jamais rétabli,“ a artykuł 2 les hautes parties contractantes s'engagent à veiller à ce que les dénominations de Pologne et de Polonais ne s'appliquent jamais à aucune des parties qui ont précédemment constitué ce royaume, ni à leurs habitants, ni à leurs troupes et disparaissent pour toujours de tout acte officiel ou public de quelque nature, qu'il soit.

<sup>3)</sup> *Tatistscheff*. Alexandre I et Napoléon, str. 503.

<sup>4)</sup> *Vandal. Napoléon et Alexandre I. T. 2. str. 160—porównać Bignon. Souvenirs d'un Diplomate, str. 204*

potrafi i niema przytem subtelnego poczucia granicy, oddzielającej  
możność od absolutnej niemożliwości.

Statut konstytucyjny Księstwa Warszawskiego z dnia 22 lipca 1807 r. nie mógł ujawnić żadnego zewnętrznego związku z „Ustawą rządową“, choćby dla tego powodu, że nie wolno mu było zakłócać spokoju sąsiadów, a tymczasem dawne dzieło sejmu czteroletniego, jak to ks. Czartoryski oświadczył Cesarzowi Alexandrowi: „est gravée en caractères ineffaçables dans les coeurs de tous les Polonais“<sup>1)</sup> i przywrócenie „Ustawy“ w całości, lub przejęcie się zbyt duchem ówczesnych prawodawców było-by zwiastunem powrotu do dawnych stosunków. Zresztą pomiędzy wybitnymi polskimi mężami stanu większość zrozumiała, że w zmienionych okolicznościach, „Ustawa rządowa“ nie odpowiadała-by wszystkim wymaganiom chwili, nie wspominając już o tem, że konstytucyę obszernego niegdyś państwa trudno było wprowadzać bez poważnych zmian do dwumilionowego kraiku.

Małachowski, dawny marszałek sejmu czteroletniego, należący do składu tymczasowej komisji rządzącej, podczas podróży do Drezna nalegał podobno na towarzyszków swoich, aby Napoleona prosili o powrót „Ustawy rządowej“, ale natrafił w łonie samejże komisji na opór. Wybicki odważył się skromnie przedstawić, że sejm konstytucyjny nie był już w nowym duchu czasu, że trzeba było przypuścić całkowitą reprezentacyę narodową, znieść poddaństwo i t. d., co było w „Ustawie rządowej“ zamierzaniem, z przyczyny, że naród niedość jeszcze był się oswoił z tak liberalnemi zasadami<sup>2)</sup>. Że zaś poglądy Wybickiego nie były w owym czasie wyjątkowemi, pozwala przypuszczać zdanie Kollataja, wydrukowane w r. 1808.

Wybitny ten mąż stanu nie wahał się wyrzec: że „Ustawa rządowa“ była wielkiem dobrem, na które zdobyć się mogliśmy w owym czasie, kiedy raz pierwszy odważyliśmy się wydobyć z odwiecznej anarchii, lecz nie może iść w porównanie z tą, którą nam nadał wielki Napoleon. Tamta stosowała się jeszcze do przesądów, których rozsądnie trudno było w owym czasie naruszać bo i tak znaleźli się złośliwi magnaci, którzy ośmielili się targnąć na zniszczenie dzieła powszechnej narodu zgody. Napoleon zaś zniszczył zupełnie te przesady przez swą konstytucyę ze wszechmiar doskonałą. Wreszcie prawodawcy sejmu czteroletniego wyrzekli: że ktokolwiek stanie nogą na polskiej

<sup>1)</sup> *Mazade*. Alexandre I et le prince Czartoryski, str. 143 (pierw. wyd.).

<sup>2)</sup> Pamiętniki Józefa Wybickiego. T. 3. str. 160.



ziemi jest tem samem wolny, a nie śmieli wyrzec, że ten, który się na niej urodził powinien być równie wolny, i sprawiedliwość ludowi naszemu oddał dopiero powszechny Europy prawodawca, na którą my samiśmy się nie mogli zdobyć <sup>1)</sup>.

Pominięcie zatem „Ustawy rządowej“ nie ściągnęło na prawodawcę Księstwa Warszawskiego zbyt wielkiej niechęci, zwłaszcza, że owym prawodawcą był sam twórca Księstwa, który mógł być pewnym wszelkiej pobłażliwości dla swego dzieła, zobowiązującego wszystkich do głębokiej jedynie wdzięczności. Członkowie komisji rządzącej pragnęli ułożyć jakiś projekt, który-by prawodawcę skłonił do uwzględnienia warunków miejscowych w Statucie konstytucyjnym, ale, jak świadczy Wybicki, zamiar nie został należycie wykonany. Gdy bowiem Potocki z Wybickim zebrali niektóre punkta do konstytucyi, idąc do Napoleona, już w drodze na nie zgody nie było. Zresztą świadek naoczny i uczestnik deputacyi do Cesarza, do której cała komisya należała, opisuje Wybicki w następujący sposób uroczystą audyencyę w Dreźnie u Napoleona. — Na zapytanie Cesarza: macież jaki projekt konstytucyi waszej? Potocki to, co się krótko ułożyło, począł czytać. Nie dał dokończyć, mówiąc: dziś wam trzeba dać inną konstytucyę reprezentacyjną. Poczyniwszy wyrzuty niezgody, dążności do anarchii, kończył: zniósę u was najpierw poddaństwo i dam wam konstytucyę reprezentacyjną pod berłem króla Saskiego i jego dynastyą. Dyktował ją prędko, chodząc po pokoju, a ksiązę Bassano ledwo ją zdążył pisać przez abrewiacyę i to prawie na kolanie. Ksiązę Tailerand później przybył, odezwał się do niego: wiele wygody potrzebujesz, a ja już nadanie konstytucyi nowemu krajowi kończę—i tu z wielką radością powtórzył:—zniósłem odwieczne poddaństwo w Polsce i to mych zwycięstw laur najmilszy. — Dyktowanie to konstytucyi nie trwało godzinę i było bez porządku, zwyczajnie jak dzieło przechadzki. Redakcyę jej zalecał tylko uporządkować księciu de Bassano, który nic nie mówiąc kłaniał się tylko i my to samo za jego przykładem, a gdy ją później uporządkował, oddał nam i królowi saskiemu po egzemplarzu <sup>2)</sup>.

Scena powyższa, nosząca na sobie ślady prawdziwości, nie znalazła potwierdzenia u innych pisarzy współczesnych. Koźmian utrzymywał: „że konstytucya dla tego drobnego Księstwa przez Stanisława Potockiego za wyrazami samego cesarza na kolanie z pośpiechem kre-

---

<sup>1)</sup> Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi polskiej i t. d. — str. 203, 204.

<sup>2)</sup> Pamiętniki J. Wybickiego. T. 3. str. 164.

ślona była<sup>1)</sup>, a Ostrowskiemu, w żywocie Tomasza Ostrowskiego, niegdyś prezesa senatu Księstwa Warszawskiego, wydawał się Statut z 1807 roku „jakby na koniu, w chwili jakiej szczęśliwej dystrakcyi wielkiego wojownika, jako prawo dla nieszczęśliwego narodu podpisaną, a czas poświęcony na jej ułożenie był niezmiernie krótki. Bassano! écrivez moi un plan de constitution pour le grand-duché, rozkazał Napoleon i w dwa dni dzieło to było zrobionem<sup>2)</sup>).

Najwięcej wiarogodności posiada bezwątpienia opowieść Wybickiego, który spisał to, na co sam patrzył. Talleyrand w swych pamiętnikach nie wspomniął ani jednym słowem o nadaniu konstytucyi Księstwu Warszawskiemu, zarówno jak i o uroczystej audyencyi, przy której miał asystować<sup>3)</sup>, Za to Bignon i Maret nie zapomnieli o powyższym fakcie, który w historii pierwszego cesarstwa zaledwie podrzędny stanowił fragment. Bignon utrzymywał, że konstytucya Księstwa powstała za wspólnem porozumieniem się rządu francuskiego z komisyją rządową tymczasową i królem saskim<sup>4)</sup>. Maret zaś objaśnia nas dokładniej i z dzieła Ernoufa, jego działalności poświęconego, dowiadujemy się, że „ce statut (Księstwa Warsz.) concerté avec la commission de gouvernement provisoire réunie a Dresde, fut rédigé par le ministre secrétaire d'Etat (t. j. przez Mareta). Następnie w wykonywaniu powyższego zadania posługiwał się Maret szczególnie sekretarzem swym, Etienne, pisarzem wybitnym (litterateur distingué), który, tak samo jak i on, nie oddzielał w swem poświęceniu Francyi od cesarza<sup>5)</sup>).

„Dans cet statut polonais Maret s'était efforcé de maintenir les anciennes institutions nationales, dans tout ce qui pourrait concorder avec les exigences de la situation et des temps nouveaux<sup>6)</sup>“. O uwzględnieniu zaś jakiegokolwiek projektu, podanego przez Stanisława Potockiego w imieniu komisyji rządzącej, niema żadnej wzmianki i można wątpić

<sup>1)</sup> Pamiętniki Kajotana Koźmiana. T. 2. str. 3.

<sup>2)</sup> *Ant. Ostrowski*. Żywot Tomasza Ostrowskiego. T. 1. str. 275—autor dopuścił się w tej krótkiej wzmiance dwóch błędów. 1-o. Napoleon nie mógł żądać napisania konstytucyi dla Wielkiego Księstwa, gdyż urzeczywistnionym jego zamiarem było tylko Księstwo, a 2-o w r. 1807 Napoleon nie mógł nazywać Mareta „Bassano“, gdyż tytuł księcia de Bassano ofiarowany mu został w r. 1809, a na statucie z 1807 r. podpisany jest „Maret“ i dopiero w końcu tego roku został hrabią Maret. Tego błędu dopuścił się i Wybicki.

<sup>3)</sup> *Mémoires du prince de Talleyrand publiés avec une préface et des notes par le duc de Broglie*. T. 1, <sup>3</sup>str. 313 i dalsze.

<sup>4)</sup> *Souvenirs d'un diplomate*, str. 19, interesująco i pociągająco wspomnienia Bignona ukazały się w polskim przekładzie w odcinku „Czasu“ za r. 1861.

<sup>5)</sup> *Ernouf*. Maret duc de Bassano, str. 243.

<sup>6)</sup> *Ernouf*. Maret duc de Bassano, str. 33.

czy na piśmie został do akt komissyi wniesiony, albowiem w protokółach rzeczonej komissyi nie znajdujemy śladu, zdradzającego jego istnienie.

Skarbek wątpi również, ażeby Polacy lub deputacya jaka, w ich imieniu działająca, przedstawiła Napoleonowi jakibądź projekt konstytucyi. Wiadomo bowiem, są to jego słowa, że nikt ze strony cesarza nie zasięgał rad u krajowców względem formy rządów Księstwu nadać się mającej i że nie było takiego między Polakami, który-by mógł wpływać jakkolwiek na zdanie Napoleona przy zaprowadzeniu nowych rządów. Jest on także tego zdania, że konstytucya z 1807 r. napisaną została pod okiem samego Cesarza, podczas trzech dni zabaw i uroczystości, ale dalekim jest od uwierzenia legendzie, podanej przez Koźmiana (Wybickiego pamiętników widocznie nie znał), a utrzymującej, że statut z 1807 r., za wyrazami samego Cesarza, przez Stanisława Potockiego na kolanie napisany został. Nie zdaje się nam, zauważył trafnie Skarbek, aby dzieło dobrze obmyślane, które się odznaczało wielką przezornością polityczną, zasługiwało na taki przyczynek, zadający mu lekkomyślność w pojęciu i wykonaniu <sup>1)</sup>.

Istotnie, rozpatrzywszy się uważnie w owych 89 krótkich artykułach statutu, niemożliwym jest przypuszczenie, ażeby powyższe dzieło prawodawcze było owocem przypadkowego skupienia rozproszonych myśli choćby najgenialniejszego człowieka. Jako prawodawcza robota, statut z 1807 r. ujawnia niewątpliwie wysokie przymioty. Przewodnie idee prawa państwowego zostały w nim ujęte z wzorową ścisłością i treściwością, a usunięto natomiast starannie wszelkie ogólne wyrażenia, zmieniające charakter prawno-państwowy przepisu na frazes polityczny. Zresztą systematyczny ład, panujący w statucie, nakazywał domyślać się, że powyższe dzieło prawodawcze obmyślanem zostało uprzednio, a opracowanem przez męża stanu niezaprzeczonej zdolności i doświadczenia.

Scena opisana przez Wybickiego mogła z tem wszystkiem mieć miejsce. Wiadomo, że Napoleon lubił wystąpienia imponujące, które uwydatniały w olśniewający sposób jego geniusz wojenny, dyplomatyczny lub prawodawczy. Zwłaszcza jako piastun zasad rewolucyjnych, chciał może zaznaczyć wobec deputacyi polskiej, jaką wagę przypisuje artykułowi IV statutu, znoszącemu niewolę ludu rolnego, i w tym celu urządził ową charakterystyczną audyencyę, która tak żywo utkwiała w pamięci Wybickiemu. Z uwagi zaś, że król saski przyjąć musiał wraz z Księstwem konstytucyę z 1807 r, i do tego samego kroku znie-

<sup>1)</sup> Dzieje Polski, część I. Dzieje Księstwa Warszawskiego, str. 133.

woloną została komissya rządząca, która w pełnym składzie statut Księstwa podpisała, przeto zamieszczono w samej konstytucyi wyrażenie, pozwalające się domyślać, że owo dzieło prawodawcze powstało za wspólnem porozumieniem się króla saskiego, rządu prowizorycznego i rządu francuskiego <sup>1)</sup>.

Duch nowożytnego porządku (*régime moderne*) panował zatem wszechwładnie i niepodzielnie w statucie z 1807 r. nie potrzebując się wcale liczyć z żywiołami miejscowemi. Kollataj nie miał co do tego żadnej wątpliwości, twierdząc, że Napoleon, dając konstytucyę małemu Księstwu, przystosował ją zupełnie do powszechnych zasad nowej polityki. Pragnął on przez zastosowanie onej do powszechnych zasad całego Imperyum zachodniego, usposobienia nas, abyśmy się stali godnemi należeć do tej wielkiej oświeconych ludów Rzeczypospolitej <sup>2)</sup>. Redaktor wszakże statutu z 1807 r., Maret, starał się uwzględnić właściwości narodowe, zgodne z postępem i z wymaganiami czasu. Bignon zaś nazywa statut 1807 r. najdoskonalszą ze wszystkich Napoleońskich konstytucyi, a to głównie dla tego, że przewodnie idee nie zostały przeprowadzone z bezduszną surowością, lecz z uwzględnieniem należytem natury społeczeństwa miejscowego i dawnych narodowych tradycyi <sup>3)</sup>. Nie bez naukowego interesu będzie więc stwierdzenie tych objawów, które Maret, zarówno jak i Bignon, uważali za odstępstwo od Napoleońskich wzorów konstytucyjnych, zwłaszcza, że i nowożytni historycy zagraniczni twierdzili to samo. Ranke np., wykazując, że Napoleon wprowadzał zazwyczaj razem z urządzeniami francuskimi rewolucyjne hasła i prądy, przyznał wszelako, że bezwzględny zwykle prawodawca okazał tym razem wielkie poszanowanie dla istniejącego w Księstwie porządku <sup>4)</sup>. Inny zaś pisarz niemiecki, zastanawiając się nad kwestyą agrarną w Księstwie, oświadczył bez ogródki, że w kraiku tym roz-

<sup>1)</sup> W końcu statutu konstytucyjnego następuje wyrażenie nasuwające powyższą uwagę: *Nous avons approuvé et approuvons le statut constitutionnel ci-dessus, qui nous a été présenté en exécution à l'article V du traité de Tilsit.*

<sup>2)</sup> Uwagi nad położeniem tej części ziemi i t. d. str. 181 i 201.

<sup>3)</sup> *Souvenirs d'un diplomate*, str. 19 i 20. „De toutes les constitutions que la France dans ses jours de grandeur a données ou imposées à des nations étrangères peut-être celle de Varsovie a-t-elle été la plus sage, la mieux appropriée au pays, la plus conforme aux intérêts généraux de l'humanité“.

<sup>4)</sup> *Ranke. Denkwürdigkeiten des Staatskanzlers Fürsten von Hardenberg vom Jahr 1806 bis zum Jahre 1813.* T. 4 str. 96: „was insofern doch eine Bedeutung für die Ausbildung der revolutionären Ideen hat, als französische Einrichtungen, wiewohl mit grosser Schonung des Bestehenden eingeführt wurden und die ihnen zu Grunde liegenden Begriffe sich weiter Bahn machten.“

panoszyła się napowrót dawna gospodarka szlachecka (Adelsherrschaft<sup>1)</sup>).

Zarówno Maret, jak i Bignon, uważali zasadniczo statut Księstwa za poczęty z ducha organizacyi cesarstwa z r. 1804. „Władza wykonawcza spoczywała w rękach monarchy, który na wniosek rady stanu mógł uzupełniać konstytucyę i prawodawstwo krajowe. Izba poselska skąpą swą działalnością i ograniczoną swobodą poselskiego głosu w komisjach<sup>2)</sup> przypominała Cesarski Trybunał. Administracya i sądownictwo otrzymały nawet nazwy francuskie, prawo cywilne zastąpił kodeks Napoleona, a artykuł IV konstytucyi Księstwa, z którego się Napoleon tak chlubił, da się odszukać we wszystkich prawie statutach organicznych, nadanych przez Napoleona krajom zwyciężonym i czasowo okupowanym. „Tylko najważniejszy, bo życie i wolność osobistą dotykający części prawodawstwa, to jest prawodawstwa kryminalnego nie dostawało. Równie Process, czyli postępowanie sądowe, kodeks handlowy, policyjny i dokładne zastosowanie sądownictwa do wszelkich działań administracyjnych jeszcze postanowienia oczekują“<sup>3)</sup>.

Mimo to, zarówno Maret, jak i Bignon, zaznaczyli zgodnie, że statutowi Księstwa zachował monarszy prawodawca przede wszystkim charakter arystokratyczny. W senacie Księstwa, czyli izbie wyższej, panował żywioł szlachecki wyłącznie, w izbie poselskiej na stu posłów sześćdziesięciu należało do szlachty, a czterdziestu zaledwie do niższych stanów. Przewagę pierwiastku szlacheckiego uważali jednak obaj mężowie stanu francuscy za konieczną w tych okolicznościach, w jakich się znajdowało społeczeństwo świeżo utworzonego państewka. Stanu bowiem miejskiego, czyli tego, który we Francyi został nazwany „tiers état“ w Księstwie jeszcze nie było, a przynajmniej nie znajdował się w stadium pożądanego rozwoju. Lud rolniczy zaś, czyli włościanie, nie zdołali w jednej chwili pozbyć się nawyknień, nabytych w wiekowej niewoli, nie można więc było na razie wyswobodzenia czynić zbyt wygórowanem. Artykuł wreszcie IV statutu z 1807 r. zapobiegał, zdaniem Mareta i Bignona, temu, aby przewaga pierwiastku szlacheckiego mogła się kiedykolwiek przerodzić w niewolę. Po artykule powyższym

<sup>1)</sup> Keil. Die Landgemeinde in den östlichen Provinzen Preussens, str. 77, wyraża się o Księstwie Warszawskiem „in die alte Adelsherrschaft zurückfallende Polen itd.“

<sup>2)</sup> Porównać artykuły 46—48—49 statutu Księstwa z artykułami znajdującymi się w Titre XI (Du Tribunal) Senatus-Consulte organique portant établissement du gouvernement Impérial. (18 maj 1804 r.) patrz Laferrrière. Les constitutions d'Europe et d'Amérique, str. CIV.

<sup>3)</sup> Mowa (obraz kraju wystawijąca) JW. Łuszczewskiego min. spr. wewn. miana na pierwszej sessyi sejmowej w izbie senatorskiej dnia 10 marca 1809 r. str. 8,

obiecowali sobie mężowie stanu francuscy duży wpływ na ościenne kraje, posiadające włościan polskich <sup>1)</sup>).

Jakkolwiek izba poselska wzorowała się na trybunacie cesarskim, to jednak, gdy działalność trybunatu we Francyi zredukowaną została do minimum <sup>2)</sup>, w Księstwie izba poselska stała się drogą pozostałością i wspomnieniem reprezentacji narodowej, a głosy poselskie w tym małym kraiku były jedynemi, które przerywały absolutną ciszę mocarstw ościennych. Ponieważ posłom nie wolno było zabierać głosu, jak tylko w komisyjach, przeto wytworzył się zwyczaj odbywania sessyi nieoficyalnych, na których swoboda głosu nie była krępowaną i gdzie poddawano dyskusyi projekta, krytykowano rząd i zastanawiano się nad potrzebnymi reformami <sup>3)</sup>. Wreszcie senat dochował dawne godności biskupów, wojewodów, kasztelanów, a w Księstwie godność senatora uważaną była za wyższą od funkcyonującego ministra, co zadziwiło nie pomału Bignonu <sup>4)</sup>. Marat z Bignonem zgodzili się też mniej więcej na to, że w ówczesnych okolicznościach nie można było Księstwu nadać lepszego statutu, i że choćby nawet niewłaściwie był uzupełnionym, to i tak rzucony został przezeń cenny posiew, którego dobroczynnych skutków przyszłość zniweczyć nie będzie w możności <sup>5)</sup>.

Nie mniej pochlebnego ocenienia doczekał się statut od ówczesnych uczonych i mężów stanu polskich. Kołłątaj w roku 1808, wskazując na trudności, jakimi krępowani byli prawodawcy sejmu czteroletniego, oświadcza, że wszystkie te trudności (federalizm i anarchia) znikły w obliczu przenikłego dowcipu naszego prawodawcy. Duch prowincjonalizmu upadał na zawsze w tej konstytucyi, każda część ziemi, która kiedykolwiek przyłączy się do Księstwa Warszawskiego, nie będzie więcej dzieloną na prowincye i województwa, lecz na departamenty, które natychmiast wezmą też samą organizacyę. Aby przekonać

<sup>1)</sup> *Ernouf*. Marat duc de Bassano, str. 245. Porównać Bignon—Souvenirs d'un diplomate, str. 20.

<sup>2)</sup> *Bignon*. Souvenirs d'un diplomate, str. 250. „Depuis la suppression du Tribunal en France, il n'y avait plus sur le continent d'autre tribune politique que celle du duché de Varsovie.

<sup>3)</sup> *Bignon*. Souvenirs i t. d. str. 157—58. „La liberté de discussion inhérente au gouvernement représentatif se faisait jour à travers toutes les entraves et d'une façon vraiment curieuse“ Dopóki marszałek przewodniczył sessyom, obserwowano ściśle konstytucyjny regulamin, lecz gdy marszałek sejmu sessyę zamknął, rozpoczynała się druga nieoficyalna „dans laquelle l'assemblée se dédommageait amplement du rôle muet auquel elle avait été condamnée.“

<sup>4)</sup> *Bignon* Souvenirs i t. d. str. 111.

<sup>5)</sup> *Ernouf*. Marat duc de Bassano, str. 24 i *Bignon* Souvenirs d'un diplomate str. 20.

tych, co pomawiali artykuł IV statutu o skłonności demokratyczne, że nie mieli słuszności po swej stronie, nie omieszkał Kołłątaj powołać się na powagę Kanta „filozofa królewieckiego.“ Nawet dobroczynny prawodawca, nadając nam swój kodeks, zdaniem Kołłątaja, nie miał na myśli naszego poniżenia, nie odjął nam wolności stanowienia praw, ale nas chciał tylko zbliżyć do jedności z tyłu oświeconymi ludami, i dać sposób, abyśmy na jednej osnowie pracowali około wydoskonalenia powszechnego prawodawstwa. Wolno nam poprawiać, wolno nam powiększać tę powszechną ludów oświeconych księgę, a jeżeli okażemy się zdolnymi przydać do niej co pożytecznego, bądźmy pewni, że znajdziemy w tej mierze bezstronnych sędziów i naśladowców.

Artykułowi IV statutu, a przedewszystkiem pojęciu równości prawnej, wzbudzającemu najwięcej drażliwości swem ogólnikowem wyrażeniem, poświęcił uwagę Woronicz, w podniosłem i głębokiem kazaniu, wygłoszonym dnia 10 marca 1809 roku

Wskazując szlachcie obowiązek oświecania i wspomagania włościan, jako pierwszy i najważniejszy z wypływających z miłości kraju i dobrze zrozumianego ducha statutu, Woronicz ostrzega, aby wynikająca z konstytucyi równość w obliczu prawa — opacznie zrozumiana, niedorosłych dzieci o wspólne macierzyste miano nie poróżniła. Woronicz pragnie zażegnać groźne widmo socyalnych waśni miłością chrześcijańską bliźniego, która winna przeniknąć etykę polityczną i przewodniczyć czynom prawnego obywatela. „Któż bowiem inaczej tę polityczną i rozumną równość z rzeczywistą nierównością sił fizycznych. talentów, wychowania zręcznie pogodzi? Kto dopełni te ogromne i rozległe przerwy między położeniem, majątkiem, pomyślnością, znaczeniem tych tak daleko odsunionych? Kto ugłaska rozdrażnione chluci i żądze. aby w nędzy i dolegliwości nie rzuciły się na to, co drugiemu, na łonie roskoszy drzemiącemu, od potrzeby zbywa? O wy! którzy się nie w księgach rozumowych, ale w sercu człowieka niepomylnego rozumu uczycie, miejcie rozum i pobaczenie, aby ten język do reszty między wami nie zaginął, który jeden mocny jest przekonać Łazarza przed bramą bogacza na śmieciu leżącego, aby swą nędzę miłował i bogaczowi losu jego nie zajrzał, który jeden zdolny jest tę nierówną równość tak trafnie i ściśle porównać, aby dla porządku i dobra ogólnego, brat bratu należnego sobie miejsca ustąpił, a słuował i szanował tego, któremu rozkazywać może, ten język nakoniec, który jeden jest w stanie natchnąć czarodziejskie posłuszeństwo swym cegiełkom w kształcie i naturze równym <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> *Woronicza*—Pisma rozmaite. Kraków. 1832. Kazanie przy pierwszym otwarciu sejmu głównego Ks. Warszawskiego, 10 marca 1809 r. Str. 184 i 196. — Kazanie

Wybicki nazwał konstytucyę Księstwa „bardzo stosowną do czasu i reprezentacyi samowładności krajowej charakter mającą“, <sup>1)</sup> a Stanisław Małachowski, ten sam, który doradzał aby proszono Napoleona o powrót „Ustawy rządowej“, w pierwszym swoim przemówieniu jako prezes senatu, nazwał statut Księstwa mądrym i, spełniając życzenia kolegów, prosił monarchę o pozwolenie ucałowania dobroczynnej jego ręki, jak tego dawny zwyczaj polski, od senatorów zajmujących po raz pierwszy swoje miejsce, wymagał <sup>2)</sup>. Ciekawym jednak ze wszech miar jest pogląd na statut z r. 1807 posła Maryampolskiego Godlewskiego, wyrażony w r. 1811, gdy tenże poseł stał na czele opozycyi rządowi. Bignon opisuje, że nawet książę Józef Poniatowski nie mógł wybaczyć Godlewskiemu surowej krytyki, jaką zastosował do wszystkich instytucyi Księstwa, i że w chwili podrażnienia oświadczył mu wprost, że zasłużył sobie na dekoracyę od nieprzyjaciół kraju, <sup>3)</sup> a Niemcewicz, stwierdzając fakt, że się Godlewski stał człowiekiem publiczności, dodał z widocznym uprzedzeniem: „byli, którzy go mienili być narzędziem kilku u nas Kancistów, którzy zyskowne posiadający miejsca, że w Królewcu filozofii Kanta słuchali, mając wszystkich za głupich i najwyższe miejsca za siebie tylko winne uważają“ <sup>4)</sup>.

Otóż ten mąż pracujący na korzyść nieprzyjaciół, ten Kancista, uważający wszystkich za głupców, nazwał statut z 1807 r. świętym, a źródło złego upatrywał w niedostatecznym, a często błędnym jego rozwinięciu. Nadał nam bohater świata i mądry prawodawca statut konstytucyjny, są słowa Godlewskiego, zapewnił wolność i bezpieczeństwo mieszkańców przez gruntowne, dla tego w ogólnych zarysach przepisane zasady, aby one do naszego charakteru i ducha, do położenia i okoliczności kraju zastosować łatwiej można było. Potrzebę nawet tego w art. 86 statutu wskazał. Dowiódł aż nadto, jak nas chce uszczęśliwić i do tego wystarczającą podał sposobność.—Wyłożywszy zarysy główne statutu konstytucyjnego, przemawia Godlewski w następujący sposób: „Mógł-że jeszcze co więcej dla uszczęśliwienia nas postanowić dobroczynny nasz wskrzesiciel? Możnaż doskonalszego w takim rzeczy stanie i widoku żądać statutu? trzebaż było przy ener-

---

powyższe wyszło z drukarni rządowej w tłumaczeniu francuskim Tęgoborskiego p. t.: „Discours prononcé dans la Cathédrale de Varsovie lors de l'ouverture de la première Assemblée nationale du Duché de Varsovie.

<sup>1)</sup> Pamiętniki, tom 3, str. 161.

<sup>2)</sup> Rede S. Exc. des Herrn Grafen Stanislaus von Malachowski, Praesidenten des Senats bey Eröffnung der ersten Senatssitzung den December 1808,

<sup>3)</sup> Souvenirs d'un diplomate, str. 161.

<sup>4)</sup> Pamiętniki Juljana Ursyna Niemcewicza 1811—1820. T. I. str. 288—89.



gii i miłości ojczyzny mieszkańców, więcej sposobności wybranym od monarchy do styru rządu, dla uczynienia kraju w miarę okoliczności męznym i rządym. Czy trzeba lepszej łatwości dla założenia fundamentów do przyszłego szczęścia i pomyślności, dla zobowiązania sobie mieszkańców i dla unieśmiertelnienia ich sławy? Niestety! znaleziono w tym świętym statucie trudności do zaprowadzenia jasnej, prostej, dla mieszkańców dogodnej i do bogactwa kraju stosownej administracyi, a upatrzone potrzebę, czy obowiązek naśladowania rządów państw wielkich i bogatych, do przejmowania od nich różnych cząstkowych urzędzeń, składających machinę, której ani części między sobą i ogółem, ani ogółu ciężar z siłą, która go poruszać ma, nie są w stosunku<sup>1)</sup>. Słowa powyższe będą dostatecznymi, aby przekonać każdego o tem, z jaką czcią pozostawał Godlewski dla statutu, i że groty opozycyjne wymierzał jedynie przeciwko nieudolnemu w wielu razach jego rozwinięciu i wykonaniu.

Pozostaje jeszcze jedna uwaga do uczynienia, a mianowicie, jak się na statut z 1807 r. zapatrywali współcześni obywatele gmin i czy ich przewaga szlachty w organach reprezentacyjnych nie drażniła lub nie odstręczała od brania udziału w życiu publicznem. Dowodu niechęci albo przeświadczenia o poniżeniu swego stanu nie zdołałem odszukać wśród dokumentów odnoszących się do powyższej doby; za to spotkałem się z drobnymi wprawdzie śladami, stwierdzającymi, że i obywatelstwo gminu było ze statutu zadowolone w głębi serca. Ignacy Stawiarski w mowie swej, po wykonaniu przysięgi na urząd obywatela prezydującego zgromadzenia politycznego gminy 5 miasta Warszawy, wspominając „sławne prawo o miastach i Ustawę rządową“, nadmieniał, że „ulubiony od nas Fryderyk August, w pierwszych chwilach swego panowania bacznym okiem mierząc potrzeby kraju, różnemi klęskami dotkniętego, myśl konstytucyi dopełniając, zwołał swe dzieci, prawo obywatelstwa i głosu na obradach publicznych mające, aby się zgromadziwszy w świątyniach i t. d. ojcowski jego tron otoczyły<sup>2)</sup>. W całym powyższem przemówieniu niema nawet cienia drażliwości, a zdobywa wiarę każdego zapewnienie, że „szczęśliwym jest lud, który w jednomyślności z królem, uważając w nim więcej ojca, niż pana, umie łączyć ufność synowską z posłuszeństwem, a wdzięcznym udziałem swobód i troskliwej pieczy, jakiej używa pod dobroczynną strażą prawa, odpowiada nieskażoną wiernością i ścisłym pełnieniem prawideł

1) Głosy posła Maryampolskiego, na sejmie roku 1811 w Warszawie mianem z dołączeniem uwag i krótkiego namienienia niektórych w czasie sejmku czynności str. 35, 36.

2) Mowa z d. 23, miesiąca stycznia 1809 (druk. Bibl. Or. Kr.).

podległości, do jakiej go wiąże konieczna potrzeba towarzyskiego porządku obrony i całości".—Andrzej Brzeziński znowu, obywatel prezydujący, w mowie mianej na zgromadzeniu gminy siódmej, wykazując jak doniosłem jest stanowisko deputowanego na sejm i członków rady municypalnej, oświadczył, że przy wyborach „idzie tu nakoniec o honor stanu nieszlacheckiego, który tak biernym będąc, dopiero darem konstytucyi naszej, za stan uznany został. Tak ważne przedmioty powinny nas jednomyślnie unieść do obrania deputowanego, który-by za nas wszystkich stał się godnym reprezentantem gminu naszego <sup>1)</sup>).

Z późniejszych historyków, którzy jednak przejęli żywą tradycję Księstwa, Skarbek ocenił statut z 1807 r. szczegółowo i trafnie. Napoleon, zdaniem jego, nadawał krajom przez siebie utworzonym konstytucye, na jednakowych, przez siebie umyślonych i widokom swoim odpowiednich zasadach oparte. Taka konstytucya i Księstwu Warszawskiemu nadana, jakkolwiek daleka od prawdziwych swobód narodowych, była jednakże powołaniem biernych dotąd poddanych pruskich do spraw krajowych i do nowego życia politycznego. Była ona nowym zupełnie utworem, w niczem do układu dawnej Rzeczypospolitej nie podobnym, lecz przywracała ludziom z wszelkich praw obywatelskich wyzutym, niejaki udział w sprawach pospolitych i użycie języka narodowego w tych sprawach i nadawała prawa, jeżeli nie krajowe, to przynajmniej nie te, pod któremi za rządu pruskiego zostawali. Dalej oświadcza Skarbek, że kształt i układ wewnętrznego rządu Księstwa nie był w niczem podobny ani do dawnego zarządu Rzeczypospolitej, ani do administracyi pruskiej. Był to systemat francuski z całą sprężystością postępowania i bezwarunkową uległością podrzędnych ogniwi najwyższej władzy w wykonaniu każdego jej rozkazu, bez względu na to, czy ten rozkaz zgodnym był z prawami narodu i z obowiązującymi ustawami. Był to rząd centralny, w którym każde rozporządzenie niższyc władz wykonawczych jest tylko wypływem władzy najwyższej, gdzie wszelka samoistna wola i siła w jednym punkcie jest skoncentrowana, aby stamtąd wychodzącym z nich odnogom działalność nadać i według woli swojej kierować mogła niemi. Rząd, za pomocą którego Napoleon samowładnie milionami ludów rządził, zamienił wszystkich urzędników kraju, począwszy od ministra, aż do ostatniego dozorecy policyjnego, w ślepe narzędzia woli swojej <sup>2)</sup>).

<sup>1)</sup> Mowa mian d. 31 stycznia 1809 r. (druk. Bibl. Or. Kr.).

<sup>2)</sup> Dzieje Polski. Część I. Dzieje Księstwa Warszawskiego, str. 132 i 139, porównać: *Zółtowski Die Finanzen des Herzogthums Warschau (1806 - 1815) vorzugaweise nach archivalischen Quellen bearbeitet.* Część I, str. 15, 29, ocenia tak jak Skarbek konstytucję Księstwa i jego administrację.

Niewątpliwie, jedną z największych zalet statutu z r. 1807, zauważonych już przez Skarbka, była ta okoliczność, że wstępował w miejsce rządów pruskich. Już Kołłątaj dostrzegł: że „w krajach, które się dostały pod panowanie Austrii“, wykorzeniono do szczytu prawidła polskiego wychowania, w krajach, które się dostały królowi pruskiemu postąpiono podobnie, muzy polskie ledwie znalazły przytułek dopiero pod panowaniem Alexandra I, gdzie obywatele, ośmieleni wezwaniem tego dobrego monarchy, niczego nie oszczędzali, aby ich potomstwo mogło iść drogą ojców do cnoty i oświecenia <sup>1)</sup>. W roku 1812. Klewitz starał się obronić rządy pruskie od licznych zarzutów i nienawistnego wspomnienia, jakie pozostawiły po sobie. Zapewniając, że rozumie dobrze, jakie musiały panować uczucia wśród społeczeństwa po utracie kraju, zapytuje: „Ob nicht dafür der Segen der wohlwollender Regierung sich entschädigte?“. Z tem wszystkim jednak, gdy przychodzi mu dowieść, że rząd pruski żywił poszanowanie dla miejscowego języka, zwłaszcza w szkole, obrona staje się słabą i popierać ją był w stanie zaledwie błahemi przykładami <sup>2)</sup>.

Drugiem dobrodziejstwem, którem statut darzył Księstwo, wypływało z artykułu 84. „Tous les actes du gouvernement, de la législation, de l'Administration et des Tribunaux sont écrits en langue nationale“. Artykuł powyższy został wykonany przez panującego z całą skrupulatnością, wprowadzony do komendy wojskowej <sup>3)</sup> i do obrad rady stanu, w których nawet sam panujący brał udział.— Koźmian przytacza następujące charakterystyczne zdarzenie: „gdy który z radców stanu, chcąc być lepiej zrozumianym przez króla, wpadł w rozprawę językiem francuskim, co się najczęściej Kochanowskiemu trafiało, król przerywał mówiąc: Proszę po polsku bo pan Rządkowski nie rozumie <sup>4)</sup>.“ Niewątpliwie też sumiennemu wykonaniu powyższego artykułu zawdzięczało Księstwo owo szybkie odrodzenie się ducha narodowego, które nie uszło uwagi Klewitza i pozyskało nawet jego gorące uznanie <sup>5)</sup>.

Trzeciem dobrodziejstwem statutu z r. 1807 był artykuł 86, pozwalający ustawę konstytucyjną dopełniać urządzeniami wychodzącemi od króla, a roztrząsanemi w jego radzie stanu. Dzięki temu artyku-

<sup>1)</sup> Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi i t. d. str. 207 i 208.

<sup>2)</sup> An die polnische Nation. Ueber die preussische Verwaltung in den ehemaligen Süd=und Neu=Ost=Preussen. Berlin 1812. Str. 27 i str. 11, 28.

<sup>3)</sup> Skarbak. Dzieje Polski. Część I. Dzieje Ks. Warszawskiego. Str. 137 „lecz gwardya i pułki legii nadwiślańskiej nosiły kokardy francuskie, w legii komenderowano po polsku, w gwardyi po francusku.

<sup>4)</sup> Pamiętniki. T. 2. Str. 339.

<sup>5)</sup> An die polnische Nation i t. d. Str. 55.

łowi niechęci wszelkie omijały statut, a skierowywały swój prąd przeciw tym, których zadaniem było uzupełnienie konstytucyi. Ale i w tym wypadku oszczędzano monarchę, szanowanego i lubianego za najlepsze dla kraju chęci, a pociski opozycyjne zwracano przeciwko ministrom i radzie stanu.

Łuszczewski w pierwszym swem przemówieniu na sejmie 1809 r. nazwał statut Księstwa niewzruszalną opoką na której się powinno rozwijać przyszłe prawodawstwo <sup>1)</sup>; ale ani przed rokiem 1809, ani po tymże roku, nie poczuli się ministrowie wraz z radą stanu do obowiązku ślepego naśladownictwa wzorów francuskich, a król zazwyczaj przychylił się do ich zdania. „Gdy w r. 1807, ref. Morawski czytał wywód, z konstytucyi francuskiej wyciągnięty, na okazanie do konstytucyi Księstwa Warszawskiego, potrzeby audytorów w Radzie, Xiążę Minister wojny, wystawiając niemożność zachowania we wszystkim stosunków konstytucyi francuskiej, sądził naśladować ją tylko w ogólności, a nie w szczegółach, które dla różnicy położenia, obszerności i ludności i zwyczajów nie mogą przypadać równie jednemu, jak i drugiemu krajowi“ <sup>2)</sup>. W roku 1809, gdy minister policyi zauważył, że korporacye nie są statutem Księstwa zniesione, a konstytucya francuska przepisuje, iż istnieć nie powinny, wyrażono w radzie stanu opinię, że należy w Księstwie uważać korporacye za istniejące i oczekiwać dekretu królewskiego <sup>3)</sup>. W tymże samym roku, gdy podano projekt mianowania mairów na kilka miasteczek, którzy-by rozkazy podprefektów komunikowali burmistrzom, Naj. król oświadczył, że przez kompletowanie konstytucyi rozumie dodanie szczegółów, ale dalekim jest od odmieniania tejże, i projekt natrafił na opozycyę słuszną, z tego względu, że był tworzeniem zbytecznem nowej zupełnie władzy <sup>4)</sup>.

Ministrowie z radą stanu potrafili domagać się zastosowania konstytucyi francuskiej, jeżeli tylko z tego naśladownictwa korzyść dla Księstwa powstać mogła. Tak np. wr. 1808, prezes rady stanu: „wniósł aby przelożyć Naj. Panu, ażeby senat Księstwa mógł być podobny, czynną władzą, jak jest podług konstytucyi francuskiej i nowo ogłoszonej hiszpańskiej, t. j. aby miał opiekę nad wolnością osobistą mieszkań-

<sup>1)</sup> Mowa (obraz kraju wystawiająca) i t. d. Str. 5.

<sup>2)</sup> Dziennik czynności Rady Ministrów i Rady stanu zgromadzonej do woli J. K. Mości przez JW. hr. Schönfeld, na sessyi komisyyi rządzącej d. 5 Paź. 1807 S. 45.

<sup>3)</sup> Protokoły posiedzeń Rady Stanu Xięstwa Warszawskiego odbywanych w przytomności Naj. Pana. Sessya d. 3 Marca 1809 r. (Tom ten niekompletny rozpoczyna protokoły jeszcze w r. 1808).

<sup>4)</sup> Dalszy ciąg Protokółu sessyów Rady Stanu w Roku 1809 od sessyi 246 S. 58.

ców i nad wolnością druku, oraz żeby składał najwyższy sąd do sądenia ministrów i radzców stanu“<sup>1)</sup> Jeżeli jednak odstąpienie od zasad przewodnich, prawa państwowego lub administracyjnego francuskiego, obiecywało Księstwu większe pożytki, rada stanu nie wahała się czynić panującemu odpowiedniego przedstawienia, a nawet w kierunku oświaty publicznej udało jej się osiągnąć pomyślny rezultat.

Statut z 1807 r. jak to słusznie zauważono, ani jednym słowem o „izbie edukacyjnej“ nie wspomniał. Wydział oświaty powierzono ministeryum spraw wewnętrznych. Pomimo to izba edukacyjna zniesioną nie została, a faktycznie istnienie tej władzy, jej stanowisko w administracji centralnej, wszystko to składać się musiało na zjawisko, pod względem prawno-państwowem oryginalne. W roku jednak 1810 powołaną została do życia: „Dyrekcya edukacyi narodowej“, która dopiero w r. 1812 rozpoczęła swoją działalność<sup>2)</sup>. Projekt utworzenia powyższej „Dyrekcyi“ musiał jednak być podanym radzie stanu znacznie wcześniej, albowiem ref. Morawski tłumaczy w r. 1810, dla czego „tak długiej doznaje zwłoki“, a powód tkwi w tem, że się nie da pogodzić z terażniejszą formą rządu, wypływającą z konstytucyi. Zamierza bowiem ustanowienie dyrekcyi kollegialnej, co przeszkadza pośpiechowi i egzekucyi i uwalnia od osobistej odpowiedzialności, pod jaką powinien-by pozostawać Dyrektor, działający sam, nie kollegialnie. Zwycięski bój z powyższym poglądem stoczył Staszic, który oświadczył, że taka władza w dyrekcyi edukacyi publicznej nie ma nic przeciwnego konstytucyi, bo wielki prawodawca, który też konstytucyę nadal, bynajmniej nie położył między wydziałami ministeryum edukacyi, „zdaje się, iż znając, że ta część administracyi nie potrzebuje tego skoncentrowania, ani tej tak szybko i silnie działającej władzy, jak inne administracyjne wydziały, zostawił więc jej urządzenie zupełnie do woli monarchy. Doświadczenie przytem okazało, że w kierowaniu edukacyą władza kollegialna jest najdogodniejszą, dowodem tego sławna kommissya edukacyjna, która w owe nieszczęśliwe czasy postępowała w składzie kollegialnym jak najlepiej. Również za rządu terażniejszego, izba edukacyjna kolegalnie działając, część tę administracyi, przy szczupłych funduszach, prowadziła z powszechnym dla kraju pożytkiem. Władza kollegialna jest bowiem właściwą z natury magistraturze kierującej publicznem oświeceniem i wychowaniem, bo jak zakładanie planów, oznaczenie wzorowych autorów i wybór nauczycieli, wy-

<sup>1)</sup> Dalszy ciąg Protokółn sessyów Rady stanu w roku 1808. Sessya 165.

<sup>2)</sup> *Konic*. Kartka z dziejów oświaty w Polsce i t. d. Str. 4 i 14.

maga wielkiej rozwagi i powolności przy obszernych naukach, tak równie w egzekucyi tychże planów potrzeba ciągłego namysłu i więcej powolności, jak prędkich działań, ażeby przepisanych nauk zgłębić zasadę i utrzymać systemat <sup>1)</sup>

Jeszcze w jednym wypadku panujący z radą stanu poszli samodzielni tory, nie wypływającemi bynajmniej ani z ducha konstytucyi, ani z przepisów kodeksu Napoleona, a mianowicie w rozwinięciu artykułu IV statutu z 1807 r. Zdawało się, że dawniejsze prawodawstwo pozostawiło właścicieli ziemskich w tem przeświadczeniu, że polepszenie doli włościanina jest koniecznością <sup>2)</sup>, i że kawałek ziemi, dany mu na własność <sup>3)</sup>, jest pierwszym warunkiem podźwignięcia go z ekonomicznego i moralnego upadku, który nie pozwalał mu nawet ze swobody osobistej korzystać, lub ją należycie rozumieć. Tymczasem dekret z d. 21 grudnia 1807 roku, wątpliwość, jeżeli jaka zachodzić mogła, o prawo do gruntów gromadzkich, przeciał stanowczo w ten sposób, że właściciel dóbr jest zarazem właścicielem gruntów, w ich obrębie leżących, a przez włościan i rolników trzymanych i obrabianych. Zniósł także wszelkie wzajemne ograniczenia, na prawach dawniejszych, a ostatecznie pruskich i austriackich oparte <sup>4)</sup>. Dzięki podobnemu uzupełnieniu i rozwinięciu konstytucyi, włościanin stał się zupełnie wolnym, ale jak ptak, którego z każdego drzewa, gdzie usiadł, spędzić dozwolono. Tak więc włościanin ową filantropijną konstytucyą stracił to, co mu staroświecki Landrecht zaręczył, to jest prawo do utrzymania życia na tym kawałku ziemi, na którym się rodził. W niektórych okolicach, jak np. na Kujawach, gdzie szczególna dobroć ziemi zachęcała do wcielania gospodarstw włościańskich do folwarków, a brak lasów i pastwisk utrzymanie włościan przytrudnem czynił, znaczna liczba gospodarzy włościan zniknęła <sup>5)</sup>, i rozpoczęło się włóczęgostwo, które nieodpowiednemu prawodawstwu przypisywano <sup>6)</sup>.

<sup>1)</sup> Protokóły posiedzeń Rady Stanu. Rok 1810. Tom II. str. 571.

<sup>2)</sup> *Stroynowski*. O ugodach dziedziców z włościanami. Wilno, 1808. Str. 5.

<sup>3)</sup> Nauka z okoliczności zmniejszenia poddaństwa, pańszczyzny i innych dobrodziejstw i t. d., za rezolucyą Komisyi porządkowej wojew. lubelskiego do druku podana (1794). „Trzeba wam ziemi, swojej własnej nie mieliście.“

<sup>4)</sup> Objasnienie teraźniejszego urzędzenia rolników w dobrach ordynacyi Zamoyskich. Str. 458. (Bibl. Warsz., r. 1847. Tom 28).

<sup>5)</sup> *Michalski*. Włościanie i ich regulacya. Rzut oka na stosunki gospodarcze W. Ks. Poznańskiego przed uregulowaniem włościan. Str. 353 i 354. Bibl. Warsz. r. 1845, tom III.

<sup>6)</sup> Projekt polepszenia stanu włościan w Księstwie Warszawskiem, podany przez prefekta departamentu płockiego. 1815, str. 9.

Prócz tego stosunkowi dzierżawnemu, urządzonemu przez kodeks Napoleona, brakowało w zastosowaniu do dzierżawy włościańskiej jednego z naczelnych znamion, t. j. właściwej ceny dzierżawnej. Stąd poszła trudność stosowania do włościan pańszczyźnianych ważnych przepisów kodeksu cywilnego, o jej stanowieniu i dowodzeniu w razie potrzeby jej wysokości, o jej wypłacie, lub w pewnych przypadkach stałem albo czasowem zmniejszeniu lub zawieszeniu i t. d. Stąd ostatecznie wynikło, że dzierżawa włościańska nie w całości swojej pod opiekę trybunałów wejść mogła. Właściciele pańszczyźniani zaciągali względem właścicieli gruntu nie zobowiązanie dania, lecz zobowiązanie czynienia. Do czynienia nikt podług zasady prawa cywilnie zmuszonym być nie mógł, gdy zatem do odebrania pańszczyzny nie można było używać sądowej egzekucyi, pozostało jedynie właścicielom dóbr należność tę odbierać osobiście i częstokroć tak do wyjścia na pańszczyznę, jak do należytego jej odrobienia, środkami gwałtownymi, jakie były w rękę, włościan przymuszać <sup>1)</sup>.

Ta prywatna, dominialna droga, biegnąca po-za traktem prawnym i sądowym, a prowadząca do najrozmaitszych samowolności <sup>2)</sup>, zadawała kłam artykułowi IV statutu z 1807 roku. Kosiński też w roku 1814 nazwał artykuł IV-ty konstytucyi „wybuchem wulkanicznym, który zachwyca widzów, nie dając czasu rozwadze.— Wybuch podobny może mieć widoki polityczne, lecz, niezważony z miejscowemi stosunkami, szczęścia ustalić nie zdoła, jak kilkoletnie uczy doświadczenie“ Pomienione prawo okazało się też, zdaniem Kosińskiego, więcej szkodliwem, niż użytecznem <sup>3)</sup>, a Żukowski, który się skutkom dekretu z 1807 roku przypatrywał, zaświadczył, że na pańszczyznę i wynikające z niej skutki bynajmniej nie miał wpływu <sup>4)</sup>. Dekreta uzupełniające art. IV statutu stłumiły w zarodzie wszelkie poczęcie gminy wiejskiej samorządnej. Daremnie książę minister wojny wykazywał, że powierzanie urzędu wójtów wiejskich dziedzicom wywoła narzekania włościan na ucisk przez panów i rzuci podejrzenie na szlachtę, że nieznacznie chce przytłumić prawo, włościanom nowo nadane <sup>5)</sup>; bez swo-

<sup>1)</sup> Objaśnienie teraźniejszego urządzenia rolników w ordynacyi Zamoyskich, Str. 461 i 462.

<sup>2)</sup> Objaśnienie teraźniejszego urządzenia i t. d. Str. 462.

<sup>3)</sup> *Amilkar Kosiński*. Uwagi nad myślami do zamiaru polepszenia bytu włościan polskich. Poznań, 1814, str. 7.

<sup>4)</sup> O pańszczyźnie z dołączeniem uwag nad moralnym i fizycznym stanem ludu naszego. Str. 11.

<sup>5)</sup> Dalszy ciąg protokółu sessyów Rady Stanu w roku 1808, (od sessyi 126). Ses. 208.

bodnej własności włościańskiej, nie mogło być mowy o swobodnej gminie wiejskiej, a oddanie administracyi gmin samymże ich właścicielom, zdaniem Skarbka, musiało sparaliżować cały systemat wewnętrznego rządu, podług zasad Napoleona urzędzonego <sup>1)</sup>.

Opierając się zatem na artykule 86 statutu, przy pomocy swych ministrów i rady stanu, rozwinął panujący zwięzłą i krótką konstytucyę w wykończoną budowę państwową, która w 1809 roku musiała wytrzymać i wytrzymała chlubnie ogniową próbę, a przytem zniewoloną była czynić zadość nieustającym wymaganiom swego przymierzeńca i protektora. Przeciw prawodawczemu dziełu króla, ministrów i rady stanu, wystąpiła opozycya sejmowa w r. 1811, z licznymi zarzutami, które rozumowi stanu i zdolnościom prawodawcy dość dwuznaczne wystawiają świadectwo. Poznajmy w najtreściwszym zarysie te zarzuty. Adres do króla z d. 14 grudnia 1811 roku, zapewniając monarchę, że: „każdy z nas teraz i zawsze gotów jest zginąć raczej, jak nie pozostawać pod konstytucyą, cnotami narodowemi u wskrzesiciela wyjednaną,“ oświadcza następnie, że użyci przez WK. Mość do projektowania i uzupełnienia statutu konstytucyjnego, do tego los kraju i mieszkańców stanowiącego dzieła ministrowie, nie odpowiedzieli zafianiu, nie przełożyli albo źle przełożyli sposoby rozwinięcia i pełnienia głównych artykułów statutu.“

Wyliczywszy artykuły błędne, a raczej źle rozwinięte, adres nadmienia, że „założono w kraju naszym labirynt praw i urzędzeń niezrozumiałych, do naszego narodowego charakteru, gospodarstwa krajowego i stopnia cywilizacyi niestosownych. Wylęgła się oligarchia niebezpieczna w swych skutkach dla tronu, powstała anarchia, a z nią większe dla narodu nieszczęście, jak on może mieć o tem wyobrażenie. Wprowadzenie kodeksu cywilnego do egzekucyi, bez przygotowania, bez dokładnego wytłómaczenia i zastosowania do praw dawniejszych, oraz zwyczajów narodowych, bez sankcyi, bez przepisania krótkiej, jasnej, łatwej i niekosztownej procedury, w najznacniejszej części przyczynia się do cierpień mieszkańców. Zawile i do zrozumienia trudne sądownictwo, niedokładne i do obłąkania prowadzące utrzymywanie ksiąg hipotecznych, najniebezpieczniejsze archiwów przy notaryuszach lokacye, zamieszały domów naszych spokojność i rzuciły mnóstwo nasion do processów po ziemi naszej, grożących zakłóceniem późnym po nas pokoleniom <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Dzieje Polski. Część I. Dzieje Księstwa Warszawskiego, str. 140.

<sup>2)</sup> Adres powyższy jest zamieszczonym w Głosach posła Maryampolskiego, na sejmie roku 1811 w Warszawie mianych, z dołączeniem uwag i krótkiego namięnienia niektórych w czasie sejmku czynności. Str. 4—8.



Daleko gruntowniejszą i w najdrobniejsze szczegóły administracji wnioskującą, była krytyka w głosach posła Maryampolskiego zawarta. Nie możemy, powiada Godlewski, mówić o wszystkich skutkach czynności rady stanu, kiedy wielka liczba dekretów i urzędzeń nie jest do publicznej wiadomości podana. I to jest pierwsze nieszczęście kraju, że mieszkaniec nie wie o wszystkich urządzeniach, i że każdy minister ma sekretne przepisy, sekretne dekreta, które dają powód mieszkańcom do posądzenia o arbitralność i do jakichś podejrzeń przez sam sekret. Zwróćmy tylko uwagę na działania rady stanu pod względem rozwinięcia i dopełnienia statutu konstytucyjnego, jako na źródło, z którego wypłynęła dzisiejsza z różnych obcych cząstkowych urzędzeń złożona administracji krajowej forma, rodzicielka około 9,000 urzędników i oficyalistów. Smutne położenie kraju należy tu przypisać niedopełnieniu niektórych, niedokładnemu dopełnieniu, lub zupełniemu innym artykułów statutu. Raz i ostatecznie powinien być dopełniony statut konstytucyjny. Sposób, którym się dotąd statut konstytucyjny dopełniał, nie odpowiada swemu celowi. Raz, że wydawane dla dopełnienia rzeczonych wyroki zmieniane bywają, powtóre, że dopełnianie to zdaje się nie mieć końca <sup>1)</sup>.

Poprzestaną na tych kilku uwagach, zaczerpniętych z adresów i głosów opozycyi, nadmienając, że właśnie ta sama krytyka sejmowej opozycyi dowodzi wyraźnie, że ani reprezentacya Księstwa nie stała się, jak to Kozmian utrzymywał, niemą <sup>2)</sup>, ani budowa całego państwa nie przeistoczyła się w rudere; chociaż istotnie zarzuty opozycyjnych mężów miały dużo racyi, Bignon nie odmawiał im mimo to lojalności względem Francyi, oraz patriotyzmu względem własnego kraju <sup>3)</sup>. Przedewszystkiem bowiem głosy Godlewskiego, ujawniły tak głęboką i gruntowną znajomość spraw publicznych, oraz potrzeb administracji; w krytykę swą wlał poseł Maryampolski, tyle pracy i przenikliwości, stawiwszy sobie jako przewodni cel dobro kraju, wreszcie przemówienia jego, pozbawione zbytecznego krasomówstwa, zmierzały tak skrupulatnie do wyrozumienia ducha konstytucyi i odkrycia wszelkiego rozdzwieku, jaki mógłby się zakraść między instytucjami Księstwa, że zważywszy, iż to był za ledwie przedświt rządów reprezentacyjnych, śmiało twierdzić można, że kontynent europejski nie mógł się współcześnie poszczycić równie poważną i lojalną opozycyą.

---

<sup>1)</sup> Głosy posła Maryampolskiego i t. d. str. 35—37.

<sup>2)</sup> Pamiętniki. Tom II, str. 3.

<sup>3)</sup> Souvenirs d'un Diplomate, str. 166—7.

Izba poselska Księstwa nie pozwoliła się zepchnąć do serwilistycznego poziomu, niemego trybunatu cesarstwa. Pomimo, że pod przewodnictwem marszałka zabierali głos tylko członkowie komisyyi, a i ci musieli się nieraz poddawać ograniczeniom <sup>1)</sup>, to jednakże na nieoficyalnych sessyach <sup>2)</sup>, dyskusya była żywą i czasami posłowie drukowali swe głosy, których nie mieli sposobności wypowiedzieć <sup>3)</sup>. Przeświadczenia samodzielności izba poselska nie straciła też nigdy i, szafując hojnie groszem publicznym na potrzeby wojska, nie przyjęła kodeksu kryminalnego francuskiego, który potrzebom miejscowego społeczeństwa nie zdawał się należycie odpowiadać <sup>4)</sup>.

Senat Księstwa zdobył sobie należyłą powagę i szacunek, a protokoły rady stanu przekonywają, z jakim zasobem nauki i rozumu stanu instytucya powyższa pracowała dla należytego rozwinięcia statutu konstytucyjnego. Administracya, ujęta w karby francuskim systemem centralizacyi, objawiła mimo to wiele wad i nieposzanowania dyscypliny służbowej. Koźmian przytoczył słuszne skargi na samowolę prefektów <sup>5)</sup>, a Godlewski i Bignon nie mogli przemilczeć tego, że cała administracya wojskowa jest wadliwie zorganizowaną, i że książe minister wojny nie uważa za stosowne składać rachunków z etatu wydatków skarbowi oraz izbie obrachunkowej <sup>6)</sup>. Na usprawiedliwienie nadużyć ad-

<sup>1)</sup> Głos Tomasza Byszewskiego, posła powiatu Zgierskiego, prezydującego w Komisyyi Cywilno-Prawodawczej, na sessyi sejmowej d. 20 marca 1809 miany (druk). „W każdej mówiąc materyi, nie mogę zamilknąć o oszczędności skarbu, do którego krwawo zapracowany grosz biednego wpływa rolnika (w tym miejscu kontynuowania, w tej materyi dalszego mego głosu, zabronił mi JW. Marszałek sejmowy; dla przekonania się jednak publiczności, przedsięwziąłem podać go do druku, w tej jak jest osnowie)“

<sup>2)</sup> Bignon. Souvenirs d'un Diplomate, str. 159, opowiada: że król nosił się nawet z myślą zabronienia owych sessyj nieoficyalnych, z powodu zbyt gwałtownych dyskusyj, ale nie zdobył się na krok stanowczy, i jak Bignon twierdzi, postąpił roztropnie.

<sup>3)</sup> Tak np. Jan Kamiński, poseł z powiatu Dąbrowskiego, drukuje „Odezwę do Izby Poselskiej,“ bo chce wypowiedzieć, „że o ile na potrzeby wojska należy być hojnymi, o tyle na wydatki listy cywilnej oszczędnymi być należy,“ a „kiedy przez konstytucyę zabieranie głosu w izbie poselskiej jest nam niedozwolone, możność wytoczenia obowiązków reprezentanta przez żadne prawo nie jest zakazana“

<sup>4)</sup> Bignon. Souvenirs d'un Diplomate, str. 168, opisuje, jak łagodnej formy użyła w tym wypadku izba poselska, tłumacząc, że z powodu, iż potrzeba jednocześnie wprowadzić nową procedurę kryminalną, przekazuje projekt kodeksu kryminalnego następnemu sejmowi.

<sup>5)</sup> Pamiętniki. Tom II, str. 4.

<sup>6)</sup> Głosy posła Maryampelskiego i t. d., str. 46 i dalsze. W wybornej krytyce administracyi wojskowej nadmieniono: „W ogólnych, a co rok zmieniających się ty-

ministracyi, którym ani panujący, ani sejm zaradzić nie byli w stanie, przytoczyć należy, że przykładem rozkieszniania dla Księstwa były komendy wojskowe francuskie, które kraj ten uważały za łup oddany im na pastwę i obdzierały, krzywdziły, poczawszy od marszałka Davoust, skończywszy na prostym szeregowcu<sup>1)</sup>. Wreszcie, jakże monarcha i sejm nie mieli być pobłażliwymi dla ministra wojny, wiedząc o tem dobrze, że jedynie z braku nawyknięcia do biurokracyi, oraz do kancelaryjnej biuralistyki, bywał w nieporządku z kwitami, lecz że troskliwie dbał o dobro armii<sup>2)</sup>.

Zresztą i administracya Księstwa nie okazała się bynajmniej bezduszną maszyneryą, która, wykonywając bezmyślnie rozkazy zwierzchników, uważała za najwyższy cel arbitralność własną. Z pośród urzędników Księstwa jedni występowali z drukowanymi projektami uwłaszczenia włościan za pośrednictwem banku narodowego włościańskiego,<sup>3)</sup> inni z utworzeniem na wzór pruski Towarzystwa kredytowego ziemskiego w celu ratowania upadającej własności ziemskiej,<sup>4)</sup> byli wreszcie tacy, co przekonywali, że prawo spadkowe kodeksu Napoleona jest dla własności włościańskiej szkodliwe i że należy zaprowadzić majoraty chłopskie,<sup>5)</sup> albo tacy, co doradzali rządowi zawiązanie stosunków handlowych z Hamburgiem,<sup>6)</sup> tacy, co dziękowali kon-

tulach i ilościach okazywane wydatki, tajemnicą były dotychczas dla kraju. Mówiąc o przeszłości przyznać muszę, że nie pojmuję mistycznych ogółów i t. d. — Porównać *Bignon. Souvenirs d'un Diplomate*, str. 179 i 180.

<sup>1)</sup> Wyliczenie nadużyć i prawdziwych rozbojów komend francuskich zawiera Pradt'a *Histoire de l'ambassade dans le grand Duché de Varsovie en 1812* r. — Prócz tego znaleźć można dowody: Dalszy ciąg protokołu sessyów Rady stanu w roku 1808, s. 241. — Wyliczono pretensye marszałka Davoust do własności pałacu Prymasowskiego w Warszawie, który podług niego ma być nieodłączną częścią Księstwa Łowickiego. Porównać: Protokół sessyów Rady stanu od 1 czerwca do 30 grudnia 1808. S. 388 „Sprawa Niemojewskiego z marszałkiem Soultem o zabranie mu gwałtem źródeł słonej wody i przyłączenie do dóbr Raciążek.“

<sup>2)</sup> Głosy posa Maryampolskiego i t. d.

<sup>3)</sup> Projekt polepszenia stanu włościan w Księstwie Warszawskim podany przez prefekta departamentu płockiego, str. 20 i dalszo, a na str. 17, stwierdza fakt, że już przed tem podprefekt powiatu mławskiego, łącznie z radą powiatową, projekt uwłaszczenia włościan przedstawił.

<sup>4)</sup> *Bielski*. Sposoby do ocalenia majątków obywateli Ks. Warsz. od przypadków im zagrażających służyć. Radom departalnym Ks. Warsz. za pozwoleniem zwierzchności do uwag podane. Kalisz, 1 lipca 1809 r. str. 49 i dalsze.

<sup>5)</sup> *Młodecki* radca prefekt. depart. radomskiego. O polepszeniu toraźniejszego stanu włościan polskich. Uwagi, str. 29 i 30.

<sup>6)</sup> *Szumski* nauczyciel przy gimnazjum w Poznaniu. Myśli ogólne o polepszeniu handlu, rolnictwa, przemysłu i edukacyi narodowej w ks. warszawskim 1811 str. 25.

stytucyi za stworzenie rad departamentowych i powiatowych, gdyż te dozwoliły każdemu obywatelowi wyjść z bierności — nie wspominając już o licznych drukowanych odezwach obywateli do posłów, w celu dania im rady, i o „sposprzeżeniach, uwagach i myślach obywatela w zaciszu domowem przyszłemu seymowi podanych<sup>1)</sup>).

Liczne niedogodności, jakie się nwydatniły w budowie państwowej Księstwa, płynęły z jednego głównego źródła, którego uniknąć nie było podobna, a tem źródłem był fakt, że nowożytny porządek państwowy, wyrobiony w innych warunkach społecznych i w odmiennym procesie dziejowym, trzeba było zastosować do Księstwa, i że ta nowa szata Napoleońska musiała się okazywać tem niedogodniejszą, im starszniej ją wykończano w szczegółach. Rozwinięcie 89 artykułów statutu w pełny organizm polityczny, żyjący i funkcyonujący w tak nadzwyczajnej dobie, należało do zadań, którym żaden prawodawca w zupełności sprostać-by nie zdołał. Na wypełnienie konstytucyi i wyrobienie w niej samoistnego politycznego ducha składają się zawsze pracą swą liczne pokolenia; prawodawca Księstwa na przeniknięcie i przeistoczenie urządzeń w duchu narodowym miał zaledwie kilka lat czasu.

W dodatku, razem z prawem państwowem i administracyjnem Księstwa, wprowadzono kodeks Napoleona i procedurę francuską, czem powiększono zamieszanie i niepokój ogólny<sup>2)</sup>. Nic dziwnego, że na tyłu zwaliskach stawiany nowy porządek społeczny natrafiał na niechęć, i że wyrzekano nawet na prawo hipoteczne, zapominając, że je znało dawne prawo polskie wcześniej niż pruskie<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> *Miączyński* członek rady depart.

<sup>2)</sup> Pod tym tytułem praca Owidzkiego. Lublin, 1811.

<sup>3)</sup> O tem świadczą: *Mowa Łuszczowskiego* (obraz kraju wystawiająca) 1809 str. 7 i w pewnym względzie *Pamiętnik hr. Feliksa Łubieńskiego*, wydany przez Chomętowskiego, str. 205.

<sup>4)</sup> *Dutkiewicz*. Prawo hipoteczne w Królestwie polskiem, str. 8 „Walno nam przeto twierdzić, żeśmy pierwsi może mieli dokładną hipotekę, pruska bowiem datuje się od 1722 roku.

(Dokończenie nastąpi)

---

# WIERŚNIE Z RZYMU.

## I.

### Krajobraz wieczorny.

Od cieniſtego ſchodziłem klasztoru...  
W dole, na Forum, chłodny cień wieczoru.  
Dla Kapitolu — oſtatni błysk ſłońca!  
Na Palatynie zieleń, ciemniejaca  
Na tle niebiosów jaſnych, przypomina  
Pół fantaſtyczne obrazy Böcklina.  
Niżej kolumny pośród ciętych ciſów,  
Białe — z marmuru i czarne — z cypryſów.

Mał całem miastem mrok i fiolety.  
Po Corso ſtępem wracają karety  
Z Villa Borghese. Wśród zgiełku i wrzawy  
W oczy dał rzymskich patrzy tłum ciekawy.  
Szare ulice purpurą ſwą plami  
Collegium zwolna, idące parami,  
I nad niepokój wieczornego miasta  
Kopuła, wznosząc złoty krzyż, uraſta.

---

## II.

## Villa Madama.

Migdały kwitną, modry dzień,  
Oparem ciepłym rola technie.  
Ja błagam -- i wśród innych technień  
Wspominaj mnie.

Słońce się kryje w wełnach chmur,  
Idzie pozłocić inny świat  
Zima z sabińskich czyha gór  
Na wczesny kwiat.

Otoczy smutny mrok i nas,  
Nastaną długie żalów dnie, —  
W imię tych blasków złud i kras  
Wspominaj mnie,

## III.

## Niepamięć.

Nie wołaj na mnie — nie usłyszę,  
Czarnemi nie goń mnie oczyma.  
Bom w elizejską wstąpił ciszę  
I w blask, gdzie ziemskich wspomnień niema,  
Bom białych świątyń przeszedł progi  
I siadłem bogiem między bogi.

I ledwo pomnę dawne męki...  
A jeśli jeszcze mi na wargi  
— Nakształt natrętnych słów piosenki  
Powrócą klątwy albo skargi  
I ze snu zerwą mię boleśnie,  
To wiem, że tylko cierpiał — we śnie.

Próżen tęsknoty, żądź i bólu,  
Patrząc w zachody słońce różowe,  
Siedzę wśród laurów Kapitolu  
I o marmury wspieram głowę...  
A z letejskiego piłem zdroju  
Ochłody napój i spokoju.

Ani za żadną czynów dzielność  
Taka mi czysta dnieje chwała,  
Ani mi piosnka wyzebrała  
Szczęśliwych bogów nieśmiertelność.  
Lecz oni wiedzą, gdzie ból koją,  
I znają miłość mą — i twoją.

Nie wołaj! jeszcze w szale chwycę  
Uspioną Zeusa błyskawicę  
I w oczy twoje pałające  
Bez trwogi patrząc, w noc cię stracę,  
Bo jak się czarnym bogom święci,  
Ciebie poświęcił — Niepamięci.

K. M. GÓRSKI

---

---

# KRONIKA RZYMSKA.

Spisując pierwszą dla czytelników „Biblioteki“ Kronikę rzymską, pragnąłbym, ażeby rozpoczynający ją wstępny obraz tak zwanego „sezonowego życia“ był o ile można kompletnym; więc jakkolwiek czujemy już tu powiew wiosny, która, gdy te słowa w druku się ukazały, zazieleni już i ukwieci Wieczne miasto; jakkolwiek niezachwiany napaściami d'Annunzio wita ją już ze swoich okien z pogodnym na ustach uśmiechem, niech mi wolno będzie cofnąć się nieco wstecz, aż do jesiennej pory.

W połowie listopada, kiedy ciepłe, jeszcze słońce zaczyna wcześniej zachodzić za kępy ciemnych dębów i piniowe laski willi Doria-Pamphili, za cypryry wzgórza Janikulu, zdobiąc zachód w szlaki złote i purpurowe, kiedy na jasnym, pogodnym niebie przechodzi chłodniejszy powiew poranka, wtedy Rzym zaczyna się ożywiać, napełniać i wraca do życia stolicy. Zjawiają się, jakby na ciąg, turyści, wędrowni ptaki południa, po większej części Angliacy i Niemcy, a czasem i Francuz, zalewający półwysep mniejszemi czy większemi grupami, śpieszący się zwykle, obchodzący muzea i kościoły, ruiny, czasem młode małżeństwa, spędzające kilka miodowych tygodni na podróży po Włoszech, a zawsze bardzo tu pożądani, bo stanowią jeden z głównych dochodów półwyspu. Jednocześnie też powracają do swoich



mieszkań Rzymianie z villegiatur, z nad morza, z Viareggio, Puto d'Anzio, z Sorrento, z Sabińskich i Albańskich pagórków, z Apeninów, a nawet z Sabaudzkich Alp, gdzie szukali chłodu, słodkiego *furniente* w zaciszu lesistego wąwozu, nad niebieską szybą szeroką, u stóp śnieżnych szczytów Alpejskich, w Val d'Aosta w Monferracie, między wysokimi górami, o których starożytni ich przodkowie wspominali tylko ze zgrozą i wstrętem. Stare pałace i nowe wspaniałe kamienice rodzin rzymskich otwierają zamknięte szczelnie na lato żaluzye okien — rozpoczyna się pora zimowa. Tylko jeden pałac Borghese, pałac historyczny Pawła V, własność zbankrutowanej linii hr. Borgheśów, bardzo dziś opuszczony i znajdujący się w ręku wierzyteli rodziny, nie bierze udziału w ożywieniu, bo wszystkie mieszkania, a zwłaszcza wspaniałe pierwsze piętro, wynajęte są na składy antykwaryuszów, biura, na Zarząd Massoneryi, i tylko wielkie rozmiary gmachu, zewnętrzne, pańskie urządzenie i wspomnienie przywiązane do jego murów, przypominają dawną świetność rzymskiego palazzo i jego właścicieli. Ale gdzie przedewszystkiem znać rozpoczęcie sezonu, to na Corso, w ogrodzie na Pincio i w willi Borghese. Rzymianin dzisiejszy przypomina pod niejednym względem dawnego klasycznego Rzymianina, bo jak i tamten jest synem południa, żyje więc niemal więcej na ulicy, niż w domu. Pierwszą myślą każdego, kto wraca na zimę do miasta, jest wyjechać własnym, czy też wreszcie wynajętym powozem, na ulicę Corso, objechać park Borghese, zawrócić przez Pincio, zatrzymać się tam pół godziny, aby użyć wspaniałego widoku z tarasu Pincio na Rzym i Kampanię, wysłuchać kilku utworów muzycznych, granych przez orkiestrę wojskową, lub miejską, pokazać się znajomym, przywitać, i objechawszy jeszcze kilka ulic głównych, wrócić do domu. To zewnętrzna strona tutejszego życia, najwięcej bijąca w oczy, choćby dlatego, że nie tylko arystokracja i bogate mieszczaństwo, cudzoziemcy muszą stosować się do przyjętych zwyczajów, ale że i dwór królewski, król i królowa biorą w tem udział, i nigdy nie opuszczają t. zw. Corsa.

Po za ruchem ulicznym, jest parlament na Monte Citorio, z burzliwymi, hałaśliwymi, skandalicznymi nieraz obradami deputowanych, są obiady i przyjęcia w Kwirynale u królestwa włoskich, którzy z letniej rezydencji, w Monzy, w Piemencie, zjeżdżają do Rzymu, zwykle jednocześnie z otwarciem Izby poselskiej i senatu. Zaraz więc ukazują się na spacerze dworskie powozy, czerwona liberya królowej, osobno zaś amerykański powożony ręką króla Humberta. Oboje królestwo są nadzwyczajnie uprzejmi i przystępni, tak jak wogóle Włochy są krajem, gdzie idee demokratyczne, republikańskie, wzięły stanowczo

górze i dlatego tutejszy bieg rzeczy zdaje się zapowiadać w niedalekiej przyszłości Rzeczpospolitą, mniej lub więcej radykalną.

Ze zbliżaniem się zimy, objawia się nie mniejszy ruch w Watykanie. Letnia drzemka, trwająca przez czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień, zar słoneczny ziejący na wzgórze świętego Piotra, odkryty wielki plac i całą dzielnicę, cisza niezakłócona, senna, zalegająca całe zatybrze, kończą się z chwilą, kiedy zaczynają napływać pielgrzymi. Z Francyi, Niemiec, Włoch, z dalekich stron świata, zjawiają się z początku w małej ilości, pojedynczo, przednie strażę pobożnych kompanii, ciągnących do wiecznego miasta. Coraz gęściej przesuwiają się pod kolumnadą portyku ś. Piotra, lub też u wejścia do pałacu watykańskiego, monsignorowie, księża, czasem przejedzie jeden z kardynałów, zasunięty w głąb karety, dążący do pałacu apostolskiego, a od niedawnego czasu, jako jeden z symptomatów dzisiejszych rządów papieskich, coraz częściej ukazuje się, obok purpury kardynalskiej i fiołotów księży podkomorzonych, oryginalna suknia duchowna dygnitarzy wschodnich zjednoczonego obrządku, odwiedzających, w sprawach religijnych, Najwyż. pasterza Kościoła katolickiego. Drzemka letnia, o jakiej powyżej mówiliśmy, dotyczy zwłaszcza gwardyi szwajcarskiej papieskiej, stojącej na straży u głównego wejścia, prowadzącego do dziedzińca ś-go Damazego, a stamtąd do apartamentów recepcyjnych, prywatnych Ojca świętego i J. E. kardynała sekretarza stanu, Maryana Rampolli. Kiedy słońce zacznie obejmować gorącym uściskiem kamienne mury Rzymu, gwardya szwajcarska, znana z malowniczych, średniowiecznych mundurów, rysowanych jeszcze w XVI wieku przez Michała Anioła, skazana jest na bezczynność, chyba że na schodach głównych ukaże się postać kardynała, albo jakiś zabłąkany interesant zapyta o drogę, lub zażąda objaśnienia. Papieżowi Leonowi XIII, który rzadko, co prawda, schodzi z mieszkania do obszernych ogrodów watykańskich, towarzyszy zawsze gwardya szlachecka i kilku prałatów. Leon XIII bardzo mało korzysta z niewielkiego, ale bardzo ładnego, nowego pałacyku, jaki dlań wystawionym został przy średniowiecznej wieży Leona IV, w środku ogrodu Watykanu.

W listopadzie villegiatura papieska się kończy; zielone jesienią ogrody i winnice, nad którymi panuje kopuła Michała Anioła, stoją opuszczone, a nawet i trochę zaniedbane; nie ujrysz tam ani bieli papieskiej sukni, ani purpury kardynalskiej. Zrzadka pojawi się cudzoziemiec, który uzyskał wstęp do ogrodu i błąka się samotny po rozległym parku, pomiędzy strzyżonemi szpalerami wawrzynu, skąd przepyszny widok rozciąga się na Rzym cały, na Kampanię i dalej jeszcze ku morzu.

Wtedy-to w wystawach sklepów rzymskich ukazują się francuskie napisy: *voiles pour aller chez le st. Père*, zwiastując podróżnym, że tutaj kupować można owe czarne koronkowe welony na głowę, jakie, według przepisów etykiety, kobiety idące na audyencyę do Ojca świętego, przywdziać są obowiązane; bo dla mężczyzn bądź na posłuchaniu publicznem, bądź na prywatnej audyencyi, nakazany jest frak i biały krawat. Przed Watykan zaczynają zajeżdżać powozy, wiozące *forettierów* na mszę do kaplicy prywatnej Ojca św., zjawiają się też wtedy pielgrzymki zbiorowe, pobożni z niższych klas, po kilkakziesiąt, lub kilkaset osób, z Włoch, Francyi, Austrii, Niemiec, podróżujący tanio, ugaszczani tutaj często kosztem towarzystw dobroczynnych, ofiarnością kilku zamożnych osób. Dla nich odbywają się wielkie publiczne zbiorowe audyencye w kościele ś-go Piotra, lub też (jeśli zdrowie Papieża tego wymaga), w salach Ducale lub Regia. Trzeba widzieć wtedy ożywienie na placu ś-go Piotra, jego obeliski i fontanny z których z szumem splywa woda, otoczone czarnym rojem podróżnych, gromadzących się przed bazyliką...

Na podwórzu ś-go Damazego panuje ruch. Pojazdy zajeżdżające od strony Archiwum, gwardya szlachecka, w pełnych mundurach, przyjmując wchodzących u schodów i u wejścia do sali papieża Klemensa, ozywiają wewnątrz apostolskiego pałacu.

Niezaprzeczenie, nietylko urok tyłu wieków chrystyanizmu, oświetlający potrójną mitrę papieską, ale i sama pełna rozumu indywidualność Leona XIII, są tym potężnym magnesem, który do Watykanu kieruje te wszystkie szlachetne, prawdziwie humanitarne dążenia, jakie Kościół katolicki stara się zaszczerpić i rozwinąć, czerpiąc w nich własną siłę i podwojoną żywotność.

Bazylika ś-go Piotra, w której gubią się niemal turyści, wobec kolosalnych jej rozmiarów, coraz liczniej wtedy nawiedzana jest przez grupy turystów, modlących się przy konfessyi księcia Apostołów, obchodzących pomniki, zatrzymujących się przed bizantyjskim posągim ś-go Piotra, przed pomnikiem Pawła III (Farnese) i Urbana VIII (Barberini), przed „Pietą“ Michała Anioła. Życia wielkomiejskiego, w tych rozmiarach, jak je widzimy w Paryżu, czy też Wiedniu, Rzym nie posiada; nie ma tych wielkich linii rozgraniczających miasto na odrębne grupy dzielnic; miasto nie pochłania, nie przygniata podróżnego, i w tem upatruję nadzwyczajną jego zaletę. Na stosunkowo małej przestrzeni skupiono tak wielkie centrum: Watykan i Kwirynał i klasyczne rzymskie czasy, średnie wieki, dzieje nowożytne, wszędzie pamiętki (i jakie pamiętki!), składają się, razem wzięwszy, na jakąś niesłychaną całość, gdzie i dzieje, i sztuka grają rolę, jakiej żadna inna stolica wyznaczyć im nie jest zdolna, zacząwszy od ruin, katakumb,

kościółów, muzeów, galeryi, aż do pomnika Józefa Garibaldeggo na Janiculum, odsłoniętego niedawno. Przytem pamiętać należy, że Rzym jest tylko jednym — wprawdzie najznacniejszym miastem Włoch, stolicą, choć Neapol większy od niego rozmiarami, a inne, jak: Wenecya, Medyolan, Turyn, Florencyja, Palermo, prowadzą z nim walkę o własny byt i stanowisko, jako zdetronizowane stolice małych państweczek... Rzym dlatego jest stolicą, że jest Rzymem, że był sercem państwa staro-rzymskiego, że ma parlament i senat, że ku niemu dążą ludy świata. Zdawało-by się np., że Rzym powinien być miastem bardzo muzycznym, tymczasem Medyolan przoduje ciągle, odbiera mu palmę pierwszeństwa, zostaje jak dawniej targowiskiem artystycznym. Dawniej, za papieskich czasów, muzyka religijna przyciągała obcych; wspaniałe wykonanie arcydzieł muzyki głosowej polifonicznej w kaplicy Sykstyńskiej i nie gorsza muzyka kościelna z towarzyszeniem organów, wykonywana przez Capella Giulia w bazylice ś-go Piotra, lub też popisy w świątyni ś-go Jana (w Lateranie), w S-ta Maria Maggiore, zostawiały niezatarte wspomnienia. Obecnie powyższe kapele znajdują się w stanie upadku. Watykan zaprowadził oszczędności, decydujące sfery rade-by wprowadzić śpiew gregoriański, skład artystyczny muzyki został do tego stopnia zmniejszony, że w razie święta w którym z wielkich kościołów, bazylik, przybierani być muszą amatorowie, a ci nie zawsze stoją na wysokości zadania, i nie są zdolni podtrzymać świetnej tradycyi dawnej pompy kościelnej.

Od kilku lat Mustafa, sławny dyrektor kapeli Sykstyńskiej, widząc, że Leon XIII, ze względów oszczędności, nie przywoływuje nowych śpiewaków w miejsce zmarłych, zaczął się uskarżać, a nie otrzymawszy tego, czego żądał, opuścił stanowisko i zaniechał kierowania muzyką w czasie uroczystości papieskich. Ta oznaka nieposłuszeństwa poruszyła Papieża, poważne osobistości zaczęły pośredniczyć, ale Mustafa, chociaż — jak tu powiedzieć? — jest *soprano* — okazał całą swą energię, wyjechał do własnej posiadłości w Toskanii, i tam przez trzy czy cztery lata gniewał się na Watykan. W tym ciekawym zatargu między muzykiem, broniącym swego zawodu i godności sztuki, a Papieżem, wydającym rozkazy, Papież musiał ustąpić. Mustafa wrócił do Sykstyń, kiedy Ojciec święty pozwolił mu zgodzić śpiewaków, jakich było potrzeba. Pomimo tego, sam Mustafa i inni dyrektorowie kapel kościelnych natrafiają na trudności, coraz dziś większe — na brak owych *sopranów*... Cała prawie muzyka klasyczna kościelna pisaną jest na cztery głosy, t. j. sopran, kontralt, tenory i basy. Wiele z tych głosów rozwija się, tworząc sześć lub ośm części. W każdym jednak utworze powinien być jeden sopran, lub kontralt, i do tego w wielu

kompozytjach oba białe (kobiece) głosy górują. Dzieła te pisane były w czasach, kiedy nie brakowało głosów kobiecych naturalnych, lub sztucznych, ale te ostatnie są coraz rzadsze i amatorów nie dostaje. Z drugiej strony, Kościół w Rzymie nie pozwala, aby kobiety śpiewały w świątyni razem z mężczyznami.

Jak dzisiaj, niema co myśleć o udziale kobiet w popisach kościelnych. Jakób Rossini starał się o to u Piusa IX i napotkał stanowczą odmowę. Jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie pożegnać się z muzyką, pisaną od trzech wieków dla użytku chóru kościelnego, chyba że które z towarzystw filharmonijnych rzymskich przedstawi ją nam w sali koncertowej lub teatralnej. Probowano użyć dzieci dla wykonania kobiecych partyi w utworach Palestriny, Stradelli i innych; sprobowano przedewszystkiem w katedrze medyolańskiej i nawet w kościele ś-go Piotra; ale rezultat był miernym, nie zadawał wymagani, do jakich mają prawo arcydzieła mistrzów. Stąd idą ogólne skargi i żale na zanik świetnej tradycyi, a pierwsi skarżą się — cudzoziemcy.

Nie brak wprawdzie w Rzymie koncertów; jest kwintet nadworny królowej Małgorzaty, dający koncerty z pola muzyki kameralnej, jest towarzystwo, t. j. Akademia ś-tej Cecylii, której popisy są bardzo uczęszczane, zwłaszcza kiedy daje koncerta historyczne muzyki włoskiej; jest również Akademia filharmonijna: ale ogółem wzięwszy, popisy nie stoją na wysokości wiedeńskich, berlińskich, lub lipskich koncertów i nie są tak uczęszczane. Przyznać również należy, iż tam, gdzie sztuka plastyczna, malarstwo, archeologia, tak wszechwładnie królują, mało miejsca pozostaje dla poważniejszej muzyki, którą i tak już w części pochłaniają opera w teatrze i kościelne utwory.

Włochy posiadają za wiele stolic, z których każda znowu ma własne wspomnienia świetności, aby mogły zdobyć się na jedną znakomitą trupę operową, lub dramatyczną. Wszakże rozstrzelenie sił artystycznych jest znamieniem Włoch. Tutaj każde niemal miasteczko posiada własną *stagione*, teatr, operę; gdybyśmy więc chcieli pisać o dzisiejszej operze we Włoszech, musielibyśmy zrobić przegląd jakich kilkunastu, lub więcej, szczęśliwych przedsięwzięć teatralnych, najczęściej pozbawionych pierwszorzędných gwiazd, bo te woła śpiewać za granicą, w Europie, czy Ameryce, gdzie lepsze znajdują dla siebie warunki pieniężne.

\*

\*

\*

Co kwitnie nieprzerwanie i kwitnąć będzie na wieki w Rzymie— to archeologia. Właściwie cała prowincya rzymska ze stolicą swoją jest jedną wielką, niewyczerpaną jeszcze kopalnią starożytności klasycznych. Gdzie uderzyć rydłem, czy przy kopaniu nowych ulic w mieście nad Tybrem, czy w Kampanii, wszędzie prawie napotyka się ślady dawnych ruin, zabytki, napisy, czasem jeszcze szczątki mieszkań, malowidła, groby, rzeźby i t. p. Bogactwo tych pamiątek zdaje się być nieprzebranem, tem więcej, iż wiadomo jest o niejednej miejscowości, kryjącej prawdopodobnie w łonie ziemi znacznej wartości zwaliska, a jednak do dziś dnia, i to nawet w najbliższem sąsiedztwie Rzymu, nie znalazł się przedsiębiorca, który-by rozkopał nasypy ziemi i gruzów, bo kopanie jest kosztowne, a materyalna wartość odkrytych zabytków może nie wynagrodzić wyłożonego kapitału. Wywóz przedmiotów sztuki zagranicę Włoch, przedstawiających znakomitą wartość, jest, jak wiadomo, zakazanym, w kraju nie znajdzie się nabywca; rząd włoski zaprowadził oszczędności, kupuje po cenie niskiej: więc i zapamiętany czy ochoty do spekulowania na starożytnościach trudno się doszukać.

Jednak od czasu do czasu znajdzie się śmiałek, więcej od innych przedsiębiorczy, szczęśliwy, któremu zakopane skarby spać nie dają i dokopie się rzeczywiście ładnych rzeczy. Tym razem znaleziono podobno starożytności pierwszorzędnego znaczenia, nie w ziemi, ale w wodzie, i to właśnie podwaja wartość odkrycia. Dlatego też wiadomość o znalezieniu jednej, czy też dwu wielkich łodzi, *tryrem* rzymskich, na dnie jeziora Nemi, w okolicy Rzymu, wywołała prawdziwą sensację. A więc nie odkrycie budowli nawodnych—nie, to co w jeziorze Nemi, tutejszem Morskiem oku, po położonem w górach Albańskich, znaleziono, pochodzi z rozkwitu cywilizacyi starożytnego Rzymu. Poszukiwania, jakie ciągle jeszcze są w biegu, zajmują nie tylko uczonych, którzy zawczasu cieszą się na myśl ostudyach nad nowym przedmiotem archeologicznym, nie tylko senat, ale i lud rzymski, bo tutaj każdy po trochu jest archeologiem, od małego nauczył się patrzeć na ruiny, chodził do muzeów, karmił się własnymi dziejami i dumny jest ze wspaniałych resztek, wobec których współczesny mieszkaniec Włoch wydaje się małym i nikłym. Uczeni mają o czem rozprawiać, bo rzecz jest nowa, niezbadana, i stąd niezwykle ciekawa, tem bardziej, iż niejednen, ale dwa okręty leżą na dnie kryształowych nurtów uroczego jeziora. Wiemy np., iż byli archeologowie, co, spędziwszy miesiące całe na wyspie Krecie, na ziemi Faraonów, ura-

dowani byli, jeśli znaleźli choćby napis lub uszkodzony posąg, boć nie każdy był tak szczęśliwym, jak Schliemann. A tu tymczasem znaleźli się okręt, prawdziwy, oryginalny okręt rzymski, i to jeszcze z jakiej epoki? z pierwszej połowy pierwszego wieku. Bo to, co dotąd było znanem w dziedzinie marynarki starożytnej, ograniczało się do płaskorzeźb kolumny Trajana, do (sławnej zresztą) rzeźby, znalezionej w Palestrynie, i innej, złożonej w muzeum pałacu Spada.

Tak, ale nasamprzód z czasów jakiego cesarza pochodzi odkryta tryrema? Nie ulega żadnej wątpliwości, że odnosi się do czasów Kaliguli, jako wspaniała, paradny okaz, zbudowany może dla Cezara, świadectwo owego przepychu, rozrzutnej okazałości, jaką imperatorowie lubili się otaczać. Pod tym względem odkrycie jest jedynem w swoim rodzaju, gdyż dozwala nam, podobnie jak w życie przeciętnego Rzymianina w Pompei, wejrzeć poufnie w życie władcy imperyum, czy też jego epoki, znanej więcej w rysach ogólnych, historycznych, niż w szczegółach natury prywatnej.

Jeziro Nemi jest najpiękniejszą może ozdobą wzgórz Albańskich. Przejrzystością wód, górzystem swoim położeniem, stanowi ono dla rzymskiej Kampanii podobny klejnot, jak Morskie oko dla pasma tatrzańskich gór, choć wobec ostatniego błednie, nietylko z powodu mniejszych rozmiarów, ale i dla tego, że nie posiada majestatycznego odludnego otoczenia niebotycznych skał, bo oprawionem jest w zielone winnice, zamki i wille dzisiejszych właścicieli letnich rezydencji. Każdemu, kto zajrzy do Rzymu, radzę, aby pojechawszy koleją do Albano, wziął powóz i objechał jednym tchem, w ciągu dnia, urocze okolice jeziora Nemi i Albano, Aryceę, Genzano, Marino, Castelgandolfo Rocca di Papa i wreszcie Frascati. Droga wije się po pagórkach, biegnie alejami platanów, przecina malownicze krajobrazy. Owe *castelli romani* dają jeden z tych uroczych, pogodnych, miłych widoków, jakie nie tak prędko zamierają w pamięci. Samo jezioro Nemi, oddalone o 30 kilometrów od Rzymu, leży na 325 metrów wysokości nad powierzchnią morza, niezbyt odległego, bo je z wysokości Castelgandolfo gołem okiem można dojrzeć. W najbliższem sąsiedztwie jeziora sterczy najwyższa tutejsza góra, Monte Cavo, wygasły wulkan, a łóże jeziora wydaje się być jednym z pobocznych kraterów jego. Już w starożytności jezioro było miejscem upodobanem Rzymian. Starożytni, z poetyczną wyobraźnią swoją, nazywali je „Zwierciadłem Dyany,“ od słynnego przybytku Dyany Aricina, wybudowanego w lasku, rosnącym na skalistem pobrzeżu. Od czasów Juliusza Cezara, miejscowość była ulubionem miejscem pobytu dla bogatych Rzymian, zwiedzana była przez pątników, spieszących złożyć ofiarę na ołtarzu Bogini Łowów. Przyszli wreszcie cesarze, osiedlili się na lato nad chłodną

szybą wód i z tej epoki pochodzą obydwa okręty. Legenda ludowa opowiadała o tajemniczym statku, pogrążonym w głębokościach jeziora, wytworzyła podanie o ściganej przez rodziców, parze kochanków, którzy woleli zatonąć razem ze statkiem, niż być rozłączonymi. Według innego podania, Dyana spędzała rokoszne chwile na okręcie, razem z synem miejscowego króla, a gdy kochanek zginął, bogini z rozpaczy zatopiła łódź, niemego świadka miłosnych schadzek.

Ale po-za legendą jest historia: Swetoniusz opowiada bardzo wyraźnie w życiu Cezara, że ten rozpoczął nad jeziorem budowę willi i kazał ją rozebrać, gdyż mu się nie spodobała. Tyberysus i Augustus, według tego samego autora, przyjeżdżali do Nemi, gdzie odprawiali orgie. Podobnie jak na wyspie Capri, pod Neapolem, tak i tutaj, do imienia Tyberysusa przyczepiła się fantastyczna legenda o statku, spoczywającym na piaszczystym dnie wód jeziora, tylko że tym razem podanie było mniej tragicznem.

O ile wiadomo, w r. 1430, a więc w piętnastym wieku, ktoś poruszył myśl zbadania głębin, gdyż rybacy miejscowi uporeczywie opowiadali o zabytku, przeszkadzającym nieraz w łowieniu ryb. Właścicielem pobrzeża i wód był wtedy kardynał Prosper Colonna i ten, zdjęty ciekawością, polecił odnośne roboty budowniczemu Leonowi Alberti. W tym więc celu zbudowano wielkie tratwy, użyto zręcznych rybaków i wydobyto rzeczywiście część statku, powleczoneą masą czerwona, nieprzemakalną, i blaszkami ołowianemi, przygwożdżonemi małemi gwoździami z brązu. Znalazły się rury ołowiane, i jak świadczą ówczesne zapiski—niestety mylnie—można na nich było wyczytać imię Tyberysusa. W sto lat później, t. j. w r. 1535, inny budowniczy, Franciszek de Marchi, wpadł na tę samą myśl, dzięki wynalazkowi jakiegoś majstra Wilhelma z Lotaryngii, twórcy ubioru dla nurków. Odziany w dość nieudolny ubiór, ułatwiający mu pobyt pod wodą, Marchi spuścił się na dno jeziora, dostrzegł tryremę, opisał ją i osądził, iż należała do cesarza Trajana, chociaż ktoś inny dowodził, iż musiała być dziełem Kaliguli. Ale opis, dany przez Marchiego, zgadza się w wielu razach z wydobytemi dziś resztkami. I znowu minął wiek, choć podanie krążyło, choć ludzie widzieli klasyczne resztki. W r. 1827 niejaki Fusconi, także wynalazca jakiegoś przyrządu dla nurków, wybudował wielką maszynę z drzewa i żelaza, i wziął się do poszukiwań. Oczywiście i tą razą także urwano kawałki statku, cegielki, belki, gwoździe nadzwyczajnej wielkości, nadto dobyto jakiś wielki przedmiot z brązu, ale sznury się urwały i zbytek runął nazad w głębię. Otóż ten przedmiot teraz został wydobyty — jest to wielkie rzeźbione nagłowie palu. Na szczęście, wyjęte przez Fusconiego rzeczy nie zginęły i część ich leży do dziś dnia w muzeum watykańskiem, część podobno



nabył Aleksander Torlonio, bogaty bankier papieski (później obdarzony tytułem książęcym), ale cegielki odebrane jezioru wprowadziły w błąd archeologów. Wszyscy jednogłośnie, razem z Nibbym, orzekli, iż znalezione okruchy należec musiały do willi, wystawionej nad brzegiem jeziora, albo nawet w środku onego, prawdopodobnie tej, jaką, według Swetoniusza, wybudować kazał Juliusz Cezar. Nikt wtedy nie przypuszczał, aby spód statku, czy też jego boki, mogły być wyłożone ceglami, mozaikami, blachami ołowianemi; a choć podanie „o statku Tyberysza“ nie zamarło, utrzymywało się całkiem niezależnie od zdania archeologów, jednakowoż utrwalił się domysł, iż w nurtach jeziora spoczywają ruiny rzymskiej willi.

Tak stały rzeczy, kiedy w końcu zeszłego lata jeden z antykwarjuszy rzymskich, p. Borghi, przybrawszy sobie do spółki Auglika, zgłosił się do księcia Filipa Orsiniego, dzisiejszego właściciela jeziora, i rzymskim zwyczajem, przedstawił mu plan poszukiwań: powyżej wzmiankowani poszukiwacze brali na siebie całe koszta przedsięwzięcia, mieli wydobyć statek, znalezione zaś rzeczy miały iść do równego działu. Tego rodzaju propozycje zdarzają się nieraz w Rzymie samym i w Kampanii, właściciel gruntu nie ponosi kosztów, nie naraża się; a w zamian rzeka się połowy skarbu artystycznego, jeśli go znajdą. Z Civitavecchii przybyli nurkowie, wzięto się do roboty i jeżeli oznaki nie mylą, tym razem cały statek, a może i obydwaj zostaną wydobyte. Wkrótce po rozpoczęciu robót rozeszła się w Rzymie wiadomość o wydobyciu bardzo cennych i ciekawych przedmiotów. Kilka nagłowi rzeźbionych z brązu: głowa Meduzy, wilczycy, lwa, wszystkie z pierścieniami w pysku, ułamki marmurów, mozaiki, rury ołowiane, gwoździe, kawałki belkowań, wprawiły w zdumienie obecnych. Na ruinach znalazły się napisy:

### C. Caesaris Aug. Germanici.

Teraz więc już jest pewnem, że okręt jest z czasów Kaliguli, a więc z lat 37—41 naszej ery. Zapomniałem nadmienić, iż część rzeczy, wydobytych na początku bieżącego wieku, umieszczoną została w Muzeum Kircheriano, gdzie też oglądać można kawałek rzeźbionego drewnianego tułowiu okrętu, oderwany od całości. Chcąc przeto złożyć cały statek, wypadnie pozbierać rozrzucone po różnych miejscach części, wtedy można będzie dać zabytek możliwie cały, a w każdym razie niesłychanie ciekawy. Wprawdzie nie jest jeszcze pewnem, czy statek należał do Kaliguli, chociaż wiele okoliczności przemawiało-by za tem przypuszczeniem. Kaligula miewał fantastyczne zachcianki, jak opowiada Swetoniusz, kazał położyć między Puzzuoli i Bajae, pod Neapolem, długi pomost na łodziach i bawił się, przejeź-

dżając go konno, ubrany wawrzynem na głowie, lub też powożąc sam bigą, w otoczeniu pretoryanów i przyjaciół. Lubił również wystawne łodzie, urządzone z nadzwyczajnym, wschodnim przepychem; odbywał na nich wycieczki na morzu, roskoszując się śpiewami niewolników i tańcami niewolnic. Kto wie, może używał podobnych przejażdżek, w lecie, na małowniczem jeziorze, może jeździł do świątyni Dyany, wysiadał w małym porcie, urządzonym wspaniale, ubranym w mozaiki, może uczęszczał do tej świątyni, co kryta dachówkami bronzowemi, połączanemi, w otoczeniu zieleni lasów, wydawać się musiała zaczarowanym miejscem modlitwy... Ale znowu z drugiej strony, nie jest wykluczoną możliwością, iż łodzie, zbudowane za czasów Kaliguli, służyły raczej do przewozu pielgrzymów, dążących do przybytków Dyany, a że świątynia była bogata i sławna, przeto i statki dawały obraz przepychu, godnego wielkiej bogini. Inaczej trudno sobie wytłómaczyć zatonięcie tryrem. Czy zaginęły podczas burzy, czy przy spuszczeniu ich na wodę spotkało je nieszczęście — nie wiadomo, ale kto wie, czy może naturalniejszą nie jest znowu hipoteza, iż już za czasów chrześcijaństwa, świątynia, port, łodzie, jako służące kultowi pogańskiemu, zostały zburzone i wrzucone do wody...

Nie śmiem rozstrzygać, bo statek jeden czy też dwa, leżą jeszcze pod wodą i nie są zbadane. Statek ów Kaliguli, długi jest na 65 metrów, szeroki 12 metrów, jak go wymierzili nurkowie. Chodzi więc o to, aby przepyszny okaz łodzi wydobyć w całości, dźwignąć go, nie urywając, jak dotąd, po kawalku, i w tym celu rząd włoski wysłał komisję naukową, aby się rozpatrzyła na miejscu, co do sposobu uratowania jedynej w swoim rodzaju pamiątki klasycznej. Wierzch najgorzej naturalnie się dochował, a spód, w piasku leżący, najlepiej. Genzemo, małe miasteczko nad jeziorem, stało się dzisiaj miejscem pielgrzymki tutejszych archeologów, bo tam, w pałacu Orsiniego, złożone są wydobyte szczątki.

Ktoś wystąpił ze zdaniem, jakoby statek przeznaczonym był do tak zwanych *naumachii*, to jest walk na wodzie. Prawda, że za Kaliguli *naumachie* kwitły, ale wspaniałość ornamentyki, ozdoby mozaikowe, ślicznie rzeźbione części bronzowe, nie zdają się wskazywać na wojenną zabawę na wodzie. Jeśli statek był własnością cesarza Kaliguli, musiał być (że użyję nowoczesnego wyrażenia) jego *yachtem*, na którym przejeżdżał się po jeziorze, w czasie pobytu swego w chłodnem ustroniu, opodal świątyni Dyany.

Bądź co bądź, musimy zaczekać, póki nie zostanie wydobyty, po śnie 1880 lat, bajeczny statek, póki nie będą złożone pojedyncze części, tak, aby opis tryremy mógł być dokładnym i dać wyobrażenie o nowym zabytku archeologicznym pierwszorzędnej wagi. Tryrema

była prawdopodobnie rzeźbiona bogato w drzewie, jak to widocznem jest z odłamka przechowanego w Museo Kircheriano, w gmachu Collegio Romano, w tej samej połaci gmachu, gdzie na czwartem piętrze znajduje się muzeum astronomiczne imienia Mikołaja Kopernika, fundacyi ś. p. Artura Wołyńskiego. Sam tułów okrętu zdobyły brązowe rzeźby, a posadzka wyłożona była różnokolorową szklaną mozaiką. Czego nie ujrzymy więcej, a co musiało należeć do urządzenia statku, to bogatych wschodnich kobierców jedwabnych, bardzo wtedy we zwyczaju (prawie powiedziałbym w modzie) w Rzymie będących, zwieszających się po brzegach nawy, dla nadania więcej przepychu i miękkości całości, boć to były czasy Cezarów i chwila, kiedy, z rozwarciem Wschodu, Włochy przyswajały sobie szybko orientalne nawyknięcia zwyciężonych.

Nie do naumachii zatem służyła ta nawa, lecz jedynie od święta, od wielkich okazji, podczas przejażdżek cesarskich, albo, jeśli mamy iść za innym domysłem, jako należąca do sławnej świątyni, świadczyć miała o aureoli, jaką święte miejsce było otoczonem.

Kiedy cesarz wyjeżdżał na podobnej gondoli, otoczonym był dworem najrozmaitszych osób żyjących z jego łaski: miejscowych i greckich chwalców, poetów przybocznych, spanoszonych, bogatych wyzwolenców, filozofów, darmozjadów, kuglarzy, zalotnic, pięknych nałożnic, tancerek i grających na flecie. Po odbytej przejażdżce, następowała uczta w tablinum, gdzie uwieńczeni różami i innymi kwiatami goście imperatora spełniali kielichy win południowych, przy dźwięku harf i melodyach wygrywanych na fletach, lub też słuchali wierszy, wypowiedzianych przez nadwornych rymotwórców, zwracających się zawsze do osoby wielkiego dobrodzieja swego, który zechciał zmieszać się z tłumem zwykłych śmiertelników.

Teraz jezioro Nemi drzemie spokojnie w otoczeniu winnic, ogołocone z pomników, świątyni, tylko ta sama zieleń barwi jego wodę w szmaragdy, jak niebo zaprawia je lazurem. Monte Cavo na kilkanaście wieków pierwej wygasł. Z całej dawnej wspaniałości miejsca nic nie pozostało, oprócz kilkudziesięciu posążków glinianych i brązowych, wotywnych ofiar, naniesionych przez pobożnych. Dopiero z chwilą wydobycia tryremy zmartwychwstanie wielki wymowny świadek owych dni, wstanie z wód, w które został zaklęty jak Goplana, jak protest klasycyzmu przeciw naszej cywilizacyi, w całej krasie przepychu, na podziw społecznym, jako ostatnie drgnięcie pamięci Cezara Kaliguli, czy też pogańskiego kultu Dyany!.. Bo z świętego gaju uciekły spłoszone widma Dyany i Wiribiusa, gdy nad cyrkiem Nerona zatknięty został w Rzymie krzyż chrześcijański. I gdyby można pisać legendy archerologiczne, dałby się skreślić poetyczny obraz Dyany umierającej,

topiącej swój statek, ginącej razem z nim w jeziorze z rozpaczny przed zwycięstwem Galilejczyka... Wielki bożek Pan umarł! — powiada echo gajów oliwkowych w Nemi. I oto na widnokręgu, z wysokości brzegu w płaszczyźnie doliny szarzeje wielka kopuła Watykanu, tryumf krzyża nad kohortą bóstw pogańskich i legionami Cezarów.

\* \* \*

Kiedy już mówimy o sensacyjnych odkryciach archeologicznych, wypadnie nam wspomnieć o innem odkryciu, zrobionem w okolicy głębszej, niż małe miasteczko i jezioro Nemi — w Pompei. Sprawa nabrała rozgłosu, głównie jednak z powodu tajemniczego wywiezienia cennych przedmiotów za granicę, a mianowicie, do Paryża. Dawno już, jak z pod Wezuwiusza nie donoszono o ważniejszym wykopalisku, a działo się to głównie dlatego, że roboty odgrzebywania murów kamiennego miasteczka postępują leniwo, bo rząd włoski uszczuplił funduszy, i powtóre z przyczyny, iż centrum, najbogatsza i najważniejsza część Pompei, jest już odkopane, to więc, co pozostało, nie może przedstawiać większego interesu (tak przynajmniej twierdzą archeologowie), gdyż dzielnice ubogich przedmieścia nie są w stanie dostarczyć cenniejszych zabytków sztuki i wogóle dla archeologii. Może też tak i jest, ale jednak w roku zeszłym wydobyty został z pod gruzów, żużli wulkanicznych i popiołu, wcale okazały dom, z ładnem umeblowaniem, z perystylem, o zwykłym rozkładzie domów rzymskich, a nawet z freskiem pornograficznym, jednym z tych, jakie jak najwymowniej świadczą o zepsuciu obyczajów nad Neapolitańską zatoką. Rzecz nie była ani nową, ani niespodzianką, gdyż, jak wiadomo, Pompei (nazwa pochodząca od starożytnego włoskiego wyrazu *pumpe*, co znaczy: pięć) dostarczyło już bardzo bogatego zbioru przedmiotów, które, z przyczyny nieprzyzwoitości swojej, zachowane są w oddziale sekretnym muzeum neapolitańskiego i dostępne tylko dla mężczyzn.

Nie w samym Pompei jednak, ale w jego blizkiem sąsiedztwie, zrobiono w roku zeszłym odkrycie bardzo ważne i zajmujące; mianowicie w Bosco Reale znalazł właściciel, p. Wincenty de Prisco, prawdziwy skarb starożytnych, srebrnych, artystycznych naczyń domowych. W winnicy panów Prisco sterczały gruzy starorzymskiej willi, dlatego też w ostatnich czasach właściciele zabrali się do kopania, oczywiście po załatwieniu zwykłych w podobnych razach zastrzeżonych formalności, t. j. za poprzedniem uzyskaniem pozwolenia władz i pod ich nadzorem, w celu, aby przedmioty nie zostały wywiezione.

Tymczasem, w trakcie poszukiwań, wśród których znalazło się dużo przedmiotów, więcej lub mniej cennych, a tworzących dziś małe miejscowe muzeum, robotnicy natrafili na kryjówkę, gdzie schowane były srebra nieszczęśliwego Pompejańczyka, w chwili, kiedy wybuch Wezuwiusza w roku 70 naszej ery przysypał deszczem popiołu i żużli całą okolicę wulkanu.

Naczynia zawinięte były w wełnianą chustę, może dla wyniesienia ich w chwili popłochu. Niektóre strzępy jej przyłgnęły do kruszcu. Przed kryjówką leżał trup sługi, czy też może samego właściciela, biegnącego, aby uratować drogie przedmioty. Co więcej, obok strupieszalego szkieletu znalazły się w popiele: sześć bransoletek złotych, pierścienie, bardzo piękny łańcuch złoty i więcej niż tysiąc złotych monet, doskonale zachowanych, z wizerunkami Nerona, Galby, Ottona, Witelinsa i Wespazjana.

W chwili odkrycia, nogi i uszy naczyń były już odleciały, do tego kilka z tych naczyń przyłgnęło do warstwy popiołu, tak, że musiano zabrać się do oczyszczenia i zlutowania pojedynczych kawałków.

Bracia de Prisco, współwłaściciele ruin, wynieśli cichaczem znalezione sprzęty i wywieźli je do Paryża, gdzie baron Edmund Rothschild nabył je za sumę 129 tysięcy franków, jak twierdzą niektórzy, podstawiony przez zarząd muzeów Luwru, który ich otwarcie nabywać nie chciał, jako rzeczy wywiezionych wbrew przepisom obowiązującym we Włoszech. Dzisiaj naczynia z Bosco Reale złożone są w Luwrze paryskim, jako jeden z najciekawszych zabytków sztuki jubilerskiej starożytnej.

Rzecz nie mogła się ukryć — prokuratora w Neapolu wytoczyła proces panom de Prisco. Oskarżeni zostali o tajemne wywiezienie za granicę przedmiotów sztuki, wbrew prawom krajowym; ale sąd, powołując się wyższymi względami, uwolnił ich od odpowiedzialności, podobnie, jak się pierwaj stało w Rzymie ze sprzedażą obrazów pędzla najpierwszych mistrzów włoskich, przez księcia Sciarę i książąt Borghese.

Między czterdziestu sztukami naczyń, znalezionych w Bosco Reale, odznaczają się przedewszystkiem: wielka patera z płaskorzeźbą wewnętrzną, składającą się z wieńca dębowego i laurowego i z popiersiem kobiety w pośrodku. Kobieta zdaje się być uosobieniem miasta Aleksandryi (w Egipcie). Ubrana w lekką materję, zapiętą na ramieniu, obnażona do pól piersi, ze skórą słonia na głowie, trzyma w prawicy świętego węża. Około popiersia ustawione są oznaki boskie: łuk i kołczan Dyany, maczuga Herkulesa, obęgi Wulkana, wąż Eskulapa wijący się około kija, miecz Marsa, zasadzony w pochwie, i wreszcie lira Apollina. Delfin pływający w wodzie, umieszczony pod popiersiem,

wskazuje, iż chodzi tutaj o miasto nadmorskie; kobieta podnosi prawą ręką fałdy okrycia, a w tych fałdach widać owoce: figi, źdźbło zboża. Na gronie winnem siedzi paw; pantera stoi przy lewej piersi, podczas gdy na prawem ramieniu usiadł lew... Na lewem ramieniu trzyma róg obfitości z półksiężycem Izidy, napełniony gronami, które dziobie ptak. Granat, znajdujący się między owocami, zdaje się wskazywać gminę żydowską w Aleksandryi, której był symbolem. Sam róg obfitości ozdobiony jest różnemi symbolicznemi przedstawieniami, jako to: słońcem, orłem Ptolemeuszów, zwróconym głową na lewo, czapkami Dioskurów z gwiazdą. Włosy kobiety są gęste i utrefione starannie. Kły słonia tworzą nad głową rodzaj półksiężyca, podczas gdy trąba wznosi się w górę, jak kita.

Cały środkowy medalion jest połączony, z wyjątkiem ciała kobiety, zostawionego w srebrze, jak i reszta naczyń. Robota przedmiotu jest artystyczna i bardzo staranna. Pod paterą znajduje się napis, określający szczegółowo wagę naczyń. Odkrycie jego popiera zdanie niektórych archeologów, którzy domyślali się w Aleksandryi wielkiej fabryki artystycznych naczyń srebrnych, jakimi miasto dawniej słynęło.

Nie tak cennymi, ale w każdym razie nadzwyczaj ciekawymi są kubki srebrne, z napisami greckimi, niektóre na podstawkach, z uszkami, a co najważniejsza, z wrytymi nazwiskami greckich poetów, jak np. Moschiona, cenionego pomiędzy mieszkańcami Aleksandryi.

Znowu więc danem jest nam wejrzeć w poufne życie ówczesnych mieszkańców, do uczt wesołych, gdzie *inter pocula* toczyła się dyskusja na temat zagadnień filozoficznych, kwestyi społecznych, literatury i t. d. Wiemy, iż za panowania Cezarów, życie publiczne we Włoszech przycichło; na forum, pod kolumnadami bazylik (gmachów sądowych), pod portykami, nie można było prowadzić dysput, jak za Rzezypospolitej. Polityka, krytyka, rozbiór moralności, kwestyi społecznych, religijnych, cofnęły się z forum do pokoi jadalnych, gdzie swobodniej można było rozprawiać o rzeczach obchodzących naród. Podobnych wzmianek o rozmowach toczących się przy biesiadach posiadamy podostatkiem. Niewątpliwie rozprawiano tam częstokroć o nieśmiertelności, i dlatego niektóre z kubków miały uprzytomniać biesiadnikom wielką tajemnicę zagrobową, i dlatego ozdobione były szkieletami w płaskorzeźbie. Szkielety tańczą, przypominają owe tańce śmierci, jakie rozpowszechniły się w XV wieku, głównie w Niemczech, potem w Hollandyi. Ale starożytność przekazała nam nadzwyczaj małą ilość naczyń, i to z gliny, gdzie kościotrupy wchodzą do ornamentyki; żadne z nich nie ma tej wagi, co kubki z Bosco Reale, gdzie filozofowie i poeci greccy przedstawieni są w grobowej postaci.

W „Uczcie Trymalchiona,” poety Petroniusza, niewolnik podaje biesiadnikom szkielec srebrny, wtedy Trymalchion skarży się na krótkość życia, a potem woła:

Więc żyjmy, póki nam dobrze na świecie!

Jest coś w rzeczonym ustępie, co łączy melancholiczne usposobienie, jakie nieraz wino wywołuje, z wyuzdaną wesołością, dalszym skutkiem napoju. Szkielety z Bosco Reale opowiadają nam ową, wówczas będącą w modzie, filozofię Epikura, tak jak ją znamy z ułamków, znalezionych pomiędzy papyrusami Herkulauum. Oto Zenon i Epikur: Zenon stoi, lewe ramię oparł na kiju, nosi torbę zebraczą i ruchem wyzywającym wskazuje na Epikura. Napis, położony koło jego głowy, objaśnia: *Zenon Ateńczyk*. Epikur, wsparty niedbale na lasce, kładzie rękę na wielkiem naczyniu, stojącym na trójnogu, podczas gdy świnka spina się do naczynia symbolicznego—roskoszy, aby zakosztować. Następują: szkielety kobiet, z wyciągniętymi rękoma, trzymające sakwy pieniędzy, ścnięte pomiędzy kośćcami palców, skrzydła motyle, wieńce z róż, grający na lirze i wielki szkielec, niosący czaszkę z napisem: używać życia, gdyż jutro jest niepewnem.

Sofokles stojący i Moschion przypatrują się masce kobiety, podczas gdy mały kościotrup klaszcze w dłonie, a za nim inny szkielec gra na lirze. Na innym kubku, Eurypides i Monimus (ten ostatni był aktorem). Szkielec trzyma w lewej ręce misę z ofiarą, a prawą ręką wylewa płyn ze dzbanka na trupa, wychodzącego z ziemi.

Nie będziemy już dłużej wyliczali ponurych wyobrażeń na pompejańskich statkach domowych, choć wszystkie płaskorzeźby są nadzwyczaj zajmujące i z wielu względów nowe: amorków bawiących się ze lwami, pantery z Bachusem, bociany polujące i żywiące młode, ptaszki, kraby morskie, drzewa, w najrozmaitszych układach i pomysłach. Sam kształt naczyń jest nieraz bardzo szlachetny, co też da się również powiedzieć o łyżkach, zwierciadłach, misach, spodkach, należących do znalezionej skarbu.

Jest wprawdzie we Włoszech, i to w samym Rzymie, naczynie srebrne, większej wartości artystycznej i archeologicznej od znalezionych u stóp Wezuwiusza — to Cista Ficoroniego, przechowana w muzeum Kirchera, do którego odsyłamy zamulowanego w zabytkach podróznika, podobnie jakśmy to uczynili przy tryremie Kaliguli. Powyższa Cista znalezioną została przez Ficoroniego w r. 1745, pod Palestriną, a więc w prowincyi rzymskiej; na niej rylcem grecki artysta wyrzył legendę grecką o królu Amykosie i o Polydenbasie. Zapewne, że z tą Cistą srebra z Bosco Reale równać się nie mogą, bo też odkryte świeżo przedmioty ze znacznie późniejszej epoki pochodzą. Ale natomiast pozwalają nam one wejrzeć w umysłowe życie Rzymian w I wie-

ku po Chrystusie, dlatego sprzęty wzmiankowane, służące do wytworzonych biesiad, nie czerpią ornamentyki z epoki klasycznej, nie z wybranego świata grecko-rzymskiej mytologii, lecz ubierają się we wspomnienia filozoficzne. Od Cisty Ficoroniego do naczyń Bosco Reale zaszedł wielki przewrót. Odkrycie w Bosco Reale uczy nas, iż zamieszkanie w idealnej, poetycznej, artystycznej mytologii, było już wtedy osłabło, o czem zresztą dowiadujemy się także z fresków, znalezionych na ścianach, jak np. z karykatury, przedstawiającej sąd Salomona, gdzie znacznym jest wpływ wschodu. Świat starożytny rozkłada się, następuje mieszanina wiar, chaos; mówcę zastępuje adwokat, naiwnego filozofa—sprytny moralista, nawet na stole biesiadnym ukazuje się duch sceptycznej refleksyi. Zenon i Epikur, a raczej stoicyzm i epikureizm, ścierają się między sobą, życie praktyczne jest przedmiotem ich kłótni. Już nie całokształt świata zajmuje umysły, ale reguła, według jakiej żyć się powinno. Jakże daleko jesteśmy od Platona! Sądzę, iż Rzymianom, daleko praktyczniejszym od Greków, ten ostatni kierunek musiał daleko więcej przypaść do smaku. Rozkład przyszedł ze Wschodu, aby uterować drogę nowej nauce. Szukano przepisów życia, a te chrześcijaństwo pełnemi między ludzkość rzuciło rękami.

A. DAROWSKI.



---

# MATERIAŁY i NOTATKI

---

## z korespondencji Bignona.

---

Podczas odwrotu Francuzów z Moskwy, znaczna część kancelaryi, zarówno przy głównej kwaterze, jakoteż przy kwaterach korpusowych francuskich, wpadła w ręce ścigających wojsk rosyjskich. Zabrane dokumenty, a są między nimi rzeczy niepośledniej wagi, mieszczą się obecnie w Głównym Archiwum Państwowem oraz w Archiwum Wojny w Petersburgu. Za zezwoleniem J. E. Naczelnika Głównego Sztabu, gen. Obruczewa—któremu, jak również Zarządzającemu Komitetem Naukowo-Wojennym, gen. Feldmanowi, na tem miejscu składamy podziękowanie, — mieliśmy możność czynienia poszukiwań w tem ostatnim archiwum (*Wojenno-Uczonyj Archiv*): ofiarujemy tymczasem niektóre wyjątki z przechowywanej tamże korespondencji francuskiej, dotyczącej momentu bezpośrednio przed otwarciem kampanii 1812 r.

Co sądzić o pobudkach i losach tej nadzwyczajnej kampanii? dlaczego, odkąd i czy wogóle była nieuniknioną? kto w istocie, odkąd i dlaczego uczynił ją nieuchronną i nosi brzemień winy prawdziwego jej sprawcy? jak podzielić odpowiedzialność za jej przebieg i wyniki? jaka część tej odpowiedzialności obciąża naogół ziemie dawnej Rzpltej? a jaka w szczególności Księstwo Warszawskie? To są ważne, drażliwe i trudne zagadnienia. Rozstrzygano je tysiąc razy, i zawsze jak najsprzeczniej. Dziś znowu do nich wrócono, i z bogatszym niż kiedykolwiek materiałem dowodowym. Nie sądzimy wszakże, aby i dzi-

siaj jeszcze rozstrzygnięte były zadawalająco i sprawiedliwie. Prawda, tyleż są trudne i drażliwe, co ważne. Z tych zagadnień, szczerze między sobą związanych jednym łańcuchem przyczynowym, na ostatnie mianowicie chcielibyśmy zwrócić tym razem uwagę czytelnika.

Że kraje dawnej Rzpltej, a nasamprzód Księstwa Warszawskiego, mocno zawiodły oczekiwanie Napoleona,—taka opinia ustaliła się niemal powszechnie. Spór poczyna się dopiero o to, komu przypisać winę zawodu, oraz jak dalece te kraje były same zwiedzione przez cesarza. Bierzemy trzy najbliższe przykłady, opinie trzech świadków naocznych, stojących każdy na zupełnie odmiennem stanowisku. Pierwszy, który zabrał głos w tym przedmiocie, tchórzliwy „jałmużnik Marsa“, arcybiskup mechliński, obwinia w równej mierze egoizm Polaków i instrukcyę cesarza, i wliczając „siedm“ powodów katastrofy, aż trzy zwała na stosunki polskie. Jego poprzednik i następca, Bignon, za wszystko czyni poczytalnym ambasadora w Warszawie, jego głupocie i złej woli przypisuje obezwładnienie impetu, niewyzyskanie zasobów Księstwa. Ostrowski żali się na dwuznaczność cesarza i oplakuje dobroduszną względność pocziwego księdza Pradta, „na którego miejsce, dość tego powtarzać nie możemy, trzeba było Davouta lub innego postawić wojownika, i dodać mu jeszcze z dwunastu w ostre topory opatrzonych liktorów“.

Owóż najprzód, rozróżnijmy ściśle między Księstwem Warszawskim a resztą. Rozróżnijmy dalej między zawiłemi kwestyami takich czy innych intencyi cesarza, takich czy innych błędów jego ambasadora, takich czy innych widoków ministryum i rady konfederackiej, a prostą kwestyą faktycznej możności. Poczem wypadnie stwierdzić równie prosty pewnik, iż Księstwo wiele więcej zrobić nie mogło, jak zrobiło. Wiadomo oddawna, że jego stan materyalny, ekonomiczny, niemniej jak finansowy, w chwili wybuchu wojny był oplakany. Jak dalece ten stan był rozpaczliwy, a więc jak oczywistym staje się tamten pewnik, o tem świadczą następujące wyjątki z korespondencyi Bignona.

Będzie jednak stosownem przypomnieć przy tej okazji w paru słowach sympatyczną postać samego korespondenta, owego

pana Biniona

Francuza, co należy do cesarskiej rady.

Ksiądz Robak dobrze mówi. Bignon istotnie należał do „rady“, posiadał zaufanie cesarza. Wypróbowany na kilku trudnych misyjach we Włoszech, Niemczech, Austrii, powołany na najtrudniejszą, pełnił w Księstwie obowiązki rezydenta od marca 1811 do czerwca 1812 r.; w czasie wojny mianowany komisarzem przy rządzie tymczasowym

litewskim, wkrótce, w styczniu następnego roku, powrócił do Warszawy w charakterze posła nadzwyczajnego. na parę tygodni zaledwie; śród powszechnego rozprzężenia wytrwał aż do końca, razem z ks. Józefem wyszedł z Warszawy w lutym, z Krakowa w maju. Znaną jest wybitna jego rola polityczna za restauracyi i monarchii orleańskiej. Cesarz na św. Helenie pamiętał o wiernym słudze, obdarzył go w testamencie znacznym legatem, zobowiązał go ostatnią swą wolą „napisać dzieje dyplomacyi francuskiej od 1792 do 1815 r.“ Dwadzieścia lat życia, jakie mu pozostały, poświęcił Bignon wypełnieniu zaszczytnego zlecenia. Sam zdążył doprowadzić rzecz tylko do sierpnia 1813 r.; nie zdążył też, jak miał w myśli, rozszerzyć ram opowieści, biorąc za punkt wyjścia rok 1785. Tak, jak je wykonał, dzieło jasne i bezstronne czyni mu zaszczyt. Okazał tutaj, w zawodzie historyka, te same zalety, co w dyplomatycznym i parlamentarnym. Jako pisarz i działacz praktyczny, Bignon w równej mierze zasługuje na szacunek: jest dorzeczny, ścisły, uczciwy. Zastrzegamy się przecie, że bynajmniej nie myślimy go przeceniać. Nie myślimy przemilczeć nieprzychylnych dla niego świadectw. „Mały człowieczek, całkiem zajęty przez małe wierszyki, małe kobietki, małe ploteczki, którego małe relacyjki do ks. Bassano składają się z małych rebusików“. To jest karykatura, tak pisał arcybiskup z Malines, zbieg, łgarz, tchórz, aby ośmieszyć współzawodnika, który miał stałość, rzetelność, odwagę. „Adwokat z Rouen, kreatura Talleyranda, sprawca wygnania elektora heskiego w Kasslu i zdzierstw wojennych w Berlinie,.. nie pozbawiony talentów i wiadomości, lecz charakteru popolitego i bez zasad, miał próżność i pychę ze wszech miar niestosowną na jego stanowisku w Księstwie. Nie miał on też w Warszawie ani jednego przyjaciela, i po-za głośnym skandalem rozwodowym... cała jego tanceczna działalność ograniczała się do urzędu pogranicznej służby szpiegowskiej, i zaszczerpiła w sercach polskich nieufność i żal do Francyi“. To są już bardziej ważkie słowa dobrodusznego, a niemądrego Senffta; ale saski minister pisał swoje pamiętniki w 1814 r., kiedy Saksonii, za winy Napoleońskie, groziła zagłada; niedziw, że wtedy z goryczą wspominał Bignona, którego zresztą nigdy nie lubił. Jednakże w tych niesłusznych napaściach tkwi pewna doza prawdy. W Warszawie nauczono się cenić Bignona: nie imponował, nie był lubiany. Przed nim tutaj imponował Talleyrand, lubiany był Serra; po nim przywiązano się nawet do Pradta. Kiedy na drugi sejm Serra na krótko zjechał do Warszawy, przyjęto go owacyjnie; niesmaczne wiersze łacińskie uczonego Genuńczyka na wyścigi tłómaczyli w Gazecie Korespondenta Warszawskiego Węzyk i Koźmian; „okazywano mu serdeczność, na którą zasłużył jego zapał dla spraw narodu, a od której odbijała obojętność powszechna dla p. Bignona“. Niemcewicz,

z zalem żegnając Serrę, oplakując odjazd Pradta, „nadto poczciwego, nadto ubolewającego nad cierpieniami naszymi“, dla Bignona nie ma słowa uznania. A oto nieszczególne wrażenie, czysto towarzyskie, jakie jeszcze po trzydziestu latach zapisuje polska wojażerka <sup>1)</sup>: „twarz pana Bignona nie wiele wyrazu niesie, układność człowieka wiadomego jak się w salonach obracają, lubo prawdziwej godności nie mająca... przekonałam się, że położywszy na bok pióro, nie umie wyjść ze swego motylkowego tonu, wcale już nie harmonizującego z osiwiąłą głową“. To wszystko nie jest bez powodu. Bignon nie posiadał sztuki zyskiwania ludzi. Miał lekkość nieco trzpiotowatą. Zrażał podejrzliwością, nie zawsze bezzasadną, lecz nadto zawodową. <sup>2)</sup> Nie budził zaufania. Brakło mu autorytetu. Był doskonałym agentem cesarskim, niedość był reprezentantem wielkich interesów wspólnych Zachodu. Do Warszawy przybył w sile wieku i doświadczenia, czterdziestoletni, były organizator rzpltej Cysalpińskiej, konfederacyi helweckiej, reńskiej, królestwa Westfalskiego, były administrator skarbowy podbitych Prus i Austrii: wszakże jeszcze bez ciężkiego doświadczenia traktatów paryskich i wiedeńskiego kongresu, na ostatnim, najdalej wysuniętym posterunku, czuł się jeszcze więcej awangardą Francyi, niż Europy, jeszcze nie miał zupełnej dojrzałości poglądu, jaką dała mu dopiero mównica izby deputowanych i missya dziejopisarska, włożona na niego przez upadłego cesarza. Ale po tych wszystkich zastrzeżeniach, tem śmieiej możemy powtórzyć, cośmy poprzednio rzekli o zaletach Bignona. Jest to Rulhière w stylu *empire*. Podobni z usposobienia i karyery, obadwaj robili jednocześnie wiersze, politykę i historję. Zapewne, tamten Bignon z czasów Ludwika XV, sekretarz Breteuila, Choiseula przyjaciel, posiada więcej wdzięku i finezyi, niż rezydent warszawski, protegowany Marena; *Epîtres* do pani Egmont są w lepszym smaku, niż rymowana petycyja do ministra spraw zagranicznych Dyrektoryatu; „Anegdoty“ i „Anarchia“ pisane żywszym stylem, niż „Historja Napoleona“. Zapewne, Rulhière, nietylko błyskotliwy, jest przytem przenikliwy i przewidujący; nie lekceważymy go bynajmniej. Ale od sceptycznego poprzednika, Bignon, przedstawiciel nowej ery, nowego stulecia, jest doj-

<sup>1)</sup> Pani Rautenstrauch (1841).

<sup>2)</sup> Pierwotnie Napoleon myślał nie do Wilna go posłać, lecz zatrzymać przy głównej kwaterze „à la tête de la police secrète“, do Bassana, 20 grud. 1811; zresztą później, z powodu jego kłótni z komendantem Wilna, surowo kareci Bignona. „qui au milieu des besoins et embarras où je me trouve, fait des épigrammes et des quolibets“, do tegoż, 24 sierp. 1812, N N. 18350, 19136. Por. jeszcze o Bignonie nieprzemyhne wzmianki w Pamiętnikach Brogliego, I, który był wtedy audytorem przy ambasadzie Pradta; oraz ślady ruchliwej działalności rezydenta w notach Zajączka z 1811.

rzalszy. Jest pewniejszy. Jest z nielicznej garstki stałych, pewnych przyjaciół: i nie z owych li-tylko sprytnych, którym chwilowe względy dzisiaj zalecają przyjaźń, jutro z odmiennym wiatrem zalecą obojętność; ani z owych li-tylko sentymentalnych, których spólcucie, jak słomiany ogień, pali, nie grzeje; lecz z przyjaciół zarazem znacznych i roztropnych, na których można polegać, albowiem jednakowo i zgodnie przemawia w nich sumienie i rozsądek.

Poniższe pismo Bignona i załączony memoriał Matuszewicza mają bezpośrednio na celu uzyskanie subsydyum francuskiego. Przypominamy, że Matuszewicz już poprzednio przedsięwziął starania w tym względzie. Poprzedniego roku był przyczynił się do znegocjowania dla Księstwa pożyczki dwunastu milionów fr. w Paryżu. Musimy jednak sprostować błędne mniemanie, jakoby ta pożyczka istotnie zrealizowaną została w całości. Obligacye Księstwa na rynku paryskim przyjęte nieufnie, nie znalazły nabywców; wpłynęło tedy ogółem zaledwie cztery do pięciu mil., symulacyjnie ze źródeł prywatnych, faktycznie ze skarbu francuskiego, a bardzo ociężałe i powoli, w miarę wzrastających wymagań cesarza względem uzbrojenia kraju. W styczniu 1812 roku Matuszewicz wprost był zwrócił się do ks. Bassano z nagłą prośbą o subsydyum, lecz bezskutecznie. Dodajmy, iż skutek wstawiennictwa Bignona tym razem również był nieosobliwy: na razie znajdujemy tylko rozkaz Napoleona z maja, aby wypłacić na rachunek pożyczki milion fr., wyłącznie na wojsko, przytem w dwóch ratach, połowę zaraz, połowę „później.“ Osobiste prośby Matuszewicza u cesarza w Poznaniu, w końcu maja, niewiele pomogły; podobno obiecał mu Napoleon aż do 40 mil.; tę bajeczną cyfrę Pradt zaraz sprowadził do czterech, które ostatecznie wypłacono lichym bilonem włoskim i fałszywymi asygnatami rossyjskimi <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Że wpłynęła całość pożyczki, zdaje się mniemać Skarbek (który zresztą warunki pożyczki podaje niedokładnie), za nim Falkowski, Schmitt i inni. Por. Napoleon do Bassana, 22 czerwca 1811 roku N. 17839: „il faut que l'argent ne manque pas, l'emprunt a déjà fourni deux millions et fournit encore... on pourrait d'ailleurs avancer encore.“ nie zgadza się z tem współczesne świadectwo Niemcewicza, który wprawdzie notuje pod 24 czerw., że przyszło półtora mil., lecz po paru dniach dodaje: „z przyrzeczonej pożyczki z Francji nie weszło jak milion.“ Matuszewicz do Bassana, 20 stycz. 20 maja 1812, u Żółtowskiego, II (1892): „c'est aussi là notre unique et dernière espérance.“ cesarz do Berthiera, 22 maja N. 18712; co do wysokości późniejszych wpływów w bilonie piemonekim i asygnatach, nie zgadzają się wiadomości Niemcewicza, 20 grud. 1812, 13 stycz. 1813, i Senffta, który dodaje, że większość asygnat, niemożliwych do puszczenia w obieg, pozostała w kasach skarbowych.

Zastanowi, być może, czytelnika ta okoliczność, iż Bignon za wyczerpanym krajem wstawia się u Davouta, i powołuje się na stałe względy marszałka dla Księstwa Warszawskiego. Istotnie, srogi ks. Auerstädt dla Księstwa zawsze był szczególnie łaskaw. Wysnuwano stąd wnioski, że szukał popularności, bo spekulował na koronę. Ségur, Narbonne, Dembowski, Thiers i wielu innych, powtarza tę wiadomość. Zaznaczmy, iż nie ma ona żadnej pewniejszej podstawy, prócz jadowitych insynuacji Berthiera. Zresztą, komu naówczas tej korony nie przeznaczano? Hieronimowi — to wiadomo; są skazówki, że także Muratowi; są dowody, że myślano o Eugeniuszu, a przynajmniej, że tak sądził sam pasierb cesarski i ks. Józef; wiadomo wreszcie, że cesarz na św. Helenie wskazał ks. Józefa. W rzeczywistości, przekonani jesteśmy, przy rozpoczęciu kampanii Napoleon na tym punkcie, jak na wielu innych, nie miał powziętego z góry zamiaru, i czekał, nie uprzędał wypadków <sup>1)</sup>.

Na zakończenie, jedna jeszcze uwaga w nawiasie. Dajemy poniżej pismo Bignona z końca kwietnia 1812 roku. Owóż, istnieje słynna instrukcja cesarska w przedmiocie spraw polskich, datowana dnia 18 kwiet., a przeznaczona, podług dość rozpowszechnionego mniemania, dla Bignona. Takie jest zdanie Skarbka, tak twierdzi jeszcze Schmitt. Jest to zgoła mylne. Ta nadzwyczajna instrukcja, — gdzie w każdym wyrazie znać lwie pazury, znać piętno osobiste Napoleona, gdzie cesarz, czyniąc rachunek najbliższej przeszłości, surowy dla własnych błędów, własną połowiczność tyłzyką potępia lapidarnem: *on a mal agi en tous sens*, gdzie zarazem, genialnym rzutem oka, najdalszą przebija przyszłość, — po raz pierwszy była ogłoszona w Memoryale św. Heleny, bez wymienienia adresata. Stąd mylne przypuszczenie historyków polskich. Powtórzyli ją następnie wydawcy urzędowego zbioru Korespondencji Napoleona i opatrzyli urzędowem objaśnieniem: „do księdza Pradta, arcybiskupa mechlińskiego.“ Objaśnienie równie fałszywe. Pradt dopiero w Dreźnie wybrany do ambasady; jego instrukcja, z końca maja brzmi całkiem odmiennie, nie genialna wcale, bardzo prozaiczna, bardzo zręcznie zastosowana do okoliczności; poprzednia instrukcja kwietniowa była nad jego siły, otwierała horyzonty, dostępne tylko dla dyplomaty wyższego rzędu, — i pozostała projektem. Kto był tym dyplomata, dla którego była przeznaczoną? W tym względzie nie może być wątpliwości. Nie Bignon, ani Pradt — był nim Talleyrand.

<sup>1)</sup> Eugeniusz do Lavalette'a, 22 lut., do żony 26 kwiet.; ks. Józef do Eugeniusza, 17 maja, Roźniecki do tegoż, 24 maja 1812; Las Cases, 18 listopada 1816; O'Meara, 26 września 1817; o Muracie por. Vandal, III (1896), 494.

Jemu Napoleon pierwotnie myślał powierzyć poselstwo warszawskie, w myśl stałej swej zasady posyłania tych samych ludzi na te same stanowiska, gdzie już raz byli użyteczni. Przed sześciu laty w Warszawie oddał mu Talleyrand znaczne usługi; że wtedy od komissyi rządzącej chciał wymóżyć kilkomilionowe napiwne, o tem mógł nie wiedzieć cesarz, i teraz przez świetną ambasadę warszawską myślał wyprowadzić go z niełaski. Tyle pewna: ale dlaczego rzecz nie wzięła skutku? Podobno oparł się współzawodnik, minister spraw zagranicznych; ks. Bassano miał oświadczyć, że jeśli ks. Benewentu pojedzie do Warszawy, on zostanie w Paryżu. Tak napomyka Ségur i opowiada Savary. Ménéval podaje, że Talleyrand uczynił się niemożliwym, gdyż zaraz wygadał się z planem powierzonym mu w zaufaniu przez cesarza, a jednocześnie skorzystał z przyszłej swej missyi dla małej spekulacji giełdowej w Wiedniu. Podobnie wyrażał się cesarz do Las Casesa. Tę samą wersję powtarza Ernouf z papierów Bassana, i jeszcze Vandal z papierów, zdaje się, Caulaincourta. Thiers, zawsze względny dla Talleyranda, wzmiankuje tylko o niedyskrecyi. Bignon, który bardzo ubolewa nad niedojściem ambasady Talleyranda, przyznaje, iż nie rozumie dobrze powodów: „trudno uwierzyć, żeby wina była po stronie księcia Benewentu, który w całej swej karierze politycznej o tyle tylko bywał niedyskretny, o ile uważał to za stosowne.“ Roztropny Bignon, nie znając sekretu, utrafił w sedno. Sekret obecnie, naszym zdaniem, bardzo prosto się wyjaśnia. Wiemy teraz nieco o zakulisowych interesach Talleyranda od czasów Erfurtu. Wiemy, że w 1808 r. zdradził Napoleona, że w 1809 prosił Aleksandra o półtora miliona, że w 1811 prosił Nesselrodego o pięćdziesiąt „licencyi,“ że więc w 1812 był dostatecznie skompromitowany, aby nie móżd odważyć się na missyę warszawską. Był zmuszony uczynić się niemożliwym. Niedyskrecya była rozmyślna, była szczytem dyskrecyi.

<sup>1)</sup> Las Cases, 11, 12 kwiet.: „des affaires d'agiotage, des saletés sur lesquelles mr de T. était incorrigible, forcèrent à y renoncer,“ 25 paźdz. 1816; Ménéval, I, 355, projekt wysłania T-a odnosi już „dans le courant de mars;“ Corr. XXXII, 289; (wydawcy wzmiankują, 494, o krótkich Notes sur l'ambass. de Varsovie przez cesarza, które nieśluszenie opuścili, a które warto było-by odnaleźć i ogłosić; por. wskazane pamiętniki i dzieła, oraz Vandala, 434.—Co się tyczy listów T-a ogł. przez gen. Szyldera w R. Star., LXXX (1893),—a które mamy na widoku, stawiając naszą hipotezę,—próbowano wprawdzie we Francyi powątpiewać o ich autentyczności, wydawano je za niewiarogodne kopie; jesteśmy jednak w możności stwierdzić z najlepszego źródła, że ogłoszone są z własnoręcznych oryginałów T-a.

Bignon do marszałka Davout. <sup>1)</sup>

Varsovie, le 30 avril 1812.

Monsieur le Maréchal, Lorsque le prince Poniatowski a dernièrement à Plock entretenu V. E. de la situation fâcheuse du Duché, je n'ai pu qu'appuyer le tableau très vrai qu'il faisait tant de l'état de dénûment où l'armée se trouve réduite par le manque de fonds, que de l'impossibilité où est le trésor de suffire aux besoins de l'armée. Vous avez bien voulu permettre qu'il vous soit envoyé, mr le Maréchal, un mémoire sur ce double objet. Dans le moment même où nous sommes venus à Varsovie, le ministre des finances <sup>2)</sup> dressait pour S. M. le Roi de Saxe un compte général et des dépenses auxquelles il doit faire face, et des moyens qui existent à sa disposition. Ce ministre s'est empressé de me donner copie du tout, et j'ai l'honneur d'en faire l'envoi à V. E. J'y joins aussi un exposé de l'état où l'armée est réduite, exposé qui m'a été fourni par le ministre de la guerre <sup>3)</sup>. Les pièces justificatives dont est accompagné le rapport de mr Matuszewicz au Roi montrent quelle est la disproportion qui existe entre les crédits ouverts et les ressources. Je ne laisse point ignorer à mr le duc de Bassano la position vraiment déplorable de ce pays. S'il y a eu antérieurement trop peu d'ordre dans l'administration, il en a été autrement depuis la nomination d'un nouveau ministre des finances. Il ne se fait aujourd'hui aucun emploi de fonds sans une autorisation préalable du Roi; mais la rigidité qu'on met à bien employer ce qu'on a, ne peut pas créer ce qui manque. Lorsque les propriétaires fournissent par réquisition et des chevaux et des grains et d'autres objets en nature, il est sensible qu'il serait malaisé d'obtenir d'eux un payement d'impôt en espèces. Une avance de deux ou trois millions de francs par la voie de l'emprunt serait pour le Duché un bienfait inappréciable. Tout ne serait pas couvert à beaucoup près, mais ce serait un secours précieux qui redonnerait du crédit et mettrait en état de faire de nouveaux efforts.

<sup>1)</sup> *W.-U-Archiv, Litt. 454 (64, 69)*. „Listy posła francuskiego hr. Lauristona i doniesienia konsula (sic) francuskiego w Warszawie Bignona do marszałka Davout, 2 vol.“

<sup>2)</sup> Matuszewicz.

<sup>3)</sup> Ks. Józefa; locz faktycznie sprawował wtedy jego obowiązki gen. Wielhorski, dekretem 27 grudnia 1811, D. P. N. 39, mianowany dyrektorem generalnym administracyi wojennej.



Les ministres du Duché invoquent l'appui de V. E. auprès de S. M. l'Empereur et Roi. Ils savent que personne ne peut aussi bien que vous, mr le Maréchal, convaincre S. M. I. de la réalité des maux de ce pays et de la nécessité de venir à son secours pour le bien même de la cause commune. Ils remettent leurs intérêts entre vos mains et vous remercient d'avance de ce que V. E. voudra bien faire pour le Duché dans cette occasion. Agréé...

*Ed. Bignon.*

## R A P P O R T

fait à S. M. par le ministre des Finances et du Trésor.

*en date du 27 avril 1812.*

Sire, Depuis le moment que j'ai l'honneur de servir V. M. dans la place que j'occupe par Ses ordres,<sup>1)</sup> je n'ai eu d'autre pensée ni d'autre soin que de chercher à justifier Sa confiance, que d'employer tous mes efforts à assurer l'accomplissement de Ses vues toujours marquées au coin de la sagesse, de la justice et de la bonté.

Ce ne fut jamais qu'en me faisant violence que je cédaï à la triste et impérieuse nécessité d'affliger le coeur paternel de V. M. en Lui traçant le tableau du progrès de la misère publique et de la détresse du Trésor qui croissait avec elle: il n'est pas de terme qui puisse rendre la douleur qui m'accable dans ce moment, lorsque je me vois indispensablement forcé de prévenir V. M. que le moment craint et prévu depuis longtemps est arrivé et que notre dernière heure va sonner.

Où, Sire, l'épuisement du Trésor est achevé, ainsi que celui de toutes les ressources indigènes qui auraient pu arrêter ou retarder la chute; les nouveaux crédits ouverts par les Décrets de V. M. pour le service du mois prochain, les plus importants même, comme ceux destinés aux frais des travaux dans les places,<sup>2)</sup> ne trouveront plus de fonds pour les acquitter; les besoins militaires attendent encore en grande partie des fonds qui leur sont dus pour le service du mois qui finit;<sup>3)</sup> à peine le Trésor pourra-t-il avancer un à-compte sur la solde du mois de mai;<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> Matuszewicz mianowany ministrem przychodów i skarbu 30 wrześ., przysięgę wykonał w ręce króla na posiedzeniu Rady stanu 5 paźdz. 1811 r.

<sup>2)</sup> W Modlinie, Zamościu, Pradze, Serocku, Toruniu.

<sup>3)</sup> ob. aneks II.

<sup>4)</sup> ob. str. 513, przyp. 2.

et la liste civile <sup>1)</sup> n'en a reçu aucun pour le trimestre dont les deux tiers sont écoulés. Ce que je viens d'indiquer ici, V. M. en recevra la preuve et démonstration arithmétique par le courrier prochain qui portera le rapport accoutumé que j'ai l'honneur de Lui soumettre tous les quinze jours...

Tant qu'il n'y avait qu'à lutter contre quelques abus, contre la pauvreté, la misère même, qui se manifestait dans plusieurs contrées mais n'était pas encore générale, on pourrait ne pas admettre qu'il y ait impossibilité absolue de trouver des remèdes et des ressources: le soin de tout simplifier, de suivre avec persévérance et fermeté le système adopté, d'activer les moyens d'exécution et la vigilance des autorités administratives, la régularisation des paiements (militaires surtout) qui fait reverser en circulation et répand parmi les contribuables l'argent qu'ils ont porté au Trésor, l'émission des billets de caisse dirigée avec attention et prudence, pouvaient plus ou moins aider à entretenir et faire marcher le service. Mais lorsque les mêmes, causes, qui rejettent sur le Trésor un surcroît des charges extraordinaires, nécessitent en même temps l'emploi des mesures qui enlèvent aux contribuables jusqu'à leurs dernières ressources, lorsqu'à la place de quelques abus, qui n'auraient pas tardé à disparaître, on voit s'établir un système de violences, rendues légales par l'urgence du moment, et l'arbitraire, le désordre qui marche inévitablement à sa suite, lorsque la pauvreté et la disette, jusqu'ici partielle, se trouve tout à coup changée en manque général et absolu des moyens de tout genre; prétendre dans une pareille situation pouvoir sauver la chose publique par les propres forces du pays, ce serait accuser ou une présomption extravagante ou la plus insigne imprévoyance.

Que V. M. daigne me permettre de parcourir ici rapidement nos principales sources de recette; ce court examen fera voir qu'il n'y en a pas une, qui ne se trouve dans ce moment ou fortement appauvrie ou tarie tout-à-fait.

*Les contributions foncières.* Déjà V. M., sur les représentations que j'ai eu l'honneur de Lui faire, a daigné reconnaître l'indispensable nécessité de ne point presser à outrance les rentrées de l'impôt établi sur les cheminées <sup>2)</sup> là où les paysans n'ont plus de quoi se nourrir, où

<sup>1)</sup> Z mocy § 10 ustawy konst. wynosiła nominalnie 7 mil. złp. w połowie w dochodach z dóbr królewskich, w połowie płatna w gotowiznie ze skarbu: lecz tej ostatniej połowy ani razu nie podniósł Fryderyk August przez cały czas panowania. Nienciewicz zapisuje w styczniu 1812, że „lista cywilna już sześć miesięcy nie płatna“.

<sup>2)</sup> W prawie sejmowym o poborach 23 grud. 1811 r., Dz. Praw, Nr. 38, tyt. „Podymne“, ten podatek, znacznie podwyższony przez prawo sejmowe 1809 r., został na-

les voies de rigueur deviendraient trop oppressives et, sans profiter le moins du monde au Trésor, ne serviraient qu'à pousser au désespoir les contribuables. La situation des propriétaires même de grands terriers ne diffère pas de beaucoup dans ce moment de celle des paysans. Quelle rentrée peut-on espérer de la part de celui qui vient d'acquitter d'abord une forte taxe extraordinaire, imposée par le conseil de département pour subvenir aux frais de l'entretien des armées alliées et à qui par dessus le marché on a enlevé toutes ses provisions en grains, fourrages, boeufs et eau-de-vie? Le séquestre lui-même n'a plus sur quoi y mettre la main, la réquisition l'a prévenu. Telle est la position des propriétaires des départements, où les armées se trouvent, et dans ceux, où elles sont attendues, c'est-à-dire dans tout le pays. Il est trop clair qu'il n'y a pas la plus petite rentrée à espérer sur les contributions foncières jusqu'au moment, où les réquisitions, ayant, suffisamment pourvu à l'entretien des armées, le surplus des deures qui pourra rester aux propriétaires redeviendra disponible.

*L'impôt sur la consommation* se compose de la taxe sur la vente des boissons <sup>1)</sup> et de la taxe sur la viande <sup>2)</sup>. L'excessif affaiblissement du produit de la première s'explique assez par l'extrême misère et les souffrances des consommateurs, la seconde se trouve arrêtée tout court par suite de la mesure violente des réquisitions. De quel droit et par quels moyens peut-on prélever la taxe sur des boeufs qui furent pris sans être payés et qu'on mène à la boucherie non pas pour en vendre la viande, mais pour la faire distribuer en ration? Les boucheries ne travaillent presque que pour les armées, là, où elles séjournent; et là, où elles ne sont qu'attendues, les boucheries n'ont à peu près rien à faire, les boeufs saisis par la réquisition sont gardés pour l'arrivée des armées. Ce qui vient d'être dit de la viande commune, s'applique aussi à la viande destinée à l'usage des juifs et soumise à une taxe plus forte <sup>3)</sup>. On ne fait plus, on ne saurait même faire de distinction entre les deux viandes, l'une et l'autre n'est employée qu'à l'entretien des armées, et la recette du Trésor, qui sur ce dernier article semblerait solidement assurée, est en souffrance comme toutes les autres. Il n'y a que Varsovie, et très peu d'autres villes qui ne sont pas encore atteintes de ce mal, parceque les troupes du pays qui s'y trouvent ne reçoivent

---

powrót zniżony: § 4. „Z Dymów rolników po miastach i z Dymów wszystkich wiejskich... podymno podwyższono zupełnie się uchyla“.

<sup>1)</sup> id. ib. tyt. „Czopowe“; por. dekret 14 lut. 1812, D. P. Nr. 41.

<sup>2)</sup> id. ib., tyt. „Podatek od rzezi bydła“ oraz dekret 14 lut. 1812.

<sup>3)</sup> ob. dekrety o podatku od mięsa koszernego 25 marca 1809, 22 maja 1810, D. P. N.N. 13, 18.

vent pas jusqu'ici des rations de guerre. Ainsi la source qui pendant les crises précédentes ne s'arrêtait pas et ne cessait d'alimenter le Trésor, se trouve à peu près fermée et ne promet qu'un très faible secours.

*Les douanes.* Que peuvent-elles rapporter, lorsque le commerce, déjà si languissant, est entièrement interrompu à la suite de prohibitions de sortie sur toutes sortes de denrées publiques chez nous, <sup>1)</sup> et publiées également dans tous les pays qui nous environnent? C'est encore une source frappée d'aridité.

*Les domaines* <sup>2)</sup>. Les terres appartenant à l'Etat ne sauraient jouir d'un sort meilleur que les terres des particuliers. Déjà les années précédentes ont fait éprouver sur le produit des domaines un *déficit énorme* <sup>3)</sup>. Une année de disette ayant forcé d'engager les fermiers à fournir des subsistances aux paysans qui n'en ont plus, sauf à déduire cette charge sur le paiement des baux, les fermiers des domaines n'étant pas à l'abri des réquisitions, qui en dernier résultat ne peuvent retomber que sur le Trésor, il est trop certain que cette année-ci le produit des domaines ne rapportera rien du tout <sup>4)</sup> et qu'on peut mettre un zéro à la place des huit millions qui figurent sur le budget de la recette du Trésor.

*La vente du sel* <sup>5)</sup>. Je ne puis à ce sujet que m'en rapporter à ce que j'ai déjà eu l'honneur de mander à V. M. Le moment actuel est celui où le débit ne peut qu'aller faiblement, vu que chacun s'est pourvu du sel en profitant du trainage, que les chemins commencent à peine à sécher et que tout ce qui reste d'attelages dans le pays est employé à des transports de subsistance pour les armées. D'un autre côté ce temps-ci est celui où l'approvisionnement des magasins situés sur la

<sup>1)</sup> Świeży dekret 6 marca 1812, D. P. N. 42, stanowił zakaz wywozu żyta i pszenicy za granicę Księstwa bez poprzedniego otrzymania licencji od ministrów spr. wewn. i skarbu.

<sup>2)</sup> Dekret 18 listop. 1811, D. P. N. 37, odebrał zarząd dobrami i lasami narodowemi ministrowi spr. wewn. i oddał go ministrowi skarbu.

<sup>3)</sup> Podkreślone w oryginale. — Istotnie, względem dzierżawców dóbr narodowych, rząd był zmuszony najprzód dla sześciu pierwotnych departamentów dekretem 5 lipca 1810, połowę zaległości z r. 1809/10 na rat jedenaście rozłożyć, a drugą połowę, jak również zaległości z lat dawniejszych, do kompensaty za pożyczkę i pretensye umorzyć; zaś dla czterech nowych departamentów dekretem 5 listop. 1811, D. P. N. 36 jedną czwartą sum dzierżawnych za cały okres od 1808—1811 prolongować.

<sup>4)</sup> Por. dekret 14 stycz. 1812, D. P. NN. 41, 46, nakazujący egzekucję zalegających rat bieżących u dzierżawców dóbr narodowych bezpośrednio przez właściwe Władze Ekonomiczne, w drodze administracyjnej.

<sup>5)</sup> Ten punkt wydaje się najsłabszym: dochody solne, przeciwnie, stale wzrastały, zwłaszcza od czasu odzyskania żnp wielkich, i w budżecie 1812 r. preliminowane na 9 mil.

Vistule et les autres rivières exige de très fortes avances. Ainsi le sel aussi ne nous offre pas pour le moment des ressources satisfaisantes.

*Les billets de caisse.* Ce secours extraordinaire ne pouvait et ne peut pas être employé qu'avec précaution et réserve <sup>1)</sup>. Dans les derniers temps l'émission des billets ne pouvait se faire dans des points éloignés de la capitale, car toutes les troupes étant concentrées autour d'elle, et dans un espace très resserré, les fonds sortant du Trésor ne se répandaient aussi que sur le même espace. Les grands mouvements et les apparences de guerre dont le public est témoin furent cause, que par inquiétude on s'est porté en foule à la Caisse d'escompte. Ce petit orage passager n'avait rien de trop alarmant et ne tirera sûrement pas à conséquence. Cependant la prudence m'a conseillé à suspendre l'émission des billets dans le voisinage de la Caisse qui les réalise; je n'ai pas voulu épuiser le crédit que V. M. a daigné m'accorder en dernier lieu; j'ai même remis un petit fonds à la disposition du Ministre de la Police <sup>2)</sup> pour l'employer à relever invisiblement le crédit des billets. Toutes ces mesures ne peuvent pas manquer à produire leur effet, mais en attendant le Trésor non seulement ne saurait tirer aucun secours des billets de Caisse, mais ceux qui s'y trouvent sont momentanément devenus un fonds stérile.

*La recette extérieure.* Le million de francs, versé en dernier lieu dans l'emprunt de Paris <sup>3)</sup> par ordre de S. M. l'Empereur et Roi, arrive successivement par l'entremise des banquiers Dufours de Leipzig. V. M. ayant fixé la destination de ce fonds et l'ayant affecté en entier à différents frais extraordinaires du service militaire, il ne fait que passer par la Caisse du Trésor pour être versé dans celle de l'armée et le Trésor n'en reçoit ni n'espère aucun secours pour les autres dépenses urgentes qui restent à sa charge.

Telle est, Sire, la déplorable situation de la partie du service que V. M. a daigné confier à mes soins; il était de mon devoir d'en présenter le tableau à V. M... Il me reste à y ajouter que les préfets des départements où les armées alliées séjournent, pressés par les autorités françaises et obligés des préparer des Hôpitaux militaires, demandent avec insistance que le Trésor vienne à leur secours. Je n'ai pu accorder que de bien modiques avances, qui cependant portent un coup funeste

<sup>1)</sup> Bilety kasowe ustanowione dekretem 1 grud. 1810, D. P. N. 27, do wysokości 9 mil. złp., zabezpieczone w dochodach celnych, faktycznie wypuszczone dopiero w lipcu 1811, nigdy nie doszły pełnej emisji; po kongresie wiedeńskim rząd saski zwrócił przeszło dwadzieścia skrzyń tych biletów nieemitowanych skarbowi Królestwa.

<sup>2)</sup> Sobolewskiego Ignacego.

<sup>3)</sup> t. j. fikcyjnej dwunastomilionowej pożyczce znegocjowanej u Perrégaux Laffitte S.-i. w Paryżu.

à la Caisse générale, dont les fonds sont déjà si insuffisants pour faire face aux besoins les plus indispensables du service de V. M.

Avant quelques semaines j'ai osé avancer dans un rapport présenté à V. M. que deux millions de francs versés promptement et à titre quelconque par ordre de S. M. l'Empereur et Roi dans le Trésor du Duché pourraient encore sauver le pays et le service et assurer l'exécution des mesures qui intéressent immédiatement la grande cause. Je persiste à croire que ce secours, porté à temps, aurait garanti le succès de nos efforts; plus d'une réquisition aurait cessé d'être inévitable et j'envisage chaque souffrance de moins pour le pays comme une ressource de plus pour le pays. Aujourd'hui, deux millions de francs ne seraient plus un remède proportionné à la violence du mal, mais aujourd'hui encore, nos ressources indigènes étant absolument à sec, il n'y a que le bras puissant du Grand Allié de V. M. qui puisse rendre la vie et le mouvement à un corps tout près à tomber et périr d'épuisement...

Pour copie conforme

*Matuszewic.*

## É T A T

*des paiements militaires jusqu'au 28 avril inclusivement.*

### Récapitulation.

	pour les mois d'avril, de mai, en tout		
	demandé	payé	reste à payer
I. Sur le Budget militaire . . .	4,610,765 <sup>23</sup>	2,342,132 <sup>12 1)</sup>	2,268,633 <sup>11</sup>
II. En sus du Budget . . . . .	29,800	29,800	
III. Sur les fonds extraordinaires			
1. affectés au million de francs provenant de l'emprunt de Paris. . . . .	1,289,672	781,000	508,672
2. affectés au Trésor du Duché . . . . .	898,476 <sup>10</sup>	532,884 <sup>10</sup>	365,592
IV. Avances provisoires . . . . .	202,662	167,666	34,996
V. Arriéré du service du mois de mars . . . . .	125,333 <sup>10</sup>	—	125,333 <sup>10</sup>
<b>Total . . . . .</b>	<b>7,156,709<sup>13</sup></b>	<b>3,853,482<sup>22 2)</sup></b>	<b>3,303,226<sup>21</sup></b>

1) Ta pozycja główna składa się: z 807,499 złp. wydatkowanych w marcu na kwiecień, z 1,002,684<sup>12</sup> w kwietniu na rachunek bieżący, i z 531,949 w kwietniu na maj.

2) W tej sumie ogólnej cały forszus na maj stanowi jedynie powyższa pozycja 531,949 złp., wydatkowana na rachunek budżetu wojny; forszus znacznie

Załączamy, dla uzupełnienia, z tego samego Archiwum, wcześniejszy o półtora roku memoriał o położeniu Księstwa Warszawskiego, przeznaczony bezpośrednio dla Napoleona. Oryginał niepodpisany nie pozwala napewno wskazać autora, którym w każdym razie, jak widać z treści, jest Francuz i człowiek wojskowy. We wrześniu 1810 r. bawił w Warszawie wyprawiony z Paryża z tajną misją wywiadowczą oficer ordynansowy Napoleona, Chłapowski; i treść poniższego memoriału w niektórych punktach zgadza się z memoriałem, doręczonym Chłapowskiemu przez Niemcewicza. W pierwszych dniach listopada z podobną misją zjechał z Drezna do Warszawy pułkownik Thiard, szambelan cesarski, i on, być może, jest autorem niniejszego memoriału <sup>1)</sup>. Zastrzegamy jednak, że styl raptowny i stanowczy, oraz pewne cechy charakteru pisma nasunęły nam przypuszczenie, że memoriał dla cesarza, podług relacyi wysłańców, mógł pisać Davout.

*Novembre 1810* <sup>2)</sup>.

Le Grand Duché est dans un grand état de détresse et de dénuement, et si de cette position pénible il ne sort pas des signes de mécontentement, du moins on peut dire qu'on remarque quelque inquiétude et un peu de découragement.

Le blé est la seule richesse de ce pays qui tire de l'étranger tout son numéraire... Qu'on y ajoute les pertes que deux guerres consécutives ont fait essuyer, et on se convaincra que les particuliers doivent être extrêmement gênés et même à peu près ruinés. Le gêne des particuliers a influé nécessairement sur les finances. Sur le service des années précédentes il y a vingt millions d'arriéré, et le défaut du numéraire se faisant sentir de plus en plus, il y a peu d'espoir d'en obtenir la rentrée. Les charges du Duché sont trop fortes pour le revenu...

Lors de la première organisation, l'armée devait être de trentemille hommes. S. M. <sup>3)</sup> sentit bientôt que le Duché ne pouvait l'entretenir et accorda un subside pour sept mille hommes; alors tout était au courant. Après la conquête de la Galicie le Duché eut ordre de porter son armée à soixante mille hommes; cependant la Galicie n'augmente sa force que

---

nizszy nawet, aniżeli był z marca na kwiecień, a tembardziej niewystarczający wobec nadzwyczajnych wydatków mobilizacyi.

<sup>1)</sup> Niemcewicz pod r. 1810; Gaz. W., 6 listop. 1810, Nr. 89.

<sup>2)</sup> W.—U.—A., Lit. 240. (29,118). „Zabrane papiery nieprzyjacielskie z 1804, 1808, 1810 i 1811 r., odnoszące się do spraw Księstwa Warszawskiego.“

<sup>3)</sup> Napoleon.

de  $\frac{2}{5}$ , et cette province entièrement ruinée... n'a offert aucune ressource. Enfin S. M. a retiré le subside, et de là datent la détresse et le dénuement dans lesquels le pays, et surtout l'armée se trouvent réduits. S. M. solde en effet les huit mille hommes qui sont en Espagne, mais ce sont toujours cinquante deux mille hommes à la charge du Duché. En outre cette cessation du subside a produit une impression fâcheuse.

L'armée est superbe, parfaitement exercée, très bien disciplinée. On a vu manoeuvrer les cuirassiers, l'artillerie à cheval, les 2, 6 et 8 régiments d'infanterie, et l'on assure que l'infanterie ne le cède en beauté, en tenue, et en instruction qu'à bien peu de corps français.

Le Trésor public doit neuf millions à la caisse de l'armée. Les revenus sont mangés, les ressources épuisées. Il est dû six mois de solde et on ne donne plus que demi-paye. Ce retard a de nombreux inconvénients. Il a forcé d'envoyer... <sup>1)</sup> par régiment en congé. Enfin le manque d'argent a forcé de tenir l'armée sur le pied de guerre, parce qu'on se procure encore à crédit la viande et l'eau-de-vie, et qu'on ne peut trouver de l'argent pour y suppléer.

Il existe à Pétersbourg un projet de rétablissement... La préparation de ce projet est confiée aux comtes Leon et Severin Potosky <sup>2)</sup>. Ce projet sert assez bien la paresse et l'égoïsme des habitants de l'Ukraine, de la Lithuanie et de la Podolie, pour trouver des partisans dans ces provinces... <sup>3)</sup>.

L'armée du Grand Duché est à soixante mille hommes, mais... il faut distraire neuf bataillons qui sont en Espagne, six qui sont dans les places de l'Oder ou à Dantzig. Mais S. M. I. peut compter sur trente six mille hommes effectifs bien exercés, brûlant d'ardeur et remplis de confiance dans leur chef.

Mais si une rupture... avait lieu, dès l'instant où l'armée aurait mis le pied sur les provinces (limitrophes), tout est prêt pour la levée subite de six régiments aux frais des grands de ces provinces qui ne sont point égoïstes; ils ont donné leur parole; ce sont les deux Sangousko, Radzivil le riche <sup>4)</sup>, les Pass <sup>5)</sup>, les Tysky <sup>6)</sup> ect...

<sup>1)</sup> Liczba urlopników opuszczona w rkp., widać przez zapomnienie.

<sup>2)</sup> sic; również i dalej pisownia nazwisk wadliwa.

<sup>3)</sup> Dalej informacye wojskowe.

<sup>4)</sup> Dominik.

<sup>5)</sup> Pacowie.

<sup>6)</sup> Tyszkiewiczze.



---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Pr. Ulanowski. Materiały do historii ustawodawstwa synodalnego w Polsce w XVI wieku. (Kraków 1895).*

Komissya prawnicza Akademii Krakowskiej uchwaliła wydanie synodyka kościoła polskiego, w którym-by znalazły pomieszczenie wszystkie statuta prowincjonalne i dyecezyalne, od czasów najdawniejszych, aż do końca XVIII w. Prace przygotowawcze komissya powierzyła prof. Abrahamowi, który się im też pilnie oddaje. Znając jednak trudności, połączone z wyczerpaniem materiału tak rękopiśmiennego, jak złożonego w nader rzadkich drukach, zdaniem pr. Ulanowskiego, nie można na to liczyć, aby synodyk polski rychło mógł się ukazać. Dla tego było-by nie odpowiednem, ażeby aż do tej chwili wszelkie drobniejsze publikacye z tego zakresu zostały wstrzymane. Owszem, będzie to bardzo pożądanem, jeżeli historycy nasi, wśród prac archiwalnych w innym zamiarze przedsiębranych, nie pominą przy sposobności przepisania tego lub owego nieznanego dotąd synodu i następnie przesłać go komissyi prawniczej do ogłoszenia.

Duchowieństwo polskie brało tak samo jak w innych krajach europejskich, żywy bardzo udział w życiu politycznym. Synody prowincjonalne służyły do omawiania nie tylko spraw kościelnych, ale zajmowały się także kwestyami, co do których duchowieństwo musiało wprzódy porozumieć się, aby zgodnie i skutecznie bronić swego stanowiska na sejmach. Kapituły wysyłając swych reprezentantów na synod, dawały im bardzo nieraz obszernie i ciekawe instrukcje, które często przychodziły do skutku, po przeprowadzeniu korespondencji z jedną lub kilku sąsiednimi kapitułami. Nie potrzeba więc tego dowodzić, że statuta danego synodu prowincjonalnego innego wcale nabierają charakteru, jeżeli je zestawimy z instrukcjami kapitułnemi, oraz z innymi aktami, odnoszącemi się bezpośrednio do rozbieżnych w synodzie pytań. O ile też jesteśmy w możności pomnożyć materiał źródłowy synodyku za pomocą dokumentów, objaśniających, czy to przyczyni zwołania synodu, czy zachowanie się na nim pewnych kapituł i stawiane przez nie żądania, to pewnie nie poprzestaniemy na drukowaniu same li-tylko statutów i dekretów.

Prócz tego pr. Ulanowski jest tego zdania, że mając do czynienia z powyższego rodzaju materiałem, jak kompilacje Karnkowskiego lub Wężyka, historyk prawa kościelnego musi dążyć: 1-o do odszukania uchwał oryginalnych, z których czerpali redaktorzy kompilacji z r. 1527, 1579 i 1630, oraz 2-o do oznaczenia, jakimi względami kierowano się przy wyborze poszczególnych fragmentów. Druga część zadania stanie się oczywiście dopiero wtedy możliwą, kiedy pierwsza spełnioną zostanie.

Prace synodalne w XVI w. posiadają dla nas podobną, a nawet większą wagę, aniżeli to, co na tej samej drodze duchowieństwo polskie zdziało w wieku poprzedzającym. Wówczas bowiem walczono z husytyzmem, a w XVI w. mieli biskupi polscy cięższe przed sobą zadanie. Reformacja była o wiele groźniejszą od husytyzmu i dla tego środki obronne należało z tem większą przygotowywać energią. Przytem obradował równocześnie sobór Trydencki i wydawał liczne postanowienia, dążące do reformy Kościoła. Statutów z XVI wieku ogłoszono jednak nie wiele. Te zaś, które wydrukowano w XVI wieku, należą do najwyższych rzadkości. Uwzględniając wspomniane okoliczności, uznał pr. Ulanowski za odpowiednie i dla nauki korzystne, ogłosić pewną ilość zabytków ustawodawstwa synodalnego z XVI wieku, a to bądź na podstawie rękopisów, o ile zabytki te nie były jeszcze drukowane, bądź na podstawie dawnych a tak rzadkich współczesnych druków.

Oddając do użytku publicznego niniejszy zbiorek, pr. Ulanowski zaznacza, że nie miał bynajmniej zamiaru wyczerpać przed-

miotu, lecz chciał pobudzić inych badaczy do uzupełnienia jego publikacji. Z tem wszystkiem, zbiór wydrukowany przezeń zawiera 25 cennych dokumentów, i jest nowym dowodem niestrudzonej pracowitości zasłużonego historyka.

A. R.

*Walerya Marrone. „Przeciw Prądowi;“ powieść we 2-eh tomach Lwów, 1895.*

Ludzi do niniejszej powieści wprowadza autorka dla zaznaczenia pewnego światopoglądu. Młodzi narzeczeni, którym wypadek nieszczęśliwy czarę szczęścia oderwał od ust przed jej dotknięciem, w zaraniu życia rozbitki zamożności udanej lub rzeczywistej, szukają deski zbawienia, wzywając ratunku od bliźnich, którzy u bezpiecznego brzegu, na ich łamanie się samotne patrzą obojętnie. Oboje młodzi, silni miłością wzajemną, nadzieją, wiarą w przyszłość, mają powoli przebyć wszystkie stopnie rozczarowań, jakie nie znającym go przygotowuje świat. I nie jest to bynajmniej ze strony autorki jakaś przekorna fantazya pesymistyczna, ani kaprys obmyślany na efekt romantyczny; ale pewna summa obserwacyi, nie głębokich, nie dalekich, którą, po bliższem zastanowieniu się, każdy sprawdzić może doświadczeniem własnego życia, lub wypadkami, od których roi się społeczeństwo, uchodzącami często bez dostatecznej uwagi i zbawiennych ostrzeżeń.

Występuje naprzód strona rzeczy pedagogiczna. Ażeby móżdż się połączyć po stracie niezależności w przeddzień ślubu, trzeba sobie zdobyć na miejsce straconego stanowisko inne — zarobkowe, niestety! Lecz ażeby zarabiać, trzeba coś umieć. A cóż wy umiecie, panie Zdziślawie i panno Regino? Wszystko, co stanowi uciechę i ozdobę życia; nie coby przy dzisiejszych okolicznościach dawało trwałe podstawy bytu. Jesteście, jak ogół naszej społeczności, do wszystkiego i do niczego. Do wszystkiego, bo macie ku temu zdolności niepospolite; do niczego, boście żadnej nie wyzyskali w kierunku gruntownym i do potrzeb dzisiejszych zastosowanym, poprzestając na dylettantyzmie.

Mniejsza jeszcze o pannę Reginę, jako o jedyną córkę bogatego obywatela ziemskiego. Pedanterya było-by żądać, aby taką pannę, przeznaczoną do zajęcia wydatnego miejsca w sferze olimpijskiej, kształcić specjalnie w przewidywaniu nędzy; a takie doraźne katastrofy, jak śmierć ojca, przypadająca jednocześnie z doszczętną ruiną wielkiego mienia, o ile nie są przez powieściarzy *ad hoc* urządzone, niby *deus ex machina*, — zdarzają się wyjątkowo, jak trzęsienie ziemi, lub zapadnięcie jeziora; więc za kryterjum służyć nie mogą.

Lecz życiowa niendolność p. Zdzisława nie ma tych okoliczności łagodzących, a przecież, przyznać musimy z autorką, jest ona wśród nas dosyć powszechną, bez względu na odwieczne upomnienia tułającej się dotąd wśród ludu, starej bajki o *królu*, który nie chciał wydać córki za królewicza, póki ten nie nauczy się jakiego rzemiosła: ostrożność, która okazała się słuszną.

I komuż to tę niendolność zawdzięcza p. Zdzisław? Rodzonej matce, która w miłości swej dla jedynaka wymyśliła sobie osobliwszą teorię zdobycia dlań karyery, bez pracy. Zdumiewające są jej pod tym względem rozumowania (I. str. 53), jakże jednak dobrze przez autorkę podsłuchane i trafnie streszczone! Zdzisław nie ma wprawdzie nic, lecz jest ulubieńcem towarzystwa, a wszak „w dzisiejszych czasach wykształcenie, stosunki, dobre imię, zdolności, stanowią znakomity kapitał“, który on wniesie ma do spółki małżeńskiej. Lepiej to, niż mnożyć liczbę „adwokatów bez spraw, lekarzy bez pacjentów, lub inżynierów bez pracy“. Wszyscy wybierają sobie *stan* jakiś: ona dla jedynaka swego wybiera drogę, „którą iść mu będzie najłatwiej i najwygodniej“. W wychowaniu pierwotnem nie wybrała mu żadnej specjalności, bo to droga wiodąca tylko do opędzania się przed głodową śmiercią; a jej syn odrazu musi być „potężny, musi móżdż uczynić to, czego zapragnie; wszystkich oczy muszą się zwracać ku niemu z zazdrością“. Cały więc dostatek, jaki dawała jej wysoka po mężu emerytura, obracała ona nie na wykształcenie syna w kierunku pracy samodzielnej, nie na kapitalizowanie dla niego drobnych oszczędności, ale na postawienie go tak, iżby stał się pożądanym sercu bogatej dziedziczki, a z pomocą jej posagu zajął dla siebie i dla niej świetne, silne stanowisko w świecie. Majątek ziemski Reginy, to furda: on go po ślubie spienięży i zamieni na bryłę złotą, która w obrotach przemysłowych stanie się lawiną. — „Przedsiębiorstw korzystnych i bez ryzyka jest wiele. Kupuje się przeważną liczbę akcyi w jednym z nich i tym sposobem można mieć odrazu posadę nie nużącą a korzystną; oprócz procentów zaś i dywidendy, jakie kapitał przynosi, udział w kierownictwie interesu. Jest więc zajęcie, jest stanowisko; a wszystko to, w najlepszym razie, przy fachowej pracy, mógłby osiągnąć Zdzisław dopiero na starość, po długich latach i przy zbiegu wielu szczęśliwych okoliczności“.

Tak tedy pani Julska, o „pieczonych gołąbkach“ marząc dla wypieszczonego jedynaka, obliczała zupełnie jak owa Perette z bajki Lafontaine'a, niosąca dzbanek mleka na głowie, i w jej też znalazła się położeniu, kiedy zdawało się, że już urządziła wszystko.

Pani Julska, to nietylko matka obłąkana na punkcie karyery pożądaney dla syna; jest to zkadynąd wielona obłąda, osoba, która tak się potrafiła wyćwiczyć w kłamaniu wszelkimi objawami duszy, że, stoso-

wnie do swego interesu, każdego zdolną jest omotać i nastroić. Katastrofa, niweczająca jej plan, jakkolwiek nader przykra, nie zachwiała jednak jej zasad i nie skłoniła do opuszczenia planu. Opuściła ją tylko udana macierzyńska czułość dla Reginy, której usiłowała wytłómaczyć, że małżeństwo było-by obecnie dla obojga nieszczęściem. I już zwracała oczy i uwagę syna w inną stronę, namawiając do rozpoczęcia nowej kampanii; tylko, że na ten raz namowa jej rozbiła się o prawy charakter, prawą miłość i niezłomną wolę Zdzisława.

Ten rys charakteru, jaki autorka przyznała młodzieńcowi, równający go pod względem godności z Reginą, nietylko, że nadaje formę powieści, gdyż mogła się ona była przerzucić w inny kierunek, ale zaznacza zarazem drugą kwestyę, przez tęż powieść wyzyskiwaną, to jest położenie ludzi o pewnych zasadach moralnych, którzy zmuszeni są *dziś* żądać od społeczeństwa, nie już bezinteresownych przysług, ale ich prostej wymiany. Mniejsza w jaki sposób autorka nastraja rzecz, tak, iż młodzi narzeczeni, pozbawieni wszelkich środków, rozłączyć się muszą na czas nieokreślony, dla pracy o ich zdobycie; główna rzecz w tem, jak ich świat przyjmie, oraz, czy, narażeni na ciężkie próby, wytrzymają wiernie przy swych zasadach i dochowają przysięgi serca.

Tutaj dopiero zaczyna się jątrzenie uczuć, wyrosłych na pniu godności ludzkiej. Niedosyć, że młody Zdzisław na każdym kroku złorzeczyć musi, iż mu nie dano w rękę skutecznego narzędzia pracy, ale im dalej, tem widoczniej odkrywa on marnotę zabiegów ludzkich, którym wszędzie towarzyszy intryga i poniżenie. Dopóki stał na niezależnem stanowisku, sztucznie wyśrubowanem przez matkę, świat miał dla niego same uśmiechy, nadszakał, udaną życzliwością starał się o przychylność wpływowego w towarzystwie młodzieńca. Jakże zmieniła się fizyognomia i temperatura świata, gdy młodzieniec ten ukazał się przed nim w postaci suplikanta! Nie długo czekał Zdzisław, ażeby się przekonać, iż ma przed sobą dylemat: przyspieszyć wzrost karyery rychlejszem wyzbyciem się honorowego stoicyzmu, albo z biedą wegetować i z nią całe życie walczyć. Wybiera drugie i jeszcze nie bez tego, ażeby dla takiego minimum nie musiał poczynić ustępstw, nie z zasad wprawdzie, ale z prawowitej dumy szanującego się człowieka. Każą mu omijać drzwi frontowe, wchodzić przez schody kuchenne, „niewinnie“ dopomagać do spraw podejrzanych; każą mu zmienić narzeczoną; tego on nie czyni; ale oddania się w służbę szubrawca, wprawdzie czysto machinalną, uniknąć nie może; ale przekonanie, iż dla braku rzeczywistych uzdolnień, mózół jego życia i dla niego, i dla społeczności żadnego nie ma znaczenia, towarzyszyć mu będzie chyba do śmierci.

Kiedy tak Zdzisław dusi się, męczy, przeklina i rozpacza, jako ostatni robotnik, z łaski utrzymywany w biurze jakiegoś drugorzędnego bankiera, Regina pod przybranym nazwiskiem próbuje szczęścia na deskach teatralnych. Dla osoby młodej, z jej wychowaniem, przedstawia to sytuację podatną na suplement do Dantowego piekła, w którym-by ktoś, mając przed sobą obmierzone bagno, pod grozą utonięcia w niem, zmuszony był wiecznie przeskakiwać po rzadko rozrzuconych kępkach, i to zarosłych cierniem. Aż nareszcie po sześciu latach wytrwałości, łączą się z sobą narzeczeni, na których świat miał czas wyrzeźbić swój przepływ dłotem zawodów, upokorzeń i nędzy.

Rzeczywiście, właściwy tytuł tej powieści, niefortunnie przez edycję lwowską przeistoczony, jest „Świat-rzeźbiarz“. Metafora nie jest nową; autorka wyraz w niej tylko zmieniła: dotychczas rzeźbiarzem nazywano życie, i jest to pojęcie ogólniejsze. Choćby człowiek najmniej poddawał się wpływom świata, najmniej od niego zależał, zawsze tam samo jego życie wewnętrzne coś na nim wyrzeźbi. Ale autorka przez sam tytuł chciała widać wskazać, iż tę akcję rzeźbiarza ogranicza do samego świata. Ograniczenie to odbiło się też i na wyglądzie powieści. Bohaterowie jej, Zdzisław i Regina, raz określeni takimi, jak ich umodelowała natura, a w części wychowanie, wypuszczeni w świat, unieruchomwiają się w swych charakterach. Dążąc do jednego celu, oddzieleni przestrzenią, często z woli własnej nieświadomi własnych losów, działają jakby pod jedną battutą. Ograniczeni w swych środkach do prostego zarobkowania, dla nich samych, dla ich miłości, wzniosłych, ale jako ideał powszechny dość obojętnych, przestają już interesować osobiście, a główny interes schodzi do tego, co się nie w nich, lecz koło nich dzieje.

Od połowy pierwszego tomu, czyli od chwili, gdy oboje, rozłączywszy się, wychodzą na drogi samodzielności, istotnie pod ręką autorki na bohatera powieści przetwarza się ten świat, który rzeźbi, realizujący się w swej akcji abstrakcyjnej, kiedy bohaterowie konkretni proporcjonalnie schodzą do roli eksperymentu. Nie dziw, iż rzeźbiarz więcej interesuje, niż materiał rzeźbiony. Po pierwszej próbie, po pierwszym odczuciu zawodu czy upokorzenia, Zdzisław i Regina nie mają nam osobiście wiele do powiedzenia. Przychodzą zawody, czy upokorzenia nowe, refleks ich będzie mniej więcej ten sam. Psychologia przez to doznaje jednostajności, ubożeje; zajęcie wypływa z coraz nowych *przyczyn* zawodów i upokorzeń, z roboty rzeźbiarskiej, a pod tym względem powieść obrazowości nie szczędzi. Tu otwierają się drzwi na pewne stosunki dziennikarskie, świadczące, że nie wszystko jest złotem, co się świeci; tam spada maska hipokryzyi z oblicza dostojnego męża, który, jako dygnitarz kolejowy, z ustami pełnymi sło-

dyczy, wakujących posad używa za przynętę do wydawania zamąż córek, niemiłosiernie odtrącając opornych; ówdzie otwiera się wnętrze domu handlowego, którego pryncypał wyzyskuje swych ludzi aż do samobójstwa, indziej przedstawia się w całej swej brudnej okazałości światek teatralny, ze starym dyrektorem na czele, kształcącym debiutantki przedewszystkiem ku ucieście własnej, nie zapominając i o kie-szeni. Oto są te naciski dłóta, mające wyzłabiać pewne wyobrażenia i wrażenia na duszy istot młodych, naiwnych, nieświadomych życia.

W obrazowaniu przedstawionych tu zjawisk świata autorka niezaprzeczenie trzyma się gruntu rzeczywistości, — wszystko to, co ona maluje w dosadnych szczegółach, znane jest i z wieści, i doświadczenia, — tylko przyznać trzeba, że w stosunku do swych dwojga bohaterów niezmiernie wyciągnęła strunę. W całej galerii, jaką dla swej powieści zebrała, oprócz starej i brzydkiej panny, która wreszcie nie może, niema ani jednej uczciwej duszy; wszystko to, począwszy od matki Zdzisława, obmierzłe, a jeśli nie zupełnie złe, to głupie. Nie poruszając kwestyi pesymizmu, lub optymizmu, z trudnością wszelako przypuścić można, ażeby dwoje ludzi sympatycznych w ciągu lat sześciu nie zdołało natrafić w społeczeństwie naszym ani na jednego człowieka, który-by odbijał od tej gromady, wytwarzającej atmosferę pogardy lub oburzenia. Z tym wstrętnym personelem, karmiącym się obłudą; z tą ulewą niepowodzeń, zawieszonych nad głową młodej pary, która nietylko zasady ale i nerwy musi mieć stalowe, ażeby je wytrzymać; z tą przyprawą śmierci naturalnych i gwałtownych, powieść ma od początku do końca charakter ponury, jak wszystko wreszcie, czego przeznaczeniem jest przestrzegać raczej, niż bawić.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

---

T. T. Jeź. „Sama“. Powieść. Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1896 r. str. 367.

Na ostatnich pracach autora „Handzi Zahornickiej“ i „Uskoków“ podeszły wiek powieściopisarza nie odcisnął zbyt widocznych znamion. Być może, że przy porównaniu takiej np. „Samej“ z dawniejszemi utworami Jeża, skrzętny badacz nie doszukał-by się w niej pewnych właściwości i zalet, któremi błyszcząły tamte. W powieściopisarstwie jednak osiągnięta wprawa i zapas spostrzeżeń, zdobyty przez długi

szereg lat pracy autorskiej, do pewnego stopnia przynajmniej, zastąpić mogą żywość uczucia, barwność stylu i świeżość pomysłów, te przymioty, właściwe przedewszystkiem młodszemu wiekowi. Nigdy zresztą nie giną one w zupełności, — a w dziełach pisarzy tej miary, co Jeź, zawsze przynajmniej widocznem pozostanie to, niczem nie dające zatrzeć się doszczętnie, znamię talentu, które nadaje im wartość trwalszą i wyróżnia je w sposób dodatni z pośród wielu dzisiejszych fabrykantów powieściowych, cieszących się nawet chwilowo poczytnością i uznaniem. To pewna, że gdyby nie parę archaizmów i prowincjonalizmów, które spotykamy w „Samej” (jak np. gradusy, sustawy, bez różnicy wieku osoby powieści i t.p.),—gdyby dalej nie rozwlekłość, z jaką miejscami toczy się w tym utworze opowiadanie, co zresztą nie jest wyłączną cechą piór starszych,—gdyby wreszcie nie nazwisko, a raczej znany powszechnie pseudonim autora „Historyi o pra...pra...pra...wnuku i o pra...pra...pra...dziadku“, przeciętny czytelnik nie domyślił-by się nawet, że ostatnia powieść Jeża wyszła z pod pióra zasłużonego piśmiennictwu weterana, dźwigającego na swych barkach siedm już z górą krzyżyków. Taka bystrość i głębokość obserwacji, taka świeżość poglądów i siła przekonań wyziera jeszcze z niektórych jej ustępów.

Wątku, z którego wysnuta została „Sama“, nie szukał autor daleko. Dostarczyły mu go stosunki, panujące w łonie arystokracji i plutokracji krakowskiej. Z nazwą miasta nie spotykamy się wprawdzie w toku opowiadania, pewne jednak szczegóły domyślić się pozwalają miejscowości, w której się akcja rozwija.

Przedstawicielem idealizmu w dawnym stylu, pełnego porywów szlacheckich, skłonnego do ofiar i poświęceń, jest w powieści hrabia Aleksy Homirski. Niepoprawny „romantyk” i „marzyciel“, dla fantazyi, jak się wyrażali bogaci „jego krewni“ z młodszego pokolenia, za-przepaścił piękną fortunę. Spędzając z konieczności znaczną część życia zdala od miejsc rodzinnych, nie przestawał Homirski wywierać z oddalenia wpływu pewnego na wychowanie najstarszej z trzech córek, hrabianki Teresy, która wobec nieobecności ojca i ciężkiej choroby matki, stała się z czasem prawdziwą głową rodziny i opiekunką siostr młodszych. Ona-to właśnie jest bohaterką powieści.

Wychowanie Teresy, przeprowadzone całkowiec pod hasłem ofiarności dla obowiązku, wobec którego osobistość jest narzędziem, nie zaś celem, wyrobiło z niej altruistkę, stawiającą swoje własne ja na planie ostatnim i pragnącą żyć wyłącznie dla społeczeństwa. Nie szukając jednak ideałów odległych, znalazła w otoczeniu najbliższem, w rodzeństwie, domownikach i mieszkańcach wioski rodzinnej, pierwsze ogniwa wielkiego łańcucha społecznego, w który wpleść pragnęła i pra-



cę życia swojego. „Serce jej—mówi w jednym miejscu autor — nie domagało się praw i przywilejów specjalnych. Kochało tak i tyle, że nie uczuwało potrzeby miłości na swój wyłączny użytek. Zresztą, sprawy sobie z tego nie zdawała. Marzyła, roiła, sny złote snuła, ale nie o kochanku. I dla tego była „dla zalotników zwyczajnych, jak skała“. Może miłość rozleglejsza, podnioślejsza, poważniejsza, tłumila w niej kochanie, „technieniem młodzieńczem wzbite pod niebiosa, upoetyzowane, ubrylantowane, ale pospolite”. (str. 207).

Na pierwszych kartach książki widzimy Teresę w roli siostry miłosierdzia przy łóżku dogorywającej matki, i odrazu uderzają nas w oczy dwa zasadnicze rysy jej charakteru, t. j. stanowczość i prawdziwie męska energia, dzięki którym, młoda hrabianka, nie oddalając się prawie od łoża chorej matki, czuwa jednocześnie nad słabym także i zgnębnym przez życie ojcem, zajmuje się domem całym i zastępuje matkę dwóm młodszym siostram, które jeszcze chodzą na pensyę. Bo hrabia Aleksy, powróciwszy do kraju po długich latach oddalenia, wypuścił w dzierżawę wioskę, która mu została z rozbitej fortuny magnackiej, i z rodziną całą przeniósł się do miasta, gdzie korektą przysparza szczupłych dochodów, które na skromne utrzymanie wystarczyć zaledwie mogą. Stary Homirski, mimo koronę hrabiowską, nie wstydzi się pracy. Jest to człowiek z pojęciami nawskróś nowożytnemi. Tradycya, duma rodowa i szlachetność wrodzona buntują się w jego duszy jedynie na myśl o możliwości związku córki z człowiekiem, zasługującym wprawdzie osobiście na szacunek hrabiego, ale posiadającym po ojcu znaczny majątek, którego źródło w pierwszej chwili nie wydaje się Homirskiemu dosyć pewnem i czystem. Uspokojony pod tym względem zupełnie, ułatwia sam zbliżenie się do córki młodzieńcowi, którego ceni wysoko, chociaż nosi on niezbyt pięknie brzmiące nazwisko, a ojciec jego prowadził handel wieprzami...

Pan Paweł Skowron, wykształcony gruntownie chemik, do grona arystokracji wszedł wprawdzie na podstawie dokumentów, zapisanych w wykazach hipotecznych i papierach wartościowych, ale, używając jak najlepiej majątku, pracując rzetelnie w laboratorium nad rozwiązaniem zadania wydobywania z roli jak najwięcej owoców przy jak najmniejszej a wynagradzanej odpowiednio pracy, urzeczywistniał, zdaniem hrabiego, ideał członka społeczeństwa, posiadającego środki i rozumiejącego do czego służyć powinny. Nie arystokratyczne pochodzenie nie szkodziło mu w oczach Homirskiego. „Była pora — rozumuje hrabia — w której buławy, pancerze, hełmy ton nadawały i kierunek wskazywały. Pora ta znamionowała przewagę pięści nad rozumem, który się powoli z pod tej przewagi wydobywał, aż się wydobył, buła-

wy, pancerze i hełmy złożył w muzeach, a na ich miejsce wysunął na-przód laboratorya (str. 241).

Lecz mimo wszystko, dodatnie postaci ostatniej powieści Jeża, z wyjątkiem może jednego tylko Homirskiego, nie zawsze wywierają wrażenie typów, wziętych naprawdę z życia. Teresie zwłaszcza i Pawłowi szkodzą niewątpliwie pewnego rodzaju szczudła, na których parę tę umieścił autor. Należą oni oboje do tej kategorii postaci, o których mówi się zwykle, że zbyt książkowe, zbyt idealne. Są to raczej zwierciadelka, służące do odbicia pewnych idei i poglądów powieściopisarza, a nie istoty ludzkie, złożone z krwi i kości. Pomijając nawet ~~z~~ ludzką siłę, z jaką Teresa panuje nad uczuciami swemi w chwili ~~z~~ smutku matki, gdy boleści swej nie zdradza jękiem najslabszym, aby tylko nie przerwać snu spoczywającemu ojcu, — trudno umotywować logicznie i uznać za zupełnie naturalny stosunek jej cały do Skowrona. Dla zalotników zwyczajnych hrabianka była wprawdzie „jak skała“, Pawła jednak niepodobna uważać za zalotnika zwykłego. Miłość jego względem Teresy była gorąca i szczerą i mogła szczęście zapewnić obojgu, zwłaszcza, że Teresa kochała go również całą potęgą pierwszego uczucia i nie mogła miłości jego nie spostrzegać. Mimo to jednak, pod wpływem chyba zbyt subtelnego przywiązania do młodszej siostry, dziecka niemal, o którego stronie wewnętrznej nic prawie nie wiemy z powieści, pod wpływem idei zaparcia się siebie i poświęcenia, którą w każdym wypadku stosować pragnęła, usuwa się na bok zupełnie, i ucząc swoich niczem nie zdradzając, sama proponuje Pawłowi, aby się z Hanią ożenił:

— Jeżeli mnie pan na siostrę zechcesz, uszczęśliwisz dwie istoty: Manię i mnie. W przeciwnym razie, liczę na honorowość pańską, liczę na to, że krok, jaki do pana uczyniłam, na zawsze w tajemnicy pomiędzy nami pozostanie... Dobrze? (str. 366).

I co dziwniejsza, Paweł, bez słowa protestu, na zamianę taką przystaje, chociaż niedawno czarował go obraz hrabianki Teresy i na jej widok układały mu się w myśli strofy bez słów, idące w takt cichej, uroczej muzyki, która mu w duszy i w sercu grała.

Jeżeli postępek hrabianki wydawać się musi co najmniej dziwnym, zwłaszcza, że o uczuciach młodziutkiej Mani do Skowrona dowiadujemy się tylko z bezmyślnej paplaniny Frani i tej psunsonarskiej miłostki na seryo traktować nie możemy, — to całe zachowanie się Pawła w jego stosunku z Teresą jest już wprost niezrozumiałem i niczem usprawiedliwić się nie da. Oryginalną jest ta miłość jego, o której istnieniu zapewnia autor, jeżeli w ciągu całego roku, jedynym jej wynikiem jest jedna skromniutka strofa, która w dodatku „sama mu się

w umyśle ułożyła". Uczucia względem panny Teresy znajdują u niego wyraz w odprowadzeniu jej młodszych siostr z pensyi, w poważnych rozprawach z niemi i przesyłaniu przez nie dla ukochanej... ukłonów,— na wyznanie nawet zdobyć się nie mógł, ani na żaden krok energiczniejszy w celu połączenia się na zawsze z tą, do której jego serce należało,—aż w końcu głos tej miłości milknie zupełnie, jakby jej całkiem nie było. Czyż tak kochają ludzie czynu, do których mamy prawo zaliczać Pawła Skowrona?

Teresa przypomina trochę niektóre kobiece postaci Orzeszkowej. Jest w niej coś i z Justyny z „Nad Niemnem“, i z Ireny z „Australczyka“, i zwłaszcza z Seweryny z „Dwóch biegunów“, — tylko, tamte są mniej papierowe, chociaż w swoim rodzaju nie mniej może od Teresy idealne. Postępowanie tamtych nie razi przytem ani na chwilę brakiem konsekwencyi, bo nawet „dzika“ Seweryna, nie chcąc połączyć swego życia z eleganckim światowcem, Gronowskim, działa pod wpływem przywiązania do ukochanej „puszczy“ i z poczucia obowiązków, których się wyzuć nie chce i nie może. Tu jest inaczej, i dlatego wyidealizowana postać hrabiunki Teresy niezawsze trafia czytelnikowi do przekonania. Jej bezwzględność i stanowczość, graniczące często z pozorą przynajmniej oschłością, wprost nawet rażą niekiedy, co naturalnie nie leżało już w intencyach i planach autora.

Niezależnie od głównego wątku, na dalszym planie widzimy w „Samej“, wybornie przez autora odmalowane drobne intryżki i nieporozumienia, panujące w spokrewnionych z Homirskimi rodzinach, Zbędowskich i Gudulskich. Osią, około której obraca się tu wszystko, są sprawy majątkowe, a rozjemcą w sporze między ciotką Teresy, panią Zbędowską, i jej córkami z jednej strony, a młodym Zbędowskim z drugiej—ma być właśnie hrabia Aleksy.

Epizod ten daje autorowi sposobność wprowadzić do powieści parę drugorzędnych postaci i zarazem sięgnąć do głębin życia, w których męty kryją się tak często, i odsłonić przed oczyma czytelnika wieczną komedię świata i jego szych pozłacany. Drugorzędne postaci „Samej“ pełne są życia i nie rażą fałszem najmniejszym. Autor kreslił je z artyzmem skończonym, który z rysu każdego widnieje. Taką zwłaszcza panią marszałkową Zbędowską, wielką damę w każdym calu i zarazem intrygantkę na wielką skalę, obliczającą z góry każdy uśmiech i każde słowo i nie robiącą jednego kroku bez wyrachowania, śmiało zaliczyć można do najlepszych typów niewieścich, jakie wyszły z pod pióra Jeża. Niektóre jej scenki z hrabią Henrykiem, jego córkami i własnymi dziećmi, są wprost nieporównane, że przypomnę tu tylko jedną z najefektowniejszych, odegraną wobec hrabiego, na widok dokumentu, w którym syn jej, Jan Zbędowski, dwie trzecie majątku, przypadają-

cego mu po ojcu, o które marszałkowa walczyła tak zawzięcie, przeznaczyl najspokojniej na szkoły...

Dobrzy są także oboje Gudulscy i adwokat Ostępski, a zręczne obrazki rodzajowe, jak np. ów z dziadami na cmentarzu, urozmaicają powieść i świadczą wymownie o darze spostrzegawczym autora, lub raczej, jak dzisiaj, o jego dobrej pamięci.

---

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Klęska Włochów pod Aduą zmieniła odrazu ich politykę afrykańską i z tego względu, kto wie, czy nie wyjdzie im w końcu na dobre. Gabinet Crispiego upadł. Rządy objął margrabia Rudini, którego nie pociąga myśl podbojów. Rudini nie chce ani Abissynii zdobywać, ani protektoratu nad nią wykonywać, ani wogóle posiadłości włoskich w tej stonie Afryki rozszerzać. Zawsze trzymał się tych zasad, a teraz, po bitwie pod Aduą, jeszcze bardziej przy nich obstaje. Rudini sądzi, że gdyby zasady owe dawniej były przestrzegane, nie przyszło-by wcale do wojny z Menelikiem, która pochłonęła tyle ofiar w ludziach i pieniądzach, a kończy się pomimo to przegraną. Mniema również margrabia, że gdyby Włochy chciały teraz szukać zemsty na Meneliku i prowadzić wojnę aż do pokonania go, dodały-by do poprzednich błędów nowy, tak samo kosztowny, a jeszcze mniej korzystny. Włochy powinny dążyć przedewszystkiem do zawarcia przyzwoitego pokoju, a zawarwszy go, żyć w sąsiedzkiej zgodzie z Menelikiem.

Podobno już Crispi, zaraz po bitwie pod Aduą, nakazał rozpoczęcie rokowań ugodowych. Rudini zaczętego dzieła nie przerywał, i obecnie układy są w biegu. Program polityki afrykańskiej Rudiniego ułatwi mu osiągnięcie celu. Bo w istocie, Rudini zgóry czyni Menelikowi te ustępstwa, przy których tamten najbardziej obstawał, a więc przedewszystkiem zrzeka się protektoratu i zaborów. Za taką cenę

Menelik przyjmie ze swej strony warunki, które Włosi będą uważali za właściwe postawić, a których treść zasadnicza będzie polegała na tem, że pozostaną panami kolonii Erytrejskiej, zamkniętej w granicach terytoryów nadbrzeżnych. Tym sposobem stosunek Włoch do Abissynii uregulował-by się na zasadach bardziej odpowiednich zakresowi sił włoskich i interesom Włoch, niż była pretensyjna myśl protektoratu, powzięta bez należytego obliczenia potęgi odpornej Menelika. Bujna wyobraźnia niektórych optymistów, wybiegając w przyszłość, widzi już Włochy, związane przymierzem z Abissynią i atakujące wspólnie z nią derwiszów sudańskich, ewentualnie zdobywające i dzielące między siebie wschodnie kresy Sudanu. Trochę to zawczesne marzenia, bo jeszcze pokój nie został zawarty; ale wskazują one, jak poważna zmiana zaszła w nastroju rządu włoskiego i — w sytuacji.

Inna zmiana, kto wie, czy nie donioślejsza w skutkach, zaszła jednocześnie na szerszej widowni stosunków międzynarodowych.

Rząd angielski zawiadomił urzędowo mocarstwa, że przedsięwzięcie wyprawę wojsk egipsko-angielskich w stronę Sudanu, kilka batalionów wyruszyło już z poleceniem dotarcia do Akasze, za Wadi Halfą. Kiedy i dokąd wyprawa posunie się z Akasze, to się zdecyduje później. Wyprawę rząd angielski uzasadniał niebezpieczeństwem, jakie wynika dla Egiptu z podejrzanych ruchów derwiszów, którzy jakoby już w lutym zaczęli wielkimi massami ciągnąć ku granicom Egiptu i ku Kassali, będącej dziś, jak wiadomo, w posiadaniu Włochów. Ekspedycya egipsko-angielska powołana jest do tego, aby jednocześnie i Egipt zasłoniła, i ubocznie dopomogła Włochom, zamkniętym w Kassali i pobitym przez Menelika pod Aduą.

Wiadomość o tej wyprawie przyjęli jak najgorzej Francuzi, którzy dopatrzyli w niej, po za urzędowemi komentarzami angielskimi, przedewszystkiem sposób na przedłużenie okupacji Egiptu. Minister spraw zagranicznych rzeczypospolitej, p. Berthelot, rozmawiał w tonie cierpkim z ambasadorem angielskim; w parlamencie zapowiedziano kilka interpelacyi; wreszcie jakoby eskadra francuska otrzymała rozkaz udania się do Aleksandryi. Wszystkich tych objawów można się było z góry spodziewać wobec przedsięwzięcia, które, niezależnie od innych swoich celów, rzeczywiście sprawę ewakuacyi usuwa z porządku dziennego, i to właśnie w chwili, kiedy Francuzi łudzili się nadzieją, że jest ona już bliską pożądanego dla nich rozwiązania. Co jednak stanowi niespodziankę, to, że z tych niezadowolonych i rozdrażnionych we Francyi tym razem Anglicy nic sobie nie robią. Zwykle tak czuli na francuskie pogrożki i zastrzeżenia, teraz żartują z nich. O p. Berthelocie piszą, że tylko przez brak wprawy w dyplomacyę nadał swojej rozmowie z ambasadorem angielskim i swojej nocie ton, który po-

winien był ją czynić groźną; w rzeczywistości czynił ją raczej śmieszną. Całą agitację w prasie nazywają wybuchem „złego humoru“, na który Anglia nie potrzebuje zwracać uwagi i który niezawodnie minie bez śladu. W zachowaniu się rządu i w głosach prasy ludyńskiej widać jak gdyby jakąś pewność siebie, od której oglądania tam świat już się odzwyczaił. I nasuwa się pytanie, skąd się to wzięło?

Pewności niema, ale wolno się domyslać, na podstawie kilku wskazówek, że ze zbliżenia Anglii do trójprzymierza. Zwróciło w swoim czasie uwagę, iż ambasador angielski w Berlinie odprowadzał na dworzec kolei, pospółu z ambasadorem włoskim, odjeżdżającego hr. Gołuchowskiego. Bo jednocześnie z pobytem hr. Gołuchowskiego w Berlinie cesarz Franciszek Józef miał na Rivierze spotkanie z królową Wiktoryą i księciem Walii, a przytem oddawna było wiadome, że Austria starała się pojednać Anglię z Niemcami, po ostatnim zatargu o Transwaal. To też zaraz po odjeździe hr. Gołuchowskiego z Berlina zaczęto mówić, iż sprzymierzeni nawiązali z Anglią nową nitkę stosunków przyjaznych. A kiedy Francuzi zaczęli energicznie protestować przeciwko użyciu na koszt wyprawy Sudańskiej funduszków rozerwowych długu egipskiego, pokazało się, że Niemcy, po porozumieniu się z Austryą i Niemcami, już swoje pozwolenie na to dały. W tych warunkach nie będzie zbyt śmiałym przypuszczenie, że rząd niemiecki i austriacki wiedziaty o projektowanej przez Anglię wyprawie Sudańskiej już podczas pobytu hr. Gołuchowskiego w Berlinie, że ją już wtedy aprobowały i że przytem coś się w dotychczasowym stosunku Anglii do trójprzymierza zmieniło. Tak właśnie rozumiała publiczność angielska przychylną postawę Niemiec dla Anglii wobec kwestyi funduszków na wyprawę, i pod silnem wrażeniem faktu niektóre pisma w Londynie zaczęły nawet zaraz pisać o „przymierzu poczwórnem“, a wszystkie razem zaczęły lekceważąco traktować zastrzeżenia francuskie przeciwko wyprawie. Można-by sądzić z tego, że sama możliwość zbliżenia z trójprzymierzem podnosi w Anglikach bardzo znacznie poczucie siły. A skoro tak jest i skoro teraz sami mieli sposobność o tem się przekonać, więc daje to wyraźną wskazówkę polityczną na przyszłość. Przymierza poczwórnego oczywiście niema jeszcze, nie można jednak już dziś powiedzieć, że go nigdy nie będzie. Zbliżanie się Anglii do trzech państw sprzymierzonych już się w każdym razie rozpoczęło, i wobec niepowodzeń dotychczasowej angielskiej polityki odosobnienia, można być pewnym, że się na pierwszych krokach nie zatrzyma. I to wrażenie jest najważniejszym momentem sytuacji, bo odpowiada doniosłej zmianie, jaka się powoli dokonywa w stosunkach międzynarodowych.

Żeby skończyć ze sprawą stosunku wielkich mocarstw, dodajmy, że wizyta hr. Gołuchowskiego w Berlinie, o której wspomnieliśmy powyżej, odbyła się przy oznakach nadzwyczajnej dla miuistra austriacko-węgierskiego uprzejmości. Przyjęcia u dworu, obiady i śniadania u książy krwi, u ministrów, u ambasadorów państw obcych, sypały się jak z rogu obfitości, a podczas tych przyjęć i w przerwach między nimi hr. Gołuchowski nie przestawał konferować i robić polityki. Cesarz Wilhelm kilkakrotnie prowadził z gościem wiedeńskim długie, godzinami trwające, rozmowy. Ponieważ przytem ambasador włoski brał żywy udział w wymianie myśli, jaka się toczyła między kanclerzami, twierdzono, że odbyła się w Berlinie manifestacya dobrej zgody wszystkich trzech państw sprzymierzonych. I trudno zaprzeczyć, że tak było.

Pomimo klęski Włochów pod Aduą, którą Francuzi zwłaszcza chcieli uważać za hasło do wycofania się Włoch z trójprzymierza, to ostatnie nie doznało bynajmniej szwanku. Dla Niemiec i Austrii, Włochy, acz pobite przez Menelika, nie przestały być cennym sprzymierzeńcem. Chwilowo osłabione, po paru latach wrócą do równowagi, jak wróciła Francya po znacznie cięższej porażce. A dla Włoch znowu przymierze jest jedną z poważnych rękojmi, że nikt potknęci się ich nie wyczyszcza niezwłocznie na ich niekorzyść i że będą miały czas w pokoju wyleczyć odniesioną ranę. To też margrabia Rudini, objawszy rządu po Crispim, najwyraźniej w pierwszym swem przemówieniu do parlamentu oświadczył, że Włochy będą nadal wiernie stały na gruncie zawartych przymierzy.

Wizyta hr. Gołuchowskiego w Berlinie, acz podobno nie wprost przez wypadki w Afryce wywołana, przyczyniła się jednak nie mało do zapobieżenia fałszywym z nich wnioskom o dalszych stosunkach między mocarstwami. A wnioski te zaczęły się już wśród publiczności europejskiej szerzyć. Uzasadnionem jest prócz tego przypuszczenie, że hr. Gołuchowski przyczynił się do poprawy stosunku między Niemcami i Anglią, i że cała obecna akcyja egipska przygotowana została już w Berlinie. Tym sposobem zjazd kanclerzy, nie tylko przypominał światu trójprzymierze, ale zarazem zdecydował o wyprawie, która się zapowiada jako pełna doniosłych następstw politycznych.

Z zakresu spraw międzynarodowych godzi się zanotować jeszcze uznanie ks. Ferdynarda Koburskiego przez Portę i mocarstwa jako księcia Bułgaryi, oraz uchwały, powzięte przez Senat i przez izbę reprezentantów Stanów zjednoczonych, a ogłaszające powstańców Ku- bańskich za stronę wojującą. Pierwszy z tych faktów ma doniosłość



zasadniczą dla stosunków politycznych wschodu. Drugi mógłby nabrać znaczenia dopiero od chwili, kiedy-by rząd Unii dał się pociągnąć zachęcie izb i wystąpił z interwencją na rzecz Kuby. Dotychczas jednak to nie nastąpiło i niema pewności czy nastąpi.

Reforma wyborcza austriacka przeszła już przez obrady komisyyi parlamentu i doznała w niej jednej tylko drobnej zmiany, przez wykreślenie artykułu, który wyłączał od prawa wyborczego służbę osobistą i folwarczną. Urzeczywistnienie reformy jest w takich warunkach stanowczo już zapewnionem.

---

Pług w *Kuryerze Warszawskim* poruszył niezmiernie ważną i żywotną sprawę bytu literatów i ich rodzin. Ta wybitna grupa społeczeństwa, dźwigająca na swych barkach ciężkie obowiązki moralne i brzemień monotonnej pracy, myśli o wszystkich i wszystkim, tylko nie o sobie. Dzięki jej zabiegom i nawoływaniom, powstały liczne instytucye, otworzyły się źródła filantropii i popłynęły z nich ofiary hojne. Pomimo przeciążenia pracą umysłową, literaci nie szcędzą swych sił, gdy trzeba ofiarować odczyt na cele publiczne. Taka ofiara z ich strony to więcej znaczy niż hojny datek bogacza, bo ten wyjmuje tylko z kieszeni jakąś część procentu od swoich kapitałów, gdy literat lub uczony poświęca ten czas, który mu przynosi środki do życia, wyczerpując swoją energię umysłową bezinteresownie, gdy mógłby jej przecież użyć na własne niezbędne potrzeby. Nie dość napisać, trzeba jeszcze wygłosić odczyt, a więc przedtem przygotować się odpowiednio i wreszcie poświęcić sporo siły nerwowej. Dzięki tym rzeszom niezamordowanych pracowników—jak zaznacza Pług—, w samej Warszawie wychodzi sześćdziesiąt pism codziennych, tygodników i miesięczników i ukazuje się co rok wiele książek przeróżnej treści, co wszystko razem wzięte, podtrzymuje ruch umysłowy i szerzy oświatę po całym kraju. Dzięki im znowuż w samej Warszawie mamy dziś kilka wielkich, oraz kilkanaście mniejszych drukarni, dających zatrudnienie, a zniem sposób do życia kilku tysiącom ludzi bezpośrednio, a pośrednio i pracującym po piarniach, które byt swój i rozwój na nich opierają przeważnie. Dzięki im posiadamy kilka dość zasobnych firm wydawniczych, kilka wielkich oraz kilkadziesiąt mniejszych księgarni, a obok nich sporo czytelników, we wszystkich zaś zakładach tego rodzaju, prócz samych przedsiębiorców, iluż-to ludzi pracę i chleb znajduje. Im wreszcie

i sztuka dramatyczna byt swój zawdzięcza, oni bowiem nie tylko zasiłają scenę utworami swojemi, ale i w publiczności podniecają do niej zamiłowanie, ciągle jej uwagę na nią zwracając. A i cóż oni za to otrzymują od społeczeństwa, któremu na tyłu polach służą tak gorliwie i szczerze i pożytek taki przynoszą? Jeżeli ktoś, kupując książki, prenumerując dzienniki, albo chodząc do teatru, mniema, że przez to literatów wzbogaca, to się haniebnie myli, bo Wergili już to wygłosił: *Sic vos non vobis fertis aratra boves*. Praca ich przynosi główną korzyść wydawcom, a im daje zaledwie tyle, że na pół z biedą żyć mogą, co na jedno wychodzi, jak gdyby pracowali bez zapłaty, tylko za chleb powszedni, po większej części bardzo czarny i twardy“.

Są literaci, którzy mają podstawy bytu pewniejsze, jako urzędnicy różnych instytucji z kasami emerytalnemi, lub nawet posiadacze pewnej oszczędności i kapitałów. To jest bardzo nieliczna garstka szczęśliwych, uprawiających literaturę z zamiłowania. Znaczna większość wyłącznie swój byt opiera na piórze i tych właśnie przyszłość najsmutniej się przedstawia, w razie utraty sił i zdolności do pracy. Z wróćmy jeszcze uwagę i nato, że dochody takich literatów i dziennikarzy nie są stałe, że w razie ciężkiej i długiej choroby ustają zupełnie i wtedy nędza wkrada się do domu. Mamy świeżo w pamięci nad wyraz bolesny fakt uciekania się do miłosierdzia publicznego pod postacią koncertu na korzyść wybitnego autora, złożonego niemocą. Ci ludzie przecież pracują z takim natężeniem mózgu, że energia ich musi znacznie prędzej się wyczerpać niż np. urzędnika kolei lub banku. Do rzadkich wyjątków należy taka niespożytość i świeżość sił, jak np. Keniga, który przeszło *pół wieku* dzielnie włada piórem. Większość stopniowo z wiekiem musi zmniejszać swą pracę, a więc i zarobki, i to wtedy, gdy potrzeby rodziny wzrosły, gdy kształcenie dzieci pochłania znaczne sumy. Wreszcie po śmierci literata, czy dziennikarza zawodowego pozostają wdowa i sieroty bez żadnych środków do życia, jedynym chwilowym dla nich ratunkiem jest sprzedaż za bezcen księgozbioru, nagromadzonego przez całe życie kosztem najpilniejszych potrzeb codziennych.

Tu i owdzie dają się słyszeć głosy, że ci pracownicy, szczególnie dziennikarze, mają bardzo dobre zarobki, dochodzące do dwóch, trzech i nawet czterech tysięcy rubli rocznie, że zatem niema co się rozczulać nad ich losem. Ależ tu nie chodzi o chwilę bieżącą, lecz o zabezpieczenie bytu tych rodzin w razie śmierci lub choroby jej opiekuna. Pług przytacza znamienny fakt, że gdy się zawiązywała skromna kasa literacka przy Towarzystwie dobroczynności, wystąpiło około 20-tu literatów z protestem, podyktowanym przez ambicję.

Obecnie także dają się słyszeć protesty, ale innego rodzaju. Fe-

lietoniſta *Głosu* np. utrzymuje, że w razie zorganizowanej pomocy filantropijnej będą korzystać nie literaci rzetelni, wykształceni, lecz tylko „gruba i drobna kanalia“, której nic nie nasyci, nic nie poratuje, nic nie zaspokoi, „bo ilość koniaków i likierów w życiu tych panów mnoży się nie w stosunku zwykłym, lecz chyba w stosunku do kwadratów z ich dochodu“. Nie można zaprzeczyć, że wśród braci literacko-dziennikarskiej jest sporo zasługujących nie tylko na naganą, ale i potępienie, że są i hulacy i awanturnicy. Ale to samo znajdziemy we wszystkich innych zawodach, na wszystkich szczeblach społecznych. Więc dla tego np. że wśród urzędników jakiejś instytucji istnieje pewien procent „kanalii“, przepijających połowę swej pensji i nigdy nie oddających długów, to nie powinna istnieć kasa wzajemnej pomocy lub emerytalna?

Kasa literacka może i powinna być utworzona, a jak słusznie w osobnym artykule twierdzi *Gazeta Polska*, fundusze na to dałyby się zebrać bez kołatania do miłosierdzia publicznego. Warszawa posiada przeszło sześćdziesiąt pism peryodycznych. Gdyby bodaj połowa z nich postanowiła wnosić po 10 rs. miesięcznie do skromnej, ubogiej kasy dla literatów, istniejącej przy Towarzystwie dobroczynności, utworzyło-by to sumę 300 rs. miesięcznie, czyli 3,600 rs. rocznie, a po latach dziesięciu byłby już bardzo poważny kapitał. Są redakcyje zamozne i ubogie, jedne liczące po kilkudziesięciu, drugie zaledwie po kilku współpracowników. Pierwsze z nich mogły-by więc bez żadnego uszczerbku dla siebie wnosić większe kwoty, drugie zaś—mniejsze niż powyżej wskazana. Wreszcie księgarnie także powinny się przyczynić do wzrostu funduszków, bo przecież istnienie ich jest oparte na produkcji literackiej. Należy również przyłączyć i pisma prowincjonalne, chociaż one pod względem zasobności materyalnej zajmują szary kącik. Współpracownicy takich pism, które-by nic nie zechciały, czy nie mogły wnosić, powinni sami składać choćby po 50 kop. od osoby. *Gazeta Polska*, chcąc dać przykład innym, zaczęła od 1 marca wnosić już po 10 rs. miesięcznie do kasy przy Tow. dobr. i wzywa inne redakcyje, które jakoś dotąd milczą.

Czas już byłoby na seryo wziąć się do dzieła, bo doprawdy wstyd jest wielki. Przed dwoma, czy trzema laty podobno ktoś nawet w tajemnicy przed ogółem literatów opracował ustawę kasy emerytalnej dla nich. Warto, ażeby ten dobroczyńca odezwał się i powiedział coś o losach swego projektu. Dziś już prawie wszystkie grupy pracowników na różnych polach mają własne organizacye pomocy lub starają się o nie, tylko jedni literaci i dziennikarze, którzy kołatali i wykołatali kasy dla innych (Prus dla rzemieślników), stoją dotychczas w tyle. Jeżeli wreszcie zdobędziemy się kiedyś na własną kasę, to należało-by również

pomyśleć o wzajemnej pomocy pod każdym względem. Dziś np. protekcya lub „szczęście“ odgrywają taką samą rolę na placówkach dziennikarskich, jak i w innych zawodach. Mamy wielu zdolnych i sumiennych pracowników, tonących w powodzi bezimienności, którzy, wytrąceni z redakcyi przez chorobę, czy inny wypadek, siedzą poczihu w biedzie, gdy jednocześnie pismo jakieś poszukuje odpowiedniego referenta i nie łatwo znaleźć go może. Tutaj już chyba, wobec istnienia tylko sześćdziesięciu źródeł zarobkowania, łatwo można było-by zorganizować rekomendacyę pracy.

Zdaje się, nie mało cegiełek dołożyli także literaci do okazałego już gmachu, jakim jest instytucya Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Właśnie 3 marca upłynęło dwadzieścia lat od zatwierdzenia ustawy tej instytucyi; warto więc chociaż pobieżnie, rzucić okiem na jej 20-letnią działalność. Twórcą projektu Towarzystwa był Józef Wieczorkowski, który wspoł z ks. Tadeuszem Lubomirskim wziął się energicznie do przeobrażenia myśli w kształty. Zrazu tylko zbierano fundusze tudzież szerzono wśród publiczności poczucie potrzeby takiego zakładu, który-by rozciągnął opiekę nad dziećmi opuszczonemi i zaniedbanemi. Jakoż zabiegi te nie były bezowocne. Najpierw wyjednano od skarbu 117 morgów lasu młodego pod nazwą „Osady Studzienieckiej“ i przeznaczono to miejsce na kolonię poprawczą dla nieletnich przestępców płci męskiej, skazanych sądownie. Wzniesiono tam budowle niezbędne i opracowano ustawę osad, którą minister spraw wewnętrznych zatwierdził 7 marca r. 1876, a dn. 14 maja tegoż roku przytułek poprawczy urzędownie otwarto; skończył on zatem 20 lat istnienia. Pierwszy skazaniec przestąpił jego progi w pięć miesięcy po otwarciu; 1-go zaś stycznia r. 1877 Studzieniec liczył tylko 5-ciu wychowañców, następnie liczba wzrastała z rokiem każdym: na r. 1878 zostało już 50-ciu, na 1879 86, na 1880—103, r. 1881—115, 1882—118, 1883—132, 1884—123, 1885—135, 1886—154, 1887—143, 1888—147, 1889—151, 1890—135, 1891—150, 1892—155, 1893—160, 1894—161, 1895—165, wreszcie na 1896—161.

Ze zwiększeniem liczby wychowañców rozwijała się także osada. R. 1878 wzniesiono kościół, tudzież rozpoczęto budowę domu administracyjnego. Obecnie Studzieniec liczy ogółem 16 budynków murowanych i 14 drewnianych, posiada 88 morgów i 69 prętów ziemi uprawnej, 4 mor. 20 pr. łąk, 40 mor. 100 pr. lasu, 7 mor. ogrodu i 3 mor. chmielnika. Wychowañcy przechodzą kurs szkoły elementarnej i jednocześnie uczą się praktycznie gospodarstwa rolnego, leśnictwa, chmielarstwa, ogrodnictwa, albo też, stosownie do zdolności i upodobania, kształcą się na rzemieślników w warsztatach: stolarskim, tokarskim, szewckim, ko-

łodziejskim i stelmaskim, ciesielskim, kowalskim i ślusarskim, krawieckim.

W ciągu dwudziestolecia Studzieniec wychował 890 nieletnich. Uwalniano ich w sposób rozmaity. Dawniej nieletnich przestępców skazywano na termin, określony w wyroku, który mógł być skrócony do  $\frac{1}{3}$  w razie dobrego sprawowania się skazańca, ale z zastrzeżeniem, że jeżeli się ponownie dostanie do osad pozostanie tam aż do całkowitego upływu terminu kary przez sąd oznaczonej. Studzieniec pierwszy ze wszystkich tego rodzaju zakładów w państwie zaczął stosować takie warunkowe uwolnienie. Przepisy te wszakże zmieniono d. 20 maja r. 1892. Prawo od tego czasu rozszerzyło zakres wypadków, pozwalających sądowi oddawać nieletnich do zakładów poprawczych i jednocześnie zniosło termin określony. Natomiast czas zatrzymania nieletnich w przytułkach pozostawiono uznaniu ich zarządów, byleby termin trwał nie krócej nad rok jeden i nie dłużej jak aż do skończenia 18-tu lat wieku. Młodzi, o ile-by po uwolnieniu z przytułku źle się prowadzili, mają być ponownie cofnięci. Przepisy te ogromnie ułatwiły wpływ moralny zakładu na wychowanców.

Do chwili obecnej uwolniono ze Studzienca ogółem 729, w tej liczbie: po odbyciu terminu wyrokiem zakreślonego 444, po ukończeniu lat 18-tu 75, warunkowo 148, zwrócono władzy sądowej 21, zbiegło 6, umarło 35. Obecnie przebywa zwykle w zakładzie 161 wychowanców; ustawa zaś przewiduje liczbę 200. Do tej normy wszakże dojść można będzie dopiero wtedy, gdy urosną fundusze i pozwolą rozszerzyć zakład. Z czasem Towarzystwo osad rolnych rozciągnie swą opiekę nad dziewczętami, nie tylko skazanymi przez sądy, lecz i nad moralnie zaniedbanymi sierotami bez opieki.

Dn. 23 stycznia r. 1890 zatwierdzono ustawę zakładu poprawczego dla dziewcząt, a w roku następnym dano Towarzystwu dwie osady z lasów rządowych: Nową Hutę dla rozszerzenia gospodarstwa studzienieckiego i Puszcę Maryańską, gdzie założono osadę poprawczą dla dziewcząt, do której pierwszą wychowankę przyjęto 31 grudnia r. 1891. Etat zakładu początkowo obliczono na 12 wychowanek, ale prawie ciągle jest ich 16. Wedle ustawy, normalna cyfra ma wynosić 50. Urządzenie tego przytułku jest dotąd tymczasowe; Towarzystwo pragnie możliwie najprędzej rozszerzyć go i swój rok jubileuszowy uczcić wzniesieniem gmachu odpowiedniego. Plan i większość materiału już gotowe; brak tylko funduszu. Wychowanki Puszczy przysposabiają się do zawodu gospodyń wiejskich i służących; przechodzą tedy kurs szkoły elementarnej, przyuczają się do zajęć praktycznych do posługi domowej, wypieku chleba, prania, gotowania, ogrodnictwa, chowania bydła, trzody i drobiu, gospodarstwa mlecznego i t. d. Dotąd

w ciągu pięcioletniego istnienia, Puszcza przyjęła 19 wychowanków, z których jedną, kalekę, umieszczono w zakładzie nieuleczalnych; dwie uwolniono warunkowo i umieszczono w gospodarstwie rolnem.

Taka jest dotychczasowa działalność tej pożytecznej i zewszęd miar doniosłej instytucji. Wraca ona społeczeństwu tych, którzy mieli się stać jego wyrzutkami. Wielu tych wychowanków przez pracę i dobry wpływ zmyło swe winy. Stali się oni nie tylko nie szkodliwymi lecz przeciwnie—pożyteczną siłą produkcyjną, uzdolnioną fachowo. Ci, którzy może-by szerzyli postrach i zniszczenie pod wodzą Mielczarków, osiedli na wsi lub w miasteczkach, jako kowale, cieśle, ślusarze, krawcy, szewcy, tokarze, ogrodnicy, robotnicy rolni i t. d. Te, które może-by sprzedawały się w lupanarach, wyjdą na pożyteczne i uczciwe pracownice w gospodarstwie. Szkoda, że nie mamy dokładnych danych o losach tych setek ludzi już dziś dorosłych, wypuszczonych z osad rolnych. Możebyśmy spróbowali wysnuć pewniejsze wnioski na podstawie owego materiału. W każdym razie nie można od tej instytucji żądać cudownie zbawczego wpływu. Niektóre kategorie tych wychowanków dowodzą, że są zbyt niesforne, nawskroś zepsute natury, że musita być pewien procent recydywistów, których przywrócić społeczeństwu nie można żadnym sposobem. Podkreślmy jeszcze i tę okoliczność, że zadanie wychowawców, którym powierzono młodzież ze złemi skłonnościami, jest niezmiernie trudne, że nie podobna tam używać gotowych formuł pedagogicznych, lecz trzeba stwarzać własne metody i stosować je w różnym stopniu, odpowiednio do temperamentu, mniejszej lub większej sumy złych cech w charakterze danej jednostki. Czasem jedna, na pozór nieznacząca omyłka, może z dobrej drogi wytrącić wychowanka, jedno obojętne niewłaściwe przyczynić się do przedłużenia pobytu w zakładzie. Nie możemy udzielać wskazówek w tej mierze kierownikom, gdyż posiadają oni wielkie długoletnie doświadczenie. Zaznaczamy tylko tę ogromną trudność zadania, co jeszcze bardziej podnosi zasługi instytucji. Dla niej wielu już ludzi poświęciło swe siły, czas i pieniądze. Niepodobna nam tutaj, z braku miejsca, wymieniać tej długiej listy ofiarodawców, organizatorów, kierowników i t. d.

Na dorecznej wystawie nasion, urządzonej w warszawskiem Muzeum przemysłu i rolnictwa, widzieliśmy i podziwialiśmy między innymi wyroby wychowanców Puszczy, tudzież produkta z gospodarki studziennieckiej. Jest to także jeden z namacalnych dowodów płodnej działalności tej sympatycznej instytucji. Cała wszakże wystawa zawiódła nasze oczekiwania. Właściwych eksponentów, t. j. tych, którzy przyszli z nasionami, było zaledwie 25-ciu. Znaczną zaś część miejsca zajęły przyrządy i narzędzia, pozostające w większym lub mniejszym związku z nasionami. Wogóle na sposób organizowania tych wystaw

sarkają sami ziemianie. Głosy tego niezadowolenia i ostrą krytykę mieliśmy sposobność słyszeć w sali posiedzeń rolników i to z ust także wystawcy, p. Sempołowskiego. Zaznacza on, iż pierwsza wystawa przed dziesięciu laty ściągnęła największą liczbę uczestników: 120, następnie cyfra ta spada stale coraz niżej i wynosi już w r. 1890 tylko 28, obecnie zaś 25 w dziale nasion.

Ale nie w tem tkwi cała wada. Celem tych wystaw miało być zbliżenie ziemian do producentów nasion, załatwienie bezpośrednich stosunków, z obustronną korzyścią materyalną. Tym czasem okazuje się, że na wystawie są tak wygórowane ceny, iż nie opłaci się wcale przez nią nic nabywać. Zawiedzeni rolnicy zwracają się do pierwszych lepszych domów handlowych, lub nawet pośredników żydów. Otóż żeby na przyszłość te wady usunąć, p. Sempołowski radzi szereg zmian, które gorąco poparli inni członkowie sekcji, obecni na posiedzeniu. Mianowicie: nagrody należy udzielać tylko tym eksponentom, którzy wykażą, że mają do sprzedaży sporą ilość nasion. Nadto, komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa powinien urządzać, oprócz ogólnej, wystawy częstsze, specjalne, np. kartofli, owsa i t. d. Niezbędne są wreszcie szczegółowe, bezpłatne katalogi, które zawierały-by dokładne dane o ilości ziarna produkowanego w pewnych miejscowościach, o sposobach uprawy, wynikach prób, doświadczeń i t. d. Słowem, żeby nabywca mógł zawsze z tych wskazówek korzystać. Wreszcie wszelkie rzadkie okazy trzeba stale zachować w osobnych zbiorach Muzeum przemysłu i rolnictwa, ku pożytkowi ziemian, przybywających do miast w różnych porach roku. Obecnie już początek zrobiono: dwu wystawców ofiarowało fosforyty i zasuszone rośliny motylkowe. Teraz tylko chodzi o to, gdzie je umieścić, bo podobno Muzeum nie może dać kąta odpowiedniego. W takim samym kłopotcie znalazła się stała delegacya ochrony roślin przed szkodnikami; brak miejsca był dla niej tem dotkliwszy, że zbiory, jako przedmioty badań, prowadzących do środków zaradczych, są jedną z podwalin jej istnienia.

Braki wystawy rażą tem bardziej, że w ostatnich latach widzimy pewien wielce pocieszający i ważny wśród ziemian naszych zwrot do uprawy nasion. Przejrzeliśmy z wielkiem zajęciem świeżo ogłoszone w osobnej broszurze wyniki doświadczeń nad produkcją buraków cukrowych z różnych odmian nasion, podjęte z inicjatywy sekcji cukrowniczej. Próby przeprowadzono w 22 miejscowościach Królestwa Polskiego i prowincyi południowo-zachodnich, celem zdobycia jak najpewniejszych wskazówek, które odmiany są najodpowiedniejsze dla danych gruntów, oraz którzy producenci największerobią postępy w uszlachetnianiu towaru, tak ważnego dla cukrowników.

Zapewniano nas, że dziś już hodowla nasion buraczanych doszła

do takich rozmiarów i doskonałości, iż kraj zaoszczędza około dwu milionów rubli rocznie, gdyż, dzięki własnej uprawie, unika sprowadzania kosztownego produktu z zagranicy. Warunki nawet zmieniają się wprost odwrotnie, bo podobno Francya chętnie nabywa nasiona, wytwarzane u nas, chociaż pochodzą one z zagranicy. Tajemnica tkwi w tem, że nasiona owe, po przejściu przez nasz klimat i glebę, przynoszą na gruntach francuskich wydajność o 2<sup>0</sup>/<sub>0</sub> większą, niż u nas.

Są to wszystko fakty wielce pocieszające; każą one przypuszczać, że ten zwrot w naszej gospodarce rolnej z czasem da jej podwaliny mocne. Dziś najsystematyczniej i najbardziej naukowo-doświadczalnie jest zorganizowana hodowla nasion buraczanych, dzięki cukrowniom. Następnie drugie miejsce zaczynają zajmować kartofle — dzięki gorzelniom. Dalej powinna się rozwinąć racjonalna hodowla wszelkich innych traw i zbóż. Naturalnie, nie można żądać, ażeby wielcy i mali ziemianie prowadzili tę hodowlę na własną rękę. Wiemy o jednym rolniku w naszym kraju, który posiada pola doświadczalne, wypróbowywał na nich różne odmiany kartofli, buraków i t. d., a gdy już dostatecznie sprawdzi ich zalety, sprzedaje sąsiadom i następnie zakupowuje u nich całe plantacje. Tym sposobem zarabiając sam dobrze, daje jednocześnie uboższym pewne i stałe zyski.

Nie możemy pominąć jeszcze jednego szczegółu z tej dziedziny gospodarstwa. Dotychczas dzieje się u nas znamienne anomalia: Kraj nasz potrzebuje rocznie prawie 24 miliony korcy owsa, a wytwarza tylko połowę tej ilości. Resztę dostajemy z Cesarstwa i nawet żądamy specjalnie zniżonych taryf na to ziarno. Tym czasem wytrawny rolnik, p. Stanisław Chełchowski, w wyczerpującej swojej pracy (dotąd jeszcze w rękopisie, który mieliśmy sposobność przeczytać, dzięki uprzejmości autora) dowodzi, że owies może być u nas wybornie produkowany, że zarówno klimat, jak i gleba, najzupełniej temu sprzyjają. Żeby zaś hodowlę tej rośliny szeroko rozwinąć, p. Ch. zaleca następujące środki: 1) Należy na przyszłorocznej wystawie nasion ogłosić specjalne konkursy na owies, z uwzględnieniem jego plenności, wytrzymałości na suszę i wydajności słomy. 2) Przeprowadzić jednocześnie pod kierunkiem stacyi Sobieszyńskiej zbiorowe próby nad wydajnością odmian, uznanych za najplenniejsze i najlepsze, z poważnem uwzględnieniem gatunków krajowych. 3) Wreszcie zorganizować badania meteorologiczne, które mają doniosłe znaczenie przy uprawie tej rośliny.



---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Zasłużony na polu badań filozoficznych profesor Henryk Struve wydał, jako owoc długoletniej pracy, „Wstęp krytyczny do filozofii, czyli rozbiór zasadniczych pojęć o filozofii“. Drobne cząstki tego obszernego dzieła drukowane były przed ukazaniem się książki w „Bibliotece“, całość może być później dopiero przedmiotem wyczerpującej oceny. Obecnie więc przestaniemy na poinformowaniu czytelnika naszego pisma, na podstawie poprzedzającej dzieło przedmowy, że autor zamierzył w tym „Wstępie do filozofii“, przy pomocy współczesnych zasobów wiedzy, wyjaśnić sobie i innym to wszystko, co stanowi istotę filozofii, jako odrębnego objawu życia umysłowego, co ją charakteryzuje, jako współczynnik w postępie spraw ludzkich, co się przyczynić może i powinno do rozwiązania jej wielkich zadań, nie tylko teoretycznych, lecz i życiowych“. Nie mając na oku wyłącznie filozofów i specjalistów, prof. Struve pragnie zarazem „zaspokoić potrzeby umysłowe szerszego grona takich czytelników, którzy zadają sobie pytania: czym jest świat, co jest celem ludzkiego żywota? jakie możemy mieć pojęcie o Istocie wszechrzeczy, o Bogu?“

Zanim specjalny sprawozdawca zastanowi się gruntownie, o ile autor spełnił postawione w ten sposób zadanie, zaznaczymy jeszcze sympatyczną dedykację książki: „młodszym miłośnikom nauki krytycznej“, w ścisłym zwłaszcza bądąca związku z pocieszającym spostrzeżeniem autora, który „mając z powołania swego do czynienia z dojrzewania

jącą młodzieżą, wniknął w tajniki życia umysłowego kilku z rządu generacyi i z radością widzi, że ostatnia otrząsnęła się już prawie zupełnie z wpływów negacyjnych i czuje w sobie pociąg do pracy dodatniej, poważnej, samodzielnej i na polu filozofii“.

— Zwrot do historyi, zwłaszcza ku starożytności i dziejom chrześcijaństwa odbija się i na wydawnictwach ilustrowanych. Firma na przykład Gebethnera i Wolffa dwa na raz takie wydawnictwa rozpoczęła. Jednocześnie prawie ukazały się pierwsze zeszyty: dzieła Guhla i Konera w przekładzie Stanisława Mierzyńskiego, p. t. „Hellada i Roma“, i publikacyi, podjętej wspólnemi siłami „Tygodnika Ilustrowanego“ i „Biesiady literackiej“ pod nazwą „Rzym Papieży“. Pierwsze z tych wydawnictw jest spolszczeniem książki, której szósta już edycja w krótkim przeciągu czasu rozeszła się obecnie za granicą, i która zawiera zupełny wszechstronny obraz życia domowego Greków i Rzymian, od zamierchłej przeszłości, aż do najwyższego rozkwitu i upadku wielkiej cywilizacyi obu klasycznych narodów, przedstawiając starożytnego Greka i Rzymianina od kolebki, aż do grobu, w jego codziennych zatrudnieniach i pracach na tle rozwoju jego umysłowości, kultury i sztuki. Tysiąc przeszło starannie wykonanych rycin ma stanowić artystyczny komentarz dzieła, które składać się będzie 12-tu zeszytów. Na początek zapoznajemy się z Troją, Tyryntem i Misenami, na podstawie wykopalisk Schliemana, i ze znaczeniem w życiu Hellady świątyni, przy czem podana jest charakterystyka stylów architektonicznych, plastyczniersunkami najpiękniejszych zabytków objaśniona. Ilustrowany „Rzym papieży“ zawrze opisy kościołów i uroczystości kościelnych, muzeów watykańskich, dworu papieskiego, zabytków starożytnych, pałaców, arcydzieł sztuki, okolic malowniczych, i innych przedmiotów, wyróżniających Stolicę Piotrową, z pośród wszystkich stolic świata. Część dogmatyczna i literacka opiera się na pracach źródłowych: „Le Vatican“ par Georges Goyan, André Peraté et Paul Fabie; „Rome“, par Francis Wey; „Rome pendant la semaine sainte“, „Rome“ par l'abbé Roland. „Rom in Wort und Bild“ von Rudolf Kleinpaul; „Rome d'aujourd'hui“ par Henri Joli; „Żywot Leona XIII Papieża“, przez ks. Bernarda D'Beilly; „Podróż do Włoch“ Józefa Kremera; „Kartki z podróży“, J. I. Kraszewskiego. Szczegóły oryginalne, nigdzie nie drukowane, spostrzeżenia i opisy, mają według zapowiedzi wydawców, uzupełnić ten literacki materiał. Objętość dzieła zamierzona jest na 8 zeszytów, z których pierwszy podaje bogato ilustrowany opis Bazyliki Ś-go Piotra i obrzędów, oraz uroczystości kościelnych. Wydanie przedstawia się ozdobnie i rozpoczęte jest ze smakiem.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**

# SPIS RZECZY

## ZA WARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1896.

### *Filozofia.*

	<i>Str</i>
Zwrot do metafizyki — z powodu książki W. Dzieduszyckiego — przez Kazimierza Kaszewskiego . . . . .	321

### *Historya.*

Henryk Sybel—przez Szymona Askenazego . . . . .	1
Zróżdła do dziejów literatury i oświaty polskiej. Wiersze historyczne,— przez A. Brücknera . . . . .	78, 254 i 412
Konfederacya Generalna i pospolite ruszenie w 1812 r.—przez A. Rembowskiiego . . . . .	487
Materyały i notatki. — Z korespondencyi Bignona — przez Szymona Askenazego . . . . .	535

### *Szkice polityczne.*

Transwaal i kwestya południowo-afrykańska — przez E. Naganowskiego	193
--	-----

### *Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.*

Zbytek—przez D-ra Bronisława Łozińskiego . . . . .	467
--	-----

*Literatura.*

	<i>Str.</i>
Pod czarem, nowela przez F. M. Szembekową . . . . .	36
Agnus, nowela przez Michała Radziwiłła . . . . .	193
Fermenty, powieść przez W. Reymonda . . . . .	443
Z teki piosnek (poezya), przez Selima . . . . .	112
Z cyklu „Madonna“—Boticelli—poezya przez Maryę Konopnicką . . .	301
Ja tobie dałam pieśni czar.—Z pól,—poezye przez Lucyana Rydla . . .	349
Wiersze rzymskie.—Krajobraz wieczorny.—Villa Madama.—Niepamięć, poezye przez K. M. Górskiego , . . . . , , . . . . .	515

*Studia i szkice literackie i artystyczne.*

Komedya nieboska w świetle współczesnej krytyki,—przez D-ra Henryka Biegeleisena . . . . .	114
Listy nieznanne Juliusza Słowackiego,—przez Leopolda Meyeta . . . .	311
Juliusz Lemaitre,—przez Lucyana Rydla . . . . .	385

*Nauki przyrodnicze.*

Odkrycie Röntgena,—przez M. F. , : . . . . , . . . . .	304
--	-----

*Krytyka.*

<i>Konstanty Górski</i> . „Historya jazdy polskiej“.— <i>Antoni Prohaska</i> . „O prawdziwości listów Gedymina“.—Tegoż, „Podole lennem korony 1352—1430“.— <i>Adolf Pleszczyński</i> , „Bojarzy międzyrzeczy“.— <i>Aleksander Kraushar</i> , „Frank i Frankiści Polscy (1726—1816)“.— <i>Dr. Kazimierz Krotowski</i> , „Walka o tron krakowski, w r. 1228“.— <i>Dr. Max Gumpłowicz</i> , „Bischof Balduin Gallus von Kruszwica. Polens erster lateinischer Kronist“.— <i>Prof. Ulanowski</i> , „Materiały do historyi ustawodawstwa synodalnego w XVI wieku“ — przez A. Rembowskiego . . . . .	151, 158, 161, 163, 360, 362, 364 i 551
<i>Stefan Żeromski</i> , „Opowiadania“—przez W. Karczewskiego . . . . .	165
<i>Zofia Kowerska</i> , „Illuzya“—przez M. P. . . . .	169
<i>Prace filologiczne</i> wydawano przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego, — Tomy IV i V (zeszyt I)—przez Romana Zawilińskiego . . . . .	352

<i>Teodor Jeske-Choiński</i> , „Gasnące słońce“ — przez Stanisława Kozłowskiego . . . . .	Str. ✓ 366
<i>Walerya Marenné</i> , „Przeciw prądowi“ powieść — przez Kazimierza Kaszskiego . . . . .	553
<i>T. T. Jez</i> , „Sama“ powieść — przez W. Bukowińskiego . . . . .	557

### *Kronika zagraniczna.*

<i>Galicyska</i> , przez U. — Ogólne wybory do sejmu krajowego i agitacya w grupie gmin wiejskich. — Zmiany w osobach Namiestnika i Marszałka krajowego — Ks. Eustachy Sanguszko i hr. Stanisław Badeni. — Sprawa podwyższenia płac nauczycielom szkół ludowych. — Kwestya emigracyi ludności wiejskiej do Brazylii. — Odnowienie układu handlowego z krajami węgierskimi . . . . .	97
<i>Paryska</i> . — Ogłoszenie nagród konkursowych w Akademii francuskiej. — Sprawozdanie Gastona Boissier. Jusseranda „Historya literacka ludu angielskiego“, Brada „Notaty o Anglii“, Leclerc'a „Professye i społeczeństwo w Anglii“, Cheveillon'a „Sydney Smith i odrodzenie w Anglii idei liberalnych“, Hrabiego la Ferrière „Dwa dwory, francuski i angielski“, Gustawa Faquier „Ojciec Józef i Richelieu“, Gorce'a „Historia drugiego cesarstwa“, Babsta „Essai sur l'histoire du Théâtre“; — Konkurs poetycki. — Pieśni Franciszka Fabie — Borettego „Benvenuto Cellini“, Andrzeja Bellesort „Gospoda“. — Dramaty: Deroulède'a „Mossire Duguesclin“ i Bornier'a „Syn Aretina“. — Stuletni jubileusz Instytutu Francuskiego — Edward Rod o Goethem. — Nowy tom Dziennika marszałka Castellane. — Dzieło „La Franco chrétienne dans l'histoire“, — Tygodnik „Cosmopolis“, — „Historya złotnictwa francuskiego“ . . . . .	276
<i>Rzymska</i> — przez A. Darowskiego. — Jesienna migracya turystów. — Zimowy ruch w Watykanie. — Audyencya u Leona XIII. — Bazylika Św. Piotra. — Śpiewacy Kapeli Sykstyńskiej i zatarg dyrektora ich, Mustafy, z Papieżem. — Zanik muzyki kościelnej. — Kwitnący stan archeologii. — Wydobywanie <i>tryremu</i> rzymskiego z głębin jeziora Nemi. — Legenda i historia jeziora. — Przypuszczenia co do wydobycia statku. — Ostatnie odkrycia w okolicy Pompei . . . . .	518

### *Kronika miesięczna.*

*Styczeń*. Dwa zatargi międzynarodowe: Stanów Zjednoczonych z Anglią i Niemiec z Anglią. — Pozostałości z bilansu roku zeszłego. — Ustawa Towarzystwa chmielarskiego. — Stan obecny cukrownictwa —

Uregulowanie przez ministeryum spraw tej gałęzi przemysłu. — Szkoła mechaniczno-techniczna. — Głosy za ustępstwami w sprawach oświaty na rzecz kobiet. — Zmarli: Stanisław Budziński b. prof. Uniwersytetu warszawskiego, członek Izby sądowej, — Feliks Berdau, przyrodnik, prof. Instytutu w Nowej-Aleksandryi, — Ludwik Teichman, anatom . . . . .	174
<i>Luty.</i> Przyłączenie syna księcia Ferdynanda Koburskiego do obrządku wschodniego i zmiana sytuacji politycznej na półwyspie bałkańskim. — Dokumenty rządowe dotyczące Transwaalu. — Zatarę konstytucyjny we Francyi. — Stan wyczekiwania w Abissynii. — Projekt reformy wyborczej w Austrii. — Post i filantropia. — Odczyty D-ra M. Flauma, Br. Znatowicza, Edmunda Jankowskiego, Zofii Joteyko, Ign. Matuszewskiego i J. Ochorowicza. — Zjazd rolników w Moskwie. — Gospodarstwa z polami doświadczalnemi. — Broszurka p. Wretowskiego. — Śmierć d-ra Jawdyńskiego . . . . .	372
<i>Marzec.</i> Klęska Włochów, upadek Crispiego i gabinet Rudiniego. — Wyprawa Anglii do Sudanu i widoki nowego ukształtowania się kombinacji sojuszowych. — Uznanie księcia Koburskiego przez Portę i mocarstwa. — Reforma wyborcza austryacka. — Sprawa kassy literackiej. — Głosy dziennikarskie. — Praktyczny grunt na którym postawiła kwestyę <i>Gazeta Polska</i> . — Dwudziestopięcioletni jubileusz Towarzystwa Osad Rolnych. — Wystawa nasion i wadliwe jej urządzenie. — Zwrot w naszej gospodarce rolnej do uprawy nasion. — Zdanie p. Stanisława Chełchowskiego w kwestyi uprawy owsa . . . . .	563

*Wiadomości bibliograficzne.*

Styczeń . . . . .	186
Luty . . . . .	383
Marzec . . . . .	575

